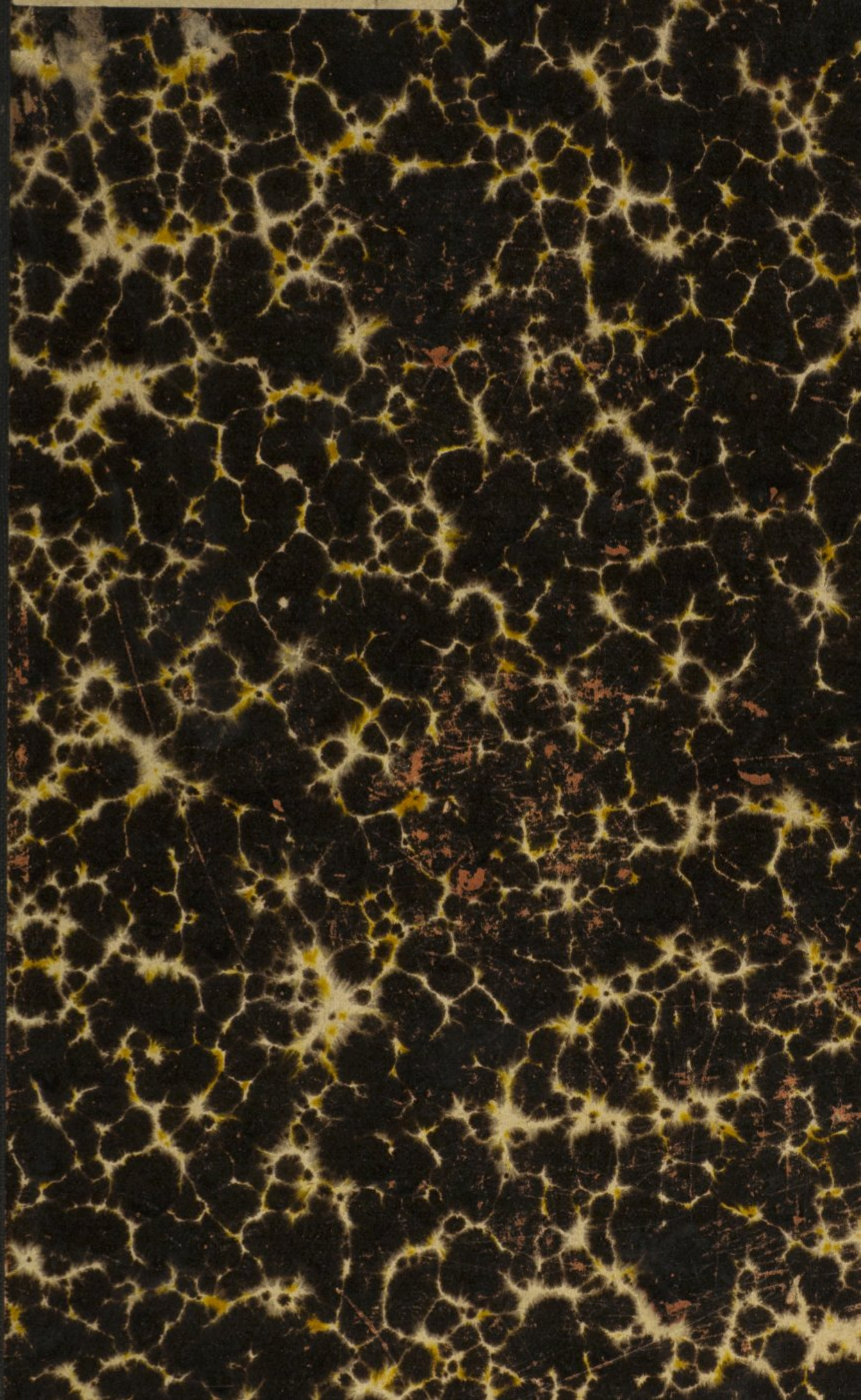


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1885.

TOM IV.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XL.





WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1885.

Дозволено Цензурою
Варшава, 19 Ноября 1885 года.

SPIS RZECZY.

I. HISTORYA.

2. RZECZY SPOŁECZNE.

3. LITERATURA I BELETRYSTYKA.

4. PSYCHOLOGIA.

5. NAUKI PRZYRODNICZE.

6. PEDAGOGIA.

7. GEOGRAFIA.

8. ARCHEOLOGIA.

9. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

VI.

Zima nadeszła wczesna i ostra. W ostatnich dniach listopada, mróz ściął już ziemię w twarde bruzdy i śnieg przysypał ją białym pyłem. Wieczorne niebo usiane było mnóstwem gwiazd, kiedy drogą wiodącą z najbliższego miasteczka do Suchéj Doliny szli ku wiosce dwaj chłopi. Obaj byli nie wysokiego wzrostu, ale jeden szczególniéj mógł się nazwać zupełnie nizkim; w kożuchach baranich, czapkach i skrzypiących butach, szli oni to powolnym i trochę chwiejnym, to znowu prędkim i zamaszystym krokiem, bardzo głośno ze sobą rozmawiając i zawzięcie rozmachując rękami. Nie byli zupełnie trzeźwi. Grube ich głosy rozchodziły się daleko a wtórował im głośny także i nierówny tentent ich stąpań. Ze słów, które wyraźnie i donośnie brzmiały w cichéj i mroźnéj przestrzeni, wnieść było można, że wracali z miasteczka, gdzie obadwaj stawali przed sądem pokoju.

— *Mirowy każe* (Sędzia pokoju mówi) *sztraf* za *heto* drzewo zapłacisz... mówił jeden, a drugi, nie słuchając towarzysza, jednocześnie prawił·

— Dług święta rzecz, *każe*, zapłacić *nużno*. .

— Drzewo, *każe*, ściął w pańskim lesie, sześć sztuk ściął, *każe*, za każdę sztukę po rublu sztrafu zapłacisz...

— A kiedy długu nie zapłacisz, *każe*, ziemię *opiszą*, ta, sprzedadzą... Nie sprzedadzą, mówię, bo jeszcze nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona...

Teraz drugi zaczynał.

— A ja do *mirowego zjazdu*... do Chackiela poszedł i kazał jemu prośbę do *mirowego zjazdu* pisać... Pisz, mówię, *hapelacju*, żebym ja tego sztrafu nie zapłacił...

Pierwszy swoje daléj prawił.

— Ja do starszyny!.. A co z tego będzie?.. u żyda zadłużył się i u innych ludzi zadłużył się i teraz oni na mnie do sądu podają, a sąd płacić każe, a ziemia nie wykupiona, znaczy, od rządu nie wykupiona i przedać jéj nie można... Żyd niedowiarek, podła jego dusza, pyta się zaraz: a *wiele* za napisanie dasz? *Zołotouku* dam, mówię, *piszy*! A on mnie w oczy patrząc śmieje się.. Rubla dasz! mówi. Nie dam, mówię, dalibóg nie dam... dwa złote dam... A on: rubla dasz... I obiecał, dalibóg obiecał rubla... *Kab jeho czorci...*

Ten zaś, któremu o zaciągnięte długi szło, zataczając się nieco, prawił.

— Dowiedział się ja u starszyny, oj dowiedział się... Kab jeho... Ziemi nie opiszę, mówi, bo nie wolno, bo jeszcze nie wykupiona, ale gospodarstwo za dług opiszę, *taj* sprzedam *publiczno*, znaczy, sprzedam, w jednych koszulach zostaniecie... na co było długi robić?

Nagle, stanęli obaj i twarzą w twarz patrzéć na siebie zaczęli.

— Jakób! rzekł jeden.

— Szymon! odpowiedział drugi.

I obadwa razem wydali z gardła pytające tony.

— Ha?

— Żeby to człowiek był bogaty!

— *Ale*!

— Toby długów nie robił!

— Ale!

— Dziewięć dusz w chacie...

— U mnie trzynaście... taj jeszcze i dwoje w kołyskach...

— Ziemia taka kiepska, że choć płacz...

— A *świeronek* (śpichrzyk) to już ze wszystkiém zawalił się... myślę ja sobie, zkąd tu drzewa wziąć... ot i pojechał nocką do lasu... to i co? Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał. dla wszystkich zasiał...

— Ziemię przyjdzie *żydu* w arendę za dług puścić... choć *potajemno* a samemu w parobki do jakiego dworu nająć się... Oj, *horkaja* dola przyszła mnie i *ditkom* moim...

— Oj, *horkaja* dola przyszła mnie na stare lata moje...

Obaj rękawami kożuchów po oczach sobie powiedli i głośno westchnąwszy, daléj, obok siebie iść zaczęli. Znajdowali się w téj chwili blizko krzyża, wznoszącego się nad rozstajnemi drogami. Naprzeciw nich, żółto błyszczały dwa oświetlone okna karczmy, daléj ciemniały ściany stodół i obór a w pewnéj od nich odległości, samotne w polu i pośród suchych szkieletów drzew, szarzało domostwo kowala. Przy świetle gwiazd, można było rozpoznać zamkniętą dziś i milczącą kuźnię, śniegiem ubieloną strzechę chaty i dwa złotawe

blade, bo przez zamarznięte szyby przedzierające się odblaski palącego się w niéj ognia.

Jeden z chłopów przechodzących pod krzyżem, w kierunku tego domostwa rękę wyciągnął.

— Szymon! rzekł.

— Nu?

— Ot tam to *hroszy* dużo!

— Gdzie to?

— A u kowalichy.

— Aha! potwierdził Szymon, *musić bohaty* ludzie, bo po pańsku sobie żyją...

— Czemu im nie żyć, *koli czort* wiedźmie pomaga...

— Pomaga czy nie pomaga, a taki im dobrze kiedy *hrosze* mają, zauważył Szymon, a po chwili myślenia machnął ręką i zamruczał: To i co z tego? Pies kudłaty, jemu ciepło; chłop bogaty, jemu dobrze... kowalu i żonce jego dobrze, a mnie od tego nie lżéj...

— Jeszcze i cięższéj na cudze dobro patrzéć, kiedy człowiekowi samemu na świecie gorzko...

— Ale!

W tém, Jakób Szyszko stanął jak w ziemię wryty i z ręką wyciągniętą ku domostwu kowala przyciszonym, zdławionym prawie głosem wymówił.

— *Baczył*? Szymon, *baczył*? (widziałeś?).

Szymon stanął także i nic wymówić nie mogąc, usta tylko szeroko roztworzył. Zjawiskiem, które obu chłopów tak bardzo uderzyło, była spadająca gwiazda. Oderwała się ona niby od ciemnego sklepienia i złoty wężyk zakreśliwszy w powietrzu, nad samą chatą kowala zniknęła. Na tle przejrzystéj nocy, błysk ten strzelił chwilową lecz świetną światłością. Jakób powtórzył pytanie.

— *Baczył* ty?

— Czemu nie *baczył*? *baczył*, zaszeptał Szymon; o nich my mówili, i na ichże chatę gwiazda spadła...

Jakób głową wstrząsał i głośny, szyderski śmiech wychodził z wązkiéj, staréj jego piersi.

— Oj, dureń ty dureń! mówił, to ty myślisz, że to gwiazda spadła...

— Ale!

— A to, ot, *czort* był, co przez komin wiedźmie hrosze niósł!

— Nie może być? krzyknął prawie Szymon i rękę do czoła niosąc, żegnać się zaczął.

— A czy ty tego nigdy nie słyszał?

— Słyszał to, słyszał, że tak na świecie bywa, ale widziéć, nie widział...

— No to teraz zobaczył... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego..

— Amen, jednogłośnie dokończyli obaj, a Szymon raz jeszcze wydał z gardła przeciągły dźwięk zadziwienia. Potém, szedł już przed siebie pewniejszym, równiejszym krokiem, jakby mu dym wódki, którą w miasteczku wypił, z głowy uleciał. Głęboko nad czémś rozmyślał, potém, ozwał się.

— Jakób!

— Ha!

— Wiesz ty co? Jużbym ja i *czortouskiemi hroszami* nie pogardził, żeby tylko z biédy wyleźć. Żeby gospodarstwa nie opisywali i nie sprzedawali...

— Jak *wiedajesz*... jak *znajesz*... obojętnie odparł Jakób.

— Możeby kowalicha i pożyczyła... wahającym się głosem zaczął znowu Szymon.

— Jak *wiedajesz*... jak *znajesz*... ale kiepsko będzie...

— Czemu kiepsko?..

— Ot tak! chrześcijańską duszę zaprzedawać nie godzi się...

— I to prawda...

— Ty tego nie rób, palec do góry wznosząc, nauczał Jakób, nie godzi się... Księdzu na spowiedzi powiedziéć trzeba, że takie pokuszenie miał...

Szymon rozmyślał znowu, ale po chwili z nagłą determinacyą głowę podniósł.

— A szedł ty do pańskiego lasu drzewo kraść, kiedy świronek budować zapotrzebował, ha?

— Oj ty! durniu! krzyknął Jakób, jak ty takie rzeczy porównywać możesz? Las boski jest i Pan Bóg jego dla wszystkich posiał, a wiedźmy *hrosze* czartowskie i ona sama jest nieprzyjaciółka boska i ludzka...

— To co! opierał się Szymon, taki tobie mirowy sztraf zapłacić kazał, a ty mnie od durniów nie wyzywaj... Słyszysz? Prawa nie masz! Sam dureń, a jeszcze do tego i złodziéj!

Zaczynali już kłócić się, ale w tém oblała ich światłość wychodząca z okien karczmy, przed którą przechodzili. Z wnętrza karczmy dolatywał gwar rozmów i rzępolenie skrzypiec. Stanęli obaj jak w ziemię wryci.

— Zajdziem, rzekł Szymon.

— Zajdziem, zgodził się Jakób.

— Na minutkę.

— Na minutkę, poweselić się...

Karczemną izbę dość obszerną, nizką, z podłogą glinianą i aż czarnym od brudu półapem, jaskrawo oświetlały trzaski smolne, wetknięte w szczeliny pieca, od góry do dołu zawieszonego wysychającą po praniu odzieżą arendarza i jego rodziny. Na długim i wązkim stole paliła się, krzywo w wydrężonéj brukwi tkwiąca, łojówka i stało kilka cynowych czarek, jakiemi zazwyczaj chłopi w karczmach wódkę pijają. Pili z nich przed chwilą ci gospodarze poważni i stateczni, którzy z obu stron stołu na ławach siedząc, toczyli pomiędzy sobą gwarliwą ale poważną, stateczną rozmowę. Dostatnie kożuchy ich zaopatrzone w szerokie kołnierze z czarnych lub siwych baranów, ciężkie lecz całe i aż do kolan wysokie obuwie, wyrazy ich twarzy, spokojne lub uśmiechami rozjaśnione, objawiały, że byli to najdostatniejsi i najlepiéj prowadzący się mieszkańcy Suchéj Doliny. Przyszli tu oni nie dla hulania ani z hultajstwa, ale dla tego naprzód, aby w długi zimowy wieczór rozweselić się trochę w *kompanii*, a potém i dla tego, aby o rzeczach tyczących się interesów wsi trochę naradzić się i porozmawiać. Kazali sobie zrazu podać wódki, pili ją z cynowych czarek, uprzejmie do sąsiadów przemawiając: na zdrowie! na szczęście! Poczém czarki na środek stołu odsunęli i więcéj już ich nie dotykali. Po kruczku wypili i dosyć! Gdyby to była jakaś wesoła okazya: chrzciny, wesele, dobicie jakiego targu lub coś podobnego, piliby pewnie daleko więcéj. Ale bez okazyi, nie zwykli byli upijać się, szanowali w sobie dostojność gospodarzy zamożnych i prowadzących się uczciwie, ojców rodzin i byłych lub teraźniejszych urzędników gminy.

Po samym środku grona tego, zasiadał Piotr Dziurdzia; obok niego, z łokciami daleko na stół wysuniętemi rozpierał się Maksym Budrak, daléj obsiadali ławę stary Łobuda i dwaj dojrzali, dawno już ożenieni synowie jego, a za kilkoma jeszcze innymi, w samym kącie izby, tam gdzie najmniéj dochodziło światło, siedział Stepan. Zawsze miał on pociąg do przestawania z najpoważniejszymi i najuczciwszymi mieszkańcami wsi, do współudziału w rozprawach o rzeczach publicznych, do odegrywania we wsi roli czynnéj i wpływowéj. Ambitny i śmiały, pragnął coś znaczyć, czemś przewodzić a choć mu już lat 40 wkrótce minąć miało, nie mógł nigdy pożądanego celu tego doścignąć. Ponurość i popędliwość jego odstraszały odeń ludzi, ujmowały mu publicznego szacunku niepospolicie już złe pożycie z żoną i brak liczniejszéj rodziny. Miał wprawdzie jedno dziecię, ale takie, że za bezdzietnego uchodził, a bezdzietność chłopa, to naprzód niebłogosławieństwo boskie, a potém, blizka i nieunikniona jego ruina. Inaczéj wcale poglądają ludzie na taką chatę, w któréj

rosną i dorastają silni parobcy i pracowite dziéwki, niżeli na taką, w któréj dwoje samotnych ludzi, jak ta para ponurych kretów ziemię kopie, bez radości na teraz, bez widoków na przyszłość. W takiéj chacie, ani chrzcin, ani wesel, ani głośnego igrania chłopców, ani dźwięcznego śpiewania dziewcząt. Ludzie do niéj nie zachodzą nigdy i nigdy w niéj do zastawionych bożemi dary stołów nie zasiadają. Żeby tam nie wiedziéć jaki dostatek był, to wprost, okazyi żadnéj nigdy niema, więc i szacunek ludzki i przyjaźń ludzka nie mają tam kiedy przybyć, objawić się i wzrosnąć. A jeżeli jeszcze w chacie takiéj wieczne pomiędzy małżeństwem kłótnie, krzyki i bijatyki, Panu Bogu na obrazę, ludziom na zgorszenie i śmiech? Wtedy już, chłopie bezdzietny i beznadziejny, na ruinę gospodarstwa i pośmiewisko ludzkie wystawiony, siedź chmurny i milczący, pomiędzy weselącymi się i rozprawiającymi ludźmi, tak jak w ciemnym kącie siedzi Stepan Dziurdzia, złość i zgryzotę swoją przeżuwając. Ile razy odezwał się, tyle razy spostrzegał wyraźnie, że nikt go słuchać nie chciał. Rozprawiano jednak o rzeczy, na któréj on znał się lepiéj niż ktokolwiek inny: o gruntach i łąkach, do których wieś cała pretensyę rościła i o które dotychczasowemu ich posiadaczowi proces wytoczyć zamierzała. Proces miał być kosztownym, koszta rozkładały się na wszystkich mieszkańców wsi, w stosunku do części przez każdego posiadanéj w procesie; arytmetyczne takie ćwiczenia najbiegléj Stepan dokonywać umiał, najlepiéj zresztą znał owe grunta i łąki, ale obywano się bez jego pomocy i rady, słowa jego głuszono, kiedy innych przekrzyczeć usiłował, łokciami go trącano na znak, aby umilkł. Młody Łobuda kłótni wszczynać nie lubiący, a lękając się, aby go do niéj złość Stepana nie wyzwała, odsunął się odeń o łokieć, to samo uczynił Anton Budrak, brat Maksyma, obecny starosta wsi. Osamotnionym ujrzał się i sponiewieranym. Zaklął z cicha, usunął się pod samą ścianę, na arendarza krzyknął, aby mu całą kwartę wódki podał i pił ją milcząc i roziskrzonemi oczami w cieniu jak wilk połyskiwał. Inaczéj wcale działo się z Piotrem Dziurdzią. Ten przez lat sześć urząd starosty sprawiał, wiedział więc dobrze, co chłop który posiadał i w jakiéj mierze do wspólnych kosztów przyczyniać się był powinien. Anton Budrak, który świeżo starostą został, radził się go o to i owo, inni słuchając, potakująco głowami kiwali. Z rękami splecionemi na kolanach, z długiemi włosy, których płowe i siwiejące kosmyki opadły na czarny, barani kołnierz kożucha, z bladawą swą i ciemną twarzą, ożywioną teraz czarką mocnego napoju i prowadzoną rozmową, Piotr rozpowiadał szeroko i długo, a słowa jego ciekły mu z ust rozważne i przewlekłe, niby leniwy i z cicha toczący się potok. Przypominał, kiedy i jak owe grunta

i łąki od Suchéj Doliny odpadły i co o tém opowiadali ojcowie, rozważał jakie korzyści zwrót ich przyniósłby wiosce i wyliczając je, aż wzdychał, tak mu się one ponętnemi wydawały. Pomimo jednak tego, dosyć żywego pożądania rzeczy ziemskich, o niebieskich nie zapominał. Podnosił czasem w górę wskazujący palec i zdanie swe kończył słowami.

— *Wsieńko* to, w mocy Bożéj. Kiedy Pan Bóg zechce to nam tę łaskę swoją da, a kiedy nie zechce to nie da i cierp człowiecze, bo taka już wola pańska....

Innym razem mówił:

— Boskiéj siły, jak *toj kazau*, nie przemożesz. *Czortouskuju siłu* krzyżem świętym przemożesz, a boskiéj niczém nie przemożesz... Jak Pan Bóg najwyższy zechce, tak będzie.

Słowa te wywoływały zawsze westchnienie słuchaczy, co nie przeszkadzało im jednak, z żywem i nawet namiętném zajęciem daléj o interesach ziemskich rozprawiać. Piotr wzdychał także, ale szare, głęboko pod gęstemi brwiami osadzone oczy jego, błyskały czasem rozweseleniem takiém, jakie ukazywało się w nich bardzo rzadko. Rozweselały się one w ten sposób zawsze, ilekroć wypadkiem czy umyślnie spojrzał w tę stronę karczemnéj izby, w któréj bawiła się i weseliła nieliczna garstka młodzieży. Było tam kilku dorosłych chłopców i z pięć dziewczyn, którzy otaczali siedzącego w kącie muzykanta, wołając nań o muzykę, a gdy grać już zaczął, tańce rozpoczynali i nagle je przerywali dla swawoli jakiejś lub gonitwy, od których z podłogi wznosił się tuman kurzawy i rozlatywały się na wsze strony ciemne dymy, kłębami buchające z rozpłomienionych smolniaków. Było tam w téj zabawie pełno grubych wykrzyków męskich i piskliwych jęków niewieścich, rubasznych śmiechów, żartobliwych kłótni, tupotu nóg, brzęczenia i piszczenia skrzypiec. Białe koszule i sine spódnice dziewcząt migotały w kurzawie i dymie, wśród szarych lub błękitnych ubiorów męskich. W gromadce téj nielicznéj, ale bawiącéj się wybornie, rej głośny i wesoły wiódł Klemens. Przed sześciu tygodniami wstał on z ciężkiéj choroby, któréj już i znaku na nim nie było. W czasie chorowania swego, nieskończoną ilość razy trzymał był w rękach zapaloną gromnicę, wypił nieskończoną ilość ziół, które mu z całéj wioski przynosiły baby, odbył przedśmiertną spowiedź i utracił kwartę krwi, którą wytoczył zeń z miasteczka przez Piotra przywieziony felczer. Stara Ewanelia przez cały ten czas nad samą głową jego na poduszce leżała; ojciec w kościele trzy msze na jego intencyę zakupił. Nakoniec, wyzdrowiał, wstał i po tygodniach paru wyglądał już tak, jakby mu nigdy nic nie było. Odtąd Piotr o chorobie i wy-

zdrowieniu syna lubił szeroko i długo rozprawiać. Opowiadał, że sprawiła ją dyabelska siła, którą przezwyciężyła siła boska. O pierwszéj mówiąc, pięście ściskał i z obrzydzeniem spluwał, a błysk gniewu i nienawiści przemykał mu w źrenicach. Dla drugiéj gorącą wdzięczność i cześć widać uczuwał, bo gdy ją wspominał, głowę skłaniał, a oczy mimowoli prawie w górę wznosił. Teraz Klemens w zabawie i swawoli rej wodził, a w którąkolwiek stronę izby okiem rzuciwszy, wszędzie zobaczyć go było można w parze z ładną Nastką Budrakówną, córką Maksyma. To stojąc przed muzykantem i o muzykę wołając, do tańca wpół ją obejmował, to w gonitwie jakiejś na ławę ją z takim rozmachem obalał, że aż krzyczała z bólu, niby rozgniewana w kąt odchodziła i plecami zwracała się do izby, a on stojąc za nią przepraszał ją i do drugiéj gonitwy wyzywał, pociesznie twarz jakby w płaczu przekrzywiając, a grubym śmiechem na całą izbę chichocząc... Piotr na tę zabawę syna, po przez głowy siedzących naprzeciw niego sąsiadów z przyjemnością spoglądał i robiły mu one nawet wyraźne w rozmowie roztargnienie. Usta wtedy rozwierał i śmiał się cichym, piersiowym śmiechem. Lubował się widokiem pary, którą składali Klemens z Budrakówną. Dziewczyna miała z zamożnéj ojcowskiéj chaty wnieść z sobą w chatę męża zwiększenie wszelkiego dostatku, a oprócz tego łagodną była, pracowitą, prowadzącą się przystojnie i przez Agatę bardzo lubioną. Jeżeli więc Klemens z nią się ożeni, oprócz wszystkiego innego, zgoda świekry z synową zapewnioną będzie. Piotrowi oddawna związek ten kleił się w głowie, aż tu, ni z tego ni z owego, wykryły się te jakieś umizgi Klemensa z Franką, z tą krępą, niepozorną, ubogą wnuczką jednego z najpośledniejszych mieszkańców wsi, w dodatku złodzieja. Gdy tylko Klemens dźwignął się był z choroby, Piotr go zapytał:

— Czy ty z tą Franką z myślami jakiemi zaczynał, czy tak sobie?

Chłopiec zawstydził się bardzo, twarz od ojca ręką zasłonił i odpowiedział:

— Tak sobie!

— A żenić się z nią nie myślałeś?

— Niechaj czort żeni się z nią, nie ja — brzmiała już chmurna odpowiedź.

— Nu, a Nastki Budrakówny chcesz? — indygacyę swą daléj prowadził ojciec.

Chłopiec dłonią usta zakrył i parsknął śmiechem.

— Czemu nie, baćku? — zawołał.

Aż mu oczy zaświeciły z radości. Nastka była ładną dziewczyną, ale o posagu i o dostatniéj wyprawie jéj także pomyślał. Swatów do chaty Budraka wnet po przejściu adwentu wysłać umyślili.

Teraz, po środku izby, młodzież wziąwszy się za ręce, utworzyła koło, w które na żarty i ku rozśmieszeniu wszystkich, wkręciła się jakaś stara przysadzista baba, z pochwyconą u arendarza małą poduszeczką w rękach. Przy piskliwéj, lecz skocznéj muzyce skrzypiec, koło tancerzy, z wielkim tupotem nóg okręcało się dokoła téj baby, która jedną rękę na kłębie opierając się, a w drugiéj poduszeczkę wysoko podnosząc, a w kółko też skacząc, z pociesznemi minami śpiewała:

Paduszeczki, paduszeczki, a wsie puchowyje,
Mołodzieńki, molodzieńki, sawsiem mołodyje...

Tu wybuchnęły ogromne śmiechy, tak słowa piosnki źle stosowały się do przysadzistéj, pomarszczonéj, choć silnéj jeszcze i uciesznéj baby. Ona śpiewała daléj:

Koho lublu, koho lublu,
Toho pacełuju;
Paduszeczku puchawuju
Tomu podaruju.

Wraz z ostatnim wyrazem śpiewki, poduszeczkę na Jasiuka Dziurdzię rzuciła i wpół go objąwszy, chciała się z nim wedle prawideł tańca tego, kilka razy okręcić. Ale on za wstyd to sobie poczytał, że go tak niepowabna tancerka faworami swemi obdarzała, pięścią babę odepchnął i z gapiowatą miną a rozgniewanemi oczami jak słup na środku izby pozostał. Kilka poważnych gospodyń, na ławie pod ścianą gwarzących, aż kładło się ze śmiechu; gospodarze nawet rozmowę o interesie przerwali i z uśmiechami na twarzach szumnéj zabawie młodzieży przypatrywać się zaczęli.

Koło taneczne utworzyło się znowu, tylko że w jego środku stanęła tym razem, gwałtem przez inne dziewki tam popchnięta Nastka Budrakówna. Skrzypce wciąż przygrywały, a wysmukła dziewczyna, z grubą kosą na plecach i piersią zawieszoną szklannemi paciorkami, poduszeczkę do góry wzniosła, i nie skacząc tak, jak tanecznica uprzednia, lecz okręcając się powoli i z wdziękiem, śród tententu stóp, donośnym głosem zaśpiewała:

Paduszeczki, paduszeczki,
A wsie puchowyje...
Mołodzieńki, mołodzieńki,
Sawsiem mołodyje...

Tu całe taneczne koło piosnkę podjęło i wzbijającemu się nad inne głosowi dziewczyny, chórem wtórzyć zaczęło:

Koho lublu, koho lublu,
Toho paceluju;
Paduszeczku puchawuju
Tomu podaruju...

Rzucona ręką dziewczyny poduszeczka w kraciastéj nawleczce, z taką siłą Klemensa Dziurdzię w twarz uderzyła, że aż spąsowiał cały, a złotawe i gęste włosy rozwiały mu się nad głową. Zarazem obu rękami Nastka zwiesiła mu się na ramionach, on wpół ją objął i kręcili się potém wkółko tak długo, że już i prawidła tańca takiego długiego kręcenia się bynajmniéj nie wymagały. Ale parobkowi rozognionemu zabawą i u piersi jego dyszącą piersią Nastki i tego było za mało. Krzyknął na muzykanta, aby do *kruciela* przygrywać zaczął, co gdy on uczynił, puścił się z dziewczyną swoją w ten taniec szybki i zawrotny, prawie na jednéin miejscu odbywany, a przerywany przechadzką we dwoje do koła izby. Złote włosy parobka rozwiewały się nad jego głową, kosa dziewczyny z czerwoną wstążeczką u końca latała w powietrzu, na szyi jéj brzęczały szklanne paciórki i przeświecające z za nich pozłacane krzyżyki i medaliki. A gdy umęczeni zawrotném okręcaniem się na jedném miejscu, obchodzili do koła izbę, on podnosił wysoko twarz rozpaloną i z błękitnych oczu rzucał snopy wesołych blasków; ona, ramię mu za plecami trzymając, w jednéj ręce ściskała sinę jego kapotę, drugą fartuszkiem pot z twarzy ocierała. W ten sposób dwa, trzy lub więcéj razy, okrążali izbę powoli, miarowym krokiem, od czasu do czasu nogami przytupując, on do młodego dębu, ona do białokoréj brzozy podobna! Wszyscy gospodarze zwrócili się już teraz twarzami ku izbie i na tańczącą parę spoglądali. Piotr Dziurdzia pół czarki wódki jeszcze do ust niosąc, śmiał się swym cichym, piersiowym, poważnym śmiechem; Maksym Budrak, niedbale niby na córkę patrząc, radośnie oczami błyskał. Mimowoli pewno dwaj sąsiedzi na siebie spojrzeli, porozumieli się wzrokiem i kiwnęli do siebie głowami.

— *Kab* tylko wola bozka była... wymówił Piotr.

— Czemu nie ma być woli bozkiéj?—odpowiedział Budrak.

Budrakowa, która pomiędzy gospodyniami pod ścianą siedziała i wprzódy już wychyliła byla czarkę wódki, łzawiła się i z rozczuleniem do sąsiadek mówiła:

— Już ja tego Klemensa, jak Boga kocham, na równi z synami rodzonieńkiemi lubię....

W téj właśnie chwili weszli do karczmy Jakób Szyszko i Szymon Dziurdzia. Nikt na nich uwagi żadnéj nie zwrócił. Już z saméj odzieży, którą na sobie mieli, poznać było można, że w gromadce ludzkiéj, śród któréj żyli, najpośledniejsze zajmowali miejsce.

Kożuchy ich były stare, bez kołnierzów, aż lśniące od brudu i zniszczenia, obuwie podarte i od wielu znać już lat, do zimowych tylko wycieczek w mrozy i śniegi używane, czapki nawet spłaszczone i z podartém w strzępy baraniem oszyciem. A cóż dopiero postawy ich i twarze! Stary Jakób trzymał się wprawdzie prosto i zawsze uroczystą jakby przybierał postawę, ale nizki był, chudy, a małemi błyszczącemi oczami patrzący na świat z pod brwi jakoś, przebiegle i razem nieufnie, z przebiegłym, nieszczerym uśmiechem na starych, zwiędłych ustach. Co do Szymona, tego krok ociężały był i jakby nieśmiały, cera wyżółkła, oczy zaczerwienione i wiecznie mokre, a na całéj twarzy miał wyraz zbiédzenia, gdy był trzeźwym, a zuchwałéj przekory, gdy tylko wódka zaszumiała mu w głowie. Teraz trochę tylko był podpiłym, więc nikogo nie zaczepiając, chyłkiem prawie i nieśmiało przeszedł karczemną izbę i wraz z Jakóbem wszedł przez wązkie drzwiczki do drugiéj, daleko mniejszéj izby, będącéj mieszkaniem arendarza i jego rodziny. Tam słychać było, jak głośno i zapalczywie rozmawiali obaj z żydem, wzajem sobie przerywając, popychając się łokciami i co chwilę zrywając się do kłótni z gospodarzem miejsca tego, który głośno i zapalczywie także u obydwóch, szczególniéj jednak u Szymona, dopominał się o pieniężne swe należności. Nie przeszkodziło mu to dać im po parę czarek wódki. Szymon swoje wychyliwszy, płakać zaczął i na gorzką dolę swoją i swoich dziatek wyrzekać, potém jeszcze o jedną czarkę na arendarza zawołał, a gdy ten dać jéj na kredyt już nie chciał, głośno i okropnie przeklinając go, nad plecami i przed twarzą ściśniętemi pięściami mu groził. Żyd ustąpił i dał mu jeszcze wódki, pilnie czarkę każdą krédą na drzwiach zapisując. Szymon wypił, mokre jego oczy rozweseliły się i błysnęły, czapkę aż po oczy na głowę nasunął i zamaszystym, choć razem i niepewnym krokiem z karczmy wyszedł. Przed karczmą, pod gwiaździstem niebem stanął i coś do siebie mrucząc, namyślać się zdawał. Z wielkiém wytężeniem oczu patrzał w stronę, w któréj zdaleka szarzało samotne w polu domostwo kowala i nagle, puścił się ścieżką, pod ścianami stodół ku niemu wiodącą. Szedł to prędko i raźnie, to znowu powoli i ze spuszczoną głową, ciągle do siebie coś niezrozumiałego mrucząc. Parę razy zatoczył się i rękami opierał o płoty ogrodów, przed kuźnią stanął i namyślał się znowu. Zdjęła go trwoga jakaś, bo rękę do czoła i piersi podniósł. Przeżegnał się i jeszcze kilkanaście kroków postąpił. Gdyby był trzeźwym, z połowy drogi wróciłby niezawodnie, alboby i całkiem w tamtą stronę nie szedł, ale wódka dodawała mu odwagi a ujmowała rozmysłu. Rękę na klamce drzwi położył i raz jeszcze przeżegnawszy się, do chaty kowala wszedł. Kowala w do-

mu nie było; Aksena w ten długi wieczór zimowy ciepłem pieca rozgrzana, usnęła na swym sienniku. Nad siwą jéj głową sterczała prząśnica ze złotawą kądzielą, tylko co upuszczone wrzeciono na szorstkiéj nitce zwisało z pieca, pod ramionami jéj nakształt skrzydeł roztwartemi, skurczone, jak zziębłe ptaszyny, spały dwie małe, rumiane prawnuczki. Izba napełniona była półzmrokiem i ciszą, palący się w piecu ogień krzesał błędne światełka w szybach okien, na których mróz wyrzeźbił sploty kryształowych i lśniących liści. Przed ogniem, na stołku siedząc, Pietrusia doglądała gotującéj się strawy i zarazem odzież rodziny naprawiała. U stóp jéj leżało kilka dziecinnych koszulek; na kolanach trzymała sukienny spencer męża, zszywając i przymocowując zdobiące go taśmy zielone. Kilka ubiegłych miesięcy, zmieniło nieco wyraz jéj twarzy, wązkiemu czołu odebrało jego dawną jasną pogodę, a w zarys ust wlało cichy lecz rzewny smutek. Świeżą jednak była jak wprzódy i jak wprzódy z rumieńców jéj twarzy i kształtów kibici, biły młodość i siła. W twardem suknie grubą igłę zatapiając i wysoko podnosząc rękę z długą nitką, półgłosem, na przewlekłą nutę śpiewała chłopską, posępną balladę:

Matka syna z cicha nauczaje:
„Czemu ty synku żonki nie karajesz?...“
„Oj maju, maju nahajku małuju,
I budu karaci żonku maładuju.“
Z wieczora kamora krykom zazwiniała,
A z połnoczy pościel hromko hawaryła,
A świtajuczy Hanulka nie żyła...

Tu śpiewaczka umilkła na chwilę, igłę nawlekła, w ogień szaremi oczami popatrzyła i znowu nad szyciem schylona, daléj przewlekłą nutę zawiodła:

„Oj maci, maci padnica u chacie,
Poradzi ciepier hdzie żonku chawaci?“
„Zawiezi Hanulu u czystoje pole,
Skażut ludzie szto Hanula pszenicu pole,
A sam skaczi na torh do Janowa...“
W Janowie braty Hanuli pochadzajuć
I u szwagra siestry swajej pytajuć:
„Hdzie Hanulu siestru naszu padzieu?“
Pryjechau do domu. „Sługi najmilejsze,
Padajcie konie mnie najworoniejsze,
Pajedu ja do Hanuli w pole.
Padajcie mnie skrypku hromku,
Zahraju ja swaju dolu horku...
Bodaj ty matko....

Z przeciągłem skrzypnięciem otworzyły się drzwi izby, Pietrusia śpiew swój przerwała i głowę odwróciwszy, zobaczyła wchodzą-

cego Szymona. Znała go dobrze i nie zdziwiła się, że tu przyszedł. Może z interesem do męża jéj przyszedł. Uprzejmie skinęła głową.

— Dobry wieczór, Szymonie. Jak się macie?

Nie odpowiedział nic, tylko uczyniwszy kilka chwiejnych kroków, wprost przed nią stanął i z otworzonemi ustami wpatrywać się w nią zaczął. W bladych jego oczach tak mięszały się z sobą wyrazy ciekawości i trwogi, dzikiego pożądania i pijanego rozczulenia, że wyglądał z tém trochę strasznie i trochę też śmiesznie. Z otwartych ust jego, w samą twarz kobiety zionęła woń wódki. Ręce w rękawy kożucha wsunął i z pomięszaniem trwożliwości i zuchwalstwa zaczął.

— Pietrusia, ja do ciebie z prośbą...

— A czego chcecie? — zapytała.

— *Kab* ty mnie *hroszy* pożyczyła... Do *mirowego* dziś na sądy chodził... Długi, *każe*, zapłacić trzeba... Ziemię sprzedadzą, *każe*.... Nie sprzedadzą, mówię, bo nie wykupiona, od rządu znaczy nie wykupiona. A on, *kab* jemu nogi *pokruciło*, długi popłacić, *każe*... ja do starszyny...

Tak prawił przez długie minut kilka, po wiele razy jedno i to samo powtarzając, ona słuchała go cierpliwie, szyciem swém zajęta, nakoniec podniosła głowę i zapytała:

— To i cóż ja tobie, Szymonku, poradzić mogę?

— *Hroszy* pożycz, przystępując bliżéj — powtórzył chłop.

— Niema, dalibóg niema, a zkąd u mnie *hrosze* mogłyby być. Wszyscy wiedzą, że do mężowskiéj chaty w jednéj spódnicy, *taj* w podartym kaftanie przyszłam... i *on* nie ma, pobożę się, że nie ma. Dostatek w chacie, chwała Bogu, jest, ale *hroszy* niema... My jeszcze *młode* oboje... kiedyż nam było *hrosze* zbierać?

— Kłamiesz!—zawarczał chłop, *hroszy ty majesz pod dostatkiem*, tyle *majesz*, ile ich twoja dusza zażąda.

I burkliwy ton na proszący zmieniając, dodał:

— Pożycz, Pietrusia, zlituj się, pożycz... co tobie szkodzi? jak ty *pryjacielu* swemu powiesz, żeby tobie więcéj przyniósł, to zaraz i przyniesie...

Oczy kobiety ze zdumieniem utkwiły w twarzy chłopa, którą wódka i wzruszenie, zabarwiać zaczęły ceglastym rumieńcem.

— Czy ty *sfiksowałsia*? (zwaryował) — przemówiła... Jakiż to mój przyjaciel taki, coby mnie hrosze według żądania nosił?

Szymon do czoła rękę podniósł, jakby przeżegnać się zamierzał zarazem, głosem zniżonym od trwogi, z głupowatą miną wymówił:

— A czort-że? ha? albo to on tobie hroszy nie nosi, ha?

Na te słowa kobieta jak oparzona ze stołka się zerwała, oczy jéj otworzyły się szeroko, ręce gestem obronnym przed siebie wyciągnęła.

— Co ty wygadujesz? — krzyknęła — człowieku, upamiętaj się i Boga w sercu miéj...

— A *taki* nosi... przystępując bliżéj jeszcze i oczu z niéj nie spuszczając, nalegał chłop. Ona śpiesznie i bardzo głośno mówiła.

— Ja w kościele ochrzczona! Mnie codzień na noc krzyżem świętym żegnali! ja grzechem śmiertelnym nijakim duszy swojéj nie zgubiła.

— A taki nosi! — tuż przed nią już stojąc powtórzył chłop,— ja sam dziś widział, jak on, ognisty taki, przez komin do twojéj chaty wlatywał...

Tym razem, w szeroko otwartych oczach kobiety, błysnęło przerażenie.

— Kłamiesz! — krzyknęła i czuć było, że pragnęła namiętnie, aby zaprzeczył zaraz temu, co powiedział. — Kłamiesz! powiedz, że skłamał!

— Dalibóg, widział...

Pięścią uderzył się w pierś i znowu zaczął:

— Pożycz, Pietrusia, zmiłuj się, pożycz... Już ja i na czortowskie hrosze zgadzam się, byle z téj gorzkiéj biédy wyleźć... daj choć czortowskich... Następował na nią, popychał ją sobą ku ścianie, ziejącą wonią wódki twarz swą do saméj twarzy jéj przysuwał.

— Ja do ciebie, jak do matki... Pietrusia, choć ty wiedźma, ale ja do ciebie jak do matki... ratuj... niech już i na mnie ten wielki grzech spadnie... podzielim się z tobą i hroszami i grzechem... Ja do ciebie jak do matki i opiekunki... choć ty wiedźma, ale ja do ciebie jak do téj opiekunki...

Gniew, przestrach, wstręt do pijanego tego człowieka, który nałogiem swym żonę i dzieci w nędzy pogrążał, a nad jéj dachem latających dyabłów spostrzegał, ogarnęły Pietrusię i obudziły w niéj całą niepospolitę jéj siłę. Z iskrzącemi się oczami, nogą w podłogę uderzyła i krzyknęła:—Won! zarazem chłopa za kożuch pochwyciła i drzwi otworzywszy, do ciemnéj sieni go wypchnęła. Nie było to rzeczą zbyt trudną. Chłop bardzo słabo trzymał się na nogach. W ciemnéj sieni zatoczył się aż do drzwi podwórzowych i ztamtąd jeszcze zawołał:

— Nie dasz? *taki* nie dasz hroszy?

Ale żona kowala na żelazną zasuwkę drzwi sieni zamknęła. Chłop pod zamarzłe okno podszedł i tam to wykrzykiwał, to mruczał.

— Ja do ciebie... wiedźmo ty... jak do matki... daj hroszy... *zli-tujsia*... choć i czortowskich daj... Nie dasz? taki nie dasz? Pietrusia! słyszysz? *Mirowy* każe, długi popłacić trzeba... ja do starszyny.... Starszyna każe, ziemi nie sprzedam, ale gospodarstwo sprzedam... w jednych koszulach zostaniecie... oj, horkaja dola moja i dziatek moich. Pietrusia, słyszysz? daj hroszy... co tobie szkodzi? Przyjaciel twój nanosi tobie znów wiele zażądasz... Nie dasz? taki nie dasz? No, to poczekajże, dam ja tobie, zgubiona dusza twoja... niewierna... nieprzyjacielu boskiemu zaprzedana... popamiętasz!

Poszedł ścieżką ku karczmie i wsi, a idąc zwolna i chwiejnie, pięście ściskał, w powietrzu niemi miotał i wciąż z wykrzykami gniewnemi, to z posępném mruczeniem do siebie, mówił:

— Nie dała! *taki* nie dała! zgubiona dusza jéj... Panu Bogu niewierna... nieprzyjacielu bozkiemu zaprzedana... dam ja jéj... popamięta...

Od paru już miesięcy Pietrusia do wsi nie chodziła. Strach ją przejmował, gdy myślała o spotkaniu się z ludźmi i babka parę razy powtórzyła jéj zlecenie, aby cicheńka była, jak rybka na dnie wody. Jednak, w tydzień przeszło po owych szczególnych odwiedzinach Szymona, wypadła jéj potrzeba konieczna do Łobudów pójść. Szło o *talki*, które dla Łobudowéj uprzędła Aksena, a które koniecznie odnieść wypadało, aby dłuższém ich zatrzymywaniem wyrzutów lub i posądzeń nie ściągnąć. O zmroku, gdy kowal pracował, w kuźni Pietrusia do babki rzekła:

— Pójdę, babulo, dziś już koniecznie do Łobudów pójdę.

Stara przemilczała chwilę, jakby jéj to postanowienie wnuczki do smaku nie przypadało, potém jednak odrzekła:

— Idź, kiedy już trzeba... tylko tam ludziom nie nasuwaj się na oczy... za gumnami przejdź.

— Za gumnami przejdę—powtórzyła Pietrusia.

Siermiężkę i trzewiki włożyła, chustkę na głowę zawiązała i poszła. Aksena z dziećmi na piecu pozostawszy, w zupełnéj prawie ciemności bajkę o smoku opowiadać zaczęła. Była to bajka długa i straszna, po któréj nastąpiła inna, tak śmieszna, że dwoje starszych aż zachodziło się od śmiechu i najmniejsza, Halenka, śmiała się także, choć jeszcze dobrze zrozumiéć jéj nie mogła. Malutki Adamek zaskwierczał w kołysce, Aksena Stasiukowi rozkazała, aby z pieca zlazł i brata kołysał. Dziecko zsunęło się z pieca, wgramoliło się na tapczan, przy którym stała kołyska i wkrótce po ciemnéj izbie, miarowy tentent biegunów, zawtórował chropowatemu głosowi baby, opowiadającéj trzecią już bajkę. Wtém, pod oknami i w sieniach dał się słyszéć tentent szybko biegnących stóp, drzwi otworzyły się

z trzaskiem i otwartemi snać pozostały, bo do izby wionął strumień mroźnego powietrza, zarazem, śród ciemności rozległ się krzyk głuchy, rozpaczą czy trwogą zdławiony.

— Jezu! ratujcie! ja nieszczęśliwa! biją już! kijami biją! Boże mój miłosierny.

Był to głos Pietrusi, która widać całém ciałem osunęła się na podłogę, bo pośrodku izby coś mocno stuknęło. Jednocześnie Aksena, która na kilka sekund oniemiała, trzęsącym się głosem przemówiła.—A tobież co Pietrusia? a tobież co? Niech Pan Bóg zmiłuje się nad nami! co tobie?

Krzykiem i stukiem przestraszona, trzyletnia Halenka wrzasnęła płaczem, ciszéj nieco zawtórował jéj Adamek. Przez wrzaskliwy płacz dzieci przebił się głos ślepéj baby, donośny, nakazujący.

— Nie *fiksujsia* (nie waryuj) Pietrusia. Światło zapal. Dzieci po ciemku płaczą.

Ciężko, ze zdławionemi jękami kobieta podniosła się z ziemi, a gdy światło rozniecała i palące się łuczywo w szczelinę pieca wsuwała, ręce jéj trzęsły się jak w febrze. Przy drżącym blasku powstającego ognia, twarz jéj z wyrazistością rzeźby wystąpiła na szare tło izby, blada jak płótno, z czołem ściągniętém w kilka fałd grubych, z oczami buchającemi płomieniem. Chustka spadła z jéj głowy, splątane włosy okryły szyję i jeżyły się nad czołem, dwie tylko łzy świeciły na jéj rzęsach, ale głębokie łkania wstrząsały ustami i piersią. Światło zapaliwszy, obu rękami schwyciła się za głowę i jak nieprzytomna po izbie biegać zaczęła. To z szeroko rozwartemi oczami i rękami nad głową po środku izby stawała, to twarzą rzucała się na stół albo ławę, to do pieca przypadała i ku babce błagalnym jakby gestem, obie ręce wyciągała wysoko. Przytém mówiła ciągle, tak jak się mówi w gorączce, prędko, bezładnie, z nagłemi krzykami, to znowu ze zniżeniem głosu aż do szeptu. W ten sposób opowiadała rzecz, któréj słuchając, Aksena na swym sienniku prostowała się jak struna, żółtemi szczękami coraz prędzéj poruszała a kościanemi rękami bezwiednie może szukała głów małych wnuczek, które milczące już, przelękłe, same się pod te ręce i do jéj piersi przysunęły. Opowiadała, że do Łobudów zaszła szczęśliwie, *talki* oddała, wszystkim pokłoniła się pięknie, ale w rozmowę się nie wdając, zaraz nazad tą samą drogą poszła. Na téj drodze czatowali na nią ludzie, którzy snać już wiedzieli, że ona tamtędy, od Łobudów wracając, iść będzie. Czatowali na nią za płotem ogrodu, za nizkim płotem, przy którym, gdy przechodziła, ktoś ją kijem w plecy uderzył raz i drugi, a tak mocno, że aż na ziemię upadła. Ten, kto uderzał, był Szymon Dziurdzia, bo go dobrze choć w zmroku poznała,

ale za Szymonowemi plecami rozległ się śmiech Stepana a Paraska, Szymonowa żonka, cościś o pieniądzach i kupnéj spódnicy zagadała, i Rozalka przeklinała i wiedźmą ją nazywała i jeszcze ze dwoje ludzi śmiało się i gadało, ale ona już nie wié kim byli, bo zerwała się z ziemi i co sił daléj pobiegła. A oni przez płot na ścieżkę przeleźli i ku karczmie sobie poszli, nie uciekając, pomału, jakby nic. Bili! kijami już bić zaczęli! co ona pocznie? Za co to na nią przyszło?

Płakała teraz rzewnemi łzami, ręce łamała, widać było, że trwoga straszna mąciła jéj rozum i odbierała wolę. Na piecu zaszemrał szept staréj.

— Parobku Prokopku... oj, parobku Prokopku... czemu ja sobie teraz gadanie i łzy matki twéj Prokopichy, znów przypomniała?

Białe oczy pośród żółtéj twarzy szerzéj rozwarła i tym samym co wprzódy nakazującym głosem przemówiła.

— Klęknij i pacierz głośno mów...

Rozkazywała tak, jak gdyby wnuczka jéj malutką jeszcze dziewczynką była, a ona słuchała też jej jak dziecko. Wnet uklękła.

— Nie tak—przemówiła stara—nie tak. Halenkę z pieca zsadź, Adamka na ręce weź, starszych do siebie zawołaj .. ogarnij dzieci rękami i Najwyższemu Bogu je pokazuj... Pacierz mów i dzieci Bogu pokazuj... Ty matka... niech Bóg najwyższy lituje się nad dziećmi...

Z sennem niemowlęciem na jedném ramieniu a drugiém ogarniając małego chłopca i dwie mniejsze odeń dziewczynki, młoda kobieta klęczała pośrodku izby, a słowa modlitwy, ze zmąconéj pamięci jéj uciekały i na drżące usta nie przychodziły. Ślepa baba chropowatym swym i trzęsącym się głosem zaczęła.

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiach, *świaćsia* imię twoje, *pryjdź* królestwo twoje, *budź* wola twoja...

Wtórował jéj słaby zrazu, potém coraz wyraźniejszy głos młodéj kobiety. Jednogłośnie, żarliwie wymówiły *Amen*, poczém stara wyrzekła:

— Nu, wstań! może Pan Bóg Najwyższy posłyszał...

Ciszéj dodała:

— I dzieci zobaczył...

Chwilowa cisza zapanowała w izbie. Pietrusia niemowlę do kołyski kładła, starsze dzieci skupiły się w kącie izby, tak szczelnie jedno do drugiego przytulone, jak przestraszona trzodka owiec.

— Gdzie Michałek? – zapytała Aksena.

— W kuźni.

— Nie wié, co tobie *przytrapiło* się...

— A nie wié...

Parę miesięcy temu, z żalem swym i strachem, tak jak z radością i weselem, biegłaby wprost do męża, przedewszystkiém i bez namysłu biegłaby do niego. Ale teraz! o! z innem on już sercem dla niéj niż dawniéj... Nie można już jéj ze wszystkiém do niego biedz. Wiara jéj w jego lubienie przepadała, codzień więcéj przepadała, a tam gdzie była jéj słodycz, robiło się tak gorzko, jakby ją naprzykład przysypał ktoś garścią piekącéj gorczycy.

— Chodź do mnie, *ditia*, pogadamy...

Od kołyski odeszła, na tapczanik wskoczyła, a ztamtąd łatwo już jéj było na brzegu pieca usiąść. Siedziały naprzeciw siebie; białe oczy ślepéj baby zdawały się z wytężeniem wpatrywać we wzburzoną i spłakaną twarz młodéj kobiety. Po dość długim namyśle, Aksena zaczęła.

— Pietrusia! toż to jutro wielkie święto.

— Ale, babulo.

— Toż to Niepokalane poczęcie Przenajświętszéj Maryi Panny, wielki fest w kościele i wielki targ w miasteczku.

— Ale, babulo.

— W kościele odpust święty a na targu będzie *narodu* chmura. I z Suchéj Doliny gospodarze pojadą do kościoła i na targ.

Znowu dość długo milczała, myśli swe i plany jakieś, zdając się żółtemi szczękami przeżuwać.

— Posłuchaj — rzekła — już tobie niema innego ratunku, tylko do Pana Boga udać się i u niego o świadectwo przed ludźmi poprosić. Niechaj o tobie Pan Bóg zaświadczy, żeś nijakim grzechem śmiertelnym duszy nie zgubiła. Do kościoła idź, przed Panem Jezusem krzyżem leż, spowiadaj się i komunię przenajświętszą przyjm... Słyszysz?

— Słyszę, babulo. Dobrze, babulo, zrobię jak doradzacie.

— Ale. Jak wyspowiadasz się a od księdza komunię przenajświętszą przyjmiesz i sama pocieszysz się i ludziom wszystkim pokażesz, że nieprzyjaciółką boską nie jesteś. Niechaj zobaczą, że do Pana Boga krzyżem leżąc modlisz się i że tobie ksiądz komunii przenajświętszéj nie odmówił. Kiedy to zobaczą, poznają że ty nie taka jak oni wymyślili i że śmiertelnego grzechu, ani żadnego ważnego przestępstwa na tobie przed Panem Bogiem niema. Pan Bóg najwyższy sam tobie dobre świadectwo wyda...

— Dobrze, babulo, dobrze — znacznie uspokojona powtórzyła Pietrusia i zmęczoną głowę na kolana babki pochylając, kościaną rękę jéj pocałowała. Ona tą ręką zaczęła ją po włosach gładzić. Milczały obie. Potém młoda kobieta ozwała się znowu.

— Franki poproszę, aby chaty i dzieci dopilnowała i strawę zwarzyła, a sama o świtaniu do miasteczka pójdę.

— Może i Michałek pójdzie?

— Pewno nie pójdzie. Do dworu tego pójść jemu trzeba, z którego tę dużą robotę ma wziąć.

— Dobrze byłoby, żeby poszedł. Razem by pomodlili się i wyspowiadali, żeby dawniejsze dobro wróciło...

Znowu milczały, w myślach pogrążone. Dzieci w kącie szeptać pomiędzy sobą zaczęły i z głośném chrupaniem jeść surową brukiew, którą Stasiuk gdzieś w sieni zarzuconą znalazł. I nikt nie zwrócił uwagi na męzkie kroki, które ozwały się za drzwiami. Kowal do izby wszedł, a Pietrusia, wtedy dopiero głowę z nad kolan babki podniosła. Na twarzy Michałka nie malowała się już uprzednia wesołość bez troski, ni cienia. Niezadowolenie i niepokój przyćmiewały blask jego czarnych oczu, wargi pod czarnym wąsem nieco wydęte objawiały skłonność do wyrzutów i gniewu. Dzieci, które rzuciły się ku niemu po głowach pogłaskał i obejrzawszy się po izbie, zdziwionym głosem zawołał.

— A toż co? toż to wieczerzy jeszcze i *zawodu* (zaczętku) nie ma!

Istotnie, smolniak tylko rzucał na izbę skąpe i chwiejne światło; w czarnym, głębokim otworze pieca, ognia nie było.

— O, Jezu! z pieca zeskakując krzyknęła Pietrusia, toż to ja dziś o wieczerzy zapomniałam, na śmierć zapomniałam!

I z takim pośpiechem, że aż ręce jéj drżały poczęła ogień rozniecać i w garnki nalewać wodę. Pierwszy to raz w życiu zdarzyło się jéj o domowych zajęciach zapomniéć a przyczyny zapomnienia tego mężowi powiedziéć nie mogła. On téż o nią nie zapytywał. Usiadł na ławie i rzekł tylko.

— Już chwała Bogu o jedzeniu dla męża zapominasz, a dzieci surową brukiew z twojéj łaski gryzą... jakby im żebrak jaki był ojcem.

Wziął na kolana Stasiuka, brukiew mu z rąk odebrał i w kąt izby ją cisnął. Wymówka, którą uczynił żonie ostrą nie była, ale kobieta wolałaby może aby się rozgniewał, a potém znowu przyjaźnie do niéj zagadał. Ale on już do niéj nie przemówił więcéj i tylko do dzieci odzywał się czasem. Śpieszyła z wieczerzą, krupy do garnka sypała, jaj trochę przyniosła i urządzać zaczęła jajecznicę ze słoniną, aby módz jak najprędzéj cokolwiek mężowi podać. Aksena, do męża wnuczki, kilka razy zagadywała: a co dziś w kuźni robił? a kogo widział? A czy jutro na fest pojedzie? On zbywał ją zawsze parę słowy, w których ani niegrzeczności ani téż życzliwości nie było. Jeżeli co mówił, to ot tak, byle zbyć, z roztargnieniem i mrukliwie. Pie-



trusia, zapalając lampkę, urządzając a potém i podając wieczerzę, ruszała się żwawo, pośpiesznie, a jednak wyglądała jak nieżywa. Z ust ani pary nie wypuszczała, chód jéj był cichy i lękliwy; przed mężem stając powieki spuszczała. Widać było, że gdy on na nią patrzał, drętwiała cała z bojaźni. Wiedziała przecież dobrze, że bić jéj, ani nawet łajać nie będzie. Czegóż więc lękała się? Może spójrzenia jego, które gdy na nią patrzał, stawało się dziwnie przenikliwém, czasem rozgniewaném, a czasem tak smutném, że dostrzegłszy je, płacz powstrzymywać musiała. Coś pomiędzy niemi murem stanęło. Ona dobrze wiedziała, co to było. Jako rzemieślnik bardzo przez ludzi używany, Michałek ciągle z ludźmi się widywał i bywał wszędzie, gdzie oni bywali, i słyszał wszystko, co oni mówili. Ciekawy i rozmówny, tyle zawsze o wszystkiém wiadomości posiadał, że niektórzy śmiejąc się mawiali o nim, iż słyszy jak trawa rośnie. Słyszał więc témbardziéj to, co tyczyło się jego żony i domu. Raz w bójkę, a kilka razy w srogą kłótnię wprowadziły go te gadaniny ludzkie o Pietrusi. Potém już kłócić się przestał i głuchego udawał, ale, co działo się w jego sercu, to zdradzały wyraziste rysy jego twarzy i wypowiadały wyraziste także, skrytości nie nauczone oczy. Miał wiele ambicyi; przez nią to głównie tak gorliwie pracował, chatę swą przyozdabiał i wszelkim dostatkiem napełniał, o oddaniu kiedyś Stasiuka do szkoły, marzył. A tu, spotykał go wielki wstyd! Przytém, kto wie, jakie tam jeszcze przypomnienia i powątpiewania po myśli jego błądziły? Wierzyć, nie wierzył w prawdę tego, co ludzie o żonie jego gadali; przecież, patrzał na nią tak, jakby ją wzrokiem na wskróś przeniknąć pragnął, a zbliżenia z nią, jakby instynktem jakimś od niéj odpychany, unikał. Czasem przecież, tkliwość jakaś podnosiła się mu z serca do gardła i oczu, a wtedy stawał się taki smutny, jakby z ojcowskiego pogrzebu powracał. Nigdy jednak okazać tego nie chcąc, stosownie do pory w któréj się to zdarzało, albo z domu wychodził, albo co najprędzéj spać się kładł. Teraz, Pietrusia, jajecznicę na stole postawiwszy, stanęła na przeciw niego i ze spuszczonemi powiekami czekała, aby jéj sobie na talerz nabrał, resztę chcąc dzieciom i babce rozdać. On, cynową łyżką w misce napełnionéj jajecznicę pogrążając, utkwił w niéj wzrok przenikliwy i razem trochę żałośny.

— Oj, Pietrusia! Pietrusia, kiwając głową, zaczął, co tobie stało się? do czego ty teraz podobna? Włosy masz takie rozczochrane, jak żebyś z kim biła się, a oczy spuchnięte od płaczu. Czego płakałaś? ha?

Nic nie odpowiadając, odwróciła się prędko i stanęła przy ogniu, plecami do niego zwrócona. To milczenie, którém odpowia-

dała na serdeczniejsze pytanie jego, obraziło go widocznie, bo gdy mu chleba pod ręką zabrakło, podniesionym i grubym głosem krzyknął..

— Chleba daj! słyszysz? Czego tam stoisz z opuszczonemi rękami, jak pani jaka!

A gdy oddała mu żądaną usługę, krzyknął znowu.

— Dzieciom daj jeść! Nie żebraki one, żeby przez czort wie jaką matkę, do północy głodne być musiały.

Była to już obelga i najboleśniejsza, bo macierzyńskiemu sercu jéj zadana, a ona i na to nie odpowiedziała nic. Jedzenie babce i dzieciom rozdała, naczynia od wieczerzy wymyła i na półce poustawiała, stół starła, smolniak i lampę zgasiła i na tapczaniku usiadłszy, nad kołyską schylona, Adamka który obudził się piersią swą nakarmiła. Ogień w piecu palił się jeszcze trochę i w izbie panowało ruchome pół światło. Aksena, na swym sienniku nieruchomo u wierzchołka pieca leżała. Spała czy niespała, ale milcząca i nieruchoma leżała. Dzieci natychmiast po wieczerzy usnęły. Michałek spać nie szedł. Przy wieczerzy jadł dużo, potém, na stole rozparty papirosy jeden po drugim palił, parę razy nawet zagwizdał coś sobie pod wąsem. Na pozór więc, nie dolegało mu nic. Jednak do snu zabierać się ani myślał. Papierosy wciąż palił i z czołem na dłoni opartém dumał. Pietrusia kołyskę poruszać i niemowlęciu do snu nucić zaczęła. Nie śpiewała, ale nuciła półgłosem, na nutę monotonną, przewlekłą, która w głębokiéj ciszy i chwiejném półświetle, płynęła i kołysała się jak smutna, nieśmiała fala. Niemowlę usnęło, kobieta wstała z tapczana i bosemi nogami, cicho do męża podeszła. Cicho też przemówiła.

— Michałek!

— Ha? głowę z nad dłoni podnosząc i na nią patrząc zapytał.

— Ja chcę jutro o świtaniu do miasteczka iść...

— Czego?

— Do kościoła na odpust. Frankę poproszę, aby chaty i dzieci popilnowała.

Patrzał na nią ciągle, ale wyrazu oczu jego w zmroku widziéć nie mogła.

— Czemuż to tobie tak do kościoła zachciało się? zapytał.

Po chwilowém milczeniu odpowiedziała.

— Wyspowiadam się i komunię przenajświętszą przyjmę. Niech mnie sam Pan Bóg najwyższy przed ludźmi dobre świadectwo wyda...

Łkania powstrzymała i łzy, które gradem stoczyły się na policzki, fartuchem otarła.

— Znów płaczesz, zauważył Michałek, ot płaksiwa ty teraz zrobiła się... ze wszystkiém nie taka jak była...

— Nie taka, powtórzyła kobieta, a po chwili nieśmiało dodała. I ty nie taki jak był...

— A nie taki, potwierdził mąż.

W krótkich tych słowach, któremi wspólnie zeznawali przed sobą zepsucie się szczęścia dawnego, brzmiała głęboka żałość. On wciąż przyglądał się jéj bacznie.

— Taki doprawdy wyspowiadasz się jutro i komunię przenajświętszą przyjmiesz?

— A jakże, odpowiedziała i zrobiła ruch do odejścia. Ale on na nią zawołał.

— Pietrusia.

— A co?

— Siadaj przy mnie, pogadamy.

Zdziwiona i nieśmiała usiadła przy nim na brzegu ławy. On mówić zaczął.

— Posłuchaj, Pietrusia. Czy to my już zawsze tak z sobą będziem żyć, jak te nieme stworzenia... Tego tylko brakuje, żebyśmy zaczęli takie zgorszenie i taki śmiech ludziom robić, jak nie przymierzając Stepan Dziurdzia i jego żonka... Tak nie można, Pietrusia. Tak nie trzeba. Ty matka dzieci i ja ciebie szanować muszę...

Słuchała go tak chciwie, jakby każde słowo jego wyrokiem dla niéj być miało, a gdy umilkł ręce na fartuchu rozłożyła i szepnęła.

— To i cóż ja zrobię, kiedy ty Michałku lubić mnie przestał...

Wymówiwszy to, widocznie na odpowiedź, z przyśpieszonym oddechem czekała. Ale kowal nie odpowiedział nic. Sapnął głośno, westchnął, kawałek niedopalonego papierosa na środek izby rzucił i znowu głowę ręką podparłszy milczał. Wtedy ona, nie doczekawszy się zaprzeczenia słów, które wymówiła, ze stłumionym jękiem osunęła się na ziemię i namiętnym szeptem mówić zaczęła.

— Michałku, lubku, już ja dawno widzę, że ty mnie lubić przestał, że ja tobie zrobiłam się niemiła, że ja tobie jestem ot tak, jak ten ciężki wór na plecach, albo ten kamień, żeby go do nogi przywiązać... Niema twojéj wesołości! niema twego gadania! niema twego śmiechu! Żałośny ty czasem taki, że kiedy na ciebie patrzę, wolałabym już pod ziemią leżéć... Żałuję ja ciebie więcéj jak życia własnego i nie chcę, żebyś ty przezemnie marnie przepadał... kiedy ty mnie nie lubisz, to pójdę ja sobie z chaty, od ciebie, w szeroki świat pójdę, gdzie oczy poniosą... Babuli tylko do śmierci dopatrzysz... nie dużo już jéj na tym świecie przebywać zostało i jedne dziecko

wziąć mnie pozwolisz... na pamiątkę, oj, na pamiątkę jedyną! Jak babula ze mną kiedyś po świecie chodziła, taj na nas dwie pracowała, tak i ja z dzieciątkiem swojém chodzić będę, taj na oboje nas zapracuję... A jak zajdę gdzie daleko, het daleko, aż na skraj świata, to i wieść o mnie na zawsze przepadnie, ludzie pomyślą, że już między żywemi mnie niema, a tobie wolno będzie wziąć sobie żonkę inną i gospodynię inną i wszystko sobie według woli robić... Lubku, Michałku, pójdę ja sobie od ciebie, pójdę ja sobie z chaty od ciebie, na skraj świata pójdę, z jedném dzieciątkiem swojém... kiedy ty mnie już nie chcesz... oj pójdę...

Mówiąc to kolana jego obejmowała i czoło ku nim schylając, usta do nich pocałunkami przykładała. Ale gdy czasem głowę podniosła, to na jéj twarzy, pomimo nieznurtowanego żalu, tyle malowało się szczerości i siły, że zdawać się mogło, że ot, zaraz, zaraz zerwie się z ziemi, dziecko którekolwiek w ramiona pochwyci i z chaty wybiegnie... Nie zerwała się jednak z ziemi sama, lecz podniosły ją i na ławie posadziły dwa męzkie ramiona. Ramię jéj, jak w kleszczach, w ogromném ręku swém ściskając i widocznie zmuszając się do śmiechu, kowal mówić zaczął.

— Co ty pleciesz? co ty wygadujesz? Ej, jaka durna czysta waryatka! Z chaty ona pójdzie! na skraj świata pójdzie! Albo to ja puściłbym ciebie z chaty! Ot prędzéj rozstałbym się z tém życiem...

W mgnieniu oka u szyi jego uwisła.

— To ja tobie widać nie bardzo niemiła...

— Ty mnie tak samo miła jak wprzódy..

Przy padającéj na nich smudze bladego światła, w twarze sobie zbliska popatrzali. Ona zobaczyła że to, co powiedział prawdą było i oczy jéj oschły z łez, zaświeciły, stały się znowu takie wesołe, szczere i wymowne jak dawniéj.

— Oj ty, ty pleciuho! czy ty myślisz, że ja łotr jaki albo rozbójnik, żebym tak już od razu wszystkiego zapomniał i serce odmienił? Czy ty u cudzych ludzi horując i ludzkie pośmiewisko znosząc sześć lat, na mnie nie czekała i dla mnie bogatym gospodarzem nie wzgardziła?

— Ale, szepnęła kobieta.

— Czy ja ciebie zbrudzoną wziął albo jakkolwiek upośledzoną? Czysta ty była i bez plamy nijakiéj, jak tą szklanka w krynicznéj wodzie wymyta, hoża ty była i wesoleńka, jak ten ptak pod niebem latający...

— Ale...

— Siedem latek ja z tobą żył i aż póki na nas nieszczęśliwe czasy nie przyszły, jednego smutnego dnia nie przeżył, złości na twojéj twarzy nie widział, złego słowa od ciebie nie słyszał...

— Ale...

— Dziatek ty mnie czworo urodziła i z pilnością hodowała, gospodarstwa strzegła i rąk nie zakładała, dostatku wszelkiego przymnażając...

— Ale...

— Nu to widzisz! dla czegóżbym ja ciebie lubić przestał? Oj, ty głupia! z chaty odemnie iść chciała... a ja by za tobą poszedł, dogonił i wtedy by już wybił... dalibóg, wtedy, wtedy to już byłby tobie *szabasz*! wybiłbym, nazad zawrócił i w chacie posadził. Siedź babo, kiedy ci dobrze! Ot!

Wraz z ostatnim wyrazem rozległ się po izbie głośny pocałunek. W same usta ją pocałował, w pół objął i zapytał.

— Nu, teraz mów, czego dziś tak płakała, że aż oczy zapuchły? Czy znowu ci kto co przykrego zrobił? ha?

Upewniona, że lubi on ją tak jak i dawniéj, z oczami błyszczącemi od szczęścia, chwilę jeszcze wzbraniała się ze zwierzeniem. Ale stare przyzwyczajenie mówienia mu wszystkiego przemogło, ręką twarz ze wstydu zakrywając, ale już nie płacząc, opowiedziała mu swoją straszną, dzisiejszą krzywdę. Michał z ławy się zerwał i pięścią w stół grzmotnął.

— Zabiję! krzyknął, na śmierć łajdaków tych zabiję! Czego oni do ciebie przyczepili się, łotry te, chamy...

Chamami chłopów nazywał, jakby sam nie był chłopem. Istotnie, miał siebie za coś już nieco wyższego nad sferę, do któréj z urodzenia należał. Pietrusia przyczepiła mu się do ramion, błagając aby nikogo nie bił i nawet nie zaczepiał. Z żyłą na czole nabrzmiałą i błyskawicami w oczach siadł na ławie, sapał, papirosa z porywczemi gestami rąk zapalał. Potém, kłęby dymu z ust wypuszczając, sarkał jeszcze.

— Durne chamy! żeby w takie głupstwa wierzyć! ja nie wierzę... dalibóg, nie wierzę, żeby na świecie jakie wiedźmy były... Czasem i mnie przechodziło przez głowę, że to może być prawda... zwyczajnie... pomiędzy głupiemi i najmędrszy człowiek czasem zgłupieje... Ale *taki* wiem dobrze i rozumiem, że to wszystko bajki. Ciemny *naród* i koniec! To swoją drogą a bieda swoją drogą! I wstyd, wstyd mnie jak pijakowi albo oberwańcowi jakiemu bić się z chłopami po karczmach i drogach a i nic to nie pomoże... Durniom głupoty ich z głów nie powybijasz, żebyś nie wiem jak bił... Co tu robić?

— Jutro przed wszystkimi wyspowiadam się i komunię przenajświętszą przyjmę, szepnęła Pietrusia.

Michał ręką machnął.

— Co to pomoże? jeden zobaczy, a drugi na odpuście w ścisku, i nie zobaczy. Kto był ze złą wolą dla ciebie i z zawiścią, ten tak i pozostanie. Zmarnujesz się w dokuczaniu ludzkiém, a jeszcze kiedykolwiek znów cię tak skrzywdzą, jak ot dziś... Niech Pan Bóg broni...

Ręką sobie mocno twarz całą przetarł a potém nad głową włosy rozrzucać zaczął.

— Chyba zabrać się, chatę i gospodarstwo rzucić i w świat iść... zamruczał.

— Chatę i gospodarstwo rzucić! krzyknęła Pietrusia.

— To cóż! cóż to ważnego? odpowiedział.

Jednak, oczami, które wilgocią zaszły, dokoła izby wodził. Miłą mu była ta chata jego, ciepła, dostatnia, wystrojona we wszystko, co do niéj przez tyle czasu, jak ptak do gniazda przynosił! Miłym téż był ten poojcowski ziemi kawał, na którym po długiéj żołnierskiéj tułaczce, z radością w duszy osiadł! Po długiéj chwili milczenia, szyję żony objął i zaczął.

— Żeby mnie tutaj źle było żyć, poszłaby ty za mną gdzieindziéj?

— A jakże! krzyknęła Pietrusia.

— No, to kiedy tobie tutaj źle, ja z tobą pójdę gdzieindziéj. Ziemię w arendę oddam, tak jak wtedy kiedy do wojska szedłem a z rzemiosłem mojém cały świat choćby obejdę, a chleba ani nam, ani dziatkom naszym nie zabraknie... W miasteczku gdzie osiądę i kuć będę, a ciebie krzywdzić nie dam i jeszcze broń Boże, bić...

Kobieta pochyliła się i ręce jego całować zaczęła.

— Jaki ty dobry, oj, jaki ty dobry... lepszego już chyba na całym świecie niema... Ja w twojéj twarzy zobaczyłam i w twojéj mowie posłyszałam i w całym tobie rozpoznałam, że ty taki dobry... Dla tegoż ja ciebie tak i polubiłam, na zawsze, aż do śmierci, że mnie już nigdy żaden człowiek inny miłym nie był i że bez twego lubienia mnie tak jak bez tego słońca grzejącego i bez téj wody pojącéj...

Wyprostował pochyloną jej kibić i objął ją ramionami.

— Idź jutro do miasteczka, mszy świętéj wysłuchaj, spowiadaj się a po nabożeństwie do mojéj siostry Hanuli, co tam za mężem, za felczerem jest, zajdź i rozpytaj się u niéj, czy dobrzeby mnie było w miasteczku osiąść... Znaczy, z rzemiosłem moim osiąść... czy tam kowala potrzebują... a jeżeli tam nie potrzebują, to ja sobie może zgodzę się w tym dworze, do którego jutro o robotę umawiać się

pójdę. Wielki dwór i wielki majątek... zawsze kowal tam był a teraz niema, może mnie zechcą. Chciałbym ja z tobą na odpust pojechać, ale do tego dworu trzeba... To idź ty już sobie jutro w swoję drogę, a ja pójdę w swoję, a potém nie bawiąc, babulę i dzieci na wóz zabierzem i *hajda*, w drogę! Ot tobie i droga zamierzana. Pójdziesz ty w świat, lepszego szczęścia u ludzi szukać, tylko nie sama jedna, ale ze mną, z babulą i ze wszystkiemi dziećmi, i z moją pracą także, z której wszędzie dobry kawałek chleba wyniknie...

— Dziękuję, Michałku, oj dziękuję tobie za wszystką twoją dobroć..... Żebym tak mogła, to zdaje się, całabym przemieniła się w dziękowanie....

(*D. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

ZE STOSUNKÓW EKONOMICZNYCH

W KRAJACH POLSKICH.

Szkic stosunków włościańskich w Księstwie Poznańskiém.

Części Polski, zupełnie niemal jednolite pod względem ustroju i położenia ekonomicznego w chwili przejścia pod obce panowanie, dziś po niespełna stu latach już zupełnie odmienny przedstawiają widok. Każda z nich, wszedłszy do składu innego organizmu państwowego, oddalała się coraz bardziéj od dawnego wspólnego typu. I dziś którąkolwiekbądź stronę gospodarstwa społecznego wzięlibyśmy pod uwagę, we wszystkich dopatrzymy różnic głęboko sięgających. Przodujące innym częściom pod względem postępu techniki i uprawy w zakresie rolnictwa, Poznańskie ustępuje Królestwu co do stopnia rozwoju wielkiego przemysłu fabrycznego. W obu kierunkach najmniéj postąpiła Galicya. Jeśli od strony zewnętrznéj gospodarstwa zechcemy przejść do zbadania stanu ekonomicznego ludności — to i w tym zakresie różnice okażą się znaczne. Walka „kulturowa“ i ciężka konkurencya na polu ekonomiczném z bardziéj od nas wyćwiczonymi w tym względzie Niemcami — w prowincyach pruskich; zaś lichwa, wyzysk ludności wiejskiéj przez żydów, ciężar podatków — w Galicyi, nader ujemnie oddziałały na stan ekonomiczny ludu w tych krajach. To też tysiące włościan polskich ciągną ztamtąd za morze szukać szczęścia i lepszéj doli na obczyźnie, a upadek ekonomiczny osłabia w nich uczucia rodzinne, i przywiązanie do gleby ojczystéj. Królestwo, wolne dotąd od plagi wychodźtwa, rozwija za to w swym ustroju inne, niemniéj groźne na przyszłość właściwości.

Liczne i złożone przyczyny—charakteru zarówno politycznego jak i ekonomicznego — składały się na utworzenie różnic wyżéj wzmiankowanych. Jeżeli jednak skierujemy uwagę naszę głównie

na położenie obecne ludu wiejskiego w tych trzech dzielnicach — to przedewszystkiém za najważniejszą przyczynę różnic w tym zakresie uznać wypadnie odmienny ustrój agrarny odnośnych krain.

W dziejach rozwoju ekonomicznego Galicyi, Królestwa i prowincyi, znajdujących się pod panowaniem pruskiém, faktem dla ludu wiejskiego najbardziéj doniosłym w bieżącém stuleciu była reforma stosunków włościańskich, w tym czasie we wszystkich trzech państwach dokonana. W różnych zaś sposobach przeprowadzenia téj reformy—tkwi główne źródło różnic, jakie dziś znajdujemy.

Z tego względu poznanie stanu obecnego włościan w zestawieniu z historyą rozwoju prawodawstwa agrarnego, obowiązującego dzisiaj w każdéj z trzech dzielnic, — stać się może tłem niezmiernie ciekawego studyum z dziedziny ekonomii porównawczéj. Uwidoczni nam ono olbrzymi wpływ, jaki wywiera ten lub ów kierunek polityki ekonomicznéj państwa na gospodarstwo narodowe, i pozwoli zarazem wykazać drogą doświadczalną istotną wartość różnych środków téj polityki; jeżeli zaś z rezultatów wyrokować będziemy o znaczeniu dokonanych reform — to porównawcze zbadanie dostarczyć może cennych wskazówek do wydania sądu o jednén z najzawilszych pytań współczesnéj nauki ekonomicznéj, a mianowicie o tak zwanéj kwestyi agrarnéj.

Ciekawe z punktu widzenia teoryi i nauki, badanie stosunków rolnych w krajach polskich dla nas jeszcze większéj wagi nabiera. Warstwy rolnicze — włościanie i szlachta — to rdzeń społeczeństwa naszego. Wszędzie w dzielnicach polskich rolnictwo zatrudnia około 80% ludności ogólnéj. To téż powiedziéć możemy, że losy społeczeństwa naszego zawisły przedewszystkiém od stanu obecnego i warunków rozwoju na przyszłość klas rolnych.

Co więcéj, do dziś dnia w znacznéj części kraju jedynie klasy rolnicze narodowość naszę przedstawiają. Ma to miejsce już nie tylko w prowincyach takich, jak Szląsk, lub Prusy wschodnie, w których inteligencya zdawna już swe cechy narodowościowe zatraciła,— lecz to samo dziś już widzimy w Poznańskiém, w Prusach zachodnich, a wreszcie i w innych częściach, w których obce pochodzeniem mieszczaństwo łatwiéj niż jakakolwiek inna warstwa wpływom wynaradawiającym uledz może. Nieliczne, nawpół żydowskie, lub niemieckie mieszczaństwo to siłą społeczną u nas nie jest i zapewne nie prędko jeszcze nią się stanie.

Słowem, interesy klasy rolniczéj i wszelkie kwestye, bytu jéj dotyczące, posiadają u nas znaczenie i doniosłość większą niż u któregokolwiek innego narodu. Odnośnie zaś do krajów wielkopolskich, wystawionych na silny nacisk germanizmu, śmiało twierdzić można,

iż losy narodowości naszéj bezpośrednio tam zawisły od utrzymania się ludu przy ziemi. od jego siły i odporności ekonomicznéj. - Niema też może narodu, któryby więcéj od nas potrzebował zachowywać w pamięci słowa, jakie niegdyś Roscher do Niemców stosował: „Pielęgnujmy troskliwie—pisał on—stan kmiecy, skarb i podstawę naszéj przyszłości narodowéj. Utrzymanie i zachowanie włościaństwa, choć trudne, jest jednak o wiele łatwiejszém, niż odbudowywanie go w razie upadku. Lud wiejski - to korzeń drzewa narodowego. Kwiat, liście, gałęzie, pień nawet zginąć mogą, bo dopóki korzenie są zdrowe, drzewo zawsze odrośnie nanowo. Lecz gdzie korzeń jest uszkodzony, tam cała roślina niechybnie do upadku *chylić się musi*....“

Wykonanie roboty, któréj plan naszkicowaliśmy wyżéj, wymaga przedewszystkiém skrzętnego zbierania materyałów dotyczących każdéj z poszczególnych kwestyi w niéj poruszonych. a więc malujących stan obecny i rozwój w ostatniém stuleciu stosunków włościańskich w Królestwie, Galicyi, Poznańskiém, Prusach i Szląsku. W tém właśnie leży główna trudność téj pracy.

Jak trudno o materyały u nas, o tém wié każdy, ktokolwiek pracował nad badaniem zagadnień naszego życia ekonomicznego. Brak ważnych danych statystycznych, mała wiarogodność tych nawet, jakie posiadamy; wreszcie niedostępność wielu źródeł urzędowych, które wypadkowo tylko do rąk szerszéj publiczności dostać się mogą—oto są przeszkody, z którymi nie łatwo dać sobie radę.

Z tych przyczyn najtrudniejszém jest badanie stosunków ekonomicznych Królestwa. To też jedyną tu drogą i najwłaściwszą w takim stanie rzeczy jest może ta. którą u nas z powodzeniem uprawia w swych studyach ekonomicznych p. Julian Łapicki,—mianowicie, droga monografii i opracowań poszczególnych okolic, znanych bezpośrednio badaczowi i co do których osobiście wszelkie dane zbierać może. Oczywiście jednak tą drogą niepodobna dojść do utworzenia całkowitego obrazu kraju.

Odnośnie do Galicyi, potrzebie o któréj mówimy, czyni poniekąd zadość krajowe biuro statystyczne. Jego publikacye, wychodzące już od lat kilkunastu pod tytułem zbiorowym „Wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych“, redagowane przez Tadeusza Pilata, zawierają wiele cennych materyałów do badań ekonomicznych.

Wreszcie, dla prowincyj pod panowaniem pruskiém, obfite materyały znajdują się w wydawnictwach urzędowych statystyki państwowéj, wzorowo uorganizowanéj. Prócz tego grono uczonych

i ludzi dobréj woli, stanowiące znany w Niemczech „*Verein für Socialpolitik*“, drogą usiłowań prywatnych dopełnia i wzbogaca materyał urzędowy. Właśnie w ostatnich czasach ukazało się na widok publiczny kilka prac tego rodzaju, w których znajdujemy między innemi wiele danych, dotyczących prowincyi polskich państwa niemieckiego—ks. Poznańskiego, Prus wschodnich i zachodnich, oraz Szląska. To właśnie było najbliższą przyczyną, iż te części kraju przed innemi opracować mogliśmy. W szkicu niniejszym chcemy zapoznać czytelników w ogólnym zarysie z rezultatem tych badań. Nim jednak przystąpimy do rzeczy pozwolimy sobie jeszcze uczynić we wstępie jednę uwagę teoretycznéj treści.

Dwa pytania główne nasuwają się zwykle przy badaniu każdego zjawiska z dziedziny ekonomicznéj: jedno dotyczy formy jego, drugie zaś zajmuje się określeniem jego stosunku do potrzeb i interesów społeczeństwa.

W wypadku pierwszym chodzi więcéj o stronę zewnętrzną, techniczno-ekonomiczną, zjawiska, a wzgląd na ogólne prawidło wszelkiéj działalności gospodarczéj — o największéj wytwórczości przy najmniejszym nakładzie — stanowi najwyższe kryteryum sądu w tym razie. Kryteryum to byłoby dostatecznėm zawsze i wszędzie, gdyby nie to, iż skutkiem indywidualizacyi w dziedzinie gospodarstwa społecznego i — w następstwie tego— skutkiem częstéj sprzeczności pomiędzy interesem jednostki a dobrem ogółu, postęp wytwórczości nie zawsze i nie koniecznie jest oznaką wzrastającego dobrobytu większości narodu. Dla tego téż potrzeba dopełnić ogólne kryteryum nauki i nie zamykać sądu w granicach techniki ekonomicznéj. Stanie się temu zadość, gdy w badaniu mieć będziemy na widoku wzgląd na stopień dobrobytu lub pomyślności, jaki dana forma ekonomiczna zapewnia lub umożliwia ogółowi ludności. Mówiąc językiem ekonomii, w pierwszym wypadku chodzi wyłącznie o sumę bogactw, tu zaś przybywa wzgląd na taki ich podział i przeznaczenie, które odpowiadają najbardziéj pojęciom o sprawiedliwości społecznéj.

Odnośnie do pytania, którém zamierzamy się zająć, uwzględnienie obu stron tu zaznaczonych jest ważném i koniecznėm. Każdą formę organizacyi stosunków rolnych oceniać można, albo ze względu na stopień jéj wytwórczości gospodarczéj, albo téż ze względu na jéj wpływ na położenie ludności pracującéj. Że ustrój pożądany w jednym kierunku nie jest nim zawsze w drugim, na to historya rozwoju stosunków rolnych w Europie wiele dowodów dostarczyć może. Zbyt często niestety zapominano o człowieku wobec interesów technicznych kultury rolnéj i w znacznéj części wypadków po-

stęp téj ostatniéj okupywanym bywał upośledzeniem ludności wywłaszczaniem ludu, wypieraniem swobodnych kmieci z ich ojczystych siedzib, ogólném zmniejszeniem dobrobytu niższych klas rolniczych. I u nas, w Polsce, powstanie i silny następny rozwój gospodarstw folwarcznych przysporzył bez wątpienia bogactw narodowi, przyśpieszył postęp rolnictwa krajowego; lecz zarazem stał się przyczyną ubóstwa i zależności włościan, których zepchnął na ostatni szczebel hierarchii społecznéj.

Aż do ostatnich czasów, zarówno w ekonomii teoretycznéj jak i w prawodawstwie agrarném państw europejskich, kwestyę rolną traktowano zbyt jednostronnie, z wyłącznego punktu widzenia wydajności gospodarczéj. Wynikało to w części z teoryi o harmonii interesów jednostki i społeczeństwa, którą wyznawano powszechnie aż do czasu reakcyi naukowéj przeciw szkole manchesterskiéj; w części zaś było to po prostu skutkiem przewagi politycznéj warstw uprzywilejowanych, które z pobudek klasowych starały się zawsze nadawać prawodawstwu kierunek dla siebie pożądany. Idee o absolutnéj i nieograniczonéj wolności w używaniu i nadużywaniu własności rolnéj (*„jus utendi et abutendi“*), o zniesieniu wszelkich przeszkód do swobodnéj cyrkulacyi gruntów i t. d. stały się podstawą nowych stosunków rolnych. Zgubne skutki tego systemu dzisiaj występują mniéj lub więcéj dotkliwie w całéj Europie.

W Anglii klasa włościańska zniszczoną została do szczętu, a na jéj miejsce powstał proletaryat rolny, przerzucany z miejsca na miejsce, niby inwentarz roboczy, stosownie do potrzeb gospodarczych téj, lub innéj okolicy. W Niemczech ocalała tylko najprzedniejsza i najzamożniejsza część włościaństwa — kosztem wyzucia i wywłaszczenia pozostałéj większości.

Chociaż zaś w swoim czasie te zgubne dla ludu skutki nowych zasad usprawiedliwiali ekonomiści potrzebą kultury, lub interesem bogactwa krajowego, dziś jednak społeczeństwa europejskie pokutować muszą za błędy, lub gwałty w przeszłości dokonane. Kwestya agrarna—nie rozwiązana, lecz tylko odroczona—powstaje w nich na nowo w groźniejszéj jeszcze postaci.

Widzimy więc z poprzedniego, jakim powinien być pogląd na sprawy ekonomiczne, obejmujący w sobie względy natury technicznéj i zarazem odpowiadający ideałom etyki społecznéj. Zgodnie za tém z jego wymaganiami w zamierzoném badaniu stosunków agrarnych obok kwestyi o produkcyjności gospodarczéj, o wysokości czystego dochodu, stanie uprawy i t. d., postawimy pytania ogromnéj doniosłości społecznéj o podziale własności ziemskiéj, o stosunku ludności posiadającéj ziemię do bezrolnéj i pracy samodzielnéj do

pracy najemnéj. Te ostatnie bowiem nadewszystko dają możność sądu o położeniu ekonomicznném ludności wiejskiéj.

Jeszcze jedno zastrzeżenie tu uczynić musimy. Czerpiąc dane i materyały z rozmaitych dzieł i autorów, trafialiśmy często na niezgodność niektórych cyfr zasadniczych, widoczne omyłki w obliczeniach, sumowaniu, ustanawianiu stosunków i t. d. Nie mając zaś wszystkich potrzebnych źródeł pod ręką, nie byliśmy zawsze w stanie sprawdzić i sprostować tych błędów. Przeszły więc one i do naszéj pracy, o czém czytelnika z góry uprzedzić winniśmy. Ścisłość wywodów na tém bez wątpienia traci, lecz ogólny ich charakter pozostaje niezmiennym.

Stosunki włościańskie w Księstwie Poznańskiém.

Wielkie księstwo Poznańskie — dawne województwa Poznańskie, Gnieźnieńskie, części Kaliskiego i Inowrocławskiego — przeszły pod panowanie pruskie przy drugim rozbiorze kraju w roku 1792. W latach 1807—1815 wchodziły w skład księstwa Warszawskiego, po upadku którego znowu do Prus wcielone zostały.

W granicach zakreślonych traktatem wiedeńskim 1815 r. obejmuje księstwo przestrzeń 532,04 mil □ czyli 28951,53 kil. □, podzieloną na dwa obwody:

Poznański	. . .	17503,24 kil. □
Bydgoski	. . .	11448,29 „

Największa długość z północy na południe wynosi mil 33 (od wsi Dzidno pod Sompolnem, do Wodziczna pod Kępnem), a największa szerokość ze wschodu na zachód—mil 28 (od wsi Oszty pod Skwierzyną, do Chlewińska za Inowrocławiem).

W ustroju ekonomicznym księstwa stosunki przekazane tradycyą dziejową Rzeczypospolitéj przetrwały aż do roku 1823. Reformy podjęte za czasów księstwa Warszawskiego przeszły bez śladu, już to z powodu burzliwéj chwili, nie nadającéj się do przeprowadzania jakichkolwiekbądź zmian zasadniczych, już to skutkiem krótkiego żywota państewka tego. Dopiero edyktem królewskim z dnia 8 kwietnia 1823 roku rozciągnięto na księstwo Poznańskie moc przepisów wydanych poprzednio w państwie pruskiém w kwestyi regulacyi stosunków włościańskich, głównie zaś z niektórymi modyfikacyami prawo z roku 1811. Szeregiem zaś późniejszych rozporządzeń prawodawczych i administracyjnych dokonano zupełnéj reformy stosunków agrarnych.

W następstwie tego dziś więc znajdujemy w układzie rolnym Księstwa typowy ustrój liberalny, nowożytny, oczyszczony od wszelkich więzów feudalizmu średniowiecznego, pańszczyzny i daremszczyzn, z zasadą własności indywidualnéj i nieograniczonéj, zastosowaną w całéj pełni,— ustrój wolny od wszelkich wspólnot gromadzkich, służebności i serwitutów, z prawem podzielności i swobodnego rozporządzania własnością nieruchomą.

Zasada równości wszystkich w obliczu prawa leży w osnowie prawodawstwa, a zasada wolnéj konkurencyi w osnowie ustroju ekonomicznego.

Cyfry następujące przedstawią nam w szczegółach obecne ukształtowanie stosunków rolnych księstwa.

Przestrzeń ogólna Poznańskiego, wynosząca 12.110.316 morgów (1) (3.027.579 hektarów), dzieli się na następujące kategorye pod względem jakości gruntów i ich uprawy, oraz rodzaju zbóż zasiewanych:

gruntów ornych . . .	1.781.792	hektarów
łąk	235.472	„
pastwisk	138.129	„
lasów.	585.054	„
razem	2.740.447	hektarów,

reszta więc jest pod zabudowaniami, osadami, lub też przedstawia nieużytki, wydmy, bagna, moczary i t. d.

W porównaniu z państwem pruskiém i innymi krajami polskiemi stosunki są następujące:

	W stosunku do przestrzeni ogólnéj stanowią:				
	grunta orne	lasy	pastwiska	łąki	nieużytki
w królestwie pruskiém .	52,2	25,8	11,6	10,4	?
w ks. poznańskiém . . .	61,5	20,2	4,7	8,1	3,5
w Galicyi	48,3	25,8	9,1	11,3	3,5
w królestwie polskiém. .	50,2	22,5	5,0	5,1	3,9

Przestrzeń uprawna księstwa poznańskiego dzieli się pomiędzy rozmaite gatunki zbóż zasiewanych, jak następuje:

---

(1) Z rozmaitych i niezgodnych ze sobą cyfr (u różnych autorów wahania pomiędzy liczbą 10.976.226 a 12.110.326 morgów) przyjmujemy podaną u Meitzen'a w dziele p. t. „Der Boden u. die Landwirthschaftlichen Verhältnisse des Preussischen Staates nach dem Gebietsumfange r. 1866“ i w „Zeitschrift des Preus. Statist. Bureau“ (Janson. Statystyka porównawcza. Tom II).

a) rośliny pokarmowe zajmują	1.061.263 hekt.	— czyli	38,4%
w tém: pszenica . . .	89.205	— 8,5%	
żyto	514.765	—48,6	
jęczmień . . .	78.024	— 7,3	
gryka	14.390	— 1,3	
proso	4.280	— 0,4	
groch, fasola . .	97.678	— 9,2	
kukurydza . .	4.779	— 0,4	
inne	31.295	— 2,9	
kartofle. . . .	226.817	—21,5	
	1.061.263 hek.		
b) rośliny pastewne	838.726	. . . . .	30,3
c) ugór	254.316	. . . . .	9,2
d) rośliny przeznaczone do przeróbki w fabrykach (rzepak, buraki).	23.394	. . . . .	1,0
e) ogrody	5.464	. . . . .	0,5
f) lasy	585.054	. . . . .	21,1
	2.768.220		100,0%

Przyjmując tę ostatnią cyfrę za podstawę obliczeń, wypadnie w Księstwie na 1 mieszkańca—1,73 hekt. ziemi uprawnéj, zaś na 1-go rolnika robotnika w sile wieku—hektarów 8,33.

Roli zajętéj pod uprawę roślin pokarmowych wypada w Księstwie na 1 mieszkańca 0,51; zaś w państwie pruskiém 0,36 hek. Tę stosunkowo dość wysoką cyfrę przypisać należy rozwiniętéj niezmiernie w Księstwie uprawie kartofli. Ponieważ jednak znaczna część zbioru téj rośliny używaną bywa na potrzeby inwentarza, lub na przeróbkę w gorzelniach — przestrzeń przeznaczona na potrzeby ludzkie jest więc nieco mniejszą od wyżéj podanéj. To samo powiedziéć potrzeba o ilości ogólnéj produktów rolnych, która również w Księstwie dość jest wysoką w porównaniu z cyfrą dla całego państwa i dla innych krajów, a to w części znowu z powodu znacznéj produkcyi kartofli i wskutek wyłącznie rolniczego charakteru Księstwa. Przekonywa nas o tém tablica następująca.

Wypada	*w ks. poznańskiém:*			*w cesarstwie niemieckiém:*		
	na 1 hektar	—	na 1 mieszk.	na 1 hektar	—	na 1 mieszk.
pszenicy	20,1	—	1,11	— 19,0	—	0,98
żyta	14,3	—	4,53	— 17,1	—	2,37
jęczmienia	21,2	—	1,02	— 23,9	—	0,87
gryki	12,2	—	0,10	— 17,6	—	0,10
grochu, fasoli i t. d. . .	14,7	—	0,56	— 14,5	—	0.16
kartofli	120,1	—	16,95	— 102,7	—	6,61

Wogóle zbóż wyrażając wszystko w pszenicy: **10,14** hek. — **5,12** hektolitrów. (*)

[Dane te czerpane są ze Sprawozdań cesar. biura statyst. za pięciolecie 1873—1877].

(*) W obliczeniu tém, opartém na stosunkowéj wartości pokarmowéj każdego rodzaju zboża, — przyczém podstawą jest tu stosunek białków w ziarnie do wagi całego

W każdym razie jednak, pomimo zastrzeżenia, jakie uczyniliśmy wyżéj, stosunek przestrzeni, znajdującéj się pod uprawą roślin pokarmowych, a także stosunek ogólnéj jéj wydajności do potrzeb mieszkańców, jest w Księstwie pomyślnym.

By się o tém przekonać, dość zestawić odpowiednie cyfry dotyczące innych krajów (1). I tak np. przestrzeni przeznaczonéj do uprawy roślin pokarmowych wypada na 1 mieszkańca:

w Węgrzech. . .	0,50	hektar.	w Belgii	0,20	hektar.
we Francyi północ.	0,46	„	w Anglii	0,14	„
w Saksonii . . .	0,42	„	w Irlandyi. . . .	0,11	„
we Francyi środk.	0,39	„	w Poznańskiém. .	0,51	„
na Szląsku . . .	0,37	„			

Następnie, wyrażonych w pszenicy hektolitrów zbóż rozmaitych wypada na 1-go mieszkańca:

w Poznańskiém	10,14	w Hiszpanii	3,8
w Saksonii	8,16	w Austryi	3,6
w Danii	6,78	w Belgii.	3,48
na Szląsku	6,39	w Irlandyi	1,80
we Francyi północnéj . .	4,81	w Norwegii	1,40
we Włoszech	5,0	w Szwajcaryi	1,30
w Węgrzech	4,0		

Trudno jest ściśle oznaczyć przeciętną ilość zbóż rozmaitych potrzebną do konsumcyi jednostki w ciągu roku. Niektóre obliczenia, dokonywane na wielkich masach ludności — przyczém więc znoszą się różnice indywidualne płci, wieku, stopnia zamożności i t. d.—dostarczyły pewnych wskazówek w tym względzie. Obliczenia podobne dały następujące rezultaty.

Na 1 mieszkańca wynosiła konsumcya roczna zbóż wyrażona w pszenicy:

w Portugalii . .	177	kilogr.	— czyli	2,3	hektolitry
we Francyi. . .	210	„	— „	2,8	„
w Szwajcaryi . .	224	„	— „	3,0	„
w Prusach . . .	228	„	— „	3,0	„

i tę to cyfrę (2,3 — 3,0 hektolitry) zwykle przyjmują jako normę w obliczeniach (2).

---

ziarna, — przyjęto wielkość tę dla pszenicy za 100. Dla innych zbóż będzie wtedy: dla żyta 80,3, dla kartofli 202, jęczmienia 56,2, grochu 193, gryki 45,7.

(1) Janson. Wykład statystyki porównawczéj. T. II, str. 251 i 393.

(2) Ob. Janson l. c.

Widzimy więc z cyfr powyższych, że zarówno ze względu na obszar roli przeznaczony na użytek ludzi, jak i co do ogólnéj sumy produkcyi rolnéj, terytoryum księstwa poznańskiego jest więcéj niż dostatecznêm dla wyżywienia ludności swojéj. Czy ją wyżywia w istocie—to już całkiem inne pytanie, na które statystyka odpowiedzi bezpośredniéj nie daje. Wiemy jednak o têm, iż znaczna część produkcyi miejscowéj, bez względu na potrzeby producentów, wywożoną bywa na zewnątrz; ludność zaś zmuszona jest przez to do zadawalniania się pokarmem gorszym, mniéj odpowiednim dla organizmu ludzkiego, czego dowód mamy w tak obszernie prowadzonéj przez lud poznański uprawie kartofli. Przyczynę tego poznamy, gdy rozpatrzymy podział własności ziemskiéj w Księstwie. Nowy to dowód, iż w stosunkach ekonomicznych współczesnych stopień zamożności ludności danego kraju nie da się określić, jeżeli brać będziemy pod uwagę samą tylko sumę jego produkcyi. Rozstrzyga o têm przedewszystkiém inny czynnik, a mianowicie sposób podziału dóbr wytworzonych pomiędzy różne kategorye wytwórców.

Przechodzimy więc do zbadania stosunków *podziału własności ziemskiéj* w Poznańskiém i oznaczenia *liczby posiadających ziemię w stosunku do ogółu mieszkańców.*

Trzy są główne w Poznańskiém kategorye właścicieli:

A) skarb i instytucye publiczne posiadają morgów 1.284.976 (321.244 hekt.)—10,6%.

B) wielka własność prywatna 5.222.840 (1.305.710 hekt.)—43,1%

C) mała własność 5.602.500 (1.400.625 hekt.)—46,3%

Do pierwszéj kategoryi należą:

1)	dobra korony i członków domu królewskiego, stanowiące w ogólnéj przestrzeni Księstwa	0,05%
2)	własność państwa: domeny	1,16
	lasy	5,49
	inne kategorye	0,08
3)	własność miast	0,50
4)	„ wsi korporacyjnych	0,34
5)	„ kościołów	1,80
6)	„ szkół i uniwersytetów	0,28
7)	„ fideikomisów i majoratów	0,90
		10,6%

[W państwie pruskiém cała kategorya powyższa stanowi 22,24% ogólnéj przestrzeni].

Pozostaje więc w Księstwie w posiadaniu osób prywatnych i w swobodnym obiegu—89,4% przestrzeni ogólnéj.

Według innych danych, własność włościańska w Księstwie *w stosunku do ogólnéj ilości ziemi uprawnéj* stanowi tylko 40% (1), a mianowicie 4.266.941 morgów na 10.976.226 morgów przestrzeni ogólnéj.

Ogólna przestrzeń ziemi znajdującéj się w ręku ludu jest stosunkowo mniejszą w Poznańskiem, niż w innych prowincyach państwa pruskiego. Nie mówiąc już o prowincyach zachodnich—nadreńskich i Westfalii—, w których własność wielka stanowi zaledwie 22 i 16% przestrzeni ogólnéj, nawet w porównaniu z prowincyami wschodniemi Poznańskie ostatnie zajmuje miejsce—z jedynym wyjątkiem Pomeranii, gdzie własność wielka stanowi 58% obszaru ogólnego.

Tak w gminach wiejskich znajdowało się:

w Saksonii	65,1%	gruntów
w Prusach	58,5	„
w Brandeburgii	47,1	„
na Szląsku	47,0	„
w Poznańskiém	40,0	„
na Pomorzu	34,0	„

W 6-ciu prowincyach wschodnich przeciętnie—47%, czyli dla dorównania cyfrze przeciętnéj, obszar gruntów włościańskich Księstwa potrzebaby powiększyć o 1.200.000 morgów. (Nathusius. l. c.).

Te stosunki podziału własności ziemskiéj przedstawią się nam w świetle jeszcze mniéj korzystném, gdy rozpatrzymy szczegółowo rozmaite kategorye własności rolnéj pod względem obszaru.

W Księstwie panuje w tym względzie rozmaitość niezmierna. Różnice pomiędzy uposażeniem gruntowem włościan są tu ogromne. Obok zamożnych kmieci, zbliżających się już pod wielu względami do stanu właścicieli posiadłości szlacheckich, spotykamy znaczną ilość właścicieli małorolnych, graniczących niemal ze stanem proletaryatu rolnego. Położenie to jest skutkiem pruskiéj reformy włościańskiéj, dokonanéj bez uwzględnienia potrzeb ogromnéj większości ludności rolnéj.

W statystyce urzędowéj pruskiéj przyjęto za podstawę klasyfikacyi następujące normy:

1. Własność przechodząca 600 morgów magdeburskich (150 hektarów) zaliczaną bywa do własności wielkiéj; daje ona właścicielowi możność wyręczania się w zarządzie ludźmi najemnymi. Ze względu na wysokość dochodów, już od téj granicy poczynając, właściciel sposobem życia i ogólną stopą zamożności może być zaliczony do

---

(1) Artykuł v. Nathusius'a w zbiorowém wydawnictwie Verein'u für Socialpolitik p. t. „Bäuerliche Zustände in Deutschland.“ Tom III. Str. 7. „Die Bäuerlichen Verhältnisse in der Provinz Posen.“

tak zw. „Gutsbesitzer“. Jest to więc nasza własność „szlachecka“ lub wielka.

2. Obszary od 300 do 600 morgów stanowią rodzaj własności średniéj; są to małe dobra, utrzymujące służbę folwarczną, a nawet wydzierżawiane przez właścicieli.

3. Następującą kategoryę stanowią już właściwe posiadłości włościańskie, od 300 do 30 morgów, jako minimum. Są to gospodarstwa sprzężajne, wymagające dla uprawy co najmniéj pary wołów lub koni, wystarczające na utrzymanie przeciętnéj rodziny kmiecéj i zatrudniające całkowicie jéj siły.

4. Posiadłości mniejsze od 30 morgów magdeb.—już nie są dostateczne dla utrzymania rodziny włościanina. Taki właściciel musi szukać zarobków postronnych; nie jest w stanie utrzymać własnego inwentarza. Im mniejsze jest uposażenie, tém bardziéj traci kmieć swą samodzielność gospodarczą i charakter wyłącznie rolniczy swego zatrudnienia; po przejściu pewnéj granicy, już rola staje się tylko dodatkiem, uzupełniającym zarobki uboczne, pochodzące z najmu na gospodarstwach większych, lub w zakładach przemysłowych. Cała klasa właścicieli posiadających mniéj niż 5 morgów (1,26 hektarów) należy do téj ostatniéj kategoryi.

Stosunki liczbowe powyższych klas ludności rolnéj w księstwie poznańskiem przedstawia nam tablica następująca:

Własność:	Ilość posiadłości w stosunku do ich liczby ogólnéj.	Ilość ogólna hektarów w stosun. do całéj przestrzeni.	Przeciętna wielkość posiadłości w hektarach.
mniejsza od 5 morgów . . .	23,16%	0,58%	0,61
„ od 5 do 30 morg. .	30,85	5,16	4,08
„ od 30 —300 „ . .	42,48	32,54	18,76
„ od 300 —600 „ . .	1,01	4,39	105,81
większa od 600	2,05	57,33	563,60

Przytaczamy dla porównania cyfry, dotyczące tych samych stosunków:

W państwie pruskiem:

niżéj od 5 morgów	51,33%	2,38%
„ od 5 — 30 morg. . .	28,83	8,99
„ od 30 —300 „ . . .	18,29	38,32
„ od 300 —600 „ . . .	0,70	6,45
wyżéj od 600	0,85	43,86

Wreszcie w prowincyach zachodnich rozmaite kategorye własności rolnéj w stosunku do przestrzeni ogólnéj stanowią:

własność niżéj od 5 morgów . . .	64,3	7,5%
„ „ od 5 — 30 mor. . .	26,3	21,9
„ „ od 36 —300 „ . . .	8,9	42,2
„ „ od 300—600 „ . . .	0,3	7,4
wyżéj od 606 morgów	0,2	21,0
		100,0%

W porównaniu z innymi krajami polskiemi stosunki są następujące:

	wielka własność	mała własność na 1000
w królestwie polskiem . . .	386	485
w Galicyi	413	548
w Poznańskiém	435	467 (1)

Z cyfr powyższych można powziąć dokładne pojęcie o stosunkach rolnych w Poznańskiém. Okazuje się z nich mianowicie, że:

1) *Czwarta część* (23,16%) właścicieli wprost zaliczoną być może do stanu proletaryatu: cała ilość ziemi pozostającéj w ich ręku stanowi *jedną dwóchsetną* przestrzeni ogólnéj, a przeciętna wielkość posiadłości wynosi 0,6 hektara;—w tym stanie rzeczy rola jest już tylko podrzędnym dodatkiem w gospodarstwie zarobkowém właściciela.

2) Daléj, *trzecia część* liczby ogólnéj właścicieli (30,85%) uposażoną jest niedostatecznie; przeciętna posiadłość téj kategoryi wynosi 4,01 hektara (16,04 m. m.), co nie wystarcza na potrzeby rodziny włościańskiéj i nie zatrudnia całkowicie jéj sił roboczych. I ta klasa właścicieli rolnych musi także uciekać się do ubocznych źródeł zarobkowania dla utrzymania swego bytu. Wśród ludu w Poznańskiém najbardziéj rozpowszechnioną formą tego zarobkowania jest najem furmanek: zwożą chłopi drzewo z lasów rządowych, materyały budowlane, węgiel, torf do miast i fabryk. Daléj dopomagają sobie przemysłem domowym, który jednak w Księstwie mało jest rowiniętym (jedyny, powszechniéj znany, jest przemysł drzewny: wyrób gontów, desek, klepek do beczek; inne rodzaje przemysłu służą głównie na zaspokojenie potrzeb domowych, jak np. tkactwo i płóciennictwo).

Obie kategorye powyższe wynoszą razem więcéj niż połowę ogólnéj ilości właścicieli (54%), a w ich posiadaniu pozostaje dwudziesta część ziemi (5,74%). Są to tak zwane *gospodarstwa niesprzężajne*, których ilość absolutna w Księstwie wynosiła w r. 1880—44.470, a obszar ich własności 138.150 hektarów (522.642 m.).

3) Następującą kategoryą stanowią gospodarstwa włościańskie *sprzężajne*, tj.—jak widzieliśmy—te, które dla uprawy wymagają utrzymania pary wołów, lub koni, wystarczają na utrzymanie rodziny i zatrudniają całkowicie jéj siły robocze. Jako minimum dla typu

(1) R. Buczyński. Nasza własność ziemska. Bibl. W. 82, IX.

tego przyjęto uważać w Prusach—30 morgów magd. czyli 7,5 hektarów. Ilość gospodarstw tych wynosi 42,48% sumy ogólnéj, a obszar całkowity—32,54% przestrzeni Księstwa. W liczbach absolutnych było gospodarstw sprzężajnych w Poznańskiém w roku 1880—39.389, a obszar ich ziemi wynosił—3.292.992 morgi. Przeciętna wielkość posiadłości—80 morgów.

4) Kategorya następująca,—od 300 do 600 mórg,—jest nieliczną i mało znaczącą, tak co do ilości posiadłości jak i pod względem obszaru (1,01 i 4,39%).

5) Wreszcie prawie trzy piąte (57,3%) przestrzeni ogólnéj znajduje się w ręku właścicieli dóbr szlacheckich, którzy stanowią pięćdziesiątą część (2,05%) ogólnéj liczby właścicieli. Liczba majątków wielkich w r. 1875 wynosiła 1823, a przeciętna wielkość posiadłości 570 hektarów; (przeciętna ta w państwie wynosi 316 h.).

Stosunek własności włościańskiéj w Księstwie do wielkości dóbr szlacheckich ma się jak 1:57.

6) Odnośnie do własności wielkiéj posiadamy oprócz tego cyfry, wykazujące jéj podział pomiędzy Polaków i Niemców. Tak, w roku 1878 należało:

do Niemców . . . . . 3.398.581 morgów
do Polaków . . . . 2.758.278 „

Ponieważ zaś w roku 1848 posiadali:

Polacy . . . . 3.792.764 morów
Niemcy . . . . 2.422.008 „

a więc w ciągu lat 30-tu własność niemiecka wzrosła o 37,5%, a polska zmniejszyła się o 40%.

W roku 1848 własność polska przewyższała niemiecką o 57%, dziś ta ostatnia przeważa o 21%. Od roku 1878 do 1881 przeszło jeszcze do rąk niemieckich 127,031 morgów; czyli że w r. 1881 posiadają:

Niemcy . . . . 3.525.612 morgów
Polacy. . . . . 2.631.247 „

co do ilości zaś posiadłości, Niemcy już w dwójnasób przewyższają Polaków (1).

Dane powyższe doprowadzają więc nas do następujących wniosków:

a) ogólne uposażenie gruntowe włościan w Księstwie jest nader szczupłém (2);

---

(1) L. Żychliński. Kroniki poznańskie w Bibl. Warsz. 1880—1884 r.

(2) Dla przykładu przytaczamy jeszcze z wyżéj wzmiankowanego dzieła Nathusius'a dane o podziale własności rolnéj w niektórych okolicach Księstwa. W powiecie Obornickim wśród posiadłości włościańskich jest mniejszych od 30 mor. . 1763
od 30—300 „ . 1274
„ 300—600 „ . 52.

b) w porównaniu z innemi prowincyami istnieje tam przewaga na korzyść własności wielkiéj (w prow. zach. ta ostatnia stanowi 21%, w Poznańskiém 57%);

c) byt większości włościan-właścicieli nie jest dostatecznie zabezpieczony posiadaną przez nich ziemią;

d) własność ziemska (przynajmniéj wielka) przechodzi stale z rąk polskich do niemieckich.

Przejdziemy teraz do drugiego pytania *o stosunku liczebnym ludności posiadającéj ziemię do ogółu rolników.*

Dla rostrzygnięcia téj kwestyi nie znajdujemy danych w statystyce urzędowéj pruskiéj. W przybliżeniu jednak dać nam może odpowiedź następujące obliczenie.

W roku 1880 z ogólnéj cyfry ludności Księstwa—1.669.029, ludność wiejska stanowiła—1.225.406.

W tym samym czasie było w Poznańskiem:

posiadłości włościańskich sprzężajnych. . . .	39.389
„ niesprzężajnych.	44.470
„ szlacheckich	ok. 2.000
Razem:	85.859,

która to cyfra wyraża w przybliżeniu liczbę rodzin posiadających ziemię. Przyjmując zaś przeciętnie po 4,5 osób na rodzinę, ogół ludności uposażonéj rolą wyniesie

	386.365
pozostanie więc na ludność bezrolną:	839.041
	1.225.406.

W odsetkach: ludność posiadająca 31,5%
bezrolna:. . . . . 68,5%.

W powlecie Czarnkowskim obok 13 wielkich posiadłości, prawdziwych latifundiów, istnieją same tylko drobne osady włościańskie.

We wschodniéj części ptu Międzychodzkiego własność wielka obejmuje $^2/_3$ przestrzeni ogólnéj, mała zaś $^1/_3$.

W powiecie Inowrocławskim na ogólną przestrzeń 647.137 m. do włościan należy 190.355 (29%) w 3.637 posiadłościach, przeciętnie więc po 52 morgi.

W części powiatu Pleszewskiego znajduje się:

posiadłości obejmujących	od 1 do 20 mórg	217
	od 20 — 30 „	144
	od 30 — 40 „	59
	od 40 — 60 „	52
	wyżéj 60	27.

W ogóle w Księstwie wypada na milę kwadratową 82 posiadłości włościańskich, podczas gdy w państwie pruskiém liczą ich 75,23. Lecz za to ziemi włościańskiéj jest o 7% mniéj. Zkąd—dodaje Nathusius—wynika mało pocieszający wniosek, że Poznańskie „ma wielu drobnych, biednych gospodarzy“ (l. c. str. 7).

W stosunku zaś do całéj ludności Księstwa, ludność posiadająca rolę wyniesie—23,1%.

Obliczenie powyższe zgadza się z niektóremi cyframi, jakie odnośnie do téj kwestyi znajdujemy w statystyce urzędowéj. Tak według danych téjże, liczono w Prusach w 1859 roku:

właścicieli ziemskich	1.124.346		czyli 32,8%
czeladzi	1.053.967	2.301.798	— 67,2%
najemników dziennych	1.140.640		
dzierżawców	60.795		
oficyalistów	32.651		
gospodyń	13.745		

Według innych danych wypada w Prusach 1 właściciel ziemi na 12 mieszkańców i na 28 hektarów (we Francyi 1 na 5 i 7 h.) (1). W Poznańskiém z obliczenia powyższego wypada 1 właściciel na 19 mieszkańców. Stosunek ten jest prawdopodobnie bliskim rzeczywistości, ponieważ na cyfrę przeciętną dla państwa wpływają korzystnie prowincye zachodnie, w których zarówno ilość jak i stosunek właścicieli ziemskich do ogółu ludności są znacznie pomyślniejsze. W porównaniu z niemi księstwo poznańskie zajmuje pod tym względem pozycyę przeciwległą.

Do wyżéj wyłuszczonych wniosków o położeniu ludności rolnéj Księstwa przybywa nam tu nowy, jeszcze mniéj pocieszający od przytoczonych, ten mianowicie;

e) iż w Księstwie dwie trzecie ludności rolnéj żyją z najmu i zarobków na gospodarstwach cudzych, jako komornicy, zagrodnicy, parobcy, lub wreszcie najemnicy dzienni.

Przyczynę stanu tego poznamy niżéj przy rozpatrzeniu historyi reformy stosunków włościańskich w Księstwie. Ludność bezrolna w reformie téj została całkiem pominiętą i regulacya stosunków odbyła się wyłącznie pomiędzy właścicielami i włościanami, posiadającymi ziemię już przedtém. Co gorsza, reforma przyczyniła się nawet w znacznym stopniu do powiększenia ilości bezrolnych, bo właścicielom dozwoloném było pod najrozmaitszymi pozorami zmniejszać grunta włościańskie. Lecz o tém niżéj (2).

---

(1) W obszarach dworskich i gminach liczono w Prusach w r. 1864 1.525.901 właciciéli czyli około 8 milionów głów; stanowi to 32% ludności ogólnéj.

(2) Oto co pisał w téj kwestyi Tomasz Potocki przed 20-stu laty: „Mieszkańców w Księstwie jest 1.364.000. Od roku 1823 do 1840 przez lat 17 regulacya może być uważana za dopełnioną. Liczba gospodarzy uregulowanych od r. 1840 wynosi 23.750. Tyle więc jest familii, co własność dostały. Licząc po 4,5 głowy na rodzinę, wypadnie 106.875 głów, które zyskały na regulacyi. Lecz to tylko dwunasta część ludności. Odtrącają c

Jeżeli teraz od rozpatrzenia stosunków rolnych istniejących obecnie w Księstwie przejdziemy do historyi ich rozwoju w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, przekonamy się, że czynniki ujemne występowały z coraz większą siłą i że stan ogólny ludu pogarszał się coraz bardziéj,—zwłaszcza zaś od roku 1850, tj. od czasu ostatecznego utrwalenia nowych stosunków agrarnych, stworzonych przez reformę włościańską. Fakt ten powtarza się wszędzie we wszystkich objawach, które mogły uledz zmianie. Tak naprzykład:

1) Ilość gospodarstw sprzężajnych zmniejsza się stale od lat kilkudziesięciu, tak pod względem liczby, jak co do obszaru gruntów niemi objętych.

W roku 1823 liczono w Poznańskiem:

gospodarstw sprzężajnych	. .	48.068	obszaru	3.441.810	morgów
W r. 1859	„ . . .	47.869	„	3.391.379	„
„ 1880	„ . . .	39.389	„	3.292.992.	„

Zmniejszenie więc w czasie od 1823 do 1880 stanowi 8.679 czyli 18% liczby ogólnéj, i co do powierzchni—148.918 mor. czyli 4,3%. Oprócz tego, widzimy z cyfr powyższych, iż zmniejszenie to poczęło się objawiać szczególnie od roku 1859. W latach 1823—59 ubyło gospodarstw 199 (właściwie w tym czasie ubyło gospodarstw 426, lecz natomiast przybywały nowe); zaś w latach 1859—1880 zmniejszenie wyniosło—8.480.

Zwłaszcza w okolicach czysto polskich występuje silnie ten ubytek gospodarstw zamożnych kmieci. W powiatach przeważnie niemieckich (Międzyrzeckim i Bydgoskim) ilość ich wzrosła nawet w ostatnich czasach. Lecz nap. w powiecie Pleszewskim liczba gospodarstw sprzężajnych spadła z 2.395 na 1.296, w Ostrzeszowskim z 2.316 na 1.191, we Wrzesińskim z 1.158 na 850 (1).

2) Jednocześnie i równolegle z ubytkiem gospodarstw sprzężajnych, wzrasta ilość niesprzężajnych i rośnie liczba proletaryatu bezrolnego.

Gospodarstw niesprzężajnych liczono w Księstwie:

w r. 1856—33.900, a obszar ich własności . . .	298.141	morgów
w r.. 1880—44.470	522.642	„

---

mieszkańców miast, szlachtę, żydów, fabrykantów, rękodzielników, pokaże się jeszcze, iż więcéj niż połowa, a nawet więcéj niż $^2/_3$ ludności są przymuszone żyć jedynie niepewnym zarobkiem, a zatém wystawione są na wszelkie przygody głodu i nędzy. (Adam Krzyżtopór. O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce. Poznań, 1859. Str. 190—225. O stosunkach rolniczych w Prusach).

(1) Nathusius. l. c. str. 4.

Przybyło więc gospodarstw 10,570 i ziemi w nich 224.201 morgów (1).

3) Zwiększenia obszaru własności wielkiéj w tym czasie oznaczyć nie możemy z powodu sprzeczności danych odnośnych. Wprawdzie w niektórych okolicach odbywa się skupowanie osad włościańskich przez sąsiednie dobra. Lecz proces ten—przed 20-stu, 30-stu laty znaczniejszy—dziś wyjątkowo tylko się zdarza. Tak w powiecie Inowrocławskim przestały istniéć cztery wioski wskutek sprzedaży gruntów sąsiednim dworom. Podobne wypadki zdarzały się również w powiatach Środzkim, Pleszewskim, Poznańskim, Obornickim. Dziś jednak częściéj kupują od włościan naszych Niemcy koloniści, niż sąsiedni obywatele—bo ceny dawane przez pierwszych są zwykle znacznie wyższe. We wzmiankowanéj już kilkakrotnie pracy Nathusiusa znajdujemy wiadomość, że obywatele ziemscy skupili od włościan do roku 1880—2832 osady włościańskie, powierzchni ogólnéj 178.233 mórg. Trudno jednak orzec z pewnością czy ogólny obszar własności wielkiéj w Księstwie dąży do powiększania się kosztem własności włościańskiéj. Przeciwnie, wszystko przypuszczać każe, iż proces ten, odbywający się na szeroką skalę przed i w chwili regulacyi, obecnie znacznie osłabł.

4) Natomiast nie ulega wątpliwości, iż ilość ludności bezrolnéj w tym czasie wzrosła. Według Meitzen'a liczono w roku 1858 żyjących z najmu robotników rolnych w Księstwie—766.142; w trzy lata późniéj (1861) cyfra ta podniesioną już była w wykazach statystycznych do 1.075.469.

---

(1) Porównywając tę ostatnią cyfrę z ubytkiem roli w gospodarstwach sprzężajnych (w latach 1859—1880 wynosił on 98.387 mórg), wypadłoby, iż ogólna własność włościańska w tym czasie jednak wzrosła. Jak już zauważyliśmy wyżéj, panuje w tym względzie dziwna niezgodność danych u rozmaitych autorów, z którą trudno dać sobie radę. Tak według danych, jakie przytacza prof. Simonenko, większa własność w tym samym czasie w Poznańskiém wzrosła. W inném miejscu spotykamy wysoką cyfrę wzrostu własności wielkiéj (w latach 1855—77 miał on wynosić 658.303 morg. magd. czyli w stosunku 12%). Sprzeczności te jednak pogodzić trudno. Przyczyną ich są zapewne jakieś omyłki w obliczeniach, których sprawdzić nie możemy, nie mając wszystkich źródeł pod ręką.

Najbardziéj wiarogodne dane co do stanu własności ziemskiéj w Poznańskiém w roku 1859 znajdujemy u Meitzen'a (Der Boden itd.). Oto główne z nich:

	Ilość posiadłości.	Ogólna wielkość posiadłości w hektar.	Ogólna wielkość posiadłości w %.	Przeciętna wielkość posiadłości w hekt.
dóbr rycerskich	1.501	1.287.149	48,2%	857,9 hek.
gospodarstw sprzężajnych . . .	48.008	861.587	32,3%	17,9
„ niesprzężajnych . .	34.084	76.543	2,9%	2,2

Wreszcie o wzroście proletaryatu świadczą dane innéj kategoryi. Tak nap. szczególnie ujemném zjawiskiem w życiu ekonomiczném Księstwa jest stosunkowo znaczna ilość mieszkańców jego przebywających w innych prowincyach państwa na zarobkach przemysłowych, lub w gospodarstwach folwarcznych. Z liczby urodzonych w Księstwie ludzi : 1.761.034, po za obrębem jego znajdowało się 1 grudnia 1880 roku 57.637 czyli 3,3%.

Jednocześnie wzrasta w Księstwie ilość osób uwolnionych z powodu ubóstwa od opłaty podatku klasowego; w roku 1830 liczono w Poznańskiém osób téj kategoryi—16.500.

w r. 1840	11.000
w r. 1860	23 500
w r. 1867	29.000 (Meitzen)

O upadku dobrobytu materyalnego mas ludności świadczy również wymownie statystyka kryminalna. Okazuje się z niéj mianowicie, iż w Księstwie liczba przestępstw rośnie, bo gdy w roku 1860 wypadało jedno przestępstwo na 2800 mieszkańców, w 1870 stosunek zmienił się na 1 : 2450 (1).

Wreszcie, nie rozpatrując w tém miejscu szczegółowo emigracyi do Ameryki wśród ludu naszego w Poznańskiém, powiemy tylko, iż nieznana przed rokiem 1850, od téj chwili rozwinęła się na wielką skalę. W latach 1861—71 wychodziło rocznie z Księstwa 1.200 osób, a w samym roku 1881 było już z Poznańskiego 16.978 wychodźców. Przytém w ogólnéj ilości emigrantów z Prus (106.090) Poznańskie dostarcza kontyngens największy (2).

5) Obok tych wszystkich faktów tak ujemnie świadczących o stanie ekonomicznym naszego ludu w Poznańskiém, tylko wyjątkowo zdarzają się wypadki dowodzące wzrostu zamożności w tym lub innym zakątku. Własność rolna w Księstwie znajduje się, jak wiemy, w swobodnym obiegu; łatwość jéj przechodzenia z rąk do rąk jest wielką,—mimo to jednak rzadko kiedy w tém ciągłém przekształcaniu się gospodarstw rolnych wyłaniają się nowe samodzielne gospodarstwa sprzężajne włościańskie. W Krotoszyńskiém np. z pięciu posiadłości obejmujących razem 40 hektarów i rosprzedanych w 24 kawałkach, w jednym tylko wypadku powstało gospodarstwo sprzężajne.

---

(1) Z „Jahrbuch für die amtliche Statistik des Preus. Staates." 1876.

(2) Patrz artykuł nasz p. t. „Kółka włościańskie i szkic stosunków ekonomicznych w krajach polskich pod panowaniem pruskim" (Wędrowiec. 1885, NN. 15—19), gdzie kwestyi emigracyi polskiego ludu do Ameryki dotknęliśmy bliżéj.

Parcelacye wielkich posiadłości są w Księstwie rzadkie i nieznaczne. A jeszcze rzadziéj korzysta z nich włościanin polski. Tak np. rozparcelowane majątki w Inowrocławskiém, Czarnkowskiém, Obornickiém rozkupili wyłącznie koloniści niemieccy. Wzgląd na wysokie ceny przeważa tu najpatryotyczniejsze uczucia dawnych właścicieli.

Również wyjątkowo spotkać się daje w Księstwie wydzierżawianie przez włościan gruntów dworskich. Forma ta posiadania ludowego, która zdarzaćby się powinna częściéj, gdyby istotnie zamożność włościan rosła,—bardzo nieznaczne znajduje zastosowanie (w pow. Obornickim dzierżawią włościanie 950 hektarów, płacąc po 30 marek za hektar czynszu rocznego). Częściéj spotykają się dzierżawy łąk, których włościanie pozbawieni zostali prawie zupełnie skutkiem dobrowolnéj zamiany serwitutów dworskich; to też ceny dzierżawne dochodzą tu do znacznych rozmiarów. W powiecie Krobskim w niektórych dobrach (Czarneckich, Sułkowskiego, Szołdrskiego) od lat dwudziestu wprowadzono system wydzierżawiania służbie małych parcel gruntów dworskich po 4, 5, 6 morgów. System ten obu stronom podobno na dobre wychodzi: właściciele mają po 3—6 talarów z morgi, a dzierżawcom także nieźle dziać się musi, skoro w ciągu lat kilkunastu zaszedł tylko jeden wypadek eksmisyi wskutek niezapłacenia czynszu. (Wszystkich parcel podobnych jest 289, a przestrzeń niemi objęta wynosi 2779 morgów).

Ważném i charakterystyczném jest, iż w tym szczęśliwym zakątku Krobskiego powiatu emigracyi niema — co jest rzadkim wyjątkiem w Poznańskiém! (1).

W końcu dość częstém zjawiskiem w Księstwie jest dzierżawienie osady przez poprzedniego jéj właściciela, który zmuszony do oddania swéj posiadłości za długi, pozostał nadal jéj dzierżawcą, przyczém wierzycielem jest zawsze żyd, nie chcący osobiście prowadzić gospodarki (w pow. Ostrzeszowskim i in.). Ta jednak „forma“ dzierżawy oczywiście nie jest oznaką wzrostu zamożności i dorabiania się włościan!

Dla zupełnéj charakterystyki położenia ekonomicznego włościan poznańskich, przytoczymy jeszcze niektóre dane dotyczące zadłużenia drobnéj własności ziemskiéj w Księstwie. Jest to bez wątpienia najbliższa przyczyna upadku gospodarstw kmiecych.

Zadłużenia tego nie było wcale przed pięćdziesięciu laty. Rozpoczęło się ono dopiero z chwilą wykupu powinności pańszczyzna-

---

(1) A. W. Emigracya polskiego ludu wiejskiego do Ameryki. Przegl. Tyg. 1880. X, str. 788.

nych, który całkowicie na barkach włościaństwa spoczął, bez żadnéj pomocy ze strony państwa.

Dziś stało się ono zjawiskiem powszechném.

Tylko wyjątkowe okolice Księstwa wolne są od długów i to przeważnie w powiatach niemieckich. Tak np. w Międzyrzeckim i Międzychodzkim część osad nie ma długów wcale; w innych zaś długi nie przenoszą $1/3$ części wartości; zadłużenie w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu albo nie wzrosło wcale, albo też w stosunku nie większym, niż się podniosła cena ziemi w tym samym czasie. Lecz to wyjątek tylko.—Wszędzie w innych powiatach Księstwa, zwłaszcza zaś w czysto-polskich, w których żydzi znajdują najwdzięczniejsze pole dla swych operacyi, zadłużenie jest znaczném i rośnie coraz bardziéj.

W powiatach Ostrzeszowskim, Pleszewskim — dosięga trzeciéj części wartości; w Wyrzyskim stanowi połowę; w Inowrocławskim, Czarnkowskim dochodzi często do wartości całéj. W powiecie Śremskim dług wynosi przeciętnie 108 marek na hektar.

By dać miarę postępu zadłużania przytoczymy z dzieła Nathusius'a szczegóły, dotyczące powiatu Obornickiego.

W r. 1875 w powiecie liczono gospodarstw sprzężajnych zadłużonych 568, a przestrzeń ich wynosiła 13773 hektarów. Dług całkowity stanowił 1.778.080 marek, czyli w przecięciu 130 marek na hektar.—W r. 1880 było już zadłużonych gospodarstw sprzężajnych 610, obszar dorósł do 15692 hektarów, a dług do 2.240.753, czyli w przecięciu 143 marki na hektar. W ciągu lat sześciu więc dług urósł o 21%.—Jeżeli zaś wziąć także pod uwagę posiadłości 300—600 morgowe, wzrost wyniesie 37%, a przeciętne zadłużenie 175 marek na hektar.—W stosunku do ilości ogólnéj, posiadłości zadłużone stanowią 60% (655 na 449 niezadłużonych), a obszar — 68% (20376 hekt. na 10575). Jeżeli wartość morga w Obornickiém przyjąć za 125 marek 500 marek hektar), okaże się, iż dług stanowi 27% całéj wartości ziemi włościańskiéj powiatu (14.475.500 marek) i 41,5% wartości ziemi zadłużonéj (10.188.000 marek) czyli 208 marek na hektarze.

Bezpośrednią przyczyną zadłużania się włościan jest brak dogodnych dla własności drobnéj instytucyi kredytowych. Do niedawna jedyném źródłem, z którego chłop mógł pożyczkę zaciągnąć, byli żydzi lichwiarze z sąsiednich miasteczek. Dopiero z założeniem Towarzystwa Kredytowego w Poznaniu w r. 1857 (Neuer landschaftlicher Kreditverein für die Provinz Posen) otworzyła się dla włościan możność zaciągania pożyczek na dogodniejszych nieco warunkach. Wszakże dobroczynne skutki kredytu uczciwego nie odrazu uczuć się dały, a chwila już była zanadto spóźnioną, by większość uratowaną być mogła. Pomimo to niektórzy pisarze—nie bez podstawy—

pokładają wielkie nadzieje w tém Towarzystwie, które zdaje się istotnie interesa ludu wiejskiego mieć na pieczy. Widać to naprzykład z dążności do ciągłego obniżania minimum wartości osady, na którą Towarzystwo wydaje pożyczki.

Dajemy tu krótki obraz działalności tego Towarzystwa. Gdy dodatkiem do statutu, zatwierdzonym w kwietniu 1879 roku, otworzono kredyt dla własności drobnéj aż do 6000 marek minimalnéj wartości, zgłosiło się zaraz 206 włościan po większéj części z powiatów Wągrowieckiego, Szamotulskiego i Środzkiego. Z tych otrzymało pożyczkę 28-miu na obszar 763 hektarów i w ilości 149.000 marek. W r. 1880 oszacowano 454 gospodarstw, z których udzielono pożyczkę 123 na obszar 3137 hektarów w ilości 567.500 marek. W roku 1881 oszacowano 395 gospodarstw, przystąpiło do Tow. 322 o rozległości 7472 hektarów, na które wydano 1495700 marek. Wogóle od r. 1879 do 1883 Tow. otrzymało podań o pożyczkę 1412, z których uwzględniono 904 i wydano 4.222.600 marek na 21.233 hektary (około 200 marek na hektar). Ogólna emisya listów zastawnych wynosiła z końcem 1881 r. 255.357.000 marek, a w samym r. 1881 — 13½ milionów. Interesa Towarzystwa stoją dobrze, bo chłopi spłacają pożyczki regularnie, nawet znacznie lepiéj niż wielcy właściciele. Na zebraniach polskich kółek włościańskich słyszéć się dawały głosy pochlebne dla Landszafty: niejeden włościanin mógł na sobie wykazać dobre skutki zaciągania pożyczek w Tow., które dało mu możność wydostania się z rąk lichwiarzy, spłacenia rodzeństwa i wogóle poprawienia gospodarstwa. Żałować wypada tylko, iż Towarzystwo podobne nie funkcyonowało wtedy, gdy jeszcze większość gospodarstw włościańskich nie była jak dzisiaj pastwą lichwy i wyzysku.

Z innych instytucyi kredytowych, do których mają dostęp włościanie, wymienić potrzeba jeszcze pruski bank akcyjny dla kredytu rolnego w Berlinie; daléj bank włościański założony przed 10-ciu laty głównie staraniem Jana Działyńskiego (1), bank ludowy w Obornikach i in. Jednak po większéj części zbyt wysoka norma procentu (7% i więcéj), znaczne kary w razie niepunktualnego uiszczania wypłat, niedogodne warunki amortyzacyi—wszystko to utrudnia korzystanie z tych instytucyi. Warunki pożyczek lepsze są w poznańskiéj kasie pożyczkowéj prowincyonalnéj, która pobiera 5% rocznie; okoliczni włościanie chętnie też z niéj korzystają; w 1882 roku dług włościan wynosił już w kasie 2½ mil. marek na 1308 posiadłościach.

Niemniéj jednak do dziś dnia w wielu okolicach Księstwa głównym dostarczycielem kredytu dla włościan pozostają nadal miej-

---

(1) Bank ten w r. 1881 miał na 78 gospodarstwach włościańskich 232,000 marek.

scowi żydzi. Jak strasznym jest wyzysk w tym razie przekonywamy się z przykładów podanych u Nathusius'a, z których parę tu przytoczymy.

„Im mniéj zamożną i mniéj niemiecką jest okolica — pisze Nathusius—tém większy jest wyzysk ludności przez żydów. Oto parę faktów z powiatu Ostrzeszowskiego. Lichwiarz dopomaga najpierw gorliwie do zadłużenia osady, poczém już szybko prowadzi właściciela do ruiny. Gospodarz Z. w U. posiadał przed 5 laty wolną od długów posiadłość, o 15 morgach dobrego gruntu. Jednocześnie żyd M. z sąsiedniego miasteczka, drogą lichwiarskich operacyj doszedł do posiadania innéj osady w téj saméj wiosce, i postarał się wszelkimi możliwemi sposobami namówić Z. do jéj nabycia. Nie wziął żadnéj zapłaty w gotówce, lecz całą wartość wpisał jako dług na obu osadach. Dług ten miał być spłacany ratami rocznemi po 300 marek. Gdy jednak gospodarz zaległ w wypłacie raty, obie osady sprzedane zostały przez licytacyą i Z. wyszedł z wioski o kiju żebraczym.— Drugi wypadek: gospodarz N. w W. odziedziczył przed 23 laty posiadłość o 8 hektarach, na któréj ciążył dług 300 marek. W potrzebie wziął on od żyda pożyczkę 75 marek na kupno konia. Dług ten wkrótce z procentów urósł do 450 marek; przejął go inny żyd i doliczywszy jeszcze N. 36 marek, kazał napisać sobie nowy weksel. Obie pożyczki, wynoszące faktycznie 111 marek, wzrosły wkrótce na 2100, wskutek czego gospodarz sprzedać musiał naprzód połowę osady, a we dwa lata późniéj i resztę gruntu."

„To rycerstwo wekslowe"—jak się wyraża Nathusius—doprowadziło już do zupełnéj ruiny wiele gospodarstw włościańskich. Rzecz przedstawia się tém gorzéj, iż—zgodnie z polską tradycyą—żyd jest koniecznym pośrednikiem przy wszelkiéj umowie, tranzakcyi, kupnie, lub sprzedaży. Szkodliwy przykład w tym względzie podają właściciele wielkich posiadłości. „Znany mi jest wypadek—dodaje Nathusius—w którym właściciel pewien odkupił od żyda na potrzeby gorzelni swojéj znaczną partyą jęczmienia, którą tegoż dnia jeszcze sprzedał był żydowi rządca tych samych dóbr; przyczém jednodzienny zysk handlarza był znacznym" (1). Niestety, stosunki, zadziwiające dla Niemców, nam są zanadto dobrze znane, i zbytecznem byłoby w tém miejscu szerzéj się nad niémi rozwodzić.

Na tém kończymy nasz szkic położenia ekonomicznego wiejskiego ludu w Poznańskiém. Wszystkie cyfry wyżéj przytoczone są dość wymowne, by potrzeba było je opatrywać szczegółowymi

---

(1) Nathusius, l. c. str. 18 i następne.

komentarzami. Ogólny ich wynik niestety okazuje się wysoce ujemnym we wszelkich kierunkach.

Zwracając się teraz do zbadania przyczyn upadku ekonomicznego ludu w Księstwie, na pierwszém miejscu w ich szeregu postawić należy sposób przeprowadzenia reformy włościańskiéj w Prusach. Od téj chwili—jak widzieliśmy—datuje się zmniejszanie gruntów włościańskich w gospodarstwach sprzężajnych, wzrost proletaryatu rolnego, zadłużenie własności kmiecéj.

Rzecz dziwna doprawdy, iż autorowie niemieccy przemilczają zwykle o téj— w oczach naszych najważniejszéj — przyczynie obecnego stanu rzeczy. Mówiąc o stosunkach włościańskich w krajach polskich, nie są oni skłonni do przypisywania działalności Prusaków tych objawów ujemnych, jakie już powstały i rozwinęły się pod ich zwierzchnictwem. Przeciwnie, o ile z jednéj strony lubią malować w dosadnych barwach nadużycia szlachty polskiéj, ucisk i pognębienie ludu w dawnéj rzeczypospolitéj, o tyle znów z drugiéj wystawiają chętnie rząd pruski w roli protektora i przyjaciela klas upośledzonych. Przyczynę upadku włościan w prowincyach polskich zwalają zwykle na okoliczności miejscowe, na wady narodowe, upatrują w tém wreszcie nowy dowód na korzyść ulubionego twierdzenia swojego o „polnische Wirthschaft.“ Przyczyny ogólniejszéj natury, które w gospodarstwie społeczném daleko więcéj wpływu wywierają, niż wszystkie razem wzięte wady i niedoskonałości charakteru słowiańskiego, — niechętnie są rozpatrywane przez pisarzy niemieckich, gdy mowa o krajach polskich. Dość jednak przejrzéć choć w głównych zarysach historyą prawodawstwa agrarnego w Prusach w bieżącym stuleciu, by się przekonać, iż stan obecny ludu jest przedewszystkiém wytworem ustaw i przepisów państwowych, jakie miały miejsce w tym czasie w królestwie pruskiém.

(*D. c. n.*) *Ad. Zakrzewski.*

SPRAWA LUBOMIRSKIEGO

w roku 1664.

III.

Jerzy Lubomirski w opozycyi przeciw dworowi.

Układy dworu z Lubomirskim, nawiązane z początkiem r. 1664 nie osiągnęły, jak wiemy, żadnego rezultatu.

Nie można zaprzeczyć, że nie mało je utrudniały upór i niechęć królowéj; ale to pewna, że główny ciężar winy leżał po stronie marszałka. Bo kiedy już przystępował do układów, to winien był działać otwarcie i z wyraźnym programem: postępowanie jego tymczasem cechuje jakaś niepewność i dwuznaczność. Pokazało się téż wkrótce, ile było w tém wszystkiém nieszczerości i fałszu. Cóż bowiem myśléć o dobrych intencyach człowieka, który układając się z królową, równocześnie nieprzyjaciół dworu powiadamia o tych układach w formie ogólnéj—nie wspominając nic o swoim w nich udziale—jako o jakiejś niebezpiecznéj intrydze. Wyjawił to późniéj Bogusław Radziwiłł królowéj, że właśnie kiedy Wojeński bawił u niéj z misyą od marszałka, ten ostatni posyłał do niego z przestrogą, że królowa czyni wielkie zabiegi około sprawy elekcyi: niech się więc ma na ostrożności! (1).

Nie dziwota, że w obec tego ugoda nie mogła przyjść do skutku. Zerwanie układów przywracało dawny stosunek obu partyi: tylko, że zawód ostatni przyniósł większe rozjątrzenie i powiększył wzajemną nieufność. Nie chcecie pokoju—a więc wojna! powiedziano sobie nawzajem i wojna téż w istocie się gotowała.

---

(1) T. Luk. XL, Nr. 12, k. 11: Marya Lud. do Kondeusza, s. l., 28 Févr. [1664].

Marszałek nie miał wielu stronników między magnatami, a ci, których miał, chwiali się i opuszczali go zwolna. Trwale i uparcie stali jednak po jego stronie biskup krak. Trzebicki, wojewodowie Jan Leszczyński, poznański, podkanclerzy w. koronny i Jan Zamojski, sendomirski; z kasztelanów Andrzéj Maks. Fredro, lwowski, znany uczony doktryner-konserwatysta i Jan Wielopolski, wojnicki. Szczupły to był zastęp, ale téż Lubomirski na nim nie polegał. Oczy jego zwrócone były gdzie indziéj. Czarne karty dziejów własnego narodu wskazywały mu inne drogi, kręte co prawda—ale już ubite i wyrównane przez poprzedników, Zborowskich, Zebrzydowskich i Radziejowskich...

Odwieczna to sprawa w historyi, że antagonizm dwóch stanów, różnych położeniem socyalném i materyalném, stawał się prawie stale podstawą antagonizmu ich politycznego, źródłem anarchii i wielkich przewrotów wewnętrznych. A że na wszelkie stronnictwa składają się masy, a masy to materyał nader podatny w rękach ludzi zręcznych i sprawnych, więc też każde rozdwojenie w łonie tego lub owego społeczeństwa otwierało świetne pole do działania jednostkom, które nie wahały się dobra publicznego poświęcić dla indywidualnych popędów i namiętności: że zaś na takich nigdy nie zbywało, uczy historya każdego narodu, a niestety i nasza.

Od chwili, kiedy królowie weszli w przymierze z senatem i magnatami, szlachta uboższa stanowiła trwale opozycyą przeciw dworowi. W niéj znajdowali malkontenci zawsze gotowy materyał wybuchowy, z jéj pretensyami umieli zawsze złączyć swoje, niby wspólne i jednolite, a w istocie zwykle zupełnie odmienne.—Tak było i w tym wypadku.

Wziąwszy rozbrat z dworem, Lubomirski znalazł wyborny punkt oparcia w niższych klasach społeczeństwa szlacheckiego. Najwięcéj stronników dostarczyła mu Wielkopolska. Tam, w pośród zaściankowców, zakochanych w swojéj ziemi i we wszystkiém, co stare i przedawnione, i zamkniętych w ciasném kole dziwacznych pojęć i wyobrażeń, zawsze popularnymi były takie hasła, jak: „w imię złotéj wolności!“ lub „przeciw obcym natrętom!“ Tłumy te patrzały krzywo na wszystko, co nie polskie: cudzoziemiec był dla nich intruzem, a każda z zagranicy przywieziona nowość zamachem na złotą wolność..... Dlatego to sfrancuziały dwór królewski nie mógł się nigdy cieszyć względami ani poparciem w pośród ciemnéj szlachty, która bądź co bądź była jądrem i siłą całą narodu (1). Zrozumiał to

(1) Typem takiego szlachcica jest właśnie Pasek. Dość przerzucić kilka kart pamiętników jego z lat 1660—7, aby nabrać wyobrażenia o poziomie jego poglądów poli-

dobrze Lubomirski i dlatego od razu wdarł się na koturn obrońcy wolności; wystawiał się za męczennika sprawy iście narodowéj, za ofiarę pańskiéj zawiści z powodu szczerych sympatyi, jakie zawsze uczuwał dla kochanéj „braci-szlachty“, jakkolwiek senator i książę. Bo przecież dawna to prawda, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!“ Dwór temu przeczy, dwór godzi na nietykalne wolności i przywileje; ale on nie dopuści, aby źli tryumfowali!

Szlachta się radowała i patrzała w swego protektora, jak w słońce. A i Lubomirski znalazł się wśród tych tłumów, jak w swoim żywiole.

Charakter tego człowieka nie przestaje być dla nas zagadką, w części przynajmniéj. Jakie okoliczności złożyły się na wyrobienie dziwnéj téj w każdym razie natury, dzisiaj jeszcze odpowiedziéć nie jesteśmy wstanie. To pewna, że w chwili, gdy marszałek stanął przeciw dworowi, niższe popędy stanowczo wzięły w nim górę nad pierwiastkami zacnemi. Między namiętnościami jego zdaje się przodować ambicya: między dobremi przymiotami chyba wymowa i niepoślednie wykształcenie. „*Le renard*“, nazywa go zwykle Sobieski w swoich listach synonimowych—i nie było to bez myśli i skrytego przytyku. Leżało bowiem istotnie w charakterze marszałka coś z lisiéj natury. Skryty, podstępny i fałszywy w gruncie serca—a z pozoru uprzejmy, słodki i przyjacielski, gra on całe życie rolę dwuznaczną i zagadkową. Gniew, nienawiść, wściekłość nawet, które nim nieraz miotały, umie trawić i zamykać w sobie: ale te strawione uczucia wpijają się w umysł jego głęboko i niby gangrena szerzą się zwolna coraz daléj i zatruwają w nim wszystkie dobre pierwiastki. Nikt nie zbadał do głębi jego duszy: myliłby się, jeśliby ją próbował wyczytać z oblicza. Ten człowiek nosił całe życie maskę: wylana twarz i wielkie oczy były bez wyrazu. Zdawało się, że w nich mieszka spokój i pogodna cisza; sięgnij wewnątrz, a znajdziesz wszystko jadem napojone i zalane żółcią..... Był to jakby Wallenstein, lecz bez wyniosłości jego ducha i bez szlachetniejszych idei, jak Kromwell, lecz bez jego siły woli i tęgości charakteru. Fałsz i obłuda stała się drugą naturą marszałka. Wykręt i podstęp—to była jego broń zwyczajna. Nie występował nigdy otwarcie do walki. Unikał swoich nieprzyjaciół i stronił od miejsca, gdzie się obawiał ich spotkać. Nie spojrzał śmiało w oczy przeciwnikom: kopał pod nimi dołki, krążąc

tycznych. Mnóstwo tu wycieczek na dwór sfrancuziały, na najazd lalek wersalskich, na nowatorstwa w strojach, zwyczajach etc. etc. Dzieli téż same przekonania z Paskiem i ogółem szlachty Kochowski, jakkolwiek górujący wiedzą i zdolnościami stanowczo nad swém otoczeniem.

z daleka i z daleka zadając im ciosy (1). Dlatego to spotyka się on w obozie swoich przeciwników z zarzutami, jakie w oczach Polaka uważane były za najwyższą obrazę: posądzają go o bojaźń, o tchórzostwo! (2).

A z tém wszystkiém, i to jest charakterystyczne w całém jego postępowaniu, grał marszałek zawsze rolę człowieka sumiennego, uczciwego, prawom wiernego. Nie miał on nigdy—tak twierdzi stale—niczego innego na oku, prócz dobra ojczyzny. Nie własne korzyści, lecz całość rzeczypospolitéj i rozwój wolności były przedmiotem jego pieczy. Wszędzie stawał on tylko w obronie przywilejów i prerogatyw szlacheckich, występował przeciw nieprzyjaciołom ogółu, a nie osobistym..... Lecz któż uniknie zawiści ludzkiéj? Nie waha się ona porwać nawet na nieskazitelną sławę szczerze kochającego ojczyznę i braci obywatela!...

Takim był Lubomirski. Nie dziwota, że królowa, która poznała na wskróś jego naturę kosztem wielokrotnych, niemiłych doświadczeń z lat ostatnich, już w czasie układów podejrzywała marszałka o nieszczerość, o dwulicową politykę. Nieufność owa doszła do takiego stopnia, że, gdziekolwiek zaszedł wypadek, sprzeczny z jéj planami i przykry dla stronnictwa francuskiego, przypisywała autorstwo Lubomirskiemu i kładła wszystko na karb jego złéj woli. W ciągu nieporozumienia między dwiema armiami litewskiemi doszła ją była wiadomość, że wiele szlachty polskiéj podąża do Litwy, aby powiększyć zastęp malkontentów w prawém skrzydle. Na dworze domyślano się zaraz, że to sprawa marszałka (3). Począł Sapieha, chwi-

---

(1) W téj próbie charakterystyki Lubomirskiego—tak się on nam przedstawia w czasie od r. 1661—4. W r. 1665—6 wystąpił on—co prawda—do otwartéj walki, lecz wówczas był to stan wyjątkowy. Nie odwaga, nie męstwo, lecz raczéj ślepa żądza zemsty wiodła go do zuchwałych czynów.—Co go takim zrobiło, o tém nie tu miejsce mówić. Przeszłość jego do r. 1660 przemawia za tém, że gdy chciał, umiał być tęgim żołnierzem, walecznym wodzem. Czyżby namiętności i wpływ złego otoczenia zniżyły do tego stopnia—tę zrazu dzielną duszę?... To najbliższe podobieństwa.

(2) Tak np. de Lumbres, pisząc o nowych knowaniach marszałka i podsuwając mu bardzo rozległe i ryzykowne plany, tak się wreszcie wyraża: Il est vrai *qu'il a peu de coeur* pour éxécuter un tel dessein, mais il a assez d'ambition, de vanité et de malice pour le former." (T. Lnk. XII. k. 134. D. L. à Louis XIV,—Vars. 25 Sept. 1664).—Albo późniéj, kiedy na dworze roztrząsano kwestyę, czy téż pozwany Lubomirski stawi się na sejmie osobiście, De Lumbres znowu tak w téj sprawie pisze: „Tout le monde demeure d'accord, qu'il serait plus avantageux au grand-maréchal de comparaître à la diète pour diverses considérations; *mais ceux qui connaissent son naturel timide*, ne se peuvent persuader qu'il ose se hasarder de venir en un lieu d'ou il craint ne pouvoir se retirer." (D. L à M. de Lionne, Vars. 21 Nov. 1664. T. Luk. XII, k. 167).

(3) T. Luk. XII, k. 13: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 18 Janv. 1664.

lowo skłonny do zgody, bałamucić na nowo, królowéj zdaje się naturalnie, że Lubomirski w tém ręce umaczał.

Podejrzenia te nie były zresztą bez podstawy. Wkrótce się bowiem pokazało, jak to już w początku tego ustępu zaznaczono, że marszałek w czasie układów przestrzegał Radziwiłła o zabiegach królowéj w sprawie elekcyi, chociaż sam przez wysłańców brał w tych traktatach udział. Co więcéj, dowiadujemy się, że w chwili kiedy jeszcze u niego bawił Morsztyn w sprawie ugody, posyłał on Piestrzeckiego do podkanclerzego z wyrzutami, iż się podobno zamierza pogodzić z królową bez jego wiedzy. Oddał mu piękném za nadobne Leszczyński, bo wyprawił do marszałka Wojakowskiego, aby mu toż samo wytknął nawzajem (1). Wówczas już wreszcie donosił prymas Leszczyński królowéj, że Lubomirski potajemnie intryguje na jéj szkodę i nie szczędzi starań, aby pozyskać jak najwięcéj szlachty, zdaje się, celem wywołania nowych zamieszek i rokoszu w królestwie (2).

A jeśli dotąd były to tylko szczegóły wątpliwe i niepewne, to po zerwaniu układów rysuje się postępowanie marszałka o wiele wyraźniéj. Już w styczniu, jak wiemy, obawiała się królowa, że cała ta sprawa układów była tylko komedyą, podstępem, którego przeciwnik użyć nieochybnie zamierza na swoją korzyść. I nie omyliła się podobno, bo ledwie rozeszły się rokowania, a już obiega pogłoska między szlachtą, że królowa usiłowała skłonić marszałka, aby się przychylił do jéj planu elekcyi następcy tronu, co więcéj, by dał jéj inicyatywę, a nawet piśmiennie zobowiązał się go popierać (3). Nikt na dworze nie wątpił, że rzecz wyszła od marszałka; celem jego było widocznie podać w ten sposób królowę w nienawiść u ogółu, a siebie wystawić, jako obrońcę praw i wolności Korony, stojącego na zawadzie dworowi dla stałości i gorliwości, z jaką przestrzega dobra narodu (4). I wpływowi téj to wieści wypadnie przypisać okoliczność, że szlachta wielkopolska, która zdawała się w styczniu krzywo patrzéć na Lubomirskiego, teraz znowu staje stanowczo w opozycyi przeciw dworowi, a więc po stronie znamienitego malkontenta. Zarysował się ten zwrot wyraźnie w ostatnich dniach lutego, kiedy skarb rzpltéj zażądał od Wielkopolan wypłaty pewnéj sumy tytułem podatku uchwalonego na zaspokojenie wojska. Szlachta odmówiła, niewątpliwie za sprawą Lubomirskiego i podkanclerzego, którzy mie-

(1) T. Luk. XII, k. 25: Fantoni à M. De Noyers, Vars. 1 Févr. 1664.
(2) T. Luk. XII k. 22: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 25 Janv. 1664.
(3) T. Luk. XII. k. 39: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 7 Mars 1664.
(4) Ibid. u. s.

li w tém swoje wyrachowanie. Liczyli oni na to, że jeżeli wojsko nie zostanie opłacone, zawiąże się w nową konfederacyę i wywoła nowe zamieszanie w Koronie; a wszystko, co zakrawało na anarchią, było dla obu magnatów pożądane. Z tego zapatrywania wychodząc (1), niektórzy stronnicy dworu podejrzywali marszałka nawet o moralny współudział w rozruchach, jakie w marcu na nowo wybuchły, na nieuspokojonéj dotąd Ukrainie (2).

Nie trudno się domyśléć, że téż same wieści z Zadnieprza, które tak przygnębiły królowę, w kołach możnego malkontenta witano z radością. Dotychczasowe pozorne tryumfy króla spać nie dawały marszałkowi. Z królową, i dworem francuskim dzielił on z przyczyn wręcz przeciwnych obawę, niepokój i trwogę z powodu niepewnego przebiegu wyprawy. Królowa czekała zwycięstw, Lubomirski klęsk i niepowodzeń. Przez cały marzec komunikacya z Zadnieprzem była, jak wiemy, zerwana z powodu trudności i niebezpieczeństwa dróg w kraju, pełnym rokoszan i zbuntowanych chłopów.

Lubomirski korzystał z tego stanu naprężenia i rozstroju. Od czasu do czasu puszczał przez swych stronników w obieg fałszywe wieści o klęskach armii polskiej, o wielkich zwycięstwach sąsiada (3). Dawały się już pod ich wpływem głośno słyszéć utyskiwania na króla: że nie oszczędza krwi szlacheckiéj, że kwiat rycerstwa wystawia na zagubę, że szuka pomocy u Tatarów, aby koniec położyć złotéj wolności polskiéj i samowładztwem się rządzić w królestwie (4).

Z ust do ust podawane, rosły te pogłoski i, jak to bywa, przybierały nowe i dziwaczne formy. W Krakowie powiadano sobie nawet o śmierci króla i o bliskim powszechnym zjeździe szlachty, jakby już nastawały czasy bezkrólewia (5)...

Ale wieści te—to jeszcze rzecz najmniejsza. Marszałek przeciw zabiegom królowéj nie tylko pogłoskami walczył, ale stawił i własne intrygi.

Nie brakło mu, równie jak przeciwniczce, na powolnych narzędziach. Między Bernardynami mieli swych ajentów zarówno królowa, jak Lubomirski.

Marya Ludwika pracowała nad pozyskaniem Litwy dla elekcyi d'Enghiena; trzeba było, póki czas, przeciwdziałać jéj wpływom. Do-

---

(1) T. Luk. XII. k. 34: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 29 Févr. 1664.
(2) T. Luk. XII. k. 40: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 14 Mars. 1664.
(3) T. Luk. XII. k. 49: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 29 Mars. 1664.
(4) T. Luk. XII. k. 50: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 24 Mars. 1664.
(5) T. Luk. XII. k. 59: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Avr. 1664.

stał to zadanie O. Cypryan Żmijewski, wysłany do W. księstwa z obszerną od marszałka instrukcyą (1). Główne punkta tego pisma miały być wedle zeznania księdza, następujące: „Głoszą to jawnie i otwarcie nawet samiż stronnicy dworu, że elekcya ma być przeprowadzona przez W. X. litewskie, a to na trzy sposoby: najpierw przez rozesłanie manifestu W. kanclerza lit., za którym odbędzie się, jak donoszą, wkrótce sejm w Wilnie: i tamto sprawa elekcyi, unieważniona przez Rzptę jednogłośnie, ma być na nowo podniesiona.

„Drugi sposób taki będzie, jak podają, że obywatele W. X. litewskiego mają znowu uznać prawo dziedziczności tronu w swoim kraju, czyniąc zupełnie od woli króla zawisłém, aby kogo zechce, przeznaczył im na księcia. A to jawnie sprzeciwia się prawom etc.

„Trzeci wreszcie sposób, i to najgorszy, jest ten, że przemocą, za użyciem broni, jeśli inne środki nie wystarczą, zamierzono cel swój osiągnąć i w téj myśli ujmują dla siebie wojsko, to darami, to obietnicami, już téż innemi sposobami odciągają odeń senatorów i dobrze ojczyźnie służących obywateli, nakazując rozwiązywać przytém liczne chorągwie, a to znamienitych obywateli, co i jego panu zrobiono.

„Albowiem oddziały, które i królowi i Rzptéj w różnych wyprawach przeciw różnym nieprzyjaciołom najlepiéj się zasłużyły, rozkazano rozwiązać, żeby, z téj przyczyny, teraz rozbrojony w domu pozostać musiał.

„Żąda więc Jego Wysokość (Lubomirski) pewnéj wiadomości, czy tak jest rzeczywiście, jak podają etc. etc.

„Jeżeli zaś prawdą jest to, co głoszą, nie życzy sobie, aby to dłuższém pokrywano milczeniem, bo milczeniem i obojętnością dopuszcza się wzmożenie tylu wielkich nieszczęść w Rzeczypospolitéj.“

Nie ulega prawie wątpliwości, że do téj jawnéj instrukcyi nie omieszkał dodać marszałek i wiele tajnych wskazówek, o których wykonanie chodziło mu może głównie. Królowéj przynajmniéj donoszono nieco późniéj, że ksiądz Cypryan krąży po Litwie i Rusi i wszędzie, gdzie się uda, obmawia, czerni i napada Francuzów i całe dworskie stronnictwo (2). Naturalnie, że musiało się to dziać z wiedzą i wolą Lubomirskiego.

---

(1) T. Luk. XII. [La reine de Pol. à M. de Noyers]: Vars. 14 Mars 1664.—Nie ma w tym liście wymienionego nazwiska tego zakonnika; ale widoczna, że jestto ten sam, nad którym późniéj rozwodzi się oskarżyciel Lubomirskiego w swojéj propozycyi. Por. „Processus indic. in causa Georgii comitis... Lubomirski etc. etc.“ str. 38—9. Jest tam właśnie podana także instrukcya, którą Lubomirski nakreślił wysłańcowi swemu na piśmie. Przytaczamy jéj przekład w tekście.

(2) T. Luk. XII, k. 42. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 14 Mars 1664.

Tymczasem sam pan marszałek pośpieszył do Krakowa, niby na sądy starościńskie (1), a właściwie, aby wpływać w duchu swoich planów na szlachtę, która się miała w mieście natenczas zgromadzić. Szło mu też o pozyskanie biskupa Trzebickiego, stronnika cesarskiego, ale z nim dotąd żyjącego w niezgodzie (2).

Wielką sensacyę wywołała na dworze wiadomość, która się wnet po téj podróży na sądy rozeszła, że marszałek czyni znaczne zaciągi wojskowe i postawił już regiment z 1200 ludzi złożony, zasłaniając się rzekomém pozwoleniem króla (3). Nie wiedziano napewne, jaki był cel tych przygotowań prawie wojennych: było jednak powszechne mniemanie, że gotował się w Krakowie rokosz, bo posiadano jakieś wskazówki, że niedawno starał się Lubomirski dla takiego właśnie planu pozyskać Radziwiłła (4). O tych zaciągach było wnet wszędzie tak głośno, że wieści doszły aż do Jana Kazimierza; bo w liście z 24 marca upomina on wyraźnie, aby pilne dawano baczenie, czy marszałek gromadzi rzeczywiście „swoich górali“ do Poznania, a jeśli tak jest, to przez kogo, i czy ich ma téż w Krakowie (5).

Jeśli dotychczas szkodzono sobie nawzajem więcéj ubocznie i tajemnie, to na kwietniowym sejmiku w Proszowicach przyszło pierwszy raz w tym roku do dość wyraźnego, otwartego starcia między obu stronnictwami. Szło tu o wybór podkomorzego krakowskiego. Szlachta województwa miała zamianować czterech kandydatów; z tych jednego król potém potwierdzał w godności. A że to była posada intratna (przynosiła, wedle de Lumbres'a, 12 do 15,000 liwrów rocznie), więc sporo znalazło się do niéj pretendentów. Otóż marszałek, ufny w swoje wpływy, przyrzekł był wyrobić podkomorstwo to jednemu ze swoich stronników. Zdarzyło się tymczasem, że z drugiéj strony Zebrzydowski, miecznik kor. i starosta lanckoroński, jeden z najczynniejszych sprzymierzeńców Francyi, a zacięty Lubomirskiego przeciwnik, poczynił starania o uzyskanie tegoż urzędu nie dla siebie, lecz dla teścia swego Jana Karola Czartoryskiego. Stąd powstała rosterka. Jan Wielopolski, kaszt. wojnicki, jak i biskup Trzebicki, postarali się o pogodzenie współzawodników. Ale, że ugoda nie była szczera, więc też Lubomirski nie oglądał się na

---

(1) T. Luk. XII. k. 49. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 21 Mars 1664.

(2) T. Luk. ibid. u s. Jaki był rezultat tych starań, tego dokładnie wyrażonego w dalszych źródłach nie ma; wnosić można jednak, że zupełnie dodatni, bo odtąd widzimy Trzebickiego, działającego w ciągłém porozumieniu z Lubomirskim.

(3) T. Luk. XII. k. 57: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 4 Avr. 1664.

(4) T. Luk. XII. k. 59: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Avr. 1664.

(5) List J. K do Maryi Lud. Oryg. w tece dra Liskego, Nr. 4.

nią zbytecznie. Zachowując jéj pozory, to jest nie stawiwszy się osobiście na zjeździe, uboczną drogą, przez dwóch swoich agentów sprawił, że sejmik został zerwany (1). Wygrał w ten sposób sprawę przynajmniéj przez połowę; ale ta połowiczna wygrana przyprawiła go o stratę przychylności kilku znamienitych osób. Biskup kujawski, Floryan Czartoryski, brat niefortunnego aspiranta do podkomorstwa, przerzucił się teraz stanowczo na stronę królowéj, a jego szwagier Jan Tarło, wojewoda lubelski, poróżnił się téż ostatecznie z marszałkiem. Mniejsza już o to, że i Zebrzydowski jeszcze bardziéj zaciętą zapłonął ku niemu nienawiścią, bo ten nigdy mu nie był przyjacielem; ale, co najbardziéj dotknęło marszałka, to okoliczność, że kasztelan Wielopolski, człowiek wielkich zdolności i rozległych wpływów, który podjął starania o pogodzenie stron, zawiedziony w swojém dziele, żywił odtąd niechęć dla byłego przyjaciela, a niebawem stanął w szeregu jego zdecydowanych przeciwników (2).

Jakkolwiek dosyć groźne przybierały już rozmiary działania Lubomirskiego wewnątrz kraju, były one niebezpieczne nie tyle same przez się, ile przez związek, jaki zachodził między niemi a interesami państw sąsiednich, Austryi i Brandeburgii.

Było to rzeczą znaną już z lat ubiegłych, że marszałek w ciągłych zostawał stosunkach z dworem wiedeńskim. Zakryte wprawdzie przed nami tajniki cesarskich archiwów, ale mimo to nie brak wskazówek, że i w r. 1664 stosunki te nie ustawały. W pierwszych dniach marca t. r. donosił naprzykład królowéj pewien Bernardyn, że o. Antoni, prowincyał zakonu bernardyńskiego na Litwie, udający się do Rzymu celem objęcia posady generała, otrzymał od Lubomirskiego listy do cesarza, które miał zalecone oddać poufnemu jego przyjacielowi w Wiedniu nieznanego imienia (3). Korespondencya więc, jak widzimy, trwała ciągle jeszcze między sprzymierzeńcami.

Chociaż przedmiot obawy nie ustępował, na dworze lekceważono sobie na razie to przymierze magnata z cesarzem, łudząc się nadzieją, że Austrya, zawikłana w wielką wojnę turecką, nie będzie mogła skutecznie popierać swego stronnika.

Jeśli jednak ten stosunek nie był dla królowéj nowiną, tą nowiną, i to bardzo niemiłą były dla niéj wieści, które sporadycznie,

---

(1) T. Luk. XII, k. 66: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 2 Mai. 1664.

(2) T. Luk. XII, m. cyt. w uwadze poprzed. Co do biskupa Czartoryskiego bliżéj: T. Luk. XII. k. 75: De Lumbres à Louis XIV. 29/IV 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 42 [La reine de Pol. à de Noyers]. Vars. 4 Mars 1664.

ale w coraz pewniejszéj formie (chociaż z prywatnych zrazu źródeł) dochodziły jéj uszu o jakowychś związkach państw zagranicznych, nieprzyjaznych Francyi, celem współdziałania przeciw interesom wspólnego wroga, Ludwika XIV. Już w styczniu donoszono Gonzadze, że gotuje się liga między królem duńskim, elektorem brandeburskim i księciem luneburskim, która w Polsce znalazła oparcie w Lubomirskim, podkanclerzym Leszczyńskim i Bogusławie Radziwille. Związek ten miał sobie założyć jako główne zadanie wybór na króla młodszego brata księcia luneburskiego. Wiadomość ta znajdywała tém większą wiarę w stronnictwie francuskiém, że kandydatura Luneburga miała za sobą wiele szans prawdopodobieństwa. Książe ten był katolikiem, miał za sobą poparcie Danii, jako szwagier króla duńskiego, a elektor brandeburski był również jego krewnym. Spokrewnienie to w obu monarchach mogło budzić uzasadnioną nadzieję łatwego wpływu na przyszłego króla. Zresztą elektor gotów był podobno zgodzić się na każdego kandydata, byle nie przeszedł Francuz lub ks. Neuburski, jego polityczny przeciwnik, który oddawna tron polski miał na oku (1).

Na jakiś czas zamilkły wprawdzie te wieści, ale tylko na to, aby w dwa miesiące późniéj wypłynąć na nowo i to w formie o wiele pełniejszéj.

Radziejowski (2), przybywający z Gdańska, przyniósł bowiem w ostatnich dniach marca z autentycznych źródeł zaczerpniętą wiadomość o takimże samym związku i to już z dodatkiem o współudziale w nim Saksonii i Anglii. Z innych stron przyszły równocześnie informacye o ścisłych stosunkach Anglii z Danią (3).

W pierwszych dniach kwietnia rzeczy już tak stały, że nie można było prawie wątpić o prawdziwości tych doniesień. Nie była sprawa cała rozjaśniona i sprawdzona jeszcze urzędowo, ale coraz nowe wskazówki potwierdzały i uzupełniały dawniejsze. Uważano, że między elektorem a podkanclerzym miała miejsce nader żywa wymiana korespondencyi. Stwierdzono również, że Lubomirski niedawno wyprawił poufnych posłańców także do elektora, a prócz

(1) T. Luk. XII, k. 17: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 24 Janv. 1664.

(2) Spotykamy tu nazwisko tego człowieka po raz pierwszy. Jest-to ten sam podkanclerzy w. kor., smutnéj sławy bohater pierwszego pięciolecia Kazimierzowych rządów, banita, infamis i potém długie lata otwarty wróg ojczyzny. Sejm z r. 1662 przywrócił go do czci i pozwolił mieszkać w kraju. Stérała się w nim duma dawna, na cudzym chlebie żyjącym.... Odtąd widzimy go czas jakiś w podrzędnéj roli służalca i ślepego narzędzia dworu, aż póki los mu nie pozwolił—po kilku latach—znowu na zaszczytném stanowisku dokonać burzliwego żywota.....

(3) T. Luk. XII, k. 52 [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 31 Mars, 1664.

tego i do króla duńskiego pod pretekstem przesyłki chartów w upominku. Utrzymywała się i teraz wiadomość o udziale Anglii i Saksonii: niektórzy dodawali, że i papież należy do intrygi. Rozległa ta liga ma popierać (nastąpiła pewna zmiana osób) elektora brandeburskiego, a gdyby to nie było możebne do przeprowadzenia, jednego z dwóch książąt luneburskiego lub brunszwickiego (1).

Tyle wiedziała królowa z dotychczasowych działań i zabiegów Lubomirskiego. Zapatrzona ciągle w stronę Zadnieprza, bo wyczekująca stamtąd stanowczego rozwiązania zadań, nad któremi pracowała tak długo bezowocnie, nie trwożyła się ona zrazu zbytecznie oznakami wrogiego usposobienia obrażonego magnata. Nawet i pierwsze wieści, niepewne—co prawda— o związku owéj ligi nie wydawały jéj się wtedy groźnemi; wiara w potężne wpływy Ludwika XIV i ufność w stałą pomoc dworu wersalskiego (2), a z drugiéj strony nadzieje bliskich zwycięstw Jana Kazimierza na Zadnieprzu działały na nią uspakajająco. Ludwik XIV nie przestawał jéj zapewniać o niezmiennéj przychylności i, co więcéj, nie szczędził rzeczywistéj pomocy materyalnéj i moralnéj. Kasa królowéj świeciła pustkami: ciągłe nadzwyczajne wydatki wyczerpały fundusze, jakie przywiozła ze sobą i jakie z dóbr królewskich spływały. Rozumie się więc, że w pieniężnych potrzebach Wersal był jéj stałą ucieczką, i to tém milszą, że rzadko czego odmawiano we Francyi sprzymierzeńczyni. Francuskiém złotem opłacano przeto wszystkich prawie stronników królowéj. Corocznie pobierali od posła francuskiego w Warszawie stałe pensye dygnitarze korony i w. ks. litewskiego. Prażmowski dostawał 15.000 franków i tyleż Pac, kanclerz w. litewski; referendarz Morsztyn i Denhof, podkomorzy w. kor. po 9,000, Sobieski, chorąży w. kor., pisarze Sapieha i Jabłonowski, hetman Stanisław Potocki i pułkownik Korycki po 3,000. Również znaczną pensyę wyznaczono po śmierci Gąsiewskiego Michałowi Pacowi, jego następcy. Nawet Czarniecki, tyle wynoszony dla nieskazitelności charakteru, nie odmawiał nigdy przyjęcia pensyi 12,000 franków, wyznaczanych mu przez lat wiele od Ludwika XIV (3). Miał też ambasador francuski

---

(1) T. Luk. XII. k. 56: La reine de Pol. à M. de Noyers. Vars. 4 Avr. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 52 [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 31 Mars, 1664: „Bien que tous ces gens soient liguées, je ne crois pas, qu'ils réussissent en leurs desseins, surtout si le roi de France se conduit bien, comme je n'en doute pas...."

(3) Co do wszystkich cyfr, tu podanych, por. T. Luk. XII, k. 51: „Etat de la dépense des 200.000 francs remis à Hambourg au commencement de l'année *1663*." Jakkolwiek ten wykaz wydatków odnosi się do r. 1663, to jednak ma on historyczną ważność i dla roku następnego, ponieważ, jak się dowiadujemy z listu de Lionne'a do de

zawsze do rozporządzenia pewną sumę na wydatki nadzwyczajne. Suma ta, która w początkach roku około 200,000 franków wynosiła (1), stosownie do potrzeby i uznania bywała późniéj wielokrotnie uzupełniana i powiększana.

Z drugiéj strony nie odmawiał też Ludwik XIV i pomocy dyplomatycznéj. Ile razy szło o załatwienie jakiejś sprawy drogą interwencyi pokojowéj na którymś z zagranicznych dworów, używała Marya Ludwika stale jego pośrednictwa. Czy to chodziło o usunięcie nuncyusza papieskiego z Polski, któremu królowa była niechętną (2), czy o przeparcie wyboru nowego prowincyała Bernardynów (3) (rzecz ważna, bo z Bernardynów rekrutowali się najlepsi pomocnicy w tajemnych działaniach), czy wreszcie potrzeba było zapobiedz wcześnie ustanowieniu ambasadora hiszpańskiego w Polsce, który zapewne za swój obowiązek uważał by propagować w Warszawie austryackie sympatye (4), na głowę króla francuskiego spadał zawsze kłopot pomyślnego tych spraw przeprowadzenia.

Nie można jednak zaprzeczyć, że obok Ludwika XIV i jego posła de Lumbres'a, również i Marya Ludwika niepoślednią rozwijała działalność w interesie swego stronnictwa. Nawet w czasie, kiedy jéj uwaga skierowana była głównie na widownię wojny zadnieprskiéj, nie ustaje ona ani na chwilę w śledzeniu i podpatrywaniu skrytych kroków marszałka, starając się krzyżować jego plany, a dla swoich natomiast coraz nowych zyskiwać popleczników. Za wysłańcami Lubomirskiego krążą po Koronie i Litwie i jéj ajenci, najczęściéj zakonnicy Bernardyni (5). Znana to rzecz, jaką rolę w dawnéj Polsce odgrywali księża kwestarze i prowincyali. Były to chodzące gazety; jak gazety, stanowili oni o opiniach nie tęgiéj w polityce szlachty szaraczkowéj. Ich słowa były wyrocznią w zaścianku: wierzono w nie, jak dotąd ludzie ciemni i nieobyci w świecie dobrodusznie wierzą w słowa jedynego dziennika, który czytają. W Wielkopolsce znów kupiła sobie królowa sędziego kaliskiego Kryskiego pensyą 5,000 złotych z własnéj szkatuły, aby pracował nad przeje-

---

Lumbres'a (T. Luk. XII, k. 36, S. l. 29 Févr. 1664), Ludwik XIV zatwierdził wszystkie pensye z r. 1663 i na rok 1664, przyznawszy w dodatku właśnie pomienioną pensyę Gąsiewskiego następcy jego Pacowi.

(1) T. Luk. XII. k. 35: De Lumbres à M. Lionne. Vars. 29 Févr. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 32. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 21 Févr. 1664.— T. Luk. XII, k. 45. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 4 Mars, 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 42—3. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 14 Mars 1664.

(4) T. Luk. XII, l. s. cit. (k. 41).

(5) T. Luk. XII, k. 27. De Lumbres à M. de Lionne. Varsov. 8 Févr. 1664.— T. Luk. XII, l. s. cit. (k. 42).

dnaniem umysłów szlachty na korzyść sprawy francuskiéj (1). Toż samo zadanie spełniał w Lublinie niejaki Zdrojski (2).

Ogółem jednak zajmowały oba obozy do téj chwili stanowisko raczéj wyczekujące. Lubomirskiego powstrzymywał w stanowczém działaniu niepewny przebieg wyprawy moskiewskiéj; u królowéj wobec doniosłego planu pozyskania armii litewskiéj, który całą jéj uwagę pochłania, wszystkie inne sprawy zrazu usunięte były na plan nieco odleglejszy.

Wśród tego roztargnienia i niepewności, ku czemu należy głównie zwrócić usiłowania i zabiegi, w chwili, kiedy kiełkująca myśl podróży na Litwę ma nareszcie wzrosnąć i wydać owoce, nawiedza królowę owa ciężka niemoc, któréj historyą już znamy. Marya Ludwika z konieczności pozostaje w Warszawie, gdzie, zresztą, zbieg innych okoliczności uczynił niezbędną jéj obecność. To bowiem, co z początku roku było tylko pogłoską, zaczyna się teraz sprawdzać. Stan rzeczy, który dotąd budził tylko niepokój i chwilowe obawy, staje się naprawdę groźnym i zatrważającym. — Jerzy Lubomirski postępował sobie z coraz większą bezwzględnością. Wstąpiwszy raz na pochyłą drogę, nie cofnął się, ani powstrzymał; owszem, coraz prędzéj, coraz gwałtowniéj dążył tam, gdzie go parła wewnętrzna moc namiętności lub gdzie go może prowadziła taż sama błędna gwiazda, co przyświecała Waldsteinowi..... (3). Dotąd w czynach wstrzemięźliwy, a teraz pokrzepiony wiadomością o smutnym

---

(1) T. Luk. XII, k. 25. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.

(2) Ibid. k. 17. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 24 Janv. 1664.

(3) Jakie były istotne plany Lubomirskiego, o tém coś więcéj stanowczego i pozytywnego powiedzieć będzie można dopiero po gruntowném zbadaniu historyi lat 1661—3, a to mianowicie na podstawie materyałów berlińskich i wiedeńskich (wątpić jednak należy, czy i wtedy rezultat będzie zupełnie zadawalniający. Jak inne kwestye z tego zakresu, tak i tę, t. j. czy marszałek myślał istotnie o koronie dla siebie, musimy więc na razie z pod rozbioru usunąć. Tu wystarczy nam tylko zaznaczyć, że powszechna była wówczas na dworze opinia (dowodem treść późniejszego pozwu na Lubomirskiego), którą dzielili i ludzie takim bystrym zmysłem spostrzegawczym obdarzeni, jak Ludwik XIV i jego minister de Lionne, iż Lubomirski rzeczywiście dąży wszystkiemi postępkami swemi do zdobycia tronu po Janie Kazimierzu.... I tak por. np. T. Luk. XII, k. 63. De Lionne à M. de Lumbres, S. l., 25 Avr. 1664: „Pour moi j'ai toujours tenu *pour indubitable, qu'il* (le maréchal) *pense à la couronne pour lui-même*". — Takież było zdanie de Lumbres'a (T. Luk. XII, k. 80. De Lum. à Louis XIV. Vars. 6 Juin 1664). Podobnież (T. Luk. XII, k. 127. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 4 Sept. 1664): „......il (Lubomirski) semble les fourber tous (les princes étrangères) et tâcher de s'aider de leurs moyens et de leurs forces *pour se faire nommer successeur*, *où comme quelques croyent protecteur*, abolissant la royauté, sans s'attacher tout-à-fait à aucun d'eux, sinon, quand il aura perdu toute éspérance à son dessein...." Por. wreszcie także: T. Luk. XII, k. 140. Louis XIV à M. de Lionne, S. l., 3 Oct. 1664.

epilogu wyprawy moskiewskiéj, wydaje on raz poraz manifesty do braci szlachty, raz poraz puszcza w obieg bezimienne pisma i paszkwile na swoich nieprzyjaciół, na dwór, na króla nawet i królowę (1). W jednéj odezwie (wydanéj w pierwszych dniach czerwca) ostrzega o bliskim przyjeździe do Polski Kondeusza Wielkiego i d'Enghien'a celem uzyskania dla ostatniego korony i wzywa naród, aby się oparł wszystkiemi siłami temu przedsięwzięciu (2), — w drugim, ogłoszonym z początkiem lipca, wywodzi skargi na prześladowanie, którém go dwór upośledza za to rzekomo, iż staje w obronie wolności i przywilejów, że sprzeciwia się elekcyi następcy tronu, wbrew konstytucyom ostatniego sejmu przez stronnictwo dworskie zamierzonéj (3) i t. p.; a wszystko na to obliczone, jak sądził de Lumbres, aby rozpalić i tak już gorące głowy szlacheckie, roznamiętnić do reszty umysły, prywatą i burzami lat ubiegłych rozjątrzone, i w ten sposób powiększyć obóz malkontentów. Lubomirski zbroił się już na dobre. Działo się to potajemnie, ale tajemnica była głośną. Robił on zaciągi po wszystkich województwach, wabił do siebie ludzi i kogo mógł, pozyskiwał (4). Donoszono królowéj, że była między nim a szlachtą taka umowa, iż na pierwszy znak dany zbierze się ona tłumnie na miejsce, które zostanie wskazane (5). Wiedziano na pewne, że miał już jeden regiment jazdy, a jeden dragonów prawie w pogotowiu (6). Otóż jeśli te wszystkie kroki nosiły na sobie cechy wielkiéj zuchwałości i samowoli, to nie ulegało wątpliwości, że marszałek nigdyby się do nich nie porwał, gdyby nie miał za sobą silnych pleców, niezachwianego punktu oparcia w mocarstwach sąsiednich.

Już poprzednio spotykaliśmy się z wieściami o jakichś związkach tajemnych z zagranicą. Było to wszystko jeszcze dość nieokreślone, czekało ostatecznego stwierdzenia.

Teraz rzecz cała poczyna się rysować wyraźnie. Ze wszystkich stron dochodzą uszu królowéj zgodne w téj sprawie informacye i to nawet ze źródeł bardzo wiarogodnych, jak np. od posła szwedzkiego, Palbickiego (7). Nareszcie i minister Brandeburga, Bogusław Radziwiłł, odsłania jedną część tajemnicy. Elektor saski zatrzymał się w powrocie z Ratyzbony u elektora w Berlinie: rownocześnie miał

---

(1) T. Luk. XII, k. 93. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 82. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 12 Juin, 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 93. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.
(4) i (5) T. Luk. XII, k. 100. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 24 Juill. 1664.
(6) T. Luk. XII, k. 106. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 8 Août 1664.
(7) T. Luk. XII, k. 81. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 6 Juin, 1664.

się tam znajdować wysłannik marszałka. Na tym to zjeździe z obowiązali się obaj elektorowie postawić i utrzymywać w pogotowiu wojennėm oddziały po 5,000 ludzi każdy, rzekomo dla obrony państw swoich (1). To było faktem, ale nie umiał Radziwiłł nic pewnego o tém powiedziéć, czy miał w téj lidze jaki udział cesarz lub inni jeszcze książęta. Skąd inąd (źródło nie podane) donoszono de Lumbres'owi, jak już i poprzednio, że i król duński i nareszcie książęta luneburski i kurlandzki byli w intrydze (2). Nawet i Rosyę mieszano w tę sprawę, nie mówiąc już o cesarzu (3).

Jacykolwiek spólnicy należeli do tajemnego spisku, to jedno uważano za pewne, że nie obrona granic ani inne względy (któremi zasłaniały się owe państwa), lecz interes wspólny, jaki nieprzyjaciół Francyi jednoczył zawsze przeciw Ludwikowi XIV w sprawie elekcyi następcy tronu w rzeczypospolitéj, pobudził do czynnych przygotowań niemieckich książąt i monarchów. Królowa nie wątpiła, że owa piętnastotysięczna armia, któréj zmobilizowanie uchwalono w Berlinie, miała służyć jako środek represyjny przeciw intrygom stronnictwa francuskiego w Polsce (4). Stąd, jak rozumiała, poszło, że Lubomirski został wciągnięty w intrygę; zapewniony co do pomocy wojsk obcych, ustawionych przy granicy, będzie on mógł działać stanowczo, a bezkarnie (5). Być może, że w razie potrzeby sprzymierzona armia zostanie nawet użyta do czynnéj akcyi, zwłaszcza, jeżeli partya francuska dla zrealizowania swoich planów ucieknie się do siły, a kto wié, czy związek berliński nie umyślił nawet uprzedzić Ludwika XIV i za pomocą Lubomirskiego przeprowadzić wybór upatrzonego przez siebie kandydata (6). Uchodził za takiego, jak wiemy, brat księcia luneburskiego; młodzieniec ten, spokrewniony z elektorem brandeburskim i królem duńskim, nie zdawał się nawet niemiłym Lubomirskiemu. Bo jeśli nareszcie marszałek nie myślał o tronie dla siebie, to pragnął niezawodnie widziéć królem człowieka, którymby mógł powodować i rządzić do woli: takim był właśnie Luneburg, niedojrzały, bez wielkiéj potęgi własnego domu (7).

Takie było powszechne przekonanie na polskim dworze. Ludwik XIV dzielił je prawie w zupełności: przypuszczał przytém, że

(1) T. Luk. XII, k. 92. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill, 1664. — Ibid. k. 80. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 6 Juin.
(2) T. Luk. XII, k. 85. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 18 Juin 1664.
(3) T. Luk. XII. l. sup. cit.
(4) T. Luk. XXXIII, k. 90. De Lumbres [à Condé]. 11 Juill. 1664.
(5) T. Luk. XII, k. 98. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 18 Juill. 1664.
(6) Ibidem, k. 106. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 8 Août, 1664.
(7) Ibidem, k. 110. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., le 16 Août 1664.

pod osłoną mocarstw sprzymierzonych marszałek zamierza przywieść do skutku zjazd całéj szlachty i osiągnąć za pomocą niéj cele zdawna zamierzone (1). Nie mamy wprawdzie aktu przymierza, zawartego w Berlinie; nie podobna mimo to wątpić, że związek taki rzeczywiście przyszedł do skutku i miał w istocie intencye, jakie mu dwór polski przypisywał. Bo jeśli do końca czerwca tylko doniesienia osób dobrze poinformowanych potwierdzały wieści o owéj lidze, to z postępowania posła cesarskiego w Polsce i elektora brandeburskiego można było nabrać pewności o istnieniu ścisłego porozumienia między dworami niemieckimi i Lubomirskim. Zbrojenie się sąsiadów musiało bowiem zwrócić uwagę senatu rzeczypospolitéj; dlatego pierwszą rzeczą sprzymierzonych było, drogą dyplomatyczną usprawiedliwić te przygotowania i gromadzenie sił wojskowych u granic królestwa wytłómaczyć. Znalazł się, dzięki Lubomirskiemu, wyborny pretekst. Marszałek rozpuszczał od niejakiego czasu alarmujące wieści o gotującym się rzekomo napadzie Tatarów na Polskę. Robiąc na własną rękę zaciągi konnicy zasłaniał się tymi pogłoskami, głosząc, że skłania go do tego wzgląd na bezpieczeństwo kraju wobec bliskiego najazdu hordy (2). Tymczasem w całéj téj pogłosce o Tatarach było tyle tylko prawdy, że ich han po kilku miesiącach wahania, zgodził się w lecie tegoż roku, w lipcu czy też sierpniu, na przedłużenie przymierza z dworem, przyjął zwykłe dary i zobowiązał się nadal wspierać rzeczpospolitę, ale *wyraźnie* jedynie przeciw Rosyi i buntownikom kozackim (3).

Otóż tego samego sposobu, co Lubomirski, chwycił się teraz i poseł cesarski w Warszawie. Hr. Kińsky—bo takie było jego nazwisko — bawił już w Polsce od końca stycznia (4). Za właściwą przyczynę przyjazdu swego podawał wówczas potrzebę pomocy przeciwko Turkom, o którą czynił usilne zabiegi (5); starał się téż o pozwolenie sprowadzania zboża z Polski na żywność dla wojsk cesarskich (6). Jakkolwiek otrzymywał odpowiedzi wymijające (7), zachowywał się zrazu nader uprzejmie i względnie, jak wypadało proszącemu. Kiedy jednakowoż przyszło do skutku wiadome przy-

(1) T. Luk. XII, k. 80. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 6 Juin, 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 99. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 24 Juillet, 1664.— Również T. Luk. XII, k. 105. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 8 Août, 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 107. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 8 Août, 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 24. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 1 Févr. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 24 etc. u. s.

(6) T. Luk. XII, k. 30. De Lumbres à M, de Lionne. Vars. 18 Févr. 1664.

(7) T. Luk. XII, k. 24 i 30 etc. u. s.—Prócz tego: ibidem, k. 47. Łacińska nota bez tyt., z dopiskiem Lukasa: „Odpowiedź posłowi cesarskiemu dana d. 14/III 1664.“

mierze, zmienia on nagle ton i przedmiot swoich zabiegów. Nie bez wskazówki od swego dworu i nie bez porozumienia z Lubomirskim wywodzi na audiencyi u królowéj w pierwszych dniach lipca obawy, aby tatarzy, obozujący na Ukrainie, nie wpadli przez Ruś i Małopolskę do Moraw i Szląska. Żąda od królowéj wyjaśnienia, jak się zachowa rzeczpospolita w razie, gdyby te obawy miały się sprawdzić: czy oprze się pochodowi Tatarów lub téż nań bez przeszkody przyzwoli. Marya Ludwika odpowiedziała mu, że bardzo wątpi, aby Tatarzy powzięli taki zamiar wbrew przymierzu z Polską: lecz jeśliby rzeczywiście mieli się porwać do tak bezprawnego kroku, to wobec rozdwojenia i niezgody w łonie rzeczypospolitéj, wobec rozdrobnienia sił zbrojnych, zajętych u granic wschodnich, nie może dać pewnéj rękojmi, czy kraj zdoła się oprzéć inwazyi nieprzyjacielskiéj, zwłaszcza, jeśli takowa nastąpi znienacka. Na to oświadczył Kińsky, że odpowiedź ta bynajmniéj go nie uspakaja: widzi on, że jego rząd zmuszony będzie sam pomyśléć o bezpieczeństwie państwa. I tu, korzystając z dobréj sposobności, napomknął, że cesarzowi wypadnie chyba dla obrony swych prowincyi postawić z 5—6,000 żołnierza na granicy (1). Wzmianka ta ostatnia posła naprowadziła królowę natychmiast na uzasadniony domysł, że te ciągłe z naciskiem podnoszone obawy przed Tatarami były tylko pretekstem, umówionym z góry w Berlinie: a przypuszczenie to sprawdziło się nie długo zupełnie. Bo oto w dwa tygodnie późniéj donosi podkanclerzy Leszczyński także o skargach elektora brandeburskiego, drugiego członka ligi, na tenże sam temat. Znowu tu mowa o owym fikcyjnym napadzie Tatarów, znowu obawy, że Polska nie zechce lub nie zdoła sprostać ich nawale, że Szląsk a może i inne państwa niemieckie zagrożone—i znowuż dodatek, że elektor widzi się zmuszonym myśléć o zarządzeniu środków ochronnych przeciw ewentualnemu niebezpieczeństwu, o obsadzeniu granic swych wojskami (2).

O co zaś właściwie chodziło posłowi cesarskiemu, o tém już dobitnie przekonała się królowa z następującéj sprawki. Strażnik Jaskólski podobno, który dawniéj ofiarował się był służyć cesarzowi, a teraz już zjednany pensyą francuską, wycierał progi królewskie i wyjawił Maryi Ludwice, że Kińsky, widząc w nim byłego przeciwnika dworu, a nie wiedząc nic o zmianie jego sympatyi, miał go nakłaniać obietnicami wielkich korzyści, aby się podjął zjednywać dla Austryi jak najwięcéj przyjaciół. Dodawał mu przytém zachęty zapewnieniem, że nie on sam, ale i wielu innych będzie w tym samym

(1) T. Luk XII, k. 92—3. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 99. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 24 Juill. 1664.

kierunku pracować (1). Wiadomość ta wzmogła naturalnie podejrzenia i tak już krzywo patrzącéj na posła królowéj. Lecz na tém nie koniec. W pierwszych dniach sierpnia otrzymał Kińsky przez umyślnego wysłańca rozkaz od cesarza, aby zażądał od króla polskiego (który w połowie lipca powrócił do Korony) stanowczéj odpowiedzi i pisemnego zobowiązania, iż zapobieży pochodowi Tatarów na Morawy i Szląsk. A ponieważ armia rzpltéj wobec wycieńczenia i rozerwania sił swoich nie będzie w stanie sama przeszkodzić najazdowi hordy, przeto załączono mu polecenie, aby nalegał na zwołanie pospolitego ruszenia szlachty i trzymania jéj w pogotowiu bojowém na każdy wypadek (2). Kińsky poczynił u dworu przedstawienia w myśl otrzymanych z Wiednia wskazówek. Tłumaczono mu, że Tatarzy znajdują się za Dnieprem z wojewodą ruskim i idą nie na Szląsk i Morawy, lecz przeciw buntującym się Kozakom, że 20,000 z nich wycofało się nawet zupełnie z granic rzeczypospolitéj, że nareszcie, jeśliby horda wpadła do Polski, to wojsko Czarnieckiego da sobie z nimi radę i potrafi samo odjąć hanowi raz na zawsze chętkę do daleko sięgających planów. Nic nie pomogły wszystkie te zapewnienia; poseł utrzymywał się przy swoich pretensyach i wskórał tyle, że mu wyznaczono komisyę, która miała rozpatrzyć całą sprawę i roztrząsnąć żądania cesarskie (3). Na konferencyach z komisarzami powtórzył Kińsky słowo w słowo to samo, co pierwéj przedstawiał obojgu królestwu. Zawiązała się zacięta nad zasadniczym punktem dyskusya. Hrabia, napotykając ponownie na opór, uniósł się gniewem i widząc, że nie osiągnie celu łagodném postępowaniem, uciekł się do ostrych słów i pogróżek. Oświadczył, że jego pan nie myśli bezczynnie i obojętnie czekać odwiedzin Tatarów na swojéj ziemi, lecz jeszcze w granicach rzeczypospolitéj będzie musiał zajść drogę niemiłym gościom. Odpowiedziano mu na to chłodno i surowo, żeby się w wyrazach hamował: krok ten, którym grozi, uważany będzie przez dwór za akt nieprzyjacielski. Na tém się zerwały układy z komisyą. Sprawę całą odłożono do rady senatu, mającéj się zebrać wkrótce w Warszawie (4).

To gwałtowne wystąpienie posła cesarskiego nie było odosobnione; równocześnie bowiem otrzymał król polski od elektora ba-

---

(1) T. Luk. XII, k. 99—100, etc. u. s. Nazwiska strażnika nie podaje de Lumbres; domyślamy się jednak, że to Jaskólski, bo strażnik tego nazwiska występuje późniéj w procesie jako świadek przeciw Lubomirskiemu, którego był pierwotnie stronnikiem.

(2) T. Luk. XII, k. 104. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 8 Août, 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 104. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 8 Août 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 105 etc. u. s.

warskiego list podobnéj treści, w tym samym duchu i tonie zredagowany, co ustne oświadczenia Kińskiego (1).

IV.

Stanowcze kroki dworu.—Plan pozwania marszałka przed sąd sejmowy.

Teraz już nie było żadnych wątpliwości co do wrogich intencyi dworów niemieckich, jak nie było oddawna wątpliwości o buntowniczych zamiarach Lubomirskiego. Królowę, która dopiero co opuściła łoże po niszczącéj chorobie, wycieńczoną i złamaną fizycznie, poczęły znowu trapić smutne myśli. Trzebaż było, aby do obaw rzeczywistych i uzasadnionych przyłączyły się jeszcze urojone! Marya Gonzaga dzieliła z wielu światłymi ludźmi swego wieku, przesądną wiarę w astrologią. Otóż kapłani téj nauki niepomyślny z gwiazd wysnuli królowi horoskop. Rok przyszły, 1665-ty, miał być dla Jana Kazimierza złym i nieszczęśliwym (2). A tu zewsząd nadciągają chmury: w powietrzu czuć było burzę.... Mimo to nie czemu innemu, jak podziwienia godnéj energii i rzutkości wytrwałéj kobiety przypisać wypadnie, że w téj krytycznéj chwili dwór nie stracił otuchy, owszem, rzucił się z podwojonymi siłami do pracy, do gorączkowego nieledwie działania, a wreszcie zerwał do śmiałych, rozstrzygających kroków. Więcéj niż kiedy indziéj było teraz widoczne, że duszę całego stronnictwa stanowiła królowa.

Pierwszą myślą, która powstaje pod wpływem wieści o lidze nieprzyjacielskiéj w dworskich kołach, jest plan analogiczny: to jest żeby się wzmocnić przeciw obozowi sprzymierzonych również jakimś sprzymierzeńcem. Oczy Maryi Ludwiki zwróciły się na Szwecyą. Szwecya była połączona ścisłém, tajném przymierzem z Wersalem: nasuwała się więc możność zawiązania bliższych z północnym dworem stosunków za pomocą Francyi. Bliższych, mówimy, bo już od początku roku rząd szwecki myślał o połowicznem przymierzu z rzecząpospolitą, a to przeciw wspólnemu wrogowi od wschodu. W tym celu wyjechał Palbicki jeszcze w lutym ze Sztokholmu (3).— Z początkiem dopiero czerwca staje on w Warszawie (4). Po przybyciu zatrzymują go kilka tygodni w łóżku cierpienia reumatyczne (5).

---

(1) Ibid. u. s.

(2) T. Luk. XII, k. 85. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 13 Juin 1664.

(3) Urk. und. Act. zur Gesch. Friedr. Wilh. von Brand. IX, k. 771: von Krockow an den Kurfürsten, 23 Jan. 1664. Ibidem: v. Krock. an den Krf., 2 Febr. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 79. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 6 Juin, 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 89. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.

Obecność posła szwedzkiego w Warszawie poddała królowéj właśnie myśl pozyskania Szwecyi do związku nie tylko przeciw Moskwie, ale i przeciw lidze niemieckiéj. Planem tym podzieliła się Marya Ludwika natychmiast przez de Lumbres'a z Ludwikiem XIV (1), a ten ostatni przyjął go i uznał za bardzo praktyczny (2).

Palbicki nie odpowiedział jednakże nadziejom królowéj: od początku zajmował stanowisko wyczekujące i zamykał się ściśle w granicach, zakreślonych instrukcyą. Mówił, że przybył raczéj, aby wysłuchać propozycyi dworu polskiego, niż sam działać i nawiązywać stosunki (3), a żeby miéć powód do dystrakcyi, występował z jakiemiś skargami na chłodne (jak mu się zdawało) przyjęcie królowéj i t. p..... (4). Zapewniał wprawdzie o przyjaźni i przychylności rządu szwedzkiego dla Polski, ale nie dawał w niczém inicyatywy; z drugiéj strony senat polski był zbyt dumny i wyniosły, aby się zgodził sam poczynać od próśb i propozycyi. De Lumbres postanowił obejść te trudności, biorąc na siebie zainicyowanie układów; lecz już u wstępu nasuwały mu się wątpliwości, czy da się przyprowadzić do skutku jawne przymierze, wobec tego, że takowe musiałoby być zatwierdzone jednomyślnością sejmu, a o to bardzo trudno wobec rozdwojenia w łonie rzeczypospolitéj. Co najwięcéj, sądził on, można będzie skleić tajny traktat dworu samego z rządem szwedzkim (5).

Nie na rękę były Maryi Ludwice te skrupuły i restrykcya, z jaką postępował dotąd Palbicki. Zapewnienia Ludwika XIV w téj sprawie dodały jéj nieco otuchy. Król francuski nie dzielił bynajmniéj obaw dworu polskiego co do ligi. Nie dowierzał nawet, aby książe saski i cesarz należeli do związku niemieckiego. Kazał zaręczyć królowéj, że przeciw Danii i Saksonii może się czuć bezpieczną, bo on posiada w ręku środki, za pomocą których jest w stanie rządom obu państw wymienionych odebrać możność szkodzenia stronnictwu francuskiemu w wiadoméj sprawie. Cesarz niemiecki sprawami wewnętrznemi do tego stopnia jest zajęty, że dopóki trwa wojna turecka, może być chyba bezczynnym widzem téj intrygi, a elektor, sam sobie zostawiony, nikomu zaszkodzić nie zdoła. Ludwik XIV jest pewny, że Szwecya nie odmówi Polsce pomocy zbrojnéj, kiedy mu się tylko spodoba jéj zażądać; sądzi zresztą, że i bez jego starań rząd szwedzki w najkrótszym czasie prześle część wojsk

(1) T. Luk. XII, k. 94. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 110. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 15 Août 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 79. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 6 Juin, 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 89. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 27 Juin, 1664.
(5) T. Luk. XII, k. 94. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 10 Juill. 1664.

swoich do Inflant z powodu zatargów, jakie tam Rosya nieustannie wywołuje. W razie potrzeby oświadcza nawet gotowość przystąpienia do traktatu szwedzko-polskiego, aby związkowi dodać pełności i mocy (1). Być może jednak, iż Ludwik XIV zbytecznie ufał swoim wpływom, być też może, że przeciwne zabiegi znalazły chwilowy posłuch u dworu szwedzkiego, dość że układy z Palbickim nie postępowały wcale naprzód w Warszawie. Poseł, jak przy wystąpieniu, tak i po dwóch miesiącach pobytu, zachowywał stanowisko wyczekujące.

Jeśli z téj strony rezultat był niepewny i nie zadowalał nikogo, to natomiast skąd inąd dochodziły królowę nader pomyślne i wiele dobrego rokujące wieści. Litwa wracała zwolna, ale stanowczo do obozu królewskiego. Porzuciliśmy sprawy litewskie, kiedy plan pozyskania w. księstwa zatrudniał najbardziéj dwór i Maryę Ludwikę. Choroba nie dozwoliła królowéj przyłożyć osobiście czynnéj ręki do przygotowanego już dzieła w najkrytyczniejszéj chwili. Do dawnych sporów między Pacami a Sapiehami przyłączył się właśnie gwałtowny zatarg między kanclerzami: antagonizm obu stronnictw zarysował się jaskrawo, jak nigdy przedtém.

Królowi, wracającemu z za Dniepru do Wilna miało się dostać w spuściznie wykończenie rozpoczętéj nieszczęśliwie pracy. A było tam wiele do zrobienia. Kiedy Jan Kazimierz stanął w Wilnie 15 maja (2) i rozpatrzył się w sytuacyi, znalazł stosunki w stanie bardzo niepomyślnym i naprężonym. W Wilnie miała się odbyć rada senatu w. ks. litewskiego. Tymczasem większa część senatorów wymawiała się od udziału w zjeździe, zasłaniając się tém, że polscy dygnitarze do narady nie zostali zawezwani. Właściwym motywem tego ociągania się miała być wedle de Lumbres'a (3) intryga Lubomirskiego, który wmawiał w panów litewskich, że zamiarem dworu jest skłaniać ich do obioru następcy tronu. Sapieha również wydawał się znowu stanowczo niechętnym dworowi. I on bowiem wzbraniał się stawić w Wilnie: unikał wyraźnie zetknięcia z królem, stroniąc przezornie od wszelkich miejscowości, którędy ten miał przejeżdżać. Pokazało się, że niedawno bawił u niego prowincyał Franciszkanów w poselstwie od Lubomirskiego; od czasu odwiedzin tego zakonnika hetman zmienił zupełnie swe usposobienie dla dworu. Przypuszczano w kołach francuskich, że nie małą w tym zwrocie rolę grało niepo-

(1) T. Luk. XII, k. 100—11. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 15 Août, 1664.

(2) Kochowski, Ann. Pol. Clim. III. 207.—T. Luk. XII, k. 71: De Lumbr. à Louis XIV. Vars. 22 Mai, 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 71: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 22 Mai 1664.

myślne zakończenie wyprawy. Przedtém krępowała go niejaka obawa przed ramieniem królewskiém, które w razie zwycięskiego przebiegu wojny nabrałoby mocy żelaza: teraz, kiedy ten wzgląd ustąpił, żywił dumny magnat może śmiałą nadzieję, iż razem z Lubomirskim dość będzie miał siły, aby dyktować dworowi prawa na przyszłym sejmie i zgnieść kanclerza lit. przedmiot stały jego zazdrości, a nienawiści marszałka (1). Potwierdzało poniekąd te domysły opryskliwe postępowanie hetmana w obec senatu i króla. Nie dawno otrzymał Sapieha akt nominacyi na godność marszałka nadw. lit. dla syna swego, dzięki staraniom kanclerza (2) (zapewne Prażmowskiego), który mu ją wyrobił u dworu. Teraz rozsierdzony hetman odsyła ów akt nominacyi napowrót królowéj. Co więcéj, pisze list, pełen zapewnień uległości i przyjaźni do kanclerza kor. w przekonaniu, że Prażmowski ciągle jeszcze trwa w niechęci do Krzysztofa Paca.

Również Krzysztof Zawisza, marszałek w. lit. i starosta żmudzki Jan Karol Chlebowicz jawnie okazywali nieprzychylność ku tronowi. Ten ostatni ubiegał się o podskarbiowstwo w. lit., ale królowa sprzeciwiła się temu, mówiąc, „że nie tyle obawia się niechęci starosty, jak nieznośnego usposobienia i nienasyconéj jego chciwości: na takim urzędzie mógłby on narazić na ruinę i Litwę i całą spawę elekcyi“ (3)... Stąd znowu gniew i obraza Chlebowicza, stąd nowa nienawiść między niefortunnym aspirantem a Krzysztofem Zawiszą, któremu się dostał właśnie ów upragniony wakans. (Nowy ten dowód łaski królewskiéj nie przeszkadzał jednak p. Zawiszy liczyć się do obozu malkontentów, jak to zaraz niżéj zobaczymy). Nawet i Bogusław Radziwiłł, ten zubożały magnat, który z potrzeby ofiarowywał się z gotowością na każde skinienie królowéj i już przysłużył się dworowi kilku ważnymi doniesieniami, występował z żalami i wyrzutami. Nie podobało się księciu, że w wyniszczonych jego dobrach przeznaczono kwatery dla wojska wracającego z Zadnieprza. Tłómaczono mu, że nie dwór, lecz komisya osobna, rozmieszczała żołnierzy; ale książe nie dał się przekonać, aby się to stało bez wiedzy króla. I tu należało się domyślać powodów innych: owo niepowodzenie wyprawy moskiewskiéj mogło wpłynąć na zmianę usposobienia także i u Radziwiłła, podobnie, jak u Sapiehy i wielu innych (4).

---

(1) Ibid. u. s.

(2) T. Luk. XII, k. 71. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 22 Mai, 1664. (Nie podano tu, który kanclerz, ale zapewne koronny, bo litewski był przecież wrogiem Sapiehy).

(3) Ibid. u. s. (k. 72).

(4) T. Luk. XII, k. 74. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 22 Mai, 1664.

Taki stan rzeczy zastał Jan Kazimierz na Litwie po powrocie z Zadnieprza. To też cały czas swego pobytu w Wilnie od 15 maja do połowy nieledwie lipca poświęca on na załagodzenie sporów i uraz wzajemnych i przejednanie wzburzonych umysłów. „Ja tymczasem nie tracę tutaj czasu,“—pisze do królowéj 24 maja (1),—„lecz usiłuję na wszelkie sposoby pozyskać i zjednać sobie umysły tych tu panów, schlebiając im, to poufaląc się z nimi, a nie odmawiając także udziału w ich bankietach“... Od początku też wszystko szło wyśmienicie. Odbyły się trzy wielkie bale. Król na każdym był obecny. Pierwszy urządzał podskarbi Zawisza, drugi starosta Chlebowicz, trzeci Michał Radziwiłł, kasztelan wileński. Nadzwyczajna uprzejmość i łaskawe względy wymownego monarchy rozpromieniły wszystkich. „Na wieczorze u Radziwiłła“—są słowa króla (2) „pogodziłem całkowicie wśród szklanek i tańców starostę żmudzkiego z podskarbim, a nawet z wielkim kanclerzem litewskim, który mógłby wszystkie serca zjednać dla siebie, gdyby zechciał postępować nieco poufaléj z tymi panami, niż dotąd“... 24-go maja złożył królowi marszałek litewski (nowo-kreowany podskarbi) Zawisza wizytę i bawił z półtory godziny na audyencyi; długa rozmowa, wśród któréj nie obeszło się bez skarg i zażaleń, skończyła się pomyślnie. „Rozeszliśmy się,—powiada Jan Kazimierz (3),—„w najlepszéj w świecie komitywie.“ Nie tak szczęśliwie wiodło się jednak z samą głową Litwy, hardym, upartym i zaciętym w gniewie hetmanem. Sapieha ani myślał pokazywać się w Wilnie. Nasłał król do niego Jana Gnińskiego, podkomorzego pomorskiego, swojego sekretarza, człowieka zręcznego i wymownego, aby skłonił opornego magnata do przyjazdu na radę senatu wileńską albo do przesłania choćby swego zdania na piśmie (4). Podkomorzy wrócił 23 maja do Wilna (5), ale z czém, tego bliżéj nie wiemy. Podobno z niczém, bo król wkrótce potém otrzymał od Sapiehy list, w którym ten ostatni upiera się jeszcze stanowczo przy swojém (6). Jan Kazimierz dopomina się z tego powodu u królowéj, aby i ze swéj strony nie przestawała wpływać na hetmana. Radzi jéj wysłać Szczukę albo O. Cieciszewskiego: niech zbadają, czy nie da się sprowadzić Sapiehy choćby do Nowodworu. Tymczasem i Aleksander Naruszewicz, podkanclerzy litewski, nie dawał

(1) Vilna, 24 di Magio [1664]. Z teki dra Liskego. Nr. 14. (Oryginał).
(2) List J. Kaz. do Maryi Lud. etc. (patrz uw. poprzednią).
(3) Ibidem u. s.
(4) T. Luk. XII, k. 72: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 22 Mai, 1664.
(5) List J. Kaz. do Maryi Lud. Vilna, 24 Magio [1664]. Z teki dra Liskego Nr. 14
(6) List J. K. do Maryi Lud. Vilna 4 di Giunio [1664]. Oryg. w tece dra Liskego, 1664.

znaku życia. „Nie tylko że się tu nie zjawił,"—oburza się na niego Jan Kazimierz (1),—ale nawet nic a nic nie pisze, jakby nie wiedział, czy jestem na tym świecie, czy nie!"...

Królowa skłoniła naprzód Branickiego, marszałka nadw. kor., który przypisywał sobie wielki wpływ na Sapiehę, na Litwę, aby nań podziałał w tym samym duchu, co poprzednio Gniński (2). W takimże celu wyjechał w ślad za Branickim i biskup Prażmowski (3) ku wielkiemu niezadowoleniu Jana Kazimierza, który nie wiele wierzył w wymowę, a nawet dobre chęci kanclerza i obawiał się, że zamiast naprawić, wszystko gotów jeszcze popsuć, zwłaszcza, że dzielił z Sapiehą śmiertelną nienawiść do Krzysztofa Paca, mimo pozornéj z tym ostatnim zgody (4).

I tego nie wiemy, jak się sprawił Branicki. Prażmowski ze swojéj wyprawy wrócił dopiero w ostatnich dniach czerwca. „Znalazł on w wojewodzie człowieka, zupełnie opanowanego przez marszałka, nieczułego na wszelkie perswazye i upartego, jak muła" (5). Sapieha miał mu wyznać, że Lubomirski kazał go był przez owego Franciszkana przestrzedz, że dwór nosi się z zamiarem zgubienia go na równi ze zbrodniarzami, winnymi zabójstwa Gąsiewskiego, wyjawiał się z tém głośno, że nie może znieść kanclerza Paca raz dla tego, że tenże zanadto ulegle poświęca się interesom królowéj, a potém i stąd, że zdobył on sobie taką powagę i znaczenie na Litwie (*sic*!): nie taił też wielkiéj niechęci ku dworowi i królestwu (6). Nic nie pomogły przedstawienia i wybiegi Prażmowskiego, który na różne brał się sposoby, aby go przecież przejednać. Aby się wykręcić od wszelkich przyrzeczeń, czy też nie mogąc się pozbyć natarczywego kanclerza, zasłonił się hetman nareszcie pretekstem, jakoby był związany z przyjaciołmi przysięgą, iż nie zobaczy się z królem przed sejmem (7). Słowem, biskup nie wiele więcéj zdziałał u wojewody, jak inni, którzy przed nim u niego bawili (8).

---

(1) Ibid. u. s.

(2) T. Luk. XII, k. 79. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 6 Juin, 1664.

(3) Ibid. k. 87. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 26 Juin, 1664.

(4) List Jana Kaz. do Maryi Lud. A Grodna, ce 11 Juin, 1664. (Z teki dra Liskego Nr. 16). List ten pisany z *Grodna*. Król musiał do miasta tego zrobić tylko krótką wycieczkę (bliższéj o tém wzmianki nie ma w źródłach), bo listy tak poprzednie, jak i następne, mianowicie z 4-go i 13-go t. mies. pisane są z Wilna.

(5) List J. K. do Maryi Lud. Vilna, 25 di Giunio [1664]. Z teki dra Liskego, Nr. 18.

(6) T. Luk. XII, k. 88. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 26 Juin, 1664.

(7) T. Luk. XII, k. 88: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 26 Juin, 1664.

(8) List J. Kaz. do M. Lud. Vilna, 25 di Giunio [1664]. Z teki dra Liskego Nr. 18.

Tymczasem król pracował daléj nad swoją sprawą. Dobre porozumienie (przynajmniéj pozorne, bo czy szczere, wątpić pozwala niedaleka przyszłość) między kanclerzami obu połów rzeczypospolitéj zostało właśnie przywrócone (1).

Ostatni przyjechał nareszcie do Wilna i Naruszewicz, jeden z tych, którego hetman wymienił między związanymi ową rzekomą przysięgą z przyjaciółmi (widać, ile było prawdy w tym wykręcie Sapiehy) i okazał się nad wszelkie spodziewanie tak przychylnym dworowi, że król postanowił za pomocą niego raz jeszcze spróbować, czy Sapieha nie da się naprowadzić na pożądaną drogę (2). Nie wiemy na pewne, ale prawdopodobnie wpływom właśnie podkanclerzego, spokrewnionego z hetmanem, przypisać należy, że królik litewski zmiękł nareszcie i przychylać się począł do ustępstw. W pierwszych dniach lipca spełnia się ostateczne życzenie króla: Sapieha, dotąd „jak muł uparty“ zjeżdża w sobotę d. 5 pod. mies. do Żurowic, gdzie dwór się umyślnie zatrzymał w drodze z powrotem z Wilna do Warszawy. Pierwszego dnia ograniczono się na ogólnych tylko komplementach. Na drugi dzień, w niedzielę, po mszy i kazaniu, które cały ranek zajęło, prosił hetman o audiencyę. Miała się ona odbyć popołudniu; lecz ponieważ król wpołudnie dawał obiad i przebrał przytém nieco (jak sam wyznaje) miarę w kielichach, więc odłożono ją do dnia następnego. W poniedziałek zatém zrana był Sapieha na posłuchaniu; rozmowa skończyła się bardzo pomyślnie i ku obopólnemu zadowolnieniu (3). Tegoż dnia po audiencyi (7-go lipca) umyślił król puścić się niezwłocznie w dalszą podróż; ale dzień przedtém zjechał był do Żurowic Prażmowski i wymógł to na nim, że przeczeka jeszcze cały poniedziałek, zapewniając, iż dnia tego przybędą za nim niewątpliwie kanclerz i marszałek wielcy litewscy. Zawisza przybył istotnie 7-go zrana; ale kanclerza czekano dzień cały. Pojawił się on dopiero późnym wieczorem (4). Staraniem króla przyszła wówczas do skutku zupełna (ale czy trwała, zobaczymy późniéj) zgoda między Pacem a Sapiehą. Hetman nie szczędził zapewnień uległości i wierności, miał nawet przychylnie przyjąć propozycyą króla co do małżeństwa własnéj córki z hetmanem polnym Michałem Pacem, celem zacieśnienia przez ten akt związków przyjaźni między obu domami. Nie oświadczył się on wprawdzie jeszcze otwarcie za planem

---

(1) T. Luk. XII, k. 90. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 3 Juill. 1664.

(2) List J. Kaz. do Maryi Ludwiki etc. u. s.

(3) List J. K. do M. Lud. Żurowice, il 7 di Giulio [1664]. Z teki dra Liskego, Nr. 19.—T. Luk. XII, k. 96. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Juill. 1664.

(4) List J. Kaz. do M. Ludw. etc. u. s.

królowéj w sprawie elekcyi, ale już i to uważano w kołach dworskich za sukces znakomity, że się udało potężnego pana rozdwoić z Lubomirskim i w ten sposób ostatniemu odjąć możność dalszego podburzania Litwy (1).

Tak pomyślnie zakończywszy dzieło, opuszcza Jan Kazimierz 8 lipca Żurowice i pośpiesza wprost do Warszawy, gdzie 14-go staje nareszcie po całorocznéj nieledwie nieobecności (2).

Dwór i królowa wyczekiwali niecierpliwie powrotu króla. Dawał się czuć dotkliwie brak człowieka, który—bądź co bądź—był głową państwa. Witano go więc z zadowoleniem i z radością tém większą, że nad Koroną zawisły chmury i sytuacya zaczynała być groźną. Bo oto —kiedy na wschodzie burzy się jeszcze chłopstwo, rwą układy z Rosyą, a z drugiéj strony potężni sąsiedzi knują tajne spiski i gotują się do czynnéj interwencyi, nie tając wrogiego usposobienia, w rzeczypospolitéj podnoszą równocześnie głowę żywioły wsteczne, malkontenci jawnie nastają na dwór i koronę, a ich prototyp, książe-magnat tworzy państwo w państwie z roznamiętnionych tłumów i jakby nie było nad nim pana, ogłasza od siebie manifesty i uniwersały, zarządza samoistne zjazdy szlacheckie, gromadzi wojsko i zbroi się na własną rękę. Paszkwile, pisma bezimienne jątrzą i zaogniają namiętności stronnictw: nic w nich nie uszanowano, dygnitarstwo świeckie, duchowne, ani nawet majestat królewski (3)...

Ale nie cały horyzont był tak posępny i ciemny: od Francyi i Litwy jaśniała teraz pełna pogoda. Stronnictwo dworskie wzmogło się licznymi członkami: cały senat litewski zdawał się dzielić przekonania królowéj. I znaczny kontyngens przyjaciół z Korony nie bardzo dawno powiększył się o jedną znamienitą osobistość: biskup bowiem kujawski, Fl. Czartoryski, wahający się długo między partyami, przechylił się jeszcze z końcem maja na stronę królowéj po owém zajściu na sejmiku proszowskim, gdzie to brat jego, ubiegający się o krakowskie podkomorstwo, poniósł klęskę w skutek intrygi marszałka. A biskup kujawski to najpierwszy po prymasie dygnitarz duchowny: on w nieobecności arcybiskupa gnieźn. koronuje króla. Czartoryski nadto cieszył się wielkiém poważaniem między szlachtą, nie tylko, jako potomek dawnych książąt litewskich, lecz głównie dla zacności charakteru i rozległéj wiedzy (4).

---

(1) T. Luk. XII, k. 96. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Juill. 1664.
(2) Ibid. u. s.
(3) T. Luk. XII, k. 106. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 8 Août 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 75. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Mai 1664.

W takiéj to chwili, kiedy z jednéj strony rozjątrzenie między stronnictwem francuskiém a Lubomirskim doszło do takiego stopnia, że o ugodzie myśléć było niepodobna a stosunki w takiém naprężeniu dłużéj też utrzymać się nie mogły i lada chwila otwartym groziły wybuchem (1),—z drugiéj zaś powodzenie króla między Litwinami, nadzieja pomocy szwedzkiéj i zapewnienia uroczyste Ludwika XIV dodawały otuchy dworowi a poczucie bezpieczeństwa i siły wzmacniały w obojgu królestwie—rodzi się pierwszy raz myśl śmiała usunięcia głowy opozycyi, marszałka w. kor., środkiem stanowczym, ale przecież możliwym, bo na pozorach legalności opartym, to jest drogą sądową (2). Wytoczy się mu proces o zdradę stanu, a jeśli zapadnie wyrok potępienia, runie wówczas znaczenie i potęga magnata i największy nieprzyjaciel ulegnie bezsilny, pozbawiony na zawsze możności dalszego knowania intryg na szkodę tronu i Francyi! (Takie było przynajmniéj przekonanie u dworu).

Od chwili, kiedy plan ten uśmiechnął się królowéj, staje się on głównym celem wszystkich jéj działań i zabiegów, zagarnia odtąd wszystkie siły stronnictwa: wobec niego inne kwestye i sprawy ustępują na plan drugi i trzeci. I już u wstępu, zanim Marya Gonzaga podzieliła się nową myślą z całém stronnictwem, nim przedsięwzięcie całe znalazło aprobatę królewską, zaszły pomyślne okoliczności, które ją utwierdziły w powziętym zamiarze. Oto udało się królowéj pozyskać, dzięki własnéj wymowie i większéj jeszcze wymowie pieniądza, Świderskiego, byłego marszałka konfederacyi wojskowéj (3). Obietnica pensyi 3.000 franków i natychmiastowa wypłata pierwszéj raty zdziałały cuda: Świderski wygadał się z wieloma rzeczami, poczynił ważne zeznania i podał wreszcie wszystko, co zeznał, na pi-

(1) T. Luk. XII, 93. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 10 Juill. 1664.—Ibid. k. 106. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 8 Août, 1664.

(2) Przytoczymy najpierw dwa miejsca, gdzie myśl ta zaznaczona jest tylko ogólnie.—T. Luk. XII, k. 87. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 26 Juin, 1664: „On avisera pourtant aux moyens *de pousser à bout le maréchal*, étant autrement malaisé de rien faire qui vaille dans la diète.“—Podobnież T. Luk. XXXIII, k. 92: Condé [à M. de Noyers]. Chantilly, 5/IX, 1664.—Jasno zaś i wyraźnie wypowiedziany plan ten znajdujemy pierwszy raz w liście de Lumbres'a do Ludwika XIV (T. Luk. XII, k. 93) z Warszawy, d. 10 lipca, 1664: „Quoiqu'il en soit, les écrits qui courent librement de part et d'autre sont si piquants et si satiriques et les choses en sont venues à un point, que la cour et le grand-maréchal se sont rendus irréconciliables et qu'il est malaisé qu'ils ne rompent avec éclat principalement, *si on lui donne la citation à la diète pour répondre à tous les points dont on le charge, ainsi que la reine éstime être à propos de faire*, ne croyant pas qu'il y ait plus de mesures à prendre avec lui ni de conseils à embrasser“...

(3) T. Luk. XII, k. 96: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Juill. 1664.

śmie (1). Miały się tam znajdować fakta, silnie obciążające Lubomirskiego, bo Kondeusz nawet znajdował ten dokument wielce ważnym i doniosłym (2). Za tym sukcesem przyszedł drugi: sprowadzono do Warszawy owego mnicha, którego Lubomirski wysyłał niegdyś do Litwy: badany poczynił i ten także pewne zeznania co do intryg marszałka w w. księstwie litewskiém (3).

W tych okolicznościach król przyjął w zupełności myśl królowéj. W połowie sierpnia miała się odbyć rada senatu w Warszawie: otóż postanowiono, że przy zjeździe wybitniejszych stronników francuskich sprawa pozwania marszałka przed sąd sejmowy zostanie z nimi bliżéj omówiona i plan dalszego postępowania w téj mierze ostatecznie ułożony. Rada senatu rozpoczęła swe posiedzenia 18 sierpnia. Zjechało na nią oprócz obu kanclerzów i podskarbiego w. kor. pięciu biskupów, pięciu wojewodów i tyluż kasztelanów. Zjazd nie był więc wielki. Prymasa zatrzymała w łóżku choroba. Marszałka nawet nie zaproszono: kiedy rozprawiano nad tém na pierwszém posiedzeniu rady, czy nie wypadnie go przecież bądź co bądź zawezwać, król się stanowczo sprzeciwił (4). Głównym przedmiotem obrad senatorskich była redakcya propozycyi królewskiéj, którą się następnie miało przedłożyć przyszłemu sejmowi do rozważenia. Oznaczono daléj na otwarcie sejmu dzień 26 listopada; termin opóźniony umyślnie dla tego, że partyi dworskiéj zależało na obiorze kilku uległych królowi posłów deputatów z trybunału lubelskiego: ponieważ zaś kadencya trybunału kończyła się dopiero 4-go października, a wybory posłów musiały się odbyć co najmniéj na sześć tygodni przed rozpoczęciem sejmu, więc w razie przyśpieszenia terminu nie starczyłoby już czasu na legalne ich przeprowadzenie (naturalnie w rzeczonym trybunale) (5).

Poseł cesarski, który już był królestwo pożegnał i zabierał się do odjazdu, na wieść o zjeździe senatu przedłużył swój pobyt w Warszawie, aby jeszcze być świadkiem tych obrad. Kiedy jednakowoż senat załatwienie żądania jego co do pomocy przeciwko Turkom odłożył do sejmu głównego, nie czekając dłużéj odjechał do Wiednia 26 sierpnia (6).

Tymczasem zgromadzeni w Warszawie poufni stronnicy królowéj rozbierali kwestyę dalszego postępowania w sprawie elekcyi

(1) T. Luk. XII, k 99. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 24 Juill. 1664.
(2) T. Luk. XXXIII, k. 92. Condé [à M. de Noyers]. Chantilly, 5/IX, 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 106. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 8 Août 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 112. De Lumbres, à Louis XIV, Vars. 21 Août 1664.
(5) T. Luk. XII, k. 115: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août. 1664.
(6) T. Luk. XII, k. 115: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août 1664

i Lubomirskiego. Trzeba było nareszcie rozstrzygnąć, czy pozwać marszałka przed sąd sejmowy, czy jeszcze zatrzymać sprawę w zawieszeniu. Czas był ostateczny: miesiąc ledwie pozostawał do namysłu, bo w październiku rozpocząć się miały sejmiki wyborcze. Zdania były podzielone: nawet królowa wahała się, nękana rozmaitemi wątpliwościami i obawami (1). Ostateczną decyzyę przeciągał głównie biskup krakowski, który zjawił się na dworze z ofiarą pośrednictwa między dwoma obozami. Trzebicki od dawna, bo jeszcze od początku wojny szwedzkiéj, zdecydowanym był stronnikiem cesarza. Żył on dłuższy czas w rozdwojeniu i niezgodzie z marszałkiem; teraz wspólność interesów i sympatyi austryackich zbliżyła zapewne do siebie napowrót obu tych ludzi, bo od maja r. 1664 począwszy widzimy ich zawsze działających w porozumieniu. Lecz jeśli Lubomirski postępował stale z pewną bezwzględnością, nie oglądając się na nic i na nikogo: to wszystkie czynności Trzebickiego cechuje usilne dążenie do pokojowego załatwienia sprawy, do załagodzenia wszelkich sporów na drodze układów, ale naturalnie układów takich, któreby nie naruszyły interesów cesarskich. Dlatego będziemy Trzebickiego przez cały rok spotykać w jednéj i téj saméj zawsze roli medyatora. Jako taki działa on już po części w maju przed wyjazdem z Warszawy na pożegnalnéj audiencyi u królowéj (2); teraz jednak występuje z całkowitém pełnomocnictwem i z jasno wytkniętym programem. Nie szczędząc czasu i wymowy usiłuje przekonać króla i królowę, o dobrych chęciach marszałka: zapewnia, że Lubomirski na przyszłość wszystkie swe siły poświęci interesom dworu. Zabiegi te były już jednak spóźnione, przyrzeczenia nie wywarły żadnego skutku. Królestwo okazali się niewzruszonymi. Wiedziano, że jeśli Lubomirski rzeczywiście myśli o zgodzie, to tylko z obawy, aby dwór ostatecznych przeciw niemu nie chwycił środków (3). Pytano biskupa, jaką może dać rękojmię, że marszałek dotrzyma przyrzeczeń i zechce w nich wytrwać na długo, on, który już tyle razy sprawił zawód dworowi i złamał niejednokrotnie uroczyste zobowiązania. Napróżno wystawiał Trzebicki, że już to samo niemałą będzie korzyścią, jeśli Lubomirski, związany ugodą, ważności sejmu nie skazi swoją intrygą: odpowiedziano mu na to, że dwór nie myśli robić ugód połowicznych, na jeden albo dwa tylko miesiące, że zresztą ufać nie może marszałkowi nawet i w razie ugody, bo jakaż pewność,

(1) T. Luk. XII, k. 112. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 21 Août 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 75: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 29 Mai 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 112: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 21 Août 1664.

że i wtedy zachowując pozory przychylności nie przestanie mącić sejmu tajemnie, przez drugie osoby (1)? Jedném słowem misya Trzebickiego zupełnie się nie powiodła: kwaśny i niekontent, że chybił celu, który obiecywał sobie (jak się de Lumbres dowiedział) osiągnąć bez trudu, opuścił biskup z końcem sierpnia Warszawę (2).

Dwór, niechciał zatém, jak widzimy ani myśléć o zgodzie. Jeśli dotąd wahano się co do ostatecznego kroku, to jest sądownego zapozwania marszałka, to jedynie ze względu na niepomyślną sytuacyę polityczną rzeczypospolitéj i w obec obaw, jakie nasuwały stosunki marszałka z zagranicą. Na Ukrainie ciągle jeszcze trwały niepokoje i rozruchy. Sejm przypadał właśnie na czas, kiedy wojska bawiły wszędzie na leżach zimowych: mieli zatém sąsiedzi, cesarz i elektor armię nieczynną i gotową do działania pod ręką i zachodziła obawa, czy nie zechcą jéj użyć do wywarcia nacisku na sejm, do wymuszenia na senatorach wyroku, wyzwalającego marszałka. Brakło też jeszcze dostatecznych przeciw niemu dowodów; nie było pewności co do zapatrywań na tę sprawę większości senatorów, jak nawet prymasa Leszczyńskiego, a od tego zależało powodzenie całego przedsięwzięcia, bo w razie rozstrzelenia wotów w sądzie większość jednego głosu na korzyść marszałka wystarczyłaby, aby dać możność oczyszczenia się od zarzutu zbrodni stanu za pomocą przysięgi. Ostatecznie jednak uradzono, że nie pozostaje inna droga wyjścia, jak sądowne ściganie znienawidzonego przeciwnika. Uspakajano się nadzieją, że jeszcze się wynajdą cięższe zarzuty, że i reszta senatu, chwiejna dotąd, da się przejednać dla sprawy królowéj: a jeśli senat stanie przeciw Lubomirskiemu, to nie ma wątpliwości że wyrok potępiający zostanie przez większość sądu potwierdzony, bo oprócz senatorów zasiędzie w nim ośmiu deputatów stanu szlacheckiego, mianowanych przez marszałka sejmu. Dość było więc przeprowadzić wybór marszałka z pomiędzy stronnictwa francuskiego, aby i deputatów mieć przychylnych dworowi (3).

W pośród tych rozpraw, podczas rady senatorskiéj i bezpośrednio po niéj (senat skończył swe obrady w ośmiu dniach, a więc około 26 sierpnia (4)) toczyły się też dalej układy z posłem szwedzkim. Dotąd rozbijało się wszystko o ten skrupuł, że Szwecya żądała, aby traktat, jeśli przyjdzie do skutku, został ratyfikowany przez sejm główny, a i królowa i senatorowie wątpili bardzo, czyli szlachta na

(1) T. Luk. XII, k. 114: De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 22 Août 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 115: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 115—16. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août 1664.
(4) Ibid. u. s. (k. 116).

szwedzko-polski związek, dworowi tak potrzebny, zgodzić się zechce. Otóż na audiencyi u królowéj i na pierwszéj konferencyi z komisarzami, których mu wyznaczono do dalszego traktowania sprawy, Palbicki, dotąd postępujący z wielką restrykcyą, złożył nareszcie zapewnienie, że Szwecya gotowa jest w dwa miesiące po zawarciu traktatu wystąpić czynnie przeciw Rosyi, nie czekając wymiany ratyfikacyj. Rada senatu oświadczyła się w obec tak pomyślnych warunków niezwłocznie za przymierzem. Jeden tylko Trzebicki oponował (1). Tymczasem jednakże poseł szwedzki nie długo wytrwał przy swojém zapewnieniu. Na drugi dzień, kiedy de Lumbres udał się do niego, jako uproszony na pośrednika, począł Palbicki wycofywać swoje oświadczenie, dawnemi ogólnikami wymijając wszystkie zarzuty. Kanclerz w. kor. miał mu powiedzieć, że traktat bez ratyfikacyi nie posiada żadnego znaczenia. Nie wypada mu więc krępować Szwecyi zobowiązaniami, jeśli nie widzi rękojmi, że i druga strona ich dotrzyma. Układy wróciły zatém do takiego stanu, w jakim się znajdowały na początku. Komisarze nie mogli traktować na innych warunkach, jak te, które dopiero co rada senatu jako normę przyjęła (2). Nic nie pomogły przedstawienia, czynione posłowi, że jeśliby chciał czekać ratyfikacyi, to nie będzie mogła sprawa przyjść do skutku w bieżącym roku, bo w kraju zanosi się na burzę i sejm niezawodnie zostanie zerwany; napróżno powoływano się na przykłady że ilekroć jakie państwo zawierało przymierze z rzeczpospolitą, przystępowało natychmiast do działania w myśl takowego, nie czekając potwierdzenia sejmu. Poseł szwedzki obstawał przy swojém (3), ba nawet wystąpił nareszcie z zastrzeżeniem, że Szwecya spodziewa się, iż w zamian za korzyść, jaką Polska przez ten traktat osiąga, i senat poczyni nawzajem jakieś ustępstwa (4). Po długich naleganiach i zabiegach de Lumbres'a, dał się Palbicki zaledwie nakłonić do przyrzeczenia, że przedstawi rządowi swemu żądania dworu polskiego i będzie je ze swojéj strony popierać (5). W niczém nie ustąpiwszy, z tém jedyném gołosłownem przyrzeczeniem, odjechał też poseł 11 września do Sztokholmu (6).

Z całego postępowania Palbickiego widać, że Szwecya nie miała bynajmniéj tak wielkiéj ochoty do ustępstw i nie zdradzała wcale ta-

(1) T. Luk. XII, k. 119. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 29 Août 1664.
(2) T. Luk. etc. u. s. (k. 120).
(3) T. Luk. XII, k. 121. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 29 Août 1664.
(4) T. Luk. etc. u. s. (k. 122—3).
(5) T. Luk. XII, k. 126: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 4 Sept. 1664.
(6) T. Luk. XII, k. 128. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 11 Sept. 1664.

kiéj gotowości do popierania interesów francuskich w rzeczypospolitéj, jak to pewny siebie Ludwik XIV w listach swoich zapowiadał...

Stronnictwo dworskie było na tyle przezorne, że nie rozpuszczało wieści o niepowodzeniu tych układów: owszem podtrzymywało opinię o dobrém ich zakończeniu. Dlatego też, mimo że właściwie między stronami traktującemi do niczego stanowczego nie przyszło, w Polsce w kołach, poza dworem stojących, powszechne było mniemanie, że przymierze szwedzko-polskie tajemnie zostało zawarte i należało już do faktów dokonanych; a i to w braku rezultatów pozytywnych było królowéj w dalszém działaniu bardzo na rękę.

(*d. c. n.*) *Wiktor Czermak.*

Z WIKTORA HUGO

SUMIENIE.

(LEGENDY WIEKÓW. II).

Gdy z dziećmi, co na siebie skóry zwierząt wkładły,
Kain, z włosem rozwianym w błyskach burzy, zbladły,
Przed Pańskim pierzchał gniewem strasznie grzmiącym z góry,
Na schyłku dnia, o zmroku, przybył człek ponury
Do stóp szczytu, a ten się piętrzył wśród przestrzeni—
Wtedy żona i syny wielce utrudzeni
Rzekli mu: — Ledz i spać tu czyż nam ziemia wzbroni?—
On, snu nie znając, dumał. Wtém, gdy uniósł skroni,
Spojrzy, a oto z głębi niebios gdzieś, szeroko
Rozwarte, w smutnych nocy cieniach świta oko,
I bystro w niego patrzy. Zaczem, czując dreszcze,
Rzekł on do siebie: — Jestem nazbyt blisko jeszcze.—
Więc zbudził śpiące syny, z sił opadłą żonę,
I jął daléj w przestwory dążyć zamroczone,
I tak szedł dni trzydzieści, nocy szedł trzydzieści,
Szedł niemy, blady, trwożny wszystkiém co szeleści,
Skradając się, za siebie nie śmiąc pójść oczyma,
Snu nie znając, ni wczasu — aż go wreszcie wstrzyma
Brzeg morski, kędy późniéj były Assur kraje.
— To jest miejsce bezpieczne — rzekł — i tu zostaję,
Bośmy doszli ostatka dróg przy świata kresie.—
Wtém, gdy siadając, wzrok swój w mroczne nieba wzniesie,
Spojrzy — a tam jak wprzódy oko tkwi złowieszcze.....
Wtedy go rozebrały czarnéj nocy dreszcze.
— Skryjcie mię! — wołać począł. — Do ust cisnąc palce,
Patrzą wnuki, jak dziad się zatrząsł twardy w walce.—
Rzekł Kain do Jabela, ojca nad tych zgrają,
Co się w jurtach z wojłoku wpośród puszcz tułają:

— Rozciągnij-no z téj strony płaty twe szersciane.—
Więc zdziałano jak żądał tę drgającą ścianę,
A gdy wag ołowiami wryto ją z ukosa:
— Cóż? nie widzisz nic? — rzekła Tsilla płowowłosa,
Cór jego córa — gładka, jak już nie ma gładszéj.
A Kain odpowiedział: — Oko to wciąż patrzy.—
Wtedy Jubal, tych ojciec, którzy w gród osiadły
Wchodzą, w trąby dmąc, oraz czyniąc zgiełk brzękadły,
Zawołał: — Precz z przegrodą, wiotką jako trzcina!—
Więc, ulawszy mur z brązu, dał go przed Kaina.
A ten mówił: — To oko ciągle patrzy we mnie.—
Rzekł Henoch: — Trzeba dźwignąć wieżyc gęste ciemnie,
Tak straszliwe, by nikt tam nie śmiał podejść zbliska.
Zbudujmy gród i groźne ze wszech stron grodziska.
Zbudujmy gród, a potém zamkniem go najszczelniéj.—
Więc Tubalkain, z ludźmi młota oraz kielni,
Wzniósł miasto tak ogromne, że aż nadczłowiecze.
A tymczasem, ród jego, na płaszczyznach siecze
Plemię Enos i dziatwie Seth na karki skoczy,
I każdy kto szedł tędy miał wydarte oczy,
Wieczorem zaś ku gwiazdom posyłano strzały.
W miejsce płacht namiotowych granit stanął trwały,
Żelaznemi węzłami bryłę z bryłą spięto,
I gród zdawał się rzeczą z piekła wyzioniętą.
Cień wież jego na pola zmrok zarzucał szary,
Głazom dano i grubość gór i ich wymiary,
Nad drzwiami zaś wyryto: — Niech się Bóg nie waży
Wejść tu! — Gdy już ustała czynność kamieniarzy,
W zrąb warowni środkowéj wprowadzono dziada.
Ten zaś milczał, zdziczały. Wtedy Tsilla blada:
— Mój ojcze, czy już znikło? — rzekła czując mrowie.
— Jest zawsze jak i było — Kain jéj odpowie.
Wtedy rzekł: — Chcę wśród głuchych mieszkać gdzie podziemi,
Jak samotnik z myślami pogrzebany swemi —
Niech mię już nic, ni ja też nic nie widzę zgoła! —
Więc wiercono głąb w skale, aż on: — Dość! — zawoła.
Poczém, sam jeden zstąpił w czeluść zamroczoną.
A kiedy siadł, i kiedy nad nim już zwalono
Głaz, od czego do szczętu zgasła światłość sina —
Oko tkwiło w sklepieniu, patrząc wciąż w Kaina. —

Felicyan.

PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA. (1)

4. „Postrzeganie jest pierwszém walném źródłem poznania. Jest ono atoli czynnością chwilową, i gdybyśmy byli ograniczeni do samego tylko zmysłowego poznania rzeczy, poznanie to nie miałoby żadnéj trwałości. Istnienie poznania trwałego zależy na tém, że wrażenia, jakich umysł doznaje w postrzeganiu, pozostają w nim i przechowują się nawet po usunięciu przedmiotu. Innemi słowy, postrzeżenie zostaje w umyśle przechowywaném w pewien sposób i nadal. Formą, w jakiéj postrzeżenie objawia się, gdy odpowiadający mu przedmiot jest nieobecny, jest obraz umysłowy, umysłowe jego przedstawienie." Przedstawienie to nazywa się w naszym języku wyobrażeniem.

Od wyobrażenia należy odróżniać tak zwany po-obraz, który, będąc bezpośredniém następstwem postrzeżenia, zależy od tego, że rozbudzone w ośrodkach nerwowych działanie nie ustaje od razu. Wyobrażenie tém głównie odznacza się, że posiada pewną trwałość i może się wznawiać, odtwarzać po znacznym przeciągu czasu od chwili, w któréj miało miejsce postrzeżenie.

Wyobrażenie zachodzi w tych samych ośrodkach nerwowych, co i postrzeżenie i fizyologicznym jego współczynnikiem jest także sama odmiana nerwowa, jaka towarzyszyła postrzeżeniu, tylko że odmiana ta powstaje tym razem niezależnie od obwodowych podrażnień, które są koniecznym warunkiem postrzegania.

Zdolność wznawiania, odtwarzania wrażeń i postrzeżeń przedtém doznanych, nazywa się wyobraźnią. Na niższym stopniu swego rozwoju wyobraźnia jest odtwarzającą. Wyższy jéj stopień stanowi wyobraźnia twórcza.

(1) Ob. zeszyt wrześniowy „Ateneum", str. 471—494.

Działanie wyobraźni odtwarzającéj ogranicza się do powtórzenia w wyobrażeniu wszystkich szczegółów w tym samym porządku, w jakim były dane w postrzeżeniu. Do niéj więc zaliczyć potrzeba także ową sprawę umysłową, którą nazywamy pamięcią. Polega ona na zdolności zatrzymywania i zachowywąnia w umyśle wrażeń i postrzeżeń doświadczonych. Wznawianie zaś, wskrzeszanie nowych wrażeń i spostrzeżeń, stanowi osobną czynność umysłową, znaną pod imieniem przypomnienia.

Wyobrażenie różni się od postrzeżenia tém głównie, że będąc kopią tego ostatniego, jest od niego mniéj żywém i wyraźném—jakkolwiek w pewnych wypadkach—w złudzeniach—może ono wystąpić z siłą, równą postrzeżeniu.

W wieku dojrzalszym, podobnie jak każdemu wrażeniu rzeczywistemu towarzyszą wrażenia odtworzone, tak każdemu postrzeżeniu towarzyszy wyobrażenie. Poznać bowiem przedmiot, jestto utożsamić go z innym, dawniéj już poznanym i przechowanym w umyśle, jako wyobrażenie.

Doskonałość wyobrażenia polega na jego jasności, wyrazistości i dokładności. Wszystkie szczegóły wyobrażenia powinny przedstawiać się jasno; samo zaś wyobrażenie, jako całość, musi wyraźnie odróżniać się od innych. Ponieważ wyobrażenie jest tylko odtworzeniem postrzeżenia, ma ono być dokładném, t. j. zawierać w sobie wszystko, co było daném w postrzeżeniu i być wolném od wszelkiéj przymieszki obcych pierwiastków.

Zdolność odtwarzania w umyśle, czyli przypominania wrażeń i postrzeżeń dawniéj doznanych, zależy od dwóch warunków: od głębokości wrażeń i od kojarzenia.

Wrażenia i postrzeżenia, ażeby mogły się wryć głęboko w umyśle i pozostawić w nim niezatarte ślady, potrzebują częstego i to nie w wielkich odstępach czasu powtarzania, któremu by towarzyszyła pilna uwaga.

Żeby zaś wyobrażenia mogły się odtwarzać, wskrzeszać, potrzebną jest obecność czegoś, coby je przypominało, co by je nasuwało na myśl. Ażeby np. odtworzyć sobie w umyśle rysy znanéj nam osoby, wystarcza wymienienie jéj nazwiska. Widok miejsca przywodzi na pamięć zdarzenie, jakie na niém zaszło. To wiązanie się z sobą wyobrażeń w grupy, mocą czego jedno z nich przypominiane pociąga za sobą przypomnienie innych, stanowi sprawę umysłową, zwaną kojarzeniem czyli asocyacyą.

Wyobrażenia kojarzą się w dwojaki sposób: na mocy zetknięcia, czyli przyległości i przez podobieństwo. Jeżeli dwa przedmioty leżą obok siebie, to postrzegając jeden z nich, postrzegamy zarazem

i drugi. Ta współbytność przedmiotów, nastręczając się często naszéj uwadze, ustala między odpowiadającemi im wyobrażeniami pewien związek, wytwarza w nich skłonność do jednoczesnego wznawiania się. W ten sposób, gdy jedno z nich jest daném, natychmiast i drugie samorzutnie, z mechaniczną koniecznością, po niém następuje. To samo dzieje się z dwoma wyobrażeniami, odpowiadającemi dwom zdarzeniom, które po sobie następują, czyli stykają się z sobą w czasie. Przypomniany poprzednik przywoływa na pamięć następnik. W odwrotnym porządku przypomnienie mniéj jest łatwem. Mając dany następnik, nie zawsze możemy przypomniéć jego poprzednik.

Co się powiedziało o dwóch wyobrażeniach, należy rozumiéć i o większéj ich ilości. Za pomocą kojarzenia układają się one w mniejsze i większe grupy, w szeregi pojedyncze i złożone.

Fizyologiczną podstawą kojarzenia jest fakt, że dwa lub więcéj pierwiastków nerwowych, działając często wspólnie, nabierają usposobienia do działania jednoczesnego i nadal. Można przypuszczać, że między działającemi wspólnie ośrodkami nerwowemi wytwarzają się linie nerwowych pobudzeń, za pomocą których to linii działanie jednego ośrodka udziela się natychmiast innym.

Kojarzenie nie ogranicza się zresztą do samych tylko wyobrażeń i pojęć, zagarnia ono pod siebie także uczucia i działanie, słowem, wszystkie stany umysłu. Jest ono więc prawem umysłu ogólném. W każdym razie nie jest ono niczém więcéj, jak dążnością, która nie zawsze się objawia i nie w każdym przypadku odznacza się tą samą siłą. Energia jego zależy od tego, jak często pewne wyobrażenia występowały w jednéj grupie, jak często ich kojarzenie powtarzało się, a następnie, jaki rodzaj uwagi towarzyszył ich powtarzaniu. Szczególne w tym razie ma znaczenie uwaga łącząca (*conective*).

„Porządek naszych wyobrażeń nie całkiem zależy od porządku zewnętrznego. Do pewnego stopnia my sami ustanawiamy ów porządek za pomocą kierunku, jaki nadajemy naszéj uwadze. Żywe zainteresowanie się przedmiotem jest czynnikiem, który bardzo ważną rolę odgrywa w ustaleniu powstałych związków umysłowych. Uwidocznia się to jaskrawo, gdy porównamy odmienne wewnętrzne wypadki, jakie ten sam zewnętrzny porządek wrażeń wywołuje w różnych umysłach. Opowiadanie o tym samym wypadku dwóch osób, które zarówno były obecnymi jego świadkami, ale które znacznie różnią się od siebie stopniem wykształcenia, nie będą do siebie podobne. W opowiadaniu jednego brak będzie logicznego powiązania części — w opowiadaniu drugiego przeciwnie zachowany będzie

najściślejszy związek logiczny. Różnica ta pochodzi stąd, że uwaga człowieka niewykształconego będąc przeważnie automatyczną, kierowała się samą wrażliwością na zewnętrzne bodźce, podczas kiedy uwaga człowieka wykształconego będąc dowolną, kierowana była chęcią dokładnego powiązania szczegółów i zrozumienia.“

Większa część naszéj wiedzy składa się z oddzielnych szeregów kojarzeń, odpowiadających oddzielnym i powtarzającym się często szeregom faktów rzeczywistych. Do ważniejszych szeregów kojarzeń należą: symbole wzrokowe, wyobrażenia ruchów i mowa.

Do symbolów wzrokowych należą znaki muzyczne, litery i cyfry. Tylko drogą częstego powtarzania i pilnéj uwagi dochodzimy do takiéj wprawy w pojmowaniu owych symbolów, że widok znaku muzycznego, litery pisanéj lub drukowanéj, oraz cyfry przypomina w téj saméj chwili skojarzone z niemi znaczenia. Że doraźne ich pojmowanie jest dziełem przyzwyczajenia, dowodzi tego praca, z jaką nabywamy powoli biegłości w ich odczytywaniu.

To samo dzieje się i z ruchami, za pomocą których wykonywamy swe czynności. Każda nasza czynność poprzedzaną bywa mniéj lub więcéj wyraźném wyobrażeniem o ruchach, jakie są potrzebne do jéj wykonania. Wyobrażenie to kojarzy się z pewną czynnością tylko mocą często powtarzanego doświadczenia. Stąd każda czynność wymaga długiéj wprawy. Dodać wszakże należy, że ruchy mniéj silnie kojarzą się z sobą i z zamierzoną czynnością, niż symbole wzrokowe, i dla tego wykonywanie ich potrzebuje często pomocy wzroku, jak to np. dzieje się przy pisaniu.

Mowa ludzka przedstawia szereg kojarzeń bardziéj złożony i skomplikowany. Łączą się tu z sobą w jednę grupę dźwięki głosowe, odpowiednie im ruchy narządów głosowych, wzrokowe symbole i dopiero znaczenie, jakie do nich przywiązujemy. Ponieważ mowa jest główném narzędziem porozumiewania się z sobą ludzi, żyjących w społeczeństwie, przeto drogą ciągłego używania ustala się najsilniejszy związek między symbolami głosowemi, wyrazami, a odpowiadającemi im wyobrażeniami. Stanowi ona szereg kojarzeń najpotężniejszych.

Tak pojedynczym naszym wyobrażeniom, jak i ich grupom skojarzonym towarzyszy zawsze przekonanie, że odpowiadają one pewnym faktom rzeczywistym — jakoż odnosimy je zawsze, chociaż to odnoszenie nie zawsze jest wyraźne, do jakiegoś wypadku i do mniéj lub więcéj określonego czasu, w którym wypadek ów miał miejsce. Odnoszenie to wyobrażeń do pewnego czasu występuje w dwóch formach: pamięci, gdy wyobrażenie nasze odnosimy do faktu, który

się zdarzył w przeszłości, i oczekiwania, gdy je odnosimy do przyszłości, t. j. do faktu, który dopiero ma nastąpić.

Rozwój tak pamięci w powyższém znaczeniu, jak i oczekiwania idzie w parze z rozwojem wyobrażenia o czasie, które wtedy dopiero ustala się, gdy wytworzy się w naszym umyśle wyobrażenie o następstwie wydarzeń. To zaś wyobrażenie polega na tém, że uważając następujące po sobie wydarzenia, przedstawiamy je w umyśle razem, jako następujące po sobie w téj saméj chwili. Punktem oparcia dla takiego przedstawienia jest zwykle doświadczenie obecne, które odnosimy pospolicie do doświadczenia wyobrażanego, t. j. takiego, co albo już miało miejsce chwilę przedtém, albo jest oczekiwaném. — Wyobrażenie o następstwie wydarzeń służy za podstawę dla naszych wyobrażeń o przeszłości i przyszłości, oraz daje nam możność umiejscowiać w szeregu zdarzeń przeszłych nasze wspomnienia.

Jakoż wtedy dopiero, gdy pamięć rozwinie się w formie doskonale uporządkowanych wspomnień, występuje wyraźne samopoznanie, świadomość indywidualnéj tożsamości, jako idea stałego *ja*, istniejącego niezmiennie, pomimo licznych zmian codziennego doświadczenia. Ponieważ świadomość siebie wymaga znacznego rozwoju wyobraźni, dla tego też objawia się ona późniéj, niż świadomość rzeczy zewnętrznych.

Jakkolwiek kojarzenie na mocy przyległości obejmuje największą część faktów pamięci, nie jest ono jednakże jedyną jéj zasadą. Obok niéj występuje czynnie kojarzenie przez podobieństwo. Polega ono na tém, że dane wrażenie lub wyobrażenie przywołuje na pamięć inne, których doświadczyliśmy i które są do nich podobne. Doświadczenia, w ten sposób skojarzone, mogą być od siebie bardzo odległe tak pod względem czasu, jak i przestrzeni.

Niektórzy psychologowie obie te zasady starają się sprowadzić do jednéj, upatrując w przyległości podobieństwo, lub odwrotnie w podobieństwie zasadę przyległości. Takie jednakże sprowadzanie dwóch tych zasad do jednéj nie daje się usprawiedliwić. W większéj części kojarzeń czynnemi są oba te pierwiastki, są przecież i takie, w których występuje tylko zasada podobieństwa, jak np. gdy spotkawszy jakąś osobę, uznaję, że już ją kiedyś widziałem, że nie jest mi obcą. Zresztą ważna zachodzi różnica między kojarzeniem przez zetknięcie, a kojarzeniem przez podobieństwo. W kojarzeniach przez zetknięcie, które są czysto automatyczne, współczynniki przypomniane występują jako coś, co się zupełnie różni od czynnika przypominającego, gdy tymczasem w kojarzeniu przez podobieństwo ma miejsce utożsamianie, branie za jedno czynnika przypominającego i przypomnianego.

Zasada podobieństwa odgrywa ważną rolę w biegu naszych wyobrażeń. Wielkie pod tym względem znaczenie ma analogia uczuć. Pewna rzecz może nam przypomniéć drugą, niczém z tamtą niezwiązaną, tylko na pomocy tego, że obie one wywołują w nas to samo uczucie. To nam tłómaczy np. kojarzenie pewnych barw z pewnemi dźwiękami.

Zasada podobieństwa szczególniéj okazuje nam pomoc w nabywaniu wiadomości, jak np. w nauce języków. Wszelkie w ogóle nabytki poznania utrwalają się przez to, że je łączymy na zasadzie podobieństwa z zasobem wiedzy przez nas posiadanéj.

Co się tyczy zasady przeciwieństwa, to ta zbyt mały udział bierze w sprawach pamięci; główna jéj rola polega na tém, że podnieca ona naszą uwagę i pozwala przez to głębiéj wrazić w umyśle wrażenia i wyobrażenia, które są bądź niezwyczajne, bądź sprzeczne z temi, jakich zwykle doznajemy.

Kojarzenie wyobrażeń nie ogranicza się na układaniu ich w oddzielne szeregi, lecz po kolei same te szeregi łączy w większe grupy, które znowu wiążą się z sobą za pośrednictwem wspólnych wyobrażeń. Tym sposobem całe nasze poznanie, co więcéj—całe życie umysłowe składa się z gęsto przetkanéj sieci kojarzeń, któréj nici rozbiegają się w różnych kierunkach. Różne nici kojarzeń, zbiegające się do jednego punktu, stanowią kojarzenie zbieżne. Oznacza ono, że to samo wyobrażenie może być przypomnianem za pośrednictwem kilku nastręczających czynników. Przeciwnie, jeżeli jedno wyobrażenie, będzie skojarzoném z wielu innemi, nie mającemi z sobą nic wspólnego: mamy wtedy do czynienia z kojarzeniem rozbieżném, które ze względu, że utrudnia swobodny bieg wyobrażeń w rozpoczętym kierunku, może być uważane jako kojarzenie tamujące (*obstructive*).

Odtwarzanie wyobrażeń jest sprawą czysto mechaniczną, dokonywającą się mocą praw, rządzących kojarzeniem. Przykładem takiego biernego odtwarzania są marzenia, w których wola żadnego nie bierze udziału, w których jesteśmy biernymi świadkami przesuwających się obrazów. Czynném staje się ono dopiero wtedy, gdy za pomocą uwagi nadajemy mu kierunek pewny, kontrolujemy jego przebieg, usuwając na bok wyobrażenia, które nie mają związku z naszym zamiarem, a zatrzymując te, które uznajemy za potrzebne dla siebie. Najwyższy stopień czynnego przypominania osiągamy wtedy, kiedy z całą swobodą możemy wybierać z zasobu wiadomości naszych wyobrażenia, jakie na razie są nam potrzebne.

Zdolność przypominania bywa rozmaitą w różnych zakresach poznania. Rzeczy często powtarzające się i znajdujące w najbliż-

szém otoczeniu, przypominają się łatwo i bez wysiłku; inne zaś, z któremi rzadko się spotykamy, mogą być nawet całkowicie zapomniane.

Pamięć, jakkolwiek mówimy o niéj, jako o władzy pojedynczéj i niepodzielnéj, w gruncie rzeczy składa się z licznych części. Inną jest pamięć wzrokowa, a inną muzyczna. Co więcéj w zakresie téj samej pamięci zachodzą jeszcze liczne podziały. Jeden odznacza się pamięcią barw, drugi kształtów, trzeci znowu miejscowości. Człowiek, posiadający pamięć dźwięków muzycznych, nie koniecznie ma się również odznaczać pamięcią dla członkowanych głosów mowy.

W ogóle mówiąc, doskonałość pamięci w tym lub innym kierunku zależy tak od doskonałości narządów zmysłowych, jak i od plastyczności mózgu. Im który zmysł posiada wyższą zdolność odczuwania najmniejszych różnic, tam i pamięć w zakresie odpowiednich wrażeń jest większa. Co się tyczy plastyczności, to należy przez nią rozumiéć zdolność mózgu ulegania wszelkim zmianom pod względem swego wewnętrznego utkania — zmianom, które towarzyszą wszelkim sprawom umysłowym.

Pamięć u różnych ludzi bywa różną, nie tylko pod względem specyalnego kierunku, ale w ogóle, jako zdolność zachowywania nabytych wiadomości. Scaliger, Pascal dają nam przykład nadzwyczajnéj pamięci we wszystkich kierunkach; Vernet i Doré—pamięci kształtów, Mozart—pamięci dźwięków muzycznych. Że ważną pod tym względem rolę odgrywają przyrodzone różnice, nie ulega wątpliwości; ale również jest pewném, że wprawa, ćwiczenie spotęgowuje do wysokiego stopnia zdolność zapamiętywania. Jakoż faktem jest niezawodnym, że ludzie wykształceni odznaczają się znacznie większą pamięcią od ludzi niewykształconych.

5. Wyobrażenia, przechowywane w pamięci, ulegają zwykle bezwiednemu przeobrażeniu. Rzadko kiedy zdolni jesteśmy odtworzyć dokładnie minione wypadki, szczególniéj, jeżeli te są dość odległe. Zostawione przez nie w umyśle obrazy doznają licznych zmian. Jedne z ich części składowych wypadają całkiem z pamięci, inne znacznie zacierają się i przez to samo ulegają zmianom. Stąd następne wyobrażenia o tym samym przedmiocie zawierają już w sobie pierwiastki różnych pierwotnych obrazów. Dzieło przeobrażenia naszych wyobrażeń daléj jeszcze posuwa się za sprawą kojarzenia ich na mocy podobieństwa. Ten proces przeobrażania się naszych wyobrażeń, mocą którego zatracają one charakter kopii przedmiotów i zdarzeń rzeczywistych, stanowi istotę tego, co nazywamy twórczą wyobraźnią, albo fantazyą.

Działanie wyobraźni twórczéj objawia się w dwóch kierunkach: albo pomija ona niektóre szczegóły przechowanych w pamięci obrazów, albo też szczegóły różnych obrazów zestawia i układa nowe. Działanie to, początkowo bierne i czysto automatyczne, jak np. we śnie, albo w marzeniach dziecka, staje się świadomém i dowolném, gdy jest skierowane ku pewnemu celowi i przechodzi pod ścisłą kontrolę uwagi.

Materyałem dla wyobraźni twórczéj są naturalnie wrażenia i obrazy, zachowane w pamięci, czyli innemi mówiąc słowy, zakres doświadczenia. Po za ten zakres najbujniejsza fantazya wykroczyć nie zdoła, może ona swe obrazy tworzyć tylko z takich pierwiastków, jakich jéj pamięć dostarczyć zdoła. To też pierwszą czynnością twórczéj wyobraźni jest dokładne odtworzenie obrazów drogą kojarzenia. Wtedy dopiero rozpoczyna się właściwa czynność twórcza, polegająca na tém, że z dostarczonego przez pamięć materyału wybiera ona to, co odpowiada jéj zamiarowi i zatrzymuje w umyśle, wszystko zaś inne odrzuca. W téj czynności dwie sprawy należy odróżnić: naprzód jasne sformowanie zadania, a następnie poczucie tego, co temu zadaniu odpowiada. Stanowią one wytyczne punkty dla twórczéj czynności wyobraźni i wszelkie jéj wyrobki o tyle tylko mogą być doskonałemi, o ile się do nich jaknajściśléj zastosowują.

Czynność wyobraźni twórczéj rozwija się w trzech kierunkach: w zakresie wiedzy, kiedy jéj wytwory mają za zadanie ułatwić poznanie rzeczy; w życiu praktyczném, gdzie chodzi o poznanie, jak się rzeczy wykonywują, jakich środków trzeba dobierać do zamierzonego celu; w sztuce nareszcie, któréj powołaniem jest zaspokojenie potrzeb uczucia.

Rzecz jasna sama przez się, że rozszerzenie wiedzy naszéj po za granicę osobistego doświadczenia i obserwacyi nie może się obejść bez wyobraźni twórczéj. To, co nazywamy zwyczajnie uczeniem się, nie jest czynnością czysto pamięciową. Dla wyrozumienia słyszanych lub wyczytanych wyrazów potrzeba koniecznie jasno i żywo przedstawić sobie w umyśle obrazy przedmiotów i wypadków opowiadanych. Ponieważ poznanie zależy w ogóle na odróżnianiu i utożsamianiu, przeto ucząc się czegoś, musimy wszystko to, co jest nowém, odróżnić od nabytych przez nas dawniéj wiadomości, oraz wykryć w czém są do nich podobne. Otóż wytworzenie dokładnego i ściśle oznaczonego wyobrażenia nie może się dokonać bez udziału wyobraźni twórczéj. Ważniejszą atoli rolę odgrywa ona w umiejętnościach ścisłych. Ruch planet, obieg krwi, falowanie eteru, stanowiące istotę światła i ciepła, nie mogą być inaczéj pojętemi, jak za pomocą wyobraźni, działającéj na podstawie analogii z rze-

czami, dostępnemi zwykłemu postrzeganiu. Wyrozumienie i przedstawienie takich przedmiotów i procesów, które wymykają się z pod zmysłowéj obserwacyi, zależy głównie na sprowadzeniu pojęć abstrakcyjnych do konkretnych, na uwidocznieniu, uzmysłowieniu tego, co jest dostępném tylko rozumowi. Zadanie to staje się tém trudniejszém, że musi ono być wypełnioném za pomocą wyrazów, które same są z natury rzeczy ogólne i abstrakcyjne.

Odkryciom naukowym zawsze towarzyszy czynność wyobraźni twórczéj. We wszelkich poszukiwaniach umysł zawsze wznosi się od rzeczy znanych do nieznanych i tworząc domysł, wyprzedza doświadczenie. Nareszcie wszelkie hipotezy naukowe, za pomocą których wznosimy się do najwyższych uogólnień, ujmujemy w całość prawdy empiryczne, lubo muszą zawsze opierać się na doświadczeniu i muszą być téj natury, ażeby mogły być wcześniéj lub późniéj sprawdzone, są dziełem wyobraźni twórczéj.

W zakresie zadań praktycznych wyobraźnia rozpoczyna swe działanie od naśladowania, które się doskonali w miarę, jak nabywamy większéj mocy nad swemi ruchami. Nabyta wprawa w czynnościach naśladowczych pobudza umysł do próbowania dróg nowych, do wykrywania nowych sposobów wykonywania téj saméj rzeczy. To doświadczenie własnych sił prowadzi do wynalazków, w których objawia się właśnie potęga twórczéj wyobraźni w zakresie przemysłu ludzkiego.

Charakterystyczną cechą twórczości estetycznéj jest to, że towarzyszy jéj zawsze uczucie. Zadaniem jéj nie jest poznanie rzeczy, nie jest osiągnięcie praktycznego rezultatu, ale bezpośrednie zadowolenie, zaspokojenie uczucia przyjemności. Obecność uczucia w twórczości estetycznéj nadaje jéj szczególną żywość i skierowuje ją na drogi, które temu uczuciu najbardziéj odpowiadają. Pod wpływem uczucia piękna, wzniosłości, wyobraźnia wznosi się nad poziom doświadczenia i maluje przedmioty i wypadki, które o wiele przewyższają te, z jakiemi spotykamy się w życiu codzienném. Idealne utwory wyobraźni, przekraczając sferę faktów rzeczywistych, tworzą krainę baśni i poezyi.

Estetyczna twórczość wyobraźni, przynosząca ludziom tyle rozkoszy umysłowych, połączona jest z pewném niebezpieczeństwem. Żywéj wyobraźni zawsze towarzyszy w mniejszym lub większym stopniu przekonanie, że marzenia jéj zgadzają się z rzeczywistością. Stąd bardzo łatwo może wyobraźnia przejść w wybujałość, w któréj fikcye biorą się za jedną z faktami rzeczywistemi. W tym punkcie wyobraźnia staje się przeciwną rozumowi, wyzwala się z pod kontroli uwagi, która powinna czuwać nad każdym jéj ruchem, i idzie samopas.

Ludzie różnią się tak samo pod względem wyobraźni, jak i pamięci. Różnice te mogą być bądź ogólne, bądź szczególne. Zależą one już to od wrodzonych usposobień, już to od różnic, jakie zachodzą w otoczeniu osobników, we wpływie, jaki na nich wywiera towarzystwo, w wychowaniu, tudzież w szczególnych zajęciach i zawodach, jakim się oddają.

6. Wszystkie dotychczasowe sprawy psychiczne zajmowały się przedmiotami pojedynczemi. Postrzeganie, przypominanie i wyobrażenie odnoszą się zawsze do jakiéjś szczególnéj rzeczy, do jakiegoś szczególnego wypadku. Na tém przecież czynności naszego umysłu nie ograniczają się. Możemy również zastanawiać się i rozumować o faktach ogólnych. Ta ostatnia czynność stanowi właśnie istotę myślenia. Myślenie w gruncie rzeczy jest tak samo, jak i wyobrażanie, przedstawieniem umysłowém, ale przedstawieniem różnego rodzaju. Jest ono przedstawieniem nie rzeczy pojedynczych, ale klas. Myśląc, rozważamy rzeczy nie w ich konkretnéj pełni, jak one się przedstawiają we wszystkich swych szczegółach, ale tylko ze strony niektórych ich własności, takich mianowicie, które są wspólne całéj ich klasie.

Myślenie polega głównie na uporządkowaniu zasobu poznania, nabytego przez postrzeganie i przechowanego w pamięci. Dokonywa się ono drogą rozróżniania i upodobnienia. Myślenie więc nie różni się co do swéj istoty od czynności umysłowych, które je poprzedzają; jest ono dalszym ich rozwojem, wyszczególniającym się od nich tém tylko, że gdy w postrzeganiu i wyobrażaniu przeważa czynność rozróżniania, to w myśleniu przeciwnie główną rolę odgrywa upodobnianie, wykrywanie podobieństwa między rzeczami. Nie dość na tém. W myśleniu objawia się czynna strona umysłu w wyższym stopniu. W podstawie wszelkiego myślenia leży porównywanie, t. j. dowolne zwracanie uwagi na dwa lub więcéj przedmioty w téj saméj chwili, albo w bezpośrednim po sobie następostwie. Występuje tu więc dowolneześrodkowywanie się umysłu, uwaga skupiona.

Określając ściśléj myślenie, możnaby je nazwać sprawą rozbierania, dzielenia i układania, czyli analizy i syntezy. Umysłowa analiza oznacza zastanawianie się z osobna nad wszystkiemi po szczególe częściami pewnéj całości; synteza jest czynnością odwrotną— ułożeniem części w jednę całość. Wyszukując podobieństwa między rzeczami przez porównywanie ich z sobą, dokonywamy analizy, rozważamy bowiem wszystkie własności rzeczy z osobna, dopatrując się między niemi takich, które są im wszystkim wspólne; wytwarzając zaś pojęcie o rzeczy, używamy syntezy, układamy bowiem w całość wypadki, do jakich doszła analiza.

Odróżniają powszechnie trzy fazy myślenia: tworzenie pojęć, łączenie dwóch pojęć w twierdzenie i przechodzenie umysłu od jednego twierdzenia do drugiego, czyli: pojmowanie, sądzenie i wnioskowanie. Jest to podział czysto logiczny. Istota myślenia wszędzie jest ta sama i na każdym ze swych stopni różni się tylko mniejszą lub większą złożonością czynności, co więcéj, trzy te formy myślenia nie występują z osobna, lecz łączą się z sobą w każdym jego akcie.

Pojmowanie. Pojęcie jest przedstawieniem umysłowém, odpowiadającém imionom pospolitym takim, jak żołnierz, człowiek, zwierzę itd. W przedstawieniu tém nie występuje obraz pojedynczego przedmiotu, ale raczéj zlewek wielu obrazów—obraz rodzajowy, typowy. Pojęcia bardziéj konkretne, jak np. pojęcie psa, tworzą się za pomocą biernego upodobniania. Podobieństwo między psami jest tak uderzającém, że samo one nastręcza się uwadze. Przeciwnie w pojęciach bardziéj oderwanych, jak np. zwierzę, podobieństwo, będąc mniéj widocznćm, wymaga czynnego udziału umysłu—porównywania, odrywania i uogólniania. W wypadkach, w których zachodzące podobieństwa są łatwe do odkrycia, wystarcza samo porównanie; gdy zaś te podobieństwa zakryte są nie jako przez liczne różnice, potrzeba oddzielić je od różnic z niemi zespolonych, oderwać je a następnie z tak oderwanych podobieństw, czyli własności, wspólnych wielu przedmiotom, utworzyć pojęcie klasy, czyli uogólnić.

Ze sprawą pojmowania łączy się bezpośrednio czynność mianowania, nazywania. Imię nadaje się nie jednemu przedmiotowi, ale wielom ze względu na ich podobieństwo do siebie, zaznacza ona przeto sam tylko stosunek, jaki między niemi zachodzi. Będąc nazwą całéj klasy przedmiotów, *oznacza* imię naprzód wszystkie przedmioty, do téj klasy należące, a następnie *współ-oznacza* wszystkie cechy wspólne tym przedmiotom.

Zauważyć tu potrzeba, że im większą ilość przedmiotów mamy do porównania, tém też pojęcie je ogarniające będzie zawierało mniéj cech wspólnych, czyli podobieństw między niemi. Innemi mówiąc słowy: im większy jest zakres pojęcia, tém mniejszą jest treść jego, i odwrotnie.

Najwyższym stopniem abstrakcyi jest rozważanie rzeczy pod jednym tylko względem, wspólnym jéj i wielu innym, jak np. pod względem kształtu, koloru; a następnie pojmowanie samychże własności, stanowiących treść pojęcia, jako oddzielnych pojęć, jak np. krągłość, zieloność, ciepło itd.

Wiele z naszych pojęć wymaga oprócz abstrakcyi i analizy, jeszcze i syntezy. Wyniki, do jakich dochodzimy drogą abstrakcyi,

potrzebujemy ułożyć w nową grupę. Syntetyczne tworzenie złożonych pojęć znajduje w wielu wypadkach dzielną pomoc w wyobraźni twórczéj, gdy np. chodzi o utworzenie pojęcia o wulkanie, o konsulacie rzymskim itd. W innych za to wypadkach obchodzi się bez téj pomocy, a mianowicie, gdy pojęcie sięga pozagranicę przedstawienia wzrokowego. Przykładem tego są pojęcia wielkości i liczb, oraz pojęcia geometryczne. Nasze pojęcia o przedmiotach zwykłych rozmiarów opierają się na postrzeżeniach i wyobrażeniach, przeciwnie pojęcia przedmiotów takich, jak planeta, naród, odległość słońca od ziemi, stólecie, nie mogą być wyraźnie wyobrażone. Tworzymy je za pomocą dodawania do siebie wielkości, które same przez się są wyobrażalne. To samo dzieje się i z wielkościami minimalnemi, jak molekuła, milimetr itd. Pojęcia o nich tworzą się za pomocą dzielenia całości wyobrażalnéj poza granice dostępne wyobraźni.

Co się tyczy pojęć geometrycznych, takowe nie odpowiadają żadnym formom dostrzegalnym w rzeczywistości. W utworzeniu ich, oprócz abstrakcyi, odgrywa jeszcze ważną rolę idealizowanie. Z wypadków, osiągniętych przez abstrakcyę tworzymy pojęcia idealne, które znacznie przekraczają granice wyobrażania, chociaż dostatecznie są określone, ażeby mogły służyć dla celów naukowego rozumowania. Pojęcia tego rodzaju stanowią tak zwane poznanie symboliczne w odróżnieniu od poznania intuicyjnego, do którego należą pojęcia, oparte na wyobrażeniach.

Jakkolwiek na pojęcia składają się głównie podobieństwa rzeczy, stanowiące ich treść, nie pomijają się w nich przecież i różnice. Każda klasa, zawierając w sobie charakterystyczne cechy, już przez to samo różni się od innych, które tych cech nie posiadają.

Systematyczne uporządkowanie podobieństw i różnic, zachodzących między rzeczami, stanowi klasyfikacyę, albo dzielenie. Klasyfikować rzeczy jestto rozpatrywać je w sposób, któryby uwidoczniał różne stopnie ich podobieństw i różnic. W klasyfikacyi zaczynamy od najniższych stopni uogólnienia i wznosimy się do coraz wyższych. Przeciwnie w podziale, w dzieleniu zaczynamy od najwyższych uogólnień i schodzimy do coraz niższych. W klasyfikacyi główną gra rolę analiza, w dzieleniu – synteza. Jeżeli bowiem klasyfikacya wykonywa się przez stopniowe usuwanie różnic i dochodzenie do najwyższych uogólnień drogą abstrakcyi; to dzielenie odkrywa się za pomocą wprowadzania coraz to nowych różnic.

Pojęcia nasze, tak z powodu natury samego pojmowania, jak i dla tego, że są wcielone w mowę, w wyrazy, mogą być błędne i wadliwe. W mowie potocznéj używamy zwykle wyrazów bez dokła-

dnego uprzytomniania sobie ich znaczenia. Podobnież w ścisłych rozumowaniach nie zawsze zdajemy sobie sprawę znaczenia terminów, jakiemi się posługujemy. Następnie abstrakcya, za pomocą któréj urabiamy pojęcia, nie zawsze bywa dokładnie przeprowadzoną.

Pojęcie powinno być nadewszystko jasném, to znaczy, wszystkie cechy, stanowiące składowe jego pierwiastki, powinny być jasno i wyraźnie przedstawione w umyśle; oprócz tego, musi ono dokładnie różnić się od innych pojęć, częściowo do niego podobnych. Daléj pojęcie musi być dokładném, tj. obejmować wszystkie te rzeczy, do których się odnosi. Niedokładném bywa pojęcie zbyt ciasne i zbyt szerokie. W pierwszym wypadku, w skutek błędnéj obserwacyi, zawarto w pojęciu cechy przypadkowe, które nie są właściwe wszystkim członkom klasy; w drugim, pojęcie zawiera tylko część wspólnych cech, z pominięciem innych, które przy pośpiesznéj obserwacyi były niedostrzeżone. Niejasnemi i niedokładnemi stają się pojęcia jeszcze i przez to, że z biegiem czasu zacierają się w pamięci.

Dla tego konieczną jest rewizya naszych pojęć. Przedewszystkiém potrzeba pojęcia ogólne i oderwane odnieść do rzeczy konkretnych, z których zostały wyprowadzone, same te rzeczy uprzednio zbadawszy dokładnie. Chociaż bowiem myślenie nie jest tém samém, co wyobrażanie, opiera się ono przecież na niém i nie powinno z niém nigdy zrywać. Tylko wtedy, gdy między myśleniem a wyobraźnią utrzymuje się żywotny związek, umysł zabezpieczonym jest od używania czczych i pozbawionych wszelkiego znaczenia wyrazów.

Jak przedmioty zewnętrzne, tak samo ugrupowujemy za pomocą abstrakcyi stany naszego umysłu. Pojęcie o sobie rozpoczyna się postrzeżeniem naszego organizmu, jako przedmiotu, w którym umiejscowiamy doznawane przykrości i przyjemności. W miarę, jak uwaga staje się dowolniejszą i z większą swobodą może się odrywać od rzeczy zewnętrznych, zwracając się ku uczuciom, ku pobudkom, kierującym naszą wolą, występuje też coraz wyraźniéj i świat wewnętrzny uczuć, jako całość, różna od rzeczy zewnętrznych. Wtedy to w umyśle naszym ujawnia się świadomość stałego i niezmiennego *ja*, jaźni, jako wewnętrznego ogniska wszystkich wrażeń i uczuć, oraz przyczyny zewnętrznego działania. Jaźń, przeciwstawiąc się światu zewnętrznemu, tém samém odróżnia siebie i od innych jaźni, którym przyznaje te same przymioty, jakie w sobie upatruje.

Natura pojęć ogólnych i abstrakcyjnych była przedmiotem zaciętego sporu między realistami i nominalistami. Zapatrywanie realistów, podług których pojęciom ogólnym odpowiadają rzeczywiste, byty takie, jak człowiek, stół, sprawiedliwość—zostało oddawna zarzucone. Miejsce jego zastąpiło twierdzenie konceptualistów, któ-

rzy utrzymują, że umysł posiada zdolność przedstawiania, wyobrażania ogólnych własności, stanowiących cechy klasy (stosunków podobieństwa między rzeczami). Nominaliści przeciwnie uważają imię pospolite, jako symbol, oznaczający każdy z przedmiotów, do téj saméj klasy należących. Utrzymują oni, że kiedy wymawiamy imię pospolite, w umyśle naszym powstaje bądź obraz pojedyńczy ze wszystkiemi swemi cechami, ale przyćmiony i niewyraźny, bądź wiele ich naraz w szybkiém następstwie. Ściśle rzeczy biorąc, nie ma tak bardzo wielkiéj różnicy między konceptualizmem a nominalizmem; sami bowiem nominaliści przyznają, że mając dane wyobrażenie, albo kilka ich naraz, możemy zwrócić uwagę na ich cechy ogólne z pominięciem szczególnych.

7. Zastosowując pewne pojęcia do jakiegoś przedmiotu, albo do klasy, tworzymy sąd, sądzimy o rzeczy. Sądzić znaczy twierdzić coś o rzeczy. W ten sposób sąd jest połączeniem dwóch pojęć, albo, ściśléj rzeczy biorąc, dwóch przedstawień umysłowych. Sąd wypowiedziany, wyrażony za pomocą słów, stanowi zdanie. Związek między sądem a zdaniem jest taki sam, jaki zachodzi między pojęciem a imieniem. Niemowlę i zwierzęta mogą prawdopodobnie tworzyć sądy najprostsze bez pomocy języka; w późniejszym atoli wieku zawsze sądzimy za pośrednictwem mowy, bądź zewnętrznéj, bądź wewnętrznéj. Zdanie składa się z dwóch części: podmiotu i orzeczenia. Logiczny rozbiór odróżnia w niém trzy części, oprócz dwóch wymienionych jeszcze łącznik.

Orzeczeniem zawsze bywa pojęcie ogólne, gdy tymczasem podmiotem może być tak wyobrażenie, tj. przedstawienie umysłowe pojedynczego przedmiotu, jako téż pojęcie, tj. przedstawienie umysłowe klasy przedmiotów. Stąd podział sądów na szczegółowe i powszechne.

Ponieważ sądzenie jest łączeniem dwóch przedstawień umysłowych, jest ono tedy aktem syntezy. Z tego względu sąd podobnym jest do pojęcia, które również jest wypadkiem syntezy. Zachodzi między niemi jednakże ważna różnica. W pojęciu łączą się w jednę całość różne pierwiastki, w sądzie przeciwnie, pierwiastki te, lubo połączone z sobą, rozważają się oddzielnie. Sądząc, myślimy o przedmiocie i własnościach, jako o rzeczach oddzielnych, chociaż zarazem uprzytomniamy ich stosunek do siebie.

Logicy dzielą sądy na syntetyczne i analityczne. Do pierwszych należą sądy, w których do podmiotu dodaje się nowe pojęcie. Są to sądy rzeczywiste. Sądami analitycznemi, czyli słownemi, są te, w których orzeczenie wypowiada to, co już zawartém jest w podmiocie. Podział to czysto formalny i bynajmniéj nie ma takiego znaczenia,

jakie mu przypisywał Kant, który na nim oparł cały systemat swéj filozofii.

Wniknąwszy głębiéj w naturę sądzenia, przekonywamy się, że towarzyszy mu zawsze pewien stan umysłu, znany jako wiara, przekonanie. Nasze wyobrażenia i pojęcia odnoszą się zawsze do przedmiotów rzeczywistych, dla tego téż gdy je łączymy w sąd, przedstawiamy sobie odpowiadające im rzeczy, jako również połączone, zostające z sobą w pewnym stosunku. Otóż przedstawianie, pojmowanie stosunku, zachodzącego między rzeczami, wymaga wiary. Proste połączenie dwóch przedstawień umysłowych nie stanowi jeszcze aktu sądzenia, potrzebną tu jest wiara. Wierzymy zaś wtedy tylko, gdy zapatrujemy się na nasze pojęcia ze strony przedmiotowéj, gdy je rozważamy, jako przedstawienia rzeczy istniejących i uprzytomniamy sobie w myśli stosunek tych rzeczy.

Wiara, rozważana pod względem psychologicznym, bywa rozmaicie pojmowaną. Jedni uważają ją, jako stan czysto rozumowy, inni widzą w niéj objaw uczucia, a inni znowu odnoszą ją do woli, upatrując w niéj akt czynnéj strony umysłu. „Ponieważ wiara stanowi istotny pierwiastek poznania i we wszystkich jego sprawach bierze udział, jest ona tedy natury rozumowéj. Z tém wszystkiém ma ona także charakter uczuciowy. Wierzyć, być pewnym czegoś, jest to doznawać pewnego charakterystycznego uczucia, które jest wręcz przeciwne uczuciu, jakie towarzyszy wątpieniu, niepewności. W końcu widoczném jest także, że ścisły zachodzi stosunek między wiarą a wolą. Oczekiwanie, które jest tylko najprostszą formą wiary, zawiera już w sobie gotowość do działania. W ten sposób wiara odnosi się do wszystkich stron umysłu, stąd atoli nie wynika, by można ją było rozłożyć na składowe pierwiastki. Zdaje się, że nie jest ona stanem umysłu złożonym, ale prostym, posiadającym własny charakter.“

Nie każdy sąd jest twierdzeniem, łączeniem dwóch przedstawień umysłowych, zaznaczającém połączenie dwóch odpowiadających im rzeczy. Są nadto sądy przeczące. Przeczenie jest odrzuceniem twierdzenia, jako fałszywego. Przypuszcza ono zawsze w założeniu twierdzenie. Ponieważ każde zdanie musi być albo prawdziwém, albo fałszywém, dla tego umysł musi tu wybierać między twierdzeniem a przeczeniem. Stąd czynność sądzenia, jest, ściśle rzeczy biorąc, wyborem; jest ona przychyleniem się do jednéj z dwu alternatyw i w ten sposób podobną jest do postępowania sędziego.

Czynność umysłu nie ogranicza się atoli na samém tylko przyjęciu lub odrzuceniu zdania. Nie mogąc zdecydować się ani na jedno ani na drugie, może on zawiesić swój sąd. Taki stan umysłu jest

wątpieniem. Wierząc, umysł jest w stanie spokojnym, w gotowości do działania. Przeciwnie w wątpieniu, będąc pociąganym w dwu przeciwnych kierunkach, zostając jakby w walce z sobą, jest on niezdolnym do działania. Wątpienie jest stanem umysłu bardziéj złożonym od wiary i objawia się późniéj w miarę, jak się nabywa coraz większego doświadczenia.

Tak wiara, jak i wątpienie nie są bynajmniéj faktami, zależącemi od naszéj woli, aktami dowolnemi. Zależą one od pewnych warunków. Wierzyć w coś. lub o czemś wątpić możemy wtedy tylko, gdy uprzednio zostaną dopełnione owe warunki. Najgłówniejszym warunkiem wiary jest doświadczenie i ugruntowane na niém kojarzenie wyobrażeń. Z jaką siłą wyobrażenia i pojęcia skojarzyły się przez doświadczenie, z taką też siłą układają się one i łączą z sobą w sądzie. Dowodem tego są najprostsze formy wiary: pamięć i oczekiwanie, które jak najściśléj zależą od porządku doświadczenia. Oczekiwanie nasze bywa silném i niezachwianém, gdy się opiera na licznych i niezmiennych doświadczeniach; przeciwnie, jeżeli te doświadczenia były zmienne—oczekiwanie jest słabém i występuje powątpiewanie. Oprócz doświadczenia ważną również gra rolę w urabianiu się naszych sądów wpływ wyrazów. Zdanie nie jest czém innėm, jak wcieleniem, uzmysłowieniem wewnętrznéj wiary. Stąd między wiarą a zdaniem zachodzi jaknajściślejsze skojarzenie. I w tém właśnie leży źródło powszechnéj dążności do przyjmowania cudzych twierdzeń bez uprzedniego ich zbadania. Własne nareszcie nasze uczucia i życzenia wpływają zwykle na nasze sądy, jak tego dowodzą wszelkie uprzedzenia.

Doskonałość sądów zależy od stopnia ich jasności i wyrazistości, oraz od dokładności, z jaką odtwarzają rzeczywiste stosunki rzeczy. Nie małe także pod tym względem ma znaczenie sposób, w jaki sądy się tworzą i przyjmują. Szybkie oryentowanie się i decydowanie na sąd stanowi rzetelną jego zaletę. Nareszcie stałość sądu i jego niezależność są najpożądańszemi jego przymiotami nie tylko pod względem moralnym, ale i psychicznym. W każdym razie, stałości i niezależności sądu nie trzeba brać za jedno z uporem. Zdrowy sąd polega na pogodzeniu niezależności myślenia ze względami, jakie się należą cudzym przekonaniom.

Z niezależnością zdania w bezpośrednim zostaje związku kwestya stosunku jednostki do społeczeństwa pod względem przekonań. „Stosunek ten jest nader złożony. Z jednéj strony jednostka w znacznéj mierze zależy od ogółu pod względem poznania. Lekceważyć wiedzę zdobytą pracą licznych pokoleń byłoby dziełem godném waryata. Wpływ rozumu społecznego, uzupełniający i prostujący

przekonania indywidualne, jest zbawienny. Z drugiéj atoli strony jednostka może chętnie przyjmować gotowe już mniemania, nie bacząc, że warunkiem osobistego przekonania jest swobodna i samodzielna czynność władzy sądzenia. Nie koniec na tém. Panujące w pewnym czasie zapatrywania nie mogą się uważać za ostatnie. Rozwój wiedzy znaczy ciągłą zmianę powszechnych pojęć i zapatrywań na przyrodę, na życie ludzkie itd. Stąd zbyteczna przewaga społeczeństwa nad umysłem indywidualnym nie tylko jest szkodliwą dla jednostki, ale jeszcze powstrzymuje powszechny rozwój, tamując rozszerzanie się nowych idei.“

Logika rozróżnia sądy bezpośrednie, czyli właściwe, od sądów pośrednich, pochodnych, opierających się na innych sądach, które je poprzedziły, czyli od rozumowania. Podział ten dla psychologii o tyle tylko ma znaczenie, że w sądzie, opartym na rozumowaniu, proces umysłowy jest bardziéj złożony. Większa część naszych sądów szczegółowych należy do twierdzeń, które wypowiadają po prostu fakta obserwacyi i pamięci. Są one sądami intuicyjnemi. Inne zaś tak szczegółowe, jak i powszechne zawdzięczają swój początek rozumowaniu, wyprowadzone są jako wnioski z sądów uprzednio urobionych, które téż względem tamtych występują, jako premisy. Każde zdanie, w ten sposób urobione, może być nazwane, w odróżnieniu od intuicyjnych, sądem rozumowym.

Niektórzy filozofowie utrzymują, że są pewne prawdy powszechne, które nie pochodzą ani z doświadczenia, ani z rozumowania, lecz są dane umysłowi bezpośrednio, czyli wrodzone. Szkoła rozwojowa (ewolucyonistyczna) godząc powyższe zapatrywanie z twierdzeniem filozofii doświadczalnéj, uczy, że owe prawdy powszechne, jakkolwiek biorą swój początek w doświadczeniu naszych przodków, przechodzą dziedzicznie na dalsze pokolenia, jako uorganizowane dążności rozumowe. Rzeczą jest widoczną, że liczne nasze przekonania, utrwalone w umyśle częstém doświadczeniem, nabierają pozoru prawd bezpośrednich. Zapomniawszy wszystkich okoliczności, jakie towarzyszyły ich powstaniu, uważamy je za coś samoistnego. Odnosi się to szczególniéj do tych przekonań, jakiemi się kierujemy w sprawach życia praktycznego, a które stanowią istotę tego, co nazywamy zdrowym rozsądkiem (*common sense*). Nabywamy tych przekonań już to drogą obserwacyi, a więc za pomocą rozumowania indukcyjnego, już to mocą instynktowych popędów i uczuć, które nam je nasuwają; lecz powiększéj części otrzymujemy je gotowe za pośrednictwem tradycyi.

Rozumowanie jest przechodzeniem od jednego lub kilku sądów do sądu nowego. Za pomocą niego umysł dochodzi do wniosku,

który przyjmuje na podstawie premis. Przekonanie w ten sposób nabyte czerpie swą siłę w uznaniu stosunku, jaki zachodzi między sądem nowym, a sądami, stanowiącemi premisę. Jakaż jest istota tego stosunku i na czém polega działanie umysłu w rozumowaniu? Rozumowanie nie jest niczém inném, jak upodobnianiem, utożsamianiem, albo klasyfikowaniem, tylko bardziéj złożoném i wyższego stopnia. Różni się ono od postrzegania i pojmowania, które się również opierają na upodobnianiu, o tyle, że jest ono właściwie utożsamianiem stosunków między rzeczami, nie zaś samych rzeczy. Że odróżnianie odgrywa także pewną rolę w rozumowaniu, rozumie się samo przez się, ale rola jego jest w niém podrzędna.

Jakkolwiek w rozumowaniu umysł z całą świadomością przechodzi od premis do wniosku, w zwykłym atoli porządku rzeczy, a przynajmniéj najczęściéj dzieje się przeciwnie. Wniosek zazwyczaj nastręcza się pierwéj, a dopiero późniéj premisa, którą poddaje, nasuwa upatrzone podobieństwo między nowém doświadczeniem, a starém. W ten sposób wyraźne odniesienie się do sądu dawniejszego, poprzedniego, jest raczéj ostateczną czynnością, stanowiącą zakres dowodu, niż czynnością pierwszą, jaką jest rozumowanie.

Najprostszą formą rozumowania jest wnioskowanie ze szczegółów o szczególe. Jest-to rozumowanie, którém zwykle posługujemy się w powszedniem życiu i które jedynie jest dostępném dziecku i zwierzętom. Możnaby je nazwać rozumowaniem domyślném, gdyż zasada jego, prawda powszechna, nie występuje wyraźnie w umyśle. Z natury swéj jest ono automatyczném i ma wiele wspólnego z nałogiem w zakresie działania. Liczne doświadczenia przeszłości zostawiły w umyśle swe ślady, które w formie dążności, skłonności sądzenia w pewien sposób, kierują umysłem w rozumowaniu domyślném. Typem takiego rozumowania bezwiednego, automatycznego, jest tak zwana praktyczność w życiu powszedniém, oraz takt w postępowaniu z ludźmi. Przypuszczać potrzeba, że w podstawie rozumowania automatycznego leżą trwale ustalone związki nerwowe.

Z tém wszystkiém, wnioskując ze szczegółów o szczególe, zawsze przypuszczamy w założeniu twierdzenie powszechne. Jakoż okazuje się to już z tego, że gdy potrzebujemy usprawiedliwić nasz wniosek, dowieść go, czynimy to za pomocą twierdzenia powszechnego. I wtedy to rozumowanie nasze staje się wyraźném. To téż skoro tylko zastanawiamy się nad naszém rozumowaniem, przybiera ono formę prawidłowego wnioskowania.

Rozumowanie wyraźne rozwija się w dwóch kierunkach: wznosząc się od szczegółów do ogólnéj prawdy, rozumowanie jest indukcyjném; gdy zaś zstępując od prawdy ogólnéj do szczegółów, zastosowuje ją do nich, staje się ono dedukcyjném.

Proces umysłowy, stanowiący istotę indukcyi, zależy na wykrywaniu podobieństwa wśród różnic. Że zaś indukcya jest rozumowaniem, wnioskowaniem, pokazuje się z tego, że czyniąc twierdzenie powszechném, przekracza granicę faktów dostrzeżonych, sięga po za kres doświadczenia. Wszystkie sądy oznaczające twierdzenie powszechne, ogarniają sobą nie tylko przypadki poznane, ale i wszystkie inne, dotąd nie zbadane. Tym sposobem indukcya nie jest czém innén, jak uogólnianiem i stosownie do stopnia uogólnienia, do jakiego ona wznosi się, można mówić o indukcyach niższych i wyższych.

Człowiek posiada naturalną skłonność do uogólniania. Jeden przykład często wystarcza, ażeby zeń wyprowadzić powszechne prawo. Tą drogą powstają pośpieszne indukcye. Jest-to indukcya samorzutna. Od tego pośpiesznego wnioskowania leczy człowieka późniejsze doświadczenie i nauka. Wtedy indukcya staje się prawidłową, postępuje ostrożnie i metodycznie w uogólnianiu. Polega ona na ścisłém zbadaniu, jakie są istotne podobieństwa między rzeczami i na odróżnieniu ich od podobieństw przypadkowych.

Najwyższém zadaniem rozumowania indukcyjnego jest dochodzenie przyczyny rzeczy. Ażeby osiągnąć zamierzony skutek, musimy znać warunki, które nim rządzą. Wtedy tylko możemy przewidzieć jakiś wypadek, gdy znamy okoliczności, od których on zależy.

Do pojęcia przyczyny przychodzimy bardzo wcześnie, w wieku dziecinnym, drogą codziennego doświadczenia. Pojmujemy naprzód przyczynę na podobieństwo własnego naszego działania i jego skutków. Stąd łączy się ona zrazu z pojęciem celu. Słowem, wszystko, co się zdarza, wyobrażamy, jako następstwo działania, które zawsze kieruje się jakimś zamiarem. I to właśnie tłómaczy te ustawiczne pytania dzieci: kto zrobił deszcz, słońce, drzewo i t. d.? dla czego słońce świeci i t. d.? W téj ciągłéj ciekawości dziecka, dopytującego się o przyczynę, działa naturalna skłonność do uogólniania. Można nawet przypuścić, że w umyśle jego jest odziedziczone usposobienie do zapatrywania się na rzecz, jako na skutek innéj, która uprzednio miała miejsce.

Wykrywanie przyczyny jest sprawą trudną i złożoną; wymaga ono postępowania metodycznego. Przedewszystkiém potrzebna jest pilna obserwacya rozmaitych przykładów badanego skutku i dokładne ich zapamiętanie, a następnie jaknajściślejszy rozbiór wszystkich tych przykładów w celu wykrycia, jakie to są niezmienne i istotne okoliczności, od których badany skutek zależy. Nie dość na tém; potrzeba jeszcze robić doświadczenia, ażeby się przekonać, które z tych okoliczności dadzą się usunąć bez naruszenia skutku, a które nie.

Za pomocą indukcyi dochodzimy do sądów ogólnych czyli powszechnych. Mając takie sądy, możemy wnioskować z prawd ogólnych o szczególnych. Ten rodzaj wnioskowania stanowi rozumowanie dedukcyjne, albo po prostu dedukcyą. Typem dedukcyjnego rozumowania jest tak zwany sylogizm, którego wzór jest następujący:

Każde *M* jest *P*.	Żadne *M* nie jest *P*.
Każde *S* jest *M*.	Każde *S* jest *M*.
Każde *S* jest *P*.	Żadne *S* nie jest *P*.

Czynność umysłowa w dedukcyi jest ta sama, co i w indukcyi. W obu wypadkach polega ona na upodobnianiu. Za pomocą sylogizmu uznajemy, że między przypadkiem szczególnym (*S*), a klasą tychże przypadków (*M*) zachodzi podobieństwo, tożsamość, pod tym względem, że posiadają one (albo też nie posiadają) wspólną cechę, charakter (*P*).

Zadaniem rozumowania dedukcyjnego może być jedno z dwojga: albo mając daną zasadę, wyprowadzamy z niéj wnioski; albo mając twierdzenie szczególne, szukamy zasady, pod którą można je podciągnąć.

Rozumowanie dedukcyjne prowadzi zarówno do wniosków prawdziwych i fałszywych. Rzeczą jest logiki zastanawiać się nad warunkami dobrego rozumowania. Psychologia o tyle tylko niemi się zajmuje, że rozważając rozumowanie w ogóle, jako sprawę umysłową, musi tém samém badać wszystkie formy, w jakich się ono objawia.

Ponieważ rozumowanie jest wykrywaniem podobieństwa, stąd najważniejszą przyczyną popełnianych w niém błędów jest brak dokładnego odróżniania. W złém rozumowaniu trudno dostrzedz, gdzie się kończy podobieństwo, a zaczyna różnica. Dwuznaczność terminów jest niemniejszém źródłem błędów dedukcyi. Gdy chodzi o odróżnienie delikatnych nieraz odcieni znaczenia, jakie przypisuje się temu samemu wyrazowi, bardzo łatwo jest zbłądzić. Niebezpieczeństwo to staje się tém większém, że w rozumowaniu wyrazy dążą do zupełnego zastąpienia pojęć o rzeczy. W wewnętrznym swym ruchu myślenie szybko przeskakuje od jednego rozumowania do drugiego, zaledwie zdając sobie sprawę ze znaczenia używanych terminów.

Większa część naszych codziennych rozumowań przybiera postać bardziéj złożoną, niż jaką ma rozumowanie w swéj formie typowéj. I tak, obserwacya faktów może nas prowadzić do jakiejś prawdy (indukcya); z niéj wyprowadzamy wniosek (dedukcya). Wniosek ten sprawdzamy nowemi obserwacyami, albo też porównywamy prawdę otrzymaną z prawdami znanemi, ażeby się przekonać, czy

się z niemi zgadza i w jakiéj mierze przez nie może być poparta. Słowem, to co nazywamy dowodzeniem, rozumowaniem, jest zazwyczaj bardzo złożonym łańcuchem wnioskowania, w którém umysł, wychodząc z obserwacyi wznosi się do zasad, albo téż ze znanych prawd wyprowadza następstwa. Wszelkie metody naukowe nie są czém inném, jak tego rodzaju kombinacyą rozumowania indukcyjnego i dedukcyjnego.

Nie wszystkie prawdy powszechne mają jednakie znaczenie. Niektóre z nich są, ściśle rzeczy biorąc, tylko prawdopodobnemi i nie mają tego stopnia pewności, jaką się odznaczają prawdy matematyczne. Cały zakres działania ludzkiego, jego pobudek i następstw, należy do sfery prawdopodobieństw. O nich żadnego pewnego wniosku nie możemy wyprowadzić z prawdy powszechnéj, odnoszącéj się czy to do polityki, czy do moralności. Wszelkie rozumowanie, dotyczące prawdopodobieństwa, musi brać pod uwagę mnóstwo okoliczności, oraz stosujące się do nich zasady, i rozstrzygać podług tego, po któréj stronie jest większa widoczność. W wielu zaś wypadkach potrzeba nawet zgoła wszelki sąd zawiesić. To téż rozumne postępowanie w życiu polega wyłącznie na zdolności uprzytomniania sobie w danym razie wszystkich okoliczności, dokładnéj oceny względnego prawdopodobieństwa tego lub innego następstwa, oraz jasnego przedstawienia korzyści i szkód tego lub owego działania.

Łatwo się przykonać z tego, co powiedziano o rozumowaniu, że zostaje ono w najściślejszéj zależności od wcześniejszych spraw umysłowych — obserwacyi i odtwarzania (pamięci). Rozumowanie wymaga przedewszystkiém, ażeby umysł był obficie zaopatrzony w fakty, nabyte bądź własną obserwacyą, bądź przez naukę; następnie, ażeby posiadał zasady ugruntowane, zdolne wytłómaczyć fakty. Oprócz tego musi on jeszcze miéć pewną zdolność twórczą, dającą mu możność tworzenia nowych pojęć i hipotez.

Na tém nie koniec. Potrzebną tu jest jeszcze dowolna uwaga i skupienie umysłu. Im pilniejsza jest uwaga, im skupienie umysłu jest silniejsze, tém jaśniéj i wyraźniéj przedstawiamy sobie zamierzony wypadek naszego rozumowania, który to wypadek, panując nad całym przebiegiem czynności umysłowéj, zmusza ją do trzymania się wytkniętego kierunku i powstrzymuje od zbaczania na manowce.

Ostateczném zadaniem rozumowych czynności umysłu jest poznanie. Poznanie w swéj podmiotowéj stronie stanowi wiarę, przekonanie. Pod względem zaś przedmiotowym oznacza ono odpowiedniość, zgodność wiary, przekonania z rzeczywistością, z prawdą. Pytanie, jaka jest wartość poznania ludzkiego, co jest jego spraw-

dzianem — należy do teoryi poznania. Psychologia jednakże musi oznaczyć różnicę, jaka zachodzi między poznaniem a wiarą. W codziennéj mowie, gdy mówimy: *wiemy*, dajemy poznać, że jesteśmy pewni czegoś i wolni od wszelkiéj wątpliwości; przeciwnie, mówiąc: *wierzymy*, dajemy poznać, że nie jesteśmy zupełnie pewni tego, co utrzymujemy. W ten sposób różnica między wiarą a poznaniem, wiedzą, jest przedewszystkiém różnicą stopnia. Na tém atoli ona się nie ogranicza. Poznanie, będąc wyższym stopniem wiary, różni się od niéj jeszcze tém, że jest wypadkiem zastanowienia się nad nią, jéj wyjaśnienia, zbadania za pomocą krytycznego rozstrząśnienia. Pewność wiary, przekonania ma charakter czysto uczuciowy; gdy tymczasem pewność poznania odznacza się charakterem przeważnie rozumowym.

Zadaniem zrozumienia jest sprawdzenie i zbadanie wiary. Polega ono na krytyczném rozważeniu znaczenia sądów, na wyjaśnieniu pojęć i ocenieniu w świetle zasad logicznych wzajemnéj ich zależności.

Władza sądzenia i rozumowania okazuje się późniéj, niż władza pojmowania. Pierwsze sądy, jakie dziecko tworzy, gdy w jego umyśle urabiają się pewne pojęcia o rzeczach, dotyczą pojedynczych przedmiotów, dostępnych jego doświadczeniu. W miarę, jak umysł rozwija sie, dziecko staje się zdolném sądzić nie tylko o pojedynczych przedmic ach, ale i o klasach. Wtedy téż objawia się w niém i zdolność rozumowania, jako wnioskowanie ze szczegółów o szczególe.

Tak pod względem władzy pojmowania, jako téż sądzenia i rozumowania zachodzą liczne różnice między ludźmi, pochodzące stąd, że jedni mniejszą, drudzy większą posiadają zdolność odkrywania podobieństw między rzeczami i ich stosunkami, oraz zastosowywania do faktów praw ogólnych czyli zasad. Różnice te są ogólne i szczególne — te ostatnie objawiają się w szczególnych kierunkach. Obie one zależą już to od wrodzonych zdolności, już od różnych okoliczności życia i wychowania. Jak we wszystkich innych sprawach rozumowych, tak i tu sprawa ćwiczenia odgrywa bardzo wielką rolę—i może do pewnego stopnia rozwinąć zdolność myślenia względnie słabą.

Władysław Kozłowski.

DUMY UKRAIŃSKIE.

RZECZ O EPOSIE KOZACKIM RUSINÓW.

„A sława ne wmre, ne polaże
Od nyni i do wika“
(*Duma kozacza*).

Dumy i dumki ukraińskie, sławne na całą Słowiańszczyznę, znane są dobrze i Polakom, nie tylko na Ukrainie zamieszkałym. Śliczne też bo one doprawdy; tyle tam rzewnego smutku, tyle szczerego, niekłamanego uczucia, taka tam czysta miłość, tak głębokie przywiązanie, tak szczytne poświęcenie, że dziwić się wypada, jak lud prosty, siermiężny tak czuć i myśléć potrafi i w tak cudnéj formie duszę wylewać zdoła. To też utwory te dawno zwróciły na siebie uwagę naszych poetów i muzyków; mamy też sporo dum i dumek w poetycznych parafrazach i naśladowaniach, mamy wiele utworów muzykalnych, natchnionych rzewną serdeczną melodyą ukraińską. Możemy więc powiedziéć śmiało, że dumy i dumki dobrze nam już są znane.

Jednakże, gdyby kto niedyskretny zechciał nas zapytać, co przez nazwę dum i dumek rozumiemy, jakie są to pieśni, jaka ich treść? postawiłby nas w położeniu kłopotliwém. Przypominając znane dumy i dumki, znaleźlibyśmy tam i piosnkę o miłości zawiedzionéj, i o tęsknocie po miłym kozaku, i skargę synowéj na los u swiekry, i pożegnanie rekruta z matką, i o Neczaju, i o Sawie Czałym, o Bondariwnie itd. słowem, stalibyśmy w obec masy pieśni najrozmaitszéj treści i charakteru; nazwa jednak dum i dumek do wszystkich jednakowo przystaje, a właściwie nic sobą nie wyraża. Takie blade, nic nie wyrażające określenia zwykle są sztuczne i niewłaściwe. Lud ukraiński nigdy nie nazwie swych pieśni dumą lub dumką, lecz ma na to termin właściwy—*piśnia*; i doskonale rozróżnia ich ro-

dzaje, nazywając je: *wesninaky*, *wesilni*, *diwoczi*, *żinoczi*, *paruboczi*, *czumaćki* itd.

Skądże to my, Polacy, tak pokochaliśmy ten wyraz *duma* i *dumka*, że chrzcimy nim każdą pieśń ukraińską, byle nie taneczną i nie ściśle obrzędową, ale mającą poważną treść, lub głębsze uczucie? Stało się to zupełnie przypadkowo. Ukraina miała specyalny rodzaj poezyi, który *dumami* zwano. Dumy te były nadzwyczaj oryginalne, miały wielką doniosłość historyczną, miały wielką sławę, tak że zwracały na siebie uwagę nawet kronikarzy polskich. Z czasem jednak, zmieniły się warunki, wśród których dumy powstały, i poezya ta umarła, pozostawiwszy tylko wspomnienie w swéj nazwie. My zaś nie znając i nie słysząc dum właściwych, a pamiętając, że Ukraina śpiewała je, poczęliśmy tym mianem nazywać każdą poważną pieśń rusińską, zastosowując do piosnek krótszych, mniéj poważnych, lecz równie smutnych i rzewnych, zdrobniały wyraz—*dumkę*.

Niech się więc czytelnik nie dziwi, że w artykule niniejszym, noszącym tytuł: „Dumy Ukraińskie,“ nie znajdzie ani słowa o rzewnych i serdecznych dumach i dumkach, które albo sam słyszał na Ukrainie, albo powziął o nich wyobrażenie z utworów naszych poetów szkoły ukraińskiéj. Chcemy tu bowiem czytelnika zaznajomić z *dumami właściwemi*, których on już może nie posłyszy z ust ludu, bo razem z kozaczyzną należą już do historyi tylko, któréj były utworem (1).

---

(1) Ja osobiście słyszałem śpiewane dumy raz tylko w życiu, spędzoném prawie wyłącznie na Ukrainie, od kobzarza Ostapa Weresaja w 1884 r. w Kijowie.

Dumy nie doczekały się jeszcze systematycznego wydania zupełnego; różne waryanty rozsypane są po wielu zbiorach i wydawnictwach. Pp. Antonowicz i Dragomanow jeszcze w r. 1875 rozpoczęli wydawnictwo historycznych pieśni Rusinów, lecz doprowadzili swą pracę zaledwo do połowy. W ostatnich latach zbieracze potrafili odszukać kilkanaście nowych waryantów. Ciekawych odsyłam do następnych źródeł, z których korzystałem przy wypracowaniu niniejszego szkicu: — 1) *Antonowicz W.* i *Dragomanow W. Istoriczeskija piesni Maloruskawo Naroda.* Kijów I, 1 część II, 1876 r. W téj nieukończonéj pracy zamieszczono wedle porządku epok pieśni i dumy, mające historyczne znaczenie z komentarzami historycznemi. Rzecz doprowadzona do śmierci B. Chmielnickiego, Zmięszano razem pieśni liryczne, obrzędowe, epiczne i dumy i ułożono w chornologicznym porządku. — 2) *Kulisz P. Zapiski o Jużnoj Rusi. I, Peters. 1856 r.* Jest to zbiór podań, legend, dum i pieśni z uwagami. — 3) *Kijewskaja Starina.* Pismo peryodyczne miesięczne wychodzi w Kijowie od r. 1882, W tomach III, IV, VI i VIII zamieszczono kilkanaście nowych waryantów dum i szczegóły biograficzne o kilku kobzarzach. — 4) *Zapiski Jugo-Zapadnawo Otdieła Impierat. Rusk. Geogr. Obszczestwa.* 2 tomy, Kijów 1873/4. W nich zamieszczono repertoar kobzarzy Weresaja i Bratyci z ich biografiami; odczyt M. Łysenka o muzyce dum, i nuty dwóch dum, śpiewanych przez Weresaja. — 5) *Maksimowicz M. Ukrainskija Narodnyja Piesni.* Moskwa 1834 r. i 1849 r. Są to zbiory z najrozmaitszych źródeł dum i pieśni, ułożonych bez dostatecznéj krytyki, z krótkiemi uwagami,

Dumy Ukraińskie znacznie się wyróżniają od innych pieśni tamecznych. Są to dość długie poematy, mające po kilkaset wierszy, a pod względem melodyi, prędzéj kantaty, niż pieśni przypominają; nuta ich bowiem nie ma zupełnie powtarzających się zwrotek, lecz zmienia się odpowiednio do treści opowiadania oraz uczucia i woli piewcy. Już z tych dwóch cech formy dum widoczném jest, że lud nie mógł ich śpiewać; stanowiły one repertoar specyalnych piewców, którzy im dłuższe studya poświęcali i zupełnie im się oddawali. Tacy pieśniarze nosili u ludu nazwę od instrumentu, na którym sobie wtórowali, *bandurzystów* albo *kobzarzy*.

O dawnych pieśniarzach rusińskich bardzo szczupłe posiadamy wiadomości. Wiemy tylko z pewnością, że istnieli w czasach bardzo odległych. Jedną z najdawniejszych wzmianek o nich mamy w „Słowie o Pułku Igora Światosławicza,“ gdzie się o wieszczym Bojanie wspomina:

3. Bojan bo wieszczyj, aszcze komu chotiasze piśń tworyty,
Te rostikaszetsia mysliju po drewu,
Sirym wołkom po zemli,
Syzym orłom pod obłaky.....
6. Bojan że, bratije, ne desiat' sokołow na stado łebedij puszczasze,
On swoja wiszczyja pr'sty na żywyja strumy wskładasze,
Ony że samy kniazem sławu rokotachu!

Rozmaite są mniemania o wyrazie „Bojan.“ Jedni w nim widzą imię legendowego piewcy rusińskiego (1), drudzy przypuszczają, że wyraz Bojan (boj, bojować) oznaczał wojaka i że rycerzy-bojanów, co obok wojaczki posiadali jeszcze dar pieśniarstwa, nazywano *wieszczymi bojanami*. W każdym razie zaznaczyć musimy, że wyraz ten do dziś się spotyka w dawnych pieśniach ludowych, jako nazwa ogólna śpiewaków.

---

i w znacznéj części zepsutych przez niepotrzebne poprawianie stylu i zwrotów, a także przez zestawianie rozmaitych waryantów w jedną całość. — 6) *Kostomarow N. Istoricze-skoje znaczienije małorusskawo narodnawo tworczestwa* w miesięczniku „Ruskaja Mysl“ z 1880 r. Przytoczono kilka nowych waryantów. — 7) *Czubinskij P. Matierjały i Izsledowanija*. Tomów 7. Petersb. 1874 r. W t. V. kilka nowych waryantów. — 8) *Potebnia A. Słowo o Połku Igorewie*. Woroneż 1878 r. Tekst rapsodu z licznemi komentarzami. — 9) *Stasow. Proischożdienije bylin*. W miesięczniku „Wiestnik Jewropy“ z 1868 r. — 10) *Wiesiełowskij A. Jużno-ruskija byliny*. Petersb. 1881 r. — 11) *Zmorski R. Lazarica* Warsz. 1860 r. — 12) *Idem. Narodowe Pieśni Serbskie*, tomów 2, Warsz. 1855 r.

W powyższych źródłach czytelnik znajdzie materyał etnograficzny i komentarze historyczne. Oceny i rozbioru krytycznego dumy jeszcze się nie doczekały. Praca Kostomarowa z wiele obiecującym tytułem (N. 6) jest prostą parafrazą dum i pieśni z uwagami treści dziejowéj.

(1) *Potebnia:* Slowo o połku Igorewie str. 9.

Pieśniarze rusińscy zwykle wtórowali swym pieśniom na instrumencie strunowym, dawniéj na *bandurze* lub *kobzie*, w nowszych zaś czasach—na *lirze*. Kobzarze i bandurzyści byli widocznie dość liczni, powszechnie szanowani i wywierali znaczny wpływ na masy ludowe siłą swych pieśni, poświęconych wyłącznie prawie dziejom narodu. Trudno dziś jednak sądzić o całéj doniosłości ich dawniejszego znaczenia; wszelkie o tém domniemania będą za śmiałe, bo oparte na domysłach tylko. Do takich domysłów należy mniemanie o ich kapłańskiéj roli za czasów pogaństwa. W czasach znacznie już do nas zbliżonych, z których posiadamy chociaż urywkowe dane o stosunkach obyczajowych i społecznych, widzimy, że kobza i bandura były bardzo upowszechnione; przygrywali na niéj nie tylko piewcy z powołania, ale i zwykli śmiertelnicy. Z jednéj dumy „O śmierci kozaka" możemy się domyślać, że bandura była zwykłą towarzyszką kozaczą, brano ją ze sobą na wojnę nawet. Oto obraz kozaka na pobojowiska.

Kiń bila joho postrilanyj, porubanyj,
Ratyszczy połamane,
Pichwy bez szabli bułatnoji,
U ładiwnyci ni odniseńkoho naboju.
Tilky zostałaś jomu *bandura podorożniaja*,
Ta u hlybokij keszeni lulka-boruńka (1).

Prawdziwy zaś kobzarz—bandurzysta chodził od miasta do miasta, od wsi do wsi, niezbędnym był na biesiadach, weselach, zgromadzeniach wojennych i przy ważniejszych obrzędach ludowych. Są także wskazówki, że tacy pieśniarze towarzyszyli oddziałom wojska, służyli za przewodników, doradzców, szpiegów i zarazem zagrzewali serca wojowników do walki. Kobzarze tworzyli, przechowywali w pamięci, i rozpowszechniali pieśni i podania; podtrzymywali oni w swym czasie poczucie narodowości, ideały narodowe rusińskie: *wola* i *towarystwo*. Znaczenie ich tedy musiało być nie małém. W słynnéj téż księdze Kodniańskiéj, w tym krwią zapisanym rejestrze skazanych w m. Kodni hajdamaków, znajdujemy między innymi kilka wyroków śmierci wykonanych na bandurzystach za to tylko, że w bandach hajdamackich „na bandurze grywali" i śpiewali (2). Srogość kary dowodzi, jak wielkie miał znaczenie w obozach powstańców ich śpiew o lepszych czasach wolności, jak groźną i niebezpieczną była ich pieśń dla władzy ówczesnéj.

---

(1) *Kulisz*. Zap. o Już. Rusi, I, str. 186.
(2) *Kijewskaja Starina* ze 1882 r. kwiecień str. 165.

Dziś już bandurzyści i kobzarze należą do przeszłości, głos ich powoli milknie na zawsze, pozostaje tylko wspomnienie w pieśniach i podaniach. Nowy ustrój społeczny, nowa organizacya polityczna, nowa cywilizacya i nowy porządek publiczny—to zabijająca atmosfera dla bardów i minstreli. Zawód pieśniarza połączył się z żebractwem zwyczajném, kobzę—bandurę powoli zastąpiła lira.

Kobzarz Archyp Nikonenko skarży się na stan obecny w tych słowach. „Persze buło naszomu bratu dobre: jak uziaw pałyciu ta strument, to i piszow sobi kudy chocz; nichto ne pytaw, chto ty takyj i zwidky; a teper to wże za swij stan (okrąg policyjny) ne chody, a to za kaławurom (warta) prystawlat“ (1). Obowiązek posiadania paszportu i kłopoty z powodu jego odnawiania, niezbędne przy ustawicznych wędrówkach, znacznie przyczyniają się do zniechęcenia bandurzystów do swego rzemiosła: „odno te, szczo staryj, a druhe, szczo oci paszporty,—ne wilno... Jak ja joho nikoły ne braw“ (2), mówi kobzarz P. Bratycia, zapytany, dla czego zarzuca kobzę.—Tego samego zdania jest Ostap Weresaj, lecz ten, zyskawszy sławę i otrzymawszy w podarunku od rodziny cesarskiéj tabakierkę, posługuje się nią w krytycznych chwilach, a paszportu nie bierze czy z przyzwyczajenia, czy może ze szczególniejszéj zasady i przekonania, że to by ubliżało jego powadze i zawodowi.

Daleko wszakże ważniejszą przyczyną umilkania bandury jest brak w dzisiejszych czasach śród ludu zamiłowania do niéj i do repertoaru kobzarskiego. Lud dzisiejszy, w obec głębokich zmian, jakie szeregiem, jedna po drugiéj, zaszły w ustroju społecznym w ciągu ostatnich stu lat, stracił zupełnie prawie wątek wspomnień dziejowych, które zrodziły się w warunkach zupełnie różnych, od stanu obecnego. Nowe pokolenia nie zdolne są już rozumiéć faktów i dążeń dawnych. Centralizacya władzy, poddaństwo i nowy samorząd włościański po wyzwoleniu, oderwały lud zupełnie od tradycyi kozackich. To téż włościanin dziś słucha pieśni historycznéj całkiem obojętnie, nie rozumie jéj nawet, nie wierzy by treść ich była prawdziwą,—słucha jéj, jak bajki i nic z niéj dla życia, dla chwili obecnéj wysnuć nie może. „Lude starych piseń i ne słuchajut'—mówi kobzarz Kriukowski,—jomu spiwaj pro starowynu, a win ne znaje, szczo wono take!“ (3). Nawet młode pokolenie pieśniarzy, które z chęcią się uczy pieśni religijnych i satyrycznych, ze wzgardą traktuje dumy historyczne i zwykle zupełnie się ich nie uczy: „stań joho wczyt', to

---

(1) *Kulisz.* Z. o J. R. I, str. 8.
(2) Kijewskaja Starina VIII, str. 42.
(3) Kijews. Starina IV, str. 481.

wono i słuchat' ne chocze.—Ce, każe, wse brechnia! Waszi panotci brechały, i wy breszete. Jakaż wono brechnia, koły tak ymenno buło; a wony ne tiamlat' (nie rozumieją)" (1). Fizyonomia usposobień i dążności ludu zmieniła się zupełnie, serce i myśl jego, zaprzątnięte pogonią za kawałkiem ziemi, pozostają głuchemi na wspomnienia dziejowe, na odgłos pieśni o walce za swobodę osobistą i narodową. „Odyn Boh, odni lude, ta ne odnakowo stanowyt'sia" — konkluduje filozoficznie kobzarz Nikonenko (2).

Wymierają też powoli ostatni kobzarze, zwolennicy dawnéj poezyi dum. Ci, co żyją jeszcze, a nawet i ci, co niedawno poumierali, od których skrzętna praca etnografów potrafiła uratować dla potomności szczątki świetnego niegdyś eposu, muszą się znacznie różnić od typu dawnego piewcy, który żył i kształcił się wśród właściwych warunków epoki. Repertoar dzisiejszych piewców jest nadzwyczaj szczupły, a każdy z nich wspomina, że dawniéj śpiewano daleko więcéj dum, lecz że one albo zostały już zapomniane, albo zamarły razem ze starymi kobzarzami. „Teper mali starci nastały, niczoho ne tiamlat'"—mówi Nikonenko (3). „Sami teraźniejsi piewcy — powiada p. Kulisz — jak Andrzéj Aleksandrowiecki i Archyp Orzycki, wspominają o swych nauczycielach, że umieli oni dumy o wielu hetmanach, a przekazali im tylko niektóre. Ani jeden bandurzysta nie powiedział mi jeszcze, że się nauczył wszystkich dum od swego nauczyciela" (4).

Dawni etnografowie nie zwracali uwagi na tych piewców, zadawalniając się zapisaniem od nich materyału etnograficznego. Dopiero p. Metliński w zbiorze swych pieśni (Narodnyja Južnorusskija Piesni) podaje nam poraz pierwszy nazwiska kilku kobzarzy. W ostatnich czasach odszukano kilkudziesięciu bandurzystów, z których zaledwie kilku jeszcze żyje. Wszyscy oni pochodzą z Małorosyi, t. j. z Zadnieprza i tam stale mieszkają. Już przed trzydziestu laty p. Kulisz nie mógł ani jednego znaleźć kobzarza na prawém Podnieprzu (5). Objaśnia on to wysiedleniem po czasach Chmielnickiego, w którém wzięły udział przeważnie żywioły niezadowolone z obrotu rzeczy na prawéj stronie Dniepru; a kobzarze zapewne nie byli śród takich ludzi ostatnimi. Ztąd też tradycya kobzarska upadła zupełnie na Ukrainie. Ja sądzę, że oprócz téj przyczyny, wielką rolę tu odegrać musiały prześladowania w XVIII w. kobzarzy, śpiewających bardzo niebezpieczne dla spokoju Ukrainy pieśni. Do dziś lud Ukraiński tradycyjnie obawia się śpiewać niezapomnianych jeszcze zupełnie

---

(1) Słowa Nikonenka—*Kulisz.* Zap. o J. R. I, str. 13. — (2) Ibidem, str. 14.— (3) Ibidem, str. 13. — (4) Ibidem, str. 198. — (5) Ibidem, str. 82.

pieśni historycznych i wiele trudu musi etnograf podjąć, by wzbudzić w wieśniaku ufność, przy któréj dopiero udaje się czasem pieśń jaką dziejową zapisać.

Biograficznych szczegółów o kobzarzach zadnieprzańskich posiadamy nie wiele, bo zaledwie sześciu kobzarzy doczekało się obszerniejszych wzmianek (1). Dzisiejszy kobzarz zawsze prawie jest ślepym. Dziećmi jeszcze oddawano chętnych ociemniałych malców na naukę do „majstra“, który ich zwykle brał na lat trzy, karmił, odziewał, uczył i wyzyskiwał. Gdy uczeń po tym kursie nie czuł się jeszcze w możności iść o własnych siłach, udawał się na nowe trzechlecie do dawnego lub innego mistrza. Ponieważ bandura w ostatnich czasach nie wielkie zyski daje, kobzarze więc, obok pieśni, zajmują się wiciem powrozów i żebractwem. Niektórzy z nich, jak Iwan Kriukowski, zupełnie kobzę zarzucili, inni znowu zamienili ją na lirę, jak Archyp Nikonenko. Żebractwa kobzarze wcale się nie wstydzą, gdyż w pojęciu ludu zawód żebraczy jest miłym Bogu. Nie zepsuty przez miasto żebrak wiejski, zwykle ślepy, szanowany jest jako człowiek bogobojny; jego modlitwa i rada są poszukiwane. Bogobojny Andrej Szut jest przekonania, że żebracy na to są na świecie, by ludziom przywodzić na pamięć Boga i cnoty.

Pomimo braku uznania, kobzarze jednak z wielkim szacunkiem odzywają się o dumach i ze wzgardą mówią o pieśni miłośnéj, tanecznéj i t. p. Widzą oni w dumach prawdziwe opowiadania o tém, co się niegdyś w dawnych czasach wydarzyło. Pochodzenie dum łączą oni z imieniem Chrystusa. „Czy wono tak sperszu buło—mówi Nikonenko — jak Chrystos ne narodywsia? Każut, todi ni piseń, niczoho ne znały; zwisno, żyły jak zwir, to jaki tut piśni?“ Jeszcze jaśniéj w tym względzie wyraził się Ostap Weresaj z powodu, że ktoś śmiał powątpiewać o boskiém pochodzeniu dum: „Od kogoż, jeśli nie od Pana Jezusa Chrystusa. Po cóż on na ziemię zstępował. Wszak powiedziano, że zstępował on, by nas do królestwa niebieskiego nakłonić i od mąk uwolnić.“

Większość kobzarzy z pogardą patrzy na krzykliwą lirę i żałośnie wykrzykujących lirników, których repertoarem są zwykle pieśni religijne i satyryczno-cyniczne. Wielka też różnica zachodzi w samych instrumentach. Bandura albo kobza ma kształt zbliżony

---

(1) Kulisz w Z. o J. Rusi I, wspomina o następnych: *Andrej Szut* (str. 43), *Archip Nikonenko* (str. 7) i *Ryhorenko* (str. 198). Oprócz tego biografie *Pawla Bratyci* w Zapiskach Jugo-Zap. Otd. Jeog. Ob. II, str. 109 i w Kij. Star. VIII, str. 41; *Iwana Kriukowskiego* w Kij. Star. IV str. 481; *Ostapa Weresaja* w Zap. Jugo-Zap. Otd. Jeo. Ob. I, i w Kij. St. III, 259.

do gitary o 12—24 strunach, wydaje dźwięczne tony wprost z pod palców, podobne do dźwięków arfy; lira zaś ma stałe klawisze i okrągły, obracany za pomocą korby, smyczek. Ztąd bandura jest dźwięczną, choć cichą, poważną i podatną uczuciu grającego, dźwięki zaś liry stałe, monotonne, skrzypiące, przeraźliwe i zupełnie nie nadają się do modulacyi. Weresaj takie daje nam porównanie: „kryczyt' ta pyszczyt', szczo aż w chati ynodi niczoho ne czutno, jak zahraje ta lira; a kobza, tak dobre diło: tycheńke wono, ta poważływe.“

Tacy to pieśniarze rusińscy śpiewali niegdyś dumy właściwe, z resztkami których mam zamiar zaznajomić czytelnika.

Udało się uratować etnografom zaledwie tylko dwadzieścia kilka dum, reszta zginęła zupełnie w niepamięci, lecz z rozmaitych wzmianek i podań należy się domyślać, że było ich znacznie więcéj. Wszystkie dziś znane dumy są to rapsody historyczne, obejmujące wyłącznie epokę kozaczyzny; z kozaczyzną one powstały i z nią téż umarły,— czasy przed i po kozaczyznie nie znalazły odgłosu w dumach. Oto spis znanych dum ukraińskich, które można podzielić na następne działy:

I. Walka z Tatarami i Turkami.

a) *Walka.*

1) *Burza rozbija statek turecki na Czarném Morzu* (urywek), zapisana w jednym waryancie (Istor. Pieś. I, 99). — 2) *Pojedynek kozaka Hołoty z Tatarem*, zap. w 4 war. (Istor. Pieś. I, 168). — 3) *O zwycięstwie Atamana Matiasza*, zap. w 1 war. (Russkaja Mysl 1880 r. Luty). 4) *Śmierć Fedora Bezrodnego*, zap. w 7 waryan. (6 w Ist. Pieś. I, 248 i 1 war. Kijew. Star. IV, 510). — 5) *Iwaś Wdowiczenko-Konowczenko*, zap. w 6 war. (Zb. Wiad. do Antr. Kr. III, 135; Kijews. Star. III, 270, IV 512, VIII 35; Maksim. 51 i Metliński). — 6) *Śmierć trzech braci kozaków nad rzeczką Samarą*, zap. w 1 waryancie (Istor. Pies. I, 257).— 7) *Burza na Czarném Morzu i Oleksij Popowicz*, zapis. w 11 waryan. (10 w Istor. Pieś. I, 176 i 1 w. Kij. Star. IV, 487).

b) *Niewola* (*Newolnyćki dumy*).

8) *Sokolę*, zap. w 2 waryan. (Zap. Jugo-Zap. Otd. Geogr. Ob. I, dodat. 16; Kij. Star. IV, 493). — 9) *Płacz niewolników na galerze tureckiej*, zap. w 4 war. (3 w. Ist. Pieś. I, 88 i 1 w Kij. Star. III, 266).— 10) *Płacz jeńca w niewoli tureckiej o wykupie*, zap. w 2 war. (Istor. Pieś. I, 93).— 11) *Marusia Bohusławka*, zap. w 2 war. (Ist. Pieś. I, 230). 12) *Ucieczka trzech braci z Azowa z niewoli tureckiej*, zap. w 10 war. (6 w Istor. Pieś. I, 106, 332; 2 war. w Russk. Mysli 1880 r.; 1 waryan. w Zapis. Jugo-Zap. Otd. Geogr. ob. II, 119 i 1 war. w Kij. Star. IV,

499). — 13) *Ucieczka Samijła Kiszki z niewoli tureckiej*, zap. w 2 war. (Istor. Pieś. I, 208 i Kij. Star. IV, 505).

II. **Chmielniczyzna.**

14) *Chmielnicki i Barabasz*, zap. w 3 waryan. (Ist. Pieś, II, 3).— 15) *Żydzi arendarze i powstanie*, zap. w 3 war. (Istor. Pieś. II, 20).— 16) *Bitwa pod Korsuniem*, zap. w 2 war. (Ist. Pieś. II, 32). — 17) *Weremij Wołoszyn* (urywek) zap. w 1 war. (Ist. Pieś. II, 51). — 18) *Iwan Bohun* (urywek), zap. w 1 war. (Ist. Pieś. II, 98).—19) *Pochód na Wołoszczyznę*, zap. w 3 war. (Ist. Pieś. II, 90). — 20) *Pokój Białocerkiewski i nowe powstanie*, zap. w 3 war. (Ist. Pieś. II, 110). — 21) *Śmierć Bohdana Chmielnickiego i obranie Jurja*, zap. w 2 war. (Ist. Pieś. II, 118).

III. **Wiek XVIII.**

22) *O hajdamaku Witryhonie* (urywek), zap. w 1 war. (Zbiór Wiad. do Antr. Kr. III, 88). — 23) *Handża Andyber*, zap. w 3 war. (Zap. o Już. Rusi I, 200; Metliński, Zap. J.-Z. Otd. Geog. Ob. II, 123).

IV. **Dumy obyczajowo kozackie.**

24) *Śmierć kozaka bandurzysty*, zap. w 1 war. (Zap. o Już. Rusi I, 185). — 25) *Kozak i kozaczka*, zap. w 2 war. (Zap. o Już. Rusi I, 215; Czubiński V, 934).

Oprócz tych dwudziestu pięciu dum kozackich, mamy jeszcze następne trzy rapsody epiczno-moralnéj treści, z formy i układu niczém się od dum nie różniące:

26) *Ojczym*, zap. w 4 war. (Zap. Jugo-Zap. Otd. Geogr. Ob. I, dodat. 14; Kij. Star. IV, 490; Czub. V, 849; Maks. 61). — 27) *Wdowa i trzech synów*, zapis w 6 war. (Zap. o Już. Rusi I, 19; Zap. Jugo-Zap. Otd. Geogr. Ob. I, dodatek 11; Kij. Star. IV, 497, VIII, 31; Metliński i Czub. V, 847). — 28) *Brat i siostra*, zap. w 5 war. (Zap. o Już. Rusi I, 24; Kij. Star. III, 268, IV, 496; Metlińs. 355, Maks. 63).

Tak więc mamy 28 dum tylko; jeśli zaś nie będziemy rachować czterech, znanych nam jedynie w niewielkich urywkach (NN. 1, 17, 18 i 22) i trzech ostatnich nie-dziejowéj treści, pozostanie nam tylko dwadzieścia jeden dum właściwych, w 74 mniéj więcéj odmiennych waryantach, stanowiących dziś tylko resztki świetnego niegdyś eposu kozackiego.

Przeważna większość tych waryantów zapisaną została od kobzarzy, zaledwie kilka tylko pochodzi od lirników (o Konowczence, Ołeksiju Popowiczu, o Wdowie i trzech synach). Lud zupełnie dum nie śpiewa, lecz pamięta częstokroć ich treść w formie opowieści prozaicznéj. Po prawéj stronie Dniepru zapisano tylko kilka pośledniejszéj wartości waryantów (O Konowczence, Ołeksiju Popowiczu, Żydach arendarzach i Pokoju Białocerkiewskim).

I.

Przypatrzmy się bliżéj tym dumom, ich formie i treści. Jak mogliśmy zauważyć z wyżéj przytoczonego spisu ich tytułów, są to utwory epiczne, poświęcone wypadkom dziejowym, lub obyczajowo historycznym. Każda duma jest wykończonym poematem, mniéj więcéj zawsze obszernym. Nie znam dumy krótszéj od 50 wierszy, a duma o Samijle Kiszce ma 390 wierszy.

Obszerne te rapsody nie posiadają zwrotek, właściwych tylko *pieśni* ludowéj, z którą téż nie wiele mają wspólnego. Forma dum jest zupełnie odmienną od formy pieśniowéj; przedstawia ona coś pośredniego między prozą a wierszem; czujesz zupełną swobodę mowy prozaicznéj, zdania się układają naturalnie, ściśle, zależnie od treści i podniecanych uczuć, a jednak nie można nie dostrzedz, że to mowa wiązana, że te swobodne odstępy, zakończone zwykle od czasu do czasu nowemi rymami, mają sobie właściwą harmonię muzykalną, coś, co przypomina i pieśń i harmonijną mowę oratorską. P. Maksimowicz widzi w składzie tego wiersza ślad stóp tonicznych (1) — ja ich nie znalazłem nigdzie; zdarzają się wyjątkowo dwa podobne do siebie krótkie wiersze, lecz prawdziwego taktu pieśniowego nie ma. Wiersze bywają najrozmaitszéj, jedne po drugich, wielkości, od 3 do 25 zgłosek. Zależy to zupełnie od tego, jak się myśl w słowa ułoży. Jedno całkowite zdanie proste, lub logicznie samodzielna część jego stanowi oddzielny wiersz, to téż wiersze mogą obejmować całe zdania, złożone z kilkunastu wyrazów, lub składać się z jednego jakiegoś dopełniacza lub określenia, występującego w myśli, jako samodzielna jednostka logiczna. Tak np.

Sokołe jasnyj,
Brate mij ridnyj!
Ty wysoko litajesz,
Czomu w moho bat'ka — u materi nikoły w hostiach ne buwajesz?
Połyty ty sokołe jasnyj,
Brate mij ridnyj,
Slad'—pady, u moho bat'ka j materi pered worit'my,
Żalibneńko prokwyły!

Rymy układają się zwykle szeregiem po dwa, jeden za drugim; często się jednak zdarza, że po kilka wierszy, do dziesięciu nawet, należących do jednego okresu logicznego, kończy się jednakim rymem. Charakterystyczną cechą rymowania dum jest zwykłe zakończanie wiersza czasownikiem, naprzykład:

(1) Maksimowicz 1834 r. Ar. 2.

A menszyj brat na szlach Murawśkyj wybih*aje*,
I po szlachu Murawśkomu pobih*aje*,
Z pid czerwonoho kaptana czorni kytyci zabacz*aje*,
U ruky bere — chwat*aje*,
Do sercia kozaćkoho molodećkoho prykład*aje*,
Slizamy obływ*aje*,
Słowamy promowl*aje*. . . . .

Rymowanie jednak nie jest wcale stałém; owszem, bardzo często bywa przerywane kilku wierszami białemi.

Okresy logiczne w dumie, złożone z dowolnéj ilości wierszy, stanowią pewną harmonijną całość zakończoną, która się szczególniéj w śpiewie uwydatnia. Zwykła zwrotka pieśni ludowéj jest także zakończonym okresem logicznym, lecz nie może być porównywaną do okresów w dumach. W pieśni wszystkie zwrotki zbudowane są zupełnie podobnie, według stałego szematu; jak melodya tak i szyk zgłosek we wszystkich zwrotkach są jednakie. W dumie, przeciwnie, okresy logiczne, którym odpowiadają jednocześnie zakończone okresy muzykalne, wcale nie są do siebie podobne.

Forma muzykalna wszystkich dum jest mniéj więcéj jednaką. W osnowie melodyi jest niewielki i nieskomplikowany frazes muzyczny, wolny, bez taktu, dający się modulować w najrozmaitszy sposób, zastosowywać do najrozmaitszéj miary wiersza. Muzyka więc dum nie posiada *rytmu*, nie wiąże się w takty muzykalne i melodya w niéj dość uboga i nieurozmaicona. „Piewca nie dba o rozmaitość kolorytu; zasada i głębokie znaczenie muzyki dum historycznych polega głównie na muzykalnéj deklamacyi, oryginalnéj, szerokiéj, swobodnéj, z fermatą po każdéj myśli muzycznéj, nie dającéj się ująć w ciasne ramki rytmiczne“ (1). Słowem, są to swobodne kantaty bez powtarzających się zwrotek, przedstawiające ciągle nowe waryacye melodyi zasadniczéj. Dziwnéj téj pieśni towarzyszy bandura, na któréj pieśniarz podegrywa melodyę, przyczém dla odetchnienia, a także dla wybitniejszego oddzielania jednego okresu muzykalnego od drugiego, wstawia w odstępach niewielkie przygrywki, po których znów wraca do pieśni. Ogólny ton muzyki jest zawsze minorowy, poważny, czasem silny i namiętny, przeplatany uroczystym reczytatywem i fermatami.

Jak wyżéj wspomniałem, dumy są wyłącznie kozackim eposem. Wszystkie prawie znane nam dumy powstały nad Dnieprem i tylko w téj miejscowości je zebrano. Na zachodnim Wołyniu, na Podolu, w Galicyi, ni téż na pomorzu Czarném Rusini dum nie słyszą i nie

---

(1) *Łysenko.* Charaktieristika muzykalnych osobiennostiej małoruskich dum. Zapiski Jug.-Zap. Otd. Geogr. Ob. I, 350—352.

przechowali też o nich nawet wspomnienia. Nic więc dziwnego, że język wszystkich znanych nam dum posiada wszystkie cechy tak zwanego dyalektu ukraińskiego. Mowa ludowa rusińska daje się podzielić na trzy główne dyalekty: *Północny* (Podlasie, Pińszczyzna i gub. Czernihowska), *Galicyjski* (Huculi, Podgórze-Pokucie, Podole, Lemki i Bojki) i wreszcie *Ukraiński*. Pierwsze dwa dyalekty znacznie od siebie różne, zachowały jak w głosowni, tak w składni wiele pierwiastków starożytnych; trzeci zaś—Ukraiński miał powstać po XIV w. z narzecza wołyńskiego, jest wytworem najnowszéj formacyi, pozbawionym starych słowiańskich form i dyftongów, uważany jest za najpiękniejszy i został przyjęty jako język literacki. Dumy więc mają język najwytworniejszy, że tak powiem, klasyczny. To też wobec niewyrobienia języka literackiego Rusinów, dumy pozostają dotąd wzorem czystości dla autorów ukraińskich.

Porównywując wszelako język dum z mową dzisiejszą ludu ukraińskiego i z pieśniami zebranemi równocześnie z dumami i w tejże miejscowości, łatwo dostrzegamy pewną pomiędzy niemi różnicę. Daje się ona poniekąd tłómaczyć jak sferą, w któréj się te dawne pieśni przechowywały, tak też i właściwością charakteru samych dum.

Kobzarze, którzy wyłącznie dumy śpiewali, szanowali je z religijną czcią, jako stare pieśni o dawnych lepszych czasach. Młodzi pieśniarze uczyli się od starych, nie tworzyli sami, uważali te zabytki za pieśni skończone, zachowywali o ile mogli każdy wyraz, jako relikwie, częstokroć nawet nie rozumiejąc niektórych wyrazów, tyczących się dawnego ustroju i obyczajów. Tak przechowane pieśni dawnych czasów, lubo tylko żyły w pamięci kobzarzy, tchną pewnemi archaizmami i w wyrazach i w składni nawet. Takie wyrazy, jak „potała“ (pastwa), „pyszczal“ (piszczel, lufa), „barzo“ (bardzo) i t. p. dawno już wyszły u ludu z powszechnego użycia, przechowując się tylko w dumach.

Ściśle epiczna treść dum wymagała poważnéj formy. Piewca opowiadał prawdziwe dzieje i traktował swój przedmiot nie lekko, nie anegdotycznie, lecz z świadomością i przekonaniem, że treść jego opowiadania jest pouczającą, ma wielkie znaczenie, powinna być szanowaną. Dobierał też formy ku temu odpowiedniéj; ztąd w doborze wyrazów i w szyku ich widzimy oryginalny ton uroczysty, niewłaściwy zupełnie w mowie potocznéj, ni też zwykłéj piosence, nawet treści historycznéj.

Zaznaczoną tu różnicę w wysławianiu się dumy w mowie potocznéj—odczuwają i sami pieśniarze. Tak lirnik Kononenko śpiewając p. Kuliszowi dumę o Iwasiu Wdowiczence, wyraził się raz tak: „*Szapku iz hołowy znymaje*“, lecz gdy spostrzegł, że p. Kulisz jego sło-

wa zapisuje, wstrzymał go mówiąc: ce po prostomu, a wy ta tak zapysujte: „szłyk iz hławy zdijmaje“ (1),— słowem tak, jak się dziś żaden Rusin nie wyrazi.

Forma dum jest epiczną: są to bowiem opowiadania obiektywne o czynach i wypadkach. Subiektywizm dramatyczny spotykany we wszystkich pieśniach ludowych, nawet w historycznych, nigdy w dumach nie daje się dostrzedz. Charakterystyczną cechą pieśni rusińskich jest forma dramatyczna, polegająca na tém, że myśli i uczucia zwykle się wyrażają w pierwszéj osobie. Jeśli pieśń opowiada o jakimś wypadku, to osoby grające w nim rolę, zawsze wiodą rozmowę od siebie, bez omówienia nawet piewcy, że te słowa mówi ta, a nie inna osoba, tak np. w pieśni o Neczaju w takiéj formie przedstawioną jest rozmowa Neczaja z kozakiem, który go przyszedł uprzedzić o zbliżającém się wojsku polskiém:

(*słowa Neczaja*) Ne bijtesia, ne bijtesia pany atamany:
Postawyw ja storożeńku usimy szlachamy.
Jak ja maju, kozak Neczaj, zwidce utikaty,
Sławu swoju kozaćkuju marne uteriaty?
(*słowa kozaka*) A ja tebe, mij Neczaju, ne ubespeczaju:
Derży sobi konia w sidli dla swoho zwyczaju!
(*słowa Neczaja*) Oj, je w mene Szpak, Szpak, — ot to dobryj chłopeć:
Oj, toj meni daje znaty, koły utikaty.

W dumach nie napotkamy nigdy rozmowy w téj formie; przed każdym ustępem słów cudzych piewca oznajmia od siebie, że to ta osoba przemawia, lub odpowiada, tak np.

A menszyj brat, pisza-piszanycia, za kinnymy bratamy whaniaje,
Koni za stremena chwataje,
I słowamy promowlaje,
Slizamy obływaje:
„Bratiky moi ridneńki,
Hołubeńky syweńki!
Ne choczete mene miż koni uziaty,
Woźmit' mene postrilajte-porubajte,
I zwiru i ptyci na potału ne podajte.“
A ti braty teje zaczuwały,
Słowamy promowlały:
„Bratiku mylyj,
Hołubeńku sywyj!
Szczo ty każesz,
Mow nasze serce nożem probywajesz“ i t d.

Obiektywność wszakże formy nie usuwa zupełnie subiektywizmu w saméj treści; to téż w dumach zawsze widać myśli i uczucia

---

(1) Zap. o Już. Rusi I, 179.

samego piewcy, jego sympatye i antypatye, wyrażające się zwykle w epitetach towarzyszących imionom bohaterów.

Takie epitety, stale w dumach używane i nie znane w pieśniach ludowych, stanowią jedną z charakterystycznych cech eposu ludowego. Każda osoba, nawet przedmiot ważniejszy mają swoje epitety, zawsze powtarzane przy każdém wspomnieniu o tymże przedmiocie lub osobie. Epitety dają się podzielić na stałe i przypadkowe. Pierwsze używają się jako stałe przymioty, niezmiennie używane jednakowo we wszystkich dumach; są one wyrazem jakiejś charakterystycznéj trwałéj cechy przedmiotu i towarzyszą téż im zawsze. Nap. orły *syzoperi*, *sywa* zozula, *jasnyj* sokił, *synie* more, *bujnyj* witer, *czorna* chmara i t. p. Takie stałe epitety znane są i w pieśniach ludowych i nie stanowią wyłącznéj właściwości dum. Można tylko wskazać jeszcze kilka tego rodzaju epitetów wyrobionych wyłącznie przez dumy—jak np. *bidnyj* newolnyk, wowky *siromanci* (szare), tiło *biłe*, *kozaćke mołodećke*, Dnipr-*Sławuta* i t. p. spotykane chyba wypadkowo w pieśniach; są one jednak téj saméj, co i poprzednie, natury i mają znaczenie tylko poetyczne. Prawdziwe zaś epitety epiczne występują w dumach przy każdéj nowéj okoliczności, mają nie ogólnikowe znaczenie, lecz tylko wypadkowo zastosowane bywają do pewnéj osobistości. Tak np. duma o pojedynku kozaka z tatarem daje obydwom zapaśnikom charakterystyczne nazwy: kozak nazywa się *hołotą*, t. j. oberwańcem, biedakiem, i ten epitet hołota używa się przy każdém powtórzeniu wyrazu kozak; tatarzyn jest *siwy brodaty i na rozum niebogaty*; przy każdém téż wspomnieniu tatara towarzyszy mu ten dosadny epitet.

W dumie o Samijle Kiszce każda ważniejsza osoba ma także powtarzający się epitet charakterystyczny: Lach Buturłak — *Sotnik Perejasławski*, *klucznik galerski*, *niedowiarek chrześciański*, Kiszka Samijło—*hetman zaporożśkyj*, Ałkan pasza—*Trapezońśke kniaża*. W dumie o Chmielnickim i Barabaszu, ten ostatni ma stały epitet *hetman mołodyj*, nawet jego żona nazywa się zawsze *hetmanowa mołoda*. W dumie o ucieczce trzech braci z Azowa, najmłodszy brat, pieszo uciekający, jest zawsze „menszyj brat *pisza-piszanycia*.“ Duma o Marusi Bohusławce zawsze swoją bohaterkę tytułuje: „*diwka-branka*, Marusia *popiwna Bohusławka*.“

Takie epitety stale nadawane przez piewców pewnym osobom lub przedmiotom spotykamy i w Słowie o pułku Igora. Tam Bojan dwakroć nazwany jest *wieszczym*, Wsewołod—*bój-turem*, lub *jar-turem*, Połowczyn jest zawsze *pohany* i zastępy połowieckie także są *pohane*, Don nazwany po trzykroć *wielkim*. Toż samo zupełnie spotykamy i w rapsodach Serbskich. Tak np. w pieśni o ożenieniu knia-

zia Łazara (1) Łazo stale nazywa się *wiernym sługą*, a narzeczona jego Milica jest *młoda krasawica dziewięciorgu siostra Jugowiczów*. Zupełnie analogicznemi do wspomnianych epitetów wydają się wyrażenia w rapsodach Homera; w nich każdy bohater ma swój epitet, określający główny jego przymiot, który piewca chce uwydatnić; Achillesa Homer nazywa zwykle *bystronogim*, Hektora—*lśniącym hełmem*, Odyseusza—*mądrym i równym bogom* itd.

Wszystkie takie przymiotniki epiczne przypominają poniekąd przydomki dziejowe, jak Rudobrody, Łysy, Śmiały, Chrobry, Groźny nadawane przez lud swym władcom i być może są jednego z niemi pochodzenia.

Oprócz powtarzania epitetów, dumy, jak w ogóle utwory epiczne wszystkich ludów, bardzo często w toku opowiadania powtarzają pokilkakroć ustępy zastosowywując je do każdego bohatera lub każdego miejsca. Tak w dumie o ucieczce trzech braci z Azowa powtarza się kilka razy po każdéj rozmowie lub zatrzymaniu się w podróży braci następny dwuwiersz:

I teje promowlały,
Widtil pobihały.

Lub w tejże dumie powtarza się jeden i ten sam obraz przyrody temi samemi słowy, raz przy opisie podróży dwóch starszych braci, drugi raz przy opisie podróży młodszego:

Dali z bajrakiw i Mijusiw wybihały,
I ne stało ni bajrakiw ni Mijusiw stawaty,
I tilky połe łylije,
Na jomu trawa zełena zełenije.

Powtarzanie ustępów zauważyć się także daje zwykle w odpowiedziach na pytania; odpowiadający pospolicie używa tych samych wyrazów, w jakich podane zostało zapytanie, dodając do nich przeczenie lub potwierdzenie, tak nap.

(*pytanie*) „Dżuro Jaremo! ce ty ne swojimy kińmy hulajesz,..
A deś ty swoho pana wbyw, abo strebyw,
Abo mołodoho duszi ta izbawyw!“
(*odpowiedź*) „Oj, bat'ku Koszowyj, Otamanu wijskowyj!
Ja swoho pana ni wbyw, ni strebyw,
Ni mołodoho duszi ne izbawyw,
A mij pan łeżyt' u łuzi Bazałuzi
Postrelanyj i porubanyj.“—(Ant. i Dr. I, 254).

Takie powtarzanie ustępów całych jest ogólną cechą, epicznéj twórczości słowiańskiéj; spotykamy ją i w serbskich rapsodach bo-

(1) Lazarica, przekład R. Zmorskiego Wor. 1860.

haterskich i w bylinach ołoneckich i we wszystkich słowiańskich baśniach legendarnego typu, powstałych wedle mniemania większości etnografów z zapomnianych pieśni epicznych (1).

Oprócz powtarzania ustępów w jednéj i téj saméj dumie, częstokroć zauważyć można powtarzanie się stałe pewnych obrazowych wyrażeń, a nawet całych ustępów w rozmaitych dumach. Takie wyrażenia i ustępy stały się ogólnikowemi miejscami, ulubionemi przez piewców. Tak nap. w każdym wypadku, kiedy się wyraża prośba o niedopuszczenie zniewagi bądź nad ciałem niepogrzebaném, bądź nad wiarą prawosławną, stale używa się stare wyrażenie: na potału (pastwa) ne podajte." Mamy więc w dumach i

„Tiło moje kozaćke-mołodećke zwiru-ptyci na potału ne podajte,"—i
„Wiry chrystyjańśkoji na potału w wicznyj czas ne podajte." (Ant. i Dr. II 14).

Wyrażenie: „dobre dbajte" używa się prawie we wszystkich dumach, jeśli potrzeba wyrazić, że rozkazujący pragnie zalecić pilność w wykonaniu rozporządzenia. Gdy się opowiada o jakim czynie, że ktoś w pewnym wypadku z pobudek subiektywnych w ten lub inny sposób sobie postąpił, duma zawsze dodaje, że „czohoś dohadawsia:"

Todi lachy czohoś dohadałyś,—
Na żydiw narikały.—(Ant. Drag II)

Przed cudzymi słowami duma zawsze używa stereotypowego wyrażenia: „słowamy promowlaje," z rzadka dodając do wyrazu „słowamy" przymiotnik „tychymy." To ostatnie wyrażenie spotykałem i w rapsodach serbskich, jak nap. w rapsodzie o Carycy Milicy. (Lazarica 50, 52).

Oprócz takich stereotypowych wyrażeń, jak wspomniałem, spotykają się ustępy zupełnie jednakowe w rozmaitych dumach. Tak np. w dwóch dumach o niewoli, jednéj o niedoli na galerze, drugiéj o rozmowie dwóch towarzyszy o wykupie, zupełnie jednakowo wyraża się przekleństwo ziemi tureckiéj i wiary bisurmańskiéj, powtórzone prawie dosłownie w dwóch waryantach dumy o ucieczce trzech braci z Azowa. Tak samo w jednakich zupełnie wyrazach opisane są

---

(1) Porównaj Serbskie ustępy z Lazaricy:
(*król zapytuje*): „Powiedz: koń twój czyli złamał nogę?
Czy ci ciężą szaty wyszarzane?...
Wierny sługa Łazo mu odpowie:
Ani koń mi wierny złamał nogę,
Ani mi się szaty wyszarzały.... (*Lazarica* 10)

W rapsodzie o Carycy Milicy po rozmowie każdego z braci, którzy kolejno koło siostry przejeżdżają, śpiewak powtarza jednako:—Rzekłszy, konia pogonił ulicą... (*Lazarica* 51, 52).

zdzierstwa żydów jak w dumie o Arendarzach żydach, tak i o bitwie pod Korsuniem, w której Lachy narzekając na żydów, wypominają im te zdzierstwa. Jeszcze p. Kulisz (*Zap. o Już. Rusi*) zrobił uwagę, że takich ogólnych miejsc dużo i u Homera i takie daje ich wyjaśnienie: „Dla ludu takie ogólne miejsca nie wydają się nudnemi powtarzaniami, jakiemi byłyby w poezyi klas wykształconych. Na nich odpoczywa uwaga słuchaczy, jak na przygrywkach w odstępach pieśni i lud z przyjemnością śród nieznanych sobie wierszy spotyka i dawniéj słyszane. Pojmując to przeczuciem poetyczném, piewcy naszych dum ukraińskich wcale się nie krępują w zapożyczeniu gotowych zwrotów mowy i nawet obrazów poetycznych ze znanych reczytatywów ludowych" (170). Wiele w tych słowach może jest i słuszności, szczególniéj odnośnie do ulubionych form wyrażania się i jednakich obrazów poetycznych, lecz nie myślę by dały się tém wytłómaczyć powtarzania całych dość obszernych ustępów, tém bardziéj, że częstokroć dumy wcale nie w miejscu przechodzą do tych powtórzeń, jak to można zauważyć z dumy o 3 braciach Azowskich, mającéj w dwóch waryantach ustęp o przekleństwie ziemi tureckiéj, ustęp mało mający wspólnego z zasadniczą treścią dumy. Uważałbym za prawdopodobniejsze widziéć w tém skażenie dum przez piewców. Zebrane waryanty świadczą niewątpliwie, że są tylko resztkami dawnych rapsodów. Kobzarze zapomnieli stopniowo znacznéj części swego repertoaru i te ustępy, które się w ich pamięci zachowały, musiały się poplątać i pogmatwać, ztąd też w razie niedopisania pamięci, piewcy zapożyczali gotowe odpowiednie ustępy z innych dum. Tak przynajmniéj tłómaczy się kobzarz Fedor z Kriaczkówki: „Kołyż ne zhadaju; tut ystynno kotoru znajesz, toj to ne nabrede na tołk; a to tak spiwajesz de jakych: stych (wiersz) z odnojeji, da z druhoje, da izwiażesz tak, a szczob to usiu!... dak ne znaju; niczohoj brechaty; ot, bożestwennych, dak ja taky bohato *dojszow* (nauczył się)" (Ant. i Dr. I, 332).

Poezya dum przepełnioną jest obrazami poetycznemi, których tu daleko większe bogactwo, niż w eposie serbskim i w bylinach. Barwy poetyczne, przenośnie, porównania, epitety—są czysto ludowe rusińskie, bez najmniejszéj przesady i hyperbolicznych obrazów, w jakie przeważnie obfitują byliny, a w części i rapsody serbskie. Dla ubarwienia myśli i obrazów, dumy nigdy nie wprowadzają pierwiastku nadprzyrodzonego lub fantastycznego. Zasadą obrazowości w nich, jak i w ogóle całéj poezyi rusińskiéj, jest głęboko odczuwana symbolika przedmiotów, pozostała ze wspomnień mitologicznych geo- i zoomorficznych. Symbolika to taż sama, co i w starych pieśniach słowiańskich, taż sama, co i w Słowie o Pułku Igora, znana jest ona

powszechnie, to też dłużéj się nad nią rozwodzić nie mamy potrzeby. Zwrócę tu tylko uwagę czytelnika na kilka rysów w obrazowaniu, mających znaczenie epiczne.

Wiele bardzo obrazów właściwych dumom, nie spotykanych w zwykłych pieśniach ludowych, znajdujemy w rapsodzie o Wyprawie Igora na Połowców, z którym w ogóle dumy wiele mają wspólności. Tak nap. w opisach klęski na polu walki i tak zwanego w dumach „ciemnego pogrzebu kozackiego“ w czystém polu, niezbędnymi aktorami są szare wilki i orły klekoczące. Porównajmy następne dwa obrazy.

Jedna duma maluje nam kozaka umierającego od ran na pobojowisku i w te słowa opis poczyna:

Oj, na tatarśkych polach,
Na kozaćkych szlachach,
Ne wowky-siromanci kwylat'—prokwylajut',
Ne orły-czornokrylci kłekoczut' i pidnebesamy litajut',
To sedyt' na mohyli kozak stareseńkyj.....

Duma o ucieczce trzech braci z Azowa tak maluje śmierć w stepie młodszego brata:

K jomu wowci-siromanci nachożdały,
Orły-czornokrylci nalitały.
Na kudri nastupały,
Pylno kozakowi w oczi zahladały:
Wony smerti joho dożydały,
Chotiły zazdałehody żywota temnyj pochoron odprawlaty.

Takich że samych barw używa i piewca Igora dla wyobrażenia grozy pobojowiska:

(23) Igor k Donu woi wedet',
Uże bo bida jeho paset' pticzi po dubiju,
Wołci grozu wsraszajut' po jarugam,
Orły klektom na kosti zwiry zowut';
Łysyci breszut' na cz'rlenyja szczyty.

W dumie o klęsce pod Korsuniem, bitwa przedstawia się w obrazie ucztowania piwem, które warzą kozacy wraz z Lachami, Chmielnicki w te słowa daje kozakom hasło do walki:

Hej druzi mołodci,
Brattia kozaky zaporożci!
Dobre dbajte, barzo hadajte,
Iz lachamy pywo waryty zaczynajte:
Ladśkyj sołod, kozaćka woda,
Ladśki drowa, kozaćki truda!“

Krwawa walka znajduje także porównanie do uczty i w Wyprawie Igora:

(54) Tu krwawaho wina nedosta,
Tu pir pokonczasza chrabryji Rusiczi:
Swaty popoisza,
A sami polegosza za zemlu Ruśskuju.

Takie podobieństwo obrazowania jest dość częstém. Zaznaczę tu jeszcze jeden zwrót epiczny w porównaniach, nieznany w pieśniach lirycznych. Symboliczne porównania są dość pospolite w pieśniach słowiańskich, zwykle połowa pierwsza zwrotki jest symbolem, druga zaś przedstawia treść rzeczywistą, porównywaną do symbolu, nap.

(*symbol*) Oj, czużaja storonońka bez witru szumyt',
(*treść realna*) Czużyj bat'ku, czuża maty, ne bje, ta bołyt'.

Pieśni epiczne, jak dumy, byliny, rapsody serbskie, nigdy w téj formie nie używają porównania, a zawsze przytaczają symbol z przeczeniem, jakby mówiąc, że opisywana treść rzeczywista wcale nie jest tém, co się mówi w symbolu, do którego jest podobną. Tak nap.

U swiatu nedilu *ne* syzi orły zakłekotały,
Jak to bidni newolnyky u tiażkij newoli zapłakały....

Ne jasnyj sokił kwyłyt'—prokwylaje,
Jak syn do bat'ka do materi z tiażkoji newoli w horoda chrystyjański pokłon posyłaje....

Ne czorna chmara nalitała,
Ne bujni witry winuły,
Jak dusza kozaćka mołodećka z tiłom rozłuczałaś.

Podobny zupełnie sposób porównań symbolicznych przedstawia Wyprawa Igora, nap:

Bojan że bratije *ne desiat' sokołow* na stado łebedej puszczasze,
On swoja wiszczija prsty na żywyja struny wskładasza....

Nemizi krwawi brezi *ne bołogom* biachut' posijani:
Posijani kost'mi Ruśskych synow.

Taki sam sposób porównania spotykamy w ołoneckich bylinach i w rapsodach serbskich (1).

---

(1) *Porów.* z *byliny o Ilji Muromcu*:

Nie syrój dub k ziemli kłótnitsa,
Nie bumáżnyje listoczki razstiłájutsa,
Razstiłájetsa syn piéried bátiuszkom,
On i prósit siebié błagosłowiénjia.

I z rapsodu serbskiego:

Rosły społem dwa świerki zielone,
Między niemi jodła wybujała.
To *nie były* dwa świerki zielone,
Nie wysmukła jodła między niemi,
Lecz to byli dwaj bracia rodzeni,
I Jelica, siostra między niemi.
(Narod. Pieś. Serbs. 1855, I, 132).

Do charakterystycznych cech formy wyróżniających dumy z pomiędzy innych utworów ludowych, należy zaliczyć oryginalny, tylko dumom kobzarskim właściwy sposób ich zakończenia. Pełne zakończenie dumy przedstawia dwie odrębne części: oddanie hołdu czci i sławy bohaterom dumy i modlitwę do Boga o zdrowie i powodzenie albo dla całego narodu, lub przynajmniéj dla słuchaczów, tak np.

(*Chwała*) Prawda, panowe, polahła
Kiszky Samijła hołowa
W Kyjewi-Kanewi manastyri...
Sława ne wmre, ne polaże!
Bude sława sławna
Pomiż kozakamy,
Pomiż druziamy,
Pomiż łycariamy,
Pomiż dobrymy mołodciamy.
(*Modlitwa*) Utwerdy Boże ludu carśkoho,
Narodu chrystyjańskoho.
Wijśka Zaporożśkoho
Z syjeju czerniju Dniprowoju,
Nyzowoju,
Na mnohaja lita,
Do koncia wika!

Bywają też zakończenia znacznie krótsze, zwykle jednak zawierające obie te części, tak nap.

Polahła dwoch bratiw hołowa wyszcze riczky Samarky,
Tretia u Osawur mohyły,
A sława ne wmre ne polaże,
Od nyni do wika!
A wam na mnohyja lita!

Sposób ten zakończenia bez modlitwy wszakże, lecz tylko z zaświadczeniem chwały bohaterom, widzimy i u piewcy Wyprawy Igora:

Sława Igoriu Swiatosławliczlu,
Bój-turu Wsewołodu.
Władimiru Igorewiczlu!
Zdrawi kniazi i drużina, poboraja za chrystjany na pohanyja płky,
Kniazem sława a drużyni!

Podobne zakończenia, chociaż nie stale, spotykają się i w rapsodach serbskich, nap.

Wszystkimże im wieczna cześć i chwała,
I u Boga wieczna radość w niebie. (*Lazarica* 47)
Miły Boże, we wszystkiem ci chwała,
A co bylo, niech nie wróci więcéj! (*Nard. Pieś. Serbs.* 1855, I, 98).

Zupełnie analogiczne zakończenia, w których obok wysławiania rozmaitych osób jest złożenie różnych życzeń słuchającym, pozo-

stały w rusińskich szczedrówkach i kolędach; napotykają się także i w kolędach polskich. Nie wątpliwém jest przeto, że te zakończenia wysławiające bohaterów, należą do prastarych zabytków poezyi słowiańskiéj. Nie bez pewnéj zasady utrzymuje pan Kulisz, że mogły one powstać z powodu zwyczaju układania pieśni na cześć pewnych osób, w obec których bywały śpiewane (1). Liczne przykłady daje nam historya, jak chętnie dawali nawet wielcy ludzie ucho pochwalnym mowom i pieśniom. Większość téż rapsodów historycznych bohaterskich niewątpliwie składaną była jednocześnie prawie z opiewanemi wypadkami. Słowo o Pułku Igora, jak świadczy o tém sam rękopism, śpiewaném było opiewanym książętom. To samo prawdopodobnie należy sądzić i o naszych dumach, już z tego powodu, że niektóre z nich tak są historycznie prawdziwe w drobnych nawet szczegółach, iż trudno myśléć, by mogły być ułożone znacznie późniéj od wydarzonych wypadków, które opiewają. Na potwierdzenie tego mniemania p. Kulisz przytacza świadectwo dokumentalne: „W *kratkoj Istorji o buntach Chmielnickawo*, napisanéj przez autora spółczesnego tym buntom powiedziano (str. 44), że narzeczona Tymofija Chmielnickiego, w przeddzień odwiedzin jego, kazała sobie śpiewać o nim „*dumę kozacką*“ (2).

Cesław Neyman.

---

(1) Zap. o J. R. I, 194—195.
(2) Zap. o Już. Rusi I, 179.

DRUGI WALNY ZJAZD

TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

WE LWOWIE.

(*Dokończenie*).

Z kwestyą zmiany instrukcyi w najściślejszym stoi związku kwestya odpowiedniego opracowania podręczników szkolnych. Bo to rzecz jasna, że układ tych ostatnich zastosować się musi ściśle do całego planu lekcyjnego, jaki przepisuje instrukcya. Wprawdzie w nowszych czasach postawiono w dydaktyce twierdzenie, całkiem zresztą słuszne, iż nauczyciel nie ma być niewolnikiem podręcznika, że powinien mieć wobec niego pewną swobodę w traktowaniu przedmiotu, że nawet może częściowo odstąpić od układu, przeprowadzonego w podręczniku; mimo to jednak potrzeba racyonalnie ułożonych podręczników okazuje się nieodzownie potrzebną, jeżeli się wogóle nie chce zmuszać uczniów ażeby zakładali skrypta i notowali w nich skrzętnie każde słowo nauczyciela, i jeżeli się ich nie chce pozbawiać środka, za pomocą którego zdołaliby odświeżyć wiadomości w klasie nabyte. W Galicyi, gdyby nawet nie przyszło do zmiany instrukcyi, gdyby cała nauka postępowała i nadal dotychczasowemi, utartemi torami, potrzeba gruntownéj reformy podręczników okazuje się konieczną. Wykazał to w sposób przekonywający dr. Ćwikliński w osobnym referacie, poświęconym téj sprawie. Kiedy przed laty kilkunastu we wszystkich prawie galicyjskich gimnazyach i szkołach realnych wprowadzono język polski jako wykładowy, nie stało w pierwszéj chwili książek, któreby można było bezzwłocznie wprowadzić do nauki w tych szkołach. Nagłéj potrzebie starano się zaradzić w ten sposób, iż dokonywano przekładów i przeróbek aprobowanych i używanych książek niemieckich. Pojawiło się wprawdzie w ciągu tych lat kilkunastu także i kilka samodzielnie pomyślanych podręczników polskich, ale liczba ich nie jest bynajmniéj znaczną. Otóż nie potrzeba dowodzić szcze-

gółowo, że tłómaczenia i przeróbki z dzieł niemieckich nie czynią zadość swojemu zadaniu, że nawet rozmaite dodatki, jakie w przekładach polskich do tekstu oryginalnego powsuwano, niedogodnościom zaradzić nie mogą, bo nie stanowią z pozostałemi częściami dzieła organicznéj całości. Kilka przykładów wystarczy do uzasadnienia tego twierdzenia. W wyższych klasach galicyjskich szkół średnich używany jest do nauki historyi przeważnie trzytomowy podręcznik Pütza. Pomijając już nużącą oschłość wykładu, która bynajmniéj nie ma warunków po temu, aby zachęcić ucznia do przedmiotu i rozmiłować go w nim, zaznaczyć należy, że podręcznik ten może, co najwięcej, być rzeczą odpowiednią dla szkół niemieckich, ale nie polskich. Podręczniki niemieckie traktują bowiem historyą przeważnie ze stanowiska niemiecko-liberalnego albo prusko-protestanckiego—kierunek, który świadomie czy też bezwiednie przyjęli także i pisarze austryaccy. Przy takich podręcznikach, również i w Galicyi nauka historyi musi iść mimowoli w ślad za tą doktryną. Najgorzéj zaś wychodzi w tych książkach historya Słowiańszczyzny, zbywana zazwyczaj przez Niemców kilku krótkiemi ustępami; dodatkowe zaś ustępy, jakie tłómacze wtrącają do przekładów polskich, nie są w stanie uzupełnić tego, czego brak w całokształcie dziejów w tłómaczonym podręczniku. Podobnież ma się rzecz także i z podręcznikami do filologii klasycznéj, właśnie dla tego, że i one są w przeważnéj części tłómaczeniami lub przeróbkami książek niemieckich. Gramatyki obcéj uczyć można z pożytkiem tylko w takim razie, jeżeli się obcy język zastosuje do właściwości i zasad języka własnego. Tymczasem w podręcznikach naszych nie zawsze tak się dzieje. Opierając się bowiem na opracowaniach niemieckich, zwracają one częstokroć uwagę na takie kwestye, których wyjaśnienie jest wprawdzie potrzebném dla ucznia Niemca, ale zbędném dla Polaka, a pomijają inne, których nie potrzeba tłómaczyć Niemcowi, ale pożądaną byłoby rzeczą wyjaśnić Polakowi. Stąd nasuwają się rozmaite trudności między innemi także i ta, że nauka języka wykładowego (polskiego) i języków klasycznych nie mogą się skutecznie uzupełniać nawzajem, ani téż postępować naprzód jednostajnym krokiem. W innych przedmiotach wykładowych sprzeczności między duchem podręczników niemieckich a polskich nie objawiają się może już w tak rażących konturach, nie ulega jednak wątpliwości, że i tutaj dałyby się zaprowadzić pewne ulepszenia, zmierzające do baczniejszego uwzględnienia właściwości młodzieży polskiéj tudzież jéj potrzeb naukowych. Jednėm słowem, chodzi o to, aby cały system podręczników przeistoczyć, przenieść je z obcéj dziedziny na

grunt swojski, przybrać je nie tylko w szatę języka polskiego, ale zarazem także wlać w nie ducha swojskiego.

Rzecz oczywista, że do opracowywania podręczników powołani są głównie nauczyciele sami; upoważnia ich do tego zarówno wiedza fachowa, jako też nabyte doświadczenie. Jeżeli mimo to nie posiadamy dotychczas odpowiednich dla wszystkich przedmiotów książek szkolnych, to nie można jeszcze winić z tego powodu nauczycieli, ale szukać należy przyczyn w innych okolicznościach, na wskróś zewnętrznéj natury. Najprzód nie umiano wytworzyć godziwéj w kołach nauczycielskich konkurencyi w opracowywaniu podręczników. Konkurencya taka może wydać tylko najlepsze owoce; bo oczywiście wtedy jedynie można się spodziewać dobrych książek szkolnych, jeżeli się będzie mogło wybierać pomiędzy kilku lub kilkunastu pracami. Konkurencya taka dałaby się wywołać przez zachęcanie, a szczególniéj przez rozdzielanie nagród i w ogóle przez zabezpieczenie pewnych materyalnych korzyści dla autorów podręczników, napisanych dobrze i ze zrozumieniem rzeczy. Fundusze na ten cel dałyby się łatwo znaleść; tak np. sejm galicyjski wstawiał przez dłuższy czas corocznie w budżet wydatków kwotę 1000 złr. przeznaczoną na nagrody dla najlepszych książek szkolnych. Dziwnym trafem nikt dotychczas z tego nie korzystał, skąd też sejm widząc bezskuteczność swoich zabiegów, wykreślił tę pozycyą z ostatniego budżetu; nie ulega jednak wątpliwości, że skoroby się tą sprawą zajęto na nowo gorliwie, sejm okazałby wszelką gotowość dalszego popierania wydawnictwa książek szkolnych. Drugą, najważniejszą wadą całéj sprawy jest brak systematycznéj i racyonalnéj organizacyi tychże wydawnictw. Pojawianie się podręczników zostaje nie tyle w związku z okazującą się w danéj chwili potrzebą, jak raczéj zawisło prawie wyłącznie od uznania i dobréj woli jednostek. Każdy układa książkę szkolną, kiedy chce, i do tego przedmiotu, który sobie dowolnie obierze; stąd zdarza się, że okazują się podręczniki mniéj potrzebne, na pojawienie się zaś innych, których należałoby sobie życzyć przed wszystkiemi innemi, trzeba czasem czekać długi czas bezskutecznie. Wynika stąd także, iż do jednych przedmiotów jest kilka lub kilkanaście podręczników, do innych zaś nie ma ich wcale. Tym niedogodnościom zapobiegnie się jednak, jeżeli całą sprawę ujmie się w pewien system, jeżeli się pracę należycie uorganizuje i rozdzieli. Z tego powodu byłoby wielce pożądaném, ażeby rada szkolna krajowa, jako władza powołana do aprobaty książek szkolnych, stworzyła osobną komisyą, któraby ułożyła cały program pracy, któraby program ten, w miarę zmieniających się potrzeb i warunków, odpowiednio modyfikowała i uzupełniała,

któraby udzielała wskazówek, jakie książki pisać należy, któraby jedném słowem, owładnęła cały ruch wydawniczy i stanęła na jego czele. Rzeczą téj komisyi byłoby także oceniać nadesłane rękopisy, czy i o ile stosują się do użytku szkolnego, wobec czego należałoby powołać do jéj składu najwybitniejsze w kraju siły fachowe w każdéj gałęzi umiejętności.

W myśl tych uwag, przedstawionych przez referenta, powzięto po wyczerpującéj dyskusyi następujące uchwały: 1) walne zgromadzenie wyraża przekonanie, że instrukcye dopiero wtedy dadzą się wszechstronnie wykonać, gdy do każdego przedmiotu wydane będą podręczniki i inne środki naukowe, ściśle do instrukcyi zastosowane; 2) walne zgromadzenie, uznając usiłowania prywatnych przedsiębiorstw na polu wydawnictw podręczników szkolnych za niedostateczne, poleca wydziałowi udać się do władz szkolnych z prośbą o ustanowienie komisyi, któraby wypracowała zasady i szczegółowe programy do podręczników szkolnych, a zarazem zajęła się rewizyą i oceną nadesłanych książek; oraz poleca wydziałowi, aby się zajął wyjednaniem u wysokiego sejmu stałéj subwencyi, przeznaczonéj na nagrody konkursowe za najlepsze podręczniki dla szkół gimnazyalnych i realnych.

Więcéj lokalny charakter nosi na sobie sprawa anormalnych stosunków gimnazyum realnego w Brodach (ref. prof. Bańkowski). W gimnazyum tém nauka odbywa się tylko pięć dni tygodniowo, gdyż przez wzgląd na znaczną liczbę uczniów wyznania mojżeszowego, sobota nie należy do dni szkolnych. Skutkiem tego cały materyał naukowy, jaki gdzieindziéj przeznaczony jest na sześć dni nauki, tutaj musi być przerobiony w przeciągu dni pięciu. Nadto obowiązkową jest w tym zakładzie nauka rysunków (czego w gimnazyach, w ścisłém tego słowa znaczeniu, nie ma), prócz tego zaś przypada większa niż gdzieindziéj ilość godzin na naukę historyi naturalnéj. Tak więc uczniowie mają tam przeciętnie o pięć godzin więcéj tygodniowéj nauki, która nadto rozłożoną być musi na mniejszą ilość dni, aniżeli gdzieindziéj. Na każdy dzień przypada zatém 6—7 godzin szkolnych, do czego jeżeli doliczymy 3—4 godzin nauki domowéj, celem odpowiedniego przygotowania się, wypadnie 10—11 godzin umysłowéj pracy dziennéj. Jest-to przeciążenie, które pociągać za sobą musi fatalne skutki; uczeń bowiem albo się nienależycie przygotowuje w domu do szkoły, albo też, chcąc podołać swemu zadaniu, rujnuje zdrowie nadmiarem pracy. Ten ostatni wzgląd przedstawia tém więcéj niebezpieczeństwa, ile że młodzież gimnazyum brodzkiego jest przeważnie ubogą, głodną i źle odzianą, że zatém już ze względu na to nie należałoby jéj zmuszać

do zbytnich wysiłków w pracy. Zresztą istnienie dwudniowéj przerwy w nauce (sobota i niedziela) jest już ze względów dydaktycznych do odrzucenia; przerwa ta sprawia bowiem, że uczeń zapomina niejedno, co sobie przyswoił, a nadto wyprowadza go to z karbów szkolnych, czyni gnuśnym i niejednostajnie pracowitym. Chcąc tym niedogodnościom zaradzić, powzięło walne zgromadzenie uchwałę, polecającą wydziałowi poczynić stosowne kroki celem ich usunięcia. Najstosowniejszym krokiem, według zdania referenta, będzie, obok uszczuplenia godzin wykładowych pewnych przedmiotów, usunięcie święcenia soboty. W dniu tym uczęszczają nawet obecnie starozakonni uczniowie w Brodach na naukę religii i niektórych przedmiotów nadobowiązkowych; dla czegóżby tedy nie mieli uczęszczać na przedmioty obowiązkowe? Zresztą, w t. z. gimnazyum niemieckiém we Lwowie frekwencya żydów jest jeszcze o wiele znaczniejszą, a mimo to sobota jest dniem szkolnym; nie ma tedy powodu robić dla Brodów wyjątku w tym względzie.

Z omówionéj tu sprawy, jak nie mniéj z kilku innych poprzednio poruszonych punktów widać, jak baczną uwagę zwrócił zjazd na to, ażeby choć w części ulżyć panującemu dotąd zbytniemu przeciążeniu młodzieży. Dążność ta jest w Galicyi uzasadnioną może bardziéj niż gdziekolwiek indziéj. Pomijając już bowiem, że skutkiem wyjątkowych stosunków, trzeba tu więcéj ogarniać przedmiotów naukowych, aniżeli w innych prowincyach, podnieść należy i ten wzgląd, że ucząca młodzież zaciąga się przeważnie z ludności ubogiéj, że czasami rozporządza zaledwie najniezbędniejszemi a bardzo szczupłemi środkami do życia, a i te niejednokrotnie zdobywać sobie musi ciężką pracą pozaszkolną, która jeszcze bardziéj wyczerpuje jéj siły. Licząc się z tym stanem rzeczy, Towarzystwo nie poprzestało jedynie na saméj walce przeciw przeciążeniu, ale wystąpiło nadto z czynną inicyatywą w sprawie racyonalnego urządzenia fizycznego wychowania młodzieży, za pomocą którego możnaby choć częściowo zneutralizować zgubne skutki, wynikające z nadmiaru pracy. Poruszenie téj sprawy (referent profesor Palmstein) było téż w istocie naglącą koniecznością. Gdzieindziéj, jak w Niemczech, Francyi, Anglii, wychowanie fizyczne młodzieży jest przedmiotem najżywszéj troskliwości; u nas, pomijając już wzgląd, że bywa zazwyczaj lekceważonéni w wychowaniu domowém, odgrywa ono nadto i w systemie szkolnym rolę istnego kopciuszka. Jednóm słowem, kierunek wychowania jest w Galicyi więcéj jednostronny; kosztem ciała chce on kształcić ducha, tak jak gdyby ciało i duch stanowiły dwie odrębne, związku ze sobą nie mające strony istoty ludzkiéj. Są w Galicyi szkoły, w których nau-

ka gimnastyki nie bywa wcale udzielaną; liczba ich nie jest już wprawdzie znaczną i objawia coraz większą skłonność do zmniejszenia, ale nawet i tam, gdzie naukę gimnastyki wprowadzono, system nauczania pozostawia jeszcze dużo do życzenia. W wielu zakładach nie ma nawet osobnych sal gimnastycznych, a ćwiczenia odbywać trzeba na korytarzach nieopalanych (w zimie), wśród przeciągów, albo w zwykłych salach wykładowych, w których oczywiście niepodobna umieścić wszystkich potrzebnych przyrządów. Gdzieindziéj są wprawdzie osobne sale gimnastyczne, ale wilgotne, źle urządzone, grożące zawaleniem się. Jedném słowem, zakład, któryby posiadał warunki do odpowiedniego nauczania gimnastyki, jest prawdziwą rzadkością.

Co ważniejsza, gimnastyka nie należy do przedmiotów obowiązkowych. W gimnazyach jest ona w całéj Austryi przedmiotem nadobowiązkowym, w szkołach realnych należy ona we wszystkich innych prowincyach do przedmiotów obowiązkowych, z wyjątkiem Galicyi, stąd wynika, że korzystanie z ćwiczeń gimnastycznych zależy tylko od dobréj woli i uznania młodzieży saméj, a że młodzież ta nie zawsze umie ocenić ich ważność, przeto uczęszczający na gimnastykę w porównaniu z ogólną liczbą uczniów danego zakładu przedstawiają stosunek bardzo niekorzystny. Są szkoły, w których zaledwie trzecia, czwarta, a nawet piąta część uczniów korzysta z téj nauki; pozostała część pozbawia się własnowolnie pożytku dla zdrowia, jakiby stąd ciągnąć mogła. Okazuje się więc potrzeba wprowadzenia gimnastyki jako przedmiotu obowiązkowego w szkołach średnich, bo tylko w ten sposób zmusi się niejako uczniów do kształcenia ciała i wzmacniania zdrowia. W duchu tym oświadczyło się téż walne zgromadzenie jednogłośnie. Rozumie się samo przez się, że nauka gimnastyki, jeżeli ma wydać pomyślne owoce, musiałaby być urządzona w sposób racyonalny. Więc przedewszystkiém należałoby się postarać o odpowiednie sale i przyrządy gimnastyczne, następnie zaś urządzić rzecz tak, ażeby t. z. zastępy gimnastyczne, tj. ogół uczniów odbywających równocześnie ćwiczenia, nie zawierały zbytniéj ilości uczących się, w ten sposób bowiem na każdego z nich przypada bardzo mało czasu do ćwiczeń na przyrządach. Przytém należałoby powiększyć liczbę przeznaczonych na to godzin, dotychczas przypadała na każdy zastęp zaledwie jedna godzina w tygodniu, a więc rocznie (odtrąciwszy czas feryi) nie więcéj jak 40, liczba zresztą teoretyczna tylko, zmniejszająca się w rzeczywistości znacznie skutkiem rozlicznych świąt, spowiedzi, chorób uczniów itp. W końcu nie potrzeba wyjaśniać, iż gimnastyka, wprowadzona nawet jako przedmiot obowiązkowy, nie mogłaby być uważaną za rzecz,

której wszyscy bez wyjątku uczniowie mieliby się poddać; tam gdzie wady organiczne wskazywałyby gimnastykę jako rzecz szkodliwą, mogącą je bardziéj jeszcze spotęgować, lub w ogóle zagrażać zdrowiu, należałoby ucznia usunąć od ćwiczeń. Stąd zaś wypływa, że gimnastyka powinna zostawać pod nadzorem lekarskim, nie w tém oczywiście rozumieniu, jakoby przy wszystkich lekcyach lekarz miał być obecnym—bo byłoby to ze względów praktycznych trudne do wykonania,- ale w tém, że od oględzin i orzeczenia lekarskiego miałoby zależéć dopuszczenie ucznia do ćwiczeń. Prawda, że i potém jeszcze, przez cały ciąg nauki należałoby do pewnego stopnia rozciągać nadzór, że się tak wyrazimy, lekarski nad ćwiczącymi się, a mianowicie uwzględniając właściwości organizmu ucznia, jednego dopuszczać tylko do pewnych ćwiczeń, innemu zabronić ich, a natomiast nakazać inne; gdy wszakże w tym kierunku ciągły nadzór lekarzów jest, jak wspominałem, niemożliwy, przeto pożądaną byłoby rzeczą, ażeby sam nauczyciel znał się do pewnego stopnia na somatologii. Wychodząc z tych zapatrywań uchwaliło walne zgromadzenie rezolucyą, uznającą potrzebę wprowadzenia na uniwersytetach wykładów somotologii i hygieny, z którychby korzystać mogli kandydaci stanu nauczycielskiego.

Jeżeli wszystkie poprzednio omówione sprawy dotyczyły przeważnie reformy szczegółów w obecnym systemie szkolnym, to sprawa, o której nam teraz z kolei wspomniéć wypada, sięga znaczeniem swojém znacznie daléj, dotyczy bowiem gruntownéj reorganizacyi całéj kategoryi szkół średnich. Mówimy tu o wnioskach w sprawie reformy szkół realnych, uzasadnionych dwoma obszernymi referatami prof. Dziwińskiego i Rottera. W przeciwstawieniu do gimnazyów, dążących przedewszystkiém do nadania uczniom wykształcenia humanitarnego na podstawie studyum języków klasycznych, mają szkoły realne cel więcéj praktyczny, mają nauczyć młodzież pojmować przyrodę, uzdolnić ją do zrozumienia ducha teraźniejszości i jego potrzeb. Taki cel wytknięty został tym szkołom i w Austryi, w chwili wydania planu, dla szkół realnych, w r. 1849. Pozostawiając szczegółowe ich urządzenie przyszłości, zakreślił plan ten na razie ogólne tylko zarysy organizacyi szkół realnych; wprowadził mianowicie niższe i wyższe szkoły realne, wyznaczając im dwa cele: 1) bezpośrednie przygotowanie do zawodów przemysłowych przez nadanie młodzieży pewnego średniego stopnia wykształcenia ogólnego, jako też wykształcenia fachowego, potrzebnego w zawodach przemysłowych; 2) umiejętne przygotowanie do wyższych zakładów technicznych. Pomiędzy niższemi a wyższemi szkołami realnemi zachodzić miała co do zakresu nauczania tyl-

ko różnica ilościowa, nie zaś jakościowa. Do przedmiotów teoretycznych zaliczył plan: religią, języki ojczyste, drugi język żyjący, geografią i historyą, matematykę i nauki przyrodnicze, rysunki cyrklowe i odręczne, wreszcie kaligrafią; do przedmiotów praktycznych: buchalteryą, budownictwo, technologią i towaroznawstwo.

Jeszcze dzisiaj trzeba przyznać planowi temu niepospolite zalety, to też szkoły, które na jego podstawie urządzono, były istotnie wzorowe. Przepełnione zazwyczaj uczniami, wychowały ludzi, którzy dziś stoją przeważnie na czele ruchu przemysłowego, rękodzielniczego, a nawet technicznego w Galicyi i którzy zawsze jeszcze wspominają o nich z szacunkiem. Pierwotnie jeden tylko Lwów miał wyższą szkołę realną; w innych większych miastach kraju były tylko szkoły niższe; atoli wobec dodatnich owoców, jakie szkoły te przynosiły, objawiła się w wielu miejscach dążność do przekształcenia szkół niższych na wyższe, co też nastąpiło rzeczywiście w Krakowie, Stanisławowie, Stryju i Jarosławiu. Kiedy w r. 1867 wprowadzono język polski jako wykładowy, szkoły realne zyskały jeden warunek więcéj do pomyślnego oddziaływania na wychowanie młodzieży; jakoż w istocie, w pierwszych zaraz chwilach objawił się u nich bardzo znaczny napływ uczniów; i tak np. szkoła realna we Lwowie liczyła ich w okresie 1869—1873 przeszło po 1000 rocznie. Ten znaczny napływ miał zresztą przyczynę i w innéj jeszcze okoliczności. W czasie tym, w t. z. erze ekonomicznego rozwoju Austryi, kiedy budowa nowych kolei na większą skalę w Galicyi była w perspektywie i kiedy w ogóle zawody techniczne przedstawiały widoki korzyści materyalnych, pchnięto młodzież do szkół realnych, chcąc jéj zapewnić dobrą a zarazem łatwą do zdobycia przyszłość. Tymczasem jednak nastąpiły fakta, które położyły nagłą tamę rozwojowi szkół realnych i spowodowały zmniejszenie liczby uczniów do niebywałych poprzednio rozmiarów.

A naprzód, przesilenie finansowe z r. 1873, które oddziałało również i na Galicyą w sposób niekorzystny. Powtóre, brak odpowiednio rozwiniętego przemysłu w Galicyi, skutkiem czego, w miarę rosnącego napływu uczniów do szkół realnych, zmniejszały się również widoki łatwego zdobycia przyszłości. Głównie zaś wpłynęły tu ujemnie same stosunki szkolne. Wprowadzenie języka polskiego jako wykładowego, jakkolwiek samo w sobie tyle pożądane, pociągnęło przecież za sobą pewne niekorzystne następstwa. Musiano usunąć dawniejszych profesorów niemieckich, a nie mogąc znaleść dla mnóstwa młodzieży dostatecznéj liczby ukwalifikowanych nauczycieli, zwłaszcza zaś do przedmiotów realnych, jak matematyka, geometrya wykreślna, rysunki odręczne, itp. Trzeba było przed-

mioty te powierzyć nieudolnym rękom zabranych wprost z ławek szkolnych słuchaczów Akademii technicznéj, którzy zadaniu swemu nie zawsze sprostać zdołali. Nadto poruczano kierownictwo zakładów przeważnie także kandydatom niezupełnie kwalifikowanym, bo pełniącym przedtém obowiązki profesorów gimnazyalnych, przejętym zatém więcéj duchem gimnazyum, niemającym zrozumienia ani dokładnéj znajomości, jak należy kierować szkołami realnemi. Z postępem czasu wszystkie te braki wywołać musiały skutek całkiem naturalny: okazało się mianowicie, iż wychowańcy szkół realnych nie mają potrzebnego wykształcenia ogólnego i realnego, wyrobiło się nawet w społeczeństwie przekonanie, że przeciętny poziom wykształcenia realisty stoi o wiele niżéj aniżeli u gimnazisty.

Nadewszystko jednak wpłynęła na upadek szkół realnych sama zmiana w ich urządzeniu, dokonana przez władzę prawodawczą. Dawniejszy plan z r. 1849 wymagał z biegiem czasu uzupełnienia i odpowiednich modyfikacyi. Postęp nauk technicznych, zdobycze nauk przyrodniczych, wzrost rozwoju matematyki, jakie się w ostatnich lat dziesiątkach z taką siłą objawiły, wywołały potrzebę organizacyi wyższych zakładów technicznych, a tém samém także potrzebę umiejętnéj szkoły średniéj, jako zakładu przygotowawczego do tych studyów. Plan z r. 1849 nie czynił już zadość tym wymogom, bo kładł większą wagę na stronę praktyczną, niż umiejętną całéj sprawy. Zmodyfikowano go więc w ten sposób, że usunięto z systemu naukowego wszelkie przedmioty praktyczne, jak buchalteryą, towaroznawstwo itp., zniesiono niższe szkoły realne, które nie mogły już dać należytego do Akademii technicznéj przygotowania, zatrzymano zaś tylko szkoły realne wyższe. Na tém jednak skończyła się na razie reforma; była ona, jak widzimy, natury tylko połowicznéj, odjęto bowiem dawniejszym zakładom ich praktyczność, ale nie dano jeszcze podstawy umiejętnéj, potrzebnéj dla przyszłego technika.

Rząd czuł wprawdzie bardzo dobrze niedostateczność téj reformy; nie chcąc wszakże przeprowadzać jéj w zupełności na własną rękę, przekazał jéj uzupełnienie sejmom prowincyonalnym. Sejmy zajęły się téż niebawem tą sprawą, między innemi, także i sejm galicyjski; ale projekt ustawy, jaki w téj mierze uchwalił, nie otrzymał sankcyi cesarskiéj. Gdy zaś cała sprawa poszła następnie w zapomnienie, wydało ministerstwo oświaty, chcąc zapobiec zgubnym skutkom, jakie z tego niezdecydowanego stanu rzeczy wyniknąćby mogły dla kraju, osobny p l a n t y m c z a s o w y dla nauki w szkołach realnych galicyjskich (r. 1872). W innych prowincyach rzecz przybrała o wiele korzystniejszy obrót. Uchwalone przez sejmy usta-

wy o urządzeniu tych szkół otrzymały zatwierdzenie cesarskie, a że różniły się między sobą bardzo tylko nieznacznie, przeto na ich podstawie wydało ministerstwo w r. 1879 ogólny plan normalny, z mocą obowiązującą dla tych krajów, w których ustawy sejmowe uzyskały sankcyą. Obecnie tedy przedstawia się rzecz w ten sposób, że w Galicyi obowiązuje plan tymczasowy z r. 1872, we wszystkich innych prowincyach plan normalny z r. 1879. Jestto okoliczność, która stawia szkolnictwo realne galicyjskie w najniekorzystniejszym stosunku do tegoż szkolnictwa w innych prowincyach państwa. Plan z r. 1872 bowiem, układany z widocznym pośpiechem, przeznaczony tylko dla chwilowéj potrzeby, stoi bez porównania niżéj co do wartości swojéj od planu z r. 1879. W ogóle biorąc nie odbiega on o wiele od zarysu organizacyjnego z r. 1849, a różni się tém tylko, że znosi naukę przedmiotów praktycznych; przeciwnie plan normalny oparty jest na zasadach najnowszych, postępowych i ma wszelkie warunki po temu, aby zapewnić szkołom realnym pożądany rozwój. Urządza on je do politechnik w takim samym stosunku, w jakim gimnazya stoją do uniwersytetów, a więc tworzy rzeczywistą, umiejętną szkołę średnią, mającą dostarczyć młodzieży przygotowawczego wykształcenia do najwyższych zakładów naukowych. Jako przedmioty obowiązkowe uznaje on: religią, język ojczysty, francuski i angielski, historyą i geografią, matematykę i fizykę, historyą naturalną i chemią, geometryą wykreślną i rysunki cyrklowe, rysunki odręczne, kaligrafią i gimnastykę. Z porównania tego spisu ze spisem zawartym w planie z r. 1872 wynika, że w szkołach realnych galicyjskich nie jest obowiązkową przedewszystkiém nauka gimnastyki, powtóre, że do przedmiotów obowiązkowych nie należą także język francuski i angielski. Skutkiem tego bogata literatura Zachodu, który w ostatnich czasach tyle zdziałał na polu nauk technicznych, jest dla młodzieży nieprzystępną; nadto zaś zbytnie zaniedbanie nauki języków wpływa ujemnie na wykształcenie jéj humanitarne, ogólne. Daleko bardziéj razi jeszcze przestarzała metoda nauki, jaką znajdujemy w planie z r. 1872; plan normalny stoi wobec niego znacznie wyżéj pod tym względem. Tak np. odmienny porządek w ugrupowaniu materyału naukowego w matematyce wpływa tu na większą intensywność nauki; podobnież, wykład chemii, mimo że przeznaczono dlań o dwie godziny mniéj, może według planu z r. 1879 doprowadzić do korzystniejszych rezultatów. W geometryi wykreślnéj zmniejszony jest tu plan naukowy co do ilości, natomiast położony wielki nacisk co do jakości i ścisłości wiedzy; w rysunkach odręcznych dąży on do wyrobienia samodzielności w uczniu, do wzbudzenia w nim poczucia piękna i zrozumienia doniosłości form, kiedy

tym czasem plan z r. 1872 uprawia przeważnie tylko kopiowanie wzorów, i zdolny jest chyba z uczniów stworzyć bezmyślnych naśladowców.

Cóż dziwnego, że wobec tych wszystkich czynników, sprzysięgłych niejako na sprowadzenie upadku szkół realnych, upadek ten w rzeczywistości nastąpił? Dawniéj dobijały się miasta galicyjskie o uzyskanie szkół realnych; dziś dobijają się o zamianę ich na gimnazya, i to nie bez skutku. Realne szkoły w Stryju i Jarosławiu przemienione już zostały na gimnazya; obecnie, w całéj Galicyi są tylko trzy zupełne szkoły realne: we Lwowie, Krakowie i Stanisławowie, kiedy gimnazyów jest 25. Jestto procent tak mały, że napróżno szukalibyśmy go w innych prowincyach. I tak np.

w Austryi dolnéj	jest na	22	gimn.	17	szk.	real.
na Morawie	„	20	„	16	„	„
w Czechach . . .	„	50	„	22	„	„
na Bukowinie . . .	„	3	„	2	„	„
w Karyntyi . . } w Krainie . . }	„	7	„	2	„	„ itp.

Dziwny to zaiste fakt, że na przeszło sześciomilionową ludność Galicyi wystarczyć mogą 3 szkoły realne, a i te nie są bynajmniéj przepełnione; szkoła lwowska np., chlubiąca się niegdyś tysiącznym zastępem uczniów, ma ich dzisiaj niespełna 300. Bezprzykładny ten upadek nie leży zapewne w saméj tylko wadliwéj organizacyi szkół galicyjskich; okoliczności zewnętrzne, zwłaszcza zaś niepomyślny rozwój przemysłu, grają tu także ważną rolę. Nie ulega jednak wątpliwości, że samo niedostateczne urządzenie szkół jest najgłówniejszym powodem ich upadku. Uwzględniając ten fakt, przedstawił wydział Towarzystwa następujące rezolucye: 1) walne zgromadzenie uważa za naglącą potrzebę reorganizacyą szkół realnych i poleca wydziałowi, aby w tym celu poczynił stosowne kroki; 2) zanim sejm krajowy opracuje plan dla szkół realnych galicyjskich, walne zgromadzenie uchwala przyjąć *en bloc* plan normalny dla szkół realnych z r. 1879 z dołączeniem języka niemieckiego jako przedmiotu obowiązkowego, podobnie jak się to stało w gimnazyach. (Ten ostatni dodatek był potrzebny z tego względu, że według planu normalnego, obowiązującego w prowincyach niemieckich, język niemiecki jest ojczystym; w Galicyi byłby nim język polski, ale obok tego należałoby oczywiście nauczać także niemieckiego).

W dyskusyi, jaka się wywiązała, rozmaite wystąpiły zapatrywania. Przyznano wprawdzie powszechnie, że dzisiejsze szkoły realne są źle urządzone, i że, o ile chodziłoby o ich reorganizacyą, należa-

łoby wprowadzić plan normalny z r. 1879; ale poruszono zarazem kwestyą, czy nie lepiejby było zająć, ze względu na reformę, inne jeszcze punkta widzenia. Jedni przemawiali mianowicie za tém, ażeby obecnym szkołom realnym nadać także charakter szkół praktycznych, a więc wrócić poniekąd do zasad wypowiedzianych w planie z r. 1849. Zdaniem naszém dzisiaj żądanie to nie jest już na czasie. Wszelki system nauczania przyrzeka tém lepsze owoce, im dokładniéj przeprowadzona w nim jest jednolitość planu naukowego, a nietrudno dojrzéć, że połączenie celów praktycznych z teoretycznemi zamąciłoby właśnie tę jednolitość planu. Co mogło być dobrém przed laty czterdziestu, dziś już może być przestarzałém i nieodpowiedném. Zresztą nie należy spuszczać z uwagi, że obecna szkoła realna ma być zakładem przygotowawczym do umiejętnych studyów technicznych, i że chcąc spełnić chociażby tylko to jedno zadanie, wymaga już nie małego wysiłku pracy i sporo czasu do jego urzeczywistnienia. Łączyć z temi celami teoretycznemi jeszcze i cele praktyczne, znaczyłoby to nie tylko już naruszać ideę jednolitości organizacyi, ale nadto przeciążać uczniów nawałem pracy, do czego, wobec zbytniéj ilości przedmiotów, przyłączyćby się musiało nadto mniéj ścisłe ich traktowanie, pociągające za sobą powierzchowność wykształcenia. W końcu i tę jeszcze wytknąć należy okoliczność, że dzisiaj, gdzie dla poszczególnych zawodów praktycznych istnieją lub organizują się osobne szkoły fachowe, jak handlowe, przemysłowe, itp., konieczność łączenia obu kierunków: teoretycznego i praktycznego, w ustroju szkół realnych odpada sama z siebie.

Podniesiono także myśl, którą poruszyła zresztą już dawniéj Rada szkolna krajowa, czy nie byłoby rzeczą właściwą, zamiast dwóch kategoryi szkół średnich, gimnazyów i szkół realnych, stworzyć tylko jednę, mającą przygotowywać zarówno do studyów uniwersyteckich jak i politechnicznych, a więc zlać obie te kategorye w jednę całość. Czy i o ile taki pomysł dałby się w praktyce urzeczywistnić, nie wchodzimy w bliższy rozbiór; wspomniećjednakże należy, że przedstawiałby on nie małe trudności. Nikt nie zaprzeczy, że do studyów uniwersyteckich potrzebną jest znajomość języków klasycznych; do studyów technicznych znajomość języków nowożytnych; chcąc ucznia takiego wspólnego zakładu średniego przysposobić do studyum w jednym lub drugim zakładzie wyższym, trzebaby chyba naukę wszystkich tych języków traktować równorzędnie, i stworzyć tym sposobem szkołę poliglotyczną, jak się słusznie wyraził jeden z mówców. Zresztą, przysposobienie do politechniki wymagałoby położenia większego nacisku na naukę przedmiotów matematycznych i przyrodniczych, gdy przeciwnie nauka gimnazyalna może je traktować

mniéj obszernie, bez uszczerbku zadania, jakie ma do spełnienia. We wspólnym zakładzie średnim trzebaby oczywiście uwzględnić wymagania daléj sięgające, okoliczność, która łącznie z owém rozszerzoném studyum języków groziłaby niebywałém przeciążeniem uczniów. Jakkolwiekbądź zresztą rzecz ta urządzićby się dała, to pewna, że nie można jéj było załatwiać z pośpiechem, bez należytego przygotowania; dlatego walne zgromadzenie nie rozstrzygając bynajmniéj kwestyi o połączeniu obu kategoryi szkół, a licząc się jedynie z tém, co jest i co się w danych stosunkach zreorganizować da, przyjęło w zupełności oba wnioski, przedstawione przez wydział. Prawdziwą korzyścią, jaka wypłynęła z dyskusyi, było poruszenie sprawy szkół przemysłowych, których potrzeba w Galicyi odczuwać się daje bardzo dotkliwie; to téż na wniosek prof. Sokołowskiego polecono wydziałowi zająć się bliżéj tą sprawą i spostrzeżenia swe w téj mierze przedłożyć najbliższemu walnemu zgromadzeniu.

Załatwiwszy się z temi kwestyami, dotyczącemi organizacyi i metody nauczania, zajął się wreszcie zjazd także i sprawą samego stanu nauczycielskiego, mianowicie zaś sprawą polepszenia bytu t. zw. suplentów, czyli zastępców nauczycieli (ref. prof. Radziszewski). W myśl zarysu organizacyjnego z r. 1849 istnieje przy każdym całkowitym zakładzie naukowym 11 „systemizowanych“ posad nauczycielskich (nie licząc w to dyrektora i katechetów—razem więc 13 lub 14 posad). Ci nauczyciele są urzędnikami państwowymi w całém tego słowa znaczeniu, używają więc wszelkich praw, jakie przysługują w ogóle stanowi urzędniczemu. Obok tego jednak posiada każdy zakład większą lub mniejszą liczbę zastępców nauczycieli, którzy, jakkolwiek składają przysięgę służbową, nie są jednakże uważani za urzędników i zajmują, zarówno pod względem materyalnym jak i społecznym stanowisko bardzo upośledzone. I tak mianowicie, płaca ich roczna wynosi tylko 600 złr. wal. austr., ale niekiedy zmniejsza się do połowy albo nawet czwartéj części. To zmniejszenie następuje mianowicie wtedy, jeżeli suplent nie uczy tygodniowo przepisanéj ilości godzin; w miarę uszczuplenia tych godzin, uszczupla się także stosunkowo płaca. W ostatnich czasach zdarzały się tedy wypadki, że roczne wynagrodzenie suplenta wynosiło nie więcéj nad 105 złr. 98 ct. Daléj, nie ma zastępca nauczyciela prawa do pobierania t. z. „dodatku aktywalnego“, które przysługuje wszystkim urzędnikom państwowym, ani téż prawa do pobierania „dodatku kwinkwennalnego“, t. j. odpowiedniego powiększenia płacy, w razie jeżeli przez 5 lat pełni służbę na téj saméj posadzie; zresztą, lata spędzone na suplenturze nie są mu wliczane do „kwinkwenniów“, skoro zostanie stałym profeso-

rem. Lata te wliczane bywają wprawdzie do emerytury (wszakże dopiero od czasu zdania egzaminu nauczycielskiego), ale i tutaj zachodzą pewne ograniczenia; i tak np. egzaminowany zastępca, który 15 lat służył jako suplent, a 15 jako profesor, musi dodatkowo odsłużyć jeszcze lat 10, aby otrzymać całą emeryturę, którą stały nauczyciel pobiera już po latach 30, suplent może być zresztą bez żadnéj przyczyny i wbrew swojéj woli przeniesiony z jednego miejsca na drugie, wreszcie zaś nie ma on prawa głosowania ani przy wyborach do rady państwa, ani téż do sejmu, ani nawet przy wyborze do reprezentacyi gminnéj.

Łatwo zrozumiéć, że taki stan rzeczy pociągnąć może za sobą najfatalniejsze skutki. Nędzne położenie materyalne, w jakiém znajdują się suplenci, zmusza ich do szukania zarobku postronnego, nie dozwala oddać się swojemu zawodowi z całém poświęceniem, co gorsza zniechęca ich do niego. W szeregach zastępców nauczycieli zaczyna się już teraz objawiać pewna dezercya, na korzyść innych zawodów, które dają lepsze i pewniejsze utrzymanie, a liczba kandydatów stanu nauczycielskiego maleje z postępem czasu coraz bardziéj. A trzeba dodać, że liczba suplentów jest w Galicyi, w stosunku do ogólnéj liczby nauczycieli, bardzo znaczna, znaczniejsza, niż w jakiejkolwiek innéj prowincyi. Następujące zestawienie statystyczne może dać o tém dokładne wyobrażenie. I tak przypada na 100 nauczycieli rzeczywistych:

w Austryi górnéj z Salzburgiem .	11·32	supl.
na Szląsku	13·04	„
w Karyntyi i Krainie.	13·54	„
na Wybrzeżu	14·60	„
w Dalmacyi	18·31	„
w Tyrolu z ziemią przedarulańską .	18·31	„
w Styryi	23·58	„
na Morawie	38·15	„
w Czechach	42·44	„
na Bukowinie	65·81	„
w *Galicyi*	**68·62**	„

Celem usunięcia tego nieprawidłowego i z interesem szkoły na wskróś niezgodnego stanu, powzięło walne zgromadzenie rezolucyą, wyrażającą konieczność zmniejszenia liczby zastępców i polepszenia ich bytu, a to za pomocą następujących środków.

1. Przez założenie szkół średnich w liczbie odpowiadającéj zaludnieniu i obszarowi Galicyi. Pod względem obszaru przypada obecnie:

w Austryi dolnéj	na	508.31	□ km.
na Szląsku.	„	571.95	„ „
na Morawie	„	617.49	„ „
w Czechach	„	721.61	„ „
na Wybrzeżu.	„	798.86	„ „
w Tyrolu z ziemią przedarulańską	„	1629.27	„ „
w Dalmacyi	„	1827.51	„ „
na Bukowinie	„	2090.20	„ „
w Austryi górnéj z Salzburgiem .	„	2129.15	„ „
w Karyntyi i Krainie	„	2262.10	„ „
w Styryi	„	2494.89	„ „
w *Galicyi*	„	**2706.79**	„ „

Galicya zajmuje tu więc ostatnie miejsce; w porównaniu zaś z przeciętną liczbą stosunkową całéj monarchii austryackiéj, należałoby się jéj, ze względu na jéj obszar, o 37 szkół średnich więcéj, aniżeli obecnie.

Gorzéj jeszcze przedstawia się stosunek ze względu na zaludnienie. I tak mianowicie przypada jedna szkoła średnia:

w Tyrolu z ziemią przedarulańską	na	50.672	mieszk.
w Austryi dolnéj	„	56.209	„
na Morawie	„	59.980	„
na Szląsku	„	65.007	„
na Wybrzeżu	„	66.658	„
w Dalmacyi	„	70.019	„
w Czechach	„	76.972	„
w Karyntyi i Krainie	„	90.046	„
w Austryi górnéj z Salzburgiem .	„	100.886	„
na Bukowinie	„	113.975	„
w Styryi.	„	134.649	„
w *Galicyi*	„	**218·520**	„

Tu znowu, ze względu na liczbę przeciętną, należałoby się Galicyi o 43 szkół więcéj, aniżeli obecnie.

Prawda, że o pomnożeniu liczby szkół średnich, odpowiadającém w zupełności stosunkom obszaru i zaludnienia w Galicyi, nie można myśléć na razie; gdyby wszakże uczyniono choć cokolwiek w tym kierunku, gdyby w kilku tylko miastach, które dobijają się o szkoły średnie i które nawet niejednokrotnie ofiarowały na ten cel pewne fundusze od siebie, pozwolono otworzyć gimnazya lub szkoły realne, stosunek przybrałby od razu kształty o wiele korzystniejsze, raz dla tego, że powiększyłaby się liczba stałych po-

sad nauczycielskich, powtóre dla tego, że w zakładach już istniejących zmniejszyłaby się odpowiednio ilość uczniów, skutkiem czego zbytnia ilość suplentów okazałaby się tamże zbyteczną. Obecnie gimnazya galicyjskie liczą przeważnie po nad 500, 600, 800 uczniów, a są i takie, które ich mają z górą 1000. Według danych statystycznych, z 14 gimnazyów w całéj Austryi, liczących po nad 600 uczniów, 8 przypada na Galicyą, 6 na wszystkie inne prowincye. Skutkiem takiego przepełnienia, trzeba wszędzie prawie tworzyć klasy równoległe, które zostają pod kierownictwem suplentów. Gdyby ilość tych klas równoległych zmniejszono, możnaby także zmniejszyć ilość posad zastępców nauczycieli.

2. Przez utworzenie potrzebnéj liczby stałych posad nauczycielskich nadetatowych. Liczba 11 (względnie 14) stałych posad, które wprowadził zarys organizacyjny z r. 1849, mogła wystarczyć jak na stosunki ówczesne; obecnie jednak, kiedy do nauki w szkołach średnich wprowadzony został język polski jako wykładowy, bez usunięcia języka niemieckiego, okazuje się potrzeba powiększenia personalu nauczycielskiego o jednę stałą posadę. Ze względu zaś, że w Galicyi jest 25 zupełnych szkół średnich, przeto już samo spełnienie tego żądania powiększyłoby liczbę stałych posad nauczycielskich dość znacznie. Nie koniec jednak na tém. W myśl zarysu organizacyjnego z r. 1849 instytucya suplentów służy tylko do celów nadzwyczajnych, i tak np. suplent ma być użyty do zastępstwa w razie śmierci lub dłuższéj choroby profesora, w razie jeżeli na rozpisany konkurs nie zgłosi się żaden kwalifikowany kandydat i t. p. Nadto, wedle reskryptu ministeryalnego z 11 marca 1857, każda „paralelka,“ istniejąca nieprzerwanie przez dłuższy przeciąg czasu, powinna spowodować władze szkolne do odpowiedniego pomnożenia posad systemizowanych. Otóż wykazać się da, że w Galicyi w ciągu ostatnich lat siedmiu istniało nieprzerwanie 48 „paralelek“, że zatém licząc na każdą z tych klas półtoréj siły nauczycielskiéj, wypadłoby pomnożyć jeszcze ilość posad nadetatowych o 72, co bardzo znacznie przyczyniłoby się do umniejszenia zbytniéj liczby suplentów, tém bardziéj, że dotychczas nie ma w Galicyi prawie żadnéj posady *extra statum.*

3. Przez szybsze posuwanie zastępców na opróżnione posady. Dotychczasowy system, praktykowany pod tym względem przez radę szkolną krajową, jest bardzo powolny i wymagałby koniecznéj zmiany przez szybsze załatwianie podań o nominacyą.

4. Przez zaniechanie nominacyi zastępców nauczycieli ze zmniejszoną płacą, rzecz, o któréj już poprzednio mówiliśmy.

5. Przez zaliczenie egzaminowanych suplentów do pewnéj klasy urzędników, a to co najmniéj do XI klasy. W ten sposób suplent pobierałby oprócz płacy 600 złr. nadto jeszcze i „dodatek aktywalny", a zarazem miałby prawo do „kwinkwenniów." Żądanie to przedstawia się uzasadnioném tém bardziéj, ile że do XI klasy zaliczani są po największéj części urzędnicy nie mający ani studyów uniwersyteckich, ani tak trudnych egzaminów jak profesorskie.

Oto w ogólnym zarysie działalność drugiego walnego zjazdu Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Ktokolwiek przypatrzy się jéj bliżéj, ten zapewne nie posądzi nas o przesadę za to, żeśmy ją nazwali żywotną i pożyteczną. Zjazd ten dotknął z całą stanowczością i zrozumieniem rzeczy rozlicznych wad w dziedzinie szkolnictwa galicyjskiego, a wykazawszy ujemne ich strony, umiał podać odpowiednie środki zaradcze. Prawda, że rezolucye zjazdu nie są jeszcze reformą szkolnictwa, że cała jego akcya w tym kierunku ma więcéj znaczenie teoretyczne aniżeli praktyczne, że urzeczywistnienie jego żądań leży w ręku władz powołanych do tego; ale już samo podniesienie tylu spraw ważnych, wyciągnięcie ich przed *forum* całego społeczeństwa daje rękojmię, iż władze te okażą się pochopniejszemi do uwzględnienia całego szeregu życzeń tamże wypowiedzianych, tyle zresztą słusznych i uzasadnionych. Widoczna zresztą, że w stawianiu swych postulatów zjazd zachował największe umiarkowanie, że nigdzie nie domagał się jakiegoś szczególnego uprzywilejowania szkolnictwa galicyjskiego, że zawsze uwzględniał stosunki w innych prowincyach austryackich, że żądał tylko równouprawnienia w téj mierze z innemi prowincyami, a i z tego żądania nie zawsze wyprowadzał wszystkie wyniki, jakieby wyprowadzić można było, jeżeli widział, że żądanie to w praktyce nie dałoby się urzeczywistnić w całości.

Jest jeszcze jeden wzgląd, który obradom zjazdu dodaje nie małego znaczenia. Oto stan nauczycielski, nie cieszący się — powiedzmy otwarcie—zbytniém uznaniem w dość licznych sferach społeczeństwa galicyjskiego, złożył tu niejako próbę przed temże społeczeństwem, jak się zapatruje na stosunki swego zawodu, jego wymagania i potrzeby, jak pojmuje swe obowiązki i w jaki sposób pragnąłby je urzeczywistnić. I wypadła ta próba na zupełną korzyść nauczycieli; z dyskusyi, jakie się toczyły, widać było wszędzie zrozumienie rzeczy, jasny a trzeźwy pogląd na nią, co zaś najważniejsza, widać było zapał dla sprawy. Widać było, że święty ogień rozszerzania oświaty w narodzie nie ostygł w nich i nie zatarł się ani z postępem czasu, ani wśród przeciwności, z którymi walczyć muszą.

I oto nasunęła się niejednemu może uwaga, że rzeczywista, wewnętrzna wartość stanu nauczycielskiego przewyższa o wiele tę, jaką mu w ostatnich czasach przyznawała opinia.

Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych ma do spełnienia ważne jeszcze zadania. Cokolwiekbądź powiemy o urozmaiconym programie tegorocznego zjazdu, to jednak pewna, że nie dotknął on jeszcze wszystkich wad szkolnictwa galicyjskiego. Oczywiście, naprzód trzeba było uwzględnić rzeczy najważniejsze, a i tych nie można było traktować równomiernie we wszystkich szczegółach. Dalsze zjazdy pozwolą zapewne rozszerzyć program i pogłębić działalność Towarzystwa. Na razie witając z całém uznaniem to, co już zrobiono, zakończymy chyba rzecz naszą słowami organu Towarzystwa (Muzeum), wypowiedzianemi z powodu zjazdu: „Opuszczaliśmy salę obrad z podniosłém usposobieniem ducha, które było wypływem przeświadczenia, żeśmy pracowali uczciwie i z pewnym pożytkiem dla kraju, i czuliśmy, że nam przestronniéj w duszy i ciepléj koło serca. Okazało się, że umiemy poważnie myśléć, że nasze dusze nie zardzewiały i nie wyziębły pod wpływem samolubnych dążności i pragnień, że wreszcie umiemy się dostroić do wysokości tego tonu, jakiego wymaga nasze stanowisko i bieżąca chwila. A ton ten brzmiał przez cały ciąg zgromadzenia czysto i pełno, bez fałszywego przydźwięku jakiegokolwiek, i nie zniżył się ani razu do poziomu trywialności, lecz brzmiał bez przerwy równie podniośle." — Wygląda to na pochwałę własną; — tym razem jest to przynajmniéj słuszna pochwała.

R.

POGLĄDY NAEGELEGO NA DARWINIZM

I NOWA TEORYA

POCHODZENIA GATUNKÓW.

Mechanisch-physiologische Theorie der Abstammungslehre von Prof. Dr. C. v. Naegeli, Leipzig. 1884.

I.

Od czasu, gdy w roku 1859 Karol Darwin ogłosił swoją teoryą rozwoju drogą doboru naturalnego, dziwne i różnorodne losy spotykały jego naukę. Wielkie i głęboko w prawdę przyrody sięgające poglądy tém się bardzo często odznaczają, że dla niedostatecznie nawet przygotowanych umysłów wydają się najzupełniéj zrozumiałe i proste, jakkolwiek w rzeczywistości wymagają dla należytego ocenienia ich rozległéj wiedzy i odpowiedniéj wysokości inteligencyi. Ludzie, niedostatecznie przygotowani, nie umieją często odróżnić naukowego, opartego na pozytywnych danych, uogólnienia lub téż indukcyjnie wyprowadzonego systematu od spekulacyi, stanowiących chorobliwy często płód zagłębiania się w samego siebie. Stąd téż uważają się za dostatecznie kompetentnych sędziów wszelkich uogólnień, bez względu na stopień naukowego swego przygotowania. To téż więcéj znajdzie się krytyków, z nieusprawiedliwioną zarozumiałością zabierających głos we wszelkiéj *teoryi* społecznéj, aniżeli w pewnéj specyalnéj złożonéj kwestyi ekonomicznéj, zamkniętéj wyłącznie w granicach wiedzy faktycznéj; zupełnie to samo dzieje się z teoryami biologicznemi. Do rozbioru jakiéjś złożonéj sprawy z dziedziny anatomii mikroskopowéj, lub embryologii przystępują zazwyczaj tylko ludzie z lepszém i gruntowniejszém bez porównania przygotowaniem, aniżeli wielu z tych, którzy porywają się na krytykę teoryi rozwoju świata organicznego, opartéj wszakże na ścisłéj wiedzy biologicznéj, bez któréj stanowczo nie może być zupełnie i dokładnie oceniona.

Bo i któż, proszę, nie miał się za kompetentnego sędziego i krytyka teoryi Darwina, tak ścisłego, głęboką i rozległą posiadającego wiedzę i tak ostrożnego w wypowiadaniu zdań stanowczych, przyrodnika? Uczeni naturaliści, lekarze, ekonomiści, duchowni i świeccy literaci i literatki, fejletoniści i reporterzy — wszyscy uważali i uważają się za jednakowo dobrze przygotowanych do należytéj oceny poglądów wielkiego myśliciela angielskiego, do zarzucania mu braku jakoby logiki i ścisłości naukowéj. O ile więc literatura, poświęcona nauce Darwina, jest rozległą, o tyle jest ona różnorodną ze względu na wartość swą naukową. Z pośród olbrzymiéj ilości krytyk darwinizmu, kilkanaście zaledwie zasługuje na miano prawdziwych, naukowych jego rozbiorów, i te przyczyniły się rzeczywiście w wysokim stopniu, jak wszelkie poważne roztrząsania, do bliższego wyjaśnienia wielu stron nauki darwinistycznéj.

Przez słowo „darwinizm“ pojmuje się zazwyczaj dwie różne rzeczy, a mianowicie: teoryą powolnego i stopniowego rozwoju świata organicznego od form najniższych do coraz wyższych, oraz teoryą walki o byt i doboru naturalnego, jako czynników, które ten ciągły rozwój oraz to ustawiczne doskonalenie się jestestw organicznych powodowały i wciąż je jeszcze podtrzymują. Co do pierwszéj, to jakkolwiek Darwin dopiero dostatecznie ją ugruntował na niewzruszonych i pewnych podstawach, przed nim już jednak niektórzy uczeni wypowiadali ze stanowczością pogląd, iż gatunki są zmienne i rozwinęły się jedne z drugich. Lamarck w słynnéj swéj „Filozofii Zoologii“ (1809), a następnie w roku 1815 we wstępie do „Historyi naturalnéj zwierząt bezkręgowych“ wypowiedział zdanie, że wszystkie gatunki, nie wyłączając nawet człowieka, pochodzą od innych gatunków. Przyjmował on również prawo postępowego rozwoju. Po nim znajdujemy cały szereg przyrodników i filozofów, będących obrońcami teoryi powolnego i stopniowego rozwoju i doskonalenia się świata organicznego. Wymienię Geoffroy St. Hilaire'a (1795), dra Granta (1826), dra Freke (1851), który twierdził, że wszystkie istoty organiczne powstały z jednéj formy pierwotnéj, Herberta Spencera (w 1852 r., oraz w r. 1855) dowodzącego w swéj Psychologii konieczności *stopniowego* zdobywania każdéj władzy i zdolności umysłowéj w szeregu rozwojowym istot organicznych, botanika francuzkiego Naudina, dra Schaffhausena itd. Darwin atoli wszechstronnie i gruntownie teoryą przemiany gatunków roztrząsnął, dał jéj silną podstawę i uczynił ją niewzruszoną prawdą naukową, jako opartą na tysiącznych dowodach anatomicznych, embryologicznych, fizyologicznych, geologicznych i paleontologicznych. Najgłówniejsza zasługa Darwina polega wszelako nie na tém, iż dowiódł on przemiany ga-

tunków w ogóle, lecz na tém, iż wskazał przyczyny, przemianę tę wywołujące, a jakkolwiek i tu miał kilku w dziejach wiedzy poprzedników (Dr. W. C. Wells, P. Matthew, Naudin) był on jednak głównym prawdziwym twórcą idei walki o byt i doboru naturalnego, jako najważniejszych czynników przemiany i doskonalenia się organizmów.

Przystępując więc do rozbioru jakiejś krytyki darwinizmu, musimy naprzód spytać, czy krytyka ta odnosi się do teoryi przemiany gatunków w ogóle, czy też tylko teoryi doboru naturalnego, jako głównéj przyczyny owéj przemiany. Otóż, obecnie nie ma żadnego gruntowniejszego naturalisty, któryby wierzył w stałość form zwierzęcych, któryby przypuszczał, że odrazu powstał na ziemi wymoczek i człowiek, i że pomiędzy gatunkami nie ma żadnego pokrewieństwa rodowego. Ci, co się na tę wielką porywają prawdę, nie są ludźmi nauki, nie znają kardynalnych zasad wiedzy biologicznéj, a prawdziwa nauka musi pozostać w takim do nich stosunku, w jakim pozostaje względem ludzi, nie wierzących w krążenie krwi, lub istnienie komórki organicznéj!

Zupełnie rzecz inna, o ile różni naturaliści oceniają doniosłość teoryi doboru naturalnego, jako najgłówniejszego czynnika w rozwoju jestestw żyjących. W téj sprawie występowali dawniéj i dziś jeszcze istnieją uczeni, twierdzący na zasadzie pewnych danych pozytywnych, że idea doboru naturalnego nie może wytłómaczyć nam całéj różnorodności organicznego świata i ustawicznego jego rozwoju. Niektórzy badacze, nie odmawiając ważnego znaczenia doborowi naturalnemu przy przemianie gatunków, twierdzili tylko, że on sam nie wystarcza do wytłómaczenia nam wszelkich objawów téj przemiany; inni atoli, mniéj liczni, starali się ją wyjaśnić zupełnie bez pomocy doboru naturalnego. Do tych ostatnich należy prof. C. v. Naegeli, znakomity botanik niemiecki, autor wydanego niedawno dzieła, którego tytuł podaliśmy w nagłówku.

W dziele tém uczony niemiecki przedstawia mechaniczno-fizyologiczną teoryą rozwoju, według któréj ani walka o byt, ani też dobór naturalny, lecz tylko przyczyny, leżące w saméj protoplazmie, w saméj materyi żywéj, stanowiące wewnętrzne jéj siły, powodują powolny i stopniowy rozwój organizmów. Aby zapoznać czytelnika z poglądami Naegelego, zatrzymamy się naprzód cokolwiek nad teoryą doboru naturalnego Darwina, nad zarzutami, jakie czynili jéj niektórzy uczeni, i nad krytyką jéj przez Naegelego; potém powiemy, co stawia uczony ten na miejscu teoryi doboru naturalnego i wreszcie zestawimy z sobą poglądy jego i Darwina.

U istot żyjących widzimy dwa wielkie, współcześnie działające prawa rozwoju: dziedziczność i zboczenie. Znaczenie pierwszego jest powszechnie znaném, dzieci odziedziczają cechy rodziców swoich, i to nie tylko cechy gatunkowe (lew rodzi lwa, lipa—lipę) lecz i indywidualne, wiadomo bowiem, że dzieci odziedziczają po rodzicach ich rysy, postawę, charakter, zdolności, zboczenia patologiczne itd. Jednakże, dzieci nie są nigdy absolutnie podobne do rodziców, często bardzo cechy indywidualne ulegają znacznym zmianom u potomstwa, a to mniejsze lub większe zboczenie od typu rodzicielskiego jest tak samo prawem ogólném, jak i dziedziczność. Otóż, jak wiadomo, hodowcy korzystają często z pewnych przypadkowych zboczeń (powiadamy przypadkowych, gdyż zwykle nie znamy przyczyny danego zboczenia, nie idzie wszelako za tém, aby nie były one *koniecznym* wynikiem całego szeregu przyczyn i skutków), krzyżują z sobą osobniki posiadające w najwyższym stopniu dane zboczenie i w ten sposób przelewają je na ich potomstwo, zpośród którego znów parzą z sobą te osobniki, u których zboczenie najsilniéj jest wyrażone. W taki sposób hodowcy wytworzyli różne rasy bydła i rozmaite odmiany roślin uprawnych; gromadzili tedy drogą t. z. doboru sztucznego w swych tworach domowych takie cechy, jakie dla danego celu były najodpowiedniejsze; tu szło im o owce z grubą wełną, tam o owce z krótkiemi nogami, indziéj ptastwo domowe szczególnéj jakiejś odmiany itd. W taki sposób powtórzyły się setki ras zwierzęcych i roślinnych. Przez ciągłe nagromadzanie pewnych właściwości, rasy mogą po wielu pokoleniach bardzo znacznie różnić się od siebie. Tak więc może mieć miejsce coraz większe i silniejsze różnicowanie się, rozbieżność cech (dywergencya), mogąca wreszcie wytworzyć rasy tak dalece różne, że możnaby je podnieść do wysokości gatunków odmiennych.

W naturze, podobnie jak w hodowli domowéj, istnieje także dziedziczność i zboczenie, ale gdzież jest tu siła, którаby wybierała do życia pewne tylko osobniki, odznaczające się jakiémś zboczeniem? Co zastępuje sobą jedném słowem w naturze dobór sztuczny, którego trzymają się hodowcy? Otóż, w przyrodzie rodzi się zawsze więcéj istot żyjących, aniżeli może się utrzymać przy życiu w obec istniejących warunków. Skutkiem tego pomiędzy tworami żywemi wywiązuje się zacięta walka o byt; najróżnorodniejsze i najbardziéj odległe od siebie gatunki roślin i zwierząt znajdują się w ciągłéj z sobą kolizyi, ulegając różnym przejawom współzawodnictwa życiowego. Ponieważ zatém wiele jest istot powołanych do życia, a mało może się przy niém utrzymać, pozostają zwycięzcami te tylko jednostki, które obdarzone są najkorzystniejszemi dla siebie zbocze-

niami; tak więc zupełnie bezwiednie działa w naturze dobór, czyli wybór naturalny, zachowujący przy życiu osobniki, mające jakiekolwiek bądź cechy pożyteczne; osobniki te przelewają cechy swe na potomstwo i w taki sposób dane zboczenia coraz silniéj się utrwalają, coraz bardziéj nagromadzają, z czego wynika ciągłe różnicowanie się, ciągła rozbieżność cech i bezustanna przemiana form żyjących. Oto możliwie jaknajzwięźléj wyrażona darwinowska idea doboru naturalnego.

Zobaczmy teraz, jakie zarzuty stawiano téj teoryi? Jeden z najpoważniejszych, wygłoszony przez Brouna, Broca a głównie przez Nägelego (Entstehung und Begriff der naturhistorischen Art. München. 1865) polegał na tém, że istnieje wiele cech, które nie przynoszą, przynajmniéj o ile wiemy, żadnego pożytku organizmowi, które więc nie mogły były powstać przez dobór naturalny. Broun (1), jako przykład, przytacza długość ogona i uszu u rozmaitych zającowatych i myszowatych, skomplikowane fałdy na emalii zębów u wielu zwierząt ssących i mnóstwo innych analogicznych wypadków. Co się tyczy roślin, to przedmiot ten obszernie i szczegółowo rozebrał prof. Naegeli w wyżéj wymienionéj rozprawce. Uczony ten przyznaje, że dobór naturalny wiele zdziałał; ale przytém kładzie nacisk i na to, że bardzo często u roślin rodziny różnią się pomiędzy sobą takiemi głównie cechami, które mają, zdaje się, bardzo mało znaczenia dla pomyślnego rozwoju gatunku. Jako przykład cech takich, służyć mogą: układ komórek w tkankach, układ liści na około osi, liczba działów w częściach kwiatowych, położenie zalążków, forma nasion, o ile nie przynosi żadnego pożytku przy ich rozsiewaniu itp.

Karol Darwin w nowych wydaniach dzieła swego „O powstawaniu gatunków“ starał się odpowiedziéć na powyższe zarzuty, stawione teoryi jego, zarzuty, które sam nazwał bardzo poważnemi. Naprzód, powiada uczony angielski, powinniśmy być w ogóle bardzo ostrożni przy rozstrzyganiu pytania, jakie cechy są obecnie, lub były dawniéj korzystne dla gatunku. Co do przypuszczalnéj nieużyteczności rozmaitych części i organów, prawie zbyteczną będzie uwaga, że u najwyższych nawet i najlepiéj znanych zwierząt istnieje wiele organów tak wysoką i złożoną posiadających budowę, że niepodobna wątpić o ich fizyologiczném znaczeniu, a jednak użytku ich aż dotąd nie poznano wcale, lub też bardzo tylko niedokładnie; o pożytku zaś niektórych dowiedziano się dopiero niedawno. Tak np. jakże długo nie mieli fizyologowie najmniejszego pojęcia o zna-

---

(1) K. Darwin „O powstawaniu gatunków.“ Warszawa. Nakład Przeglądu Tygodniowego 1885.

czeniu śledziony, a i dziś jeszcze jak niedokładnie znana nam jest rola życiowa tego wielkiego i tak złożonego organu. Profesor Broun przytoczył długość uszu i ogona, jako niezbyt ważny wprawdzie, przykład różnic w budowie, nie przynoszących żadnego specyalnego pożytku. Ale, jak wykazały późniejsze poszukiwania dra Schöbla, zewnętrzne ucho myszy opatrzone jest w niezwykłe mnóstwo nerwów, tak iż bez wątpienia służy jako organ dotyku; długość więc uszu nie może być, jak to się na pozór wydaje, zupełnie bez znaczenia. Podobnych wypadków można by przytoczyć z państwa zwierzęcego bardzo wiele. To samo stosuje się też do roślin. Tak np. kwiaty storczyków (*Orchidiaceae*) przedstawiają mnóstwo ciekawych i bardzo złożonych urządzeń, które przez długi czas uważane były wprost za różnice morfologiczne, nie spełniające żadnych specyalnych funkcyi. Dziś atoli wiadomo, że mają one niezmiernie ważne znaczenie przy zapładnianiu gatunków przez pośrednictwo owadów i że zapewne zostały nabyte drogą doboru naturalnego. Tak samo też nie wiedziano przez długi czas, czy jakakolwiek korzyść wypływa z tak zwanéj wielokształtności roślin, tj. istnienia dwóch lub trzech osobników danego gatunku, odznaczających się rozmaitą długością pręcików i słupka. Zdawało się, że jest to także cecha czysto morfologiczna, żadnego pożytku roślinom nie przynosząca. Tymczasem przeciwnie, późniejsze poszukiwania wykryły, iż urządzenia takie pomagają roślinom krzyżować się, co znów ze swéj strony wzmacnia w wysokim stopniu potomstwo. Tak więc i te cechy, jako korzystne dla gatunku, mogły były powstać drogą doboru naturalnego.

Daléj w odpowiedzi na powyższy zarzut Naegelego i innych, że widzimy u istot organicznych, mnóstwo ważnych cech morfologicznych, nie przynoszących im jednak żadnéj korzyści, Darwin kładzie nacisk na tak zwane zjawisko współczynności, czyli korelacyi organów. Biologia mianowicie uczy, iż różne organy i części ciała znajdują się w tak ścisłym związku fizyologicznym, że modyfikacya jednéj części sprowadza też pewne, mniejsze lub większe, przemiany w pozostałych. Objaśnić to sobie można bądź tém, że skoro do pewnego organu powiększa się dopływ pożywienia, inne tracą na tém i cierpią w skutek tego, bądź też tem, że pewna część powiększając się lub zmniejszając, uciska inne, sąsiednie, lub też pozwala im bardziéj się rozrastać itd.; jak głęboka i tajemnicza bywa niekiedy ta zależność, dowodzą takie zjawiska jak np. związek głuchoty z barwą oczu i skóry u niektórych zwierząt, albo też związek koloru skóry z wrażliwością organizmu na pewne trucizny itp. Z faktów tych wynika, że możemy napotykać liczne cechy morfologiczne u zwierząt

i roślin, które jakkolwiek nie przynoszą same żadnéj widocznéj korzyści osobnikom, rozwinęły się jednak w skutek współczynności fizyologicznéj z innemi organami, które, jako korzystne, powstały drogą doboru naturalnego. Wreszcie, niektóre cechy mogły też powstać wprost w skutek działania wpływów zewnętrznych, niezależnie od doboru naturalnego; cechy te mogą być naturalnie najzupełniéj pozbawione pożyteczności; jako przykład, przypomnijmy chociażby olbrzymiéj nieraz wielkości narośle galasowe na liściach, wywołane, jak wiadomo, na roślinie wprost w skutek nakłócia jéj przez owad.

Inny przez kilku uczonych, szczególniéj zaś przez *Mivarta* (On the genesis of species. London. 1871) podniesiony zarzut przeciwko teoryi doboru naturalnego jest następujący. Dobór naturalny nie może wytłómaczyć początkowych stadyów pożytecznych organów, albowiem każdy organ pożyteczny, gdy tylko zaczął występować i był jeszcze nierozwinięty, nie mógł najczęściéj żadnéj jeszcze korzyści osobnikom przynosić. Jakże objaśnić sobie np. podobieństwo barwy licznych zwierząt do zabarwienia miejscowości, na któréj żyją lub podobieństwo owadów do przedmiotów otaczających, jako to: liści, suchych gałęzi, kwiatów i t. d., jeśli przyjmiemy, że zjawiska te powstały drogą doboru naturalnego i jeśli nie przypuścimy przytém z góry, że podobieństwa te w pewnym stopniu zrazu już istniały, a dobór mógł je tylko wzmocnić. powiększyć, jako cechy korzystne dla osobników. Ale to zarzut tylko pozorny, albowiem zboczenia bywają bardzo różnorodne, a osobniki w małym chociażby stopniu zbliżone barwą swą do przedmiotów otaczających, już pewną, jakkolwiek z początku bardzo nieznaczną, osiągać mogły korzyść dla siebie. W bardzo wielu wypadkach nieznaczne już modyfikacye dostarczyć mogą ochrony i korzyści osobnikom. Darwin ma najzupełniejszą słuszność, jeśli powiada, że u owadów, prześladowanych przez ptaki i inne zwierzęta z silnie rozwiniętym wzrokiem, wszelkie stopniowanie w podobieństwie do otoczenia, zmniejszające niebezpieczeństwo łatwego dostrzeżenia, sprzyja zachowaniu się przy życiu osobników i rozmnażaniu się ich. *Mivart* chciał na licznych pojedynczych przykładach wykazać niedostateczność teoryi doboru naturalnego dla wyjaśnienia początkowych stadyów wszelkich pożytecznych cech morfologicznych. Darwin zaś rozbiera w dziele swém te zarzuty pojedyncze i z przekonywającą siłą obala je jeden za drugim. Tak np. co do powstania gruczołów mlecznych, tych tak charakterystycznych i ważnych organów dla całéj grupy zwierząt ssących, *Mivart* zapytuje: czy da się to zrozumiéć, że młode jakiegoś zwierzęcia zostało kiedykolwiek uratowane od zagłady przez

to, że wypadkowo wyssało kroplę mało pożywnego płynu (takiém musiało być początkowo mleko) z wypadkowo przerośniętego gruczołu skórnego swéj matki; a gdyby nawet zdarzyło się to istotnie, jakież zachodzi prawdopodobieństwo, że taka modyfikacya nieznaczna przeleje się na potomstwo i nazawsze utrwali? Ale oto, jak logicznie Darwin zarzut ten zbija. Przedewszystkiém, powiada on, kwestya postawioną tu została w sposób niewłaściwy. Większość ewolucyonistów przypuszcza, że ssawce pochodzą od formy, zbliżonéj do zwierząt workowatych. Jeśli tak jest rzeczywiście, to gruczoły mleczne rozwinąć się musiały naprzód w worku (torbie). U ryby pławikonika (*Hippocampus)* młode wykluwają się i wychowują także w podobnéj torbie. Otóż naturalista amerykański *Mr. Lockwood* sądzi, na podstawie swych spostrzeżeń nad rozwojem młodych, że karmią się one wydzielinami gruczołów skórnych téj torby. Czyż więc to niemożliwe przynajmniéj, powiada Darwin, że młode najdawniejszych przodków zwierząt ssących, zanim zasługiwały jeszcze na tę nazwę, żywiły się w sposób podobny. W takim zaś razie osobniki, wydzielające płyn do pewnego stopnia lub z pewnych względów pożywniejszy, mający własności zbliżone do mleka, mogły w ciągu długiego czasu wychować większą ilość dobrze odżywianego potomstwa, aniżeli osobniki, wydzielające płyn mniéj pożywny. Tym sposobem gruczoły skórne, homologiczne z mlecznemi, udoskonaliły się czyli stały się bardziéj zdolnemi do funkcyi. Zgodnie zaś z zasadą specyalizacyi, mającą szerokie bardzo zastosowanie, gruczoły skupione mogły się na niektórych punktach worka rozwinąć więcéj aniżeli na innych, a wtedy utworzyły one zlokalizowane gruczoły mleczne, które u wyższych ssaków coraz silniéj mogły się rozwijać.

Tego rodzaju rozumowań, jak powyższe, dla przykładu przytoczone, znajdujemy u Darwina bardzo wiele, a wszystkie dostatecznie wykazują, że zarzut, jakoby dobór naturalny nie mógł tłómaczyć początkowych stadyów cech morfologicznych, jest słaby i nie wytrzymuje krytyki.

Oto najważniejsze zarzuty, jakie wybitniejsi naturaliści stawiali teoryi doboru naturalnego. Przytoczyłem je dla tego, aby czytelnik ocenił, o ile nie nowemi i uwzględnionemi już przez samego Darwina (w późniejszych wydaniach dzieła jego) są zarzuty, jakie profesor Naegeli uwydatnia w ostatniem swém dziele (1884) i które skłaniają go nietylko już do zmniejszenia znaczenia teoryi doboru naturalnego, lecz do zupełnego jéj nawet odrzucenia.

Naegeli rozpatruje następujące punkta, które, że wyrażę się jego słowami, „uniemożliwiają przyjęcie doboru naturalnego.“

Co do ogólnéj doniosłości teoryi doboru naturalnego, to nieokreślone działanie nieokreślonych przyczyn, oraz rozstrzyganie drogą doboru naturalnego, zbyt silnie pozostawione *przypadkowi* (dem Zufall)—nie odpowiada, według Naegelego, dzisiejszym naszym poglądom przyrodniczym. Daléj zaś, teorya doboru naturalnego, któréj zasadą jest pytanie o korzyść, osiągniętą przez zjawisko, staje, jak powiada Naegeli, w sprzeczności z prawdziwém i ścisłém badaniem przyrodniczém, które przedewszystkiém stara się poznać działające przyczyny zjawisk (*causae efficientes*). Zarzut powyższy nie tylko że najzupełniéj nie wytrzymuje krytyki, lecz dowodzi, niestety, iż ludzie rozległéj nauki i głębokich myśli nie umieją niekiedy zrozumiéć należycie pewnéj idei. Nietylko Naegeli ale i mnóstwo innych naturalistów i nie-naturalistów zarzucało Darwinowi, że wprowadza on do nauki pojęcie przypadku i celowości (*teleologii*) (1). Jest to jeden z tych fałszów naukowych, które zbyt głęboko zapuściły korzenie w umysłach wielu ludzi, by nie miały często paraliżować siły logiki i zdrowego rozumowania. Jeśli darwinista powiada, że osobniki rodzą się niekiedy z pewnemi przypadkowemi zboczeniami organizacyi, które mogą im w pewnym kierunku przynosić korzyść, natenczas przez wyraz „przypadkowe“ określa on tylko nieznajomość przyczyn, jakie zboczenie to wywołały. Pojęcie przypadkowości w tym poszczególnym szeregu zjawisk nie różni się w niczém od takiegoż pojęcia wogóle. Trzeba najzupełniéj być pozbawionym wykształcenia przyrodniczego, by wierzyć, iż w naturze lub życiu człowieka może się cokolwiekbądź stać przypadkowo, bez pewnych przyczyn, któreby zjawisko to wywołały. A nie pojmuję zaiste, jak można oskarżać Karola Darwina o nadawanie jakiejkolwiek bądź wagi przypadkowi! Co zaś do zdania Naegelego, że ścisłe badania przyrodnicze dążą tylko do wykrycia przyczyn działających (*causae efficientes*), nie zaś celowych (*causae finales*), to i ono w niczém absolutnie nie sprzeciwia się poglądom Darwina, tylko silnie popiera ich doniosłość i ścisłość naukową. Kto przypisuje darwinizmowi celowość, ten błądzi dlatego, że nie umie odróżnić skutku od przyczyny. Nie *dlatego* rodzą się osobniki z pożytecznemi zboczeniami i nie *dlatego* przyroda robi pomiędzy niemi wybór, *aby* gatunki się zmieniały i doskonaliły, lecz naodwrót przemiana i postęp organizacyi istnieje jako konieczny skutek tego, że przy życiu utrzymać się mogą jednostki tém snadniéj, im lepiéj przystosowane są do staczania walki ze współzawodnikami, oraz z warunkami bytu; a *mu-*

---

(1) Kwestyę tę doskonale rozebrał prof. A. Wrześniowski w artykule swym o Karolu Darwinie („Wszechświat“, rok 1882).

szą być jedne przystosowane lepiéj, inne gorzéj, a niektóre, wymierające, najgorzéj, dlatego, że cechy ich ulegają *wahaniom* wskutek prawa zboczenia. Taką więc drogą przyczyny działające najzupełniéj bezwiednie, bezcelowo—wywołują zjawiska, noszące na sobie pozorne piętno celowości.

Naegeli stara się w inny jeszcze sposób przemówić do przekonania czytelnika. Należy, powiada on, przyznać raz nazawsze, że zjawiska w świecie organicznym odbywają się tak samo zupełnie jak w nieorganicznym, a to dlatego, że drugie poprzedzały pierwsze i warunkują je sobą. Gdybyśmy więc zechcieli zastosować zasadę teoryi doboru naturalnego do przyrody nieorganicznéj, cóż możnaby było powiedziéć o pożyteczném przystosowaniu zjawisk téj ostatniéj do innych objawów świata nieorganicznego i organicznego? Na szczęście, powiada Naegeli, chemia i fizyka zajmują się tylko poszukiwaniem przyczyn, a nikt nie stawia tam hipotez spekulatywnych co do tego, jakie korzyści lub szkody przynosi postać sześciokątna płatkowi śniegu, lub też postać kulista kropli deszczu. Przyroda nieorganiczna, mówi daléj krytyk, jest w ogóle oraz w szczegółach uważana przez ścisłą wiedzę, jako systemat sił i ruchów, pozostających we wzajemnéj równowadze i dążących wciąż do takowéj, jeśli tylko zostaje ona zakłóconą. Przyroda organiczna jest również tak w całości, jakotéż w każdéj pojedynczéj swéj części, systematem sił i ruchów, a zadaniem wiedzy filogenetycznéj winno być przedewszystkiém: wykrycie zakłócających równowagę przyczyn, oraz wskutek tego ciągle występujących przemian! Brzmi to rzeczywiście na pozór bardzo przekonywająco! Ale tylko na pozór. Dowcipne i słuszne niby zdanie znakomitego botanika, że jeśli upatrujemy jakąś korzyść w stosunkach morfologicznych istot żyjących, to tém samém winniśmy też szukać jéj w świecie martwym i pytać, jaką korzyść przynosi np. płatkowi śniegu kształt jego, zdanie to, powiadam, okazuje nadzwyczajną powierzchowność, jeśli tylko głębiéj zastanowimy się nad różnicą, jaka zachodzi pomiędzy ciałami organicznemi, a światem mineralnym. Istota żyjąca znajduje się w bezustannéj zależności od otoczenia swego, odżywia się, poszukuje pokarmu, rusza się, powiększa swą objętość, wydziela i t. d. Nie możemy sobie ani na chwilę wyobrazić życia bez ciągłego wpływu wzajemnego istoty żywéj na otaczające warunki i tych ostatnich na nią (Herbert Spencer). Wskutek tego o życiu każdéj istoty stanowią tysiączne warunki, najbardziéj złożone. Ponieważ zaś istot organicznych rodzi się więcéj, niż żyć może, te, które tym złożonym warunkom bytu mniéj odpowiadają, żyć przestają, powracając na łono przyrody martwéj. Pozostające zaś przy życiu twory przekazują swe

przymioty potomstwu, a to rozmnażanie się i odziedziczanie cech stanowi także własność jedynie tylko tworów organizowanych. Jakże więc to jest możliwe, aby minerały, nie walczące o byt, nie rozmnażające się i nie dziedziczące cech swoich, mogły nabywać drogą doboru pewne korzystne właściwości? Owszem, przypuśćmy tylko na chwilę, że owe płatki spadającego śniegu walczą z sobą o pokarm i miejsce, że wydają potomstwo, które odziedzicza ich cechy; a jeśli wtedy najczęściéj pojawiać się będą postacie sześciokątne i jeśli one wyprą sobą w szeregu czasu wszelkie inne, będziemy musieli przypuścić, że taka właśnie forma najbardziéj odpowiada ich warunkom bytu i dlatego utrzymała się na drodze wyboru naturalnego.

Moglibyśmy nawet ze swéj strony pójść jeszcze daléj i powiedziéć, że bezwiedna siła (dobór naturalny) niszcząca jedne, a pozostawiająca i zachowująca inne twory przyrody, najlepiéj danym warunkom bytu odpowiadające, występuje nieraz widocznie i w martwéj nawet naturze. Karol du Prel w sposób wcale nie naciągany stosuje ideę walki o byt i doboru do powstawania systematu planetarnego. W ciągłém dążeniu do równowagi, jedne światy, mające gorsze warunki bytu tak ze względu na objętość swoją, gęstość, jakotéż ruchy i położenie we wszechświecie, ulegały zniszczeniu, ustępowały innym, najlepiéj do zachowania się przystosowanym.

Drugi zarzut, postawiony przez Naegelego teoryi doboru naturalnego, polega na tém, że nie można stosować wyników, dotyczących sztucznego tworzenia ras zwierzęcych do kwestyi powstawania odmian w naturze, co stanowi, jak wiadomo, podstawę teoryi doboru naturalnego. Oba te bowiem szeregi zjawisk są, jak twierdzi Naegeli, najzupełniéj odmienne, gdyż same rasy (sztucznie wytworzone), oraz odmiany (naturalne) różnią się pomiędzy sobą zasadniczo. Stosowanie zatém idei doboru *sztucznego* (stwierdzonego faktami) do przyrody i stwarzanie na jéj zasadzie teoryi doboru *naturalnego*, jako czynnika analogicznego, jest co najmniéj ryzykownem, jeśli już nie najzupełniéj fałszywém i błędném. Ale zobaczmy, w czém znajduje prof. Naegeli tak olbrzymią przepaść pomiędzy rasami i odmianami. Najważniejszą różnicę upatruje on tu ze względu na zjawisko krzyżowania. Podczas gdy rasy jednakowego pochodzenia, nawet gdy widoczne ich cechy bardzo się od siebie różnią, nader łatwo krzyżują się z sobą; odmiany, bardzo nawet zbliżone do siebie, okazują wielką trudność w mieszaniu się wzajemném czyli krzyżowaniu. Otóż, tę różnicę w łatwości krzyżowania się ras i odmian przypisać należy, zdaniem naszém, tylko temu, że pierwsze i drugie różnią się bardzo dawnością swego powstania. Rasy istnieją przecie tylko stosunkowo bardzo niedawno (jako wytworzone już

przez człowieka), pokrewieństwo ich dlatego jest bardzo bliskie, stałość, jaką osiągnęły, bardzo mała. Odmiany zaś są bez porównania daleko starsze, dlatego téż wzajemne pokrewieństwo ich jest o wiele słabsze (są one daleko bardziéj odległe od formy pierwotnéj), a stałość osiągnęły daleko większą.

Profesor Naegeli twierdzi daléj, że rasy różnią się zupełnie tém także od odmian, iż pierwsze zachowują czystość krwi przy powstawaniu, t. j. gdy tworzy się pewna rasa o szczególném jakiémś zboczeniu, nie miesza się z inną, cechy téj nieposiadającą (albowiem człowiek przeszkadza takiemu krzyżowaniu się), drugie zaś, to jest odmiany, wciąż mieszają się z sobą i dlatego utrudniają wyróżnicowanie się nowych odmian o nowych, specyalnych cechach. Zarzut ten bez wątpienia ma pewne znaczenie, ale niezmiernie małe, jeśli tylko zważymy, jak znaczną jest przewaga doboru naturalnego nad sztucznym. W pierwszym trudniéj wprawdzie by miało miejsce krzyżowanie z sobą osobników, mających pewne cechy silniéj rozwinięte i mogące się w taki sposób coraz bardziéj utrwalić — aniżeli w ostatnim, gdzie następuje ciągła domieszka krwi obcéj, przeszkadzając czystości odmiany. Ale za to zważmy, jak słabą i krótkotrwałą jest działalność doboru sztucznego w porównaniu z naturalnym. Człowiek — powiada Darwin — może oddziaływać jedynie na cechy zewnętrzne i widzialne; przyroda zaś oddziaływać może na każdy organ wewnętrzny, na każdy odcień różnicy w budowie, na cały mechanizm życia; pole jéj działalności jest dlatego o wiele, że tak powiemy, szersze i głębiéj sięgające. Człowiek dobiera cechy tylko dla własnéj swéj korzyści; przyroda zaś dobiera to, co korzystne jest dla życia samego organizmu. Każda wybrana przez nią i utrwalona cecha znajduje zupełne zastosowanie, o czém zresztą świadczy sam fakt wyboru. Człowiek rzadko tylko zwraca specyalną i systematyczną uwagę na każdą cechę; jednakowym pokarmem — powiada Darwin—żywi on rasę krótko i długo-dziobego gołębia; nie traktuje rozmaicie zwierząt o długich nogach i o wydłużonym grzbiecie; hoduje w jednym i tym samym klimacie krótko i długowełniste owce; nie pozwala najsilniejszym i najpiękniejszym samcom walczyć o posiadanie samic (dobór płciowy). Człowiek rozpoczyna często dobór od nawpół potwornéj formy lub przynajmniéj od takiéj zmiany, która rzucała mu się w oczy, lub téż wyraźnie była korzystna dla niego. W przyrodzie zaś najdrobniejsze różnice w budowie lub konstytucyi mogą przechylić szalę w dokładnie zrównoważonéj walce o byt i tym sposobem się utrzymać. Przytém—powiada wreszcie Darwin—pragnienia i usiłowania człowieka są tak ulotne, życie tak krótkie! Jakże więc słabe muszą być rezultaty jego pracy, jeśli porównamy je

z pracą natury, działającéj w ciągu olbrzymio długich epok geologicznych. Czyż w obec tego podobna twierdzić, że działanie doboru naturalnego mniejsze ma znaczenie, aniżeli sztucznego. Przeciwnie, jeśli nawet pod pewnemi względami (o jakich mówi prof. Naegeli) dobór sztuczny skuteczniéj działa od naturalnego, to z wielu innych względów naturalny przewyższa nieskończoną potęgą swoją sztuczny, a powstawanie odmian naturalnych tém snadniéj objaśnić sobie można przez porównanie i analogią do powstawania ras, drogą doboru sztucznego.

Trzeci z rozbieranych przez prof. Naegelego zarzutów ma, zdaje mi się, największą może doniosłość. Według zasady doboru naturalnego, cała organizacya jest skutkiem wpływów odżywiania się w najszerszém tego słowa znaczeniu, czyli w ogóle zewnętrznych warunków życia, na istoty żyjące oddziaływających. Wywierają one wpływ na wszystkie, pojedyncze części organizmu i powodują różnorodne zboczenia, z których następnie dobór naturalny zachowuje i utrwala pożyteczne.

Gdyby zatém zewnętrzne warunki życia pozostawały wciąż niezmienione, zboczenia byłyby się nie tworzyły, i na odwrót, im większą była by różnica warunków, tém silniejsze i różnorodniejsze występowałyby zboczenia. Ale jeśli przejdziemy do faktów, to przynajmniéj, co się tyczy roślin, liczne zjawiska sprzeciwiają się temu teoretycznemu wnioskowi. Naegeli przypomina, że niektóre gatunki roślin w końcu okresu lodowego żyły poczęści na Alpach, poczęści zaś powędrowały na daleką północ i że pomimo różnych warunków, jakie tu i tam spotkały, pomimo odmiennych współzawodników i stosunków fizycznych aż do dziś dnia pozostały w obu miejscowościach zupełnie jednakowemi; inne znów gatunki przybyły dawno do Niemiec ze wschodu i dotąd pozostały niezmienione itd. Jeśli przyczyny odżywiania, w najszerszém tego słowa znaczeniu, mają jedynie powodować przemianę dziedziczną, dlaczego nie uczyniły one tego—pyta Naegeli w tych wypadkach?

Zresztą musimy sobie wystawić, że tak nieokreślone przyczyny tylko w tym razie wywołać by mogły wszystkie różnorodne i charakterystyczne cechy zwierząt oraz roślin, jeśli powodowały by zrazu najrozmaitsze zboczenia, a z tych dopiero pożyteczne zostały by wybierane. Stąd też w zmieniających się gatunkach—a niema powodu, dla którego by wszystkie i zawsze nie miały się zmieniać,—musiałyby powstawać u różnych osobników początki wszelkich możliwych cech, albowiem wtedy tylko była by pewność, że i właściwa tj. korzystna w pewnym kierunku, znajduje się pomiędzy niemi. Ale ilość tych zboczeń musiałaby być w takim razie olbrzymią, a teorytycznie na-

leży przyjąć, że wszystkie one, chociażby najdrobniejsze, chociażby pojedynczych dotyczące komórek, musiałyby być dziedziczne, albowiem w przeciwnym razie nie mogłyby się utrwalać filogenetycznie. Dobór dobréj jakiéj, początkowéj cechy w obec tak wielkiéj a ogólnéj zmienności i dziedziczności, staje się dosyć trudnym do zrozumienia. A zresztą, przypuśćmy, że jakieś okoliczności wywołały już pewne zboczenie, w danych warunkach korzystne; że przemiana w jakimbądź kierunku zaczęła się już tworzyć. Otóż, czy to zboczenie pożyteczne, mogące drogą dziedziczności przejść na potomstwo, utrwali się w tém ostatniem, będzie to zależało przedewszystkiém od tego, czy kombinacya zewnętrznych warunków wciąż będzie dokładnie taką samą. Naegeli zaś oblicza na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa, że to bardzo jest wątpliwe.

Dwa następne zarzuty Naegelego dadzą się streścić w sposób następujący. Zboczenia pożyteczne mogą wtedy dopiero posłużyć do pokonania współzawodników, gdy osiągnęły wysoki stopień rozwoju i występują u licznych osobników. Ponieważ zaś w początku są one w długim szeregu pokoleń bardzo tylko nieznaczne, a według teoryi doboru naturalnego występują u małéj ilości osobników—pokonywanie współzawodników, a tém samém i wybór form najodpowiedniejszych zaledwie mógł istniéć. Jak czytelnik sam dostrzega, zarzut powyższy nie jest bynajmniéj nowy, jest to właściwie zupełnie taka sama trudność, jaką zaznaczył *Mivart*, a mianowicie, iż dobór naturalny nie jest wstanie wytłómaczyć początkowych stadyów cech korzystnych. Ponieważ poprzednio już przytoczyłem niektóre argumenta Darwina, zbijające zarzuty Mivarta, nad kwestyą tą dłużéj się nie zatrzymamy. Do téj saméj kategoryi nie nowych i często przez przeciwników darwinizmu nadużywanych zarzutów, należy ostatni z najważniejszych dowodów, nad jakiemi rozwodzi się Naegeli. A mianowicie, dlaczego, pyta on, istnieje tak wiele stałych cech morfologicznych, które nie przynoszą jednak żadnego pożytku posiadaczom? I tę kwestyą rozebraliśmy także powyżéj, wykazując, iż zarzut ten tylko na pozór wydaje się groźnym, w rzeczywistości zaś nie nastręcza wcale zbyt wielkiéj trudności teoryi doboru naturalnego. Wszelako nie podobna rzeczywiście przypuścić, aby wszelka bez wyjątku cecha morfologiczna przynosiła jakąś korzyść organizmowi; że istnieje mnóstwo cech, obojętnych pod względem fizyologicznym, na to zgodzi się każdy naturalista. Dlatego téż nie podobna zaprzeczyć, aby niektóre przynajmniéj z cech tych nie miały powstać niezależnie od doboru naturalnego. W takim zaś razie przyjdziemy do wniosku, że jakkolwiek dobór objaśnia nam bardzo wiele zagadnień morfologicznych, to jednak nie wystarcza do wytłómaczenia

wszystkich bez wyjątku przejawów, dotyczących form organicznych. Zestawiając wszystkie powyższe zarzuty Naegelego oraz poprzedników jego, przychodzimy do wniosku, że żaden z nich *nie obala* teoryi doboru naturalnego, jak sądzi uczony niemiecki; ale z drugiéj strony wyprowadzić musimy wniosek, iż są zjawiska, których dotąd teorya ta nie tłómaczy że zatém dobór nie może być uważany jako jedyna i wyłączna przyczyna przemiany i rozwoju rodowego istot organizowanych. Przyznając tedy najzupełniéj wielką doniosłość i ważną rolę doborowi naturalnemu w sprawie rozwoju istot żyjących, tém niemniéj jednak mamy prawo domagać się poznania nowych, innych jeszcze czynników naturalnych, które wraz z doborem działały. Profesor Naegeli, odrzucający, jak wiemy, całkowicie wpływ doboru naturalnego, stawia na jéj miejsce własną swą teoryą, która ma tłómaczyć przemianę i doskonalenie się istot organicznych. Poznamy ją w drugiéj części artykułu.

Józef Nusbaum.

RÓZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Z zapomogi Kassy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia Józefa Mianowskiego. Tom I, zeszyt I. Warszawa. Skład główny E. Wendego i Sp. 1885.

Lingwistyka porównawcza w stosunku do innych gałęzi piśmiennictwa, mimo licznego na tém polu szeregu skrzętnych badaczy, niezbyt pomyślném cieszy się u nas powodzeniem. Wielu téż uczonych polaków prace swoje specyalne w cudzoziemskich ogłasza językach i w braku odpowiedniego organu specyalnego, posiłkuje się pismami zagranicznemi. Stąd téż pozbawieni jesteśmy wiadomości o postępie téj gałęzi wiedzy, oraz o niezbędnych w tym przedmiocie podręcznikach, które-by jakiekolwiek światło rzuciły na budowę głosową i formalną języków słowiańskich wogóle, a polskiego w szczególności. To téż gdyśmy się zaledwie oswoili z Boppem, Grimmem, Miklosiczem i Schleicherem, aliści zagranicą nowy zgoła pod przewodem Brugmanna, Osthoffa, de Saussure'a i innych, przewrót w lingwistyce nastąpił. O ile prąd ten, świeży jeszcze, przyczyni się do rozwoju nauki i nowych w téj dziedzinie odkryć, nie naszą jest rzeczą, abyśmy sądami kategorycznemi kierunek ten przedwcześnie uprzedzali.

Wobec więc zastoju nauk w chwili bieżącéj u nas, podziwiamy godne uznania przedsięwzięcie przedstawicieli lingwistyki polskiéj, którzy wbrew ogólnemu prądowi, uganiającemu się za błahostkami, zasilani pomocą kasy imienia ś. p. Mianowskiego, nie szczędzili pracy i czasu, aby obdarzyć nas wydawnictwem, streszczającém postęp spółczesny lingwistyki. Prace filologiczne ze względu na bogactwo treści prawdziwie naukowéj, nietylko specyalistom lecz i ogółowi oświeconemu gorąco zalecamy. Imiona spółpracowników stanowić mogą rękojmię wartości prac tamże zamieszczanych. Ponieważ lin-

gwistyka, będąc stosunkowo nauką dosyć jeszcze młodą, przechodzi obecnie fazy rozwoju swojego, niezbyt ściśle określonego, przeto sądzimy, że uwagi nasze co do rozpraw umieszczonych w „Pracach filologicznych“, czynione w celu wyjaśnienia niektórych punktów spornych i wątpliwych, w niczém nie uchybią wartości tak chwalebnych usiłowań, które nietylko na poparcie lecz i na pochwałę zasługują.

Łączność samogłoski z następującemi albo poprzedzającemi płynnemi *l r* między dwiema spółgłoskami, które Miklosicz wyraża w formułach: trat, trêt (1), trŭt i trĭt (2), zwracały już niejednego badacza uwagę. Godną jest naznaczenia praca Jana Schmida (*Zur Geschichte des indo-germanischen Vocalismus*. Weimar 1878), utrzymującego, iż postaci *ar*, *al* i t. p. są dawniejsze od *ra*, *la*. Prawo to, przez siebie odkryte, Schmid *swârabhakti* nazywa. Pominąwszy rozbiór tego twierdzenia, zwracamy tylko uwagę, iż prof. Nehring zastanawiając się nad pomienionemi Miklosicza formułami (patrz art. O wyrazach z wątłą samogłoską, obok *l r* pomiędzy spółgłoskami) nic o tak ważnéj pracy prof. Schmida nie wspomina, co utrudnia nam nieco rozgląd w jego rozprawie.

Że jer twardy w łączności z płynną *r l* wytworzył się z jeru miękkiego, będącego osłabieniem pierwotnego *e* według prof. Jagića, nie dowodzi to jeszcze, jakobyśmy co do miękkości albo twardości następujących spółgłosek po grup. *ra*, *la* lub *ar*, *al*, wspólną już dla wszystkich narzeczy słowiańskich odkryli formułę. Szczupłe ramy artykułu p. N. nie dozwoliły mu rozwinąć w sposób zasadniczy i przekonywający subtelności tego przedmiotu. Należałoby tu objaśnić, dlaczego tylko niektóre zachowały się w narzeczach: słowackiém, serbskiém, chorwackiém i słowieńskiém spółgłoski miękkie? Czy jotacya w tych narzeczach zniknęła, czy téż wcale ich niedotknęła? Mając już w tym względzie pewne dane, moglibyśmy nareszcie zrozumiéć owę wspólną dla wszystkich narzeczy słowiańskich formułę, odkrytą przez prof. Jagića. Jeżeli więc weźmiemy np. grup. d*r*ê w starosł. drêmati, serbsko-chorwackie darmati, gdzie następująca spółgł. (m) jest twardą, jakże tu objaśnić zjawisko ê w starosł. i à w serbochorwackiém? Należałoby udowodnić, czy formy południowo-słow. bu*r*a (burza), zo*r*a (zorza), *r*ep (ogon), *r*epatica (kometa) i t. p. są pierwotnémi, czy téż z utraty jotacyi powstałemi? Dlaczego więc é, będące wymianą jeru miękkiego w połu-

---

(1) Starosł. jatj wyrażamy w postaci ê. — (2) Na oznaczenie starosł. ъ twardego i ь miękkiego używamy czcionek: ŭ ĭ.

dniowo-słowiańskich w wyrazie dérwo, chociaż w starosł. w słowniku Miklosicza jest jer twardy (drŭwo), stoi w grup. *ér* przed spółgłoską twardą (w)? Skąd w narzeczu słowieńskiém jerj miękki wymienia się raz na *a*: wás (wieś), porówn. starosł. wĭsĭ, to znowu na *é*: pés (pies), porównaj starosł. pĭsŭ, chociaż w serbo-chorwack. jest p*a*s (pies) t. j. *a*, będące wyręczeniem jer twardego? W ciągu dalszym swéj rozprawy prof. N. przytaczając dwie formy Sarbia, Sarbinów (ŭr) zam. Sierzbia, Sierzbinów (ĭr), przypuszcza dwa pierwiastki: sŭrb i sĭrb zam. tylko jednego sĭrb, albowiem u Kosmasa mamy Zribia zam. Sĭrbia, co wskazuje, iż ĭ*r*, *ri* jest tu istotnie formą pierwotną, a Sarbia pochodną, powstałą z upodobnienia *ar* do następującego *b* w wyrazie przypuszczalnym s*a*rb, a nie Sarbia, gdyż tutaj jeno analogizm, bo spółgłoska *b* z powodu sufiksu ij*a*, skrócone j*a*, jest miękką. Nieobjaśnia też autor, dlaczego piersi, serce, śmierć i t. p., mają z dawna *e* zam. spodziewanego *i* od ĭ, chociaż w słowniku Miklosicza jest prŭsi, srŭdĭce. Co do przejścia *el* na *ol* i *ul* np. żełty-żółty, Pełtowsk-Pułtusk, pełk (Święto-pełk)- pułk, zda się, że formy południowo-słowiańskie, zachowujące w tym względzie formę jednostajną, np. żut, żuta, żuto (żółty), puk (vulgus, porównaj pułk słw. płŭkŭ, czesk. pluk, u niektórych pisarzy pł*u*g w Świato*pług*) pewne światło rzucają. W słown. Miklosicza jest złŭtŭ, co dowodzi, że *e* w żełty stanowi wymianę ŭ a nie ĭ. Podobne zjawisko widzimy w sufiksach czeskich moh-utný, slaw-utný odpowiednio polskiemu: sławetny. Lud czeski mówi nawet sedum, osum, zam. sedm, osm. Wnosimy więc z tego, że *e* z *ŭ* wymienia się na *u*, wytwarzając w serbo-chorwackiém wyrzutnię sąsiedniego *l* czy *ł* = sanskr. *r* (np. dug, dugaczak = sanskr. darghas, chociaż w łacińskiém i niemiec. zamiast samogłoski czystéj zachowała się nosówka: l*on*gus, l*an*g etc.

P. Baudouin de Courtenay obdarza nas cennemi nader materyałami co do tak zwanych zboczeń językowych (art. „Z patologii i embryologii języka"). Praca ta może być wzorem podobnego rodzaju obserwacyi. Ponieważ każdy szczegół w téj rozprawie uważamy za niezbędny do zrozumienia całości, przeto streszczenie jéj musiałoby się równać prawie powtórzeniu całego artykułu, na co nam tu brak miejsca.

P. Ad. Ant. Kryński ogłasza cenny mowy naszéj zabytek p. t. „Powieść o papieżu Urbanie, druk krak. z 1514 r." Opierając się na wydaniu Marchołta Wietorowego, bibliografowie polscy uważają r. 1521 za datę wyjścia pierwszéj książki polskiéj; gdy tymczasem w r. 1475 drukowano już *Ojcze nasz*, *Zdrowaś* i *Wierzę*, w 1506 *Bogarodzicę*, a 1514 powieść o papieżu Urbanie. Uwagi lingwistyczne

p. Kryńskiego nacechowane są ścisłością, uwzględniającą nawet latynizmy i germanizmy tekstu.

P. Kruszewski, uczeń Baudouina („Przyczynek do pierwotnych samogłosek długich. według, Hermana Osthoffa, *Die Tietstufe im indogermanischen Vocalismus. Morphologische Untersuchungen*, t. IV“), utrzymuje, iż tak zwana affektacya dźwięku, to jest zmiana formy, dźwięku, zgłoski i t. p. zależna jest od sąsiedztwa zjawisk fonetycznych i morfologicznych; jednak *k* przed *i* nie zmienia się w *k'* (miękkie), lecz następujące *i* łączy się już z gotowem *k'* miękkiem, powstałem na zasadzie czysto fizycznéj, niezależnéj od woli i świadomości mówiącego. Stąd téż i pochodne *cz*, które powstało z *k'* miękkiego i bynajmniéj od następującéj niezależy samogłoski, gdyż ono *cz* łączy się nawet z samogłoską twardą (czas) i spółgłoską (ocz-ko). Tu przypominamy, że następstwo samogłoski twardéj po *cz*, prof. Miklosicz tłumaczy przemianą ê na *ja*, następnie zlaniem się joty (je), z poprzedzającą spółgłoską, o czém p. K. nie wspomina; dlatego rzecz ta trudną nam się wydaje: bo należałoby pierwéj rozebrać gruntownie zdanie Miklosicza. Ten to profesor wszechnicy wiedeńskiéj przytacza w słowniku formę oczĭ-nŭ, to znaczy, że w ocz-ko, spółgłoska *cz* powstała według niego od *k* z powodu następstwa ĭ, ztąd oczĭ-ko. Szkoda, że szanowny autor nie rozstrzygnął tego twierdzenia, coby może rozproszyło pewne w tym względzie wątpliwości. Jeżeli więc według p. K. przypuścimy dwa wyrazy jednakiéj formy, wtedy różnicy onych nie znajdujemy wewnątrz wyrazu. Sprowadziwszy obie te formy do spólnego mianownika, również nie odkryjemy stosunku samogłoski długiéj do krótkiéj i odwrotnie. Owóż nowsza lingwistyka oparta na badaniach Brugmanna, Osthoffa i Saussure'a, odkrywszy tak zwaną praindyjską samogłoskowość, trudność tę stara się usunąć w sposób przypuszczający w greckiém potrójną w pierwiastku formułę: skróconą *lip*, pierwszą pełną *leip* i drugą pełną *loip*. Sam p. K. utrzymuje, że dowodzenia Osthoffa „nie są ani dość jasne, ani dość przekonywające“ i „że forma skrócona powstała z pierwszéj pełnéj drogą powolnego osłabienia aż do zera samogłoski szerokiéj w wypadku, kiedy ta samogłoska stała przed akcentem (t. j. leip-ón dało (e)-lipón, podczas gdy dawniéj polegając na bezpodstawném zdaniu gramatyków indyjskich utrzymywano, że leip „wyrosło“ z lip.“ Według tego więc, leip przed akcentem na liip (asymilacya) i līp, feug na fuug i fūg. Wskutek tego *ei* i *eu* jak w przykładach widzimy, przed spółgł. przechodzi na ī ū; np. peik-pīctus, kreu-krūtos i t. p.; przed samogłoskami pierw *ei* zaś na *ij* albo *j*, tudzież ŭv albo v (wpierw. eu): g-ei=sanskr. jiyâgas (mocny); dùuô=sanskr. duvâ (dwa) i t. p. Nadmieniamy, że w sanskr. znaną

jest nam forma: dwá, dwi, a nie davâ. Spółgł. *j* i *v* w formach *ei eu* przed samogłoskami, są po prostu wtrąceniem dla uniknienia rozziewu.

Co do samogłosek, zdaniem p. K. język starosłowiański przedstawia tę osobliwość, że obok formy wĭczera (w'czera) ma weczerŭ (weczer), obok žĭgomŭ (ž'gom)—żegą etc., co ma być osłabieniem pierwotnego *e* powstałego na gruncie słowiańskim, co ma świadczyć, że język starosłowiański niema wcale form bezsamogłoskowych, albo ĭ jest samogłoską *wtórną*, powstałą w czasie ustalenia się prawidła, że zgłoska nie powinna się kończyć na spółgłoskę. Twierdzenie p. K. lubo nie bez zasady, jednak dla niepewności samego autora nie jest zbyt przekonywającém.

P. J. Karłowicz („Projekt terminologii językoznawczéj polskiéj") radzi usunąć wszelkie nazwy cudzoziemskie i zastąpić je swojskiemi, przedstawiając do wyboru lingwistów stosowny zbiór wyrazów z polszczonych. Co do nas, przyznać musimy, że od czasów Kopczyńskiego dosyć już u nas w téj sprawie uczyniono, radzibyśmy jednak byli, abyśmy się ze względów czysto dydaktycznych, raczéj więcéj utartemi wyrazy niż nowszemi zadawalali. Z tych to powodów zamiast „odpad" wolimy wyrzutnię, zam. „przebrzmienie (Umlaut)"—przegłoszenie, „przygłos (akcent)"—przycisk; zam. „odimienne, odprzymiotne", w znaczeniu: denominativa, zgodniéj z duchem języka: imienne, przymiotne. Gwara jest raczéj podrzeczem czyli odmianą narzecza (*Varietaet*), aniżeli narzeczem (*Mundart*—dyalekt). I tak: język polski jest narzeczem słowiańskiém w stosunku do ogólnéj rodziny mowy pobratymczéj, narzecza zaś: małopolskie i wielkopolskie, mazurskie, górno- i dolno-szląskie tudzież kaszubskie, są znowu narzeczami polskiemi: mowa jednak np. mieszkańców z okolic Gniezna jest tylko gwarą czyli odmianą narzecza wielkopolskiego. Wyraz „odojcowskie" w znacz. patronymica zastąpionym być może terminem: rodowy. Pocóż tworzyć „dwugłos (dyftonga)", „pierwszy (primaer)" jeżeli mamy: dwugłoska, pierwotny, Zam. przyp. 1, 2, 3, i t. p. lepiéj: mianownik, dopełniacz, celownik i t. p. Autor nie objaśnia, co właściwie znaczy głośne i ciche *j*, *m*, *n* i t. p. Wogóle całą nomenklaturę brzmień należałoby uprzedzić stosowną rozprawką fonologiczną. Znaki skrócone w postaci rozmaitych linii pionowych i poziomych, krzyżyków, gwiazdek i t. p. zbyt utrudniają pamięć i uwagę czytelnika, któréj-by trochę oszczędzić należało.

Godną jest uwagi wyborna rozprawka tegoż autora p. t. „Imiona zbiorowe polskie typu *bracia.* Z art. tego okazuje się, że forma szlachta nie należy do typu „bracia, księża", gdyż pochodzi od górno-niemieckiego slahta; gdyby bowiem imię to urobiono z formy

„szlachcic“ powinnoby być „szlachcia.“ Zbiorowym więc jest ten wyraz co do znaczenia, a nie co do formy. Wyraz w słowniku Lindego „gurdziel“ czyli „kurdziel“ oznacza wrzód na języku konia. W Galicyi koło Kołomyi lud nazywa „kurdiukiem.“

Wyraz „asyn“ w mowie ludu w powiecie wadowickim używany w znaczeniu krwi, według L. Malinowskiego pochodzi z greck. „azymos“ (przaśny), co zdaniem p. Karłowicza nie oznacza ciała Pańskiego, lecz macę żydowską, a raczéj „chleb przaśny.“

PP. Hanusz i Karłowicz zbijają p. Fierlingera, który w *Zeitschrift für vergleichen de Sprachforschung* Kuhna, pierwiastek Wisły germanom przypisuje. P. L. Malinowski (art. „Niektóre wyrazy pochodzenia litewskiego“) wbrew innym dziegieć z litewsk. de gutas wywodzi. Panu Józefowi Przyborowskiemu należy się wdzięczność, iż umieszczając glosy polskie z urywku kazań łacińskich z XV w., wielką nauce uczynił dogodność. P. Windakiewicz ogłosił „Niektóre szczegóły o rodzinie Kochanowskich.“ Całość tych prac zbiorowych kończą rozbiory i sprawozdania pióra pp. Hanusza i Kryńskiego.

Przegląd ten zamykamy wyrażeniem życzenia, aby wydawnictwo to zdołało rozbudzić w ogóle naszym zamiłowanie poważniejszéj nieco niż obecnie lektury, która istotną i trwałą lubo nierozgłośną każdego społeczeństwa stanowi zaletę. Spodziewamy się, iż po wyjściu następnego zeszytu, pisma nasze, jeżeli chcą spełnić dobrze swój obowiązek, nie zechcą zapewne obojętném sprawę nauki zbyć milczeniem, które ani jest korzystném, ani chwalebném.

Justyn Feliks Gajsler.

Najnowsze wydanie dzieł Adama Mickiewicza.

Księgarze lwowscy Gubrynowicz i Schmidt w połączeniu z synem wielkiego wieszcza, Władysławem Mickiewiczem, postanowili ogłosić wszystkie poezye, oraz najważniejsze utwory prozaiczne Adama w nowém, o ile możności jaknajtańszém a zarazem jaknajpoprawniejszém wydaniu; istniejące bowiem dotychczas edycye pod względem ceny nie mogły być przystępne dla mniéj zamożnych klas ogółu czytającego, a pod względem układu i poprawności tekstu nadzwyczaj wiele pozostawiały do życzenia, stanowiąc krzyczący dowód lekkomyślności wydawców. Zamiar powyższy obudził wielkie wśród inteligencyi zajęcie; z niecierpliwą téż ciekawością oczekiwano jego spełnienia, żywiąc nadzieję, że przecież raz zdobędziemy się na wydanie dzieł mistrza poezyi godne jego pamięci. Ukazały się nareszcie dwa pierwsze tomy nowéj edycyi, która jest czy ma być stereoty-

powaną, a więc ma pozostać niezmienioną na długo. Czy spełniły one oczekiwania, a zwłaszcza czy mogą być uważane za takie, że już bez zmiany nadal oddrukowywane być winny—oto pytania, które sobie zadaje każdy, co się sprawą dzieł największego naszego poety interesuje. Różne już pod tym względem w prasie naszéj objawiono zdania, ale przewaga zostaje po stronie tych, co są w wysokim stopniu z nowéj edycyi dzieł Mickiewicza niezadowoleni.

Co do nas, wyróżniamy w zdaniu naszém tom drugi od pierwszego stanowczo; widzimy wprawdzie i w tomie drugim zawierającym *Grażynę*, *Wallenroda* i *Dziady*, liczne usterki zarówno w poprawności tekstu, jak w objaśnieniach; ale ponieważ miano tu trzy tylko utwory do uszeregowania, ponieważ wydania tych utworów nie przedstawiają różnic zbyt wielkich, wydawcy łatwiejszą mieli pracę i wywiązali się z niéj nieźle, tak że można uznać tom ten drugi za możliwy do użytku, z wyrażeniem tylko życzenia, ażeby w następnych odbiciach mogły się znaleźć przynajmniéj wykazy omyłek drukarskich oraz sprostowania błędnych objaśnień, np. że Grażyna napisana została r. 1820, że Konrad Wallenrod poświęcony został Zaleskim „na pamiątkę lata tysiąc ośmset dwudziestego *ósmego*“ (zam: *siódmego*) itp. Byłoby także rzeczą pożądaną, ażeby t. z. przypiski wydawcy, będące zresztą powtórzeniem tylko objaśnień z dawniejszych edycyi, stanowczo oddzielone zostały od przypisków samego poety a nie mieszały się z niemi w sposób najniesmaczniejszy; ale jeżeli wydanie już jest stereotypem odbite, zmiana ta przedstawiałaby trudności a głównie koszta, na które może trudno będzie wydawcom się zdecydować. W tych przypiskach powtórzono błędy dawniejszych wydań, chociaż starano się powiększéj części nadać tym notom znaczenie nowo napisanych. Jeden przykład dostatecznie twierdzenie to udowodni. Pierwsze objaśnienie do *Grażyny* brzmi tak: „Waryanty Grażyny, wyjęte z autografu znajdującego się w zbiorze hr. Aleksandra Przeździeckiego, ogłoszone były w wydaniu warszawskiém z r. 1858. W autografie tytuł powieści jest „*Korybut*, *książe nowogródzki*.“ Takie objaśnienie z drobną zmianą jednego wyrazu (*wyjęte*—zamiast *według*) powtarza się od lat dwudziestu z górą w edycyach dzieł Mickiewicza; nikt już oczywiście nie zaglądał do autografu, ale żaden wydawca nie uważał za potrzebne zmienić stylizacyi objaśnienia. Tymczasem hr. Aleksander Przezdziecki już dawno umarł, a zbiory jego należą już do synów; ale to mniejsza i ważniejszą jest rzeczą, iż w autografie na prawdę jest inny tytuł niż podają owe wydania, a za niemi ostatnie lwowskie. Tytuł ten w rzeczywistości brzmi tak: „Korybut Xiąże *Nowogrodka* poema z Dziejów Litewskich.“ Jest to zapewne szczegół drobny, ale jeżeli ktoś zapewnia,

że czerpie swe wiadomości z autografu, to powinien i w takich drobiazgach ścisłość zachować.

Takie i tym podobne zarzuty zrobić można wydaniu tomu drugiego; o wiele atoli liczniejsze i ważniejsze odnoszą się do tomu pierwszego. Tu przedewszystkiém nastręczała się trudność w uporządkowaniu pism poety; tom I bowiem miał objąć wszystkie mniejsze rozmiarami utwory poetyckie Adama. Dotychczasowe wydania przedstawiały pod tym względem takie zamieszanie, że potrzeba było dość długiéj wprawy, ażeby odnaleźć wiersz pożądany, jeżeli się nie chiało za każdym razem odczytywać długiego spisu na końcu tomu. Ani chronologia, ani rozumne rozstawienie utworów według działów literackich nie przewodniczyły myśli wydawców, gdy pisma Mickiewicza do druku oddawali; przypadek rządził nią wszechwładnie. W najnowszém wydaniu widać wyraźnie chęć zrobienia jakiegoś ładu w tém zamieszaniu, ale chęci téj nie towarzyszył dojrzały rozmysł. Ponieważ czas powstania bardzo wielu mniejszych poezyi Mickiewicza nie da się oznaczyć dokładnie, przeto o zachowaniu ścisłego porządku chronologicznego w ich układzie myśléć niepodobna; bardzo często bowiem napotykałoby się takie wątpliwości, że wobec nich wydawca rozumiejący wymagania naukowe musiałby się bezradnie zatrzymać. Zresztą taka wyłącznie chronologiczna zasada w uszeregowaniu utworów czyniłaby zadość potrzebom głównie badaczy, historyków literatury; dla ogółu zaś czytającego nie miałaby ani interesu ani znaczenia; owszem dziwiłaby się mocno, gdyby ujrzeli po sobie następujące utwory, należące do najróżnorodniejszych działów literackich. Dla wydawnictw obliczonych na szerokie koła ogółu jedyną dziś dobrą zasadą jest układ według działów literackich z zachowaniem w tych działach następstwa chronologicznego, o ile się to zrobić daje. Wydawcy najnowszéj edycyi zasadę tę za słuszną uznali i starali się jéj trzymać; jest to niewątpliwą ich zasługą; ale w przeprowadzeniu téj zasady okazali takie niekonsekwencye i błędy, iż ich układ nie może sobie zasłużyć na uznanie. Niekonsekwencyą było wydzielenie „Pism z lat uniwersyteckich“ i umieszczenie ich na samém czele zbioru dzieł. Jeżeli bowiem zasadą podziału miały być rodzaje literackie, to uszeregowanie pism z lat uniwersyteckich powinnoby jéj było uledz. Przypuściwszy jednak, iż tym sposobem chciano te pisma umieścić niejako w przedsionku do gmachu, jako nie dające nam jeszcze poznać poety we właściwéj mu wielkości, to znowuż musimy wydawców obwinić o niekonsekwencyę, iż nie dali nam poznać Mickiewicza studenta w całéj zupełności, że odłożyli do 4-ego tomu jego recenzyą Jagiellonidy Tomaszewskiego. Jeżeliby ktoś bronił wydawców tém, iż recenzya ta jest pracą

krytyczną, któraby dziwnie wyglądała obok poezyi, to możnaby mu odpowiedzieć, że i przedmowa do pierwszego wydania poezyi Mickiewicza o romantyzmie ma również charakter krytyczny, a jednakże wydawcy nie wahali się jéj właśnie przy zbiorze utworów poetycznych pomieścić.

Wszystkie inne poezye mniejszych rozmiarów uszeregowano w 6 następnych działach: I) Ballady i romanse; II) Sonety; III) Sonety Krymskie; IV) Wiersze różne; V) Przekłady z obcych języków; VI) Bajki własne a naśladowane. Pomijam drobne zarzuty, jakie takiemu ustawieniu poczynić-by można; dotknę tylko punktów najważniejszych. Najobszerniejszy dział zatytułowany jest „Wiersze różne.“ Znajdują się tu i „Oda do młodości“ i „Warcaby“ i „Farys“ i wiersze albumowe i erotyki i utwory religijne i oda łacińska do Napoleona i urywek z przekładu Zofijówki na język łaciński. Dogodne to było dla wydawców, którzy nie potrzebowali sobie suszyć głowy nad ułożeniem tych utworów w grupy, ale wysoce niedogodnem jest dla czytelnika, który w tym lesie „Wierszy różnych“ zoryentować się nie może. A nadto, czyż to istnieje jaki dział literacki, któryby się „Wiersze różne“ nazywał? Jeżeli w pismach Mickiewicza, drukowanych za jego życia, istniał dział taki, to stało się to w sposób czysto przypadkowy, iż do pierwszego tomiku z r. 1822 zawierającego ballady i romanse dodał nasz poeta cztery utwory (Hymn, Żeglarz, Warcaby, Przypomnienie), które ani balladami ani romansami nie były; późniéj zaś, gdy przybywało drobniejszych utworów, nie myślał wcale o znalezieniu działów literackich. Ale co wolno było poecie, tego już nie wolno zrobić wydawcy jego pism zbiorowych; potrzeba koniecznie wydzielić i ugrupować utwory do siebie podobne, aby Farys nie sąsiadował z czterowierszem do księcia Golicyna lub wierszami do imiennika panny Jaenisch; a „Zaloty“ nie znalazły się pomiędzy dwoma utworami głęboką melancholią nacechowanemi. Przy ściśle chronologiczném uszeregowaniu pism takie zetknięcia byłyby nieodzowne, ale gdy się za zasadę wzięło działy literackie, to takie zetknięcia nie uchodzą, bo są w najwyższym stopniu niesmaczne.

Co do chronologii w tych działach, wydawcy użyli trojakiéj normy: pewnego roku napisania, przypuszczalnego czasu powstania i roku wydrukowania danego utworu. Przeciwko pomysłowi samemu nic mieć nie można, ale przeciw jego wykonaniu—bardzo wiele. Wydawcy często błędne mają pojęcie zarówno o czasie napisania jak i o czasie wydrukowania utworów. Z licznych przykładów przytoczę jeden tylko, gdyż odnosi się on do całéj grupy poezyi. W całym dziale Sonetów jeden tylko sonet podznaczyli rokiem 1822 jako czasem wydrukowania; wszystkie zaś inne to jest 39 opatrzyli rokiem

1825 jako czasem napisania. Skądże wydawcy o tém wiedzą tak napewno; jak mogą podpisywać tak śmiałą ręką rok 1825, kiedy nie mają najmniejszego dowodu, iżby wszystkie 39 sonetów powstały rzeczywiście w tym roku. Że były one, (z wyjątkiem jednego) wydrukowane pod koniec roku 1826; to jeszcze bynajmniéj nie dowód, iżby wszystkie powstały w roku poprzednim, bo równie część ich mogła być napisana w ciągu r. 1826; o sonecie „Do Niemna“ wiadomo napewno, iż napisany był r. 1823, o kilku innych (II, III, IV, V, VI, VII, IX, X, XI) *musimy* przypuszczać, że powstały *przed* rokiem 1825, o XII można twierdzić, iż napisał go poeta pod koniec r. 1826 tj. po wydrukowaniu innych Sonetów, albo w początkach 1827. Wobec takiego stanu kwestyi niewolno było wydawcom stawiać r. 1825 jako niewątpliwéj daty napisania tych utworów; raczéj należało dać r. 1826 jako datę druku tych sonetów, które istotnie wtedy wydane zostały.—Wydawcy źle wiedzą, kiedy po raz pierwszy była drukowana Oda do młodości, i kiedy napisana została Switezianka; a pod wierszem Do przyjaciół podpisują błędną datę itp.

W sprawdzeniu autentyczności utworów nie zadali sobie wydawcy trudu najmniejszego, idąc ślepo za edycyami dawniejszemi. Rażącym przykładem takiéj bezkrytyczności jest pomieszczenie, wzorem wydań poprzednich, wiersza „Panicz i Dziewczyna“ jako utworu Mickiewicza z takim dopiskiem, tradycyjnie przedrukowywanym: „Pierwsza część tego wiersza jest pióra A. E. Odyńca, a dwie drugie Mickiewicza. Gdyby wydawcy zechcieli byli poszukiwać prawdy, toby się przekonali, że tak wcale nie jest. Niechże raczą zajrzéć do pierwszego wydania poezyi Odyńca (Wilno, 1825, 1826), a tam w tomie II od str. 108—113 znajdą ten wiersz w całości z takim przypiskiem: „Ostatnie *dwie strofy* są pióra p. Adama Mickiewicza; nie dwie części zatém, ale tylko dwie strofy, to jest *osiem wierszy*, należy w tym utworze do Mickiewicza. Nie należy ograbiać Odyńca, bo najprzód to brzydko, a powtóre Mickiewicz mógł darować 8 wierszy młodzieniaszkowi, ale nie życzyłby sobie, iżby wierszyki Odyńca powiększały zbiór własnych jego poezyi. „Panicz i Dziewczyna“ zniknąć powinny nazawsze ze zbioru pism Adama (1). Dowodem lekkomyślności w traktowaniu kwestyi pochodzenia utworów przyznawanych Mickiewiczowi jest znowuż zamieszczenie wiersza „W imionniku M. S.“ (str. 175) z następnym przypiskiem: „Wiersz Adama Mickiewicza drukowany w Birucie 1838 roku, przedrukowany

(1) Po raz pierwszy wiersz ten wcisnął się, naturalnie bez wiedzy Mickiewicza, do pierwszego poznańskiego wydania jego poezyi a stąd zaraz przeszedł do pierwszéj paryskiéj edycyi (tom III z r. 1829 str. 147 — 153), którą zajmował się Leonard Chodźko.

w kalendarzu Jana Jaworowskiego (*sic*) na rok 1876, w Warszawie str. 125.“ Ze szczegółowego podania stronnicy kalendarza oraz z objaśnienia przy wierszu, iż nie ma przy nim oznaczenia dnia, wnosić wolno, iż ten, kto pierwszy przypisek ten układał, nie widział pisma zbiorowego „Biruty,“ ale tylko kalendarz. Zajrzyjmyż do „Biruty.“ Tam w części II na str. 4 wydrukowany jest wiersz „W imionniku M. S.“ przyczém podano datę: „1824 aug. *16* d. *Kowno.*“ Ta data jeżeli jest wiernie z rękopismu ogłoszona, mocnoby zachwiała autentyczność wiersza, gdyż 16 sierpnia 1824 Mickiewicz był w Wilnie pod dozorem, i wydalać mu się z miasta nie było wolno, nie mógł zatém pisać tego wiersza w Kownie. Wydawcy lwowskiéj edycyi w nadpisie położyli datę 1823, o rok wcześniejszą, i tym sposobem uprawdopodobnili napisanie tego wiersza przez Mickiewicza, ale na jakiéj zrobili to podstawie; czy mieli autograf, czy mieli choćby jakiekolwiek objaśnienia od osoby posiadającéj album, w którém wiersz ten się mieści? Zdaje się, że nie, gdyż byliby się z tém niewątpliwie pochwalili. A zatém zrobili to dowolnie dlatego może, ażeby datę pogodzić z okolicznościami życia Mickiewicza. Tak postępować krytyka literacka nie pozwala, uważając to za wykroczenie bardzo ciężkie. Podobnie lekkomyślnie wciągnięto improwizacyę do Suzina, która prawdopodobnie jest utworem Odyńca.

Jak sobie wydawcy postępowali z odmiankami, to pomijając drobiazgi, wskażę na jednym wypadku. Jako nowość, nigdzie przedtém niedrukowaną podają wydawcy wiersz do K. Rz. (Karoliny Rzewuskiéj, późniéj Lacroix, zmarłéj w lipcu r. b.). Wiersz ten bez początku nie jest bynajmniéj żadną nowością; znajduje się od dawna w poezyach Mickiewicza — tylko w formie doskonalszéj p. n. „Do D. D. Elegia.“ Wiersz podany w najnowszéj edycyi jest widocznie pierwszym szkicem późniejszego utworu i przedstawia interes tylko jako odmianka; winien być zatém pomieszczony nie oddzielnie na honorowém miejscu, ale w przypisku pod wspomnianą elegią; rzeczywiście nie znajdujących się w téj elegii wierszy jest tu tylko 16. Takich wierszy, których dotychczasowe edycye zbiorowe nie zawierały, wydanie to mieści 2, to jest dokończenie „Majtka“ z albumu jenerałowéj Pągowskiéj, rzecz bardzo słaba—i równie małéj wartości czterowiersz do księcia Golicyna, ogłoszony tu bez żadnego objaśnienia skąd wzięty.—Tak więc prócz dobrych chęci w uporządkowaniu pism poety i prócz taniości, nowe wydanie Pism największego naszego wieszcza nie posiada zalet, któreby mu zaszczytne wyróżnienie w szeregu licznych dotychczasowych edycyi zapewnić mogło. Gorąco życzyćby wypadało, ażeby dopóki jeszcze pora, błędy, omyłki i usterki poprawiano i nie uwieczniano ich stereotypem. *P. Ch.*

George Duruy: Le Cardinal Carlo Carafa, étude sur le pontificat de Paul IV. Paris (Hachette) 1882.

Carlo Carafa nie odziedziczył po ojcu, jako najmłodszy z trzech synów, fortuny, któraby mu mogła umożebnić i ułatwić zdobycie zaszczytnego stanowiska, zwłaszcza że ród Carafów w ogóle nie był znakomitym. W młodości Carlo był condottierem, ale niebawem widzimy go na dworze stryja, kardynała Piotra, w sukni duchownéj, nie dla tego, aby miał do stanu duchownego powołanie, ale uważał go, jak wielu wówczas, jedynie za środek do zrobienia karyery; starał się więc przedewszystkiém zjednać sobie względy stryja, pragnąc gorąco ujrzeć go na stolicy apostolskiéj, by potém obok i przez niego stanąć wysoko, jak najwyżéj. Po zgonie Marcellego II, Piotr Carafa wstępuje wreszcie na stolicę apostolską jako Paweł IV. Wkrótce umiał Carlo stać się pożytecznym papieżowi a z czasem niezbędnym, bo był przenikliwy, giętki, zdobny a znał ludzi znakomicie; lubo więc przeszłość jego nie była nieskalaną—zarzucano mu nawet, że ręce krwią miał zbryzgane,—nie odmówiono mu jednakże godności kardynalskiéj. Kardynał Carafa niepohamowaną, bezdenną miał ambicyą, zmierzającą do tego, aby ród Carafów wznieść wysoko, postawić na równi z udzielnymi książętami włoskimi, choćby z Medyceuszami. Pozbawiono Antoniego Colonnę księstwa Palliano, udzielając je bratankowi papieskiemu Janowi a młodszy jego brat zostaje markizem de Montebello po wypędzeniu hr. de Bagni.

We Włoszech największą potęgą od początku w. XVI była Hiszpania; przeciw niéj zwrócił się Paweł IV, jak sądzi Duruy, wyłącznie pod wpływem kardynała, by w związku z Francyą położyć kres gospodarce hiszpańskiéj a zarazem zapewnić Carafom poczynione już zdobycze a o ile możności ją powiększyć. Zaingaurowano więc w Rzymie politykę francuską w chwili, gdy całkiem niespodzianie między Francyą a Hiszpanią w Vancelles zawieszenie broni przyszło do skutku. By zapobiedz zawarciu pokoju, udaje się kardynał Carafa, jako legat papieski do Francyi z świetnym orszakiem. Była to jedna z pięknych chwil w życiu kardynała; uroczyście i wspaniale witano go jako posła stolicy apostolskiéj, dopiął téż celu, a po krótkiéj przerwie na nowo zaczęła się wojna, tym razem znów na widowni włoskiéj. Trudno było jednakże o jednolitą akcyą przeciw Hiszpanii; nieporozumienia z Francyą i niepowodzenia zniewoliły Pawła IV do zawarcia pokoju. Kardynał zgrabnego obecnie dokonywa zwrotu; to, co w walce z Hiszpanią chciał zdobyć tj. zapewnienie dla rodu swego wybitnego stanowiska a zwłaszcza posiadłości im przyznanych

(Palliano i Montebello), o to stara się obecnie w zgodzie z nią; niedawno temu agitował we Francyi przeciw Hiszpanii, obecnie dąży do Brukseli na dwór hiszpański, w celu pozyskania względów Filipa II, co w znacznéj części się udało. Sporo Carafom porobiono koncesyi, przyznano im nawet Bar po zgonie królowéj Bony, Sienę, ale natomiast trudno było Filipowi, mającemu w Colonnach wiernych sprzymierzeńców, potwierdzić okupacyą ks. Palliano. Trudności téj kardynał nie mógł usunąć, zawsze jednakże z obfitemi wracał owocami swéj misyi dyplomatycznéj. Mimo to, wkrótce nastąpił jego i braci upadek. Paweł IV, słysząc z wielu stron słuszne skargi na postępowanie i ucisk nepotów, uczuł wstręt do nich, w obec licznie zebranych kardynałów długo mówił o doznanych zawodach ze strony najbliższych, którym tyle zaufał, wołając kilkakrotnie w uniesieniu: „reforma, reforma.“

Kardynałowie milczeli długo; wreszcie najstarszy z nich, kard. Pacheco przerwał milczenie, mówiąc: „tak! reforma, ale zacząć od siebie.“ Papież wziął to do serca; w téj chwili Carlo Carafa musiał mu się wydawać jego złym duchem. Wydalenie kardynała i braci jego było zerwaniem z nepotyzmem z przeszłością, z polityką niezgodną z interesem katolicyzmu. Ale jeszcze wypłynął kardynał na krótki czas, jednakże dopiero po zgonie tego, któremu wszystko zawdzięczał. Jeszcze Paweł IV żył a już stronnicy kardynala powołali go do Rzymu, gdzie podczas konklawe „manewrując między stronnictwem francuskiém a hiszpańskiém, w krótkim czasie stał się panem sytuacyi; nie mogąc sam zostać papieżem, przeprowadził wybór swéj kreatury kardynała Medici (z Medyolanu). Wszyscy przyklasnęli mistrzowskiéj grze.“ Duruy przecenia wpływ kardynała Carafy na wybór Piusa IV, powodując się zbyt Bromata (Carrara): żywotem Pawła IV. Pius IV nie był bynajmniéj *kreaturą* Carafy, nie należał wcale do jego stronnictwa; owszem kard. Carlo oświadczył się zrazu stanowczo i to kilkakrotnie przeciw kardynałowi Medici. Faktem jest, że o głosy, któremi Carafa rozporządzał, starano się usilnie tak ze strony francuskiéj jak hiszpańskiéj, ale nie z powodu „mistrzowskiéj“ polityki kardynała, a raczéj z powodu rozbicia kolegium kardynalskiego; panem sytuacyi nie był, nieraz stroskany, bo niepewny przyszłości chwiał się między Francyą a Hiszpanią, chcąc jak najwięcéj dla znienawidzonego swego rodu wytargować. O tém znakomicie można się było poinformować z *pominiętych* niestety całkiem listów posła hiszpańskiego do Filipa II, (Döllinger: Beiträge zur kirchl. polit. u. Cultur-Geschichte I).

Powtórny upadek kardynała, proces i katastrofa Carafów także nie całkiem wyczerpująco i dostatecznie napisane, po części dla tego,

że nie wszystkie może materyały dla autora były przystępne. Nad jednem ku zdziwieniu naszemu D. wcale się nie zastanawia, pisząc, że „zbrodnią Carafów, rzeczywistą przyczyną procesu było to, że zwrócili się przeciw Hiszpanii.“ D. zapomina całkiem, że duszą procesu byli właśnie przeciwnicy Hiszpanii, że kardynała podczas konklawe uważano ostatecznie za zwolennika i sługę Filipa II, że na dworze hiszpańskim ubolewano nad upadkiem kardynała (cfr. Papiers d'Etat de Card. Granvella, IV).

W ciekawym z wielu stron procesie osobista nieprzyjaźń walnym była czynnikiem; win było niemało po stronie oskarżonych, ale czy kara śmierci nie była zbyt srogą, zwłaszcza dla kardynała? Kilka lat później nastąpiła rewizya procesu i rehabilitacya Carafów.— D. napisał rzecz nader zajmująco, starał się wniknąć w duszę bohatera, uważając psychologiczną analizę historycznych postaci za bardzo ważne zadanie historyka. Carlo Carafa był nieodrodnym synem swego wieku, który w nim pod niejednym względem się odzwierciedla, a jako *ostatni* z nepotów papieskich zasługiwał na osobne studyum. D. przecenia jednakże znaczenie i wpływ kardynała. Czy polityka zwrócona przeciw Hiszpanii była wyłącznie dziełem kardynała? Osobiste zapatrywanie Pawła i wstręt do panowania Hiszpanii we Włoszech niepoślednią pewno był sprężyną akcyi politycznéj. Paweł marzył o niepodległości Włoch, ubolewając nad inwazyą obcych. Autor za rozbicie i „nieszczęście“ Włoch w XVI w. czyni papieży odpowiedzialnych a zwłaszcza Aleksandra VI, Juliusza II, Leona X, Klemensa VII, Pawła III i IV. Dlaczego, pyta D., duch Grzegorzów i Innocentych nie ożywiał ich następców, dla czego papieże, którzy niegdyś czuwali nad polityką książąt a z wysokości stolicy apostolskiéj przemawiali za zgodą i pokojem, jako stróże i mściciele moralności świata, sprzeniewierzyli się swemu wzniosłemu powołaniu zajęci gromadzeniem fortuny dla swéj familii?“ „Smutna to epoka.“ Nie można zaprzeczać, że nepotyzm wręcz przeciwnym był dobru kościoła, ale nie był bynajmniéj przyczyną rozbicia Włoch i inwazyi obcych potęg, a w. XVI czy można uważać za „smutną epokę“ w historyi Włoch, jak się to autorowi wydaje? Pod wielu względami epoka ta właśnie złotym była wiekiem a niemałą w tém była zasługa papieży. A jeżeli autor miał na myśli moralne zachwianie kuryi, to może zapomniał, że pod koniec XVI w. dokonało się świetne odrodzenie papiestwa.

B. Dembiński.

= **Wspomnienia szkolne Leonarda Sowińskiego** (*Warszawa, 1885, str. 309*).—Bardzo niewiele posiadamy opowiadań i obrazów, któreby nam pozwoliły głębiéj wejrzéć w życie wewnętrzne szkół naszych, poznać charakter i stopień umysłowego przygotowania nauczycieli, zaznajomić się z praktyką i porządkami szkolnemi, ocenić sposób życia i uczenia się wychowańców. Stosunkowo najwięcéj mamy takich szczegółów u Kitowicza, a następnie u Jełowickiego, Chodźki, Micowskiego, Syrokomli, wreszcie u Jeża (w „Historyi o pra... pra... wnuku"). Od tych autorów dowiedzieliśmy się o niejednym rysie znamiennym, który rozjaśnił nam wewnętrzny ustrój szkół naszych; ale bądź-co-bądź wystarczyć ich prace i w zupełności zadowolnić nie mogą, jeżeli się będzie miało na oku różnorodność składowych części dawnéj Rzeczypospolitéj i znaczny przeciąg czasu, jaki pomiędzy życiem pierwszego a ostatniego ze wzmiankowanych autorów upłynął. Pożądanym więc jest bardzo każdy w téj dziedzinie przybytek a tembardziéj z ręki takiego pisarza jak Leonard Sowiński. Czas, w którym on chodził do szkół, jest bardzo zbliżony do tego, jaki odmalował Jeż w Historyi pra... pra... wnuka, a prowincya, w któréj szkoły te istniały, przytyka do téj, któréj obraz u Jeża widzimy; to téż niepodobna nie widziéć podobieństwa, zachodzącego pomiędzy obu opowiadaniami, tylko że Jeż mówi o szkole jako o jednym ważnym wprawdzie, ale nie jedynym epizodzie historyi swego bohatera, Sowiński zaś wyłącznie temu przedmiotowi wspomnienia swoje poświęcił, a więc mógł z większemi nieporównanie szczegółami przedstawić. Z zadania tego wywiązał się wybornie. Z niepowszednim talentem opowiadawczym, zaznaczył wszystkie ważniejsze rysy, jakie mu pamięć przechowała z tych lat dziecinnych i młodzieńczych, które najdłużéj i najżywiéj się w niéj zapisują. Uczniowie, profesorowie, dyrektorzy, kuratorzy, wszelakiego zresztą rodzaju zwierzchnicy powstają pod piórem Sowińskiego w żywych postaciach, jakbyśmy na nie własnemi patrzyli oczyma. Nigdzie nie mogłem tu dopatrzyć tego mimowolnego fałszu, jaki u wielu ludzi pamięć przez kojarzenie różnorodnych i różnoczasowych rysów i wydarzeń rodzić zwykła; nigdzie też dla efektu literackiego nie są zagrubo, zanadto karykaturalnie narysowane osobistości śmieszne, których wszędzie bywa dosyć; wszędzie widnieje prawda — i to jest największa pochwała, jaką Wspomnieniom Szkolnym Sowińskiego oddać należy. Materyał w nich zawarty tak jest w nich obfity, że potrzebaby wiele nań poświęcić miejsca, ażeby go scharakteryzować; powiem więc tylko, że obraz stosunków szkolnych w Międzybożu i Żytomierzu pomiędzy r. 1839 a 1845 wszechstronnie znajdzie czytelnik w dziełku Sowińskiego odtworzony. Życzyć należy bar-

dzo, ażeby niebawem i Wspomnienia jego uniwersyteckie ukazały się w druku.

= **Opowiadania i studya Aëra.** *Serya I.* (*Poznań*, *1885*, *str. 373*).— Zmarły przedwcześnie gorliwy na niwie literackiéj pracownik, Adam Rzążewski, nakrótko przed śmiercią ujrzał w jeden snopek zebrane wyniki swojéj pracy, rozproszone dawniéj po różnych łamach dziennikarskich. Opowiada tu w przedmowie, dlaczego się chwycił formy lekkiéj opowiadania dla rozpowszechnienia pewnych wiadomości z historyi i literatury. Oto przed laty wydał naukową rozprawę o Kochanowskim, i przekonał się, że po upływie kilkunastu zim i wiosen, połowa nawet ze szczupłéj liczby trzystu egzemplarzy nie rozeszła się wśród ogółu czytającego, że zatém praca jego poszła na marne, gdyż czytało ją małe tylko kółko specyalistów, a do szerokich kół publiczności przystępu nie znalazło. Chcąc więc skutecznie do ogółu przemówić, obrał najbardziéj poczytną formę powieściową, lubo nie czuł w sobie „prawdziwych romansopisarskich zdolności", gdyż chodziło mu głównie nie o chwałę artysty, ale o zasługę pożytecznego członka społeczeństwa, który chce zapoznać ogół czytający z ważnemi lub zajmującemi rysami przeszłości. Zamiar był niewątpliwie godny pochwały, lecz jego uskutecznienie napotkało trudności właśnie w tym braku talentu romansopisarskiego w połączeniu z brakiem delikatniejszego zmysłu psychologicznego. Tam gdzie szło o postacie proste, o sytuacye niezbyt złożone psychicznie, o wyrażenie uczuć zrozumiałych odrazu, autorowi wystarczała fantazya i zwykły stopień daru spostrzegawczego, pisał więc rzeczy w mniejszym lub większym stopniu udatne (np. w opowiadaniach: „Pułkownik Wilk", a poczęści: „Dlaczego panna Teresa zwała się panią pułkownikową"). Ale gdzie potrzeba było analizy subtelniejszéj i fantazyi lotniejszéj, ażeby zrozumiéć i umiéć przedstawić osoby niepospolite, wyższe, sytuacye niepowszednie, falowania uczuć nader delikatne i pełne odcieni; tam Rzążewski okazywał się słabym, posługiwał się szablonowemi scenami i frazesami, albo nieudatnemi próbami analitycznemi; za przykład można pod tym względem wziąć ustęp z życia Chopina: „Kontrasty", gdzie trzeba było dopełniać wyobraźnią sceny pomiędzy tym artystą a Aurorą Dudevant (George Sand), albo ustęp z życia Mickiewicza: „Wieczerza", gdzie wypadło odtworzyć scenę nadzwyczajną, z któréj spółcześni zdać sobie sprawy nie umieli. Szablonowym sposobem przedstawienia grzeszy najbardziéj opowiadanie o „Kochanowskim w Paryżu." — Obok tych opowiadań mieści się w zbiorku powyższym artykuł ściśle historyczno-krytyczny: „Mickiewicz w Odesie i twórczość jego z tego czasu", któryśmy drukowali w *Ateneum*. Co do stylu wogóle trzeba

zauważyć, że Rzążewski jako Aër tworząc bardzo dużo, zmuszony był pisać pośpiesznie, a stąd na piękność a nawet na poprawność wyrażeń niewielką mógł dawać baczność.

= **Der Text der Gnesener Predigten, kritisch beleuchtet.** *Inaugural-Dissertation von Boleslaus Erzepki.* (*Posen, 1885, str. 50 i 5 kart nlb.*). W r. 1857 ogłosił Tytus Działyński „Zabytek dawnéj mowy polskiéj", w którym między innemi pomieścił urywki kilku kazań w języku polskim z pierwszéj połowy wieku XV, jak należy wnosić z cech zewnętrznych (papieru i pisma) oraz z saméj ich mowy. Pierwszy L. Jagielski, który ogłoszeniem téj cennéj pozostałości z dawnych wieków się zajmował, poczynił na zasadzie naocznego przyjrzenia się rękopismowi wnioski o czasie jego powstania. Późniejsi badacze, nie mając sposobności oglądania rękopismu, poprzestać musieli na drukowanym tekście i dodanych do niego podobiznach. Dopiero obecny młody doktorant, Bolesław Erzepki, zachęcony przez prof. Nehringa, podjął pracę porównania tekstu drukowanego z rękopismem przechowującym się w bibliotece katedry gnieźnieńskiéj, a wynikiem studyów jego jest wyżéj przytoczona rozprawa doktoryzacyjna. Po opisie szczegółowym rękopismu i po ocenie prac poprzedników w tym względzie (Jagielskiego, Małeckiego, Małkowskiego, Nehringa, Makuszewa, Kryńskiego, Hanusza i Semenowicza), określa autor zawartość tekstu polskiego w tym rękopiśmie i dochodzi, skąd kaznodzieja mógł czerpać i materyał i wyrażenia do mów swoich. Okazuje, że znajdują się tu dwa całe kazania (na Boże Narodzenie, na dzień ś. Jana ewangielisty), oraz ułamki pięciu innych (na dzień ś. Jana Chrzciciela, ś. Maryi Magdaleny, ś. Wawrzyńca, ś. Bartłomieja, na Boże Narodzenie II), mogące być uważane za wstępy do kazań właściwych. Autor sądzi, że te kazania nie były pierwotnie napisane w języku polskim i że nie były samodzielnym utworem kaznodziei polskiego, lecz że są przekładem jakiegoś łacińskiego oryginału, którego dotychczas jeszcze nie odszukano. Za źródło znów główne owego domniemanego oryginału uważa Złotą Legendę Jakóba de Voragine, a stwierdza licznemi zestawieniami tekstu kazań na Boże Nar. i na dzień św. Jana ewangielisty z tekstem legendy. W większéj części zestawienia te w zupełności popierają twierdzenie autora; niektóre tylko krótsze (na str. 17 i 19) wydają mi się niepotrzebnie przywiedzione, gdyż nie mają siły przekonywającéj. Pożyczki te z Legendy są treści faktycznéj, odnoszą się głównie do wydarzeń cudownych, złączone z niemi napomnienia moralne uważa p. Erzepki za samodzielny utwór autora oryginału łacińskiego, którym posługiwał się polski kaznodzieja. Tekst rękopiśmienny kazań

poczytuje p. Erzepki za kopią z dawniejszego rękopismu, ale nie sądzi, ażeby datę powstania tego rękopismu można było cofnąć w głąb' wieku XIV; owszem twierdzi, iż tylko koniec XIV i początek wieku XV może być za taką datę uważany, gdyż język kazań w porównaniu z językiem psałterza floryańskiego jest młodszy (str. 29—31). W ostatnim dziale rozprawy, autor podaje obfity spis dostrzeżonych przez siebie różnic pomiędzy tekstem kazań drukowanym a rękopiśmiennym (str. 34—50). Dodać trzeba, że dysertacya ta jest wstępem do obszerniejszéj pracy „O języku kazań gnieźnieńskich." Autor w doktoryzacyjnéj swéj rozprawie okazał i wiedzę i pilność i bystrość umysłu, które najlepiéj wróżą o wartości przyszłych prac jego.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wydalanie Polaków z Prus.—Arcydzieła mądrości politycznéj p. Pindtera. Rzeczywisty powód banicyi.—Nawoływania gazet zagranicznych i rosyjskich do naśladowania rządu pruskiego.—Nasz obowiązek względem wygnańców.—Niezasłużone faworyzowanie Niemców.—Stara bajka o niezdolności robotników naszych i jéj wartość.—Projekt hr. Łubieńskiego i p. Wesołowskiego.—Szkoła imienia M. Konarskiego.—Reforma Banku Polskiego.—Projekty „Wieku“ w sprawie robotników.—Nowe pisma.

Smutnie wypada mi zacząć pierwsze wystąpienie w roli kronikarza „Ateneum.“ Jakkolwiek z natury swego umysłu skłonny jestem raczéj do patrzenia na rzeczy ze strony jasnéj, nie wiele dziś mam do zanotowania faktów pocieszających, a na czoło kroniki zmuszony jestem wysunąć zarówno wstrętne i bolesne dla nas, jak ubliżające tym, co na to obojętnie patrzą, postępowanie rządu pruskiego z poddanymi Rosyi i Austryi Polakami. Jak czytelnikom wiadomo z pism codziennych, barbarzyński rozkaz wydalenia przeszło 30.000 rodaków naszych płci obojéj i najrozmaitszego wieku i zajęcia z pozostających pod nieugiętém berłem sedańskiego zwycięzcy ziem polskich zaczął już wchodzić w wykonanie z okrucieństwem, właściwém sympatycznym *landsmanom* „żelaznego księcia.“ Podług listu p. Ignacego Łyskowskiego z Mileszew do „Gazety Toruńskiéj“ na konferencyi radców ziemiańskich Prus Zachodnich, odbytéj pod przewodnictwem naczelnego prezesa tejże prowincyi i w asystencyi radcy ministeryalnego, ustanowione zostały następujące terminy banicyi: ludzie nieżonaci i wolni od wszelkich umów służbowych mają być wydaleni jak można najśpieszniéj; żonaci, nie związani rocznym kontraktem służbowym, najdaléj 1 października r. b.; ludziom, skrępowanym umową roczną, przyjętą w Prusach Zachodnich, wolno pozostać do 11 listopada; wreszcie osobistości, posiadające własność, lub interesa, wymagające dłuższego czasu do załatwienia, mogą uzyskać

odwłokę do nowego roku, a nawet (!) do 1 kwietnia r. 1886. Po tym terminie nie ma już być w żadnéj z prowincyi polskich pod panowaniem pruskiém ani jednego Polaka, poddanego Rosyi, lub Austryi. Z korespondencyj do gazet rosyjskich i niemieckich przekonywamy się, że gorliwi landraci w wykonaniu powyższéj uchwały nie liczą się nawet z temi marnemi uwzględnieniami, które zbiorowo uradzili, bo ciągle spotykamy się z zakrwawiającemi serce opisami, jak wielkie straty ponoszą nieszczęśliwe ofiary tyranii pruskiéj, zmuszone już dziś na gwałt wyprzedawać całe swoje mienie. Do jakiego stopnia dochodzi brutalne bezprawie w tym względzie, da nowe pojęcie fakt, że wydalani nie zostali nawet zwolnieni od dotrzymania zobowiązań, wynikających z kontraktów o najem lokali, które bez żadnéj winy i wbrew woli własnéj łamać muszą. Gdy więc nie są w możności opłacić komornego za cały termin, objęty kontraktem, właściciele domów nakładają areszty na ich mienie. *Posener Zeitung* odwołuje się do ludzkości właścicieli domów w Poznaniu i wyraża nadzieję, że ci nie będą robili trudności osobom, dotkniętym dekretem banicyjnym, lecz zwolnią ich z kontraktów dzierżawy mieszkań, które, wedle przyjętego zwyczaju, zawierają się najkróciéj na rok jeden. Czyż jednakże na rozleglejsze przejawienie się podobnéj względności ze strony właścicieli Prusaków liczyć można? Na podstawie blizkiéj sąsiedzkiéj znajomości tego szlachetnego narodu mocno, niestety, o tém wątpić musimy.

Korespondenci niektórych z pomiędzy wrogich nam gazet rosyjskich, a w szczególności *Mosk. Wiedomosti* i *Nowego Wremia* utrzymywali, iż banicyi podlegają tylko ludzie, nie posiadający w porządku paszportów i nie mogący się wylegitymować z rodzaju stałych swoich zajęć. Twierdzenie to jednakże okazało się tendencyjném kłamstwem, gdyż zaprzeczyły mu stanowczo wszystkie, prawie bez wyjątku, wiadomości, podane przez pisma niemieckie, zazwyczaj bardzo nieprzyjaźnie dla nas usposobione. Wiadomości te potwierdzone wreszcie zostały i w prasie rosyjskiéj przez człowieka, którego w żaden sposób niepodobna posądzić o „polską intrygę,“ bo przez korespondenta świeżo zmartwychwstałéj „Rusi,“ p. Sergiusza Szarapowa. „Wiem dokumentalnie, pisze ten współpracownik organu p. Aksakowa, że podział wygnańców będzie taki: 1) Około tysiąca Polaków-emigrantów, mniéj lub więcéj skompromitowanych, którzy się udali do Austryi. 2) Około 9 tysięcy żydów, zbiegłych przed służbą wojskową. Ci rozproszyli się po Europie. 3) Pozostałe 20 tysięcy stanowią Polacy, wyłącznie włościanie i rzemieślnicy, nie mający nic wspólnego z polityką. Przemieszkali oni po kilka, a nierzadko nawet po kilkadziesiąt lat za granicą, mają żony i dzieci (z pomiędzy

tych ostatnich wielu synów służy w wojsku pruskiém) i bynajmniéj pod żadnym względem nie są skompromitowani, ani wobec nas, ani wobec Prusaków.“

I cóż za powód, co za cel tak srogiego prześladowania tych niewinnych ludzi, którzy spokojnie na chléb powszedni pracowali, nie mącąc wody nikomu? Powodów tych podaje organ księcia Bismarka, *Nordd. Allg. Zeitung*, trzy: pierwszym z nich ma być chęć pozbycia się pierwiastku rewolucyjnego, za jaki zawsze jeszcze niemieckie *biersäufery*, wspólnie z wieloma ich rosyjskimi naśladowcami, podają Polaków; drugim—jest jakoby obawa o repolonizacyą zniemczonych już do pewnego stopnia prowincyi polskich; jako trzeci, wreszcie, wymienia p. Pindter potrzebę usunięcie niebezpiecznéj dla robotników niemieckich konkurencyi, jaką niby mają im wytwarzać emigranci polscy, mogący dzięki nawyknieniu do niższéj skali życia sprzedawać swoje pracę taniéj. Przyjrzyjmy się bliżéj tym *arcydziełom* politycznéj mądrości pruskiéj.

Polacy dzisiejsi—pierwiastkiem rewolucyjnym! Doprawdy, gdyby wobec znajomości rzeczywistych stosunków na myśl o tém prokuratorsko-dyplomatyczném szalbierstwie gniew i oburzenie w gardle tchu nam nie tamowała, trzebaby z téj iście himalajskiéj niedorzeczności śmiać się do rozpuku. My—pierwiastkiem rewolucyjnym! Kto, jak każdy z nas, Polaków, w otoczeniu swojém słyszy ciągle i na każdym kroku na rozmaite tony i nuty powtarzaną i sam innym niezmordowanie śpiewa piosnkę, złożoną wyłącznie z wyrazów: spokój, cicha praca, oportunizm, wyczekiwanie, cierpliwość, i jak tam jeszcze na tysiączne inne sposoby te cnoty słabych zwać się mogą, a pomimo to równie często spotyka się z kłamliwemi obwinieniami o dążenia i agitacye rewolucyjne nietylko ze strony płatnych pismaków, lecz i ich rozkazodawców, tak wysoko postawionych, jak książe Bismark i Putkammer, ten musi przyjść do wniosku, że potężni prześladowcy nasi wiedzą bardzo dobrze, iż niegodziwe ich zmyślenie o „intrydze polskiéj“ nie ma żadnego realnego podkładu, lecz ukuli świadomie to straszydło, by pod pozorem walki z nim mogli dopuszczać się względem nas wszelkiego bezprawia, łudząc się nadzieją, iż zdołają nas zetrzéć z powierzchni ziemi. Bądźmy jednak spokojni, że złudzenia te bliższa, lub dalsza przyszłość rozproszyć zdoła i następcy księcia Bismarka przekonają się kiedyś, że kilkunastowiekowego dębu o milionach korzeni nie potrafi wyrwać z matki ziemi nawet tak potężny i nieugięty karczownik, jak dzisiejszy pierwszy minister pruski.

Że polonizacya Niemców w księstwie Poznańskiém jest takiém samém straszydłem, jak rewolucyjność polska, i w tym samym celu

zmyślona, dowodzić nie potrzebujemy. Jeżeli jednak na wydaleniu poddanych rosyjskich zakładał sobie książe Bismark ułatwienie zniemczenia Polaków, to sądzimy, że i pod tym względem nadzieje jego zawiedzione zostaną. Możemy być pewni, że okrucieństwo rządu pruskiego i widok niedoli wydalanych wzmocni tylko w ich poznańskich rodakach ducha odporności przeciwko zakusom germanizacyi. Prześladowania bowiem nie zdołają nigdy żadnéj jednostki, w któréj sercu tli się choć najmniejsza iskierka uczuć szlachetnych, skłonić do opuszczenia sprawy ogólnéj, jeżeli zaś zdradzą ją jednostki znikczemniałe, to żałować niema czego. Uwaga ta nasuwa nam na myśl spostrzeżenie godne zastanowienia, a mianowicie, że rząd pruski, starając się gwałtownie zgermanizować Poznańskie, wyrządza swemu narodowi moralną krzywdę, tym sposobem bowiem sprawia, że naród niemiecki wchłania w siebie z pośród społeczeństwa polskiego pierwiastki najnikczemniejsze, oddając mu wzamian z pośród siebie—w części przynajmniéj—szlachetne, o ile niektórzy, zamieszkali w prowincyach prusko-polskich, Niemcy przez sympatyą, lub współczucie dla prześladowanych łączą się z nimi i w końcu polonizują. W tém téż znaczeniu możemy przyznać słuszność gazetom niemieckim, że dekret banicyjny „*oczyści*" Poznańskie z żywiołów niebezpiecznych i niepożądanych," tylko że brudy spłyną do morza—pruskiego.

A teraz—potrzeba usunięcia współzawodnictwa, wytwarzanego robotnikom niemieckim przez napływową ludność polską. Są tu możliwe dwa tylko przypuszczenia: albo niemiecki rynek pracy jest przepełniony, albo nie jest. W pierwszym razie kilkanaście tysięcy robotników mniéj, lub więcéj w tak wielkiém państwie jak Niemcy nic nie stanowi, bo gdyby rzeczywiście grały one jakąś rolę, to przeludnieniu zapobiegłoby w zupełności dobrowolne wychodźctwo, którego upustami odpływa corocznie z cesarstwa niemieckiego po kilkakroć sto tysięcy. Tak np. do saméj Ameryki wyemigrowało w r. 1880 — 104,264, w następnym — 249,572, a w 1882 tylko do 1 lipca około 279,000 pupilów żelaznego księcia, śpiewając na odjezdném:

„Lieb Vaterland magst ruhig sein,
Am Hudson besser, denn am Rhein!"

Rudolf Meyer, od którego zapożyczyliśmy cyfr powyższych, dowodzi na podstawie danych statystycznych z ostatnich lat 60, że przyczyną tego masowego wychodźctwa nie jest bynajmniéj przeludnienie, lecz wojny i obawa wojny, oraz spowodowane, przyjętym przez Prusy, systemem militarnym przeciążenie ubogiéj ludności podatkami; w ostatnich czasach dołączył się jeszcze do tych dwu po-

wodów trzeci, a mianowicie — błędy polityki ekonomicznéj księcia kanclerza. Za śmiałe wykazanie właśnie tych błędów skazany został wzmiankowany ekonomista na pół roku więzienia i skutkiem tego zmuszony był opuścić swą miłą ojczyznę.

Sługusi jednakże księcia Bismarka twierdzą, że robotnicy polscy są niebezpiecznymi współzawodnikami niemieckich skutkiem nawyknienia do niższéj skali życia, zobaczmy więc, jak pod tym względem rzeczywiście sprawa się przedstawia. Podług urzędowego oszacowania do podatku klasowego w Prusach w r. 1881 z ogólnéj liczby zarabiających (*Erwerbende*) 9,155,885 było, mających dochodu mniéj niż 420 marek, czyli mniéj niż 210 rs. — 3,931,231, od 420 zaś do 660 marek, czyli od 220 do 330 rs. — 2,709,972; ogółem ludzi z dochodem niżéj rubla dziennie 6,641,203, to jest $^2/_3$ ogólnéj liczby zarabiających, blisko zaś połowa téj liczby zarabia mniéj niż 4 złp. na dzień. Tak świetnie przedstawia się położenie ekonomiczne ludności pracującéj w kraju, cieszącym się posiadaniem „najgenialniejszego męża stanu“, który z obawy, wyraźnie—*z obawy*, by kilkanaście tysięcy Polaków (lepiéj zapewne płatnych, bo inaczéj nie byliby wyemigrowali z kraju) nie *obniżyło skali życia* czterech milionów przymierających z głodu Niemców — wydalił ich z granic państwa. *Risum teneatis amici!* A więc trzeba zapominać, że pod wpływem w czwórnasób podwyższonego w r. b. cła od wwozu zboża do Niemiec nędza ludu bardziéj tam jeszcze wzrośnie. Wtedy już wydalać z Prus nikogo nie będzie potrzeby, ale raczéj wpędzać chyba siłą, bo pies nawet nie będzie chciał w nich osiąść dobrowolnie. Wtedy szczęśliwy ten kraj stanie się rzeczywiście, jak go nazwał jeden z jego synów — *„das Vaterland der Treue und der... Kartoffel als Arbeiterspeise und Zubrod!“*

Lecz cóż ostatecznie jest rzeczywistym powodem dekretu banicyjnego, kiedy wszystkie, trzy podane przez organ autora tego wzniosłego przejawu cywilizacyi pruskiéj, okazały się tylko czczemi wybiegami? Logika na to pytanie jednę tylko dyktuje odpowiedź—powodem tego humanitarnego czynu nie może być nic innego, jak znana rozgłośnie, a rosnąca ciągle żądza niemiecka tępienia wszystkiego, co słowiańskie, a zwłaszcza co polskie, ta dzika żądza, którą filozoficzny junkier pruski, Hartmann, tak dosadnie streścił w osławioném haśle: „ausrotten!“ W imię tego tylko hasła mógł zapaść wyrok wygnania na ludzi spokojnych, pracowitych i od wszelkiéj przewiny wolnych, wyrok, nie wyłączający nawet kobiet, dzieci i starców sparaliżowanych!... Jakkolwiek wszystkie te nieszczęsne ofiary nienawiści germańskiéj wiele bezwątpienia ucierpią, mogą się przynajmniéj pocieszać tém, że, jak dotąd, jest wszelkie prawdopodobień-

stwo, iż przykładnie pomszczone zostaną. Zrozumieli to niebezpieczeństwo publicyści niemieccy i dlatego prawie jednogłośnie prześladowczy wybryk swego rządu potępili. Grubijańska przewaga Prus sprzykrzyła się już widocznie światu, bo zaczyna on jéj dawać zasłużoną odprawę. Piraterska wyprawa na wyspy Karolińskie doprowadziła, jak wiadomo, do podeptania orłów niemieckich w Hiszpanii. Otóż z tego, co czytamy w gazetach, wnosić należy, że z okazyi dekretu banicyjnego samych już Prusaków wszędzie deptać zaczną. Ladsmanów żelaznego księcia we wszystkich krajach świata znajduje się mnóstwo, a są oni wszędzie tak niepożądani, że zewsząd rozlegają się coraz liczniejsze głosy, żeby skorzystać z danego przez rząd pruski przykładu i naśladować go względem jego poddanych. W tym duchu odezwała się nawet prasa dwóch najliberalniejszych w Europie narodów, a mianowicie: angielska i szwajcarska, nawołująca w imię patryotycznego obowiązku, ażeby przedsiębiorcy tamtejsi usunęli ze swych fabryk robotników niemieckich i oddali, zajmowane przez nich miejsca swoim współrodakom, pozbawionym zarobku.

Jakkolwiek niektóre z pism rosyjskich (dodajmy na pochwałę Rosyan, że nieliczne) przez nieubłaganą nienawiść do nas starają się rozkaz wygnania rodaków naszych moralnie usprawiedliwić, to jednakże wszystkie godzą się w tym względzie, że należy go uważać za dogodny precedens do powzięcia środków przeciwdziałania niebezpiecznemu dla państwa rosyjskiego *Drang nach Osten* ze strony emigracyi niemieckiéj. Według czeskiéj gazety *Politik* w granicach państwa rosyjskiego, przeważnie w krajach polskich, znajduje się przeszło 400,000 poddanych niemieckich, pomiędzy którymi znaczną większość stanowią Prusacy. Wszystkich Niemców w całéj Rosyi jest około dwóch milionów. Ponieważ liczba ta z każdym rokiem znacznie jeszcze wzrasta i zawiera niemały procent mężczyzn do boju zdolnych i w służbie wojskowéj wyćwiczonych, przeto prasa rosyjska zwraca uwagę sfer rządowych na to, że na wypadek wojny z Niemcami, z któréj możliwością w przewidywaniach na przyszłość w każdym razie liczyć się wypada, koloniści ci stanowiliby bardzo niebezpieczną dla wojsk rosyjskich placówkę forpocztową armii nieprzyjacielskiéj. Dla zapobieżenia temu niebezpieczeństwu jedne z pism zalecają wprost naśladowanie postąpienia rządu pruskiego z poddanymi rosyjskimi, inne, nie posuwając się tak daleko, doradzają wydalenie tych tylko Niemców, którzy się nie zechcą naturalizować, oraz przedsięwzięcie środków administracyjnych celem zjednoczenia przybyszów z ludnością miejscową i przeszkodzenia dalszemu ich napływowi.

Zanim jednakże temu ogólnemu życzeniu wszystkich słowiańskich poddanych państwa stanie się zadość ze strony sfer rządowych, musi społeczeństwo postarać się na swoją rękę o zatamowanie zalewu niemieckiego. W poglądach na tę sprawę zgadzają się w zupełności pisma rosyjskie z polskiemi, nie wyłączając z pierwszych nawet *Now. Wrem.*, które zaznaczając z zadowoleniem w osobnym artykule ten fakt rzadkiéj jednomyślności w prasie dwóch „powaśnionych z sobą przodujących gałęzi słowiańszczyzny wschodniéj“ (nie tęgi z autora geograf!), wyraziło „wdzięczność kanclerzowi niemieckiemu za politykę, rozbudzającą wzajemne uczucia pokrewieństwa Polaków i Rosyan.“ Szkoda tylko, że to samo pismo w nadmiarze braterskiego dla nas współczucia pomieściło poprzednio korespondencyą p. Mołczanowa, w któréj znany ten nasz „krewniak“ pochwalał bardzo dekret banicyjny, zapewniając, iż obejmuje on tylko niebezpieczną dla państwa niemieckiego „hołotę“.

Wiadomo, że większość fabryk naszych, nie wyłączając należących do rodowitych Polaków, przepełniona jest robotnikami niemieckimi, często nawet wtedy, gdy z wszelką łatwością i bez żadnéj szkody dla interesów pracodawcy możnaby ich zastąpić miejscowymi. Otóż prasa w imię uczuć i obowiązków obywatelskich nawołuje przedsiębiorców do dawania pierwszeństwa ludności swojskiéj. Obowiązek ten powinien wszystkim pracodawcom polskim témbardziéj leżéć na sercu, że niemieccy protegują ogólnie swoich współziomków i dają zajęcie ludności miejscowéj tylko w razach nieodzownéj potrzeby. Wobec tego, po dokonanym zwłaszcza fakcie wygnania rodaków naszych z Poznańskiego, dalsze faworyzowanie Niemców byłoby ze strony naszéj występkiem. Niestety, niepojęte to upodobanie do przyjmowania oficyalistów téj narodowości, która nas jawnie nienawidzi i nami pogardza, jest bardzo wśród naszych fabrykantów i kupców rozpowszechnione. Znam fabrykę, należącą do Polaka, w któréj ugodzony za trzyletnim kontraktem, mechanik, Niemiec, pobierał 1500 rs. rocznie i mieszkanie, z 3-ch pokojów złożone; gdy zaś za pijaństwo i niedozór wydalony został, przyjęty na jego miejsce Polak, mający daleko wyższe kwalifikacye i chlubne świadectwa z najpierwszych w Europie fabryk, zaledwie wytargować zdołał 1200 rs. bez żadnych dodatków i bez żadnéj gwarancyi przeciwko kaprysom pryncypała, który w przystępie złego humoru może go wydalić w każdéj chwili. Takimże samym przywilejem, jak ów mechanik, cieszył się inny pracownik, Prusak, zajmujący się pewną specyalną czynnością, któremu do cen, ustanowionych dla jego poprzednika, Francuza, dodawano 25%. Gdy nie do zniesienia zuchwałe i aroganckie zachowanie się względem zwierz-

chności zmusiło ją do usunięcia tego beniaminka, następcy jego, Polakowi, daleko lepiéj znającemu robotę, kazał właściciel *odtrącać* 25% od cennika. Z pomiędzy ślusarzy téj fabryki najlepiéj płatny jest Niemiec, fuszer, który nigdy systematycznie w swoim fachu się nie kształcił i czeladnikiem nie jest, lecz tylko nauczył się przez opatrzenie dokonywania pewnych reparacyi fabrycznych. Z urzędników handlowych i administracyjnych najlepsze wynagrodzenie, wyższe od pensyi dyrektora, pobiera w téj fabryce Niemiec z Poznańskiego, dysponent jednego ze składów wyrobów fabrycznych, nienawidzący do tego stopnia naszéj mowy, którą zna jednak dobrze, że nawet do pryncypała pisuje listy po niemiecku. Dodajmy, że zajmujący takie same stanowiska, Polacy są wynagradzani 3 razy gorzéj, oraz że właściciel będącéj w mowie fabryki kilkakrotnie na znaczne sumy przez swych ulubieńców, Niemców, był okradany. Wszystko to jednak nie zdołało go uleczyć z niewytłomaczonego respektu dla téj narodowości, do któréj, jak mnie zapewniał, ma czuć głęboką antypatyą. A nie są to fakty odosobnione. Mógłbym tu jeszcze przytoczyć wiele podobnych z innych fabryk polskich.

Stosunki takie dłużéj trwać nie powinny, jeżeli nie chcemy sami dobrowolnie dopomagać Niemcom do powolnego wyzuwania nas z mienia. Ci, co mówią o koniecznéj potrzebie uciekania się do niemieckich sił roboczych, albo sami są w błędzie, albo starają się okłamać innych. Robotnicy niemieccy na całym świecie znani są jako fuszerzy i ociężali. Jeżeli ich przyjmują w Zach. Europie, to jedynie dzięki temu, że sprzedają oni tam swoję pracę tanio. Wyćwiczeni przez przedsiębiorców, mających za zasadę produkcyi: *schlecht und billig*, nie mogą oni odznaczać się wysokiém uzdolnieniem techniczném, nie mogą stanowić dla nas pożądanego nabytku tak samo pod względem ekonomicznym jak i społecznym. To, co się mówi o niezdolności naszych robotników, jest starą, ale tém nie mniéj wierutną bajką, którą by już dawno był czas wyrzucić do śmietnika naszych głupstw narodowych. We wszystkich wielkich fabrykach Zachodniéj Europy można spotkać robotników naszéj narodowości i pracodawcy bynajmniéj ich za nieudolnych nie uważają, owszem, przeciwnie—bardzo dobrą o nich wydają opinią. W znanych zakładach Kruppa w Essen, jak mnie zapewniał jeden z przyjaciół, który je zwiedzał, do robót wymagających zręczności i szybkości sprowadzają umyślnie robotników polskich ze Szląska. W Paryżu sam się przekonałem, że wszyscy rodacy nasi, posiadający fach, zarabiają bardzo dobrze i trudności w znalezieniu pracy bynajmniéj nie mają. Co do pracowników wyższéj kategoryi, wiadomo, że są oni ogólnie widziani za granicą bardzo dobrze. Lesseps wyraża się o inżynie-

rach Polakach nadzwyczaj pochlebnie i chętnie daje im zajęcie w swoich przedsiębiorstwach, bo przy budowie kanału Sueskiego tylko Polacy wytrwali na swych stanowiskach od początku do końca i wywiązali się z przyjętych na się zadań sumiennie. I w kraju więc moglibyśmy mieć pracowników zdolnych, gdybyśmy ich umieli szanować. Dopóki jednak, zarabiający zagranicą dobrze i traktowany jak człowiek, robotnik nasz będzie wiedział, że gdyby wrócił do kraju, będą mu płacili licho i za zwierzchnika będzie miał jakiegoś grubijańskiego Niemca, który mu rzemyka u sandałów nie wart rozwiązać, a pomimo to ma mu prawo wymyślać „*Polnisches Schwein*“, dotąd będzie wolał pracować na obcéj ziemi. Ci zaś, co zagranicę wyjechać nie mają możności, lub odwagi, płatni źle i traktowani jeszcze gorzéj, będą też robili zawsze „aby zbyć“, bo jaka płaca, taka praca. Jest to naturalne, logiczne i sprawiedliwe.

Ażebyśmy więc mogli obejść się bez Niemców, musimy przedewszystkiém zaprzestać niezasłużonego ich faworyzowania, a następnie przejąć się głęboko tą prawdą, że zarówno obywatelski obowiązek, jak i własny interes osobisty każdego przedsiębiorcy polskiego nakazuje mu oceniać pracowników swoich sprawiedliwie i przekładać siły swojskie nad cudzoziemskie. Obecnie, gdy kilkanaście tysięcy, wydalonych z Poznańskiego robotników rozmaitych fachów, przyjdzie na nasz rynek szukać zajęcia, kto ma w sercu choć iskierkę miłości dla swego kraju, a w warsztacie pracy swojéj choć jednego, stęsknionego za *Vaterlandem* Niemca, powinien go bezzwłocznie odesłać do rozporządzenia księciu kanclerzowi, a na jego miejsce przyjąć rodaka.

Po za tą jednak potrzebą chwili bieżącéj, któréj sami o własnych siłach prawdopodobnie uczynić zadość potrafimy, istnieje jeszcze dalsza konieczność zapobieżenia na przyszłość zalewowi kraju przez Niemców, co już wobec tego, że większość fabrykantów naszych jest pochodzenia obcego, przechodzi możność społeczeństwa, pozostawionego samemu sobie. Wspomnieliśmy wyżéj, że pisma rosyjskie zwróciły już uwagę, ze względów politycznych na konieczność interwencyi rządu, dla osiągnięcia tego celu. Otóż pp. Józef Łubieński i Feliks Wesołowski postanowili za pośrednictwem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Petersburgu wystąpić z podobném żądaniem do władzy w imię interesów ekonomicznych. W złożonym przez się wniosku upraszają oni wymienione Towarzystwo „o wyjednanie u rządu ogłoszenia prawa, zabraniającego fabrykantom zagranicznym (tylko?) zalewania Rosyi cudzoziemskimi dyrektorami, inżynierami, technikami i robotnikami, oraz nakazującego, ażeby każdy fabrykant do produkcyi fabrycznéj używał sii

roboczych z pośród poddanych rosyjskich, a nadto ażeby zarządzający fabryką był koniecznie poddanym rosyjskim, jako osobistość odpowiedzialna przed państwem i społeczeństwem.“ Nam się zdaje, że zamiast tego zakazu i nakazu, który wobec znanych sposobów obchodzenia prawa, mógłby pozostać martwą jedynie literą, byłoby rzeczą praktyczniejszą nałożyć na cudzoziemców, przebywających w granicach państwa za pasportami niemieckiemi, tak wysoką opłatę za dozwolenie pobytu, żeby fabrykantom używanie niemieckich sił roboczych stanowczo wypadło za drogo. Wtedy z pewnością postaraliby się o wykształcenie sobie robotników z pośród ludności miejscowéj a władza również zapewne chętniéj przychyliłaby się do wydania prawa, przynoszącego korzyść skarbowi, niż kłopoty policyi. Jeżeli autorowie wzmiankowanego wniosku uwadze mojéj przyznają słuszność, możeby go zechcieli odpowiednio zmodyfikować, zanim pójdzie on pod obrady ogólnego zebrania Towarzystwa, którego staraniom powierzony został.

Pomimo wszystko jednak taić przed sobą nie powinniśmy, że dziś jeszcze bez napływowych sił obcych obejść się zupełnie nie możemy. Trzeba tylko, żebyśmy pamiętali, że źródłem téj smutnéj niemocy nie jest żadna konieczność przyrodzona, żadna niższość naszéj rasy, lecz własne błędy nasze, wynikające głównie z jednéj strony z nieliczącéj się nigdy z dalszemi następstwami czynów karygodnéj lekkomyślności naszéj, z drugiéj—z braku uczuć obywatelskich wśród pewnéj części przemysłowców naszych. Przytoczone wyżéj przez nas fakty ze świata zagranicznego dowodzą, że moglibyśmy byli oddawna mieć dostateczną liczbę robotników własnych, nietylko na równi z Niemcami, ale nawet wyżéj od nich uzdolnionych fachowo, gdybyśmy się byli o to postarali. Dzieje rozwoju ekonomicznego wszystkich bez wyjątku krajów cywilizowanych wymownie nas pouczają, że nigdzie na świecie przemysł krajowy nie powstał odrazu własnemi siłami, lecz wszędzie szczepili go cudzoziemcy, a dopiero z czasem usiłowania krajowców, wspierane przez władzę państwową, przyswajały go sobie i nadawały mu odrębne cechy, zależne od takich lub innych przymiotów, uzdolnień i wad danego narodu. Cóż jednak u nas zrobiono w tym celu, żeby sobie, zaszczepiony przez Niemców i wspierany przez rząd wysokiemi cłami, przemysł przyswoić, żeby go uczynić *rzeczywiście krajowym*?— Nic, absolutnie nic. Publiczność, nabywając towary, domaga się koniecznie zagranicznéj na nich marki, przemysłowcy więc, dogadzając jéj gustom, naśladują niewolniczo wyroby zagraniczne. Skutkiem takiego położenia rzeczy uzdolnieni technicy i robotnicy nasi zmuszeni są tułać się zagranicą, a w kraju przepłacani są wysortowani fuszerzy niemieccy, którzy w swéj ojczyźnie chleba znaleść nie mogli.

Gdy sprawa tak stoi, jasném jest, że początek reformy w tym względzie musi wyjść od publiczności. Niech ona, pod wpływem obrażonych przez Prusaków uczuć narodowych, porzuci dawne upodobania, niech od kupców domaga się stale wyrobów firm krajowych i, o ile możności polskich, a przemysłowcy napewno zaczną się przesadzać jeden przez drugiego w dowodach swych uczuć obywatelskich, nauczą się cenić robotników miejscowych i postarają wychować ich sobie ilość dostateczną.

Ta ostatnia potrzeba ze swéj strony wskazuje nam na nieodzowną konieczność powiększenia w kraju liczby zakładów, mających na celu kształcenie fachowo uzdolnionych rzemieślników. Zakładów tego rodzaju mamy dotąd bardzo mało, bo zaliczyć tutaj można zaledwie kilka szkół technicznych, utrzymywanych przez nasze drogi żelazne, i jedną właściwą szkołę rzemiosł przy ulicy Jasnéj, bardzo ubogą i nie dość przez społeczeństwo, a zwłaszcza przez najbliżéj interesowaną jego klasę, przemysłowców, wspieraną i popieraną. W tych dniach właśnie otwarta została druga taka szkoła, założona z zapisu ś. p. Michała Konarskiego. Czcigodny ten imiennik znakomitego reformatora szkół polskich z zeszłego wieku zmarł jeszcze r. 1861, w Odesie, lecz rozmaite trudności i przeszkody niezależne od wykonawców testamentu, nie pozwoliły na wcześniejsze zadośćuczynienie woli zapisodawcy. Nareszcie d. 13 marca r. z. projekt szkoły rzemiosł ostatecznie przez władzę zatwierdzony został na zasadzie ogólnych przepisów z d. 31 maja 1872 r. Przez ten czas, pozostawiony pod zarządem Towarzystwa kredytowego ziemskiego, legat wzrósł do poważnéj sumy rs. 256.588. Szkoła, utrzymywana z procentów od tego kapitału, zostawać będzie pod kierunkiem inspektora i nauczycieli, mianowanych zwykłym trybem, oraz pod opieką komitetu, wybieranego co lat 6 przez kuratora okręgu naukowego, w porozumieniu z prezesem komitetu przemysłowego. Dokonany w ten sposób, wybór winien być jeszcze zatwierdzony przez naczelnika kraju. Do pierwszego, funkcyonującego obecnie komitetu opiekuńczego weszli: przewodniczący, b. dziekan uniwersytetu, Stanisław Przystański, radca kom. tow. kr. z. Aleksander Golc, rz. r. st. Aleksander Blumenfeld, inż. Edmund Diehl i inż. technolog Maciéj Paszkowski.

Ciało nauczycielskie szkoły stanowić mają: inspektor, z pensyą 700 rs., ksiądz katolicki (300 rs.), duchowny prawosławny i trzech nauczycieli (po 550 rs.), wreszcie dwóch pomocników nauczycieli (po 200 rs.). Pozatém na naukę języka polskiego przeznaczono 325 rs., śpiewu—75 rs., rzemiosł—po 300 rs., w końcu na drobne wydatki szkoły 100 rs. Inspektorem jest p. Mazureńko; nauczycielami, mia-

nowanymi dotąd: pp. Esmanowskij, Archangelskij i Rutkowski. Szkoła dzieli się na 3 klasy z kursem dwuletnim, uczniowie jednak odznaczający się postępem, będą mogli przechodzić do klasy wyższéj po roku. Kandydaci do klasy pierwszéj winni umieć czytać i pisać po rosyjsku, oraz znać 4 działania arytmetyczne. Opłata wpisowa wynosi rs. 5 półrocznie, lecz ubodzy, a dobrzy uczniowie będą od niéj uwalniani.

Nauka właściwych rzemiosł zacznie się w szkole dopiero po wybudowaniu odpowiedniego na ten cel domu, gdyż w lokalu obecnym, wynajętym na Nowém mieście, brak na to miejsca. W r. b. obok nauki przedmiotów wykształcenia ogólnego wszyscy uczniowie zajmować się będą robotami ręcznemi, mającemi na celu wyrobienie dobrego gustu, bystrości wzroku i gibkości ręki. Do robót tych należą: lepienie z gliny, klejenie figur z tektury, rzeźbienie z drzewa, plecenie koszyków itp. Dla bliższego zapoznania się z metodą prowadzenia téj nauki, na wniosek komitetu opiekuńczego, ma być wysłány kosztem szkoły p. Jerzy Kühn, inspektor szkoły rzemiosł przy ulicy Jasnéj, do Finlandyi i Szwecyi, gdzie tego rodzaju system kształcenia w pracy ręcznéj zastosowano po raz pierwszy w szkołach ludowych.

Czy ostatecznie szkoła Konarskiego spełnił te oczekiwania, jakie na niéj społeczeństwo nasze pokłada?—przesądzać dziś trudno. Poczekajmy cierpliwie lat parę, a czas na to pytanie odpowie.

Z dziedziny ekonomicznéj zanotować nam wypada doniosły dla kraju naszego fakt reformy Banku Polskiego. Ponieważ sprawę tę ma bliżéj rozebrać w oddzielnym artykule kompetentniejsze od mojego pióro, poprzestanę przeto tutaj na obiektywném jedynie zaznaczeniu kilku wiadomości faktycznych. I tak, mający wystąpić na miejsce dawnego Banku Polskiego kantor Banku Państwa w Warszawie i jego oddziały na prowincyi zaczną funkcyonować najdaléj z początkiem nowego roku; termin zaś istnienia specyalnéj w banku komisyi likwidacyjnéj, do uregulowania rachunków dawnych wyznaczony nie został. Upłynie on zapewne sam przez się z chwilą załatwienia tych rachunków. Etat oddziałów na prowincyi wynosi po 8 osób na każdy oddział, za wyjątkiem Łodzi, dla któréj wyznaczono osób 10. Obowiązki prezesa kantoru pełni dotychczasowy dyrektor filii w Kiszyniewie. Po ukończeniu rewizyi raz jeszcze zjedzie komisya likwidacyjna z Petersburga w całkowitym komplecie, dla ostatecznego wygotowania instrukcyi. Co do zmian, jakie mają zajść w atrybucyach kredytowych dawnego banku z chwilą stanowczego przeistoczenia go na kantor Banku Państwa,—nic pewnego dotąd niewiadomo, gdyż w postanowieniu rządowém o tém przeistoczeniu jest

wzmianka, iż jakkolwiek nowy kantor prowadzić ma główną swą działalność na podstawie ogólnéj ustawy dla kantorów i oddziałów Banku Państwa, to jednakże mogą w nim być wprowadzone takie zmiany w warunkach i przebiegu czynności, jakie p. minister skarbu uzna za konieczne ze względu na potrzeby miejscowe. Do takich koniecznych dla naszego kraju zmian należy przedewszystkiém potrzeba obniżenia *minimum* kredytu wekslowego, przyjętego przez Bank Państwa, oraz danie możności, czy to w sposób dotychczasowy, czy w jakiś inny, korzystania z tego kredytu rolnikom, którzy inaczéj staliby się bardziéj jeszcze niż dotąd pastwą lichwiarzy małomiasteczkowych.

Gorszy los czeka z nadejściem zimy, niekorzystających z żadnych źródeł kredytu, robotników pozbawionych zajęcia. W przewidywaniu, że liczba ich będzie w tym roku większa jeszcze, niż w zeszłym, gazeta „Wiek“ w N-rze 29-tym podnosi ich sprawę i projektuje wczesne utworzenie delegacyi statystycznéj z ramienia komitetu reprezentantów kupiectwa, jak to miało miejsce na początku r. b., celem sporządzenia ankiety robotniczéj i dokładnego zbadania rozmiarów grożącego niebezpieczeństwa. Dla doraźnego zażegnania go radzi wzmiankowany dziennik sformowanie komitetu pomocy, któryby zawczasu pomyślał o zgromadzeniu potrzebnych środków. Ponieważ źródłem bezrobocia w Warszawie jest nietylko zastój w przemyśle, lecz zarazem nadmierny, a ciągły napływ sił roboczych z prowincyi, przeto uważa „Wiek“ za potrzebne z jednéj strony obostrzenie przepisów policyjnych przeciwko osobom, przybywającym do Warszawy i nie posiadającym dostatecznych środków do życia, z drugiéj zaś utworzenie, przy sekcyi rękodzieł Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, biura pośrednictwa pracy, któreby opierając się na wynikach wzmiankowanéj wyżéj ankiety robotniczéj, postawiło sobie za zadanie przeciwdziałać nadmiernéj centralizacyi życia przemysłowego w mieście naszém. Gdyby można było liczyć na to, że we wspomnianém Towarzystwie znajdą się ludzie gotowi ciężar ten podjąć i nieść wytrwale, projektowane biuro mogłoby rzeczywiście przynieść społeczeństwu, a zwłaszcza klasie robotniczéj, pożytek niemały. Prasa nasza tyle już obowiązków na to nieszczęsne Towarzystwo włożyła, iż niepodobna przypuszczać, żeby ono wszystkim podołać zdołało. Jakakolwiekbądź nowa zjawi się w kraju potrzeba zawsze jéj kozłem ofiarnym w życzeniach prasy staje się Towarzystwo popierania przemysłu i handlu i nikt inny. Aleź litości, panowie!..

Na zakończenie zawiadamiamy czytelników, iż z d. 1 października ujrzeć ma światło dzienne na bruku naszym nowe pismo. Tytuł:

Chwila, dziennik polityczny, literacki i społeczny. Redaktor: p. Walery Przyborowski. Numer okazowy prezentuje się bardzo okazale, króciutki zaś prospekt zapowiada zerwanie zarówno z „polityką serca,“ jak „pracy organicznéj,“ a natomiast uprawianie na gruncie „wzajemności słowiańskiéj“ polityki rozumu, szerokich horyzontów, wzniosłych dążeń itp. wspaniałych... ogólników. W przyszłéj kronice może będziemy mogli powiedzieć o nowym polityku coś dokładniejszego.

W téj chwili odbieramy jeszcze pierwszy numer innego nowonarodzonego organu. Jest nim „Zdrowie“, miesięcznik „poświęcony higienie publicznéj i prywatnéj,“ redagowany przez znanego z licznych prac popularno-lekarskich, dr. J. Polaka. Bogata i urozmaicona treść pierwszego numeru, oraz poważne nazwiska współpracowników, zalecają go dobrze, a niska cena prenumeraty (4 rs. rocznie w Warszawie i 5 rs. na prowincyi) czyni go dostępnym dla szerokiéj publiczności. Pożytecznemu wydawnictwu życzymy powodzenia.

Trzeciém nakoniec pismem, którego numer okazowy świeżo wypuszczony został, jest „Gazeta losowań papierów publicznych,“ mająca wychodzić co sobotę, za tanią cenę, bo rocznie w Warszawie tylko rubla, a na prowincyi dwa ruble wynoszącą. Redaktor p. Adolf Peretz podawać w niéj zamierza wykazy wylosowanych papierów krajowych oraz tych rosyjskich i zagranicznych, które największy u nas mają obieg; daléj cedułę giełdową, przegląd rynków pieniężnych, i ruchu ekonomicznego w kraju i zagranicą, podając zarazem wskazówki, co w danéj chwili kupować a co sprzedawać jest korzystném. Gazeta jeśli spełniać będzie dokładnie powyższy program, powinna przynieść pożytek kapitalistom. *Strzemieńczyk.*

---

† Dnia 20 września zmarł w Warszawie **Zygmunt Leszczyc Sumiński**, mając zaledwie lat czterdzieści. Był-to człowiek silnego charakteru i wyrobionych przekonań. Wiele wycierpiał w krótkiém swém życiu a cierpienia znosił mężnie i nie upadał na duchu. Jako dziennikarz należał on do zachowawców i artykułami swojemi a więcéj jeszcze żywą propagandą wspierał głównie „Niwę“ „Wiek“ i „Słowo.“ Oddzielnie ogłosił w Warszawie r. 1875 przekład „Statystyki Moralności“ Drobischa (str. 125).

Sprostowanie omyłki druku w zeszycie sierpniowym 1885 r. Na str. 376, w artykule „*Przyczynek do krytyki statystyki współczesnéj*,“ zamiast 70% winno być 55%.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

Z POEZYJ LUDWIKI ACKERMANN.

PROMETEUSZ.

Raź, Zeusie, tłocz mię teraz, kalécz, mnóż męczarnie,
Kiedyś świadom niemocy upadłego wroga;
Zgnieść—nie jest to zwyciężyć, i w krwi mojéj marnie
Zgaśnie twych gromów pożoga.
I nim myśl bohaterską okiełznasz, przez którą
Stary tytan w boskiego zmienion buntownika,
Ona wyzywa ciebie, twa . . . .
Wściekłość — marę jedynie skowała z tą górą.
To, w co biły twe gromy, to gliny garść mała;
Swobodnego, choć w więzach znikomego ciała,
Ducha Prometeusza nie tkną twoje szały.
I gdy mię szpony sępie targają złowieszcze,
Niezwyciężona miłość wciąż mi wstrząsa jeszcze
Serce podarte w kawały!

Jeśli dzikie, przez burze oblegane skały,
Na płaszczu swoich śniegów łzy me widywały,
Gdy powieka nie mogła wstrzymać ich natłoku,
Wy wiecie, o granity, niewzruszony zrębie,
Coś jednak nieraz zadrżał przy mych mąk widoku,
Że źródło łez, to własnéj piersi mojéj głębie;
Że to współczucie każe je lać memu oku.
Znać nie dosyć mi cierpieć moją własną męką;
To łono, tę pierś, boską rozdzierane ręką,
Nieszczęście innych istot porusza i boli.
Widzę, jak między ludźmi bój wieczny się toczy;
Straszne widzenie; ciągle przed mojemi oczy

Stoi okropny obraz ich przyszłéj niedoli.
Ach! ten widok mię ściga i w rozpacz wprowadza,
Ból to do niezniesienia, co się wciąż odradza!
Moim jedynym sępem jest myśl gorzka, czarna,
Że bóg w swéj nienawiści w ich krew rzucił ziarna
Złego—których już żadna nie wypleni władza.

Lecz człowiek ten, o Zeusie, jest twym tworem przecie,
Tyś go począł w twym duchu, tyś mu kształt nadawał,
On tak słaby, bezbronny, tak go nędza gniecie,
Zewsząd nań niebezpieczeństw, mąk, trwóg spada nawał;
W ciasném dni kole zamknion, duszno mu na świecie,
Więc szamoce się, rani i płacze łzą krwawą.
O! kiedyś go na ziemię ciskał niełaskawą,
Wiedziałeś jakich nieszczęść otoczą go sieci,
Że o chleb, o przytułek bój się w okół wznieci,
Że lada podmuch zmiecie, a ślepa przyroda
Obojętna — los jego w zapomnienie poda.
Widziałem go, jak krył się pod wilgotną skałą.
Lub pełzał w borach upiór trwożliwy i blady:
Gdy na ziemi ryk słyszał, a na niebie grzmiało,
On tylko patrzał głodny na tworów biesiady
I drżał, iż z głębin wodnych lub z polnych bezdroży
Każda chwila nowego wroga mu przysporzy.

Przebóg! niebaczny byłem, że nad tym przedmiotem
Twéj wiecznéj nienawiści serce me zadrżało;
Zażegłem płomień myśli, skrę rzuciłem potém
W tę glinę ciemną, z któréj tyś mu stworzył ciało.
Tyś zaczął, jam dokończył twojego zadania.
Pełen nadziei, z wielką myślą jam się ważył:
Byłbym niebiosa twoje złupił bez wahania,
I plonem téj kradzieży ludzkość wyposażył.
Skradłem ci ogień; wkrótce, zdobycz za zdobyczą,
Wyrwałbym czczone berło z twéj dłoni zwalczonéj.
O! w poręś cisnął grom twój na głowę zbrodniczą;
Jeszcze zamach—a człowiek byłby wyzwolony!

Oto mój czyn występny i wzniosły zarazem.
Współczucie, poświęcenie — o zbrodni szalona!
Jam uciśnionym otwarł me zbawcze ramiona!
Jam cię wyzwał! A tyżbyś miał to puścić płazem?

Gdy litość ściąga karę, jam ją czuł — szaleniec!
A jednak to Prometej, tak, ten potępieniec
Dopomógł ci dokonać Tytanów zagłady.
W największym ogniu walki przy twym boku stałem;
Moje to twemi hufy kierowały rady,
Ja memi ciosy Olimp gwiaździsty wstrząsałem.
Szło mi o losy świata, o dni dlań łaskawsze:
Chciałem bóstwa przewrotne strącić raz nazawsze.

Z tobą miał zstąpić pokój, świty nowéj ery,
Których czekały serca pragnienia tak żywe.
Odtąd wspaniałe słońce płynąc przez etery,
Miało tylko oświecać istoty szczęśliwe.
Strach pierzchał, z nim pomroki, których gęste cienie
Niewymownie łaskawy uśmiech twój nam kryły,
I ciemnych konieczności spiżowe pierścienie
U stóp boga miłości same się kruszyły.
Wszędzie było wesele, miłość, lot, rozkwity;
Bóstwo samo—to było tylko promienienie,
Błysk wszechdobroci we wszechpotędze odbity.
. . . .

CZARA KRÓLEWSKA. (1)

Niegdyś wierna kochanka staremu królowi
Konając, złotą czarę dała ze swéj dłoni;
Jedyną tę pamiątkę, co mu o niéj mówi,
Skarb drogi ostatni po niéj.
Z téj czary, co mu była lubéj ręki darem,
Odtąd przy każdéj uczcie pił wino król stary;
Każdy płyn dlań się stawał niebiańskim nektarem,
Gdy płynął z téj drogiéj czary.
I gdy król jéj dotykał ustami drżącemi,
Łza wydobyta z serca wzrok mu zaciemniała,
I szlachetnego starca, kroplami drobnemi,
Zwiędłą powiekę zraszała.

(1) Jest to poetyczno-filozoficzny komentarz do znanéj ballady Goethego o królu z Thule.

On rozdał wszystkie dobra, poczuwszy skon bliski,
Oprócz ciebie, zadatku miłości minionéj;
Lecz nie czekał, nim śmierci nieludzkiéj uściski
Wyrwą cię z dłoni zdrętwionéj.
Jak gdyby chcąc ostatnie unieść upojenie,
Wychylił cię tchem jednym, tłumiąc w piersi łkanie,
I przemógłszy z wysiłkiem słabéj ręki drżenie,
W wodne cię rzucił otchłanie.
I okiem już zmąconém patrzał, jak skrywały
Fale twój złoty odblask, by więcéj nie błysnął:
To całą przeszłość swoją z tobą w te kryształy,
W te wodne głębie on cisnął.
I tak mu sercem żale ostatnie owładły,
Że nie czuł przyjścia śmierci, ani się nią strwożył.
Powiek, które mu w bólu na oczy opadły,
Nie podniósł już, nie otworzył.
O czaro wspomnień, którą przed usty chciwemi
Po same brzegi napój wypełniał płonący,
I którą przy ostatniéj uczcie, schodząc z ziemi,
W dłoni podnosimy drżącéj,
Ty, co smak nieśmiertelny kryłaś w twym krysztale
Naszych snów, cierpień, uczuć w przeszłości dalekiéj,
Skoro znikniesz zprzed oczu pod wieczności fale,
Można je zamknąć na wieki.

K. R.

SPRAWY EKONOMICZNE.

I.

Sprawa podniesienia drobnego przemysłu, rzemiosł i rękodzieł.—Źródło proletaryatu fabrycznego. — Rękodzieła we Francyi. — Ecoles nationales d'arts et métiers.—Postęp w Niemczech.- Sztuka dekoracyjna i Kunstgewerbevereiny.—Styl „altdeutsch."—Schinkel, Beuth i Semper.—Stanowisko Anglii.—Muzeum South-Kensington.—Szkoły techniczne w Rosyi.—Instytut technologiczny.—Szkoła politechniczna w Rydze i Centralna rysunkowa Stieglitza.—Usiłowania Towarzystwa przemysłu i handlu.—Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. - Projekt ustawy *Towarzystwa opieki rzemieślniczo-przemysłowéj w Warszawie.*—Wielka jego doniosłość.—Muzeum rzemiosł i rękodzieł.—Rozprawy w paryskiéj Société d'Économie politique.—Interwencya państwa i gmin w sprawy mieszkań.—Zdania Molinarego, Dreyfusa i Guyota.—Demokraci i socyaliści.—Statystyka lokali w Paryżu.—Wzrost bogactwa w przeciwstawieniu do zastoju.—Rada municypalna paryska i „taxe de loyer."—Mieszkania dla robotników.—La Société des maisons ouvrières de Passy-Auteuil.—La Société Mulhousienne des Cités ouvrières.—Stosunki robotnicze w Szwecyi.—L. O. Smith i ringi w Stockholmie.—Domy robotnicze w Anglii.—Komisya parlamentarna.—Building Societies.—Peabody, H. Waterlow i Octawia Hill.—Komisya zdrowotności w Warszawie.—Towarzystwo budowy tanich mieszkań i konkurs. Podatek dochodowy od kapitałów.—Słuszność opodatkowania kuponów i dywidend i niesłuszność obciążenia dochodu od wkładów na małe odsetki.—Przewidywania skarbu.

Podniesienie rzemiosł, udoskonalenie rękodzieł i rozkrzewienie przemysłu drobnego, oto ogólne hasło rozlegające się od Atlantyku do Uralu i od ziemi Eskimosów do historycznéj Cytery. Olbrzymi rozkwit wielkiego przemysłu w bieżącém stuleciu prócz dodatnich miał także i ujemne strony, wytworzył bowiem proletaryat fabryczny. Wynalazek maszyn pozbawiał zajęcia często dziesiątki, a nawet i setki tysięcy ludzi niezdolnych do innéj pracy, np. wynalazek maszyny do robienia firanek itp. odrazu odjął zarobek 150,000 ludzi zajętych wyszywaniem na tiulu. Jeszcze większą liczbę ofiar spowodowało zastosowanie parowéj maszyny w tkactwie. Dziś jedna maszyna drukarska, obsługiwana przez kilku ludzi, więcéj i dokładniéj pokryje rysunkiem różnorodnych tkanin, aniżeli setka dawnych ręcznych drukarzy. Dawniéj wielkie fabryki miały po 500—1000 drukarzy,

gdy dziś tę samą ilość towaru produkuje 5—8 parowych maszyn drukarskich. To samo zjawisko widzimy i w innych gałęziach przemysłu. Innym ujemnym skutkiem jest ciążenie ludności wiejskiéj, zwłaszcza bezrolnéj, ku wielkim ogniskom fabrycznym, co wywołuje brak i podrożenie robotników rolnych, łącznie z obniżeniem zarobków na fabrykach, dla ludności stale przemysłem zajętéj.

Rola niejednakowego ciągle wymaga natężenia sił roboczych,— zimą zarobek na wsi trudniejszy, więc też ludność zwłaszcza bezrolna, gromadnie śpieszy na pobliskie, a nawet odleglejsze fabryki, szukając środków utrzymania. Niema w tém nic zdrożnego, lecz złe w tém leży, że nie wszyscy powracają latem na rolę; pewna, dosyć znaczna liczba pozostaje w miastach. Ludzie ci, oderwani od domowego ogniska i zasmakowawszy w lżejszéj pracy, łatwo przywykają do życia miejskiego i oto jest jedna z przyczyn tworzenia się proletaryatu. Otóż jest dziś staraniem ogólném wstrzymać przypływ ludności wiejskiéj do miast, dawszy jéj możność zarobkowania zimą na wsi u siebie, a to przez rozkrzewienie *drobnego przemysłu.* Najwięcéj zdziałała w tym kierunku środkowa Europa, a szczególniéj południowe Niemcy, Szwajcarya i zachodnia część Austryi. Drobny przemysł domowy tak świetnie się tam rozwinął, że nie tylko daje zajęcie w zimie ludności rolnéj, ale i dzielnie wpłynął na zmniejszenie się proletaryatu wiejskiego. Drobny przemysł wiejski stał się źródłem nie tylko utrzymania życia, lecz też i wzrostu zamożności. Historya kas oszczędności, zwłaszcza niemieckich i czeskich, mogłaby dostarczyć wielu danych, stwierdzających ogólne polepszenie stanu ekonomicznego wśród ludności wiejskiéj, mało lub bezrolnéj, skutkiem zaszczepienia drobnego przemysłu.

Ruch w tym kierunku objawia się i u nas, lubo nader słabo. Dopatrujemy go w usiłowaniach pojedynczych ludzi, oraz w pracach Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, które z taką troskliwością zabrało się do rozpatrzenia kwestyi podniesienia drobnego przemysłu i rzemiosł, bez względu, że na samym wstępie napotkało na tak wielką apatyę inteligencyi wiejskiéj, w dostarczeniu odpowiedzi na rozesłany kwestyonaryusz. A przecież nam to więcéj niż innym ludom należałoby się pośpieszyć, bo my pozostaliśmy w tyle po za wszystkiemi. My dziś staramy się *zaszczepić* drobny przemysł i *rozwinąć* rzemiosła, gdy nasi sąsiedzi zachodni, a nawet i wschodni, te gałęzie pracy narodowéj dawno już rozwinęli i starają się je tylko *udoskonalić*, w obec sąsiedzkiego mniéj lub więcéj groźnego współzawodnictwa.

Dawniéj *Francya* trzymała palmę pierwszeństwa pod względem rzemiosł i drobnego przemysłu, zalewając całą Europę swojemi wy-

robami,—dziś znajduje już groźnych współzawodników w tym kierunku mianowicie w Niemczech i Szwajcaryi, tak. że pomimo wrodzonéj wyższości robotnika francuskiego pod względem gustu i twórczości, obecnie Francya wiele musi dokładać starań, aby choć w części uratować zagrożoną pozycyę. Poprzednio większa część Europy, nie mając u siebie rozwiniętego drobnego przemysłu i udoskonalonych pracowników odznaczających się pomysłowością i gustem estetycznym, musiała poprzestawać na tém, co jéj dawała Francya. Były to wyroby i przedmioty piękne i okazałe, ale wykonane w guście wyłącznie francuskim, gdy tymczasem obecnie konsument stał się wybredniejszym, nie chce już poprzestawać na tych wzorach, które mu samowładnie narzucają Francuzi, i domaga się, aby wytwórca stosował się do jego gustu, do jego potrzeb i nawyknień. Dopiéro téż od niedawna Francuzi zrozumieli przyczynę zmniejszania się popytu na ich wyroby i konieczność studyowania potrzeb i nawyknień innych ludów. Przemysłowcy i fabrykanci rozesłali całe legiony agentów, potworzyli niemal wszędzie swoje izby handlowe i konsulaty, mające między innemi obowiązek dostarczania wzorów i objaśnień. Powstała wielka ilość szkół rysunkowych w zastosowaniu do przemysłu. W samym Paryżu istnieje ich przeszło 300, nie licząc zbiorów, muzeów, częstych wystaw specyalnych stałych, czasowych i ruchomych. Prócz tego zorganizowano obecnie trzy szkoły narodowe sztuk i rzemiosł (écoles nationales d'arts et métiers) istniejące w Aix, Angers i Châlon sur-Marne. Zostają one pod głównym kierunkiem *Conseil supérieur de l'enseignement technique*, będąc rzeczywistemi akademiami rzemiosł. Celem ich jest wykształcenie zdolnych robotników, mogących samodzielnie kierować zakładami i warsztatami. Kurs trzyletni, wyłącznie dla dzieci od 15—17 lat obywateli francuskich.

Podług nowéj ustawy, każda z tych trzech szkół nie może liczyć uczniów więcéj nad 300, bądź pensyonarzy, bądź przychodnich. Nauka ma kierunek teoretyczny i praktyczny. Uczniowie, którzy z odznaczeniem ukończyli szkołę, mogą po roku praktyki otrzymać nagrodę pieniężną w ilości 500 franków. Zwrócono także szczególną uwagę na języki obce, jako na dzielny środek ułatwiający wędrówkę w celu kształcenia się na obczyznie. Słowem zdaniem Artura Mangin, szkoły rzemieślnicze udoskonalono w tym celu aby dać „industries respectives des cadres où se puisse recruter leur état-major, et qui les maintiennent et les dirigent dans la voie du progrès...“ gdyż podług p. Waldeck-Rousseau „dans l'atelier comme au régiment, il faut qu'il y ait un colonel....“

Od czasu wojny francuskiéj w 1870 r. *Niemcy* w przemyśle i rękodziełach olbrzymi wykazali postęp, tém donioślejszy, że nietylko ilościowy ale i jakościowy. Porównajmy wyroby niemieckie dzisiejsze z wyprodukowanemi przed laty dwudziestu: jakaż to wielka nastąpiła zmiana na lepsze. Niemieckie wyroby zawsze odznaczały się taniością ale też i lichotą, brakiem gustu, a często i trywialnością pomysłu, gdy tymczasem obecnie niektóre wyroby, zwłaszcza okolic nadreńskich i południowych, zalecają się trwałością, wykwintem, a nawet i smakiem estetycznym. Z każdym też rokiem rozszerzają zakres swego zbytu na obcych targach, wypierając przemysł francuski i angielski. Przewrót ten sprowadziły liczne „Kunstgewerbevereiny," lubo i one wpadły w jednostronność, popierając głównie wskrzeszenie form staroniemieckich „altdeutsch." Wszędzie w muzeach, sklepach i magazynach naczelne miejsce zajmują wyroby w staroniemieckim stylu, począwszy od kominka, ekranu, balkonu, do najmisterniejszych wyrobów z porcelany, bronzu i złota. Wprawdzie sztuka dekoracyjna w Niemczech schlebia obecnym prądom arystokratyczno-militarnym, które sprawiają, że każdy *bürger*, kupiec i przemysłowiec chce się wywodzić, jeżeli już nie od krzyżowców, to od krzyżaków, każdy chce wykazać starożytność i szlachetność swego rodu, nie mniéj jednak ta jednostronność sztuki dekoracyjnéj niemieckiéj nie może być objawem długotrwałym. Wszak Niemcy w bieżącym wieku różnym już stylom hołdowali, począwszy od entuzyazmu dla form greckich i rzymskich, aż do renesansu i baroku. W wykształceniu się smaku estetycznego u Niemców wielkie zasługi położyli, Schinkel, Beuth, Semper i inni, obecnie zaś, jak rzekliśmy, „Kunstgewerbevereiny," rozrzucone po wielkich miastach, w Berlinie, Monachium, Dreźnie, Düsseldorfie, Frankfurcie, Hamburgu, Stuttgardzie, Norymberdze itd. Stowarzyszenia te wydają na swe zbiory znaczne fundusze, utrzymują szkoły rysunkowe, galwanoplastyki, lepienia, cyzelowania itp. Z przyjemnością wyczytaliśmy wiadomość, o zamierzonéj u nas wystawie sztuki dekoracyjnéj, lubo podjąć ją mają usiłowania pojedynczych ludzi, zatem bez wielkich środków—improwizacyjnie; mamy jednak nadzieję, że pobudzi ona nasz świat rzemieślniczy i przemysłowy do zjednoczenia usiłowań w celu wytworzenia szkoły rysunkowéj w zastosowaniu do przemysłu, a może też i do założenia ruchliwszego polskiego „Kunstgewerbevereinu."

Wystawa londyńska 1851 r. pokazała *Anglikom* całą przepaść, rozdzielającą ich sztukę dekoracyjną, od francuskiéj, wzięli się więc gorliwie do podniesienia sztuk i rzemiosł, nie szczędząc nakładów. Zaczęto od sprowadzenia wzorowych robotników francuskich, jako nauczycieli, oraz utworzono wielką ilość szkół profesyjnych, rysun-

kowych i muzeów, z których jedno tylko, wprawdzie najważniejsze, South-Kensington wydaje rocznie 60,000 funtów szt. Dziś po trzydziestu latach Anglia zajmuje pierwszorzędne miejsce, tak pod względem doskonałego wykończenia, jako też i smaku estetycznego.

W *cesarstwie rosyjskiem* pierwszą szkołą techniczną był „S. Pietierburgskij prakticzeskij tiechnołogiczeskij institut“ założony staraniem Kankrina w r. 1828. W 1862 r. przekształcono go na wyższy zakład naukowy z czteroletnim kursem i dwoma wydziałami: mechanicznym i chemicznym. Drugim zakładem więcéj znanym jest „Rižskoje politiechniczeskoje uczilisz cze“, założone w 1861 r. z siedmiu wydziałami: 1) gospodarstwa wiejskiego, 2) chemiczno-technicznym, 3) mierniczym, 4) inżynierskim, 5) mechanicznym, 6) architektonicznym i 7) handlowym. Daléj istnieją trzy szkoły techniczne: w Irkucku, Moskwie i Kungurze, oraz wiele profesyjnych, rzemieślniczych, rysunkowych itp. Pomiędzy temi ostatniemi naczelne miejsce zajmują: szkoła techniczna braci Milutynów w Czerepowcu, i Centralna szkoła rysunku technicznego Stieglitza w Petersburgu, założona w 1878 r. kosztem miliona rubli i zabezpieczona olbrzymim zapisem. Cel téj szkoły polega na wykształceniu nauczycieli rysunków, oraz rysowników dla rękodzieł i rzemiosł. Kurs w szkole Stieglitza trzyletni, dla chłopców i dziewcząt nie młodszych od 14 lat i przygotowanych w zakresie czterech klas gimnazyalnych lub realnych. Wpis roczny 12 rubli, od którego jednak łatwo można być uwolnionym. Przy szkole centralnéj istnieje szkoła początkowa rysunków dla dzieci najmniéj 12 letnich, z opłatą 3 ruble rocznie. W ogóle szkoły techniczne w Rosyi utworzono przeważnie środkami pojedynczych osób, lub też gmin; niektóre z nich stoją na istotnie wysokim stopniu rozwoju, lecz są tak nieliczne, że bez silnego przypływu cudzoziemców specyalnie wykształconych przemysł i rękodzieła w Cesarstwie obejść się nie mogą.

U nas, jak wyżéj nadmieniliśmy, sprawę podniesienia rzemiosł i drobnego przemysłu podjęło Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, lecz organ ten przy różnorodnéj swéj działalności, a małych środkach materyalnych nie może mieć téj doniosłości, co instytucya specyalnie utworzona dla jednorodnych celów i dla jednéj miejscowości. Warszawskie Muzeum przemysłowo-rolnicze, którego ustawa w d. 1 lipca 1875 została zatwierdzoną, posiada zakres bardzo rozległy, obejmujący całość rolnictwa i przemysłu, dla którego potrzeb otworzyło specyalne kursa rysunkowe. Poważna ta instytucya rozciąga swą działalność na kraj cały, a mając obszerny program, rzecz naturalna, nie może przejawiać téj ruchliwości, co instytucye specyalne dla pewnych gałęzi utworzone. Daléj, jeżeli stolica

kraju potrzebuje Muzeum przemysłu, to jeszcze może w większym stopniu podobnych instytucyi potrzebują i inne nasze miasta. Powoływać do życia w miastach prowincyonalnych muzea, na wzór warszawskiego muzeum przemysłu i rolnictwa, jest dla wielu względów wprost nie możebném. Przy tém, najpilniejszą potrzebą jest podniesienie rzemiosł i drobnego przemysłu, oraz zakładanie szkół profesyjnych nie tylko w saméj Warszawie ale i na całéj przestrzeni królestwa Polskiego. W téj myśli, ponieważ Warszawa jest centralném ogniskiem ruchu rzemieślniczego i przemysłowego (drobnego), postanowiliśmy dać inicyatywę powołania do życia takiego towarzystwa, któreby ograniczając swoją działalność do Warszawy, łączyło w sobie dwa cele: ekonomiczny i filantropijny, mając nadzieję, że znajdą się ludzie, którzy myśl naszą w czyn zamienią.

Pożądaném jest, aby na wzór projektowanéj przez nas instytucyi dla Warszawy, powstały podobne i w innych miastach i osadach, Królestwa. Dodajemy, że będąca w mowie instytucya bynajmniéj nie będzie współzawodniczyć z Muzeum przemysłowo-rolniczém, owszem jako ograniczająca się do celów specyalnych, wyłącznie danéj miejscowości i z charakterem filantropijnym, będzie pożądaném niejako dopełnieniem Muzeum.

Podajemy tu czytelnikom projekt ustawy „*Towarzystwa opieki rzemieślniczo-przemysłowej*,“ napisanéj na zasadzie istniejącéj już instytucyi w Rybińsku (Rybinskoje remieslenno-promyszlennoje popieczytielstwo w pamiat' Impieratora Aleksandra II). Nadmieniamy przytém, że zatwierdzenie towarzystw nowego, nieistniejącego typu napotyka na liczne trudności, a głównie potrzebuje bardzo długiego czasu, gdyż wedle przyjętego porządku, ustawa towarzystwa nowego typu rozpatrywaną jest najprzód we właściwém ministeryum, następnie w komitecie ministrów, a często jeszcze w radzie państwa, potrzebując przytém sankcyi władzy najwyższéj. A jeżeli dodamy, że zwykle ministeryum zwraca projekt założycielom dla poprawek i dopełnień, to nic dziwnego, że na zatwierdzenie upragnionego stowarzyszenia czekać nieraz trzeba długie lata (jak to np. miało miejsce z kasami przemysłowców). Otóż mniemamy, że najkrótszą drogą jest zastosowanie ustawy typu już istniejącego, gdyż w tym razie sankcya właściwego ministra jest wystarczająca. Dlatego też wybraliśmy typ ustawy towarzystwa już istniejącego i porobiliśmy tylko nieznaczne zmiany konieczne. Mniemamy, że znajdą się ludzie dobréj woli, którzy z uwagi na podane tu objaśnienie postarają się o zatwierdzenie ustawy poniższéj, do czego potrzebne jest tylko podpisanie tejże w języku rosyjskim przez założycieli i zaopatrzenie podaniem na imię ministeryum skarbu. Ustawa poniższa w zupełności odpowiada

naszym potrzebom, mając tak obszerny zakres, że przy energicznym kierunku (zarządzie) może wielkie oddać usługi rzemiosłom i drobnemu przemysłowi. Niewątpimy, że i inne miasta pójdą za przykładem Warszawy i postarają się o zatwierdzenie statutów podobnych towarzystw.

Projekt Ustawy
Towarzystwa opieki rzemieślniczo - przemysłowéj w Warszawie.

I. Przepis Ogólny.

§ 1. Towarzystwo opieki rzemieślniczo-przemysłowéj w Warszawie jest stowarzyszeniem prywatném filantropijném, zostającém pod zwierzchnim nadzorem departamentu handlu i rękodzieł ministerium skarbu.

II. O Członkach Towarzystwa.

§ 2. Osoby przyjmujące udział w działalności Towarzystwa dzielą się na członków: założycieli, honorowych i rzeczywistych.

§ 3. Założycielami Towarzystwa są osoby przyjmujące udział w utworzeniu towarzystwa.

§ 4. Członkami honorowemi nazywają się osoby, które złożyły jednorazowo przynajmniéj 150 rubli, lub téż które położyły szczególniejsze zasługi dla Towarzystwa.

§ 5. Każdy wnoszący rocznie rubli trzy, lub jednorazowe r. 60, jest członkiem rzeczywistym Towarzystwa.

§ 6. Instytucya lub stowarzyszenie, płacące rocznie 100 rubli, ma prawo uczęstniczenia przez swego delegata w zarządzie Towarzystwa z głosem doradczym.

§ 7. Osoby, które nie uiszczą składki za rok bieżący przed 1 kwietnia, uważane będą, jako zrzekające się charakteru członków Towarzystwa.

§ 8. Członkowie, którzy zasłużyli się Towarzystwu, mogą być przez postanowienie walnego zebrania uwolnieni od płacenia składki.

§ 9. Członkiem Towarzystwa może być każda osoba pełnoletnia bez różnicy płci i wyznania.

§ 10. Kandydatów przedstawia trzech członków dla balotowania na zebraniu walném.

§ 11. Osoby przyjęte w poczet członków otrzymują dyplom, opatrzony podpisem prezesa zarządu i pieczęcią Towarzystwa.

II. O celu Towarzystwa.

§ 12. Towarzystwo ogranicza swoją działalność na miasto Warszawę, mając za cel rozpowszechnianie wiadomości, dotyczących się rzemiosł i przemysłów, pomiędzy osobami wszelkich stanów i wyznań, bez różnicy płci. W tym celu Towarzystwo opieki rzemieślniczo-przemysłowéj:

a) zakłada szkoły i oddzielne klasy dla nauki rzemiosł i rękodzieł, stosując się do istniejących przepisów;

b) pośredniczy w umieszczaniu dzieci w szkołach profesyjnych, warsztatach i rękodzielniach;

c) urządza publiczne lekcye i wystawy wyrobów rzemieślniczych i drobnego przemysłu, nowo wynalezionych lub udoskonalonych machin i narzędzi użytecznych w przemyśle i dla rzemiosł, a to w celu rozpowszechnienia wiadomości o ich pożytku;

d) urządza muzea i czytelnie;

e) pomaga w dalszém kształceniu się osób, zostających pod opieką Towarzystwa, bądź w granicach państwa lub też zagranicą, pośredniczy w umieszczaniu kończących nauki i w miarę środków wspiera kredytem tych z pośród swoich wychowańców, którzy otworzą zakłady lub warsztaty w Warszawie;

f) otwiera kasy zaliczkowo-wkładowe, których ustawy wypracowane przez Towarzystwo, drogą właściwą przedstawia rządowi pod zatwierdzenie;

g) opiekuje się chorymi zostającymi pod opieką Towarzystwa, bądź przez umieszczenie ich w szpitalach, lub téż innemi sposobami.

§ 13. Towarzystwo przyjmuje pod swoją opiekę dzieci niemłodsze od 12 lat, zdrowe, silnie zbudowane i umiejące czytać, pisać i rachować. O stanie zdrowia kandydata świadectwo wydaje lekarz Towarzystwa.

§ 14. Oprócz wymienionych w powyższym paragrafie osób Towarzystwo może przyjmować pod swoją opiekę sieroty po rzemieślnikach i rękodzielnikach nie młodsze jednak od 7 lat. W tym celu dla bezpośredniéj opieki i wykształcenia elementarnego może ich umieszczać w istniejących szkółkach i przytułkach.

§ 15. Pośrednicząc w umieszczeniu dzieci w warsztatach, lub zakładach dla nauczenia rzemiosła lub sztuki, Towarzystwo za zgodą rodziców lub opiekunów może zawierać umowy z właścicielami tych zakładów, przyjmując na siebie nadzór nad wykształceniem i utrzymaniem tych dzieci.

§ 16. Właścicielom zakładów lub warsztatów, którzy nauczą z odznaczeniem rzemiosła przynajmniéj troje dzieci, Towarzystwo wydaje świadectwo uznania.

§ 17. Towarzystwo może odznaczającym się swoim wychowańcom po dojściu do pełnoletności udzielać pożyczki na otwarcie warsztatów lub pracowni. Sposób umorzenia tych pożyczek określa zarząd w każdym poszczególnym razie.

IV. **O przywilejach Towarzystwa.**

§ 18. Towarzystwo może nabywać i przedawać nieruchomości i ruchomości w obrębie miasta Warszawy.

§ 19. Towarzystwo ma prawo używać pieczęci z herbem miasta Warszawy i z napisem dokoła „Towarzystwo opieki rzemieślniczo-przemysłowéj w Warszawie."

V. **Administracya Towarzystwa.**

§ 20. Administracyę Towarzystwa stanowią: *a*) walne zebranie członków i *b*) zarząd.

A. *Walne zebranie.*

§ 21. W obradach walnego zebrania biorą udział z prawem głosu: członkowie założyciele, honorowi i rzeczywiści, oraz delegowani od instytucyi i stowarzyszeń, które na mocy § 6 przystąpiły do Towarzystwa.

§ 22 Walne zebrania są: zwyczajne, raz w roku, najpóźniéj w d. 1 kwietnia, oraz nadzwyczajne, zwoływane w miarę potrzeby.

§ 23. Nadzwyczajne walne zebrania zwoływane będą na żądanie czwartéj części członków, zarządu lub komisyi rewizyjnéj. O dniu, miejscu zebrania i przedmiotach obrad zarząd zawiadamia członków za pośrednictwem miejscowego dziennika urzędowego i gazety rzemieślniczéj, oraz przez wywieszenie ogłoszenia przynajmniéj na dni 14 przed zebraniem, w lokalu Towarzystwa.

§ 24. Na walnych zebraniach przewodniczy prezes wybrany większością głosów obecnych członków.

§ 25. O dniu i miejscu walnych zebrań zarząd zawiadamia zarząd policyi.

§ 26. Członkowie zarządu, lub komisyi rewizyjnéj nie mogą być wybrani na prezesa, lub sekretarza walnego zebrania.

§ 27. Do atrybucyi walnego zebrania zwyczajnego należy:

a) balotowanie członków Towarzystwa, oraz członków zarządu, ich zastępców, oraz komisyi rewizyjnéj;

b) rozpatrzenie sprawozdania działalności Towarzystwa, oraz wniosków komisyi rewizyjnéj;

c) zatwierdzenie budżetu;

d) decydowanie w kwestyach otwarcia instytucyi Towarzystwa;

e) zatwierdzenie instrukcyi dla zarządu i komisyi rewizyjnéj;

f) zwolnienie członków od składki na mocy § 8;

g) rozpatrzenie wniosków o zmianie ustawy;

h) decyzya o likwidacyi Towarzystwa.

§ 28. Walne zebranie zatwierdza regulamin sposobu obradowania na zebraniach.

§ 29. Postanowienia walnego zebrania zapadają prostą większością głosów obecnych na zebraniu członków.

§ 30. Dla prawomocności uchwał potrzeba, aby na walném zebraniu była obecna przynajmniéj czwarta część członków. W razie niezebrania się dostatecznéj liczby członków, zarząd zwołuje powtórne walne zebranie, po upływie dwóch tygodni, które decyduje już bez względu na liczbę obecnych członków. Na powtórném zebraniu przedmiotem obrad mogą być tylko te sprawy, które wchodziły w program pierwszego zebrania.

§ 31. Protokół obrad prowadzi sekretarz, wybrany przez walne zebranie i takowy wraz z prezesem walnego zebrania podpisuje.

B. *Zarząd Towarzystwa.*

§ 32. Zarząd Towarzystwa składa się: *a*) z czterech członków oraz czterech zastępców wybranych z ogólnéj listy członków na lat dwa, w ten sposób, że każdorocznie dwóch członków i dwóch zastępców występuje; *b*) z delegata magistratu miasta Warszawy jako przedstawiciela cechów. Prócz tego w zarządzie biorą udział delegaci stowarzyszeń w myśl § 6 z głosem doradczym.

§ 33. Członkowie zarządu wybierają z pomiędzy siebie prezesa i vice-prezesa.

§ 34. Prezes zarządu jest przedstawicielem Towarzystwa, do niego należy wykonywanie postanowień zarządu, oraz korespondowanie z władzami, instytucyami i t. p., on też wraz z sekretarzem podpisuje wszelką korespondencyę w imieniu Towarzystwa.

§ 35. Do atrybucyi zarządu należy:

a) przedsiębranie środków mających na celu rozwój Towarzystwa w granicach ustawy i instrukcyi;

b) zarząd funduszami Towarzystwa;

c) przedstawianie walnemu zebraniu listy kandydatów na członków Towarzystwa;

d) ułożenie budżetu, rocznych sprawozdań, oraz wniosków na walne zebranie;

e) wygotowanie instrukcyi dla zarządu i komisyi rewizyjnéj. Postanowienia zarządu zapadają prostą większością głosów, a dla ich prawomocności potrzebna jest obecność przynajmniéj czterech członków lub ich zastępców. Protokuł obrad prowadzi sekretarz i takowy wraz z prezydującym podpisuje.

§ 36. Posiedzenia zarządu odbywają się przynajmniéj raz na tydzień.

§ 37. Członkowie zarządu wybierają z pośród siebie kasyera, który spełnia obowiązki na mocy osobnéj instrukcyi przez walne zebranie zatwierdzonéj, lecz za całość funduszów wszyscy członkowie zarządu, wybrani przez walne zebranie, solidarnie są odpowiedzialni całym swoim majątkiem.

§ 38. Komisya rewizyjna sprawdza księgi, dokumenty i kasę Towarzystwa przynajmniéj dwa razy miesięcznie, o czém sporządza protokuł. Za niedbałe spełnianie obowiązków, komisya rewizyjna w razie nadużyć solidarnie jest odpowiedzialną wraz z zarządem za całość funduszów Towarzystwa.

§ 39. Dla spełniania obowiązków kancelaryjnych zarząd może posiłkować się pomocą zewnętrzną za wynagrodzeniem oznaczoném w budżecie.

VI. **Fundusze Towarzystwa.**

§ 40. Fundusze Towarzystwa składają się:

a) ze składek jednorazowych lub rocznych członków Towarzystwa;

b) z dochodów z urządzanych wystaw, odczytów, oraz instytucyi Towarzystwa;

c) z dobrowolnych ofiar i zapisów.

§ 41. Składki jednorazowe członków stanowią kapitał żelazny, który może być naruszony jedynie za decyzyą walnego zebrania.

§ 42. Wszelkie fundusze Towarzystwa tak w gotowiźnie jako też w listach zastawnych i gwarantowanych papierach publicznych mają być bezwłocznie lokowane w Kasie pożyczkowéj przemysłowców warszawskich i podnoszone nie inaczéj jak za pośrednictwem czeku podpisanego przez dwóch członków zarządu i opatrzonego pieczęcią Towarzystwa.

§ 43. W razie likwidacyi Towarzystwa pozostałe fundusze walne zebranie przekazuje istniejącéj szkole rzemieślniczéj lub innemu stowarzyszeniu rozwój rzemiosł mającemu głównie na celu, o czém zawiadamia ministeryum skarbu i magistrat miasta Warszawy.

VII. **Rachunkowość.**

§ 44. Roczne sprawozdanie, sprawdzone przez komisyę rewizyjną i zatwierdzone przez walne zebranie, zarząd ogłasza w miejscowym dzienniku urzędowym i gazecie rzemieślniczéj, oraz komunikuje ministeryom skarbu i spraw wewnętrznych.

Do ustawy powyższéj dodajemy kilka objaśnień. I tak: zwracamy uwagę na § 7, wedle którego członkami Towarzystwa mogą być instytucye i stowarzyszenia, — mamy tu na myśli cechy, stowarzyszenia przemysłowe akcyjne lub udziałowe, oraz większe fabryki lub zakłady. Niewątpimy, że one chętnie przystąpią do Towarzystwa, gdyż to leży nawet po części w ich interesie, w pieczołowitości o rozwój rzemiosł i rękodzieł, który przecież zależnym jest od rozpowszechnienia wykształcenia profesyjnego. Liczne przystąpienie stowarzyszeń da silny fundament finansowy nowemu Towarzystwu, umożliwiając oprócz innych celów, tworzenie klas rysunkowych i specyalnych, oraz poznajomianie rzemieślników za pośrednictwem wystaw i muzeum z najnowszemi zastosowaniami techniki i wynalazków.

Również ważnym jest § 13 orzekający, że Towarzystwo opiekuje się głównie dziećmi, mającemi już elementarne wykształcenie. Urządzenie istniejących u nas szkół rzemieślniczych w tém jest wadliwe, że obejmuje zakres wychowania elementarnego oprócz specyalnego, co powoduje bardzo znaczne koszta utrzymania, których szkoły nie mają czém pokryć. Prawda, że ten system jest gruntowniejszym i donioślejszym, ale cóż z tego kiedy niepraktycznym, bo wymagającym znacznych funduszów, których właśnie nie mamy. A skoro nie mamy dostatecznych kapitałów, to trzeba nam się ograniczyć do celów specyalnych. Nowe Towarzystwo nie będzie potrzebowało tworzyć formalnych szkół przynajmniéj na początek, ale wprost wynająwszy jedną lub dwie izby i powoławszy majstra nauczyciela, otwierać będzie tak zwane klasy, np. dla szewców, krawców, stolarzy i t. p., a nawet w razie trudności otwarcia jakiéj klasy specyalnéj, będzie swoich wychowańców wprost oddawać do wzorowych zakładów lub majstrów na naukę za odpowiedniém wynagrodzeniem. W miarę funduszów będzie tworzyć i specyalne klasy rysunkowe, a nawet formalne szkoły z rozleglejszym programem, lecz początkowo będzie miało głównie na celu, aby jak najmniejszą sumą pieniędzy osiągnąć jak największą korzyść. Zatém wykształcić *specyalnie* fachowo jak największą liczbę dzieci, pozostawiając ogólne wykształcenie na drugim planie. Główným także celem będzie utworzenie *muzeum rzemiosł i rękodzieł*, oraz wystaw machin

i narzędzi udoskonalonych, z praktycznèm objaśnieniem ich znaczenia.

Otwarcie biblioteki i czytelni nie mniéj przyczyni się do rozkwitu rzemiosł i rękodzieł, gdyż nie wątpimy, że Towarzystwo zwróci głównie uwagę na dobór dzieł i podręczników odpowiednich tym klasom, dla których będą przeznaczone. Czytelnia specyalna i odczyty wpłyną bardzo na podniesienie poziomu umysłowego i moralnego, gdyż dadzą młodemu pokoleniu możność szlachetnéj rozrywki. Dziś rzemieślnik, a zwłaszcza kandydat na rzemieślnika nie ma odpowiedniéj czytelni, gdzieby mógł zasiągnąć wiadomości potrzebnych dla jego fachu, jeżeli więc zajmuje się lekturą, to najczęściéj bardzo wątpliwéj wartości, jeżeli już nie wprost szkodliwą. Spodziewamy się też, że przyszłe Towarzystwo wejdzie w stosunki z wzorowemi zakładami zagranicą, aby ułatwić swoim wychowańcom możność dalszego kształcenia się fachowego, oraz postara się o rozkrzewienie tych rzemiosł i rękodzieł, które w kraju mało lub wcale są nieznane.

Na tém kończymy nasze uwagi, spodziewając się, że nasze myśli nie pójdą na marne, ale pobudzą ludzi dobréj woli, jak na początek, do wyjednania zatwierdzenia powyższéj ustawy.

Na jedném z posiedzeń Towarzystwa ekonomicznego w Paryżu, Fr. Passy i G. Molinari podnieśli kwestyę interwencyi państwa i municypalności w sprawie drożyzny i niedostatku mieszkań. Okazało się, że w ostatnich latach ludność stolicy świata szybko się zwiększała, średnio o 50,000 rocznie, zwiększała się też i liczba mieszkań, lecz mieszkań większych, a głównie droższych, gdy tymczasem naglącą potrzebą było pomnożenie liczby mieszkań małych, dla klas pracujących przeznaczonych. Jak zwykle w takich razach, najprzód zwrócono się do rządu opiekuńczego i municypalności, bo niestety nawet we Francyi istnieje znaczna część ludności, która sądzi, że na wszelką niedolę rząd jest jedyném lekarstwem, niewyczerpaną skarbnicą, obdzielającą ludzi „faworami“ — jak powiada p. Waldeck-Rousseau. Innego jednak zdania byli poważni członkowie „Société d'Economie politique.“ Molinari przyznawał, że stan robotników pod względem zarobków, odzieży i żywienia znacznie się poprawił, a tylko kwestya mieszkań dotąd w całéj rozciągłości nie została rozwiązaną, lecz nie sądził, aby socyalistyczne projekta przedłożone municypium mogły mieć jakąkolwiek wartość. Socyaliści żądali, aby miasto wywłaszczyło te dzielnice i domy, które zamieszkane są przez klasy pracujące, lub też aby weszło w układy z *Crédit foncier* celem pozyskania pożyczki w stosunku 6% na domy budowane dla robo-

tników. Oba te projekty upadły, jak również i myśl Dreyfusa udzielenia 50 mil. fr. pożyczki na domy systemu mieszanego, t. j. budowane w ten sposób, aby piętra niższe zajmowały klasy zamożniejsze, a wyższe z *oddzielnemi* schodami dla robotników. Myśl tę przyjęto z oburzeniem, jako niezgodną z duchem francuskim równości stanów. Yves Guyot dowodził, że miasto może się zabudowywać wszerz lub też w wyż; co do terytoryum, to w Paryżu pustych placów niewiele, co do budowania wysokich domów, to na to istnieją specyalne przepisy ograniczające dowolność, pozostaje zatém rozszerzyć miasto, znieść stare fortyfikacye i na ich gruzach wznieść domy dla robotników i złączyć je z miastem specyalną koleją. Na ten projekt tak racyonalny jeden z ponurych demokratów zawołał: „Vous voulez déporter la population ouvrière?“ — „Ça“, odpowiedział tylko Guyot, dodając zarazem, że i najbogatsi kupcy i przemysłowcy nie mieszkają w środku Paryża, przy swoich sklepach, składach i kantorach, ani też londyńska City wieczorem, po ukończeniu czynności, bynajmniéj nie przypomina, że to jest najbogatsza w świecie dzielnica.

Czy rzeczywiście budują w Paryżu mało i czy małą jest liczba mieszkań? Odpowiedź na to znajdujemy w „Bulletin de statistique du ministère des finances“ (maj 1884), a jest ona stanowczo przeczącą. Podług urzędowéj statystyki w Paryżu:

	wzniesiono	zburzono
w 1880 r. lokali . .	16,240	8,443
w 1881 „ „ . .	23,129	7,761
w 1882 „ „ . .	27,642	7,440
w 1883 „ „ . .	36.967	8,458
razem	103,978	32,102

czyli w ciągu czterech lat przybyło lokali 71,876. Wogóle z końcem 1883 r. liczono w Paryżu mieszkań dla ludności 755,981
i dla potrzeb przemysłu i handlu 346,051
razem 1,102,032

Ilość mieszkań dla ludności względnie do ceny z końcem 1883 r. w Paryżu rozdzielała się w sposób następujący:

w cenie niżej . . . 500 fr.	czyli niżéj . . 125	rubli zł.,	585,902	mieszkań,	t. j.	77,52%
„ od 500— 750	„ 125 — 187½	—	72,012	„		9,52
„ 750— 1,000	„ 187½— 250	—	24,977	„		3,30
„ 1,000— 1,500	„ 250 — 375	—	27,475	„		3,63
„ 1,500— 3,000	„ 375 — 750	—	26,012	„		3,44
„ 3,000— 6,000	„ 750 —1,500	—	12,931	„		1,71
„ 6,000—10,000	„ 1,500 —2,500	—	4.247	„		0,56
„ 10,000—20,000	„ 2,500 —5,000	—	1,945	„		0,26
„ wyżéj 20,000	„ wyżéj 5,000	—	480	„		0,06
		razem	755,981	mieszkań,		100.

Wartość lokali dla mieszkańców statystyka ocenia na 395 mil. fr.
oraz pomieszczeń dla handlu i przemysłu . . . . . . 261 „ „
razem na 656 mil. fr.

czyli wartość lokali wynosi na każdego paryżanina 43½ rubla zł., a łącznie ze sklepem i składami i t. p. 72 ruble zł. rocznéj dzierżawy.

Statystyka nie podaje ilości pustych lokali w cenie niższéj od 500 frank. — od téj zaś sumy d. 15 stycznia 1884 r. było pustych lokali w Paryżu 10,099 czyli 6%, oraz pomieszczeń dla handlu i przemysłu 6,420, razem 16,519 lokali.

Wiadomo, że od kilku lat istnieje w Paryżu zastój w interesach, skutkiem czego mnóstwo ludzi pozostaje bez zajęcia, szczególniéj robotników, że więc ogólnie dochody mieszkańców się zmniejszyły, tém więcéj, że do tego rezultatu przyczyniła się także konwersya renty o ½%, oraz zmniejszenie dywidend od akcyi. Zdawałoby się więc, że mieszkań większych zbytkowniejszych coraz więcéj winno być niezajętych, a témbardziéj nie powinnaby się zwiększać ich liczba. Tymczasem rzecz się ma inaczéj, bo w ostatnich latach budowano przeważnie lokale droższe, i tak w ciągu ostatnich trzech lat przybyło w Paryżu lokali:

w cenie	1,500 —2,500	rubli	— 1,019	czyli	31,56%	poprzedniéj ilości
„	2,500 —5,000	„	— 406	„	26,31	„ „
„	750 —1,500	„	— 2,577	„	24,80	„ „
„	375 — 750	„	— 4,058	„	18,48	„ „
„	125 — 187½	„	— 9,786	„	15,67	„ „
„	187½— 250	„	— 3,333	„	15,40	„ „
„	250 — 374	„	— 3,582	„	13,01	„ „
„	wyżéj 5,000	„	— 46	„	10,59	„ „
„	niżéj 125	„	—39,594	„	7,24	„ „
		razem	64,401	czyli	9,37	poprzedniéj ilości.

Z powyższego widzimy, że istotnie liczba małych mieszkań słabo wzrastała, kosztem wielkich lokali. Liczby te doprowadzają nas także do innych wniosków, mianowicie, widzimy olbrzymi wzrost bogactw téj stolicy świata. Przecięciowo Francuzi wydają ósmą część dochodu na lokal; mając to na uwadze, przekonywamy się, że w ciągu trzech lat przybyło w Paryżu 2,577 osób, mających dochodu od 6—12,000 rubli, — 1,019 osób od 12—20,000 rubli, — 406 od 20 do 40,000 rubli i 46 osób mających dochodu wyżéj 40,000 rubli rocznie. Jest-to wzrost zadziwiający, jakiego chyba żadna stolica wykazać nie może.

Przypatrzmy się teraz, co w kwestyi mieszkań zrobiła rada municypalna paryska. Objaśniamy, że w Paryżu *lokatorowie* płacą na

14*

rzecz miasta podatek znaczny „taxe de loyer", otóż przy roztrząsaniu budżetu na rok bieżący municypium postanowiło:

Art. 1. Każdy lokal wartości matrykularnéj (tj. obniżonéj o $^1/_5$) rocznéj 400 franków, t. j. 100 rubli zł., wolny jest od wszelkich podatków.

Art. 2. Każdy lokal wartości matrykularnéj wyższéj nad 400 fr. płaci szacunkowe w stosunku 16,10% od zwyżki nad 400 fr.

Zatém od podatku uwolniono przeszło $^3/_4$ lokali, pozostałe zaś płacą „taxe des loyers", i to wysoką, gdyż np.

z mieszkania w cenie	250	rubli	płaci lokator	16	rub.	10	kop. czyli	6,4%
„ „	625	„	„ „	64	„	40	„ „	10,3
„ „	1,250	„	„ „	144	„	90	„ „	11,5
„ „	3,125	„	„ „	386	„	40	„ „	12,3

widzimy więc, że podatek z lokali jest postępowy, to jest im kto zajmuje droższy lokal, czyli im jest zamożniejszy, tém też i stopa podatkowa jest większą.

Sprawa *mieszkań dla robotników* i wogóle dla ludności uboższéj, stoi obecnie na porządku dziennym we wszystkich niemal państwach Europy. Najpotężniejsze umysły ekonomistów i techników silą się rowiązać, tę istotnie nader doniosłą kwestyę. Naszém zdaniem ekonomiści francuscy najwłaściwiéj pojęli tę sprawę i odrazu też postawili ją na odpowiednim gruncie. Nie domagają się oni zupełnie interwencyi państwa, ani też municypalności i gmin, owszem uważają to mieszanie się za wprost szkodliwe, a pozostawiają rozwiązanie téj kwestyi wyłącznie inicyatywie i przedsiębierczości prywatnéj. Łącznie z technikami wskazują tylko główne zasady na jakich sprawa mieszkań dla klas pracujących winna być opartą. Naturalnie, że z tym poglądem tak słusznym, nie sympatyzuje odcień socyalistyczny, uważający państwo i gminę wszędzie i zawsze za głównego kierownika i regulatora spraw współobywateli. W różnych państwach Europy powstały liczne stowarzyszenia, które odrzuciwszy filantropię w ścisłém znaczeniu, przedsiębiorstwo budowy tanich mieszkań oparło wyłącznie na rachunku, naturalnie szeroko uwzględniając potrzeby tych, dla kogo powstały. Praktyka wykazała, że przedsiębiorstwa podobne przynoszą założycielom znaczne nawet zyski, np. w Paryżu domy budowane dla robotników przynoszą czystego zysku 6—8% t. j. odsetki bardzo wysokie, jakie wykazać mogą tylko niektóre domy w Paryżu.

Jedném z podobnych przedsiębiorstw jest *La Société des maisons ouvrières de Passy-Auteuil*, założone ze skromnym kapitałem 200,000 fr. podzielonych na drobne akcye. Stowarzyszenie to cieszy się szczególną opieką ekonomistów, którzy bądź jako akcyo-

naryusze, bądź agitujący do niego należą. Na czele jego stoją Dietz-Monnin, senator i prezes izby handlowéj, oraz E. Cheysson, naczelny inżynier dróg i mostów. Towarzystwo zbudowało już dwie grupy domów liczące razem 46, podług wszelkich wymagań sanitarnych i wygody. Każdy domek w Passy-Auteuil składa się z 5 izb (*pièces*) wraz z niezbędnemi dodatkami i zbudowany w ten sposób, że w miarę wzrastania rodziny, łatwo go można powiększyć. Domki te, mające oddzielne ogródki i podwórka, przeznaczone są dla jednéj rodziny za opłatą 300 franków, t. j. 75 rubli rocznie w ciągu lat 20, po upływie których lokator staje się zupełnym właścicielem domu. Domy większe z dwoma lokalami płacą 500 fr., to jest 125 rubli również w ciągu 20 lat. Towarzystwo wypuściło w roku zeszłym 4% obligacye dla dalszego rozwinięcia tak pożytecznéj działalności.

Naczelne miejsce pomiędzy przedsiębiorstwami tego rodzaju zajmuje w Alzacyi *La Société Mulhousienne des Cités ouvrières*. Korzystamy z łaskawie udzielonego objaśnienia p. Jana Dollfusa, prezesa komitetu administracyjnego, aby się podzielić z czytelnikami szczegółami o tém towarzystwie. Po dzień 1 lipca 1884 r. Towarzystwo zbudowało i przedało 1,028 domków, z których 756 zostało już całkowicie przez nabywców spłacone. Cena każdego domku wynosi 3300 fr. t. j. 825 rubli zł. umarzalnych komornem w ciągu 15 lat. Istnieją także w téj *Cité* oddzielne mieszkania umeblowane, za opłatą dzienną po 10 groszy za pokój. Zarząd utrzymuje restauracyę, piekarnię i sklepy, w których nabyć można wszelkich niezbędnych artykułów prawie po cenie kosztu. Biblioteka założona w 1865 r. liczy przeszło 400 członków. Kąpiele po 15 centymów, a tak zw. *lavages* po 5 centymów. Słowem całe urządzenie téj *Cité* zasługuje na szczególną uwagę, tém więcéj, że stowarzyszenie ma już za sobą długoletnie doświadczenie i rozwinęło się na wielką skalę.

Klimat północny sprawił, że stosunki robotnicze w *Szwecyi* inaczéj się ułożyły niż w pozostałéj Europie. Tam z powodu ostréj zimy, większa część roku, prawie dziewięć miesięcy, dla licznych gałęzi przemysłu jest martwą. Robotnicy zarabiają tyle, że im pozostaje na opędzenie potrzeb w ciągu pozostałych miesięcy, a że to epoka krótka, a odległości od miejsca zajęć dalekie, więc z konieczności stosunki tak się musiały ułożyć, aby robotnicy nie tracili czasu na poszukiwanie miejsca. Te to warunki klimatyczne i geograficzne natchnęły L. O. Smitha do utworzenia stowarzyszeń, jakich w żadnym kraju nie spotykamy. Za jego inicyatywą powstały w Stockholmie i innych miastach tak zwane *ringi*, oddające klasom pracującym nadzwyczajne usługi. Każdy „ring“ jest stowarzyszeniem wolném, wyłącznie w celach ekonomicznych utworzoném i liczącém

1,000 członków podzielonych na 10 grup. Każda grupa, czyli drużyna wybiera prezesa; prezesi grupy w liczbie dziesięciu wybierają prezesa „ringu“. W Stockholmie istnieje 24 ringi, których główni prezesi łączą się w komitet, mający na czele generalnego prezesa ringów stockholmskich, liczących obecnie 24,000 członków. Pod względem celu ringi dzielą się na wydział informacyjny, pośredniczący w umieszczaniu członków, wydział tanich kuchni i wydział kwaterunkowy. Pomijamy na teraz dwa pierwsze cele, objaśniając, że w Stockholmie jako wydział ringów istnieje bank ludowy, założony również przez p. Smitha, wyłącznie środkami stowarzyszonych i przez nich też obsługiwany. Ten bank ludowy udziela pożyczki na budowę domów dla robotników, w których pojedyncze lokale wynajmowane są członkom w ten sposób, że po pewnéj liczbie lat stają się oni zupełnemi właścicielami lokali, co naturalnie niezmiernie pobudza klasy pracujące do oszczędzania, aby w jak najkrótszym czasie spłacić dług za nabyty lokal.

W Anglii również państwo nie miesza się w sprawy mieszkań dla robotników, parlament tylko ma prawo baczenia nad zdrowotnością lokali, a interwencya ogranicza się wyłącznie na udzielaniu $3^1/_4$% pożyczek towarzystwu Peabody i innym budującym domy dla robotników. Właściwie, towarzystwa te mało budują, a głównie kupują stare domy i te przerabiają dla robotników. Każdy z takich domów zamieszkują zwykle pracownicy jednéj lub kilku sąsiednich fabryk, do których dowożą ich najczęściéj omnibusy stale umówione. Karność w domach robotniczych bardzo wielka, a moralność ściśle przestrzegana. Zamieszkuje je wybór robotników, którzy zresztą, jak wiadomo, są w zupełnym dobrobycie, będąc wyżéj niż w jakimkolwiekbądź kraju płatni. Lecz wogóle w Anglii mieszkania dla robotników są w nader opłakanym stanie, tak, że parlament zmuszony był wyznaczyć ankietę dla rozpatrzenia kwestyi zdrowotności lokali. Komisyi parlamentarnéj przewodniczył Karol Dilke, a w skład jéj wchodzili: ks. Walii, kardynał Manning, margrabia Salisbury, Cross, Goschen, Broadhurst, Morley i inni. Memoryał złożony parlamentowi obejmuje 84 stronic, przepełniony wielu interesującemi danemi, z któremi przy sposobności nie omieszkamy czytelnika poznajomić. Teraz zaś nadmieniamy, że w Wielkiéj Brytanii istnieje 1773 *Building Societies* (towarzystw budowlanych) liczących 506,371 członków. Ogłosiło bilans 1667 towarzystw, posiadających:

kapitału akcyjnego	30,690,631	funt. ster.
depozytów . . .	17,052,178	„ „
razem	47,742,809	funt. ster.

Stowarzyszenia te rozciągają także swoję działalność i na Kanadę.

Mieszkania dla robotników, jako odzielne domki, bardzo są rozpowszechnione w *Filadelfii*,—wznoszą je towarzystwa budowlane pobierając komorne wraz z amortyzacyą. Drugim typem są: Peabody Trust, Improved Dwellings Association w New-Yorku, Alfred T. White w Brooklynie, Sir Sidney Waterlow w Londynie. Inicyatywa trzeciego typu należy do miss *Oktawii Hill*. Metoda jéj polega na tém, że kupuje stare domy zamieszkałe przez robotników, zaprowadza porządek i stopniowo je restauruje. Oktawia Hill pierwotnie była nauczycielką, mając środki nader ograniczone, obecnie zaś posiada 400.000 dol. Najprzód zwróciła swoją uwagę w 1869 r. na sąsiedztwo Regent Street, gdzie była grupa zrujnowanych domów, istnych jaskiń i zbiorników wszelakiéj zarazy niechlujstwa i nierządu. Administracyę domów ustanowiła nader surową, żądając punktualnego uiszczania komornego. Następnie nabyte domy zwolna odnawiała przeważnie miejscowemi siłami robotników, nie mających zajęcia, a w końcu urządziła klub i kasę oszczędności. Z wzrostem środków rozwijała się i działalność, powstały względnie wspaniałe budowle, jak *St. Christopher's Building* z obszernemi balkonami i pomieszczeniem dla dzieci.

Peabody Trust wzięły nazwę od znanego filantropa rodem z Ameryki. Peabody przez 32 lata zajmował się bankierstwem, a dorobiwszy się olbrzymiéj fortuny ufundował *Peabody Donation Fund* zarządzany przez sześciu kuratorów, w liczbie których, znajdować się winien poseł Stanów zjednoczonych. Fundacya dotąd urządziła 3,533 mieszkań o 7.829 izbach, odnajmując izbę po 48 cent. tygodniowo. W 1862 r. H. Waterlow zawiązał *Improwed Industrial Dwellings Company limited*, która w ciągu dwudziestu lat zbudowała 4,107 mieszkań z 14,250 izbami, przynajmniéj dla 20,000 mieszkańców. Kompania ma swoją cegielnię, ślusarnię, stolarnię, kamieniarnię, ciesielnię itp. Oprócz cegły używa mieszaniny cementu z odpadkami koksu w stosunku 1 na 3. Liczne schody znajdują się zwykle na zewnątrz domów lub w oddzielnych przystawkach rozmieszczone w ten sposób, aby każde mieszkanie było oddzielne i miało wyjście wprost na schody, czem różnią się od systemu Peabody. W londyńskich jaskiniach śmiertelność przerażająca, wynosiła zwykle 40 na 1,000 mieszkańców, gdy tymczasem w domach Peabody 17,22, tj. o 3.78% niżéj średniéj, a w domach H. Waterlow tylko 16,7‰.

Co się tyczy Warszawy, to pod względem mieszkań dla robotników nie wiele zrobiono. Pierwsze usiłowania spółki budowlanéj chybiły celu, późniéj zaś nic w téj materyi nie zdziałano. A jednak może u nas jest więcéj naglącą sprawa mieszkań dla ludności uboższéj i pilniejszą jaka „Komisya zdrowotności,“ któraby wprawdzie

nie parlamentowi, ale magistratowi i prasie złożyła szczegółowy memoryał o stanie lokali małych i mniejszych, zwłaszcza w dzielnicy staromiejskiéj i wzdłuż całego Powiśla. Niewątpliwie badania komisyi wyprowadziłyby na jaw wiele rzeczy nie mniéj jaskrawych i ohydnych jak i w Londynie. Parlamentu nie mamy, a prasa nasza jeszcze jest zbyt ubogą, aby mogła samodzielnie dokonywać podobnych studyów, pozostaje się szanowne nasze municipyum, które przy współudziale komisyi sanitarnéj i prasy winnoby podjąć tę pracę. Gdy będzie zebrany odpowiedni materyał, poparty danemi liczbowemi, który w rzeczywistym świetle ukaże stan mieszkań robotniczych i ogrom niedoli, to może znajdą się i środki zmniejszenia złego. Wszak jeżeli ofiarność publiczna zdobywa się na krocie tysięcy rubli na cele przemijające, to może się u nas znajdą ludzie dobréj woli, którzy powołają do życia Towarzystwo budowy tanich mieszkań oparte wyłącznie na zasadach ekonomicznych, a więc nie potrzebujących *ofiary*, ale tylko *współdziałania* głową i kieszenią. Myśl podobnych spółek mamy już obrobioną i podzielimy się nią z czytelnikami w następnym artykule. Obecnie zaś zwracamy uwagę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, czyby nie uważało za właściwe ogłoszenie konkursu na budowę oddzielnych domków dla klas pracujących na zasadach w Moulhousie tak świetnie rozwiniętych. Osady podobne najwłaściwiéj byłoby założyć po za miastem, na krańcowych punktach kolei konnych, mając przytém na uwadze, aby oddzielny domek kosztował wraz z ziemią najwyżéj 1,000 rubli.

W rzędzie reform zarządu skarbowego, tak doniosłych i obfitych w roku bieżącym, niepoślednie miejsce zajmuje jedna z gałęzi, podatku dochodowego, mianowicie *podatek dochodowy od kapitałów*, ustanowiony w drodze prawodawczéj w d. 1 czerwca r. b. i obowiązujący od d. 13 lipca r. b.

Główne zasady podatku dochodowego od kapitałów są następujące: Skarb pobiera 5% od dochodu otrzymywanego:

a) od papierów procentowych państwowych, publicznych i prywatnych wszelkich nazw,—oraz

b) od wkładów złożonych do banków państwowych, publicznych, akcyjnych, udziałowych i towarzystw wzajemnego kredytu.

Podatkowi powyższemu nie podlega:

a) dochód od papierów procentowych, statutami tychże od wszelkich podatków uwolnionych;

b) dochód od wkładów wniesionych do kas oszczędności towarzystw zaliczkowo-wkładowych, banków miejskich, oraz od dawnych wkładów przelanych do Banku państwa, po zlikwidowaniu państwowego banku handlowego;

c) dochody od akcyi i udziałów tych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, które na mocy prawa z d. 27 stycznia r. b. płacą już odsetne przemysłowo-handlowe.

Prócz tego ministrowi skarbu pozostawiono możność wygotowania projektu opodatkowania: *a*) akcyi dróg żelaznych i listów zastawnych Centralnego banku ziemskiego; *b*) dochodu od kapitałów wypożyczonych na zastaw nieruchomości i *c*) dochodu od kapitałów składanych w kantorach bankierskich prywatnych, oraz przepisów do jakich się mają stosować domy bankierskie przy przyjmowaniu wkładów.

Myśl zaprowadzenia podatku dochodowego od kapitałów, czyli jak go nazywają podatku od kuponów i dywidend,—nie nowa, dawno już miano ją urzeczywistnić, lecz niewłaściwy pogląd jakoby podatek ten bardzo szkodliwie wpływał na kredyt państwowy, stawał zawsze na przeszkodzie. Dopiero obecny p. minister skarbu, wytrwale trzymający się raz nakreślonego programu finansowego, wprowadził go w wykonanie, pomimo okrzyków zgrozy bardzo dziś wpływowéj prasy reakcyjnéj, wrogo dla ministra usposobionéj. Reakcyoniści dowodzili, że p. Bunge podkopuje kredyt państwa zagranicą, bo państwo, które nie spełnia tego do czego się zobowiązało, nie płaci tego w całości co przyobiecało, jest częściowym bankrutem, niezasługującym na zaufanie zwłaszcza u obcych. Sofistyczne to dowodzenie pozornie rzeczywiście jest słusznem, po bliższém jednak rozpatrzeniu traci wszelką wartość. Opodatkowanie dochodu od pożyczek państwowych nie jest dowolne, nie jest cichą konwersyą, gdyż ustanowione względnie do innych analogicznych dochodów, a co ważniejsza, podatek dochodowy od kapitałów nie obciąża samych tylko pożyczek państwowych, ale wszelkie papiery procentowe publiczne, hipoteczne, bankowe, oraz odsetki otrzymywane od kapitałów lokowanych w instytucyach kredytowych.

To zapatrywanie nie jest nowém, miejscowém, gdyż podatek dochodowy od kapitałów istnieje już we wszystkich państwach Europy i to w ogóle w znacznie większym rozmiarze. Jeżeli opodatkowano przedsiębiorstwa, które często pomimo wielkich obrotów, wielkiego kapitału zakładowego, przynoszą nieraz bardzo małe zyski, a nawet i straty, to nie ma żadnéj racyi uprzywilejowania kapitalistów, spokojnie posiadających papiery procentowe, zwłaszcza gwarantowane państwowe. Dowodzą również, że opodatkowanie kuponów i dywidend sprowadzi emigracyę kapitałów zagranicę; lecz zdaniem naszém obawa ta nie ma żadnéj podstawy, boć wogóle biorąc, papiery procentowe polskie i rosyjskie przynoszą wyższy niż inne, dochód, a podatek jest nieznaczny zaledwie dwudziestą część do-

chodu wynoszący. Przytém lokujący swe kapitały zagranicą musiałby doświadczać zmienności kursu waluty, tak, że niewątpliwie znalazłby się często w położeniu tego, co to wpadł z deszczu pod rynnę.

Podatek więc od dochodu otrzymanego od papierów procentowych uważamy za zupełnie usprawiedliwiony i słuszny. Inaczéj rzecz się ma po części z kapitałami złożonemi w gotowiźnie do kas instytucyi kredytowych na rachunek bieżący, lub téż dla zwykłego oprocentowania. Tu nasuwają się nam myśli co do celu i charakteru wkładów. Gotowizna składa się do banku w dwojakim celu: albo dla przechowania i ewentualnie dla oprocentowania, albo téż głównie w celu otrzymania dochodu. W pierwszym razie mamy na celu głównie pewność—zabezpieczenie kapitału,—w drugim zaś razie wysokość odsetek przeważną gra rolę. Prawodawca nie rozróżnił tego podwójnego charakteru wkładów i w tém, zdaniem naszém, zbłądził, gdyż w naszych stosunkach, przy niedostatku kapitałów w gotowiźnie, nie należało osłabiać popędu do lokowania pieniędzy w bankach na rachunki bieżące, zwykle na niski procent. Wszak lokujący pieniądze w instytucyi kredytowéj na małe odsetki, może jeszcze większy przynosi pożytek *ogólnemu* dobru niż sobie. Deponent otrzymuje tylko 2—3%, rzadko wyżéj; gdy tymczasem zwiększając środki obrotowe instytucyi, przyczynia się niepomiernie do ożywienia obrotów, do zasilenia przemysłu i handlu. On otrzymał może tylko 2%, instytucya zarobiła na nim 4—6%, a co zyskał przemysł i handel to się obliczyć nie da. Jakżeż wkłady są pożądane, zwłaszcza w chwilach przesileń;—jedna setka tysięcy rubli może nieraz dziesiątek firm od upadku uchroniła. Z tych więc względów nie należało prawodawcy osłabiać popędu do lokowania gotowizny w bankach, i tak zresztą u nas niezmiernie słabo rozwiniętego. Naszém zdaniem należało wkłady podzielić na dwie kategorye: na przynoszące odsetki niżéj 4% i na wkłady dające dochodu 4% lub wyżéj i opodatkować wkłady tylko te ostatnie.

Podatek dochodowy od kapitałów należy do najłatwiéj dających się pobrać i najściśléj obliczyć w zamierzeniach budżetowych, oraz do najmniéj pociągających wydatków na administracyę poborową: ściąga się on przez potrącenie 5% przy realizacyi kuponów i premii oraz przez wniesienie ryczałtowéj sumy w terminach płatności kuponów i dywidend przez instytucye emitujące,—zatém odnośnie do kuponów, premii i dywidend niedobór nie może mieć miejsca. Co się tyczy podatku od odsetek od wkładów, to ten w terminach zamknięcia rachunków odlicza się od salda klientów i w ogólnéj sumie przelewa do skarbu.

Ministeryum skarbu obliczyło podatek dochodowy:

od papierów proc. państw. w walucie metalicz. na	rs.	204,651	k. 60
„ „ „ „ „ kredytowéj	„	4,965,101	„ 50
„ biletów banku państ. i oblig. banku włościańs.	„	428,480	„ 75
„ listów zastaw. i oblig. towarzystw kred. miejs.	„	1,023,948	—
„ „ „ „ „ ziemskich	„	1,007,325	—
„ „ „ „ banków ziemskich	„	1,023,373	—
„ obligacyi dróg żelaznych	„	199,500	—
„ wkładów w instytucyach kredytowych . .	„	1,629,461	—
Razem	rs.	10,481,840	k. 85

nie licząc dochodu od obligacyi emittowanych przez miasta i stowarzyszenia akcyjne lub udziałowe, o których wysokości ministeryum skarbu nie ma dotąd pewnych wiadomości. Ponieważ jednak z powyższéj sumy przyjdzie zwrócić około miliona rubli rozmaitym instytucyom uczonym, naukowym, duchownym, dobroczynnym itp. to nowy podatek przyniesie skarbowi zapewne 9½—10 milionów rubli.

Leon Iwanicki.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

VII.

W miasteczku, o sześć wiorst od Suchéj Doliny odległém, przez cały ranek świąteczny, nad wielkim gwarem targowego rynku, biły rozgłośne dzwony kościelne. Na rynku ludzi było jak mrowia i wszelkich zwierząt mnóstwo. Sprzedawano tam i kupowano konie, krowy, woły, cielęta, zboże, płótna, jaja i mnóstwo innych produktów małéj własności. Sanie stały tam przy saniach, dotykając się szczelnie, albo nawet płozami na płozy wjeżdżając, zwierzęta i ludzie stłaczali się w ruchome kłęby, krzyk rozmów, kłótni, przekleństw, targów, rżenia koni, ryczenia bydła, był ogromny i wielka pstrocizna ubiorów i twarzy męskich i kobiecych, chłopskich, żydowskich i mało-szlacheckich. Czteréj Dziurdziowie przybyli téż na targ, każdy ze swojém. Piotr i Klemens przywiedli na sprzedaż konia i krowę. Stepan dwuletniego wolika, a Szymon przywiózł parę ośmin żyta i grochu. Wszystko jedno: opiszą i sprzedadzą, lepiéj mu więc było chwytać i na swoją korzyść sprzedawać, co się dało. Mnóstwo ludzi, po zmówieniu kilku pacierzy, odprawiało baby do kościoła i zostawało przy swoich saniach i towarach. Piotr dobro swoje powierzył pieczy syna, a sam skierował się ku niewielkiemu białemu kościołowi, z którego szczytów leciała muzyka dzwonów, a z wnętrza dochodziły chóralne śpiewy, towarzyszące procesyi. W nieobszernéj kruchcie ścisk był taki, że powolny i uroczyście nastrojony chłop, zaledwie zdołał przebić się do kościelnego progu i parę kroków jeszcze daléj postąpić. Tu, szerokie plecy w kożuchach stanęły już nieprzepartym murem, lecz po przez kudłate czupryny męskie i nad kobiecemi, odświętnie ustrojonemi głowami mignęło mu złoto, niesionéj pod baldachimem monstrancyi, zapąsowiały

pelerynki kościelnéj służby, błysnęły płomyki świéc, górą frunęły chorągwie. Organy grały i kilkaset głosów chórem śpiewało. Piotr chciał uklęknąć, ale z powodu ścisku uczynić tego nie mogąc, głowę pochylił i pięścią ściśniętą potężnie bił się w piersi.

— Ojcze niebieski, krolu ziemski, odpuść nam ciężkie grzechy nasze....

Modlitewkę tę wymyślił sobie sam w porze owéj, gdy go skrucha wielka za krzywdę matce zrządzoną ogarniała i odtąd powtarzał ją zawsze, ilekroć był już bardzo nabożnie usposobionym. Rozpoczęła się suma. Piotr ze schylonym nieco grzbietem wzniósł oczy w górę i wpatrzył się w widzialne po nad głowami tłumu rzeźby wielkiego ołtarza. Były to jakieś gipsowe wieńce i arabeski, nad któremi stało kilka drewnianych posągów z krzyżami, z wielkiemi księgami, z rękami powyciąganemi groźnie, błogosławiąco lub modlitewnie. Oczy chłopa napełniły się miękkiem zamyśleniem, usta jego poruszać się przestały. Przypominał może wszystko, co kiedykolwiek, na ten sam ołtarz patrząc, przecierpiał i uprosił, — skruchy i trwogi swego sumienia, choroby synów, zgryzoty wszelkie i pociechy, a uspokojenia. Może też nad ołtarzem i wieńczącemi go posągami świętych, pod samém sklepieniem świątyni, szukał wzrokiem blasków tych i świetności, w jakich mętnie przedstawiało się wyobraźni jego królestwo niebieskie. Długo tak wzrokiem po wysokościach błądził i wzdychał raz poraz.

— Ojcze niebieski, krolu ziemski, opiekunie ludzi....

W bladawéj twarzy jego, wzniesionych oczach i głośnym, wzdychającym szepcie, wiele było tęsknoty, wdzięczności, pokory. Wtém organy grać przestały i w uciszonym kościele zabrzmiało donośne: W imię Ojca i Syna... Rozpoczynało się kazanie. Piotr z miejsca swego widział dokładnie na wysokiéj mównicy stojącego księdza, śnieżną jego komżę i czerwoną u piersi wstęgę. Języka, którym kazanie mówionem być miało, w codziennem życiu nie używał, lecz rozumiał go wybornie, a w potrzebie i mówić nim dobrze umiał. Więc głowę pochylił, ucha nastawił i z całéj siły wsłuchał się w głos czysty i donośny, pod sklepieniami budzący dźwięczne echa. Otaczający ludzie słuchali także, ale po większéj części z roztargnieniem lub sennie. Postawy ich były pełne uszanowania, wzdychali nawet często albo też i rzucali oczami dokoła, albo je przymykali, drzemiąc. Piotr chciwie słuchał słów rozchodzących się po kościele, ale nie wszystkie czyniły na nim wrażenie jednostajne. Były takie, które w nim nie budziły żadnych uczuć ni pojęć i takie, które wzruszały go do głębi. W długim wstępie kapłan opowiadał ludowi o dobroci Boga i złości szatana. Przy wspomnieniu o pierwszéj, twarz chłopa

tak wyglądała, jakby spływał na nią promień ideału. Miękła, wypogadzała się, pokrywał ją wyraz błogości i rozczulenia. Lecz gdy w powietrzu zabrzmiała nazwa szatana, gęste brwi jego zbiegały się nad oczami, usta drgały trwożnie czy gniewnie i poruszał się cały tak zupełnie, jakby go ogarniała żądza splunięcia. Powściągał się przecież przez wzgląd na świętość miejsca.

Ogromny rumor kolan ludzkich padających na cegły posadzki. Organy grają znowu. Przy ołtarzu wznosi się śpiew melodyjny i błagalny, szepty i westchnienia falami szmeru płyną. Piotr gwałtownemi ruchami łokci miejsce swe rozszerzył, na klęczki upadł, do posadzki kościelnéj ustami przylgnął i głośno zaszeptał:

— Niechaj siła boska przezwycięży siłę szatana....

Wtém ktoś go mocno w łokieć trącił. Obejrzał się i zobaczył schylonego nad sobą Klemensa. Parobek szeptał mu w same ucho.

— Tatku! starszyna konia chce kupić... nie wiem sam co zrobić...

Odtrącił syna ramieniem i znowu pochylał się nad ziemią, ale Klemens za kożuch go pociągnął.

— *Chadzi*, tatku, a to targ stracim...

— *Skaży* starszynie, żeby sam do kościoła szedł i ludziom Panu Bogu modlić się nie przeszkadzał....

Powiedział to takim tonem, że Klemens nie nalegał dłużéj, przyklęknął, przeżegnał się, dwa razy ziemię pocałował i z kościoła wyszedł. Ale Piotr nie odzyskał już uprzedniego nastroju ducha. Coś go korcić i niepokoić zaczęło. Ramionami wzruszał, oglądał się, nakoniec z klęczek powstał i kilka razy jeszcze uderzywszy się w piersi, kościół opuszczał. W kruchcie spotkał się ze Stepanem, który palce w wodzie święconéj zatapiał.

— A co tam z moim koniem słychać?— z widocznym niepokojem zapytał.

— Starszyna go u Klemensa zatargował. *Idzi chutko*, a to targ stracisz....

Stepan także niedługo zabawił w kościele, bo jeszcze wolika swego nie sprzedał; Szymon pomodlił się tylko przed kościelnemi drzwiami i coprędzéj z pieniędzmi za żyto i groch otrzymanemi, do karczmy pociągnął. Żaden z nich nie dotarł do środka kościoła, ani témbardziéj do wielkiego ołtarza, gdzie wielkie mnóstwo ludzi spowiadało się przy konfesyonałach, a potém przed balustradą w oczekiwaniu komunii klękało.

Na godzinę przed zapadnięciem zmroku rynek targowy opróżniać się zaczął, natomiast coraz więcéj sań i koni zgromadzało się u wrót obszernéj, murowanéj karczmy. Dla ludzi, którzy przez dzień cały modlili się i ziębli w kościele, ziębli także sprzedając i kupo-

jąc na rynku, koniecznością prawie było, przed puszczeniem się w drogę do domów, wejść na chwilę w ciepłe jakie ściany, ogrzać się i głód zaspokoić. Przed karczmą tedy, któréj brama owalnie wykrojona i cały budynek wszerz przerzynająca, miała pozór czarnéj otchłani, na placyku twardym od mrozu, śniegiem usłanym, słomą zasypanym i zamarzłemi kałużami lśniącym, stało mnóstwo sań i koni, których głowy i szyje niknęły całkiem w przywiązanych do nich worach z obrokiem.

Izba karczemna znacznie tu była większą niż w Suchéj Dolinie. W miasteczku na znaczniejszą ilość gości rachować musiano niż w wiosce. W dnie takie szczególniéj, jak dzisiejszy, zgromadzało się ich mnóstwo. Na rozłożystym kominie palił się wielki ogień, ludzie tu wchodzący stawali przed nim, rozgrzewali zmarznięte ręce, dla rozgrzania nóg uderzali stopami o podłogę, a potém ku stołom ściany otaczającym idąc, zdejmowali z pleców płócienne, na sznurkach zawieszone worki. Wszyscy prawie worki takie posiadali. Znajdowała się w nich żywność na dzień cały z domu przywieziona. Gatunek jéj i ilość zależały od względnéj zamożności każdego z popasujących. Jedni z woreczków swych wyjmowali tylko kawały czarnego chleba, szczypty soli i odłamy twardego sera; inni, oprócz chleba i soli, mieli jeszcze słoninę, kiełbasy, jaja ugotowane na twardo. Byli tacy, którzy do jedzenia szeroko rozsiadali się na ławach, i tacy, którzy jedli chodząc lub stojąc. Tłum wzrastał, gwar stawał się ogłuszającym, zewsząd słychać było wołania o wódkę, miód i piwo, żydzi różnego wieku, rodzinę karczmarza składający, nieustannie przewijali się śród tłumu z blaszanemi półgarncówkami, kwartami, czarkami, ze szklankami z zielonego szkła, z glinianemi miskami, pełnemi kwaszonych ogórków i śledzi, któremi chłopi przekąsywali wódkę. Znajdowali się tu mieszkańcy wielu oddzielnych wsi, ale prawie wszyscy do jednéj gminy należący. Prawie wszyscy też znali się pomiędzy sobą zbliska, albo zdaleka i zaczepiali się wzajem rozmowami o dzisiejszym targu, o poniesionych stratach lub zyskach, o różnych okolicznościach gospodarstw swych i rodzin. W głębi izby starszyna, najwyższy urzędnik gminy, chłop niemłody, z długą rudą brodą i w czarnéj baraniéj czapce, po same oczy na czoło wsuniętéj, dość liczną kompanię miodem częstował. W poczęstunku tym oprócz ludzi innych, udział brało kilku mieszkańców Suchéj Doliny, a pomiędzy nimi najważniejszą rolę odegrywał Piotr Dziurdzia, albowiem okazyi do poczęstunku dostarczył koń przez niego starszynie sprzedany. Rozmowa też toczyła się o różnych zaletach tego konia, zaprowadziła do żywych rozpraw o koniach w ogólności i wzmagała się czasem w sprzeczki, które jednak star-

szyna przerywał zawsze, miodu do szklanek z blaszanego garnca dolewając i z uprzejmą powagą do biesiadników przemawiając.

— Pijcie, panowie gromada, pijcie! — na zdrowie wam! na szczęście!

Wyraz: panowie gromada, powtarzał się w jego ustach niezmiernie często. Czuł się on głową i naczelnikiem gminy, czyli gromady i lękał się stracić najmniejszą sposobność przypomnienia o tém wszystkim. Chłopi głowami mu na podziękowanie skłaniali i zielonawe szklanki do ust nieśli. Klemens tylko nie pił i w rozmowie udziału dotąd nie brał. Młodym był, nieżonatym jeszcze, gospodarstwa swego nie miał, z ojcem tu przybył i przez niego tylko coś znaczył. Obecność starszyny i zgromadzenie starych, poważnych gospodarzy, onieśmielały go i wstrzymywały od samodzielnego przystąpienia do poczęstunku. Stanął tedy za ojcem i z nad ramienia jego wychylając twarz swą rumianą i błękitnooką, trochę chciwie, a trochę nieśmiało na półgarncówkę i szklanki poglądał. Filuterne, żywe, a teraz miodem rozweselone czy starszyny, spotkały się z jego wstydliwém spojrzeniem.

— Aaaa!—zadziwił się ze śmiechem i palcem na parobka wskazał — aaa! panowie gromada! czy *heto* parobek jest czy dziewczyna!

Głowę na obie strony, niby dla lepszego widzenia, przechylał.

— Patrzę, patrzę i rozpoznać nie mogę! zdaje się że parobek, ale za plecy *baćka* schował się jak dziewczyna i wstydzi się bardzo... Nu, *pokażyś*.... do stołu podejdzij, a to doprawdy pomyślę, że z *mużczyny* przemienił się w dziewczynę!...

Dowcipkowaniu temu towarzyszył chór grubych śmiechów; Piotr zaśmiał się także i syna ku stołowi popchnął.

— Nu, *idzi*, kiedy pan starszyna woła....

Nie tak już bardzo wstydliwym był Klemens, za jakiego poczytał go starszyna. Usta wprawdzie dłonią zakrył, ale wesołemi oczami wprost na dostojnika gminy patrzał. Ten nalał pełną szklankę miodu i młodemu parobkowi ją podał.

— Pij! — zawołał — *kaby* prędzéj wąsy pod nosem wyrosły. I wszystkim znowu do szklanek dolewając, powtarzał: — Pijcie, panowie gromada, pijcie!

Pili i śmieli się z Klemensa, który na wspomnienie o wąsach palcami powiódł po złotym puszku, który mu górną wargę osypywał, a potém głową skinął i raźnie zawołał:

— Na zdrowie, panie starszyno!

— Na zdrowie tobie! — odpowiedział starszyna, a do Piotra rzekł: — W sołdaty nie poszedł? ha?

Piotr z jaśniejącą twarzą odpowiedział:

— A nie poszedł; kiedy dla niego pora na losowanie przyszła, Jasiuk jeszcze małoletni był, a mnie już, chwała Bogu Najwyższemu, 57-my roczek życia mego szedł. Brat mały... ojciec stary... znaczy jemu *Igotę* dali i został się w chacie; niech za to Pan Bóg będzie pochwalony....

— Ot i wykręcił się — zauważył ktoś z boku.

— Nu szczęśliwy! — dorzucił ktoś inny.

— A szczęśliwy — powtórzył Piotr — *kab* tylko Pan Bóg we wszystkiém tak błogosławił...

Starszyna znowu szklankę miodu szczęśliwemu parobkowi podawał.

— Pij!—wołał—pij i pamiętaj, kto to taki ten, co ciebie *trachtuje!*

Chłopak zawahał się, na ojca spojrzał, ale Piotr, którego zaszczyty wszelkie zawsze przyjemnie głaskały, rad zresztą ze skromnego dotąd zachowania się syna, szturchnął go w łokieć i zachęcił.

— Pij, kiedy pan starszyna każe....

Zupełnie już ośmielony i bardzo rozweselony Klemens nie poniósł tym razem szklanki wprost do ust, ale podniósł ją w górę z takim gestem, że aż część miodu wylała się z niéj na stół, przytém sam podskoczył.

— *Kaby* tak koń brykał! — zawołał i dopiero szklanicę do dna wychylił. Koncept ten podobał się otaczającym, którzy także szklanki swe nad głowy podnosząc, jedni po drugich powtarzali.

— *Kaby* tak koń brykał, panie starszyno, *kaby* tak koń brykał!

Stosowało się to do konia tego, którego dziś od Piotra kupił starszyna. Wesoły z natury, a może i interes w tém swój mający, Anton Budrak, starosta Suchéj Doliny, krzyknął na arendarza jeszcze o garniec miodu. Teraz on starszynę i całą kompanię wzajemnie poczęstuje. Kilka głosów ozwało się.

— *Nie chcemo bolsz* miodu; kiedy *trachtujesz*, to wódki dawaj!

Budrak krzyknął o wódkę, a starszynie, który miód wolał, trunek ten do szklanki lejąc, zaczął.

— *Jenteres* jest taki, panie starszyno. *Chcemo* proces o te grunta i łąki zacząć... *Kaby* dawność nie zaszła... co wiecie o tém, to gadajcie... może cokolwiek nam poradzicie... *Jenteres* jest taki....

I choć już wiele miodu, a trochę wódki wypił, dość przytomnie jeszcze ważną dla całéj wsi sprawę opowiadać zaczął. Ale Piotr przebił mu mowę i głos przed starszyną zabrał. Maksym Budrak i trzéj Łobudowie jednemu i drugiemu przerywali, z czego zrobił się wielki chaos głosów i słów. Ale starszyna do publicznych rozpraw był już nieco zaprawionym.

— Po kolei, panowie gromada — zawołał — po kolei *hawarycie*. Wprzód jeden, potém drugi, a ja będę słuchać. Ja między wami wszystkiemi *najwyższejszy* i wszyscy wy do mnie jak do ojca...

— Jak do ojca! — chórem wszyscy potwierdzili, a w tym momencie pijany Szymon przytoczył się ku starszynie i w łokcie go całując, zaczął.

— Ja do was, panie starszyno, jak do ojca... gospodarstwa nie sprzedawajcie... *horkaja* bieda mnie i dziatkom moim...

Parę pięści wyciągnęło się i odepchnęło pijaka, który też krokiem chwiejnym polazł ku arendarzowi, mrucząc.

— Chackielku, wódki daj... kiedy Boga boisz się jeszcze ze dwa kruczki daj... jeszcze z parę złotych mam... zapłacę... *Horkaja* biéda....

Klemens ujrzawszy, że pomiędzy starszyną i gospodarzami zanosi się na poważną rozmowę o interesie, wysunął się z tego grona i poszedł do innego, które przed kominem składało kilkanaście kobiet. Jadły one także to, co z domów przywiozły, o targu dzisiejszym rozprawiały, sprzeczały się, lub różne swe troski wzajemnie sobie opowiadały. Przy zbliżeniu się Klemensa, w gromadce téj wnet rozległy się piskliwe krzyki i chichoty. Dwoma szklankami miodu rozweselony i uzuchwalony parobek, znajomą jakąś mołodycę z Suchéj Doliny w ramię uszczypnął, a drugiéj coś takiego do ucha powiedział, że zaczerwieniła się jak piwonia i twarz ręką od niego zasłoniła. Inne, starsze, niby gniewając się, niby żartując, pięściami go odpychały i krzyczały, aby sobie do mężczyzn szedł. Wkrótce jednak ucichły wszystkie i wspinając się na palce nóg, jedne przez drugie patrzéć zaczęły na przedmiot, który parobek z za siermięgi wyjął i im pokazywał. Przedmiotem tym był spory obrazek przedstawiający jakąś świętą i oprawiony w ramki, pokryte złoconym papierem. Święta miała czerwoną szatę, złotą koronę nad głową, a w ręku trzymała błękitną palmę. Grubo nakładane jaskrawe farby obrazka i lśniąca przed ogniem pozłota ramek, wprawiły grono kobiet w pełen zdumienia zachwyt. Szeroko otwierały oczy i usta, patrzały, lubowały się i dopytywać się zaczęły, czy Klemens dla siebie śliczną i świętą rzecz tę kupił, czy dla kogo innego? On wiedział dobrze, dla kogo obrazek ten kupił, ale nikomu o tém nie powiedział i zanośliwie śmiejąc się z ciekawości i chciwości, które malowały się na twarzach bab, znowu go za siermięgę schował. Wtém z gromady gwarzącéj i pijącéj u okna, zawołał go mały, ruchliwy, z zadartym nosem człowieczek, wpół z chłopska a wpół już ze szlachecka ubrany, leśnik z pobliskiego dworu, który dziś u ojca jego krowę kupił.

— Klemens! wołał, hej, Klemens! wypij-no z nami. Żeby krowie zdrowo było!

Wychylił podaną mu czarkę i w szał wasołości wpadając, ku stojącéj w kącie beczce poskoczył, przechylił ją i znajdującą się w niéj wodę na podłogę wylał.

— Kaby krowa tyle mleka dawała! krzyknął.

Grzmot śmiechu zatrząsł izbą, kobiety piszczały, spódnice podnosiły i do przeciwległych kątów uciekały. Szeroki strumień wody od ściany do ściany płynął, niosąc po spadzistościach nierównéj podłogi, rzucone wprzódy na ziemię skorupki jaj, łupiny ogórków, głowy i ogony śledziów. Klemens zniknął w wirze kilkunastu chłopów, którzy go z czarkami w rękach otoczyli, a pomiędzy którymi był także Szymon, pociągający go wciąż za rękaw i z czarką w ręku mruczący...

— Pożycz *hroszy*, Klemens, *zmiłujsia* pożycz... choć złotówkę... wszystkie swoje już przepił... *Horkaja* dola mnie i dziatkom moim...

Zmrok zapadł zupełny. Posługacze karczemni, postawili na stołach, w różnych miejscach izby, trzy cienkie łojówki w mosiężnych i otłuszczonych lichtarzach.

Stepan Dziurdzia głośno do téj pory przywodził w niewielkiéj jakiejś gromadce, widocznie uszczęśliwiony tém, że choć raz, gdziekolwiek i komukolwiek mógł przywodzić. Kiedy błysnęły światełka łojówek, spostrzegł on starszynę otoczonego mieszkańcami Suchéj Doliny i poważnie coś do nich prawiącego. Na bronzową, pomarszczoną twarz Stepana, wybijały się rumieńce, pochodzące od żywych rozpraw, w których réj wiódł i od wódki, którą wypił. Zaciekawiło go jednak, co téż sąsiedzi ze starszyną rozprawiają i przysunąwszy się ku grupie, którą składali, słuchać zaczął.

— Tak już trzeba, panowie gromada, prawił starszyna, inaczéj nie można, bez tego już nic. *Planipotentów* sobie wybierzecie, żeby od was wszystkich do miasta poszli i *hadwokata* najęli, *pierwsza* rzecz *planipotentów* wybrać... a druga *hadwokata* nająć. Całą gromadą nie będziecie do *hadwokata* i do sądu chodzić... *Planipotenty* wasze będą chodzić... którego tam dnia do starosty zejdźcie się wszyscy i naradę zróbcie: kogo wybrać? kto u was najmądrzejszy i na największe *uważanie* zasługuje!

Dziurdziowie, Budrakowie, Łobudowie i kilku innych, przed siedzącym starszyną stali, uważnie słów jego słuchając. Gdy skończył, parę głosów ozwało się.

— Na co nam na późniéj odkładać. My i teraz wybór zrobić możem... niechaj pan starszyna świadkiem będzie.

— Ale, potwierdzili inni, możem, czemu nie możem...

— Nie wszyscy my tu, ktoś zaprotestował.

— Nic nie szkodzi. Co my *tut* postanowim, na to zgodzą się wszyscy, twierdził starosta Suchéj Doliny, Anton Budrak.

— A ile tych *planipotentów* trzeba? zapytał Piotr.

— Trzech, odpowiedział starszyna; więcéj nie trzeba, ale trzech, to już koniecznie trzeba.

Stepan w téj chwili pociągnął Piotra za rękaw i szepnął.

— *Skaży*, Pietruk, żeby mnie na *planipotenta* wybrali...

Ale kilkanaście głosów szept jego zagłuszyło.

— Najpierwéj to już starostę prosim...

Okrągła, pulchna, z konopiastym wąsem i zadartym nosem twarz Antona zajaśniała nakształt księżyca w pełni.

— Dobrze, odpowiedział, będę, czemu nie będę? A więcéj kogo?...

Stepan już pięścią całą w bok Piotra uderzył.

— Nu, odezwij się... *skaży*, żeby mnie wybrali...

Oczy mu aż gorzały żądzą odznaczenia, a może i przywiązanéj doń ruchliwéj czynności. Ale chłopi plenipotentem drugim obwoływali starego Łobudę, który drapiąc się w łysinę, prosił, aby go od *chłopotów* tych uwolnili, a obciążyli niemi lepiéj którego z jego synów. Najstarszy, Pilip, oświadczył sam, że nie odmówi, choć mu ciężko będzie gospodarstwo opuszczać i do miasta jeździć, ale nie odmówi.

— Niechaj *budzie* Pilip, zgodzili się chłopi.

— Nu, a trzeci? zapytał starszyna.

— Trzecim niechaj już będzie Pietruk Dziurdzia...

Piotr wyprostował się tak jak kiedyś, gdy go za starostę wybierano i z rozjaśnioną twarzą za *uważanie* podziękował. Stepan, znowu go pięścią w bok uderzał.

— *Skaży* Pietruk, żeby za czwartego mnie obrali..

Piotr rękę do włosów z zakłopotania niosąc, odezwał się jednak.

— Możeby na czwartego Stepanka wybrać...

— Nie trzeba czwartego, zakrzyczano go ze stron wszystkich, pan starszyna powiedział, że trzech trzeba, więcéj nie trzeba...

— To może na moje miejsce Stepana obierzecie, zaproponował Pilip Łobuda; i *owszem*, dodał, mnie ciężko będzie i nie chce się...

— Nie *chcemo* Stepana! krzyknęli wszyscy, na co nam on? z drugimi *planipotentami* tylko kłócić się będzie..... o pierwszeństwo i o wszystko...

— Jeszcze *hadwokata* wybije, ozwał się ktoś ze śmiechem.

Stepanowi krwiste rumieńce buchnęły do twarzy, w sam środek gromady wparł się i hałasować począł. Dowodził, że wybory nie były prawne, bo wszyscy gospodarze Suchéj Doliny nie byli tu obecni, że jego na *planipotenta* wybrać muszą, a jeżeli nie, to on do sądu pójdzie... Wszczęła się kłótnia i przyszłoby pewnie do pięści, ale starszyna podniósł się z ławy i na Stepana krzyczeć zaczął, grubych wyrazów i przezwisk nie żałując. Czuł się on osobiście obrażonym.

— Co to nie prawne? krzyczał, kiedy ja tu jestem, to wszystko prawne? ja tu *najwyższejszy* i wszystko stanowić mogę... Mnie sam cesarz nad wami utwierdził... jeżeli zechcę ułaskawię, a jeżeli zechcę do *katorgi* ześlę...

Stepan zmięszał się na chwilę, ale wnet potém z zawadyacką miną na arendarza o garniec wódki krzyknął i wraz z kilku przyjaźniejszymi sobie ludźmi, opodal nieco od starszyzny, zawzięcie pić zaczął.

Piotr tymczasem trunkiem rozmarzony, spadłym nań zaszczytem rozweselony, z kolei częstował starszynę i sąsiadów.

— *Dziakuju*! panie starszyno! *dziakuju*, panowie gromada! nieustannie powtarzał a potém, stanąwszy przed Antonem Budrakiem, z czarką w ręku i przymrużonemi oczami, mówił.

— Ty *planipotent* i ja *planipotent*, ty starosta i ja starosta... tak i *pocałujmy sia*...

Całowali się tak głośno, jakby korki z butelek wyskakiwały...

Ogólna zresztą pijatyka dosięgła w téj chwili stopnia wysokiego, ale odznaczała ją szczególność pewna. Ludzi, którzyby tak jak Szymon Dziurdzia upijali się na swoją rękę i bez przyczyny żadnéj, było bardzo niewielu. Ogromna większość piła na zabój, ale z powodu traktamentów i okazyi, a okazyą było tu wszystko: koń sprzedany, krowa kupiona, spotkanie się znajomych, pogodzenie się skłóconych, wspomnienie o ojcu, który rok temu umarł, projekt ożenienia syna, lub wydania za mąż córki. Wesołe czy smutne zdarzenie, zysk czy strata, przyjaźń czy kłótnia, nadzieja czy żałość, wszystko wywoływało traktament, po wiele razy z kolei odwzajemniany. W izbie panował niesłychany chaos głosów, na przeróżne tony nastrojonych i poruszeń, przeróżne stopnie i natury pijaństwa objawiających. W jedném miejscu izby toczyła się bójka, zakończona wypchnięciem za drzwi zwyciężonych, w inném, przyciskano do ściany żyda-arendarza, który krzyczał ze strachu, to znów łajał chłopów przeraźliwie go łających; gdzieindziéj, dwaj parobcy, ująwszy się pod boki, do dwóch rozsierdzonych kogutów podobni, kołysali się przed sobą, monotonnym głosem wymawiając wciąż jedne i te same

słowa. Kilku mieszkańców Suchéj Doliny, z czarkami w rękach, lazło całować starszynę, który także mocno podpiły rozparł się na ławie i tak już wielką swą czapkę głęboko na twarz nasunął, że samą prawie rudę brodę z pod niéj widać było. Chłopi jednak dostawali się mu do policzków i cmokając w nie, powtarzali.

— Ty z nas *najwyższejszy*, ty nad nami wszystkimi jak ojciec...

Szymon przeciwnie, podszedł teraz do niego z miną zawadyacką.

— Ty mnie gospodarstwa opisywać nie śmiéj! Krzyczał, bo jak opiszesz, zabiję... dalibóg zabiję... choć ty starszyna, a taki zabiję.. i *budzie* tobie *szabasz*!

Piotr Dziurdzia stał naprzeciw Maksyma Budraka.

— U ciebie córka, prawił, a u mnie syn... niech będzie pochwalony Pan Bóg *najwyższejszy*. A Budrak jednocześnie mówił.

— U ciebie syn, a u mnie córka... Czemu nie ma być woli boskiéj... będzie... tylko swatów przysyłaj...

— Przysyłaj! twierdząco powtórzył Piotr i podnosząc w górę wskazujący palec, z namaszczeniem zaczął znowu.

— U ciebie córka, u mnie syn... niechaj *jak toj kazau*, boska siła przezwycięży czartowską siłę...

W tém Klemens ojca za rękaw kożucha pociągnął.

— *Jedziom* do chaty, tatku, cienkim, proszącym tonem zapiszczał.

Był także pijanym ale jeszcze dość przytomnym. Zachciało mu się wracać do domu, aby co prędzéj Nastce obrazek oddać. Piotr spojrzał na syna, zdziwionemi jakby oczami i z gniewem krzyknął.

— A ty chory był! tylko co nie umarł! *Czartowskaja* siła chorobę tę tobie robiła...

Klemens splunął.

— *Kab* ona świata nie widziała, ta co mnie téj biedy narobiła! *Jedziom* do chaty, tatku!

I za rękaw od kożucha ciągnął ku drzwiom ojca, który, dając się pov dować synowi, na Maksyma oglądał się i krzyczał.

— Pamiętaj, Maksym! u ciebie córka, u mnie syn... Niechaj przed królestwem niebieskiém przepadnie czartowskie królestwo...

Przy samym progu ojciec i syn natknęli się na Szymona.

— A ty czego tu jeszcze łajdaczysz! krzyknął na krewnego Piotr; do chaty tobie... a to ostatnię kopiejkę przepijesz...

— Już i przepił... wnet prawić zaczął Szymon,—już to co za żyto i groch wziął do ostatniéj kopiejki przepił... już i *szabasz* mnie i dziatkom moim...

Wychodząc Piotr i Klemens wypchnęli sobą Szymona naprzód do sieni, a potém na placyk, okryty jeszcze chłopskiemi saniami i końmi, choć część pewna biesiadujących, rozjechała się już przed tém. Tu zobaczyli Stepana, który z szyi konia swego worek zdejmował i zabierał się do odjazdu.

— Hej, *dziadźku* krzyknął Klemens, poczekaj, razem pojedziem...

Stepan miał pijaństwo ponure i złośliwe; za całą odpowiedź zaklął przez zęby, a potém do Piotra krzyknął.

— A taki, szelmo ty, ja *planipotentem* będę... słyszysz?

— A ty nie łaj się... bo nie ma za co... niechaj będzie pochwalony Pan Bóg najwyższejszy, na wieki *wiekou*... odpowiedział Piotr.

Szymon lazł także do sań swoich, mrucząc.

— Nie dała... szelma wiedźma hroszy nie dała... *kab* ona tego świata nie oglądała... a teraz tobie i dziatkom twoim *szabasz*!

Troje sań Dziurdziów, z których pierwsze zajmowali Piotr z Klemensem, jednocześnie od karczmy odjechały i drobnym truchcikiem chłopskich koni przesunąwszy się przez miasteczko, znalazło się wkrótce pośród śniegiem usłanych pól.

Zimno! Mróz nie duży, dziesięć stopni może, nie więcéj, ale wiatr silny dmie i z ziemi podnosi tumany śniegu. Z góry też śnieg pada, drobniutki jak pył, twardy i gęsty. Księżyc świeci, ale nie widać go za białemi chmurami, które ociągnęły całe sklepienie nieba i choć noc ciemną nie jest, mało co widziéć można przez tę mgłę śnieżną, która pada z góry i podnosi się z nad ziemi. Wiatr ją skręca w kłęby lub wielkiemi płachtami rozpościera w powietrzu, a światło księżyca z za białych obłoków przenika ruchome jéj wnętrze białą światłością, która nie oświéca nic.

Sześć wiorst tylko dzieliło miasteczko od Suchéj Doliny i cała prawie prowadząca doń droga wysadzana była drzewami. W śnieżnéj mgle, drzewa te szarzały nakształt błądzących po polu widm, ale Dziurdziowie rozpoznawali je od czasu do czasu i zacinając konie, coraz więcéj przestrzeni za sobą pozostawiali. Żaden z nich nie spał. Piotr czasem z akcentem nabożeństwa wzdychał, lub coś szeptał; Klemens kilka razy gwizdać rozpoczynał; Stepan konia swego głosem ponurym do pośpiechu zachęcał; Szymon, na saniach swych leżąc prawie, stał się dziwnie rozmownym i krzykliwym. Szumiący i gwiżdżący wiatr słowa jego zagłuszał, on jednak nie dbając o to, czy jest przez kogo słuchanym, wykrzykiwał, komuś odgrażał się, na coś żalił się i kogoś przeklinał. Nagle, Klemens zawołał.

— Ot i Pryhorki!

Taką nazwę nosiło wzgórze obrosłe dębowym i brzozowym lasem, a o półtoréj wiorsty może oddalone od wysokiego krzyża, od którego już krótki tylko i prosty kawałek drogi do Suchéj Doliny wiódł. Ztąd już przestrzeń paru zaledwie wiorst rozdzielała ich ode wsi, ale tu także, znikały drzewa przydrożne a otwierała się gładka równina, wzdęta tylko przed samym już krzyżem kilku nizkiemi pagórkami, których w śnieżnéj zamieci zupełnie widać nie było.

Minęli Pryhorki i nic już przed sobą nie widzieli. Biało i biało: na niebie, ziemi i w powietrzu. Śnieg i śnieg wszędzie, ani drzewa, ani wiorstowego słupa, ani żadnego wzgórza. Klemens skręcił lejcami na lewo. Sanie zaryły się zrazu w śniegu.

— Gdzie ty pojechał? zaszemrał Piotr.

— Dobrze, tatku, tak trzeba, odparł parobek i raźnie zagwizdał. W gruncie rzeczy, gdyby go kto zapytał, dla czego zawrócił na lewo, kiedy od Pryhorek do Suchéj Doliny, droga wyciągała się prosto jak struna, nie umiałby odpowiedziéć. Był pewnym, że wcale nie zawracał i w potrzebie uroczyście by to zaprzysiągł.

Tamci dwaj nie kierowali wcale końmi swemi. Obaj na wznak na saniach leżeli. Stepan ponuro milcząc i jakby wsłuchując się w szmery wiatru; Szymon, wciąż gadając i wykrzykując. Jechali. Konie czasem tonęły w śniegu i wydostawały się zeń z trudnością, czasem, na gładszéj przestrzeni biegły sobie truchcikiem, czasem téż, pod płozami sań czuć było zagony, które wiatr gołocił. Nie drogą jechali, ale polem i nie zwracali na to żadnéj uwagi, dopóki znowu nie zamajaczyły przed ich oczami wzgórze i las Pryhorek.

— A toż co? zawołał Klemens, znów Pryhorki?

— Aaa! po jakiemu ty jedziesz? zadziwił się Piotr.

Wyrwał lejce z rąk syna i chcąc uczynić całkiem przeciwnie temu jak uczynił tamten, konia na prawo skręcił.

— Nie tak! z sań swoich krzyknął Stepan.

— Tak! *niebójś*, tak! odkrzyknął mu Piotr i jechał znowu dopóty, dopoki koń Piotra nie zagłębił się po kolana w jakimś rowie.

— Aaa! zadziwił się chłop, taki znów nie tak pojechali!

I z niewielką trudnością, wołaniem i ściąganiem lejców wyrwawszy z rowu tęgiego konika, zawrócił nazad. Dwoje sań innych zawróciło także, ale w ten sposób, że Szymon teraz znalazł się na przodzie. Jechali i jechali, aż znowu Stepan, z sań swoich do Piotra krzyknął.

— Znów Pryhorki!

— Pfu! zgiń, przepadnij nieczysta siło! splunął Piotr i na Szymona zawołał.

— Skręć nazad!

— *Naszto* mnie nazad! kiedy tak dobrze! odpowiedział nowy przewodnik.

— Może i dobrze! czy ja wiem, mruknął Piotr.

Klemens trząść się zaczął i dzwonić zębami.

— Tatku, odezwał się, mnie zdaje się, że znów ta choroba mnie bierze!

Choroba go nie brała, ale nieprzyzwyczajonego jeszcze do trunków, głowa od upicia się boléć zaczęła, a wicher przenikał kożuch i chłodem wdzierał się aż do szpiku kości. Piotr splunął znowu i szeptać zaczął.

— Panie niebieski, królu ziemski, zlituj się nad nami grzesznemi!...

— Zawracaj! krzyczał teraz na Szymona Stepan, zawracaj, Szymon! Nie widzisz, że nad staw pojechali!

Rozpoznał śród śnieżycy, cienie drzew, rosnących nad brzegiem stawu. Potężny głos jego, przebił się przez szum wiatru i dosięgnął uszu Piotra, który wnet konia zawrócił. Za nim zawrócili się dwaj inni.

Godzina przeszło upłynęła, odkąd wpół tylko przytomni i śnieżną zamiecią oślepiani, krążyli tak po równinie, zwracając się w różne strony i nie mogąc trafić na drogę, którą po razy wiele, w różnych już punktach w szerz przejechali.

— Czort tuman w oczy puszcza! odezwał się Piotr.

— Ale, potwierdził Klemens, coraz więcéj trzęsąc się od zimna.

Stepan do siebie zamruczał.

— Przyjdzie się człowiekowi jak psu zmarznąć.

A po chwili dodał.

— Jakby mnie nie stało, to ta *niehodna* ze wszystkiém by już Kaziuka zamęczyła....

I westchnął.

A Szymon na swoich saniach lamentował.

— Oj, *horkaja*, *horkaja* dola mnie i dziatkom moim!

Wtém Klemens podniósł się trochę na saniach i tonem wielkiego przestrachu krzyknął.

— Znów Pryhorki....

Piotr podniósł się także i wzrok wytężył.

— A jakże! Pryhorki, potwierdził. *Czort* wodzi, taki już nie naczéj... Czort uwziął się dziś na nas, tuman w oczy rzuca i wodzi...

— Po jedném miejscu wodzi... zauważył Klemens.

— Ale, po jedném miejscu. Czort, nie inaczéj... złaź z sań...

Wysiadł z sań i syna wołał.

— *Budziem* drogi szukać....

Wysiedli obaj, a nadjeżdżające sanie Stepana z temi, które się zatrzymały, zetknęły się tak blisko, że płozami zaczepiły się o ich płozy.

— *Chadziom* drogi szukać... krzyknął Piotr na Stepana i Szymona.

Wszyscy czteréj brnąc w śniegu, postąpili kroków kilka, wtém Klemens zawołał:

— *Baczysz*, tatku, *baczysz*? (widzisz?).

Rękę wyciągał do szarzejącego, ruchomego cienia, który teraz właśnie wychylił się z za lasu Pryhorek i dość zbliska, powoli, przesuwał się w śnieżnéj mgle.

— W imię Ojca i Syna...— przeżegnał się Piotr — zgiń, przepadnij nieczysta siło....

Stepan najodważniejszy parę kroków jeszcze naprzód postąpił.

— Czort czy baba... wahającym się głosem wymówił.

— Baba... zaczął Szymon—szelma baba, *hroszy* nie dała, wiedźma ta... ja jéj jak matki prosił... Oho! poczekaj!

I puścił się naprzód. Po paru sekundach, całą siłą swych pijanych nóg ku zarytym w śniegu saniom powracał. Przypadł do swoich sań i sapiąc, klnąc, wyciągać z nich zaczął jeden z poprzecznych drągów składających siedzenie i przykrytych słomą.

— Ona sama—bełkotał—wiedźma ta... czortowa przyjaciółka... kowalicha *proklataja... hroszy* nie dała, a po nocy ludzi na zmarznięcie wodzi....

— Ona! znów ona! — krzyknął Piotr i także poprzeczny drąg z sań wyciągać zaczął.

— Niechaj czartowska przepadnie przed boską siłą... niechaj boska siła przezwycięży czartowską siłę.... *Pohana* dusza jéj... synka mnie zgubić chciała, a teraz znów na polu zamrozić... nie doczekanie jéj....

— Czego ona do naszéj familii przyczepiła się i prześladuje... krzyknął Klemens. — Czy to już moja młodzieńka głowa przepadać ma przez nią?...

Stepan tchu z ust nie wypuszczał, ale także poprzecznicę z wozu wyciągał... W napełniających świat białych ciemnościach, twarze ich niewidzialne były, ale z głośnych sapań ich piersi, z ponurych mruczeń i pijanych wykrzyków, bił wzbierający wulkan namiętności najsroższych, trwogi i zemsty. Minuta upłynęła, a w mgle śniegowéj o kilkanaście kroków od trojga skupionych z sobą sań zaciemniała szamocąca się gromadka ludzi i wzniosły się krzyki i jęki straszne, które jednak wicher przykrywał swym szumem i wraz z pogwizdami swemi niósł na szerokie, burzą huczące pola...

Pięć minut upłynęło a wielka fala wiatru, rozsuwając na chwilę mgłę śnieżną, ukazała drogę, jak struna prosto wyciągającą się w przestrzeni, a na téj drodze, troje sań, na których siedzieli czteréj chłopi. Czartowską moc zniszczyli i drogę znaleźli. Konie zacięli, przeciągłemi głosy na nie zawołali, szybko posunęli się gładkim szlakiem drogi i w gęstych znowu zamieciach śnieżnych zniknęli. Za nimi Pietrusia, żona Michała kowala, nieruchomą plamą ciemniała na białéj ziemi. Kijami połamali jéj pierś i żebra, młodą twarz krwią zaleli i zostawili na pustém polu, na szerokiém polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukom i kawkom na strawę.

ZAKOŃCZENIE.

W sali sądowéj gorąco od ścisku i świateł. Od długich rozpraw i późnéj godziny nocnéj, ciężkie znużenie napełnia powietrze. Drzwi szczelnie zamknięte i pilnie strzeżone otwierają się nakoniec. Z głuchym szmerem powstaje z miejsc swych publiczność; obwinieni podnoszą się także w swéj ławie. Długim szeregiem sędziowie przysięgli opuszczają miejsce swych obrad; jeden z nich, w postawie pełnéj powagi, donośnym głosem odczytuje cztery pytania, z których każde stosuje się do jednego z obwinionych, a zakończone być ma odpowiedzią bardzo krótką: winien, niewinien.

Cztery razy w głębokiéj ciszy, po rzęsiście oświetlonéj i tłumem ludzi napełnionéj sali, donośnie rozbrzmiewa wyraz.

— Winien, winien, winien, winien.

Po krótkiéj przerwie głos inny donośnie ogłasza wyrok.

Piotr, Stepan, Szymon i Klemens Dziurdziowie skazani na pozbawienie wszelkich praw ludzkich i obywatelskich, dziesięć lat ciężkich robót w kopalniach i dośmiertne pozostanie w Syberyi.

Skazańcy słuchali, słuchali. Głos ogłaszającego wyrok umilkł... Stało się. Po bladéj jak chusta twarzy Piotra, jedna za drugą ciekły łzy, ciche, ciężkie, a ręce jego podnosiły się zwolna i splatały u piersi.

— Panie niebieski, *krolu* ziemski, niech *budzie* wola twoja jak w niebiesiech tak i na ziemi—wymówił głośno, wyraźnie i zapatrzył się w górę.

Stepan ani drgnął, tylko na zmiętą w tysiąc zmarszczek twarz jego spadł krwisty rumieniec, a z czarnych oczu strzeliła rozpaczna i zarazem groźna błyskawica.

Szymon pozostał jak był, z obwisłemi rękami, otwartemi usty i mokrym, osłupiałym wzrokiem. Zdawać się mogło, że wszystko na

świecie było już mu obojętném. albo że nawet nie rozumiał wcale czém odtąd miała mu być przyszłość.

Ale za tym pijakiem i głupcem podniosły się w górę dwa silne, młodzieńcze ramiona i dwie dłonie, które nie miały jeszcze czasu stwardziéć i zczernić w pracy, konwulsyjnym ruchem wpiły się w gęstwinę płowych jak len włosów. Włosy swe w obie garście Klemens pochwycił i głośnym płaczem ryknął....

Potém, po jednemu, ławę swoją opuszczać zaczęli i powoli, ciężko stąpając, z kolei wchodzili w nizkie drzwi, które otworzyły się przed nimi, a za któremi widać było boczną sień budynku, ciemnością swą odbijającą czarno od rzęsistego oświetlenia sali. Z powodzi świateł, jeden po drugim wstępowali oni w tę czarną ciemność, za ostatnim z nich zniknęli dwaj zamykający pochód zbrojni żołnierze. Niskie drzwi zamknęły się zwolna, bez szelestu....

Eliza Orzeszkowa.

Z WYCIECZKI

CZŁONKÓW ZJAZDU ARCHEOLOGICZNEGO WE LWOWIE

DO BOHORODCZAN

10 Września 1885 r.

Ani się śniło napewno nigdy żadnemu ze sławetnych, obojga obrządków, obywateli skromnych Bohorodczan, aby ich mieścina— gdzieś na rębach ustronnego Pokucia rozsiadła—miała kiedy obudzić żywsze, w wysokich nawet sferach nauki, zainteresowanie się! Szczęśliwy przecie wypadek, zaszły przy okazywaniu okolic i rzeczy godniejszych widzenia na Rusi halickiéj ciekawemu cudzoziemcowi (Tissot'owi), doprowadził najniespodziewaniéj do zwrócenia na nią szczególniejszéj uwagi. Oto bowiem prezes Towarzystwa archeologicznego i konserwator z urzędu zabytków starożytności we Wschodniéj Galicyi, hr. Wojciech Dzieduszycki odkrył w ubogiéj cerkiewce tamecznéj pomnik tak niepospolitéj wartości, że stanowi on może najbardziéj doskonały wzór tego zespolenia organicznego w krainie sztuki żywiołów wschodniego z zachodnim, jakie tak wybitnie charakteryzowało w ubiegłych wiekach życie Rusi Czerwonéj we wszelkich zakresach i przejawach onego. Pomnikiem zaś tym jest przechowany tutaj wspaniały „ikonostas" słynnego niegdyś „skitu" (monasteru) błahoczestywych mnichów w niedalekich ztąd Maniawach.

Przygytowani nieco wstępnym odczytem p. Dzieduszyckiego „O rozwoju sztuki ruskiéj"—wygłoszonym zajmująco zaraz w dniu odkrycia zjazdu archeologicznego, przygotowani widokiem ciekawym sprowadzonego na jego wystawę ikonostasu z Rohatyna oraz przeróżnych a bogatych w artystyczném i starożytniczém znaczeniu przedmiotów cerkiewnych z Krechowa, Żółkwi, lwowskiéj „stawropigii" etc. etc.—daliśmy się łatwo skłonić ku programowéj w drugim dniu Zjazdu wycieczce do Bohorodczan.

Zapowiadająca się niemile słota nieomal przecie nie zniweczyła zupełnie naszego zamiaru. Raniutko dnia 10 września stanęło jednak kilku z nas na dworcu czerniowieckim. Ztąd pociągiem pośpiesznym ruszyliśmy do Stanisławowa a daléj już zwirówką aż do leżącego o parę mil, za Dniestrem w głąb ku Karpatom, celu naszéj wyprawy.

Nie obiecywaliśmy sobie wcale—trzeba to wyznać—jakiejś znaczniejszéj zdobyczy dla nauki, mimo zapewnień przewodniczącego wycieczce naszéj samego odkrywcy pomnika, a nadto zmitrężeni byliśmy słotą, która nie pozwoliła nam nawet należycie odpowiedzieć na uroczyste powitanie nas przez starszyznę miejscową wiwatami z moździerzy, muzyką itd. itd. O ileż za to głębsze musiało być, jak zrozumiéć łatwo, niespodziane wrażenie, wywołane już przy pierwszym rzucie oka, gdyśmy się znaleźli w obec przepysznego ikonostasu przed ołtarzem ubożutkiéj cerkiewki! Nie było już miejsca dla powątpiewań!

Istotnie, co się wiedziało innemi drogami, z zakresu innych dziedzin o charakterze przeszłości Rusi Czerwonéj, naraz znalazło potwierdzenie całkowite, namacalne i w przysłoniętéj dotąd ciemną mgłą nieświadomości dziedzinie sztuki. Co więcéj, potwierdzenie w stopniu doskonalszym, wyrazistszym bardziéj, że tak powiemy, plastycznym.

Cały ikonostas, w obliczu którego znaleźliśmy się, ze wszystkimi onego szczegółami, jest dziełem—o ile z ogólnych wskazówek a nawet napisów, zbyt rzadkich na nieszczęście, wnosić można, z początku XVII-go w., dopełnianém przecie, domalowywaném w wieku następnym. Wszystkie w nim motywa, wszystkie koncepcye, daléj ikonograficzne modły—wszystko to wschodnie, byzantyńskie, tak w ogóle jak prawie we wszelakich szczegółach. Rutyna formalistyczna grecka zachowana wszędy: czy to zatrzyma naszą uwagę „archirej“ (Chrystus) u góry, czy większe „ikony“ po obydwu stronach wrót rajskich lub wyżéj nad tém święci apostołowie, czy drobniejsze pod temiż długim szeregiem a urozmaiconéj treści „praźniczki,“ czy nakoniec boczne obrazy i obrazki ikonostasu. Ale za to artystyczne wykonanie, ale za to duch jaki zewsząd wieje, tryb saméj malatury, styl—wszystko to całkowicie zachodnie: Renesans (resp. rococo) najwyraźniejszy a bogato urozmaicony. Nie jest to bowiem dzieło jednéj szkoły a tém mniéj jedynego artysty, owszem wyróżniać tu się dają obok wpływów idealizmu włoskiego wzory flamandzkiéj iście rodzajowości i cechy szkoły niemieckiéj, a oprócz tego jakiś rodzaj nieokreślony, przy akcesoryach dobitnie lokalnych, jaki chyba stylem polskim ówczesnym nazwać byśmy się kusili. Naj-

mniéj zaś czterech, pięciu malarzy wyróżnić by tu można, a gdyby nadto chciało się uwzględnić i stopnie wartości artystycznéj, to trzeba by przypuścić i większą ich ilość. Co zaś dotyczy nakoniec owéj wartości artystycznéj malowideł ikonostasu niezależnie od ich znaczenia historyczno-charakterystycznego, wypada tu na zamknięcie zaznaczyć, że nawet już sama podniosłość piękna estetycznego, w kształty którego przyoblekł się fakt stanowiący istotę wewnętrzną przeszłości Czerwonéj Rusi, byłaby wystarczającą dla zwrócenia powszechniejszéj uwagi. Nie dosyć tego bowiem, że ten oto pomnik, przechowany w Bohorodczanach, jest w ogóle wyższym pod względem artystycznym od innych lepiéj znanych po Haliczyznie, jak ów naprz. zdobiący salę doraźnéj Wystawy archeologicznéj ikonostas z Rohatyna; lecz zaiste nie jeden z poszczególnych onego obrazów, drobniejszych osobliwie, nie zrobiłby ujmy watykańskiéj nawet galeryi. Jednèm słowem pomnik ten nasz jest wyrazem zespolenia się w życiu ubiegłèm Rusi Czerwonéj, w krainie sztuki, pierwiastków—wschodniego z zachodnim, byzanckiego z rzymskim, ruskiego z polskim—nie tylko najdoskonalszym, lecz i estetycznie, w swéj całości, najpiękniejszym może.

Ztąd naprawdę zasługuje on na najpilniejsze zbadanie pod każdym względem. Już sama umyślna programowa wycieczka członków tego pierwszego rusko-polskiego zjazdu archeologicznego we Lwowie—dla pobieżnego choćby obejrzenia go—nada mu szerszego rozgłosu. Daléj wniesiona (przez p. Z. Cieszkowskiego) na ostatniém posiedzeniu Zjazdu myśl wyjednania dlań uznania oficyalnego za pomnik „narodowy“, tyle co „national“ po austryacku—mimo niewczesnego protestu (prof. Szaraniewicza) domagającego się, by go uważano tylko za „krajewyj“, zapewni mu może większe środki należytego podtrzymania. Nakoniec postanowienie Towarzystwa archeologicznego Wschodniéj Galicyi wydania jak najśpieszniéj albumu fototypicznego wszystkich szczegółów tego nieocenionego zabytku, wyrażającego tak żywo a barwnie rodzaj i stopień kultury estetycznéj jednéj z piękniejszych krain staréj Rzpltéj w epoce najpotężniejszego jéj życia, dozwoli następnie i dalekim uczonym archeologom i artystom robienia nad nim głębszych studyów porównawczych.

Nim atoli to nastąpi, nim wyczerpujące badania wyświetlą nam i rozjaśnią istotne znaczenie pomnika, rozważone wszechstronnie, znaczenie tak artystyczne jak ściśle dziejowe, wypada tym, co go choć pobieżnie przy okoliczności téj archeologicznéj wycieczki oglądali, wypowiedzieć poprzednio w głos a z własnego względnie stanowiska osobiste swe widzenie przedmiotu. Nie tyle właściwie dla za-

interesowania szerszéj publiczności, ile ażeby, przez postawienie natychmiastowe żywych kwestyi i postulatów, zmusić specyalistów ku tém skorszemu przystąpieniu do badań stanowczych. Każdy z nas, uczęstników wyprawy do Bohorodczan zdobył nadto tém więcéj prawa do wypowiedzenia tych kwestyj i postulatów, im więcéj poddał się pewnemu wyjątkowemu nastrojowi, charakteryzującemu tak wybitnie ten pierwszy archeologiczny zjazd lokalny na Rusi Czerwonéj. Już bowiem narazie i na miejscu, jeśli mniéj w dyskusyach na posiedzeniach publicznych, tém więcéj za to w żartkich rozprawach prywatnych pomiędzy żywiéj zainteresowanymi, przy każdéj ubocznéj nawet okoliczności wypowiadały się i wyrabiały przedwstępne zdania i sądy. A bądź co bądź, jakkolwiek Zjazd cały zamkniętym został w arcyskromniutkie granice, to przecię, gdy wszystko tu się skupiło przeważnie, koło wywieszonéj jakby u wstępu chorągwi w temacie naczelnego odczytu „O rozwoju sztuki ruskiéj“, w znaczeniu miejscowém czerwono-ruskiéj oczywiście—możnaż było temat ten wszechstronniéj a wzorzysto ilustrować! Sama wystawa archeologiczna chociaż w ogóle bogatą zwać się nie mogła, to działy jéj etnograficzno-artystyczne, swém urozmaiceniem, zasobnością i charakterem dziejowo-lokalnym nie pozostawiały prawie nic nadto do życzenia. Wreszcie miejsce zjazdu, stolica kraju Lwów, stało również otworem jak jedna wielka rozczłonkowana wystawa starożytnicza. Sędziwe wiekiem świątynie obojga obrządków, muzea publiczne imienia Ossolińskich, imienia Dzieduszyckich, Stawropigia itd. itd. dopełniały z naddatkiem to, czego brakowało na doraźnie urządzonéj wystawie zjazdu. Znajdowały się tedy wszędzie przedmioty porównań, nadarzały się okoliczności do sprawdzeń, sprostowań lub umocnienia za pośpiesznie rzuconych czy powziętych zdań o zasadniczych żywiołach—swojskich i obcych, charakterze oraz wyżynie sztuki a za nią i kultury ogólnéj na Rusi halickiéj, z epoki ubiegłego jéj życia w szerokim związku bliżéj i daléj pokrewnych ziem staréj Rpltéj. Punktem wyjścia wszelako pozostawał zawsze przechowany w Bohorodcznach pomnik maniawski.

Wróćmyż ku niemu.

Nieoceniona to zaprawdę opora dla studyów nad dziejami miejscowéj kultury. Cóż ta za swoboda zachodnia, w ścisłych szrankach byzantyjskich bije promiennie z tego ikonostasu! Ktoś niewtajemniczony w warunki miejscowe a daleki, pomyśléć gotów: ha, cóż dziwnego, unia kościołów sprowadziła ostateczną przewagę Zachodu wszędy, a témbardziéj w sztuce. Ależ właśnie w tém rzecz najgłówniejsza, że to jest zupełnie inaczéj? Maniawy i ikonostas ich ustronnego „skitu“ nie mają nic z unią wspólnego. Pomijając z uwa-

gi, iż cerkiew Czerwonéj Rusi, t. j. dyecezya lwowska i przemyska przystąpiły właściwie do unii w początku XVIII wieku, bo na synodzie zamojskim dopiero, że zatém pomniki sztuki cerkiewnéj z początku wieku XVII-go dziełem unii tu nie były, skit maniawski nie przestawał być w błahoczestyju (dyzunii) aż do samego zniesienia go przez cesarza Józefa II-go. Motywa też samego zniesienia charakterystyczne: że niby monaster ten był gniazdem propagandy północnéj. Po zamknięciu zaś skitu maniawskiego, unicka gmina bohorodczańska skazany na zbutwienie ikonostas u niemieckiego urzędu za 80 czy 90 złot. reńskich nabyła. Pomnik więc ten przynależy w przeszłości do cerkwi błahoczestywéj, ortodoksalnéj wyłącznie.

Tyle wschodnio - ortodoksalny a tak renesansowo - zachodni z charakteru! Jakże to pogodzić? Ale pytajmy daléj podania o jego pochodzeniu.

Maniawy były zawsze jednym z głównych przybytków błahoczestyja wschodniego. W początku w. XVII-go, w czasie rozpoczętej po całéj Rusi walki między zwolennikami unii z Rzymem a jéj przeciwnikami, miały się cieszyć szczególniejszą opieką domu ks. Ostrogskich, mianowicie wojewody kijowskiego Konstantyna, którego obrażona fantazya jego z dynastyczna pańska, bardziéj niż gorliwość religijna, wyniosła była na widomą głowę nie dających się zachwiać dyzunitów. Pierwszy wiadomo ten pan z panów na Rusi, książę na Ostrogu, nie lubiący się dzielić swymi olbrzymiemi dochodami ze skarbem Rzpltéj, był tém hojniejszym, gdy chodziło o podsycanie ówczesnych ruskich walk domowych, nie tylko na pobojowiskach krwią zbraczanych lecz i w dziedzinach zapasów ducha. Mimo swego wystąpienia, ostatecznie za nietykalnością staréj ortodoksyi, był ks. Konstantyn przyjacielem idącego z zachodu ruchu reformacyjnego, zwolennikiem i opiekunem kultury zachodniéj, znał Włochy— gdy nawet pragnął był zawieść osobiście do Rzymu w upominku papieżowi unię—etc. Nic więc zastanawiającego, gdyby jego to sumptem miał stanąć w pierwotnéj swéj postaci ów ikonostas tyle rutynę byzantyńską przekraczający. Taki przynajmniéj początek domniemany pomnika. Kto daléj łożył na jego podtrzymanie i następne przeróbki, w tymże rodzaju, czy sam konwent bezimiennie, czy pewne pańskie rody ruskie szczególniéj? Niech nam to przyszły badacz historyi skitu maniawskiego wykryje. Z góry jednak już wiemy, że tu obrządek wcale nie uwarunkowywał charakteru kultury; decydował o niéj ogólny w Rzpltéj ruch cywilizacyjny. Nie raziło to kultu zachodniego, gdy przed dwoma wieki ściany kaplicy królowéj Zofii w katedrze na Wawelu okryte zostały freskami byzantyńskiemi, a których kalk kilka, z przed ostatniéj restauracyi

jeszcze, oglądaliśmy wywieszone dla wzoru na archeologicznéj wystawie. Témbardziéj razić nie mógł uczucia choćby najtwardszych ortodoksów wkraczający styl zachodni do cerkwi, gdy w w. XVII wszystkie warstwy zwierzchnie społeczeństwa czerwono-ruskiego— możnowładztwo i inteligencya — przesiąknięte były na wskróś europeizmem. Co więcéj tedy, poczucie estetyczne wymagało nawet dla zaspokojenia własnego form wyższéj cywilizacyi aż w surowéj świątyni greckiéj.

Styl byzantyński zresztą bardzo już wcześnie zaczął na Rusi Czerwonéj ustępować kroku przemożnym wpływom obcym, mianowicie romanizmowi i gotycyzmowi w budownictwie. Obok złomków starego zamku książęcego, świadczących o trybie jeszcze byzantyńskim, już najstarożytniejsza świątynia w Haliczu, dzisiejszy kościół ś. Stanisława, wzniesiona była w stylu romańskim (jak to potwierdził za innymi w odczycie swym, po małorusku wygłoszonym, o historyi tego miasta prof. Szaraniewicz). Cerkiewki zaś najstarsze drewniane (których oryginalne kształty postanowił upamiętnić w rysunku prof. politech. Zachariewicz) noszą widome ślady gotyki, dostrzeganéj wyraźnie w akcesoryach i na obrazach cerkiewnych znajdujących się na wystawie. Mimo to wszystko jednak, chyba za mocno istotnie zaakcentował w swym odczycie p. Dzieduszycki rozmiary wpływów obcych na Rusi, wskazując po przez Węgry aż na daleką Wenecyę. Słusznie też mu wskazano (prof. M. Sokołowski), zaraz w wywołanéj przez to dyskusyi, na trwałe tu znaczenie podstawowe byzantynizmu.

Co do mnie — jabym tu jeszcze na domiar tego powtórzył podniesioną przy okoliczności kwestyę samych dróg i przeobrażeń byzantynizmu w pochodzie onego od grodu św. Konstantyna ku wierzchowiskom Dniestru. Potrzebném mi to się być wydaje; nowe bowiem warunki życia zacierają łatwo świadomość warunków odmiennych w oddalonéj przeszłości. Przypomnijmyż sobie fakta. Ruś Czerwona późniejsza, wydarta jako „czerwieńskie grody“ Lachom starym przez Rusów (Włodzimierza) i pociągnięta w wir życia szerokiéj rzeszy rurykowskiéj, oczywiście poddać się musiała na razie przemożnym wpływom zwierzchniczego Kijowa; nadto—bardziéj może w zakresie kultury religijnéj niż politycznie nawet. Długo to jednak trwać nie mogło: poczucie odrębności miejscowéj brało górę, zresztą sam Kijów w XIII wieku upadł, a po upadku onego, nawet główne prądy życia całéj Rusi południowéj zwróciły się od Dniepru ku Karpatom. Wyłoniła się tam potrzeba stworzenia odrębnéj metropolii halickiéj a nawet królestwa ruskiego. Mimo pochylań się ku Rzymowi, trzymano przecież stale ze zbliżającém się ku upadkowi

Byzancyum, brano zeń po dawnemu natchnienia. Czy jednak już bezpośrednio? Przez Białogród dniestrzański, do którego miały sięgać czasem posiadłości halickie? Lecz owo słynne Moncastro było genueńskiém, a wogóle nawet droga morska przez Pont nie była tak łatwą. Nie pomijajmy z uwagi zresztą, że tak długo sam Konstantynopol w ręku Łacinników zostawał. Nakoniec przy średniowiecznéj ciemnocie, sama nieznajomość języka greckiego na Rusi utrudniała tam działalność prawych Byzantynów. Pośrednikami poważnego stosunku pomiędzy wschodem a Rusią mogli być i bywali od początku jedynie obyci z greczyzną Słowianie południowi. A właśnie od rubieży halickich po same bramy niemal Carogrodu zalegało, po przez Dunaj i Bałkany, całe odrębne społeczeństwo słowiańskie, stanowiące w epoce dominacyi łacińskiéj potężne carstwo włacho-bułgarskie, z osobnym patryarchatem słowiańskim, rozpościerającym szeroko swe ramiona. Tu było główne ognisko wschodniéj wśród Słowian kultury, ztąd ona rozpromieniała się na północ nadkarpacką i tu téż jéj źródeł szukać należy.

Nie przez Kijów już tedy daléj rozlewał się po Rusi Czerwonéj byzantynizm, lecz znacznie prostszą drogą: ze stołecznego bułgarskich patryarchów Ternowa, przez sąsiednią Soczawę wołoską. Nie mógł téż odwrócić kierunku tego przyrodzonego prądu i następny podbój turecki. Nie tyle zatém monastery naddnieprzańskie jaśniały dalekim dla Rusi halickiéj wzorem, ile prędzéj skity u podnóży Bałkanów, Ryło, Samoków itd. Tutaj téż kultura byzantyńska już poczynała ulegać przeobrażeniu, nie tylko pod naciskiem rodzimego ducha Słowian, lecz nawet pod powiewami zachodu, gdy cerkiew bułgarska już od swéj kolebki jakby ciągła kość niezgody między Konstantynopolem a Rzymem, poddawała się samochcąc wpływom tego ostatniego. Następnie i wpływ zachodu przedzierał się i na Ruś tędy, którędy dla nieświadomych był najmniej oczekiwanym — najpierw wierzejami cerkwi bułgarskiéj. Lecz obok tego ułatwiały mu téż dostęp niemały rozrzucone po zachodniém wybrzeżu morza Czarnego genueńskie emporya—daleko wcześniéj nim ostatecznie parokrotne zwierzchnictwo węgierskie i stałe potém polskie panowanie wpływ ten do stopnia dominującéj potęgi nie podniosły. Aż nastąpiło tak doskonałe przesiąknięcie się wzajem pierwiastków jednéj i drugiéj kultury, jakiego wzór w ikonostasie bohorodczańskim oglądamy. Wreszcie przesiąknięcie to wzajemne uderza wszędy i na wystawie archeologicznéj, w dziedzinach sztuki pięknéj: w zespoleniu motywów nawet i symbolów charakterystycznych. Oto np. jeden ze mszałów (ewangielii) w misternéj roboty oprawie srebrnéj — jakże tu w doskonałéj, organicznéj, że tak powiem, harmonii połą-

czone w pysznéj rzeźbie (na okładce) obadwa motywa odnośne do Bogarodzicy: u dołu „uśpienie“ (wschodni), po nad niém zaś „wniebowzięcie“ (zachodni przeważnie); ani znać tu jakiegoś spojenia przymusowego, rażącego.

Zastanawiając się daléj nad drogami, po których w ciągu wieków kroczyły tak byzantynizm jak prądy zachodnie, dostrzegamy wyraźnie przewagę pewną Rusi Czerwonéj nad Kijowem—pod względem stopnia wzajemnego ich na się oddziaływania w roli pośredniczéj obcym tym wpływom. Byzantynizm działał na pierwszą prostszą drogą — Kijów mimo żywego z nią zawsze moralnego stosunku, stał w tém zupełnie prawie na uboczu, a poniekąd sam czerpał wzory z Halicza; co zaś do wpływów zachodnich wyłączniéj — takowe pewnie z nad Dniestru przedewszystkiém ku Dnieprowi przenikały. Obecnie rozpowszechnione zapatrywanie się na kierunek głównych dróg pochodu byzantynizmu, oraz nieprzerwanéj roli pośredniczéj Kijowa powstało skutkiem zamglenia świadomości historycznéj, którą należy ożywić.

Po tych uwagach ubocznych, wracając do ogniskowego naszego przedmiotu, t. j. do ikonostasu bohorodczańskiego, nie od rzeczy będzie w zamknięciu zwrócić się na razie i *ad hominem*. Po samym odkrywcy tego zabytku, mamy tu na myśli przed innymi jednego z członków zjazdu i towarzysza naszéj wycieczki, młodego artystę malarza, p. Makarewicza, który oprócz zapału artystycznego posiada, jako haliczanin, żywszy zmysł rozumienia rzeczy dotyczących charakteru kultury miejscowéj. Rozmiłowany w studyach nad ikonografią cerkiewną i obeznany już z nią więcéj od innych artystów, mając sobie oddaném przerysowanie poszczególne całego wogóle ikonostasu, dla zamierzonego albumu fototypicznego,—mógłby on przy téj sposobności, uwzględniając wskazówki nie tylko ściślejszéj artystycznéj lecz i kulturowo-historycznéj natury — pilniéj i śpieszniéj zbadać zastanawiający ten zabytek niewyłącznie z jednéj strony estetycznéj. Niewyczerpany tam materyał etnograficzny nawet: spółczesne stroje (polskie), budowle, ornamenta, wzorki obyczajowe zatrudnień. Nie mówiąc już o wyświetleniu różnic indywidualnych samych malarzy, ich stylów, stopnia oryginalności lub naśladownictwa; nareszcie uwarstwowienia, że tak powiemy, chronologicznego, epoki wyraźnéj każdego z wyróżnionych artystów. Było by to wielkiém posunięciem rzeczy naprzód, wspierającém potężnie bardziéj kulturowo — historyczne studya nad przedmiotem, jakich mamy prawo się spodziewać najwięcéj po samym odkrywcy pomnika p. Dzieduszyckim. Panu Makarewiczowi zaś dałoby następnie poważną podstawę do badań rozleglejszych, chociażby nad zwrotami

rozwoju ikonografii halickiéj tyle oryginalnéj harmonijnie dwoistym swym charakterem, cechującym tak wybitnie Ruś Czerwoną we wszelkich przejawach jéj życia.

Jak głęboko w przeszłość sięgała dwoistość? Więc i o to pytaliśmy specyalnych badaczy. Przypomnieliśmy sobie, że przed epoką staro-ruską byłać tam epoka staro-lechicka; ale cóż, oprócz gołosłownéj wzmianki o fakcie zaboru kraju Lachom przez Rusów nic więcéj Nestor o tém nie podaje. To co mogło poprzedzić problematyczną epokę lechicką, mianowicie wpływy rzymskie — oczywiście z podbitéj Dacyi na północ się wdzierające, jest też wątpliwém: nawet owe wały „trojanowe,“ spotykane aż na dorzeczu średniego Dniestru, o których słyszeliśmy w odczycie archeologicznym (p. Kirkora) niema żadnego uzasadnienia wiązać z imieniem znakomitego Daków zwycięzcy.

Pierwociny kultury bardzo ciemne. Ów skarbiec złoty wykopany w Michałkowcach, jakiśmy w nielicznéem kole oglądali w muzeum imienia Dzieduszyckich, nic nam pod tym względem nie wyświetla; nie królewski to przecie skarbiec a jakiś hieratyczny, religijnie obrzędowy, osobliwie korona, pewniéj arcykapłańska—lecz jakiego kultu? Postacie konwencyonalne czy symboliczne jakichś zwierząt, bardzo semityckie, żydowsko-lichtarzowe — cośmy na razie sprawdzali. Wszystko oczywiście nie słowiańskie. Co gorzéj, prof. Wojciechowski, daléj posuwając się w swéj „Chrobacyi“, nielitościwie dla naszéj dumy rodowéj powiada: myśmy tu, Słowianie, bardzo późni przybysze, chyba z V-go wieku! A z odczytu (p. Ossowskiego) przedstawiającego porównanie świata przedhistorycznego z dokonanych wykopalisk porzecza Wisły i Dniestru, dowiedzieliśmy się tylko, że osiedlenie zaszło tam jednocześnie, lecz czy przez ludy jednego szczepu — odgadnąć nie można.

Tak głęboko sięgały kwestye rozwoju kultury Rusi Czerwonéj roztrząsane przez uczestników zjazdu archeologicznego i takie tylko były na nim dozwolone. Dla wyświetlenia ich zgromadzono na wystawę starożytniczą, co się zgromadzić dało z dworów pańskich, publicznych instytucyi i świątyń.

Ale tam naszych poczciwych Bohorodczan nic podobnego wcale nie obchodziło. Zajmowała ich zato żywiéj rzecz bliższa dla nich. Wcześnie przed zjazdem jeszcze, dla wzbogacenia wystawy — podobnie jak Rohatyńców (ks. kan. Dzerowicza) — proszono i ich także o przyzwolenie wzięcia ikonostasu na pewien czas do Lwowa, przy wszelkich rękojmiach moralnych prędkiego zwrotu. Paroch miejscowy (ks. dź. Paczowski), kapłan światły, zgadzał się na to chętnie. Ale inaczéj myślała nieufna parafia. Wprawdzie ikonostas

od złota nie kapał, cudami nie słynął, ale zawsze jednak posiadał urok starożytności, związanéj z legendą skitu maniawskiego. Otóż przezorniejsi niby ze sławetnych powzięli podejrzenie, że ozdobę tę ich cerkwi chcą widać niepoczciwi gdzieś na daleką północ sprzedać a ich zbyć potém jakimś świeżym malunkiem. Więc mimo wiwatów i muzyki jaką nas zwierzchność miejscowa przyjmowała, gorliwcy cerkiewni widzieli w przybyszach figury wcale niepewne a może tém niebezpieczniejsze im uroczyściéj witane. Gdyśmy zatém weszli do cerkwi, tłumy natychmiast zaległy cmentarz a ci, co wcisnęli się do świątyni, pilnie, nie przez samą ciekawość, śledzili za każdém naszém poruszeniem. Oderwane głośne wyrażenia uniesień oglądających niespodzianie świetny zabytek: „co za cudne to!,“ „co za bogate!“ rozumiała „hromada“ wcale inaczéj, jak ekstazyowani archeologowie estetycy. Cena ikonostasu rosła w wyobraźni parafian co chwila o krocie wyżéj. Oglądać przecie swobodnie pozwalano, ułatwiano to nawet, przystawiano drabiny itd. Ale kiedy po parogodzinném rozpatrywaniu, dla dokładniejszego odczytania podpisu artysty na jednym z bardziéj zastanawiających obrazów, poczęto go wyjmować z kadrów ikonostasu, dał się naraz w tłumie słyszéć gwar głuchy „ne damo!“ i gromada z cmentarza chciała wkroczyć do cerkwi. Po odporze skutecznym trzymających niby straż honorową żandarmów, wypadło aż p. staroście powiatu z ks. dziekanem uciszać, stanowczém przemówieniem, zaniepokojenie w tłumie. Oczywiście, przemówienie poskutkowało i do tego stopnia, że po świetném przyjęciu, jakim nas starożytników uraczył ze staroświecką gościnnością starosta bohorodczański (p. Strasser), przyszli trzej delegaci od parafian, aby nas za niedorzeczne pomyślenie tłumu uroczyście przeprosić. Nie potrzebuję dodawać, że całą winę, poczciwym wszechsłowiańskim obyczajem, zwalono na „baby.“ Gdyby przecie i tak było, uszanujmyż we wspomnieniu, to żywe przywiązanie prawych Bohorodczanek do świętości swéj ubożutkiéj cerkiewki.

Aleksander Jabłonowski.

RUMELIA WSCHODNIA.

(Podług dra Konst. J. Jireczka)

Przebiegając pamięcią dzieje półwyspu Bałkańskiego od zamierzchłéj starożytności aż do czasów dzisiejszych, przekonać się możemy, iż żadna chyba z ziem europejskich nie podlegała tylokrotnym, co on, zmianom i przeobrażeniom, tak pod względem etnograficznym, jak i politycznym. Zwłaszcza wschodnia część jego, na południe od Dunaju, obejmująca w granicach swych pasma gór Bałkanów i Rodopy, a stanowiąca niejako stacyę w wędrówkach narodów z dalekiego Wschodu na bardziéj cywilizowany Zachód, nosi w swéj dzisiejszéj mieszaninie narodowościowéj i zagmatwaniu politycznych dążności wybitne ślady różnolitych pierwiastków, działających kolejno z mniejszą, lub większą siłą w przeciągu jéj życia dziejowego. Jako najstarszych mieszkańców w téj ziemi, objętéj na zachód rzeką Wardarem, na północ Dunajem, a na wschód i południe morzami Czarném i Śródziemném, podaje Herodot irańskie plemię Traków, wyszczególniając pośród nich najprzedniejszą gałąź Odrysów. W latach 342—340 przed nar. Chr., ojciec Aleksandra Wielkiego, Filip II, król sąsiedniéj Macedonii, zawojował Tracyę aż po Bałkany i założył w niéj cały szereg kolonii, z których Filippopol przez 2,222 lata aż do dzisiaj, przechował imię energicznego założyciela potęgi macedońskiéj. Po Macedończykach przyszli Rzymianie. Półwysep Bałkański stał się prowincyą tylko olbrzymiego, cały podówczas znany świat obejmującego państwa rzymskiego, lecz prowincyą nieposlednią, stanowiącą bowiem najsilniejszy łącznik, najważniejsze ogniwo, wiążące z sobą wschodnią i zachodnią część tego wielkiego organizmu. Do dziś przechowały się ślady starożytnego gościńca rzymskiego, wiodącego z Byzancium przez Filippopol i Serdykę (Sofię) do Singidunu (Białogrodu), a ztąd gdzie chcieć na zachód, przez

Akwileę do Rzymu, lub do Galii. Tym gościńcem szli, gdy się miało pod koniec wielkiemu cesarstwu, Gotowie, ciągnący z żonami i dziećmi, aby szukać nowych siedzib na cieplejszém południu; tędy potém jak groźne czarne chmury wędrowały z dalekiego Wschodu hordy Awarów, Hunnów i innych barbarzyńskich plemion, pod których naciskiem upadł Rzym stary. Nakoniec Słowianie wtargnęli na półwysep i usadowili się między resztkami dawnych „prowincyałów“ rzymskich, które po mału z biegiem średnich wieków wyginęły, z wyjątkiem nielicznych gromadek pasterzy górskich i rzemieślników w górach Macedonii i Epiru. Przestrzeń wschodnią, między Dunajem i Bałkanami, od morza Czarnego zajęli Bułgarzy. Naród ten powstał z połączenia się pierwotnych Słowian naddunajskich z przybyszami z nad Wołgi—Bułgarami. Ci wpadłszy do Tracyi pod koniec V wieku, ujarzmili Słowian, dali im swą nazwę, ale osiedliwszy się tamże, przyjęli z czasem ich mowę, zwyczaje i obyczaje, zleli się z podbitymi w jeden naród i sami stali się Słowianami. Utworzone przez nich państwo wśród ciągłych walk z Grekami bizantyńskimi wzmagało się szybko. W X-m wieku, za cara Symeona, obejmowało ono Wołoszczyznę, Siedmiogród, Banat, część Serbii po rzekę Drynę, Tracyę, Macedonię, Tessalię i Epir. Były to najświetniejsze czasy państwa bułgarskiego, lecz chociaż następnie granice polityczne znacznie zredukowane zostały, to jednak sadowili się widać Bułgarzy natychmiast w zdobytych prowincyach i bądź siłą, bądź umiejętną konkurencyą usuwali poprzednich mieszkańców, do dziś bowiem pod względem etnograficznym cały obszar między Dunajem, Wardarem i dwoma morzami śmiało Bułgaryą nazwać by można (1).

W XIV wieku na Bałkańskim półwyspie zjawili się Turcy i rozpoczęli od zawojowania Tracyi. R. 1363 padł bizantyński podówczas Adryanopol, a wkrótce potém wzięty został i bułgarski Płowdyw (Filippopol). Odtąd zdobycze tureckie szły coraz szybszym krokiem i wkrótce cała *raja* chrześciańska półwyspu bałkańskiego dostała się pod moc bezlitośnego zwycięzcy i pozostawała w niewoli aż do ostatnich czasów. Nie będziemy tu kreślili nazbyt znanych dziejów okrutnego panowania tureckiego, które zakończyło się wojną serbską, powstaniem bułgarskiém i wreszcie interwencyą Rosyi. Przejdziemy wprost do rezultatów téj ostatniéj, co się tycze zajmującego nas w danéj chwili narodu bułgarskiego.

Jak wiadomo wojna zakończona została pokojem, zawartym w San-Stefano (3 marca 1878 r.) bezpośrednio między Turcyą i Ro-

---

(1) Dzieje Bułgarów, opowiedziane według Jireczka, podaliśmy w piśmie naszém r. 1876, t. I i II.

syą, z wielką korzyścią dla téj ostatniéj. Na zasadzie tego układu Tracya wcielona została w granice wielkiego księztwa bułgarskiego, które otrzymywało zupełną samodzielność polityczną, a podług paragrafu siódmego tejże umowy miał się zebrać w Płowdywie lub w Tyrnowie sejm notablów bułgarskich, aby wypracować dla nowokreowanego państwa statut organiczny, na wzór statutu, wydanego w r. 1830 dla księstw naddunajskich. Kwestya, które miasto zrobić stolicą nowego księstwa, nie była jeszcze wówczas zdecydowana, lecz cesarski komisarz rosyjski, postawiony na czele rządu tymczasowego, książę Dondukow-Korsakow osiadł w czerwcu w Płowdywie z całą swą kancelaryą i pozostawał tam do września. Tutaj władza okupacyjna zaczęła swą pracę organizatorską, tu wypracowane zostały pierwsze prawa (po części zaprojektowane już w Sistowie), tu poczyniono pierwsze rozporządzenia tyczące się oświaty. Z zapałem brano się do zakładania fundamentów pod tę nową budowę państwową. Od czerwca poczęła wychodzić w Płowdywie pierwsza gazeta bułgarska w oswobodzonym kraju, *Maryca*, która do dziś zachowała opinię najrozumniejszego i najpoważniejszego czasopisma bułgarskiego. Wojsko bułgarskie, skompletowane głównie z oddziałów ochotniczych, które brały udział w wojnie, zadziwiało—podczas wielkich manewrów na polu płowdywskiém—rychłemi postępami swemi i Rosyan i obecnych cudzoziemców.

Ale Bułgarya San-Stefańska została tylko projektem. Na energiczne żądanie mocarstw europejskich, musiała Rosya odstąpić od pierwotnego układu i zgodzić się na uchwałę kongresu Berlińskiego. Orzeczenie jego zmniejszyło nowe księstwo bułgarskie do obszaru zawartego między Bałkanami, Serbią, Dunajem i morzem Czarném, z dodaniem zabałkańskiéj niziny koło Sofii aż po rzekę Strumę. Na południe od Bałkanów, między niemi i pasmem Rodopy, z ziem, które w r. 1876 były widownią rzezi i mordów najstraszniejszych i które nadto podczas wojny najwięcéj ucierpiały, utworzono osobną, na wpół niezależną prowincyę turecką, sięgającą na wschodzie morza Czarnego (u miast Anchialos, Misivri, Burgas i Sozopolis) i mającą—podług obliczeń w *Mittheilungen* Petermann'a—643 geograficznych mil kwadratowych. Pomysł tego utworu politycznego należy podobno do Anglików, a wynalazek nazwiska do Francuzów. Po długich namysłach ochrzczono go *Rumelią Wschodnią*, niezbyt szczęśliwie, ponieważ nazwa ta sama przez się nic nie mówi. Turcy ongi całą Turcyę europejską, prócz Bośnii, nazywali *Rumili*—ziemią Rumów albo Romeów (Romajów=Rzymian), jak sami siebie zwykli byli nazywać Grecy bizantyńscy, obywatele państwa wschodnio-rzymskie-

go (1). W nowszych czasach nazwa Rumelii pozostała tylko przy południowych krajach—Macedonii i Tracyi.

Traktat Berliński określił nowy ten utwór dyplomacyi europejskiéj, jako prowincyę, pozostającą co się tycze spraw politycznych i wojennych, pod bezpośredniém zwierzchnictwem sułtana, lecz obok tego cieszącą się—co do administracyi wewnętrznéj, zupełną autonomią, i mającą osobnego generał-gubernatora chrześcianina, naznaczanego przez Portę na lat pięć, za zgodą mocarstw europejskich. Granice zostały szczegółowo opisane, a wkrótce potém wytknięte na gruncie przez komisyę międzynarodową. Artykuł 15-ty traktatu nadał sułtanowi prawo, dla obrony granic lądowych i morskich, budowania na nich fortec i trzymania w nich załogi, złożonéj wszakże tylko z wojska liniowego, nigdy zaś z baszybuzuków i czerkiesów. W razie wojny z ościennemi państwami armia turecka otrzymała prawo wolnego przemarszu przez prowincyę i otwartą drogę dla zajęcia i obrony gór bałkańskich; bez możności wszakże zatrzymywania się i stawania kwaterą u obywateli miejscowych. Porządek wewnętrzny utrzymywany być miał przez krajową żandarmeryę i milicyę miejscową. Generał-gubernator, (art. 16) miał prawo w razie potrzeby, gdyby zagrażało jakieś wewnętrzne lub zewnętrzne niebezpieczeństwo, powołać do prowincyi wojska tureckie, za poprzedniém wszakże porozumieniem się sułtana z mocarstwami. Szczegółową organizacyą rządu prowincyi zająć się miała komisya międzynarodowa, wziąwszy za punkt wyjścia projekt konferencyi konstantynopolskiéj z końca roku 1876, która, po głośnych rzeziach ówczesnych, wypracowała zarys ulepszonego zarządu prowincyi bułgarskich. Zarys ten pozostał wszakże tylko na papierze, i teraz dopiero postanowiono go zużytkować. Taż sama komisya międzynarodowa zarządzać miała i finansami Rumelii Wschodniéj aż do wypracowania ostatecznéj organizacyi.

W ten sposób orzeczenie mocarstw stworzyło na południowym stoku Bałkanu aż do Rodopy nowy, oryginalny organizm polityczny, którego środkiem i stolicą stał się Płowdyw. W samym kraju wiadomość o tém postanowieniu przyjęta została z wielkim niepokojem; ludziom, którzy przebyli świeżo wszystkie okropności naprzód rzezi baszybuzuckich, a potém wojny, powrót pod zwierzchnictwo Porty wydawał się losem strasznie ciężkim i niesprawiedliwym. W autonomię, przyobiecaną w traktacie, wierzono tyle, co w owe sławne reformy na papierze, któremi wysoka Porta łudziła w ostatnich czasach

(1) Prosty Grek do dzisiaj język swój nazywa *romaika*; *ellinika*—to stara, książkowa greczyzna. Grek po turecku *Urum*, liczba mnoga *Urumler*.

przed wojną—Europę, swych poddanych i siebie samą wreszcie. Władza rosyjska znowuż nie miała żadnéj ochoty wdawać się w nową wojnę. Tymczasowy rząd okupacyjny jeszcze w początkach jesieni przeniósł się do Sofii, a gubernatorem tymczasowym oddzielnéj Rumelii Wschodniéj mianowany został generał Stołypin. Niezadługo przybyła do Płowdywu i komisya międzynarodowa, a za nią jako zarządca finansów prowincyi, Prusak Schmidt, ongi dyrektor ottomańskiego banku w Konstantynopolu. I komisya, i Schmidt, który wiele popsuł ostentacyjną nienawiścią ku wszystkiemu, co bułgarskie, spotkali się z zupełną nieufnością ze strony mieszkańców. W całéj ziemi powstał silny ruch, mający na celu jawny opór przeciw grożącemu wznowieniu zwierzchnictwa tureckiego. Za inicyatywą redakcyi *Marycy*, poczęły się organizować, zgromadzenia strzeleckie i towarzystwa gimnastyczne, które ćwiczyły się razem z nową utworzoną milicyą i współzawodniczyly z nią pod względem zapału i ochoty do nowych i niezwykłych zajęć wojskowych. Miało to oczywiście na celu przygotowanie do walki wszystkich mieszkańców kraju.

Jakkolwiek wszyscy byli przeciwko Turkom, wkrótce jednak utworzyły się dwa obozy. Zagorzalcy pod wodzą pułkownika rosyjskiego Kesjakowa, z urodzenia Bułgara z Płowdywa, który wówczas był komendantem bułgarskiéj milicyi w Rumelii, gotowali się do zbrojnego oporu, chcąc w razie wkroczenia do kraju garnizonów tureckich rozpocząć bój rozpaczliwy, a na wypadek porażki schronić się ze wszystkimi mieszkańcami na północ w Bałkany. Partya pokojowa miała na czele egzarchę bułgarskiego Józefa, młodego człowieka, rodem z pod bałkańskiego Kaloferu (świeckie jego imię było Lazar Jowczew), który odbył studya prawne w Paryżu. Z uwagi na straszne wyczerpanie i spustoszenie kraju całego, na wypalone wsie i miasta, na powszechną nędzę, głód i wogóle na wszystkie zgubne rezultaty trzyletnich przewrotów, głosiła partya ta, że wszelki opór jest niemożebny, że będzie on tylko zbyteczném powiększeniem liczby krwawych ofiar, i radziła poddać się orzeczeniu traktatu Berlińskiego, chociaż nie bez pewnych warunków. Bywały i hałaśliwe demonstracye, mianowicie przeciw Schmidtowi. Wszystko to przekonało komisyę europejską: 1) o niepodobieństwie zaprowadzenia garnizonów tureckich na granicach lądowych i 2) o konieczności wybrania na generał-gubernatora nowéj prowincyi pewnéj, bardzo wielu warunkom odpowiadającéj osobistości, a nie byle jakiego ormiańskiego lub greckiego chrześcianina z effendich, bejów lub paszów wysokiéj Porty.

Jednocześnie, aby uwiadomić same mocarstwa o swych życzeniach, wysłali Rumelioci do gabinetów europejskich deputacyę, skła-

dającą się z lekarza dra Jankulowa i Iwana Eustratiewa Geszową, Bułgara, wychowanego w szkołach angielskich i uchodzącego za jednego z najrozważniejszych mężów w narodzie. Ten, dzięki swojéj misyi, oraz późniejszéj publicznéj działalności (jako prezydujący w sejmie i redaktor *Marycy*, a potém jako dyrektor finansów) stał się zagranicą najbardziéj znaną z całéj Rumelii osobistością. Posłowie ci udali się naprzód do Tyrnowa, do konstytuanty bułgarskiéj (w lutym 1879), a gdy ta po kilku posiedzeniach przeszła od kwestyi ogólno-narodowéj do rokowań o wewnętrznym ustroju księstwa, pojechali daléj na zachód. Idea wszakże zjednoczenia Rumelii z Bułgaryą nieprzyjazne wogóle znalazła przyjęcie i posłowie powrócili w lecie do prowincyi autonomicznéj, gdy poczęła już ona żyć w zakreślonych przez traktat Berliński granicach.

W przejściowéj téj epoce ludność nowoutworzonego kraju zwiększyła się znacznie ogromną liczbą zbiegów z południa. Gdy wojska rosyjskie opuszczały wilajet Adryanopolski, tysiące Bułgarów ruszyły za niemi, przenosząc się do Rumelii, a po części aż do czarnomorskich prowincyi księstwa, gdzie pozostają dotąd, usadowiwszy się w pustych tureckich i czerkieskich wioskach i nie myślą o powrocie. Prócz tego wiele hałasu w owéj dobie zrobiło nie tylko na półwyspie, lecz i w całéj Europie, t. zw. powstanie *Pomaków* (poturczonych Bułgarów) w Rodopie. W górach tych zebrało się podczas wojny mnóstwo muzułmańskich zbiegów z Rumelii i Księstwa, oraz resztki rozproszonych wojsk tureckich. W chwilach zupełnego rozkładu potęgi osmańskiéj, mianowicie, gdy wojska rosyjskie stały przy ujściu Marycy i nad brzegami morza Marmara, odciąwszy w ten sposób Konstantynopol od reszty Turcyi europejskiéj, mieszkańcy Rodopy, główni — nawiasem mówiąc — winowajcy strasznych rzezi z r. 1876, wraz z szukającymi tu schronienia zbiegami, nie słuchali nikogo i miewali tu i owdzie nieznaczne potyczki z przedniemi strażami rosyjskiemi. Późniéj dowództwo nad temi bandami rozbójników i baszybuzuków objął pewien awanturnik angielski imieniem St. Clair, który otoczył całą tę historyę należytym nimbem romantyczności. W gruncie rzeczy, w Rodopie do dziś nie wszystko jest w porządku, i powaga rządu tureckiego nie wiele tam znaczy.

Komisya międzynarodowa zasiadała w Płowdywie około dziewięciu miesięcy. Pracę swą, tak zwany *statut organiczny* (po bułgarsku „organiczeskij ustav“) skończyła dnia 26-go kwietnia 1879 r. Jest to obszerny, metodycznie wypracowany kodeks o 495-ciu paragrafach z 13 wielkiemi dodatkami, obejmującemi szczegółowe ustawy dla rozlicznych gałęzi administracyi. Podług ostatniego paragrafu, statut ten zmieniony być może jedynie za zgodą wszystkich

mocarstw, które podpisały traktat Berliński i wysokiéj Porty. Za głównych jego autorów uważani są delegat francuski de Ring (późniejszy konsul generalny w Egipcie) i reprezentant Austryi, Kallay. Źródeł do pracy téj dostarczyła cała biblioteka kodeksów europejskich. Była to więc robota kompilacyjna i do tego zupełnie apriorystyczna, wyprowadzająca reguły i zasady nie z warunków miejscowych, lecz z abstrakcyjnych teoryi i z góry powziętych poglądów. Najfałszywsza to metoda, przy któréj dopiero po długich latach naród zżyć się może ze swemi urządzeniami i instytucyami. Zresztą, z wyjątkiem Anglii, gdzie wszystko rozwijało się historycznie i było bezpośrednim wynikiem potrzeb narodu — wszystkie dzisiejsze prawodawstwa europejskie w tenże sam powstały sposób. Z teoretycznego punktu widzenia, statut dla Rumelii, wyjąwszy zbytnią rozwlekłość w niektórych szczegółach, oraz pewne ślady zbyt pośpiesznéj kompilacyi, jest pracą nader udatną, zwłaszcza co się tycze ustroju administracyi politycznéj. Godną uwagi właściwością jego są pomysłowe klauzule, mające na celu zabezpieczenie wszystkich możliwych mniejszości, t. j. dążące do ustanowienia zupełnéj równości tak pod względem narodowościowym, jak i wyznaniowym. Gdy statut był jeszcze w robocie i ukazywał się częściowo na widok publiczny, Rumelioci patrzyli nań niezbyt przyjaźnie, chociaż członkowie komisyi twierdzili często, że zostawią prowincyi autonomicznéj coś, czego nawet Bułgarzy w wolném księstwie zazdrościć jéj będą.

Dla zupełnego uspokojenia kraju i usunięcia wszelkich nieporozumień, rząd rosyjski, chcąc przeprowadzić jak najściśléj podpisane w traktacie punkty, wyprawił do Rumelii jeszcze na wiosnę roku 1879 generała Obruczewa ze specyalną misyą. Ten zgromadzał wszędzie Bułgarów, czasem publicznie w kościołach, wyjaśniał im sytuacyę i zachęcał, aby zaniechali dalszego oporu; od niego obywatele kraju poraz pierwszy z całą pewnością usłyszeli, że garnizony tureckie nie przyjdą. Tymczasem wojska rosyjskie zwolna opuszczały ziemię przez Burgas.

Generał-gubernatorem (po bułgarsku „glavnijat upravitel“) Rumelii Wschodniéj mianowany został przez sułtana, za zgodą mocarstw, książe *Aleksander Vogoridi* (Bogorides), zwany po turecku w języku urzędowym *Aleko-pasza*. Wybór nie mógł być trafniejszy: wysoki dostojnik państwa ottomańskiego, cieszący się odziedziczoném od przodków poważaniem u Bułgarów, rodem z tegoż kraju, niejako Bułgar, Grek i Turek w jednéj osobie, jednem słowem unikat, który nie miał sobie równego. Ojciec jego Stefanaki Vogoridi, rodem z bałkańskiego miasteczka Kotla (po turecku Kazan), na pół-

noc od Sliwna, był wnukiem sławnego Stojka Władysławowa, który pod imieniem Sofroniusza zajmował stolicę biskupią we Wracy i pod koniec przeszłego stulecia piórem i słowem budził z odrętwienia naród bułgarski. Stefanaki odbywał studya w szkołach greckich w Bukareszcie, poczém obrawszy sobie karyerę dyplomatyczną wstąpił do służby tureckiéj i od prostego dragomana (tłumacza) doszedł aż do godności „księcia“ lennéj wyspy Samos na morzu Egejskim. Za czasów sułtana Mahmuda II-go cieszył się wielką jego przyjaźnią. Zmarł w r. 1859. Wspierał wszelkiemi siłami bułgarski ruch religijny; darował w Konstantynopolu miejsce na pierwszy w tém mieście kościół bułgarski. Po bułgarsku sam nie umiał; z deputacyami bułgarskiemi w epoce sporów kościelnych rozmawiał zawsze po grecku, lub po turecku. Był w związkach pokrewieństwa z wieloma znakomitemi rodzinami greckiemi w Konstantynopolu (Musurus, Fotiadi i in.). Z synów jego starszy Nikolaki osiadł w Multanach, gdzie potomkowie jego znani są jako rodzina Konaki-Vogoridi. Młodszy— mianowany pierwszym namiestnikiem Rumelii — Aleko, studya odbywał w Berlinie; następnie służył w poselstwach tureckich w Londynie i innych stolicach; przed samą wojną był posłem wysokiéj Porty w Wiedniu. Po bułgarsku, równie jak ojciec, nie umiał; z Rumeliotami rozmawiał po francusku, grecku lub turecku. Jako generał-gubernatorowi wyznaczono mu pensyę 300,000 „złotych groszy“ (około 60,000 franków), a nadto 100,000 groszy na reprezentacyę. Ubogie to dość utrzymanie — a inne warunki nie były zbyt pociągające. Bez zezwolenia Porty nie może namiestnik nigdzie wyjeżdżać, prócz do Konstantynopola i wogóle nie wolno mu wydalać się z kraju na dłużéj, niż na trzy miesiące. Mieszkaniem jego jest stary konak paszów Płowdywskich, nędzny budynek, po którym zzewnątrz trudno poznać, że przebywa w nim tak ważna osoba.

Ciekawe były okoliczności, wśród których pierwszy generał-gubernator wstąpił w granice podwładnego sobie kraju. Turcy nalegali nań, aby wjechał w fezie, Bułgarzy znowu o tym symbolu paszostwa tureckiego ani słyszéć nie chcieli. Nastąpił kompromis, skutkiem którego Vogoridi na granicy Rumelii pod Hermanli zmienił fez na bułgarski czarny kołpak. Wobec tego na wszystkich stacyach przyjmowano go wielkiemi okrzykami radości. Dnia 30 maja 1879 r. powitany został w Płowdywie przez generała Stołypina, urzędników rosyjskich, całe obywatelstwo i milicyę rumelijską, natychmiast udał się do kościoła bułgarskiego, gdzie na przemowę egzarchy odpowiedział po grecku. Następnie z wielką uroczystością odczytano publicznie po turecku i po bułgarsku mianujący go namiestnikiem ferman sułtański, poczém muzyka zagrała hymn narodowy:

„*Szumij Maryca okrwawena!*“ (1). Sztandar turecki, którego zatknięcie mogło spowodować nowe rozjątrzenie, z decyzyi komisyi międzynarodowéj nie został rozwinięty i do dziś nie rozwijano go nad Płowdywem. Nazajutrz generał Stołypin opuścił Płowdyw po równie okazałém pożegnaniu.

Teraz rozpoczęto w autonomicznéj prowincyi (po bułg. „*oblasti*“) wprowadzać nową organizacyę na podstawie statutu. Zasady urządzeń prawno-państwowych, określających stosunek kraju do wysokiéj Porty, były następujące: Sułtan zatwierdza dyrektorów (ministrów) i prefektów, jeżeli wszakże nie da zatwierdzenia, lub téż nie położy *veto* w przeciągu miesiąca, uważać należy milczenie za zgodę. Nadto sułtan mianuje wszystkich wyższych oficerów aż do kapitana. W jego imieniu sąd wydaje wyroki, jemu téż pozostawiono prawo amnestyi. Prawa, przyjęte przez sejm prowincyi, oraz budżet roczny téj ostatniéj potrzebują również sułtańskiego potwierdzenia; w razie dwumiesięcznego milczenia, prawo uważa się za zatwierdzone. Prawa tureckie mają moc obowiązującą, miejscowe wszakże zgromadzenie ustawodawcze może stosownie do potrzeb kraju uzupełniać je różnemi poprawkami, zmianami i dopełnieniami. Lasy, doliny i nieruchomości należące do rządu tureckiego stają się własnością prowincyi. Z dochodów prowincyi trzy dziesięciny przypadają Porcie, która prócz tego ma pewien udział w dochodach celnych, pocztowych i telegraficznych. W kraju są trzy języki urzędowe, t. j. bułgarski, turecki i grecki; jeżeli w którym okręgu mniejszość liczebnie równa się połowie większości, wszystkie ogłoszenia urzędowe winny być publikowane i w języku téj mniejszości. Prawa i wszystkie rozporządzenia, obowiązujące w całéj prowincyi, ogłaszają się we wszystkich trzech językach, a przed sądem członek każdego z trzech narodów ma prawo używać własnego swego języka.

Sprawami Rumelii Wschodniéj zajmuje się sześciu dyrektorów: spraw wewnętrznych, wojny, finansów, sprawiedliwości, oświaty i robót publicznych. W obrębie władzy ostatniego zawarte są także handel, rolnictwo, poczty i telegrafy. Dyrektorem spraw wewnętrznych, zawiadującym kwestyami wyznaniowemi, oraz decydującym, co się tycze stosunków z obcymi konsulami, jest zazwyczaj generalny sekretarz prowincyi, *alter ego* namiestnika, koncentrujący w sobie w czasie nieobecności tego ostatniego wszystkie nici zarządu. Dostojeństwo to złożono w ręce starego patryoty i autora bułgarskiego

---

(1) Brzegi rzeki Marycy, w Bułgaryi zabałkańskiéj, były w ubiegłéj przeszłości widownią wielu bohaterskich czynów, lecz téż i wielu klęsk narodu. Ztąd to poszanowanie dla téj rzeki ojczystéj, które się wyraża w pieśniach ludowych.

Gawryla Krstjowicza. Zasłużony mąż ten, rodem z Kotla, studyował w Paryżu prawo na koszt Stefanaki Vogoridi'ego, późniéj zaś jako biegły prawnik przez długie lata był członkiem najwyższego sądu w Konstantynopolu. Była to jedna z tych nielicznych osobistości, które pozyskały śród Bułgarów jakąś tradycyjnie nieograniczoną powagę. Dyrektorem wojny został naprzód pułkownik francuski *Vitalis*, urodzony w Konstantynopolu, jeden z tych pół-włoskich, pół-francuskich potomków kupiectwa zachodnio-europejskiego, którzy zamieszkują stambulską Perę i Galatę, pewne cyrkuły w Smyrnie i innych portach tureckich, i którzy — na podobieństwo kreolów amerykańskich — wcale nie przynoszą zaszczytu swym przodkom europejskim. Nazywają ich zazwyczaj „Perotami", „Lewantyńcami", lub ironicznie „Francuzami z nad wód słodkich" (Tatly-su), to ostatnie z powodu małéj rzeczki, która koło Pery wpada do Złotego Rogu. Ów Vitalis, osobistość — podług opowiadań naocznych świadków — poniekąd humorystyczna, ustąpił wkrótce miejsca oficerowi pruskiemu Wilhelmowi *Streckerowi*, który pod imieniem Raszyda-paszy służył jako generał w artyleryi tureckiéj. Finansami zarządzał z początku wspomniany wyżéj *Schmidt*, lecz w skutek częstych kolizyi zmuszony był usunąć się; miejsce jego zajął lekarz bułgarski dr. *Stranski*. Dyrekcyę sprawiedliwości objął cieszący się wielkiém uznaniem, stary patryota Teodor *Iskrow-Kesjakow*. Jest on—zarówno jak większa część sędziów w Rumelii—raczéj doświadczonym praktykiem, niż uczonym prawnikiem. Dyrekcyę oświaty złożono w ręce cenionego powszechnie nauczyciela i autora Joakima *Grujewa*, wychowanego w kraju. Dyrektorem robót publicznych był przez pierwsze dwa lata dr. Jerzy *Wlkowicz*, wychowaniec szkół paryskich, a potém lekarz pułkowy w wojsku tureckiém. Trzej ostatni pochodzili wszyscy ze Srednogórskiego miasteczka Kopriwsztícy. Całe kolegium złożone było z ludzi starszych, poważnych, a bułgarscy jego członkowie byli to obywatele zdawna w kraju osiedli i ogólném cieszący się zaufaniem. Każda dyrekcya została pomieszczona bardzo dogodnie w osobnym, wynajętym domu, mając tuż pod bokiem swoje biura i kancelarye.

Żywioł reprezentacyjny w prowincyi znajduje wyraz w rodzaju sejmu czyli zgromadzenia narodowego (*oblastno sъbranie*, którego posiedzenia odbywają się corocznie przez dwa miesiące. Sejm ten składa się z 36 członków wybieralnych, których połowa co dwa lata odnawia się (środek to bardzo rozumny dla utrzymania pewnéj tradycyi w zgromadzeniu), z 10 członków mianowanych przez namiestnika zpośród kupiectwa i inteligencyi, których skład w takiż sposób peryodycznie się zmienia, i z 10 członków z głosem wirylnym, do

których należą naczelnicy pięciu kościołów chrześciańskich (Bułgarów, Greków, Ormian, katolików i protestantów), mufty turecki, rabin żydowski, prezesi sądów najwyższego i administracyjnego i główny kontroler finansów. Na pierwszych wyborach wybrano 32 Bułgarów, 2 Greków i 2 Turków, a wśród wszystkich 56 posłów było w sejmie 40 Bułgarów, 6 Turków, 5 Greków, 2 Ormian, 2 Żydów i 1 Francuz (biskup katolicki). Kompetencyi sejmu podlegają tylko sprawy administracyi wewnętrznéj; wszystkie kwestye polityczne z zakresu jego działalności są wyłączone. Za salę sejmową służy dawna łaźnia turecka, ze smakiem i elegancko urządzona. Prócz zwykłych katedr i mównic, przed siedzeniem każdego posła umieszczony jest pulpit do czytania i pisania, czego w sofijskiéj sali sejmowéj niema. Przyczyną takiego urządzenia jest to, że posłowie rumelijscy zaglądają często podczas rozpraw do różnych dzieł prawnych i ekonomicznych w obcych językach. Świadczy to o wyższéj przeciętnie inteligencyi deputatów. I rzeczywiście, podczas gdy w księstwie bułgarskiém przewagę w sejmie ma żywioł wiejski o niskiém stosunkowo ukształceniu, w zgromadzeniu narodowém rumelijskiém niema ani jednego wieśniaka, lecz sami urzędnicy, nauczyciele, duchowni, lekarze i kupcy, wskutek czego posiedzenia sejmowe nabierają same przez się zupełnie innego charakteru.

Z liczby członków sejmu wybiera się dziesięciu do tak zwanego „komitetu stałego“ (postojannyj komitet). Instytucya ta kontroluje administracyę, rozpatruje różne ustawy, dopełniające lub objaśniające niektóre części prawodawstwa, wreszcie stanowi radę przyboczną namiestnika. Członkowie jéj mają posiedzenia codzień, biorą stałą pensyę i wybierani bywają na rok jeden.

Urządzona w ten sposób administracya kraju rozwijała się aż do ostatnich dni nader pomyślnie. Przyczyny tego były rozmaite, klucz wszakże do całéj sytuacyi polega na tém, że wszystkie publiczne stosunki zarządu zostały nader szczegółowo określone i ograniczone statutem, wypracowanym przez komisyę europejską i niepodlegającym zmianom nawet cząstkowym. Na téj pewnéj podstawie prawidłowy rozwój kraju i dobra jego organizacya niezmiernie były ułatwione. Drugiéj przyczyny szukać należy w tém, że urzędnicy zabezpieczeni zostali od ciągłych zmian, dymisyi, tranzlokacyi, wywołujących demoralizującą niepewność, a stosowanych tak często w innych państwach bałkańskich; w Rumelii nikt nie może być pozbawiony urzędu bez wyroku sądowego, a nadto każdy po latach dziesięciu zapewnioną ma emeryturę. Przytém pensye są wcale znaczne. Ważną jest także niewątpliwie i kontrola, z wielu stron rozciągająca się nad władzą rumelijską: tu wysoka Porta ze swém

ciągłém niedowierzaniem, tam konsulowie mocarstw, czyhający bacznie na wszelkie wykroczenia przeciw statutowi, owdzie sejm, gdzieindziéj pretensye trzech narodowości, wreszcie surowa krytyka prasy, wszystko ujmuje rząd jak w obręcz żelazną i zmusza go do sumiennego, ścisłego i bezstronnego korzystania z udzielonéj mu władzy. Nakoniec i ziemia sama, stanowiąca pod względem fizycznym najbogatszą część całego półwyspu bałkańskiego, ma wiele przyrodzonych danych do pomyślnego rozwoju. Zasłonięta od północy, otwarta ku południowi, całą swoją przyrodą należy już do strefy morza Śródziemnego. Nadto, obdarzona jest dobremi komunikacyami, ma nawet koleje (linia konstantynopolska i odnoga od wsi Małego Tyrnowa aż do Jamboli), dzięki równéj stosunkowo powierzchni, bez nieprzebytych gór, odgraniczających jeden okręg od drugiego. Umiarkowany klimat, łatwość stosunków ze światem i bogactwo przyrody wpływały też na zdolności i charakter mieszkańców, którzy już za czasów tureckich na wyższym bez porównania stali szczeblu rozwoju, niż zagórscy ich sąsiedzi. Rumelioci—to lud, pełny zdrowego rozsądku, który myśli, rozumuje i nie daje się porwać byle jakim mrzonkom i fantasmagoryom.

Podział administracyjny urządzony jest całkiem na sposób francuzki, aż do najmniejszych szczegółów. Kraj podzielony jest na sześć departamentów (Płowdyw, Tatar-Bazardżyk, Stara Zagóra, Haskjöj) Śliwno, Burgas) i na dwadzieścia ośm okręgów czyli kantonów. W każdym departamencie zbiera się dwa razy na rok rada generalna (conseil général). Zarząd gminny w miastach i po wsiach również nader szczegółowo jest określony.

W sądownictwie pierwszą instancyę stanowią starostowie, których kompetencya, ogranicza się na godzeniu stron. W każdym okręgu jest mianowany przez władzę wyższą sędzia okręgowy, który wraz z dwoma wybieralnymi asesorami sądzi sprawy, nie podlegające wyższéj karze nad 300 groszy złotych; daléj, w każdym departamencie znajduje się sąd, składający się z dwóch wydziałów: do spraw cywilnych i kryminalnych, wreszcie w Płowdywie zasiada najwyższy sąd apelacyjny. Przy sądach departamentalnych istnieje instytucya prokuratorska. Sądy wydają wyroki na zasadzie praw tureckich, stworzonych na wzór kodeksu francuskiego.

Co się tycze finansów nie okazała dotąd Rumelia wielkich postępów. Podatki pobierają się jeszcze po większéj części podług staréj modły tureckiéj. Jako główna moneta krajowa, znajduje się w obiegu złota lira turecka (22 franki 70 centymów), podzielona na sto groszy czyli piastrów. Jako mniejsze monety używane bywają ruble rosyjskie i tureckie medżidżie, oraz ich połówki i ćwiartki; co

do monety miedzianéj, to najwięcéj jest w obiegu nowych pieniędzy księstwa bułgarskiego. W skutek liczenia na grosze (5 groszy=1 frankowi) wszystkie sumy wydają się strasznie wielkiemi. Przypomina to hiszpański rachunek na reale, lub portugalski na reisy. Z dochodów celnych lądowych (od granicy Bułgaryi) i morskich Rumelia płaci rocznie wysokiéj Porcie określoną w statucie sumę 5 000 lir złotych; od strony Turcyi niema komór celnych. Budżet na rok 1883 był następujący: dochody kraju 78.795.600 groszy, wydatki 81.525263, a mianowicie: władza centralna i stosunki wewnętrzne 6.951.988, wojsko i żandarmerya 20.271.125, finanse (z podatkami płaconemi Porcie) 33.701.000, sprawiedliwość 6.216.000, oświata 5.960.000, roboty publiczne, handel, poczty i telegrafry 7.624.840, rezerwa budżetowa 800.000. Deficyt 2.729.653 miał być pokryty z przewyżki budżetu zeszłorocznego.

Co się tycze robót publicznych zwracano głównie uwagę na to, aby bez wielkich kosztów poprawić dotychczasowe drogi i na wzór Europy zachodniéj stale w dobrym stanie je utrzymywać. Zamiar ten osiągnięty został w zupełności. Komunikacye w Rumelii rywalizować mogą śmiało z wewnętrznemi drogami na zachodzie. Budowli wzniesiono i postanowiono wznieść, podobnież jak w księstwie, bardzo wiele, ponieważ Turcy nic porządnego po sobie nie pozostawili i w ogóle budowali mało, jakby wątpili sami o swéj przyszłości. Poczty i telegrafy urządzono zupełnie podług wymagań spółczesnych. Zapomniano już dzisiaj o tym bajecznym, nie do uwierzenia nieporządku, jaki panował za czasów tureckich. Dziś każdy okręg, choćby stolicą jego było nie miasto, lecz wieś większych rozmiarów, ma swoją stacyę telegraficzną. Marki pocztowe, dane przez Portę i niezbyt mile w kraju powitane, są nader niegustownego wzoru i mają emblemata tureckie z napisami w trzech językach krajowych, a nad to i we francuzkim.

Co się tycze stanu oświaty w Rumelii wschodniéj, to najpewniejsze wiadomości zaczerpnąć można z urzędowego sprawozdania, ogłoszonego przez dyrektora oświaty, które w r. 1882 ukazało się w druku. Czteroklasowych szkół elementarnych było w 1881/2 r. szkolnym 1412, a mianowicie: 846 bułgarskich, 471 tureckich, 58 greckich, 11 katolickich, 9 protestanckich, 4 ormiańskie i 13 żydowskich. Liczba uczniów dochodziła do 80.591; chłopców było 56.802, dziewcząt 23.789; z tych—Bułgarów 48.094 (chłopców 37,401. dziewcząt 10.693). W stosunku, do roku poprzedzającego liczba uczniów więcéj niż podwoiła się. Ogółem uczęszcza do szkół tych $^1/_3$ część dzieci, które winny to czynić; u ludu bułgarskiego stosunek wynosi 62%, co mówi bardzo korzystnie o jego rozwoju intelektualnym. Wy-

żéj jeszcze stoją Grecy rumelijscy, u których uczęszcza do szkół 68% dzieci odpowiedniego wieku. U Turków i Żydów prawie wszystkie dzieci chodzą do szkoły, ponieważ ta ostatnia jest raczéj środkiem do mechanicznego uczenia na pamięć modlitw i religii. Często znaleść w nich można dzieci, które jeszcze mówić nie umieją; pedagogika w nich jakaś przedpotopowa. W ostatnich czasach, pod wpływem *Alliance Israélite* żydzi rumelijscy poczęli zwracać się ku drodze społecznego postępu.

Budynków szkolnych jest 562 starych, 437 tymczasowych, a 413 zbudowanych po wojnie; 184 buduje się właśnie. Rozchód na szkoły elementarne w całéj Rumelii wynosi 3.924.869 groszy. Z tego na gminy bułgarskie przypada 3.090.819, na greckie 354 000, na tureckie (wcale nie odpowiednio do liczby muzułmanów w prowincyi) tylko 330.000. Rząd dał gminom w pomienionym roku szkolnym subsydyum 1.460.000 groszy, podzieliwszy je na wszystkie istniejące w prowincyi wyznania. Nauczycieli bułgarskich było 1084 (w téj liczbie 42 nauczycielki), greckich 85 (między nimi 27 nauczycielek), katolickich 26 (z nich 16 nauczycielek), protestanckich 3 (większość szkół jeszcze nie otwarta), ormiańskich 5, żydowskich 25. W szkołach tureckich uczą imamowie i muezzyni, którzy zarazem odprawiają modły w dżamiach, wołają z minaretów i zajmują się innemi obrzędami religijnemi. Liczba ich dochodzi do 700. Nauczyciele bułgarscy przygotowują się po większéj części do swego powołania na tymczasowych kursach pedagogicznych podczas wakacyi. Nadzór spoczywa w rękach inspektorów, po jednemu na każdy okrąg. Razem jest ich 50-ciu, a mianowicie 27 bułgarskich, 16 tureckich, 3 greckich i po jednemu dla szkół katolickich, protestanckich, ormiańskich i żydowskich. Urzędy te powierzane bywają zwykle bardziéj znanym w kraju osobistościom, jak lekarzom, urzędnikom z innych gałęzi administracyi, duchownym itp., którzy płatni za to osobno—zawiadują i opiekują się położonemi w ich okręgach szkołami. O potrzebach szkół decydują zjazdy nauczycieli w każdym departamencie osobno, i z całéj prowincyi.

Trzy-lub cztero-klasowych szkół miejskich było podług powyższego sprawozdania—bułgarskich 17 (9 męzkich, 8 żeńskich) i 4 greckie (2 męzkie, 2 żeńskie). Liczba uczęszczających do nich uczniów i uczennic nie przechodziła 2.000.

Wszystkie wymienione dotąd szkoły utrzymywane są przez gminy, ma się rozumiéć przez gminy wyznaniowe. Zarząd prowincyi utrzymuje dwa sześcioklasowe gimnazya realne bułgarskie (bez języków klasycznych) w Płowdywie i w Śliwnie. We wskazanym wyżéj roku szkolnym uczęszczało do nich 1076 uczniów. Pięcioklasowych

szkół żeńskich jest dwie, w Płowdywie i w Staréj Zagórze; obie miały razem uczennic 234. Dla tych zakładów naukowych rządowych wybudowano z wielkim nakładem nowe dogodne pomieszczenia. Między nauczycielami tych szkół sprawozdanie wymienia wielu bardzo Czechów. Na wyższe studya wyprawiono zagranicę na koszt rządu 40 stypendystów, w téj liczbie 15 pedagogów.

Jak widzimy, co do oświaty Rumelia stoi dość wysoko. I nic dziwnego, szkoły bowiem nie są tu czémś nowém, lecz tylko dalszym ciągiem dawniejszego rozwoju. Po opanowaniu Bułgaryi przez Turków, naród oderwany od wszelkiego wpływu cywilizacyi zachodniéj, a do tego ciemiężony, poniżony i zdeptany, w nieustannéj ciężkiéj walce o byt materyalny, nie był już zdolnym do jakiejbądź pracy naukowéj. Wskutek tego, aż po pierwszy dziesiątek bieżącego stulecia oświata stała w Bułgaryi na bardzo niskim stopniu. Pomiędzy ludem wiejskim mało kto umiał czytać lub pisać, a gospodarze, nawet zamożni, obliczali zapłacone Turkom podatki za pomocą karbów na drewienkach, dając jeden taki rachunek karbowany poborcy podatkowemu, a drugi zachowując u siebie. Po większych miastach, a nawet po wsiach były gdzie-niegdzie szkoły greckie, w których jednak po bułgarsku nie uczono nic, albo bardzo mało. Grecy byli zawsze największymi nieprzyjaciółmi narodowości i mowy bułgarskiéj, a swój język krajowi koniecznie narzucić chcieli. W r. 1833 założoną została w Gabrowie (w dzisiejszém księstwie) pierwsza szkoła narodowa za staraniem kupców bułgarskich, mieszkających w Odesie. Odtąd szkolnictwo bułgarskie wzmagało się nader szybko i pomimo obojętności, a nawet niechęci rządu tureckiego, który ściągając nielitościwie podatki nieraz nad możność biednego ludu, najmniejszéj cząstki z nich nie dawał nigdy na szkoły, pomimo tego— powtarzamy — w dziesięć lat po założeniu pierwszéj uczelni w Gabrowie, stanęło już 53 szkół bułgarskich, i zwolna greczyzna poczęła tracić swoją przewagę. W 1872 r., a więc jeszcze w epoce ucisku tureckiego, Bułgarzy eparchii Płowdywskiéj mieli 305 szkół elementarnych i 16 miejskich z 356 nauczycielami i przeszło dwunastu tysiącami uczniów, a nadto 24 szkoły żeńskie z 37 nauczycielkami i 2265-ma uczennicami. Podstawa to pokaźna, było na czém się oprzeć po wprowadzeniu autonomii.

Co się tycze zarządu kościelnego, mieli Bułgarzy rumelijscy dwie eparchie, w Płowdywie i w Sliwnie. Nadto w Płowdywie mieszkał metropolita grecki i biskup katolicki.

Najsłabszą częścią urządzeń rumelijskich było jéj wojsko narodowe. Na papierze, w statucie, organizacya jego wypracowana przez jednego z francuskich oficerów sztabu, wydawała się wcale niezłą,

w praktyce wszakże okazała się niezbyt szczęśliwą. Już na pierwszy rzut oka widać wielką różnicę między rumelijską siłą wojenną, a znakomicie wyćwiczoném i jakby z jednéj sztuki ulaném wojskiem liniowém w księstwie bułgarskiém, lub armiami serbską i rumuńską. Wojsko rumelijskie nie było armią we właściwém tego słowa znaczeniu, lecz raczéj milicyą, czemś w rodzaju mobilizowanego pospolitego ruszenia. Składało się ono z dwunastu chorągwi (drużyn) piechoty; z tych trzy miały po trzy setnie (roty), pozostałe zaś zadawalniały się każda jedną kompanią (prisutstwujuszta rota, Präsenzcompagnie) ze 130-tu ludzi. Prócz tego w Płowdywie stał „batalion instrukcyjny,“ złożony z dwóch setni piechoty, szwadronu jazdy ze 120 koni, pół bateryi artyleryi z 4-ma działami i jednéj setni saperów. Podług statutu, więcéj artyleryi trzymać Rumelii nie było wolno, a i te cztery działa, jak mówią—były nieszkodliwe, bo nigdy nie było do nich amunicyi. W pewnym względzie dogadzało to Bułgarom, co rok bowiem na polecenie z Konstantynopola, aby w dniu urodzin sułtańskich dawano w Płowdywie salwy działowe, rząd rumelijski mógł ze spokojném sumieniem odpowiadać, że jeszcze nie otrzymał nabojów. Wojska rumelijskie obchodziły się téż bez sztandarów, narodowych bowiem chorągwi, których domagali się Bułgarzy, dać im nie chciano, oni zaś nie godzili się na godła tureckie. Uniform w zasadzie pozostał ten sam, który wojsko bułgarskie nosiło za czasów okupacyi rosyjskiéj. Podług sprawozdań urzędowych miał służyć w téj milicyi roczny kontyngens z 4,118 ludzi (3.492 Bułgarów, 386 Turków, 183 Greków, 15 Ormian, 26 Żydów i 16 Cyganów), w rzeczywistości wszakże pod bronią było corocznie zaledwie 2.800 ludzi, reszta zaś była tylko powoływana po kolei na ćwiczenia dwumiesięczne. Służba wojskowa obowiązuje wszystkich mieszkańców kraju i licząc w to pobyt w rezerwie, trwała lat dwanaście. Zarząd prowincyi mógł mobilizować pierwszą kategoryę z 11.323 ludzi, następnie drugą kategoryę (drugi batalion do każdego z poprzednich) z 18.248 ludzi, wreszcie rezerwę z 17.315 ludzi, ogółem 46.886 żołnierzy.

Najsłabszą stroną téj armii był skład oficerski, z najróżnorodniejszych utworzony żywiołów, co zresztą było skutkiem koniecznym nienaturalnego położenia międzynarodowego całéj téj prowincyi autonomicznéj. Jeszcze za okupacyi, milicyę ćwiczyć poczęli oficerowie rosyjscy; następnie przyłączyli się do nich oficerowie Bułgarzy, którzy pierwéj służyli w armii rosyjskiéj, wreszcie przybyła spora ilość nowicyuszów z Sofijskiéj akademii wojskowéj. Do tego wszystkiego Vitalis nasprowadzał różnych Francuzów i pół-Francuzów, a Strecker—Niemców. Wszystkie te narodowości, nienawidziły się wzajemnie, w skutek czego całości brakowało należytego *Esprit*

du corps. Prócz tego niektórzy z cudzoziemców nie umieli ani słowa po bułgarsku i jak mówią—porozumiewali się z żołnierzami na migi.

Obok milicyi rząd rumelijski utrzymywał 1.425 ludzi w charakterze żandarmeryi konnéj i pieszéj. Oficerowie téj ostatniéj byli również rozmaitych narodowości. Na czele stał Anglik, generał Borthwick, znany dawniéj w służbie tureckiéj pod imieniem Mahir-beja. Organizacya téj żandarmeryi, określona w statucie, była żywą kopią wzoru francuzkiego; lecz tu właśnie przykład dowiódł jasno, że instytucye jednego państwa nie zawsze można stosować do drugiego, bo jak żadna roślina nie przyjmie się w nieodpowiednim dla niéj gruncie, tak téż i najidealniejsze w teoryi urządzenia społeczne żadnych praktycznych nie dadzą rezultatów, jeżeli dostaną się w zupełnie obcą sobie sferę, pozbawioną warunków koniecznych dla ich życia i rozwoju. Żandarmerya rumelijska—ta wierna kopia doskonałego ze wszech miar oryginału francuzkiego—zrobiła kompletne fiasko; zwłaszcza podczas słynnych zajść z bandami rozbójniczemi w górach Rodopy (1881 r.) niedołęztwo jéj zwróciło uwagę całéj prasy europejskiéj. Rezultat taki był nader łatwy do przewidzenia. Służba bezpieczeństwa publicznego we Francyi, Włoszech, Niemczech, Austryi, lub gdzieindziéj na Zachodzie, przejęta jest duchem tradycyi i ma długoletnią wprawę. W Rumelii, chociaż zorganizowano ją z najlepszych żywiołów, oficerowie jednak z małemi wyjątkami nie mieli nigdy sposobności poznać bezpośrednio, na własne oczy tego wzoru europejskiego, który według orzeczenia statutu u siebie mieli wprowadzać w życie, a cóż dopiero mówić o przejęciu się duchem jego. Przy takich warunkach najpiękniejsze projekta pozostaną zawsze tylko na papierze i nigdy w czyn nie wejdą.

(*dok. nast.*)

SPRAWA LUBOMIRSKIEGO

w roku 1664.

V.

Przed sejmikami.

Minął czas namysłu, wahania się i wątpliwości: powiedziano sobie, że tak daléj być nie może i postanowiono działać. Nie można było wroga przejednać, nie można było ubezwładnić środkiem żadnym pokojowym, została trzecia droga i jedyna: uprzątnąć go z drogi przemocą. Przemocą, mówimy, bo choć obrano sposób legalny, choć pod sztandarem prawa i w obronie niby bezpieczeństwa publicznego przystąpiono do dzieła, nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że celem stronnictwa dworskiego było nie zadośćuczynienie sprawiedliwości i prawdzie, lecz jedynie upadek i zguba marszałka. To sobie założono z góry i to z góry zamierzono przeprowadzić bez względu na słuszność i prawność tego kroku, bez względu na sumienie.... Bo i w chwili, kiedy myśl owa powstała w kołach królowéj, nikt nie przypuszczał, ani wierzył, aby dzieło, ułożone naprzód, dało się przeprowadzić legalnie: każdy z powątpiewaniem pytał, czy na upatrzonéj ofierze uda się znaleść tyle plam i skaz, tak obciążających, aby wystarczyły do zupełnego jéj potępienia. Dla tego nie pytano wówczas, kiedy koło francuskie radziło nad zgubą marszałka, czy można dość polegać na sumienności i dobréj wierze senatorów, a przyszłych sędziów Lubomirskiego, lecz liczono, czy w tym sądzie zasiędzie większość stronników królowéj i czy się ich zastęp da powiększyć; jakby wystarczało zupełnie być czyimś antypodą co do przekonań i dążności, aby módz przeciwnika obedrzéć ze czci, mienia i życia!... A jednak tak było rzeczywiście. Cała działalność królowéj i jéj kamaryli w czasie, począwszy od rady senatu (sierpniowéj) do otwarcia sejmu walnego, obraca się około tego, aby pozyskać wszystkich, którzy będą

mieli z urzędu, czy z innego obowiązku udział bezpośredni lub pośredni w ukartowaném z góry przedsięwzięciu.

Sprawy takiéj wagi, jak sprawa marszałka, mogły być sądzone tylko na królewskim sądzie sejmowym: od przebiegu sejmu, od jego prawomocności zależała prawomocność wyroku. Jeśli się zatém powieść miało dzieło zamierzone, to chodziło o to przedewszystkiém, aby w izbie poselskiéj znaleźli się ludzie przychylni królowéj, a przeciwni marszałkowi.

I oto zadanie, a praca nad jego rozwiązaniem staje teraz na pierwszym punkcie porządku dziennego. Posłów obierają sejmiki partykularne wojewódzkie; trzeba więc rozwinąć czujną nad niemi opiekę i wszystkie siły zwrócić ku temu, aby ogólny rezultat wyborów wypadł dla dworu korzystnie.

Zbyt jasno pojmowała Marya Ludwika położenie, aby się mogła łudzić jakiemiś nadziejami co do usposobienia ogółu względem tronu. Opinia publiczna stała przeciw dworowi i gardłowała za marszałkiem. Nie było więc ani mowy o tém, aby cel królowéj dał się osiągnąć sposobem prawnym i dozwolonemi środkami: pieniądz i intryga musiały znowu, jak zwykle, odegrać rolę pierwszorzędną. Gdzie zaś szło o pieniądz, tam skarb wersalski zawsze stał w odwodzie. To téż królowa do nowéj przystępując pracy, odzywa się naprzód do hojności Ludwika XIV i dopomina nowych zasiłków. „Niepodobna przeprzéć wyboru posłów, dworowi przychylnych bez wielkiego wydatku — pisze de Lumbres do swego króla (1) — dlatego królowa dała mi do zrozumienia, że suma 10—12 tysięcy talarów bardzo by się przydać mogła."

Takie było wśród stronnictwa francuskiego głębokie i silne przekonanie o ważności zamierzonéj sprawy, że wobec niéj ustępują wszystkie inne prawie zupełnie. Nikt nie mówi na dworze o sprawie obioru następcy tronu, nikomu przez myśl nawet nie przechodzi, ów plan odnawiać, który tak długo zaprzątał umysł królowéj z początkiem bieżącego roku, aby sejm najbliższy zwyczajny przerobić na elekcyjny, choćby przemocą przez nacisk i teroryzm armii, nikt nie sięga pragnieniami swemi tak daleko, jak sięgał nieraz na wiosnę, kiedy to nawet o dwóch koronach dla d'Enghien'a marzyć, uważano za rzecz naturalną i uzasadnioną. Cała uwaga stronnictwa dworskiego, tak rozległe dotąd mierząca horyzonty, skupia się teraz na ściśle ograniczonéj widowni. Zguba marszałka, ten tylko cel jedyny wypełnia sobą wszystko i wszystko w sobie pochłania. Na dworze nastaje ruch niezwykły. Królowa przoduje wszystkim i we

(1) T. Luk. XII, k. 130. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 12 Sept. 1664.

wszystkiém. Ogarnia ją prawdziwa gorączka działania. Tyle już sił i zdrowia, tyle mienia, poszło, jakby na marne, że trzeba już raz z tém skończyć. Nadeszła chwila stanowcza: teraz albo nigdy! Ten sejm będzie rozstrzygać o powodzeniu całego przedsięwzięcia: zanim się on odbędzie, osądzić i orzec nie można, jaki osiągnie koniec sprawa obioru następcy (1). W każdym razie usunąć marszałka to przynajmniéj tyle (tak myślano w Wersalu (2), co o pół drogi zbliżyć się do celu!

Łatwo było przewidziéć, że sejmiki wypadną burzliwie: żywioły niespokojne miały obchodzić swoje święto. Oprócz sprawy marszałka mnóstwo innych spraw piekących. mnóstwo żądań i pretensyi czekało załatwienia i rozstrzygnięcia. Nazbierało się dużo grzechów przez kilka lat bezrządu; pieniądz podły i fałszywy rujnował szlachtę, wojsko nieopłacone domagało się żołdu. Trzeba było nałożyć nowe podatki: a gdzie o podatkach mowa, czy obeszło się kiedy bez hałasu i narzekań szlachty, bez inkryminacyi na podskarbich, na dwór, na króla? A cóż dopiero, jeśli i tak już rozjątrzone umysły do reszty roznamiętni obrażony magnat, czyniąc z prywaty sprawę narodową! Trzeba było zatém wytężyć wszystkie siły, aby zniweczyć intrygi tego człowieka, który nie lubiał ze środkami się liczyć,—i nie dopuścić żywiołom opornym dostępu do sejmu.

Marya Ludwika nie szczędzi dla tego celu ani starań, ani wydatków. Pracuje daléj nad wzmocnieniem swego stronnictwa: Bogusława Radziwiłła ciągle utrzymuje przy sobie obietnicą 20,000 franków pensyi, o którą równocześnie doprasza się u Ludwika XIV-go; podkanclerzego Naruszewicza ujmuje widokami na ośmiotysięczną pensyę, aby z nią razem w przymierzu czuwał nad zmiennym Sapiehą (3). Nie próżnują téż i jéj stronnicy. Rozrzuceni po prowincyach kopią oni, gdzie mogą, dołki pod marszałkiem i krzyżują jego zabiegi, odbijają przyjaciół i wspólników. Zebrzydowski dowiaduje się, że Lubomirski upatrzył sobie kandydatów na posłów województwa krakowskiego w trzech najgorliwszych swoich poplecznikach, tych samych, co to w on czas w Proszowicach tak szpetnie popsuli miecznikowi sprawę o podkomorstwo. Miecznik oddaje teraz wet za wet intrygantom: wiedząc, że szlachcic pod sądem stojący posłem być nie może, wszystkim trzem wytacza proces, że dwa razy sejmik krakowski bezprawnie zawichrzyli i zerwali (4). Radziejowski skąd inąd donosi Maryi Ludwice, że przeprowadzi wybór siedmiu posłów,

(1) T. Luk. XII, k. 155. De Lionne à M. de Lumbres. Paris, 31 Octob. 1664.
(2) Ibid. u. s.
(3) T. Luk. XII, k. 135. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 26 Sept. 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 133. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 25 Sept. 1664.

sobie oddanych, jeśli im królowa na czas sejmu utrzymanie zapewni, bo nazbyt są ubodzy, aby mogli w Warszawie miesiąc wysiedziéć o własnych kosztach (1).

W połowie października miały się rozpocząć sejmiki partykularne. Jeszcze w sierpniu po ukończeniu rady senatu rozesłał był król listy między szlachtę, aby w jak największéj liczbie zgromadzić ją na zjazdach (2). Przy zbliżających się wyborach trzeba było podwoić czujność, aby nie przeoczyć żadnéj sposobności i na wszystkich punktach równocześnie przeciwdziałać wpływom marszałka, któremu około 9 października posłano już pozew, i zarazem swoich bronić interesów (3).

Ułożono formalny plan kampanii. Zważywszy, że Lubomirski największy miał kredyt w trzech województwach, krakowskiém, sandomierskiém i ruskiém, najgorliwszych i najbardziéj wpływowych przyjaciół wysyła królowa na te pozycye.

Na krakowski sejmik pojadą: Jan Wielopolski, kasztelan wojnicki i miecznik Zebrzydowski; Branicki, marszałek nadworny kor. będzie działać na sandomirskim, na Ruś uda się Sobieski w 600 ludzi. Branicki upiera się koniecznie stanąć oko w oko przeciw Lubomirskiemu: układa sobie, że tam pośpieszy, gdzie marszałek waży się wystąpić osobiście. Miecznik nie mniejszą zdradza ochotę, zarówno jak kasztelan wojnicki: obaj obiecują nie szczędzić kosztów na dary, uczty i t. p., aby jak najwięcéj skupić około siebie szlachty. W Wielkopolsce, gdzie najwierniejszy przyjaciel marszałka, podkanclerzy Leszczyński około wspólnéj sprawy zabiega, pracuje królowa za pomocą rozmaitych osób. Zebrzydowski wysyła do swoich krewnych wielkopolskich, aby i ich wciągnąć w intrygę. Litwę bierze na siebie kanclerz Pac w nadziei, że Sapieha i podkanclerzy litewski wierni tylokrotnym przyrzeczeniom, nie odmówią mu swéj pomocy (4).

Tak rozstawieni gotowali się ci przewódcy stronnictwa francuskiego do boju przeciw grożącemu niebezpieczeństwu, — że nie urojonemu, przekonamy się wkrótce.

Jak się znalazł w obec takiego zwrotu rzeczy Lubomirski?

Wszystkie pozory (ale tylko pozory) zdawały się przemawiać za tém, że uląkł się i zadrżał przed ułożonym na niego spiskiem. Bo

(1) T. Luk. XII, k. 138. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 3 Octob. 1664.

(2) Dane: „Warsaviae, dnia 26 sierpnia r. 1664.“ Kopia w ręk. Bibl. Ossolińsk. Nr. 189 (Manuscripta Martini, Goliński, Tom III), str. 1571.

(3) T. Luk. XII, k. 141. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 9 Octob. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 141. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 9 Octob. 1664.

oto już podczas rady senatu kwestya ugody znowu na wierzch wypływa i w biskupie Trzebickim gorliwego znajduje tłumacza. O zabiegach jego poprzednio już była mowa. Nic sam nie wskórawszy, spieszy biskup do prymasa i wszelkiemi sposobami do wstawienia się za marszałkiem go nakłania (1). Ale, co więcéj, sam marszałek zdobywa się na akt niespodziewanéj, jak na ówczesny jego stosunek do dworu, skruchy: udaje się do Maryi Ludwiki z własnoręcznym listem (w języku włoskim) i przesyła go z końcem września królowéj za pośrednictwem biskupa krakowskiego. „Widząc się pozbawionym najwyższéj łaski Króla, Pana mego Najmiłościwszego — pisze Jerzy Lubomirski (2) — surowym związany zakazem, iżbym się listami memi więcéj nie naprzykrzał Jego kr. Mci, nie małéj doznaję zgryzoty i tém bardziéj boleję, o ile z chwalebném upragnieniem o nic innego nie troskam się na świecie, jak o to, aby się okazać uległym i wiernym sługą Jego kr. Mci, któremum tyle dłużen wdzięczności nie tylko za łaski, świadczone mi bez przerwy, ale i dobrodziejstwa, któremi dom mój szczodrze obdarzali Jego przodkowie...."
Wyraża następnie nadzieję, że ten list przekona króla o zupełnéj jego niewinności i prosi królowę, aby się za nim raczyła wstawić u swego małżonka. „Ośmielam się — kończy wreszcie — obok téj łaski spodziewać i tego od protekcyi Jéj królewskiéj Mości, iżbym mógł żyć pod Jéj opieką w téj saméj zawsze gotowości oddania się całkowicie na Jéj najłaskawsze rozkazy...."

Wszystko to padło jednak na grunt już nierodzajny zatwardziałego nienawiścią i częstemi zawodami znieczulonego serca królowéj i, jak się można było spodziewać, żadnego nie odniosło skutku. Że zabiegi Trzebickiego chybiły, wiemy już z poprzednich rozdziałów. Drugi pośrednik obrany został, jak się okazało, niefortunnie. Prymas Leszczyński, człowiek już podeszłego wieku i nad grobem stojący, patrzył na przebieg obustronnych intryg dość obojętnie i zachowywał neutralne prawie stanowisko. Dawniéj zbliżony podobno sympatyami przeważnemi do domu cesarskiego, trzyma się on teraz więcéj swego dworu, bo mu z tém lepiéj i spokojniéj. To też, dając posłuch perswazyom naprzykrzonego Trzebickiego, nie okazuje wielkiéj skłonności do patronowania marszałkowi i przez kanclerza, którego królowa na wieść o zabiegach biskupa krakowskiego do Gniezna nasyła (3), powtarza zapewnienia o swojéj wierności, a na-

---

(1) T. Luk. XII, k. 126. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 2 Sept. 1664.

(2) Data listu: „In Lanzutta, li 22 Settembre. 1664". Kopia w ręk. bibl. Ossolińskich Nr. 237, karty 261'—2.

(3) T. Luk. XII, k. 127. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 4 Sept. 1664.

wet pozwaniu Lubomirskiego przed sąd sejmowy nie okazuje się przeciwnym (1). Odjechał więc znowu z niczém Trzebicki. Ale prymasowi nie dano jeszcze spokoju. Wnet po pierwszym zjawia się u niego z tą samą misyą drugi stronnik marszałka, podkanclerzy w. kor., rodzony brat arcybiskupa. Miękki i powolny, jak zwyczajnie starzec, ulega wreszcie prymas i jedzie do Warszawy z końcem września. Ale skoro się znalazł na dworze, już go i odeszła ochota spełnienia tego, z czém przyjechał. Jeżeli w gruncie rzeczy i tak był on od marszałka daleki, to wymowa królowéj musiała dokonać reszty, dość, że arcybiskup zamiast za Lubomirskim przemówić, składa znowu uroczyste przyrzeczenie, że zawsze stać będzie przy dworze i ofiaruje się nawet zwołać umyślnie synod biskupów celem naradzenia się, jakby nieładowi w rzeczypospolitéj kres położyć (2). Wówczas skłoniono nareszcie i nuncyusza papieskiego, aby użył swego wpływu i usposobił królowę do zgody. Prałat przybył jednak za późno: marszałek już został zapozwany. Na audyencyi odpowiedziała mu królowa, że od chwili wydania pozwu sprawa cała usuwa się z pod kompetencyi dworu, a załatwienie jéj należy do sejmu (3).

Jeszcze 19 września udawał się też Lubomirski do starszego brata swego Aleksandra, koniuszego w. kor., również z prośbą o pośrednictwo (4). Nie znajdujemy tymczasem najmniejszéj wzmianki ani w relacyach de Lumbres'a, ani w listach królowéj, ani w żadnych innych źródłach, żeby koniuszy wzruszył się tą braterską odezwą. Była to rzecz znana, że obaj bracia w dawnéj żyli między sobą zwadzie. Aleksander był wiernym stronnikiem dworu, Jerzy zaś przeciwnikiem: ani wątpić więc, że starszy pan brat pokorną (po niewczasie) instancyę młodszego puścił mimo uszu.... Podobnież obszedł się z listem Lubomirskiego stary Potocki, nagabywany odeń w tym samym celu. Hetman (jedynie aby zadość uczynić formie, a opędzić się od natrętów) napisał do króla, ale chłodno i ogólnikowo, zwłaszcza, że nie miał od petenta żadnego bliższego pełnomocnictwa (5). Tém bardziéj nie uznali oczywiście za stosowne oboje królestwo wzruszyć się kilku frazesami senatora, który, jak zapewne odgadywali, pisząc sam nie bardzo pragnął, aby jego prośba została wysłuchana.

---

(1) T. Luk. XII, k. 128. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 11 Sept. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 137. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 2 Octob. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 141. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 9 Octob. 1664.

(4) Franc. Kulczycki: Pisma do wieku i spraw Jana Sobiesk. Tomu I-go cz. 1, str. 231 — 2, Nr. 57. [List Jerzego Lubomirskiego do Aleksandra Lub. Dat. z Łańcuta, 19 Sept. 1664].

(5) T. Luk. XII. k. 146. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 17 Octob. 1664.

Jak z tymi pośrednikami, tak i z bezpośredniém wystąpieniem listownéni, po którém najwięcéj się można było spodziewać, nie powiodło się marszałkowi. Pismo przyjęto obojętnie. Przyznawano, że list utrzymany był w tonie grzecznym, ale nie było w nim czuć téj prawdziwéj uległości i wyraźnego poddania się, jakie tu chciała znaleść królowa. Bo odrzuciwszy gładkie ogólniki, rozumowano, cóż pozostaje z całéj rzeczy? Lubomirski nie przyznaje wcale, żeby w czém obraził króla, nie próbuje nawet z niczego usprawiedliwić się królowéj, jakby przeciw niéj nigdy nie zawinił! (1).

Wiadomo, co w téj chwili zajmowało wszystkie myśli Maryi Ludwiki. Gotowała ona Lubomirskiemu zgubę. I ten człowiek, znienawidzony i z góry już zasądzony w jéj oczach, jako zbrodniarz stanu, poważa się po tylu jawnych aktach nieprzyjaźni, po tylu obelgach, rzuconych na jéj majestat królewski, dopominać jeszcze protekcyi kosztem kilku grzecznostek i pustych frazesów! Łatwo zrozumiéć, że list ten cały, jakkolwiek ogładzony i słodziutki, najmniéj wskórał u osoby, do której był zwrócony: to też w jéj odpowiedzi przebija ton szorstki i cierpki, mimo widocznego usiłowania, aby całość upozorować łaskawością (2): „Odebraliśmy pisanie Uprzejmości Waszéj przez Wielebnego Xdza Biskupa krakowskiego, do nas dyrygowane, a to snać dla tego, jakobyśmy się kiedy wzbraniać mieli do przyjmowania listów Uprzejmości Waszéj, które łacny miewały zawdy przystęp; ale nie propozycye, bo temi ciągnąłeś nas po wielekroć do uznawania elekcyi, *chcąc zażyć tego na tém większe* u stanu szlacheckiego i całéj Rzpltéj *inwidii nam uroszczenie.* Prezentowaliśmy list pomieniony Królowi IMci Panu Małżonkowi naszemu, którego wola przystąpiła, abyśmy takowy respons dali: że wiadom dobrze, jako i Uprzejmość Wasza, tych tak wielu ozdób i fortun, które weszły w dom Uprzejmości Waszéj z łaski przodków J. kr. Mci; *ale nie bez słusznego żalu zostawa*, *gdy widzi*, *że daleko odstępujesz od téj wdzięczności*, którą maiores Uprzejmości Waszéj domowi królewskiemu oświadczali, a tym bardziéj względem dobroczynności, odebranych za instancyą naszą z rąk Pańskich, *obracając je raczéj na niesmaki samegoż Króla IMci i nowe Rzptéj zatrudnienia*“.... Przeczy daléj, aby król miał odmawiać kiedy przyjęcia jego usprawiedliwienia się: owszem, niczego on bardziéj nie pragnie i niczego też nie oczekuje od Lubomirskiego „nad powinny respekt.“ Po téj surowéj admonicyi w końcu listu przybiera królowa ton łagodniejszy

---

(1) T. Luk. XII. k. 137. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 2 Octob. 1664.

(2) Kopia tego listu z datą: „Dan w Warszawie, dnia (brak cyfry) Mca Octobra roku Pańsk. 1664.“ Ręk. Bibl. Ossol. Nr. 237, k. 262.

i aby nadać sobie pozory bezstronnego na sprawę poglądu (a raczéj zapewne, aby odebrać marszałkowi możność użycia tego listu jako narzędzia przeciw tronowi, gdyby w nim niełaska przeważała), dodaje protekcyonalnie zapewnienie o swojéj łaskawości (ale i tu z pewném zastrzeżeniem). „Z naszéj zaś strony — wyraża się bowiem — cokolwiek tylko stawać będzie możności, na to ją obrócimy, abyśmy rzeczy prowadzili do powszechnéj stanów jedności i wszystkich ukontentowania, a osobliwie Uprzejmości Waszéj lubo nas po te czasy nie bardzo do tego usposabiałeś“..... Ściśle wziąwszy, było to nie mniej, ni więcéj, tylko oczywista odmowa, przyprawiona kilkoma gorzkiemi pigułkami i podana pod fałszywą etykietą niezasłużonéj względności i szczególnéj łaski.

Jedném słowém, dwór ani słyszéć nie chciał o jakowychś układach z przeciwnikiem, jakkolwiek coraz więcéj mnożyło się pośredników i chociaż z listu ostatniego wydawać się mogło, że marszałek niekłamaną miał ochotę pogodzenia się z francuskiem stronnictwem. „Zdaje się, że w jego postępowaniu kryje się znowu podstęp“—powiada de Lumbres (1),—„że mu bynajmniéj nie zależy na zgodzie; udaje tylko, jakoby jéj pragnął, ażeby szlachtę przekonać, że obowiązek swój spełnił“...

I takie było przekonanie całego dworu. Przekonanie—bo, jeśli perswazye pośredników i własne Lubomirskiego słowa brzmiały uprzejmie i nader pokojowo, to o czém inném zupełnie świadczyły czyny i działania marszałka i jego przyjaciół. Donoszono bowiem królowéj skąd inąd, że ten „najwierniejszy i najuleglejszy sługa“ (jakim się mieni w liście), takiém gorącém opanowany pragnieniem „oddania się wyłącznie na najłaskawsze rozkazy Jéj kr. Mci“, w téj saméj nieledwie chwili bardzo chętny dawał posłuch najłaskawszym rozkazom cesarza niemieckiego, ba nawet sam się ich gorliwie dopominał, nie robiąc sobie wcale skrupułu z tego, że zachodziła widoczna kolizya między dwiema jednakowemi ofiarami, czynionemi dwom przeciwnym sobie dworom naraz. Praca nad redakcyą wiernopoddańczego listu nie przeszkadzała mu wcale w staraniach o utrwalenie tajnego przymierza z dworem rakuskim; przeciwnie, równocześnie z wysyłką tegoż listu do Warszawy wyprawia marszałek do Szląska starostę radomskiego, zaufanego stronnika swego na zjazd z Lisolą umówiony (2)

Nie umiano wyjaśnić królowéj, co było przedmiotem téj konferencyi; ale, że nic takiego, coby się zgadzało ze świeżemi zapew-

(1) T. Luk. XII, k. 137. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 2 Octob. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 133. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 25 Sept. 1664.

nieniami „najwierniejszego sługi,“ o tém nikt nie wątpił. Dawno już wiadome były dworowi stosunki Lubomirskiego z Wiedniem, dawno szeptano sobie pokątnie, a nawet jawnie przestrzegano, że marszałek zamierza pozyskać dla siebie część armii koronnéj i na jéj czele oddać się na usługi cesarza we Węgrzech; a z drugiéj strony wiedziano i o tém, że cesarz nie szczędził sprzymierzeńcowi poparcia i pieniędzy. Świeżo znowu miał się Lisola zwierzyć pewnemu Polakowi, że na zaciągi wojsk polskich wyznaczono w Wiedniu przeszło cztery miliony florenów (1). Co więcéj, mnożyły się wskazówki, że elektor nie mniéj gorliwie popierał marszałka, sypiąc szczodrze złotem między jego stronników. Podawano sobie znaczne cyfry pensyi, jakoby wypłacanych przez dwór berliński wybitnym członkom opozycyi przeciw koronie. Lubomirski miał pobierać 60.000 franków, podkanclerzy Leszczyński 10.000. wymieniano téż i kasztelana poznańskiego i wielu innych między tymi panami (2)...

A jeśli już te stosunki z zagranicą nie licowały wcale z pokojowymi zapewnieniami marszałka, to w rażącéj z niemi sprzeczności pozostawały zabiegi jego w saméj rzeczypospolitéj. Jak dawniéj, tak i teraz nie przestaje Lubomirski na każdym kroku działać na przekór partyi francuskiéj i krzyżować jéj planów. Ledwie się skończyły pierwsze układy ze Szwecyą, już przysłuża się marszałek dworowi insynuacyą, że królowa się związała (wbrew konstytucyom ostatniego sejmu) z północném królestwem celem przeparcia elekcyi d'Enghien'a (3). Ledwie doszły go wiadomości o przywróceniu dobrego porozumienia między Litwą a królem, już śpieszy, aby je skazić, zakłócić i nowym rozdwojeniom dać początek: zbliża się do Sapiehy, usiłuje hetmana zjednać dla siebie różnemi propozycyami. A że powiadano, jakoby królowa chciała swatać z Sapieżanką Michała Paca, pilno było marszałkowi i w to wdać się co prędzéj. Zamiast Paca proponuje hetmanowi swego syna i to wbrew woli ostatniego, który związkowi temu stanowczo miał być przeciwny (4). Idąc za przykładem królowéj nie szczędzi téż piór i papieru i obsyła swoich krewnych, znajomych i dawnych przyjaciół uprzejmemi listami, dopraszając się poparcia i pomocy. A przedewszystkiém zwraca się do Bogusława Radziwiłła i na dawną przyjaźń się powołując, uprasza go, aby na swoim sejmiku przeprzeć się starał artykuły, jemu przychylne (5).

---

(1) Ob. uw. 2 na stronie poprzedniéj.

(2) T. Luk. XII, k. 131. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 18 Sep. 1664.

(3) Ibid. u. s.

(4) Ibid. u. s.

(5) List Jerzego Lub. do Bogusł. Radziwiłła etc. Dat. z Dąbrowy 7 paźd. 1664. Kopia w ręk. bibl. Ossol. Nr. 548, k. 49 (Odpis z archiw. prywat. Radziwił.). Podaje

Te i tym podobne zabiegi i postępki marszałka, oraz ciągłe pogłoski o nieustających intrygach w armii, o gotującéj się nowej konfederacyi wojskowéj, utwierdzały królowę w pierwéj już powziętych podejrzeniach. Usiłując wyśledzić związek między intrygami Lubomirskiego wewnątrz rzeczypospolitéj a tajnemi układami z cesarzem i elektorem, podsuwano marszałkowi rozległe i wielce skomplikowane plany, obliczone jakoby na zatratę stronnictwa francuskiego. „Marszałek wyobraża sobie,“—rozumuje de Lumbres (1),—„że kiedy ogołoci Koronę z sił wojskowych (przez zwabienie armii polskiéj na Węgry na żołd cesarski), a Kozacy i Tatarzy złączą się i na Ruś napadną, wówczas król zniewolony będzie zwołać pospolite ruszenie, o co właśnie jemu chodzi: korzystając z zamięszania sprowadzi on wtedy wojska, bawiące na Węgrzech, napowrót do Polski i w ten sposób stanie się panem sytuacyi.“ Jeszcze daléj posuwa się w domysłach Ludwik XIV, bo nie wierząc w szczerość sympatyi austryackich czy brandeburskich, z którémi Lubomirski wciąż występuje, uważa za rzecz pewną, że dumny magnat zwodzi po prostu wszystkich fałszywemi obietnicami, aby za pomocą pozyskanych dworów przeprowadzić elekcyę siebie samego na króla albo protektora na wzór Kromwella (2).

Nie będziemy rozprawiać, z podanych już wyżéj powodów, ile było prawdy i słuszności w tych ostatnich domysłach; zdaje nam się jednakowoż, że jeśli rzeczywiście zamiary podobne postały kiedy w duszy marszałka, nie mógł on myśléć o ich spełnieniu w chwili, kiedy potężne stronnictwo dworskie spiknęło się na jego zgubę i trzeba było raczéj nad tém pracować, aby groźne niebezpieczeństwo zawczasu odwrócić. Ale myliłby się, ktoby sądził, że w tém iście krytycznem położeniu Lubomirski stracił ducha i skłaniał się rzeczywiście do kapitulacyi przed francuskiemi tendencyami królowéj, do odstąpienia od swoich projektów. Przeciwnie (i to jest zresztą rzeczą naturalną w charakterze takiego człowieka, jakim był marszałek), od chwili wydania pozwu stał się on jeszcze bardziéj zaciekłym wrogiem Gonzagi. Nie zwiodą nas jego urzędowe listy, nie ułudzą słodkie słówka, których nie szczędzi nieprzyjaciołom, maskując swoją nienawiść: to tylko dalszy ciąg téj komedyi, którą przebiegły polityk od kilku lat odegrywał z powodzeniem. Świadek nienawistnych intryg królowéj, nie daje on się ubiedz bynajmniéj swojéj

---

ustęp z tego listu Kalicki w szkicu: „Bogusław Radziwiłł,“ Przegląd pol. 1878, kw. III str. 334. Uw. 1.

(1) T. Luk. XII, k. 133 De Lumbres à Louis XIV, Vars. 25 Sept. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 140. Louis XIV à M. de Lumbres, S. l., le 3 Octob. 1664.

nieprzyjaciółce w przeciwnych zabiegach. Marya Ludwika kupuje sobie złotem stronników, i on nie szczędzi również na ten cel pieniędzy; tamta z Wersalu czerpie subsydya, tego obsyła znacznemi sumami cesarz i elektor. Miecznik Zebrzydowski powziął był pewną wiadomość, że za jednym tylko razem przyszło do marszałka z Wiednia 100.000 franków (1). Pełną też dłonią szafuje szczodry magnat swoim i cudzym majątkiem i na wszystkie strony rozdziela bogate dary, pensye, ba nawet darowiznami wiosek całych zaskarbia sobie przyjaciół. A że przy jadle i napitku najłatwiéj ubijać drażliwe sprawy, więc od rana do nocy wrota u niego dla braci szlachty stoją otworem i stoły suto zastawione ściągają licznych gości (2).

Łatwo zrozumiéć, że te usilne starania nie miały na celu przejednania obojga królestwa. Chodziło znowu, jak zwykle, o pokrzyżowanie interesów francuskich. Miecznik i Sobieski zgodnie donosili o właściwych zamiarach marszałka. Postanowił on sobie, na przekór dworowi, w odpowiedź na pozew, przeprowadzić na sejmikach artykuł o wykluczeniu książąt francuskich z pośród kandydatów do korony (3). Przy tém wszystkiém nie przestaje jednak Lubomirski i nadal odgrywać roli męczennika za obronę wolności, ofiary stronniczych zawiści w ojczyźnie. Polityk i wielki znawca natury szlacheckiéj, zręcznie umiejący wyzyskiwać popularne wśród zaścianków hasła i idee, korzysta on ze świeżéj sposobności, aby się znowu otoczyć aureolą obrońcy narodu i jego zagrożonych prerogatyw. W téj myśli wydaje dnia 5 października z Dąbrowy list na sejmiki (4).

Powtarza się tu oczywiście znowu taż sama historya z wiadomą sprawą elekcyi. Ona to, wedle marszałka, jest źródłem wszelkich niepokojów i zamieszek w rzpltéj, ona przyczyną jego obecnych nieszczęść i utraty łaski królewskiéj. A przecież nie on sam, lecz rzeczpospolita cała na sejmie głównym usunęła rzecz tę z porządku dziennego i pod surowemi karami zakazała jéj wznawiania. Mimo to, wrodzy mu ludzie całą winę niefortunnego zakończenia i upadku sprawy elekcyi zrzucają na jego jedynie barki! „Stąd wszystkie spory, stąd zawiść na mnie, stąd nie tak mnie, jako Ojczyznie i bytowi onéj źle życzący ludzie ustawicznie psować mi i ojcowskiego Jego kr. Mci odemnie odwracać nie przestają serca!“ I wylicza wszystkie owe zamachy „na zdrowie, honor i substancyą,“ wszystkie

(1) T. Luk. XII, k. 141: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 9 Octob. 1664.

(2) Ibid. u. s.

(3) Ibid. u. s.

(4) „Copia listu na sejmiki od IMci P. Marszałka W. Kor.“ Ręk. bibl. Ossol. Nr. 237, k. 264--6.

prześladowania, które wycierpiał za to, że się ośmielił dzielić zdanie z większością narodu. Korzystano z każdéj sposobności, aby go oczernić i u króla podać w podejrzenie. Oskarżono go o obrazę majestatu za to, że wartę przydał do skarbca królewskiego, podwodzono na niego wojsko pod pozorem, że się zbroi na zgubę rzeczypospolitéj, głoszono, że armię podburzał, że konfederacyi był twórcą, że nasyłał agentów, aby podmawiali żołnierstwo do wytrwania w rokoszu. W tym to celu wołano do dworu dyrektora związku i ludzi ze czci obranych (alluzya do Radziejowskiego (1)) i zyskiwano ich datkami lub pięknemi obietnicami, aby na niego „co takowego podali i powiedzieli.“ Ale nie koniec na tém. Nawet kiedy związek się rozeszedł i pokój wrócił do rzeczypospolitéj, jego i wtedy nie pozostawiono w spokoju. Za to, że się usunął od wyprawy moskiewskiéj, bo wolał zostać w domu, niż ciągłych być przyczyną nieporozumień przez samą już swoją obecność w obozie, że ważył się dalej wywiadywać przez swoich podwładnych o sprawach koronnych i litewskich, do czego przecież, jako pierwszy urzędnik miał prawo, że wreszcie z przestrogami słusznemi zakonnika wysyłał do Sapiehy, to mu poczytano za czyn zbrodniczy „i bardziéj niż hiszpańskie na sprawę jego zarządzono inkwizycye.“ Przysyłają mu wreszcie pozew i głosząc, jakoby on wojska gromadził na zatratę tronu, zniewalają króla, aby się zbroił na niego, obywatela oddanego mu z całą uległością! „Jać los, jakikolwiek się nadarzy, zniosę,“—pisze, –„ale to WMość Panowie wiedźcie, że obaliwszy mię, zrujnowawszy w łasce J. kr. Mości Pana Mego Mługo, upadek to Ojczyzny będzie już, w któréj rozpostarłszy się ta zawiść, dowodzić wszystko będzie i na cóż się nie odważy!“ Fałszem jest, jakoby on był przeciwny saméj sprawie elekcyi w zasadzie. Uważał on ją za pożyteczną i zbawienną, byle została przeprowadzona w formie dozwolonéj, bez naruszenia praw

(1) Radziejowski był najzaciętszym wrogiem Lubomirskiego i najgorliwiéj działał na jego zgubę, jako powolne narzędzie w rękach królowéj. Nienawiść tych dwóch ludzi datowała się od dawna, bo od owego jeszcze sejmu, gdzieto Lubomirski publicznie rzucił Radziejowskiemu w twarz zarzut, że urzędu podkanclerskiego nie zasługami, ale pieniędzmi dostąpił (Por. szkic Kubali: Proces Radziejowskiego. Ser. druga. str. 17). Jak mu się teraz za to odwdzięczał ekssenator, w r. 1662 do czci przywrócony, mieliśmy już kilka razy sposobność o tém wspominać. Nie od rzeczy będzie tutaj przytoczyć także urywek z charakterystycznego wierszyka w rodzaju paszkwilu, który wówczas krążył między szlachtą (z ręk. bibl. Ossol. Nr. 237, k. 18):

„Radziejowski doktorską przyjął profesyą,
„Nie leczy, ale truje swoją alchemiją:
„Marszałkowi dał trunek, że go operuje,
„Drugi pieczętarzowi mniejszemu gotuje“... (Co gotował Janowi Leszczyńskiemu, tego nie wiemy).

i zwyczajów. Dla tego, skoro spostrzegł, że bezprawnym i niegodziwym do niéj zabrano się sposobem, rozumiał rzeczą właściwszą odstąpić, aniżeli nadal przy swojém obstawać na szkodę ojczyzny. W poczucie swéj niewinności zanosi przeto usilną prośbę o przyczynienie się za nim u króla i kończy wreszcie patetyczną odezwą do szlachty. „Nie dajcie uciskać obywatela dla cnoty, dla stateczności przy Ojczyznie! Ukażcie, żeście tych Ojców synowie, którzy panów czcić, praw przestrzegać, cnocie nie szwankować, a przewrotności własnéj przewodzić umiecie nie dać w Ojczyznie!“

VI.

Sejmiki.

Łatwo zrozumiéć, z jaką niecierpliwością oczekiwały obie strony rozpoczęcia sejmików. Tu już nie szło o zjednanie jednostki, o usunięcie téj lub owéj przeszkody, przecięcie odosobnionéj intrygi: rezultat wyborów miał stanowić o całych masach, o spokojnym lub burzliwym przebiegu sejmu, o tryumfie lub upadku jednéj z dwóch przeciwnych sobie partyi.

Widzieliśmy, jakie z obu stron czyniono przygotowania: jeśli Lubomirski nie szczędził niczego dla pomyślnego przeprowadzenia swojéj sprawy, to dwór nie dał się przewyższyć, mając się przed podstępami przeciwnika na baczności. W połowie października puścił marszałek w obieg artykuły, które pragnął widziéć w instrukcyach poselskich. Jedne z nich tyczyły się elekcyi, inne ligi ze Szwecyą itd. a przedewszystkiem nie brakło nigdzie punktu o samym męczenniku za sprawę wolności. Miał ten artykuł zalecić opiece panów posłów uciśnionego obywatela i jego stronników. Żądano w nim, aby nie dopuścić do sądu na człowieka, którego ściga zawiść powszechna: o losie jego stanowić może tylko walny zjazd ogółu szlachty, który niechby był zwołany w tym celu na wiosnę (1). Równocześnie rozesłany został na wszystkie sejmiki znany nam już list otwarty Lubomirskiego.

Wybory zaczęły się pod złemi dla dworu wróżbami. Bo oto w téj stanowczéj chwili, kiedy królowa rada była odwrócić, jak można najbardziej, uwagę nieprzyjaznych dworów pogranicznych od rzeczypospolitéj, stało się, że główny przeciwnik, dotąd mniéj niebezpieczny, bo związany wojną turecką, cesarz niemiecki uwolnił się

---

(1) T. Luk. XII, k. 144. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Octob. 1664.

właśnie z krępujących go więzów, zawarłszy z Turcyą 20-letnie zawieszenie broni. Wiadomość o tém w sferach dworskich wywołała niemały popłoch. Powszechna była opinia, że Leopold nie w innéj myśli przyśpieszył zakończenie układów, które obiecywały przeciągać się długo, na warunkach niekorzystnych, jak żeby módz całą uwagę i wszystkie siły zwrócić ku téj stronie, gdzie jego interesa najbardziéj wówczas były zagrożone, tj. ku Polsce (1). Świeże wiadomości z Wiednia i Krakowa potwierdzały te obawy (2); dzielił przekonanie królowéj i jéj stronnictwa nawet tak bystry polityk jak Ludwik XIV (3). Zwrot taki nie mniéj silnie oddziałał niewątpliwie na marszałka: musiał mu dodać otuchy i do tém gorliwszych zachęcić zabiegów, co oczywiście nie było na rękę królowéj, zwłaszcza w chwili, kiedy się do stanowczych przeciw Lubomirskiemu zabierano kroków. Niebezpieczeństwo interwencyi austryackiéj, dotąd wątpliwe i dalekie, staje się realném i groźném. Marya Ludwika truchlała na myśl, coby się stać mogło, gdyby cesarzowi i Brandeburczykowi przyszła ochota od groźb przejść niespodzianie do czynów. W obec rokoszu wewnątrz kraju, w obec najazdu nieprzyjaciół ze wszech stron, od wschodu, od zachodu i południa, w obec braku sił zbrojnych, zajętych jeszcze na granicach moskiewskich, nic by nie pozostało dworowi, jak do Prus królewskich uciekać. A i tu trudnoby znaleść bezpieczny punkt oparcia, bo twierdze pruskie miały się znajdować w stanie opuszczonym, pozbawione załóg i amunicyi. Skarb zaś państwa pusty nie mógł zaradzić tym brakom. Słowem, mogła nastać kolizya taka, z któréj wyjścia znaleść by prawie nie sposób (4). Łagodził ten niepokój zimno na rzeczy patrzący Ludwik XIV: „My nie powinniśmy ustępować z pola“—pisał (5), „ani téż upadać na duchu w obec nowych niebezpieczeństw, które nastają; bo przy rostropności i bacznéj uwadze królowéj i w obec silnego postanowienia, jakie powziąłem, wspierać tę sprawę środkami wszelkiego rodzaju, nigdy nie chcę tracić nadziei, żeby ona wreszcie dobrego skutku nie osiągła.“

Pierwsza wiadomość z sejmików, która doszła do Warszawy, a to mianowicie z sejmiku województwa chełmińskiego, była również niepomyślna. Doniesiono królowéj, że marszałek posłał do Chełmna kopią tajnego traktatu, zawartego między królem francuskim a Szwe-

---

(1) Ob. uwagę poprzednią.
(2) T. Luk. XII, k. 152. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 24. Octob. 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 148. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 17 Octob. 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 145. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Octob. 1664.
(5) T. Luk. XII, k. 148. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 17 Octob. 1664.

cyą przeciwko wszystkim, którzyby chcieli naruszać z bronią w ręku wolność elekcyi następcy tronu w Polsce. Na artykuły tego przymierza, odczytane na sejmiku, wszczął się wielki hałas między szlachtą, choć nie było czego, bo, jak słusznie uważa poseł francuski, rzecz cała nie zawierała w sobie żadnego punktu, szkodliwego rzeczypospolitéj, a raczéj tylko na jéj korzyść była obliczona. De Lumbres stwierdził, że kopia marszałka zgodna była z rzeczywistém brzmieniem aktu ugody. Domyślano się, że jéj dostarczyć musiał elektor albo cesarz. Królowa nie omieszkała natychmiast (naturalnie wbrew prawdzie) posłać do województwa chełmińskiego listowne zapewnienie, że dokument traktatu, który marszałek podsunął, jest fałszywą mistyfikacyą (1).

Jeśli w Koronie intrygi Lubomirskiego zniewalały królowę i jéj stronnictwo do podwojenia czujności, to nie mniejsze obawy budziło co do W. Księstwa niepewne usposobienie Sapiehy, tego królika Litwy. Hetman znowu szukał powodu do zwady. Przed w. podskarbim kor. miał się on z niechęcią wyrażać o zamierzonéj ze Szwecyą lidze, a to z téj przyczyny, że dwór mógłby się posłużyć siłami szwedzkiemi celem przeparcia elekcyi księcia francuskiego. Stąd nowe budziły się wątpliwości co do szczerości i dobrych chęci Sapiehy. Królowa przypuszczała, że to tylko chwilowe rozdraźnienie; zapewne nie podobało się dumnemu panu, że go nie wciągnięto do tajemnicy układów szwedzkich, jakkolwiek się pogodził ze stronnictwem dworskiém. Tak przynajmniéj twierdził szwagier jego Jan Kopeć wojewoda połocki, zapewniając, że hetman stanie zupełnie po stronie tronu, byle mu okazywano bezwzględne zaufanie (2).

Wśród takich to okoliczności, dosyć niepomyślnych dla sprawy francuskiéj, rozpoczęły się wybory.

Z 15-tym października zapanował wielki ruch po województwach. Jakkolwiek żaden sejmik, najodleglejszy nawet, nie uszedł uwagi królowéj, jakkolwiek wszędzie zajęli stanowiska odporne jéj przyjaciele i najemni stronnicy, to przecież nie mniéj czujność saméj Maryi Gonzagi, jak i całego jéj otoczenia głównie wytężona była ku jednéj stronie, na zjazd w Proszowicach. W województwie krakowskiém leżało bowiem ognisko opozycyi: w niém to przemieszkiwał, gospodarował i najwięcéj powagi używał marszałek, właśnie starosta krakowski. Można było powiedzićć, że szlachta cała tego województwa należała do jego klienteli, związana z możnym panem czyto interesem, czy otrzymaną odeń łaską lub wreszcie ulegająca mu

(1) T. Luk. XII, k. 145. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Octob. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 143. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 17 Octob. 1664.

z obawy, jako dygnitarzowi wielkiéj władzy, potęgi i wpływu. Sam też Lubomirski ciągnął na sejmik proszowski zbrojno i hucznie, z wielkim orszakiem i na czele znacznego oddziału wojska. Rozpowiadano na dworze, że prowadzi ze sobą 600 piechoty, 150 żołnierzy z załogi krakowskiéj i 800 swojéj jazdy, która stala dotychczas pod Częstochową (1). Tu więc zanosiło się na najburzliwszą rozprawę. „Był zjazd wielki panów i senatorów" (2). Liczono przeszło 5.000 obecnéj szlachty. Marszałkował Jan Karol książe Czartoryski. Urzędownie zastępował króla kanonik Dobiński. Swoją drogą z tajną misyą ze strony królowéj zjechali marszałek nadworny kor. Branicki, kasztelan wojnicki Jan Wielopolski i miecznik Zebrzydowski z niemałemi orszakami.

Nie poczucie obowiązku, lecz podobno ciekawość zgromadziła w Proszowicach takie tłumy. Miał być bowiem sejmik krakowski widownią niezwykłéj sceny. Bo oto w chwili, kiedy zamierzono już przystąpić do wyborów, zjawił się w izbie obrad woźny z pozwem na marszałka i zapewne, czując się bezpiecznym pod protekcyą panów ze stronnictwa dworu, odczytał go wielkim głosem w obec zgromadzenia (3):

„Jan Kazimierz etc. etc.

„Tobie, Jerzemu Lubomirskiemu, księciu Wiśniczu i Jarosławiu, Marszałkowi Wielkiemu i hetmanowi kor. etc. etc. co do sprawy niżéj wyłożonéj rozkazujemy, abyś w obec Majestatu naszego królewskiego, senatorów Korony i W. X. lit. jako też i posłów ziemskich na głównym sejmie, najbliższym, jaki się odbędzie w Warszawie, stawił się osobiście i nieodwołalnie dnia szóstego od otwarcia sejmu (nie wliczając w to dnia pierwszego):

„a to na żądanie Instygatora kor. jakotéż delatora Hieronima z W. Skrzynna Dunina, którzy cię pozywają, iżeś, wzmógłszy się urzędami i godnościami wysokiemi w Rzeczypospolitéj, całą tę powagę i staranie swoje ku temu zwrócił, aby tron Nasz królewski obalić i tym sposobem Rzeczpospolitę, rzekomo, jako najwyższy stróż praw

---

(1) T. Luk. XII, k. 145, De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Octob. 1664.

(2) Relacye z tego sejmiku znajdują się w Tece Lukasa XII, k. 152 (De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 24 Octob. 1664), w dyaryuszu Golińskiego (Ręk. bibl. Ossol. Nr. 189 str. 1585) i u Kochowskiego (Clim. III. str. 152).

(3) Koch. l. s. cit. Podajemy przekład całego pozwu wedle drukowanéj kopii, zawartéj w aktach procesu (*Processus iudic. in causa Georgii... Lubomirski* etc., str. 5—9). Samo streszczenie tego mało znanego a ważnego dokumentu nie mogło, jak sądziliśmy, wystarczyć, zwłaszcza, że pozew jest w ten sposób ułożony, iż każde zdanie zawiera osobny zarzut; trudno więc było coś wyłączyć, jeżeli rzecz nie miała stracić na zupełności.

i wolności powszechnéj, uczynić od swojéj jedynie woli zawisłą i to niżéj wymienionemi sposobami, radami i postępkami do skutku przywieść usiłowałeś.

„A mianowicie naprzód, moc swego przedsięwzięcia zakładając w zaufaniu wojska, nie tylko nie ganiłeś zawiązującéj się w pośród niego konfederacyi, lecz nawet kierownictwo takowéj ofiarowałeś osobie, która ci się bardziéj przydatną wydała. A kiedy konfederacya się zawiązała, witałeś ją poselstwem swojém pod miastem Szczércem, pieniądzem wspomagałeś i przed nowém wojskiem Naszém, tak jak gdyby je zaciągnąć zamierzono na zatratę związkowego i jakoby już pieniądze wypłacono w tym celu, przestrzegałeś, a w ten sposób w wojsku owém skonfederowaném podsycałeś zawziętość, odstręczając je od zgody.

„Aby zaś wzrosło w potęgę, toś sprawił, iż żołnierstwo, w dywizyi Stefana Czarnieckiego, wówczas wojewody ruskiego służące, od posłuszeństwa ku Nam odwiedziono: a przez to wyprawę Naszą do Litwy przeciw Moskwie, sam nadto nie biorąc w niéj udziału, osłabiłeś. Przeszkodziłeś więc temu, aby wojsko skonfederowane nawet w niebezpieczeństwie Ojczyzny nie wspomogło, boś wolał, aby ono tymczasem toczyło raczéj i gryzło jéj wnętrzności. Obrady sejmu, po szczęśliwym naszym z Litwy powrocie zwołanego, żądaniami, bytowi Rzeczypospolitéj zagrażającemi, które za wolą twoją ułożono, utrudniałeś i przewlekałeś, a następnie toś skrycie sprawił, że toż samo wojsko związkowe skrępowało sejm nieprzyjacielskim napadem, senatorów i posłów zatrzymywało i zawracało z drogi.

„Następnie nam, dla bezpieczeństwa komisyi do Lwowa jadącym podróż tę sposobami wszelkimi odradzałeś; albowiem i samą konfederacyę i swój głos senatorski aż do czasu bezkrólewia zachować pragnąłeś. A potém, sam nie bywając na posiedzeniach komisyi, raczéj przez służące tobie w téjże konfederacyi osoby, jakotéż przez szlach. Wojakowskiego, chorążego przemyskiego siedmkroć blisko razy do takowéj wysełanego, na to naprowadzałeś, aby cię obrano protektorem związku i jako znak wierzytelny przez tegoż samego chorążego listy, które tajemnie miały być w obieg puszczone, dyrektorowi związku przesłałeś.

„Listem, przez Piestrzeckiego, również wysłańca swego porzuconym w obozie i na publicznéj radzie wojennéj odczytanym, wojsko przestrzegałeś przed wezwanymi dla obrony i bezpieczeństwa naszego Tatarami i Kozakami. A prócz tego pisemnie rozgłaszając, tajemnicę rady senatu Naszego co do wezwania tejże pomocy, jakkolwiek sam ten środek pochwalałeś, wyjawiłeś.

„Do czego zaś to wszystko zmierzało, poświadcza list bezimienny, od znamienitego pewnego obywatela, tobie znanego, do rąk naszych oddany.

„I sam to potwierdziłeś, bo skoro cię obwołano protektorem wojska, oświadczyłeś jawnie, że przystępujesz do związku, który się zamierzał zbrojno na miasto Nasze królewskie, pod pretekstem, żeśmy pomoc ową tatarską sprowadzili na zgubę własnych braci.

„A chociaż, kiedy wreszcie sprawa Nasza tobie i wojskom wydała się słuszną, tyś sam pośrednictwo zagarnął dla siebie i na własną objął rękę, to przecież zamierzył uknuć przeciw Nam znowu coś nowego (jak sam wyznałeś); i w istocie, gdyśmy po rozwiązaniu konfederacyi zaraz na wojnę przeciw nieprzyjaciołom Naszym i Rzeczypospolitéj wyruszyli, nie tylko żeś się sam nie stawił, lecz i żołnierstwo od wyprawy odstręczałeś. Pobudzałeś do rokoszu piechotę Naszą i Rzpltéj przez swoich wysłańców i tyleś sprawił, że wielka część jego obóz Nasz opuściła.

„Całe twe staranie zresztą ku temu zwrócone było, ażeby usiłowania Nasze dla dobra Rzeczypospolitéj i wszystkie działania zniweczyć, naród do nienawiści przeciw Nam pobudzić, urzędników Naszych i Rzpltéj fałszywemi podszeptami i doniesieniami do rokoszu nakłonić i tak całą Rzeczpospolitę napełniałeś zamieszkami i nieładem, jakby tylko od ciebie zawisły był jéj spokój.

„I nie w innym celu wysyłałeś do W. X. L. jakiegoś zakonnika, z pisemną instrukcyą, głosząc potwarczo, że ród (królewski) zamierza zerwać węzły unii, że się gotuje sejm na Litwie w tym celu, że chcemy W. X. lit. pod absolutne Nasze poddać rządy, że to wszystko ma być dokonane gwałtem, że zostanie przywrócona samowola temu rodowi, a W. Xięstwu niewola.

„O ile się zaś sam wyniosłeś pod pozorem troskliwości o dobro publiczne po nad równość obywatelską w Rzeczypospolitéj, toś okazał jasno i wyraźnie gromadząc szlachtę na zjazdy celem obrad nad Rzeczpospolitą w domu swoim, wydając uniwersały w sprawie wojny tureckiéj do województw w nieobecności naszéj, jak gdybyś w ręku miał władzę prymasa.

„A skoroś tylu tak zbrodniczemi występkami (niech już łaskawość Nasza pokryje milczeniem krzywdy i obrazy, Naszemu Majestatowi wyrządzone) słuszność prawa publicznego naruszył, ustawy, konstytucye i fundamenta wolności w Rzpltéj, które od przodków Naszych powiększone, pamiętni na przysięgę, miłością ojczyzny i czcią antenatów wiedzeni, całe życie święcie strzeżemy, zachowujemy i utrzymujemy w całości, nie szczędząc ani życia, ani czasu, aby je przed skażeniem uchronić, obalił, konfederacyi, prawami potępio-

néj, a przez to samo niecnéj, bezkarność i obronę zabezpieczał, przez nią dobra kościoła i Rzpltéj najeżdżał, pustoszył i niszczył, wojny z nieprzyjaciółmi naszymi niecił i podsycał i przewlekał i przez to Rzpltę na olbrzymie, i nieobliczone straty naraził, pokój i bezpieczeństwo wewnętrzne jego przez swe ambitne zamysły zamącił, niezgodą, zawiścią i wzajemną nieufnością zapełnił, a usiłując tym sposobem od siebie jedynie uczynić ją zawisłą, a tak przeciwko konstytucyom wykroczył:—przeto cię pozywamy, abyś był świadkiem, jako na ciebie zostaną postanowione kary kryminalne z mocy ustaw Rzeczypospolitéj, aby pokój, wzajemna wiara i ład wewnętrzny, jakoteż sprawiedliwość przywrócona została w Rzpltéj, aby i to, czego prawo wymagać będzie, uchwalone, ogłoszone i wykonane zostało.

„Będziesz więc odpowiadać przed sądem na to, co tu powiedziano, i na wszystko, co ci się bliżéj wyłuszczy i wyjaśni w oznaczonym czasie.“

„D. 9 października r. 1664 etc. etc.“

Spokojnie słuchał tego odczytu marszałek, przybrawszy teatralną pozę. Stał, oparłszy się na lasce, i oczy trzymał wzniesione w górę. Niekiedy tylko ściskał ramionami. A kiedy woźny skończył, wszczął się między szlachtą hałas i lament. Jedni głośno wyrażali pozwanemu współczucie, drudzy odgrażali się na prześladowców niewinnego obywatela, inni płakać nawet mieli nad jego niedolą... „Nato zabrał głos Lubomirski, dziękując łaskawym za siebie. Nie wypomniał nic królowi, ani téż dworskim stronnikom, wszystko to boskiéj opatrzności polecając, wyliczał wszystkie całego życia działania swoje, wyrażał swoją niewinność“ (1). Mowę tę przydługą wysłuchali nabożnie spółziemianie marszałka. Ogólna była między Krakowianami opinia, że to ofiara zawiści i niełaski dworu. „Któż albowiem spodziewał się tego,“—odzywa się Kochowski, najlepszy tłumacz sentymentów szlacheckich (2), „żeby téż fawory dworskie tak ślizgie były! Niedawno po cudnowskiem zwycięstwie kanclerz w. kor. ojcem go ojczyzny mianował: teraz prosty człek, woźny, obelżywemi słowy nagabując zacnego męża, przezywa go zdrajcą ojczyzny!“ Sejmik skończył się jednak na niczém. Stawiono tu bowiem na kandydatów ludzi, zapozwanych przed sąd sejmowy. Sprzeciwiało się to konstytucyom królestwa, jak utrzymywała większość szlachty. Ponieważ mniejszość upierała się przy swojém, więc opozycyi nic nie pozostało jak zerwać obrady. Oznaczono tylko delegatów, aby

(1) Kochowski Ann. Pol. Cllm. III, str. 152.

(2) Koch. Ann. tamże.

wnieśli do króla instancyą o ponowne na zjazd wyborczy przyzwolenie (1).

I na sejmiku wielkopolskim w Środzie nie obyło się bez burzy (2). Usiłowano na nim przeprzeć dwa artykuły, które rozumnéj części szlachty wydały się niewłaściwemi. Pierwszy z nich żądał, aby posłowie zobowiązali się pod przysięgą, że tak ściśle przestrzegać będą instrukcyi, iż sejm zerwą, jeśliby się jéj punktom sprzeciwił. Drugi domagał się znowu przysięgi na to, że nie dopuszczą do otwarcia obrad, jeżeli w izbie poselskiéj zabraknie delegatów z którego województwa. Ponieważ widoczném było, że oba te artykuły z góry zmierzały do tego, aby sejm nie doszedł, a to zapewne, aby w ten sposób i sąd na marszałka miejsca mieć nie mógł,—przeto większość zgromadzonych, przeciwna takiemu postępowaniu, zerwała i ten sejmik.

Nie mało hałasu było i w Opatowie (o co, nie podają źródła) (3). Sejmik w Chełmnie, który zapowiadał się groźnie, został doprowadzony szczęśliwie do końca: przypisywano to staraniom biskupa chełmińskiego, który załagodził ową sprawę o tajny traktat Francyi ze Szwecyą, zwiedziony listem od królowéj, gdzie sprawę całą przedstawiono jako prosty wymysł Lubomirskiego (4).

Na sejmiku wiszeńskim wreszcie (ziemi lwowskiéj, przemyskiéj i sanockiéj) wybrany wprawdzie został między innymi posłem także i stronnik królowéj, chorąży w. kor. Sobieski, ale mimo to uchwalono i pomieszczono w instrukcyi wyraźne zlecenie, aby delegaci za marszałkiem się ujęli u króla lub przynajmniéj odroczenie jego sprawy na czas późniejszy wyrobili (5).

---

(1) T. Luk. XII, k. 152. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 24 Octob. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 159. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novembre 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 152. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 24 Octob. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 159. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664.

(5) Instrukcya na sejm walny sześcioniedzielny kor. z sejmiku wiszeńskiego...... dnia 15 października roku ter. odprawionego. (Oblata obecnie w archiw. bernard. we Lwowie: Acta cast. Premisl. T. 398, str. 1008—48). Por. str. 1011: „Instabunt Ichmość PP. Posłowie, aby ta opinia de pectore J. kr. Mci P. N. Mgo ku IMci Panu Marszałku także i o innych IMciach braciach naszych, którym mandaty dano, eradicari mogła. A jeśliby to optatum sortiri effectum nie mogło, tedy Panowie Posłowie nasi cum tota Republica indesinenter prosić będą, ażeby téj sprawy z IMcią Panem Marszałkiem i z innymi IMciami, zwłaszcza, gdy tak wielkie na Rzeczpospolitą instant pericula i one gwałtowne et vix possibiles do zniesienia premunt necesitates, do innego przyszłego sejmu (in quantum się to wszystkim stanom Rzptéj będzie zdało) cognitio odłożona była. Ad extremum iniungimus to Panom Posłom naszym, aby quam vigilantissime IMciom, ea diffidentia affectis, u Majestatu J. kr. Mci P. N. Mgo suffragari nie omieszkiwali. W czym wszystkiem fidem et conscientiam Deo pacis internae et concordiae debita PP. Posłów naszych, że w tym stawać będą, obowiązujemy."

O innych zjazdach wojewódzkich nie wiemy nic szczegółowego. W Koronie wypadły one przeważnie po myśli dworu. Siedm sejmików zerwali samiż stronnicy królowéj, nie mogąc inaczéj zapobiec wyborowi nieprzychylnych sobie posłów lub uchwale niemiłych instrukcyi (1). Lepiéj jeszcze poszły rzeczy na Litwie. Sprawdziły się, co prawda, po części obawy co do Sapiehy. Hetman wystosował do sejmików w. ks. lit. pismo, gdzie proponował artykuły przeciwne zamiarom dworu. W sam czas przybył jednak do Wilna kanclerz w. lit. Staraniom jego udało się zniweczyć szkodliwy wpływ propozycyi niewiernego magnata (2). Wszystkie inne sejmiki wypadły zupełnie dobrze. Na jednym tylko udało się Sapieże przeprzéć artykuł przeciw podróży króla do Moskwy, dworowi nie miły (? tak podaje de Lumbres, ale dla czego, nie rozumiemy). To jedynie przykre wrażenie wyniosły koła francuskie z przebiegu rzeczy na Litwie, że hetman zawsze jeszcze postępowaniem swojém przeczył uroczystym przyrzeczeniom przyjaźni i uległości. Pewien jezuita, cieszący się zaufaniem Sapiehy, z powrotem z Litwy bawiąc w Warszawie po ukończeniu sejmików, zapewnił, że hetman żałuje tego postępowania i szczerą ma ochotę wiernie służyć królestwu, byle w zamian i o nim nie zapominano. Podkanclerzy lit., zięć Sapiehy, myśli się ubiegać właśnie o jedno starostwo: niech więc królowa wyrobi je Naruszewiczowi, a ostatniego i samego hetmana całkowicie sobie pozyska. Marya Ludwika postanowiła też sobie zadośćuczynić temu żądaniu, nawet mimo, że równocześnie o toż samo starostwo czynił zabiegi Michał Pac, jéj wierny stronnik (3).

Ogółem wziąwszy, poniósł zatém Lubomirski stanowczą porażkę. Nie tylko, że mało gdzie udało mu się przeprowadzić wybór posłów ze swego stronnictwa, ale nawet na wielu sejmikach jawną okazywano mu niechęć. Niektóre nie dopuściły do odczytania jego listu (4). Ze wszystkich stron donoszono królowéj, że stronnicy marszałka wielkie okazywali przygnębienie od chwili, kiedy pozew ogłoszono. Byli i tacy, co już teraz, nie czekając sądu, porzucili go skrycie, czyniąc zabiegi o względy panów, dobrze u dworu widzianych (5).

---

(1) T. Luk. XII, k. 153. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 30 Octob. 1664. W liście tym podanych jest tylko *sześć* sejmików zerwanych. Opieramy się jednak na liście późniejszym de Lumbres'a z 28 listopada 1664 (T. Luk. XII, k. 177), sądząc, że późniéj posiadać mógł poseł informacye dokładniejsze: a tu jest ich wyraźnie wymienionych *siedm*.

(2) T. Luk. XII, k. 150. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie 23 Octob. 1664 — Ibid. k. 154. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 30 Octob. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 154 etc. u. s.

(4) T. Luk. XII, k. 150. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 23 Octob. 1664.

(5) T. Luk. XII. k, 156. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 31 Octob. 1664.

Sejmiki zawiodły zupełnie oczekiwania Lubomirskiego. Niebezpieczeństwo, które dotąd lekceważył, zbliżało się szerokim krokiem; sąd był prawie nieunikniony.

Sąd na niego! który niedawno miał w swoich ręku więcéj niż królewską władzę, bo kierował zrewoltowaną armią: a przed armią taką mógł i tron się ukorzyć, bezsilny, bo pozbawiony jéj żelaznego ramienia.... Na samą myśl o czémś podobném musiała się w duszy marszałka wzburzyć duma, a gniew i wściekłość poruszyć wszystkie w niéj męty aż do saméj głębi. Niepowściągliwy umysł rwał się do buntu: gdy wrócił spokój, rozum radził inaczéj. Sytuacya była krytyczna. Póki los sprzyjał, przyjaciół nie brakło: odwróciła odeń twarz fortuna, stopniały i zastępy serdecznych towarzyszy i stronników.

Nie przeszło dotąd może przez myśl Lubomirskiemu, coby się stało, gdyby dwór wygrał sprawę. Zanadto ufał sobie i swojéj potędze, doświadczonéj w przeszłości, ten butny senator, aby mógł takim obawom dać dostęp do swego umysłu. Teraz same one tłoczyły się doń zewsząd i tłumnie cisnęły. Marszałek może pierwszy raz zadrżał.... Wyrok, który go czekał, nie małą groził mu klęską. Bo tu nie mienie tylko w grę wchodziło, lecz cześć, lecz dobra sława i życie. O to ostatnie najmniejsza jeszcze była obawa, bo dla ucieczki wrota do Austryi stały otworem; ale utrata całego znaczenia i wpływu, niemożność dalszego działania w kraju nad dziełem rozpoczętém, to samo było już ciosem dotkliwym i ciężkim. Trzeba było koniecznie wytężyć siły ku temu, aby, jeśli nie usunąć nieszczęścia, to odwlec je, jak można najdaléj.

Marszałek tracił głowę; nie wiedział co robić. Radził się przeto innych. Kiedy u niego bawił kasztelan wojnicki, pytał go także o zdanie. Wielopolski nakłaniał, aby się starał o zgodę: niech się jednak zbliży do miejsca układów, aby ich postęp ułatwić. Trudno było przystać na to Lubomirskiemu: powstrzymała go obawa, czy król nie każe go schwytać. „A kiedy zeszła rozmowa na to, że trzeba się będzie stawić na sejmie, wydawał się on zmieszany i pełen obaw przed wynikiem sądu. Powiadał, że nawet gdyby dowody nie starczyły na jego potępienie i choćby mu dozwolono przysięgą oczyścić się z zarzutów, które mu poczyniono — a to jest najłagodniejszy wyrok, jakiego się mógł spodziewać — nie mógłby on przystać i na to, tém więcéj, że przez tę przysięgę zburzyłby dobrą o sobie opinię nietylko wśród szlachty, ale i za granicą....“ Prosił jednak kasztelana, aby się za nim wstawił u dworu (1).

(1) T. Luk. XII, k. 160. De Lumbres à Louis XIV. Vars, 7 Novem. 1664.

Odbywała się więc, jak widzimy, walka w duszy marszałka. Obawy ogarniały umysł, a ambicya wypierała je znowu. To jedne, to druga brały nad nim przewagę. I to wahanie trwało już ciągle. Pod wpływem obaw odnawiały się myśli o zgodzie: a przyszła chwila stanowcza, unosiła go pycha do buntu i niweczyła powzięty plan układów.....

Po ukończeniu sejmików, pod przykrém wrażeniem zawodów, śle Lubomirski z pokorną do tronu prośbą już nie przyjaciół niepewnych, ale własnego syna. Posłuszny woli ojcowskiéj i niekłamaną miłością dla rodzica wiedziony, spieszy więc młody Stanisław do stolicy, aby raz jeszcze zapukać do łaski królestwa w téj saméj sprawie, która już tyle razy, wnoszona przez pośredników, chybiała. 30-go października znajdujemy starostę spiskiego (taką godność piastował książe Stanisław) w Warszawie.

Zaraz w dzień potém donosi on de Lumbres'owi w formie nadzwyczaj grzecznéj o swoim przyjeździe. Tegoż dnia (31-go) prosi o audyencyę u Maryi Ludwiki i oddaje list wierzytelny, pełen słów uległości i pokory. Składa przytém zapewnienia, że ojciec przyjmie wszystkie warunki, które mu podyktować zechce królowa (1). Równocześnie zaczynają się zjawiać u króla pojedyńcze poselstwa od kilku sejmików z instancyą za marszałkiem (2).

Ale na dworze stanowczo zawiał już duch oporu. Marszałek stracił tu wiarę zupełnie. Jaką rękojmię dać może ten człowiek, że spełni swoje przyrzeczenia? pytała królowa wszystkich pośredników. I aby wykazać dobitnie, jaką wartość miały i mają wszystkie jego obietnice i uroczyste zobowiązania, zrobiła kolekcyę wszystkich próśb o przebaczenie, o łaskę, które kiedykolwiek zanosił ten uciemiężony obywatel do tronu i które król uwzględnił napróżno, bez skutku. Powiada de Lumbres, że ich się zebrało blisko trzydzieści! (3). Wobec takich dowodów, co się zowie, musiał stracić kontenans i najwymowniejszy pośrednik. Próżne obietnice nie miały już więc naturalnie kredytu u dworu. Jeśli Lubomirskiemu szczerze szło o zgodę, to mógł ją okupić chyba drogą rzeczywistych ustępstw. Prażmowski już dawniéj napomykał królowéj, że co najmniéj należałoby odeń żądać w razie układów złożenia godności hetmana i wydania krakowskiego starostwa (4). Tymczasem nikt nie wątpił, że marszałek ani myśli zgodzić się na coś podobnego: utwierdzały

---

(1) T. Luk. XII, k. 156. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 31 Octob. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 160. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 165. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 21 Novem. 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 150. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 23 Octob. 1664.

stronnictwo dworskie w tém przekonaniu własne słowa Lubomirskiego, wypowiedziane do kasztelana wojnickiego (1). Dla tego to zapewne nic też nie wskórał i starosta spiski. Sprawa stała tak, że jéj załatwić nie było można. Marszałek wahał się i ciągle żywił nadzieje, że mu się łatwym kosztem uda wykręcić od sądu,—dwór, mając w ręku broń na przeciwnika, drożył się i podnosił coraz wyżéj swe żądania.

Mimo jednak pozornéj pewności siebie, królowa zawsze jeszcze pełna była obaw tak co do powodzenia sejmu, jak i co do dalszego postępowania pozwanego (2). Surowy wyrok mógł marszałka do reszty rozjątrzyć. Kto wié, do czego poprowadzi tego człowieka rozpacz i żądza zemsty? Już znowu donoszono o jakichś jego intrygach wśród wojska. A jeśli pan wpływowy i potężny porwie za sobą armię? A jeśli szlachta usłucha jego wezwania? (3). Lecz o to wszystko najmniejsza jeszcze... Właściwe niebezpieczeństwo groziło od cesarza i elektora. Bo gdzież, jeśli nie u nich, poszuka Lubomirski schronienia i pomocy? Ta myśl przyćmiewała znacznie te nadzieje, jakie obiecywało przynieść zwycięstwo na sądzie sejmowym (4).

Z drugiéj strony i od Tatarów nie czuł się dwór zabezpieczonym. I tam bowiem sięgnął swoją intrygą marszałek, układający się w ostatnich czasach tak pokornie przed tronem. Miał on posyłać do hordy poufnego człowieka, którego zadaniem było nakłonić ją do zerwania ugody z królem. Była obawa, czy w. wezyr nie zechce wywrzéć nacisku na Tatarów: podejrzywano bowiem cesarza, że czynił o to starania w Konstantynopolu, że przestrzegał, z jak wielkiém to będzie połączone niebezpieczeństwem dla Turcyi, jeśli książe francuski zasiędzie na tronie polskim i w ten sposób Ludwik XIV groźnym się stanie istotnie potędze otomańskiéj. Kto wie, czy Porta nie da chętnego posłuchu takim podszeptom; zwłaszcza, że istniała dawna przepowiednia w pośród Mahometan, wskazująca na Francuzów, jako na przyszłych sprawców ruiny sułtaństwa. W ten sposób mógłby obiór Enghien'a na króla przysporzyć dwóch naraz nieprzyjaciół od południa: hordę i Turcyę (5).

Ogółem więc staje się sytuacya polityczna w przededniu sejmu zatrważającą i groźną. Nie można patrzéć dłużéj obojętnie — sądziła

(1) Przytoczyliśmy je na jednéj z poprzednich stronnic.

(2) T. Luk. XII, k. 165. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 21 Novem. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 150. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 23 Octob. 664.— T. Luk. XII, k. 160. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 160 etc. (u. s.).— T. Luk. XII, k. 154. De Lumb. à Louis XIV. Vars. 30 Octob. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 165—6. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 21 Novem. 1664.

królowa — na przygotowania nieprzyjaciół, usiłujących podstawy dworu tajnemi chodnikami podminować.... A przedewszystkiém trzeba raz skończyć z tém długo wlekącém się przedsięwzięciem pozyskania armii, zwłaszcza że sprawa Lubomirskiego może się stać powodem nowych wśród niéj rozruchów. Nie ma innéj rady, jak, ile można najprędzéj, nie szczędząc pieniędzy, przekupić żołnierstwo dla sprawy francuskiéj, póki czas jeszcze, póki sprawa Lubomirskiego, wytoczona na sejmie, nie roznamiętni tłumów do reszty. A że myśli téj nie można było urzeczywistnić bez znacznéj sumy pieniędzy, przeto ucieka się Marya Ludwika znowu do Wersalu. Jeśli król zechce przysłać bezzwłocznie dwa miliony liwrow (co najmniéj tyle), to sprawa da się ubić z łatwością. Kilka razy powtarza de Lumbres w swoich depeszach te plany i te wygórowane żądania królowéj (1). Odpowiedź nie przychodziła jednak tak prędko, jak się spodziewano. Tymczasem Marya Ludwika modyfikuje już swoje żądania w ten sposób, żeby choć 300—400 tysięcy mogło być przesłanych jeszcze przed sejmem, ze względu na to, że dwóch milionów (jeśliby zostały wyznaczone) wypadnie raczéj użyć do samejże sprawy elekcyi (2).

Ludwik XIV pojmował ważność chwili równie dobrze jak królowa, jeżeli nie trafniéj i spokojniéj. Wiedział on dobrze, że zanosi się w Polsce na burzę i z góry pracował nad tém, aby dwór warszawski nie został zaskoczony niespodzianie i bez środków ratunku i obrony wobec bliskiego niebezpieczeństwa. W przekonaniu, że stronnictwo królewskie dosyć posiada siły, aby zniweczyć zbrojny opór marszałka wewnątrz rzeczypospolitéj, jeśliby oba mocarstwa, z nim sprzymierzone pomocy mu nie udzieliły, przygotowywał się głównie na wypadek interwencyi Austryi i Brandeburgii w sprawie Lubomirskiego i elekcyi. Bo w takim razie zachodziła obawa, że król polski nie zdoła wytrzymać przewagi przeciwników bez szczególnego z zewnątrz poparcia. Pierwszą rzeczą będzie zatém zapewnić Janowi Kazimierzowi gotowego sprzymierzeńca, a to mianowicie w Szwecyi. W tym téż celu dostaje kawaler de Trelon, poseł francuski w Sztokholmie specyalną instrukcyę. Wkłada na tego posła Ludwik XIV obowiązek zwracania szczególnych ku temu starań, aby w razie potrzeby niezwłocznie na pierwsze żądanie króla nastąpić mogła wysyłka znacznego oddziału pomocniczego ze Szwecyi do Polski (3).

---

(1) T. Luk. XII, k 151. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 23 Octobre 1664. Ibidem k. 154 De Lumbres à Louis XIV. Vars. 30 Octob. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 160. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 161—3. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 14 Novem. 1664.

Lecz i to dobrze rozumiał Ludwik XIV-go, że zanim układy z rządem sztokholmskim dojdą do kresu, powstać mogą w rzeczypospolitéj takie kolizye, z których wyjścia nie sposób będzie znaleść bez znacznych wydatków. Wiadome to było, że nie szczędził on nigdy skarbu, gdzie szło o ważną jaką sprawę. Mimo to żądanie królowéj przesłania dwóch milionów liwrów, sumy jak na owe czasy olbrzymiéj, musiało się mu wydać niezmiernie wygórowanem. Król francuski znał lepiéj niż kto inny wartość pieniędzy, tém bardziéj, że robił niemi wszystko: dla tego przy całéj swéj polityce, polegającéj głównie na przekupstwie, nauczył się i umiał kierować przy wydatkach rozumną powściągliwością i oszczędnością. To téż jakkolwiek oceniał wielką doniosłość wypadków bieżących w Polsce, nie większą przeznaczył sumę do rozporządzenia posłowi swemu i królowéj, jak 200,000 franków. Pieniądze te miał powieść do Warszawy Milet, marszałek polny wojsk królewskich i gubernator Châteaurenaud i Linchamps (1).

W instrukcyi, jaką otrzymał ten nowy wysłaniec, określone było wyraźnie i ściśle, na jakie cele pieniądz ten może i powinien być użyty (2). Przewidziane były trzy wypadki. Pierwszy: jeśliby marszałek zamierzał wystąpić przeciw królowi z bronią w ręku na czele wielkiego stronnictwa i wsparty uboczną, potajemną pomocą dworów niemieckich. Drugi, będący wynikiem naturalnym pierwszego: jeśliby Lubomirski próbował rzucić się wprost na stolicę królestwa, Warszawę, i zniewolił tym zamachem dwór i króla do ustąpienia na Prusy, których twierdze w złym miały znajdować się stanie. Trzeci: jeśliby Austrya i Brandeburgia wystąpiły do otwartéj walki z rzeczpospolitą. Na każdy z tych wypadków może suma 200,000 franków posłużyć jako fundusz do poczynienia nowych zaciągów, a w razie ostatecznym i do zaopatrzenia, naprawy i wzmocnienia twierdz pruskich (to jest wtedy, gdyby stronnictwo francuskie musiało aż tam szukać schronienia).

Dozwolono było zresztą zrobić z tych pieniędzy użytek i w innych ważnych, a nieprzewidzianych wypadkach: położył jednak Ludwik XIV nacisk na to, iż się spodziewa po rozwadze i wierności tak de Lumbres'a, jak Milet'a, iż postępować będą przy rozdawnic-

---

(1) T. Luk. XII, k. 164. De Lionne à M. de Lumbres. S. l., 14 Novem. 1664.— T. Luk. XII, k. 169. Louis XIV au roi de Pologne. S. l., 23 Novembre 1664. (En créance pour M. Milet). — Ibidem: Louis XIV, à la reine de Pol. S. l., 23 Novembre 1664. — Ibidem: Louis XIV à M. de Lionne. S. l., 23 Novem. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 170—3: „Memoire du roi pour servir d'instruction à Sr. Milet, s'en allant en Pologne.“ Paris 25 Novem 1664.

twie tego zasiłku z wielką powściągliwością i miarą, iż dopiero wtedy zeń zaczerpną, jeśli zajdzie potrzeba nieodzowna, to jest gdy w inny sposób nie będzie można zapobiec jakiejś wielkiéj klęsce, jakiemuś wielkiemu nieszczęściu. Musimy dodać, że Milet opuścił Paryż dopiero z końcem listopada, a w Warszawie stanął aż w styczniu, kiedy sejm główny zmierzał już do kresu. Na czas sejmu służyło do dyspozycyi de Lumbres'a tylko 50,000 franków, przysłanych posłowi jeszcze dawniéj, w pierwszych dniach października „dla zakupywania głosów polskich“ (1).

Wśród tych układów, starań i zabiegów czas mijał szybko i coraz bardziéj zbliżał się termin sejmu. Im bliższym zaś się stawał ten kres upragniony licznych piekących spraw i kwestyi, które zaprzątały całą rzeczpospolitą, tém większy ogarniał królowę niepokój, tém większa paliła ją gorączka działania (2). Nawet w samym prawie przededniu sejmu trapiła stronnictwo francuskie niepewność, czy przyjdzie takowy do skutku w terminie, z góry oznaczonym, czy téż będzie potrzeba odłożyć go na późniéj. Mówiono bowiem w Warszawie, że wielu znamienitych panów Wielkopolski nie myśli się stawić na sejmie tak długo, dopóki pozew na marszałka odwołany nie zostanie (3); a w takim razie z braku kompletu sejm by wypadło na jakiś czas przynajmniéj odłożyć. O odwołaniu zaś pozwu teraz nie mogło być nawet i mowy. „Jeśli się nam uda zgubić marszałka, to, zdaniem mojém, zrobimy więcéj niż połowę drogi do korzystnego zakończenia naszéj sprawy“ — powiada de Lionne w liście do de Lumbres'a (4), a zdanie ministra francuskiego dzieliła cała partya francuska w Warszawie, dzieliła i sama królowa.

Marya Ludwika nie przestaje i w ostatniéj chwili pracować nad tém wykończeniem długo gotowanego dzieła. Gromadzi, ile może świadków (5) przeciw marszałkowi, a widząc, że Lubomirski od zeznań powstrzymuje niektórych pieniądzem, otwiera takowym usta większemi jeszcze datkami. Aby pozyskać hetmana Sapiehę i jego stronnictwo, oddaje nareszcie podkanclerzemu litewskiemu Naruszewiczowi obiecane starostwo, o które, jak widzieliśmy, czynił przez pewnego poufnego jezuitę zabiegi. Tym razem ulubieńcy królowéj Michał Pac, hetman polny lit. i Denhof, wielki podkomorzy, musieli

---

(1) T. Luk. XII, k. 149. De Lionne à M. de Lumbres. S. l., 17 Octob. 1664.

(2) T. Luk XII, k. 165. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 21 Novembre 1664 „Plus nous nous approchons de la diète, plus la reine travaille à la faire reussir et *plus elle s'inquiète du succès et de suites, qui en peuvent arriver*.“

(3) Gaz. de France: De Warsovie, 18 Novembre. 1664.

(4) T. Luk. XII. k. 155. De Lionne à M. de Lumbres. Paris. 31 Octob. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 166. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 21 Novem. 1664.

zrzec się swoich pretensyi (obaj starali się o toż samo starostwo) i zawiedzeni ustąpić. Pac miał się wskutek tego zawodu tak urazić, że ledwie usilnym perswazyom wymownego posła francuskiego udało się gniew ten wybić z głowy ambitnego Litwina (1).

Równocześnie usiłowała królowa zaskarbić sobie przyjaźń Jana Zamojskiego, wojewody sandomierskiego, zawziętego dotąd stronnika marszałka. W tym celu pisała nawet do Paryża, aby przysłano do Polski d'Arquien'a, ojca Maryi Kazimiry, wojewodziny, sądząc, że tenże zdoła wpłynąć korzystnie na zięcia (2).

Aby dać miarę, ile ogółem kosztowała stronnictwo francuskie cała ta sprawa z Lubomirskim, powiemy, że wedle tego co podawała późniéj królowa, na przekupienie senatorów i posłów przed sejmem i podczas jego trwania wyszło 250—300 tysięcy liwrów (3).

(*Dok. nast.*) *Wiktor Czermak.*

---

(1) T. Luk. XII, k. 166. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 21 Novem. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 163. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 14 Novem. 1664.— T. Luk. XXXIII, k. 94. Condé [à M. de Noyers?]. 31/X, 1664.

(3) T. Luk. XIII, k. 1. De Lumbres á Louis XIV. Varsov. 1 Janv. 1665.

STARE KŁAMSTWA I NOWE PRAWDY.

Max Nordau. Die conventionellen Lügen der Kulturmenschheit (wydanie XI). Paradoxe (wyd. II).

Kiedy w roku 1758 Helwecyusz wydał dzieło „De l'esprit", w którém za podstawę moralności przyjmuje egoizm, pewna dowcipna francuska tak objaśniła powodzenie i rozgłos téj książki: „Helwecyusz wypowiedział otwarcie tajemnicę wszystkich." Naturalnie owo „wszystkich" odnosiło się tylko do inteligentnéj mniejszości. Tak samo możnaby wytłómaczyć poczytność obu wymienionych w tytule dzieł Maxa Nordau, które w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu doczekały się kilku, chciwie rozchwytanych wydań.

Pierwsza z tych książek, opublikowana jeszcze na początku zeszłego roku, nie jest zapewne obcą naszym czytelnikom, dlatego ograniczymy się na krótkiéj o niéj wzmiance, a zajmiemy się głównie „Paradoksami", jako nowością literacką.

W przedmowie do „Kłamstw konwencyonalnych" autor zaznacza wyraźnie, iż pragnął odzwierciedlić przekonania wszystkich ludzi, stojących na wysokości cywilizacyi współczesnéj. Wszakże, powiada daléj, jeżeli niejeden doszedł samodzielnie do wniosków, jakie ja w mojéj pracy uzasadnić się starałem, to mało kto ma odwagę przyznać się do tego szczerze; tchórzliwość bowiem jest straszliwą chorobą epoki obecnéj. Myśl stoi w sprzeczności ze słowem, zasada z czynem. Ludzie oddają obłudną cześć przesądom, w które nie wierzą, szanują formy, z których treść dawno uleciała, jednem słowem popełniają na każdym kroku tysiące „kłamstw konwencyonalnych." I dla czego? Aby, jak powiadają, nie obrażać cudzych przekonań. — Fałsz! Nie tolerancya to zamyka nam usta, krępuje swobodę naszych postępków, ale obawa, tchórzostwo.

Czy taki stan rzeczy przysparza społeczeństwu szczęścia? Bynajmniéj. Nigdy chyba niezadowolenie powszechne nie objawiało się

tak silnie, jak dzisiaj, nigdy ludzkość, która jak Faust szuka ciągle prawdy i szczęścia, nie była równie oddaloną od tego, aby powiedziéć do chwili obecnéj: „wstrzymaj się—jesteś piękną!“ Świat cywilizowany podobnym jest do olbrzymiego szpitala. Zewsząd rozlegają się jęki, wszędzie tylko cierpienie, ból i łzy. Socyalizm, nihilizm, nienawiści polityczne i rasowe—to różne formy niezadowolenia z istniejącego porządku rzeczy. Toż samo niezadowolenie przebija się we wszystkich dziedzinach umysłowości ludzkiéj.

Romansopisarze i poeci, albo uciekają od rzeczywistości i wskrzeszają dawno zamarłą przeszłość, albo, jeżeli już zwrócą się do motywów współczesnych, malują teraźniejszość smutnemi, ponuremi barwami: z jednéj strony widzimy Ebersa i Taylora z drugiéj Zolę i jego adeptów.

W filozofii panuje pesymizm: Schopenhauer jest bogiem, a Hartmann jego prorokiem.

W polityce nikt nie pragnie utrzymania tego, co jest. Konserwatyści w ścisłém znaczeniu tego wyrazu nie istnieją wcale. Każdy chce iść naprzód albo w tył, dąży do rewolucyi postępowéj, lub reakcyjnéj. Cóż jest przyczyną tego okropnego stanu? Przepaść, rozdzielająca nasze poglądy na świat i życie od form, w jakie to życie odziewamy. Czas się już z tego otrząsnąć, czas nazwać kłamstwo—kłamstwem, a prawdę—prawdą. Dla tego uważałem za mój obowiązek napisać to, co napisałem. I gdyby wszyscy oportuniści, dyplomaci, kłamcy, obłudnicy poszli za moim przykładem, przekonaliby się, że liczba ich stanowi „legion“, że niepotrzebują już kłamać, gdyż są silniejszymi, i mogą, bez szkody dla siebie, postępować szczerze, uczciwie i konsekwentnie.

Po téj zwięzłéj, a śmiałéj charakterystyce przechodzi autor do krytyki pojedynczych stron życia społecznego. Najwpierw chłoszcze obłudę religijną. Ma on tutaj na myśli nie tę szczerą, naiwną wiarę mas, lecz ów konwencyonalny szacunek, ową kłamliwą cześć, jaką okazują ludzie inteligentni symbolom bez znaczenia. Tam nawet, gdzie nie istnieje przymus państwowy, uważają niektórzy za konieczność łączyć wszystkie ważniejsze momenta swojego życia z pewnemi tradycyjnemi obrządkami, które nie są ani lepsze, ani gorsze od ceremonii, opisywanych przez podróżników, zwiedzających kraje niecywilizowane; a jednak.... chociaż śmiejemy się z obrządków u dzikich, nie przeszkadza nam to zachowywać w analogicznych sytuacyach niewzruszonéj powagi. W tym samym uniwersytecie jeden profesor wykłada dzieje stworzenia zgodnie z poglądami Darwina i Haeckla, drugi zaś wygłasza teorye wprost przeciwne—i to nas bynajmniéj nie dziwi, ani nie śmieszy. A przecież nie może być

dwóch sprzecznych ze sobą, a jednak prawdziwych twierdzeń o jednym przedmiocie. Ba, gdyby na tém tylko kończyły się sprzeczności cywilizacyi dzisiejszéj! Monarchia konstytucyjna, nad którą autor w dalszym ciągu swéj pracy się zastanawia, do téj saméj kategoryi należy. Czyż istnieje coś więcéj nielogicznego nad określenie: „król z bożéj łaski i woli narodu.“ Władca z bożéj łaski nie potrzebuje dbać o „wolę“ narodu. Absolutyzm jest konsekwentnym, logicznym, konstytucyonalizm — kłamstwem. Do jakich rezultatów prowadzi stosowanie tego kłamstwa w praktyce? We Włoszech, w Anglii władza królewska jest tylko nominalną, w Niemczech równie nominalną jest władza parlamentu. Gdzież więc się podział konstytucyonalizm? Nigdy nie istniał, a jednak mówimy o nim w napuszonych frazesach, jak gdyby o czémś, co należy do krainy rzeczywistości.

Albo parlament, wrzekome wcielenie prawdziwych dążeń i woli narodu, czemże jest rzeczywiście, jeżeli nie areną egoistycznych walk o władzę i znaczenie, jeśli nie drabiną, po któréj szczeblach ambitni karyerowicze wdzierają się na wyżyny społeczne?

Nasze stosunki ekonomiczne stanowią także szereg kłamstw. Przemysł wzrasta kosztem rolnictwa. Źródłem wielkich bogactw jest wyzysk, spekulacya, a rzadko, bardzo rzadko praca osobista. Całe prawodawstwo, stworzone przez klasy posiadające, ich dobro, ich interes tylko ma na celu. Ubogi — to paryas społeczny; niedość że umiera z głodu, musi jeszcze w dodatku znosić pogardę ze strony uprzywilejowanych współobywateli. Mówi się wiele o tém, że praca uszlachetnia, lecz większość patrzy ze wstrętem, z lekceważeniem na zabrudzonych robotników, podczas gdy niejeden próżniak, pasożyt, pieczeniarz niskie odbiera pokłony.

Tutaj autor przechodzi z dziedziny patologii w dziedzinę terapii społecznéj i rzuca kilka projektów poprawienia zła. Należy, podług niego, skierować część sił, zabsorbowanych obecnie przemysłem, ku rolnictwu, aby powiększyć ilość produktów spożywczych i zniżyć tym sposobem ich cenę. Trzeba podnieść poziom umysłowy robotnika. Państwo powinno urządzić zakłady, w których cała młodzież będzie kształconą i utrzymywaną do pewnego wieku bezpłatnie. Na cel ten posłużą pieniądze, wydawane dzisiaj na wojsko itd. itd. Wogóle autor, bardzo pesymistycznie usposobiony względem doby obecnéj, przeradza się w optymistę, skoro zacznie mówić o przyszłości i tworzy idealne plany, będące w niezgodzie z jego własnemi poglądami. Dla podniesienia moralnego stanu prasy np. proponuje, aby redaktorem mógł być tylko człowiek upoważniony do tego przez naród, a zapomina, co przed chwilą powiedział o wyborach i ich we-

wnętrznéj wartości, o głupocie i lenistwie wyborców, oraz o bezczelności wybieranych, którzy obiecują wprawdzie wiele, lecz nie dotrzymują nic.

Nordau jest na wskróś idealistą. Świadczą o tém nie tylko jego różowe poglądy na przyszłość. Idealizm przebija z poza namiętnych słów oburzenia, idealizm przenika całe dzieło, oparte na przypuszczeniu, że ludzie mogą i muszą być lepszymi, skoro tylko zrzucą z twarzy ohydną larwę kłamstwa, skoro zaczną poruszać się i rozwijać swobodnie. Przypuszczenie to wygłasza autor w rozdziale, którym, niby akordem nadziei, książkę swoją zamyka.

„*Paradoksy*“ stanowią jakby dopełnienie pierwszéj pracy Nordau'a. Autor rozbiera tutaj różne kwestye filozoficzne w sposób nadzwyczaj śmiały, bezwzględny, niedbając o uświęcone tradycyą zapatrywania. Stara się dociec, czém są w rzeczywistości utarte komunały, uznawane przez większość ludzi za pewniki. Walczy zatém nie z konwencyonalném kłamstwem, lecz z „konwencyonalną prawdą.“

Umysł ludzki, trawiony ciągle gorączką wiedzy, lecz posiadający ograniczone środki poznawania, lubi się łudzić i tworzy rozliczne teorye, hypotezy, systemy, które uchodzą za prawdę, chociaż są tylko jéj surogatem. Najciekawszym z pomiędzy tych wytworów człowieczego ducha jest *pesymizm*, owa nieubłagana, niszcząca krytyka wszystkiego, co istnieje.

Wszechświat, podług pesymistów, to nędzna, niedokładna machina, w któréj działaniu niepodobna dopatrzéć jakiegokolwiek celu i planu. Życiem ludzkiém rządzi brutalny przypadek. Moralność nie wpływa wcale na bieg, zarówno wielkich jak i drobnych wydarzeń. Zło tryumfuje nad dobrem; Aryman spycha Ormuzda ze schodów i śmieje się szatańsko, gdy ten ostatni złamie przytém rękę lub nogę. Dlaczego taki świat istnieje? Nie byłożby to zgodniejsze z rozsądkiem i moralnością, gdyby powrócił do nicości, z któréj się podobno wyłonił?

Jakaż naiwna zarozumiałość! Pesymizm przypuszcza, iż umysł ludzki jest najwyższym, najdoskonalszym tworem natury, że ogarnia on i pojmuje wszystko, że prawa jego stanowią zarazem prawa istnienia wszechrzeczy. Cóż nas jednak upoważnia do takiego twierdzenia, co nam daje prawo mierzyć zjawiska świata łokciem naszéj logiki? Mielibyśmy słuszność nazywać naturę głupią, gdybyśmy byli pewni, że ona dąży do jakiego określonego celu, ale już samo przypuszczanie celu wogóle jest zupełnie dowolném. Być może, iż tak *celowość*, jak i *przyczynowość*, to tylko procesy naszego myślenia, formy, które po za granicami ludzkiego mózgu nie istnieją wcale.

Doświadczenie uczy nas, że każdy akt myśli i woli ma swoją przyczynę. Wskutek tego przywykliśmy dopatrywać wszędzie i zawsze jakiejś przyczyny i stosujemy tę metodę nawet do zjawisk, które nie w naszém wnętrzu, lecz na zewnątrz nas się rozgrywają. Jeżeli jednak myśleniem ludzkiém rządzi prawo przyczynowości, nie wynika stąd jeszcze, aby rządziło ono wszechświatem. Gdyby młynek od kawy posiadał świadomość, wierzyłby święcie, iż przyczyną wszelkiego ruchu jest ręka kobieca, obracająca korbę. Pogląd ten byłby słusznym dla całego gatunku młynków, a mimo to błędnym w rzeczywistości. Taką samą wartość posiadają wszystkie nasze uogólnienia. Przyczyną wszelkich zjawisk w świecie może być sama materya, a celem samo zjawisko. Jeżeli natura innych celów i przyczyn nie zna, nie wolno nam jéj krytykować, nie wolno nazywać głupią.

Naiwniejszy jeszcze jest frazes o niemoralności przyrody. Zapewne, ze stanowiska etyki ludzkiéj może on się wydawać uzasadnionym i sprawiedliwym, ale przecież moralność nasza jest czémś ograniczoném w czasie i przestrzeni, wytworem dziejów, który zmienia swój kształt i barwę, na równi z sukniami i kapeluszami. Moralność nasza, to jedynie moralność białéj, chrześciańskiéj ludzkości XIX wieku. A nawet i w tych ciasnych granicach ileż sprzeczności i niekonsekwencyi! Potępiamy np. morderstwa popełniane przez indywidua, a chwalimy i uwielbiamy mordy masowe, jakich się dopuszcza naród względem narodu. Inne były zasady etyki przed nami, inne zapewne nastąpią po nas. I to, czego mój pradziad nie szanował, to, czego mój wnuk może nie uzna za słuszne, to ma być miarą moralności wszechświata? Wszystkie nauki dawno odrzuciły antropocentryczną teoryę kosmologii, wszystkie przestały uważać człowieka za główny, środkowy punkt przyrody, jedna filozofia trzyma się téj dziecinnéj zasady uparcie i twierdzi, że świat jest głupim, ponieważ w przyszłości zabraknie węgla kamiennego na opał, że jest niemoralnym, ponieważ Joanna d'Arc umarła na stosie. Jakże pesymistycznym musi być pogląd życiowy bakteryi, jeśli te umieją filozofować. Miotły, ścierki, gorąca woda, kwas karbolowy — ileż to plag, spadających zarówno na cnotliwą, jak i na występną bakteryę! A jednak to, co uprawnia pesymizm tych żyjątek, zwie się u nas pożytecznym postępem hygieny.

Nie, filozofii pesymistycznéj niepodobna traktować na seryo. Pesymizm, to tylko jedna z form niezadowolenia z ograniczoności ludzkiego umysłu. Pragnęlibyśmy pojąć mechanizm świata i, nie znajdując rozwiązania zagadki—bluźnimy. Uważamy się za panów stworzenia, a na każdym kroku spostrzegamy, że nasze panowanie nie

wiele warto. To nas wprowadza w zły humor. Ów zły humor, ujęty w ramy systematu filozoficznego zwie się pesymizmem. Dziecko, które wyciąga rękę do księżyca i płacze, nie mogąc go dosięgnąć, jest także pewnego rodzaju pesymistą; lecz pesymizm ten da się z łatwością ułagodzić cukierkiem.

Oprócz naukowego istnieje jeszcze pesymizm praktyczny, który nie rozumuje, lecz instynktownie odczuwa byt, jako coś przykrego, bolesnego. Źródłem tego objawu psychicznego bywa po największéj części chorobliwe zboczenie mózgowe. Umysł dotknięty podobném cierpieniem posiada zwykle złowrogi dar świadomości, fatalną zdolność analizowania swego smutnego stanu. Patrzy on ciągle na proces własnego rozkładu i zaabsorbowany tém okropném widowiskiem, traci do reszty zdrowy, spokojny sąd o rzeczach. Na mózgu takim, jak na oku oślepioném kataraktą, świat cały sprawia wrażenie czarnego, ponurego chaosu. Wszyscy wielcy poeci „Weltschmerzu“ byli organizmami psychopatycznemi. Lenau skończył w szpitalu waryatów, Leopardi cierpiał na zboczenie instynktu płciowego, a Heine dopiero wtedy sposępniał, gdy schnięcie mlecza pacierzowego zaczęło oddziaływać na mózg poety.

Ten rodzaj pesymizmu wkracza w dziedzinę szaleństwa, można go więc analizować, lecz niepodobna zwalczać argumentami logiki.

Bądź co bądź, pesymizm przedstawia jeden z największych tryumfów wyobraźni ludzkiéj nad rzeczywistością. Dowodzi on, że człowiek, pomimo silnego oporu ze strony natury, potrafi ją wepchnąć w kostyum odpowiedni do swego usposobienia. Jak ogrodnik przez obcinanie i wyginanie nadaje poczciwym drzewom dziwaczne kształty, tak filozof z faktów, nasuwających same wesołe myśli, wyciąga ponury pogląd na świat, i narzuca swój pesymizm naturze, która gardziołkami wszystkich ptasząt i kielichami wszystkich kwiatów wyśpiewuje i wydzwania *optymizm*. Aby to usłyszeć, nie koniecznie trzeba zbyt uważnie nasłuchiwać, dźwięk ten bowiem przenika nawet do uszu, zatkanych scholastyczną watą.

Tak, optymizm—to najpierwotniejszy instynkt, najgłówniejsza podstawa myśli i czynów ludzkich. Wszelkie staranie usunięcia z nas tego instynktu jest próżném, ponieważ stanowi on nieodłączną cząstkę istoty naszéj i tylko z nią razem zniszczonym być może.

Przypatrując się zblizka głównym skargom pesymizmu, dostrzeżemy łatwo, iż wypływają one z zuchwałéj pewności siebie i przypominają sobą owe troski, jakie wielkie bogactwo sprawia milionerowi. Gniewa nas brak celu we wszechświecie, albo raczéj niemożność poznania tego celu. Nie jestże jednak owo niezadowolenie

samo dowodem, do jak wysokiego stopnia rozwoju doszedł umysł ludzki? Jakże silną i zdrową musi być myśl, która może postawić sobie pytanie ostatecznego celu natury! A zanim człowiek dotarł do tego punktu, ileż radości, ileż rozkoszy duchowych doznał, rozwiązując po drodze coraz to trudniejsze problematy filozoficzne. Po co istnieje na świecie ból, pytają daléj pesymiści. Co za dziecińśtwo, równające się prawie niewdzięczności! Gdyby bólu nie było, należałoby go wynaleźć. Ból—to jeden z najdobroczynniejszych, najużyteczniejszych darów przyrody! Przedewszystkiém, aby odczuć cierpienie, trzeba miéć wysoko rozwinięty system nerwowy, a przecież tylko za pośrednictwem tego systemu odbieramy wrażenia rozkoszy, których wcale zgładzić ze świata nie pragniemy. Zapytajmy histeryczki, dotkniętéj znieczuleniem całego ciała, czy jest ze swego stanu zadowoloną? Bynajmniéj. Nic ją wprawdzie nie boli, nic jednak nie sprawia jéj przyjemności. Znieść tego długo nie sposób, i nieraz chore witają okrzykiem szalonéj radości chwilę, w któréj zaczynają na nowo odczuwać ból. Prócz tego, ból odgrywa rolę naszego anioła stróża: on ostrzega o niebezpieczeństwie, on pobudza do walki, lub... do ucieczki. Ból jest także źródłem rozkoszy. Gdy cierpimy, staramy się uwolnić od cierpienia, wprawiając w działanie wszystkie, drzémiące w nas siły i zdolności, a proces ten, zwłaszcza kiedy dopniemy celu, rodzi nadzwyczaj przyjemne uczucia.

Ból i niezadowolenie—to główne czynniki postępu. Bez nich ludzkość stałaby wiecznie na jednéin miejscu, bo ten tylko poprawia swoje posłanie, komu niewygodnie leżéć. Zresztą niezadowolenie stanowi argument raczéj na niekorzyść, niż na korzyść pesymizmu. Wszelka krytyka pesymistyczna jest rezultatem porównania rzeczywistości z ideałem i opiera się na milczącém założeniu, iż zło istniejące *może* przejść kiedyś w dobro. Czyż to nie optymizm najczystszéj wody? Prócz tego, każdy malkontent, tworząc w wyobraźni nowy, lepszy, idealny świat, cieszy się, pieści, szczyci swojem dziełem; tym sposobem niezadowolenie ze świata prowadzi do zadowolenia z samego siebie, czyli obdarza nas szczęściem. Słowem, zkądkolwiek wyjdziemy, gdziekolwiek podążymy—każda droga wiedzie do optymizmu. Nie znaczy to, aby świat nasz był, jak powiada dr. Pangloss, najlepszym ze światów możliwych, nie, ale najlepszy, czy najgorszy, wydaje on się ludzkości—dobrym.

O przykłady nietrudno.

Jakkolwiek poeta twierdzi, że życie nie jest najwyższém z dóbr, większość ludzi sądzi przeciwnie, mimo to jednak myśl o śmierci nikogo zbytecznie nie trapi. Dla czego? Bo śmierć jest złém koniecznóm, a człowiek normalny łatwo się godzi z bezwględną konieczno-

ścią. Ale tam, gdzie pozostaje najdrobniejsza możliwość zmiany, lub usunięcia zła, gdzie lśni najmniejsza gwiazdka nadziei — tam optymizm ludzki wybucha z całą gwałtownością. Przypuszczenia, niedające się obliczyć nawet rachunkiem prawdopodobieństwa, wystarczają ludziom do budowania zamków na lodzie. Kto stawia na loteryi, sądzi że wygra, choćby szansa wygranéj była minimalną. Na 100 lekarzy jeden zaledwie zostaje znakomitością, a wieluż młodych ludzi wstępuje rok rocznie na wydział medyczny. Dla czego? Bo każdy z nich przy wyborze karyery ma na myśli tego jednego, któremu się udało, a nie owych 99-iu, którzy do niczego nie doszli.

Wszędzie i zawsze spotykamy to samo. *Dum spiro spero*—oto dewiza ludzkości. I tak być musi, gdyż optymizm jest objawem naturalnym, jedną z form, w jakich się uzewnętrznia tkwiąca w człowieku energia życiowa. Ruch, postęp, nadzieja, wytrwałość, życie—to tylko synonimy optymizmu.

Zarozumiałość wyradza pesymizm, zarozumiałość jest także przyczyną innego zjawska, a mianowicie pogardy, okazywanéj przez inteligentną *mniejszość* nieinteligentnéj *większości*. Kto tylko posiada szczyptę genialności, choćby taką tylko, jaka usprawiedliwia noszenie długich włosów—pomiata tłumem. Szkaradna niewdzięczność! Tłum to przecież uwydatnia swoją małością wielkość geniuszów, tłum wprowadza ich myśli w czyn. Tak, niewdzięczność, a zarazem niekonsekwencya. Każdy pragnie być oryginalnym, każdy chce się wyróżnić z motłochu i unika banalności, jak ognia, lecz w tym samym czasie każdy robi wszystko, co może, aby zyskać uznanie poklask tego pogardzanego tłumu i schyla kornie czoło przed jego potęgą. Czyż dążenie do popularności, poszanowanie opinii publicznéj itd. nie uświęca zasady: *vox populi*, *vox Dei*? Sprzeczność ta da się objaśnić biologicznie. W świecie organicznym działają dwa czynniki: bezwładność, zwana inaczéj dziedzicznością, i pierwotna siła rzutu, czyli energia życiowa. Pierwsza wytwarza gatunki, druga indywidua, pierwsza zaciera różnice, druga je rodzi.

Zdolność do spełniania funkcyi niezbędnych, funkcyi niższego rzędu, wspólnych całemu gatunkowi, otrzymuje organizm w spadku po przodkach, przeciwnie funkcye wyższe, wykonywane rzadziéj, jako mniéj potrzebne, nie podchodzą pod prawo dziedziczności i wymagają zdolności specyalnych. Zdolności te zależą od zasobu energii życiowéj danego indywiduum. Organizm obdarzony przeciętną ilością energii, może wykonywać tylko funkcye odziedziczone, czyli *banalne*, organizm bogaty w energię życiową zdolnym będzie do funkcyi nowych, *oryginalnych*. Ponieważ życie—to najwyższa funkcya materyi, przeto energia życiowa oraz jéj objaw zewnętrzny—orygi-

nalność, wzbudza mimowolny szacunek, imponuje wszystkim. Dla tego każdy pragnie uchodzić za milionera życiowości, a nikt za żebraka, każdy chce być oryginalnym, a nikt banalnym.

Z drugiéj strony znowu, najoryginalniejsze nawet indywiduum jest synem swego ojca, wnukiem swego dziadka itd., czyli należy do pewnego gatunku, od którego oderwać się nie może. Ta naturalna solidarność zmusza nas do ustępstw na rzecz większości, do liczenia się z jéj upodobaniem, jedném słowem do składania hołdów masie. Oryginalność, nieograniczona niczem subiektywnie, posiada obiektywne granice. Mój widnokrąg myślowy jest moją wyłączną własnością. Tutaj nie potrzebuję znosić niczego, co mi się nie podoba i mam prawo wyrzucić po za linię mego horyzontu bawełnianą szlafmycę sąsiada, która mi odbiera swobodny widok. Ulica jednak, miasto, kraj należy do wszystkich; tutaj, tyś moim bratem zacny filistrze, tutaj muszę się do ciebie stosować i robić tylko to, co ci nie sprawia przykrości, muszę być banalnym.

Faktycznym panem świata jest tedy filister. Głos jego decyduje we wszystkiém, co dotyczy stosunków rzeczowych, konkretnych, stanowi o formie urządzeń społecznych oraz o kierunku polityki. Czyż dla tego geniusz nie powinien wygłaszać myśli nowych, nie powinien dążyć do ich urzeczywistnienia? Przeciwnie. Tłum nie lubi wprawdzie nowości, odbiegających zbytecznie od przeciętnéj normy, gdyż przyswojenie ich sobie wymaga pewnego wysiłku, a ludzie są z natury leniwi. Systematyczny nacisk jednak zmiękcza twardą skorupę lenistwa, myśl nowa przenika powoli do mózgów i utrwala się tam przez częste powtarzanie. Funkcya początkowo trudna przechodzi wskutek ciągłego ćwiczenia w łatwą, automatyczną—i ludzkość robi jeden krok naprzód na drodze postępu.

Z tego nietrudno wyprowadzić wniosek, że tłum nie jest bezwzględnie głupim, bo choć nie dorównywa on inteligencyą najpotężniejszym umysłom epoki obecnéj, posiada jednak mądrość geniuszów epoki ubiegłéj, a jutro dopędzi geniuszów dzisiejszych. Oryginalność zatém i banalność mają tylko wartość względną. Wyjątek dąży do tego aby zostać prawidłem, typem. Geniusz tworzy modele, które ludzkość naśladuje, a które z chwilą kiedy przestaną być rzadkością, tracą cechę oryginalną. Banalność—to tylko znoszona oryginalność. Oryginalność—to, jak mówią Francuzi „pierwszy występ“ banalności. Uśmiechamy się litośnie, czytając jak poeta liryczny porównywa oczy swéj ukochanéj do gwiazd na niebie, a podziwiamy śmiałą obrazowość Lenaua, który mówi:

„Na swoich barwnych pieśniach
Skowronek pnie się w górę.“

A mimo to jednak pierwsze porównanie jest o wiele piękniejszém i głębszém od drugiego. Zestawienie oka z gwiazdą podnosi jego urok, urokiem jednego z najpiękniejszych fenomenów wszechświata, przypomina nieskończoność itd. Tymczasem przenośnia Lenaua daje nam tylko obraz barwnéj drabinki, po któréj pnie się skowronek, niby żabka zielona w słoiku, co może być ciekawém, ale nie jest ani piękném, ani wzniosłém. Dla czegóż porównanie oczu z gwiazdami stało się banalném? Przez swą doskonałość. Metafora Lenaua, jako mniéj głęboka, nie spowszednieje nigdy. A więc banalność nie jest poprostu wczorajszą oryginalnością, ale jéj kwiatem, wyborem, szczytem. To, co było nietylko nowém, lecz zarazem piękném, prawdziwém i dobrém—przeszło do potomności, jako wspólne dziedzictwo człowieczeństwa. Czołem przed banalnością!—to kwintesencya wszystkiego, co ludzkość po dziś dzień najdoskonalszego wytworzyć zdołała.

Opinia publiczna streszcza w sobie cały rozwój duchowy wieków ubiegłych, a dziki wrzask zgromadzeń ludowych składa się z głosów wielkich myślicieli, którzy przemawiają z głębi swych grobów przez zachrypnięte gardło szewca-polityka. Każdy utarty komunał, każdy bezmyślnie dzisiaj powtarzany frazes powstał ongi w głowie jakiegoś geniusza.

Geniusz, *talent*... te synonimy wielkości duchowéj, zasługują także, aby się przy nich zatrzymać. Co to jest geniusz, co talent? Jaka pomiędzy nimi zachodzi różnica? O ile się zdaje, następująca definicya będzie najdokładniejszą: talent, to *istota*, przewyższająca inne podobne istoty swoją biegłością w wykonywaniu pewnych znanych czynności; geniusz, to *człowiek*, który albo wynajduje nowe, albo téż zmienia, ulepsza, metodę wypełniania starych. Dlaczego dla określenia talentu użyto wyrazu „istota“, nie „człowiek.“? Ponieważ talent zdarza się i w świecie zwierzęcym. Kanarek, śpiewający lepiéj, niż inne kanarki, pudel, dający się lepiéj wytresować, niż reszta pudli—to wszystko talenta państwa zwierząt. Inaczéj rzecz się ma z geniuszem. Geniusz stanowi wyłączną własność ludzkości. Żadne zwierzęce indywiduum nie odkryje, nie utoruje—zwłaszcza świadomie—nowéj drogi dla rozwoju całego gatunku, a przecież na tém polega genialność. Różnica pomiędzy geniuszem i talentem jest więc raczéj jakościową, niż ilościową, bo chociaż ostatecznie jakościowość da się sprowadzić do ilościowości tj. do tego, że geniusz posiada to samo, co wszyscy, tylko w stopniu wyższym, doskonalszym, to jednak doskonałość owa odbiega tak znacznie od przeciętnego typu, iż wytwarza nietylko ilościową, lecz i jakościową różnicę. Wytrwała i usilna praca, w połączeniu ze sprzyjającemi okolicznościami, zrobi

z każdego normalnego człowieka—talent, geniusz swoją genialność przynosi ze sobą. Klawiatura jego umysłu posiada jednę oktawę więcéj, a tego żadna praca, żadna wytrwałość nie zastąpi.

Nie każdy organizm potrafi przerobić surowy materyał wrażeń na jasnookreślone myśli. „Z pełni ludzkiego życia zaczerpnijcie tylko!“ powiada Goethe w Fauście. Recepta jest dobrą, ale geniusz jedynie stosować ją może. Dla zwyczajnego człowieka owa „pełnia“ wydaje się „próżnią. Roztwiera on oczy i nic nie widzi, wyciąga rękę, aby zaczerpnąć—i nie chwyta nic. Inne oko, inną rękę posiada geniusz. Nietylko widzi on życie, ale je odtwarza, formując z wrażeń obrazy, które dają ludziom pojęcie o świecie. Człowiek przeciętny bowiem nie zna świata rzeczywistego, tylko jego odzwierciedlenie w oku geniusza. Jeżeli pewne zjawiska łączą się przed wzrokiem naszym w zamknięte grupy, to dla tego, że geniusz je tak ułożył i podzielił, jeżeli dostrzegamy pewien porządek w naturze, to dla tego, że geniusz ją usystematyzował. Rzeczy, objawy, których geniusz dotąd w swoim umyśle nie przetrawił, są nam zupełnie obce, przechodzimy koło nich nie widząc, nie czując i nie myśląc—nic. To wszystko dowodzi, że genialność ma źródło w zdolnościach wrodzonych, indywidualnych, wyjątkowych, których nabyć niepodobna. Zdolności te zależą, jak wiadomo, od rozwoju systemu nerwowego danéj osobistości. System nerwowy jest grupą organów, z których każdy spełnia właściwe sobie funkcye. Organy te zwiemy ośrodkami nerwowemi. Mówimy o wyższych i niższych ośrodkach, a klasyfikacya ta opiera się na charakterze wykonywanych przez nie funkcyi. Zdolności wspólne zwierzętom i ludziom uważamy za niższe, zdolności czysto ludzkie—za wyższe. Otóż, aby zostać geniuszem, musi człowiek posiadać, jeden lub kilka doskonale rozwiniętych ośrodków *wyższych*. Pamiętając o tém, łatwo uniknąć fałszywego stosowania epitetu „genialny,“ którym dzisiaj nad miarę szafują, obdarzając nim pierwszą lepszą osobistość, umiejącą zwrócić na siebie uwagę tłumu. Nazywają np. Liszta, Makarta, Dawisona geniuszami, a jednak każdemu z tych artystów do genialności daleko. Wyższość ich nad innymi polega na rozwoju bardzo nizkich ośrodków nerwowych. Aby się przekonać o tém, rozbierzmy pierwsze z tych pseudo-genialnych zjawisk.

Gra na fortepianie odbywa się za pomocą ruchu ramion, rąk oraz palców, wprawianych w działanie przez wolę, która ten ruch reguluje odpowiednio do wskazówek tak zwanego „słuchu muzykalnego.“ Dobry fortepianista zatém powinien posiadać następujące warunki: rozwinięty ośrodek słuchu muzykalnego, oraz ośrodek koordynacyi ruchów. Przewaga jednego lub drugiego ośrodka stanowi

o wartości artystycznéj muzyka. Wysoko rozwinięty słuch muzykalny, zdolny układać tony w nowe, oryginalne kombinacye, jest psycho-fizyologiczną podstawą genialnego kompozytora np. Beethovena. Takiż sam słuch w połączeniu z wysoko rozwiniętym ośrodkiem koordynacyi ruchów—tworzy indywiduum będące zarazem genialnym kompozytorem i bardzo dobrym wykonawcą, np. Mozart. Jeżeli pierwszy ośrodek jest doskonałym, lecz mimo to drugi przeważa—będziemy mieli jednego z tych muzyków, których kompozycye wtedy tylko całkowite sprawiają wrażenie, kiedy je wykonywa albo sam twórca, albo kiedy egzekutor stosuje się zupełnie do sposobu gry kompozytora. Do takich należą: Szopen, Rubinstein. Wreszcie, nadzwyczajnie rozwinięty ośrodek koordynacyi, przy słuchu, przewyższającym trochę przeciętną normę—daje znakomitego wirtuoza, lecz zaledwie miernego kompozytora, jak Liszt, nazywany niesłusznie geniuszem. Podstawę jego indywidualności artystycznej stanowi, jak powiedziano, silny rozwój ośrodka koordynacyi ruchów. Ośrodek ten jednak należy do niższych, gdyż spotykamy go i u zwierząt; zręczne ruchy i sztuki ekwilibrystyczne małp np. świadczą o wysoko rozwiniętéj koordynacyi. W świecie ludzkim znowu koordynacya w połączeniu z pewną odwagą i siłą daje akrobatę lub klowna cyrkowego, koordynacya ze zdolnością szybkiego oryentowania się daje fechtmistrza, a nakoniec koordynacya ruchów kończyn dolnych, przy niejakim słuchu muzykalnym—tancerza. I gdzież tu miejsce na genialność? Jeśli wirtuozom gry fortepianowéj nadamy miano geniuszów, to jak nazwiemy Beethovena?

Nietylko więc stopień rozwoju danego ośrodka, lecz i jakość jego decyduje o genialności. Nawet pomiędzy geniuszami istnieje hierarchia. Najwyższym darem ludzkiego umysłu jest zdolność wnioskowania, sądu, czyli zdolność tworzenia nowych pojęć i wyobrażeń przez odpowiednią kombinacyę starych. Do wprowadzenia w czyn, do urzeczywistnienia tych wyobrażeń potrzeba koniecznie *woli*. Człowiek zatém, posiadający doskonale rozwinięty sąd i wolę, będzie najwyższym geniuszem, jednym z tych, którzy zmieniają oblicze świata. Wola sama do gienialności nie wystarcza. Indywiduum, obdarzone jedynie silną wolą, tylko pod umiejętnym kierunkiem zdziała coś wielkiego. Herkules wykonał 12 prac, ale wykonanie ich polecił mu Eurysteusz. Przez wolę można zostać znakomitym ministrem genialnego monarchy, albo, jak to częściéj bywa, nieśmiertelnym władcą genialnego ministra, albo w najgorszym razie sławnym rozpustnikiem i złoczyńcą, jak np. Cezar Borgia. Przeciwnie, wysoko rozwinięty ośrodek sądu, daje geniusza, nawet przy słabéj lub średniéj woli. Filozofowie, matematycy i wogóle wszyscy wielcy myśliciele teoretyczni są geniuszami sądu.

Niższą kategoryę geniuszów stanowią poeci, malarze, muzycy, jedném słowem artyści. Dla czego? Aby odpowiedzić na to pytanie musimy znowu zaczepić o psychologię. Nie wszystkie wrażenia zewnętrzne rodzą w naszym duchu jasne, wyraźne myśli, przeciwnie, większa część tych wrażeń dochodzi do świadomości w formie zamglonych, niepewnych obrazów i uczuć, czyli tak zwanych „wzruszeń.“ Wzruszenia są w rzeczywistości organizowanemi myślami, to znaczy myślami, które, czy to wskutek dziedziczności, czy téż wskutek częstego powtarzania zrosły się niejako z ustrojem, które powstają w człowieku nawpół-automatycznie, przy bardzo małém natężeniu z jego strony. Inaczéj się odbywa działalność zupełnie świadomego myślenia. Tutaj automatyczność nie wchodzi w grę; umysł musi pracować, i to pracować ze świadomością, od początku do końca procesu psychicznego tj. od przyjęcia z zewnątrz wrażenia, aż do zamiany go na jasno określone pojęcie. Mało kto bywa zdolnym do takiego wysiłku, dla tego téż większość przeciętnych ludzi nie zna wcale myśli, tylko wzruszenia.

Pomimo, albo może wskutek swéj niejasności, wzruszenia działają na świadomość naszą w sposób bardzo przyjemny, najpierw dla tego, że, jak powiedziano wyżéj, przychodzą one z łatwością, bez pracy, powtóre dla tego, że drażnią wyobraźnię, a wyobraźnia jest bez kwestyi najprzyjemniejszą funkcyą świadomości. O ile jednak rozkosznie działa wzruszenie, o tyle myślenie męczy. Otóż, sztuki piękne, których cel stanowi wzbudzanie uczuć przyjemnych, opierają się głównie na wzruszeniu. Przykład nam to objaśni. Poezya uważa starą średniowieczną ruinę za coś pięknego, a nową, porządnie zbudowaną fabrykę za coś brzydkiego, prozaicznego. Z jakiéj przyczyny? Ponieważ widok starego zamku rycerskiego wywołuje w fantazyi naszéj mnóstwo wyobrażeń, z któremiśmy się zżyli od dziecińdziecińa, do których mamy wrodzone, odziedziczone upodobanie, podczas gdy fabryka jest czémś względnie nieznaném, obcém, trudniejszém do pojęcia i osądzenia. Innemi słowy, ruina wywołuje w nas wzruszenie, fabryka—pobudza nas do myślenia. Na téj saméj zasadzie stary dyliżans i pocztylion z trąbką będzie sprawiał wrażenie poetyczne, lokomotywa i konduktor kolejowy—prozaiczne. Wogóle cały aparat poezyi, jéj język, metafory, porównania, wszystko to wypływa ze wzruszeń i rodzi wzruszenia; poeci chętniéj mówią, o zbrojach, niż o mundurach żołnierskich, chętniéj o straszliwym smoku, niż o bakcylusie cholerycznym. Kiedyś, w przyszłości, wyobrażenia myślowe staną się zapewne przez dziedziczność, wzruszeniowemi i przejdą do słownika poezyi. Dzisiaj jednak nie uzyskały one jeszcze pelni praw obywatelskich w krainie piękna.

Główne źródło wszelkich wrażeń estetycznych stanowi zatém wzruszenie, które jako czynność nawpół-automatyczna jest niższe od myślenia, czynności zupełnie świadoméj. Stąd łatwy wniosek, że geniusz-artysta stoi niżéj od geniusza myśli i czynu.

Pomiędzy artystami pierwsze miejsce zajmuje poeta, którego twórczość wymaga w znacznym stosunkowo stopniu działalności myślowéj, ostatnie—muzyk, jako geniusz przeważnie wzruszeniowy.

Kogo dziwi umieszczenie muzyki na stopniu najniższym, ten niech pamięta o tém, iż jest to jedyna sztuka, odczuwana, a nawet uprawiana przez zwierzęta. Kanarka, lub kosa można nauczyć jakiejś melodyi, ale niechże kto sprobuje wytłómaczyć mu piękności „Fausta“, albo „Madonny sykstyńskiéj!“

Mówiliśmy już wyżéj, że geniusz—to przewodnik ludzkości na drodze postępu. Wytwarza on nowe idee, nowe dążenia i cele, a masa go *naśladuje*. Indywidua normalne, czyli talenta, śpieszą krok w krok za geniuszem; indywidua, niedobiegające przeciętnéj miary, postępują wolniéj i z większą trudnością. Czy jednak wyraz „naśladuje“ dostatecznie objaśnia stosunek mas do geniuszów? Niezupełnie. Przykład i naśladownictwo, to przyczyna i skutek, lecz gdzież jest nić, która je łączy ze sobą? Rozbiór jednego z najnowszych odkryć psychologii, ułatwi nam odpowiedź na to pytanie. Chcemy tu mówić o zjawisku *poddawania myśli* (*suggestio*). Zjawisko to występuje najsilniéj w wypadkach chorobliwych, a mianowicie przy hypnotyzmie. Osoba hypnotyzująca może poddawać osobie hypnotyzowanéj myśli i uczucia, którym ta ostatnia najzupełniéj ulega. Myśl poddana działa niekiedy i po wyjściu ze stanu hypnotycznego. Jeżeli np. hypnotyzujący powie do medium: jutro, o téj a o téj godzinie, zrobisz to a to, i następnie zbudzi je ze snu, przebudzony nie będzie nic wiedział o rozkazie, lecz spełni go w oznaczonéj porze. Przyczyny tego objawu nauka dotąd nie wyjaśniła, możliwość jednak podobnych doświadczeń nie podlega wątpliwości.

W stanie hypnotycznym przybiera poddawanie myśli formę bardzo wyraźną, krańcową, w warunkach normalnych działa ono mniéj wyraźnie, ale zawsze działa. Londyńskie Towarzystwo Psychologiczne opublikowało rezultaty doświadczeń, które dowodzą, że jedna osoba może pobudzić drugą do czynów li tylko za pośrednictwem myśli, bez używania słów, lub innych znaków porozumiewania. Pewien człowiek np. obmyśla jakąś cyfrę, a drugi ją pisze na tablicy i t. p. Opierając się na tych faktach, czyż nie mamy prawa przypuścić, że poddawanie myśli odgrywa wielką rolę w życiu duchowém ludzkości? Bardzo prawdopodobnie myśli i czyny każdego człowieka są wynikiem myśli i czynów innych ludzi. Milion cichych,

niedosłyszalnych głosów przenika ciągle do wnętrza naszego ducha i wywołuje tam zmiany, rodzi uczucia, pragnienia.... Rzecz prosta, iż organizm silniejszy trudniéj będzie przyjmował cudze myśli, niż ustrój słabszy, dla tego téż pojęcia, zapatrywania umysłów silnych, czyli geniuszów nadają ton poglądom danéj epoki i tworzą to, co nazywamy „duchem czasu.“ Niekiedy jednak i geniusz nie zdoła się oprzéć jakiejś powszechnie uznanéj idei, jakiemuś dążeniu, które porusza serca całego narodu. Pochodzi to stąd, że suma tych słabych pojedynczo pobudek przewyższa największą nawet siłę indywidualną.

Naturalnie, obok nieświadomego, potężny wpływ na ludzkość wywiera również poddawanie myśli świadome, na które składają się czynniki wychowania, otoczenia, przykładu i t. d.

Teorya poddawania tłómaczy także wiele innych zjawisk życiowych.

Co to jest np. charakter narodowy? Ściśle mówiąc, naród nie posiada żadnego charakteru, gdyż każde nowe pokolenie niepodobném bywa do poprzedzających. Dowodów na to nie brak w historyi. Naród angielski około 1830 roku odznaczał się wyuzdaną rozpustą i cynizmem, dzisiaj jest on obłudnie pobożnym i moralnym, etykietalnym, sztywnym. Poprzednia generacya Niemców tonęła w romantyczności i sentymentalizmie, lubiła marzyć i wzdychać; Niemiec współczesny posiada wiele zmysłu praktycznego, ceni głównie siłę brutalną i chętnie jéj używa. Czyż „charakter“ może się tak zmienić w przeciągu kilku dziesiątków lat? Nie, bo téż charakter ten nie istnieje wcale, a to, co wyróżnia pewien naród z pomiędzy innych, jest skutkiem poddawania myśli przez jednostki, stojące na czele tłumu. — Konfucyusz stworzy naród tchórzów, Napoleon naród rycerzy i zwycięzców.

Tak samo da się objaśnić pewna jednostajność fizyognomii u mieszkańców wielkich miast. Paryżanin, Berlińczyk, Wiedeńczyk— są to skończone, określone typy. Typowość ta nie bierze źródła we wspólności pochodzenia, boć przecież na ludność miejską różne składają się pierwiastki. Nie, — to wspólne podleganie jednéj i téj saméj suggestyi wyradza owe zadziwiające podobieństwo moralne.

A olbrzymi wpływ literatury poetycznéj na życie, czyż nie dowodzi potęgi poddawania myślowego? Stosunek literatury do życia polega wprawdzie na oddziaływaniu wzajemném, bez wątpienia jednak pierwsza jest stroną dominującą.

Romansopisarz, czerpiąc nawet materyał z rzeczywistości. wybiera zawsze tylko fakty niezwyczajne, wyjątkowe, i nadaje im w opracowaniu poetyczném jeszcze bardziéj wyjątkowy charakter.

Na tém ogranicza się wpływ życia na beletrystykę; oddziaływanie w kierunku odwrotnym jest znacznie większém. Bo pomyślmy tylko w jak ciasnych, powszednich warunkach przebywa większość ludzi. Wielkie, potężne namiętności, wyczerpujące walki uczuć, straszliwe zwątpienia — wszystko to pozostałoby dla przeciętnego człowieka obcém na wieki, gdyby nie było na świecie romansów i powieści. Ale powieści istnieją, ludzie je czytają i, co gorsza, wierzą ślepo w to, co przeczytali. Jakiż stąd rezultat? Społeczeństwo wzoruje swoje ideały na postaciach bohaterów romansu i stara się im upodobnić. Naturalnie, indywidua słabsze, mało rozwinięte, jak młodzież, kobiety i t. d. podlegają temu popędowi naśladowniczemu łatwiéj, niż mężczyźni, jakkolwiek i tych ostatnich porywa niekiedy siła ogólnego prądu. Po ogłoszeniu „Cierpień młodego Wertera“ pojawiła się w Niemczech epidemia samobójstw. Byron obdarzył świat całym zastępem demonicznych młodzieńców, o bladéj twarzy i tajemniczym wzroku.

Gdyby te wzory były przynajmniéj zdrowe, prawdziwe! Niestety! Literatura poetyczna—to zbiór chorobliwych historyi, to spis zboczeń nerwowych, to muzeum rzadkości.

Ten patologiczny charakter przebija nawet w gazetach, które najchętniéj opisują mordy, pożary, procesy, trzęsienia ziemi i t. p. sensacyjne zdarzenia. Ktoby chciał sądzić życie z książek i gazet, musiałby przypuścić, że świat cały zamieszkują tylko zbrodniarze i waryaci. Zkąd to pochodzi? Po części z winy publiczności, która wymaga ciągle nowych, silnych i niezwyczajnych wrażeń, poczęści zaś z winy autorów, którzy obserwują głównie zepsutą, zdenerwowaną ludność wielkich miast i podług niéj kreślą figury swoich powieści.

W cóż się obrócił, pod wpływem téj nieszczęsnéj literatury, jeden z najważniejszych popędów naturalnych, jeden z najgłówniejszych czynników rozwoju społeczeństwa, w co się obróciła *miłość!* Żadne chyba uczucie ludzkie nie zostało tak skrzywioném, żaden objaw psychiczny nie podpadł takiemu zwyrodnieniu. Doszło już do tego, że społeczeństwo oburza się po prostu na ludzi, uważających miłość za zjawisko przyrodnicze. Kto, mówiąc o miłości, nie przewraca oczu z zachwytem, kto nie śpiewa na jéj cześć namiętnych dytyrambów, ten jest bezdusznym cynikiem i świętokradzcą. Nie wolno tego uczucia rozbierać chłodno, spokojnie, naukowo, nie— trzeba kochać, aby mieć prawo analizowania miłości. Za pozwoleniem! Wszak można mówić o głodzie, nie będąc głodnym, a o strachu, nie bojąc się niczego, można więc mówić i o miłości nie czując jéj wcale. Zresztą analizy zakochanych rzadko są dokładne, gdyż

tylko nieinteresowany obserwator może być zupełnie bezstronnym. Właśnie dlatego, że uczucie to należy do najpotężniejszych i najgłówniejszych, powinniśmy przystępować do jego rozbioru spokojnie, odsuwając na bok wszystko, coby na trzeźwość naszego sądu niekorzystnie oddziałać mogło.

Miłość jest funkcyą naturalną, zawisłą od właściwego ośrodka nerwowego. Ośrodek ów zaczyna swą działalność z chwilą dojścia danego indywiduum do dojrzałości płciowéj i wywiera mniéj lub więcéj silny wpływ na cały organizm. Wpływ ten objawia się subiektywnie jako popęd, albo tęsknota miłosna. Jeżeli dwie tak nastrojone osoby różnéj płci spotkają się z sobą, owa tęsknota może przejść w uczucie miłości. *Może przejść*, ale nie koniecznie *przechodzi*, gdyż przejściu temu muszą towarzyszyć pewne okoliczności. Każde zdrowe indywiduum ludzkie odczuwa nawpół bezwiednie, jakim warunkom powinno odpowiadać indywiduum płci odwrotnej, aby módz wzbudzić uczucie miłości, czyli, mówiąc krócéj, każdy człowiek posiada w umyśle mniéj albo więcéj jasny obraz swego ideału miłosnego. Otóż skoro ten ideał napotkamy w rzeczywistości, tęsknota miłosna przechodzi w miłość. Czasami jednak możemy się mylić, biorąc za nasz ideał to, co nim nie jest, wtedy zwykle następuje rozczarowanie i uczucie stygnie.

Celem miłości jest utrzymanie gatunku, a ponieważ każda z obu płci inną przytém odgrywa rolę, więc miłość kobiety musi się do pewnego stopnia różnić od miłości mężczyzny.

W pracy nad zachowaniem gatunku główny udział bierze matka, wskutek tego miłość ma dla kobiety nierównie większe, niż dla mężczyzny, znaczenie. Z téj przyczyny kobieta nie jest kochliwą, nie łatwo obdarza kogoś uczuciem, gdyż wszelka pomyłka może sprowadzić dla niéj szkodliwe skutki, ale jeżeli znajdzie odpowiedni ideał, przywiązuje się doń nadzwyczaj silnie, głęboko i trwale. Mężczyzna, ryzykując względnie nie wiele, kocha łatwiéj, słabiéj, częściéj popełnia błędy w wyborze i nie odznacza się stałością. Oto w krótkich słowach historya naturalna miłości, ale miłości zdrowéj, normalnéj.

Czyż jednak miłość podobna istnieje wśród ludzi, których umysł spaczonym został przez literaturę poetyczną? To bardzo wątpliwe. Uczucie nazywane pospolicie miłością nie z przyrodzonych wypływa popędów. Jest ono naśladownictwem niezdrowych i fałszywych obrazów, poddawanych publiczności przez romansopisarzy i autorów dramatycznych. Chorobliwy sentymentalizm, melancholia, kapryśność, ekstazy miłosne, a nawet rozpusta i zbrodnie, należą, w pojęciu większości do koniecznych akcesoryów tego uczucia. Kobieta,

istota skłonna z natury do uważania miłości za jedyny cel życia, utwierdza się jeszcze w tém mniemaniu, czytając opisy zaciętych walk o posiadanie ukochanéj. Jéj wrodzona zarozumiałość wzrasta wskutek tego do najwyższego stopnia i przechodzi w samoubóstwianie. Mężczyzna ma dla niéj wartość o tyle, o ile zdolnym jest do miłości i to miłości sentymentalnéj, chorobliwéj. Człowiek zdrowy i silny, który po za uczuciem inne jeszcze posiada cele, który nie traci zmysłów z miłości, lecz kocha spokojnie, uważanym bywa za prozaicznego, za sceptyka, egoistę, jedném słowem za naturę niższą. W wyborze swoich ideałów kierują się współcześni nie potrzebą, tkwiącą w samym organizmie, lecz wyobrażeniami nabytemi z zewnątrz. Ztąd błędy, rozczarowania, smutki i t. d., a wszystko to odbija się w końcu na dzieciach, czyli na gatunku. Przez zwyrodnienie miłości, wyrodnieje człowiek, gdyż tysiące nici łączy to uczucie z najrozmaitszemi objawami fizycznego i duchowego życia ludzkości.

Że łączność podobna istnieje nawet tam, gdzie trudno ją było przypuścić, przekonywają o tém rezultaty najnowszych badań. Herbert Spencer np. dowodzi w swojéj „Biologii“, że tak zwane poczucie estetyczne można sprowadzić w części do objawów instynktu płciowego. To wszystko bowiem, co sprzyjało rozwojowi i zachowaniu gatunku sprawiało przyjemne, pociągające wrażenie i skrystalizowało się powoli w pojęcie piękna. W tych kilku wyrazach tkwi zarodek przyrodniczéj nauki o pięknie, czyli estetyki ewolucyjnéj.

Dotąd estetyka, jak i moralność była głównie przedmiotem badań metafizycznych, wychodzących z zasady stałości badanych objawów, nie troszcząc się, nie pytając o ich rozwój i początek. Ponieważ zmysł estetyczny w obecnym jego kształcie nie ma ani widocznéj przyczyny, ani wyraźnego użytecznego celu, stu filozofów, począwszy od Platona, a skończywszy na Maurycym Carrière, zaczęło szukać tego celu i téj przyczyny w świecie nadzmysłowym. Tymczasem cały aparat metafizyki raczéj zaciemnia niż rozjaśnia pojęcie piękna, które da się wytłómaczyć daleko prościéj na zasadzie teoryi ewolucyjnéj.

Wszystkie wrażenia estetyczne mają jednę wspólną cechę, a mianowicie działają na nas w sposób przyjemny. Piękném zatém jest to, co jest przyjemném, przyjemném zaś to, co *jest* lub *było* kiedyś użytecznem dla jednostki, lub dla gatunku. Istnieją więc dwa źródła piękna: instynkt zachowawczy indywiduum, oraz instynkt zachowawczy gatunku, czyli miłość. Stosownie do tego objawy piękna można podzielić na dwie kategorye: do pierwszéj należą wrażenia, potęgujące wewnętrzne poczucie naszéj świadomości, naszego „ja“, do drugiéj wszystko, co, czy to wprost, czy pośrednio, przez koja-

rzenie się pojęć, działa na ośrodek nerwowy popędu płciowego. Zamęt, chaos—są to wrażenia nieestetyczne. Dla czego? Bo, jako rzeczy niezrozumiałe, budzą w nas pewną nieśmiałość i obawę. Ład, porządek, działają przyjemnie, gdyż zjawiska te dadzą się łatwo ogarnąć umysłem i dla tego nie tracimy wobec nich pewności siebie. Ruch, światło, rozmaitość—to *piękne* objawy *życia*; spokój, jednostajność, ciemność — to *brzydkie* symbole *martwoty*, *śmierci*. Piękną jest młoda kobieta, piękném dziecko, piękném wszystko, co wywołuje lub przypomina uczucia miłosne. Wiosnę uważamy za najpiękniejszą porę roku, bo wtedy budzą się ze snu twórcze siły natury.

Przykładów podobnych możnaby znaleść niemało. A piękno artystyczne, a sztuka?—mógłby kto zapytać. Sztuka naśladuje tylko naturę, nic więcéj. Naśladownictwo ogranicza się wprawdzie czasem na symbolizmie, czyli na podaniu kilku najbardziéj charakterystycznych cech danego zjawiska, to jednak nie zmienia postaci rzeczy, wyobraźnia bowiem potrafi sobie resztę „dośpiewać.“ O, bo wyobraźnia widzi nawet to, czego niema! Estetyka mówi wiele o symetryi, a tymczasem ani jedno ciało w przyrodzie nie jest symetrycznem. Żaden kryształ, żaden listek, żadne zwierze nie da się podzielić na dwie zupełnie równe i identyczne połowy. Zawsze i wszędzie istnieją mniéj lub więcéj znaczne zboczenia od planu, narzuconego naturze przez człowieka. Dla czegóż jednak człowiek narzuca przyrodzie swoje szematy i plany? Pochodzi to z niedokładności narządów myślenia i dostrzegania. W każdym zjawisku zwracają naszą uwagę tylko pewne wydatne rysy, i podług nich jedynie sądzimy o danym przedmiocie, nie dbając o to, że posiada on także inne, niemniéj ważne, choć pominięte przez nas cechy. Patrząc np. na kryształ soli kuchennéj, o trzech równych i trzech nieregularnych płaszczyznach, dostrzegamy przedewszystkiém to, co jest w nim prawidłowego i, nie troszcząc się o resztę, nazywamy kryształ *sześcianém*. Ależ on bynajmniéj sześcianem nie jest! Nic nie szkodzi, odpowiadamy, nie jest, ale *powinien* być. I owo „powinien“ zadawalnia nas najzupełniéj. Podobną metodę stosujemy na każdym kroku. Uogólnianie—to dowód słabości, lecz zarazem i siły naszego umysłu, gdyż obok złudzeń daje nam ono także wiedzę. Bądź co bądź, złudzenia przeważają, bo i wiedza nasza ma wartość tylko subiektywną, względną. Aby się o tém przekonać, dość rozebrać pierwsze lepsze pojęcie, pierwszą lepszą naukową, lub życiową prawdę.

Istnieje np. cała szkoła uczonych i mężów stanu, którzy twierdzą z całą powagą, że *narodowość*—to wymysł mody, to „szwindel“, zawracający ludziom chwilowo głowy i niemający żadnéj wewnętrz-

néj racyi bytu. Jeżeli ludzie ci wierzą w to, co mówią, należy się litować nad ograniczonością ich umysłu. Kto jednak patrzy jasno i trzeźwo rozumuje, ten musi dojść do przekonania, że obudzenie się poczucia narodowego występuje w pewnych okresach rozwoju ludzkości, jako objaw zupełnie naturalny i konieczny. Przytłumić, zdławić, zniszczyć go niepodobna, jak niepodobna uspokoić wzburzonych fal morza, albo przygasić światła słonecznego.

Co jest podstawą narodowości? O tém mówiono i pisano wiele. Niektórzy kładą nacisk na pierwiastek antropologiczny, czyli pochodzenie. Teorya ta nie wytrzymuje krytyki. Bo, jakkolwiek każda główna rasa ludzkości różni się znacznie od innych, pomiędzy poddziałami jednéj i téj saméj rasy zbyt wielkich różnic dopatrzéć trudno. Próby wynalezienia przeciętnych typów narodowych nie mają żadnéj naukowéj wartości. W każdym narodzie rasy kaukaskiéj spotykamy indywidua o wąskich i szerokich czaszkach, o czarnych lub niebieskich oczach; blondyni i bruneci istnieją zarówno na południu, jak i na północy Europy. Przyrodnicze różnice zatém redukują się prawie do zera. Pozostają różnice wyrobione sztucznie przez wpływy wychowania, otoczenia, poddawania. Te jednak, jako zmienne, nie mogą tworzyć podstawy narodowości. Francuz wychowany pośród Niemców, stanie się Niemcem i odwrotnie. Jeden z najznakomitszych poetów niemieckich, Chamisso, urodził się we Francyi i w dzieciństwie swojém mówił tylko po francusku. Profesor berlińskiego uniwersytetu, Michelet, francuz z pochodzenia, posiada wszystkie cechy charakteryzujące filozofa niemieckiego. Kto się ośmieli powiedziéć, że Ulbach nie jest typowym francuzem, a Gabriel Rossetti typowym anglikiem? Słowem, pochodzenie nie robi jeszcze człowieka członkiem tego, lub owego narodu. A więc na czém opiera się narodowość? Na wspólnéj przeszłości historycznéj, na wspólnych prawach i rządzie, odpowiadają inni badacze.

Tak. A więc dla czegóż Rusin galicyjski nie chce być Polakiem, a Finn Szwedem, chociaż łączy ich od wieków wspólność historyczna i państwowa?

Nie, pochodzenie, historya, są to czynniki drugorzędne. Główną podstawę narodowości stanowi *język* i tylko *język*. On to milionem splotów, milionem ogniw wiąże, przykuwa nas do pewnego społeczeństwa. Za pośrednictwem języka poznajemy myśli, dążenia, cele naszych współbraci, przez język stajemy się spadkobiercami wielkich geniuszów, poetów, wodzów, nauczycieli narodu.

Język — to dusza, to umysł, to wiedza, słowem to cała wewnętrzna istota człowieka. Dla tego wspólność języka łączy ludzi stokroć silniéj niż wspólność krwi, niż wspólność praw i dziejów.

Ludzie, co spotykając się poraz pierwszy, zamieniają powitanie w ojczystéj mowie, są mniéj dla siebie obcy, niżeli dwaj bracia, którzy nie znają jednego języka. Anglicy i Amerykanie Północni wiedli nieraz ze sobą wojny, a jednak w stosunku do innych narodów uważają się oni za członków jednego plemienia. W 1870 r. Belgia sympatyzowała z Francyą. Norwegia długo jęczała pod duńskiém jarzmem, zrzuciła je w końcu z radością i nie miała żadnego obowiązku wdzięczności względem swych ciemiężycieli, a mimo to podczas wojny o Szlezwig-Holsztyn mnóstwo Norwegów śpieszyło na pomoc duńczykom, z którymi nic ich nie łączy oprócz języka.

To *nic* jest właśnie *wszystkiém*. — Kto, żyjąc spokojnie pośród współplemienników, nie potrzebował nigdy wyrzekać się ojczystéj mowy, ten nie ma wyobrażenia o bolesném uczuciu, jakie przytém pierś człowieczą ogarnia. Co znaczy pozbawienie praw i przywilejów wobec pozbawienia mowy? Czém są kajdany, na rękach i nogach, w porównaniu z więzami, krępującemi język? Człowiek chce mówić, a każą mu się jąkać, chce działać, a odbierają mu najważniejszy środek działania. Takie ubezwładnienie, taki przymus gorszym jest od śmierci. Dobrowolnie nikt się na coś podobnego nie zgodzi, nikt bowiem nie chce utracić swéj indywidualności, swojego „ja." Co warto życie bez jednego z najgłówniejszych jego atrybutów, bez mowy, bez możności uzmysławiania pojęć i uczuć wewnętrznych? Hindus, który się rzuca pod kamienne koła wozu Dżaggernaut, umiera, wierząc, że ożyje; człowiek zaś, który przyjmuje dobrowolnie obcy język, umiera, nie mogąc nawet liczyć na zmartwychwstanie. Jeżeli robi to przez słabość, tchórzostwo, głupotę — zasługuje na litość; jeżeli jednak wyrzeka się swojéj osobistości dla zysku — można nim tylko pogardzać!

Na szczęście, ci dezerterzy, ci rzezańcy moralni stanowią wszędzie mniejszość. Masy przywiązane są do swego języka, jak do życia.

Perswazya nie nakłoni nikogo do położenia głowy pod topór gilotyny; prawa nie odbiorą rozwiniętym duchowo narodom języka. I tu i tam namowę musi poprzéć siła, a na siłę odpowiada się siłą, gdyż walka o język, to jedna z form ogólnéj walki o byt. Naród, który zdoła uchronić swój język od zagłady, nie zginie; naród, nieumiejący, lub niemogący uczynić tego, musi się na śmierć gotować.

Ignacy Matuszewski.

ZE STOSUNKÓW EKONOMICZNYCH.

Szkic stosunków włościańskich w Księstwie Poznańskiém.

II.

Prawodawstwo agrarne, funkcyonujące obecnie w państwie pruskiém bierze początek w trzech edyktach królewskich, dotyczących reformy stosunków włościańskich, wydanych w latach 1807, 1811 i 1850.

Wprawdzie już w zeszłym stuleciu kilkakrotnie w sferach rządowych podnoszono konieczność ulżenia ciężarów pańszczyźnianych ludowi, oraz ukrócenia samowoli i nadużyć baronów niemieckich.

Tak nap. już w r. 1719 wyszło rozporządzenie o zniesieniu pańszczyzny w dobrach królewskich; w 1739 zakazano wypędzania włościan z osad, przez nich zajmowanych; w 1744 wzbroniono wcielania gruntów kmiecych do posiadłości rycerskich. Lecz wszystkie te rozporządzenia pozostawały martwą literą, gdyż potężna szlachta umiała zawsze ich wykonaniu przeszkodzić.

Pierwszym krokiem na drodze rzeczywistego wyswobodzenia stanu włościańskiego z niewoli średniowiecznéj był dopiero edykt królewski z dnia 8 października 1807 roku.

Oto są główne zasady edyktu tego:

„Z ogłoszeniem dzisiejszego rozporządzenia, opiewa § XI, ustaje dotychczasowy stosunek poddaństwa tych poddanych, którzy swe osady prawem wieczystém posiadają.“ § XII zaś stanowi: „Od dnia św. Marcina 1810 roku znosi się zupełnie poddaństwo w całém państwie. Po tym dniu niema już innych krom wolnych ludzi, którzy jednak, jak się samo przez się rozumie, wszelkie zobowiązania, jakie na nich jako wolnych, czy to wskutek posiadania ziemi, czy też wskutek osobnych układów, ciężą—wypełniać powinni.“

Wreszcie § Xstanowi: „od dnia ogłoszenia dzisiejszego edyktu nie mogą być stworzone żadne nowe stosunki poddańcze, skutkiem ożenienia, urodzenia lub kupna osady włościańskiéj.“—Jednocześnie zniesiono istniejące oddawna ograniczenia prawa władania ziemią, na mocy których włościanin ani mieszczanin nie mógł posiadać gruntów szlacheckich itp.

Jednak prawo z roku 1807, podobnie jak i poprzednie, pozostało po większéj części tylko martwą literą. Potężne wpływem u dworu i rozporządzające obfitemi środkami „szlachetne rycerstwo“ państwa pruskiego potrafiło wyjednać cały szereg ustępstw, które obracały w niwecz najpiękniejsze plany reform, w duchu demokratycznym podjętych. Prawodawstwo waha się ciągle to w tę to w drugą stronę. Nowe rozporządzenia ograniczają, lub wprost cofają dawniejsze. Oprócz tego, prawo z roku 1807 zdjęło z włościan tylko *de jure* średniowieczne więzy feudalizmu. Lecz nie zmieniło ono w niczém faktycznie istniejących stosunków rolnych. Prawo własności, tak zw. „dominium directum,“ pozostało nadal przy szlachcie.

W dniu 14 września 1811 wyszedł w Prusach drugi edykt królewski w sprawie włościańskiéj. Zawiera on rozporządzenie „o ustanowieniu prawidłowych stosunków między właścicielami a włościanami“ i drugie „o lepszéj uprawie roli.“ Na mocy pierwszego, włościanie posiadający ziemię na prawie dzierżawy wieczystéj (tj. w tych wypadkach, w których osady przechodziły z ojca na syna dziedzicznie) stawali się zupełnymi właścicielami gruntów po zapłaceniu panu ustanowionego wykupu. Jednocześnie miały ustać wszelkie prawa i służebności, z których włościanie korzystali na gruntach dominialnych. Dla polubownego uregulowania stosunków pozostawiono termin dwuletni, poczém miało być przeprowadzane z urzędu.

Edykt zaś o „lepszéj uprawie roli“ stara się wprowadzić w życie panujące podówczas w teoryi nauki ekonomicznéj doktryny szkoły manchesterskiéj.

Znosi więc wszelkie ograniczenia prawa własności, utrudniające przechodzenie ziemi z rąk do rąk, a to w nadziei, iż—zgodnie z teoryą ekonomiczną „laissez faire, laissez passer,“—ziemia trafi zawsze w ręce, najbardziéj uzdolnione do należytego jéj wyzyskania. Podzielając wstręt ekonomistów owoczesnych do wszelkiéj wspólności i do starodawnych urządzeń gminnych, prawodawca znosi służebności; daléj, stosując się do zasady nieograniczonéj własności indywidualnéj dozwala dzielenia ziemi do nieskończoności oraz swobodnego przekazywania jéj w drodze spadku, darowizny, posagu itd. Lecz z prawem tém powtórzyła się znowu ta sama historya,—co z poprzedniém; już w roku 1816, dnia 29 maja, pod wpływem reakcyi, wycho-

dzi nowe rozporządzenie, ograniczające moc prawa z roku 1811 tylko do większych osad włościańskich Jednocześnie szlachta pruska wymogła, ażeby załatwienie sprawy pozostawiono wyłącznie dobrowolnéj ugodzie stron; a następnie, ażeby wykup powinności przez włościan odbywał się bez wszelkiéj interwencyi ze strony rządu. Zrozumiano aż nadto dobrze, iż to ostatnie ustępstwo odwlecze reformę całą na długie lata. Ponieważ przytém władza patrymonialna pozostała nadal w ręku większych wlaścicieli (1), zachowali oni więc przy sobie głos decydujący jako rozjemcy i sędziowie w téj sprawie.

W takich warunkach lud oczywiście niewiele mógł się spodziewać od reformy. To téż nic dziwnego, iż wlekła się ona prawdziwie żółwim krokiem. Dość powiedziéć, iż od czasu edyktów do roku 1838 w całém ówczesném państwie pruskiém zawarli włościanie z właścicielami zaledwie 42.702 umów; ziemia objęta temi umowami wynosiła 4.979.992 morgów magdeb., co stanowiło na ogólną ilość ziemi w Prusach, około 5,5%!

Dopiero pod wpływem wypadków z r. 1848 rząd ujrzał się zmuszonym do energiczniejszego wdania się w tę sprawę. W r. 1850 wydano ponownie prawo o wykupie robocizn i powinności, przyczém wykonanie wykupu ułatwiono przez ustanowienie tak zw. „Rentenbanków.“ Wypłata miała się odbyć listami zastawnemi banku, włościanie zaś spłacać mieli zaciągnięty dług w ciągu lat 41, lub 56 (zależnie od stopy procentu: 4½% lub 5%). Jednocześnie zakazano spłaty powinności włościańskich ziemią, co się przedtém praktykowało na wielką skalę. Chwila już jednak była spóźnioną. Przez lat kilkadziesiąt właściciele wielkich posiadłości, obawiając się ciągle interwencyi rządowéj, rozpoczęli na nowo proces wywłaszczenia włościan, praktykowany w całych Niemczech zarówno jak i w Polsce przez kilka wieków ubiegłych. Część ziemi już przedtém odeszła od włościan jako wynagrodzenie za powinności, służebności itd. Odebrano włościanom osady, które posiadali czasowo na pierwszą wieść o regulacyi (w Meklemburgu zniesiono w ten sposób około 10.000 gospodarstw włośc.). Słowem, kilka milionów włościan wyzutych z ojcowizny—taki był pierwszy rezultat reformy włościańskiéj w Prusach.

W księstwie Poznańskiém regulacyą stosunków włościańskich rozpoczęto w roku 1823, na mocy prawa z dnia 8 kwietnia tegoż roku. Ludność włościańska księstwa rozpadała się wtedy na cztery główne

---

(1) W Prusach ziemia podzieloną była na 2 części, Gutsbezirk,—dominium, oraz ziemie gminne. Na 1-em władzę sądową i administracyjną sprawował sam dziedzic. Na 2-ej sołtys dziedziczny, w imieniu i pod kontrolą właściciela.

kategorye. Przedniejszą część włościan stanowili tak zwani *kmiecie*, posiadający ślad całkowity czyli 75—100 morgów 300-prętowych. Daléj szli *pół-śladnicy*, (pół-chłopy i ćwierć—chłopy w powiecie Wschowskim) mający gruntu po 40—60 mórg. Trzecią kategoryą stanowili chałupnicy (30—25 mórg), wreszcie czwartą zagrodnicy (10—12 mórg). Liczba kmieci była już wtedy nader ograniczoną, wskutek poprzednich ciągłych uszczuplań gospodarstw włościańskich na rzecz folwarcznych. Zaledwie w dobrach duchowych kategorya ta posiadała jeszcze pewną liczbę przedstawicieli. W dobrach szlacheckich bywały osady półślednicze; lecz najliczniejszą była klasa *chałupników*. W myśl litery prawa, rozciągającego ustawodawstwo argarne na księstwo Poznańskie, wszystkie osady powyższe, jako pańszczyzniane i dziedziczne, uledz miały regulacyi i wykupowi powinności. Lecz w Księstwie zarówno jak i w państwie całém, sprawa pozostawiona dobrowolnéj umowie posuwała się powoli. Potrzeba było nowego rozporządzenia z d. 10 lipca 1836 aby ją przyśpieszyć. Postanowiono więc na początek poddać wykupowi obowiązkowemu wszystkie osady włościańskie, z których odbywała się pańszczyzna ciągła (sprzężajna), lub dla uprawy których potrzebną była przynajmniéj para wołów lub koni, a dopiero w roku 1850 rozpoczęto uwłaszczanie pozostałéj części ludu wiejskiego. Prawo poznańskie korzystnie wyróżniało się od funkcyonujących w innych częściach państwa, tém iż według niego uledz miały regulacyi wszystkie osady, zarówno posiadane dotąd prawem wieczystém, jak i czasowém, za piśmienną umową, lub nawet ugodą ustną, czy zwyczajową. Zresztą zasada ogólna regulacyi była ta sama co w reszcie państwa (§ 1, 107, 108, 109).

Przedewszystkiém ustanowiono prawidła dla ścisłego obliczenia wzajemnych praw i zobowiązań. Tak mianowicie ze strony dziedzica wzięto w rachubę:

1) prawo *dominium directum*;

2) czynsze dotychczas przez włościan uiszczane;

3) robociznę ciągłą lub pieszą, jaką włościanie odrabiali w ostatnich trzech latach, oszacowaną albo według liczby dni roboczych, albo według ilości roboty dokonywanéj;

4) wszelkie daniny, *osepy* i dziesięciny, obliczone na żyto;

5) służebności, jakie przysługiwały dziedzicom na gruntach włościańskich, pastwiskach, lub wodach (rybołówstwo);

6) *laudemia* czyli jednorazowe opłaty, pobierane od włościan przy obejmowaniu gospodarstwa lub zmianie właścicieli;

7) wreszcie 4% od wartości załogi czyli inwentarza dworskiego, mającego pozostać przy osadzie.

W ten sposób więc obliczano sumę praw rzeczowych dziedzica. Z tego potrącano na korzyść włościanina:

1) wynagrodzenia, jakie włościanie w pewnych okolicznościach otrzymywali od dworu;

2) zapomogi i ulgi w razie klęski;

3) podatki,—o ile je uiszczał dziedzic;

4) czysty dochód z ziemi, odebranéj włościanom przy regulacyi; wartość odjętych służebności pastwiska, opału, ściółki; ciężar naprawy budynków przez dwory ponoszony;

5) czysty dochód z ziemi, odebranéj włościanom przed regulacyą;

6) 4% od wartości inwentarza odebranego włościanom na rzecz dworu. Z porównania dwóch tych pozycyi wynikała różnica, którą mieli uiścić włościanie ziemią, inwentarzem, zbożem, lub pieniędzmi. Tak więc ściśle ocenione obowiązki dziedzica względem poddanego i odwrotnie, i wartość ich wyrażona w formie pieniężnéj—stały się podstawą likwidacyi i zupełnéj indemnizacyi obustronnéj. Widzimy więc, iż przytém wszystkiém włościanie nie doznali żadnéj ulgi faktycznéj. Było to na rachunku oparte rozwiązanie stosunków pańszczyznianych, bez zmiany faktycznéj strony rzeczy. Wszelkie ciężary, jakie dawniéj samowolnie na chłopów nakładano, teraz wypłacić musieli i uwolnić się od nich nie mogli inaczéj, jak wykupując się pieniędzmi. Przeciwnie zaś, policzono na *debet* włościanom wszelkie te ulgi, lub zapomogi, jakie dwór z konieczności rzeczy w stosunkach pańszczyznianych wyświadczać im musiał. Ekonomiści usprawiedliwiali naukowo postępowanie powyższe, tworząc *ad hoc* teoryą, mniéj więcéj następującego zakroju: lud nigdy własności nie miał; od czasów niepamiętnych osiedlany był już na ziemiach szlacheckich; wszelkie powinności, jakie odbywał obecnie, były przez niego dobrowolnie na się przyjęte; słusznie więc, jeżeli chce się od nich uwolnić, że wykupić się musi i całą ich wartość dziedzicom spłacić. Pytania zaś o faktycznem prawie ludu do ziemi ojczystéj nie podnoszono wcale (1).

I znowu umowa miała być dobrowolną; same strony powinny były określić wysokość wynagrodzenia i formę, w któréj miało być wypłaconém.

Jedyném ograniczeniem było postanowienie, by właściciel, wybierając wynagrodzenie ziemią, nie mógł w żadnym razie wziąć więcéj nad połowę gruntu i to tylko wtedy, gdy część pozostała była dostateczną dla zatrudnienia pary wołów. Również nie mogły uledz

---

(1) Przypomina to bardzo teoryą wygłoszoną u nas przed paru laty przez p. W. Przyborowskiego.

alienacyi zabudowania włościanina z domem i ogrodem. Zakazano też zachowania robociny, którą tylko czasowo, nie dłużéj jak na lat 24 (!) pozwolono zostawić, przy czém nie miała ona przenosić 3 dni z osady na tydzień, z wyjątkiem żniw, w czasie których mogła być podnoszoną do dni sześciu.

Dobrowolną umowę swoję strony miały przedstawił do zatwierdzenia pośredniéj władzy powiatowéj, złożonéj z 1 obywatela, wybranego przez dziedziców okolicy i 1 biegłego wyznaczonego przez landrata (naczelnika powiatu) z liczby 3-ch kandydatów przedstawionych przez włościan.

Gdyby zaś umowa nie mogła dojść do skutku, wtedy sprawa przechodziła z urzędu do władzy wyższéj. Władzą tą były ustanowione przez rząd już w r. 1817 komisye generalne, składające się z komisarza generalnego, jego zastępcy, prawnika i innych urzędników częścią sądowych, częścią administracyjnych, mianowanych przez ministeryum spraw wewnętrznych. Od komisyi generalnéj służyła apelacya do komitetu rozpoznawczego, składającego się z członka sądu wyższego jako prezesa, dwóch radców tegoż sądu i dwóch radców regencyi; komitet ten posiadał władzę sądową i zarazem administracyjną, co do wykonania powziętych uchwał na gruncie.

Po oznaczeniu przez biegłych, według prawideł opracowanych dla każdéj okolicy, wartości zobowiązań zobopólnych, które wyżéj wyszczególniliśmy—przedstawiano stronom rezolucyę komitetu i nie wprowadzano jéj w wykonanie dopóki nie nastąpiła zgoda. Każdy mógł żądać sprawdzenia mapy i szacunku drogą sądu polubownego. Koszta zaś separacyi ponosiły strony.

Taką to drogą dawne urządzenia pańszczyzniane w Księstwie ustąpiły miejsce nowożytnéj liberalnéj organizacyi stosunków rolnych. Przywrócona swoboda osobista i swoboda własności stały się podstawą nowéj ery. Włościanin uzyskał prawo żenienia się bez pozwolenia dziedzica, prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce, prawo dzielenia i przekazywania własności, wreszcie prawo kupowania gruntów dominialnych; lecz za te wszystkie „prawa“ utracił część ojcowizny, został pozbawiony całkowicie wszelkich służebności leśnych i pastwiskowych, wreszcie część pozostałą ziemi i zniesione powinności pańszczyzniane ciężko opłacić musiał.

Jeżeli więc teraz przypomnimy sobie, jakie mianowicie strony ujemne organizacyi stosunków rolnych w Księstwie uderzyły nas w poprzedniém badaniu, to dla każdéj z nich łatwo nam będzie wskazać źródło w sposobie przeprowadzenia reformy włościańskiéj, który poznaliśmy.

Tak, przedewszystkiém widzieliśmy wyżéj, iż lud poznański cierpi najmocniéj na niedostatek ziemi, że uposażenie jego gruntowe jest w ogóle szczupłém, że wreszcie nawet kategorya lepiéj pod tym względem postawiona, znajduje się w jakiejś dziwnéj zawisłości ekonomicznéj, fatalnie popychającéj ją do ruiny. Zapytajmy teraz, czy rezultat mógł być innym tam, gdzie włościanie stracili znaczną część ziemi jako wynagrodzenie i wykup za powinności pańszczyzniane; gdzie odbierano ludowi oprócz tego drugą część téj ziemi za długi i zobowiązania, zapomogi dworskie, *laudemia*, służebności, wreszcie za wszelkie przewinienia i pod pozorem nieumiejętnego prowadzenia gospodarki (1).

Do uszczuplenia gruntów kmiecych przyczyniły się oprócz tego niektóre postanowienia prawodawcze, dotyczące podziału gruntów gminnych, komasacyi, usunięcia szachownic itd. Budowle włościan przenoszono z miejsca na miejsce, często na grunta niewykarczowane i nieuprawne. Zagospodarowywanie się na nowo, przeprowadzanie rowów, płotów itd. wszystko to pochłonęło masę sił i kosztów. Wielu obywateli posiadało na gruntach włościańskich służebności, za które również zostali niezwłocznie wynagrodzeni (2). To też w tym okresie własność wielka zwiększała się ogromnie kosztem włościańskiéj (3).

Nie bez słuszności więc pewien badacz stosunków pruskich wyrażał w tym czasie obawę, „iż z obecném prawem naszém po kilku pokoleniach zniknie klasa włościańska, a kraj cały podzielony zostanie na wielkie folwarki i zaludniony ubogą ludnością wyrobniczą“ (4).

Drugą ujemną stroną obecnego położenia ludu w Księstwie jest, jak widzieliśmy, znaczna stosunkowo ilość ludności bezrolnéj. I ten fakt także nie trudno nam zrozumiéć i przyczynę jego wskazać. Najprzód, jak wiemy, reforma w Prusach klasy téj nie dotknęła wcale.

---

(1) „Zwłoka regulacyi stosunków włościańskich naprowadziła wielu dziedziców na myśl wyzyskania jéj na swoją korzyść. Pod ladajakim pozorem spędzali włościan, z gruntów, żeby tém mniéj stracić obszaru, skoro chwila regulacyi nadejdzie.“ (Dr. Łebiński: Kółka rolniczo-włościańskie w księstwie Poznańskiém, str. 9).

(2) Ustanowiono nawet w Prusach specyalną komisyą dla wykupu służebności dworskich (Auseinanderversetzungcomission). Że operacya ta dużo kosztowała włościan, widać z tego, iż w królestwie pruskiem skutkiem działalności téj komisyi uwolnionych zostało od służebności 1.500.000 włościan i 14 mil. hektarów. (Laveleye: La Prusse Contemporaine).

(3) Adam Krzyżtopór: l. c. str. 221. W całém państwie własność wielka wzrosła w ciągu lat 1836—58 o 2.503.063 morg.

(4) Lavergue-Peguilhen: Die Landgemeinde in Preussen.

Natomiast szeregi jéj wzrosły wskutek nowego wywłaszczenia. Szczególnie zaś szkodliwém dla ubogiéj ludności wiejskiéj okazało się obowiązkowe znoszenie wszelkich wspólnot gromadzkich, łąk i pastwisk (1). Często bardzo prawo utrzymania krowy na łące wspólnéj lub pary owiec na gromadzkiém pastwisku było ważnym środkiem utrzymania licznéj klasy komorników, zagrodników itd. Z pozbawieniem téj dogodności warstwa ta powiększyła szeregi proletaryatu i ludności najemnéj.

W istocie, jak już wspomniano, właśnie od roku 1850 rozpoczyna się wzrost ludności bezrolnéj Księstwa. Cena najmu w tym czasie znacznie spadła, przytém ogólne warunki pracy parobków i najemników uległy pogorszeniu (2).

Następnie, jak widzieliśmy, trzecią biedą ekonomiczną włościan w Poznańskiém jest straszne zadłużenie ich własności rolnéj. I znowu zapytajmy, czy mogło być inaczéj, jeżeli państwo, pozostawiając wykup powinności samym włościanom, nie postarało się jednocześnie o stworzenie odpowiednich instytucyi i o szerokie uprzystępnienie kredytu. W braku zaś takowego brał chłop u żyda na spłatę ziemi, przy któréj chciał pozostać; brał na zagospodarowanie się, gdy mu skutkiem separacyi przyszło przenosić chatę na nowe miejsce; brał wreszcie na najem łąk, lub kupno drzewa, których mu raptem zbrakło po zniesieniu służebności. I odtąd też zakwitła w Księstwie działalność téj „*Wechselreiterei*“, któréj czyny bohaterskie poznaliśmy wyżéj.

Zupełne pominięcie zasady samorządu gminnego przy przeprowadzeniu reformy w Prusach, było również błędem kardynalnym a dla włościan w skutkach fatalnym. Władza policyjna i administracyjna pozostała w ręku dziedziców. Nie pomogło nawet ustanowienie w Poznańskiém wójtów rządowych, gdyż jak słusznie twierdzi T. Potocki: „niewłaściwie, żeby dziedzic sam był sędzią w swéj spra-

---

(1) Dziś zaledwie ślady tych wspólności gdzieniegdzie się przechowały. Nathusius wspomina o łąkach i pastwiskach wspólnych w Ostrzeszowskiém. W posiadaniu gmin pozostają jedynie kawałki roli, przeznaczone dla szkoły, kowala, stróżów nocnych i in. urzędników.

(2) „Z kawałka ogrodu i komory w budynku dworskim odrabia komornik dziś tyle lub nawet więcéj niż dawniéj gospodarz z zagrody“—pisał T. Potocki w r. 1859 (l. c.). Dzisiaj położenie parobków dworskich uległo pewnéj zmianie na lepsze, jeżeli wierzyć danym, jakie przytacza p. Śniegocki w artykule o księstwie Poznańskiém w Encyklopedyi Rolniczéj (Tom III, str. 899—910). Parobek taki pobiera rocznie: 12 szefli żyta, 6 jęczmienia, 4 grochu, 2 gryki, 2 owsa; dostaje prócz tego pół morgi ogrodu, morgę w polu pod kartofle, dwa zagony pod len i dwa pod kapustę; wreszcie trzyma krowę na pastwisku dworskiém.

wie, lecz stokroć gorzéj kiedy sędzią jest człowiek, będący w kieszeni dziedzica. W pierwszym razie sama przyzwoitość, sam wstyd zmusza go przynajmniéj do umiarkowania; w drugim może bezkarnie puścić wodze namiętnościom i chciwości." — Sejmy prowincyonalne, — pozbawione w Prusach wszelkiego znaczenia i których uchwały zmieniać może każdy landrat, — nie mogły téż wziąć włościan w opiekę; zresztą sejm poznański na 50 posłów posiada tylko ośmiu od włościan. Solidarność gminna, samorząd włościański nie tylko nie zostały stworzone, lecz cały charakter reformy utrudnia na długie lata w przyszłości wytworzenie tych cennych pierwiastków wśród ludu. Widzieliśmy, iż charakterystyczną cechą stosunków włościańskich w Księstwie jest ogromna różnolitość klasy włościańskiéj. Istniejące w niéj dawniéj różnice zamożności przez reformę zostały jeszcze powiększone i utrwalone. Dziś oczywiście mało być może wspólnego pomiędzy właścicielem osady 300 morgowéj, a bezrolnym najemnikiem przerzucanym z miejsca na miejsce. Tworzą się więc wśród włościaństwa kasty, odgraniczone ściśle sposobem życia, zamożnością, nawyknieniami. Wyrabia się antagonizm, niezmiernie szkodliwy dla przyszłego rozwoju społecznego; wnosi to pierwiastek waśni i niezgody do stanu, który w przyszłości jeszcze tyle solidarności i ducha społecznego potrzebować może. I ten więc nabytek— w innych krajach polskich mało jeszcze uczuwać się dający — reformie pruskiéj zawdzięczać musimy.

Zauważmy w końcu, że chociaż skutkiem pewnych specyalnych okoliczności, w których księstwo Poznańskie rozwijać się musiało, upadek gospodarstw włościańskich występuje w niém być może jaskrawiéj, niż w innych częściach monarchii pruskiéj, niemniéj przeto jest on powszechnym, a więc już dlatego jednego nie może być wyłącznie przypisywanym ani rasowym, ani religijnym właściwościom naszego ludu. Cyfry dowodzą, iż zwiększanie się obszaru własności wielkiéj, ubytek gospodarstw sprzężajnych, zadłużanie własności włościańskiéj — wszystko to ma miejsce w całych Prusach (1).

---

(1) Oto niektóre dane: w r. 1836 było w Prusach dóbr rycerskich 12.015, obszar wynosił 25.046.936, przeciętnie 2.083 morgów; w roku 1858 dóbr: 12.827, obszar wynosił 27.550.000, przeciętnie 2.148 mor. W ciągu więc lat 20-stu własność wielka wzrosła o 2.503.063 morgów. W latach od 1816 do 1859 ogólna ilość gruntów włościańskich zmniejszyła się w Prusach o 1.760.000 morg. Gospodarstw sprzężajnych liczono:

w roku 1816 — 354.607, obszaru 34.425.731 morgów,
„ 1859 — 344.737 „ 33.498.433 „

W czasie tym ubytek więc wynosił 6.820 gospodarstw o 927.198 morgach. Jednocześnie — zupełnie jak w Księstwie — rosła ilość niesprzężajnych! Czyż wobec tego nie moglibyśmy z równém prawem wyśmiewać się z „deutsche Wirthschaft"?

Sądzimy więc, iż myśl naszę wyrażoną wyżéj: *że główną przyczyną upadku gospodarstw włościańskich w Poznańskiém, jest niepomyślny dla ludu obrót reformy agrarnéj w Prusach* — mamy prawo po tém wszystkiém uważać za udowodnioną. Swoją drogą, trudno zaprzeczyć, iż niektóre przyczyny miejscowe — które tak chętnie podnoszą Niemcy — wpływają również ujemnie na gospodarkę naszego chłopa. Do takich należą niektóre obyczaje naszego ludu, zakorzenione nałogi i nawyknienia, będące skutkiem ciężkich warunków jego życia. Zatrzymamy się nieco nad rozpatrzeniem tego przedmiotu.

III.

W liczbie przyczyn upadku gospodarstw włościańskich często wystawiają, jako jednę z główniejszych, nieumiejętność gospodarczą naszego chłopa, jego pierwotne sposoby gospodarowania, brak wiedzy i niezaradność. Jednakże wszystkie te wady — chociaż w pewnéj mierze ich istnieniu przeczyć nie myślimy—nie mają w tym razie tak doniosłego znaczenia, by niemi tłómaczyć było można niepomyślny rozwój gospodarstwa włościańskiego. Ziemia w księstwie Poznańskiém, jak wiadomo, nie należy do najurodzajniejszych. Obfitość bagien i zarośli, znaczna ilość gruntów piasczystych, które w pewnych powiatach do 60% ogólnéj przestrzeni dochodzą, — wszystko to obniża stopień ogólnéj produkcyjności rolniczéj Księstwa (1). Jedne tylko Kujawy do okolic prawdziwie urodzajnych zaliczone być mogą. Mimo to jednak przeciętne plony dla Księstwa przedstawiają się dość pomyślnie. W okresie od r. 1867 do 1870 wynosiły one:

	dla pszenicy	żyta	jęczmienia	owsa	grochu
maximum szefli z morga . . .	10,28 —	8,08 —	10,18 —	8,68 —	7,37
minimum „ „ . . .	7,16 —	6,78 —	7,26 —	11,43 —	5,15

[szefel = 0,4294 korca naszego].

W porównaniu z innemi prowincyami państwa nie widzimy w tém wielkiéj różnicy na niekorzyść Księstwa. Tak plon pszenicy z morgi wynosi w szeflach:

w Saksonii.	11,53
w Szlezwig-Holsztynie.	12,13
na Szląsku	10,67
w Brandeburgii . . .	10,13
w Prusach	8,98

---

(1) W Księstwie liczą: gleby gliniasto-piasczystéj 48%, piasczystéj 33,6%, gliniastéj 9,4%, błotnistéj 7,0%, wód 2,0%. — (*Enc. Rol.*).

Co się zaś tyczy gospodarstw włościańskich, ogólna ich wydajność nie jest także o wiele niższą od przeciętnéj dla Księstwa. Przekonać nas o tém mogą opisy pojedynczych gospodarstw włościańskich, jakie znajdujemy w Encyklopedyi rolniczéj (T. II, str. 1113—1169) i w dziele „Baüerliche Zustände in Deutschland.“ W jednym z przykładów (gospodarstwo Macieja Musielaka we wsi Rombinie w pow. Kościańskim) znajdujemy plony stosunkowo dość wysokie (10 szefli dla pszenicy, 7 żyta, 10 jęczmienia, 12½ owsa, 80 kartofli). W gospodarstwach Niemców, opisanych u Nathusiusa, są one nieco niższe (dla żyta 6,4 i 5,5; dla jęczmienia 6,8 i 5 i t. d.) Gospodarstwa włościańskie sprzedają żyto, owies, kartofle, a w okolicach żyźniejszych jeszcze jęczmień i pszenicę, rzepak i w ostatnich czasach buraki. Wogóle co do kwestyi stosunkowéj produkcyjności gospodarstw wielkich i małych, niewątpliwy znawca téj kwestyi—Nathusius, wyraża się stanowczo na korzyść ostatnich. Dają one, wogóle biorąc, wyższy dochód czysty. Wprawdzie przyczynę tego upatruje on przedewszystkiém w korzystnym stosunku wartości pracy właściciela i jego rodziny w gospodarstwie włościańskiém; im posiadłość jest mniejsza, tém większą stosunkową wartość w ogólnéj sumie dochodu stanowi praca; ta więc okoliczność przeważa szalę na korzyść własności drobnéj, pomimo iż gospodarstwa wielkie wogóle lepiéj są prowadzone, pod względem intensywności kultury, dobroci inwentarza i t. d. Oprócz tego właściciel wielki podnosi wartość swéj posiadłości przez zakłady przemysłowe, cegielnie lub gorzelnie, ma on możność prowadzenia bardziéj nakładowéj gospodarki, — czego chłop, pozbawiony kredytu, uczynić nie jest zdolny.

Chociaż więc bez wątpienia gospodarstwo naszego ludu wiele jeszcze pozostawia do życzenia, widzimy z danych powyższych, iż na karb niegospodarności kłaść upadku jego nie można. Przeciwnie, z opisów powyższych przekonywamy się, że ile razy posiadłość rodziny włościańskiéj jest dostateczna dla jéj zatrudnienia, gdzie nie jest zbytnio obciążona długami, — tam chłopi oszczędzają, przykupują gruntu i powoli dochodzą do pewnéj zamożności. Sądzimy więc, iż owe „Slavischer Leichtsinn, Trunksucht und Indolenz“, o których chętnie rozprawiają pisarze niemieccy, mało znaczą w porównaniu z bardziéj ogólnymi przyczynami upadku.

Niektórzy wskazują daléj na szkodliwe następstwa zupełnéj wolności w rozporządzaniu własnością ziemską, jaka istnieje w Prusach od czasu reformy. W istocie przechodzenie ziemi z rąk do rąk spotyka się tam często i niezawsze pomyślnie dla gospodarstwa krajowego. Według obliczeń przybliżonych, przypuszczalnie około $^1/_5$ obecnych posiadłości sprzężajnych dostało się do rąk właścicieli dzi-

siejszych drogą kupna, a $^4/_5$ drogą spadku. Pozbywanie się gruntów jest szczególnie częstém wśród ubogich włościan, przyciśniętych długami. Pochop do sprzedaży wzrósł w ostatnich czasach tam zwłaszcza, gdzie ceny ziemi się podniosły, jak to ma miejsce na Kujawach np., gdzie dochodzą one do 500 marek za morgę. W okolicach, w których rozwinął się popęd do wychodźctwa, wyprzedają grunta emigranci, by uzyskać środki na podróż do Ameryki. Z drugiéj znów strony, to sprzedawanie gruntów podnosi znacznie obdłużenie ziemi. Często bardzo, przystępujący do kupna posiada w gotówce zaledwie małą część wartości osady, np. trzecią lub piątą nawet. Reszta więc, jako nowy dług zapisuje się na posiadłości. Sprzedający zaś ze swojéj strony stara się już poprzednio o zadłużenie osady do możliwie największych granic. Zdarzały się wypadki, iż zamożny gospodarz, kupując nową osadę zadłużoną do ostatniego stopnia, tracił wkrótce na niéj cały własny majątek (w Inowrocławskiém). Obyczajem, niekorzystnym pod względem ekonomicznym i przyczyniającym się w silnéj mierze do zadłużania gospodarstw włościańskich jest panujący zwyczaj równego działu pomiędzy rodzeństwo. Częste są wypadki dzielenia gospodarstw w naturze; tak np. w powiecie Bukowskim powstało tą drogą w ciągu lat 20 nowych gospodarstw 297 z liczby 178, poprzednio istniejących; w gminie Bolewice w ciągu lat pięćdziesięciu z 25 gospodarstw utworzyło się nowych 110. W téj ostatniéj miejscowości znaczne rozdrobnienie własności włościańskiéj wynikło z powodu rozwiniętéj uprawy chmielu, która nawet na małych działkach okazuje się korzystną. Częściéj jednak osada pozostaje przy jednym ze spadkobierców, który spłacać musi innych gotówką. Tylko w zniemczonych okolicach Księstwa (w pow. Międzychodzkim, Czarnkowskim, Wyrzyskim) działy nie są równe i odbywają się zwykle z uprzywilejowaniem tego członka rodzeństwa, który zostaje przy osadzie (majoraty i minoraty); lecz poczucie równości u naszego chłopa pogodzić się z tém nie może, i ostatnio lud poznański wystąpił dość energicznie przeciw projektowanym majoratom włościańskim.

Drugim obyczajem, dokuczającym gospodarstwu włościańskiemu, jest tak zwany u ludu naszego „wyderek“ czyli dożywocie starych. Powszechne są skargi, iż „starzy“ zbyt wcześnie usuwają się od pracy i zdając wszystko na dzieci, każą sobie płacić stosunkowo bardzo wysokie renty dożywotnie. Ztąd powstają częste waśnie i kłótnie pomiędzy rodzeństwem; a gdy się w to wdaje żyd pośrednik, przejmujący nieraz na siebie dożywocie starych i egzekwujący je na posiadaczu—wtedy i jednym i drugim grozi utrata mienia. Parę przykładów wskaże nam, jak są nieraz wysokie te wyderki i doży-

wocia włościańskie: na posiadłości, wartującéj 2600 marek, ciążyło dożywocie, składające się z 15 rozmaitych pozycyi, a mianowicie: było tam trzy tłuste gęsi, z których każda ważyć miała 11 funtów; 10 fun. masła, w ratach tygodniowych; ½ kwarty mleka słodkiego i ½ kwaśnego — dziennie; 12 funtów słoniny i t. d. Wszystko to razem czyniło przy bardzo umiarkowaném oszacowaniu 185 marek, czyli 7% wartości osady. Inny przykład: na osadzie 9-cio-hektarowéj ciążyło dożywocie, składające się z wolnego mieszkania, 11½ szefli rozmaitych zbóż, 2 kwart prosa, 9 zagonów ziemi, używalność ogrodu, 3 fur drzewa, krowy i świni, wreszcie dodanym był 1 talar na sól. Z dożywociem tém osada sprzedaną została. Nowonabywca, widząc, iż nie da sobie rady, pozwolił na zaciągnięcie na osadzie drugiego dożywocia, składającego się z wolnego mieszkania, 17-stu szefli zboża, ½ szefla prosa, kartofli z 30 zagonów roli, krowy i świni— i odprzedał posiadłość. Drugi nabywca zupełnie na niéj zbankrutował, straciwszy przytém w dodatku własne swoje gospodarstwo. Słusznie więc podnoszą się obecnie głosy, żądające zakazu zaciągania podobnych zobowiązań do ksiąg hypotecznych.

W końcu musimy wspomniéć i o pijaństwie, które w oczach wielu stanowi główne źródło biédy naszego ludu. Jeżeli wierzyć Niemcom — pije chłop poznański dużo i często. Tak np. w powiecie Obornickim na 50.000 ludności wypija się rocznie około 700.000 litrów wódki, na sumę 300.000 marek. Przyczynia się do tego znaczna ilość targów i jarmarków w Księstwie. Miast i miasteczek jest w Poznańskiém więcéj niż w innych częściach monarchii pruskiéj (w Prusach miast 1001 na 20 mil. ludności, jedno więc na na 20.000; w Poznańskiém na 1,5 miliona miast 138, a więc 1 na 10.000). Te 138 miast mają w ciągu roku 550 jarmarków. Znaczna ilość świąt katolickich (około 75 dni świątecznych w roku) powiększa także sposobność do picia i próżniactwa. Jeżeli jednak wspomnimy, jak jest niedostateczném odżywianie się chłopa polskiego, który żyje kartoflami, kapustą, grochem, kaszą; chléb widuje rzadko, a mięso tylko wyjątkowo, wtedy oburzenie nasze na pijaństwo ludu straci nieco na sile. Pociąg do wódki jest niemal koniecznym dla organizmu zmuszonego do ciężkiéj pracy fizycznéj, przy braku pokarmów odpowiednich i pożywnych. Również pięknem jest oburzanie się na większą ilość jarmarków, świąt katolickich, odpustów i t. d., lecz należy pamiętać, iż przy téj sposobności jedynie włościanin nasz styka się z szerszym światem, tu znajduje towarzystwo i rozrywkę, niezbędną dla każdéj jednostki ludzkiéj. Nim więc za to wszystko lud gromić zaczniemy, należałoby się wprzód postarać o stworzenie jakiegoś szlachetniejszego sposobu zaspakajania tych moralnych po-

trzeb natury ludzkiéj, o udoskonalenie jego rozrywek i zabaw itd. Póki zaś tego niema, wszystko musi pozostać w tym stanie, w jakim jest dzisiaj.

Mimo to jednak, nawet niemieccy pisarze odzywają się dość pochlebnie o zaletach chłopa polskiego, podziwiają jego zręczność w rozmaitych robotach związanych z rolnictwem (nap. w garncarstwie, budowaniu, kowalstwie, kołodziejstwie); Nathusius wspomina nap., iż tamtejsi obywatele wolą nawet robotnika polskiego od miejscowego niemieckiego i dodaje w końcu, iż „der posensche Bauer und seine Familie ist ein kräftiger, arbeitsfähiger Menschenschlag.“

Słowem, wszystkie te strony ujemne, które w rozdziale niniejszym zaznaczyliśmy, nie są to żadne wady zasadnicze, trudne do uleczenia. Przeciwnie, usunięcie ich daje się łatwo pomyśléć, czy to drogą rozumnie skierowanego prawodawstwa państwowego, któreby ograniczało pole nadużyć i wyzysku, czy to wreszcie na drodze ogólnego postępu w kulturze i obyczajach ludności.

W pierwszym kierunku przyznać potrzeba, iż prawodawstwo pruskie stara się zaradzić złemu. W ostatnich czasach powzięto kilka uchwał, które dobroczynnie oddziałać powinny na dobrobyt ludu. Weszła już w życie ustawa przeciw lichwie; domagają się ograniczenia prawa propinacyi i w ogóle handlu trunkami; na sejmie 1880 roku postanowiono zbadać środki, zapobiegające dalszemu rozdrabnianiu posiadłości włościańskich. Na zgromadzeniu Towarzystwa rolniczego, na wniosek Henryka Szumana, postanowiono domagać się od rządu ograniczenia wolności wystawiania weksli; w ostatnich czasach wreszcie podniesiono kwestyę spadkobierstwa itd.

Gorzéj daleko ma się rzecz z ogólnym kulturno-obyczajowym postępem ludności, któremu nie sprzyjają wcale warunki życia ludu polskiego w państwie pruskiém. Gdzie w szkołach gwałcą na każdym kroku najelementarniejsze zasady pedagogiki, gdzie przez wykład w języku niemieckim utrudniają naukę, — tam urąganie brakowi oświaty ludu polskiego, jego zacofaniu, jest co najmniéj nie na miejscu. To samo da się powiedziéć o sądach i urzędach wszelkich: masa ludności polskiéj jest zupełnie ciemną wobec niezrozumiałych dla siebie praw i przepisów administracyjnych,—a w warunkach podobnych postęp uspołecznienia nie może być znacznym.

W końcu brak życia gminnego staje na przeszkodzie rozwojowi tych uczuć, od których zależy przedewszystkiém rozwój społeczny każdego narodu. Wszystkie te przyczyny miejscowe pogorszają więc bez wątpienia położenie ekonomiczne naszego ludu w Poznańskiém.

Po za tém jednak kwestya upadku stanu włościańskiego w krajach polskich jest dziś w głównych zarysach zupełnie taką samą jak wszędzie, we wszystkich państwach Europy. Kwestya agrarna powstaje na nowo w całéj Europie zachodniéj i z coraz większą siłą domaga się rozwiązania. Zarówno rządy i mężowie stanu, jak uczeni ekonomiści i myśliciele zmuszeni są pracować nad tém—zdaniem niektórych, najważniejszém—zagadnieniem ekonomiczném chwili bieżącéj. A wyszukanie nowych dróg polityki ekonomicznéj staje się tém konieczniejszém, iż wszelkie środki agrarne, które dotąd powszechném cieszyły się uznaniem zawiodły srodze nadzieje, jakie w nich pokładano—i sprawa stoi dzisiaj na tym samym punkcie, na którym znajdowała się przed laty kilkudziesięciu. Liberalizm jéj nie rozstrzygnął. „Pod jego to panowaniem“—jak pisze jeden ze znawców téj kwestyi—„zamiast spodziewanéj wolności dla stanu włościańskiego, wynikła nowa pańszczyzna; zamiast dobrobytu i zamożności wolnych włościan—powstała bieda ogólna, dochodząca aż do zupełnéj utraty własności; zamiast postępu w zakresie gospodarstwa rolnego—ujrzeliśmy straszny wyzysk słabszych przez silniejszych; wreszcie pragnęliśmy na podstawie swobody i równości zbudować nowy porządek społeczny—a wynikło ztąd niebezpieczeństwo zupełnego rozbicia społeczeństwa“ (1).

Miejmy nadzieję, iż nowe teorye ekonomiczne będą w tym względzie szczęśliwsze.

Adam Zakrzewski.

---

(1) Karl Preser: Die Erhaltung des Bauernstandes. Leipzig. 1884.

DUMY UKRAIŃSKIE.

RZECZ O EPOSIE KOZACKIM RUSINÓW.

II.

Przechodząc do rozbioru treści kozaczego eposu, musimy tu zaznaczyć jedną ważną okoliczność. Etnografowie rusińscy i historycy, jak Maksimowicz, Kulisz, Kostomarów, Antonowicz i Dragomanow, którzy pracowali nad historycznym eposem Rusi, wszyscy dotąd, o ile wiem, jednakowo traktowali i dumy kobzarskie i historyczne pieśni ludowe, przyznając im jednakowe znaczenie, jako utworów ludowych i łącząc je w jedną całość eposu Rusinów. Znam nawet zdanie jednego z bardzo poważnych znawców rzeczy rusińskich, że dumy jakkolwiek z formy mogą się różnić od pieśni, w treści wszelako są zupełnie do nich podobne. Takie zapatrywanie uważam za zupełnie błędne z następnych powodów.

Sfery, w których powstały, żyły i rozwijały się pieśni ludowe i dumy kobzarskie są zupełnie różne. O tém, że lud dum wcale nie śpiewa i nie śpiewał, bo były dlań już z saméj formy niedostępne— czasami tylko słyszane przezeń były, — o tém nikt dziś nie wątpi. Niewątpliwém jest także, że kobzarze, ci wyłącznie śpiewacy dum, pieśni historycznych ludowych nie śpiewają wcale. Przepatrując starannie repertoar każdego bandurzysty, (jak *Neczaj*, *Morozenko*, *Perebyjnis*, *Czały* i t. d.) nie znalazłem w nim ani jednéj pieśni historycznéj. Masa waryantów, np. pieśni o Neczaju, z których 40 zamieszczono w zbiorze pp. Antonowicza i Dragomanowa, śpiewanych na całym obszarze kraju, dowodzi, że pieśń ta znaną jest powszechnie i przez lud lubioną, jednakże ani jeden kobzarz jéj dotąd nam nie zaśpiewał. Okoliczność ta wcale nie jest przypadkową i z łatwością da się wytłumaczyć tém, że kobzarze, będąc wyłącznie piewcami kozackimi, tworząc rapsody epiczne, nie mogli nawet znać pieśni

pospolitych ludowych, gdy żyjąc głównie w obozach i w Siczy, mało mieli wspólności z ludem, chyba w czasie wielkich ruchów i to tylko chwilowo.

Porównywając treść dum i pieśni, z konieczności wypadnie zaznaczyć ogromną między niemi różnicę. Repertoar nawet jest zupełnie różny. Niema ani jednéj pieśni historycznéj, która by opiewała ten sam fakt dziejowy, co duma, ztąd śmiało możemy wnosić, że ani lud od kobzarzy, ani kobzarze od ludu nie zapożyczali tematów twórczości; wzajemnego oddziaływania i wpływów nie było wcale, dwie te twórczości żyły zupełnie samodzielnie i niezależnie, mając wspólny tylko język i charakter obrazowania.

Co do sposobu traktowauia faktów dziejowych, pieśń i duma także różnią się znacznie. Pieśń ludowa historyczna bywa albo liryczną, nacechowaną tylko obrazami treści historyczno-obyczajowéj z téj lub innéj epoki, lub téż epiczną—dziejową, opiewającą jakiś wypadek historyczny. Te ostatnie, t. j. pieśni ludowe epiczne (które same jedne bywają porównywane z dumami) mają zwykle za treść jakieś jaskrawe zdarzenie, które zdołało obudzić i zająć wyobraźnią ludową. Oprócz obiektywnego opisania wypadku samego, pieśń nic nie mówi ani o pobudkach, ani celach bohatera; szersza dziejowa tkanka, na któréj się fakt wysnuł, nie zajmuje pieśni wcale. Tak np. pieśń o Neczaju opowiada o tragicznéj śmierci tego bohatera, nie wdając się wcale w kwestye: kto to był Neczaj, dla czego walczył, czy to był prosty rozbójnik, czy bohater narodowy; — takie pytania są zupełnie dla pieśni obojętne. Toż samo prawie widzimy w pieśni o Sawie Czałym i innych. Pod tym względem pieśń historyczna nadzwyczaj przypomina ogólny charakter wszystkich balad ludowych, opiewających w formie epicznéj rozmaite nadzwyczajne, uderzające wyobraźnię wypadki życia powszedniego. Zupełnie inny charakter posiadają dumy. Znacznie wogóle dłuższe od piosnek, są to prawdziwe poemata opisujące nie pojedyncze, nagie fakty, nie samą akcyę wypadku, lecz całe przejście ze szczególném uwzględnieniem stosunków społecznych, narodowych, religijnych i t. p. Bohater *pieśni* walczy, zwycięża, lub ginie niewiadomo dla czego, na co, poco i z jakich pobudek; bohater zaś *dumy* zawsze jest wyrazicielem pewnéj idei; rzadko bardzo działa z pobudek prywatnych, a zwykle przedstawia się jako jednostka społeczna, narodowa.

Zaznaczywszy powyższą różnicę dumy od pieśni, przypatrzmy się bliżéj treści znanych nam dum. Nazwaliśmy te utwory eposem kozackim; jest ten epos takim w rzeczy saméj, odnośnie do dum nam znanych. Że mogły być dumy sięgające czasów daleko dawniejszych od kozaczyzny, o tém, jak późniéj się przekonamy, wątpić nie

należy; znane wszelako 28 dum świadczą tylko o czasach kozactwa i z niego też tylko czerpią swą treść. Epos ten, ze względu na swój charakter zarówno jak na treść, da się podzielić na dwa główne okresy, znacznie się pomiędzy sobą różniące, a mianowicie na *okres turecko-tatarski*, sięgający do czasów Chmielnickiego i *okres polski* od czasów Chmielnickiego do upadku kozaczyzny.

1. *Okres turecko-tatarski* obejmuje 6 dum poświęconych walce z bisurmanami, 6 dum o niewoli tureckiéj i tatarskiéj i jeden krótki urywek, malujący rozbicie wśród burzy okrętu wojennego tureckiego. Wszystkie te dumy opisują rozmaite wypadki na tle epoki historycznéj, pozbawione są jednak cech czysto dziejowych, mówiących o wypadkach konkretnych. Są to czasami świetne obrazy stosunków historycznych z masą cennych szczegółów treści obyczajowéj, lecz żaden prawie bohater tych dum nie jest osobistością dziejową, jak w dumach późniejszych. Rozmaite osobistości, malowane i nazywane przez dumy, noszą, być może, imiona osób dziejowych, lecz obecnie występują przed nami, jako typy tylko, których cechy indywidualne zupełnie już przez czas się zatarły.

Z sześciu dum *o walce* dwie tylko opiewają zwycięstwo. Duma o pojedynku kozaka *Hołoty* z Tatarem przedstawia nam dwóch awanturników kozaka i Tatara, polujących w stepie jeden na drugiego. Kozak jest prawdziwym hołotą, obszarpańcem; duma ze szczególnym humorem opisuje strój jego nędzny, nie odmawiając mu jednak rysów sympatycznych i junactwa, odwagi i zamiłowania w swym zawodzie kozaczym. Tatar zaś stary, brodaty, a na rozum nie bogaty, jest zamożnym i przepysznie ubranym. Obaj na siebie polują w nadziei zysku. Hołota pragnie odebrać przeciwnikowi konie, oręż i bogatą odzież. Tatar naprzód liczy pieniądze, które za takiego jeńca wziąć się spodziewa. Walka wszakże kończy się tryumfem kozaka, który zwyciężywszy zarozumialca, dzieli się zdobyczą z towarzystwem, pije, hula i pole walki wychwala. Jest to nadzwyczaj żywy i charakterystyczny, pełen humoru obrazek tak zwykłych niegdyś harców na stepach kresowych.

Zupełnie inny obrazek mamy w dumie o *atamanie Matiaszu*. Rzecz się dzieje w Semenowym Kozackim Rogu, przy ujściu Sawrani do Bohu, w Bracławszczyznie, niedaleko granicy tatarskiéj. Obozując młodzi kozacy bracławscy, niedoświadczeni i niebaczni na przestrogi jakiegoś doświadczonego atamana Matiasza, puścili po polu konie na paszę, siodła złożywszy daleko od siebie, a długie piszczele po kątach pochowali. Wtém Turcy z pola na dolinę wpadają i bezbronnych chwytają do niewoli. Matiasz na konia wsiada, *sześć tysięcy* Turków zwalcza, jeńców wyzwala; ci dopadłszy koni, śpieszą

w pomoc Matiaszowi i resztę *cztery tysięce* bisurmanów zwyciężają, zabrawszy łup bogaty. Po bitwie wracają do Siczy, tam dzielą zdobycz i Matiasza wysławiają.

Dumy o *klęsce* nacechowane są głębokim liryzmem i współczuciem dla nieszczęśliwych bohaterów. Dwie krótsze, o *Fedorze Bezrodnym* i o *trzech braciach nad rzeczką Samarą*, opisują tylko śmierć bohaterów na polu walki. W pierwszéj z nich Fedor Bezrodny, jakiś nieznany ataman kurzenny, śmiertelnie raniony na pobojowisku nad zatoką Dnieprową; przy nim, mały giermek Jarema opatruje mu rany. Fedor przed śmiercią darowuje Jaremie w spuściźnie drogie swe konie, kosztowne szaty i zbroję, i posyła go po kazaków, by mu wyprawili pogrzeb po kozacku. Bat'ka koszowy, ataman wojskowy wysyła w tym celu 50 kozaków, którzy ciało obmyli, na czerwoną kitajkę złożyli, szablami głęboki suchodół wykopali, czapkami i połami zwir wynosili, pochowali zmarłego, usypali wysoką mogiłę, nad głową proporzec zatknęli i uczcili ten pogrzeb skromną stypą, składającą się ze spleśniałych sucharów. Duma o śmierci trzech braci daleko jest bledszą i ubogą w szczegóły obyczajowo historyczne. Trzej rodzeni bracia śmiertelnie ranni konają na polu walki. W rozmowie ich oprócz utyskiwania na cierpienia, wyraża się rozpacz, że ciała ich nie zostaną pogrzebane, a młodszy wspomina rodziców i modlitwę.

Daleko obszerniejszych rozmiarów jest duma o *Iwasiu Konowczence - Wdowiczence*. Pułkownik Chwyłonenko zwołuje ochotników dla powiększenia zastępów kozackich na wyprawę przeciwko Tatarom. Syn jedynak u wdowy Konowczychy w Czerkasach prosi matkę, by go także wyprawiła; lecz ta, choć szanowała kozaków, nie chciała wszakże jedynego syna na niebezpieczeństwo narażać i zezwolenia nie dała. Iwaś słyszy głosy werbunku, słyszy drwiny z tych, co iść na wyprawę się boją, i dawne marzenia o sławie kozackiéj skłaniają go do wykradzenia zbroi ojcowskiéj i udania się za wojskiem tajemnie przed matką. Gdy matka o tém się dowiedziała, z rozpaczy rzuciła mu przekleństwo, by zginął w trzeciéj potyczce. Ochłonąwszy nieco, zdobywa się na kupno konia i posyła go synowi. Duma w dalszym toku prowadzi nas na Czerkeń-dolinę—pole walki; obrazowo maluje bohaterskie zapasy Iwasia i śmierć jego w trzeciéj potyczce. Kozacy już wrócili, starszyna przejeżdżając koło Konowczychy, zostaje przez nią zaproszona, lecz nie mają serca prawdy jéj powiedzieć, oznajmują więc, że Iwaś się wsławił i bogato ożenił. Wyjechawszy od uszczęśliwionéj, dali jéj potém znać, że Iwaś za żonę pojął mogiłę. Obszernych rozmiarów ta duma należy do bardziéj upowszechnionych; jest to jedyna duma historyczna, śpiewana

przez lirników. Bogatą jest ona w szczegóły obyczajowo-historyczne, ma nawet pewne cechy dziejowe, z powodu których zwykle ją odnoszono do bitwy z Tatarami białogrodzkimi w 1684 r.; Kostomarów wszelako ze względu na szczegóły obyczajowo historyczne słusznie ją zalicza do okresu z czasów przed Chmielnickim. Półkownik Chwyłonenko znany jest w dziejach pierwszéj połowy XVII w.; należał do powstania przeciwko Polakom razem z Hunią i Ostranicą (1). Odrębne zupełnie miejsce zajmuje duma o *Burzy na Czarnėm morzu* i *Ołeksiju Popowiczu.* W końcu XVI w. ataman koszowy Samuel Zborowski (w dumie: hetman Hryćko Zborowśkyj) wraca z flotą kozacką z wyprawy morskiéj. Burza rozbija flotę na trzy części, jedną zanosi do ujścia Dunaju, drugą do ziemi białoarabskiéj, trzecia zaś na falach ma ginąć. Starszyzna wzywa kozaków do modlitwy i spowiedzi. Wtém pisarz Ołeksij Popowicz z Piratyna wyznaje, że jego to grzechy gubią flotę kozacką. Spowiada się ze swych grzechów, a w téj chwili burza uśmierzać się poczęła i fale do lądu szczęśliwie statki przyniosły. Treść dumy jest raczéj moralną niż historyczną; najgłówniejszą w niéj rolę gra wyjaśnienie ciężaru grzechów, z których za najważniejsze uznaje nieuszanowanie rodziców, bliźnich i religii. W wielu waryantach pieśń nie wspomina Ołeksija Popowicza, który dziwną tożsamością imienia przypomina bylinę wielkorosyjską o Aloszy Popowiczu, lubo nie ma z nią żadnego związku. W tych odmiennych waryantach rolę grzesznika odegrywa jeden z trzech braci, nazywany, niewiem dla czego, „*bezpleminnym.*“

Dumy o niewoli, zwane przez bandurzystów „*newolnyćkymy*“, stanowią cykl zupełnie samodzielny. Główną ich cechą jest serdeczna rzewność i liryczny nastrój, przerywany namiętném wystąpieniem przeciw nienawistnym ciemięzycielom, Turkom.

Do szeregu tych dum zaliczam jedną, wyjątkową co do charakteru, „*Sokolę.*“ Jest to historya sokoła i sokolęcia. Z dalekiéj krainy przyleciały sokoły, uwiły gniazdo szkarłatne, zniosły jajko perłowe i wypieściły sokolątko bez doli, nieszczęśliwe. Raz przyleciał sokół z wycieczki po zdobycz i nie zastał w gnieździe sokolęcia, więc brata orła się dopytuje. Ten mu odpowiada, że szli strzelcy Bułachowcy, zakuli sokolę w srebrne pęta, perłami oczy zawieszali i ponieśli do Carogrodu do Iwana Bohosłowca, i radzi mu śpieszyć tamtędy, siąść na wale i żałośnie zakwilić. Gdy sokolę to posłyszy i ze smutku główkę skłoni, a skrzydełka opuści, to może Iwan Bohosłowiec zdejmie srebrne pęta i perły z oczu pozbiera i pozwoli je

(1) Russkaja Myśl, 1880, II, str. 29.

na wały wynieść. Sokół postąpił według téj rady i tak się téż, jak orzeł mówił stało. Wtedy sokół porwał swe dziecię na skrzydła, uniósł na wyżyny i tak doń przemówił: lepiéj będziemy swobodnie po polu latać, niż u panów zostawać; u panów chociaż dostatek, lecz niewola cięży. Duma kończy uwagą, że jak ptak się kłopota o ptaka, tak ojciec i matka kłopota się o swą krewną dziecinę. Dwojako można tę dumę tłómaczyć. Może to być upostaciowanie niewoli i wykupu, lecz może ona mieć i pewne dziejowe znaczenie, gdy zwrócimy uwagę na „Bułachowców" i „Iwana Bohosłowca." Ze względu na te nazwy należało by ją odnieść do XIII w. i związać z historyą Iwana Rościsławicza Berładnikiem zwanego, który w swych zatargach z udzielnemi książętami posługiwał się Bułachowcami i uciekłszy wreszcie za granicę na usługach cudzoziemcom żywot zakończył. Że przezwisko „Berładnik" (także od miasta pochodzące) mogło się z czasem zamienić na więcéj znane *Bohusłowiec*, a następnie na *Bohosłowiec*, temu dziwić się nie należy, gdyż podobne zamiany często w utworach ludu napotykamy. Mógł Iwan Berładnik zaciągnąć jeńca do swéj drużyny; los jednak taki dla wolnego syna stepów mógł się przedstawiać niewolą, chociaż w perłach, lecz w srebrnych kajdanach. Duma ta przedstawiając od początku do końca upostaciowanie obrazowe, alegoryę tylko, stanowi wyjątek ze wszystkich dum. Wszystkie inne nigdy alegoryi nie używają w takich rozmiarach. W obec więc téj wyjątkowéj formy, za którą znikły szczegóły obyczajowo dziejowe, rzucające światła na epokę, nie odważamy się obstawać ani przy pierwszém, ni téż przy drugiem wyjaśnieniu; zaznaczyć tylko musimy, iż utwór ten nie daje najmniejszych wskazówek żeby pochodził z czasów kozackich i w obec dum charakteru niewątpliwie kozaczego zajmuje zupełnie odrębne stanowisko. Jeśli więc początkiem swym sięga on rzeczywiście XIII w., to może dawać nam powód jeden więcéj do wyprowadzania dum z czasów bardziéj niż powstanie kozaczyzny odległych. Słowa dumy o niewoli złotéj u panów mogą zarówno się odnosić do drużyny Berładnika, jak téż tłómaczyć się późniejszém wspomnieniem z czasów poddaństwa, chociaż to ostatnie przypuszczenie łatwiéj da się pojąć w pieśni gminnéj, wciąż rozwijającéj się pod wpływem nowych warunków społecznych, niż w kobzarskiéj dumie, noszącéj zwykle cechy pieśni skończonéj.

Reszta dum niewolniczych nosi wyraźne cechy kozaczyzny. Dwie krótkie dumy: *Płacz niewolników* na galerze tureckiéj i *Płacz jeńca o wykupie* malują nam rozpaczliwe położenie niewolników, przykutych rzędami do wioseł. Kajdany im do kości ciało na nogach i rękach pościerały. Nie widząc żadnego wyjścia ze swego po-

łożenia, błagają Boga, by zesłał burzę, kotwice pozrywał, statki rozbił; tylko więc ze śmiercią męki ich by się zakończyły. Podsłuchani przez baszę, dostają plagi; pozostaje im jedno: przeklinać ziemię turecką, wiarę bisurmańską. W niewoli oprócz ciepień fizycznych, odczuwają i tęsknotę za miłemi sercu osobami, za krajem rodzinnym. Taki niewolnik, nie mając innego środka, prosi sokoła, by ten choć zaniósł wieść do rodziny, pokłon i proźbę o wykup, lecz i ta nadzieja musi się rozwiać; gdyby rodzice nawet wiedzieli o ich położeniu, to czyż ich odnajdą, czyż można wiedziéć w którym z licznych portów się znajdują; nie ma żadnego ratunku, pozostaje tylko albo przekleństwo, albo modlitwa do Boga.

Rzadkie wypadki wyzwolenia ucieczką z niewoli wyraziły się w dumach, jako wydarzenia szczególne. Tak *Marusia*—dziewka branka, popówna *Bohusławka*, zaskarbiła serce baszy, poturczyła się i została wszechwładną żoną jego. W przeddzień Wielkiéj Nocy podsuwa się ona ku więzieniu, gdzie zdawna biednych niewolników po całodziennym trudzie na noc spędzano, i zapytuje ich, czy wiedzą, jaki to dzień dzisiaj. Niewolnicy stracili już rachunek czasu, nie mogą więc przypomniéć. Marusia im objawia o uroczystości, któréj przypomnienie przez renegatkę wydało się im obelgą. Poczynają więc kląć ją. Lecz Marusia uprzedza ich, że nazajutrz, gdy basza do meczetu się uda i klucze jéj zostawi, postara się ich wypuścić, czego też dotrzymuje i na pożegnanie prosi, by jéj rodzicom donieśli, iż nie mają poco starać się o jéj wykup gdyż została renegatką, poturczyła się dla bogactwa wielkiego, dla łakomstwa nieszczęsnego.

Inna znów duma, należąca do najpiękniejszych i najpoetyczniejszych, rysuje nam ucieczkę przez stepy *trzech braci z miasta Azowa* ku grodom chrześciańskim, które się dopiero za rzeczką Samarą (dopływ Dniepru) poczynały. Dwaj starsi braci konni, trzeci pieszapiechura. Najstarszy brat umykał z bogatym nawet łupem, średni miał tylko jeden ładny kaftan turecki, najmłodszy zaś nie mógł nic zabrać. Goni on za braćmi, prosi by go z sobą na koń wzięli, lecz starszy odmawia: żal mu porzucać łupu i boi się pogoni. Wtedy piechura prosi by go lepiéj zabili, a nie zostawiali jego ciała na zniewagę zwierzętom. Średni brat obiecuje mu oznakę po drodze rzucać, ścinając gałązki cierniowe. Wszystko szło dobrze, pokąd bracia przejeżdżali przez bajraki i doliny rzeczki Mijusa, lecz gdy na szczere stepy, na szlak Murawski wybiegli, nie mogli już daléj gałązek na oznakę zostawiać, więc pomimo drwin brata starszego, średni rwie swój kaftan kolorowy i po szlaku rozrzuca. Młodszy brat zobaczywszy szczątki odzieży, przychodzi do wniosku, że bracia zostali albo zabici, lub żywcem do niewoli ujęci. Dobiega jednak do Sawór-mo-

giły, niedaleko już kresu podróży, lecz zmęczenie, głód i pragnienie, a dziewięć dni jak nie jadł i nie pił, wreszcie nieświadomość drogi, zwalają go z nóg. Wilki i orły gromadzą się koło niego, śmierci jego oczekują, pragnąc za życia pogrzeb kozacki mu sprawić; dobywa tedy resztek sił i strzela do nich. Po tym ostatnim wysiłku pada, ręce i nogi odmawiają mu posłuszeństwa, wreszcie czarna chmura okryła horyzont, powiał wiatr silny i dusza z ciałem się rozstała. Wtedy to orły oczy mu wydzierały, wilki kości od stawów odrywały, a drobne ptaki ciało od kości oddzierały, tak wspólnie pogrzeb odprawiały. Późniéj wionął wiatr, i zakrył resztki kości komyszami i piaskiem. Zgodne dotąd waryanty ślicznéj téj dumy, w epilogu opowiadającym o losach starszych braci, dzielą się na dwie różne wersye. Epilog pierwszéj mówi, że bracia przybywszy do Samary poczuli wyrzuty sumienia; starszy jednak zabrania średniemu przyznawać się przed rodzicami, i każe mu zmyślić, jakoby najmłodszy brat w nadziei lepszego losu pozostał w Azowie dobrowolnie. Wtém Tatarzy z za mogił wypadli i posiekli ich; szczątki ciała po stepie porozrzucali. Druga wersya doprowadza starszych braci do domu rodziców, średni brat wydaje starszego, którego rodzice wypędzają a całą swą miłość zlewają na średniego; to téż i Bóg jednego prześladuje, drugiemu zaś błogosławi we wszystkiém.

Do najpiękniejszych wszelako dum bez wahania odnieść musimy dumę o *Samijle Kiszce*, Hetmanie Zaporoskim i *Ałkanie paszy* z Trebizendy: treść jéj następująca Samijło Kiszka z 350 kozakami pojmany został do niewoli tureckiéj. Niewolnicy na paradnéj galerze wiosłują przykuci po dwóch do wiosła i do ławek. Klucznikiem i mającym nadzór nad niewolnikami jest Lach Buturłak, sotnik Perejasławski, klucznik galerski, który poturczył się, pobisurmanił się dla „państwa wełykoho, dla łakomstwa neszczasnoho“ i znęca się nad biednymi niewolnikami i nad Samijłą. Ałkan pasza przybył na téj galerze do m. Kozłowa w zaloty do córki miejscowego gubernatora; w Kozłowie wystawnie go przyjmą i posyłają na statek jadła i napoje. Lach Buturłak, gdy podpił, wspomniał dawne czasy, chciał o nich, o stronach rodzinnych, o wierze chrześciańskiéj pogwarzyć z Samijłą i w przypływie uczuć, winem wzbudzonych, częstuje go także. Lecz Samijło udaje tylko, że pije, a spoiwszy ostatecznie Buturłaka, wykrada mu klucze od kajdan. Późno wrócił Ałkan na statek a zastawszy wiernego sługę śpiącym, nie kazał go budzić i sam do snu się ułożył. O północy niewolnicy wrzucili do morza kajdany, uśpionym Turkom pocichu oręż zabrali, wszystkich wymordowali, pozostawiwszy tylko Buturłaka. Z rady tego ostatniego część kozaków przebrała się w stroje tureckie, by przy spotkaniu z okrętami

tureckiemi nie wzbudzać podejrzeń. W taki sposób wyzwoleni wrócili do ujścia Dniepru, do swoich.

Jest to najdłuższa, najpełniéj zachowana duma. Ona może dać nam pojęcie o bogactwie epicznéj twórczości dawnéj Rusi, zatraconém gdzie indziéj z powodu opóźnienia w zapisywaniu jéj pomników. Razi ona może więcéj od innych archaizmami i naleciałościami cerkiewno słowiańskiemi, z powodu indywidualnych cech piewcy kobzarza, który przeważnie religijne śpiewał pieśni. Do zdumienia realnie prawdziwą jest ta duma pod względem treści. Opisanie paradnéj galery tureckiéj nadzwyczaj jest blizkiém rzeczywistości. Położenie na niéj niewolników wioślarzy potwierdza w zupełności historya. Postać Lacha Buturłaka jest zupełnie typową. Jak i Marusia Bohusławka jest on renegatem, lecz jako mężczyzna i karyerowicz odmiennemi barwami w dumie odmalowany. P. Antonowicz mówi: „chrześciańscy renegaci u Turków pozyskali sobie szeroki rozgłos między innemi okrutném obejściem się z chrześcianami. Tak, znakomity korsarz arnaucki, Mami, pan Cerwantesa, któremu się dostał wielki poeta, wzięty w 1575 r. do niewoli, był renegatem; dej Algieru, który późniéj kupił Cerwantesa, był także renegatem,—a obadwa odznaczali się niesłychaném okrucieństwem względem chrześcian-niewolników. Poseł wenecki Treviziano, opisując flotę turecką 1554 r. opowiada o licznéj usłudze „biednych niewolnikach," którzy stają się Turkami, nie będąc w stanie znieść plag i głodu, ni téż ciągłych gróźb śmiercią". Do takich należy Lach Buturłak, co przebywszy długo w niewoli, poturczył się i został wyniesiony na klucznika galery. Historya daje nam kilka przykładów renegatów polskich i ruskich, a niektórzy z nich piastowali wysokie urzędy. Ałkana paszę duma przedstawia, jako człowieka umyslu dość ograniczonego a okrutnego dla chrześcian; to najpowszechniejszy typ w tureckiéj administracyi. Będąc naczelnikiem ejaletu Trebizonckiego, przyjechał w zaloty do córki podwładnego sobie gubernatora sandżaku (okręgu) Kozłowskiego. Kobzarz rusiński maluje tę „diwkę sandżakiwnę" może zbyt po swojemu, lecz dostojne turczynki, szczególniéj na prowincyi, mogły używać więcéj swobody, niż ta, jaką im wyznaczała etykieta muzułmańska.

Na zakończenie duma przedstawia opis zwyczaju, jaki zachowywano w Siczy po szczęśliwym pochodzie na muzułmanów. Bogatą zdobycz dzielono na 3 części: jedną oddawano na cerkwie i monastery kozackie, druga szła pomiędzy starszyznę i kozaków, a trzecią poświęcano na wspólną ucztę. Szczegóły o tym zwyczaju można sprawdzić z opisu powrotu koszowego Sirka z Krymu w 1651 r. (Letopiś Wieliczka. Kijów, 1851 r. II, str. 377). Hetman Samijło Kiszka

jest postacią dziejową z końca XVI i początku XVII w., zostawał on długo w niewoli tureckiéj, lecz nie posiadamy dotąd danych historycznych o jego powrocie. Prawdopodobnie jednak imię tego hetmana tylko wypadkowo z fabułą téj dumy zostało przez piewców związane. Zdarzenie, opisane w dumie, jest faktem dziejowym lecz w odmiennéj nieco formie. W Bibliotece Ossolińskich znajdują się dwa przekłady na język polski (rkpsy. N. 6 i 967) włoskiéj broszury nieznanego autora, wydanéj w Rzymie w 1643 r. o nadzwyczajném wydarzeniu, w którém jakiś dostojny oficer Simonowicz, pozostający w niewoli wraz z 207 niewolnikami z polskiéj Rusi, zdołał zamordować naczelnika Anti-paszę Marjola i jego załogę i umknąć wraz z łupem bogatym i galerą do Włoch. Galera była jedną z najbogatszych; wypadek miał miejsce na morzu Marmora, lecz spisek został uknuty jeszcze w Azowie. Do wykonania spisku przyczynił się wiele renegat Sylwester z Liworno. W głównych zarysach broszura i duma bardzo są zgodne. Prawdopodobném jest przeto, że opisują jeden i ten sam wypadek, lecz z czasem imiona, miejsce i szczegóły zostały zmodyfikowane, jak się to często wydarza w literaturze ustnéj, i całe zatém opowiadanie o zapomnianym Simonowiczu zostało zastosowane do Samijły Kiszki, który także był długo w niewoli, lecz zakończył życie na Ukrainie i tam téż pogrzebiony (1).

2. *Chmielniczyzna. Wiek XVII.* — Z owéj epoki posiadamy w zbiorach tylko cztery dumy o Chmielnickim i jego czynach, dwie dumy o uciemiężaniu ludu przez żydów i Polaków i dwa urywki zapomnianych dum o Weremiju Wołoszynie i o Iwanie Bohunie. Dwa te urywki tak są krótkie, iż mają tylko znaczenie wskazówki, że istniały niegdyś dumy o tych osobistościach. Właściwie więc zachowało się tylko sześć dum z tego czasu. Różnią się one zupełnie od dum poprzedniego okresu. Osobistości tu i wypadki czysto dziejowe; ton więcéj namiętny niż liryczny, częstokroć nacechowany ostrym sarkazmem. . Oprócz opisu wypadków i zdarzeń, dumy te posiadają szczególną jeszcze cechę: wszystkie one uwzględniają interesy społeczne kozaczyzny i ludu, i nacechowane uczuciem szczególnego patryotyzmu kozackiego, który występuje w walce z Polakami. We wszystkich, z wyjątkiem może dumy o wyprawie na Wołoszczyznę, na pierwszy plan występuje nie bohaterstwo, lecz kwestya swobody i przywilejów kozackich, uciemiężania ludu, praw nawet terytoryalnych rusińskich. Nie są to już spokojne rapsody o faktach i osobistościach dziejowych, lecz namiętne okrzyki namiętnéj walki, pełne

---

(1) Kijewsk. Starina VI str. 212—232.

z jednéj strony nienawiści dla wroga, z drugiéj przesadnych może pochwał dla własnych bohaterów.

Duma o *Chmielnickim i Barabaszu* opowiada dziejowy wypadek z r. 1647 zupełnie zgodnie z kronikarzami (1). Chmielnicki zaprasza do Czehryna hetmana (właściwie sotnika) Barabasza w kumy na ucztę. Podczas biesiady i częstunku namawia go do pokazania listów królewskich (2) i wedle nich „kozakam kozaćki poriadki dawaty, za wiru chrystyjańśku odnostajne staty.“ Barabasz jednak odpowiada, że lepiéj „z lachamy, mostywymy panamy z upokojem chlib-sil po wik wicznyj używaty.“ Widząc, że Barabasz namówić się nie da, Chmielnicki spaja go, z prawéj ręki z małego palca zdjął szczerozłoty pierścień, wyjął z lewéj kieszeni klucze, a z pod pasa jedwabną chustkę i posłał z temi oznakami wiernego sługę do Czerkas do pani Barabaszowéj, żądając w imieniu jéj męża przysłania przywilejów królewskich. Oszukana w ten sposób żona Barabasza, wyjęła je ze szkatuły i wręczyła posłańcowi Chmielnickiego, który téjże nocy wyruszył z niemi na Zaporoże. Daléj duma opowiada, jak Chmielnicki wzywał kozaków do powstania, jak w czasie pierwszéj bitwy na Żółtych wodach (1648 r.) zginął Barabasz. Tylko w niektórych szczegółach opowiadanie odstępuje od prawdy faktycznej.

Duma o *bitwie pod Korsuniem* (25 maja 1648 r.), widocznie bardzo niepełna, poczyna się wezwaniem kozaków przez Chmielnickiego do boju z Polakami na polach między Korsuniem a Steblowem. Bitwa opisana jest w dumie, jako warzenie piwa. Dziwią się kozacy, że Lachy uciekają i nie chcą dopijać ich piwa; ujęli tedy hetmana Potockiego i związanego jak barana przed Chmielnickiego przywiedli. „Héj, panie Potocki! dla czego masz rozum babski? nie umiałeś w *Kamieńskim Podolcu* przebywać, pieczonego prosięcia i kury z pieprzem i szafranem używać; nie potrafisz ty z nami kozakami wojować i żytnią sołomachę z tuzłukiem (surowcem) zajadać; muszę więc oddać cię do rąk chana krymskiego, by cię krymskie nahaje nauczyły żuć surową koninę.“ Daléj duma mówi, że zwyciężeni Polacy poczęli narzekać na żydów, którzy swemi zdzierstwami powstanie wzbudzili, i teraz powinni zebrać nagromadzone skarby i jednać Chmielnickiego. Lecz żydzi woleli salwować się ucieczką. Ze złośliwym sarkazmem i dosadnością opisana ta ucieczka, a rzecz kończy

---

(1) Latopis Samowidca str. 6; Latopis Wieliczka I, str. 23—29; Kochowski, Annales Pol. I str. 23.

(2) Przywiléj króla Władysława IV z r. 1646 powracał kozakom dawne prawa utracone po ugodzie kurakowskiéj, i zawierał rozkaz budowania czajek kosztem króla. Akt ten był ważnym dla Chmielnickiego w początku powstania, gdyż mógł być użytym jako dowód aprobaty królewskiéj.

się obrazem niedoli lackich wdów, pozostałych na Ukrainie po téj bitwie.

Wyprawa Chmielnickiego na Wołoszczyznę 1650 r. przeciw hospodarowi Bazylemu Lupułowi, który ze względu na stosunki z Polską nie chciał wydać swéj córki Roksandy za syna hetmańskiego, posłużyła za treść bohaterskiego rapsodu na cześć Chmielnickiego. Duma nie zna pobudek wojny, zaznacza na wstępie, że tylko Bóg i Chmielnicki wiedział, co Chmielnicki przedsiębrał; nie wiedzieli o tém „ani sotnyky, ni połkownyky, ni dżury (ciury) kozaćkyji, ni mużi hromadźkyji.“ Wysłał naprzód hetman 12 par armat, potém, sam wyruszył, za nim idą kozacy, huczą jak wiosenne roje, który kozak nie miał zbroi należytéj, ten kij chwytał na ramię i śpieszył za Chmielnickim w szeregach ochotników. Przeszli Dniestr na trzech przeprawach i oblegli miasto Sorokę. Hetman pisze własnoręcznie do hospodara, żądając poddania dobrowolnie połowy grodów wołoskich i zapłacenia kontrybucyi, lecz Bazyli odmawia. Wtedy Chmielnicki zdobył Sorokę, spalił pustą Siczawę, któréj mieszkańcy do Jass uciekli i szemrali na opieszałość hospodara. Hospodar umknął do Chocimia i prosił o pomoc „Iwana Potoćkoho, korola polśkoho“ w te słowa: „tyż na sławnéj Urainie pijesz i hulasz, a nie wiesz nic o mojéj przygodzie; wasz hetman Chmielnicki całą moją ziemię wołoską zgnębił, pole kopią zorał, wszystkim Wołochom głowy zdjął i niemi wszystkie drogi i ścieżki wybrukował, a głębokie doliny wołoską krwią napełnił.“ W odmownéj swéj odpowiedzi Potocki wymawia się od walki z Chmielnickim, gdyż on zwyciężył jego rycerzy nad Żółtemi wodami, *trzech synów jego żywcem ujął* i sultanowi podarował, nakoniec jego samego „try dni na prykowi kraj puszky derżaw, ani pyt′ meni, ani jisty ne daw.“ Zatém duma kończy zapewnieniem wiernéj sławy Chmielnickiemu, która nie umrze, nie polegnie. Opowiadając o téj wojnie, nie wspomina o uczęstnictwie w niéj chana krymskiego Nurredyna, o tém, że zagony Chmielnickiego spaliły nietylko Suczawę, ale nawet Jassy, a Mikołaja Potockiego nazywa Iwanem. W innych szczegółach zupełnie jest zgodna z historyą. Wiernie nawet schwyconą jest charterystyka Potockiego, który według wielu współczesnych świadectw, nie bacząc na sędziwe lata, więcéj myślał o gładkich dziewczętach, kieliszku i kubku, niż o pożytku rzeczypospolitéj.

Czwarta duma o Chmielnickim poświęcona jest *jego śmierci i obraniu na hetmana syna jego Jerzego* w 1657 r. Opowiada ona, że Chmielnicki czując się chorym, kazał pisarzowi wojskowemu Iwanowi Łuhowskiemu (Wyhowskiemu) wezwać wszystką starszyznę na radę. Na téj radzie Chmielnicki zażądał, by za życia jego obrano no-

wego hetmana, przyczém na prośbę rady wskazał im jako kandydatów Iwana Łuhowskiego, Pawła Teterenkę, Antona Wołoczaja Kijowskiego, Hryćka Kostyra Mirhorodzkiego, Filona Czyczaja Kropiwiańskiego, albo Martyna Puszkara Połtawskiego. Kozacy jednak nie zgodzili się na tych kandydatów pod rozmaitemi pozorami, tak nap. na Wyhowskiego dla tego, że „blizko z Lachami żyje i będzie kozaków za nic poczytywać.“ Obrali więc nieletniego hetmanicza Jurasia, przy którym uradzili trzymać starych ludzi jako doradców. Wkrótce po radzie zmiera stary hetman w nieobecności syna, który zawiadomiony przybywa i razem z kozakami wyprawia mu pogrzeb kozacki. Jeden z waryantów kończy się życzeniem, by pod młodym hetmanem tak żyli kozacy, jak pod starym; inny zaś waryant mówi, że Jerzego poważano, pokąd żył ojciec; ze śmiercią jego, kozacy przestali go za hetmana uznawać, uważając go za godnego tylko do zamiatania kurzeni kozackich. W dumie téj piewca widocznie splątał dwa rozmaite fakty dziejowe: przedśmiertne Chmielnickiego narady z bliskiemi osobami o zapewnieniu Jerzemu buławy, z radą kozacką odbytą 24 i 27 sierpnia po śmierci Chmielnickiego (27 lipca), na któréj wybranym został Jerzy, a do jego pełnoletności zarząd oddano Wyhowskiemu, opiekunowi młodego hetmana.

Dwie ostatnie dumy z czasów Chmielnickiego: *Żydzi arendarze i powstanie po pokoju Białocerkiewskim*, kreślą w czarnych kolorach, lecz zupełnie zgodnie z historyą, smutne położenie ludu pod względem ekonomicznym. W ziemi królewskiéj, powiada pierwsza duma, dobra nie było, gdyż żydzi arendarze wszystkie szlachy kozackie wydzierżawili, na jednéj mili po trzy karczmy stawili; wszystkie targi zaarendowali, brali „myto-promyto“ od wozowego po pół złotego od pieszego piechury po trzy grosze, od nieboraka żebraka brali kury i jaja, i jeszcze pyta: *cy ne ma kotyk sce coho*?“ Na sławnéj Ukrainie wszystkie cerkwie zaarendowali, tak iż jeśli któremu kozakowi albo chłopu dał Bóg dziecię, to nie idź do popa po błogosławieństwo, lecz pójdź wpierw do żyda arendarza i połóż szóstaka, by pozwolił cerkiew otworzyć i to dziecko ochrzcić. Żydzi zaarendowali wszystkie rzeki ukraińskie, tak że kozak musi mu „czast' oddaty, szczob pozwoływ na riczci ryby włowyty, żinku swoju z dit'my pokormyty.“ Oto jeszcze obrazek z téj dumy:

Todiż to odyn kozak mymo kabaka (karczmy) ide,
Z płeczyma muszket nese,
Chocze na riczci utia (kaczę) wbyty,
Żinku swoju z dit'my pokormyty.
To żyd-randar u kwatyrku pohladaje,
Do żinky swojeji stycha słowamy promowlaje:

„Ej, żydiwoczkoż moja Rasiu!
Szczo cej kozak dumaje, szczo win u kabak ne wstupyt',
Za deneżku horiłky ne kupyt',
Mene żyda-randara ne pereprosyt',
Szczob pozwoływ jomu na riczci utia wbyty,
Żinku swoju z dit'my pokormyty."
Todi to żyd-randar stycha pidchożdaje,
Kozaka za patły chwataje.
To kozak na żyda-randara skosa, jak wedmid', pohladaje,
Iszcze żyda-randara mostywym panom uzywaje:
„Ej, żydu, każe, żydu-randare, mostywyj pane,
Pozwol meni na riczci utia wbyty,
Żinku moju z dit'my pokormyty."
Todi żyd-randar u kabak wchożdaje.
Na żydiwku swoju stycha słowamy promowlaje:
„Ej, Żydiwko moja Rasiu,
But' meni teper u Biłij Cerkwi nastawnym rawom;
Nazwaw mene kozak mostywym panom."

Daléj duma opisuje, jak z powodu pierwszych wieści o powstaniu żydzi na sejm do Białéj Cerkwi zjechali i o swém położeniu radzili. Po wejściu na Ukrainę Chmielnickiego, poczynają zmykać do Połonnego, w którém się zamknęli. Chmielnicki żądał wydania żydów, lecz mu miasto odmówiło, a gdy podczas szturmu nadzieja obrony znikła, wrota od strony Polski otworzono i żydzi poczęli daléj uchodzić, zostawiwszy ogromne skarby kozakom.

Druga duma poczyna od narzekania na Chmielnickiego za pokój Białocerkiewski, po którym Polacy znowu na Ukrainę wrócili i zapanowali nad kozakami (wykreślonymi z rejestru), rozporządzając ich dobytkiem i żonami. Kozacy piszą listy do Chmielnickiego, wzywając o pomoc. Chmielnicki prośby wysłuchał i wybuchło nowe powstanie i rzeź Lachów, którzy uciekać musieli aż za rzeczkę Wisłę; lecz i tam Bóg ich skarał, bo lód się załamał i mnóstwo ich potonęło.

2. *Wiek XVIII.*—Z jawnemi wskazówkami na wiek XVIII mamy zapisany urywek z dumy o hajdamaku Witryhonie i prawie tylko obyczajową dumę o Atamanie Zaporoskim Chweśku Handży-Andyberze. Urywek pierwszy zapisany został od staréj włościanki w powiecie Wasylkowskim, i z niego można tylko domyślać się, że istniała kiedyś ta hajdamacka duma:

Pan Borowśkyj Witryhona pryprochaje,
A win ludej ne wyznawaje,
A pan joho na wolu puskaje:
„Skaży, skaży Ihnate, chto szcze buw z toboju,
To ja tebe Ihnate puszczu na wolu."
Ihnat słowom utweržaje,
A ludej ne wyznawaje.

O tym Witryhonie pozostało podanie, że mieszkał w Motowidłówce i zdawna należał do hajdamaków, miał swą bandę, lecz się z tém krył; odznaczał się jednak współczuciem i hojnością dla nędzy. Podczas koliszczyzny wystąpił jawnie, jako przywódca hajdamaków, został schwytany przez władzę i skazany w Białéj Cerkwi na ćwiertowanie. Wspomniany w urywku Borowski był istotnie podówczas komisarzem Motowidłowszczyzny. Brak zwrotek pieśniowych, skład wiersza i zwroty mowy każą się domyślać, że to była nie pieśń lecz duma.

Dumę o *Chweśku Handży-Andyberze* znawcy jednogłośnie odnoszą do XVIII w., chociaż ona właściwie nie ma pewnych cech dziejowych, nie może być przywiązaną do żadnego faktu dziejowego ani osobistości; za pewną wskazówkę epoki mogą służyć tylko szczegóły obyczajowe. Oto jéj treść: Z dzikich pól, z pod Kilii oberwany kozak-*netiaha* przybywa na Ukrainę ku Czerkasom i dopytuje się do stepowéj szynkarki Nasti Horowéj, u któréj zastaje trzech *„dukiw-srebriannykiw.“* Bogacze żądają od Nasti by go wypędziła, lecz ten się oparł siłą. Jeden z bogaczy wyjął grosz i kazał szynkarce dać mu pośledniejszego piwa, lecz sługa przyniosła mu pokryjomu dzban *czoła pianego miodu*, który kozak osuszył i począł tak dzbanem stukać, że szklanki bogaczom pozlatywały i piec w szynkowni się rozpadł. Bogacze wymyślają nań i przeznaczają go na sługę, który powinien za pługiem chodzić lub w piecu u Nasti palić, a nie z panami ucztować. Wtedy netiaha-kozak spędza ich z honorowego miejsca za stołem, sam tam zasiada w łapciach, dobywa trzos i złotem cały stół okrywa. Bogacze wówczas doń się przysuwają i poczynają go częstować, lecz on otwiera okienko i ku rzekom pomocnicom Dnieprowym woła, by mu pomagać przybywały. Na to wezwanie zjawiają się strojni kozacy i przybierają go w szaty wspaniałe i zbroję kozacką. Wtedy dopiero poznali, że to nie kozak netiaha, lecz sam hetman zaporoski Chweśko Handża-Andyber. Ten drogich napojów nie pije, lecz na swe szaty wylewa, mówiąc: „pijcie wy szaty, bo to was, a nie mnie szanują.“ Potém kazał bogaczów obić rózgami, zlitował się tylko nad tym, który mu piwa kazał podać. Kozacy bijąc duków, tak przemawiają: „Ej duky, wy duky! Za wamy wsi łuhy i łuky, — nihde naszomu bratu kozaku - netiazi staty i konia popasty!“

Do powyższéj dumy treścią swą przymykają dwie inne, czysto obyczajowo kozackie, *o śmierci kozaka bandurzysty* oraz *kozak i kozaczka.*

Pierwsza z nich, pełna głębokiego liryzmu, przedstawia nam, jak „na tatarskich polach, na szlakach kozackich siedzi na mogile

stary kozak, jak gołąb siwy, na kobzie przygrywa i śpiewa.... Koń obok niego postrzelony, porąbany, kopia złamana, pochwa bez szabli, w ładownicy ani jednego naboju. Została mu tylko bandura podróżna, w głębokiéj kieszeni lulka-buruńka i tytoniu pół papuchy. Nieborak, czując śmierć bliską, wspomina towarzyszy, którzy go na pobojowisku zostawili, narzeka, że nie będzie komu go nawet pochować, zwraca się więc z takiém pożegnaniem do swojéj bandury:

Kobzoż moja, drużyno wirnaja,
Banduro moja malowanaja!
Deż meni tebe dity?
A czy u czystomu stepu spałyty,
I popiłeć po witru pustyty?
A czy na mohyli położyty?
Nechaj bujnyj witer po stepach prolitaje,
Struny twoji zaczipaje,
Smutneseńko, żałybneseńko hraje—wyhrawaje.
To może podorożni kozaky bihtymut' błyzeńko,
Poczujut', szczo ty hrajesz żałybneńko,
Prywernut' do mohyły....

Duma o kozaku i kozaczce odsłania nam domowe życie rodziny kozackiéj, rysując z właściwym humorem, dochodzącym do sarkazmu, stosunek wzajemny małżonków, ich ekonomiczne położenie, bezrząd i niedolę, co wszystko razem gna kozaka do karczmy:

Hej korczmo, korczmo kniahynie!
Czom to w tobi kozaćkoho dobra bahato hyne?
I sama jesy neoszatno chodysz,
I nas kozakiw-netiah pid słuczaj bez swytok wodysz.

Kozacka chata we wsi tak tutaj wygląda: „Słomą nie pokryta, przyzbą nieosypana, koło dwora ani koła, na drewutni drew ani polana. Siedzi w niéj kozacka żona skostniała; o, poznasz, poznasz kozacką żonę, co przez całą zimę boso chodzi, garnkiem wodę nosi, z warząchwi dzieci napawa.“

Trzy ostatnie dumy: *Ojczym, matka i trzech synów* oraz *Brat i siostra* są tylko z formy dumami, właściwie zaś są to rapsody epiczne treści czysto moralnéj, poświęcone uczuciom i stosunkom rodzinnym. Wyrażona jest tu myśl, że człowiek nawet w dostatku tak ginie bez bliskiéj rodziny, jak ryba bez wody, a nieuszanowanie dla matki jest zawsze źródłem nieszczęść i niepowodzeń. W trzech tych utworach nie ma nic dziejowego, nawet obyczajowo historycznych wskazówek; główny ich cel — dydaktyczny, nie obcy i dumom właściwym. Ważném jest to, że treść tych dum znaną jest i w pieśni ludowéj, różniącéj się tylko formą. Trudno jednak dziś sądzić o ge-

netycznym ich związku; można tylko przypuścić, że treść tych dum jasna i zrozumiała zawsze dla ludu, mogła być przyswojoną i sparafrazowaną w zwykłą baladę gminną.

Przytoczona wyżéj w krótkości treść eposu Rusinów każe nam go postawić bodaj czy nie na najwyższym szczeblu w rzędzie tego rodzaju utworów u ludów słowiańskich. Jak wiadomo, obecnie oprócz Rusinów, tylko Wielkorosyanie, Serbowie i Bułgarowie posiadają prawdziwy epos ludowy; inne plemiona zupełnie go nie mają. Nie łatwo wytłómaczyć przyczynę, dla czego jedne ludy potrafiły stworzyć narodowy epos historyczny, inne zaś, należące do téj saméj grupy plemiennéj, posiadają zaledwo jakieś niejasne, luźne wspomnienia dziejowe w piosence lirycznéj. Wpływało tu i poetyczne usposobienie ludu i wojowniczy duch jego i zasób materyału historycznego i rola polityczna narodu. Bez tych danych nie może lud stworzyć eposu, lecz i przy nich nie każdy go stworzył, jak np. lud polski. Naród polski niezaprzeczenie posiada daleko donioślejszą przeszłość dziejową, niż Rusini; nie mniéj był walecznym, a poetycznego zapału odmówić mu chyba nie można, — prawdziwego eposu jednak, takiego, jaki napotykamy u Rusinów, nie posiada wcale. Co wpłynęło na taką różnicę, co wpłynęło na to, że Rusin i Serb do dziś opiewa swe zapasy z wrogami, sławne swoje zwycięstwa i swoich bohaterów unieśmiertelnił w pieśni historycznéj, kiedy lud polski poezyą swoję poświęcił religii, uczuciom miłośnym i wogóle stronie obyczajowéj, zapomniawszy o czasach minionych? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy poniekąd w różnicy charakteru dziejowéj roli tych ludów.

Lud polski, w gruncie rzeczy, bezpośrednio nie odegrywał prawie żadnéj roli świadoméj w historyczném i polityczném życiu, którego losy spoczywały w ręku nielicznéj warstwy rycerskiéj, a potém możnowładztwa szlacheckiego. Nigdy on nie żył politycznie i świadomie nie mógł rozstrzygać spraw narodowych, ztąd téż mało go one obchodziły, były dlań prawie obce i nie mogły przeto podnieść jego uczuć patryotycznych do tego stopnia, by aż poczuł potrzebę wylania ich w pieśni historycznéj.

Co innego zupełnie widzimy u Serbów i Rusinów. Prawdziwy epos historyczny tych ludów należy do tych epok, gdy w losach dziejowych narodu biorą udział masy ludowe, gdy uczucie patryotyczne zaczyna przenikać do najbiedniejszéj chałupy wieśniaczéj. Epos serbski nie opiewa czasów najsilniejszego rozwoju państwa potężnych Duszanów, kiedy silna władza monarchiczna decydowała o sprawach narodu, lecz rozkwita dopiero po upadku téj władzy, podczas

walki z Turkami, gdy lud począł się ruszać, gdy lud wziął na swoje barki obronę ojczyzny. Podobny objaw znajdujemy i u Rusinów. Czasy książęce Rusi i litewskie, nie zważając na świetność dziejową epoki Włodzimierza św., Jarosława, Włodzimierza Monomacha, Daniela na Haliczu, Witołda i inne nie wydały eposu ludowego, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Odbijały się tylko w pieśniach, składanych na cześć książąt po dworach książęcych, szczątki których pozostały w bylinach. Duma zaś powstaje razem z kozaczyzną i z nią téż umiera, słowém w téj epoce, gdy świadomość i poczucie narodowe sięgają głębiéj w warstwy społeczne, gdy historya powołuje na arenę walki nie wybrańców władzy lecz masy ludowe.

Uczeni rusińscy starają się znaleść nić, łączącą ukraińskie dumy ze starém pieśniarstwem ruskiem, ze Słowem o wyprawie Igora i z bylinami. P. Kulisz, wślad za Maksimowiczem, pierwszy dość kategorycznie wypowiada twierdzenie, że „Słowo o pułku Igorewie“ jest dumą, znajdując wielkie podobieństwo w zwrotach epicznych. Prof. Potebnia w monografii o tym zabytku XII w. znajduje na każdym kroku jednakie z dumami cechy, pod względem poetycznym i lingwistycznym; a p. Żytecki potrafił dostrzedz nawet formę tę samę—okresy logiczne wiązane rymem czasownikowym (1). Badania te niewątpliwie nas przekonywują, że język Słowa jest językiem ludowym staroruskim, skażonym przez ówczesny język literacki—bułgarski, że forma téj pieśni została także skażoną przez zapisywanie, że wreszcie wcale jest możliwém przypuszczenie, iż pieśń ta śpiewaną była przez pieśniarza w narzeczu ludowém, a zepsutą została podczas transkrypcyi i mogła być z *formy* bardzo podobną do późniejszéj dumy ukraińskiéj. Że epos ruski już istniał za czasów książęcéj Rusi, to kwestyi nie ulega; świadczy o tém pieśń o wyprawie Igora, dwie wzmianki kronikarskie o piewcach na dworach książęcych i wreszcie cały cykl bylin ołoneckich. Kronika kijowska pod rokiem 1137 wspomina, że do bogobojnego księcia Mścisława przybył od Greków samotrzéć skopiec *Manujło*, *piewca zdolny* (gorazdyj), a Kronika wołyńska opowiada pod rokiem już 1241, jak książe Daniel porwał gwałtem u władyki przemyskiego „*słowuťneho piewca Mitusu*“, który przedtém nie zechciał służyć u księcia. Kwestya pochodzenia bylin ołoneckich cyklu kijowskiego posiada dość obszerną literaturę, lecz dopiero w ostatnich czasach wstąpiła na pole krytyki naukowéj, w któréj uwydatniają się dwa poważne zdania naukowe pp. Stasowa i Wiesiełowskiego. P. Stasow, znawca rzeczy

---

(1) Patrz: *Kulisz*, Zap. o J. Rusi. I, 193—196. — *Potebnia*, Słowo o połku Igorewie (liczne uwagi pod tekstem). — *Žitecki*, Archiv f. Slav. Philol. II, 660.

wschodnich, w obszernéj monografii stara się dowieść, że byliny jak z formy tak i z treści są pochodzenia czysto mongolskiego. Szczegółowo bada przechowaną w bylinach topografią, faunę, florę, i nie znajduje w nich zupełnie Naddnieprza, lecz tylko obrazy azyatyckie. Daléj, poczynając od imion bohaterów, nazw, obyczajów i kończąc fabułą bylin — wszystko to znajduje on w eposie bohaterskim ludów środkowéj Azyi, a nie dopatruje nic wspólnego z Rusią kijowską, oprócz kilku imion i nazw. Zdanie swoje popiera on jeszcze tém, że etnografia jakoby nie mogła znaleść u miejscowéj ludności—u Rusinów, ani jednéj pieśni o bohaterach bylin, zapisane zaś one zostały na dalekiéj północy. Przypuszcza więc, że byliny rosyjskie przyniesione zostały do Rosyi przez Tatarów, tu zostały przełożone na język rosyjski, a wreszcie splątały się ze wspomnieniami o Kijowie i w téj formie zaaklimatyzowały, nie doszedłszy nawet do Ukrainy. P. Wiesiełowski jest całkiem innego zdania; słusznie on uważa, że pochodzenie bylin o ks. Włodzimierzu na czele bajecznych bohaterów jest czysto rusińskie. Były one na Rusi pieśniami, lecz z czasem zatarły się w pamięci, pozostawiając zaledwo króciutkie niejasne podania o *Mychajłyku* (w bylinach Michajło Daniłowicz), o *Ilji Murawlenynie* (w byl. Ilja Muromiec) i t. p. Pieśni te zaniesione na północ, zostały skażone nie do poznania: „odcięte od gruntu, na którym powstały, oddzielone całemi stuleciami od warunków historycznych, których były wyrazem, z konieczności musiały uledz skażeniu, przystosowując się do nowych warunków oraz tego społecznego i miejscowego otoczenia, wśród którego wypadło im zakończać swój wielowiekowy żywot. Aklimatyzacya dokonana została niezupełnie. Obrazy przyrody małoruskiéj stały się ogólnikowemi i nieurozmaicały się nowemi barwami północy; dla przesady otwarło się pole szerokie, gdyż prześpiewywano nie własną pieśń, wziętą wprost z życia, z własnéj przeszłości, słowem z tych źródeł, skąd piewca mógłby stale czerpać poczucie miary i prawdopodobieństwa: prześpiewywano pieśń zapożyczoną, którą wypadało tłumaczyć i przerobić na nowo, inaczéj byłaby prawie niezrozumiałą“ (1). Obadwa zdania w części mają słuszność za sobą, gdyż podaniom rusińskim nie obcą jest treść wielu bylin, a z drugiéj strony, podczas peregrynacyi tych rapsodów na północy przybył im znaczny narost wpływów mongolskich.

Na zapomnienie dawnego eposu na Rusi wpłynąć musiały dwie główne przyczyny. Każdy właściwy epos jest repertoarem specyalnych piewców; lud go spamiętać nie może. O ile możemy dziś sądzić z tych danych, jakie nam przedstawia treść bylin, pieśń o wy-

---

(1) *Wiesiełowskij A.* Jużnorusskija byliny. Petersb. 1881, str. 38—39.

prawie Igora i świadectwo o ustroju społecznym książęcéj Rusi, wypada przyjść do wniosku, że epos tego okresu nie był dla gminu, miał racyą bytu tylko na dworach książęcych i wśród drużyny, bo tylko te sfery obejmowała treść tych pieśni i te tylko sfery mógł on interesować. Lud prawie zawsze pozostawał obojętnym na losy ustawicznych walk pomiędzy udzielnemi książęty; może go trochę więcéj obchodziły zapasy kresowe z Połowcami i Pieczyngami, to téż o tych ostatnich zachował lud dotąd niejasne wspomnienia, które jednocześnie uwydatniły się i w bylinach. Po upadku Rusi kijowskiéj, po wielkiéj burzy tatarskiéj, dawny ustrój społeczny zmienia się rdzennie; książęta i drużyna w swéj dawnéj postaci znikają zupełnie i audytoryum dawnego piewcy biesiadnego opróżnia się. Śpiewak musiał szukać powolnego dla siebie ucha na północy, gdzie stary porządek trwał daléj, urabiając się w nowe formy stopniowo i spokojniéj. Tam go jeszcze rozumiano, więc nic dziwnego, że południowe pieśni umilkły nad brzegiem Dniepru, gdzie się zrodziły, a długo jeszcze brzmiały po teremach Moskiewskich i wreszcie ścięte zostały mrozem w téj dzikiéj i cudackiéj formie, w jakiéj je dziś etnografowie wygrzebali.

Drugą nie mniéj ważną rolę w zapomnieniu na Rusi starego eposu książęcego odegrał czas. Pomniki epicznéj twórczości ludowéj ze zmianą warunków, wśród których się zrodziły, przechowywane w pamięci tylko, w początku poczynają płowieć, tracą cechy opowiadań dziejowych; daléj nikną nawet barwy dziejowe i wreszcie przechodząc w formę prozaiczną, stają się legendami albo baśniami. Jest-to niewątpliwy los wszystkich utworów epicznych ludu, stwierdzony licznemi spostrzeżeniami. Bardzo wiele i rusińskich bajek i legend zachowało dotąd pewne cechy, z których łatwo się domyśléć, iż niegdyś były pieśniami; to samo możemy wskazać i w zajmującym nas cyklu eposu książęcego. Zapisana w kilku waryantach legenda ukraińska o 12-letnim bohaterze Mychajłyku, który zwalczył Tatarów-ułanów oblegających w Kijowie ks. Włodzimierza, w dwóch waryantach zachowała jeszcze kilka urywków wiązanéj mowy, a jeden z etnografów słyszał ją nawet śpiewaną. Ta sama legenda jest dokładną treścią jednéj z bylin o Michajle Daniłowiczu. Podobny rozkład pomników starego eposu widzimy w samych dumach. Znaczna ich ilość zaginęła już w niepamięci; te, co ocalały, mocno są uszkodzone, a za jakie lat trzydzieści etnograf ani jednéj od kobzarza nie posłyszy.

Brak starych dum ukraińskich o czasach książęcych, tak łatwo dziś zrozumiały, srodze martwił niektórych etnografów rusińskich, i czy-to lepszéj warte sprawy uczucie patryotyczne, czy chęć wsła-

wienia się ważném odkryciem natchnęła p. Szyszackiego-Illicza myślą podrobienia odpowiedniego utworu. To też ogłosił on dumę o wyprawie morskiéj starszego kniazia poganina do ziemi chrześciańskiéj, jako zapisaną od staréj *kobiety* (1). Z początku mistyfikacya zrobiła wrażenie i oszukała nawet takich znawców, jak p. Kulisz, który w odkryciu tego pomnika widział epokę w historyi literatury ludowéj Rusi. Lecz wkrótce krytyka zdemaskowała fałsz, gdyż autor nie sprostał zadaniu i zdradził się mnóstwem błędów naukowych, które spożytkował dla swego utworu. Takich fałszerstw odkryto późniéj mnóstwo, głównie zabawiał się tém pan Srezniewski i jego sławne wydawnictwo: „Zaporożskaja Starina“ (1833 r.), okazało się w przeważnéj części fabrykatem (2). Niektóre dumy fabrykowano w kilku waryantach. Tak w 1834 r. p. Maksimowicz wydał pierwszą część swych „Narodowych Ukr. pieśni.“ Materyały on zbierał od rozmaitych osób; między innemi posiłkował się i wydawnictwem Srezniewskiego. Na str. 57 zamieścił on dumę o Paliju i Mazepie, omawiając się wszakże, że waryant jéj w zbiorze Z. Chodakowskiego, nabytym od jego wdowy, jest krótką piosnką ludową. Zamieszczając ją jako dumę pod wpływem drugiego jakiegoś waryantu, omylił się wydawca i przyjął piosnkę za dumę może z powodu braku jasnego pojęcia o ich różnicy, tymczasem, pomijając już charakter opisowy, od początku do końca ma ona zupełnie prawidłowy układ strof i wierszy pieśni ludowéj. Krótka, niejasna piosenka o schwytaniu Palija i o bitwie Połtawskiéj, podana w dobréj wierze jako duma, zaostrzyła apetyt etnografów-aferzystów; poczęto szukać waryantów pełniejszych, lecz rozumie się znaleść nie zdołano. Sfabrykowano więc całą dumę o bitwie pod Połtawą i ucieczce Mazepy aż w dwóch waryantach. Niekrytyczny Maksimowicz zamieścił jeden z nich w swym nowym zbiorze z 1849 r., a drugi ogłoszono w Połtawskich Guber. Wiadomościach z 1860 r. (N. 14, 15). Jest to licha elukubracya, w któréj dość nieumiejętnie naśladowano inne dumy, przeplatając opowiadanie całkowicie wyjętemi z pieśni ustępami, bez dostatecznéj znajomości języka, formy i ducha dum kobzarskich. Fałszerstwo nie podlega dla mnie najmniejszéj wątpliwości, chociaż u niektórych dotąd ta duma kredyt posiada.

Dumy kozackie wyrosły na gruncie czysto kozackim i w treści swéj nie noszą żadnych śladów dawnego eposu książęcego. W zna-

---

(1) *Czernihowskija Gubernskija Wiedomosti*, 1855, N. 16.

(2) Do takich sfałszowanych dum p. Srezniewskiego należą np. *O wyprawie na Polaków Samka Muszkieta*, *Kukuruzy i Karpa Piwtorakożucha; O darach Batorego i śmierci Bohdanka; O wyprawie Serpiahy.*

nych nam dumach co krok spotykamy ślady wpływu dum wcześniejszych na późniejsze; w jednéj dumie znajdziesz całe ustępy wzięte z innych. Gdyby dumy kozackie były bezpośrednią kontynuacyą dawnego eposu, niewątpliwie posiadałyby w swym składzie resztki pieśni książęcych, podległych rozkładowi. Widzimy jednak, że w nich wątek dawnych wspomnień jak dziejowych, tak i obyczajowych, zupełnie został zerwany i treść ich zupełnie jest samodzielną, nową.

Mamy niewątpliwe świadectwo, że dumy rusińskie znane już były w zaraniu XVI w. Sarnicki w swoich „Annales" pod r. 1506 podaje taką wzmiankę: „Per idem tempus duo Strussii fratres, adolescentes strenui et bellicosi, a Valachis oppressi occubuerunt. De quibus etiam nunc *elegiae, quas dumas Russi vocant*, canuntur voce lugubri et gestu canentium se in utramque partem motantium, id, quod canitur, exprimentes; quin et tibiis inflatis rustica turba passim modulis lamentabilibus, haec cadem imitando exprimit." Z téj krótkiéj wzmianki widzimy, że w połowie XVI w., kiedy pisał Sarnicki, śpiewano elegie o poległych w r. 1506 braciach Strusiach, że nuta ich była smutna i poważna, że takie pienie *Rusini zwali dumami*. Pieśni takie widocznie już były dawno znane, gdy lud je z pomiędzy innych wyróżnił i nazwał osobném mianem. Jak dawno przed Sarnickim zaczęły brzmiéć te rapsody, sądzić nie możemy, innych bowiem o tém danych nie ma. Jedna jeszcze okoliczność w téj wzmiance zasługuje na uwagę, a mianowicie to, że gmin wiejski (*rustica turba*) z przejęciem się słuchał téj dumy i wyrażał jawnie swe współczucie. Dumę więc o bohaterach Strusiach śpiewano już nie książętom, nie panom, nie wybrańcom społecznym, lecz wobec ludu, wiejskiego gminu. Jest-to szczegół nadzwyczaj charakterystyczny. Nowe audytoryum pieśniarza nie mogło się zadowolnić wysławianiem tylko czyjejś odwagi lub innych cnót prywatnych; wymagało ono od pieśni bliższego zajęcia się losem samego ludu. To téż pieśniarze, aby zyskać posłuch téj sielskiéj gawiedzi, musieli dobierać i odpowiednich dla niéj motywów. Z konieczności więc dumy musiały stać się demokratycznemi zupełnie. W istocie, rozpatrując dumy z okresu tatarsko-tureckiego, musimy zaznaczyć w nich główną cechę — demokratyzm. Prawie wszystkie one poświęcone są ludziom z gminu, prostym biednym niewolnikom, lub zwykłym kozakom szeregowym. Matiasz, Samijło Kiszka, Fedor Bezrodny, chociaż należą do starszyzny kozaczéj, lecz o tyle są wysławiani, o ile się braci kozaczéj, towarzystwu dobrze wysłużyli. Ideałami tych dum niezmiennie zostają obok wiary chrześciańskiéj: równość braterska w społeczeństwie, swoboda osobista i uczucie rodzinne. W późniejszych dumach demokratyczne te ideały występują jeszcze jawniéj. Takie du-

my, jak o żydach arendarzach, o powstaniu po Białocerkiewskim pokoju, Handża-Andyber—całkowicie poświęcone są protestom ekonomicznym i socyalnym ludu, a cała walka z Polakami przedstawia się jako powstanie uciemiężonego ludu. Jedyna tylko duma o wyprawie na Wołoszczyznę nie nosi charakteru rapsodu o walce narodowéj, bo też ta wojna była tylko w widokach osobistych hetmana podjęta.

Nic podobnego nie znajdzie czytelnik w eposie bylin rosyjskich, ani nawet w rapsodach serbskich. Byliny są dziś cudackiemi baśniami o bohaterach siły dla siły i nic wspólnego z ideą społeczną lub dziejową nie mają. Opiewają one książęce uczty, dwór i pojedynki bajecznych bohaterów; wszystko się dzieje gwoli uciesze ks. Włodzimierza lub z osobistych pobudek. Epos serbski od początku do końca także poświęcony jest wyłącznie osobistym sprawom rozmaitych książąt i wojewodów. Nawet liczne rapsody o klęsce na Kosowém polu przedstawiają rozpaczliwą walkę całéj Serbii z Turkami jako bój i klęskę cara Łazo i jego wojewodów. Lud serbski i jego położenie nie grają w eposie żadnéj roli. Porównywając byliny i rapsody serbskie do dum rusińskich, należy dwa pierwsze eposy nazwać *bohaterskiemi*, a dumy *eposem narodowym* rusińskim, albo lepiéj *kozackim*.

Wszystkie dumy zajmowały się właściwie tylko kozactwem, pojmując je rozumie się w szerszém znaczeniu, w jakiém je mogli pojmować Rusini. Po za tém wszakże kozactwem, jak przed Chmielniczyzną, tak téż i po niéj była nie mniejsza liczba osiadłego pospólstwa, które nie zawsze sprzyjało sprawom kozackim. Poezya tego gminu do czasów powstania Chmielnickiego jednomyślnie z dumą opiewa smutne dzieje zapasów z Tatarami i Turkami, lecz podczas wojen z Polską i późniejszéj „ruiny", jaką sprawiły wojny domowe dwóch dzielnic rusińskich: polskiéj i moskiewskiéj, między poezyą kozacką a gminną nastąpił jawny rozbrat. Krwawe tryumfy Chmielnickiego nie obeszły się bez klęsk narodowych; kozacy i sprzymierzeńcy ich Tatarzy, hulając po Ukrainie, mordowali wraz z żydami i Lachami także i lud osiadły, który nie przyjął udziału w walce; ustawicznie przytém zabierano lud do jasyru. Podobne wypadki znalazły w poezyi ludowéj nie-kozackiéj zupełnie odmienny odgłos, o czém świadczy następna piosnka:

Wyjdy Wasylu na mohyłu,
Pohlań Wasylu na Wkraïnu,
Szczo Chmelnyćkoho wijśko j de:
Szczo wse paruboczky, ta diwoczky,
Ta mołodyji mołodyczky,

Ta bezszczasnyji udowyczky.
Parubky jdut' hukajuczy,
A diwczata rydajuczy (szłochając),
A molodyji molodyci
Staroho Chmela prokłynajuczy:
„Bodaj tebe Chmelnyczeńku perwa kula ne mynuła,
Szczo weliw ordi braty diwky j mołodyci!
Bodaj Chmela-Chmelnyćkoho perwa kula ne mynuła,
A druhaja ustrełyła, a serdeńko ucełyła."

Podobny motyw jest zupełnie obcy dumom i pieśniom kozaczym; tylko gmin po wsiach osiadły mógł podobny protest wyśpiewać. Jest-to jedyna piosnka ludowa niekozacka o Chmielnickim, bardzo dlań niepochlebna; innéj u gminu sławy on nie zdobył. Znam jeszcze podanie gminne o Chmielnickim, jako o rozbójniku, który sprzedawał wsie i miasta Tatarom. Historya stworzyła na Rusi dwa prądy ludowe: kozacki i gminny, które w wielu razach stawały w kolizyi wzajemnéj. O ile różniły się pomiędzy sobą dwa te prądy, o tyle należy odróżniać charakter dwóch prądów literatury ludowéj Rusinów: kozaczéj i gminnéj. Dum i pieśni kozackich epicznych nie można równać z pieśnią gminną. Inne w nich ideały, odmienny ton, nawet forma różna. Poezya kozacka—dumy czy pieśni—już prawie umarła: lud już nie śpiewa patryotycznych pieśni o wodzach kozaczyzny (np. Perebijnis), które zwykle bywały bojowemi lub marszowemi, lecz natomiast balady o szczególniejszych wydarzeniach śpiewają dotąd i mężczyzni i kobiety.

Wracając do porównania dum z eposem wielkorosyjskim i serbskim, pod względem epicznym musimy je postawić na najwyższym szczeblu. Zgodnie ze zdaniem Mickiewicza, wypowiedzianém w kursach o literaturze słowiańskiéj, zwykliśmy przeceniać wartość poezyi ludowéj Serbów; dziś wobec ogromnego materyału, jaki nagromadziła w ostatnich dopiero czasach etnografia rusińska, musimy oddać pierwszeństwo dumom ukraińskim. Cały epos serbski można podzielić na trzy niewielkie cykle: kilka pieśni o sprawach domowych dworu serbskiego z czasów przedtureckich; kilkanaście pieśni o klęsce na Kosowém polu, i wreszcie kilkanaście pieśni o królewiczu Marku. Pierwszy i ostatni cykl noszą zupełnie legendowy, bajeczny charakter, zbliżają się bardzo do bylin rosyjskich i utraciły wszelkie znaczenie pomników dziejowych. Nie tylko w nich wątek prawdy dziejowéj zaginął, lecz stracone nawet poczucie miary i prawdopodobieństwa i ustąpiło miejsca fantastyczności. Znajdziemy tam i bohaterów i konie skrzydlate; bohaterów obdarzonych nadprzyrodzoną siłą, ścinających po dwadzieścia głów naraz, lub haustem wychylających ceber wina, żyjących po trzysta lat. We

wszystkich tych pieśniach mytyczna wiła (nimfa górska) w losach bohaterów gra niepoślednią rolę; tam ptastwo i konie w najlepsze z ludźmi rozmawiają i t. d. Właściwie dziejowy charakter spotykamy tylko w rapsodach o królu Łazo i klęsce na Kosowém polu, opisujących rozmaite momenty z dwóch dni, fatalnych dla domu królewskiego. Lecz i w nich pierwiastek fantastyczny znalazł obszerne zastosowanie. Tak król Łazo za pośrednictwem św. Eliasza otrzymuje z Jerozolimy od N. Panny drobny list, w którym mu podano do wyboru albo carstwo ziemskie ze zwycięstwem nad Turkami, lub carstwo niebieskie i niechybną śmierć w walce. Król wybiera ostatnie i rzuca się w objęcia śmierci wraz z całém rycerstwem. Znajdziemy tam także królowę Milicę, rozmawiającą z krukami i bajeczkę o głowie króla Łazo. Odcięta od tułowia i wrzucona do studni, w ciągu 40 lat nie zgniła, a wyjęta z wody, sama się potoczyła do tułowia i zrosła się z nim na nowo. Nic podobnego czytelnik nie znajdzie w dumach, dziwnie są one realne do najdrobniejszych szczegółów. Jedyna rzecz, którą dopuszczają niektóre dumy z uszczerbkiem dla czystego realizmu, to kara boża za grzechy, a szczególniéj za nieuszanowanie rodziców (Ołeksij Popowycz, Iwaś Konowczenko). Wymiar jednak kary odbywa się w sposób zupełnie realny, bez udziału sił nadprzyrodzonych. Każdy lud, a rusiński w szczególności, jest nadzwyczaj przesądnym, wierzy w gusła, czary, przywiązuje wiele wagi do niezwykłych zjawisk przyrody, wpływających niby na losy ludzi i t. p. Literatura ludowa i dawna pisana przepełnione są temi przesądami. Kroniki ruskie, nawet już z XVII stulecia, o téj saméj Chmielniczyznie, prawie w każdym rozdziale rozprawiają na ten temat. W dumach ani śladu tego niema, tylko czysty, zdrowy realizm i prawda epiczna. Po barwy i obrazy dla swych poematów twórcy dum nie uciekali się do rozkiełznanéj fantazyi, do dzikiéj hiperboli, lub świata nadprzyrodzonego, lecz spokojnie opisywali żywych naturalnych ludzi i otaczającą rzeczywistą przyrodę, ograniczając się przytém na obrazowaniu śmiałém i żywém. Nie zmniejszyło to wszelako poetyczności eposu; owszem, dodało obrazom więcéj złudzenia, więcéj siły i życia. Bohaterskie pieśni serbskie obfitują w pyszne poetyczne ustępy, lecz żadna z nich sama z siebie nie jest całkowitym poematem; każda z nich będzie tylko ułamkiem czegoś niedokończonego, jak krótki rozdział z wielkiéj powieści, gdy tymczasem każda duma jest zawsze poematem skończonym, posiadającym szerszy daleko zakrój i treść samodzielną. Żadna z pieśni serbskich nie dorówna takim rapsodom, jak ucieczka trzech braci z Azowa, Samijło Kiszka, Konowczenko i w. in. ani pomysłem ani pełnością obrazów, ani żywością barw.

Niedorównywają też serbskie rapsody dumom i siłą uczucia. Wyrosłe z krwi i zgliszcz uporczywéj, namiętnéj walki z początku na kresach ukrainnych, a późniéj w sercu ojczyzny, dumy dotykają wypadków i przejść nadzwyczaj bolesnych dla Rusina i przeto, wobec wszystkich cech eposu: obiektywności, powagi i realizmowi, nacechowane są zawsze głębokiém i silném uczuciem. Spokojny i rzewny liryzm dum cyklu tatarsko-tureckiego, potęguje się u piewców z czasów Chmielniczyzny do dzikiéj namiętności, jaką dyszały pożary i zgliszcza siedzib ukraińskich.

Poezya ta jednak dziwnie trafnie pochwyciła główny rys swych wrogów, który może w znacznéj mierze przechylał szalę szczęścia na stronę kozaków. Mówię tu o opieszałości i niezdarności wodzów, ich pijatyce i niezaradności. Te pieśni tryumfów kozackich nie urągają Polakom; tchną więcéj politowaniem, sarkazmem i drwiną zasłużoną, niż nienawiścią. Przy całém dzikiém okrucieństwie, jakie się zwykło objawiać podczas i po zwycięstwie, kozak pozostał wiernym swemu humorowi narodowemu.

Obok właściwych cech swoich, dumy zachowały wiernie zasadniczy ton muzy rusińskiéj: rzewność i smutek głęboki. Nie dosłyszysz w nich wesołego gwaru biesiady książęcéj, dzwonienia puharów ni rycerskiéj swawoli, nie znajdziesz miłości nawet, jak w rapsodach innych ludów. Ruś na całym obszarze zorana kopytami końskiemi, zasiana kośćmi i krwią polana, wydała pieśń tylko smutku i żałoby, w któréj śród okrzyków grozy wojennéj jasno się wyróżnia jęk uciśnionego i skarga niewolnika:

Czorna zemla pod kopyty kost'mi posijana,
A krowiju poljana:
Tuhoju (żałobą) wzidosza po Ruśskoj zemli.... (*Słowo o Pul. Ig.* 51).

Cesław Neyman.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Leonard Sowiński. O zmroku. Warszawa. M. Orgelbrand. 1885, str. 157.

Po dziesięciu latach od czasu wydania zbiorowego poezyj swoich p. Sowiński przedstawia czytelnikom nową ich wiązankę. Skromną jest ona bardzo pod względem objętości i świadczy wymownie, że chwile natchnienia nawet u wysoce utalentowanych poetów bywają bardzo rzadkie. Przytém pamiętać należy o tém, że w przeciągu czasu, który upłynął od r. 1875, p. Sowiński zajęty był już-to pracami prozaicznemi, już-to podróżami, już-to utrwalaniem na papierze wspomnień swojéj młodości, tak, że na pisanie utworów poetycznych nawet wcale czasu nie było.

Nie na objętości zresztą wartość zbioru poezyi zależy. Zajrzyjmy więc do wnętrza. Mroczne ono jest wielce, jak sam tytuł ostrzega, ale bywają w niém i błyski jaskrawe. Poeta, który zawsze z wysoka patrzył na świat i jego dzieje, który prawie wyłącznie a przynajmniéj bardzo wybitnie samemi najwyższemi zagadnieniami życia społeczeństw się w poezyach swoich zajmował, jakkolwiek czuje upadek swych sił twórczych i gorzkie nad nim łzy leje, jakkolwiek błąka się po otchłani wątpliwości, posiada jeszcze jednak dosyć mocy, ażeby się nie dać pokonać zwątpieniu i rozpaczy, a nawet wynajduje w końcu ujście ku światłościom niebieskim, co mu dają ukojenie.

Z temperamentu namiętny, łatwo popada poeta w krańcowości, wśród których bawi zazwyczaj przez chwilę tylko. Rozumie i potężnie oddaje poczucie siły tytanicznéj w pokoleniu Prometeuszowém, ale równocześnie znając małość człowieka, korzy się przed Panem. Wspaniale maluje „Świat Ducha“:

Bez granic wielką jest kraina Ducha,
Promienna bóstwa blaskiem u swych szczytów,
A w dole — otchłań mroku, łkań i zgrzytów,
Skąd rozpacz i nienawiść wciąż wybucha!
Kto w głosy jéj się tajemnicze wsłucha,
Ten dozna już-to grozy już zachwytów,
Nieznanych tym, co w prochu zasklepieni,
Dla których byt—to puszcza światów głucha,
A oni sami — poczet marnych cieni.
Rojenia młodych lat, natchnienia błyski,
Ofiarność, wiara wrząca, czar miłości:
Czyż nie jest-to świat wrażeń niebios bliski,
Słoneczny, wiosną tchnący raj ludzkości?!...
Czy nad wspaniałe tęcz i gwiazd widoki,
Lub zorzy biegunowéj ogniotryski,
Nie wyższy umysł twórczy i głęboki?...
A oneż wulkaniczne serc otchłanie,
Gdzie wiecznie płonie brudnych żądz pochodnia,
Gdzie lęgnie się występek, zdrada, zbrodnia!
Czy może iść co z niemi w porównanie
W ohydzie okropności?!... krwią i łzami,
Jak lawą, broczą one ludów dzieje;
Podziemny grzmot ich postrach w ciżbach sieje;
Żałoba, rozpacz idą ich śladami,
A potém cisza spustoszenia głucha...
O straszne, straszne są przepaście Ducha!

Gdyby poeta na tym obrazie przedstawiającym dwoistość objawów ducha w ich najwybitniejszych wyrazach poprzestał, wiersz jego pełen siły słowa i trafnych porównań, zadowolniłby w zupełności zarówno estetyczne jak i logiczne poczucie. Ale p. S. lubiący antytezy, zapragnął przeciwstawić téj dziedzinie Ducha marność materyi — i zepsuł piękny utwór, gdyż przeciwstawienie to nie może znaleźć potwierdzenia rozumu. „Świat materyi bezwiednéj“ niknie i przepada w każdéj chwili, to prawda, ale w szczegółach tylko, nie w ogóle swoim—zupełnie tak samo jak i świat ducha, który bez téj materyi nie znałby ani rojenia młodych lat, ani błysków natchnienia, ani czaru miłości, ani — z drugiéj strony — owych dziejów broczonych krwią i łzami jak lawą. Poeta jako spirytualista zapomina o tym ścisłym związku, jaki łączy ducha z ciałem i wyobraża sobie idealnie, lubo w kształtach zmysłowych, bezwarunkowe panowanie ducha oddzielonego od materyi; ale czytelnik nie może popełnić takiéj abstrakcyi, nie może lekceważyć téj materyi, bez któréj duch na ziemi objawićby się nie mógł. Gdyby p. S. mówił tylko o objawach ducha po-za ziemskich, to nie zgadzając się z nim co do samego pojęcia, moglibyśmy przynajmniéj rozumiéć jego przeciwstawienie materyi duchowi; ponieważ jednak w całym wierszu czytamy

tylko o stosunkach czysto-ziemskich, musimy to przeciwstawienie uważać za brak rozmysłu w poecie rządzącym się chwilowemi wybuchami.

Równie potężnemi słowy przedstawił p. S. „Widmo Ruiny" uosobione w trzech postaciach: nędzarza-łupiescy, bachantki oraz „miałkiéj, bezdusznéj, pozornéj" nauki. Pomijając nietrafność zestawienia tych trzech uosobień, z których dwa pierwsze są postaciami ludzkiemi, a trzecie—abstrakcyą bez ciała, gdy analogicznie wypadało wprowadzić cynika-zarozumialca, możnaby zarzucić autorowi dziwne w poecie „celów gromadnych" nierozumienie dróg postępu kroczącego ku udoskonaleniu bytu narodów; nie każde przecież niszczenie jest dziełem „ziejącego jadem demona," nie na każdéj ruinie płakać nam trzeba; są i takie, które radością napełniają serce, gdy się zło, niewola, nędza wykorzenia. Rozumie to niewątpliwie autor „Satyry," i dlatego znowuż musimy zrobić mu uwagę, że się zanadto daje unosić jednemu prądowi myśli, że kreacyom jego nie przewodniczy rozwaga poety, który przecież nie tylko na formę, ale i na treść utworu baczyć winien. Osiem „fragmentów satyrycznych" uderza w jedno przeważnie zło, które tak zastanowiło umysł poety, że już na inne nie chce czy nie może zwrócić oka. Tém złem jest zmateryalizowanie świata, owa gorączka złota, owa „giełda bez Boga," która się już Krasińskiemu w przerażających przedstawiała kształtach. U ołtarzy poezyi siedzą tylko lutniści, ślepi, starzy; mistrze—kapłani już spoczywają „zmorzeni mogił snem głębokim," westalki poszły na giełdę składać ofiary Baalowi, porzuciwszy „harfiarzy nucących psalmy." Co więcéj nawet poeci nastrajają swe lutnie „na złota brzęk" i czujném uchem słuchają na giełdzie „po czemu dzisiaj łza, poczemu śmiech, poczemu jęk;" za grosz gruchają jak gołąbki, za dwa śpiewają „dziewic erotyczny wdzięk," za trzy wybuchają rozpaczą lub głoszą „wrzaski trąb, ryk dział i mieczów szczęk." Albo też kłamią swym ideałom, gdy „pieszczotliwy gwar niewieści" każe im być śpiewakami uczt i mirtem wieńczyć skroń, zamiast dzierżéć silnie w dłoni broń archanioła, co ją „Bóg dał u raju wrót," by walczyli „z szatanem wiecznéj mgły na wielkiéj ducha tamie." Ci, co mieli porwać lud do wielkich czynów, a w powodzi klęsk pocieszać zrozpaczone tłumy, wolą „chluby laur" i wnoszą w świat poezyi, „cichéj przybytek zadumy", okrzyk zgraj i żądzy samolubnéj brud. A zgraje te, jak w epoce cezarów rzymskich, wołają o jedzenie lub „ryczą wśród kamelij dżdżu i róż," szalone bijąc oklaski tym, „od których pierzcha dróg dziejowych anioł stróż i przedświt gasi swe złotopromienne blaski.". Zgrajom tym rozszalałym nie przyświeca żadna gwiazda, bo nawet myśl badawcza, niegdyś roztrząsająca zwój „potęg

twórczych“, dzisiaj kupczy strzępami wiedzy, otoczona rojem heter i sofistów. Tryumfy nad kamieniem, parą i żelazem podsycają tylko moc i szał materyi; kał żądz poziomych zalał świątynie serc; ateizm na zgliszczach wiar zapanował i zawładnął przekonaniami tłumów całych. Tak sobie wyobrażając i tak przedstawiając stosunki świata dzisiejszego, poeta nie ma dosyć słów najwyższego oburzenia, a w namiętném potępianiu wszystkiego, co wiek obecny wydał, traci miarę, traci świadomość swego stanowiska względem tego świata i jakby jeden mędrzec wśród powszechnego zepsucia i ciemnoty, twierdzi urągliwie, że nasz „mądry wiek“ zostawi po sobie „stos węgli—martwych ksiąg—i kłamstwa nowy krój i wielki grób w ostygłém potomności łonie.“

Ryczałtowe to potępienie wieku i postawienie siebie samego w roli mędrca wyrokującego o głupstwie nie jest wszelako objawem zarozumiałości poety; w innym bowiem utworze („Płacz senny“) szczerze się spowiada ze słabości swych i wyznaje, że rozkładowe pierwiastki podziałały i na niego. We śnie zjawia mu się najsędziwszy z poufałych ojca jego przyjaciół, a dl[illegible] niego od kolebki saméj najtkliwszy i powiada mu jedno słowo „pamiętasz?“ Wtedy-to łzy, których już nie miał na opłakanie innych nieszczęść i strat, bryzn[illegible]ły poecie z oczu, a on odrzekł staremu przyjacielowi: „Ach! pomnę... byłem niegdyś dzieckiem wielkich nadziei—wszystkie znikły w strasznéj życia zawiei... chciano wznosić na nich gmachy ogromne—wszystkie u podwalin samych runęły.“ Dusza jego biedna, potraciwszy kolejno wiele pięknych, dobrych i dzielnych dzieci, „dziś po grobach błąka się bez nadziei, przeklinając życie swe nieśmiertelne.“ Nie miejmy za złe poecie, że żadne wspomnienie nie wycisnęło łez z jego oczu prócz wspomnienia o zmarnowanym talencie; nie miejmy mu za złe, że dla świata obecnego, dla jego nieszczęść i walk, miał tylko słowa urągania, bo nieszczęśliwi są niesprawiedliwi, bo w rozżaleniu głębokiém zawsze nam najprzód w myśli staje własna nasza osoba, bo cudze bóle i cierpienia rozumiéć możemy, a swoje czujemy. Ale téż ze swéj strony, jako członkowie świata obecnego, mamy prawo wymagać pewnéj miarki wyrozumiałości, która może bardzo blizko graniczy ze sprawiedliwością; mamy prawo wymagać, ażeby poeta nie zasklepiał się w kółku własnych tylko czysto-indywidualnych poglądów przesiąkniętych uczuciami, ale starał się spojrzéć wszechstronniéj na to, co się dzieje, a wówczas możeby nie widział tylko plam czarnych, możeby biczem satyry nie smagał niewinnych razem z winnymi. Jak sam poeta doznawał nieraz goryczy zwątpienia i o mało nie chwycił za broń samobójcy, by dosięgnąć „żywota szczytu—w nicestwie;“ tak téż w dziejach świata są chwile krytycz-

ne i bolesne, rodzące wiele zamętu i spustoszenia w umysłach i sercach, które trzeba zrozumiéć, zanim się je osądzi. Los poety „burz, błyskawic, celów niedościgłych, pragnień Tantala,“ który „myślą tonąc w dziejów krwawym potoku z jękiem w piersi i palącą łzą w oku, umarł zapomniany w murach szpitala“—jest niewątpliwie bolesnym i okropnym; ale zamiast wprost oskarżać oń „ciżbę,“ potrzebaby wskazać, o ile też sam poeta zarówno zaletami jak wadami swemi był jego sprawcą.

„Z mroku do światła“ podąża p. S. na skrzydlach modlitwy. Korzenie się atoli nie jest prawdopodobnie odpowiedniém talentowi poety, gdyż wymuszona prostota, za pomocą któréj chciał oddać swój nastrój religijny, nie dopisała mu ani pod względem stylistycznym, ani pod względem rymotwórczym. Stojąc nawet na stanowisku poety, trudno doszukać się piękna w tych jednostajnych litaniach, jakiemi są przepełnione wiersze zatytułowane: „Siostra miłosierdzia,“ „Modlitwa“ i „Modlitwa pańska.“ I tam tylko widnieje talent poety, gdzie maluje płomiennemi barwami chwile pełne grozy jak np. w „Gwiazdce Betlejemskiéj.“

Takie są liryki p. Sowińskiego zawarte w najnowszym zbiorze jego poezyj. Żaden z zamieszczonych tu utworów nie może być wobec surowszego sądu poczytany za doskonały; podziwiając bowiem dosadność i barwność dykcyi, wykwintne rymowanie, a nadto piękność i trafność pojedyńczych ustępów, w żadnym nie znajdujemy takiego pomysłu, któryby, bez względu na swą nowość i oryginalność, wytrzymał próbę ścisłéj analizy. Jednostronność w poglądzie na świat, zawarunkowana romantycznym nastrojem ducha, którego p. Sowiński jest świetnym epigonem, psuje wrażenie, jakie wywołują barwne obrazy. Dodać wreszcie potrzeba, że i pod względem formalnym wiersze Sowińskiego nie zawsze zadawalniają; poeta może z umysłu zaniedbywał rytmikę bardzo często i używał niekiedy całkiem niepoprawnych wyrażeń (np. *uświęcij*).

Do liryków dołączył S. jeden utwór epicki i jeden dramatyczny. Liryk nawskroś chciał okazać, że i w innych rodzajach poetyckich potrafi dzielnie władać piórem. Nie po raz to pierwszy występuje autor z takiemi próbami; jest on autorem dwu dłuższych opowiadań wierszem, poematu dramatycznego i dramatu. Pomimo wielkich ich zalet jednak, niepodobna twierdzić, ażeby one stanowiły główny tytuł do znaczenia Sowińskiego w dziejach poezyi naszéj. Wprawdzie poemat dramatyczny „Z życia“ miał w swoim czasie rozgłos nadzwyczaj wielki i pod względem społecznym wywarł na umysły wpływ zbawienny; wprawdzie dramat „Na Ukrainie“ wiele mieścił scen prawdziwie pięknych; wprawdzie opowiadania odznaczają się

werwą niepospolitą; ale wszędzie podmiotowość liryka bierze górę nad przedmiotowością epika i dramaturga, a kompozycya całości chroma silnie.

W „Prażniku“ pragnął widocznie poeta zachować jak najzupełniejszą przedmiotowość i dlatego obrawszy temat z życia ludu wiejskiego na Podolu, przymuszał się do utrzymania prostoty wyrażeń i sytuacyj. Przymus ten znać w jego utworze, bo go widać z całego toku opowiadania oraz z tych miejsc, w których nie udało mu się powstrzymać lotu wyobraźni, np. gdy krupniczek nazywa „dziecięciem miodu i gorzałki, zrodzoném w ogniu,“ lub gdy opór dziewcząt względem napastniczych zuchów nazywa „głośnym, ale *kruchym.*“ Naśladowanie „Pana Tadeusza“ widnieje tu w wielu miejscach zarówno w charakterystyce ludzi, jak w porównaniach i przytaczaniu rozmów. Nie ma zresztą autor najmniejszéj pretensyi do tworzenia eposu; pisze tylko sielankę skromnych rozmiarów; szkoda tylko, że nie potrafił wybrać sytuacyj bardziéj interesujących, niż je znajdujemy w dwu pierwszych częściach utworu; trzecia dopiero i ostatnia (bardzo krótka, bo 5 stronic zawierająca) cokolwiek żywiéj zajmuje.

„Prolog Tragedyi“ jest, jak zapewniają znawcy stosunków na Rusi, a mianowicie Kraszewski, obrazem wiernie z rzeczywistości malowanym. Zapewnienie to chroni bezwątpienia autora od zarzutu wymyślania dowolnego scen jaskrawych, okropnych, ale nie może go zabezpieczyć od wytknięcia usterek artystycznych. Przedewszystkiém tedy Sowiński nie umie nagiąć swéj dykcyi do oddania mowy rozmaitych temperamentów i charakterów; wszystkie jego osoby przemawiają jednostajnym językiem, właściwym samemu poecie, jędrnym, barwnym, pełnym przenośni nowych i trafnych. Tak nigdy nie bywa w rzeczywistości; każdy bowiem człowiek ma swój odrębny sposób wyrażania uczuć i myśli, swój odrębny styl; powieściopisarz i dramaturg zarówno w interesie wiernego oddania rzeczywistości jak w interesie czysto artystycznym wykazania odrębności charakterów za pośrednictwem dykcyi także, muszą pilnie studyować te różnorodne style i stosować je w swych kreacyach. Powtóre posługiwanie się w dramacie potęgami natury jak grzmoty, błyskawice i pioruny wówczas właśnie się ukazujące, kiedy tego autor potrzebuje, może wprawdzie wywołać efekt... ale tylko melodramatyczny. Co do charakterów, to wszystkie prawie są gwałtowne i namiętne, a jakkolwiek są pomiędzy niemi różnice, nie rysują się one tak dobitnie, jakby tego wyrazistość dramatyczna wymagała. Hrabia August Maliński płonie żarem dla rozwódki księżnéj Róży, która jako dawna kochanka zawołanego uwodziciela Łaszcza nie ma, jakby

się zdawało, żadnego skrupułu w rozrywaniu ogniw życia rodzinnego i popycha hrabiego ku jakiemuś stanowczemu czynowi. Hrabina Malińska, zaniedbywana przez męża, żywi także w swém sercu jakieś uczucie dla innego mężczyzny, ale jako matka i kobieta religijna zezwolić na rozwód nie chce; hrabia przy uderzeniu piorunu wtrąca ją w rzekę. Myślał, że przez ten postępek stanie się swobodnym, jak tego życzyła sobie księżna; ale doznaje zawodu, bo gdy „z ubiorem i włosami w nieładzie, blady, z obłąkanym wyrazem w twarzy," staje w nocy „oblany strugą błyskawicy" w mieszkaniu księżnéj, mówiąc, że jest wolny, ta zapewne nadzwyczajnością zjawienia zdenerwowana, odtrąca go od siebie ze wstrętem. Najlepszą ze wszystkich postacią jest Łaszcz, człowiek zdolny, z błyskotliwém wykształceniem, wymowny, ale zepsuty nawskróś, czyniący zadość swym zachciankom jedynie. Świątynię ducha jego—jak sam powiada—zalegają zgliszcza, lecz nie wszystkie tam bożyszcza runęły... od podwalin do samego szczytu dotychczas mocno trzyma się, jak słup z granitu królewska, niezachwiana duma, dla któréj wszystko i wszystkich poświęcić gotów. Potężna to, demoniczna niemal postać z powodu uroku, jaki rzuca zarówno na grono mężczyzn, ślepo za nim idących, jak i na kobiety, które się w nim na zabój kochają. Słowa, wypowiedziane w rozmowie z księżną, rozjaśniają nam powody wybujania chwastów na dobrym początkowo gruncie, stanowiąc zarazem charakterystykę chwili, w któréj sceny się odgrywają:

I cóż mię pchnęło w nędzy téj hulaszczéj piekło,
Z pogardą ku samemu sobie, z żądzą wściekłą
Zawrotu, zapomnienia, wśród posępnéj nocy
Nadziei mych, z uczuciem gniewu i niemocy?
To czasu wina a nie moja... Takich, jak ja, wielu
Zmarniało, trwoniąc życie pozbawione celu...
. . . . Nie taję,
Że do mnie chętniéj niż do innych młódź się garnie:
Lecz któżby ją zniewolił pracy jąć się—karnie,
Surowo, dzielnie, po rycersku?.. gdzie wodzowie?
U kogo myśl ofiarna świta dzisiaj w głowie?
Runęła wiara w przyszłość; pośród zgliszcz ogromu
Ni rozkazywać, ni ulegać niéma komu...

Takie i tym podobne myśli i obrazy, niezawsze zresztą odpowiadające charakterowi osób, w których usta są włożone, stanowią nie tylko główną ozdobę „Prologu Tragedyi," ale nadto nadają mu znaczenie świadectwa dziejowego o stanie umysłów i serc na Rusi w ostatnim dziesiątku pierwszéj połowy naszego stulecia.

P. Ch.

= Wydawnictwo pomników historycznych, przez krakowską Akademią umiejętności przed 13 laty podjęte, posuwa się ciągle naprzód krokiem pewnym, i naszą wiedzę przeszłości coraz bardziéj wzbogaca. Z ogłoszonych dotąd pomników znaczna część odnosi się do dziejów Małopolski, a staréj stolicy Piastów i Jagiellonów przypadł nie mały z tego udział. W r. 1878 wyszły z pod prasy staraniem drdr. Frańciszka Piekosińskiego i Józefa Szujskiego „Najstarsze księgi miasta Krakowa“ od r. 1300 do 1400. Rokiem późniéj p. Piekosiński wydał pierwszą część kodeksu dyplomatycznego tegoż miasta, trzy zaś następne części ukazały się w r. 1882, zamykając tym sposobem epokę średniowieczną, która się u nas ciągnie do r. 1507. Według nakreślonego planu, przystąpiono z kolei do epoki nowożytnéj, i oto w roku bieżącym *dr. Piekosiński* obdarza nas znowu potężnym foliałem „Aktów historycznych“ pod napisem: **„Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa“**, który lubo na tytule nazwano skromnie „zeszytem“ pierwszym tomu I-go, zawiera jednak stron XXXVII i 624 in 4-to. Księga ta, poświęcona dziejom stolicy za Zygmunta I-go, Zygmunta Augusta, Henryka i Stefana Batorego, rozpada się na dwie części: pierwsza obejmuje przywileje królewskie, wilkirze i uchwały, stanowiące normę prawną dla całego miasta, w drugiéj mieszczą się wszelkie urządzenia, dotyczące cechów. Dalsze dwie części, które w przyszłości sie ukazać mają, przedstawią nam stronę finansową gospodarstwa miejskiego. — Treść leżącéj obecnie przed nami księgi jest bogatą, rozmaitą i ciekawą nietylko dla historyka, prawnika i ekonomisty; lingwista polski i niemiecki znaleść tu również może materyał do naukowego badania, prócz aktów łacińskich bowiem, są tu dokumenta spisane po polsku i po niemiecku. Pisarz powieści historycznéj na tle dziejów XVI wieku, byle zechciał, zaczerpnie ztąd niezmierne bogactwo szczegółów z życia mieszczańskiego. Kto czytał „Żywot poczciwego człowieka“, napisany w owéj właśnie epoce przez Reja, pamięta zapewne malowniczy widok straganów na rynku krakowskim, z nieustającym gwarem i ruchem przekupniów obojga płci. Na podstawie księgi, o któréj mówimy, możnaby skreślić obraz daleko pełniejszy i nie na samym tylko rynku skupiony. Rynek zdobią rozmaite, po części i dziś stojące budowle: ratusz, z którego została tylko wieża, sukiennice, „spichlierz“, mennica, domy zwane „Jelenie“, „Barany“, „Chrystofory“, Pani Krakowskiéj, Pana Morstina, rajców miejskich i t. d. Na przestrzeni niezabudowanéj roztasował się drobny handel, pogatunkowany ściśle na najrozliczniejsze gałęzie, z których każda oddzielne ma dla siebie wskazane siedlisko. Przekupki, sprzedające „ogrodne rzeczy“ (które winny być „bez naci“), mają do tego miejsce „na

rynku, podle ryb słonych.“ „Przekupki na to obrane“, które przedają „rzeczy rozmaite,“ siedzą „jedno pod kabatem“, bo gdzieindziéj im wzbroniono. „Okienniczki“ w rynku i w ulicach mogą „na okniech“ przedawać tylko chléb, zemły (bułki), owoce, gomółki; żadnych zaś innych przedmiotów, a to „pod winą pańską.“ Wzbroniona jest sprzedaż „ogórków słonych, niedosolonych ani dokwaszonych, daleko więcéj obwarzanych.“ Kołaczy nigdzie w całém mieście sprzedawać nie wolno. Zaopatrywać się w „ryby wszelakie tak świeże jak słone i suche“ można tylko u „rybitwów na Podbrzeżu“ albo „inszych ludzi, którzy je na targ niosą albo wiozą“; wszelki zaś udział przekupni w tym handlu surowo zakazany. Wogóle zresztą „żaden przekupień ani żadna przekupka... żadnego dnia żadnych rzeczy niema kupować na przekup... póki chorągiew stać będzie na tém miejscu, na którém stać zwykła“: potém wolno „wszystkim skupować przez wszelakiego braku. A gdzieby się kto tego przestępić ważył, taki każdy srodze będzie karan tak straceniem rzeczy wszytkich, jako téż i więzieniem, to jest niewiasta koszem, mężczyzna w kunie siedzeniem, przez wszelakiego miłosierdzia.“ A nie są to próżne groźby, gdyż snuje się po rynku czterech wybranych „panów deputatów“, doglądając tego porządku i mając prawo „występne karać... przez wszelakiéj folgi“, za którą to pracę otrzymują tygodniowo „z ratusza każdą sobotę trzy złote“ wynagrodzenia, zwanego „konsolacyą.“ Ułatwia im to zadanie dobrana przez nich „straż“ w odpowiedniéj liczbie, która „szpieguje“ występnych w mieście i „przed bronami.“ — Takie życie powszednie urozmaicały od czasu do czasu zbiegowiska pospólstwa, zbrojne burdy lub doniosłe wypadki dziejowe. Oto „szkodnicy i złodzieje drewni, którzy drwa na brzegu miejszczkim do tego czasu kradali“, nie zważając na świeży wilkirz (1574 r.), upominający ich „aby się pohamowali“, „śmieli kraść jeszcze“ w nocy, a we dnie przedawać, na czém pojmani zostali. „Nie poszły im wymówki: jednego, że *dano mi*, — drugiego, *iż swoje noszę*,—trzeciego, *iżem kupił*; — tego więc, który poraz pierwszy ujęty został na kradzieży, ukarano „u prągi staniem za szyję w kunie dzień cały, a one drwa, z którémi go pojmano, zawieszono mu u szyje“; wtóry zasię, „który po takiém karaniu śmiał ważyć drugi raz, był uchlastan u prągi i z miasta precz wygnan“; ostatni wreszcie, iż „go trzeci raz dostano w takimże przestępku, został obieszon między stosy na szubienicy.“ Surowość „prawa“ nawet dla białych głów zbierających trzaski nie robiła wyjątku, a względem tego, „kogo przeświadczono, że kradzione drwa w domu chowa, albo je przedaje nakradwszy ich“, twardszą się jeszcze okazywała, takiemu bowiem już, *pro secundo*, nakazano „ucho urznąć, albo

nos pryskować dla znaku.“ Innym razem, czterech żaków akademickich, uzbrojonych w szable, napadło na kramy garncarskie: pobili sług miejskich i wdarli się do ratusza, gdzie pogasiwszy światła, byliby poranili czeladź, gdyby ta nie stawiła im mężnie oporu. Gwałtowników ujęto, uwięziono i stawiono przed sądem, prócz jednego, który „śmiał“ dobrać się do pierwszego piętra ratusznego, a ztamtąd oknem na rynek spuściwszy się, zbiedz zdołał. W tém gorszém położeniu znaleźli się trzej pozostali; nie pomogło im wcale, że akademia broniąc swéj wyłącznéj juryzdykcyi nad studentami, żądała wydania uwięzionych; rajcy bowiem miejscy, nie wchodząc w rozbiór praw akademii, oświadczyli, że nie wiedzą kim są winowajcy, a gwałciciele spokojności publicznéj, co targnęli się na „miejsce uprzywilejowane majestatu jego królewskiéj mości, bo na ratusz krakowski“, nie mogą być usunięci z pod powagi praw, najłaskawiéj miastu nadanych. Sąd przychylił się do tego widzenia rzeczy, a obwinionych uznał za godnych kary śmierci. I byliby oddali szyje pod miecz katowski „przez wszelakiego zmiłowania“, gdyby prośby wyższego duchowieństwa oraz doktorów i magistrów akademii, poparte jednomyślném przyzwoleniem rajców, „zmiłowania“ im nie wyjednały. Przychylił się do tego zasiadający wówczas na sądzie starosta krakowski, z tego między innemi powodu, że jemu, jako w początkach dopiero swego urzędowania będącemu, „raczéj miłosierdziem niźli surowością powodować się należy.“ „Darował przeto i odpuścił“ winowajcom „karę główną,“ ale tém srożéj się zastrzegł, że na przyszłość będzie karał podobnych gwałtowników bez żadnych już względów, podług prawa. — Nie jedyne to było zajście, a krewkość ówczesnych ludzi kazała co chwila niemal obawiać się onych i zgóry im zapobiegać i środki stosowne obmyślać. Więc oto np. jegomość pan Wacław Chodorowski, burmistrz, tytułowany z rzymska prokonsulem, poważnie kroczy z ratusza wieczorem do domu swego, a niby liktorowie przy konsulu w starym Rzymie, towarzyszą mu czteréj strzelcy miejscy w jednostajną barwę odziani, dźwigając potężne miecze: dzieje się to zaś, jak nas wilkirz z roku 1528 zapewnia, „wedle starego i chwalebnego zwyczaju, ku ozdobie całego miasta a majestatowi senatu“, rozumie się — miejskiego. Atoli inny wilkirz, pięciu laty późniejszy, szczerzéj i prościéj rzecz tę przedstawia, wyznając, „że senatorski majestat i urząd burmistrzowski poczęto lekceważyć, traktować bez uszanowania i to nietylko przez ludzi z pod innéj juryzdykcyi, ale także, co jest daleko gorszém, przez obywateli władzy naszéj poddanych.“ Pachołkowie z mieczami mieli więc złemu zaradzić, a dla większéj pewności, burmistrzowi zagrożono karą dziesięciu grzywien za każ-

dém ukazaniem się bez tego zbrojnego orszaku; gdyby zaś grzywien zapłacić nie chciał będzie złożony z urzędu i więziony w ratuszu dopóty, dopóki się nie uiści. Żeby jednak pachołkom nie uroiło się przypadkiem w głowie, iż owe miecze im samym dodają także „majestatu“, ustawa zaleca, aby odprowadziwszy burmistrza wieczorem do domu, tamże miecze zostawiali. Niepewna to wszakże w pachołkach rękojmia powagi tam, gdzie senat nietylko wchodził w zatargi z gminem, ale nawet we własném łonie jedność niezawsze dochować umiał. Rajcy np. z nieznanych nam pobudek, wyrzucili ze swego grona Stanisława Strupa, pomimo iż go wojewoda w imieniu królewskiém na urzędzie osadził. Zygmunt August surowo gromi ich za to i przywołuje do porządku. — Nieprzeszkadza to wcale, żeby panowie rajcy nie mieli rozciągać swéj powagi i do kościoła. U Panny Maryi w czasie kazań słudzy kościelni. chodząc po kweście z bursami i tacami, taki sprawiają hałas, że słów kaznodziei wcale nie słychać. Wnet zapada wilkirz, który kwesty podczas kazania zakazuje. Król Henryk ma odbyć uroczysty wjazd do stolicy; więc „zacna rada Krakowska“ postanawia iluminować miasto i nakazuje „srodze“ by przed każdym domem zawieszona była latarnia przez trzy tygodnie, pod grozą zapłacenia kary „bez wszelakiego miłosierdzia.“ Ówcześni rajcy krakowscy z panem burmistrzem Erazmem Czeczotką nietylko uprzedzili tym pomysłem iluminacyjnym nasz oświecony wiek XIX, ale go prześcignęli znacznie, bo nietylko wskazali jak wysoko wisić ma „laternia“, ale nadto oznaczyli za jaką cenę świécę kupić do niéj należy i o któréj godzinie ją zapalić, by świeciła póki całkiém nie zgorzeje. Byłoby to jednak z krzywdą dla prawdy, gdybyśmy nie dodali, że w tym samym roku, po ucieczce niedawno uczczonego iluminacyą króla, umiała rada miejska wydać uchwałę zapewniającą powszechne bezpieczeństwo i spokojność, uchwałę praktyczną i natchnioną nie zaściankowém wcale uczuciem. Znajdujemy w niéj między innemi ten ciekawy szczegół, że na znak trwogi dla zwołania ludu wytrębywano z wieży ratuszowéj „piosnkę staradawną zwykłą, ledwa nie każdemu w Polscze znajomą Bogą rodzice.“ Umiała rada miejska pilnować brukowania ulic, czyszczenia kanałów, budować wodociągi, stanowić przepisy sanitarne na czas zarazy, zaradzać pogorzelom i t. d. Gdy zasię „zacna rada“ okaże się w czém niedbałą, już nie trąba ratuszowa, ale królewski głos z zamku na Wawelu przypomni jéj obowiązki, już to dla uprzątnięcia jazów z koryta Wisły, już utrzymania w stanie obronnym murów miejskich, albo nakazując aby bluźniercy Maciejowi Sulikowskiemu odjęto urząd radziecki na Kazimierzu, w któréj-to miejscowości sekciarze, jak się zdaje, obrali sobie dogodne siedlisko.—Życie w owych

wiekach ujęte było więzami różnych korporacyi, które na wewnątrz podtrzymywały ducha braterstwa i wzajemnéj pomocy, na zewnątrz zaś odgradzały się przywilejami i niesłychaną a drobiazgową wyłącznością. Szlachta radaby pozbawić mieszczan prawa uczęstnictwa w sejmach i Zygmunt I musi potwierdzać ten przywiléj rajcom swéj stolicy w latach 1518, 1521, 1537, 1538, 1539, 1544. Mieszczanie znowu nie pozwalają nabywać własności w mieście ludziom innego stanu, a majstrem może być tylko ten, kto prawo miejskie posiada. Zygmunt August przyjął niejakiego Macieja Hiszpana na rymarza stajni królewskiéj; ale czeladź miejscowa pracować u niego nie chce, ponieważ nie wiedzą i ów przybysz hiszpański nie mógł dowieść, czy jest w swéj sztuce uczony i mistrz wykwalifikowany. Król tedy piśmiennie zaświadcza, że Hiszpan (może przodek Hiszpańskich w Warszawie) zręcznie mu roboty wykonywa i ogłasza go za majstra.—Kraków miewa zatargi ze Lwowem (niby jak dzisiaj, lubo z innego powodu); Krakowianie kłócą się z siedzącemi zaraz za murem Kleparzanami, Stradomianami i Kazimierzanami, kapelusznicy Łowiccy z Krakowskiemi, patrycyusze z pospólstwem, miecznicy z nożownikami, smatruszanki z właścicielami kramów żelaznych, śledziarki środkowych kramów z kramarzami siedzącymi z brzega, majstrowie z czeladzią, niemcy z polakami, chrześcianie z żydami. Każden broni zawzięcie sfery swéj specyalności, i w coraz ciaśniejszém kółku się zasklepia. A jakież to mnóstwo, jaka rozmaitość tych kółek cechowych. Są tu złotnicy, konwisarze, kowale, ślusarze, nożownicy i miecznicy, igielnicy i gwoździarze, ostrożnicy, strzelcy, siodlarze, rymarze, szewcy, kaletnicy, paśnicy, miechownicy, garbarze, białoskórnicy i czerwonoskórnicy, kuśnierze, krawcy, tkacze, barchanicy, sukiennicy, farbiarze, czapniki, co wyrabiają „mitry“ dla głów a „pilśnianki“ na nogi; daléj powrożniki, stelmachy, kołodzieje, stolarze, bednarze i łagiewniki, piwowarzy i słodowniki, piekarze, rzeźniki, rybitwy, prasoły, zduny, murarze i malarze, kamieniarze, cieśle i budowniczowie, barwierze, łaziebnicy, mydlarze, grzebiennicy, szmukierze; rzadzéj wspominani drukarze i księgarze, introligatorowie i kartownicy, kangisery, kotlarze, lieglarze, einlegery, krupnicy, sadlnicy, śledziownicy, karczmarze i t. d. Każde zgromadzenie cechowe, każde oddzielne rzemiosło ma swoje osobne prawa i zwyczaje, swoje uprzedzenia względem dalszych, swoje zawiści i interesa w stosunku do bliższego lub pokrewnego rzemiosła. Bywa jednakże czasami, że mniéj liczne zgromadzenia rzemieślnicze wiążą się dla własnego dobra w jeden cech wspólny. Tasznicy, paśnicy i miechownicy na Kazimierzu i Stradomiu stanowili cech jeden, a do ich związku przystępują potém tamtejsi garbarze. — Nie prędko skończyć byśmy mo-

gli, gdybyśmy wspomniéć chcieli choćby tylko o wszystkich ważniejszych przedmiotach, które z tego źródła hojnie czerpać można; urywając tedy naszą notatkę, winniśmy jeszcze nadmienić, że księga, o któréj tu mowa, wydaną została z właściwą uczonemu wydawcy starannością i znajomością rzeczy. Przy pobieżném przeglądaniu dostrzegliśmy przypadkowo na str. 55, w wierszu 7 od dołu, omyłkę druku „sub prius“, zamiast *sub penis*.

= **Encyklopedya techniczna.** *Opracowana pod redakcyą D-ra Aleksandra Weinberga.* (*Warsz. Zeszyt I*). — Nowe to wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego“ powiększa bardzo nieznaczną liczbę encyklopedyi specyalnych, jakie w języku naszym posiadamy. Rozumie się zresztą, że przymiot specyalności przyznać można tylko względnie do stanu naszego piśmiennictwa naukowego, w którém medycyna jedynie zdobyła się na dzieła i pisma istotnie specyalne, gdy tymczasem w każdéj innéj gałęzi wiedzy wszystkie wydawnictwa są mniéj lub więcéj popularne, mając na uwadze zawsze szerszy ogół. Podobnież i „Encyklopedya techniczna“ zaznacza to wyraźnie w prospekcie, że nie ma zgoła na celu podawanie specyalistom wyczerpujących traktatów, ale pragnie złożyć podręcznik popularny, dla wszystkich zrozumiały. Jeżeli jednak tenże sam prospekt mówi daléj, że ma to być rzecz zrozumiała nawet dla robotnika, którąby ucząc go, dla czego tak, a nie inaczéj daną czynność wykonywać powinien, wlała ducha w jego czysto mechaniczną pracę—to należy to uważać jedynie za zwrot stylowy. Chcąc bowiem posługiwać się jakkolwiek popularnie napisaną Encyklopedyą techniczną, należy być pobieżnie przynajmniéj obeznanym ze słownictwem i formułami chemicznemi, do czego robotnikom naszym zbyt jeszcze daleko; istotnego podręcznika Encyklopedya żadna nie zastąpi. Jakkolwiek wszakże nie jest-to książka ani dla należycie wykształconego specyalisty, ani dla robotnika, może być ona bardzo jeszcze pożyteczną dla licznego zastępu czytelników, który w niéj znaleść może potrzebne informacye. Tytuł pierwszy, *Encyklopedya techniczna*, daleko jest obszerniejszy od następnego rozwinięcia: *podręcznik technologii chemicznéj*; zgodnie z tém objaśnieniem, tylko artykuły obejmujące kwestye chemiczne dostatecznie szeroko są opracowane, inne traktowane są zbyt pobieżnie, jak np. wyrazy: *achromatyczny*, *aeronautyka*, *balony*, a nawet *barometr*. Zarzut ten dotknąć zresztą może i rzeczy w ściślejszym związku z technologią chemiczną zostających, jak np. artykułu „areometr.“ Opisy przyrządów, jako objaśnienia załączonych rysunków, w wielu miejscach nie wydały się nam dosyć jasne, jak np. aspirator, automaty.—Zaletą książki jest równomierne opracowanie artykułów chemicznych; nie wiemy jednak, dla czego

w jednych miejscach reakcye chemiczne objaśnione są wzorowaniem, gdy w innych rzecz ta jest pominięta. Język w ogólności staranny, lubo napotkaliśmy niektóre wyrazy niewłaściwie użyte: bawełna należy do rodziny a nie do „rodzaju“ malwowych; aspirator rozrzedza powietrze do znacznego „napięcia“, „pewne“ objętości płynów pochłaniają stale też same objętości gazów, — wskutek użycia niewłaściwego wyrazu „pewne“ zamiast „dane“ zdanie całe jest niejasne. Przy wyrazie „algi“ opuszczono nazwę polską wodorosty, która tak jest utartą, że czytelnik raczéj wodorostów, aniżeli alg szukać w Encyklopedyi będzie. Pisownia „coralina,“ „cristalina“, zamiast koralina, krystalina, jest zapewne niewłaściwą. Co do oznaczania przez skrócenie miar i wag należałoby posługiwać się znakami obecnie powszechnie przyjmowanemi; *kg* zamiast k°— kilogramy, *cm.* zam. cent. — centymetry; znaleźliśmy nawet rażący błąd drukarski—cent. kw. zamiast centymetry sześcienne (co oznaczyć najlepiéj cm^3 lub *cm. sz.*). Są to wszystko oczywiście usterki drobne i, powtarzamy, książka wydaje się nam bardzo użyteczną, a byłaby użyteczniejszą jeszcze, gdyby przy artykułach ważniejszych podawano literaturę danego przedmiotu — dla wielu ludzi informacya taka byłaby najcenniejszą; w zeszycie pierwszym — obejmującym artykuły do wyrazu „bizmut“ — znaleźliśmy przytoczoną literaturę tylko pod wyrazem „Anilinowe barwniki.“

= **Halina**. *Powieść wierszem przez Tadeusza Otawę* (*Warszawa. Paprocki, 1885, str. 70*).—Utwory poetyczne większych rozmiarów pojawiają się obecnie bardzo rzadko, a przyczyną tego nie jest bynajmniéj ani brak tematów, któreby się do poetycznego obrobienia nadawały, ani też brak uzdolnień rymotwórczych, gdyż i w jednym i w drugim względzie można w spółczesnéj literaturze naszéj wskazać dość liczne a niepowszedniego znaczenia przykłady. Przyczyna wzmiankowanego faktu kryje się gdzieindziéj. Poeci nasi spółcześni czują dobrze, iż dawne romantyczne formy zużyły się zupełnie, nie znalazł się zaś między nimi jeszcze żaden, coby nowe ukształtował i do rozpowszechnienia podał. W liryce zmian wielkich pod względem formy dokonywać nie było potrzeba; więc też liryka zabrzmiała nanowo, wnosząc do poezyi niejednokrotnie świeże, spółczesnością przeniknięte pierwiastki; w epice przeciwnie, trudności przedstawiają się na każdym kroku i dlatego w najnowszym okresie rozwoju naszéj epoki nie posiadamy ani jednego utworu, któryby od naśladownictwa dawnych kształtów poetyckich był wolny, któryby nowe widnokręgi w zakresie formy otwierał. Wogóle są one słabe jako całość i tylko w szczegółach ten lub ów utwór nad mier-

ność się wznosi. Poeci bardziéj utalentowani unikają epiki, nie chcąc się posługiwać kształtami przebrzmiałemi i nie mając siły do stworzenia nowych. Od czasu do czasu tylko, jakby dla utrzymania ciągłości tradycyi poetyckiéj, ukaże się powieść, któréj już nawet poetyczną nie nazywają tylko wierszowaną. Do takich należy „Halina“ Tadeusza Otawy. Obrobienie tematu jest tu w duchu romantycznym: efektowne, silnie wstrząsać mające zdarzenia są przedstawione bez należytego psychicznego umotywowania, bez trzymania się wskazówek rzeczywistości. Zadzierzgnięcie węzła powieściowego jest takież samo jak w „Kirgizie“ Zielińskiego, tylko jego rozwiązanie oraz otoczenie, wśród którego rzecz cała się toczy, odmienne. Jesteśmy w Tatrach, które autor bardzo ładnym wierszem wstępnym wynosi „ponad śnieżnych Alp złotawych blask i błękitne jezior fale“; obracamy się wśród górali. Ojciec Janosza, bohatera poematu, zabity został przez górala, zowiącego się Tatarem, co się na jego dobytek połakomił. Janosz w biedzie i sieroctwie wyrósł na dzielnego młodzieńca i pokochał córkę Tatara, Halinę. Widywano się pokryjomu. Raz wyśledził ich sędziwy Tatar. Scenę ich spotkania kreśli autor z początku zgodnie z usposobieniem i charakterem osób w niéj występujących. Janosz nie wiedząc, kto zakłócił mu rozmowę swém nadejściem, czy zwierz dziki czy „duch, co wyszedł z swojéj mogiły“, przejęty trwogą „już chwyta swoję watażkę, już chce rozpłatać zuchwalca czaszkę, brwi groźnie zmarszczył, oczyma błyska, zębami zgrzyta, watażkę ściska, zda się, że w dłoni kij pogruchocze.“ Halka z krzykiem: ojciec mój! na ziemię padła, a Tatar patrzał na nich ponuro, powtarzając wyraz ojciec.

I stali w trojgu, jakby ich siła
Jakaś tajemna w miejscu uśpiła!
Wiatr tylko szumiał. Księżyc to znika,
To znów wypływa zpoza obłoku.
Słychać hukanie w borze puszczyka
I szelest liści i szum potoku.

Janosz pierwszy się ocucił z tego odrętwienia. Wziął Halkę na rękę, uklęknął przed starcem i prosił go, ażeby mógł zostać jego zięciem, dając zarazem poznać, że odmowę pomści srogo. Gdy powiedział swoje nazwisko, Tatar zadrżał „jakby go zmora dusiła; chwycił ręką za gardło, chciał coś rzec, słowo w ustach mu zmarło, wargi się trzęsły, twarz trupio zbladła, kołpak się zsunął, ręka opadła, a wiatr rozwiewał białe kędziory.“ Dotąd sytuacya oddana dobrze. Ale od téj chwili staje się nieprawdopodobną, sztucznie przez autora wykręconą, ażeby módz przeprowadzić tragiczne zakończenie. Sikora szeptem nadmienia, że córka Tatara nigdy nie będzie żoną Janosza; Halina „ani nie płacze, ani się żali, ani się skarży wiatrom, co jęczą,“

uklękła przy ojcu i przysięgę złożyła „w duszy“, że nie zobaczy nigdy Janosza, „choć może serce pęknie z rozpaczy.“ A Janosz? Janosz topi wprawdzie groźne oko w starca obliczu, ale gdy Halina niewiadomo dla czego prosi go, żeby odszedł, bo już ona jego nigdy być nie może, Janosz najspokojniéj odchodzi tak, iż gdy niebawem Tatar się opamiętał i zezwala na zamęście, już go dowołać się nie mogą.... Dalsze następstwa łatwo odgadnąć. Janosz został rozbójnikiem: „zemszczę się, zemszczę — ryknął tak wściekle, że chyba słychać go było w piekle“, napadł na chatę Tatara, chciał wziąć z sobą Halinę, która to tuli się do niego, to go odtrąca; wreszcie wraz z nim w zażegniętych płomieniach ginie. Z powodu braku prawdopodobieństwa w chwili rozstrzygającéj, z powodu słabości wykonania scen silnych, ta „powieść wierszem“ jest mdłą, nie robi wrażenia.

= **Uwagi nad Seb. Fabiana Klonowicza poematem: „Victoria deorum“** *napisał T. Garlicki.* (*Brzeżany*, *1884*, *str.* *27*). — Po Kraszewskim i Mierzyńskim trzeci z kolei pracownik zabrał się do oceny największego łacińskiego poematu Klonowicza i cząstkę swoich studyów w świat puścił. Zajmuje się tu autor trzema tylko pytaniami: co do tytułu, co do rodzaju literackiego, do jakiego zaliczyć należy poemat „Victoria deorum“ i wreszcie co do czasu jego powstania. Przez wyraz *Dei* w napisie poematu rozumie p. Garlicki dwu „przedstawicieli cnoty: to jest Jowisza zwycięzcę dawnych olbrzymów“, oraz „Boga chrześciańskiego pogromcę wszelkich błędów,“ utrzymując, że Klonowicz wziąwszy pochop z gigantomachii mitycznéj, chciał utworzyć „gigantomachią w Polsce, w któréj wojownikami byli ówcześni panowie, fałszywém rozumieniem swego szlachectwa Boga wyzywający.“ Użycie tytułu „Victoria deorum“ przypuszczalnie objaśnia p. Garlicki tém, że Klonowicz „pragnąc zwrócić uwagę na swą pracę kilkuletnią i na oryginalność zasad w niéj wypowiedzianych, dążących do reformy socyalnéj, użył takiéj niewinnéj reklamy, takiego tytułu szumnego, ostrzącego ciekawość nawet niechętnego czytelnika.“ Poemat Klonowicza określa p. Garlicki jako „epiczno-dydaktyczną satyrę,“ przyczém uwydatnia poglądy wychowawcze poety. Czas powstania „Victorii deorum“ naznacza, zgodnie mniéj więcéj z Mierzyńskim, na czas pomiędzy 1581—1595, dodając, że już r. 1587 zaczął być poemat ten drukowanym, ale późniéj poeta wycofał go, przerobił nieco, dodał pieśń końcową i ostatecznie ogłosił r. 1595. Rozprawka świadczy o oględności i ścisłości autora w rzeczach faktycznych, ale zarazem o niezbyt wielkiém wyrobieniu sądu estetycznego, o małéj wprawie pisarskiéj i o dość szczupłym widnokręgu erudycyjnym. Powtarza za Maciejowskim, że Klonowicz jest w całéj literaturze starożytnéj Polski jedynym

poetą narodowym, że w tym względzie przewyższył samego Kochanowskiego, twierdzi, że jest pierwszym romantykiem (!) polskim. Widocznie nie wie, że formy: namie*ję*tny, namie*ję*tność, dzie*cięciom* nie są poprawne: że przy słowach czynnych z przeczeniem używa się dopełniacza (a więc nie: *sposób ten* nie uważał, ale *sposobu tego* nie uważał). Zasad wychowawczych (o karmieniu dzieci przez matki i t. p.) nie potrzebował brać Klonowicz od Glicznera, jak twierdzi Garlicki, gdyż je znajdował u pisarzy klasycznych i humanistów.

= **Miron. Poezye.** (*Warsz. Paprocki, str. 160*). — Przed laty dwudziestu pseudonim Mirona obudził dość żywe zainteresowanie się w kołach inteligentnych i zdawał się rokować piękną zdolność wśród mnóstwa spółcześnie wtedy drukujących swe wiersze. Przez lat kilka nadzieje te były trzymane przez autora w stanie zawieszenia pomiędzy pewnością a zwątpieniem, ale potém talent jego widocznie słabiał, a pióro powtarzało dawniéj już kreślone uczucia i położenia. Autor nie wychodził z zaczarowanego kółka westchnień, sarkazmu i goryczy, a nie miał dość potęgi. ażeby tym uczuciom swoim dać wyraz tak imponujący, ażeby nim zawładnąć umysłami. W czasie, kiedy najwięcéj mówiono o potrzebie pracy organicznéj, o zużytkowaniu wszelkich sił celem podniesienia dobrobytu, poeta po Mussetowsku i Heinowsku wyrzekał na świat albo drwił z niego; musiał więc być zaliczonym do rzędu kwilących bezsilnie ptasząt, na które w dziale pracy społecznéj rachować niepodobna. Usposobienie swoje i nastrój określił Miron dobrze w końcowym ustępie swego „Don Juna":

Ludzka komedyo! na scenie świata
Czterdzieści wieków grana bez przerwy,
Jakżeż ty strasznie rozstrajasz nerwy
Tym, których dusza nad błoto wzlata.
Kto na cię przybył z szczęścia pragnieniem,
To ten tak idzie jak Milton ślepy
Za melancholią, w całunie z krepy
I grób swój wita z gorzkiem zwątpieniem.

Szczegóły téj komedyi w świecie współczesnym wywołują z piersi poety jęk, albo też szyderstwo na usta. Rozporządzając dobrze wyrobioną frazeologią i wierszem, zręcznie umie on nadać pewną rozmaitość zewnętrzną utyskiwaniom swoim, tak, że pojedyńczo prawie każdy z jego liryków czyta się z niejakiém zadowoleniem estetyczném, bo chociaż umysłu zazwyczaj żadną myślą nie wzbogaca, zajmuje jako piękna forma; ale gdy utwory te znajdą się w skupieniu, niepodobna nie uczuć pewnego przy czytaniu znużenia. Ból i cierpienia znajdują tu czasami tylko takie uzewnętrznienie, że się je z pomiędzy innych poezyj wyróżnia (*Smutna Bajka, Fragment: Smutno mi Boże, Konające*).

= **Poezye Władysława Stankiewicza.** *Tom I: utwory pomniejsze, liryczne, Sonety Czarnomorskie, Tatrzańskie.* (*Warsz. str. 254*).—Jest-to nowe zupełnie nazwisko w dziedzinie naszéj literatury; jako o początkującym chciałoby się wypowiedziéć zdanie nacechowane wyrozumiałością, ale gdy się spostrzega obok wysoce wyciągniętych pretensyj, nadzwyczajną nieudolność zarówno w myśleniu jak i w wypowiadaniu myśli, odchodzi ochota do pobłażania, ażeby nie dać mimowolnéj zachęty do tworzenia temu, który jeszcze bardzo dużo przyjąć w swój umysł, bardzo dużo nauczyć się powinien. Przekonanym będąc, że jest poetą natchnionym, poetą z Bożéj łaski, p. St. poczytuje sobie za zadanie „uczyć życia sieroce plemię swojego ludu" (str. 117). Ale ze swéj strony nadmienimy, że ażeby zadanie takie spełnić, nie dosyć jest ogonki wierszom z wielkim trudem zawiązywać, nie dosyć naśladować niezdarnie Sonety Krymskie Mickiewicza i pisać sonety Czarnomorskie i Tatrzańskie, ale także trzeba wiedziéć, czego uczyć należy swój naród, myśléć jasno, znać swój język, wyrobić sobie styl, ażeby jeżeli już nie poetycznie, to przynajmniéj poprawnie po polsku do narodu przemawiać. Kto zamiast: pieśń *jego*, mówi pieśń *go*, zamiast: podróż *krótsza*, pisze: podróż *więcéj krótka*, kto nie umie używać słów czynnych z przeczeniem, a po słowach biernych kładzie rzeczowniki żywotne w narzędniku, kto się biedzi nad wtłoczeniem w wiersz oznaczonéj liczby zgłosek z pogwałceniem gramatyki i stylu; kto pomysłów swych nie potrafi wypowiadać jasno: ten niech się sam uczy i to bardzo pilnie, zamiast rwania się do niesienia nauki sierocemu plemieniu swego narodu. Sieroce to plemię pomimo swego sieroctwa ma jeszcze w sobie zasobów umysłowych dosyć, ażeby się mogło obejść bez porady zarozumiałych nieuków. Zamiary autora zapewne są dobre, a program, który sobie kreśli, żeby ciemnotę znieść, wyrwać sztylet z bratnich rąk Kaima, łzami mąk omyć ten świat, by z ziemi był raj, a aniołem kat, ma przynajmniéj tę zaletę, że przypomina program wielkiéj poezyi romantycznéj; ale niestety, to co w ustach geniuszu i potężnego talentu ma znaczenie, powtórzone przez liliputa staje się tylko śmiesznérn, przypominając bajkę o wole i....

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kilka słów o chwili obecnéj.—Praca organiczna i jéj przeciwnicy.—Złe jéj zrozumienie i bezzasadność czynionych jéj zarzutów.—Dzieje Towarzystwa popierania przemysłu i handlu jako ilustracya trudności, spotykanych na drodze naszego życia społecznego.—Projekt „Banku kredytu rzeczowego.“ Projekt do prawa o rejestracyi handlowéj.—Przejawy usiłowań wyzyskania zaniedbanych gałęzi pracy.—Świeże rozporządzenia władzy szkolnéj: o języku wykładowym w szkołach gminnych żydowskich i składaniu świadectw o odbytéj spowiedzi przez nauczycieli prywatnych.

Była to groźna chwila na morzu.. Rozkołysane wichrem fale miotały zaciekle okrętem bez steru. Połamane maszty, reje splątane poszarpanemi w szmaty żaglami zawalały pokład chaotycznie, utrudniały ratunek załodze głodnéj, znużonéj i długo już a daremnie dopatrującéj po całym horyzoncie, czy nie zabłyśnie gdzie światełko choćby odległéj latarni portowéj. Daremnie!

Ale żądza życia jest najwytrwalszym z instynktów. Przycichnąć może czasami, ręce opadną na dłuższą lub krótszą chwilę prostracyi, zwątpienia czy namysłu, i znowu życie cuci się do dzieła. Co robić jednak? Głosy się dzielą, sprzeczne ścierają zdania, powstaje zamieszanie i zgiełk bezładny, namiętny, wrzaskliwy, niby parodyujący odgłosy burzy a w rzeczywistości potęgujący jéj grozę. Ten przeklina chwilę, w któréj wsiadł na okręt: nie okręt to, ale wątła krypa, niedbale z lichych zbita desek, i wartoż ją ratować? Owemu coś zaświeciło w oczach: może to ognik św. Elma, może w ciemności poprostu sam uderzył głową o podstawę złamanego masztu, może błyskawica przemknęła gdzieś na dalekim krańcu horyzontu. Sam biedak nie wie, czy brać ma to za światło portowe, czy za gwiazdę polarną, ale z dziecinnym uporem radzi, by ku niéj skierować okręt... bez steru. —„Wrzucić cały ładunek statku do morza,“ woła trzeci, „a nawa wynurzy się z wody i prędzéj do jakiego brzegu przybije.“ Inny wreszcie, by część załogi przynajmniéj ocalić, namawia gorliwie, aby

zwinąć starą flagę, porzucić okręt i w szalupie szukać zbawienia; puścić ją na wolę wichru, który o ile znęcał się nad sporym statkiem, o tyle łaskawszym będzie dla szczupłéj łodzi. Uczenie tedy wykłada, że im większa jest powierzchnia poruszającego się ciała, tém większy opór napotyka nawet w spokojném powietrzu, a cóż dopiero wśród burzy. Huragan tymczasem ani myśli się uspakajać, a siejąc zniszczenie na pokładzie, praktycznie wywody mówcy obraca wniwecz, i od próby na szalupie odstręcza. Część żeglarzy lamentuje na pokładzie, nie wiedząc za którym z niezgodnych pójść głosów; inni robią, co mogą robić, zstępują do wnętrza, zatykają w ścianach szczeliny, stają do pompy, by usunąć wodę, która się gwałtownie wciska, na wyższe piętro wynoszą proch, żywność i różne zapasy, ratując od zamoczenia,—lub zbijają ster nowy, w nadziei, że ten statkiem kierować pozwoli. Czy się nadzieja ziści dziś, czy jutro? Pytanie to może im się nieraz przez myśl przesuwa, ale na gorliwość pracowników, na dokładność podjętéj przez nich roboty—wpływu szkodliwego nie wywrze nigdy. Zajętych pracą nie przerazi ani widok szczerzącego zęby rekina, ani też odwracając odeń oczy, nie dadzą się uwieść ułudnym wdziękom syreny: daremnieby pieśń sławiła rozkosze, które w tych muskularnych objęciach czekają żeglarza.

Incidit Scyllam, qui vult vitare Charybdim.

Obraz powyższy powtarzał się nieraz w przeszłości i zapewne nieraz jeszcze powtórzy. Chaos pojęć, dysharmonia głosów, zwątpienie przeplatane złudzeniami—to zwykłe produkty smutnéj chwili. Wtedy to, bardziéj niż kiedyindziéj, chłodna a wszechstronna rozwaga winna być jedynym kompasem. Nie bez słuszności powiedziano, że niema takiéj przepaści, którejby polityka zapełnić nie zdołała; ale i w przepaści dno być powinno i tego dna pogłębiać ciągle nie trzeba. Beczki Danaid napełnić przecież niepodobna.

Stara baśń głosi, że kiedy w Rzymie rozstąpiła się ziemia, tworząc otchłań niezmierną, co było wróżbą grożącego miastu nieszczęścia, znalazł się dzielny rycerz, który na łeb do niéj wskoczył, czyniąc z siebie ofiarę bogom. I nie zawiódł się, gdyż przepaść wnet nad nim się zamknęła. Dziś w takie baśnie wierzyć nam trudno, a jednak Marek Curtius znajduje jeszcze wielbicieli, którzy do naśladowania go zachęcają. Ha, trudno! i z tém się oswoić trzeba. Przepaść magnetyzuje wzrok organizmów cierpiących—*abyssus vocat*—a świeży prozelita gorliwym jest zwykle apostołem. Gani surowo wszelkie dawniejsze próby, gdyż—jak powiada—wszystkie zawiodły; jego natomiast rada jedynie jest zbawczą, bo... on tak mówi. Zapew-

ne, jeśli równoważnikiem szczęścia jest nie mieć żądz i potrzeb niezaspokojonych, to abdykacya zupełna, zrzeczenie się wszystkiego, trafną być może receptą na szczęście, tak pojmowane. Lecz czy to będzie życiem? Czy wskazywany ideał wart tego, by mu choćby najmniejszą rzeczywistość poświęcić? Czy wreszcie, kwapienie się ku niemu doprowadzi choćby do tego złudnego celu?

Jakież widoki porozumienia między językiem, który mówi wiele, zawiele nawet, skoro o swéj bezwładności zapewnia, a ręką, która zaufana w swych muskułach, uderza, ale milczy i na rezonowania języka nie zważa? Krasicki zaręcza, że „mądry przegadał, ale"..., w tym razie nawet nadziei przegadania niema, bo téż pono i mądrość nie dopisała.

Pokrewieństwo rodu? Jakże to dziwnie brzmi obok lekceważenia polityki serca,—boć przecię serce jest głównym przyrządem obiegu krwi w organizmie. Lecz mniejsza o to. Pokrewieństwo rodu, zapewne, to fakt, ale na nim jednym nie wiele zbudować można: znany z Biblii układ za misę soczewicy między rodzonemi braćmi się zdarzył. Wspólność interesu? Bezwątpienia, mocniejsza to podstawa; trzebaby jednak, aby obiedwie strony jednakowo go rozumiały, a tego dzisiaj trudno dopatrzéć.

Szalonym byłby chyba wędrowiec w Saharze, gdyby chcąc ugasić pragnienie, które go w danéj trapi chwili, zbaczał z toru wskazywanego przez gwiazdy stałe, dla jakichś mglistych majaków; współczucie dla błąkającego się w manowcach nakazywałoby rzucić mu przestrogę poety:

Beduinie opętany,
Gdzie lecisz? Tam huragany!

Tyle jest słów o najnowszéj chwili.

Kto uważnie czytuje nasze pisma peryodyczne, ten nie mógł nie zauważyć, że przyjęty i uznawany do niedawna jeszcze powszechnie program „pracy organicznéj" od paru lat z wielu stron i w rozmaity sposób coraz częściéj i ostrzéj zaczyna być krytykowany. W krytykach tych jeden tylko kierunek, reprezentowany przez organ rozhukanego radykalizmu warszawskiego, ma za podstawę jakąś myśl określoną, jakkolwiek bynajmniéj nie dodatnią. Zalecana przezeń na miejsce pracy organicznéj „praca klasowa," gdyby się rzeczywiście zaszczepić na naszym gruncie dała i szerzéj rozrosła, przyniosłaby owoce bardzo opłakane. Na to zgodzi się każdy, kto tę ciemną metaforę dobrze rozumie i przez nienawiść do

„kapitalizmu“ zdrowych umysłów nie stracił. Z tego powodu „klasowych“ krytyków owych możemy pozostawić w spokoju.

Czego chcą inni przeciwnicy pracy organicznéj, trudno doprawdy odgadnąć? Jedni z nich, nie zwracając uwagi na wszelkie protesty ze strony propagatorów tego hasła, z widoczną złą wiarą utożsamiają je ciągle z nieprzebierającém w wyborze środków, dążeniem do osobistego bogacenia się, i prawią na ten temat tysiące najdziwaczniejszych niedorzeczności. Ci, naturalnie, najmniéj są szkodliwi. Inni znowu, rozumiejący przez to wyrażenie jedynie rozwój przemysłu i handlu, już w imię źle zrozumianych przez się interesów klasy rolniczéj bezwzględnie rzucają nań anatemat, już widząc, że dwie te ważne gałęzi pracy społecznéj dostają się głównie w ręce elementów napływowych, składają winę tego faktu nie na niezaradność naszą, na niewykonywanie z naszéj strony postawionego sobie programu, ale właśnie na sam program. Niekonsekwencya podobnego rozumowania jest tak widoczna, że uwydatniać jéj niepotrzeba. Rzecz naturalna, że wszystkie tego rodzaju zabawne zarzuty rozwoju przemysłu nie powstrzymają, ale smutną ich stroną jest to, że szerzą one niepotrzebnie wśród ogółu szkodliwy pesymizm, zrażający społeczeństwo do pracy przedsiębiorczéj i skłaniający je do bezradnego opuszczenia rąk i utraty zaufania we własne siły. Oto np. w jak czarnych barwach maluje stosunki ekonomiczne kraju, jeden z takich niepowołanych, a lekkomyślnych krytyków: „Rzecz dziwna! Fabryki rosną, a ogólny stan ekonomiczny kraju nie podnosi się wcale majątki ziemskie upadają, lub przechodzą w niemieckie ręce; rolnictwo nie może się wydobyć z dawnéj rutyny; rękodzieła, ściśle biorąc, upadają; klasy średniéj, mieszczaństwa nie widać, a lud jak dawniéj z dnia na dzień żyje kartoflem, wreszcie pieniądz coraz trudniejszym i droższym się staje, a lichwa szerzy się w przerażający sposób. Belgowie północy, jak się nazwaliśmy, mimo rozkwitu fabryk upadają z dniem każdym—nie jest to tajemnica dla nikogo.“ Co za korzyść, pytamy, z takiego umyślnego malowania sadzami fizyognomii kraju? Wszystkie te zarzuty stosować się mają do całego ostatniego dwudziestolecia i wszystkie składają się na karb rozwoju przemysłu pod hasłem „pracy organicznéj.“ A czyż to prawda, że w ciągu tego okresu położenie ludu wiejskiego wcale się nie polepszyło, lub że pieniądz stał się wogóle trudniejszym do nabycia i droższym? Dość sobie uprzytomnić szybki rozwój rozmaitych znanych powszechnie instytucyi kredytowych w ciągu ostatnich lat kilkunastu, oraz niezaprzeczony, a ciągły postęp parcelacyi majątków ziemskich, by stanowczo temu zaprzeczyć. Zapewne, że sprzyjające przez czas tak długi warunki ekonomiczne można było wyzyskać znacznie

lepiéj, ale nikt nie ma prawa twierdzić, że nic w tym kierunku nie zrobiono, a témbardziéj składać winy za braki na tych, co właśnie do pracy w tym względzie nawoływali. Że majątki ziemskie upadają i przechodzą w ręce Niemców, to prawda; lecz czyż temu winien rozwój przemysłu, że właściele ziemscy nie potrafili skorzystać z długotrwałéj zwyżki cen na produkty rolne i zamiast oczyścić swe hypoteki i ulepszyć gospodarkę, bardziéj się jeszcze zadłużyli życiem nad stan i zakostnieli w rutynie. Nieliczne wyjątki z tego ostatniego smutnego prawidła dowodzą, że kto szczerze się przejął zasadą pracy i oszczędności, ten mógł zrobić wiele. Kto więc nie zrobił nic, przedewszystkiém sam sobie jest winien.

Zauważmy wreszcie, że programu „pracy organicznéj" nie wyczerpuje bynajmniéj sam rozwój przemysłu i handlu, jak to rozumieją jego przeciwnicy. Propagatorowie tego programu nigdy go do tak ciasnych ramek nie ograniczali. Postęp ekonomiczny kraju, to jedna tylko strona, lecz obejmuje on zarazem pracę nad postępem moralnym i umysłowym społeczeństwa, a więc nad postępem oświaty, dobrobytu i moralności, oraz nadewszystko—nad podniesieniem we wszystkich warstwach narodu poziomu pojęć i *uczuć społecznych*, które by nas zachowały od zagłady pod działaniem wrogich naszym interesom i dążeniom żywiołów. Prawda, że w tym kierunku zrobiliśmy bardzo mało, nic prawie; prawda, żeśmy często zapominali nawet o tém, cośmy robić zamierzali i byli powinni—a zarzut ten stosuje się przedewszystkiém do nas: dziennikarzy i literatów; prawda, żeśmy nie starali się dość usilnie o stworzenie instytucyi, potrzebnych do osiągnięcia zamierzonych przez nas celów, żeśmy istniejących nie popierali tak, jakbyśmy mogli i powinni, pozostawiając je najczęściéj na łaskę kilkunastu zamożnych jednostek, które podołać same trudnemu zadaniu nie mogą; prawda, że kierownicy ich i te szczupłe środki, jakie posiadali, wyzyskiwali często niedbale—wszystko to prawda, lecz winą tego wszystkiego nie był program, ale niewykonanie go, ale apatya i lenistwo naszéj inteligencyi, oraz słabość uczuć obywatelskich wśród naszego ogółu i niedość sumienne i gorliwe spełnianie przez redaktorów i dziennikarzy ciążących na prasie naszéj obowiązków społecznych. Nie obalać więc program potrzeba, ale go rozszerzyć i nawoływać rozumnie, wytrwale i gorąco wszystkie warstwy społeczne do spokojnéj, ale stałéj, zgodnéj, mrówczéj pracy nad przeprowadzeniem go we wszystkich kierunkach działalności, mającéj na celu wlanie soków odżywczych w arterye omdlałego pod ciężkiem brzemieniem licznych przejść, cierpień i zawodów organizmu społecznego.

Chcąc jednak być sprawiedliwymi, winniśmy jeszcze dodać, że jakkolwiek z ciężkich grzechów apatyi naszéj zupełnéj absolucyi udzielić sobie nie mamy prawa, to wszakże do pewnego stopnia przynajmniéj tłómaczą ją tysiące trudności i zawodów, jakie na bolesnéj drodze naszego życia społecznego co krok stopy nam ranią. Pomimo to wszystko przecież pamiętać należy, że w trudnéj walce o byt ten tylko utrzymać się może, kto umie mniejsze przeszkody łamać, przy nieprzełamalnych zaś przystosowywać się do okoliczności i korzystać z każdej, choćby najbardziéj stroméj i kamienistéj ścieżynki, prowadzącéj do celu. Za ilustracyą uwag powyższych mogą nam posłużyć krótkie dzieje warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu bardzo rozumnie i ze znajomością rzeczy skreślone w Nr. 40 petersburskiego „Kraju". Pomijając na dzisiaj uwagi nad działalnością Towarzystwa i jego wewnętrznem urządzeniem, przytoczymy tutaj tylko kilka danych, dotyczących jego powstania, oraz losu uchwalonych przez nie wniosków i projektów. „Myśl zorganizowania w Warszawie — pisze wzmiankowany tygodnik — instytucyi ekonomicznéj na kraj cały, nieraz zaprzątała umysły ludzi inicyatywy, pragnących wypełnić szczerbę, powstałą w publicznéj opiece gospodarczéj kraju, po zniesieniu „Towarzystwa rolniczego." Ale zarówno pamięć świetnych, autonomicznych czasów tego towarzystwa była jeszcze zbyt świeżą, jak i dążności inteligencyi miejscowéj, zbyt tym wspomnieniom oddane, ażeby można było myśléć o stworzeniu, na miejsce dawnego, takiego towarzystwa, któregoby początek i koniec atrybucyi leżał gdzieindziéj, niż w Warszawie. Gdy zaś usiłowania w pożądanym kierunku, przy panującym w rządzie systemie wyrównywania odrębności administracyjnych na kresach z urządzeniami cesarstwa, nie mogły odnieść skutku, więc ostatecznie nie przedsiębrano nic, przekładając wyczekiwanie „lepszych czasów" nad skromną wprawdzie, lecz zawsze lepszą od bezczynności, akcyą w zakresie istniejących warunków. Ta bierna powściągliwość uwydatniła się szczególnie silnie po roku 1872, gdy dwa projekty towarzystw naukowo-ekonomicznych wyłącznie na Królestwo polskie nie trafiły do przekonania władz odpowiednich w Petersburgu. Pierwszy z tych projektów z r. 1870, podpisany przez pp. Feista, Frageta, Gracyana Jegera, Aleksandra Łapińskiego, Aleksandra Makowieckiego, Antoniego Nagórnego, Rudzkiego, Spiessa, Szlenkiera. Adolfa Szolcego i Aleksandra Temlera, miał na celu utworzenie „Towarzystwa zachęty przemysłu i rzemiosł" i obejmował między innemi muzeum przemysłowe i wystawę rękodzielniczą. Drugi z r. 1872—nosił tytuł szerszy: „Towarzystwa zachęty przemysłu, handlu i rolnictwa" i podpisany był przez pp. Gebethnera, Łoj-

kę, Makowieckiego i Okręta. Gdy obadwa te projekty przez władzę odrzucone zostały, wśród pewnego koła przemysłowców, pragnących bądź-co-bądź wynaleść jakąś drogę działania, powstała myśl zastosowania się do okoliczności i założenia w Warszawie oddziału, istniejącego już naówczas petersburskiego „Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.“ Podanie w tym celu podpisali pp. Brun, Feist, Handtke, Hoch, Jacobi, Franciszek Łapiński, Mrozowski, Nagórny, Woroncow-Weliaminow i Zinger. Zostało ono przyjęte przychylnie i zatwierdzone d. 15 Grudnia 1872. Lecz projekt filii towarzystwa petersburskiego do tego stopnia w szerszém kole przemysłowców nie znalazł współczucia, że z powodu braku uczestników instytucya nawet zawiązana nie została. Najważniejszą z pobudek tego faktu, jakie podawali przeciwnicy filii, była obawa, „czy centralne towarzystwo petersburskie, przeznaczone do ochrony i zachęty rosyjskiego przemysłu i handlu, zechciałoby skutecznie zajmować się sprawami naszego przemysłu i handlu i czy tym sposobem nie zachodziłyby pewne kolizye interesów i przeciwieństwa, trudne do pogodzenia.“ Niewłaściwém się téż wydawało, żeby $1/3$ składek od tutejszych członków szła na zasilenie kasy centralnego towarzystwa.

Po upadku powyższego projektu przeszło całe lat 11 na wyczekiwaniu zmiany nieprzychylnych okoliczności. Gdy jednakże nadzieję rychłego jéj nadejścia rzeczywistość coraz bardziéj rozpraszała, z drugiéj zaś strony potrzeba jakiejkolwiek instytucyi, któraby się zaopiekowała interesami ekonomicznemi kraju, jednoczyła rozstrzelone jego siły i nadawała im właściwy kierunek, stawała się coraz bardziéj naglącą, panująca dawniéj w umysłach alternatywa: samodzielność, lub bezczynność, poczęła ustępować miejsca w opinii ogółu praktyczniejszemu zapatrywaniu, iż należy wyzyskiwać wszelką sposobność, mogącą jakąkolwiek drogą i choćby w części przynajmniéj doprowadzić do zamierzonego celu. I oto pod wpływem takiéj zmiany poglądów, zatwierdzony powtórnie za inicyatywą i staraniem p. Wł. Kiślańskiego, projekt utworzenia w Warszawie oddziału towarzystwa petersburskiego pozyskał sobie powszechnie gorące uznanie i z początkiem roku zeszłego pod bardzo dobremi wróżbami wszedł rzeczywiście w życie. Na pierwszém zgromadzeniu d. 8 Marca r. z. znalazło się już 203 uczestników oddziału, zarówno z Warszawy, jak i z rozmaitych ognisk przemysłowych w Królestwie, a liczba ta wzrosła dziś do 400 zgórą. Z jakim zapałem zabrali się członkowie towarzystwa do pracy, i ile rozmaitych ważnych dla gospodarstwa kraju spraw podnieśli i przedyskutowali, wiedzą czytelnicy z pism codziennych. Tego jednak zapewne dokładnie nie

wiedzą, jaki los spotkał uchwalone dotąd wnioski. Otóż pewna liczba, których wprowadzenie w życie zależało od samego oddziału warszawskiego, (jak np. założenie stacyi meteorologicznych i sporządzenie kilku ankiet rozmaitych) w części, lub w zupełności urzeczywistniona już została. Wszystkie zaś te, które odesłane zostały do komitetu Towarzystwa w Petersburgu.... leżą dotąd spokojnie w jego aktach. Komitet, pomimo to, że uchwały komunikowane mu były pojedynczo, na *żadną* z nich *dotąd nie odpowiedział*, *żadnéj do opinii właściwych władz nie podał*, żadnéj, począwszy od skromnego wniosku o udogodnieniu w przewozie drobiu, a skończywszy na uchwale, dotyczącéj ekonomicznych dróg żelaznych. „Jest to—dodaje *Kraj* — najprzykrzejsza strona krótkiéj historyi oddziału, która z czasem, gdy komitet w dalszym ciągu zechce w podobny sposób traktować prace największych filij swoich, może, jeżeli nie zniechęcić przemysłowców do uczestnictwa w oddziale, to z pewnością wpłynąć na zmianę kierunku całéj jego działalności.“ W tym téż duchu radzi autor towarzystwu naszemu w ostatecznych swych wnioskach zredukować interwencyą do władz rządowych za pośrednictwem komitetu petersburskiego jedynie do spraw szczególnéj wagi, na pierwszym zaś planie swego programu postawić rozbudzanie sił wytwórczych kraju za pośrednictwem szeregu instytucyj lokalnych, a przedewszystkiém skierować całe swoje siły do utworzenia biura statystyczno-informacyjnego dla potrzeb przemysłu i rolnictwa. Praktycznéj téj radzie szczerze przyklaskujemy.

O niczém u nas tyle się dziś nie pisze i nie mówi, co o potrzebie wzmożenia i rozszerzenia kredytu publicznego dla przedsiębiorstw wszelkich kategoryi. Bo rzeczywiście potrzeba ta bardzo jest wielka i nagląca! Szybki rozwój przemysłu i handlu z jednéj strony, oraz trudne obecne warunki bytu własności ziemskiéj z drugiéj—sprawiły, że istniejące instytucye kredytowe nie mogą podołać wszystkim, ciążącym na nich i rosnącym ciągle zadaniom. O ile przytém wiele bardzo dogodnych form kredytu nie zostało u nas dotąd prawie wcale wyzyskane, o tyle znowu niektóre kategorye własności, jak np. drobna własność ziemska, nie korzystają wcale, lub prawie wcale z dobrodziejstw kredytu publicznego, a zwłaszcza długoterminowego i amortyzacyjnego. Potrzebie téj mógłby w znacznym stopniu uczynić zadość projektowany w tutejszych kołach finansowych „Bank kredytu rzeczowego“, którego ustawę w ważniejszych jéj punktach przedstawiła przed kilkoma tygodniami gazeta *Wiek*. Bank ten łączyć ma w sobie kredyt hypoteczny z ruchomym, gdyż udzielać zamierza pożyczki zarazem pod zastaw majątków ziemskich, nieruchomości miejskich, zakładów przemysłowych, jako-

też papierów procentowych, płodów rolnych i rozmaitego rodzaju towarów. Kapitał zakładowy banku ma być zebrany w drodze emisyi akcyi, początkowo na sumę 3 mil. rubli. Pożyczki hypoteczne udzielać chce projektowana instytucya do wysokości: 75% wartości szacunkowéj dóbr ziemskich, 50% wartości nieruchomości miejskich i 40% wartości fabryk i innych zakładów przemysłowych, a to na pierwszy numer hypoteki, lub bezpośrednio po wierzytelnościach towarzystw kredytowych: ziemskiego i miejskiego. Normy te dosyć znacznie wyższe od przyjętych przez istniejące towarzystwa, pozwoliłyby skorzystać z nowego źródła taniego kredytu wszystkim trzem wzmiankowanym kategoryom własności nieruchoméj, a nadewszystko fabrykom, którym Tow. Kred. miejskie udziela pożyczki tylko w stosunku do wartości samych budowli. Nowy bank więc oddałby wielką usługę naszemu przemysłowi. Ponieważ przytém działalność banku rozciągać się ma na całe Królestwo i minimalna wartość majątków, mogących korzystać z pożyczek hypotecznych oznaczona została tylko na rs. 500, więc nowa instytucya wyświadczyłaby prawdziwe dobrodziejstwo zarówno drobnéj własności ziemskiéj, jak właścicielom nieruchomości miejskich w miastach prowincyonalnych, nie posiadających własnych towarzystw kredytowych, gdyż, jak wiadomo, obiedwie te kategorye majątków pozbawione są dotąd kredytu hypotecznego.

Pożyczki udzielać się mają długo i krótkoterminowe: pierwsze—na hypoteki ziemskie na 43½ lat, oraz na hypoteki miejskie i zakłady przemysłowe na 18 lat i 7 miesięcy; drugie—na hypoteki majątków nieruchomych na przeciąg czasu od 1 do 6 lat (pożyczki melioracyjne), oraz na ruchomości—do 9 miesięcy. Od pożyczek długoterminowych płacić będą dłużnicy co 6 miesięcy: 3% procentu, ³/₄% na kapitał zapasowy i wydatki administracyjne, oraz ¹/₄% na amortyzacyą długu zaciągniętego na 43½ lat, lub 1½% na umorzenie długu z terminem 18 lat 7 miesięcy. Ogółem więc *raty roczne* dłużników pierwszéj kategoryi wynosić będą 8%, drugiéj—10½%. Warunki oprocentowania pożyczek na ruchomości określane będą przez zarząd banku, stosownie do ich terminu.

Jak widzimy z powyższego przedstawienia, projektowany „Bank kredytu rzeczowego" mógłby się stać prawdziwie zbawczą instytucyą dla szerokiego koła producentów i właścicieli, upadających dziś często pod brzemieniem długów lichwiarskich. Czy jednakże uzyska on zatwierdzenie? Przewidzieć trudno! Poczekajmy więc, co nam czas na to odpowie.

Jedną z wielu przyczyn wysokiéj stopy procentowéj w kraju naszym jest między innemi niedostateczne często zabezpieczenie

praw wierzycieli. Ma to miejsce szczególnie w sferze stosunków czysto handlowych, gdzie jednakże kredyt tak ważną odgrywa rolę. Gdy np. przy obecném położeniu rzeczy handlujący sprzeda podstępnie swoję firmę bez wiedzy wierzycieli, ci ostatni w takim tylko razie mogą dochodzić swych praw na nabywcy, jeżeli potrafią sądownie dowieść, że wiedział on o długach, ciążących na firmie, co jest rzeczą nadzwyczaj trudną. Skutkiem tego sprzedaże symulacyjne trafiają się u nas bardzo często i narażają wierzycieli na wielkie straty, które, naturalnie, wpływają na podniesienie stopy procentowéj. Dla zapobieżenia tego rodzaju nadużyciom przed dwoma już blisko laty w pewném kole prawników i kupców powstała myśl postarania się o wprowadzenie do obowiązującego u nas kodeksu handlowego prawa o rejestrowaniu firm w sądzie handlowym, na wzór tego rodzaju praw, istniejących zagranicą. Prawo takie, przenosząc odpowiedzialność za długi z osoby właściciela na samę firmę i zmuszając pierwszego do ujawniania wszelkich ważniejszych faktów prawnego znaczenia, powodujących, lub mogących spowodować zmianę stosunków majątkowych firmy, zwiększyłoby znacznie bezpieczeństwo praw wierzycieli. W celu urzeczywistnienia téj myśli przy tutejszym komitecie giełdowym zawiązał się specyalny komitet, złożony w części z kupców, w części z prawników i pozostający pod kierownictwem prezesa warszawskiego sądu handlowego. Komitet ten większością głosów uchwalił, że: 1) zamierzane prawo obowiązywać ma w granicach Królestwa Polskiego; 2) za podstawę służyć mu winny normy prawa cywilnego, obowiązującego w kraju naszym; 3) rejestracyi ulegać mają wszyscy handlujący, z wyjątkiem osób, trudniących się handlem drobnym, kramarstwem i t. p.; wreszcie 4) rejestrowanie będzie obowiązkowe. Do opracowania szczegółów przyszłego prawa na tych ogólnych zasadach wybrana została komisya w osobach pp. Flamma, Mijakowskiego, Rozenbluma, Wieniawskiego i Zawadzkiego, którzy redakcyą projektu powierzyli mecenasowi Flammowi. W tych czasach właśnie p. Flamm złożył gotowy już elaborat projektu, nadawszy mu tytuł: *Prawa o rejestracyi handlowéj*, gdyż, jak to było do życzenia, oprócz firm, rozciąga on obowiązek rejestracyi do innych jeszcze kategoryj wydarzeń prawnych, mających szczególne znaczenie dla osób trzecich w świecie handlowym, a mianowicie: do zezwoleń, dawanych małoletnim na prowadzenie handlu, wyroków, uznających prawną niezdolność handlujących, intercyz, przywilejów nieletnich i osób prawnéj woli pozbawionych, oraz przywilejów mężatek. Debaty komisyi nad przedstawionym memoryałem rozpoczęły się d. 26 października. O ich rezultacie nie omieszkamy czytelników powiadomić.

Ciężkie próby, jakie przechodzi obecnie gospodarstwo rolne, prowadzone u nas dotąd rutynicznie i oparte prawie wyłącznie na produkcyi ziarna, przyniosą nam może i owoce dodatnie. Tak przynajmniéj nakazują przypuszczać dosyć liczne fakty, dowodzące, że zaczynamy się żywo krzątać około wyzyskania zaniedbanych dotąd gałęzi pracy, pozostających w związku z przemysłem rolnym. Jak wiadomo, wystawa rolniczo-przemysłowa dała początek spółce nabiałowéj; ogrodnicza—rzuciła ziarno spółki, mającéj na celu skup i sprzedaż owoców na wielką skalę. Teraz znów dowiadujemy się z „Chwili,“ iż świeżo trzéj obywatele ziemscy zawiązali spółkę handlu wołami opasowemi, do któréj pragną wciągnąć jak największą liczbę uczestników; aby tym sposobem skuteczniéj konkurować z dotychczasowymi uprawiaczami tego handlu, cieszącymi się dotąd prawdziwym monopolem. Nowa spółka ma zamiar rozséłać specyalnych ajentów po kraju, skupować wybrakowane woły robocze, oraz zakontraktować znaczną ilość bydła stepowego. Następnie zawrzeć układy z właścicielami gorzelni, w celu tuczenia chudych sztuk wywarem. W majątkach takich zbudowane zostaną odpowiednie obory dla wołów, które po wypasieniu transportowane będą na targ praski. Przedsiębiorstwo to, jeżeli dobrze zostanie pokierowane i do większych wymiarów się rozrośnie, będzie mogło wpłynąć na podniesienie hodowli bydła opasowego w kraju naszym, dotąd bardzo mało rozwiniętéj. Z tego względu życzyć mu należy jak najszerszego poparcia.

Z dziedziny szkolnictwa mamy do zanotowania dwa świeżo wydane rozporządzenia zarządu warszawskiego okręgu naukowego. Pierwsze z nich odnosi się do żydowskich szkół gminnych i stanowi, że we wszystkich takich szkołach zachowane być winny następujące prawidła:

1) Wszystkie przedmioty, z wyjątkiem biblii i religii, mają być wykładane w języku rosyjskim.

2) Na ścianie, w widoczném miejscu wywieszona być winna lista uczniów z wymienieniem imienia, nazwiska i wieku tychże, jako też miejsca zamieszkania rodziców.

3) Ławki szkolne urządzone być mają według przepisanego wzoru, znajdującego się u komisarza cyrkułu, z którym stolarz w tym względzie porozumiéć się winien.

4) Szyld, wyłącznie w języku rosyjskim, wywieszony być ma od ulicy, z wymienieniem imienia i nazwiska, utrzymującego szkołę.

5) W każdéj szkole znajdować się powinna księga wizytowa. Księgi takie tanio nabyć można w każdéj kancelaryi cyrkułowéj.

Drugie rozporządzenie opiewa, że wychowańcy uniwersytetu, pragnący udzielać lekcye na pensyach prywatnych, oprócz złożenia dowodów osobistych i dyplomu uniwersyteckiego, oraz odbycia lekcyi próbnéj, co wszystko było już wymagane dawniéj, obowiązani są nadto na przyszłość składać poświadczenia kościelne o odbytéj spowiedzi. Nowy ten przepis nie stosuje się wyjątkowo do wychowańców wydziału historyczno-filologicznego. Widocznie wyrobili sobie oni ustaloną u władzy opinię pobożnych. Tém lepiéj dla nich!

NEKROLOGIA.

† **Faustyn Świderski** zmarł w Mzurowie (pow. będzińskim) 29 września. Urodził się on 14 lutego 1821 r., kształcił się w Krakowie ożeniwszy się r. 1846, pracował wciąż jako rolnik na zagonie ojczystym, pisując jednocześnie korespondencye do różnych gazet. Jako humorysta a raczéj satyryk, wystąpił po raz pierwszy na widownią literacką w „Wolnych Żartach“ odtąd jako Bocian a późniéj ex-Bocian licznemi wierszowanemi satyrami karcił usterki i wady społeczne. Poczciwa dążność, czasami trafny koncept, wiersz prosty a zamaszysty sprawiały, że utwory jego pióra ceniono i zamieszczano już-to w pismach humorystycznych już-to nawet w codziennych politycznych. Od r. 1873 tj. od czasu założenia „Tygodnia Piotrkowskiego“ był stałym tego pisma współpracownikiem. Zbiór wierszy ego wyszedł r. 1884 w Częstochowie nakładem Fuchsa.

† **Marya Bartusówna** zmarła 2 paźdz. we Lwowie. Znana była jako poetka niemałego talentu, oraz jako nauczycielka szkół ludowych. Urodziła się 10 stycznia 1856. Ojciec jéj, ubogi malarz portrecista nie mógł jej dać wykształcenia; tak dalece że nawet na nauczycielkę ludową wykształcić się nie mogła; miała więc zamiar zostać aktorką, ale i pod tym względem siły jéj nie sprostały chęci. Dostawszy zapomogę od hr. Róży Krasińskiéj, ukończyła studya pedagogiczne w Krakowie i dostała posadę nauczycielki w Sokolnikach pod Lwowem; niebawem wszakże przeniesiona do wsi Nienadowéj, zamieszkałéj przez ubogi ciemny lud rusiński, wśród najgorszych warunków materyalnych i umysłowych przemęczyła się; a gdy dostała suchot gardlanych i piersiowych, musiała opuścić posadę i przeniosła się do Lwowa, by szukać ratunku. „Koło literackie“ lwowskie pośpieszyło z pomocą materyalną; zainteresował się nieszczęśliwym jéj losem wydział krajowy; ale było już zapóźno. Pier-

wsze swoje pieśni wyśpiewała Bartusówna w 20 roku życia. Gdy zbiorek jéj „Poezyj“ wyszedł we Lwowie 1876, znalazł w wielu sercach oddźwięk serdeczny, ale téż spotkała go złośliwa krytyka. Potém zajęta przygotowaniem się do zawodu nauczycielskiego mniéj już tworzyła. W r. 1880 wyszedł poprzedni zbiorek jéj poezyj z dodrukowanemi kilku tylko nowemi. Dopiero za pobytu w Sokolnikach napisała rzeczy większych rozmiarów, jako to: „Czarodziejska fujarka“, obraz dramatyczny „Wanda“, oraz kilka nowel prozą, jako to: „Wiązanka konwalij“, „Duch ruin“, „Po śmierci.“

† **Klemens Kantecki**, historyk-samouk, zmarł 14 października w Poznaniu. Urodzony tamże 1851 roku nieskończył nawet nauk gimnazyalnych i wszedł do zawodu księgarskiego u znanego wydawcy-księgarza, wysoce ukształconego J. K. Żupańskiego. Zamiłowawszy studya historyczne, wcześnie rozpoczął pisać najprzód artykuły w „Tygodniku Wielkopolskim“ od r. 1871, a potém w r. 1872 ogłosił już książkę całą o losach Savonaroli, która zwróciła nań uwagę wykształconego ogółu. Przeniosłszy się do Lwowa, gdzie dostał zajęcie w Zakładzie im. Ossolińskich, pracował z nadzwyczajnym zapałem i ogłaszał szereg rozpraw, pisanych żywo i zajmująco. *Ateneum* pomieściło jednę z większych prac jego „Ojciec Stanisława Augusta,“ która późniéj znacznie pomnożona i w wielu punktach zmieniona wyszła osobno jako obszerna książka. Z innych prac jego wymieniamy: „Artur Grottger,“ (1879), „Dwaj Krzemieńczanie“ (1879), „Sumy neapolitańskie“ (1881), „Życiorys Szajnochy“ przy wydaniu warszawskiém dzieł jego. Mniejsze rozprawy, rozproszone poprzednio w różnych czasopismach, zebrane są razem w „Szkicach“ ogłoszonych r. 1884 w Poznaniu. Ostatnią jego pracę pomieściło *Ateneum*. Pisywał także sprawozdania z dzieł polskich do pism niemieckich.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

IWAŚ.

NOWELA

Z ŻYCIA LUDU WIEJSKIEGO W HALICKIÉJ RUSI.

I.

Ciężki był dla niéj przednówek tego roku. Nędza była w chacie, a dzieci miała czworo — drobne robactwo, z którego człowiek nawet i w domu nie ma jeszcze pożytku. Słabość i pogrzeb męża wyczerpały wszelkie jéj zasoby, a własna niemoc nie pozwalała jéj chodzić na zarobek.

A no robiła co mogła, aby podołać kłopotom. Ogród oddała w zastaw, krowę sprzedała, ażeby dług spłacić u żyda. Ale nie było rady, dług jak stał, tak stał, i dźwignąć się z biédy nie miała sposobu. Nieraz już myślała o tém, czy nie lepiéj byłoby umrzéć? Niedaleko od jéj chaty był staw, a na jego dnie spokój i cisza. Ale jakże zostawić sieroty bez opieki!

Postanowiła więc pójść z najstarszym do dworu. Uczesała go, umyła i w czystą ubrała koszulinę; może go tam przyjmą na służbę do cieląt, lub do gęsi? A może go wezmą do stajni, albo do kuchni na naukę, jeżeli się państwu chłopiec spodoba.

I czemuż by im się nie miał podobać Iwaś-zazula? Nie daremnie przecie na niego chuchała; nie darmo go pieściła gołąbka. Ładne to było, jak paniątko, a dobre, a ciekawe.... Czemuż by się państwu nie miało podobać?

Szli tedy w promieniach wiosennego słońca; ona blada, smutna i znękana,—on trzymając się jéj spódnicy i rzucając wkoło ciekawe spojrzenia.

Ranek był jasny i świeży. Słońce wzbiło się już na półtora chłopa w górę, świecąc na bezchmurném niebie, ale nie zdołało jeszcze wypić porannéj rosy, błyszczącéj na trawach i ziołach. W cieniu wierzb przydróżnych świegotały wróble. Około dziewan i bo-

diaków, rosnących nad rowami wzdłuż opłotków, brzęczały pracowite pszczółki i barwne igrały motyle. Rozkwitnięte po sadach grusze i jabłonie napełniały powietrze miodowym zapachem. Z ogrodów dolatywał śpiew dziewcząt, zajętych robotą.

Kobieta szła ze spuszczoną głową, pogrążona w ciężkiéj zadumie. Drepcąc bosemi nóżkami przy boku matki, przypatrywal się Iwaś z zajęciem swawoli ptaków i motyli, tańcowi muszek, igrających po nad wodą, perełkom rosy, skrzącym się na burzanach,— zwyczajnie jak dziecko, co jeszcze nie rozumie!

Ciężko bylo na sercu biednéj wdowie. Ba, gdyby żył jeszcze mąż nieboszczyk, czyżby się musiala z Iwasiem rozstawać? O, nie bez wątpienia! On by nie pozwolił dziecka oddawać w cudze ręce. Kto wie, jaki tam będzie los biednéj sieroty w tym wielkim białym dworze, co patrzy tak dumnie czarnemi oknami? Kto go tam zaczesze? kto umyje? kto przygarnie? kto popieści?

Otarła fartuchem łzę z oka.

— A pamiętaj Iwasiu—rzekła—jak do nas wyjdą pan, lub pani, żebyś ich pocałował w rękę.

— Dobrze, mamuniu.

— A w oczy im patrz, jak do ciebie będą mówili.

— Dobrze, mamuniu.

— A jak cię spytają wiele masz lat, to powiesz, żeś skończył dziewięć.

— A jak nie spytają — to co?

— Jak nie spytają — odparla z smutnym uśmiechem — to nic nie powiesz.... Tylko pamiętaj nie chować się za mną, a patrzéć w oczy.... Państwo dobrzy, nie dadzą skrzywdzić sieroty!

Wtém wyfrunęła z pod płotu, który mijali, pliszka, gnieżdżąca się w tarninie i, uleciawszy kilkanaście kroków, zapadła w przydrożne krzaki. Iwaś pogonił za nią myślą i oczyma. Szli tedy czas jakiś daléj w milczeniu.

— A co ja będę robić we dworze?—zapytało nagle pacholę.

— Czy ja wiem?... Może cię wezmą do kuchni, może do stajni, a może do pokojów na lokaja.

— A jak ja będę w stajni, to będę jeździć na dużym koniu?

— Będziesz.

— W czerwonéj czapce?

— W czerwonéj.

— To ja pójdę do stajni, mamuniu.

— Pójdziesz gdzie państwo każą.... Ich wola, twój mus!...

— A co to jest mus, mamuniu?

— Jakby ci to powiedziéć?... Mus to mus!...

— Jakto mus, to mus?

— To widzisz tak.... Ty chcesz do koni, a państwo każą ci paść cielęta; to musisz paść cielęta z ochotą, dla tego, że mus, to mus!

Ale Iwaś nie słyszał już tego wywodu. Z niedalekiéj kuźni ozwał się huk młotów: dziń bam, dziń bam! Chłopczyna zwrócił wzrok i słuch w tę stronę.

Stała na przydrożu kuźnia omszonym pokryta dachem. Z sterczącego nad nią komina wylatywały iskry złote, podobne do roju muszek, wirujących w słońcu. Z wnętrza jéj odzywało się ciężkie sapanie miecha, i rytmiczny tupot młotów, kowających rozpalone żelazo. Przed wrotami stał wóz, około którego krzątało się kilku chłopów, pomagających „majstrowi" w robocie. Iwaś nie mógł oderwać oczu od tego widoku.

— Daj Boże dzień dobry, Maruniu! — ozwał się z głębi kuźni głos męski w chwili, gdy ją mijali nasi znajomi.—A co to, nawet nie popatrzycie w tę stronę?

— Dzień dobry wam, panie majster, daj Boże!—odparła wdowa, krocząc daléj.

— Cóż to nie zatrzymacie się?... Idziecie daléj jak posłaniec z listem... A gdzież tak śpieszycie, Maruniu?

Mówiący to wyszedł przed wrota kuźni. Był to mężczyzna lat przeszło czterdziestu, niskiego wzrostu i krępéj silnéj budowy. Rysy twarzy miał pospolite, ale w oczach i uśmiechu wyraz łagodnéj dobroduszności. Zawinięte do góry rękawy koszuli, odsłaniały muskularne i żylaste ramiona. Ręce zgrubiałe i od węgli czarne, oraz skórzany fartuch, który mu biodra opasywał, zdradzały kowala.

— No i gdzież tak śpieszycie, Maruniu? — zapytał jeszcze raz z wesołym uśmiechem, podchodząc ku wdowie i jéj dziecięciu.

Marunia opowiedziała mu swoje zamiary. Uśmiech znikł z twarzy poczciwego kowala. Czoło jego zasępiło się smutkiem. Słuchając, kiwał głową i wzdychał.

— Ej, ej — rzekł w końcu. — Czy nie szkoda to chłopca do dworu?... Dziecko kuma mojego Semena.... Wieczna pamięć nieboszczykowi!.. *We dwori, to tak jak w mori*... Zmarnieje tam biedactwo, zmarnieje.... Co z niego tam zrobią, pijaka, taj próżniaka.... Patrzcie na dworskich Maruniu: kucharz, lokaje, furmani—wszystko hulaki i nieroby!

Splunął z niechęcią, wymówiwszy te słowa.

— A potém służba, mocny Boże! — zaczął znowu po chwili. Państwo dobrzy, nie ma co gadać, ale czy to państwo wiedzą?... Będą starsi słudzy pomiatać sierotą, będą go bić, katować, ej.... Czy to nie wiecie Maruniu, jak to bywa?... Komuż się poskarży niebożątko?

— Tak co mam robić, Matwiju, co mam robić?—zawołała szlochając nieszczęsna. — Chleba nie ma w chacie, a dzieci krzyczą jeść!... Robiłam, co mogłam, wyprzedałam się, pozastawiałam wszystko: kożuch, korale, świtę.... Nie mam już nic w domu, a zarobić także nie mogę, bom chora.... Patrzcie, co ze mnie zostało—skóra i kości!... Kto wié, może mi już śmierć?... A no, takbym chciała dzieci umieścić.... Gdybym wiedziała, że nie zmarnieje biedactwo, to bym mogła przynajmniéj spokojnie umierać.... Och nieszczęście, nieszczęście!

— Ej, Maruniu, ej! Nie płaczcie—odparł wzruszony.—Nie płaczcie, bo mnie tu coś za serce ściska, taj sam płakać gotowy, ej!... Czy to nie ma Boga i ludzi na świecie? ej... Przecież macie krewnych... Jest brat wasz Szymko, taki bogacz.... On wam pomoże.

— Szymko?.. Czy to nie wiecie, panie majster, że cudzy lepsi od swojaków?... Szymko wiedziéć nie chce o mnie, ani o dzieciach.... Chodziłam do niego, prosiłam, płakałam, daremnie! Tak jakbym mówiła do drzewa, albo do kamienia... Procesowali się z moim nieboszczykiem o grunt, taj dotychczas zapomniéć nie może... Nie ma Matwiju rady, nie ma, muszę chłopca oddać do dworu!... A serce płacze, oj płacze, aż strach!

— Tak dajcie mnie chłopca, Maruniu... Nie będzie miał krzywdy u mnie.... Nauczę go kowalstwa.... Nie będzie służył nikomu... Będzie miał „wolę“; będzie swój pan!

— Wy byście go do siebie wzięli Matwiju, wy? — zawołała uradowana.

— Czemu nie!... Bogu dzięki chléb jest, a gdzie się żywi czworo, tam się znajdzie co zjeść i dla piątego.

— Dziękuję wam Matwiju, dziękuję! Bóg wam to zapłaci, żeście się zmiłowali nademną, nad sierotą.... Dziękuję wam, dziękuję!

I ujęła dłoń kowala, chcąc go pocałować.

— Nie ma za co, Maruniu, nie ma za co!.. Ręka rękę myje, noga nogę podpiera... Toż i człowiek powinien pomódz człowiekowi... A potém to taki ładny chłopiec, jak paniątko... Będzie z niego kowal co się nazywa... Widzicie, jak się przypatruje robocie.... Hej-na, chłopcze!.. Dalibóg, nie słyszy, tak się zapatrzył!

— Iwasiu — zawołała matka — Iwasiu!

Ale chłopięc istotnie nie słyszał wołania, zasłuchany w tupot młotów, zapatrzony w iskry pryskające z rozpalonego żelaza. Twarz mu pałała rumieńcem, oczy mu się śmiały uciechą. Kowal podszedł ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

— Iwasiu, chcesz być kowalem? — zapytał dobrotliwie.

Iwaś spojrzał na matkę z westchnieniem, i spuścił oczy.

— Mamunia chcą mnie oddać na służbę do dworu — odparł smutnie.

— A ty byś wolał kuć żelazo młotem? — zapytał kowal.

— Wolałbym, ale mus.

— Nie ma musu, chłopcze.... Jak chcesz być kowalem, to mamunia pozwolą.

— Pozwolą? — zawołał malec uradowany.

— Z pewnością... Zostaniesz u mnie „na nauce"; postawię cię przy miechu, a jak dorośniesz przy kowadle....

Chłopiec rzucił się w objęcia matki, i począł ją ściskać i całować z zapałem.

— Nie mnie dziękuj, Iwasiu, nie mnie—zawołała wdowa łkając radośnie. — To Bogu i panu majstrowi powinieneś dziękować... To on twój dobrodziéj, twój tato... Idź pocałuj go w rękę, gołąbku... A pamiętaj go zawsze słuchać tak, jak mnie słuchałeś, bo teraz już do niego należysz....

I płakała i śmiała się biedaczka, zasmucona rozłąką z dziecięciem, uradowana myślą, iż przyszłość jego jest już zapewnioną.

— Bóg wam zapłać, panie majster—wołała co chwila.—Nie będziecie mieli z Iwasiem kłopotu... Dobre to i posłuszne dziecko; co każecie, to zrobi bez przymusu.

Potém pogawędziwszy jeszcze chwilę z kowalem, uściskała chłopca ze łzami w oczach, i odeszła do domu szczęśliwa.

II.

Biedna wdowa mogła być spokojną o los swojego dziecięcia. Siła jeno robiła starego Matwija chłopem, ale serce miał miękkie, jak kobiéta!

Powiadają starzy, że to zawsze tak bywa, i że kto prawdziwie silny, ten prawdziwie dobry i łagodny. Złośliwemi bywają tylko małe pieski; wielki brytan nie robi krzywdy nikomu. Tak to już mądrze zarządziła matka nasza przyroda. Inaczéj skądże by słabemu była ochrona?

— Nie mogło być, nie mogło być! — powtarzał po odejściu wdowy poczciwisko, kując młotem rozpalone żelazo. — Taki ładny chłopiec pomiędzy dworaków!.. Dziecko kuma Semena, *wiecznaja pamiat' jeho duszy!...* Nie mogło by być, nie mogło!.. Przygarnę, jak syna wychowam... Przecież sierota, to *Bożaja detyna!*

I poglądał tkliwie na Iwasia, który wytrzeszczając ciekawe oczy, przyglądał się robocie. Patrząc na jego zachwyt, ocierał stary

kowal z oczu wilgoć kosmatą ręką. Może go tak rozrzewniała myśl o sierocéj doli Iwasia, a może też sobie własne dziecięce przypominał dzieje? A no kto to może powiedziéć?

Matwij nie był rodem z Zabłociec. Piętnaście lat temu przybył do wsi, jakoś w trzy miesiące po śmierci dawniejszego kowala. Wziął młot do ręki, stanął przy kowadle, i zaczął kuć. A że kuł dobrze, więc go państwo przyjęli na zapłatę od sztuki, nie pytając, zkąd przybył, i co dawniéj porabiał?

Graniczny pas, a szczególniéj okolica Brodów roiły się wtedy takimi „*zawołokami.*“ Kto po tamtéj stronie coś przeskrobał, — komu zaciężyła dłoń władzy lub dziedzica, ten przekradał się przez granicę i szukał tu schronienia, jak gdyby w nowéj Siczy. Tutaj mógł już siedziéć bezpiecznie, używając „woli“ bez przeszkody. Opieszałe władze austryackie nie ścigały przybyszów.

Była to rzeczywiście ziemia obiecana dla tych rozbitków; istny raj, gdzie każdy mógł znaleźć to, do czego miał upodobanie! Bliskość Brodów i możność szwarcunku otwierały źródła obfitego, a łatwego zarobku. W szajkach więc szwarcowników wiodły oczajdusze daléj żywot swój pół żołnierski, pół złodziejski, tocząc otwartą wojnę z „akcyźnikami.“ Trudniąc się drobnym handlem, a krążąc po miasteczkach i dworach, mogli daléj cyganić burłacy. Spokojniejszy osiadał gdzieś stale na wsi, sprawując, tak jak Matwij, jakieś rzemiosło.

Miała atoli ta ludność koczownicza jeden wspólny rys: pewną kozaczą butę i gorącą miłość swobody, a nienawiść wszelkiego poddaństwa. Cechy te, oraz większa głąb' uczucia, i silniejsza napiętość namiętności odróżniały ją od bardziéj powolnych mieszkańców.

Powodziło się z początku w Zabłoćcach Matwijowi. Ludzie go szanowali, choć był „zawołoką,“ a pieniądze mu płynęły do kieszeni jak woda. Już to prawdę powiedziawszy, nie było na pięć mil w około równego mu kowala, ni stelmacha. Umiał wóz zbudować i okuć, umiał pług postawić i zamek zrobić i młocarnię naprawić, kiedy się w niéj coś popsuło.

Na wszystkie go też rozchwytywano strony, a jak bywało robotę swoją powiezie na jarmark, chociażby nawet do Złoczowa, to zaledwie stanie z nią na rynku, a już ją rozrywają kupcy, płacąc bez targu — pięknemi, jak obrazki, banknotami.

Ludzie aż w głowę zachodzili, co on robi z temi pieniędzmi? bo nie pił i nie hulał, jak inni kowale. Ale Matwij nic nie mówił, jeno składał grosz do grosza, aż pewnego dnia poszedł do dworu, i wyliczywszy panu na stół „sześćset srebrnych“, kupił sobie na własność kuźnię ze wszystkiém narzędziem, trzy morgi gruntu, ogród i chału-

pę. A no tak wyszedł „zawołoka“ na gospodarza, i miał dom i wolę, i nikt już nie miał mu nic do rozkazu.

Dziwili się temu ludziska bardzo, ale to był dopiero początek. Mając dom i grunt i ogród, zapragnął Matwij żony. Już to prawda, że do takiego gospodarstwa potrzebna była gospodyni, bo i dobytku było trocha, i czeladników czasem aż dwu, a to wszystko trzeba było nakarmić,

Ale z drugiéj strony jak się żenić, to żenić młodo, a nie dopiero wtedy, kiedy człowiek ma już na karku z okładem czterdziestkę. Kto wtedy myśli o kochaniu!

Jednak Matwij zapomniał o tém, bo mu w oko wpadła była dworska dziewczyna. Mówiono że mu coś zadać musiała, bo się w niéj rozkochał do szaleństwa. Odradzano mu by się nie żenił z dworską, co to i pracować nie umie i w głowie ma tylko rozpustę. Ale gdzie tam, przepadał za nią biedaczysko! W oczy mu bakę świeciła, a śmiała się z niego poza plecyma. Zwyczajnie czarownica!

Razem z żoną weszło nieszczęście do jego chaty. Podczas gdy mąż pracował w kuźni, hulała młoda kowalka w karczmie z galantami, rozrzucając pieniędzmi, i pozostawiając gospodarstwo na opiece swéj matki;—bo i świekrę wziął był poczciwy Matwij do siebie.

Ludzie donieśli o tém biedakowi. Inny byłby żonę bił, albo może i napędził niewierną, ale on umiał tylko cierpiéć. Oczarowała go była czarnemi oczyma!

Tak żyli z sobą trzy lata,—ona w rozpuście, on w bólu i tęsknocie! W końcu zbrzydziła sobie do reszty zbyt łagodnego męża. Pozostawiwszy dwuletnią córeczkę, a zabrawszy z chaty wszystko co się unieść dało, uciekła z lokajem.

Matwij szalał z rozpaczy. Myślano, że się obwiesi, albo téż na śmierć rozpije, ale nie zmienił w niczém swego trybu życia. Posiwiał tylko, lecz pracował daléj niezłamany, pocieszając się pieszczotą dziecięcia.

Z ludźmi nie mówił nigdy o swojém nieszczęściu. Czasem tylko z świekrą, którą dla dziecka zatrzymał przy sobie, rozmawiał o niewiernéj;—czasem spuściwszy głowę na piersi, w tęskną popadał zadumę. Wtedy pocieszał się szepcząc: „Powróci, powróci!“

Tymczasem lata płynęły jak woda, a o wiarołomnéj nie było i słychu. Przepadła tak jak kamień w wodę razem ze swym kochankiem. Pod opieką babki rosła mała Zośka, tak pięknie jak ruta majowa, a ojciec ją pieścił—pieścił i hołubił bez końca. Nie miał dla niéj surowego słowa, nic jeno uśmiechy i całunki, całunki i uśmiechy!

Więc też psute przez babkę i ojca, nie znało to dziecko innéj woli prócz swojéj, i nie znosiło żadnego przeciwieństwa. Najmniejszy opór drażnił je i pobudzał do gwałtownych wybuchów. Wtedy strofował ojciec rozdąsaną Zośkę, ale łagodnie, prawie z pokorą, jak gdyby się bał ją na siebie rozgniewać.

Potém, gdy zasnęła, skradał się cichaczem do jéj pościeli, i pieścił śpiącą, i przepraszał za zbytnią surowość. Nie ma się czemu dziwić! Szalał biedaczysko, a to dziecko było teraz dla niego wszystkiém na świecie!

Na szczęście Iwasia przylgnęła Zośka od razu do swego młodego towarzysza. Różnica wieku nie była pomiędzy niemi zbyt wielką, bo dziewczę miało już siódmy rok, i było nad swe lata rozwiniętém.

Bawili się więc razem w dni świąteczne, kiedy w kuźni pracy nie było, bujając jak para jasnych motyli. Iwaś wykręcał z wierzby sopiałki i grał na nich swéj przyjaciółce, albo ją uczył pleść wianki z kwiatów, albo też jéj nawlekał na nitkę korale jarzębiny. A kiedy strojna w te klejnoty szła się niemi pochwalić pomiędzy inne dzieci, i wzniecała ich zazdrość, wtedy bronił ją przed ich napaścią.

Wywiązała się też niebawem pomiędzy niemi dziecięca przyjaźń, w którą Zośka kładła całą swoją gwałtowność. Byli wiecznie z sobą razem i nie kłócili się nigdy. To prawda, że Iwaś ulegał zawsze swéj towarzyszce, po części z wrodzonéj łagodności i życzliwości dla swéj przyjaciółki, po części dla tego, że widział, iż tak wszyscy w domu robili.

Zośka ze swéj strony nadużywała nieraz téj uległości. I nie dziw—wszak przywykła do tego, by ją słuchano.

Było coś drapieżnego w jéj przywiązaniu, co jednak nie zrażało małego sierotki. Przyzwyczaiła się mu rozkazywać, a on przyzwyczaił ją słuchać. Więc go chciała mieć zawsze przy sobie, tego powolnego i życzliwego niewolnika. Tęskniąc za nim przybiegała nieraz do niego do kuźni;—nieraz też musiano go w powszedni dzień w chacie zostawić, aby dogodzić woli upartego dziewczęcia.

Tak upłynęło lat sześć. Iwaś, którego odumarła matka, wyrosł był na silnego chłopaka i pomagał już majstrowi w lżejszéj robocie; — Zośka wyszedłszy z dziecinnych lat, wyręczała już babkę w gospodarstwie. Z biegiem czasu ścisnęły się były silniéj jeszcze węzły, które ich łączyły. Można by prawie było powiedzieć, że się kochają.

Aż dnia jednego—było to przed żniwami—przyszedł do kuźni wędrowny chłopiec nie starszy może od Iwasia. Zabiedzone to było i zmęczone podróżą, bo szedł aż gdzieś z pode Lwowa, uciekłszy ze

dworu, gdzie go w kredensie trzymano lokajom do pomocy. Opowiadał, że się tam nad nim znęcali i kamerdyner i lokaj, oraz że zbiwszy przez nieuwagę jakieś drogie naczynie, umknął ze strachu przed katowaniem. Już to prawda, że blizn i sińców miał na ciele co niemiara. Ale kto wie, jakto tam było, bo z oczu mu nie patrzyło nic dobrego.

Stary Matwij rozrzewnił się tém opowiadaniem, a niechęć ku dworakom odezwała się znów w jego sercu. Żal mu się zrobiło tego biedaka, który tak wymownie opowiadał swą niedolę, a szedł—jak mówił—za służbą do Brodów, gdzie we dworze wuj jego był furmanem. Zaprowadził więc chłopca do chaty, kazał go nakarmić i zatrzymał na noc, litując się nad sierotą. Taka to już była natura tego człowieka!

Mały włóczęga opowiadał dzieciom późno w noc cuda o swoich przygodach, o dworze, w którym służył, o miastach, w których bywał, ba nawet i o Lwowie, gdzie ludzie mieszkają w domach większych od cerkwi, w pośród ścian złoconych, tak jak obrazy. Wszystko to draźniło ciekawość Zośki, która o czemś podobném nigdy nie słyszała. Opowiadane cuda rzucały odblask swój na bajarza, który w wyobraźni dziewczęcia, przyjmował rozmiary bohatera. Nie puściła go z domu nazajutrz, i poczęła się ojcu naprzykrzać, aby zatrzymał sierotę.

Zatrzymał więc Matwij włóczęgę, bo tak kazała Zośka. Iwaś już pomagał majstrowi przy robocie, a w kuźni potrzeba było kogoś do miecha. Najmować codzień pomocnika, czy też trzymać stałego, to prawie na jedno wychodziło. Zresztą opróżniło się jedno miejsce przy wspólnéj misie, gdyż odszedł był właśnie starszy czeladnik, powołany do wojskowéj służby.

Tak tedy przybył Iwasiowi i Zośce nowy towarzysz.

III.

Nie było wielkiego pożytku z małego włóczęgi. Tyle tylko że w kuźni i pod oczyma starego kowala, zajadle miechem dmuchał,—ale do kowalstwa wcale nie był ciekawy.

Gdzie jemu do Iwasia! Niebo a ziemia! Tamten bywało pożera oczyma robotę; — ten obojętnie patrzy na wszystko, jak gdyby spał.

I w chacie także nie było z niego pociechy. Z własnéj ochoty nie rwał się do pracy, a jak mu drew każą narąbać, albo coś zrobić koło chudoby, to się zabiera do tego „jak ksiądz do parastasu.“ Mó-

wił, że tego nie umie, bo nigdy we dworze nie robił. Zwyczajnie dworak-nieroba!

Ale dzieciom imponowała właśnie ta jego niezręczność. Zdawało im się, że towarzysz ich z innéj ulepiony jest gliny. Nawet imię jego, Ignac, jak go we dworze przezwano, choć był po prostu tylko Hnatem, dodawało mu w ich oczach powagi. Mieli dla niego szacunek, jak dla jakiego paniątka.

Zmiarkowawszy to, umiał mały włóczęga skorzystać z swego położenia, trzymając się wobec nich coraz bardziéj z waszecia i opowiadając im cuda o tém, czém był, na co patrzał, i co robił. Widząc, jak się Ignac niezręcznie bierze do roboty, śpieszył mu Iwaś z pomocą, pokazując, jak się to robić powinno. On wtedy przypatrywał się z udaném zajęciem, nie przykładając ręki;—podziwiał, chwalił, dopóki nic już nie było do zrobienia.

Niebawem jednak zaprzestał i tego udawania. Stosunek w chacie zmienił się był zupełnie. Nie Zośka tam już była panią, ale on. Pozbywszy się wszelkiego przymusu, nie ukrywał wcale swoich złych skłonności. Wydobył fajkę z węzełka i kurzył w ukryciu, kradnąc prawdopodobnie tytoń majstrowi, lub przychodzącym do kuźni gospodarzom.

Umiejętność palenia nadawała mu w oczach dzieci jeszcze więcéj blasku. Widziały w nim nie dziecko, jak oni, lecz dojrzałego już mężczyznę.

Mianowicie zachwycała się Zośka, patrząc weń jak w tęczę, gdy się zaciągał dymem, gdy wypuszczał kółka, lub spluwal uroczyście. Zdawało jéj się, że ma przed sobą co najmniéj zaklętego królewicza!

Niebawem téż ochłodła w przyjaźni dla Iwasia, przywiązując się coraz bardziéj do małego włóczęgi. Nie on jéj szukał, ale jego ona,—smucąc się, gdy jéj unikał, uradowana gdy jéj nie odtrącał, szczęśliwa gdy raczył coś opowiadać.

A miał téż co opowiadać Ignac, który nie z jednego pieca chleb jadał,—nie tak jak Iwaś, nie znający nic prócz czterech ścian kuźni, i granicznych kopców Zabłociec. Umiał mały bywalec ślicznych bajek co niemiara: o zaklętych królewiczach i rozbójnikach, o złodziejach i wróżkach, o cyganach i czarownicach,—ale ich nie chciał opowiadać daremnie. Płacić musiała mu za to, wyłudzając pieniądze u babki, lub ojca, czasem nawet u Iwasia, gdy sierotka co w wolnych chwilach zarobił.

Ignac wtedy kupował sobie tytoniu, lub biegł do karczmy, skąd wracał na wpół pijany. Dzieci ukrywały to przed kowalem. Iwaś ciekawy bajek swego towarzysza, robił i za niego i za siebie wszyst-

ką robotę. Mały włóczęga odpłacał mu to pogardliwą łaskawością, wysługując się nim, niby uprzejme jakieś, ale swéj wyższości świadome paniątko.

Tak tedy kleciło się w tym dziecięcym światku, coś na kształt romansu, mającego w sobie wszystkie znamiona, jakie zwykł mieć dramat małżeński, gdy się rozgrywa pod wiejską strzechą.

Zośka, w której się odzywała krew matki, wnosiła tam całą swą wrodzoną gwałtowność, nadającą jéj życzliwości dla Ignaca jakąś dziwnie płomienną cechę. Opanował ją mały włóczęga wyższością swego zepsucia. Bezwstydne jego samolubstwo drażniło ją i pociągało bardziéj jeszcze ku niemu. Zobojętniawszy, więcéj nawet, zniechęciwszy się ku Iwasiowi, była podobną do mołodycy, która wzgardziwszy mężem, zdradza go dla wyzyskującego ją kochanka.

Ignac, nie dający jéj nawzajem żadnego przywiązania, pozwalający się tylko uwielbiać i korzystający z jéj słabości, przypominał swém bezwzględném samolubstwem i pewnością siebie, brutalnych wiejskich galantów.

Iwaś poniewierany przez Zośkę, a wysługujący się swemu szczęśliwemu współzawodnikowi, był obrazem chłopa, zdradzonego przez żonę, a znoszącego los swój z jakąś dziwną, wyłącznie kmiecą filozofią.

Stary kowal nie widział tego co, się działo pomiędzy dziećmi w chacie, przed jego oczyma. Od jakiegoś czasu posmutniał bardziéj jeszcze biedaczysko. Przyśniła mu się żona leżąca w grobie. W kuźni trzymał się jeszcze jako tako, ale w chwilach wolnych od roboty, coraz częściéj w ciężką popadał zadumę. Spuściwszy głowę na piersi, wzdychał żałośnie mrucząc z cicha pod wąsem: „Umarła, umarła!... Byłaby już powróciła, gołąbka!... Umarła, z pewnością umarła.“

Tak trwało kilka tygodni. Żniwa już minęły, i miało się pod jesień. Ignac i Zośka bujali po sadzie, wybierając z gniazd nie zdolne jeszcze do lotu pisklęta. Swawola ich nie miała granic. Dręczyli psy i koty, wkradali się do obcych ogrodów i wyrządzali sąsiadom psot bez liku. Zwyczajnie rozpusta!

Iwaś strofował z początku nieraz te wybryki, starając się odwieść towarzyszów swych od łotrowania. Ale gdzie tam! Rozpasane dzieci gardziły jego przestrogami. W oczach Zośki był on tylko głupcem, lękającym się własnego cienia. Ignac przeciwnie rósł w jéj oczach w miarę swego zuchwalstwa.

A no, tak dnia jednego — było to właśnie przy świętéj niedzieli — wyciągnął mały włóczęga Zośkę na przechadzkę. Nudno mu było w domu pod bokiem Matwija. Korciło go do fajeczki, ale jakże tu palić; a nuż stary podpatrzy? Za niemi podążył także i Iwaś, nie ma-

jąc w domu zajęcia. Sierotka przywykł już był ulegać swemu towarzyszowi. Wszak to, czego chciał Ignac, tego chciała i Zośka, a przeciwić się Zośce nawet i na myśl nie przychodziło już teraz Iwasiowi. Wiedział przecież, że to się na nic nie przyda!

Szli tedy polną drogą poza wieś, ku dworowi. Urok wspomnień życia spędzonego na lekkim dworskim chlebie ciągnął w tę stronę Ignaca nieprzepartą siłą. Opowiadał dziwa o wesołém życiu służby, o niezmierzonych skarbach panów; o ich niestrzeżoném i niezliczonéni bogatwie, po które, aby je posiąść, ręką tylko sięgnąć należy.

Pociągając od czasu do czasu z fajki towarzysza,—nauczyła się bowiem już była palić od Ignaca—słuchała Zośka ciekawie tego opowiadania, które budziło jakąś nieokreśloną, lecz nie mniéj gwałtowną pożądliwość w jéj umyśle. Za niemi wlókł się Iwaś, strugając kozikiem rozpoczętą sopiałkę.

Nagle schodząc z pagórka, ujrzeli przed sobą sad dworski, szerokim okopany rowem i ogrodzony płotem z tarniny. Rumiane jabłka, złote gruszki, niebieskie śliwki, płonęły w gorących promieniach słońca, rwąc oczy ku sobie. Drzewa uginały się pod ciężarem owocu.

Zachwycone dzieci oniemiały na ten widok czarowny. Zatrzymawszy kroku, stanęły jakby skamieniałe, patrząc na to bogactwo. Myślały, że im się śni jakaś bajka. Sad wyglądał jak ów raj cudowny, o którym w książkach piszą. Ach gdyby się tam dostać do tych rozkoszy! Nawet Iwaś zaprzestał strugania i opuścił ręce, podziwiając te cuda.

— *Kob' tak hroszy*!—westchnął nareszcie, ocknąwszy się z zachwytu.

— Na co *hroszy*?—zapytał Ignac, ruszając ramionami.

— Państwo sad wypuścili sadownikom—odparł Iwaś.—Żeby tak pieniądze, to można by kupić czego dusza pragnie.

— Wielka sztuka kupić za pieniądze, to każdy potrafi—rzekł Ignac drwiąco.

— A jakże kupować inaczéj?... Bez pieniędzy?

— Ba jak?... Skoro się nie ma pieniędzy, a chce mieć jabłka, to trzeba kraść.

— Ależ to grzech!

— Durny ty z grzechem!... Ja się grzechu nie boję... Jeżeli się czego bać, to chyba tego, aby nie bili.

— A może nie złapią—szepnęła Zośka.

— Złapią, z pewnością złapią—zawołał Iwaś—sadownik pilnuje sadu, bo przecież zapłacił.

— Sadownik pilnuje sadu w nocy, a w dzień śpi w budzie—rozumował Ignac.—Jak kraść, to najlepiéj teraz!

I przeskoczywszy rów, przyłożył oko do szpary w płocie, rozglądając się po sadzie i nasłuchując pilnie.

— Ależ to grzech, to grzech!—powtarzał Iwaś.

— Co tam jabłek, co tam gruszek!—wzdychała Zośka.

— Nie ma nikogo!—szepnął Ignac, wołając Zośkę skinieniem ręki.—Ja pójdę kraść, a ty tu pilnuj... Jeżeli by kto szedł, to zaświszczesz.

— Zośka nie rób tego!—krzyknął Iwaś.—To grzech, to wstyd!.. Ja ciebie nie puszczę, ja ci nie dam!

I przeskoczywszy rów, ujął ją silnie za rękę.

— Odczep się do *did'ka*!... Oszalał, czy co?... Jeszcze sadownik usłyszy!... Kara Boża z durnowatym!

— Chodź do domu!

— Nie pójdę... Nie zostawię Ignaca samego... Idź do domu sam, kiedy się boisz.

— Ja ciebie siłą zaciągnę.

— Sprobuj!—odparła, wydzierając mu rękę.

I przyłożywszy oko do szpary w płocie, poczęła rozglądać się i nasłuchiwać, nie troszcząc się już o jego pogróżki. I on też nie miał siły wykonać tego, co powiedział. Przywykł był słuchać jéj zawsze, jak pani. Ujarzmiła go przewagą upartéj woli. Nie umiał się jéj przeciwić. Stał więc przy niéj drżący i blady, załamując ręce, i szepcąc: „Zośka, Zośka!“

Ale nie raczyła nawet zwrócić na niego uwagi.

Tymczasem plądrował Ignac po sadzie, obrywając grusze, śliwy i jabłonie. Zwinny jak wiewiórka, wspinał się po gałęziach, nie dotykając ich prawie. Kiedy niekiedy tylko w pośród głuchéj ciszy zdradzał trzask zaledwie słyszalny, że się coś rusza w téj stronie ogrodu.

W tém ozwało się z głębi sadu głośne szczeknięcie, i przed oczyma Zośki mignął brytan olbrzymi, pędzący w stronę, gdzie plądrował mały włóczęga. Po chwili dały się słyszéć szybkie kroki, zmierzające tymże śladem. Był to sadownik, który śpieszył bronić swego mienia. Zośka ostrzegła gwizdnięciem swego towarzysza o grożącém niebezpieczeństwie. Ale już było za późno! Zażarte ujadanie psa, świadczyło, że trzyma szkodnika. Chwila jeszcze a sadownik zdąży na miejsce kradzieży.

— Zośka, Zośka, uciekajmy!—błagał Iwaś.—Widzisz jakie nieszczęście!

Zwróciła się ku niemu blada i zmierzyła go gniewném spojrzeniem.

— Gdybym ja była tobą—rzekła drżącym głosem—tobym poszła odbić Ignaca. Ale ty jesteś baba; po tobie się tego nie spodziewać!

I przyłożywszy oko do szpary w płocie, jęła znowu pilnie nasłuchiwać. Ujadanie psa zdawało się oddalać.

— Nie złapali go!.. Uciekł zawołała radośnie.

I przeszkoczywszy rów, poszła wolnym krokiem ku domowi, nie zważając nawet, czy Iwaś za nią podążył.

IV.

Dopiero wieczorem, dobrze już po zachodzie słońca, powrócił Ignac do domu bardzo poturbowany. Suknie jego były podarte, ciało pokaleczone, aż strach. Opowiadał cuda o swojéj przygodzie; mówił, jak wyrwanym z płotu kołem obronił się od napaści sadownika i jego psa, jak potém przesadziwszy płot, przebrał się krzakami leszczyny do lasu, jak wreszcie powrócił manowcami, brnąc nieraz w bagnie po kolana.

Łgał oczywiście niecnota! Od pościgu sadownika ocaliło go jedynie to, iż pozostawił pod jabłonią buty, które był zdjął, aby módz się lżéj wdrapać na drzewo. Mając taki zakład, a poznawszy szkodnika, nie potrzebował go już strażnik gonić daléj. Zaniósł jeno buty do rządcy, i wytoczył skargę, ufny, że mu wymierzoną zostanie sprawiedliwość.

Sprytem swoim odgadł mały włóczęga, co mu zagraża. Przypomniał sobie plagi, które niegdyś odbierał we dworze za swe łotrowstwa. Miałżeby teraz czekać na zasłużoną karę? Nie głupi!

Zabrawszy tedy Iwasiowi buty i odzież odświętną, wymknął się z chaty cichaczem tejże nocy jeszcze. Prawdopodobnie uciekł do Brodów. Ciągnęło go tam od dawna to, co słyszał o awanturniczém a wesołém życiu szwarcowników. Nie darmo to mówią, że wilka zawsze ciągnie do lasu!

Stary kowal nie mógł sobie wybaczyć swéj nieprzezorności, tém bardziéj, ile że mu we dworze robiono wymówki z tego powodu. Głównym winowajcą był wprawdzie zbiegły Ignac;—mimo to ciężyła w pewnym stopniu odpowiedzialność i na nim. Gospodarz przecie powinien wiedziéć, kogo trzyma w swym domu. Matwij był wielce drażliwym i dbałym o swą cześć; wyrzuty rządcy bolały go zatém wielce!

Iwaś był niepocieszony po stracie butów i odzieży. Ale więcéj go jeszcze bolała surowa nagana kowala, który mu wymawiał, iż będąc starszym, i niejako synem domu, a wiedząc o sprawkach Ignaca, pokrywał jego wybryki tajemnicą. Wszakże powinien był przeszkodzić temu chociażby nawet i siłą,—powinien się był oprzeć Zośce,

i nie dać się powodować dziecku! Biedny sierota znosił cierpliwie te wymówki, czując ich sprawiedliwość i przyznając się do swéj słabości.

Najciężej jednak bolała Zośka, ale nie z powodu słusznych strofowań ojca. Przyzwyczaiła się była do Ignaca, a teraz jéj go brakło. Bawił ją swemi bajkami, imponował swą wyższością, zachwycał łotrowskim sprytem.

Odziedziczone złe instynkta zbudziły się były w jéj umyśle. Zrozumiała go i polubiła od razu, a obcując z nim dostroiła się była do niego. Dobrali się byli jak para łysych koni. Teraz go zabrakło. Chodziła jak błędna, nudząc się i nie wiedząc, co począć ze sobą.

Niekiedy probowała namówić Iwasia na jakąś psotę, ale roztropny a doświadczeniem pouczony chłopiec umiał się jéj teraz sprzeciwić. Opór uległego dawniéj sierotki, drażnił ją i pobudzał do gniewu. Nie wybuchała jednak, dławiąc się własném rozdrażnieniem, podobna do niecierpliwego rumaka, gryzącego wędzidło, które go powściąga.

Powoli jednak wróciło w chacie Matwija wszystko do dawnego trybu. Zapomniano o Ignacu niecnocie. który przepadł bez słychu. Stary kowal pracował jak dawniéj, i tęsknił jak dawniéj za swą niewierną. Ot biedaczysko!

Po niejakimś czasie powetował Iwaś swoje straty. Matwij płacił mu co tydzień guldena za robotę. Uzbierawszy tedy nieco grosza, kupił sobie chłopak opończę z kutasami, czapkę z daszkiem, spodnie w kwiatki, i czerwoną kamizelkę. Posiadanie tych skarbów napełniało go dumą bez miary.

Jednostajność skromnego życia w cichéj chacie Matwija wpłynęła z czasem i na Zośkę uspakajająco. Być może, iż z wewnętrznego pociągu, być może z nudów jeno, poczęła znowu szukać towarzystwa Iwasia. Zdawało się nawet, że się w niéj dawna ku niemu obudziła życzliwość,—mniéj może niż przedtém drapieżna i mniéj gwałtowna w swych objawach, lecz za to głębsza i stateczniejsza.

Tęskniła do niego, gdy go nie było, i przepędzała w dni świąteczne czas wszystek przy jego boku, ale mu już nie narzucała jak dawniéj swéj woli. Minione psoty wyszły jéj były już z myśli. Chodzili razem na przechadzkę, i wili znów jak dawniéj wianki z kwiecia, lub nizali jak dawniéj na nitkę korale jarzębiny. Czasem się z innémi chłopcami i dziewczętami zabawiali w *huskę*, *dida* lub *medwedia*, czasem się przyłączali do nich, gdy obchodzono *Koladę*, *Kupałę*, albo *Haïlkę*.

Wszędzie i zawsze byli z sobą razem. Nie nazywano też ich inaczéj jeno mężem i żoną. Widząc wzajemną tych dzieci życzliwość, pocieszał się Matwij w swéj tęsknocie, myślą, że je, gdy dorosną, pożeni. Nieraz też mówił im nawet o tych swoich nadziejach, lubując się zakłopotaniem Iwasia. Rośli tedy chłopak i dziewczyna w téj myśli, że im to „pisano“ i że będą należéć do siebie!

Tak minęło znowu lat cztery. Stary Matwij zaniemógłszy na oczy, oślepł był zupełnie. Powiadali ludzie: „Wypłakał ślepie, tęskniąc za „swoją“ biedaczysko!“

Iwaś prowadził kuźnię w zastępstwie majstra. Sierota miał już teraz lat dwadzieścia jeden, i wyrosł był na dzielnego parobka. Z twarzy mu tryskało zdrowie, kark miał gruby, plecy szerokie, a piersi jak u niedźwiedzia. Łagodność kobieca i nieśmiałość dziecięca malowały się w spojrzeniu jego niebieskich oczu i w uśmiechu.

Zresztą wdał się był całkiem w Matwija;—znał robotę jak żaden w okolicy, był pracowitym, słownym i nie pił, co się tak rzadko zdarza u kowala. To też, gdy bywało do cerkwi pójdzie w niedzielę, w granatowéj mieszczańskiéj kapocie, w czerwonéj kamizelce, i w krasnéj chustce na szyi, pożerały go oczyma wszystkie dziewczęta. Nawet gospodarskie córki potrącały go łokciem, aby się na nie popatrzył. Mówiły, że ma oczy jak miód, i nazywały go „słodkim Iwasiem.“ Ale on nie zważał na te zaczepki;—w głowie mu było co innego!

I Zośka także wyrosła była pięknie jak topolka. Miała włosy czarne jak węgiel, kosę jak pralnik, a oczy—Boże zmiłuj się, co za oczy! Mogła by człowieka na proch spalić temi oczyma!

Powiadali starzy, że się całkiem wdała w matkę. To samo liczko białe jak gdyby krew z mlekiem, te same wilgotne usta, kraśne jak dwie świeże jagody, te same drobne białe zęby. A lubiła je też pokazywać te zęby, śmiejąc się co chwila wesoło. Tylko że coś niedobrego było w tym uśmiechu. Starzy mówili, że tak samo śmiała się jéj matka—czarownica!

Dobra też z niéj była gospodyni. Sama zarządzała gospodarstwem, od czasu jak się zmarło jéj babce, jakoś dwa lata temu. Chata była zawsze wybielona, statek czysto umyty, ogród porządnie uprawiony. Ludziom i chudobie nie brakło nigdy na niczém. Umiała wszystkich nakarmić;—jeszcze czasem i sprzedała wieprzka lub cieliczkę.

Wiejskie parobczaki, ba nawet i dworacy patrzali w nią jak w obraz cudowny, kiedy w śnieżnéj koszuli w kraśnéj spódnicy i w żółtych butach szła z przyjaciółkami do cerkwi w niedzielę, kołysząc się na swych wydatnych biodrach,—szykowna jak ta wrona,

gdy chodzi za pługiem po roli. Ale ona nie miała oczu dla nich, choć ją zaczepiali, choć ją namawiali z sobą do karczmy na zabawę. Była zbyt dumną, by się wdawać z nimi. Wszak miała Iwasia;—no a Iwaś? Gdzież im wszystkim, gdzie nawet lokajowi do Iwasia!..

Kochał ją też serdecznie młody kowal, wspomnieniami tylu lat dziecięcéj przyjaźni i całym ogniem pierwszego uczucia. Ale kochał ją jakoś dziwnie, nie po chłopsku. Dla niego ona była panią, królową jasną, czemś świętém, co wzbudza cześć, i więcéj jeszcze nad samą miłość wymaga. Nie było dla niego kobiety nad *Zośkę*, ale sierota przyzwyczaił się był patrzéć na nią, jak na wyższą jakąś istotę.

Wdzięczność dla Matwija, przeniósł on na jego dziecko, a ta wdzięczność nadawała jego miłości jakąś odrębną, mniéj poziomą cechę. Był dla niéj zawsze pełen względów i uprzejmości; starał się odgadywać wszystkie jéj myśli i zachcenia. Ilekroć wypadło mu na jarmark do miasta, zawsze jéj z tamtąd przywoził gościńca w dowód swéj pamięci.

I ona kochała go również, i okazywała mu życzliwość swą na każdym kroku. Żyli tak w tém uczuciu, nie mówiąc sobie nawet o kochaniu. Obyli się z sobą, znając się od dzieciństwa. Wzajemne przyzwyczajenie nadawało ich uczuciu siostrzaną jakąś cechę. Miłość ich nie znała gwałtownéj pożądliwości właściwéj kochankom. Wiedzieli, że do siebie należéć będą, i czekali spokojnie dnia, kiedy się spełnią przeznaczone im wyroki. Byli pewni, że dzień ten ich nie minie, ale nie starali się go przybliżyć,—nie troszczyli się, kiedy to nastąpi.

Aż dnia jednego zawołał ich stary kowal do siebie.

— *Ditoczki*—zapytał ściskając ich ręce—*ditoczki*, wy się kochacie, nie prawdaż?

— Tak ojcze! Tak panie majster!—zawołali razem.

— No, tak trzeba-by się wam pobrać dziateczki!... Chłopiec ma lat dwadzieścia jeden, dziéwka siedmnaście; to najlepszy wiek!.. Ja jużem się postarzał i nie widzę, a chciałbym wiedziéć, komu zostawiam dziecko i dobytek... Chciałbym kołysać jeszcze wnuka, a mogę umrzéć... Kto mnie wtedy pochowa?

— Ależ tatku! Ależ panie majster!—zaprzeczyli oboje, całując go w ręce.

— Ja wiem najlepiéj, co jest, i że mi się ściele trumna!... Człowieka to nie minie... Tak chciałbym wiedziéć, żeście razem i szczęśliwi... Od dawna sobie to ułożyłem... Iwaś porządny człowiek i dobry robotnik... Chata, Bogu dzięki, jest, i kuźnia, i pole, i dobytek...

Pracować tylko uczciwie, to nie zaznacie biédy.. Lżéj wam pójdzie jak mnie, bo ja zacząłem z pięcioma palcami, a tu jest na czém pracować... Nie chwaląc się, wszystko sam zarobiłem sprawiedliwie... Teraz wszystko to będzie wasze.... Dla mnie tylko kąt w chacie, i kawałek chleba aż do śmierci, a jak umrę pogrzeb uczciwy, i krzyż nad grobem, i *mołebeń*... To mi się od was należy!

Uklękli oboje przed nim, i płacząc, poczęli mu całować kolana.

— Nie płaczcie, *ditoczki*, nie płaczcie—rzekł po chwili znowu, składając ich dłonie. Wam nie płakać, a jeno się radować... Wam słonko Boże, wam dzień jasny, wam młodość, zdrowie i szczęście!.. Kochacie się, prawda?... No tak, teraz czas myśléć o weselu... Jest tam u mnie w skrzyni trochę „karbowańców,“—toby wystarczyło. Ale trzeba, żeby Iwaś sam zapłacił za wesele, i sam kupił porządki dla siebie i dla żony potrzebne... Tak ja zrobiłem lat temu dziewiętnaście;—tak niech i on zrobi... Nie trzeba, żeby był jak ten, co „przystał“ do chałupy, bo to potém jeno kłótnia i obraza Boska, a ludzki śmiech... Ileż ty masz pieniędzy teraz, Iwasiu?

— Jest u mnie bielizna i okrycie, i kożuch barani i poduszka, tak że mi prawie nic nie potrzeba. Mam w skrzyni dwadzieścia „srebrnych“ bez jednego, a u Oleksy mielnika pięć karbowańców, com mu je dał, aby mi kupił zegarek, jak pojedzie do Brodów... Szewcowi dałem dwa „srebrne“, żeby mi kupił skóry na buty, a od was panie majster będzie mi się także coś należéć, jak skończę wóz, co go teraz mam w robocie.

— Wszystko to mało jeszcze, synku... Za ślub trzeba księdzu zapłacić, i wesele wyprawić porządne... Musisz jeszcze popracować ze cztery miesiące... Ale to nic, bo i tak post teraz, i ślubu nie dadzą... Tak najlepiéj, *ditoczki*, będzie pobrać się po żniwach, gdzieś koło *Uspenia Bohorodyci*;—to najlepszy czas, bo i pieniądze będą, i robota nie tak pilna, i można się trochę zabawić... No tak musicie czekać do *Uspenia*, i ja także poczekam, chociaż mi pilno, może tak pilno jak i wam!

To rzekłszy uściskał szczęśliwych, i wziąwszy kij do ręki, który mu teraz wzrok zastępował, wyszedł do sadu, jak to zwykle czynił, gdy pogoda była na dworze. Miał tam stary kowal, ulubione miejsce pod gruszą, gdzie spoczywając na murawie, wsłuchiwał się w głosy tętniącego wokół życia. Świegot ptaków, brzęczenie muszek, ćwierkanie świerszczów, szczekanie psów i ryk bydła, opowiadały mu o tym świecie, którego widziéć nie mógł zgasłemi oczyma. A no tyle mu już teraz jeno zostawało pociechy!

V.

Otworzyło się więc dla Iwasia i dla Zośki nowe życie. Innemi już na siebie teraz patrzyli oczyma. Zdawało im się dotąd, że się znali dobrze, a jednak poglądali teraz na siebie, jak gdyby się nigdy jeszcze nie widzieli.

Coś się w nich zbudziło, co dotąd drzémało, coś się w nich zmieniło w jednéj chwili. Dla Zośki nie był to już ten sam Iwaś, którego kochała dotychczas jak brata,—dla Iwasia nie była to już ta same Zośka. Oboje odkryli w sobie coś, czego dotychczas nie widzieli, a to coś rwało ich ku sobie, i niejako odtrącało od siebie zarazem.

Dawniéj mogli ze sobą rozmawiać swobodnie, a teraz słów im brakło, gdy przy sobie byli. Dziwna rzecz! Wszak wiedzieli od dawna, że do siebie należéć będą, i czekali spokojnie tego dnia, nie starając się go przybliżyć. Teraz gdy już mieli pewność, kiedy to nastąpi, zdawało im się, że im krzywdę zrobiono,—że zbyt długo czekać im kazano. Cztery miesiące!—Boże miły! Jak tu wytrzymać cztery miesiące! A jednak czekali spokojnie lat tyle.

Szczególniéj Iwasiowi ciężyła ta męka. Nie mógł już jak dawniéj Zośce patrzéć w oczy. Ach bo też te oczy płonęły teraz jak żar, i paliły go, że chociażby z skóry wyskoczyć! Unikał więc jak mógł spojrzenia tych oczu, i stronił od Zośki, chociaż go ku niéj rwało bo i o czém z nią mówić będzie teraz? Zmieniło się wszystko, zmieniło!

A ona jakby na złość, szukała go, i zaczynała z nim rozmowę, i wpatrywała się w niego témi strasznemi oczyma, i uśmiechała się do niego białemi ząbkami, jak gdyby nie wiedziała, że to go męczy. Uciekał więc do kuźni biedak, i kuł a kuł, aż grzmiało. Tak starał się tęsknotę zwalczyć pracą. Jak zmęczy ręce, to może zaśnie i niepokój.

Tymczasem zawrzało w Zabłoćcach jakieś nie bywałe życie. Nowy arendarz sprowadził się był do karczmy, i pełno tam było teraz nieznanego jakiegoś narodu.

Na wiejskiéj drodze, co z Brodów prowadzi, zapanował ruch niezwykły, jak gdyby na jakim gościńcu. Ciągnęło szlakiem niekiedy nocą aż po kilka ładownych bryk, a przy każdej szło kilku jeźdźców. Czasem jechali wolno, czasem znowu pędzili jak zawierucha.

Koniuchy podpatrzyli, że jeźdźcy ci mają strzelby i pałasze, niby zbóje, niby jacyś żołnierze. Ludzie domyślali się że to „szwarcowniki.“ Zaczęto gadać, że arendarz jest z nimi w zmowie, i że

dla tego wziął tylko karczmę, bo stała na dogodnym dla nich szlaku. Bóg tam raczy wiedziéć, ile w tém prawdy było!

Dziwili się temu na wsi ludziska, dziwili, a to był dopiero początek! Gdy minął post, zagrzmiała nagle karczma muzyką. Arendarz sprowadził gdzieś aż z Buska muzykantów,—i skrzypce, i bas, i cymbały. Parobczaki i dziewczęta, ba nawet i dworska służba zaczęli ciągnąć na muzykę, jak gdyby na odpust jaki. Czasem do karczmy przybywali i obcy jacyś ludzie, i hulali jak gdyby u siebie. Ale nikt ich nie pytał, zkąd są i jakie się tu bawić mają prawo, bo byli grzeczni, a sypali pieniędzmi jak gdyby z worka. Wszystko to piło, śpiewało, hulało i krzyczało: hu-ha, hu-ha! aż do późnéj nocy. A żyd jeno dogadywał, uśmiechał się, nalewał, i krzesał sobie zarobek.

Kiwali starzy głowami na tę rozpustę. Nawet „Jegomość" gniewał się w cerkwi na to zgorszenie, a podobno i skarżył arendarza we dworze, za to iż ludzi pobudza do zbytku. Ale nie było rady! Żyd był w swojém prawie, bo płacił arendę, a parobcy i dziewczęta w swojém, bo ich rwała młodość do hulanki.

Zawrzała też krew młoda i w Zośce, gdy się to do niéj doniosło. Korciła ją muzyka, korciło na tę zabawę, o któréj cuda opowiadały jéj dziewczęta. Powiedziała więc Iwasiowi, że ją musi w niedzielę zaprowadzić na „ochotę." Kiedyż bo użyje jeżeli nie teraz? Za cztery miesiące będzie już gospodynią;—trudnoż wtedy na muzykę chodzić mołodycy!

Iwasiowi to było nie do smaku. Dobrze było mu tak jak dotąd bywało w domu, więc go też nie ciągnęło do karczmy i zbytków, na które narzekali starzy, i za które w cerkwi gniewał się „Dobrodziéj." Ale cóż miał robić nieboraczysko, skoro tak chciało dziewczę! Nie mógł przecie świata zawiązywać gołąbce!

Poszli tedy w najbliższą niedzielę, nic o tém Matwijowi nie mówiąc, do karczmy, oboje wystrojeni odświętnie;—on nie swój, znękany tém, iż prawdę ukrywać musi przed majstrem, przygnębiony, smutny, jak gdyby szedł za własnym pogrzebem,—ona wesoła, śmiejąca się, gorączkowo rozdrażniona przeczuciem i głodem spodziewanéj uciechy. Szła jak gdyby ją fala jakaś niosła, zaledwie nogą dotykając ziemi. On kroczył za nią chmurny, jak gdyby przybity powodzią téj toni, która ją unosi.

Pełno już było ludzi na muzyce. Rznęły skrzypki, huczał bas i brzęczały cymbały; przez otwarte okna brzmiały śpiewki, głośne tupanie i okrzyki radości. Zdawało się, iż karczmę rozsadzi ochota.

Iwasiowi i Zośce zakręciło się w głowie, gdy weszli do izby. Cieżka zaducha spowodowana gorącym oddechem tylu piersi, za-

pach dymu tytoniowego i rozlanéj wódki, uderzyły im o skronie ciepłą, wilgotną falą, odurzając ich zmysły. W tumanie kurzu widniały rozpromienione twarze dziewek i parobków, migając im przed oczyma, to znowu niknąc gdzieś w mroku. Brzmiały śpiewki i wesołe okrzyki, i od ucha rznęła muzyka. A skrzypce śpiewały: „*Ja ne znaju de idu*,“ a bas odpowiadał hucząc: „*Po bidu*! *po bidu*! *po bidu*!“

Zobaczywszy nowych a tak zacnych gości, pośpieszył arendarz na ich przywitanie. Potém usunąwszy mniéj poważnych biesiadników, umieścił ich za stołem. No, nareszcie, przecież się namyślili odwiedzić Abramka. Myślał już, że ich nie zobaczy. A warto jednak skosztować ochoty. Trzebaż więc, żeby się rozpatrzyli, żeby sprobowali „Senc“, którą sprowadza z Brodów, a trzyma umyślnie dla lepszych gości.—I nim jeszcze oprzytomnieli, zmusił ich do wypicia dwóch kieliszków ponczowéj esencyi, zaprawionéj arakiem.

Muzyka zagrała kozaka. Poszli więc w taniec oboje;—ona zwinna jak wiewiórka,—on trochę ociężały, i niezgrabny, nie mogący się poruszać wśród téj ciżby, która się zewsząd tłoczyła. Ścigali się, wymijali wzajemnie, wreszcie ujęli się wpół i poczeli wirować aż do utraty sił i oddechu. Poszli więc wypocząć za stołem, gdzie im znowu miejsce zrobił gospodarz.

W tém wszedł do gospodnéj izby gość nowy, ubrany z waszecia w kożuszek węgierski, baranią krymkę, i buty z kutasami. Wyglądał na dworskiego oficyalistę, lub na handlarza koni. Z porcelanową fajką w gębie, szedł pewien siebie uśmiechnięty;—a musiał tu częstym bywać gościem, bo go witano uprzejmie;—a musiał miéć pieniądze, bo odpowiadał na te powitania z góry, z łaskawém lekceważeniem. Iwasiowi zdawało się, że zkądciś zna tę twarz napiętnowaną wyrazem zuchwalstwa.

Arendarz poskoczył na powitanie przybysza. Widocznie to musiał być jakiś gość niepośledni, bo żyd przesadzał się dlań w uprzejmości i zaprowadził go do alkierza. Nowo przybyły zrzucił tam swój kożuszek, i wypiwszy spory kielich araku, a porozmawiawszy trochę z żydem, wrócił znów do gospodnéj izby.

Był to mężczyzna młody, lat może dwudziestu, średniego wzrostu, i szczupłéj budowy. Nie podobny był wcale do ciężkich wiejskich parobczaków. Zręczny w każdym ruchu, a żywy, wyglądał raczéj na panka. Włosy miał czarne, i czarne przenikliwe oczy. Ogorzała cera okazywała człowieka, co nie za piecem chowany. Czerwony obcisły kaftanik, uwydatniający jego kształty, robił wrażenie munduru. Harda duma, malująca się na jego twarzy, nadawała jego postaci jakieś żołnierskie piętno.

Rzuciwszy basiście garść miedziaków, kazał grać walca, i pochwyciwszy dworską dziewczynę puścił się w taniec, którego nie znano dotychczas w Zabłoćcach. Dziewczęta i parobcy obstąpili tańczących, przypatrując się im ciekawie. Było bo téż na co i patrzéć! Zwinny tancerz wykręcał swą tancerką w lewo i w prawo, wirując w takt muzyki i przytupując ochoczo. Zaciekawiona Zośka wspięła się na ławkę, aby się przypatrzéć tym godom. Dziwna rzecz, i jéj się zdało, że zna zkądciś tancerza. Ale nie! to być nie może! Któżby tak umiał hasać z jéj znajomych?

Chwilkę jednę biła się z tą myślą; potém cała się poddała wrażeniu, które w niéj budził widok rozkosznego tańca. Płonąca, z otwartemi usty, z piersią bez oddechu, pożerała oczyma wszystkie ruchy zwinnego tancerza. Ach, gdyby tak mogła pohulać w jego objęciu!

Wypadek zdarzył, że nieznajomy spojrzał w tę stronę. Oczy ich spotkały się ze sobą, i zadrżeli oboje. Tańczący spostrzegł wrażenie, jakie na pięknéj kowalce wywarł prąd, tryskający z jego źrenicy, i uśmiechnął się z zadowoleniem. Miasto daléj wirować, sunął teraz swą tancerkę przed sobą zwolna, kołysząc się, i nie spuszczając z oka pięknéj kowalki. Potém wykręciwszy się jeszcze na miejscu dwa razy, wypuścił z objęć swą tanecznicę, i pospieszył z wyciągniętemi rękami ku Zośce.

— Ignac! — zawołała drżącym ze wzruszenia głosem.

— Zośka!... Iwaś! — odparł nieznajomy, uśmiechając się życzliwie.

I podawszy narzeczonym obie ręce, ściskał ich serdecznie, przypatrując im się z zadowoleniem.

— No, a co tam?.. A jak tam?.. Zdrowiście, Bogu dzięki?... Śliczneście wyrośli: Iwaś pewno już starszym czeladnikiem, a Zośka „harna“ dziewczyna.... Dalibóg, można się zakochać!... Mój Boże, toż to minęło już cztery lata, jakeśmy się widzieli... Pamiętacie, jakem musiał uciekać.... Ha, ha, ha, ha! Zwyczajnie dziecinna swawola!

Iwasiowi przypomniała się strata butów i odświętnéj odzieży, któréj tak długo nie mógł przeboleć. Drgnął mimowolnie, chcąc rękę wydobyć z uścisku dawnego towarzysza. Ale Ignac nie dał mu przyjść do siebie, obsypując go pytaniami bez końca, i okazując mu radość swą z powodu tego spotkania po tak długiéj rozłące.

— Panie arendarzu! Dajcie butelkę „Senc“ do alkierza; ja płacę! — zawołał na żyda. — Musimy napić się czegoś dobrego, po czterech latach niewidzenia.... Mamy przecież tyle z sobą do gadania!... A potém—dodał zcicha zwracając się do Iwasia — mam z tobą przecież rachunek ha, ha, ha!.. Muszę ci zapłacić za to, com ci zabrał przed laty.

Usiedli więc w alkierzu, przy butelce ponczowéj esencyi, rozmawiając z sobą jak najlepsi przyjaciele. Ignac opowiadał im cuda o swoich przygodach, od chwili gdy chatę starego Matwija opuścił. Mówił, że po śmierci wuja odziedziczył gospodarstwo i trochę pieniędzy, — że z tym zasobem rozpoczął handel, który mu idzie ręką, i że nie ma powodu narzekać.

Potém wypytywał narzeczonych o ich zamiary, cieszył się nadzieją ich szczęścia, smucił kalectwem Matwija, okazując im w każdém słowie przyjaźń serdeczną. Nie żałował téż przynęty, aby skłonić do picia nieprzywykłych do trunku przyjaciół. — Jak to? oni by mu odmówili, gdy ich tak z serca częstuje, po czterech latąch niewidzenia? On by dla nich dał krew swoję, a oni mu odmawiają swéj łaski! „Senc" dobry, do głowy nie pójdzie! Ot pije się dla tego tylko, aby było przy czém *bałakać*.

Ale „Senc" szedł do głowy, a jeszcze bardziéj szła do głowy uprzejmość Ignaca. Iwaś i Zośka oszołomieni, poddawali się urokowi pochlebstw swego przyjaciela. W głowie im szumiał zdradziecki trunek, w uszach im brzmiały życzliwe wyrazy i zaklęcia Ignaca. Szczególniéj dla Iwasia przesadzał się sprytny bywalec uprzejmością bez granic. Uznając jego prawa do Zośki, prosił go za każdym tańcem o pozwolenie tańczenia z piękną kowalką. Iwaś oczywiście nie bronił przyjacielowi. Rozmarzony trunkiem, ociężały, nie miał sam ochoty do hulania. Szła tedy Zośka w taniec, oparta na ramieniu Ignaca, płonąca w jego objęciu, rozkoszna, dumna, szczęśliwa wyznaniami, które jéj szeptał do ucha, uradowana zazdrością innych dziewcząt, zaniedbywanych obecnie przez zwinnego tancerza.

Miało się już dobrze ku wieczorowi, gdy Iwaś przypomniał, że czas już wracać do domu. Ignac nalegał na swych przyjaciół, ażeby nie psuli ochoty i pozostali jeszcze. — Ale trudno; noc już zachodziła. Nie sposób przecież było zostawić starego Matwija w niepokoju. Już i tak zabawiano się zbyt długo. Zośka powinna by już była dawno pójść do domu. Któż bez niéj poda ojcu wieczerzę?—Rozeszli się więc, wśród tysiąca uprzejmych zapewnień, odprowadzeni aż do cerkwi przez Ignaca. Uspokojono starego Matwija zmyślonem opowiadaniem. Iwaś wziął na siebie winę zbyt długiéj nieobytności gospodyni.—Przypatrywali się tańcom w karczmie, aby zadowolnić ciekawość. Trzebaż było raz przecie zobaczyć jak to wygląda!

Udobruchawszy starego, rozeszli się w końcu na spoczynek: ona płonąca jeszcze wspomnieniem uścisków i wyznań Ignaca, tańcem i śpiewem rozbujana,— on, rozmarzony trunkiem, ociężały, niekontent z siebie, iż taić musiał prawdę przed swym dobrodziejem.

Długo zasnąć nie mogli oboje. Zośce w oczach stał Ignac hardy, dumny, uśmiechnięty, szepcący jéj do ucha słodkie zaklęcia; Iwasiowi nie mogącemu zasnąć w swojéj komórce, rysowały się na tle ciemności rozpłomienione twarze dziewcząt i parobków, wirując niby tuman liści w jesiennéj zawierusze. W uszach mu brzmiały śpiewki, krzyki i muzyka, i chrypliwe skrzypki, i bas maruda, i szyderczo brzęczące cymbały. A skrzypce śpiewały: „*Ja ne znaju de idu! Ja ne znaju de idu!*" A bas odpowiadał ponuro: „*Po bidu, po bidu, po bidu!*"

VI.

Zaczął teraz Ignac myszkować koło chaty starego kowala. Czy to idąc po wodę do krynicy, czy to wybiegłszy do sadu lub ogrodu, zawsze go spotykała Zośka na swéj drodze. Niby to jéj pomagał naczerpać wody do konewki. Piękna to była pomoc! Co naczerpie, to znowu wylewa; ot aby dłużéj *bałakać!* A śmieje się, a dowcipkuje, że dziewczę ani się opatrzy, jak upłynie jedna, druga godzina!

Kiedy bywało wyszła robić coś około grządek w ogrodzie, to on już stoi za płotem, i woła ją na rozmowę. Tak sobie żartowali przez płot; ona w ogrodzie, on za płotem i rowem na ulicy. Nieraz ona mu powiada: „Idź już, Ignac! Nie przeszkadzaj, daj pracować!" Ale sama ani na krok nie odchodzi od płota, tylko śmieje się i narzeka. Gdyby tak odszedł naprawdę, toby go była wołała!

Powoli-powoli zanęcił się Ignac do obejścia. Na co im się pilnować, kiedy nikt ich nie pilnuje? Stary Matwij nie widzi, co się dzieje pod jego oczyma, — a Iwaś kuje żelazo w kuźni, i nie wié nic o Bożym świecie.

Zbudziła się też w Zośce dawna Zośka z czasów pierwszego pobytu Ignaca w Zabłoćcach. Już teraz jabłek kraść nie pójdzie do dworskiego sadu, ale to samo w niéj dla sprytnego bywalca uwielbienie, ten sam głód uciechy, ta sama żądza przygód, ta sama gwałtowna namiętność. A no rozkochała się naprawdę w Ignacu. Opanował ją znowu przybłęda!

Przed nią on się nie tail z swojém rzemiosłem, — nie miał ku temu powodu. Opowiedział jéj szczerze swoje losy i wyznał, że jest hersztem bandy szwarcowników, uprawiającéj przemytnictwo na wielką stopę. Dwudziestu czterech zbrojnych drabów stało pod jego rozkazem. Towar przekradano przez linię celną podstępem; jeśli to nie było możliwém, to działano przemocą. Arendarz był z nim w zmowie i dostarczał mu o straży granicznéj języka. Zabłoćce wreszcie, nie leżące na głównym trakcie, a jednak na drodze z Bro-

dów do Lwowa lub Tarnopola, były dlań bardzo dogodnym punktem. Konieczném dla jego rzemiosła było zawiązanie pewnych stosunków z tutejszą ludnością, aby w razie niebezpieczeństwa módz zrzucić tutaj towar, i ukryć go przed pogonią.

Wszystko to dodawało Ignacowi w oczach Zośki niepospolitego blasku. Towarzysz lat jéj dziecinnych, wiodący teraz żywot ten pół zbójecki, na wpół rycerski, wydawał jéj się bohaterem. Sławę, którą pieśń ludowa stroi pamięć dawnych kozaków,—urok, którym bajki otaczają imię Dobosza, lub innych rozbójników, splatała teraz w jeden wieniec rozmarzona wyobraźnia pięknéj kowalki, i opromieniała jego blaskami postać młodego szwarcownika.

Najgorzéj na tém wychodził Iwaś, wyrugowany z serca Zośki przez Ignaca. Biedny kowal nie wiedział nic o swojém nieszczęściu. Widział, że jego narzeczona stała się dlań zimną, dumną, obojętną, że mu teraz odpowiada opryskliwie i z dawném lekceważeniem, ale nie umiał sobie zdać sprawy z powodu téj zmiany. Widocznie coś przystąpiło do dziewczęcia, ale jak przystąpiło, tak i odstąpi!

W następną niedzielę, w tydzień po spotkaniu z Ignacem, zaczęła się Zośka znowu naprzykrzać Iwasiowi, by ją zaprowadził na ochotę. Wymawiał się młody kował jak mógł, ale nie było rady. Musiał biedaczysko uledz swéj przyjaciółce. Wrócili późniéj niż tamtym razem ku wielkiemu niepokojowi Matwija, który nie wiedział, co się z niemi stało. Stary zrzędził, wymawiał, strofował, jednak i tym razem jakoś się utarło.

W tydzień potém poszła już Zośka sama do karczmy. Naszukawszy się jéj daremnie, podążył zrozpaczony Iwaś na muzykę, domyślając się, że tam pobiegła. Zastał ją hasającą w objęciach Ignaca, i począł jéj czynić wymówki. Odpowiedziała mu dumnie, szorstko, z pogardliwém lekceważeniem. Kto wié, może-by przyszło było między niemi do gorszącéj kłótni, gdyby nie Ignac. Uspokajając Zośkę, a tłómacząc Iwasiowi, że lepiéj zrobi, gdy swéj przyszłéj żonie pozwoli się wytańczyć, dopóki jest dziewczyną, pogodził sprytny bywalec zwaśnionych.

Ale zgoda ta była tylko pozorną, przynajmniéj ze strony Zośki, która zachowała w sercu niechęć dla Iwasia, i nie taiła przed nim swego gniewu. Żyli tedy oziębli dla siebie i niby obcy, ograniczając się jedynie na to, co jest niezbędném, gdy się pod jedną mieszka strzechą. Wprawdzie starał się Iwaś, którego ku niéj rwało, przełamać te lody, ale go odtrącała niechętnie, gdy się do niéj zbliżał. Młody kowal szedł wtedy do swéj komórki, jak pies skarcony za niewczesne pieszczoty. Tam siadał w samotności i marzył, nie śmiejąc

się na oczy pokazać swéj towarzyszce, by jéj gorzéj nie drażnić swym widokiem.

Po niejakim czasie opuścił Ignac Zabłoćce. Rzemiosło szwarcownika wymagało gdzieś indziéj jego obecności. Jednakże nagły odjazd jego nie stał się przyczyną zerwania stosunków pomiędzy nim a piękną kowalką. Owszem stosunki te jawniejszą przybrały cechę. Codzień przychodził do chaty starego kowala arendarz z wieściami od nieobecnego. Podejrzani jacyś ludzie wpadali do Zośki, i tajemnie z nią odbywali narady. Młoda kowalka stała sięwspólniczką herszta szwarcowników.

Pewnego wieczora, wróciwszy z kuźni, zastał Iwaś drzwi od swéj komórki otwarte. Zaniepokojony wpadł do wnętrza, aby się przekonać, czy mu czegoś nie skradziono. Zdziwienie jego było ogromne. Nie ubyło nic; owszem cała komórka założona była jakiemiś paczkami.

— Kto tu był Zośka?—zapytał dziewczyny, krzątającéj się koło ogniska.

— Nikt — odpowiedziała obojętnie.

— Jakto nikt?.. A któż rozwalił drzwi od mojéj komórkl?

— Ja!... Tak mi było potrzeba.

— Ty? A cóż to za paczki tam leżą?

— Szwarc — odpowiedziała spokojnie.

— Szwarc! — krzyknął — szwarc?... Czyś oszalała Zośka!... A zkąże ty wzięłaś szwarc?

— Krzycz, krzycz!... Czy chcesz, żeby tato usłyszał?.. Tego by mu tylko brakowało, choremu!

— A zkądże ty wzięłaś szwarc? — zapytał Iwaś ciszéj.

— A tobie co do tego?

— Nie, Zośka, tyś oszalała chyba! Przechowywać paczki szwarcownikom!... Przecież to grzech! Słyszałaś co Jegomość w cerkwi powiadał?

— Co mi tam Jegomość, co mi tam grzech?.. Zresztą to mój grzech, a nie twój!

— Co ty gadasz, co ty gadasz!.. A potém kara i wstyd... Czyż ty nie wiesz, że gdyby tu szwarc znaleźli, toby nas puścili z torbami... Zabrali by wszystko co jest.

— A tobie co do tego?

— Jakto, co mi do tego!.. Przecież... przecież ja tu mam być gospodarzem.

— Masz być gospodarzem, ale nim nie jesteś— odparła, patrząc mu w oczy hardo i uśmiechając się brzydko. — A potém, któż ci powiedział, że ja wyjdę za ciebie?

Ręce mu opadły. Osłupiał, słysząc te słowa.

— Słuchaj Iwaś!.. Chciałam ci to już dawno powiedziéć, bo mnie to nudzi, że oczy do mnie zawracasz... Ty myślisz, że masz do mnie jakieś prawo, i chcesz mi rozkazywać tak jak przyszły mąż.... Tak sobie teraz powiedz: nic z tego!.. Ty nie dla mnie, ja nie dla ciebie... Ja kocham Ignaca-sokoła, i będę jego a nie czyją.

— Ignaca! Złodzieja!.. Nie, ty chyba oszalałaś, Zośka!

— Ignac nie złodziéj, tylko szwarcownik!.. Sokół, co nie ma nad sobą pana, nie taki jak ty *najmyta*! — zawołała, mierząc go pogardliwie oczyma.—A zresztą chociażby i złodziéj — to co?.. Skoro mi się podobał!

— Zośka, opamiętaj się.... Gdzież ty możesz miéć z nim ślub? Gdzież twój ojciec na to pozwoli?

— Jak może być ślub, to będzie, a jak nie może być, to i dobrze!.. Zresztą wiédz o tém, żem już była Ignaca, i że twoją nigdy nie będę.

— Ależ twój ojciec, twój ojciec!

— Chcesz, idź mu powiedz, com ci mówiła... Zabij go za to, że cię wychował... Mnie nic już nie oderwie od Ignaca... On mój, ja jego—i tak już będzie zawsze!

Zaczęły się teraz dni czarne dla Iwasia. Wiedział, że nie ma rady z upartą dziewczyną. Choćby powiedział Matwijowi, to co? Zośka prawdę mówiła: jéj nie przekona, nie powstrzyma, nie uchroni od zguby, a starego tylko zabije! Będzie więc musiał patrzéć na to, co robi Zośka — pędząc do niechybnéj zguby. Nie może jéj przeszkadzać, bo cóż poradzi? Będzie musiał w dodatku taić to, co widzi, przed Matwijem; będzie musiał swoją pokrywać osobą wszystkie jéj wybryki. A no, tak on teraz wspólnikiem Ignaca złodzieja i Zośki niecnoty!

A jednak—jednak on ją kocha; och tak kocha, żeby na siebie wziął jéj hańbę, gdyby go chciała. Ale cóż z nią poradzi, z szaloną! Idzie już do żniw, do *Uspenia*, cóż wtedy powie Matwijowi? Jak mu wytłómaczy, czemu się nie kwapi z prośbą o ślub do księdza?

Wtedy wszystko wyjdzie na wierzch. Stary się na śmierć zagryzie, a co jemu wtedy po życiu na świecie bez Matwija i bez Zośki! Najlepiéj byłoby umrzéć, ale śmierć nie przychodzi tym, którzy jéj wołają. Ot, nieszczęście, nieszczęście!

Myślał czas jakiś o tém, czyby nie zabić Ignaca? Ale czyżby w ten sposób uratował Zośkę od zguby? Kto wié, coby wtedy zrobiła szalona? A potém, gdyby jego za karę stracili, któżby pracował na Zośkę i Matwija? Nie, niema dla niego rady! Musi patrzéć, sły-

széć i cierpiéć! Musi taić, kłamać i zdradzać! Musi się dać zwolna zabijać, i nie myśléć o zemście ani obronie! Taka to już jego dola!

I tak nie wiedział Matwij nic o tém, co się działo. Zośka obojętna na rozpacz Iwasia, a pewna jego milczenia, pędziła daléj ku swéj zgubie. Arendarz zachodził coraz częściéj do chaty; podejrzani ludzie wchodzili i wychodzili, wnosząc i wynosząc jakieś towary.

Czasem wpadał Ignac, któremu zawsze na utrzymanie bandy potrzeba było pieniędzy i wyłudzał u pięknéj kowalki zaoszczędzone grosze. Czasem wykradała się Zośka do sadu, aby rozmawiać z galantem. Ludzie spostrzegli, że do obejścia kowala prowadzi ścieżka i że płot w jedném miejscu rozgrodzony.

Iwaś pracował w kuźni, martwił się i rozpaczał, tając przed Matwijem, co się dzieje. Zośka zwierzyła mu, że się czuje matką. Jedyną jego troską teraz było to, jak ukryć przed starym kowalem nieszczęście. Odpędzał więc natrętów od Matwija, i cudem udawało mu się zachowanie tajemnicy.

Pewnéj nocy zasłyszał młody rzemieślnik głosy jakieś na podwórku. Zaniepokojony otworzył cicho drzwi swéj komórki, i wyszedł zobaczyć co to takiego. Byli to Ignac i Zośka. Spleceni uściskiem, rozmawiali kochankowie o swéj miłości. Iwaś zdrętwiał na ten widok, bezsilny w swéj rozpaczy i zazdrości. Chwilę prześladowało go myśl zabicia gacha. Tuż niedaleko stał wóz popsuty; można było wyjąć złamaną kłonicę, i jednym razem strzaskać łeb galantowi. Ale cóż potém? Co będzie z Zośką? co z Matwijem?

Wtém otworzyły się drzwi od izby. Stary kowal, zasłyszawszy rozmowę, stanął na progu, chcąc się dowiedziéć, jaki powód tego nocnego krzątania.

— A kto tam? — zapytał staruszek.

— To ja—odpowiedział Iwaś, oprzytomniawszy z odrętwienia.

— Ty, synku?... A co tam takiego?

— Psy sąsiadów ujadają.... Tak wyszedłem zobaczyć, czy broń Boże nie złodzieje.

— A z kimżeś ty rozmawiał, synku? bo słyszałem jakieś głosy!

— Co mówicie, panie majster? — zapytał Iwaś, nie wiedząc co odpowiedziéć.

— Słyszałem, żeś z kimciś rozmawiał.... Kto to taki?

— Zośka!— odparł Iwaś dziwnie złamanym głosem.— Zośka się także zbudziła, i wyszła zobaczyć co to?

— Dobrze, dziateczki, dobrze, że tak pilnujecie.... Ale teraz idźcie już spać, bo szkoda nocy.... Ja nie śpię i słyszę.... Jakby, broń Boże, co było, to was zawołam.

VII.

Zajście to oziębiło ich bardziéj jeszcze ku sobie. Namiętnéj kowalki nie rozbroiła ofiara, którą z siebie zrobił młody rzemieślnik. Owszem nawet zdawało by się, że szlachetność Iwasia podwoiła jéj dla niego wzgardę i zapalczywość. Kto wié, gdyby był o nią walczył z Ignacem, jak jeleń o swoję łanię, może byłby zdobył jéj serce, jako zwycięzca!

Tak jednak nie rozumiała tego człowieka, cierpiącego w milczeniu, poświęcającego się dla jéj spokoju, i zasłaniającego własną męką wszystkie jéj wybryki. Być może, iż się czuła obrażoną nawet w swéj niewieściéj dumie tą cichą rezygnacyą, któréj pojąć nie mogła jéj namiętna dusza. Może ją to gniewało, iż ją odstąpił drugiemu bez walki, iż nie szukał zemsty, gdy mu ją wydarto.

Iwaś z swéj strony zanadto krwawe z siebie zrobił poświęcenie, by mógł spokojnie patrzéć na tę, która była powodem jego męki. Zdawało mu się, że ją więcéj kocha jeszcze niż dawniéj, i serce mu się krwawiło na myśl, że jest dla niego straconą na wieki.

Unikali się więc wzajemnie, niby śmiertelni wrogowie, zmuszeni żyć pod jednym dachem. Gdy Iwaś przychodził na obiad lub wieczerzę, uciekała Zośka, zmyślając jakieś gospodarskie zajęcie. Gdy Zośka wracała, uciekał Iwaś do swéj komórki, zamykał się w niéj, i rozpaczał. Unikali się tak zręcznie skutkiem tego milczącego porozumienia, że się Matwij nawet nie domyślał, jaka ich przepaść rozdziela.

Tak upłynęło cztery miesiące. Żniwa już były minęły, i zbliżało się *Uspenie*. Stary kowal nie przypominał dzieciom, że czas ślubu nadchodzi. Może zapomniał o tém, nie widząc ich nigdy razem; może czekał, aż mu to same przypomną?

Dnia jednego pod wieczór, wracał Iwaś z Wołkowatycz, skończywszy tam jakąś u rządcy robotę. Rwało go coś do domu. Nie chciał się nawet zatrzymać w „kasarni" straży granicznéj, gdzie mu za jakąś lekką reparacyę dobry przyrzekano zarobek. Szedł groblą ku Zabłoćcom śpiesznie, jak gdyby go coś gnało. Młot, obcęgi i pilniki zatknął w zanadrze, pomiędzy fartuch i koszulę.

Po dniu skwarnym zasępiło się było niebo gęstemi chmurami i zmrok szary począł wcześniéj niż zwykle zapadać. Na krańcach widnokręgu zapalały się co chwila błyskawice, i daleki, głuchy, jakby podziemny grzmot odzywał się co chwila. Zanosiło się widocznie na gwałtowną nawałnicę. Iwaś szedł spiesznym krokiem, ażeby zdążyć jeszcze do domu przed burzą.

Na kilka staj przed Zabłoćcami, zamajaczyła przed nim w zmroku postać kobieca, zbliżająca się ku niemu również szybkiemi kroki. Poznał po chodzie Zośkę. Ale cóż mogło ją prowadzić w tę stronę,

chorą, w czas tak późny, i w tak niepewną pogodę? Iwaś nie mógł sobie odpowiedziéć na to pytanie. Nieokreślone jakieś podejrzenie zbudziło się w jego umyśle.

— Gdzie idziesz? — zapytał szorstko, zastępując drogę idącéj.

— A tobie co do tego? — odparła wyniośle.

— To, że cię nie puszczę, jeżeli mi nie powiesz.

— Idę do Wołkowatycz, jeżeli chcesz wiedziéć koniecznie.... A teraz ustąp, puszczaj, bo mi spieszno.

— Do Wołkowatycz? Teraz, pod noc i pod burzę?... Przecież słaba jesteś!... Cóż ty masz za interes do Wołkowatycz?

— Mam interes pilny, puszczaj!

— Nie puszczę!.. Co to za interes?..

— A tobie co, najmyto?.. Ustąp!.. Mówiło ci się, pilny interes!... Nie trzeba ci wiedziéć jaki.

— Nie powiesz?

— Nie powiem.

— To wracaj do domu!

— Nie chcę. Puszczaj!.. Nie pójdę!

— To ja ciebie zaniosę!

— Słuchaj! Chcesz wiedziéć, to ci powiem... Muszę być w Wołkowatyczach przed północą... Teraz puść!

— Cóż tam masz robić o północy?.. Cóż? Nie odpowiadasz, boisz się powiedziéć?... To pewno jakieś szelmostwo Ignaca!

— Żebyś wiedział, że to interes Ignaca, a tobie nic do niego!... Teraz ustąp!... Pamiętaj, jak nie puścisz, to Ignac ciebie zabije!

— A więc pójdziesz do domu zaraz! — zawołał kowal, ująwszy ją silnie za ramię.—Dość już mam téj hańby, tego szaleństwa!... Nie chcę, żebyś zdrowie traciła dla złodzieja!

I poczęli się szamotać ze sobą, bo Zośka opór mu stawiła zacięty, a on bojąc się, by jéj zdrowia nie uszkodził, nie chciał nadużywać swéj siły. Nagle runął Iwaś na ziemię, jak gdyby piorunem rażony. Wyrwawszy młotek mu z zanadrza uderzała go nim w głowę szalona dziewczyna z całéj siły. Uwolniwszy się w taki sposób od napaści, odeszła spiesznym krokiem i znikła niebawem w ciemności.

Téj saméj nocy właśnie, zamierzał Ignac dwoma szlakami dwa z Brodów wyprowadzić transporta. Jeden z nich mniéj był ważnym, i miał służyć jedynie do tego, by uwagę straży granicznéj odciągnąć od głównego transportu. Na drugim, większym, i z cenniejszego składającym się towaru, zależało głównie szwarcownikom. Szczęśliwe przeprowadzenie tych „paczek“ miało Ignacowi i jego wspólnikom powetować wszystkie dotychczasowe straty.

Tymczasem dowiedział się arendarz Zabłociecki, od zaufanego i pewnego szpiega, że plan wyprawy zdradzony został straży gra-

nicznéj. Na pobocznéj drodze, na lewo od Wołkowatycz, właśnie gdzie miał transport przechodzić, czyhała zasadzka, w któréj udział wzięła cała załoga Wołkowatyckiéj „kasarni.“

Położenie było rozpaczliwem, klęska niezawodna. Chybaby jakiś nadzwyczajny wypadek odciągnął strażników w inną stronę,— chybaby cud jakiś zmusił ich do opuszczenia stanowiska. Zawiadomić Ignaca o niebezpieczeństwie. nie było już sposobu.

Chytry Abramko miał wprawdzie pomysł mogący uratować szwarcowników. Ale wykonanie tego, co było potrzebném, wymagało wielkiéj odwagi, i nie sposób było się zwierzać z tą rzeczą lada komu. Poszedł więc do Zośki i przedstawił jéj groźny stan rzeczy. Ona jedna mogła wyratować kochanka. Ale działać należało natychmiast, bez wahania. Obecność jéj w Wołkowatyczach przed północkiem była niezbędną. O saméj północy miał transport mijać urządzoną zasadzkę. Szalona dziewczyna podjęła się niebezpiecznego przedsięwzięcia. Zbrodnia, którą popełnić miała, nie przerażała jéj wcale.

Noc była ciemna, rozświecona tylko łuną błyskawic, ale deszcz, na który się zanosiło, nie padał. Być może, iż bokiem poszła ulewa, bo wiatr zimny wiał od strony, gdzie się niebo paliło; nad Wołkowatyczami sucha tylko szalała burza.

Przyszedłszy do Wołkowatycz, zwróciła się Zośka w stronę koszar straży granicznéj. Cisza była w krytym słomą budynku. Nie ulegało wątpieniu, że cała załoga podążyła była na zasadzkę. Chyłkiem, ciszkiem, ostrożnie obeszła Zośka cały dom dokoła. Ciemno było wszędzie; z jednego tylko okna dobywał się słaby blask przez szczelinę na wpół otwartéj okiennicy. Zośka zajrzała do wnętrza izby, oświeconéj bladem światłem świeczki, dogorywającéj w lichtarzu. Na łóżku leżała kobieta śpiąca głębokim snem, jak o tém świadczył równy oddech jéj piersi. Koło łóżka stała kołyska. Zośka domyślała się, że to mieszkanie dowodzącego posterunkiem „respicyenta.“

Przekonawszy się, że nic wykonaniu jéj zamiarów nie stanie tak łatwo na przeszkodzie, dobyła młoda kowalka z zanadrza małą flaszeczkę nafty i sporą garść przędziwa, którą nasyciła zapalnym płynem, i wetknęła w strzechę budynku, wspiąwszy się ku niéj po drabinie. Następnie zapaliła zapałkę, i przytknęła ją do naftą przesyconéj przędzy.

Chwilę jeszcze przypatrywała się zbrodniarka z zadowoleniem swemu dziełu. Potém widząc, że buchający płomień coraz bardziéj strzechę ogarnia, zeskoczyła z drabiny, i przelazłszy płot, pośpieszyła polem na przełaj ku drodze, którędy miał iść transport Ignaca.

W połowie drogi usłyszała łoskot szybkich kroków, oraz liczne męskie głosy, rozmawiające ze sobą. Byli to strażnicy, którzy spo-

strzegłszy łunę płonącéj „kasarni“, śpieszyli na ratunek. Zośka przysiadła na ziemi za krzakiem leszczyny, kryjąc się przed nadchodzącymi.

— Biegnijcie, biegnijcie — szepnęła za niemi, gdy minęli jéj schronienie. — Biegnijcie—powtórzyła raz jeszcze przez zęby, uśmiechając się złośliwie. — Kto wié, czy nie przyjdziecie zapóźno.

To rzekłszy, powstała i podążyła śpiesznie w stronę, którędy miał przechodzić transport Ignaca, uradowana myślą, iż odwróciła od kochanka grożące mu niebezpieczeństwo. Szła lekko, nie czując znużenia, choć miejscami grzązką była świeżo zorana rola. Od czasu do czasu zatrzymywała się, zwracając oczy w stronę płonącéj „kasarni.“ Niebo jasną gorzało łuną. Oto jéj dzieło; może się niém pochlubić przed Ignacem. Teraz on ją dopiero pochwali, teraz on ją dopiero pokocha — *łycarkę!* (rycerkę).

Ale oto już słychać turkot wozów Ignaca. Jedzie *sokolik*, jedzie wesoło, i ani wié jakie mu groziło niebezpieczeństwo. Przyśpieszyła jeszcze bardziéj kroku, przeskoczyła rów i stanęła na drodze, — tu czekać będzie na niego.

Nagle, cóż to takiego? Zgiełk, krzyk, szczęk i wrzawa jak gdyby walki. Błysnęło kilka razy w ciemności i huk strzałów rozległ się dokoła. Czyżby Ignacowi drogę zaszli Ponikowiccy strażnicy? Oh nieszczęście, nieszczęście! Abramko nic nie mówił o tém!

Zrozpaczona pobiegła w stronę walki. Ale zaledwie kilka postąpiła kroków, gdy śmiertelnie ugodzona, padła trupem. Kto wié? Być może, iż zbłąkana kula, która jéj przeszyła serce, była kulą Ignaca. Dziwnie się czasem dzieje na tym Bożym świecie!

Ciężko chorował Iwaś, oszołomiony ciosem, który mu zadała szalona kowalka. Byłby niezawodnie padł na miejscu trupem, gdyby gruba barania czapka nie była powstrzymała gwałtownego razu. Szczęściem to jego nazwać można, iż proboszcz miejscowy zatrzymał się był dłużéj u Wołkowatyckiego rządcy, i powracał właśnie tą drogą. Bezprzytomnego zawieziono go na plebanię. Tam dzięki umiejętnéj pieczołowitości zachowano mu życie, i powrócono zdrowie po kilkotygodniowém leczeniu.

Kto wié jednak czy to szczęściem nazwać można, i czy nie lepiéj by dla niego było, gdyby bezprzytomny i pozbawiony ratunku, skończył był na odludnéj grobli? Co mu teraz po życiu bez Zośki i bez Matwija,—bo trzeba wiedziéć, że w czasie słabości Iwasia umarł stary kowal, dowiedziawszy się o śmierci swéj córki. A no, nie było szczęścia, nie było doli! Tak mu teraz żyć już tylko rozpaczą,—tak mu teraz wyglądać od śmierci lekarstwa na tęsknotę!

Włodzimierz Zagórski.

RUMELIA WSCHODNIA.

(*Dokończenie*).

Na opisanych już podstawach traktat Berliński i późniejsze prace komisyi międzynarodowéj w Płowdywie stworzyły nowy, *sui generis* organizm polityczny, prowincyę autonomiczną w łonie despotycznego państwa tureckiego, Rumelią Wschodnią. Zanim przystąpimy do rozpatrzenia choć ogólnikowego rezultatów całéj téj organizacyi, wypada nam w kilku słowach scharakteryzować ziemię i lud, nad którym odbył się opowiedziany tylko co eksperyment dyplomacyi europejskiéj.

Jak wspominaliśmy już wyżéj, cały kawał półwyspu bałkańskiego, któremu traktat Berliński nadał imię Rumelii Wschodniéj, otoczony jest dokoła górami, wyższemi od północy, niższemi od południa, w skutek czego klimat téj krainy stanowczo zaliczyć ją każe do błogosławionych ziem południa. Wewnątrz tych granic, powierzchnia kraju, choć górzysta i obfitująca w czarodziejsko-piękne, nie ustępujące (jak mówią naoczni świadkowie) najpiękniejszym pejzażom szwajcarskim widoki, stosunkowo jednak do otaczających ją olbrzymów może się nazwać dość równą. Niema na niéj nieprzebytych lub przynajmniéj niełatwych do przebycia łańcuchów gór z niebezpiecznemi przesmykami. Łagodne stoki i wyniosłości pozwalają na przeprowadzenie wyśmienitych komunikacyi, bez zbyt wielkich nakładów na mosty, wiadukty i tunele. Prócz mnóstwa drobnych rzeczułek, potoków i strumieni, skrapiających wodami swemi żyzną glebę Rumelii Wschodniéj, przecinają tę krainę dwie większe rzeki—Maryca i Tundża; wzdłuż biegu ich zauważyć można największe skupienie ludności. Wszystkie większe miasta i wsie znaczniejsze nad ich leżą brzegami.

Trzy wymienione przez nas warunki: ciepły, pozbawiony mroznych tchnień północy, klimat, stosunkowo płaska powierzchnia kraju i obfitość wód bieżących, powodują bajeczną, nie do uwierzenia prawie, żyzność gruntu i—co za tém idzie—zwrotnikową iście wegetacyą. W starożytności już kraj ten wraz z sąsiadującą z nim na południe Rumelią turecką znany był ze swych szerokich dolin, przyodzianych nieprzejrzanemi łanami zboża i spichrzem Grecyi nazwany. W wojnach przeciw Ateńczykom, wtedy najdotkliwszą można im było zadać klęskę, gdy zdołano powstrzymać *sitopompię* (dowóz zboża) z Tracyi. I dziś ziemia to urodzajna jak mało. Ze zbóż sieją tu pszenicę, żyto (po bułg. ръж), „czerwonkę" (po tur. kyzyldża), jęczmień (po bułg. iczimik), owies, proso, sorgo (po bułg. sejrek), a zwłaszcza kukurydzę (po bułg. carewica). Z warzyw przemagają groch (po bułg. grach), soczewica (po bułg. leszta), bób czyli bober, ogórki (po bułg. krastawica), kapusta po bułg. zelje, lachna), cybula (łuk—po bułg.), czosnek (po bułg. czesen), pory (po bułg. pras, Allium porrum), papryka (po bułg. piperka, czuszka) i tykwa. Prócz tego ludność hoduje na wielką skalę roślinę zwaną w języku bułgarskim „patladżan" (Solanum Melongena, po włosk. bellanzani), któréj modre, niekiedy aż na stopę długie owoce służą wielu za pożywienie codzienne. Z innych roślin, podróżnicy po Rumelii Wschodniéj wspominają o konopiach, sezamie i anyżu (po bułg. anason). Gdzieniegdzie zdarza się i bawełna (po bułg. pamuk, Gossypium). Tytuniu (po bułg. i po tur. tiutiun) mieszkańcy hodują mało, pomimo że udaje się wyśmienicie. Kartofle (po bułg. patati), dopiero niedawno w bieżącém stuleciu zaprowadzone na bałkańskim półwyspie, mało w Rumelii bywają uprawiane, a w Księstwie w wielu okolicach do dziś je znają tylko ze słyszenia. W lecie bywa tu masa melonów (po bułg. dinja, po tur. kaun) i arbuzów (po bułg. lubenica, po tur. karpuz). Tu i owdzie w pobliżu Marycy całe pola niemi są pokryte. Z drzew owocowych wymienić należy orzechy (po bułg. orjach), drzewa migdałowe (po bułg. bademi), grusze (krusza), morele (kajsiji, zardaliji), brzoskwinie (praskowi), pigwy (djuli) i rajskie jabłka (tomati). Granatów (po bułg. i po tur. nar) i fig (smokinja) mieszkańcy nie hodują, pomimo że—o ile się zdaje—udawały by się wybornie.

Prócz tych drzew pożytecznych, którym zresztą umiejętna hodowla dopomaga do pomyślnego rozwoju, odznacza się Rumelia Wschodnia, a zwłaszcza miejscowości u stóp Bałkanów położone wspaniałemi gajami, które otaczają wieś każdą i zielonym pasem łączą urodzajną równinę z powstającemi nagle stromemi zwałami Bałkanów. Są to prastare laski (po bułg. *korija* z tureckiego *kuru*=

las) z odwiecznych orzechów, kasztanów jadalnych, wiązów i dębów o olbrzymich konarach i pniach stuletnich. Wielkość tych drzew i gęste ich zagajenie jest niezwykłém zjawiskiem w bezleśnych okolicach wschodu i zmusza do podziwu nawet przywykłego do wielkich borów podróżnika z północy. Widok tych olbrzymów roślinnych przypomina ustęp ze starego Wirgiliusza o wielkim cieniu splatających się gałęzi w odwiecznych puszczach, któremi za jego czasów (1900 lat temu) były porosłe zimne doliny Bałkanów (Georgica II, 488):

o qui me gelidis convallibus Haemi
Sistat et ingenti ramorum protegat umbra!

Jednym z najbardziéj uroczych cudów téj bogatéj, prawdziwie południowéj flory są niewątpliwie rozległe pola różane, napełniające powietrze przepyszną swą wonią. Nie są to ogrody różami zasadzone, lecz całe obszary różanych krzewów, rozrzucone po polach, najczęściéj po małych pagórkach. Trudno sobie wyobrazić—powiada ks. Józef Hołubowicz, który długo podróżował i mieszkał w Bułgaryi i Rumelii—coś przyjemniejszego w naturze, jak te oazy róż stulistnych w pięknéj zieleni traw, lub śród złotych łanów zboża. Podróżni i turyści zachwycają się i nie mogą dosyć oka nasycić tym czarującym widokiem, a Bułgarzy słusznie kraj swój, a zwłaszcza dolinę kazanłycką „ogrodem róż" nazywają. Mówiąc niżéj o przemyśle, dodamy jeszcze słów parę o tych polach różanych i o użytku, jaki z róż robią mieszkańcy.

O bogactwach mineralnych Rumelii, mimo że niezawodnie obfitują w nie góry tak Bałkanu, jak i Rodopy, nie mamy żadnych wiadomości. Snadź barbarzyńska administracya turecka przeszkadzała należytéj ich eksploatacyi, a zgnębiony lud, żyjąc z dnia na dzień nie myślał o należytém spożytkowaniu darów hojnéj przyrody. Za to korzystano od bardzo dawnych czasów z rozmaitych źródeł mineralnych o temperaturze niekiedy nader wysokiéj, których moc wielka rozrzucona po całém Księstwie bułgarskiém i Rumelii Wschodniéj. Zwłaszcza na południowym stoku Bałkanów od Anchialos do Karłowa, pod całą Sredną Górą, u północnego podnóża gór Rylskich (u źródeł Marycy), na równinie Sofijskiéj, w kotlinie Kjustendżilskiéj i t. d. spotykają się co chwila białe domy kąpielowe z charakterystycznemi kopułami. W samém mieście Sofii biją źródła siarczane o temperaturze dochodzącéj do 38° R., a w Kjustendżilu dziewięć domów kąpielowych korzysta z gorącego źródła, którego woda ma 60° R. W Rumelii Wschodniéj znane są powszechnie kąpiele kazanłyckie. Urządzenie w tutejszych domach kąpielowych jest dość ory-

ginalne. Woda zazwyczaj zbiéra się w wielkim kwadratowym lub wielokątnym basenie na dwa łokcie głębokim. Potężna budowa tych basenów z gładko ciosanych kamieni zdradza nader starożytne, może jeszcze rzymskie pochodzenie. Zresztą same nazwiska tych budynków kąpielowych przypominają, podług dra Jireczka—termy starożytne; Bułgarzy, Serbi i Turcy zarówno używają dla oznaczenia ich słowa *banja*, które jest tylko przekręceniem łacińskiego *balnea* (liczba mnoga od *balneum*) (1). Bardziéj na południe spotyka się téż nowobułgarskie słowa *lъdža*, które prof. Drinow wyprowadza ze starosłowiańskiego *ląža* (czeskie *louže*, polskie *ka-łuża*). W kąpielach tych oznaczone są dni dla różnych wyznań i płci: jednego dnia od rana do wieczora kąpią się mężczyzni chrześcianie, drugiego—kobiety—chrześcianki, trzeciego muzułmanki, czwartego muzułmanie itd. W miastach, gdzie niema takich warów naturalnych, są urządzone łazienki ze sztucznie ogrzewaną wodą; rzadko gdzie jednak tego potrzeba wobec niezwykłéj obfitości źródeł mineralnych, gorących z natury.

Na téj dziwnie pięknéj i bogatéj ziemi. ograniczonéj na wschód morzem Czarném, na północ Bałkanami, na południe i zachód górami Rodopskiemi, a obejmującéj 35,900 kilometrów kwadratowych, mieszkają obok siebie—dzięki wspomnianym wyżéj historycznym zmianom i wędrówkom narodów—najrozmaitsze i przeważnie wrogo względem siebie usposobione plemiona. Za czasów bizantyńskich siedlili się tu Grecy; potęga Symeona zostawiła wyraźne ślady w postaci nader licznéj ludności bułgarskiéj; wreszcie za rządów ottomańskich powstała tu masa kolonii tureckich. To były trzy główne pierwiastki, z których uformowała się dzisiejsza ludność Rumelii Wschodniéj. Prócz nich wszakże zwrócić jeszcze należy uwagę na wszędzie obecnych Żydów i Cyganów, którzy tu w znacznéj przemieszkują liczbie, oraz na resztki Ormian, których w VIII i IX wieku cesarze bizantyńscy osadzali koloniami całemi na równinie Płowdywskiéj i daléj na wschód aż do morza Czarnego, myśląc stworzyć w ten sposób granicę wojenną, która by przeszkadzała Słowianom posuwać się nazbyt ku Konstantynopolowi. Do ostatnich prawie czasów Europa nie wiedziała dobrze, jaki między wszystkiemi temi narodowościami zachodzi stosunek liczebny. Za czasów nawet komisyi międzynarodowéj, już po utworzeniu prowincyi autonomicznéj, powątpiewano mocno o przewadze w téj ostatniéj pierwiastku bułgarskiego. Wykazały ją z całą pewnością dopiero w roku 1880

(1) Ten wywód etymologiczny dra Jireczka wydaje nam się zbyt śmiałym i przeto dość wątpliwym.

pierwsze rezultaty czynionych w nowoutworzonym kraju obliczeń statystycznych (1). Otóż podług nich, Rumelia Wschodnia miała liczyć 815951 mieszkańców. W liczbie téj miało być 573560 Bułgarów, 174700 Turków (licząc w tém już 16267 poturczonych Bułgarów czyli Pomaków), 42659 Greków, 19549 Cyganów, 4177 Żydów i 1306 Ormian. Jireczek przytaczając (w r. 1882) te cyfry, ostrzega, aby niezbyt im wierzyć, ponieważ obliczenia były robione na prędce przez urzędników administracyjnych i miejscowych wójtów (kmet) gminnych, a w zbieranych w tenże sam sposób wiadomościach statystycznych w Księstwie okazała się przy późniejszém sprawdzaniu poważna omyłka, o 300000 dusz mniéj od rzeczywistéj cyfry. Dla czegoż nie mogła by się zdarzyć i tutaj? — jest ona zaś tém prawdopodobniejsza, że podług cyfr tylko co przytoczonych przypadłoby w Rumelii na kilometr kwadratowy daleko mniéj mieszkańców, aniżeli w Księstwie, kiedy tymczasem wszyscy podróżnicy jednogłośnie świadczą, iż Rumelia nieporównanie gęściéj jest zaludniona, niż krainy z naszéj strony Bałkanów. Uwagi dra Iireczka były aż nazbyt prawdziwe, podług późniejszych bowiem i staranniejszych snadź obliczeń, przytoczonych w wydanéj r. 1885 książce o Bułgaryi ks. Józefa Hołubowicza, liczby te znacznie większych dosięgły rozmiarów. Ks. Hołubowicz daje Rumelii Wschodniéj przeszło milion mieszkańców, z tego 700000 Bułgarów, 250000 Turków (razem z Pomakami), 60000 Greków i 10000c mięszanéj ludności: Ormian, Czerkiesów, Wołochów, Żydów, Cyganów i t. d. Bądź-co-bądź, pewną jest rzeczą, że głównym pierwiastkiem ludności rumelijskiéj, przechodzącym liczebnie wszystkie pozostałe razem wzięte, są Bułgarzy. Lud to, z wyjątkiem mieszkańców okolic górskich, nader cichy i spokojny; nie widać w nim bynajmniéj żadnéj z tych cech srogiéj dzikości, jakie się zwykle przypisują wojowniczym jego przodkom, pogromcom państwa bizantyńskiego. Bułgarzy dzisiejsi różnią się od Serbów właśnie tém, że nie łatwo unoszą się porywem ducha wojennego; nie wysławiają też nigdy bohaterskich walk przodków swoich, zdaje się nawet, że je zupełnie puścili w niepamięć. Skrzętni i wytrwali w pracy, cierpliwi w niedoli, rozważni w postanowieniach, dobrzy mężowie i ojcowie, szczerzy i uprzejmi w pożyciu, serdeczni w przyjaźni, obdarzeni są oni, jak na stan swój, pełny zmian ciągłych i niespodzianych przejść, szczęśliwém bardzo usposobieniem. Wyraz spokoju i pewnéj prostoduszności cechuje oblicze każdego Bułgara, tak, że z rysów już rozpoznać ich można od chytrych i prze-

(1) Oficialna statistika na Istoczno-Rumelijskoto naselenie. Plovdiv. 1880.

biegłych Greków. Życie rodzinne u Bułgarów ma charakter czysto patryarchalny. W małéj osadzie, złożonéj z kilku chat, mieszka zazwyczaj gromadnie kilka generacyi. Synowie pospolicie nie porzucają po ożenieniu domu rodzicielskiego, ale wraz z dziećmi swemi pracują na ojcowskiéj roli, lub, jeśli już w inny sposób szukają zarobku, przynajmniéj groszem swoim wspierają wspólną ojcowiznę, a sami za to na wszelki wypadek zabezpieczony byt w niéj znajdują. Podobnie dzieje się aż do pewnych granic z ich dziećmi. To téż w jednéj zagrodzie naliczyć nieraz można od pradziada aż do prawnuków dwudziestu, albo i więcéj członków rodziny. Jeden z tych ostatnich, zazwyczaj najstarszy latami nosi tytuł *starszyny* i ma władzę zwierzchniczą nad całą rodziną. On rządzi, on się troszczy o wszystkich, on karci wykroczenia, on stara się zaspakajać wszelkie potrzeby. Gdy zaś dojdzie do pewnego wieku, w którym już władza naczelna mogłaby być dlań uciążliwą, godność starszyny przechodzi na jednego z synów. Wszyscy członkowie rodziny ulegają chętnie rozkazom i rozporządzeniom naczelnika; wypadki niekarności są nader rzadkie.

Jak wszystkie narody słowiańskie, Bułgarzy są bardzo gościnni. Wprawdzie dzięki długiéj niewoli i smutnym podczas niéj doświadczeniom zakorzeniła się w ich sercach pewna podejrzliwość względem nieznanych przybyszów, w których przyzwyczajono się lękać tajnych agentów tureckich, albo spekulantów zagranicznych, niech tylko jednak znikną powody podejrzenia, a dom i serce otworzy się chętnie dla gościa. W każdéj wsi — opowiada ks. Hołubowicz — istnieje gospoda gościnna, zwana *han*, podobna do naszych karczem, z tą jednak wybitną różnicą, że nie jest nigdy utrzymywana przez żydów, ale przez chrześcian bułgarskich, a czasem tylko przez Greków albo Cyganów. Charakter chrześciański takich hanów, już sam przez się nadaje im pewną wyższość nad naszemi karczmami. Gdy przybędzie podróżny do hanu, wychodzi zaraz na jego spotkanie uprzejmy gospodarz, zwany *handżi*, wita go zwykłem pozdrowieniem *dobre doszli* (szczęśliwe przybycie), ofiaruje swoje usługi przy wysiadaniu i troszczy się bez przypominania tak o przybysza, jak i o jego woźnicę i konie. Równie uprzejmie żegna u wrót odjeżdżającego chrześciańskim obyczajem: *z bogom*. W takim hanie znajduje się prawie zawsze sklepik, w którym można dostać wszystkiego tego, czego wieśniak zwykle potrzebuje dla zaspokojenia swych potrzeb codziennych. Han bywa także miejscem schadzek poufnych i zabawy, ztąd téż widziéć w nim można zawsze dosyć osób bądź kupujących, bądź na pogadankę albo na traktament przybyłych. Rzadko jednak spostrzedz tu można pijanych.

Jedną z nielicznych wad ludu bułgarskiego jest zabobonność. Złowrogich wróżb i różnych prognostyków zabobonnych, jakiemi się Bułgarzy powodują, niepodobna wyliczyć. Dni feralne, niektóre przypadkowe zdarzenia, przygody takie, jak potknięcie się, upadnięcie i t. p., dostatecznym stają się powodem do zaniechania podróży albo rozpoczętego dzieła. Co do dni feralnych, ma lud bułgarski osobny niemal kalendarz do oznaczenia ich. Są np. dnie, w które nie wolno wymówić słowa *mysz*, inaczéj bowiem myszy przez cały rok robiłyby szkody. Po Wielkiéj nocy aż do Zielonych świątek nie wolno pracować we czwartki, inaczéj latem grad wybije zboże—i t. p. Choroby uważane bywają, jako skutek uroku, szkodliwego wpływu złych niewiast i czarownic. Stara się téż lud bułgarski zażegnać je rozmaitemi gusłami i zabobonnemi praktykami, a lekarki wiejskie, które sobie umiały wyrobić ich monopol, mają często świetne powodzenie.

Głównem zajęciem ludu bułgarskiego jest rolnictwo, do którego zachęca pracowitego wieśniaka już sama żyzność gleby. To téż jadąc przez Rumelią Wschodnią, napotkać można co chwila gromadki robotników uprawiających skrzętnie urodzajne niwy, a naokół drogi mile uderzają oko szeroko rozpostarte piękne winnice, bujne łany kukurydzy i zboża różnego rodzaju. Praca rolnicza odbywa się jeszcze starodawnym od przodków przyjętym obyczajem. Postępowe gospodarstwo nie znalazło tu jeszcze zwolenników, nie znane są jeszcze ulepszone narzędzia gospodarskie, ani nowożytny sposób uprawiania roli. Wszystko odbywa się po staremu, z większym nieporównanie nakładem siły i czasu, ale niemniej skutecznie, a przynajmniéj przystępnie dla wszystkich. Zboże oddziela się od plewy przez wianie, czyli rzucanie zboża do góry, przez co plewy ulatają z wiatrem, czyste ziarno zaś pada na klepisko. Sposób młócenia jest także nader oryginalny i przypomina głęboką starożytność. Za młocarnię służy rodzaj sanek, uzbrojonych od spodu rzędami silnie przymocowanych krzemieni. Sanie te ciągnie około osi (jakby w rodzaju kieratu) wół albo koń, a na nich siedzi dla nadania im ciężaru osoba, która pogania zwierzę. Kilku innych robotników zgarnia dokoła kłosy na miejsce, po którém przechodzą te sanie, a krzemienie ciśnieniem swojém wydzielają ziarno (1).

Ze zwierząt domowych, obok pięknych stad owiec i kóz, hodują Bułgarzy rumelscy bawoły (*bos bubalus*; po bułg. biwol, biwolica; po tur. manda). Zwierzę to żyje głównie w cieplejszych, połu-

---

(1) Obszerniejszą wiadomość o życiu domowém Bułgarów oraz o rolnictwie bułgarskiém podaje w Slovanskim Sborniku E. Jelinka p. J. A. Voraczek w artykule p. t. „Bulharske obydli (mieszkanie) a život v niem.“ Zeszyty 1—5, r. 1884.

dniowych strefach, w naszych północnych krainach jest prawie nieznane i dopiero w Węgrzech tu i owdzie spotkać je można. Bawół jest niższy i dłuższy, niż nasz wół domowy, ma rogi w tył zagięte i delikatną sierć barwy czarnéj lub ciemno-siwéj. Ruchy jego są leniwe i ocieżałe: owéj nieposkromionéj dzikości, o któréj często piszą w książkach, na tych zwierzętach, hodowanych w Rumelii, wcale nie znać. Mleko i masło bawole bywa bielsze i smaczniejsze niż krowie. Bawół jest nader czuły na skwar słoneczny i dla tego po całych godzinach nurza się w bagnach lub stoi. Przy wsiach rumelijskich bywają zwykle osobne sadzawki z mętną wodą, w których bawoły wygodnie aż po nozdrza zanurzyć się mogą. Dzięki częstym kąpielom tego rodzaju, skóra ich pokrywa się wkrótce jakby korą błotną, która broni je od much i palących promieni słonecznych. Nieodzownym dodatkiem przy każdym zaprzęgu bawolim jest rodzaj skopka drewnianego czy skórzanego (po bułg. kutel, czawurka, kepcze) do polewania zwierząt w drodze. Bawoły zaprzęgane bywają—podobnie jak u nas woły—za pomocą jarzem. Wozy używane na równinie rumelijskiéj są to ogromne czworograniaste kosze z czarnego pręcia, których wysokość wcale nie w odpowiednim jest stosunku do wielkości dobytku pociągowego. Widząc te ciężkie, nieforemne fury, naładowane zbożem lub słomą, poznać łatwo natychmiast, że się jest w kraju czysto rolniczym i do tego płaskim, bez nadzwyczajnych wzgórz i wyniosłości. O ile wiadomo ze statystyki urzędowéj, cena bawołów na targach rumelijskich jest znacznie wyższa, aniżeli wołów lub krów, konie używają się tylko do jazdy lub do noszenia juk podróżnych, zaprzęganie ich do wozów od niedawna dopiero zaczęło wchodzić w zwyczaj, i to głównie w bardziéj górzystych okolicach, gdzie trudniéj o bawoły. Na porzeczach Marycy, obfitujących w te zwierzęta, innego zaprzęgu jak bawoli nie ujrzéć.

Każdy rolnik bułgarski jest mniéj więcéj i przemysłowcem, o tyle przynajmniéj, że sam sobie wyrabia wszystkie przyrządy rolnicze: wozy, brony, pługi i t. d. Pług bułgarski ma swój właściwy sobie ustrój, a cały jest dziełem rolnika, z wyjątkiem radła, które się w mieście kupuje. Pomysłowość rolników bułgarskich objawia się zwłaszcza w przyrządach, które służą do sprowadzenia wody rzecznéj na pewną, niekiedy dość znaczną wysokość. Koło wysokiego brzegu osadzone jest na osi olbrzymie koło drewniane, podobne do naszych kół młyńskich, ale zazwyczaj o wiele większe. Okrąg tego koła zaopatrzony jest w sztuczne, stosownie zagięte rurki, z których każda, w miarę obrotu koła, to czerpie wodę z rzeki, to ją następnie u góry na wyznaczone miejsce wylewa. To zaś wielkie koło

obracane bywa za pomocą drugiego w górnym poziomie umieszczonego, a poruszanego siłą dwóch lub trzech wołów.

Obok domowego przemysłu, kwitną po wsiach bułgarskich rozmaite fabryki i rzemiosła, których wyroby wysyłane bywają na sprzedaż i znacznym cieszą się pokupem. Mamy tu fabryki nożów, jataganów, wyrobów metalowych, garncarskich, materyi bławatnych, dywanów, siodeł; wyrabiają się też artykuły tokarskie, płótno, skóry, sukno. Wysoki ten rozwój przemysłu u ludu bułgarskiego był bezpośrednim wynikiem, naprzód—usuniętego dopiero niedawno braku dobrych komunikacyi, i — co zatém idzie — konieczności zaspakajania wszystkich potrzeb miejscowych wyrobami krajowemi, a powtóre—pewnéj apatyi, ociężałości i lenistwa Turków, które zmuszają ich do kupowania wszystkiego za gotowe pieniądze u Bułgarów. Po miastach Turczynki nic w domu nie robią, nie szyją nawet i nie haftują, a przytém żyją w sposób bardzo pierwotny; wszystko kupuje się gotowe na targu. Na wsiach można zobaczyć Turczynkę na polu z sierpem lub motyką, lecz co do wyrobów przemysłu domowego, to i tu muzułmanie żadnego o nich nie mają pojęcia. U Bułgarów przeciwnie, zwłaszcza po wsiach, wszystko — o ile można—wyrabia się w domu. Wskutek tego za czasów panowania tureckiego w kwitnącym były stanie t. zw. *panairy* (1), czyli jarmarki, na których sprzedawano, kupowano i wymieniano wszelkiego rodzaju wyroby i produkta konieczne do życia codziennego. Obecnie — dzięki ulepszonym komunikacyom, a zwłaszcza kolei — jarmarki te straciły swe znaczenie i zmieniły się po większéj części w peryodyczne targi na bydło i konie; w dawnéj świetności obserwować je można dotąd w tych okolicach Rumelii, gdzie ludność jest mieszana, a zwłaszcza tam, gdzie przewaga leży po stronie narodowości tureckiéj.

Jednym z rodzajów przemysłu bułgarskiego, który na szczególniejszą zasługuje uwagę i ocenę — ile że z pośród krajów europejskich jest niemal wyłącznie właściwym Bułgaryi — jest hodowla róż na wielką skalę i wyrabianie z nich olejku i wody różanéj. Na wschodzie, w Indyach, Persyi i Egipcie, jest to artykuł bardzo ważny, ale jego tameczna produkcya wystarcza zaledwie na potrzeby miejscowe. Europie zaś dostarcza przetworów różanych wyłącznie półwysep bałkański, którego gleba dla plantacyi różanych widocznie jest najodpowiedniejszą. Główném ogniskiem przemysłu różanego, stolicą państwa róż jest niezaprzeczenie rumelijskie miasto Kazanłyk

(1) Od greckiego słowa πανήγυρις, które już w starożytnéj greczyźnie oznaczało uroczystość narodową, zgromadzenie, pielgrzymkę.

z okolicami; tu koncentrują się najbogatsze plantacye i ztąd wywozi się największa ilość olejku różanego. Oprócz Kazanłyku wszakże ma Rumelia wiele jeszcze innych miejscowości, gdzie całe tysiące krzaków różanych hodują się po polach, jak gdzieindziéj wino albo chmiel. Wielkie łany róż spotykamy koło Karłowa w dolinie rzeki Giopsy, tu i owdzie koło Staréj- (Eski-Zagra) i Nowéj-Zagóry (Ieni-Zagra), oraz w południowéj części Tatar-Bazardżyckiego okręgu, pod Bracigowem, na słonecznym stoku Rodopy. Róże tu hodowane mają kwiat niepełny, blado-czerwony i należą do trzech rodzajów: *rosa damascena*, *sempervivens* i *moschata*. Podczas „żniw", odbywających się w kwietniu i w czerwcu, zbierają się całe miliony kwiatów, ponieważ dopiero 3200 kilogramów róż daje kilogram olejku. Co do tego ostatniego, rezultat nie co rok bywa jednakowy, lecz zmienia się od 800 do 3000 kilogramów. Hodowlą i dystylacyą tego pięknego kwiatu zajmują się głównie chrześcianie, Turcy w przemyśle tym nader nieznaczny biorą udział. Co się tycze pracy saméj, to tą przeważnie zajmują się kobiety, tak podczas zbierania kwiatów, jak i w czasie wywarzania ich w osobnych kotłach żelaznych. O historycznym początku tego przemysłu mało co wiedziéć można. Pewném jest tylko, że hodowla róż starszą jest znacznie od plantacyi ryżu pod Płowdywem, o których mieszkańcy do dzisiaj wiedzą, że zaprowadzili je dopiero Turcy. Ogrody róż na półwyspie Bałkańskim, czy to naturalne, czy sztuczne, są—o ile się zdaje—czémś bardzo starem. Już pierwszy dziejopis grecki, Herodot z Halikarnasu (VIII, 138) wspomina, opisując Macedonię, o „ogrodach, które podobno należały do Midasa, syna Gordyasza, a w których rosły róże samorodne (αὐτόματα ῥόδα), mające każda po sześćdziesiąt listków i odznaczające się wonią po nad wszystkie inne." Miejsca po owych ogrodach Midasa szukać należy około dzisiejszego miasta Woden, na zachód od Soluni; czarująca to kraina z bujną, wiecznie zieloną roślinnością i setkami srebropiennych wodospadów, które z połyskującego złomami marmurów stoku góry Nidży z szumem spływają na nadmorską równinę. Inni autorowie starożytni sławią znowu róże ziemi Edońskiéj, około dzisiejszego miasta Seres nad dolną Strumą, a zwłaszcza stulistne róże macedońskie, około miasta Filippi, u podnóża góry Pangaia. W napisach i innych pomnikach z epoki panowania rzymskiego na półwyspie wspomina się często uroczystość wiosenna, zwana „Rosalia." Kiedy w ziemiach bałkańskich zaczęto wyrabiać olejek różany, żadnéj nie mamy wiadomości; w Indyach nad Gangesem, w południowéj Persyi (Szyras) i w Egipcie produkcya jego istniała od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych. Bułgarska róża dzika, czyli nasz głóg, zowie się po bułg. *szipъk*, zkąd

pochodzi też i nazwa wioski Szypka. Róża ogrodowa zwana jest *trandafil* (po tur. *gül*), z nowogreckiego τριαντάφυλλον, a olejek różany nazywa się *trandafilowo maslo*, lub terminem nieco zturczonym *gjulowo maslo*. Nazwa tedy świadczy o różach trzydziestolistnych.

Pomimo całego tego bogactwa kraju, oraz wysokiego stosunkowo rozwoju przemysłu u ludu bułgarskiego, handel w Rumelii Wschodniéj do ostatnich prawie czasów znajdował się w stanie zupełnéj stagnacyi. Przyczyn jéj za czasów panowania tureckiego szukać należało naprzód w opłakanym stanie dróg i komunikacyi, a powtóre w strasznym ucisku ludności chrześciańskiéj, która nie miała należycie zabezpieczonego życia, ani własności. Skutkiem obu tych przyczyn, cały ówczesny obrót produktów koncentrował się jedynie we wspomnianych już wyżéj *panair*'ach, na które—wobec nader pierwotnego sposobu życia tak Turków, jak i Bułgarów—zwożono przeważnie wyroby konieczne do zaspokojenia najpierwszych potrzeb i najczęściéj (dla braku drobnéj monety) mieniano po prostu produkt za produkt, np. pewną wagę przędzy lub wełny za odpowiednią wagę wosku lub czereśni i t. p. O handlu na szerszą skalę, a zwłaszcza o handlu wywozowym nie mogło być mowy. Wobec złego stanu komunikacyi wymagało to wielkich nakładów, a wobec mnóstwa rozbójników, i—co zatém idzie—niepewności gościńców publicznych, ryzyko było zbyt wielkie, aby który kupiec chciał się na nie decydować.

Większy ruch handlowy zbudził się w całéj Bułgaryi, a zwłaszcza w późniejszéj Rumelii Wschodniéj, w ciągu ubiegłego stulecia, gdy państwo tureckie chwiać się poczęło, gdy muzułmańska ludność co rok się zmniejszała i gdy stosunki kupieckie z zagranicą na pewniejsze weszły tory. Ludność bułgarska i grecka z każdą chwilą wzrastała liczebnie, zwłaszcza dokoła głównych ognisk kraju, Płowdywa, Śliwna, Staréj Zagóry i t. p. Bułgarzy przychodzili od Bałkanów, z północy; ciągnęła ich na południe urodzajna gleba i bujna wegetacya na porzeczach Marycy; Grecy rodzinami całemi ściągali z Epiru i wysp morza Śródziemnego. Osiadło też tu nieco Rumunów macedońskich, mianowicie po upadku Moskopola, kupieckiego *emporium* macedo-rumuńskiego. Hrabia Ferrières, podróżnik francuski (1788), znalazł w okolicach Płowdywa masę zupełnie świeżéj ludności greckiéj i bułgarskiéj, która całemi gminami prawie zajmowała się handlem z Austryą. Wywożono głównie jedwab, wełnę i bawełnę. Aż do trzeciego dziesiątka bieżącego wieku, t. j. do zaprowadzenia żeglugi parowéj na Dunaju i morzu Czarném, cały ruch handlowy w części wschodniéj półwyspu bałkańskiego zwracał się do Braszowa (Kronstadt) w Siedmiogrodzie. Za owych czasów była

w mieście tém cała kolonia tak zwanych „greckich“ kupców, czyli Greków rzeczywistych, Rumunów macedońskich i zwłaszcza Bułgarów z Sistowy, Ruszczuku, Gabrowa, Śliwna, Płowdywa, a nawet z dalekich krańców Macedonii. Jak silne w téj kupieckiéj osadzie było ożywienie, świadczy między innemi wymownie ta okoliczność, że pierwsza szkolna książka nowobułgarska, „bukwar“ (elementarz) Berowicza, drukowany był w Braszowie (1824) nakładem jednego z osiadłych tam kupców. Do dziś niejeden stary Bułgar w lisim kożuchu, z długim cybuchem w ustach, z przyjemnością rozpowiada o ówczesnych, dalekich, a ryzykownych podróżach handlowych do Braszowa, Lipska i Smyrny, które niekiedy lat kilka człowieka zdala od domu trzymały.

Wielkim ciosem dla miast i handlu wschodnio-rumelijskiego były pamiętne dotąd starszym mieszkańcom kraju zaburzenia, rzezie, mordy i rabunki za czasów anarchii tureckiéj w początkach bieżącego stulecia. Rozbestwione bandy rozbójników (kirdżali), złożone z wszelkiego rodzaju wyrzutków społeczeństwa, zrabowały i spaliły wówczas wszystkie większe i mniejsze miasta na stokach i w dolinach Rodopy, Bałkanu i Srednéj Góry, między innemi Stanimakę (Stenimacho), Kopriwszticę, Panagjurisztie i Kalofer. Jeden tylko Płowdyw został nienaruszony. Wkrótce po tych smutnych zdarzeniach przyszła inna klęska, która w najfatalniejszy sposób podziałała na rozwój handlu i przemysłu. Mianowicie, wybuchło powstanie w Grecyi. Rozjątrzeni tém Turcy poczęli swą zemstę wywierać na całéj *rai* chrześciańskiéj, a ponieważ w Rumelii przemieszkiwała dość znaczna liczba Greków, powiedzieli sobie stanowczo, nie przekonawszy się o tém należycie, że kraj cały sprzyja powstaniu, i zabrali się energicznie do prześladowania, jakoby organizujących się spisków. Nastały czasy straszne. Niepodobna było ruszyć się z miejsca, aresztowania, szpiegostwa, denuncyacye były na porządku dziennym. Łatwo pojąć, że przy takich warunkach o pomyślnym rozwoju obrotów handlowych nie było co marzyć.

Potém nastąpił okres zupełnego spokoju, miasta zwolna poczęły podnosić się z gruzów, ludność powracała do swych siedzib i poczynała zawiązywać dawne stosunki,—handel odradzał się powoli. Powoli—powtarzamy, gdyż do szybszego rozwoju brakło mu jeszcze jednego z najważniejszych warunków: komunikacyi kolejowéj. Raptowny a olbrzymi przewrót w stosunkach handlowych zanotować możemy dopiero w r. 1873, w którym otwarto drogę żelazną z Konstantynopola do Płowdywa. Cały kraj zbliżył się naraz do wielkiego świata handlowego i wszystkie obroty na nowe weszły tory. Nieszczególna to była zresztą koléj. Możemy sobie wyobrazić, jak

z początku musiało jéj brakować zupełnie charakteru europejskiego, jeżeli w 10 lat prawie po jéj przeprowadzeniu (1882), naoczny świadek, K. Jireczek w następujących niezbyt jasnych opisuje ją barwach: „Nakoniec zabrzmiał dzwonek i pociąg ruszył. Był „mięszany“, pasażerów jechało niewielu. Na plancie i między szynami rośnie bujna trawa, pociąg wesoło kołysze się *idąc mniéj więcéj z szybkością fiakra wiedeńskiego*, podróżni w czasie biegu wygodnie odwiedzają się z wagonu do wagonu, a konduktorzy siedzą zzewnątrz na ławkach przechodzących pode drzwiami wagonów, machają zwieszonemi nogami i ćmią fajki. W nocy pociągi nie chodzą, bo podobno niema potrzeby. Podróżni, jadący z Tatar-Bazardżyku do Konstantynopola, nocują w Adryanopolu i w ten sposób są w drodze dwa dni i jedną noc. Jest to koléj żelazna całkiem rodzaju „gemüthlich“, która — jeżeli kiedyś w tę stronę zwrócą się obroty handlowe między Europą i Konstantynopolem — wielu będzie musiała podledz ulepszeniom i reformom.“

Walki ostatnich czasów, zakończone wojną rosyjsko-turecką wywarły znowu wpływ nader smutny na ruch handlowy w Rumelii, dzięki któremu w miastach rumelijskich do dziś straszna panuje stagnacya. Jireczek przewiduje, że usunąć by ją mogły spokój zupełny pod względem politycznym przez pewien dłuższy czas, oraz powiększenie liczby kolei żelaznych, a zwłaszcza wybudowanie linii kolejowéj, która wychodząc z Burgas i biegnąc wzdłuż całego południowego stoku Bałkanów, połączyłaby wszystkie miasta po drodze, jak Jamboli, Sliwno, Kazanlyk, Karłowo i Zlaticę ze stolicą księstwa—Sofią. „Budowa jéj — ciągnie daléj ten wyborny znawca stosunków miejscowych — nie znalazłaby żadnych zbyt wielkich przeszkód naturalnych, ponieważ przesmyki w łańcuchu wzgórz, łączącym Bałkany ze Średnią Górą, nie są niedostępne, ani nawet zbyt wysokie. Cały szereg miejscowości handlowych i urodzajnych, ciepłych krain przytyka do téj linii, nie mówiąc już o masie siły wodnéj w potokach, spływających gwałtownie z wąwozów bałkańskich, którą wyśmienicie można by zużytkować do rozmaitych zakładów przemysłowych. Projekt takiéj kolei został istotnie w r. 1879 przedstawiony władzy rumelijskiéj, lecz dla braku środków zostawiono go bez uwagi. Właśnie podczas mojéj podróży (1881 r.) austryackie towarzystwo kolei rządowych powzięło myśl przeprowadzenia kolei z Sistowy przez Bałkany i Starą Zagórę i połączenia w ten sposób sieci dróg rumuńskich z kolejami rumelijskiemi i z Konstantynopolem, i rozpoczęło nawet studya przedwstępne na gruncie. Ale projekt ten ma bardzo mało szans powodzenia, nie mówiąc już bowiem o olbrzymich przeszkodach w łańcuchu Bałkańskim, dla pokonania

których potrzebaby kilku długich tunelów i ogromnych mostów, trzeba wziąć pod uwagę Bułgarów z Księstwa, którzy nigdy nie zgodzą się na tego rodzaju linię tranzytową, ta bowiem—podług nich—byłaby nader korzystną dla Bukaresztu i Adryanopola, a szkodliwą prawie dla miast bułgarskich.“

Stagnacya w handlu wpływać musiała naturalnie i na upadek miast, które dotychczas z ran zadawanych przez ostatnią wojnę wyleczyć się nie mogą. Wszystkie one powstały za bardzo, bardzo dawnych czasów i przetwarzały się potém stopniowo w miarę zmian państwowych i narodowościowych, jakim półwysep Bałkański — dzięki swemu położeniu geograficznemu — podlegał dość często. Ztąd pochodzi niewątpliwie ten mięszany charakter miast rumelijskich, ta rozmaitość stylów w budowlach, ta dziwna gmatwanina orientalnéj fantastyczności z prostotą słowiańską, ta wreszcie barwność typów ludowych, gwar językowych i ubiorów narodowych, które na pierwszy rzut oka uderzają cudzoziemca przybyłego do Płowdywa, Kazanłyku, Staréj Zagóry lub Stanimaki. Zwłaszcza architektura rumelijska ma swą zupełnie oryginalną cechę. Samorodni budowniczowie macedońscy, którzy są razem cieślami i mularzami w jednéj osobie i którzy od niedawna uprawiają swe rzemiosło w całéj wschodniéj połowie półwyspu, stawiają po większéj części tylko domy parterowe i to dość pierwotnéj konstrukcyi. Zbudowawszy najprzód szkielet drewniany, wypełniają otwory między belkami cegłą paloną, lub—w gorszym przypadku—surową, a czasem po prostu gliną. Dach, pokryty dachówką, wystaje zawsze na dwie, trzy stopy nad obrębem ścian. Zewnątrz domy te malują się zwykle biało, żółto, a czasem pstro. Pra-wzorem domków tych są mieszkania „szwabskie“ w Banacie i ich naśladowania w Białogrodzie, gdzie je ci koczujący majstrowie w swych wędrówkach rzemieślniczych poznali i wystudyowali. Dzięki temu, budowy ich mają jakąś powierzchowność bardziéj współczesną, zwłaszcza co do rozkładu pokojów i co do rodzaju drzwi i okien. Dawniejsze domy po miastach, i tureckie, i chrześciańskie, zbudowane są z drzewa i cegły surowéj, lub po prostu gliny; na dole mają sień z dwiema izbami, na prawo i na lewo, a na górze, dokąd wstępuje się po ciasnych wschodach drewnianych, również taki sam przedsionek z pokojami po obu stronach. Pokryte są zazwyczaj dachami, nader daleko wystającemi i opatrzone wysokiemi kominami, odprowadzającemi dym z *odżaków*, t. j. otwartych ognisk kamiennych. Właściwością wszystkich domów miejskich, które były wystawione przed wojną, jest mnóstwo okien, jedno obok drugiego, zwłaszcza w narożnych pokojach na piętrze, tak, że mieszka się tu jak w latarni. Nie szkodziło to na-

wet Turkom, bo każdy dom otoczony jest do koła wysokiemi murami glinianemi, a nadto osłaniają go od nazbyt ciekawych oczów rozrosłe korony drzew ogrodowych, śliw, morw, moreli, drzew migdałowych itd. Pierwsze piętro regularnie na metr przynajmniéj wystaje z boków nad parterem, i to nawet w Płowdywie, i w domach chrześciańskich, które bez podwórz wprost występują na ulicę, jak nasze kamienice. Stropy domów starych, zwłaszcza tureckich, ozdobione są rozmaitemi rzeźbami w guście wschodnim, niekiedy bardzo artystycznemi i zajmującemi; zazwyczaj malowane są różnemi kolorami. Mebli wewnątrz jest bardzo mało: do około pokoju biegnie najczęściéj nizka sofa, okryta kobiercami lub kolorowemi materyami (mindere); do tego kilka stołeczków, które zwykle stoją po kątach, i szafy drewniane, umieszczone w ścianach (dulapi)—oto i wszystko. Nadto, w domach tureckich, męska i żeńska połowy (selamlik i haremlik) mają oddzielne wschody, a niekiedy umieszczane bywają w dwóch oddzielnych budowlach. Kuchnia mieści się prawie zawsze w osobnéj chałupce w podwórzu. Tego rodzaju wszakże starożytne budynki nikną powoli i znikną z czasem zupełnie, tak, jak znikły już w Serbii i Rumunii. Po ostatniéj wojnie, Rumelioci poczęli myśléć o wznoszeniu trwalszych i bezpieczniejszych mieszkań, jak poprzednie klitki z drzewa i gliny. To też dziś dużo powstaje większych domów z cegły palonéj lub kamienia, odznaczających się daleko dogodniejszym rozkładem i architekturą, na wzór europejski, i zaopatrzonych należycie w meble i wszelkie potrzebne ruchomości. Rzecz prosta, że ten postęp w budownictwie przyczynia się znakomicie do nadania miastom rumelijskim cechy bardziéj cywilizowanéj, zachodnioeuropejskiéj.

Jeduém z najstarszych miast Rumelii Wschodniéj jest założony jeszcze przez Filipa Macedońskiego—*Filippopol*, dzisiejsza stolica kraju, zwana przez Turków *Felibe*, a u Słowian znana powszechnie pod imieniem *Płowdywa*. Rozrzucone bardzo uroczo na trzech wzgórzach wyniosłych, górujących nad równiną płowdywską, miasto to jest rzeczywiście prawdziwém *centrum* Rumelii Wschodniéj, podobnie jak Tyrnowo—księstwa Bułgarskiego. Do niego schodzą się wszystkie drogi krajowe (przecina je nawet wiodąca do Konstantynopola koléj żelazna), w niem skupia się całe życie polityczne, społeczne i handlowe. Płowdyw zasadniczo różni się od Sofii bułgarskiéj. O ile ta jest miastem z gruntu nowém, bajecznie szybko powstałém z gruzów dawnego „glinianego“ miasta tureckiego, ze wszystkiemi zaletami i wadami wielkich miast europejskich, o tyle stolica Rumelii Wschodniéj jest miastem poważném, historyczném, mającém za sobą długą przeszłość dziejową. Odpowiednia też jest i jego

powierzchowność. Ulice—jak w starych miastach włoskich—wązkie, kręte, kryjące się pod balkonami i wyskokami domów. Po bruku ich, ułożonym z wielkich kamieni, ślizgich nawet poczas pięknéj pogody, ciężko wchodzić na rozmaite strome *tepe-ta* (wzgórza), na których rozłożyło się miasto. Najwyższe wzgórze *Dżambas-tepe* (po tur. szczyt kuglarza) zajmuje arystokratyczna część miasta, zamieszkana przez Greków i Bułgarów z pięknemi, obszernemi domami i willami. Mniéj okazale przedstawia się wzgórze *Nebet-tepe*. Między oboma w głębi leży cyrkuł Ormian. Na południe, u stóp Szczytu Zegarowego (*Sahat-tepe*), mieszkają na równinie katolicy rumelijscy. Życie wszakże polityczne i handlowe koncentruje się głównie na północ od wzgórz tych nad rzeką Marycą. Tu znajdujemy długą *czarszię* (rynek) ze sklepami wszelkiego rodzaju, stary *bezestan* (bazar, podobny do włoskich *fondacco*) ze sklepionemi kramami i składami i z wielkiem w środku podwórzem, daléj nowo-założony ogród publiczny na starych cmentarzach tureckich, łaźnię turecką (*hamam*) przerobioną bardzo gustownie na gmach sejmowy, wreszcie nad samą rzeką niezbyt poważny i niezbyt czysty *konak* byłych paszów, przeznaczony na mieszkanie dla generał-gubernatora. Na rzece, szerokiéj dość i bystréj w tém miejscu, rzucony most drewniany wiedzie do rozłożonego po drugiéj stronie „Rylskiego“ cyrkułu (Karszjak), zamieszkanego przez najbiedniejszych. Z budowli miejskich odznacza się kilka pięknych meczetów, mianowicie *imaret-dżamisi* nad rzeką i wielki, kwadratowy *dżumaa-dżamisi* na rynku pod samym Szczytem Zegarowym, oba—wcale piękne pomniki architektury muzułmańskiéj. Kościoły chrześciańskie, jak wszędzie w krajach niedawno z pod władzy islamu wyrwanych, skromnie się kryją w zakątach miasta i niczém osobliwém się nie odznaczają. Prócz studzien i cystern Płowdyw nie ma innéj wody; w skutek tego po ulicach krąży mnóstwo woziwodów (*sakadżyjów*), którzy w skórzanych miechach, zawieszonych na koniu po obu stronach siodła, rozwożą wodę czerpaną z Marycy. Co się tycze ludności Płowdywa, to przeważną większością jest to miasto bułgarskie. Bułgarów jest dwa razy tyle co Turków. Grecy co do liczby trzecie zajmują miejsce, potém idą Żydzi, Ormianie, Cyganie—i wreszcie niewielka liczba osiadłych tu zdawna kupieckich rodzin francuzkich i włoskich. Na ulicach słychać najwięcéj język bułgarski, lecz także i grecki, ponieważ wszyscy prawie Bułgarzy mówią i po grecku.

Obok téj stolicy—Rumelia Wschodnia posiada jeszcze sporo innych miast, odznaczających się bądź handlem, bądź przemysłem, i przyczyniających się w ten sposób do ogólnego ekonomicznego bogactwa kraju. Najważniejsze z nich, które uważamy za stosowne

tu wymienić, leżą wszystkie prawie w jednéj linii w północnym pasie kraju na południowym stoku łańcucha Bałkanów. Powodem tego jest, że pas ten obejmuje w swoim obrębie najżyźniejsze i najbogatsze okolice, prawdziwą krainę mlekiem i miodem płynącą. Nic dziwnego, że ludność od najdawniejszych czasów garnęła się w te strony i że w skutek tego więcéj tu, niż gdzieindziéj powstało ognisk życia społecznego, które zowiemy miastami. Tutaj leży, ukryty w gajach o zwrotnikowéj prawie roślinności, *Kazanłyk*, słynny po całym świecie z czarującego położenia, oraz z hodowli róż na wielką skalę i z wyrobu olejku różanego. Nieco poniżéj napotykamy *Starą Zagórę* (dawniejsze nazwy: *Berrhoea* i *Boruj-Grad*; nowsze *Eski-Zagra*, *Żeleznik*, *Stara Zagora*), znaną z wyrobów jedwabnych, sukiennych, miedzianych, skórzanych, z hodowli i produkcyi słynnéj na całym Wschodzie pszenicy „zagarki“—i z nader ożywionego handlu wszystkiemi temi produktami; daléj *Śliwno*, słynne z silnie rozwiniętego przemysłu i ożywionych targów, *Karłowo*, *Kalofer*, *Jamboli*, *Tatar-Bazardżyk*, bardziéj południowe—*Czyrpan* i *Haskjöj*, i wreszcie sławny i bardzo ożywiony port *Burgas*. Z miast tych—Płowdyw, Bazardżyk, Haskjöj, Stara Zagora, Śliwno i Burgas są stolicami sześciu okręgów, na które podzielona jest Rumelia Wschodnia. Podług liczby mieszkańców główniejsze miasta grupują się w następujący sposób:

Płowdyw	35000	Czyrpan . . .	12000
Śliwno	22000	Kazanłyk . . .	10000
Stara Zagora	18000	Stanimaka . .	10000
Tatar-Bazardżyk . .	15000	Jamboli. . . ,	10000
Haskjöj	12000	Burgas	4000 (1).

Dla uzupełnienia niniejszego wizerunku Rumelii Wschodniéj, wypada nam słów parę powiedziéć o jéj rozwoju intelektualnym, ten zaś obejmuje—prócz szkolnictwa, o którém już mówiliśmy,—powstawanie drukarni, bibliotek, księgarni, towarzystw naukowych, stan czasopiśmiennictwa, oraz ruch literacki. Rozpatrując te kwestye, dopełniać musimy szczupłe nader wiadomości, które podaje Jireczek, szczegółami zaczerpniętemi z sumiennego artykułu Aleks. Teodorowa p. t. *Charakter działalności literackiéj oswobodzonéj Bułgaryi*, zamieszczonego w zeszytach 6-m i 7-m *Sbornika Slovenskiego* za rok 1883. Jak słusznie zaznacza p. Teodorow, odrodzenie narodu buł-

(1) Cyfry powyższe zaczerpnęliśmy ze wspomnianego już wyżéj dziełka ks. Hołubowicza, wydanego w roku 1885, a więc późniéj od rozprawki Jireczka, który téż podaje znacznie mniejsze liczby.

garskiego w pierwszych latach, prawie aż do końca pierwszéj połowy bieżącego stulecia, szło wyłącznie drogą polepszenia i rozwoju szkół bułgarskich. Szkolnictwo było pierwszym zarodkiem późniejszéj działalności na polu swobody, ono to właściwie przygotowało lud bułgarski do życia samodzielnego i po oswobodzeniu zabespieczyło od *fiasca* na arenie publicznéj, *fiasca* bardzo możliwego i przez wielu z całą pewnością oczekiwanego. Z chwilą oswobodzenia narodu bułgarskiego, tj. z chwilą utworzenia Księstwa i „autonomii,“ jak lud zwie Rumelią Wschodnią, a nawet wcześniéj, bo z chwilą przejścia przez Dunaj wojsk rosyjskich, w pomoc szkolnictwu przyszło dziennikarstwo i przejęło na siebie znaczną część owego zadania wychowawczego, które dawniéj całém brzemieniem ciążyło na szkołach. Obok podręczników szkolnych i książek dla ludu, poczęto ogólnie interesować się czasopismami, szukać w nich ziarna zdrowéj oświaty, dzięki czemu dziennikarstwo pozyskało rolę kierowniczą w całym ruchu narodowym. W księstwie bułgarskiém wszakże literatura dziennikarska straciła wkrótce cały kredyt, skutkiem wybitnie indywidualnych tendencyi i stronniczych dążności pism, znajdujących ujście w ciągłych, namiętnych, a do niczego nie prowadzących polemikach. Inaczéj było w Rumelii Wschodniéj. Tu dziennikarstwo zachowało, przez cały czas istnienia aż do dzisiaj, należytą miarę objektywnéj rozwagi i bezstronności, starało się być wyrazem opinii całego ogółu, a nie téj lub owéj partyi, i nie wdając się w próżne i bezcelowe polemiki, miało więcéj miejsca i czasu na pomieszczanie artykułów, mających na oku wysoce patryotyczny cel kształcenia i rozwijania niższych, najliczniejszych klas społeczeństwa, oraz na zbogacenie literatury narodowéj wieloma drukowanemi w felietonach literackich znakomitemi utworami, tak oryginalnemi, jak i tłómaczonemi. A więc, w szpaltach wspomnianéj przez nas wyżéj płowdywskiéj *Marycy* ukazały się w ciągu lat 1878—1883: nader poważne uwagi historyczno-polityczne A. Canowa p. t. „Bułgarya w kwestyi wschodniéj;“ daléj, znaczące „Listy Bułgara rumelijskiego,“ w których nieznany autor (J. E. Geszow?) udziela rozumnie-patryotycznych rad kierownikom dążności narodowych po traktacie berlińskim; zajmujący opis „Walka pod Bracigowem“ z czasów powstania r. 1876 przez A. Miszewa; historya „Księstwa Bułgarskiego“ dra K. Jireczka, oraz podróżne jego szkice p. t. „Z Rumelii Wschodniéj“—i cały szereg utworów beletrystycznych oryginalnych i tłómaczonych. Nie mniéj sumiennie spełniały swoje zadanie: drugi dziennik płowdywski „*Głos narodu*,“ wychodzący w Śliwnie czasopisma „*Doradca*“ (Съвиетник) i „*Sztandar Bułgarski*,“ a zwłaszcza czasopisma naukowe, jak „*Red*“ (Porządek) i „*Nauka*,“ wychodzące

w Płowdywie. Ostatnia jest organem założonego w r. 1879 przez narodowców bułgarskich „Towarzystwa przyjaciół nauk“ (*Uczeno-ljubivo drużestvo*), mającego na celu szerzenie oświaty słowem i czynem śród Bułgarów rumelijskich. Rumelijska dyrekcya oświecenia publicznego, w skutek starań towarzystwa, zatwierdziła wydawnictwo miesięcznika pedagogicznego „dla szkoły i domu,“ sejm uchwalił subsydyum—i od kwietnia 1881 r. poczęło wychodzić w Płowdywie czasopismo „Nauka,“ które już w samych początkach swego istnienia doczekało się drugiego wydania pierwszych swoich zeszytów w ilości 2000 egzemplarzy. Mieszając umiejętnie rzeczy lżejsze z poważniejszemi i urozmaicając treść naukową, składającą się z artykułów historycznych, geograficznych, prawnych, społecznych i ekonomicznych, nowelą, poezyą i powieścią, redakcya „Nauki“ potrafiła zgromadzić około siebie zastęp najdzielniejszych miejscowych pracowników pióra, jak J. Wazow (poeta i nowelista), S. Bobczew i K. Weliczkow (powieściopisarze), P. Slawejkow (historyk i geograf), K. Mirski (prawnik), J. Karłowski i A. Naczew (ekonomiści) i inni.

Prócz czasopism bułgarskich wychodzi téż w Rumelii Wschodniéj dziennik w języku greckim p. t. Φιλιππούπολις, odznaczający się bezustanną polemiką z dziennikami bułgarskiemi i namiętnemi napaściami na rząd rumelijski.

Co się tycze literatury książkowéj w Rumelii Wschodniéj, to prawie dwie trzecie najnowszego katalogu bibliograficznego zajmują książki szkolne i podręczniki naukowe. Jest to tylko oznaka téj przewagi szkolnictwa i nieustającego jego wpływu, o których wspomnieliśmy powyżéj. Znaczną część tego piśmiennictwa naukowego stanowią rzeczy tłómaczone (przeważnie z czeskiego), moglibyśmy wszakże wyliczyć i dość sporą liczbę dzieł oryginalnych, mających swoję stosunkowo wielką wartość. Beletrystyka bułgarska zdolniejszych ma wprawdzie pracowników w Rumelii Wschodniéj, jak w Księstwie, i tam wszakże, i tu nie ma żadnego ogólnego kierunku, żadnéj szkoły: są tylko oddzielni autorowie, piszący rzeczy dobre lub niezłe, lecz nie umiejący porwać za sobą, natchnąć naśladowców i następców i utrzymać w ten sposób pewną ciągłość idei. Że smutny ten objaw jest poczęści wynikiem postanowionego przez kongres Berliński podziału ziem bułgarskich na Księstwo i Prowincyą autonomiczną, o tém ani na chwilę wątpić nie można. Rozdarty na dwie połowy, naród bułgarski uczuł pewną chwiejność na punkcie swych ideałów, potworzyły się patryotyzmy lokalne, miejscowe pojęcia, wyobrażenia i tendencye polityczne. Zabrakło duchowego punktu ciężkości dla całego narodu, zerwała się nić tradycyi—i bułgarska literatura nadobna znalazła się, jak łódź bez żagla i wiosła

na wzburzoném morzu najsprzeczniejszych pojęć i dążności. To—łatwo pojąć—osłabia ją i nie dozwala zakwitnąć należycie.

Co się tycze beletrystów-prozaików, to zgromadzili się oni przeważnie koło płowdywskiéj *„Nauki.“* Za prawdziwie zdolnych i obiecujących uznać można wszakże tylko nowelistę i poetę J. Wazowa, oraz powieściopisarza S. Bobczewa. Znacznie słabsze są już powieści K. Weliczkowa, J. Blъskow zaś i autor, znany pod pseudonimem X. Z., nędzne tylko klecą ramoty. Szczęśliwiéj od prozy rozwija się w Rumelii poezya. Wprawdzie jedynym dobrym jéj przedstawicielem jest wspomniany już autor nowel J. Wazow, lecz za to jest to poeta prawdziwy, który za wielu starczyć może i który pięknemi utworami swemi chlubnie zaciera wrażenie niesmaku, pozostałe po różnych „płaczach“ i „odach“ (S. Kesjakowa), „lirach“ (M. Stefanowicza), i „wierszach“ (T. Aleksijewa). Pierwszym utworem J. Wazowa, który odrazu dał poznać rodakom potęgę talentu nowego autora, był pełny siły i gorącego uczucia cykl poezyi p. t. „Oswobodzeni“ (1877). Po tych wojennych strofach nastąpiły: rozkoszna idylla bułgarska p. t. „Viduł“ (1879), poemat humorystyczny p. t „Gromada“ (1880) i cykl poezyi miłosnych p. t. „Równianka kwietniowa.“ W utworach tych znać stopniowy rozwój ducha poety, lecz zarazem uderza jakaś niepewność, wahanie co do kierunku. Pewnie silnie stanął J. Wazow dopiero w wydanym 1881 r. zbiorku poezyi: „Gęśla.“ Ustęp z niego p. t. *Epopeja zapomnianych* dowodzi zupełnéj dojrzałości ducha poety i świadczy o wielkiéj oryginalności jego pomysłów. Poezya dramatyczna tak w Księstwie, jak i w Rumelii do niemowlęcia dziś jeszcze powijakach w podobna i—co gorsza—żadnych nadziei nie daje na przyszłość.

Z postępem literatury rozwija się zwykle drukarstwo i księgarstwo. Daje się to sprawdzić i na półwyspie Bałkańskim. Piśmiennictwo wyżéj stoi w Rumelii, jak w Księstwie; to też Rumelia więcéj ma drukarni (4 w Płowdywie i jedna w Śliwnie), niż Księstwo, i księgarstwo bułgarskie ma swoje główne ognisko nie w Sofii lub Tyrnowie, lecz w Płowdywie (firmy Danow i Manczow).

Oto są główne dane co do niewielkiego kraiku, utworzonego przez traktat Berliński, a dnia 16 września r. b. przyłączonego do księstwa Bułgarskiego. Nie wdając się w polityczne prognostyki, jak się zakończy cała ta sensacyjna historya w świecie dyplomatycznym, chcemy tylko—reasumując to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli—wyprowadzić ogólne wnioski, co do konieczności takiéj unii prędzéj czy późniéj.

Na wiosnę r. 1879 wszyscy politycy europejscy i czytelnicy gazet mocno byli zaciekawieni, jak też rozpocznie swoje istnienie nowoutworzona „Roumélie Orientale" i jakie z początków tych wyprowadzić będzie można przypuszczenia o przyszłości tego utworu gabinetowego, ukształtowanego zdala od Bałkanów i Marycy i nie mającego na gruncie żadnych antecedencyi i żadnéj podstawy przyrodzonéj. Oczekiwano z niedowierzaniem—i zadziwiono się: początki były bardzo obiecujące. Wrzenie duchów, które poprzedziło przybycie namiestnika, zwolna ucichło, a sejm prowincyi na pierwszych swych posiedzeniach dał dowody niespodziewanego taktu politycznego i zdrowego rozsądku. Nowe instytucye podług statutu organicznego nadzwyczaj prędko się zakorzeniły i niebywały ład i spokój zapanował w prowincyi autonomicznéj. Rząd rumelijski zajął się gorliwie wygajaniem ran, które kraina odniosła w poprzednich latach burzliwych. Ludność—zdało się—ucichła i zgodziła się ze swym losem. Ten spokój pozorny złudził Europę—i wkrótce przestano mówić o Rumelii Wschodniéj z takiém specyalném zainteresowaniem, jak w pierwszych chwilach. Baczniejsi jednak obserwatorowie, a zwłaszcza ci, którzy na miejscu badali stosunki rumelijskie, widzieli dobrze, że przyczyny, które w początkach kazały obawiać się o długowieczność nowo-utworzonego kraju, wcale nie zostały usunięte z biegiem czasu. Przeciwnie, istniały one wszystkie, tylko że jedne utaiły się i przycichły, jakby zbierając siły do tém silniejszego naraz wybuchu, do drugich zaś przyzwyczajono się powoli i przestano uważać je za groźne. Przyczyn tych było wiele. Najprzód, idea historyczna połączonéj Bułgaryi rozpłomieniała stale umysły patryotów bułgarskich tak w Księstwie, jak i w prowincyi autonomicznéj, i budziła i ożywiała coraz nowe projekta zjednoczenia tymczasem choćby tylko autonomicznéj Rumelii z Księstwem. To też publicyści zachodnio-europejscy domyślali się przez czas długi, że Bułgarzy rumelijscy chcą nagle zadziwić Europę jakiémś nieoczekiwaném *fait accompli*, mianowicie nagłym pronunciamentem i powstaniem, co tém łacniéj mogło nastąpić, że wojsk tureckich w prowincyi autonomicznéj nie było. Jako przygotowanie do tego służyć miały owe towarzystwa gimnastyczne, utworzone za czasów okupacyi rosyjskiéj, które i za Wogoridi'ego nie zaprzestały swych ćwiczeń. Gdy wszakże położenie rzeczy się ustaliło, towarzystwa te zeszły zupełnie na dalszy plan, a skoro Porta kategorycznie żądała ich zniesienia, urzędownie zamienione zostały w rezerwę milicyi prowincyonalnéj. Zapomniano o nich—a razem zapomniano i o idei zjednoczonéj Bułgaryi. Ta jednak istniała, a nawet więcéj jeszcze nabrała siły, gdy na mocy obliczeń statystycznych przekonano się o ogromnéj przewadze żywiołu

w mieście tém cała kolonia tak zwanych „greckich“ kupców, czyli Greków rzeczywistych, Rumunów macedońskich i zwłaszcza Bułgarów z Sistowy, Ruszczuku, Gabrowa, Śliwna, Płowdywa, a nawet z dalekich krańców Macedonii. Jak silne w téj kupieckiéj osadzie było ożywienie, świadczy między innemi wymownie ta okoliczność, że pierwsza szkolna książka nowobułgarska, „bukwar“ (elementarz) Berowicza, drukowany był w Braszowie (1824) nakładem jednego z osiadłych tam kupców. Do dziś niejeden stary Bułgar w lisim kożuchu, z długim cybuchem w ustach, z przyjemnością rozpowiada o ówczesnych, dalekich, a ryzykownych podróżach handlowych do Braszowa, Lipska i Smyrny, które niekiedy lat kilka człowieka zdala od domu trzymały.

Wielkim ciosem dla miast i handlu wschodnio-rumelijskiego były pamiętne dotąd starszym mieszkańcom kraju zaburzenia, rzezie, mordy i rabunki za czasów anarchii tureckiéj w początkach bieżącego stulecia. Rozbestwione bandy rozbójników (kirdżali), złożone z wszelkiego rodzaju wyrzutków społeczeństwa, zrabowały i spaliły wówczas wszystkie większe i mniejsze miasta na stokach i w dolinach Rodopy, Bałkanu i Srednéj Góry, między innemi Stanimakę (Stenimacho), Kopriwszticę, Panagjurisztie i Kalofer. Jeden tylko Płowdyw został nienaruszony. Wkrótce po tych smutnych zdarzeniach przyszła inna klęska, która w najfatalniejszy sposób podziałała na rozwój handlu i przemysłu. Mianowicie, wybuchło powstanie w Grecyi. Rozjątrzeni tém Turcy poczęli swą zemstę wywierać na całéj *rai* chrześciańskiéj, a ponieważ w Rumelii przemieszkiwała dość znaczna liczba Greków, powiedzieli sobie stanowczo, nie przekonawszy się o tém należycie, że kraj cały sprzyja powstaniu, i zabrali się energicznie do prześladowania, jakoby organizujących się spisków. Nastały czasy straszne. Niepodobna było ruszyć się z miejsca, aresztowania, szpiegostwa, denuncyacye były na porządku dziennym. Łatwo pojąć, że przy takich warunkach o pomyślnym rozwoju obrotów handlowych nie było co marzyć.

Potém nastąpił okres zupełnego spokoju, miasta zwolna poczęły podnosić się z gruzów, ludność powracała do swych siedzib i poczynała zawiązywać dawne stosunki,—handel odradzał się powoli. Powoli—powtarzamy, gdyż do szybszego rozwoju brakło mu jeszcze jednego z najważniejszych warunków: komunikacyi kolejowéj. Raptowny a olbrzymi przewrót w stosunkach handlowych zanotować możemy dopiero w r. 1873, w którym otwarto drogę żelazną z Konstantynopola do Płowdywa. Cały kraj zbliżył się naraz do wielkiego świata handlowego i wszystkie obroty na nowe weszły tory. Nieszczególna to była zresztą koléj. Możemy sobie wyobrazić, jak

z początku musiało jéj brakować zupełnie charakteru europejskiego, jeżeli w 10 lat prawie po jéj przeprowadzeniu (1882), naoczny świadek, K. Jireczek w następujących niezbyt jasnych opisuje ją barwach: „Nakoniec zabrzmiał dzwonek i pociąg ruszył. Był „mięszany“, pasażerów jechało niewielu. Na plancie i między szynami rośnie bujna trawa, pociąg wesoło kołysze się *idąc mniéj więcéj z szybkością fiakra wiedeńskiego*, podróżni w czasie biegu wygodnie odwiedzają się z wagonu do wagonu, a konduktorzy siedzą zzewnątrz na ławkach przechodzących pode drzwiami wagonów, machają zwieszonemi nogami i ćmią fajki. W nocy pociągi nie chodzą, bo podobno niema potrzeby. Podróżni, jadący z Tatar-Bazardżyku do Konstantynopola, nocują w Adryanopolu i w ten sposób są w drodze dwa dni i jedną noc. Jest to koléj żelazna całkiem rodzaju „gemüthlich“, która — jeżeli kiedyś w tę stronę zwrócą się obroty handlowe między Europą i Konstantynopolem — wielu będzie musiała podledz ulepszeniom i reformom.“

Walki ostatnich czasów, zakończone wojną rosyjsko-turecką wywarły znowu wpływ nader smutny na ruch handlowy w Rumelii, dzięki któremu w miastach rumelijskich do dziś straszna panuje stagnacya. Jireczek przewiduje, że usunąć by ją mogły spokój zupełny pod względem politycznym przez pewien dłuższy czas, oraz powiększenie liczby kolei żelaznych, a zwłaszcza wybudowanie linii kolejowéj, która wychodząc z Burgas i biegnąc wzdłuż całego południowego stoku Bałkanów, połączyłaby wszystkie miasta po drodze, jak Jamboli, Sliwno, Kazanłyk, Karłowo i Zlaticę ze stolicą księstwa— Sofią. „Budowa jéj — ciągnie daléj ten wyborny znawca stosunków miejscowych — nie znalazłaby żadnych zbyt wielkich przeszkód naturalnych, ponieważ przesmyki w łańcuchu wzgórz, łączącym Bałkany ze Średnią Górą, nie są niedostępne, ani nawet zbyt wysokie. Cały szereg miejscowości handlowych i urodzajnych, ciepłych krain przytyka do téj linii, nie mówiąc już o masie siły wodnéj w potokach, spływających gwałtownie z wąwozów bałkańskich, którą wyśmienicie można by zużytkować do rozmaitych zakładów przemysłowych. Projekt takiéj kolei został istotnie w r. 1879 przedstawiony władzy rumelijskiéj, lecz dla braku środków zostawiono go bez uwagi. Właśnie podczas mojéj podróży (1881 r.) austryackie towarzystwo kolei rządowych powzięło myśl przeprowadzenia kolei z Sistowy przez Bałkany i Starą Zagórę i połączenia w ten sposób sieci dróg rumuńskich z kolejami rumelijskiemi i z Konstantynopolem, i rozpoczęło nawet studya przedwstępne na gruncie. Ale projekt ten ma bardzo mało szans powodzenia, nie mówiąc już bowiem o olbrzymich przeszkodach w łańcuchu Bałkańskim, dla pokonania

których potrzebaby kilku długich tunelów i ogromnych mostów, trzeba wziąć pod uwagę Bułgarów z Księstwa, którzy nigdy nie zgodzą się na tego rodzaju linię tranzytową, ta bowiem—podług nich—byłaby nader korzystną dla Bukaresztu i Adryanopola, a szkodliwą prawie dla miast bułgarskich.“

Stagnacya w handlu wpływać musiała naturalnie i na upadek miast, które dotychczas z ran zadawanych przez ostatnią wojnę wyleczyć się nie mogą. Wszystkie one powstały za bardzo, bardzo dawnych czasów i przetwarzały się potém stopniowo w miarę zmian państwowych i narodowościowych, jakim półwysep Bałkański — dzięki swemu położeniu geograficznemu — podlegał dość często. Ztąd pochodzi niewątpliwie ten mięszany charakter miast rumelijskich, ta rozmaitość stylów w budowlach, ta dziwna gmatwanina orientalnéj fantastyczności z prostotą słowiańską, ta wreszcie barwność typów ludowych, gwar językowych i ubiorów narodowych, które na pierwszy rzut oka uderzają cudzoziemca przybyłego do Płowdywa, Kazanłyku, Staréj Zagóry lub Stanimaki. Zwłaszcza architektura rumelijska ma swą zupełnie oryginalną cechę. Samorodni budowniczowie macedońscy, którzy są razem cieślami i mularzami w jednéj osobie i którzy od niedawna uprawiają swe rzemiosło w całéj wschodniéj połowie półwyspu, stawiają po większéj części tylko domy parterowe i to dość pierwotnéj konstrukcyi. Zbudowawszy najprzód szkielet drewniany, wypełniają otwory między belkami cegłą paloną, lub—w gorszym przypadku—surową, a czasem po prostu gliną. Dach, pokryty dachówką, wystaje zawsze na dwie, trzy stopy nad obrębem ścian. Zewnątrz domy te malują się zwykle biało, żółto, a czasem pstro. Pra-wzorem domków tych są mieszkania „szwabskie“ w Banacie i ich naśladowania w Białogrodzie, gdzie je ci koczujący majstrowie w swych wędrówkach rzemieślniczych poznali i wystudyowali. Dzięki temu, budowy ich mają jakąś powierzchowność bardziéj współczesną, zwłaszcza co do rozkładu pokojów i co do rodzaju drzwi i okien. Dawniejsze domy po miastach, i tureckie, i chrześciańskie, zbudowane są z drzewa i cegły surowéj, lub po prostu gliny; na dole mają sień z dwiema izbami, na prawo i na lewo, a na górze, dokąd wstępuje się po ciasnych wschodach drewnianych, również taki sam przedsionek z pokojami po obu stronach. Pokryte są zazwyczaj dachami, nader daleko wystającemi i opatrzone wysokiemi kominami, odprowadzającemi dym z *odżaków*, t. j. otwartych ognisk kamiennych. Właściwością wszystkich domów miejskich, które były wystawione przed wojną, jest mnóstwo okien, jedno obok drugiego, zwłaszcza w narożnych pokojach na piętrze, tak, że mieszka się tu jak w latarni. Nie szkodziło to na-

wet Turkom, bo każdy dom otoczony jest do koła wysokiemi murami glinianemi, a nadto osłaniają go od nazbyt ciekawych oczów rozrosłe korony drzew ogrodowych, śliw, morw, moreli, drzew migdałowych itd. Pierwsze piętro regularnie na metr przynajmniéj wystaje z boków nad parterem, i to nawet w Płowdywie, i w domach chrześciańskich, które bez podwórz wprost występują na ulicę, jak nasze kamienice. Stropy domów starych, zwłaszcza tureckich, ozdobione są rozmaitemi rzeźbami w guście wschodnim, niekiedy bardzo artystycznemi i zajmującemi; zazwyczaj malowane są różnemi kolorami. Mebli wewnątrz jest bardzo mało: do około pokoju biegnie najczęściéj nizka sofa, okryta kobiercami lub kolorowemi materyami (mindere); do tego kilka stołeczków, które zwykle stoją po kątach, i szafy drewniane, umieszczone w ścianach (dulapi)—oto i wszystko. Nadto, w domach tureckich, męska i żeńska połowy (selamlik i haremlik) mają oddzielne wschody, a niekiedy umieszczane bywają w dwóch oddzielnych budowlach. Kuchnia mieści się prawie zawsze w osobnéj chałupce w podwórzu. Tego rodzaju wszakże starożytne budynki nikną powoli i znikną z czasem zupełnie, tak, jak znikły już w Serbii i Rumunii. Po ostatniéj wojnie, Rumelioci poczęli myśléć o wznoszeniu trwalszych i bezpieczniejszych mieszkań, jak poprzednie klitki z drzewa i gliny. To téż dziś dużo powstaje większych domów z cegły palonéj lub kamienia, odznaczających się daleko dogodniejszym rozkładem i architekturą, na wzór europejski, i zaopatrzonych należycie w meble i wszelkie potrzebne ruchomości. Rzecz prosta, że ten postęp w budownictwie przyczynia się znakomicie do nadania miastom rumelijskim cechy bardziéj cywilizowanéj, zachodnioeuropejskiéj.

Jeduém z najstarszych miast Rumelii Wschodniéj jest założony jeszcze przez Filipa Macedońskiego—*Filippopol*, dzisiejsza stolica kraju, zwana przez Turków *Felibe*, a u Słowian znana powszechnie pod imieniem *Płowdywa*. Rozrzucone bardzo uroczo na trzech wzgórzach wyniosłych, górujących nad równiną płowdywską, miasto to jest rzeczywiście prawdziwém *centrum* Rumelii Wschodniéj, podobnie jak Tyrnowo—księstwa Bułgarskiego. Do niego schodzą się wszystkie drogi krajowe (przecina je nawet wiodąca do Konstantynopola koléj żelazna), w niem skupia się całe życie polityczne, społeczne i handlowe. Płowdyw zasadniczo różni się od Sofii bułgarskiéj. O ile ta jest miastem z gruntu nowém, bajecznie szybko powstałém z gruzów dawnego „glinianego“ miasta tureckiego, ze wszystkiemi zaletami i wadami wielkich miast europejskich, o tyle stolica Rumelii Wschodniéj jest miastem poważném, historyczném, mającém za sobą długą przeszłość dziejową. Odpowiednia też jest i jego

powierzchowność. Ulice—jak w starych miastach włoskich—wązkie, kręte, kryjące się pod balkonami i wyskokami domów. Po bruku ich, ułożonym z wielkich kamieni, ślizgich nawet poczas pięknéj pogody, ciężko wchodzić na rozmaite strome *tepe-ta* (wzgórza), na ktorych rozłożyło się miasto. Najwyższe wzgórze *Dżambas-tepe* (po tur. szczyt kuglarza) zajmuje arystokratyczna część miasta, zamieszkana przez Greków i Bułgarów z pięknemi, obszernemi domami i willami. Mniéj okazale przedstawia się wzgórze *Nebet-tepe*. Między oboma w głębi leży cyrkuł Ormian. Na południe, u stóp Szczytu Zegarowego (*Sahat-tepe*), mieszkają na równinie katolicy rumelijscy. Życie wszakże polityczne i handlowe koncentruje się głównie na północ od wzgórz tych nad rzeką Marycą. Tu znajdujemy długą *czarszię* (rynek) ze sklepami wszelkiego rodzaju, stary *bezestan* (bazar, podobny do włoskich *fondacco*) ze sklepionemi kramami i składami i z wielkiem w środku podwórzem, daléj nowo-założony ogród publiczny na starych cmentarzach tureckich, łaźnię turecką (*hamam*) przerobioną bardzo gustownie na gmach sejmowy, wreszcie nad samą rzeką niezbyt poważny i niezbyt czysty *konak* byłych paszów, przeznaczony na mieszkanie dla generał-gubernatora. Na rzece, szerokiéj dość i bystréj w tém miejscu, rzucony most drewniany wiedzie do rozłożonego po drugiéj stronie „Rylskiego“ cyrkułu (Karszjak), zamieszkanego przez najbiedniejszych. Z budowli miejskich odznacza się kilka pięknych meczetów, mianowicie *imaret-dżamisi* nad rzeką i wielki, kwadratowy *dżumaa-dżamisi* na rynku pod samym Szczytem Zegarowym, oba—wcale piękne pomniki architektury muzułmańskiéj. Kościoły chrześciańskie, jak wszędzie w krajach niedawno z pod władzy islamu wyrwanych, skromnie się kryją w zakątach miasta i niczém osobliwém się nie odznaczają. Prócz studzien i cystern Płowdyw nie ma innéj wody; w skutek tego po ulicach krąży mnóstwo woziwodów (*sakadżyjów*), którzy w skórzanych miechach, zawieszonych na koniu po obu stronach siodła, rozwożą wodę czerpaną z Marycy. Co się tycze ludności Płowdywa, to przeważną większością jest to miasto bułgarskie. Bułgarów jest dwa razy tyle co Turków. Grecy co do liczby trzecie zajmują miejsce, potém idą Żydzi, Ormianie, Cyganie—i wreszcie niewielka liczba osiadłych tu zdawna kupieckich rodzin francuzkich i włoskich. Na ulicach słychać najwięcéj język bułgarski, lecz także i grecki, ponieważ wszyscy prawie Bułgarzy mówią i po grecku.

Obok téj stolicy—Rumelia Wschodnia posiada jeszcze sporo innych miast, odznaczających się bądź handlem, bądź przemysłem, i przyczyniających się w ten sposób do ogólnego ekonomicznego bogactwa kraju. Najważniejsze z nich, które uważamy za stosowne

tu wymienić, leżą wszystkie prawie w jednéj linii w północnym pasie kraju na południowym stoku łańcucha Bałkanów. Powodem tego jest, że pas ten obejmuje w swoim obrębie najżyźniejsze i najbogatsze okolice, prawdziwą krainę mlekiem i miodem płynącą. Nic dziwnego, że ludność od najdawniejszych czasów garnęła się w te strony i że w skutek tego więcéj tu, niż gdzieindziéj powstało ognisk życia społecznego, które zowiemy miastami. Tutaj leży, ukryty w gajach o zwrotnikowéj prawie roślinności, *Kazanłyk*, słynny po całym świecie z czarującego położenia, oraz z hodowli róż na wielką skalę i z wyrobu olejku różanego. Nieco poniżéj napotykamy *Starą Zagórę* (dawniejsze nazwy: *Berrhoea* i *Boruj-Grad*; nowsze *Eski-Zagra*, *Żeleznik*, *Stara Zagora*), znaną z wyrobów jedwabnych, sukiennych, miedzianych, skórzanych, z hodowli i produkcyi słynnéj na całym Wschodzie pszenicy „zagarki“—i z nader ożywionego handlu wszystkiemi temi produktami; daléj *Śliwno*, słynne z silnie rozwiniętego przemysłu i ożywionych targów, *Karłowo*, *Kalofer*, *Jamboli*, *Tatar-Bazardżyk*, bardziéj południowe—*Czyrpan* i *Haskjöj*, i wreszcie sławny i bardzo ożywiony port *Burgas*. Z miast tych—Płowdyw, Bazardżyk, Haskjöj, Stara Zagora, Śliwno i Burgas są stolicami sześciu okręgów, na które podzielona jest Rumelia Wschodnia. Podług liczby mieszkańców główniejsze miasta grupują się w następujący sposób:

Płowdyw	35000	Czyrpan . . .	12000
Śliwno	22000	Kazanłyk . . .	10000
Stara Zagora	18000	Stanimaka . .	10000
Tatar-Bazardżyk . .	15000	Jamboli. . . .	10000
Haskjöj	12000	Burgas	4000 (1).

Dla uzupełnienia niniejszego wizerunku Rumelii Wschodniéj, wypada nam słów parę powiedzieć o jéj rozwoju intelektualnym, ten zaś obejmuje—prócz szkolnictwa, o którém już mówiliśmy,—powstawanie drukarni, bibliotek, księgarni, towarzystw naukowych, stan czasopiśmiennictwa, oraz ruch literacki. Rozpatrując te kwestye, dopełniać musimy szczupłe nader wiadomości, które podaje Jireczek, szczegółami zaczerpniętemi z sumiennego artykułu Aleks. Teodorowa p. t. *Charakter działalności literackiéj oswobodzonéj Bułgaryi*, zamieszczonego w zeszytach 6-m i 7-m *Sbornika Slovenskiego* za rok 1883. Jak słusznie zaznacza p. Teodorow, odrodzenie narodu buł-

(1) Cyfry powyższe zaczerpnęliśmy ze wspomnianego już wyżéj dziełka ks. Hołubowicza, wydanego w roku 1885, a więc późniéj od rozprawki Jireczka, który téż podaje znacznie mniejsze liczby.

garskiego w pierwszych latach, prawie aż do końca pierwszéj połowy bieżącego stulecia, szło wyłącznie drogą polepszenia i rozwoju szkół bułgarskich. Szkolnictwo było pierwszym zarodkiem późniejszéj działalności na polu swobody, ono to właściwie przygotowało lud bułgarski do życia samodzielnego i po oswobodzeniu zabespieczyło od *fiasca* na arenie publicznéj, *fiasca* bardzo możliwego i przez wielu z całą pewnością oczekiwanego. Z chwilą oswobodzenia narodu bułgarskiego, tj. z chwilą utworzenia Księstwa i „autonomii," jak lud zwie Rumelią Wschodnią, a nawet wcześniéj, bo z chwilą przejścia przez Dunaj wojsk rosyjskich, w pomoc szkolnictwu przyszło dziennikarstwo i przejęło na siebie znaczną część owego zadania wychowawczego, które dawniéj całém brzemieniem ciążyło na szkołach. Obok podręczników szkolnych i książek dla ludu, poczęto ogólnie interesować się czasopismami, szukać w nich ziarna zdrowéj oświaty, dzięki czemu dziennikarstwo pozyskało rolę kierowniczą w całym ruchu narodowym. W księstwie bułgarskiém wszakże literatura dziennikarska straciła wkrótce cały kredyt, skutkiem wybitnie indywidualnych tendencyi i stronniczych dążności pism, znajdujących ujście w ciągłych, namiętnych, a do niczego nie prowadzących polemikach. Inaczéj było w Rumelii Wschodniéj. Tu dziennikarstwo zachowało, przez cały czas istnienia aż do dzisiaj, należytą miarę objektywnéj rozwagi i bezstronności, starało się być wyrazem opinii całego ogółu, a nie téj lub owéj partyi, i nie wdając się w próżne i bezcelowe polemiki, miało więcéj miejsca i czasu na pomieszczanie artykułów, mających na oku wysoce patryotyczny cel kształcenia i rozwijania niższych, najliczniejszych klas społeczeństwa, oraz na zbogacenie literatury narodowéj wieloma drukowanemi w felietonach literackich znakomitemi utworami, tak oryginalnemi, jak i tłómaczonemi. A więc, w szpaltach wspomnianéj przez nas wyżéj płowdywskiéj *Marycy* ukazały się w ciągu lat 1878—1883: nader poważne uwagi historyczno-polityczne A. Canowa p. t. „Bułgarya w kwestyi wschodniéj;" daléj, znaczące „Listy Bułgara rumelijskiego," w których nieznany autor (J. E. Geszow?) udziela rozumnie-patryotycznych rad kierownikom dążności narodowych po traktacie berlińskim; zajmujący opis „Walka pod Bracigowem" z czasów powstania r. 1876 przez A. Miszewa; historya „Księstwa Bułgarskiego" dra K. Jireczka, oraz podróżne jego szkice p. t. „Z Rumelii Wschodniéj"—i cały szereg utworów beletrystycznych oryginalnych i tłómaczonych. Nie mniéj sumiennie spełniały swoje zadanie: drugi dziennik płowdywski „*Głos narodu*," wychodzący w Śliwnie czasopisma „*Doradca*" (Съwietnik) i „*Sztandar Bułgarski*," a zwłaszcza czasopisma naukowe, jak „*Red*" (Porządek) i „*Nauka*," wychodzące

w Płowdywie. Ostatnia jest organem założonego w r. 1879 przez narodowców bułgarskich „Towarzystwa przyjaciół nauk“ (*Uczeno-ljubivo drużestvo*), mającego na celu szerzenie oświaty słowem i czynem śród Bułgarów rumelijskich. Rumelijska dyrekcya oświecenia publicznego, w skutek starań towarzystwa, zatwierdziła wydawnictwo miesięcznika pedagogicznego „dla szkoły i domu,“ sejm uchwalił subsydyum—i od kwietnia 1881 r. poczęło wychodzić w Płowdywie czasopismo „Nauka,“ które już w samych początkach swego istnienia doczekało się drugiego wydania pierwszych swoich zeszytów w ilości 2000 egzemplarzy. Mieszając umiejętnie rzeczy lżejsze z poważniejszemi i urozmaicając treść naukową, składającą się z artykułów historycznych, geograficznych, prawnych, społecznych i ekonomicznych, nowelą, poezyą i powieścią, redakcya „Nauki“ potrafiła zgromadzić około siebie zastęp najdzielniejszych miejscowych pracowników pióra, jak J. Wazow (poeta i nowelista), S. Bobczew i K. Weliczkow (powieściopisarze), P. Slawejkow (historyk i geograf), K. Mirski (prawnik), J. Karłowski i A. Naczew (ekonomiści) i inni.

Prócz czasopism bułgarskich wychodzi téż w Rumelii Wschodniéj dziennik w języku greckim p. t. Φιλιππούπολις, odznaczający się bezustanną polemiką z dziennikami bułgarskiemi i namiętnemi napaściami na rząd rumelijski.

Co się tycze literatury książkowéj w Rumelii Wschodniéj, to prawie dwie trzecie najnowszego katalogu bibliograficznego zajmują książki szkolne i podręczniki naukowe. Jest to tylko oznaka téj przewagi szkolnictwa i nieustającego jego wpływu, o których wspomnieliśmy powyżéj. Znaczną część tego piśmiennictwa naukowego stanowią rzeczy tłómaczone (przeważnie z czeskiego), moglibyśmy wszakże wyliczyć i dość sporą liczbę dzieł oryginalnych, mających swoję stosunkowo wielką wartość. Beletrystyka bułgarska zdolniejszych ma wprawdzie pracowników w Rumelii Wschodniéj, jak w Księstwie, i tam wszakże, i tu nie ma żadnego ogólnego kierunku, żadnéj szkoły: są tylko oddzielni autorowie, piszący rzeczy dobre lub niezłe, lecz nie umiejący porwać za sobą, natchnąć naśladowców i następców i utrzymać w ten sposób pewną ciągłość idei. Że smutny ten objaw jest poczęści wynikiem postanowionego przez kongres Berliński podziału ziem bułgarskich na Księstwo i Prowincyą autonomiczną, o tém ani na chwilę wątpić nie można. Rozdarty na dwie połowy, naród bułgarski uczuł pewną chwiejność na punkcie swych ideałów, potworzyły się patryotyzmy lokalne, miejscowe pojęcia, wyobrażenia i tendencye polityczne. Zabrakło duchowego punktu ciężkości dla całego narodu, zerwała się nić tradycyi—i bułgarska literatura nadobna znalazła się, jak łódź bez żagla i wiosła

na wzburzoném morzu najsprzeczniejszych pojęć i dążności. To—łatwo pojąć—osłabia ją i nie dozwala zakwitnąć należycie.

Co się tycze beletrystów-prozaików, to zgromadzili się oni przeważnie koło płowdywskiéj *„Nauki.“* Za prawdziwie zdolnych i obiecujących uznać można wszakże tylko nowelistę i poetę J. Wazowa, oraz powieściopisarza S. Bobczewa. Znacznie słabsze są już powieści K. Weliczkowa, J. Blъskow zaś i autor, znany pod pseudonimem X. Z., nędzne tylko klecą ramoty. Szczęśliwiéj od prozy rozwija się w Rumelii poezya. Wprawdzie jedynym dobrym jéj przedstawicielem jest wspomniany już autor nowel J. Wazow, lecz za to jest to poeta prawdziwy, który za wielu starczyć może i który pięknemi utworami swemi chlubnie zaciera wrażenie niesmaku, pozostałe po różnych „płaczach“ i „odach“ (S. Kesjakowa), „lirach“ (M. Stefanowicza), i „wierszach“ (T. Aleksijewa). Pierwszym utworem J. Wazowa, który odrazu dał poznać rodakom potęgę talentu nowego autora, był pełny siły i gorącego uczucia cykl poezyi p. t. „Oswobodzeni“ (1877). Po tych wojennych strofach nastąpiły: rozkoszna idylla bułgarska p. t. „Viduł“ (1879), poemat humorystyczny p. t „Gromada“ (1880) i cykl poezyi miłosnych p. t. „Równianka kwietniowa.“ W utworach tych znać stopniowy rozwój ducha poety, lecz zarazem uderza jakaś niepewność, wahanie co do kierunku. Pewnie silnie stanął J. Wazow dopiero w wydanym 1881 r. zbiorku poezyi: „Gęśla.“ Ustęp z niego p. t. *Epopeja zapomnianych* dowodzi zupełnéj dojrzałości ducha poety i świadczy o wielkiéj oryginalności jego pomysłów. Poezya dramatyczna tak w Księstwie, jak i w Rumelii do niemowlęcia dziś jeszcze powijakach w podobna i—co gorsza—żadnych nadziei nie daje na przyszłość.

Z postępem literatury rozwija się zwykle drukarstwo i księgarstwo. Daje się to sprawdzić i na półwyspie Bałkańskim. Piśmiennictwo wyżéj stoi w Rumelii, jak w Księstwie; to też Rumelia więcéj ma drukarni (4 w Płowdywie i jedna w Śliwnie), niż Księstwo, i księgarstwo bułgarskie ma swoje główne ognisko nie w Sofii lub Tyrnowie, lecz w Płowdywie (firmy Danow i Manczow).

Oto są główne dane co do niewielkiego kraiku, utworzonego przez traktat Berliński, a dnia 16 września r. b. przyłączonego do księstwa Bułgarskiego. Nie wdając się w polityczne prognostyki, jak się zakończy cała ta sensacyjna historya w świecie dyplomatycznym, chcemy tylko—reasumując to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli—wyprowadzić ogólne wnioski, co do konieczności takiéj unii prędzéj czy późniéj.

Na wiosnę r. 1879 wszyscy politycy europejscy i czytelnicy gazet mocno byli zaciekawieni, jak też rozpocznie swoje istnienie nowo-utworzona „Rouménie Orientale“ i jakie z początków tych wyprowadzić będzie można przypuszczenia o przyszłości tego utworu gabinetowego, ukształtowanego zdala od Bałkanów i Marycy i nie mającego na gruncie żadnych antecedencyi i żadnéj podstawy przyrodzonéj. Oczekiwano z niedowierzaniem—i zadziwiono się: początki były bardzo obiecujące. Wrzenie duchów, które poprzedziło przybycie namiestnika, zwolna ucichło, a sejm prowincyi na pierwszych swych posiedzeniach dał dowody niespodziewanego taktu politycznego i zdrowego rozsądku. Nowe instytucye podług statutu organicznego nadzwyczaj prędko się zakorzeniły i niebywały ład i spokój zapanował w prowincyi autonomicznéj. Rząd rumelijski zajął się gorliwie wygajaniem ran, które kraina odniosła w poprzednich latach burzliwych. Ludność—zdało się—ucichła i zgodziła się ze swym losem. Ten spokój pozorny złudził Europę—i wkrótce przestano mówić o Rumelii Wschodniéj z takiém specyalném zainteresowaniem, jak w pierwszych chwilach. Baczniejsi jednak obserwatorowie, a zwłaszcza ci, którzy na miejscu badali stosunki rumelijskie, widzieli dobrze, że przyczyny, które w początkach kazały obawiać się o długowieczność nowo-utworzonego kraju, wcale nie zostaly usunięte z biegiem czasu. Przeciwnie, istniały one wszystkie, tylko że jedne utaiły się i przycichły, jakby zbierając siły do tém silniejszego naraz wybuchu, do drugich zaś przyzwyczajono się powoli i przestano uważać je za groźne. Przyczyn tych było wiele. Najprzód, idea historyczna połączonéj Bułgaryi rozpłomieniała stale umysły patryotów bułgarskich tak w Księstwie, jak i w prowincyi autonomicznéj, i budziła i ożywiała coraz nowe projekta zjednoczenia tymczasem choćby tylko autonomicznéj Rumelii z Księstwem. To też publicyści zachodnio-europejscy domyślali się przez czas długi, że Bułgarzy rumelijscy chcą nagle zadziwić Europę jakiémś nieoczekiwaném *fait accompli*, mianowicie nagłym pronunciamentem i powstaniem, co tém łacniéj mogło nastąpić, że wojsk tureckich w prowincyi autonomicznéj nie było. Jako przygotowanie do tego służyć miały owe towarzystwa gimnastyczne, utworzone za czasów okupacyi rosyjskiéj, które i za Wogoridi'ego nie zaprzestały swych ćwiczeń. Gdy wszakże położenie rzeczy się ustaliło, towarzystwa te zeszły zupełnie na dalszy plan, a skoro Porta kategorycznie żądała ich zniesienia, urzędownie zamienione zostały w rezerwę milicyi prowincyonalnéj. Zapomniano o nich—a razem zapomniano i o idei zjednoczonéj Bułgaryi. Ta jednak istniała, a nawet więcéj jeszcze nabrała siły, gdy na mocy obliczeń statystycznych przekonano się o ogromnéj przewadze żywiołu

bułgarskiego w Rumelii Wschodniéj. Pod jéj téż hasłem i opieką odbył się przewrót ostatni.

Drugą przyczyną, która przewrót taki wywołać musiała nieodzownie prędzéj czy późniéj, była ciągła obawa mieszkańców prowincyi, aby sułtan nie zechciał wprowadzić w wykonanie przysługującego mu prawa co do osadzania garnizonów tureckich w pogranicznych fortecach lądowych i morskich. Obywatele rumelijscy, zwłaszcza w miejscowościach, które były świadkami okrucieństw wojennych w latach 1876 i 1877, powrotu garnizonów tureckich wyobrazić sobie nie umieli inaczéj, jak w towarzystwie wszystkich znanych im z bolesnego doświadczenia okrucieństw i nadużyć. Myśl o przyjściu załog tureckich związana była z myślą o powszechnéj rewolucyi Turków rumelijskich i o nowéj rzezi ogólnéj. Tymczasem Porta, podbudzana jeszcze głosami rozmaitych urzędowych i półurzędowych dzienników europejskich nosiła się ciągle z myślą skorzystania z tego swego prawa i w ten sposób utrzymywała Rumeliotów w ciągłym niepokoju, aż ten wreszcie sprzykrzył się im ostatecznie. Przyłączyli się do Bułgaryi, woląc raz przejść walkę na życie i śmierć, aniżeli w ciągłéj żyć niepewności.

Przyczyny te istniały ciągle i unią wywołać musiały. To, co się stało, nie było faktem nieprzewidzianym. Przeciwnie dawno go już oczekiwać należało. Już w r. 1882 pisał to Jireczek: „Czy Rumelia Wschodnia ma przyszłość? Gdyby była wyspą na morzu lub przynajmniéj półwyspem, istnienie jéj i rozwój były zabezpieczone na czas dłuższy, ale ona jest prowincyą czysto lądową, otoczoną dokoła sąsiadami, którzy jéj nie życzą długiego życia. Bułgarzy myślą o przyłączeniu jéj do Księstwa, Turcy o usunięciu autonomii i przemianie uprzywilejowanéj prowincyi w zwykły wilajet. Kwestya garnizonów tureckich ze wszystkiemi następstwami wisi bezustannie w powietrzu jak chmura piorunowa. Bądź co bądź, wiecznotrwałość nie jest przeznaczona Rumelii Wschodniéj; rzecz to w historyi ludzkości dowiedziona, że wszystkie „teoretyczne“ utwory polityczne z „naukowemi“ granicami, wyznaczonemi naprzód na mapach, a potém dopiero na gruncie, mogą być tylko środkiem chwilowym, lecz że narody z czasem, niekiedy po kilku pokoleniach, znajdą zawsze odpowiednią chwilę i przeprowadzą same to, co dla nich jest odpowiedniém.“

Zenon Przesmycki.

SCHILLER W POLSCE.[*]

„Przez wszystkie dzieła Schillera przebija się idea wolności, a ta idea przybierała inną formę równocześnie z postępem ukształcenia Schillera i w miarę, jak on sam stawał się innym“—temi słowy określił Goethe w słynnych swych rozmowach z Eckermannem (1) cechę główną, wybitniejącą we wszystkich dziełach autora „Tella.“ Ta charakterystyczna cecha Schillera jest walną przyczyną jego większéj popularności niż Goethego w Polsce. Goethe nigdy nie był u nas popularnym — i jakże to mogło być? Problemata, które umysł Goethego zajmowały, były ogólno ludzkiéj natury, interesowały niewielu, a z wyjątkiem „*Werthera*“ i „*Götza*“, nawet w Niemczech nie cieszyły się ogólną popularnością. Schiller przeciwnie—ideałom, które w młodości uwielbiał, wiernym pozostał aż do śmierci. Przez wszystkie jego dzieła przebija się duch wolności, ów większym umysłom właściwy popęd do rewolucyi, owo targanie więzów, które prawo narzuciło ludziom: w tym sensie był Schiller najwierniejszym uczniem Roussa, który i na Goethego wpływ wywarł ogromny, Goethe potrafił jednakowoż tendencye okresu „Burzy i zapasów“ zrzucić z siebie, Schiller hołdował niemal wszędzie tendencyom okresu, który spłodził „Zbójców“, „Götza“ i „Werthera“, który wywołał na świat takie dziwolągi, jak Klingera dramat „Sturm und Drang“ i Lenza „Die Soldaten.“ Pomimo znacznego postępu i późniejszego spokoju nie trudnoby było wykazać nieprzerwaną nić, ciągnącą się przez wszystkie dzieła Schillera. Owego klasycznego spokoju, który

(*) Praca obecna, któréj przekład na język niemiecki w krótkim czasie wyjdzie z druku, jest częścią obszernego dzieła, nad którém autor pracuje.

(1) Gespräche mit Eckermann. I, 305.

nadaje dojrzałość umysłu, a który u Goethego podziwiamy, Schiller nigdy nie posiadał. W listach swoich spowiada on się kilkakrotnie ze swéj niebiegłości w językach klasycznych. Starożytną literaturę poznawał głównie za pomocą tłómaczeń. Za tém wyznaniem przemawia także cała jego działalność. Goethe mógł powiedziéć, że w elegiach Propercyusz go natchnął, Goethe stworzył „Hermana i Dorotę“, gdzie wpływ starożytnych jest widoczny. Schiller epopei nie przedstawił, a wpływ klasyków starożytnych jest u niego bardzo mały. Być może, iż z biegiem czasu zaprawiłby się na literaturze klasycznéj do napisania poematu epicznego, lecz troski o życie, walka o byt doczesny, wątłe zdrowie nie pozwoliły mu iść torem, na którym Goethe osiągnął największą sławę.

Łatwo zrozumiéć, że Goethe-klasyk nie potrafił zjednać sobie u nas tylu zapalonych zwolenników, co Schiller-idealista. Ten ostatni był u nas długi czas uważany za pierwszego poetę niemieckiego, któremu Goethe nie zdołał odebrać berła pierwszeństwa. Jeszcze w r. 1841 pisze A. Bielowski w życiorysie Schillera, poprzedzającym poezye: „Mimo tak wielu, tak znakomitych pisarzów, jakimi Niemce w końcu zeszłego wieku zajaśniały, mimo przeważnych a wielostronnych zalet Goethego, jest Schiller największym piewcą i jedynym wyobrazicielem swego narodu. W jego żywocie z większości narodu wywiniętym, w jego serdecznéj, ludzkość ogarniającéj piersi głębiéj i wierniéj przeglądnąć można wiek i naród, niżeli w dostojnéj, zimno za umniczemi przedmiotami goniącéj, plastycznéj duszy Goethego.“ Powyższe *credo*, które Bielowski wypowiedział, po dziś dzień pozostało nie wiele zmodyfikowane, gdyż prawie każdy z nas Schillera wyżéj stawia niż Goethego.

Dzisiaj, dokonane w 80-tą rocznicę zupełne wydanie dzieł wielkiego mistrza w języku polskim pod redakcyą prof. Al. Zippera (Lwów, nakład Altenberga, 1885, 2 tomy, z illustracyami), daje nam sposobność do pomówienia szczegółowego o przyjęciu utworów jego przez poetów i inteligencyą polską wogóle.

I. *Wpływ Schillera-liryka na Mickiewicza, Brodzińskiego i Korsaka.*

Jest-to zjawiskiem fenomenalném, iż wpływ literatury niemieckiéj u nas zamanifestował się w odmiennym porządku, niż w innych literaturach europejskich. Kiedy „Werther“ i „Götz“ niemal wszędzie wywołał całe legiony naśladowań, kiedy te dwa pomniki okresu „Burzy i zapasów“, pobudziły największych poetów do napisania utworów oryginalnych („Götz“ zostawił widoczne ślady u Walter-

Skotta (1), „Wertherowi“ zawdzięczają swe życie „Ostatnie listy Jakóba Ortisa,“ włoskiego poety Ugona Foscolo (2), u nas tylko „Werther“ zostawił nieznaczne ślady w „Dziadach“; inne dzieła Goethego przeszły z wyjątkiem balad prawie bez wpływu. Balady Goethego i Schillera najwięcéj były czytane i tłómaczone i nie pozostały bez wpływu na literaturę. Schiller, którego główna działalność leży w dramacie, nie mógł wywrzéć wpływu, gdyż z wyjątkiem Słowackiego, który nosi znamiona Byrona prawie wyłącznie, nie wielu mieliśmy dramatyków. Balady jednak nie pozostały bez wpływu, liczne przekłady—a te są u narodu, którego ogół nie mówi po niemiecku dokładnemi wskazówkami poszczególnych wpływów — ukazywały się od r. 1816 rok rocznie.

Romantycy przylgnęli całém sercem do tych nowych wzorów, różniących się, jak niebo a ziemia, od bladéj literatury pseudoklasycznéj francuskiéj. Na czele stoi Mickiewicz, on sam tłómaczy rękawiczkę“ Schillera, jakotéż „Amalię“ wciela do swych „Dziadów.“ Niewiadomo nam dotychczas, ile Mickiewicz Schillerowi zawdzięcza. Tretiak, mówiąc o wpływie Schillera, powiada: „Mickiewicz jak wogóle w poezyi swojéj tak i w balladach, bliższy jest duchem Schillerowi niż Goethemu.... Podobnie jak u Schillera, tak i u Mickiewicza we wszystkich jego pierwszych balladach prześwieca, jak widzieliśmy, nie mądrość praktyczna, która nieraz tryska żywym zdrojem z poezyi Goethego, ale wyższa idea moralna.“ (Mickiewicz w Wilnie i Kownie. II, 125). Zdanie to niczém nieuzasadnione, bo cóż powiedziéć o „Dzwonie“, o „Różnicy płci“ Schillera, gdzie wszędzie widać oko filozofa i to filozofa praktycznego. Nawet balady stoją w związku z wykształceniem filozoficzném Schillera. Jeżeli kto, to Schiller znał filozofią i jéj praktyczne cele, idealistą tak bezwzględnym, jakim go chce miéć Tretiak, *nigdy* nie był (3). Przeciwnie, u Goethego widoczna wszędzie owa „idea moralna“, jak w „Fauście“, typie niezadowolonego uczonego, w „Torkwacie Tassie“, gdzie tendencya jasno się przebija: kontrast poety a dyplomaty, w „Werterze“ potęga miłości i szamotanie się ducha, uwięzionego w kajdany pod wpływem Roussa (4). Pomimo owego wielkiego podobieństwa między Mickiewiczem a Schillerem, nie wykazał p. Tretiak ani na jedném miejscu wpływu Schillera, gdy przeciwnie udało mu się wynaleść niektóre podobne sytuacye w baladach Goethego i Mickiewicza.

---

(1) Por. Brandla: Die Aufnahme von Goethes Jugendwerken in England w Goethe-Jahrbuch. III, 59. — (2) Por. Appel: Werther und seine Zeit. str. 28. — (3) Por. Überwega: „Schiller als Historiker und Philosoph“ i Kuno Fischer: „Schiller als Philosoph.“— (4) Por. Ericha Schmidta: „Richardson, Rousseau und Goethe.“

W baladach wpływ już dlatego jest bardzo mały, że większa część balad Mickiewicza zaczerpnięta jest z poezyi gminnéj, mógł wprawdzie Mickiewicz użyć niejednego motywu zkądinąd, z Schillera prawie nigdzie nie zaczerpnął. Jeżeli mój domysł jest prawdziwy, to widocznym jest wpływ Schillera tylko w jednéj baladzie, ale i tutaj geniusz Mickiewicza utorował sobie sam drogę nawet tam, gdzie cudze motywa do poezyi swéj przyjmuje, wytłacza wszędzie cechę swéj olbrzymiéj osobistości. Wiemy z listów Mickiewicza, z jakim zapałem chciał dopiąć owéj doskonałości, którą podziwiał u Schillera. Odgłos głębokiego wrażenia balady „Żale dziewczyny“ znajduję w „Rybce“, gdzie motywa są zaczerpnięte z podań ludowych, sytuacya jednak wielce przypomina Schillera znaną baladę, zaczynającą się od słów:

„Der Eichwald brauset, die Wolken ziehn,
Das Mägdlein sitzet an Ufers Grün;
Es bricht sich die Welle mit Macht, mit Macht,
Und sie seufzt hinaus in die finstre Nacht,
Das Auge vom Weinen getrübet.“

Tak samo zaczyna się „Rybka“, gdzie dziewica skarży się na niewierność kochanka, u Schillera błaga dziewczyna o pomoc N. Panny i pomimo to są pewne reminiscencye:

„Od dworu, z pod lasu, z wioski,
Smutna wybiega dziewica,
Rozpuściła na wiatr włoski,
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka:
Załamuje białe rączki,
I tak żałośnie narzeka.“

Jeżeli Mickiewicz zdradza tu i owdzie wpływ Schillera, to daleko więcéj winien jest Bürgerowi: ponure sceny na cmentarzach, tajemnicze zjawiska duchów, koloryt ponury, dykcya urywana jest w „Ucieczce“ tak widoczną, że nie waham się powiedziéć, iż Mickiewicz tutaj korzystał z „Lenory“ Bürgera. W „Sonetach“ panuje Petrarca, to wiemy, jednak atmosfera, w któréj się niektóre sonety znajdują, tchnie duchem początkowych, bombastycznych poezyi Schillera. Znany sonet (I, str. 145, Paryż 1861):

„Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą i z westchnieniem miesza się westchnienie...“

jest bez wątpienia pod wpływem reminiscencyi Schillera „Amalii“, który to wiersz Mickiewicz przełożył, napisany, jak niemniéj innego wiersza z téj saméj epoki pochodzącego; już słowo „Zachwycenie“ daje do myślenia, bo taki jest tytuł Schillera poematu: „Zachwycenie do Laury“; oprócz tego obrazy i myśli niektóre są te same: „usta się

spotykają", myśl z Schillera: „Usta, lica łączą się, drżą, palą" ; w tłómaczeniu Mickiewicza; „oko ginie w oku" przypomina Schillerowskie „dusza wionie w duszę", obraz wzięty z „Zachwycenia": „gdy mój obraz wpłynąwszy w słodkie oko twoje." Co oprócz tego Mickiewicz w ogólności winien Schillerowi, jest z pewnością dość wiele; nie da się to jednak z pewną dokładnością oznaczyć. Mianowicie poezye liryczne Schillera: jego patos, niezwykłe, entuzyastyczne opiewanie wolności nie mało przyczyniły się do ślicznych wylewów gorącego serca poety, które podziwiamy w „Dziadach." Scherer mówiąc o poetyckich płodach młodego Schillera, podnosi właśnie owego ducha rewolucyjnego, który powstał z kontrastu między rzeczywistością a ideałem poety: „Wzniosłe rzeczy starał się odmalować w obrazach olbrzymich. Lecz ciemny pesymizm zatrzymał go w więzach. Pragnienia serca jego stawiały opór prawom obowiązku. „I ja w Arkadyi urodzon —woła on—lecz tylko łzy dała mi krótka moja wiosna." Życia maj przekwitł; on nic nie doznał z szczęśliwości" (1). Prawie dosłownie dałoby się to samo o Mickiewiczu powiedziéć, i w jego duszy powstała przepaść wskutek smutnéj rzeczywistości w porównaniu z pragnieniami i dążeniem poety. Wyższość duchowa podyktowała mu słowa, które świadczą o wewnętrznych zapasach poety: „Depcę was, wszyscy poeci,—wszyscy mędrce i proroki, —których wielbił świat szeroki."

Jeżeli zaś poeta wyobraża się jak istota lotna, która skrzydłami wzbija się pod niebiosa, to obok wpływu „Werthera" widoczną jest także reminiscencya z Schillera:

„Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra...
Potrzeba mi lotu!
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dojdę, gdzie granicza stwórca i natura.
I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewém o przeszłość, prawém o przyszłość uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!
I zajrzę w uczucia Twoje.
O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!
Jam tu, jam przybył; widzisz, jaka ma potęga:
Aż tu moje skrzydło sięga."

Nie ulega wątpliwości, że entuzyastyczne wołanie i opiewanie wolności, wzbijanie się do sfer, w których ograniczoność człowieka ustaje, żywiło się czytaniem Schillera „Tęsknoty", gdzie poeta swoje cele wypowiada grzmiącemi słowy:

---

(1) W. Scherer: Gesch. der Deutschen Litteratur. 582.

„Ach! żeby to z téj doliny,
Którą zimna tłoczy mgła,
W inne dostać się krainy,
Jakże piersby tchnęła ta!

Wciąż zielone i wciąż świeże
Widzę pasma pięknych wzgórz;
Żeby skrzydło, żeby pierze!
Do tych wzgórz—bym leciał już."

Obadwa te poematy mają wspólne źródło w „Wertherze," gdzie panteistycznym zapatrywaniom swoim Goethe daje wyraz w liście z 18 sierpnia.

Młodego Mickiewicza dykcya zbliża się więcéj do patosu Schillera niż do plastycznéj, jędrnéj mowy Goethego; Goethe nawet w młodości nie bujał w tak wysokich sferach uniesienia, jak Schiller.

Stąd też wpływ na innych naszych poetów stosuje się do ich indywidualnych cech umysłowych i rodzaju temperamentu. Brodziński wysoko cenił Schillera, nigdy jednak nie zdradza wpływu *młodego* Schillera, widać natomiast ślady jego poezyi z czasów, gdzie młodociane tegoż zapędy nieco ostygły i ustąpiły miejsca rozważnéj refleksyi. Poemat Brodzińskiego „Piękne sztuki" (1), gdzie występują alegoryczne postacie: poezya, muzyka, malarstwo, taniec, dramaturgia, krytyka, jest bez wątpienia pod wpływem Schillera „Die Huldigung der Künste", a „Radość" (2) jest naśladowaniem pięknego poematu z drugiego okresu „An die Freude" napisany.

Z nieco późniejszych czasów okazuje Julian Korsak widoczne ślady głębokiego przejęcia się Schillerem. On sam przetłómaczył z Schillera „Oczekiwanie" i „Nadzieję." Ze zbioru jego poezyi, które dzisiaj już są prawie zapomniane, wszędzie przebija się skrzętne i pilne krzątanie około nowszéj literatury niemieckiéj i angielskiéj. Zbiór ten nosi tytuł. „Nowy Parnas Polski, zawierający poezye Adama Mickiewicza, Edwarda Odyńca, Juliana Korsaka, Aleksandra Chodźki, Antoniego Goreckiego i Massalskiego"; oddział trzeci: „Poezye Juliana Korsaka i Aleksandra Chodźki. W Poznaniu. Nakładem nowéj księgarni J. A. Munka, 1833." — Poezye, tu umieszczone, noszą niekiedy dopisek, że są naśladowaniem z Schillera, jak „Różnica płci" i „Do wieczności." Obok tego ostrzeżenia, łatwo wykazać i w innych wpływ Schillera, tak np. w wierszu „Muzyka", przy opisie bitwy, Korsak miał w pamięci wiersz Schillera „Die Schlacht", który, jak wiadomo, zaczyna się słowy:

„Schwer und clumpfig,
Eine Wetterwolke,
Durch die grüne Eb'ne schwankt der Marsch.
Zum wilden eisernen Würfelspiel
Streckt sich unabsehlich das Gefilde,
Blicke kriechen niederwärts,

(1) Pisma K. Brodzińskiego I, 69. — (2) Tamże I, 78.

An die Rippen pocht das Männerherz.
Vorüber an hohlen Todtengesichtern
Niederjagt die Front der Major
Halt!
Und Regimenter fesselt das starre Kommando,
Lautlos steht die Front.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że ten ustęp dał pochop Korsakowi do napisania zwrotki o wpływie i znaczeniu muzyki w bitwie:

„Ty jeszcze budzisz w nas czasem
Żądze wojny, żądze chwały,
Patrz na te szerokie błonia
Najeżone włóczni lasem!
Wojennego miecza szczęki,
I wojennéj trąby dźwięk!
Budzą echa po dąbrowach,
Patrz! jak wiatrem potoczone
Płyną fale szeregami,
Po dolinach, po parowach
Wyciągnięte linijami,
Płyną tłumy uzbrojone.“

Motyw, który następuje po tym opisie szyków wojskowych, rozkaz hetmana, którego słowo rządzi wszechwładnie nad wojskiem, jest Schillerowski:

Spieszą, śpieszą na plac boju,
Już zaczernił pył ich czoła;
A na czole kropla znoju
Jakby kropla rosy świéci;
W tém głos wodza stój! zawoła,
I stanęli jakby wryci.

Po okresie romantycznym, który najpiękniejsze płody pod wpływem różnorodnych kombinacyi spowodował, ustaje zapał do literatury niemieckiéj, nowsi zwłaszcza poeci albo nic albo bardzo mało zawdzięczają Schillerowi. Naszego krótkiego przeglądu wpływu Schillera w literaturze naszéj nie możemy inaczéj zakończyć, jak gorącém życzeniem, by nietylko Byron i Heine, ale w większym stopniu Goethe i Schiller u nas zamieszkali i ażeby ich olbrzymia czynność nie była dla nas zupełnie straconą!

II. *Schiller na scenie i w dramacie polskim.*

Wpływ wielkich dramaturgów manifestuje się nietylko przekładami na obce języki, lecz także o wiele więcéj przedstawieniami na scenie. Chciałbym tutaj krótkiém zestawieniem repertoaru sztuk Schillera osiągnąć rezultat, który na innéj drodze bardzo trudno można otrzymać. Nawet z pobieżnego przeglądu poznać łatwo, iż Schiller cieszył się u nas daleko większą sympatyą na scenie niż Goethe. Ten ostatni z desek teatralnych prawie nam nie znany, dziwić się temu nie będziemy, jeżeli zważymy tę okoliczność, iż z wyjątkiem mniejszych utworów scenicznych Goethe nawet w Niemczech długi czas nie był wystawionym. Pierwsza część „Fausta“ była za życia

Goethego zaledwie kilka razy wystawioną, drugą część próbowali tylko niektórzy (Gutzkow, Wollheim, Devrient) przedstawić; „Götz“ również nastręczał trudności dla sceny. U nas Schiller w ogóle był dość często granym, mianowicie we Lwowie, gdzie publiczność z lektury znała Schillera. U Bogusławskiego jeszcze głucho o Schillerze, ale z rokiem 1819 cieszył się Schiller niezwykłém powodzeniem W roku 1817 (1) odegrano „Rozbójników,“ Franciszka Moora grał Malinowski.

W roku 1819 odegrano sztuki: „Fiesko“, „Zbójcy“, „Don Carlos“,—Bensa występował w roli Fieska, Karola, Pozy; tegoż roku „Intryga i miłość“: w roli Lady Milfort—Kamińska. W r. 1819 spoczywały główne role w rękach Bensy. Estreicher (2) podaje ułamek z oceny Preka o grze Bensy. Ulubione jego role, w których jako prawdziwy mistrz występował, były: „Hamlet, Król Lear, Poza, Fiesko, Karol Moor. O grze Kamińskiéj znajdujemy wzmiankę: „W tragedyi Szyllera „Intryga i miłość“ cokolwiek Szyller przez usta Lady Milfort powiedział, oddała z wyborną grą i uczuciem. Chwila nieméj gry w scenie z Ferdynandem wyrażała cały stan duszy.“ W téjże saméj tragedyi rolę Ludwiki grała Rutkowska Aniela. „Charakter Ludwiki—słowa recenzenta—zgadza się ze sposobem gry Rutkowskiéj. Ciągłe udręczenia nadają mu rysów bolejącéj żałości. Aktorka zrobiła ten charakter nudnym, Ludwika była nieszczęśliwą, lecz oraz kochanką, o tém zdawała się zapominać aktorka. Wyrazu miłości nigdzie nie było. Uczuciom brakowało życia i tych wymownych w grze cieniów które bez słów w duszę uderzają.“ O grze znakomitego Bensy znajdujemy wziankę: „W tragedyi Szyllera „Intryga i miłość“ grał Ferdynanda. Oddał swój charakter starannie, z właściwym wyrazem. Tkliwą i ujmującą była pierwsza scena z Ludwiką i pełną zapału owa, gdy mu ją chcą wydrzéć a w ostatniéj, kiedy z postanowieniem śmierci do Millera przychodzi, panowała mocna i wzruszająca gra od początku do końca“ (3). O roli jego w „Zbójcach“ pisze recenzent: „W tragedyi Szyllera „Zbójcy“ gra Bensy lubo we względzie szczegółów była dosyć trafną, nie wytrzymałaby porównania z wielkim charakterem Karola, którego dobrze oddać niepodobna, nie przejąwszy się wprzód duchem autora, nie wyrozumiawszy z całości, do czego i jakim sposobem dąży. Lepiéj odegrał od niego Smochowski rolę Franciszka“ (4) O Smochowskim czytamy na inném miejscu (5).

---

(1) Nie chodzi mi tutaj o zupełne wyczerpanie materyału, chcę tylko skonstatować, kiedy i jak często Schillera sztuki były odegrane.

(2) Estreicher: Teatra w Polsce III, 213.

(3) Teatra w Polsce III. 240. (4) Tamże III. 243. (5) Tamże III. 263.

„W tragedyi Szyllera „Zbójcy“ zupełnie prawie zadowolił Sosnowski w Franciszku. Zgłębił i wyczerpał wszystkie rysy tego dziwotworu, wydał je z mocą i należytym wyrazem.“ Millera grał Nowakowski, Wurma Smochowski (Sosnowski). Jak wielce zajmowano się Schillerem, o tém świadczy i ta okoliczność, że 1 stycznia 1819, „Pieśń o Dzwonie“ Schillera była deklamowaną przez jéj tłómacza Kamińskiego. Z deklamacyą połączone było i naoczne przedstawienie lania dzwonu, przy końcu czeladź wykonywała wszystkie owe roboty, przez które autor przechodzi.

Że Schiller cieszył się słuszną popularnością, zasługa to Kamińskiego, tego niestrudzonego pracownika na polu sceniczném. Póki on był przy teatrze, nie zaniedbano nigdy sięgnąć po sztuki Schillera. Późniéj zupełnie zapomniano o wielkim dramatyku niemieckim.

1820. W tym roku znajdujemy w liczbie nowo odegranych sztuk z Schillera tylko „Maryą Stuart“ (dnia 30 czerwca).—1821. Ten rok przyniósł nowe dzieła Schillera: 1) Oblubienicę z Messyny, 2) Dziewicę Orleańską, 3) Fieska.—1822. Przedstawiono przekłady z Schillera, Szekspira, Kotzebuego, Alfierego i t. d.—1825. Dnia 16 września grano Schillera „Zbójcy“ (Benza—Karol Moor, Smochowski jako Franciszek). W tragedyi „Intryga i miłość“ Schillera zachwycał Nowakowski w roli muzykanta Millera. Majora grał Benza, Prezydenta Rudkiewicz a Wurma Smochowski. W październiku grano Schillera Fiesko trag. (Kamińska grała w roli Julii niezrównanie). Od tego roku liczba przedstawionych dzieł Schillera coraz się zmniejsza, na rok 1826 przypada tylko „Marya Stuart,“ na rok 1828 „Don Karlos,“ który w styczniu 1829 został powtórzony, na r. 1830 „Dziewica Orleańska.“ Po długiéj przerwie przedstawiono „Dziewicę“ dopiero w r. 1840. Okres po 1840 r. jest znowu trochę szczęśliwszy dla Schillera, w r. 1841 grano „Śmierć Wallensteina.“ W roku 1843 dano „Dziewicę Orleańską“ (1) i „Maryę Stuart.“ W r. 1845 powtórzono „Maryę Stuart,“ grano także „Fieska.“ Od roku 1846 datuje się upadek sceny lwowskiéj, słusznie mówi Estreicher: „nie mieli personalu do odgrywania dzieł klasycznych dawniéj wystawianych, dzieł Szyllera lub Szekspira, więc ograniczono się do ramot, jak „Twardowski“ (2). Najlepszym tego dowodem jest fakt, iż aż do roku 1850 nie pojawiła się żadna sztuka Schillera. I w nowszym czasie widać dążności, by przedstawiano utwory klasyczne, a jeżeli kiedy coś z Schillera się ukaże, to nie potrafi to spełnić naszych oczekiwań. Najlepszym tego dowodem niedawne przedstawienie „Dziewicy Orleań-

(1) Estreicher, Teatra w Polsce III. 527. (2) Tamże III. 718

skiéj", gdzie wskutek gry aktorów publiczność żadnego wrażenia nie wyniosła z tego utworu, który we wszystkich scenach europejskich w prawdziwy entuzyazm wprowadza słuchaczy. Przedewszystkiém źle pojęli artyści swoje role; „Dziewica Orleańska" jest wprawdzie i na scenie wiedeńskiéj otoczona atmosferą niemal eteryczną, nadziemską, tak że i głos jéj cichy i ruchy mniéj odważne, jakbyśmy mogli wnioskować z charakteru bohaterki, miecz dzierżącéj. Taka jednak niemal płaczliwa Joanna, nieśmiała, drżąca, mówiąca głosem płaczącym zupełnie nie jest w duchu Schillera oddaną. Krótkiego tego przeglądu naszego nie możemy zakończyć, by nie wyrazić życzenia, aby nasz teatr lepiéj pojmował swoje zadanie i starał się ze sceny te korzyści osiągnąć, które Schiller w swojéj pięknéj pracy „Die Schaubühne als eine moralische Anstalt betrachtet" jako ideał nam wystawia!

Wyraźnych śladów Schiller w naszéj literaturze dramatycznéj nie zostawił, jego czynność pomimo to nie zupełnie dla nas straconą została, mało jednak widać ducha Schillerowskiego u nas. Słowacki mało znał Schillera a choćby znał, to do Byrona i Szekspira przylgnął tak dalece, iż po za tymi dwoma Anglikami nie widać dokładnego wpływu innych dramaturgów. Korzeniowski Józef znał Schillera dokładnie, ale i u niego wpływu wielkiego niema. Chyba tylko „Aniela" pokazuje tu i owdzie widoczny wpływ Schillera „Intrygi i miłości". Już z początku poznać można, że mistrzowska technika Schillera była obcą Korzeniowskiemu; długie, nużące dyalogi, brak owéj porywającéj dykcyi, którą np. Słowacki posiada w wysokim stopniu. „Aniela", bohaterka tragedyi już w *czwartym* akcie truje się, wskutek czego znika zupełnie ze sceny, a piąty akt ma nam okazać śmierć Gustawa, technika nie zupełnie szczęśliwa, kochankowie nie umierają *razem* na scenie, śmierć bohaterów, tj. tutaj kochanków, jest punktem, do którego cała akcya od początku jak do swego celu dążyć powinna.

Z tém wszystkiém nie da się zaprzeczyć, że tragedya Schillera pozostawiła widoczne ślady w postaci Anieli. Ta podobną jest bardzo do Ludwiki:

a) Charaktery.—Tak jak Ludwika chętnie wyznaje przed ojcem swoję bezinteresowną miłość do Ferdynanda: „Ich beweine mein Schicksal nicht. Ich will ja nur wenig—an ihn denken—das kostet ja nichts. Dies bischen Leben—dürft' ich es hinhauchen in ein leises, schmeichelndes Lüftchen, sein Gesicht abzukühlen" (I. 3); tak samo spowiada się Aniela przed swym ojcem z najdroższych swych uczuć:

„O, nie uwierzysz, co się we mnie dzieje,
Gdy się przy boku jego wyobrażam;

Kiedy pod jego skrzydłem przelatuję
Dalszego życia kraje nieznajome.“

Herman, ojciec Anieli, tak samo nie może się pogodzić z marzeniami swéj córki, jak Miller przeklina owę chwilę, kiedy major poznał jego Ludwikę: „Höre Luise—das Bissel Bodensatz meiner Jahre, ich gäb es hin, hättest du den Major nie gesehn“. Herman Korzeniowskiego podobny jest do Millera swym trzeźwo patrzącym wzrokiem, który uniesień młodzieńczych zrozumieć nie może.

„Często
Bierze mię dzika chęć naturze łajać,
Że ci zbyt wiele dała owéj władzy,
Co w marach prawdę widzi, a rozum
Aż nadto mało“ (1).

Idealna postać *Ludwiki*, która z najświętszych swych uczuć pod wrażeniem groźb prezydenta wyrzeka się wszelkich praw do jego syna („Herr von Walter, jetzt sind Sie frei“ II. 6), znajduje piękną kopię w Anieli Korzeniowskiego, która z rezygnacyą woła do Gustawa: „Wolnym jesteś, opuść mię.“ W bezinteresownéj miłości swojéj podobną jest do Ludwiki, która wobec dumnéj lady rezygnuje z prawa posiadania Ferdynanda (IV. 7), Aniela zdolną jest do największéj ofiary, kiedy widzi, że Gustaw może być z Heleną szczęśliwy:

„Niech ją kocha,
Niech się jéj dziwi, niech szczęśliwym będzie.“

Gustaw tworzy w swych szlachetnych postanowieniach, w swém własném wyznaniu, iż zakłócił spokój godnéj dziewczyny, godny pendant do Ferdynanda, który wobec dumnéj Milfort spowiada się ze stosunku swego do swojéj Ludwiki: „Ich bin der Schuldige. Ich zuerst zerriss ihrer Unschuld goldenen Frieden—wiegte ihr Herz mit vermessenen Hoffnungen und gab es verrätherisch der wilden Leidenschaft Preis.“ (II. 3). Tak samo Gustaw przedewszystkiém siebie samego obwinia.

„Nieszukającéj jam się sam narzucił,
Wstrzymał, zamieszał dni jéj bieg szczęśliwy.
Jam tchnął w jéj piersi nieznajome chęci,
Przeniósł do wyższéj sfery i rozwinął
Życie kwitnące tylą powabami“ itd.

b) Oprócz charakterów, poszczególne *sytuacye* przypominają tragedyą Schillera i stosunek między Gustawem, Heleną a Anielą jest taki sam jak między Ferdynandem, Lady Milfort i Ludwiką.

(1) Dramata Korzeniowskiego, Kijów 1839. Tom I. str. 79.

W scenie trzeciéj aktu drugiego składa Gustaw swój los i los Anieli w ręce Heleny:

Jedno tylko dobro
Ocalić mogę: honor mój i słowo;
I to w twe ręce składam. Bądź wspaniałą,
Bądź sprawiedliwą, sama osądź, pozwól,
Abym ci wyznał...
Helena.
Nie potrzeba, wiem już.

Ferdynand powołuje się w wyznaniu swojém przed Milfort na *honor*, który mu tak czynić każe, jak to niedawno postanowił był. Po zeznaniu lady Milfort, Ferdynand nie może wstrzymać się od wyznania swéj miłości ku Ludwice, z zaufaniem, płynącém z poczucia swéj godności zwraca się do lady Milfort: „Lady, ich muss—Himmel und Erde liegen auf mir—ich muss Ihnen ein Geständniss thun—Lady!“ Ta ostatnia wzbrania się z ust Ferdynanda usłyszéć wyznanie które musiałoby z całą gwałtownością dotknąć jego serca: „Seis Tod oder Leben—ich darf es nicht—ich will es nicht hören“ (II. 3). Nie ulega wątpliwości, że ta scena dała pochop Korzeniowskiemu do napisania owéj sceny, w któréj Gustaw apeluje do sprawiedliwości Heleny (II. 5).

Tak samo jak Miller proteguje wszędzie Wurma, tak Herman radby Wilhelma zbliżyć do swéj córki. a oto zacny człowiek, z którym ci bliżéj radzę się zapoznać“ (III 3).

c) Niektóre *motywa* zdają się wpływowi reminiscencyi zawdzięczać swe istnienie. Tak kiedy Herman wyrzuca sobie, że nie starał się o to, aby złemu zapobiedz w czasie, kiedy Aniela mogła mieć konkurenta, odpowiedniego jéj stanowi:

Chciałem, by miłość, nie powagi mojéj
Surowa ręka, męża ci wybrała.
Każdy mnie równy cnotą i ubóstwem,
A tobie miły, byłby pożądanym:
Każdy, lecz żaden Hrabia, i co zdradziecki
Zamiar w uczciwą maskę ubrać umiał!
I gdybym znał go był z początku—Boga
Na świadka wzywam,—żebym mu był zaraz
Drzwi domu mego wskazał (1).

Cały ten ustęp dokładnie przypomina słowa Millera, kiedy ten gorzkiemi słowy wyrzuca córce jéj zamiłowanie w książkach, które według niego są źródłem wielu bezbożnych myśli: „Dad Mädel setzt sich alles Teufels genug in den Kopf; über all' dem Herumschwänzen

(1) Dramata I. 80.

in der Schlaraffenwelt findets zuletzt seine Heimat nicht mehr, vergisst, schämt sich, dass sein Vater Miller Geiger ist und verschlägt mir am End' einen wackern, ehrbaren Schwiegersohn, der sich so warm in meine Kundschaft hineingesetzt hätte — Nein! Gott verdamm mich! Gleich muss die Pastete auf den Herd, und den Major,— ja, ja, den Major will ich weisen, wo Meister *Zimmermann* das Loch gemacht hat (I, 1).

Miller w scenie czwartéj aktu drugiego daje wyraz swojemu niezadowoleniu z powodu piękności swéj córki drastyczném przysłowiem: „Wem der Teufel ein Ei in die Wirthschaft gelegt hat, dem wird eine hübsche Tochter geboren.“ Herman wolałby mieć córkę mniéj wykształconą i piękną, byleby miał z niéj pociechę:

„Gdyby była brzydką,
Gdyby jéj umysł w kluczach zakochany,
Nad parę kuchni podnieść się nie umiał;
Pewnieby żaden Hrabia się nie zjawił,
Pięknemi kłamstwy pokój jéj odebrać.
Ledwieby jaki biedak mi się skłonił;
Coby koniecznie potrzebował w domu
Czujnéj szafarki i rzetelnéj żony.“ (1)

d) Jak cała tragedya Schillera *tendencyjnie* zwraca się przeciw arystokracyi, tak i Herman staje w opozycyi przeciw „bożkom ziemskim, pośród których szczerość jest głupstwem, prawda złą monetą.“

III. *Głosy i studya o Schillerze w literaturze polskiéj.*

„Uczeni niemieccy dają Szyllerowi pierwsze między wierszopisami dramatycznemi miejsce. Podług nich, nic porównać z pięknością jego obrazów i mocą stylu nie można. To zdanie jednakże u uczonych innych narodów nie znajdzie zapewne potwierdzenia. Pominąwszy albowiem układ jego sztuk, regularnymi nazwać się niemogących, z których wiele jest niedoprowadzonych należycie do końca, trudno zgodzić się, ażeby styl i poezya Szyllera mogły przewyższyć Racina.“ W tych słowach złożył bezimienny autor wzmianki o życiu i pismach Schillera swoje *credo* literackie w roku 1805 (2). Temi słowy wystawił on sobie pomnik swojéj duchowéj ograniczoności. Ze wszystkiém potępić nie możemy go z tego względu, bo pisał to w czasie, kiedy pudrowana peruka Francuzów panowała wszechwładnie w literaturze naszéj. Głos jego przebrzmiał, znajdując jedyne echo w recenzencie rozprawy Kaulfussa p. t. „Dla cze-

(1) Dramata I, 142. — (2) Dziennik Wileński III, 302.

go język i literatura Niemiecka zdolnieyszemi są do ukształcenia rozumu i serca niż język i literatura Francuzka? Rozprawa, którą na popis uczniów Król. Liceum W. X. Poznańskiego w dniach 23—26 Lipca odbywać się maiący zaprasza szanowną Publiczność Jan Samuel Kaulfuss, Dr. Fil. Rektor Król. W. X. Pozn. Członek Król. Tow. Warsz. Przyjaciół nauk" (4°, 40 stronic). Rozprawa ta była powodem do niedorzecznych napadów na Goethego i literaturę niemiecką (1). Zapatrywania te bardzo prędko się zmieniły, prawda, że trzeba było takich mężów jak Kazimierz Brodziński, którzyby mieli odwagę odepchnąć od siebie literaturę francuską z jéj trzema jednościami. Zasługa to głównie Brodzińskiego, iż czasy nowe nastąpiły, które o Rasynach, Wolterach, Laharpach nie chciały wiedzieć i dokonały téj reformy w literaturze polskiéj, którą Niemcy kilka lat dziesiątek przed nami odbyli. Przedewszystkiém utorował Brodziński drogę Schillerowi, do którego przylgnął całém sercem. Swoje *credo* estetyczne złożył Brodziński w słowach: „Szyller jest bez wątpienia najpierwszym poetą Niemców, ze wszystkich tego ludu poetów najlepiéj w całéj Europie pojęty i wszędzie ceniony. Pochodzi to ztąd, że jedyném natchnieniem jego były głębokie uczucia prawdy i piękności i gorącéj czci Boga; uczucia, które wszędzie i zawsze szlachetne serca znajdą i na nie zbawiennie wpłyną. Szyllera poprzedziły znakomite geniusze, które jednak nie mogły mieć tego wpływu, jaki jego szlachetne natchnienia wywarły" (2). W tych słowach objawia się *cały* Brodziński, jego zamiłowanie wszystkiego, co piękne, co szlachetne, co *idealne*, bez względu na to, czy wymaganiom epoki odpowiada, czy tę epokę wyprzedza lub w tyle zostawia.

Goethego Brodziński nigdzie tak entuzyastycznie nie wielbi; z uwag przez niego wypowiedzianych wolno wnioskować, że serce jego zawsze stoi po stronie Schillera. W słynnéj rozprawie „O klasyczności i romantyczności" pociągnął paralelę między Goethem a Schillerem, jest ona tak trafną, iż nie mogę się wstrzymać, by kilku z niéj ułamków na tém miejscu nie przytoczyć. „Goethe najtrafniéj skłonności swojego wieku przeczuwający, łączy prostotę z filozofią, romantyczność z wdziękami południowemi i wesołość towarzyską z tkliwém czuciem, powszechny zapał pozyskał. Szyller obdarzony wzniosłym geniuszem, szlachetnym umysłem, z sercem bijącém do wszystkiego, co jest dobrém i pięknem, badający dzieje i człowieka,

---

(1) Zupełnie niesłusznie obwinia Mazanowski („Balladomania" w *Ziarnie* z roku 1883) Kaulfussa o napady na Goethego, mając go za recenzenta, a nie jak było w istocie, za autora książki, wynoszącéj literaturę niemiecką.

(2) Pisma K. Brodzińskiego. Tom VIII, str. 279.

jeden może w wiekach naszych posunął poezyą do godności, w jakiéj była u starożytnych i do dążenia, jakie w oświeconym wieku mieć powinna.“ Brodziński szedł tutaj za głosem poczucia estetycznego, wyrobionego długiemi studyami obu największych poetów niemieckich. Te cechy charakterystyczne, które podnosi Brodziński, zjednały Goethemu największych wielbicieli; owa wielostronność Goethego, która nigdy nie traci wzroku na ogólność (das Allgemeine) jest właśnie tém, co w obecnym czasie najwięcéj podziwiamy u Goethego (1). Goethe był zdolnym wskutek ogromnego wpływu Herdera, objąć wielką potężną jednostkę, nie zaniedbując całości. „Ἓν καὶ πᾶν“, „was ist das Allgemeine, was ist das Besondere?“—oto problemata, które Goethego zajmują przez całe życie. Był on mineralogiem, fizykiem, przyrodnikiem, artystą plastycznym, wszędzie probował sił swoich. Brodziński kreśląc powyższe słowa, odgadł podziwienia godném poczuciem owe cechy Goethego, które go przedewszystkiém znamionują. Przed Brodzińskim nigdzie nie napotykamy dokładnego zrozumienia literatury niemieckiéj. W roku 1817 znajdujemy lakoniczną wzmiankę: Rzut oka na stan literatury Niemieckiéj. „Jeden tylko dwór Weymarski stanowi od lat wielu wyjątek od tego powszechnego prawidła; dlatego też dwór ten zasłużył na imię małych Aten. Posiada on, jak w szesnastym wieku Ferarski, bądź najznakomitszych ludzi swym geniuszem i światłem. Göte. Szyller. Wieland, Herder i w. i. uozdabiali go ieden po drugim.“ Brodziński pierwszy otworzył oczy naszym literatom na płody, które albo wcale nie były znane albo wyśmiane. Krok w krok za Brodzińskiego usiłowaniami idzie nowy kierunek, mający swojego najdzielniejszego reprezentanta w Mickiewiczu.

Rok 1828 stanowi tryumf dla usiłowań Brodzińskiego. „Dziennik warszawski“ (2) zaczyna jeden z artykułów następnemi charakterystycznemi słowy: „Dzisiaj, kiedy już nikogo nie obchodzą przepisy Arystotelesa i prawidłowe kursa Eschenburgów i Laharpów, przeciwnie estetyki a więcéj jeszcze historye literatur dzień ode dnia stają się więcéj zajmujące bogactwem widoków....“ Jakiż olbrzymi postęp od głupoty recenzenta książki Kaulfussa do słów tegoż artykułu: „Poeta fantasmagoryk Goethe, poeta-filozof Sziller powstali jak olbrzymie kolossy i na naturę, która się zdało w szerzeniu cywilizacii sprozaiczniała, nawiodłszy bogate pryzma swojéj imaginacyi, dowiedli, że każdy wiek ma swoję poezyą, wynikłość potrzeb i ducha czasu.“

---

(3) Tak Brandes np. w artykule swoim „Goethe und Dänemark“ w Goethe-Jahrbuch. II, 78. — (2) Tom XII, str. 113.

W tymże roku wyszła w Warszawie książka z francuskiego przełożona „O literaturze romantycznéj", która wyświeciła w szczegółowy sposób istotę i cele poezyi romantycznéj. O Schillerze znajdujemy tam (na str. 121) następujące *credo:* „Wszystkie uczucia i wzruszenia, jakie tylko serce ukształcone w społeczeństwie nowożytném ukrywa, odbijają się w jego języku z zadziwiającą wiernością i wszelkie stosunki i obrazy, jakie tylko świat otaczający nas przedstawia, upięknione u niego właściwemi jemu wdziękami, stają się przedmiotem naszego interesu, albo naszego podziwienia." Te wszystkie czynniki mają w swojém następstwie obalenie klasyczności i rozkwit literatury narodowéj. Zasługa w tém największa Brodzińskiego, który wszędzie drogi toruje nowym zapatrywaniom i dążeniom, jego sąd o Schillerze jest najtrafniejszym, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się czytać w literaturze polskiéj, a jakkolwiek prof. Tarnowski (1) nad tém ubolewa, że prac o Schillerze w literaturze naszej wcale nie ma, to pozwolę sobie zauważyć, że krótkie słowa Brodzińskiego są miarą tego, jak dalece Schiller u nas był zrozumianym. Wpływ Schillera zresztą zamanifestował się w płodach Mickiewicza, Brodzińskiego i innych, a taki wpływ—zdaniem mojém—starczy za rozprawy i studya. Pomni na to, co winniśmy Schillerowi, nie możemy innego uczucia żywić dla niego, jak najgłębszéj wdzięczności, winić zaś za to nikt nie może, żeśmy studyów nad Schillerem nie robili, mając na własnéj niwie wiele do zrobienia. I Niemcy wiele mają jeszcze do zrobienia w literaturze swojéj, a Schiller nastręczy dosyć materyału do rozpraw i rozprawek. Daleko ważniejszą, zdaje mi się, jest rzeczą, śledzić wpływ bezpośredni, który się objawia dobitnie, *ad oculos* — że się tak wyrażę—który dopomaga bądź do naszego wykształcenia i postępu, bądź téż zasila literaturę nowemi problematami i motywami. Przyznać jednakowoż trzeba, że studyów o Schillerze prawie u nas niema. Osiński wykładając kurs literatury powszechnéj, mówił także o dramacie niemieckim, pominął jednak milczeniem najgłówniejszych reprezentantów dramaturgii niemieckiéj. Tylko Schillerowi poświęcił większy ustęp. Metoda jego jest równie dziwną jak fałszywą. Dla Osińskiego istniała tylko „Dziewica Orleańska", rozbiera ten dramat dość szczegółowo, skutkiem czego popada w wielką jednostronność, zwłaszcza że wszędzie patrzy przez szkła A. W. Schlegla i pani Staël. Z obozu romantyków nie pozostało żadne świadectwo literackie co do Schillera, z wyjątkiem Brodzińskiego. Jak wszędzie tak i tutaj mąż ten niepospolitych zasług z prawdziwym entuzyazmem pisze o Schillerze.

---

(1) Przegląd polski. Tom 71, str. 200.

W „Gazecie literackiéj z r. 1821 (Nr. 1, 2 stycznia) znajdujemy artykuł, który nie może od kogo innego pochodzić jak od Brodzińskiego (1). Autor wyraźnie powiada, że mimo wielu prac niemieckich i francuskich o Schillerze, będzie wypowiadał zdania własne. „Geniusz Szyllera trafił w ojczyźnie na czasy, w których Szekspir więcéj zyskał w Niemczech zapalonych czcicielów, niżeli w saméj Anglii." Z tego wnosi autor, że Schiller w młodości przejął się Szekspirem i ulegał jego wpływowi. Nie naśladował go jednak niewolniczo. Temat, jaki sobie obrał Schiller w „Dziewicy Orleańskiéj", stawia go w oczach Brodzińskiego tak wysoko, iż daje mu pierwszeństwo przed Szekspirem i Homerem z tém jednak zastrzeżeniem, że „Dziewicę Orleańską" „uważa więcéj jako poema bohaterskie w formie dramatycznéj, niżeli jako właściwą tragedyą." To zapatrywanie było, zdaje się, powodem do pociągnięcia paraleli między Homera „Iliadą" a „Dziewicą Orleańską."

Punktem stycznym obu poematów jest — według autora — cudowność (das Wunderbare). Nie wnosi on do rozprawy swojéj noża anatomicznego, nie rozkłada istoty poezyi Schillera, ale podbity potęgą poety „Dziewicy Orleańskiéj", oddaje hołd Schillerowi entuzyastycznemi słowy: „Jeżeli cudowność chrześciańskiéj religii nie tak do nas przemawia jak grecka, jeżeli przynajmniéj nie umiemy się przenieść własną imaginacyą w obyczaje i mniemanie wieku bohaterki, jeżeli brudne dowcipy splamiły w nas czystość uczuć, jeżeli naostatek w cudach imaginacyi chcemy rozerwać związki z wyższym światem i czołgać się po naszéj zimnéj rzeczywistości, wszystko to nie jest winą poety, ale nas samych."

Brodzińskiego przedewszystkiém charakteryzuje tutaj owo wtajemniczenie się w sztukę Schillera, które nie widzi w nim nic krom piękności i sztuki prawdziwéj. Dumne to były zaiste i odważne słowa, któremi Brodziński wprowadził nową literaturę niemiecką na grunt polski. Czciciele jedności francuskich mogli się łatwo oburzyć, mogli kłam zadać słowom Brodzińskiego płynącym z przekonania własnego smaku estetycznego. Czuł to dobrze Brodziński i wyraźnie powiada: „Odrzućmy na bok jedność miejsca, a wtedy możemy bezstronnie ocenić wielki utwór Szyllera." Wszędzie znajdujemy u Brodzińskiego cenne uwagi, świadczące o gruntownem zrozumieniu płodów literatury niemieckiéj, a mianowicie entuzyastyczne lgnięcie do Schillera.

Walka pojęć nowych ze staremi zakończyła się zupełną klęską pseudoklasyków. Wreszcie i ci zamilknąć musieli, jakkolwiek dzielny

(1) Prawdopodobniéj jeden z braci Chłędowskich. — (*Przyp. Red.*).

opór wszędzie stawili. W roku 1828 w książce z francuskiego przetłómaczonéj czytamy: „Wiara w poetykę Arystotelesa była dogmatem XVII wieku, tak jak wiara w jego fizykę była dogmatem wieków poprzedzających; i ten nadzwyczajny człowiek uciemięża przez długi czas w umiejętnościach całą Europę jarzmem ślepego zaufania; dał późniéj i w literaturze uczuć wpływ swego geniuszu, jak gdyby postępy człowieka ku prawdzie nie były dosyć trudne same przez się i jak gdyby potrzeba było, aby błędy jednego wieku zobowiązywały jeszcze wieki przyszłe. Wszakże to przynajmniéj omylono się tylko w zastosowaniu fałszywém jednéj zasady, która sama w sobie mogła bydź prawdziwą. Roztrząsano kwestyą, która jeszcze i teraz może podzielać najlepsze dowcipy o porządku i istocie prawideł w literaturze i przypisywano znowu literaturze greckiéj nieograniczoną powagę, kiedy potrzebaby było naprzód rozstrząsnąć, ażaliż w niéj nie było co względnego.“

Tak tedy i Francuzi przyznać musieli, że nie zrozumieli dobrze Arystotelesa i co więcéj inne narody w błąd wprowadzili; Niemcy najpierwsi zrzucili jarzmo im narzucone, a u nas dopiero literatura niemiecka wykorzeniła dane przesądy i fałszywe pojęcia. Na owe czasy, kiedy się odbywał ten proces fenomenalny, który miał w swém następstwie najpiękniejszy rozwój literatury naszéj, przypada panowanie Schillera u nas. Wtedy go tłómaczono, naśladowano, przedstawiano na scenie, entuzyazmowano się nim (1). Nawet najskrajniejszy klasyk, Osiński, nie pominął milczeniem Schillera, tak wielce zmieniły się czasy w ciągu lat niewielu. Ten świetny okres trwał niestety niedługo. Po roku 1830 widać zmniejszenie się interesu dla Schillera. Wypadki polityczne zwróciły nasze oczy na wewnątrz, w własnych dziejach szukaliśmy motywów, z których staraliśmy się korzystać w literaturze. Ostatniém niejako ogniwem w ciągu zajmowania się Schillerem w epoce romantycznéj jest artykuł w „Rozmaitościach“ lwowskich z r. 1829 z powodu odegrania Don Carlosa na scenie lwowskiéj: „Don Karlos na scenie polskiéj we Lwowie.“ Niema tutaj głębszych studyów o Don Karlosie, oświadczył zaraz na początku autor. „Nie mamy w zamiarze—powiada—zapuszczania się

(1) Wszędzie ceniono wówczas bardziéj Schillera niż Goethego; Korzeniowski może jedyny nie zupełnie zgadza się z opinią ogółu, a chociaż właśnie sam wiele winien Schillerowi, mówi o nim nie z tém zrozumieniem, jakiegobyśmy się po nim spodziewać mogli. „Przeciwnego usposobienia w tym względzie — powiada — był Schiller, równy Goethemu co do geniuszu. W pierwiastkowych zaraz sztukach jego widać zbytek imaginacyi i talent liryczny, który i w późniejszych pokazuje się. Nie miał on téj siły, co Goethe, przelania się całkowitego w osobę, którą wystawia i często daje poznać swoje myśli i uczucia.“ (Kurs poezyi przez J. Korzeniowskiego. Warsz. 1829, str. 266).

w głęboki rozbiór; przedsiębierzemy jedynie to, co z takowego rozbioru już jako gotowy wypadek koniecznie wypływa, w krótkiém określeniu przedstawić, aby wskazać stanowisko, z którego to dzieło uważaném być musi, jeżeli niema chybić celu i wielkość pomysłu Szyllera objawów blasku.“ Co nam autor tutaj podaje, jest więcéj podaniem treści, niżeli objaśnieniem estetycznéin utworu Schillera. Jest jednak wszędzie rozlane ciepło prawdziwego entuzyasty, który tylko wielbić i podziwiać umie. „Okręt linijowy, dzieło jenijalnego mistrza, własność wielkiego narodu, został spuszczony z warstatu na widownię polską. Rozwiniono żagle— a pomnik najszczytniejszego pomysłu przesunął się wspaniale przed okiem zdumiałego wodza.“ Jako główną ideę utworu tego, uważa uszczęśliwienie całego rodzaju ludzkiego. Wychodząc zaś z tego punktu, potrafił zrozumiéć dążność i tendencyą poety.

Jedyne pismo, obejmujące ocenę *całego* Schillera, zamieściła *Eleonora Ziemięcka* w „Athenaeum“, wydawaném przez J. I. Kraszewskiego (w tomie II, 1842 r. od str. 49—90). Nie pełnością i wielostronnością poglądów, lecz trafném przeprowadzeniem tych myśli, które Ziemięcka w Schillerze podziwia, potrafiła autorka dać cenny przyczynek do historycznego rozwoju Schillera. Potęga, któréj autorka w życiu hołdowała, stała się potęgą tą, którą wystawia na miejscu honorowém. Subiektywne zabarwienie pracy Ziemięckiéj odniósłbym do jéj życia wewnętrznego, do właściwości temperamentu i przedewszystkiém do jéj zapatrywań religijnych. Tak w téj pracy, jakotéż w artykule obszernym o „Dziewicy Orleańskiéj“, Ziemięcka składa hołd Schillera „religijności“. Uważając wystąpienie Schillera na tle czasu, powiada: „Szyller urodził się w czasie najnieprzyjaźniejszym poezyi niemieckiéj. Literatura zaledwie budzić się zaczynała, duch Germanizmu niegdyś tak jędrny i mocny w średnich czasach. pod wpływem miernych talentów zaczął przechodzić w manierność i naśladownictwo. Przyjaźń Fryderyka W. z Wolterem, jego wychowanie francuskie przedłużało sen ojczystéj Poezyi. Lecz ani charakter genjalnych ludzi, ani dążność talentów nie ogarniają ducha ludu, nie mogą tłumić naiwności i bogobojności domowych obyczajów, jeśli je gdzie słowo Religii zaszczepiło. Takim właśnie był duch obyczajów i stosunków niższéj klasy w Niemczech w XVIII wieku.“

Zupełnie panuje Ziemięcka nad przedmiotem, kiedy daje wyraz swemu uwielbieniu dla „życia moralnego i pobożnego“ Schillera. „Charakter Fryderyka W., gust Gottszeda i Gelerta był tylko chwilowym i uległ niebawem powadze wyższych talentów, ale istniał żywioł trwalszy i gruntowniejszy, z którego powstała cała nowa epoka

Poezyi, nauk i odrodzenia umysłowego w Niemczech: życie moralne i pobożne.“ Ziemięcka o tyle ma słuszność, iż w istocie sztuka, poezya przedewszystkiém z czasów przed-Schillerowskich bardzo mało do siebie przyjęła. Poeci, jak Lavater, Claudius i Stolberg, byli może dobrymi chrześcianami, lecz byli téż tém mierniejszymi poetami. Z wywodów Ziemięckiéj widać tylko, że prawie zawsze ma na oku „Dziewicę Orleańską“ Schillera. Tutaj Schiller w istocie w interesie artystycznym skorzystał z motywów religii chrześciańskiéj i uzyskał uznanie właśnie z tego powodu. Cała działalność Schillera nie da się jednak wciągnąć pod tę rubrykę; chociaż Schillera nie ochrzcono mianem „der grosse Heide“, jak Goethego, to jednak nie trudnoby było wykazać, że jego poezya w znacznéj części jest hołdem, złożonym humanizmowi i literaturze starożytnéj. Zaprzeczyć się jednak nie da, iż szczytne prawa etyczne i moralne chrześciaństwa Schiller bezwględnie uznawał, oznaczają one najwyższą potęgę, do któréj on dążył i które stawiał niekiedy jako kanon swych zapatrywań.

Ażeby uzasadnić swoje mniemanie o Schillerze, bierze Ziemięcka pod rozwagę otoczenie rodzinne, z którego wyszedł Schiller; lgnięciu poety do religii dostarczyła matka Schillera najlepszego pokarmu. Pomimo widocznéj predylekcyi do kapłaństwa, za którém przemawia Ziemięcka, na pytanie, czy Schiller „w zawodzie duchownym byłby bogatszy lub uboższy plon literaturze swojéj złożył“, autorka odpowiada stanowczém *nie*. „Życie Bogu poświęcone jest środkiem wzniesienia myśli, oddala od wpływów zewnętrznych, od wrażeń drobnych i rozrywających zastanowienie.“ Mimo tak zbawiennych wpływów stanu duchownego, nie waha się autorka losowi podziękować za to, iż na inną drogę Schillera wprowadził. Lecz i w późniejszém życiu widzi Ziemięcka w Schillerze gorącego rzecznika wiary katolickiéj. Gdyby tak w istocie było, rozpaść by się w nic musiało dążenie Schillera do typowości starożytnych, za którą Schiller tak tęskni. Ziemięcka ma słuszność, jeżeli chce zaakcentować powagę poezyi Schillera. Im więcéj Schillerem się zajmuję, tém skłonniejszym jestem do przyznania słuszności Ziemięckiéj. Schiller przez całe życie starał się z wewnętrzną koniecznością najwyższym, poezyi najgodniejszym, interesom użyczyć najwyższéj, najszlachetniejszéj formy. Goethe zabłądził wskutek swojego fałszywego pojęcia sztuki w ostatnim okresie swéj działalności, w ucieczce swéj przed rzeczywistością, przed rzeczywistemi, aktualnemi interesami w najpróżniejszą alegoryą, w najzimniejszą konwencyonalność, w rzekome naśladownictwo starożytnego świata, który przed wszystkiemi realnemi interesami drzwi zamykał, w żyłach swoich, jakby urągając mistrzowi, nie posiadał ani kropli krwi helleńskiéj. Schiller

przeciwnie, poeta wolności, który w swoich początkowych dziełach na formę nigdy nie baczył, który tylko osnowę, tendencyą chciał przedstawić w najwierniejszy, gdzie można, drastyczny sposób — Schiller wszędzie niemal los człowieczeństwa miał na oku, że w swych usiłowaniach miał nieraz sposobność nawiązywać do zasad chrześciańskich, rozumie się samo przez się. To też w tym względzie zdanie Ziemięckiéj o *młodym* Schillerze, iż „karmił się Pismem Ś-tem, moralną zaś istotę swoję uważał zawsze jako przybytek natchnienia, gdzie myśl Boga raczy niekiedy zstępować“—musi pozostać w całéj swéj mocy. Dowiedzioną jest rzeczą, że w młodości Schiller znał całe miejsca z Biblii na pamięć, w „Zbójcach“ objawia się ten wpływ w całym szeregu zwrotów pochodzących wprost z Pisma Św. (1). Czy jednak w religii szukał pewnego schronienia przed burzami życia, jak to twierdzi Ziemięcka, o tém zapewne niejeden będzie dzisiaj miał odmienne zdanie. Pomimo to i pomimo, iż Ziemięcka niektóre zasady *a priori* powzięła, praca jéj tchnie tą atmosferą ciepłą, która zdoła pobudzić do pilnego zajmowania się poetą, który był przedmiotem prawdziwego uwielbienia autorki.

Ze względu na piękną tendencyą pracy Ziemięckiéj nie należy żałować, że pierwsza, obszerniejsza praca o Schillerze u nas wyszła z pod pióra kobiecego. Poznajemy w niektórych częściach tu i owdzie sposób myślenia, a przedewszystkiém uczucie kobiety; stało się to nie na niekorzyść pracy Ziemięckiéj. Schillera zrozumiéć może umysł wrażliwy, łagodny, który potrafi wejść w tendencye poety. Taki umysł z pewnością można suponować w Ziemięckiéj. Z widocznem zrozumieniem patrzy autorka na postaci kobiece, Eleonorę w „Fiesku“ zalicza do „najpiękniejszych obrazów Poety.“ Elżbieta odpycha ją swoją nienaturalną powagą. „Charakter Elżbiety jest w związku z wzniosłą całością, lecz nie zupełnie zgadza się z naturą. Elżbieta w ostatniéj dopiero scenie staje się kobietą, wtedy już poświęciłaby ogólne cnoty dla uczucia, ale już za późno.“

Ziemięcka wystawiła sobie piękny pomnik niektóremi zapatrywaniami, które świadczą o jéj niepospolitéj inteligencyi. Znakomitém i z pewnością zupełną własnością autorki jest to, co mówi o charakterze Pozy. Z bezwzględnego uznania artystycznéj pracy poety wypływa dla autorki zadanie, okazać artyzm poety w kreśleniu charakteru Pozy. Trzeba sobie przypomniéć, jak zaledwie kilkadziesiąt lat przed Ziemięcką sądzono u nas Schillera i Goethego, bez zmysłu artystycznego, bez najmniejszego zrozumienia, ażeby ocenić zasługę

---

(1) Porów. Boxbergera: „Die Sprache der Bibel in Schillers Raübern“, program Erfurt. 1867.

Ziemięckiéj. Schiller u nas nigdy tak zagorzałych nieprzyjaciół nie miał jak Goethe, jego tendencye są tak pokrewne z naszemi dążnościami i aspiracyami, iż głosy nieprzyjazne wnet zamilknąć umiały.

Na stanowczo nieprzyjazny grunt natrafił u nas Goethe. Za mało posiadaliśmy interesu dla ogólno-ludzkich problematów, by wynaleść w sobie pokrewieństwo z poetą „Fausta.“ Faust przedstawia dążności jednostki, nie całego społeczeństwa. Sztuka ta nie polega na micie, ani na baśni, w któréj wolność woli osób mogła być zniesioną, oparta jest ona na legendzie, na podaniu ludzkiém; interes ogólno-ludziéj natury wiąże się z „Faustem.“ Ogólna choroba czasu ma udział w powstaniu „Werthera.“ A jakkolwiek ta choroba przeszła niemal przez całą kulę ziemską, u nas długie czasy pozostała bez wpływu. Trzeba było dopiero, by wystąpił poeta takiéj miary, jak Mickiewicz, by z zrozumieniem korzystać ze zdobyczy, które w Anglii Walter-Skott i Byron, w Danii cały szereg poetów uznał za swoje i w płodach swoich pobudził do nowego życia. Ziemięcka wypowiedziała swoje *credo* estetyczne o stosunku obu największych koryfeuszów literatury niemieckiéj pięknemi słowy: „Goethe żył w rzeczywistości, ożywiał naturę filozoficzném pojęciem, pieścił się z życiem na różnych stopniach organizmu przemawiającém. Dla tego jego rozprawy naukowe, osobliwie w Historyi przyrodzenia, mają wielką wartość, utwory jego poetyczne przedstawiają rzeczywistość w najmniejszych szczegółach, jego geniusz śpiewny, jego wrodzona Poezya szuka zawsze dla siebie treści w zewnętrznym świecie, a nawet jego Faust jest wiernym obrazem kolei rzeczywistych, jakie człowiek wyższy przechodzi. W tym jednym utworze Göthe najmniéj jest jednostronnie przedmiotowym, cokolwiek jeszcze więcéj zwrotu ku podmiotowości, cokolwiek głębszego rozumienia życia duszy, byłoby go uczyniło Poetą. Filozofem.“ Goethe wypowiedział sam w słynnych rozmowach swoich z Eckermannem ostatnie słowo o „Fauście.“ „Pierwsza część jest zupełnie podmiotową i wszystko wyszło ze stronniczego, namiętnego, indywiduum, w którym to półcieniu ludzie się lubują“ (1). To tylko jeden dowód, z jak wielkiém zrozumieniem pojęła Ziemięcka różnicę Goethego a Schillera.

Jakkolwiek w ocenie Schillera Ziemięcka jest nieraz jednostronną, w głównych rysach wczytać się potrafiła w ulubionego poetę tak, iż małe usterki wobec wielkich zalet prawie nic nie znaczą. Stronniczą jest tam, gdzie mówi o religii. Niedość, iż w młodym Schillerze upatrzyła z widoczną radością ów religijny rys charakteru Schillera, który jest historycznym tylko w bardzo młodym, bo pięć

---

(1) Gespräche mit Eckermann, II. 275.

lat mającym Schillerze (1), Ziemięcka podsuwa na miejsce ogólnéj miłości ludzi, ogólnego zbratania się bliźnich religią, w czasie, kiedy Schiller po pokonaniu pesymistycznych zapatrywań stworzył sobie filozofią mistyczną, któréj kwintesencyą była humanitarność. Dotychczas nie ma pracy o Schillerze, traktującéj o jego stosunku do chrześciaństwa, jak i do katolicyzmu. Wystarczy jednak posłuchać W. Scherera, którego zdanie jak wszędzie tak i tutaj za Koran uważaném być może. Właśnie o téj epoce, którą Ziemięcka ma na myśli, pisze on: „Wzniosłe rzeczy starał się (Schiller) w obrazach potężnych wystawić. Lecz ciemny pesymizm trzymał go w swych więzach. Dążności jego serca burzyły się przeciw prawom obowiązku! „I ja urodzon w Arkadyi," zawoła, „lecz tylko łzy dała mi krótka wiosna." Jego życia maj przekwitł; on nic nie wie, co to szczęście. Lecz jak Goethe z pessymizmu „Werthera" przybył do optymistycznéj humanitarności „Ifigenii," tak i dla Schillera przyszedł czas oswobodzenia i odżycia. W objęciach przyjaźni wyjaśnił się mu obraz świata. Z pełni duszy wyśpiewał pieśń do „Radości:" radość porusza koła u wielkiego zegaru świata i wszyscy ludzie stają się braćmi, gdzie jéj łagodne skrzydło przebywa. Bądźcie złączonymi, miliony. Jak wysokie objawienie przyszło mu to: ogólna miłość ludzi! wyrozumiałość i pojednanie. Ojciec jest nad gwiazdami. Utworzył on sobie filozofią mistyczną, która była ugruntowaną na pojęciu miłości i bez wiary w miłość bezinteresowną niema nadziei w Boga, w nieśmiertelność i w cnotę. Z miłości stworzył Bóg świat duchów. Miłość jest drabiną, po któréj wspinamy się do podobieństwa Boga. Umrzéć za przyjaciela, umrzéć za ludzkość, oto zdaje mu się najwyższe udowodnienie miłości, które przedstawia sobie poeta" (2). Widzimy, iż równowaga duchowa Schillera jest to samo, co miękki ton rezygnacyi, początkowo panowała u niego jeszcze wielka niejasność zapatrywań, późniéj już ani śladu nie ma tego religijnego uczucia, które Ziemięcka entuzyastycznemi słowami uwielbia: „Również i Religia, ta najdroższa przyjaciółka dusz, użyczała Szyllerowi osłody i w wierze uciszyły się zwolna sprzeczności, których nauka współ-

(1) Siostra Schillera, Krystofina Reinwald w szkicu, wydanym dopiero w r. 1870 w „Archiw für Litteraturgeschichte" (I. 453) skreśla pięknemi słowami niezwykłą pobożność pięcioletniego Schillera: „Najchętniéj słuchał, kiedy ojciec czytał miejsca z Biblii lub w kółku rodzinném odmawiał ranne i wieczorne modlitwy, kiedy zawsze odrywał się od swych najulubieńszych zabaw i przybiegał. Miło było widziéć wyraz pobożności na jego twarzy młodzieńczéj. Jego pobożne niebieskie oczy ku niebu zwrócone, włosy rudo-blond, które okalały jego piękne czoło i małe pobożnie złożone rączęta, zdobiły go wyrazem niebiańskim, musiano go kochać."

(2) Gesch. der Deutschen Litteratur str. 582.

czesnych mędrców usunąć nie mogła, ale smętnych i melancholicznych uczuć stłumić zupełnie nie było podobna, Szyller Poeta, Chrześcianin i Filozof płakał często nad nikczemnością swych braci, niekiedy nawet tę duszę łagodną zimna ogarniała rozpacz! tak w poemacie *Rezygnacya*, dziele młodości, wystawia człowieka, który u stóp grobu żąda nagrody za ofiary cnocie składane". Wszędzie, gdzie Ziemięcka mówi o religii, niewahałbym się postawić „klasycyzm."

Już w téj epoce, kiedy nieszczęśliwe plany, niespełnione obietnice i wszelkiego rodzaju złudzenia zepchnęły go z wysokości, na któréj go szał wyobraźni postawił, znalazł on potęgę, do któréj przyrósł całą mocą zbolałego serca, co mu dała możność choć w części złagodzić ową przepaść między ideałem a rzeczywistością, która to rzeczywistość, zdało się, pochłonie całą istność poety. Już w r. 1788 napisał Schiller dla „Merkurego Niemieckiego" „Bogów Grecyi," w r. 1789 „Artystów." Znaną jest tendencya obu poematów, znaną ich myśl przewodnia: sztuce zawdzięcza człowiek pierwsze wzniesienie się do godności duchów. Sztuka położyła koniec posępnemu stanowi naturalnemu, kiedy ani umiejętności, ani filozofii, ani religii jeszcze nie było. Pomimo to z zaufaniem zwraca się Schiller do helleńskiego świata i wyraźną jest tutaj tendencya poety, chrześciaństwu przeciwstawić pogaństwo, które podało swoim wyznawcom piękniejsze prawdy zbawienia niż wiara chrześciańska. Powiedziéć tutaj śmiało możemy, iż Schiller, jak to się często zdarza geniuszom, w twórczym zapale i pierwszém natchnieniu przecenił istotę hellenizmu, jest to błąd, na który każdy zgodzić się musi, jakkolwiek z drugiéj strony wierzyć nie będzie stronniczością zabarwionym słowom Vilmara, iż u obudwóch poetów, u Goethego rzadziéj, u Schillera częściéj i każdą razą bardzo dobitnie, objawia się nieprzyjazny stosunek do chrześciaństwa (1). Że nie był to „wpływ Religii" tak silnie staraniem rodziców w serce Schillera wpojonéj, który ochronił go od „tych samych walk, jakie miotały genialną duszą Bajrona," tego dowodzi i ta okoliczność, że Schleiermacher, mając przedewszystkiém Goethego i Schillera na myśli, głośne wypowiadał skargi z powodu niereligijności sztuki. Słusznie powiada o stosunku Goethego i Schillera do chrześciaństwa autor znanego dzieła „Die Romantische Schule" R. Haym: „Wyznaniem wiary tych poetów był humanizm i hellenizm i tak jak pewną jest rzeczą, że pomimo to stali oni na ogólnym gruncie chrześciańskiego zapatrywania i moralności, tak też nie uda się teologicznym literatom za pomocą chrztu zmyć z nich świetne pogaństwo albo namaścić ich na apostołów." Wraz z przejęciem się

(1) Gesch. der deutschen Nationalliteratur. S. 509.

religią idzie według Ziemięckiéj wewnętrzna rozwaga, która była źródłem jego „subjektowego charakteru.“ Gdybyśmy przetłómaczyli ten rodzaj poezyi na język Schillera, to powiedzielibyśmy—Schiller jest sentymentalnym, Goethe naiwnym poetą. W rozprawie swojéj „Über naive und sentimentalische Dichtung“ pociągnął Schiller granicę między sobą samym a Goethem. Dobrze mu było wiadomem, iż poezyą jego własną od poezyi Goethego dzieli ogromna różnica, przeświadczenie, iż Goethego naiwności nigdy nie dosięgnie, nie potrafiło na Schillera działać deprymująco; postawił bowiem aksiomat, iż sentymentalna poezya obok naiwnéj może się utrzymać. Wiedział o tém dobrze Goethe, w rozmowach swoich z Eckermannem skłonnym jest większą popularność Schillera „odnosić do jego subiektywnego dążenia,“ które pochlebiało większości, trzymającéj się tego samego sposobu. Na inném miejscu powiada: „Ja miałem w poezyi maksymę postępowania obiektywnego i tylko temu przyznawałem racyą bytu. Schiller zaś, który działał zupełnie subiektywnie, uważał swój sposób za prawdziwy i w celu obronienia się przeciw mnie napisał swój artykuł o naiwnéj i sentymentalnéj poezyi“ (1). Ważniejszą rzeczą dla naszego zadania jest zaakcentowanie trafnych uwag Ziemięckiéj o Schillerze. Jéj pewność sądu, zrozumienie intencyi poety każą zapomnieć o niektórych za mało zbadanych szczegółach. Ziemięcka twierdzi, iż w literaturze niemieckiéj „charakter historyczny epoki jest mało znaczny,“ iż „rozwijanie się pisarzów niemieckich jest bardziéj indywidualne, spokojne,“ tém twierdzeniem nie uznaje Ziemięcka ogromnego wpływu Szekspira, Gerstenberga, Leisewitza, Goethego, którzy widoczne ślady pozostawili właśnie w utworach *młodego* Schillera.

Bądź co bądź, Ziemięcka swoją rozprawą udowodniła, że i u nas nie brak ludzi ze zrozumieniem spoglądających na wielkich mistrzów. Jéj rozprawa składa najpiękniejsze wieńce pochwały u stóp Schillera, jéj uwielbienie odnosi się tak do Schillera-poety jak do Schillera-filozofa. W ogóle był tu dla Ziemięckiéj interes etyczny, który połączył się z estetycznym w jéj charakterystyce Schillera. W najczystszéj formie przedstawił się jéj tutaj duch moralności w Schillerze. Ze względu na te zasługi prawdziwie musimy ubolewać, że autorka pominęła zupełnie późniejsze dzieła Schillera, tę lukę choć w części zapełniła swoją o dwa lata późniejszą rozprawą „Dziewica Orleanu Szyllera i jéj przekład przez A. E. Odyńca“ (2). Jeżeli już w poprzedniéj rozprawie umieściła Ziemięcka niejedną trafną uwagę

(1) Gespräche mit Eckermann, II. 203.

(2) W Pielgrzymie z r. 1844. T. I. str. 317—342.

do słusznéj oceny estetycznéj Schillera w ogóle—oceny, która prawie żadnych plam na słońcu nie spostrzega—to tutaj nadarzyła się autorce sposobność, wypowiedziéć to, co najbardziéj poruszyło jéj tkliwą i piękną duszę podała bowiem tutaj analizę nie innéj sztuki Schillerowskiéj, jeno „Dziewicy Orleańskiéj.“ Nie sądzę, by przekład Odyńca był *jedynym* powodem napisania téj rozprawy. Jestem skłonny wewnętrznych pobudek szukać w indywidualności Ziemięckiéj. Główna tendencya jest tutaj natury apologetycznéj; właściwym zamiarem jest zaprosić do duchowego użycia prawdziwéj sztuki i do tego użycia przygotować.

Nader interesującém jest dla teoryi Ziemięckiéj i dla jéj zgodności z poprzedzającą rozprawą to, iż chwali przedewszystkiém *przedmiot*, który poeta sobie obrał. Sam przedmiot był dość potężnym, by natchnąć poetę do napisania utworu, który nosi na sobie cechy niejako diwinatorskiego zapału. „Są zdarzenia w historyi, które zdają się wywoływać natchnienie poety—okoliczności jakie im towarzyszyły są przyrodzoną im poetyczną oprawą—a kiedy jeszcze zachwycony wieszcz ich rozważaniem wzniesie się do pojęcia ich znaczenia duchowego w wychowaniu ludzkości—wówczas obrazy płyną śmiało i szeroko w wyobraźni jego, wówczas arcydzieło w jednéj chwili się prawie tworzy; utwór taki ma szczególną potęgę, bo jego poezya traci charakter ludzkiéj artystyczności, i staje się jakby poezyą boską—opatrzną.“ Geneza „Dziewicy Orleańskiéj“ inaczéj nas pouczy: Schiller nie należał do poetów, którzy nie patrząc na technikę utworu, wierzą na ślepo swojemu wieszczemu powołaniu. W pozostałych po nim szkicach do „Demetryusza,“ które po śmierci Schillera na biurku jego znaleziono, znajdujemy ślady ogromnych studyów; zbierał przysłowia, szperał w najrozmaitszych źródłach, które mu tylko były dostępnemi; myśli oderwane, po największéj części czekające na ostatnią redakcyą, słowem owoce żelaznéj pilności świadczą o jego metodzie pisania. Prawda, że wiele uczynił intuicyą, która go uczyła rzeczy zkądinąd zupełnie mu obcych. Wypadki tego rodzaju, które ma na myśli Ziemięcka, mają tylko patologiczne znaczenie, a Grillparzer, który w dwóch tygodniach napisał swoję „Ahnfrau“, nie ruszając się z miejsca, potwierdzić tylko może tę zasadę, iż objaw taki stoi w związku z ustrojem fizycznym poety.

Schillera zajmowała „Dziewica“ od 1 lipca 1800 r. do kwietnia 1801 roku. Owo natchnienie nie mogło być tak potężném, jak je Ziemięcka przedstawia, mimo to zdania jéj o „Dziewicy“ są tak trafne, iż nie mogę się wstrzymać od podniesienia niektórych jaśniejących miejsc jéj estetyki co do „Dziewicy.“ Myśl przewodnią, dominującą w utworze Schillera zawarła Ziemięcka w charakterystycznych słowach: „Szyl-

ler doskonale pojął tę myśl opatrzną w życiu Joanny zawartą—bo chociaż on nie był katolikiem—uczucie religijne jako w chrześcianinie było w nim tak rozległe i silne, że nic nie uszło jego oka pod względem religijnych zasad życia ludzkości.‘‘

Takiego przekonania będzie każdy, kto bez uprzedzenia podda się wrażeniu tragedyi, która zawiera w sobie najpiękniejsze *credo* indywidualnych zwierzeń Schillera.

Pisze on dnia 5 stycznia 1801: „Zakończyłem pracą stare stulecie a tragedya moja, jakkolwiek powoli idzie, otrzymuje dobre kształty. Sam przedmiot ożywia mię, jestem przy nim z całém sercem, i płynie mi także więcéj z serca aniżeli poprzednie sztuki, gdzie rozum musiał walczyć z przedmiotem.“ Rozum więc nie miał tutaj takiego udziału jak gdzieindziéj, przedmiot sam był dość potężnym, by muza Schillera, idąc za głosem natchnienia, wyśpiewała najszczytniejsze prawdy, wplatając do akcyi—a to jest najlepszym dowodem owéj nieświadomości twórczego umysłu. Jak stanowczo potwierdzają owe słowa Schillera zapatrywania Ziemięckiéj! Z jakim artyzmem odtwarza Ziemięcka postać „Dziewicy,“ która wskutek zdań *a priori* powziętych niejednokrotnie fałszywie była zrozumianą i interpretowaną. Ziemięcka jest skłonną, wrażenie „Dziewicy“ przypisać w zupełności idei, ciągnącéj się przez całą akcyą sztuki. Ta idea ma swe źródło w chrześciańskim umyśle Schillera. Entuzyastycznemi słowami akcentuje przedewszystkiém tendencyą tragedyi i jéj dążność, do któréj zaraz od początku zmierza akcya. Nie formą podbił Schiller umysły pod swoję władzę, lecz wskutek prawd, wypowiedzianych w tragedyi: „Czyż myślicie—pyta Ziemięcka—że piękność wiersza, łatwość improwizacyi łzami oczy nasze zasuwa—o nie, żaden geniusz formą nie przeniknie do serca—wszystko się tu łączy silnym węzłem, najmniejszy odcień sztuki z najodleglejszą zasadą życia moralnego; tylko słońce prawdy pieśń z duszy człowieka wywołuje—jak słońce przyrody śpiew słowika obudza—inaczéj będą dźwięki bez znaczenia, które słuchaczów nie dotkną.“ Chętnie wierzymy słowom autorki, gdyż pochodzą z przeświadczenia; tych słów, któremi Ziemięcka oznacza wartość „Dziewicy Orleańskiéj“, możnaby użyć do określenia jéj dążności. Słowa Ziemięckiéj nie są dźwiękami bez znaczenia, gdyż tendencya jéj pism opartą jest na chlubnych jéj dążnościach. Ona należy do owych wyjątkowych postaci, których każda czynność była opromienioną równém światłem wewnętrznych pragnień i aspiracyi, które z nich wytryskając, przenikały rzeczy około niéj będące. Ziemięcka należy do wcale nielicznéj grupy ludzi, którzy zbudowali sobie w sercu świątynię, by się tam oddać kultowi wszystkiego, co piękne i szlachetne. Dzisiaj rozprawy jéj są tylko

świadectwem jéj szlachetnych usiłowań i pomnikiem okresu, w którym one powstały. *Powaga* była sygnaturą owych czasów. Ziemięcka posiadała siłę, myśli epoki swéj przejąć w siebie i bezustannemi studyami w wielu kierunkach daléj poprowadzić. Berthold Auerbach stworzył słowo „Goethereif", które ma służyć jako skala oceny narodu, zajmującego się Goethem. Gdyby istniało słowo „Schilllerreif" nie wiem, kto oprócz naszych największych koryfeuszów więcéjby zasłużył na to miano od Eleonory Ziemięckiéj!

Józef Kremer, jakkolwiek oddany studyom filozoficznym, poczuł w sobie pociąg nieprzyzwyciężony do poezyi, a zwłaszcza poezyi takiéj, jak Schillera. Owocem tego entuzyastycznego lgnięcia do poezyj Schillera jest rozprawa, ogłoszona w Dwutygodniku Literackim, który wychodził w Krakowie pod redakcyą Waleryana Kurowskiego, w r. 1844: „Kilka słów o Schillerze, Dziewicy Orleańskiéj i wystawieniu jéj na teatrze krakowskim," (przedruk w zbiorowém wydaniu warszawskiem w tomie XII. str. 417—487). Kremer zaczyna swoję rzecz od znanego, lecz nieuzasadnionego podania o młodym Schillerze, który w wycieczce z jednym ze swoich towarzyszów, nie dostawszy w wiosce jednéj żądanego mléka, przeklął tę wioskę, drugą pobłogosławił, ponieważ nie żałowała mléka. Następnie przedstawia nam Schillera w szkole wojskowéj. Widać tu gruntowne wczytanie się w biograficzne szczegóły Schillera (1). Nie możemy Kremerowi z tego uczynić zarzutu, iż niektóre fałszywe podał szczegóły, widocznie czerpał ze źródeł mniéj wiarogodnych, któremi są przepełnione biografie Schillera. Kremer mówi, że książe Karol nie mógł się pogodzić z formą pisania Schillera. „Sam będąc chowany w zasadach dawnéj konweniencyi, cenił wysoko dramaturgią klasyczną Francyi, więc też nie dziw, że go raził i majestat dziki, wulkaniczny, młodego geniusza. Pragnął go tedy widziéć w formie zbliżającéj się klasykom francuskim; ale téj formy nienawidził Schiller i bez ogródki wstręt ten swój objawił." Wątpimy, czy Karol i z tą myślą pogodziłby się, by Schiller pisał w guście francuskim, jemu przedewszystkiém chodziło, by uczeń medycyny nie zajmował się rzeczami, wychodzącemi z poza obrębu studyum fachowego, a już zgoła nie mógł znieść płodów literackich, w których przebijała się myśl rewolucyjna. Kremer opowiedziawszy kolei życia smutnego i pełnego łez młodego Schillera, wsuwa w swój obraz ślicznie napisa-

---

(1) Zadziwiła nas uwaga wydawcy, Henryka Struvego, który odsyła czytelników do dzieła zupełnie źle napisanego przez Laubego, którego literatura nie ma żadnéj wartości; wprawdzie w r. 1879 nie wyszła jeszcze literatura Scherera, ale były podręczniki Gervinusa, Kobersteina, Hettnera i innych.

ny drugi, niemniéj zajmujący. Wystawia nam „człowieka w szarym Królewcu, w szarym domu, najspokojniéj sobie w świecie żyjącego w szarym surducie.“ Ten człowiek widocznie wiele punktów stycznych miał z Kremerem, bo go opisał z prawdziwém synowskiém przywiązaniem. „Maluchny, wywiędły, szczuplutki, profesor niemiecki, dziekan odwieczny królewieckich kawalerów, któremu się nigdy na ożenienie nie zbierało, a o miłości i we śnie nie marzyło.“

Ten profesor, ten myśliciel-filozof, ten szperacz: to Kant. Wewnętrzną konsekwencyą umotywowany ten obrazek, który niby *deus ex machina* wleciał do rozprawy o „Dziewicy Orleańskiéj.“ Kremer doskonale pojął owę łączność Schillera z wielkim filozofem królewieckim. „Filozofia Kanta jest pierwiastkiem potężnym, żyjącym w sposobie zapatrywania się Schillera, w jego stanowisku filozoficznéem i poetycznéem. On ją w siebie przyjął, w sobie daléj rozwinął a w jego pieśniach żyje pogląd filozoficzny na świat. Jego figury dramatyczne, są to filozoficzne myśli odziane widomą szatą, i przystrojone całym urokiem nadziemskiéj poezyi.“ Temi słowy trafia Kremer rzecz w sam jéj rdzeń, a sympatya z jaką omawia wszędzie Kanta, tém się usprawiedliwia, iż sam był wielce spokrewniony z Kantem. Instynktem, którego głosu słuchają geniusze, dostrzegł owych punktów stycznych, łączących Schillera poezyą z systemem filozoficznym, który sobie wytworzył głównie na fundamencie filozofii Kantowskiéj.

Téj epoce, która oznaczona jest wpływem Kanta, przyznaje Kremer drugie miejsce w rozwoju poetyckim Schillera. Trzecia epoka jest to najświetniejszy rozwój geniuszu Schillera. Także ze względów materyalnych przewyższa ta epoka dwie poprzednie, które nader smutnemi doświadczeniami były oznaczone. Schillera problemata poetyckie harmonijnie łączyły się z jego usiłowaniami filozoficznemi. „Dla tego téż ten ogólny, filozoficzny, głęboki pierwiastek w istocie Schillera jest niezbędny do zrozumienia dzieł jego; ten to pierwiastek artysta sceniczny koniecznie znać powinien, uwidomić myśli wielkiego mistrza, jeżeli rzetelnie zasługuje na imię artysty (1). Każdy przyznać musi, że myśl ta dominuje w pracach Schillera (2); jeżeli jednak Kremer chce wykazać ów związek filozofii z poezyą, to najmniéj uwidocznia się on w „Dziewicy Orleańskiéj,“ gdzie fantazya samodzielnie dzierży berło. Jakkolwiek tło dziejowe zostało wiernie zachowane, to mimo to, wiele zawdzięcza swój byt wolno działającéj wyobraźni poety. Chciał on przedewszystkiém, Joannę wysta-

(1) Dzieła XII, 426.—(2) Por. Überwega: Schiller als Historiker und Philosoph. 1884 r.

wić jako dziewicę przez Boga natchnioną, która uciemiężoną ojczyznę wyratowała z rządów obcych i króla napowrót na tron wprowadziła. W tym celu musiała wystąpić jako w istocie od Boga natchniona, a ufność jéj w swoje wielkie posłannictwo nie mogła być złudzeniem. Wprawdzie wielu nie zgadza się z Schillerem, co do tragicznéj winy bohaterki, wszyscy jednak przyznają, że gieniusz Schillera objawia się tutaj właśnie w owéj sile przekonania, która nam każe wierzyć w cuda przez Joannę wykonane. Do bezwzględnych czcicieli Schillera problematu cudowności należy Kremer: „Co do mnie, ja czczę i czołem biję takim proroctwom, jakie Joanna czyniła; boć co prorokowała, to nie na wiatr, ale święcie ziściła — a do tego — bo położyła głowę za te proroctwa swoje.“

Nawet Hettner, który nie uznaje, ażeby wina „Dziewicy“ mogła odpowiedziéć wszelkim warunkom nowoczesnym, przyznaje, iż już sama atmosfera działa na widza i czytelnika w sposób nader korzystny, a widz, mimowoli olśniony nadziemską postacią, zostaje zupełnie opanowanym siłą fantazyi poety. „Nad całą postacią wybranéj leży coś ponad zwyczajną istność człowieka wyniosłego, leży blask i świętość wieszcza i demoniczna, uniesienie boskie i uroczysta wzniosłość proroctwa starego testamentu“ (1). Scherer widzi w „Dziewicy“ wpływ Iliady, jego uwagi przypominają nam paralelę pociągniętą przez Brodzińskiego. „Tutaj błyszczy coś z światła homerowskiego, z świetności homerowéj.“ Właśnie zewnętrzna jasna postać i wystąpienie cudowności, zupełnie jak u Homera bogowie i ludzie się mięszają, wszystko to działa do sprawienia porywającego wrażenia“ (2). Właśnie ta okoliczność powinna nam kazać zapomniéć o winie Joanny, która nie może przed trybunałem krytyki się ostać. Dlatego Hettner zadaleko idzie, gdy się pyta słowy, które już odpowiedź w sobie zawierają: „Czy ta tragiczna wina, z któréj upadek bohaterki wynika, dla naszego tegoczesnego sposobu myślenia i czucia, jest w istocie winą?“ Kremer dokładnie wszedł w intencye poety i tak tę winę zrozumiał, jak ona każdemu wydać się musi, który z nieuprzedzonym umysłem poddaje się pięknemu złudzeniu. Właściwy sposób widzenia wypowiada H. Düntzer, który Hettnera wywody odpiera tym argumentem, iż fantazyi poety powinno się pozostawić wolne pole do działania, w którém-by wszechwładnie panować mogła. „Kto poecie odmawia siły, nas mimowoli porywać za sobą, ten niszczy tém samém grunt każdego wyższego

---

(1) Hettner. Gesch. der Deutschen Litter. III, 2. 306.—(2) W. Scherer. Gesch. der Deutsch. Litterat. 604.

utworu dramatycznego. Na to jest poeta właśnie poetą, ażeby jak czarodziéj osiągnął moc nad nami“ (1).

Kremer nader trafnie oznacza wine tragiczną Joanny, która w „tém błądzi, iż choć kobietą jest, nie uznaje powołania niewieściego, wyrzeka się miłości, wyprzysięga się szczęścia poznania uczuć macierzyńskich i ślubuje, że nie chce być kobietą, że nie chce być matką, a w tém obraża święte powołanie kobiety, będące zarówno prawdą, na cześć jéj zasługującą.“ Konflikt tragiczny objawia się w wyższości umysłowéj, która bezkarnie nie może istniéć na ziemi. Upadek téj wyższości, śmierć piękności i wzniosłości jest konfliktem, którą nie tylko Schiller zużytkował w „Dziewicy Orleańskiéj“. „Safo“ Grillparzera obraca się około téj saméj osi. Safo wybiegła po za granice swego działania, jéj upadek jest skutkiem powyższéj prawdy moralnéj. „Dziewica Orleańska“ nosi wyraźne piętno wyższości na czole. W. Scherer kilku słowami najlepiéj określił cel i tendencyą tragedyi: „Naiwność, którą Schiller teoretycznie stawiał tak wysoko, chce tutaj uzmysłowić, lecz równocześnie znowu: los piękności na ziemi! Miłość ziemska pociągnie ją do poziomu „Zwischen Sinnenglück und Seelenfrieden bleibt dem Menschen nur die bange Wahl.“ Pokój znikł z jéj duszy, skoro pociąg ku mężczyźnie do jéj serca się dostał“ (2). Że Kremer idzie wszędzie za głosem swojego czucia estetycznego, dowodzi i ta okoliczność, iż nie dzieli zdania, które przez romantyków, a mianowicie Tiecka wypowiedziane, przyjęło się na naszym gruncie i niejednego w błąd wprowadziło. „Ta cudotworność w „Dziewicy Orleańskiéj“ często przez najcelniejszych estetyków uważana była za wadę sztuki; przecież nie mógłbym się bezwarunkowo na te nagany zgodzić. Bo lubo prawda jest, iż póki cuda i zjawienia nadprzyrodzone wywierają swój wpływ na samą Joannę tylko, póty téż łatwiéj usprawiedliwione być zdołają, bo je można uważać jako jéj własną mocną wiarę, jéj przekonanie religijne i święte, iż zbawić kraj zdoła. Gdy zaś ta potęga nadprzyrodzona roztacza się na inne osoby, na cały poemat, więc jużby się zdawać mogło, że tém samém osłabia się jedność artystyczna, która na tém zależy, by dramat rozwijał się sam z siebie, by własny czyn człowieka wywoływał skutki sobie właściwe; gdy zaś obca siła, jaką jest cudotworność, wmięsza się w to rozwijanie dramatu, już wtedy téj jedności nie będzie, bo nie czyn człowieka samowolny będzie rządzić wypadkami, ale potęga nadprzyrodzona, a całość organiczna dzieła zniknie i spaczy się w swéj jedności.“ Te powątpiewania są,

---

(1) Schillers. Jungfrau v. Orleans. Erläutert v. H. Düntzer. str. 111.

(2) Gesch. der Deutschen Litteratur, str. 60.

według Kremera, tylko pozornemi, bo „cudotworność ta bynajmniéj nie wpływa na pochód rzeczy.“

Z logiczną konsekwencyą, właściwą Kremerowi, zbija on zarzuty, które mogły być podniesione przeciw cudotworności, grającéj w tragedyi Schillera ważną rolę. „Jakoż scena w akcie I, gdzie Joanna rozpowiada królowi tajemnice snu, nie jest stanowczą, bo Joanna już raz zwyciężyła nieprzyjaciół i tak dowiodła posłannictwa swojego; dodajmy jeszcze, iż scena ta jest historyczna, bo z podań wzięta. Rycerz czarny także nie wpływa na pochód sztuki, podobnież i gromy piorunne w owéj stanowczéj chwili wcale nie rozwiązują losu dziewicy, bo nie tak te gromy świadczą przeciw niéj, jak raczéj jéj milczenie, gdy właśnie na nalegania ojca, króla, Agnieszki i Dunois, nie odpowiada. Również i zerwanie kajdan nie może miéć wpływu na wątek rzeczy, bo dzieje się już w samym końcu sztuki, i wtedy, gdy już od upodobania autora zależało tak lub w inny sposób ukończyć swoje dzieło.“

Zarzuty te, podnoszone przez wielu estetyków niemieckich, które Kremer z taką stanowczością zbija, nie są uzasadnione, pomimo to i pomimo pięknéj pracy Kremera, wygłasza Kazimierz Kaszewski w roku 1858 zdania (1), które po Kremerze zadziwiać mogą. Kaszewski, zdaje się, że „Dziewicy Orleańskiéj“ Schillera dokładnie nie zgłębił. W ten tylko sposób mogę wytłómaczyć takie dziwne zdania, jak: „Najszkodliwszą dla Joanny inwencyą jest zakochanie się w Lionelu. Tu już Szyller zupełnie nie zrozumiał dziewicy chrześciańskiéj, nie pojął idei wybrania i namaszczenia Bożego, odarł ją z zasług i wytrącił z jéj ręki palmę męczeńską, a natomiast podstawił expiacyą w śmierci przedwczesnéj, chociaż chwalebnie poniesionéj.“ To, co stanowi konflikt między obowiązkiem a skromnością człowieka, owa przepaść między bohaterką nieznającą potęgi miłości a kobietą, która nigdy swéj kobiecości zaprzéć się nie może, użył Schiller do przedstawienia tragicznego końca Joanny. Dalszy ciąg tragiczności „Dziewicy“ stanowi właśnie potęga miłości, która wszechwładnie rządzi Joanną od czasu, gdy ta dała się opanować uczuciu, które jéj nazawsze powinno być tajném. W chwili, gdy ta pod wpływem srogiéj nienawiści chce zadać cios śmiertelny temu, który jéj złorzeczył, przystępuje do niéj nieznana jéj miłość, a ta staje się powodem jéj tragicznego końca.

Zarzuty podniesione przez Hettnera (2), Fielitza (3), z których pierwszy wzbrania się uznać tragiczność w życiu Joanny prawdziwą

(1) Joanna Darc jako przedmiot dramatów: Fryderyka Szyllera i Daniela Sterna. (Biblioteka Warsz. 1858, III, 331 i nast.). — (2) III, 2, 309. — (3) Studien zu Schillers Dramen, str. 77.

winą, drugi przedstawia sobie jéj miłość jako boskie pokuszenie, polegają na zbyt subtelném rozumowaniu o istocie techniki dramatycznéj, która nie zawsze stosować się może do kodeksu „ukutego przy biórku filozofów.“ Żaden jednak z nich nie zdradził się z takiém zapoznaniem jędrnych, zasadniczych myśli w tragedyi Schillera, jak Kaszewski. Zupełnie w duchu i imieniu poety interpretuje Kremer spotkanie Joanny z Lionelem. „Joanna zwycięża młodego rycerza; lecz zaledwie strąciwszy mu przyłbicę, widzi oblicze jego, już staje bezwładną i miłość ją ogarnia—ślub złamany. Miłość jest wrogiem, który powstał we własnéj jéj duszy. Cała jéj potęga cudowna i jéj chwała, stała na zrzeczeniu się uczuć natury, gdy te się rodzą, jéj wielkość upada; kobieta mści się na bohaterce.“ — Kremer sam powiada, iż „mu bynajmniéj nie chodziło o prostą recenzyą teatralną, albowiem recenzya takowa winna być napisaną tuż po odegranéj sztuce póki i dramat sam i wystawienie trwa jeszcze w świeżéj pamięci publiczności i powinna być krótką w swéj treści.“ Ostatnie słowa świadczą o skromności wielkiego pisarza, którego rozprawa wszędzie odznacza się głębokiem wniknięciem w myśl i intencyą poety, a bystry wzrok filozofa z łatwością odgadnąć potrafił największe tajniki sztuki Schillera. Tych dodatnich przymiotów nie posiada niestety praca Kazimierza Kaszewskiego. Dziwić nas będą rażące błędy w estetycznéj ocenie Kaszewskiego tém więcéj, jeżeli zważymy, że poprzednicy jego na daleko wyższém stanowisku umiejętném stoją; Brodziński i Kremer wypowiedzieli zdania, które i dzisiaj mają swoję wartość. Na Kaszewskiego zdania nikt się pisać nie będzie, gdyż sprzeciwiają się one całéj tendencyi tragedyi Schillera.

Na kilka lat przed Kaszewskim wyszła książka p. t. „Dziewica Orleańska, ustęp z dziejów Francyi“ (Poznań 1847). I ze stylu i z metody, jak i z całego traktowania rzeczy poznać łatwo wielkiego *Karola Libelta.* Dzieło jego rozważa Joannę historyczną, t. j. taką, jaka się nam przedstawia ze źródeł historycznych. Libelt trafnie ocenia historyczne zjawienie się Joanny, jego uwagi mogą być dosłownie powtórzone o „Dziewicy Orleańskiéj“ Schillera, w któréj cudowność przeniesioną została do poezyi. Ta cudowność wypływa z ducha czasu, który chętnie poddawał się wierze o cudach i cudotwórcach, a któréj także Schiller pozwolił w swéj tragedyi wszechwładnie panować. Brodziński uważał tę cudowność jako oś, około któréj obraca się akcya tragedyi Schillera i Homera „Iliada.“ To naprowadziło go, jak się zdaje, na myśl porównania „Iliady“ z „Dziewicą Orleańską.“ Libelt także odczuwa tę łączność „Dziewicy“ z Homerem, gdy po-

wiada: „Ta ludzkość różnoplemienna i różnonarodowa rozrzucona na kuli ziemskiéj i sformowana w obszerne społeczeństwa i państwa była w początkowych zawiązkach swoich, wedle wiary ludów, pod wyłączną opieką bogów, losami jéj zajmujących się. W Homerze najplastyczniéj ta wiara wydana. Nie tylko z kurzących się wnętrzności zwierząt ofiarnych odgadywano wolę bogów, nie tylko nie badano wyroczni i wieszczów, ale widzimy same nawet bóstwa, walczące w szeregach ludów, w szczególną opiekę sobie oddanych.“ (str. 4). To zajmowanie się bogów ludźmi, to bezpośrednie stykanie się bogów z ludźmi, dało pochop do wiary w cuda, które lud zawsze chętnie akceptował. „Lud najwięcéj cierpiał, lud téż najwięcéj wyglądał ratunku, a w pobożności swojej wyglądał go przez cud i dla tego Dziewicę Orleańską, jako zesłankę z nieba, powitał i w opowiedziach swoich całym blaskiem cudowności otoczył“ (str. 20).

Libelt uważa jako największą sztukę Schillera owo instynktowe przejęcie się treścią taką, która do tragedyi użyta, musi odpowiedziéć wszelkim warunkom artystycznym. „Z pod pyłu i kurzu wieków dopatrzyła je tam najprzód poezya i przeczuła od razu ich znaczenie. Ród pograniczny Germanów, twórca idealnéj filozofii, wrócił cześć Joannie Orleańskiéj i w poezyi swojéj ją uświetnił.“ Nadzwyczaj kunsztownie przedstawił Schiller owę walkę duszy, która nie pozwala Joannie brać udziału w powszechnéj uciesze, i która nawet nakazuje jéj milczenie wobec stanowszych pytań ojca. Z aparatem prawdziwego psychologa rozbiera Schiller uczucia wrodzone kobiecie, jéj powołanie i jéj cel, z drugiéj strony owę kolizyą wyższości, owego wzniesienia się nad poziom z prawami, które nakłada natura. Tę iście gienialną sztukę pojął Libelt w najdrobniejszych jéj szczegółach. Kilku słowami wypowiada to, na co estetycy niemieccy potrzebowali całych tomów, aby popaść w nowe błędy. Libelta estetyczne *credo*, co do „Dziewicy“, mieści się w słowach: „W „Dziewicy“ Szyllera widzimy ją niepokalaną w uczuciach, natchnioną wyższém światłem, silną tém natchnieniem i do poświęceń nad siły niewieście gotową. Wiara w odebrane posłannictwo boskie jest jéj duszy potęgą, z niéj czerpie moc, męstwo, odwagę, poezyą i ducha wieszczego; przez nią rozlewa w okół siebie ufność, wiarę, zapał i uniesienie do spełnienia wielkiego dzieła. Atoli warunkiem jéj potęgi jest nieposzlakowana czystość jéj duszy, którą Bóg wybrał za naczynie swoje, żadna słabość ludzka nie powinna jéj skalać, żadna inna miłość, obok miłości Boga, w piersi jéj zamieszkać. Gdy jednak w końcu obudziło się w dziewicy uczucie ludzkie i miłość dla człowieka serce jéj zajęła—odstąpiły ją potęgi nieba—była już tylko człowiekiem jako inni ludzie i w moc ich dostała się.“ (str. 22—23).

W jedenaście lat po wyjściu na świat książki Libelta, nastręczyło wydanie dramatu historycznego „Joanna Darc“, przez Daniela Sterna napisanego, Kazimierzowi Kaszewskiemu sposobność porównania „Dziewicy Orleańskiéj“ Schillera z utworem Sterna. Rezultatem tego studyum jest to, że Stern „rozważniéj i oględniéj przystąpił do rzeczy niż Szyller, którego utwór, oprócz powabu poetycznego nie ma, rzetelnie mówiąc, w sobie idei panującéj i nic stanowczego z siebie nie wywiązuje“ (?) *). Takiego sądu o jednym z najcelniejszych utworów Schillera nigdzieśmy nie napotkali. Widocznie autor oparł swoje wywody na istotnych studyach, przyszedł jednak do wniosków wręcz przeciwnych tym, które wygłosili najpierwsi estetycy i historycy literatury niemieckiéj. Przedewszystkiém zaznaczyć musimy, że autor stoi na fałszywém stanowisku; chciałby, by Joanna nie była człowiekiem, ale otoczona jakąś mgłą eteryczną, stała przed nami jako ideał wyższości a nawet jako święta prawom ludzkim niepodległa osoba. Określając istotę Joanny, wypowiada autor życzenie, by dziewica ta stała się bohaterką chrześciańskiego dramatu; poeta, któryby ten trudny problemat obrał sobie, powinien tworzyć zupełnie w duchu chrześciańskim. Jakkolwiek tutaj autor jeszcze nie zwraca się przeciw Schillerowi, widać jednak, że o nim myśli, gdy wypowiada ojcowską przestrogę, „ale biada autorowi, któryby chciał z jéj przedmiotu uczynić prostą zabawkę sceniczną.“ Apostrofa kaznodziejska kończy się słowami: „Poeta, który przedmiot ten bierze pod rozwagę i rozwija go na tle swego natchnienia, niechaj zapomni, że są na świecie jakie deski teatralne i niechaj tworzy dramat dla sceny, która będzie“ (?). Z tych słów wolno wnioskować, że pociski wymierzone są przeciw Schillerowi, bo nieco późniéj powiada autor: „Więc choć przy układzie „Dziewicy Orleańskiéj“ widocznie chodziło mu o teatr, dla którego pracował; o powodzenie sceniczne, bez którego teatr i poeta żyćby nie mogli....“ Autor żąda od poety, by mówił z namaszczeniem, by padał na kolana przed Joanną, jako przed słońcem, które tak wspaniale zeszło na horyzoncie francuskim.

To, co stanowi główną zaletę Schillera, jako wytrawnego, ściśle motywującego dramaturga, u którego nic nie dzieje się przypadkowo, jest według Kaszewskiego głównym błędem tragedyi. Przytém ciągle stoi Kaszewskiemu przed oczami *historyczna* Joanna, która według niego daleko większym blaskiem była otoczona niż ta, którą nam Schiller przedstawia. Zapomina tutaj autor, iż Schiller właśnie był owym poetą, który przedsiewziął ratunek Joanny tak bardzo zo-

*) Biblioteka Warszawska 1858, III, str. 345.

hydzonéj. Voltaire nie miał powodu wystawić Joannę w tém świetle, w którém się nam przedstawia u Szekspira, bo właśnie była Francya owym krajem, który zawdzięczał cudowne swe uratowanie biednéj „Pucelle.“ A właśnie Voltaire napisał swój lichy utwór nie w innym celu, tylko aby wiarę w cuda i religię katolicką, którą Chapelain niedawno wielbił, swojém sarkastycznêm szyderstwem zmieszać z błotem. Schiller przeciwnie był owym, który zbezczeszczoną i oplwaną postać Joanny postawił na miejscu honorowém. W liście do Wielanda wyraźnie podnosi Schiller tę okoliczność; wolno z tego wnioskować, że z całą świadomością przedsięwziął akt uratowania postaci, do któréj czuł tak wielką sympatyą. W liście tym powiada Schiller, że jeżeli Voltaire swoję „Pucelle“ zanadto błotem obrzucił, to jemu grozić może druga ostateczność, bo mógł łatwo „za wysoko ją postawić“, lecz tylko w taki sposób spodziewał się zniszczyć haniebne skutki dzieła Voltaire'a (1).

Kaszewski nie sformował jasno swych zarzutów, tak, że dla mnie przynajmniéj wydają się jako paradoksy, pozbawione wszelkiéj podstawy. „Prawda, że w nim Szyller w wielu miejscach staje ponad historyą, udokładnia ją i *idealizuje*; ale to wzniesienie odbywa się niejako jakby kosztem saméj bohaterki dramatu, która spada o wiele niżéj nad historyczny poziom“ (?). A więc Joannę idealizuje poeta, a mimo tego stoi ona niżéj od historycznéj „Dziewicy Orleańskiéj“! Brak mi słów do wyrażenia zadziwienia, jak rozumny krytyk może się zabłąkać w takie zapatrywania, które, sprzeczne same z sobą, pojęcie konfliktu tragicznego i całe założenie tragedyi w fałszywém świetle przedstawiają, i zarzucać może Schillerowi brak wiary, którą „trzeba czuć tak, jak się czuje ciepło własnego ciała i bicie własnego serca.“ Kaszewski wolałby, jak się zdaje, ażeby Joanna po dokonaniu rycerskich czynów, po koronacyi króla, powróciła w swojskie strony, jak to według niektórych podań *historyczna* Joanna chciała uczynić. Przyznać trzeba, że taka „Dziewica“ odpowiadałaby najwięcéj życzeniom autora, bo mówi on: „Joanna po dopełnieniu tego posłannictwa nie mogła żyć: bo cóż miała robić? Czy za zasługi zostać jaką figurą dworu? Miałże dla niéj Karol porzucić Agnieszkę i z nią podzielić koronę Francyi; albo miałaż Joanna wrócić do sielskich zatrudnień, w dalszym ciągu paść ojcowskie owce i dokonać żywota, jak każda Małgorzata lub Katarzyna.“ Śmierć Joanny nie powinna nastąpić według Kaszewskiego tak, jak ją sobie Schiller przedstawia. Ponieważ Joanna zgrzeszyła, więc inaczéj nie można sobie jéj śmierć interpretować, jak tylko jako „upadek ziem-

(1) Por. Düntzera: Schillers Jungfrau von Orleans, str. 57.

ski.“ Jeżeli Joanna zgrzeszyła, a tém samém utraciła otrzymaną łaskę, jakimże sposobem mogła modlitwą uwolnić się z kajdan i znów dokonać cudów zwycięstwa, jakich dokonywała tylko w stanie łaski? Dwie ważne okoliczności przeoczył Kaszewski. Joanna-kobieta zbłądziła w nieszczęsnéj godzinie, poniosłszy najsroższą karę, doznawszy dowodów od samego Boga, który piorunem do niéj groźnie przemówił, zmazała tę winę, która jéj ciężyła tak boleśnie. Wyraźnie spowiada się ze swoich uczuć w rozmowie z Rajmundem, wyznaje, dlaczego milczeniem swojém dała powód do swego upokorzenia. W blasku zaszczytów czuła największą boleść, czas, w którym jéj zazdroszczono, był dla niéj najnieznośniejszym. Nastąpił czas pokuty, z którego wyszła zwycięzko:

„Jetzt bin ich
Geheilt, und dieser Sturm in der Natur,
Der ihr das Ende drohte, war mein Freund,
Er hat die Welt gereinigt und auch mich.
In mir ist *Friede*—komme, was da will,
Ich bin mir *keiner Schwachheit mehr bewusst*.“

W akcie ostatnim (w scenie dziewiątéj) potęga duszy Joanny przechodzi przez wielką próbę, nieprzyjaciel jéj narodu, który jedyny wzniecił był w niéj uczucia zupełnie jéj obce, daremnie stara się ją nakłonić, by została jego na zawsze. Lecz ta znowu odnosi nowy tryumf nad sobą, czuje się znowu jako orędowniczka swojego kraju, w imieniu którego prosi o pokój. Nawet Hettner, który uwolnienie się z więzów uważa za chybiony środek artystyczny, przyznaje, iż ekspiacya, dokonana przez Joannę, zupełnie wystarcza, by zobaczyć Joannę znowu w posiadaniu téj władzy, którą wskutek chwilowych uniesień straciła była. „Lionel, który niegdyś jéj sercem zawładnął i uczynił ją był niegodną jéj wysokiego powołania, broni jéj przed śmiercią uproszoną. Błaga o jéj miłość. Ale ona zbłądziła tylko w chwili szału; teraz pokonała sama siebie. Znowu tylko ojczyzna, któréj jéj życie zostało poświęcone, panuje w jéj duszy. A gdy bitwa coraz gwałtowniéj około niéj wrze, gdy nawet król zostaje pojmany, wtedy rozrywa z siłą demoniczną ciężkie więzy, którymi jest związaną, wybiega na pole bitwy, uwalnia króla, dopełnia ostatniego stanowczego zwycięstwa“ (1)...

Zasługi Kaszewskiego na polu literatury ojczystéj sprawiają, iż praca nasza staje się nam przykrą, wolimy zwrócić się do pracy najnowszéj o Schillerze prof. Tarnowskiego. Pióro szanownego pisarza jest znane, potrafi wszędzie odtworzyć obraz tak jasny, iż postać

---

(1) Hettnera „Literatura“ III, 2, 307.

Schillera i jego otoczenie stoi nam prawie przed oczyma, iż zdajemy się wciągnięci w atmosferę młodego Schillera. Autor zaznaczył sobie skromne granice: „bez zuchwałych roszczeń, bez nadziei i bez usiłowania nawet nowych odkryć i widoków, bez możności i pretensyi usłużenia literaturze powszechnéj lepszém zrozumieniem postaci i dzieł Schillera, a choćby tylko lepszego objaśnienia jakiegokolwiek najmniejszego w tych dziełach szczegółu, sądzę przecież, że dla Polaków i w polskim języku warto jest podjąć pracę choćby tylko prostego i skromnego streszczenia i zestawienia tego, co już przez innych było powiedziane i może nieraz.“ Że praca prof. Tarnowskiego nie jest prostém streszczeniem dzieł niemieckich, okazuje się z sądu wydanego o „Fiesku,“ który polega na własnych studyach. Zbyteczną dlatego wydaje mi się skromność szanownego autora, gdy stara się usprawiedliwić z zarzutu, że „jako obcy bierze się do tego przedmiotu.“ Dlaczegożby nam Polakom miała być droga zamknięta do pracy na tém polu, na którém Niemcy jeszcze wszystkiego nie zrobili? (1) Do pięknego obrazu nie wiele da się dodać; wszystko tu napomknięte, duch czasu ośmnastego wieku, okres „Burzy i walki,“ jego tendencye, jego hasła pięknie są przedstawione. Jedno niech mi wolno będzie zauważyć: z objaśnień „Zbójców“ zanadto zdaniem mojém—przebija się sąd ujemny, który nieobznajomionych mógłby łatwo w błąd wprowadzić. Prawda, iż „Zbójcy“ nie są niczém innem jak kopią Szekspira, naśladowaniem motywów zaczerpniętych z Leisewitza „Juliusza z Tarentu,“ z Gerstenberga „Ugolina,“ z Goethego „Götza,“ ale i to każdy przyznać musi, że kopia ta tak świetnie się przedstawia, iż chętnie zapominamy o tém, zkąd je młody Schiller zaczerpnął.

W przedstawieniu prof. Tarnowskiego prawie tylko słychać słowa nagany: „wystarcza powiedzieć z wszelkiém wyrozumieniem i pobłażaniem, że (głowę) miał (Schiller) przewróconą tylko, kiedy to pisał.“ Pierwszy płód Schillera trzeba więcéj uważać na tle czasu, wszak i Goethego „Götz“ grzeszy temi samemi błędami, a pomimo to jaśnieje dotąd w całéj swéj pełni. W pracy przeznaczonéj do druku możnaby użyć metody, przez Niemców używanéj, rozłożyć pracę na poszczególne działy, jak charaktery, motywa, sytuacye, i t. d.

---

(1) Nie w celu własnego wywyższenia się, ale aby dowieść, że i u nas w Polsce można znaleść ludzi, pracujących na polu literatury niemiec. wskażę na pracę prof. Kawczyńskiego, które W. Scherer w książce swojéj cytuje, i rozprawy prof. Pechnika, a w końcu dodam, że i moję pracę „Schiller und Werther“ uznał prof. dr. Werner, w którego seminaryum powstała, za odpowiednią do druku, okaże się ona w bliskim czasie w „Archiv fur Litteraturgeschichte.“

W wykładzie jednak nie zawsze ta ściśle naukowa metoda da się użyć, zatém zupełnie usprawiedliwiony jest porządek rzeczy w pracy prof. Tarnowskiego, który na tle dziejowém opowiada najpierw szczegóły biograficzne z życia Schillera, następnie szczegółowo rozbiera „Zbójców“. Słusznie zauważył autor, że utwór pierwszy Schillera „wcale nie jest tak oryginalny, jak przy jego ukazaniu się myślano.“ Następnie mówi o charakterach Karola i Franza, które, jak wiadomo, są kopiami Edwarda z „Leara“, jakotéż Ryszarda III i Jaga. Szkoda, że nie wspomniano ani słowem o motywach, które natrafił Schiller w literaturze niemieckiéj. (Motyw ojcobójstwa i bratobójstwa u Klingera „Zwillinge“, Leisewitza „Julius von Tarent“). Nie wspomniano o wielkim wpływie „Götza“ na „Zbójców“, a przecież najnowsi literaci wyraźnie utwór Schillera zaliczają do tych, które „Götzem“ do życia pobudzone zostały i pod nazwą „Ritterdramen“ w literaturze są znane (1).

Publiczność polska w r. 1859, przy sposobności pięćdziesięcioletniéj rocznicy śmierci Schillera, dała wyraz swemu uwielbieniu gieniuszu Schillera w uroczystości, urządzonéj w Warszawie, w którym to czasie wyszła broszura Skimborowicza, a J. I. Kraszewski miał odczyt. O téj uroczystości wiem tylko z doniesienia, które zawdzięczam uprzejmości dra Chmielowskiego (2). Nie był to prosty przypadek, iż właśnie Kraszewski mówił o *Schillerze*. W dziełach jego są niemal wszędzie cenne przyczynki do estetyki Goethego i Schillera. Schiller przedewszystkiém stoi u Kraszewskiego na miejscu honorowém. Zapatrywania swoje o Schillerze wypowiedział bardzo pięknie, kładąc je w usta jednéj ze swoich postaci:

„— Byłem wczoraj—kończył profesor—będę dziś i jutro i póki grać będą, bo przyznam ci się, że mnie ten nowy teatr mocno zajmuje, unosi, egzaltuje! Wystaw sobie Schillera! Kochanego młodości naszéj Schillera, granego *con amore* z tradycyą teatru przez autora natchnioną, pojętego całą duszą... to coś warto!

„— Warto — rzekł Staś — bym ostatniego lub przedostatniego rubla na to poświęcił! idę z tobą“ (3).

Schillera poezya decyduje o wyborze stanu Sary: „Gwałtowniéj jeszcze rzuciłam się szukając w książkach pociechy... Schiller przypadał do zranionéj duszy, rozkochałam się w nim namiętnie... Dawano Rozbójników jego w Królewcu... poszliśmy na teatr... Ten

(1) Por. Otto Brahm: Das deutsche Ritterdrama, w zbiorze Q. F. XL.

(2) Pomimo usilnych starań, nie mogłem dostać dotychczas broszury Skimborowicza, gdyż żadna z bibliotek lwowskich jéj nie posiada.

(3) Powieść bez tytułu (wyd. lwowskie) IV, 25.

wieczór stanowił o mojém powołaniu, powiedziałam sobie — będę artystką!“ Powyższe *credo* można uznać za ogólne mniemanie narodu: Schiller był dla nas przez długi czas apostołem wolności, któréj tak pragnęliśmy. Goethe przeciwnie przedstawia w swoich kreacyach interes ogólno - ludzkiéj natury, usiłowania i dążności jednostki, aspiracye, które dla nas obcemi pozostać musiały. Słowa charakterystyczne, wypowiedziane w „Powieści bez tytułu“, możnaby położyć w usta każdego z nas: „Ja się dziwię Goethemu, ale go nie kocham, to aktor, co doskonale udaje poetę, jak równie dobrze odegrywa rolę konsyliarza, szambelana dworu i...“ Pomimo niepopularności Goethego, literatura polska wiele zawdzięcza Goethemu.

Schiller i Goethe byli zawsze u nas z czcią wymieniani; wobec wielkich długów, jakie zaciągnęliśmy u nich, nie możemy innego żywić ku nim uczucia, jak tylko szczeréj wdzięczności: oby i nadal u nas zamieszkali i obyśmy coraz więcéj poczuwali się do czci i uwielbienia prawdziwego dla dwóch największych koryfeuszów literatury niemieckiéj!

Edward Schnobrich.

UWAGI O KAMPANII WYBORCZÉJ
W PRUSACH.

Wrocław, w listopadzie 1885 r.

Znów tedy padły kości i na nowo na lat kilka rozegrana sprawa na wyborczéj arenie, między zaborczym teutonizmem a słowiańską cierpliwością. Teutonizm tryumfuje a my — jak zawsze — pocieszamy się. Bywają rzeczywiście tryumfy przedwczesne, ale biada tym co się tylko pocieszać umieją — zapóźno.

Wybory świeżo odbyte w państwie pruskiém, o ile nas dotyczą w krainach, zasiedlonych jeszcze ludnością polską, wypadły rzeczywiście pomyślnie dla Niemców, bo Polacy stracili ogółem kilku posłów i wyprowadzą w nowéj kadencyi tylko piętnastu szermierzy do walki parlamentarnéj.

Taki sam rezultat osiągnęli już Niemcy w r. 1870 i 1876. Nie zbyt wielki zatém tryumf, że znów stanęli na stanowisku podwakroć już zajmowaném; ale i dla nas nie wielka pociecha, że nie robimy trwałych postępów, bo znów się cofnąć musieliśmy przed przewagą nieprzyjaciela. Dźwigniemyż się znowu?

Rezultat ten dla obydwóch stron zawiera głęboką naukę, z któréj nasza strona przynajmniéj oby gruntownie skorzystała.

Dla Niemców rezultat ten jest wskazówką, że bądź co bądź opór drugostronny jest statecznym i potężnym. Spodziewali się oni zupełnie innych rezultatów. Spodziewali się przedewszystkiém, że groza wydalań zdemoralizuje ludność polską i od urny wyborczéj powstrzyma. Pierwotnie w Prusach Zachodnich wymyślono tę proskrypcyą wyłącznie w celach wyborczych. Przypuszczano, że wypędzenie tylu tysięcy mieszkańców, zwłaszcza rolników, wywoła bardzo liczne przeprowadzki między ludnością polską. Zatém pójdzie, że świeżo poprzesiedlani, nie nabywszy jeszcze w nowych siedzibach

prawa głosowania, na co potrzeba pół roku zasiedziałości, straceni będą dla wyborów w starych swoich i w nowych okręgach wyborczych, a zasiedziała ludność niemiecka zyska na liczebném znaczeniu. Tymczasem środek ten o tyle tylko podziałał, że w Prusach straciliśmy jednę pozycyą zdawna wątpliwą, bo ubytek w Księstwie spowodowany został w oddalonym od granicy okręgu poznańsko-obornickim wyłącznie, przez t. zw. geometryą wyborczą. Jest to sztuka biurokratyczna dzielenia powiatów na małe okręgi wyborcze tak, żeby ograniczyć liczbę większości polskich. Gdzie gęsto siedzą wyborcy polscy, nie pozwalają im głosować razem, lecz przepędzają ich milami potrosze do okręgów niemieckich. Tam oczywiście giną. W tém cała sztuka i cały tryumf obecnéj kampanii,—co do ostatecznych rezultatów.

Doprawdy nie warto było obciążać p. Puttkammerowi sumienie łzami i niedolą tysięcy rodzin, żeby tak mizerny osięgnąć rezultat; bo czy trzech posłów polskich mniéj albo więcéj, zupełnie to nie zmienia politycznéj sytuacyi między stronami wojującemi na arenie parlamentarnéj.

Że zaś proskrypcya była pierwotnie środkiem wyborczym, najjaśniéj wynika ztąd, iż równocześnie z wyborami, wydany został w Prusach Zachodnich reskrypt wstrzymujący nieco dalszą grozę, która tak głęboko w otchłań kompromitacyi popchnęła sprawców w obec całéj Europy. Nie chcę zresztą twierdzić, że widoki wyborcze były jedynym motywem wydalań. Rychło widnokrąg w tym kierunku się rozszerzył a apetyt zaostrzył. Na całéj linji, od Kłajpedy do Mysłowic, wilkołaki teutońskie zapragnęły zakosztować owocu znęcania się nad ofiarami ludzkiéj niedoli, skoro ich zapytano, czy i tam obiecują sobie błogich skutków z nowéj mądrości politycznéj, wymyślonéj w Prusach Zachodnich, przez prezesa rejencyi Kwidzyńskiéj barona v. Machenbacha. On to bowiem jest wynalazcą proskrypcyi. Wynalazek patentowany przez ministra v. Puttkammera, szwagra p. Machenbacha, łączy podobno z polityką różne osobiste widoki i interesa. Baron Machenbach przez wynalazek stanowczego środka na niesforność polską, miał się zarekomendować przed najwyższemi sferami, żeby niebawem w uznaniu zasług powołanym zostać na nieopróżnioną jeszcze wprawdzie posadę naczelnego prezesa w. ks. Poznańskiego. A tak parente Pulattkammerów zawładnęłaby światem od Kamerunu aż po Pyzdry. Wiadomo bowiem, że krewniak p. ministra jest kanclerzem w Kamerunie; krewniak został prezesem policyi w Berlinie, pobiwszy nawet tak wysoce protegowaną osobistość, jaką jest p. v. Colmar, prezes policyi poznańskiéj—

i krewniak ma ostatecznie ukoronować dzieło, na najwyższym szczeblu hierarchii politycznéj poznańskiéj.

Czy teraz kompromitacya, z polityki wydalań wynikła, nie pohamuje tryumfalnego pochodu parenteli putkamerowskiéj, trudno jeszcze odgadnąć. Wydalania nie sprawiły *merveille*, jak ongi szaspoty pod Castelfidardo, a co parlament zrobi, niewiadomo. Niemiecki poseł miasta Poznania, a przecież obiecał wyborcom interpelować w sejmie ministra o nieszczęsne wydalania.

Tak tedy niemiecki tryumf wyborczy, będący właściwie zawodem wobec użytych środków, jest raczéj dotkliwą nauką dla niepohamowanéj buty teutonizmu. *Ne quid nimis.*

Lecz mniejsza o nich. Zastanówmy się teraz jaka dla nas przedewszystkiém wynika z tych wyborów nauka. A zaiste czas byłby się zastanowić nad tém, nie tak sobie z „obowiązku publicystycznego,“ ale dla istotnego postawienia kwestyi, czy nie warto nadać nawie biegu choć trochę odmiennego, póki całkiem nie osiędzie na mieliznie.

Jeszcze, bądź co bądź, skołatane społeczeństwo przedstawia niepoślednią siłę, jeśli przy najniepomyślniejszych okolicznościach zdoła posłać do Berlina 15 posłów. Ale pamiętać należy, że kto nie postępuje, ten się już cofa, a my cofać się nie przestajemy. Posłów bywa raz mniéj raz więcéj, ale liczba wyborców polskich stanowczo się cofa. To jest groźniejsze.

Czyż ubytek ten jest skutkiem upadającego ducha, nadwątlonéj solidarności? Bynajmniéj duch i świadomość u nas wzbudzone więcéj niż kiedykolwiek. Walka kościelna i językowa, a świeżo znów polityka wydalań, przyczyniły się niesłychanie do rozbudzenia *świadomości* politycznéj, któréj u nas, nawiasem mówiąc, nie odróżniają od *dojrzałości* politycznéj; szczególnie zaś niektóre pisma ludowe chełpić się lubią pseudo-dojrzałością ludu, objawiającą się w gromadnych zebraniach, a niekiedy burdach.

Pominąwszy wyjątki, udział ze strony polskiéj w wyborach był dość gorliwy, a mimo to nietylko liczba posłów się uszczuplała, ale co gorsza i w tych powiatach, w których jesteśmy w mniejszości, cofnęła się znów liczba t. zw. „walmanów“ polskich, czyli rzeczywistych wyborców, oddających głosy na posła. Jak wiadomo bowiem, wybory do sejmu pruskiego odbywają się przez dwa stopnie i obywatele posiadający prawo głosowania wybierają wyborców czyli z niemiecka walmanów, a ci dopiero posła. Jeżeli tedy w okręgu gnieźnieńsko-wągrowiecko-mogilnickim ubyło nam 63, inowrocławsko-szulskim, gdzie już od dawna przepadamy, znów 13, w poznańsko-obornickim 32 głosy, to stosunek taki jest prawdziwie groźnym objawem. Zro-

biła wprawdzie swoje geometrya wyborcza, o której wyżéj wspomnieliśmy, zrobiła swoje groza, wódka itp. ale i geometrya tylko tam jest możebną, gdzie już żywioł polski dobrze nadwątlony.

A przez *nadwątlenie* rozumiemy tylko osłabienie *ekonomiczne*. Ducha rozbudzić w śpiącém politycznie społeczeństwie, jest rzeczą stosunkowo łatwą. Jeden zręczny człowiek porwie i ocuci miliony. Dla tego zastój polityczny jest złém przemijającém i czasowém; daleko gorszą rzeczą jest upadek ekonomiczny. bo fortun zatraconych nie powetują gazety, wiece, mowy i cała agitacya *polityczna*. A niestety prawo głosowania jak i wszelkie inne prawa polityczne, mierzą się i dzielą nie wedle zapału i wytrwałości politycznéj, lecz wedle *siły podatkowéj*, wedle cenzusu. Niemcy sami podziwiają prawidłowość naszéj organizacyi, naszą solidarność, wytrwałość—ale biją nas i spychają z pola wzrastającą siłą ekonomiczną, która u nas wątleje z roku na rok.

Nie jest to bynajmniéj spostrzeżenie nowe, już niejednokrotnie to wypowiadano, że kwestya nasza jest daleko więcéj *ekonomiczną* niż polityczną, a mimo to we wszelkich objawach życia i ruchu naszego, przeważa, że tak powiem, *żyłka polityczna*. Skłonność do powierzchowności i łatwego odznaczania się, porywają wszystko i wszystkich na to pole popisu, zasług, tryumfów, najczęściéj dla tego ułudnych, że wytężenie polityczne w odwrotnym zwykle stoi stosunku do siły ekonomicznéj. Uznają to wszyscy w duchu, ale w praktyce przemódz się nie mogą. bo politykować to tak łatwo, tak pięknie, tak naturalnie w naszém położeniu, a co naturalne, to i potrzebne.

Przyznaję, że potrzebne, ale jeszcze potrzebniejsze, żeby poza naszém szamotaniem politycznem, gromadziły się z jednéj strony materyalne siły a z drugiéj krytyczna rozwaga i żeby one tworzyły tło politycznych zjawisk, nie zaś tradycyjna poezya romantyczna, która wiernością zasad nazywa zamykanie oczu na objawy zmienionéj rzeczywistości.

Powie może kto, ale cóż to ma wspólnego z wyborami i posłami w w. ks. Poznańskiém? Wybrani i kwita! Choć w 15-tu pójdą do Berlina i powiedzą kilka doskonałych mów—to i „obrona" będzie. i duch się bardziéj obudzi w kraju—czegoż więcéj potrzeba?!

Ot właśnie że potrzeba! Jeżeli uznajemy, że kwestya nasza z pola politycznego coraz bardziéj przechodzi na ekonomiczne, to fakt ten powinien zostać ostatecznie i czynnie uznanym jawnie przez obadwa *najważniejsze* czynniki publicznego życia naszego, tj. przez *reprezentacyą* sejmową i przez *prasę*. Rezultat nowych wyborów po-

winien być dla nich dość wyraźną wskazówką, że stereotypowe stanowisko dotychczasowe nie odpowiada położeniu rzeczy.

Ktokolwiek bacznie śledzi z roku na rok występowania naszéj *prasy* i naszéj *reprezentacyi*, niezawodnie musiał zrobić to spostrzeżenie, że tak jedna jak druga obraca się ciągle w zaczarowaném kole ostatecznie bardzo niewielu pojęć. Jest to pięknie być wiernym swoim zasadom i wierność ta musi się odzwierciedlać w pewnéj mierze częstotliwéj tożsamości, ale skoro się przedzierzgnie w szematyczność, co najmniéj przestanie być żywotną i ożywczą.

A jakże żądać od społeczeństwa, żeby ono zwróciło się całą siłą pracy, całą potęgą rozumu, do odtwarzania nadwątlonych *podstaw* bytu, kiedy tak prasa jak reprezentacya, za jedynie ważne i godne zajęcie uważa zawsze tylko stereotypową politykę, zamkniętą w obrębie nie wielu pojęć i argumentów, nieprzedawnionych to prawda, ale nieskutecznych.

Stereotypowość tak reprezentacyi jak prasy naszéj, ugruntowana jest przedewszystkiém w ciasności programu naszego, tak parlamentarnego jak publicystycznego. Program ten jest głównie i wyłącznie programem t. z. „obrony". Na tém stanowisku „obronném," które niczego prawie jeszcze nie obroniło, a na którém wszystko tracimy, tak się styrały siły, że już chyba o „obronie" na seryo nie może być mowy, jeśli się nie chcemy okłamywać. „Obronna" reprezentacya i „obronna" prasa demoralizują resztę sił naszych swą nieprawdziwością—bo obrony niemasz.

Stereotypowość reprezentacyi i prasy naszéj pochodzi ztąd, że system obronny jest zamknięty wyłącznie w granicach t. z. spraw polskich, tj. obrony kościoła, języka, szkoły. Jeżeli który z posłów odważy się mówić o regulacyi Warty lub cłach na węgle, to w kołach wysokiéj polityki poznańskiéj ściąga to na niego *malam notam.* Bo cóż to naszych polityków obchodzi, żeby szypry polskie nie utykali na mieliznach Warty, a kuchnie, piece polskie i fabryki paliły tani węgiel? Politycy nasi tak się lubują w *bezowocności* podejmowanéj pracy, że nie pojmują, jak się można zapalać do spraw, w których mieć można powodzenie i korzyść.

Ważną to jest i nieodbicie konieczną rzeczą występować bądź obronnie, bądź *zaczepnie* w sprawach kościoła, języka i szkoły. Wiadoma rzecz, że niczego się nie obroni, to prawda, ale budzi się przez to w kraju świadomość prawa, utrzymuje wytrwałość indywidualną; ale zamykać program w tych ciasnych ramach, jest w położeniu naszém rzeczą niewłaściwą.

A tu już otwarcie powiedziéć trzeba, że trwałe przestrzeganie tak ciasnego programu, jest przeważnie sprawą prasy. Dwadzieścia

lat temu i ona uważała sobie za ubliżenie zajmować się jakąkolwiek sprawą ekonomiczną. Nawet szkolne sprawy jeszcze wtedy były na indeksie. Dziś stosunki zmusiły ją do tego, że nietylko sprawę szkoły wciągnęła po części do swojego programu (choć i tu jeszcze są wyjątki) ale i ekonomicznemi sprawami się zajmuje mimochodem a zwłaszcza sprawami stowarzyszeń. Ale to zajęcie nie sięga ani wgłąb przekonań, ani jest bardzo dodatnie. Traktuje się te sprawy dla interesu, dla stosunków osobistych, a gdzie się niema kogo obawiać, tam zukosa, przez ramię. Zawsze i to jest postęp, a jestem przekonany, że za drugie lat dwadzieścia nawet już i posłom bez narażenia na *malam notam*, wolno będzie zajmować się w sejmie sprawami ekonomicznemi. Dziś to jeszcze przeszkadza *chic*owi politycznemu i „wierności dla tradycyi narodowych.“

A trzeba wiedziéć, że u nas jeśli się mówi o *reprezentacyi* i o *prasie*, jako o dwóch najważniejszych czynnikach życia publicznego, to przez prasę rozumiéć należy *wyższą instancyą*. Zwykle tak bywa w świecie, że wybitniejsi członkowie reprezentacyi narodowych albo wybitniejsze stronnictwa miewają swoje organa prasowe; u nas odwrotnie, wybitniejsze dzienniki mają „swoich“ w kole polskiém. Wpływ dzienników na kandydatury już jest przeważnym, zwłaszcza przy nowym wyborze. Bywają kandydaci kompromisowi, ale bywają też o kandydatów zacięte walki, oczywiście podziemne, które się kończą tryumfem przebieglejszego. Tak np. w obecnych wyborach tylko przez antagonizm prasowy nie dostała się do koła polskiego osobistość, która powinna była tam pójść, choćby tylko ze względu na akcyą parlamentarną w sprawie wydalań. Jest to wielka strata dla koła, ale interes prasy przoduje.

Samo się przez się rozumie, że częstokroć w stosunku tym, interes prasy zgadza się z interesem ogółu, bo prasa ta ma uczciwe chęci, obok zwykłych ułomności ludzkich i polskich,

Że wobec takich stosunków program koła zawisłym być musi od przewagi prasy, zapewno każdy wyrozumie. Do śmierci dra Wł. Niegolewskiego nawet jedno z małych pism poznańskich, uzurpowało sobie poprostu prawo terroryzowania koła polskiego; co jednakże wywołało pewną reakcyą, tak że odtąd objawiają się niejakie usiłowania do emancypacyi koła z pod wpływu prasy. Wybory ostatnie o tyle odmienną co do wpływu prasy przedstawiają fizyonomią, że wszyscy nowi posłowie wyszli z poręki jednego pisma, dobijającego się hegemonii, a zatém wnosić można, że i program tego pisma właśnie nada piętno czynności koła nowego, jeżeli usiłowania emancypacyjne nie zrobią postępu.

Wpływ ten prasy na koło ma w naszych stosunkach niewątpliwie dobre strony, chociaż, to przyznać należy, nie jest prawidłowym. Gdyby go niebyło, możeby intensywność akcyi parlamentarnéj osłabła, możeby i na ciasném polu akcyi téj więcéj się pola zasypiało. Ale korzyści te równoważą się bardzo znacznemi szkodami. Wszystkie kwasy międzydziennikarskie, w tym stanie rzeczy, muszą się udzielać kołu i zaprawiają pobyt w niém wielką goryczą. Ztąd zniechęcenie, ztąd owe wstręty do parlamentarki z jednéj, a z drugiéj pożałowania godne ostracyzmy, o jakich już powyżéj wspominałem. Ztąd ostatecznie stereotypowość, jaka charakteryzuje prasę i jéj odcienia, staje się także czynnikiem w kole, czynnikiem uniemożebniającym wszelki indywidualizm.

Tak! mówią nasi prawodawcy, indywidualizm byłby nieszczęściem, bo prowadzi do zerwania solidarności. Co za pomięszanie pojęć! Solidarność jest dobra i potrzebna, konieczna, ale jako *forma zewnętrzna*, a nie jako *istota istoty*. Rozumiem zresztą bardzo i wysoko cenię solidarność skierowaną *in plus*, ale gdy się skieruje *in minus*, prowadzić może—do nicości.

Czyż nie warto by się zastanowić nad definicyą, miarą, warunkami solidarności? A to poco? U nas panuje horror przed zastanawianiem, zwłaszcza jeśli chodzi o,—niepowiem nowość, zastosowaną do zmienionych okoliczności, ale o samą już zmianę stereotypowego sposobu argumentowania. Niech będzie, jak bywało, bo każdy z dyskusyi wynikły zwrot opinii naraziłby na szwank opinie panujące, a panowanie jest ważniejsze niż szukanie prawdy.

Jakże to charakterystycznym jest objawem, że w sprawach programu parlamentarnego, toczyła się bodaj przez całe lato żwawa dyskusya—gdzie? w petersburskim „Kraju“, który u nas (niestety) bardzo mało jest czytanym. Prasa miejscowa nawet, jak mi się zdaje, czytelnikom swoim niezareferowała przebiegu téj dyskusyi, co przecież „z obowiązku dziennikarskiego“ wypadało jéj zrobić. Nie zrobiła tego, bo, „czytelnicy wiedzą“ (tak brzmi stereotypowy frazes, w takich wypadkach używany), co prasa w téj lub owéj materyi sądzi—i niepotrzeba im jakiemiś dyskusyami otwierać komórek. Co zrobić należy w każdym wypadku, powiedzą gazety; więc myślenie, badanie, jest niepotrzebne, chyba że prasa w zbytku łaski na to pozwoli, co się najczęściéj tylko wtedy zdarza, gdy trzeba komu dokuczyć. Dyskusyi o istotę rzeczy, my prawie nie znamy, a poczciwa publiczność tak się do tego niedostatku przyzwyczaiła, że jéj z tém dobrze. Czegoż więcéj żądać?!

Jeżeli w powyższych wywodach moich wystąpiłem krytycznie w obec koła i prasy, to daleką odemnie jest wszelka chęć potępiania.

Zasługi tak koła jak prasy są u nas niepożyte. Prasa zwłaszcza (rozumie się uczciwa) z dumą może o sobie powiedzieć, że co tylko jest u nas jeszcze dodatniego, to ona wymyśliła, wsparła, postawiła, trzyma, pcha, ale właśnie dla tego, że prasa ta jest u nas *instytucyą dobra publicznego*, sama się o to domagać powinna, żeby jéj przedstawiano zwierciadło krytyki—zawsze zbawiennéj. Niejedna instytucya nasza stałaby inaczéj, gdyby jéj rozwojowi towarzyszyła rozumna a pełna szacunku krytyka. Tymczasem u nas jest tylko albo głębokie milczenie albo samochwalcza reklama—albo znów nieuczciwa hajdamaczyzna, kompromitująca wszelką krytykę.

Czas nam teraz powrócić do pierwotnego założenia i nauki téj wyniesionéj z nowych wyborów, że sprawa nasza jest przedewszystkiém *ekonomiczną*. To znaczy, że pierwszém i kardynalném zadaniem społeczeństwa powinno być staranie o byt i dobrobyt. Nawet najdojrzalszy politycznie (jeśli to możebne) *proletaryat* na nic się nie zda, jeśli po za nim nie stanie liczne, coraz liczniejsze i zamożniejsze obywatelstwo wiejskie, czy szlacheckie czy kmiece, i niemniéj miejskie.

Tak kategorycznie postawione u nas twierdzenie, wywołuje zaraz stereotypowy zarzut *materyalizmu*! A ja powiadam, że są położenia, w których materyalizm jest *koniecznością*. W takiém położeniu jesteśmy my, jeżeli *materyalizmem* pono nazwać można dążenie do wzmacniania podstaw bytu. Pod tym względem tak u nas są pomieszane pojęcia, tak ich nikt nie stara się rozjaśnić, że utracyusze aspirują do miana *idealistów*, a pracowitych ludzi piętnuję się nazwą prostych *wyzyskiwaczy*. A jednak nie ci idealiści rozstrzygają, dajmy na to, wybory, lecz owi „zmateryalizowani wyzyskiwacze,“ którzy pracą swą zdobywają nie tylko mienie ale i *prawa polityczne*. Podobno w Poznaniu bardzo się pysznią z tego, że wśród ogólnego pogromu, właśnie Poznaniowi przybyło w tym roku polskich wyborców, walmanów. Nie zrobiły tego ani gazety ani wiece (skandaliczne), ale sprawiła ta okoliczność, że kilku pracowitych lekarzy i przemysłowców dorobiło się kawałka chleba i pozakupywało realności. Ot macie dzieła „wyzyskiwaczy.“

Czyż dla tego stracony bodaj na długo jest w wyborach powiat inowrocławski, złotodajne Kujawy, że Kujawiacy upadali na duchu?!

Gdzietam! Lud ten dzielny, pan czy chłop, czy mieszczanin, goreje najlepszą chęcią i poświęceniem. Biją ich tam zarobkowością przemysłową, która tysiącom rodzin niemieckich stworzyła byt i prawo polityczne zarazem, a my—przynajmniéj w pewnych ko-

łach wpływowych, szerzymy zazdrość i niechęć do tych, co fortuny nie przeidealizowali lub mozolnie się dorabiają kawałka chleba.

Tyle jest środków do zapobiegania *zepsuciu* ducha! Niechajby się onych używało umiejętnie, zręcznie, energicznie przeciwko *materyalizmowi duchowemu*, to *materyalizm ekonomiczny* u jednostki i przedewszystkiém u jednostki społecznéj, tj. w *rodzinie*, w żadném położeniu, nie może się stać niebezpiecznym a tém mniéj u nas.

Takie jest moje *ceterum censeo* po ostatnich wyborach.

C.

POGLĄDY NAEGELEGO NA DARWINIZM
I NOWA TEORYA
POCHODZENIA GATUNKÓW.

II.

Obalając teoryą doboru naturalnego, jako niemogącą wytłómaczyć zjawisk przemiany form żyjących, prof. Naegeli stawia na jéj miejsce swoją, mechaniczno-fizyologiczną. Dziwi się on wogóle, że tak czysto fizyologicznéj natury pytanie, jak kwestya powstawania gatunków, było dotąd głównie traktowane przez nie-fizyologów. „Od półtorasta lat—powiada Naegeli — przed oczami fizyologów rozgrywa się dziwna scena. Najtrudniejsze zadanie własnéj ich nauki było ze wzrastającą zabiegliwością i znaczną zatratą czasu opracowywane w potoku pism przez nie-fizyologów. Kwestya powstawania świata organicznego należy do najświętszych skarbów fizyologii. Traktowanie jéj warunkuje sobą właściwy rozbiór najciemniejszych dziedzin fizyologii, jakoto: stosunku świata organicznego do nieorganicznego, istoty życia, odżywiania, wzrostu, rozmnażania, dziedziczności, przemiany w ciągu szeregu pokoleń, stosunków wzajemnych pomiędzy różnemi organizmami oraz światem zewnętrznym, pomiędzy częściami czyli narządami tego samego organizmu.“ Jakkolwiek powstawanie świata organicznego przedstawia zagadkę natury czysto fizyologicznéj, rozwiązanie jéj jednak wymaga różnych nauk pomocniczych, jakoto: zoologii z anatomią porównawczą i histologią, embryologii, morfologii i systematyki roślin, paleontologii i geologii, oraz antropologii. „Dla tego też — powiada Naegeli—zoologowie, anatomowie, antropologowie, botanicy, paleontologowie czuli się powołani do zajmowania się nauką o powstawaniu gatunków, a było to w wysokim stopniu pożyteczne tylko o tyle, o ile odpowiednia nauka odnosiła ztąd pewną korzyść ze względu na własną treść swoję. Ponieważ jednak to zajęcie nie ogra-

niczało się na własnym horyzoncie każdéj nauki, lecz wkraczało w inne dziedziny i wymagało przejrzenia i osądzenia całości, przeto do pożytecznego przyłączyło się wiele zbytecznego i błędnego. Skoro bowiem ślusarze, blacharze, stolarze, szklarze i malarze niezbędni są przy budowie domu, nie wynika jeszcze z tego wcale, by każdy z nich umiał nakreślić plan oraz poprowadzić robotę, lub téż by potrafił krytykować plan i sposób roboty."

Nauka o powstawaniu form żyjących stanowi obecnie cały systemat, całą jakby gałąź wiedzy biologicznéj. Nie podobna nie zgodzić się z prof. Naegelim, że w systemacie tym fizyologia odgrywała aż dotąd podrzędniejszą rzeczywiście rolę, aniżeli gałęzie nauk morfologicznych. Nie można wprawdzie przystać na zdanie Naegelego, iż kwestya pochodzenia gatunków stanowi pytanie czysto fizyologiczne, ale z drugiéj strony przyznać trzeba, iż pierwiastek mechaniczno-fizyologiczny więcéj bez porównania aniżeli dotąd winien być w niéj uwzględniany, obok pierwiastku morfologicznego, który dotychczas był w niéj panującym i prawie wyłącznym.

Stanąwszy na gruncie fizyologicznym, prof. Naegeli pragnie objaśnić zjawisko przemiany gatunków i rozwoju istot organicznych molekularno-fizyologicznemi właściwościami protoplazmy. W budowie molekularnéj i siłach międzycząstkowych téj ostatniéj widzi on wewnętrzny czynnik, sprowadzający najgłębsze przemiany biologiczne. Darwin, jak wiadomo, upatruje czynniki kierujące rozwojem i przemianami świata organicznego w siłach, działających głównie zewnątrz samego organizmu: w walce tego ostatniego z warunkami zewnętrznemi, ze współzawodnikami, oraz w doborze, zachowującym jednostki najlepiéj przystosowane. W poglądach zatém Darwina widocznym jest pierwiastek mechaniczny (*Mechanisch-Causale Ursachen* — E. Haeckla), ukryty, że tak powiemy, głównie w warunkach, istniejących po za obrębem właściwości fizyologicznych organizmu. Naegeli natomiast widzi *konieczność* przemiany i rozwoju osobników, ukrytą w saméj protoplazmie, uwarunkowaną właściwościami budowy molekularnéj téj ostatniéj. Jedném słowem Naegeli przypuszcza istnienie t. z. przyczyn wewnętrznych, wywołujących zjawiska przemiany i rozwoju i niezależnych w większym lub mniejszym stopniu od czynników zewnętrznych.

Idea owych przyczyn wewnętrznych nie jest zupełnie nową. Jeszcze w roku 1865 tenże Naegeli (1) postawił t. z. „teoryą doskonalenia się" (Vervollkommnungstheorie), według któréj przemiany indywidualne nie powstają w sposób nieokreślony, nie odbywają się

---

(1) C. Naegeli, Entstehung und Begriff d. naturhistorischen Art. München. 1865.

we wszelkich kierunkach równomiernie, lecz idą pewnym ściśle określonym torem, właściwym samemu organizmowi (bestimmte Orientirung); proces przemiany odbywa się według określonego planu rozwoju „pod przewodnictwem wrodzonego organizmowi dążenia do doskonalenia się.” W rzeczywistości jednak takie bliżéj nie sformułowane i głębiéj nie uzasadnione wyrażenia, jak „tendencya do udoskonalenia się“ lub „teorya doskonalenia się“, są tylko igraszką słów; jest to tylko przeniesienie tak często niegdyś nadużywanego pojęcia „siły życiowéj“ z życia osobniczego na rodowe. Prócz Naegelego i inni téż naturaliści, jak botanik *Askenasy* (1), oraz *A. Braun* (2) przyjmowali „siły wewnętrzne“ dla wyjaśnienia zjawisk przemiany gatunków. W ostatniéj pracy swojéj prof. Naegeli, wychodząc ponownie z zasady sił wewnętrznych, kierujących rozwojem organizmów, stara się bliżéj określić na czém siły te polegają, a za punkt wyjścia teoryi swojéj bierze budowę cząsteczkową protoplazmy.

Nietylko badania fizyologiczne lecz i fizyczne, oraz chemiczne, dawno już wywołały w umyśle ludzkim potrzebę wytworzenia sobie pewnych pojęć o najdelikatniejszéj, całkiém niedostępnéj zmysłom, budowie materyi; tylko bowiem w takim razie możemy mieć bardziéj określone i głębiéj sięgające pojęcia o zjawiskach naturalnych. Chemicy przypuszczają istnienie atomów czyli niedziałek, najmniejszych, niepodzielnych już więcéj części materyi, do których przywiązane są siły chemiczne. Wyobrażamy téż sobie, że wszelkie własności chemiczne pierwiastków, np. wodoru lub węgla, istnieją w atomach tych ciał. Daléj zaś, na zasadzie pewnych zjawisk chemicznych, przypuszczamy, że dwa, lub więcéj atomy wstępują z sobą w ściślejszy związek wzajemny, tworząc t. z. cząsteczki czyli molekuły. Cząsteczki materyi stanowią granicę podziału fizycznego, atomy zaś — granicę rozkładu chemicznego. Związki chemiczne różnych pierwiastków składają się z cząsteczek, utworzonych z dwóch, lub większéj ilości atomów różnorodnych. Cząsteczka jest zatém najmniejszą, jaką tylko wyobrazić sobie możemy, masą związku chemicznego; jeśli bowiem cząsteczka daléj jeszcze będzie dzieloną, natura chemiczna danego ciała zmieni się, związek różnorodnych atomów rozpadnie się. Tak np. cząsteczka wody składa się z dwóch atomów wodoru i jednego tlenu, cząsteczka kwasu siarczanego z dwóch atomów wodoru, jednego siarki, oraz z czterech atomów tlenu. O wiele bardziéj złożony skład posiadają ciała organiczne, wytworzone przez organizmy zwierzęce i roślinne, zawierają one

---

(1) Askenasy, Beiträge zur Kritik der Darwin'schen Lehre. Leipzig. 1872.

(2) A.Braun, Ueber die Bedeutung der Entwicklung in d. Naturgesch. Berlin. 1872.

węgiel i wodór, zwykle zaś i tlen, a najważniejsze ze wszystkich związków organicznych, t. z. substancye białkowate, zawierają prócz tego azot i siarkę, przyczém cząsteczki ich składają się z kilkudziesięciu, a nawet kilkuset atomów powyższych pierwiastków.

Z takich to złożonych, wieloatomowych cząsteczek utworzona jest zaródź czyli protoplazma, stanowiąca podścielisko życia. Molekularna budowa ciał tłómaczy nam bardzo wiele zjawisk fizycznych. Przy powstawaniu kryształów, cząsteczki danego ciała grupują się, układają w pewnym stałym i określonym stosunku; przy przechodzeniu ciała ze stanu stałego w płynny lub lotny, cząsteczki rozluźniają się, stają się mniéj skupione i t. p.

Jeśli jednak dla zrozumienia wszelkich zjawisk chemiczno-fizycznych wystarcza mniéj lub więcéj przyjmowanie atomów i cząsteczek, to dla zrozumienia większości objawów życiowych należy nam koniecznie przyjąć istnienie, że tak powiem wyższych, bardziéj skomplikowanych jednostek materyi, a mianowicie cząstek organizowanych, niewidzialnych jednak jeszcze przy najsilniejszych powiększeniach mikroskopowych. Podobnie jak cząsteczki fizyczne (molekuły) stanowią skupienie, zbiór atomów, związanych z sobą siłami międzyatomowemi, tak znów owe cząstki organizowane czyli t. z. *micelle* [Naegeli (1)] są zbiorami cząsteczek fizycznych, skupionych razem i trzymających się pospołu przez działanie sił międzycząsteczkowych. Podobnie jak własności chemiczne ciał uwarunkowane są własnościami atomów, jak własności fizyczne zależą od ugrupowania cząsteczek, czyli molekuł, ciał składających, tak téż i większość objawów życiowych sprowadzić się daje do natury i ugrupowania jednostek organizowanych, składających protoplazmę, t. j. micellów.

Naegeli był pierwszym, który w r. 1862 stworzył teoryą micelarną. Teorya ta, według niego, tłómaczyć ma szereg nadzwyczaj charakterystycznych i ciekawych właściwości ciał organizowanych roślinnych, jak ziarn krochmalu, błon komórkowych oraz krystaloidów. „Substancye organizowane — powiada Naegeli (2) — składają się z krystalicznych (krystallinisch), podwójnie łamiących światło cząstek (= micelle), leżących obok siebie luźno, lecz w ściśle określonym stosunku wzajemnym. W stanie wilgotnym, wskutek przeważającéj siły przyciągania każdéj cząstki (micelli), otoczone są one warstewkami wody, w stanie suchym zaś micelle stykają się z sobą bezpośrednio.“ Większy lub mniejszy stan wilgotności ciała

(1) Botanische Mittheilungen w „Sitzungsberichte d. Kgl. bayr. Akademie der Wiss.“ 1862. — (2) l. c.

organizowanego zależy od tego, czy micelle otoczone są grubszą, czy cieńszą warstewką wody.

W r. 1865 prof. J. v. Sachs w słynnéj swéj „Fizyologii doświadczalnéj“ zwrócił uwagę na to, że i protoplazma, najważniejsza część składowa ciał roślinnych i zwierzęcych, jest substancyą organizowaną w takiém znaczeniu, jak to przyjął pierwotnie Naegeli dla krochmalu, lub błon komórkowych, czyli, że składa się z micellów.

Profesor T. W. Engelmann w swojéj „Fizyologii ruchów protoplazmy i ruchów migawkowych“, stanowiącéj część znakomitego podręcznika fizyologii prof. Hermanna (1), przychodzi do wniosku, że wszelkie zjawiska, dotyczące ruchów protoplazmy, dowodzą istnienia pewnych niewidzialnych cząstek organizowanych, tak, jak to przyjmują Naegeli i Sachs. Wiadomo, powiada Engelmann, że każda, najmniejsza chociażby część wszelkiéj protoplazmy kurczliwéj posiada zdolność do ruchów samodzielnych—naturalnych, lub też wywołanych przez drażnienie. Stąd najbliższy i, wedle jego zdania, najnaturalniejszy wniosek, iż protoplazma stanowi agregat bardzo małych elementów morfologicznych, kurczliwych, oraz wrażliwych na podrażnienia, i że wszelkie ruchy protoplazmy uważać należy jako rezultat „zmiany postaci“ tych elementów najmniejszych. Elementy te, niewidzialne nawet pod mikroskopem, nazywa Engelmann *inotagmami* (prof. *Pfeffer* nazywa je wprost *tagmami*). Co się tyczy kształtu tych maleńkich agregatów cząsteczek fizycznych, to według Engelmanna, w stanie największego pobudzenia (im maximal erregten Zustande) mają one postać kulistą, lub przynajmniéj do kuli zbliżoną, w stanie zaś spokoju—postać wydłużoną, a nawet włóknistą. Podstawę do pierwszego przypuszczenia widzi Engelmann w tém, że i najmniejsze, widzialne pod mikroskopem cząstki protoplazmy przybierają wskutek sztucznego drażnienia postać kulistą. Na korzyść zaś drugiego twierdzenia przemawiają następujące fakty. Najmniejsza, choćby w kulę skurczona cząstka protoplazmy (widzialna pod mikroskopem) przybiera zazwyczaj po ustaniu drażnienia wydłużoną, często nitkowatą postać. Powtóre, protoplazma, znajdująca się w spokoju, rozpada się często na nadzwyczaj delikatne włókienka. Widoczna wreszcie pod mikroskopem zmiana postaci włókien mięśniowych, poprzecznie prążkowanych, zmiana związana z chwilowym stanem mięśnia (stanem pobudzenia jego, czyli kurczliwości, lub też spokoju) wyjaśnić się również daje na zasadzie powyższych przypuszczeń Engelmanna. Uczony ten, opierając się na wielu

---

(1) Handbuch der Physiologie. Herausg. vou Dr. L. Hermann. T. I. 1879.

faktach, dochodzi daléj do wniosku, że inotagmy zachowują się pod względem optycznym jak kryształy jednoosiowe, podwójnie łamiące światło.

Widzimy zatém, że cały szereg badaczy, botaników i zoologów, przypisuje protoplazmie, dotąd uważanéj za ciało jednorodne, pewną organizacyą. Czy nazwiemy owe elementy organizowane zarodzi inotagmami, czy też tagmami lub micellami, w każdym razie dojdziemy do jednego ogólnego, przez wszystkich przyjmowanego wniosku, iż zaródź składa się z jednostek, stanowiących agregaty molekuł fizycznych i warunkujących sobą jéj właściwości biologiczne.

Wychodząc też z teoryi micelarnéj, Naegeli stara się oprzéć na niéj poglądy swe, dotyczące przemiany gatunku i rozwoju istot organicznych.

Porównywanie z sobą różnych organizmów utrudnioném jest nie tylko wskutek niedostatecznéj naszéj znajomości ich objawów życiowych, lecz i dlatego także, że różnorodnym organizacyom brak miary wspólnéj, któraby stanowiła o wartości ich i tém samém o właściwéj ich różnicy. Możemy np. rozróżnić zwierzę ssące, ptaka, rybę i owad na téj tylko podstawie, iż u jednego z tych tworów istnieje ta cecha, u innego—inna, ale nigdzie nie możemy postawić różnicy ilościowéj i wyrazić w taki sposób właściwéj, ścisłéj jéj wielkości. Stąd też wszelkie systematyczne wyróżnianie i określanie jest mniéj lub więcéj dowolném, a wszelkie wnioski, jakie można stąd wyprowadzić dla teoryi rodowych, są hypotetyczne.

Istnieje atoli jeden stan, w którym wszelkie organizmy zredukowane są do jednakowéj mniéj więcéj postaci i budowy. Jest-to mianowicie najpierwsze, jednokomórkowe jeszcze stadyum rozwoju, stadyum jajka, w którém wszystkie rośliny i zwierzęta są do siebie najbardziéj podobne. Komórki jajowe posiadają jednak pewne cechy zasadnicze, podobnie jak organizm rozwinięty; jako komórki jajowe, organizmy różnią się od siebie pewnemi, ukrytemi wprawdzie, właściwościami nie mniéj, aniżeli formy dojrzałe. W jajku kurzém gatunek jest równie ustalony, jak w kurze, a jajko to różni się tak od rybiego, jak kura od ryby. Jeśli z pozoru wydaje nam się inaczéj, to pochodzi to tylko stąd, że w jajku owe cechy są utajone. Gdyby jajko kurze nie zawierało w sobie całéj istoty gatunku, w takim razie nie zawsze rozwijało by się z niego kurczę. W jajku spoczywają wszelkie właściwości stanu dojrzałego, jak powiada Naegeli, potencyalnie. Właściwości te są w niém jak gdyby w stanie napięcia, w stanie energii potencyalnéj, która przeistaczając się w energią kinetyczną, nadaje pewien określony kierunek procesowi rozwoju, podtrzymywanemu przez pokarm i przemianę materyi.

W taki więc sposób w zarodzi elementów rozrodczych istnieją zaczątki (Anlagen) wszelkich własności organizmu; protoplazma ta różną jest z tego względu od protoplazmy innych komórek, składających ciało zwierząt lub roślin; jest ona podścieliskiem zaczątków dziedzicznych (Träger der erblichen Anlagen). Naegeli nazywa ją *idioplazmą*, dla odróżnienia od protoplazmy, pozbawionéj tych własności.

Wszelka widoczna cecha organiczna istnieje w stanie zaczątkowym w idioplazmie; dlatego téż tyle jest gatunków idioplazmy, ile kombinacyi cech organicznych. Każdy osobnik powstaje z nieco odmiennéj idioplazmy, a w jednym i tym samym osobniku każdy organ, lub téż część organu zawdzięcza swoje pochodzenie szczególnemu stanowi idioplazmy. Idioplazma, w pewnym przynajmniéj okresie rozwoju organizmu rozmieszczona we wszystkich jego częściach, posiada w każdym punkcie nieco odmienne własności, powodując tu powstanie np. tkanki nerwowéj, tam mięśniowéj, owdzie kostnéj i t. d.

Nie tylko istnieją w idioplazmie zaczątki gotowe, zdolne każdego czasu do rozwoju, lecz także niewykształcone, powstające, lub téż zanikające. Pewien zaczątek może się stale osłabiać w ciągu szeregu pokoleń, lub téż na odwrót może się wciąż wzmacniać i stać się wreszcie widocznym. Właściwości idioplazmy uwarunkowane są molekularną jéj budową. Szczególniéj ważném jest tu ugrupowanie wzajemne micellów wraz ze szczególnemi, wywołanemi przez to ruchami i siłami. Prawdopodobnie silniejszemu zróżnicowaniu morfologicznemu i większemu podziałowi pracy w stanie dojrzałym odpowiada téż bardziéj złożone ugrupowanie micellów, gdy tymczasem organizmy najniższe, przedstawiające przez całe życie kłaczki protoplazmy, posiadają idioplazmę słabo rozwiniętą i o prostéj bardzo budowie. By obrazowo poglądy swe przedstawić, Naegeli porównywa idioplazmę niższych organizmów, mającą uproszczoną budowę, do armii bez karności, w nieporządku i nieładzie wyruszającéj na wojnę, idioplazmę zaś o budowie złożonéj — do armii prawidłowéj, gdzie wszelkie oddziały trzymają się jednego planu, a każdy żołnierz pozostaje w określonym stosunku do reszty żołnierzy i do całéj armii; każdy żołnierz wyobraża nam micellę, pozostającą w pewnym stosunku do innych sąsiednich (wskutek sił przyciągających i odpychających).

Idioplazma zarodka jest w taki sposób jakby mikrokosmicznėm odtworzeniem makrokosmicznego osobnika; podobnie jak ten ostatni zbudowany jest z organów, tkanek i komórek, idioplazma składa się z gromad micellów, które łącząc się w wyższe jednostki różnych

szeregów, przedstawiają zaczątki owych komórek, tkanek i narządów organizmu.

Jeśli sprowadzamy właściwości idioplazmy do wzajemnego uporządkowania najmniejszych jéj cześci, czyli micellów, to czynimy to dlatego, że odgrywa ono bezwątpienia ważną, a prawdopodobnie najważniejszą rolę, gdy tymczasem o różnicach chemicznych, z powodu tak niedostatecznéj dotąd znajomości ciał białkowatych, nie możemy sobie wyrobić należytego pojęcia. Już sam niejednakowy kształt, wielkość, oraz ułożenie micellów idioplazmy mogą wytworzyć bardzo liczne kombinacye sił działających, a tém samém liczne różnice w uwarunkowanych temi ostatniemi procesach materyi ożywionéj, stanowiących o różnicach we wzroście, organizacyi wewnętrznéj, oraz postaci zewnętrznéj i czynnościach organizmów. Ta różnorodność w konstytucyi idioplazmy staje się jeszcze nieskończenie większą przez tę okoliczność, iż każda micella może mieć różne własności chemiczne. Jednėm słowem, według prof. Naegelego, wszelkie cechy organizmu są tylko wywołane własnościami idioplazmy, które ze swéj strony stanowią tylko skutek jéj wewnętrznéj, micelarnéj budowy.

Jakież jest rozmieszczenie idioplazmy wewnątrz organizmu? Idioplazma, jak wiemy, jest to część protoplazmy, zdolna do przenoszenia cech dziedzicznych, stanowiąca ich podścielisko materyalne a wskutek budowy swéj i sił w niéj działających — dynamiczne źródło tychże. Dlatego téż przedewszystkiém idioplazma mieścić się musi w elementach rozrodczych: w jajku i ciałku nasiennėm, w których zawarta jest, w stanie jakby potencyalnym, cała organizacya zwierzęcia. Nie idzie atoli zatém, aby cała protoplazma jajka i ciałka nasiennego stanowiła idioplazmę. Przeciwnie, Naegeli twierdzi, że wcale tak nie jest i rozumuje w sposób następujący. Zapłodnionemu i zdolnemu do rozwoju jajku matka dostarcza zwykle sto lub tysiąc razy więcéj substancyi protoplazmatycznych, aniżeli ojciec. Gdyby zatém cała ilość protoplazmy jajka i ciałka nasiennego zdolna była do przenoszenia cech dziedzicznych, elementu macierzystego byłoby bez porównania więcéj, aniżeli ojcowskiego i dziecko odziedziczało by o wiele więcéj cech po matce, aniżeli po ojcu. Tymczasem przewagi takiéj wcale nie widzimy, a stąd prosty wniosek, że tylko pewne, mniéj więcéj równe co do mas swoich, części protoplazmy elementów rozrodczych są przenosicielkami cech dziedzicznych.

Gdy jajko zapłodnione ulega podziałowi na coraz większą ilość komórek, z których budują się tkanki zwierzęce, komórki te zawierają téż wszystkie pewną ilość idioplazmy. Idioplazma stanowi w taki sposób jakby sieć rozgałęzioną, napełniającą sobą organizm i rozpo-

startą w każdéj jego części. Skoro każda komórka zawiera pewną ilość idioplazmy, mogłaby więc grać rolę elementu rozrodczego i przekazywać cechy dziedziczne organizmu na potomstwo; jednakże zdolność tę zachowują wyłącznie, lub głównie komórki płciowe, a to uwarunkowane jest, według Naegelego, już właściwościami odżywiania się ich, już stereoplazmą (taką nazwą oznacza Naegeli część nie-idioplazmową zarodzi). W miarę wzrostu i rozwoju organizmu, ilość idioplazmy naturalnie powiększa się stopniowo.

Zobaczmy teraz, jak wyobraża sobie prof. Naegeli owo rozrastanie się idioplazmy. Podobnie jak w ziarnach krochmalu, pod wpływem istniejących już micellów i sił międzymicellowych, powstają nowe, które wstępują pomiędzy istniejące, tak też i pod wpływem micellów idioplazmy wytwarzają się nowe jéj micelle.

Rozmaite fakty, jak np. zjawisko wydłużania się jądra komórki przed procesem podzielenia się jéj, skłania Naegelego do przypuszczenia, że micelle idioplazmy układają się w szeregi, sznurki, równolegle do siebie biegnące. Gdy przybywają nowe micelle, wstępują one pomiędzy istniejące już ogniwa szeregów, które w taki sposób podczas rozwoju osobnikowego bezustannie się powiększają. Różne szeregi micellów przedstawiają zaczątki rozmaitych cech organizmu, warunkując sobą te ostatnie. Pomiędzy oddzielnemi szeregami wywięzują się liczne siły, wzajemny wpływ na siebie wywierające, a od różnych kombinacyi sił tych zależą najróżnorodniejsze objawy życiowe organizmu.

Wszelki rozwój osobnikowy odbywa się w taki sposób przy bezustanném rozmnażaniu idioplazmy, która rozpada się przy dzieleniu komórek na tyle części, ile powstaje tych ostatnich. To osobnikowe rozmnażanie się, ten rozrost idioplazmy następuje wskutek wydłużania się szeregów, które uwarunkowane jest wstawianiem się nowych micellów pomiędzy istniejące już micelle każdego szeregu. Dlatego też przy osobnikowym rozwoju szeregi micellów czyli włókna idioplazmy wydłużają się, nie zmieniając przytém stosunków wzajemnych, czyli innemi słowy, konfiguracya ich przecięć poprzecznych, jak powiada Naegeli, pozostaje niezmienną. Każdy micelarny szereg idioplazmy zawiera zaczątki, jakie dany osobnik odziedziczył z jajka. W idioplazmie każdéj komórki organizmu istnieją więc takież same szeregi micelarne, jak w jajku, zdolne do wywołania różnorodnych objawów fizyologicznych, przez kombinacyą swych sił. Możemy sobie wyobrazić, że idioplazma rozwija i ucieleśnia zaczątki różnych organów i ich czynności w podobny sposób, jak grający na fortepianie wyraża za pośrednictwem instrumentu tego wszelkie następujące po sobie harmonie

dysharmonie sztuki muzycznéj. Uderza on dla wydania każdego danego tonu zawsze w te same struny. Tak samo téż leżące obok siebie szeregi micellów idioplazmy wyobrazić sobie możemy jako struny, z których każda spowodować może inne elementarne zjawisko biologiczne. Jeśli naprzykład podczas rozwoju osobnikowego w jakiéjś komórce wytwarza się chlorofil, możemy powiedziéć, że w idioplazmie pobudzoną wtedy zostaje działalność struny chlorofilowéj, czyli szeregu micelarnego, zawierającego zaczątki tego zjawiska fizyologicznego.

Powiedzieliśmy już, że konfiguracya przecięcia poprzecznego szeregów micelarnych idioplazmy, zawierająca w taki sposób sumę wszelkich zaczątków, pozostaje niezmienną w ciągu rozwoju i życia osobnikowego organizmu. Przy rozwoju natomiast rodowym (filogenetycznym), konfiguracya owych przecięć poprzecznych ulega przemianie. Przemiany i przeobrażenia, odbywające się w ciągu długiego życia filogenetycznego jestestw żyjących, warunkują się całkowaniem i różnicowaniem organizacyi; ponieważ zaś każda strona organizacyi wraz z czynnościami swemi jest tylko rozwinięciem się i kombinacyą odpowiednich zaczątków, właściwych pewnym szeregom micelarnym, wynika z tego, iż wszelkie różnicowanie się, lub téż uproszczenie organizacyi winno stanowić skutek powstania nowych szeregów micelarnych idioplazmy, lub téż zaniku istniejących już, przez co na przecięciu poprzeczném szeregów nastąpić musi zmiana ich konfiguracyi.

Ponieważ szeregi micelarne idioplazmy, odpowiednio do gęstości téj ostatniéj, ściśle są ułożone obok siebie, nie łatwo więc i nie często mogą być wstawione pomiędzy nie nowe szeregi, jeśli zaś wstępują, to tylko w miejscach określonych, gdzie spójność szeregów jest najmniejszą i może być pokonaną. Idioplazma w ciągu okresu rodowego ustrojów zmienia tedy poprzeczną konfiguracyą szeregów micelarnych bezustannie, lecz stosunkowo niezmiernie powoli i stopniowo, tak, że ta ostatnia, poczynając od zarodka jednego pokolenia do zarodka drugiego czyni postęp bardzo tylko nieznaczny. Suma tych różniczek postępowych z całéj linii rozwoju przedstawia nam obraz historyi rozwoju rodowego organizmu, który pozostaje w nieprzerwanym związku z zaczątkiem jednokomórkowym rodu swego za pośrednictwem idioplazmy.

Tak więc rozrastanie się idioplazmy z jednéj strony drogą wydłużenia się szeregów micelarnych, z drugiéj zaś—przybywania nowych szeregów do istniejących już, powoduje, według Naegelego, całą różnorodność objawów życia osobnikowego i rodowego je-

stestw żyjących, objawów wywołanych przez siły międzymicelarne idioplazmy.

Teraz zachodzi pytanie, co powoduje owo rozrastanie się szeregów micelarnych idioplazmy, lub też tworzenie się nowych zupełnie szeregów. Tu możliwe są dwa wypadki. Albo zjawiska te wywoływane są przez przyczyny zewnętrzne, działające po za obrębem idioplazmy i na nią wpływ wywierające, albo też są to przyczyny wewnętrzne, spoczywają w saméj naturze idioplazmy. Otóż, według Naegelego, główne, decydujące znaczenie mają tu przyczyny wewnętrzne. Pod tym względem ciała organizowane zachowują się zupełnie tak samo, jak mineralne. Wiadomo, iż różne ciała mineralne mają zdolność krystalizowania według pewnych określonych praw. Z roztworu kilku soli mineralnych, przy wszelkich zewnętrznych warunkach jednakowych, cząsteczki jednéj soli będą się osadzały w takim, inne w innym kierunku i stosunku wzajemnym, jedna sól wytworzy zawsze sześciany, druga pryzmaty, lub piramidy, w jednéj płaszczyzny nachylone będą pod jednym kątem, w drugiéj pod innym i t. d. Podobnie więc jak w naturze atomów np. chloru spoczywa ich jednowartościowość, czyli zdolność łączenia się ich zawsze z jednym atomem wodoru, podobnie jak w cząsteczkach soli kuchennéj spoczywa własność takiego układania, grupowania się ich, że wytwarzają kryształy o postaci sześciana, tak też i micelle wszelkich gatunków idioplazmy, mają w sobie samych zdolności do grupowania się według pewnych określonych i własną ich naturą uwarunkowanych praw. Nie podobna nie zgodzić się z Naegelim, że wobec tak postawionéj kwestyi, wobec sprowadzania sprawy do procesów cząsteczkowéj budowy materyi organizowanéj, pojęcie sił wewnętrznych, kierujących rozwojem i życiem ustrojów, nabiera znaczenia wielkiego i na naukowych opartego podstawach. Owe przyczyny wewnętrzne, zawierające w sobie na pozór coś mistycznego, przemawiają do przekonania najpozytywniejszego badacza, albowiem wkraczają w dziedzinę mechaniczno-molekularnych zjawisk materyi, w któréj szukamy dziś ostatecznéj przyczyny wszelkich objawów przyrodzonych.

Porównanie z kryształem wyjaśnia nam w taki sposób znaczenie owych sił wewnętrznych, kształtujących idioplazmę, a jeśli nie tłómaczy ich istoty, to dowodzi przynajmniéj, że w zasadzie natura ich jest takąż samą jak sił kształtujących materyą nieorganizowaną. Porównanie, przeprowadzone pomiędzy tworzeniem się kryształu i wzrostem idioplazmy nie upoważnia nas jednak do wniosku, aby w obu wypadkach procesy miały się odbywać zupełnie jednakowo. Kryształ soli powiększa się w swym roztworze w taki sposób, że sku-

pione już cząsteczki przyciągają do siebie jednorodne molekuły z roztworu i powodują osiadanie ich na powierzchni kryształu według pewnych praw określonych. W podobny sposób do istniejącego już skupienia micelarnego idioplazmy przybywają z płynu odżywczego nowe micelle, które jednak tworzą się w nim pod wpływem istniejących już micellów i nie tylko przylegają do powierzchni skupienia, lecz wstępują także w głąb pomiędzy istniejące już micelle.

Układ micellów w pierwotnéj idioplazmie, powstającéj drogą samorództwa jest zupełnie nieprawidłowy i zależy z początku od okoliczności zewnętrznych. Skoro zaś tylko idioplazma zaczyna rosnąć i przybywa w niéj coraz więcéj nowych micellów, przyciągające i odpychające siły, działające pomiędzy niemi, zaczynają porządkować micelle w pewne grupy, których konfiguracya zależną jest od natury wewnętrznéj samych micellów. W miarę coraz większéj komplikacyi w budowie idioplazmy, powstają w niéj coraz to nowe i coraz bardziéj złożone kombinacye sił. Rozmaite czynniki zewnętrzne wywierają, jak wiadomo, wpływ na wielkość, kształt i zrastanie się kryształów, gdy tymczasem właściwości zasadnicze, to jest postać kryształu, uwarunkowana wzajemném ugrupowaniem się molekuł, pozostaje zawsze taką samą dla danéj substancyi. Kryształy soli tworzyć będą sześciany większe lub mniejsze, pojedyńcze lub téż w najrozmaitszy sposób zrastające się z sobą — zależnie od różnych warunków zewnętrznych w jakich znajdować się będzie roztwór krystalizujący. To samo stosuje się téż do idioplazmy, któréj micelle grupują się głównie i przeważnie na zasadzie sił wewnętrznych, ale pod pewnemi téż względami zależą od przyczyn, leżących po za obrębem saméj idioplazmy, od przyczyn jedném słowém zewnętrznych.

Te przyczyny zewnętrzne grają jednak rolę drugorzędną, a zjawisko rozwoju i ciągłego doskonalenia się organizacyi zależy głównie od zjawiania się coraz to nowych wewnętrznych kombinacyi sił w idioplazmie. To dążenie do pewnéj określonéj komplikacyi idioplazmy jest tylko szczególnym wypadkiem ogólnego prawa działającego we wszechświecie całym, prawa entropii, według którego, przy stałéj ilości energii zmienia się wciąż w pewnym określonym kierunku układ cząsteczek materyalnych oraz forma ich ruchu. Podobnie jak cały wszechświat dąży od form prostszych do coraz bardziéj złożonych, jak z jednorodnéj materyi kosmicznéj, wskutek sił jéj międzyatomowych wytworzyły się mgławice słońca i układy planetarne przy ciągłéj przemianie formy ruchu, tak samo i materya żyjąca, jako cząstka materyi wszechświata, wskutek sił, w niéj spoczy-

wających, przekształcała się bezustannie z prostszéj w złożoną, powodując coraz większą komplikacyą objawów życiowych.

Ta przemiana idioplazmy, a tém samém jestestw organicznych odbywa się, jak powiedzieliśmy, bezustannie; ale podobnie jak w materyi nieorganizowanéj nagromadza się to większa, to mniejsza ilość siły napiętéj, zanim uwalnia się, jako ruch, tak też i w idioplazmie zaczątki pojedyńcze gdy tylko powstają, mogą natychmiast wywołać odpowiednie przemiany zewnętrzne, albo też mogą gromadzić się w ciągu długiego okresu czasu, by następnie uzewnętrznić się w szybko idących po sobie cechach morfologicznych i fizyologicznych. Zwykły sposób zapatrywania się, według którego sądzimy o przemianach na zasadzie zmienności cech widocznych, przypomina opis historyczny, który dotyka tylko wojen i zwycięstw, rewolucyi i walk partyi pojedyńczych, panujących i wodzów, lecz który nie uwzględnia cichéj i spokojnéj pracy milionów jednostek, torujących w ciągu wielu lat drogę wszelkim, nagle jakoby występującym, przewrotom.

Co do znaczenia przyczyn zewnętrznych, Naegeli widzi trzy ewentualności, a mianowicie: albo mogą one żadnego nie wywierać wpływu na ogólny kierunek rozwoju, albo też wpływ ten może być bardzo nieznaczny i niewidoczny, albo wreszcie wpływ ich może się przejawiać w widocznych cechach zewnętrznych.

Otóż, Naegeli twierdzi, że przyczyny z zewnątrz działające, mogą sprowadzić w ciągu dłuższego lub krótszego czasu przemiany molekuralno-fizyologiczne, które zostają przekazywane z idioplazmy jajka na potomstwo, jako cechy dziedziczne, dostatecznie silne, aby je dostrzedz było można.

Przyczyny zewnętrzne polegają, według Naëgelego, na bezpośrednim lub pośrednim wpływie na organizm czynników zewnętrznych. Przy wpływie bezpośrednim proces analogiczny jest zjawiskiem, zachodzącym w świecie nieorganicznym, tj. określona przyczyna wywołuje wtedy widoczne skutki. Silniejsze światło zwiększa na zielonych tkankach roślin proces redukcyi oraz ilość wydzielanego tlenu, zimno zwalnia chemizm roślin, brak wody sprowadza więdnienie, obfity pokarm—bujny wzrost. Te bezpośrednie wpływy nie wywołują atoli trwałych przemian na idioplazmie.

Przy wpływie pośrednim, oznaczonym w ogóle mianem podrażnienia, przyczyna działająca powoduje cały szereg następujących po sobie ruchów molekularnych, które przejawiają się w cechach widocznych, nieraz zupełnie odmiennych co do natury swojéj od przyczyn, co je wywołały. Jeśli podrażnienie działa tylko kilka razy, lub też przez krótki tylko czas, nie wywiera ono na idioplazmę żadnego

widocznego i trwałego wpływu; jeśli zaś działa w ciągu bardzo długiego okresu czasu i na bardzo wielką ilość pokoleń, może ono tak dalece zmienić idioplazmę, że powoduje w niéj dziedziczne dyspozycye, przejawiające się w cechach widocznych.

Wszelkie przystosowania zwierząt i roślin do warunków życia uważa Naegeli, nie za skutek doboru naturalnego, lecz wprost jako wynik owych podrażnień zewnętrznych, które tak zasadnicze mogą wywoływać cechy. Tak np. ochrona, jaką posiadają zwierzęta chłodnych klimatów w grubém swém futrze, a zwierzęta mniéj chłodnych okolic na swych futrach zimowych, zawdzięcza istnienie swoje wpływowi chłodu na skórę zwierząt. Różna broń, służąca zwierzętom do napaści lub obrony, jak np. rogi, pazury, kły itd. powstały przez draźnienia, które wywierały wpływ na różne określone części powierzchni ciała. Daléj, powiada Naegeli, rośliny lądowe np. osiągnęły cechę dziedziczną przekształcania w korek zewnętrznéj warstwy drzewnika naskórka swego—jako rezultat oddziaływania powietrza na ich powierzchnią. Liczne złożone przystosowania pomiędzy kwiatami i owadami, uważane przez Darwina i zwolenników jego za znakomite dowody działania doboru naturalnego, Naegeli także rozpatruje wprost jako wyniki działania warunków zewnętrznych. Tak np. jak wiadomo, jedno z ciekawszych przystosowań pomiędzy kwiatami i owadami polega na tém, że korony kwiatów wydłużają się w postaci długich rurek, a w związku z tém wydłużają się téż trąbki owadów, które z głębi koron rurkowanych wysysają miód, przenosząc tym sposobem pyłek z innych kwiatów i przeszkadzając przeto samozapłodnieniu. Oba urządzenia, roślinne i zwierzęce, są jakby jedno dla drugiego stworzone. Oba rozwinęły się do tego stopnia, na jakim obecnie się znajdują, powoli i stopniowo, długie rurki koron z koron bezrurkowych lub téż krótkorurkowych, długie zaś trąbki owadów z krótkich. Otóż, według Naegelego, korony kwiatów tych wydłużyły się w skutek bezustannych, w ciągu olbrzymiéj ilości czasu trwających podraźnień, powodowanych przez dotykanie się do nich owadów. Trąbki zaś owadów ze swéj strony wydłużyły się i powiększyły w skutek ciągłego draźnienia części gębowych przy pracy około wysysania miodu. Darwin, jak wiadomo, objaśnia zjawiska podobne przez dobór naturalny; dla roślin odwiedziny owadów i zapładnianie przez obcy pyłek za pośrednictwem tych ostatnich—stanowiło objaw bardzo korzystny, a ponieważ wydłużanie się korony i przystosowanie jéj do organów gębowych owadów pomagało procesowi temu, dobór naturalny utrwalał zatém stopniowo i powiększał tę cechę korony kwiatowéj. Z drugiéj zaś strony dla owadów bardzo było pożyteczne karmienie się pożywnym

miodem roślinnym i dla tego też dobór naturalny utrwalił i zachował w owadach cechę wydłużonéj trąbki, umożliwiającéj wysysanie miodu z głębi koron kwiatów. W taki sposób dobór naturalny wywołał, według Darwina, zobopólne przystosowanie się kwiatów i owadów. Ale oto Naegeli zbija pogląd taki następującém rozumowaniem.

Wystawmy sobie, powiada Naegeli, że kiedyś korona kwiatowa oraz trąbki owadów miały np. po 5 mm. długości. Jeśli przez zboczenie powstała korona kwiatowa nieco dłuższa, to zboczenie to musiało być bardzo niekorzystném dla rośliny, albowiem owady nie mogły dosięgnąć do miodników w głębi korony ukrytych i dlatego nie odwiedzały kwiatu tego, nie mogąc też spowodować krzyżowanego zapłodnienia. Kwiat więc taki, jako mający gorsze warunki bytu (albowiem krzyżowane zapłodnianie wzmacnia potomstwo) musiałby ustąpić innym, a w taki sposób dobór naturalny nie mógłby nagromadzać i utrwalać cechy wydłużonéj korony, jak tego wymaga pogląd Darwina. Tak samo zboczenie, polegające na większéj długości trąbki nie przynosiło korzyści owadowi, albowiem dłuższa trąbka gorzéj była przystosowana do danéj długości koron kwiatowych (mających, jak powiedzieliśmy 5 mm.) aniżeli trąbka takiéj saméj jak one długości.

Zarzut ten Naegelego wydaje się na pozór bardzo trafnym, ale upada zupełnie, jeśli tylko zważymy, że teorya doboru naturalnego nie wymaga wcale, ażeby, wydłużanie się koron kwiatowych oraz trąbek owadów odbywało się na przemiany to z jednéj to z drugiéj strony; przeciwnie, przyjąć musimy, że i u roślin zjawiły się jako zboczenia, dłuższe korony kwiatów i jednocześnie u owadów—dłuższe trąbki; że zaś głębsze korony mogły być odwiedzane przez owady z dłuższemi trąbkami i dla obu stron wypływała ztąd korzyść, zachowywały się jedne i drugie; gdy zboczenie to powiększało się wytworzyły się wreszcie bardzo długie korony rurkowate i takież trąbki owadów. Przyjmując takie *jednoczesne*, wzajemne przystosowywanie się kwiatów do owadów, obalamy przez to zarzut, czyniony w tym wypadku przez Naegelego doborowi naturalnemu.

Wpływy przez tak zwane podrażnienia, zaliczone przez Naegelego do zewnętrznych przyczyn kształtujących, działać mogą w świecie zwierzęcym, między innemi drogą, różną od dróg, właściwych światowi roślinnemu, a mianowicie za pośrednictwem zmysłów. Nie podobna wątpić, że wrażenia zmysłowe wraz z uwarunkowanemi przez nie wyobrażeniami i objawami woli, powtarzając się w ciągu długich okresów czasu w taki sam wciąż sposób, spowodować mogą, podobnie jak liczne inne podrażnienia, trwałą przemianę idio-

plazmy, a tém samém widoczne przemiany w budowie i czynnościach organizmów. „Pozostawiając—powiada Naegeli—tę dziedzinę znawcom fizyologii zwierząt, chcę na jedną tylko okoliczność zwrócić ich uwagę. Jak wiadomo, istnieją niektóre zwierzęta, ubarwieniem naśladujące koloryt otoczenia swego i dlatego mogące uchodzić uwagi wrogów lub też zdobyczy. Otóż, czyż nie jest niemożliwém, aby zmysł wzroku odgrywał tu pewną rolę i wywierał określony wpływ na powstawanie danéj barwy, a to tém snadniéj, iż zwierzęta prześladowane i prześladujące najsilniejsze otrzymują wrażenia?" Przytoczony tu domysł Naegelego zasługuje z tego względu na uwagę, iż rzeczywiście w ostatnich czasach przekonano się doświadczalnie, iż wrażenia barw, otrzymywane za pośrednictwem zmysłu wzroku, wpływać mogą na wytwarzanie się pewnego określonego barwnika w skórze zwierząt, czyli na zmianę ich ubarwienia. Robiono doświadczenia z pewnemi rakami morskiemi, które umieszczano w miskach różnobarwnych, a oczy niektórych pokrywano tafelką wosku czarnego; otóż okazało się, że barwa otoczenia (szkła naczynia) wpływała na przemianę barwy skóry raka, ale wpływ ten odbywał się tylko za pośrednictwem wzroku, albowiem zmieniały barwy tylko te raki, których oczy były wolne, te zaś, których oczy pokryte były czarną zasłoną woskową i wrażeń świetlnych nie przyjmowały, nie zmieniły zupełnie swéj barwy, i pozostały nieczułemi na zmianę barwy otaczającéj.

Przyjmując taką przyczynę, jako wyłącznie lub prawie wyłącznie działającą wszędzie, gdzie zwierzę przyjmuje barwy, pozostające w pewnym stosunku określonym do barwy otoczenia—odrzucić należy teoryą powstawania barw, według Darwina, który przypisuje je doborowi naturalnemu lub płciowemu. Jako dowód, że nie mógł tu działać wprost tylko dobór naturalny, Naegeli zwraca uwagę na to, dlaczego u roślin niema nigdy przystosowania się barwy do otoczenia, co stanowiłoby przecie dla roślin ważny środek obrony przed wzrokiem nieprzyjaciela. Naegeli nie waha się przypisać téj różnicy pomiędzy roślinami a zwierzętami brakowi zmysłów u pierwszych, a specyalnie zmysłu wzroku. Co do tego punktu Naegeli jest zbyt pochopnym do wypowiedzenia zdania ogólnego w postaci jakoby pewnika naukowego. Czy rośliny nie przyjmują często lub przynajmniéj niekiedy barw otoczenia swego, to jeszcze bardzo wielka kwestya. Szary kolor grzybów rosnących w cienistych miejscach, porosty przyjmujące tak często barwę kory drzew, na której rosną lub barwę skały, na której się ścielą itp. przykłady, których znalazłoby się bez wątpienia bardzo dużo, czyż nie przemawiają na niekorzyść poglądu Naegelego? Nie ulega kwestyi, że w bardzo wielu wypad-

kach wpływ przyczyn zewnętrznych czy to przez pośrednictwo zmysłów czy też inną drogą (1) mógł wywołać liczne przemiany w ubarwieniu, nie podobna atoli odrzucić potężnego wpływu doboru naturalnego i płciowego na powstawanie barw zwierzęcych.

Ciekawy jest pogląd Naegelego na kwestyą samorództwa. Twierdzi on, iż nietylko przyjąć musimy samorództwo dla wytłómaczenia sobie początku życia na ziemi, lecz że teoretycznie powinniśmy przypuszczać, że samorództwo w naturze i dziś ma miejsce, jeśli tylko znajdują się warunki odpowiednie, podobne do tych, jakie istniały na ziemi naszéj, kiedy życie na niéj powstawało. Dlaczego eksperyment nie wykazuje możliwości samorództwa, Naegeli tłómaczy tém, że cząstki protoplazmy powstające w cieczy odżywczéj zbyt są małe, abyśmy je mogli dostrzedz za pośrednictwem najsilniejszych chociażby powiększeń mikroskopowych. Naegeli odróżnia następującą, że tak powiem, hierarchią w powstawaniu istot organizowanych. Przedewszystkiém z pierwiastków, znajdujących się w płynie życiodajnym, musiały się drogą syntezy wytworzyć ciała białkowate, co nie jest nieprawdopodobném wobec tego, że, jak wiadomo, liczne inne też złożone związki organiczne mogą być sztucznie drogą syntezy otrzymane, po za obrębem ciała żyjącego. Następnie cząsteczki białka skupiały się, tworząc grupy — micelle. Micelle te, działając jako centra przyciągające, otoczyły się warstewkami wody; ponieważ jednak przyciąganie ich do cząsteczek białka większe było aniżeli do cząsteczek wody, pomiędzy nie wstępowały nowe molekuły, które znów się w micelle grupowały. W taki sposób, skoro raz się wytworzyła pewna ilość micelli, przez wpływ ich na białko otaczające powstawało coraz więcéj micelli, które wstępowały pomiędzy istniejące. Utworzone w taki sposób maleńkie cząsteczki zarodzi powiększały się. Takie, niewidzialne dla oka cząsteczki zarodzi, Naegeli nazywa *probia*. Z nich dopiero wzięły początek najniższe widzialne dla nas organizmy jednokomórkowe, a przedewszystkiém monery (E. Haeckel).

Dlatego też Naegeli uważa pogląd Haeckla, jakoby monery przedstawiały najniższe istoty uorganizowane, za zupełnie mylny. W *probiach* ugrupowanie micelli jest jeszcze zupełnie nieprawidłowe, zależne od warunków zewnętrznych, pomiędzy micellami nie istnieją tam jeszcze siły w określony sposób działające i wywołujące określone objawy życiowe. Naegeli nie waha się też przyjąć, że pomię-

---

(1) Znany nasz podróżnik po Ameryce południowéj p. Sztolcman twierdzi, że niektóre ptaki otrzymują barwy, zależne wprost od pokarmu, jaki spożywają (*Wszechświat*, 1884. „Przeciw doborowi płciowemu“ i t. d.).

dzy *probiami* i monerami taka sama, a może większa jeszcze zachodzi różnica, aniżeli pomiędzy temi ostatniemi a najwyższemi organizmami.

Przedstawiwszy teoryą przemian form organicznych oraz zapatrywania swe na powstanie ustrojów, Naegeli obszernie i szczegółowo zastanawia się nad historyą rozwoju rodowego świata roślin. Według Naegelego rozwój świata roślinnego odbywa się drogą następujących procesów prawidłowych, działających w ciągu całego szeregu filogenetycznego. Tak zwane prawo rodowego łączenia się polega na następującéj zasadzie. Najprostsze rośliny są komórkami kształtu kulistego, które rosną i rozmnażają się przez dzielenie i pączkowanie. Przez to, iż komórki potomne nie oddzielają się od siebie i nie tworzą samodzielnych osobników roślinnych, lecz natomiast łączą się z sobą—powstają z roślin jednokomórkowych wielokomórkowe. Toż samo dążenie do łączenia się widzimy u tych części roślin, które powstały przez rozgałęzianie się i tylko miejscami komunikują się z sobą; u roślin wyższych zrastają się one z sobą w jedną nieprzerwaną tkankę.

Inne prawa rozwoju rodowego nazywa Naegeli prawami komplikacyi rodowéj czyli ampliacyi, różniczkowania i redukcyi. Komórki i wogóle części roślin, leżące obok siebie, są na niższych stopniach rozwoju zupełnie jednakowe. Przez różniczkowanie stają się niejednakowemi, a każda cząstka lub też pewne grupy cząstek biorą na siebie inną rolę życiową. Obok tego procesu różniczkowania istnieje inny, a mianowicie t. z. przez Naegelego proces ampliacyi, który powoduje ilościowy rozrost całego organizmu lub też oddzielnych jego części, tak, że każdy organ otrzymuje większą ilość komórek, lub też każdy układ większą ilość organów. Gdy po takiéj ampliacyi następuje różniczkowanie funkcyi, najbardziéj oddzielone od siebie części łączą się za pośrednictwem utworów pośrednich. Przez nowy zaś proces t. z. redukcyi te utwory pośrednie stopniowo zanikają, a pozostają tylko krańcowe produkta różnicowania się.

Wszystkie te procesa rozwoju rodowego odbywają się jako konieczne skutki przemian zachodzących w idioplazmie. Prócz tego czynną jest ciągła działalność wpływów zewnętrznych, nadających organizmom pewne drugorzędne cechy lokalne, odpowiadające otaczającym warunkom i podlegające prawu przystosowania się.

Oto, w krótkości przedstawiona, mechaniczno-fizyologiczna teorya rozwoju jestestw organicznych prof. Naegelego. Staraliśmy się uwydatnić i rozebrać krytycznie najważniejsze jéj punkty. Nie po-

dobna było przytoczyć zdań pojedyńczych z dzieła Naegelego, zawierających piękne i głębokie myśli. Te liczne rozrzucone perły może znaleść każdy, co zada sobie pracę uważnego przestudyowania dzieła, złożonego z ośmiuset przeszło stronic. Trzecia część dzieła tego poświęcona jest rozbiorowi pytania o granicach poznania, oraz o siłach kształtujących w świecie molekularnym Obie te kwestye stanowią tylko jakby dodatki do pytania głównego, traktującego o mechaniczno-fizyologicznéj teoryi rozwoju, dlatego téż ograniczymy się tylko na wzmiance o nich.

Rozbierając stosunek Naegelego do teoryi doboru naturalnego, oraz liczne miejsca saméj teoryi uczonego niemieckiego, staraliśmy się wykazać niektóre słabe strony poglądów jego. oraz zaznaczyć wybitniejsze punkty. Na zakończenie pozwolimy sobie raz jeszcze zestawić poglądy Darwina z zapatrywaniem Naegelego, by ocenić, na czém polega istotny postęp kwestyi i jakie są rzeczywiste zasługi Naegelego.

Zdaniem naszém, teorya doboru naturalnego oraz molekularno-fizyologiczna bynajmniéj nie wyłączają się wzajemnie, lecz druga dopełnia tylko sobą pierwszą.

Darwin przypisuje rozwój i doskonalenie się świata organicznego działalności walki o byt i doboru naturalnego, zachowującego osobniki o zboczeniach pożytecznych, niszczącego zaś osobniki, które nie uległy przemianom korzystnym. Samo atoli pojęcie zmienności zawiera coś tajemniczego i tu właśnie spoczywa przyczyna, dla któréj tak liczni pisarze oskarżali Darwina o wprowadzanie do biologii pojęcia przypadkowości. Teorya Naegelego, według któréj, w molekularno-fizyologicznéj budowie idioplazmy kryją się siły dziedziczności i zmienności, według któréj pewna zmienność organizmów stanowi konieczny skutek praw mechanicznych— dopełnia ów brak teoryi Darwina. Zresztą, gdybyśmy nawet siły molekulurno-fizyologiczne uważali, jak robi to Naegeli, za główny czynnik kształtujący i kierujący rozwojem organizmów, to i w takim razie nie podobna zaprzeczyć wielkiego znaczenia biologicznego walce o byt i doborowi naturalnemu.

Nieraz już były wypadki w dziejach nauki, iż z kilku badaczy, zajmujących się daną kwestyą naukową, każdy zawzięcie bronił swego poglądu, wyłączającego jakoby wszelkie inne. Późniejsi atoli uczeni przekonywali się, iż prawda leżała pośrodku, i że każdy miał poczęści słuszność.

To samo, zdaniem naszém, powiedzieć można o kwestyi powstawania gatunków. Geoffroy de St. Hilaire i inni przypisywali zja-

DRUGI ZJAZD GÓRNIKÓW

KRÓLESTWA POLSKIEGO W WARSZAWIE. (1)

Górnictwo, jak uprawa roli, należy do rzędu tych przemysłów, które czerpią surowy materyał bezpośrednio z ziemi. Wszelki inny przemysł, zajmujący się dalszym przerobem materyałów surowych, dostarczonych za pomocą dwóch pierwszych, nie może się prawidłowo rozwijać, jeżeli tylko te znajdują się w stanie anormalnym. Kraj, posiadający w ziemi bogactwa, lecz niekorzystający z nich, lub też korzystający za mało, bez pewnego określonego systemu, bez względu na możliwe ewentualności na przyszłość, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo ekonomiczne.

Wiedząc ile jeszcze u nas na drodze prawidłowego rozwoju górnictwa zrobić pozostaje, ze szczególném zadowoleniem witaliśmy otwarcie w Warszawie 2-go z kolei zjazdu górników Kr. Polskiego, mającego wyłącznie na celu roztrząsanie potrzeb górnictwa krajowego. W chwili, kiedy te słowa piszemy, zjazd już zakończył swe posiedzenia, które trwały od 31-go października do 7-go listopada włącznie. Możemy więc już streścić jego prace i wnioski, dla poparcia których u rządu wybrana została komisya z trzech członków: pp. Strasburgera, Mauvego i Cichowskiego.

Debaty zjazdu toczyły się odpowiednio do zatwierdzonego przez p. ministra programatu, obejmującego pięć główniejszych punktów a mianowicie: 1) *produkcyą węgla kamiennego*, 2) *produkcyą cynku i ołowiu*, 3) *produkcyą innych ciał kopalnych w Królestwie Polskiem*, 4) *projekt szkoły górniczéj w Dąbrowie* i 5) *projekty kasy emerytalnéj oraz przezorności dla pracowników górniczych w obu okręgach.* Prócz przytoczonych jednak kwestyi, były roztrząsane jeszcze inne, od

(1) Ob. „Ateneum“ r. 1883, tom II, str. 1—12.

których rozpoczniemy, nie mając zamiaru trzymać się ściśle porządku debatów, co do czasu, w jakim się one odbywały. Chcemy tedy najpierw pomówić o wniosku dra geologii, p. Siemiradzkiego, który został jednomyślnie przez zjazd poparty a który, jeżeli w czyn wprowadzonym zostanie, wypełni w znacznéj części brak, dający się bardzo odczuwać każdemu, kto na polu górnictwa krajowego pracować pragnie. Mamy mianowicie na myśli ten smutny fakt, że w położeniu obecném nie tylko nie wiemy o wielu bogactwach mineralnych, które w ziemi naszéj istniéć mogą, ale nawet nie mamy się zkąd dowiedziéć o tych, co już zbadanemi zostały. Ażeby temu zaradzić, p. Siemiradzki, skomunikowawszy się poprzednio z zarządem Muzeum Przemysłowego, który wszelką pomoc ze swéj strony przyobiecał, postawił wniosek urządzenia przy témże Muzeum działu górniczo-przemysłowego. Zjazd górników, jakeśmy już wspomnieli, odniósł się bardzo sympatycznie do projektu p. Siemiradzkiego i *wydzielił natychmiast komisyą złożoną z przedstawicieli zjazdu, oraz inżynierów górniczych: pp. Choroszewskiego, Hubego i Nechfedowicza, poleciwszy jej zbadać w jak najkrótszym czasie powyższy projekt i obmyśleć środki do jego uskutecznienia.* Panowie przemysłowcy ze swéj strony przyobiecali możliwe poparcie. Według projektu p. Siemiradzkiego, dział górniczo przemysłowy, będzie zawierał okazy rozmaitych ciał kopalnych znajdujących się w Kr. Polskiem, wraz z odpowiedniemi wskazówkami, co do ich miejsca pochodzenia, jakości i ilości w jakich się reprezentowane przez nie ciała kopalne znajdują, co do ich zastosowania w przemyśle itp. Urządzenie podobnego muzeum w Warszawie, (gdzie prócz zbiorów Pusza dla większości niedostępnych i mających zresztą więcéj teoretyczne, niż praktyczne znaczenie, innych nie posiadamy) bezwarunkowo przynieść może znaczne korzyści; życzymy też temu projektowi jak największego powodzenia.

Drugie postanowienie zjazdu, dotycze poparcia krajowéj produkcyi koksu. Dotąd istnieje przekonanie, iż kraj nasz nie posiada węgli kamiennych, któreby mogły dać koks, zdatny do użytku w wielkich piecach, gdy tymczasem zdaniem wielu specyalistów, niektóre gatunki węgli polskich dały by się zupełnie dobrze w tym kierunku zastosować, braknie tylko dotąd poważnych prób, któreby pokazały, w jaki mianowicie sposób i z jakich warstw węgli naszych, da się otrzymać koks, odpowiedni do potrzeb przemysłu. Kwestya ta ma pierwszorzędne znaczenie dla naszego górnictwa. Dotąd prawie wszystkie piece wielkie w Kr. Polskiém, wytapiają żelazo na węglu drzewnym. Takiego stanu rzeczy jednak za normalny uważać niepodobna, pociąga on bowiem, za sobą coraz większe trzebienie la-

wisko przemiany form organicznych bezpośredniemu wpływowi warunków zewnętrznych, Lamark—używaniu i nieużywaniu organów, Darwin opierał się głównie na walce o byt i doborze naturalnym, Naegeli zaś uwzględnia prawie wyłącznie czynniki molekularno-fizyologiczne, stanowiące o kierunku rozwoju rodowego, drugorzędne zaś znaczenie przypisuje wpływowi warunków zewnętrznych. Bez wątpienia—prawda leży po środku, lub też tylko bliżéj tego lub owego poglądu. Przyszłość wyznaczy jéj właściwe miejsce.

Józef Nusbaum.

---

sów, a tém samém wzrost ceny węgli drzewnych. W skutek tego nowe wielkie piece zaczęto zastosowywać do koksu i zapotrzebowanie nań z dniem każdym się zwiększa. Otóż zjazd górniczy, chcąc zachęcić do prób nad otrzymaniem koksu krajowego, wydał postanowienie, według którego *ma być naznaczone premium po 10 k. od puda za pierwszy milion pudów surowca wytopionego na koksie krajowym.* Obok tego inne znów postanowienie zjazdu, dotyczące koksu, zdaje się przeciwdziałać poprzedniemu, projektuje bowiem, na wniosek p. Choroszewskiego i Strasburgera, *zniesienie na 12 lat, istniejącego obecnie cła na koks zagraniczny, przewożony przez komory Kr. Polskiego dla użytku hut żelaznych*, a zatém popiera poniekąd zastosowanie w kraju produktu zamiejscowego. Przeciwdziałanie to jednak było by niém rzeczywiście wtedy, gdybyśmy mieli na widoku tylko produkcyą węgla kamiennego, i nie przyjmowali pod uwagę innych przemysłów z nim związanych. W saméj rzeczy rząd, rozwijając system ceł ochronnych, nałożył cło na koks przywożony z zagranicy w rozmiarze 3 kop. papierowych za pud. Cło to jednak przy braku koksu w kraju, będąc zbyt małą zachętą dla przemysłowców węglowych, do szukania sposobów otrzymania go ze swoich węgli, padło całym swym ciężarem na przemysłowców żelaznych, wywoławszy zwiększenie ceny fabrycznéj surowca wytopionego o $4\frac{1}{2}$ kop. na pudzie, średnio bowiem wypada $1\frac{1}{2}$ puda koksu na 1 pud surowca, w skutek czego konkurencya surowca krajowego z zagranicznym stała się trudniejszą. Zjazd, wydając dwa wyżéj przytoczone postanowienia, starał się rozwiązać ten węzeł gordyjski i rozwiązanie to zdaje się nam być jedyném możliwém; należy więc tylko życzyć, aby rząd zechciał je uwzględnić.

Zdecydowawszy konieczność zniesienia cła od koksu, zjazd jednocześnie postanowił na wniosek p. Mauvego, *popierać nałożenie cła w rozmiarze 3 kop. na pudzie* od innego rodzaju przedmiotów przem. górn., mianowicie *od wszelkich wyrobów z gliny, czy to ogniotrwałych, czy zwyczajnych cegieł, dachówek, rur itp.* co, jeżeli przyjdzie do skutku, obciąży bezwarunkowo przemysł żelazny. Między kwestyą jednak koksu krajowego i wyrobów z gliny zachodzi wielka różnica, którą zjazd musiał uwzględnić. Polega ona na tém, że gdy możliwość otrzymania koksu dobrego z węgli miejscowych oparta jest tylko na przypuszczeniach, istnienie u nas glin w jak najlepszych gatunkach i w znacznych stosunkowo ilościach nie podlega żadnéj wątpliwości. Gliny te dotąd eksploatują się bardzo słabo, przytém po większéj części wywożone bywają jako materyał surowy zagranicę, gdzie uchodzą za najlepsze i skąd następnie wracają do nas w postaci gotowych wyrobów. Dla tych względów, zdaniem większości, cło w rozmiarze 3

kop. od puda od wyrobów z gliny, pozwalając się rozwinąć bardzo ważnéj gałęzi przemysłu krajowego, nie zbyt obciąży przemysł żelazny. Prócz tego zaś rozwój produkcyi wyrobów z gliny będzie miał jeszcze tę dobrą stronę, że rozszerzy zbyt gorszych gatunków węgli kamiennych, które bez żadnych trudności mogą być zastosowane do wypalania tych wyrobów.

Mówiąc o zastosowaniu gorszych gatunków węgli kamiennych, nie możemy pominąć wniosku p. Roguskiego, proponującego zupełnie nowy sposób zużytkowania miału węglowego, oraz łupków węglowych, a mianowicie dla wytworzenia siły elektrycznéj, która następnie przenoszona za pomocą odpowiednich przewodników na mniéj lub więcéj znaczne odległości, mogłaby być zastosowaną bądź do oświetlania zakładów górniczych, bądź do wprowadzania w ruch kolejek elektrycznych, bądź do innych tym podobnych celów. Wniosek p. Roguskiego rozpatrzony przez osobną podkomisyą, złożoną z panów Choroszewskiego, Milicera, Siemiradzkiego i innych, został przyjęty przez zjazd, a dla wprowadzenia go w życie postanowiono prosić departament górniczy o wyznaczenie osobnéj komisyi z udziałem p. Roguskiego, która by zajęła się wystudyowaniem projektu, i o udzielenie z sum departamentu 1000 rs. na niezbędne przytém wydatki.

Wracając teraz do kwestyi rozszerzenia badań ciał kopalnych w kraju, musimy wspomniéć o dwóch postanowieniach zjazdu, z których jedno dotycze eksploatacyi siarki, drugie zaś kwestyi poszukiwań w ogólności. Co do pierwszego, to tu postanowienie zjazdu było wynikiem wniosku właścicieli kopalni siarki w Czarkowéj, pp. Pusłowskich, którzy się domagali cła na siarkę przywożoną z zagranicy. Przemysł siarczany u nas dalekim jest od stanu normalnego, czego najlepszym dowodem jest ta okoliczność, iż dotąd kwas siarczany wyrabiają u nas z siarki czystéj, co jego cenę zwiększa znacznie i uniemożliwia konkurencyą z zagranicą. Gdyby cło na siarkę zostało przyjęte, fabryki chemiczne musiałyby się zwrócić do materyałów surowych miejscowych, które już to w postaci pirytów, już to jako ruda, w obfitości w kraju się znajdują. Zjazd propozycyą cła odrzucił, utrzymując, iż uposadzenia siarki i jéj połączeń u nas nie są dokładnie zbadane i że wskutek tego przy niedostatecznéj ewentualnéj ilości tych ciał kopalnych, mogłoby ich w razie rozwoju przemysłu siarczanego zabraknąć; natomiast jednak uradzono prosić departament górniczy o *przeprowadzenie o ile możności szczegółowych badań nad uposadzeniami siarki i pirytów, znajdującemi się w naszym kraju.* Druga uchwała, jakeśmy to już powiedzieli, dotycze poszukiwań wogóle. Ma ona na celu ułatwienie czynności w razach,

kiedy np. otwory świdrowe, studnie, lub inne roboty poszukiwawcze wypada prowadzić na gruntach prywatnych, co obecnie bardzo jest utrudnione wskutek rozmaitych formalności. Kwestya ta, wraz z kwestyą wywłaszczania włościan z ziemi, w razie jeśli ta ostatnia niezbędną jest dla robót eksploatacyjnych, była już rozpatrywana na poprzednim zjeździe górniczym. Dotąd jeszcze żadna z nich rozstrzygnięta nie została, wskutek czego zjazd zadecydował prosić o możliwe przyśpieszenie decyzyi w tym względzie, która rzeczywiście miałaby doniosłe znaczenie dla przemysłu górniczego. Dotąd zajęcie ziemi włościańskiéj dla potrzeb kopalnianych, w razie konieczności, możliwe jest tylko drogą zamiany na inne odpowiednie grunta. Zamiana taka jednak, jeżeli ma być dobrowolną, częstokroć do skutku przyjść nie może z powodu niechęci włościanina; zastosowanie zaś przymusowego wywłaszczenia, już to z przyczyny wymaganych przytém formalności, już to z powodu, że właściciel kopalni często własnego gruntu dla zamiany nie posiada, połączone bywa z takiemi trudnościami, że przeprowadzenie téj czynności staje się wprost niepodobieństwem. Na téj zasadzie wnioskodawca (p. Wróblewski z Grodźca) domaga się, aby zjazd wstawił się ponownie do rządu o pozwolenie nabywania od włościan ziemi dla kopalni niezbędnych. Pozwolenie podobne, zdaniem p. Wróblewskiego, byłoby równie korzystném dla właścicieli kopalni, jak i dla włościan, którzy by w takim razie mogli dogodnie zbywać grunta, nie mające częstokroć dla nich, jako dla rolników, żadnéj właściwie wartości. Kwestya wywłaszczeń jest tyle skomplikowaną, a przytém do takiego stopnia znajduje się w przeciwieństwie z ogólną zasadą rządu, który, chcąc zapobiedz tworzeniu się proletaryatu, na wywłaszczanie włościan z ziemi nie pozwala, iż wątpliwą jest rzeczą, czy kiedykolwiek w dodatnim dla właścicieli kopalni kierunku rozstrzygnięta zostanie.

Z kolei rzeczy przechodząc do kwestyi eksploatacyi, mamy do zanotowania wnioski hr. Platera i p. Miniewskiego. Pierwszy z nich dotycze jednéj z bardzo palących kwestyi naszego przemysłu górniczego, a mianowicie nieprawidłowego i nieekonomicznego dobywania węgli kamiennych w kopalniach krajowych. Nie mogąc tu się wdawać w rozpatrywanie specyalne tego przedmiotu, pozwolimy sobie jednak w tym względzie zrobić kilka uwag ogólnych. Wiadomo powszechnie, iż węgle polskiego zagłębia węglowego, należą już to wskutek swéj właściwéj konsystencyi, już to wskutek obecności w nich znacznéj ilości siarczyków żelaza do rodzaju bardzo łatwo się zapalających. W zagłębiu naszém przytém prócz jednego bardzo miąższego pokładu, zwanego Redenowskim, znajdują się warstwy cienkie. Otóż eksploatacya węgla u nas odbywa się ogól-

nie (z wyjątkiem kopalni Towarzystwa francusko-włoskiego) sposobem rabunkowym, przy którym całe filary niewydobytego węgla pozostają w kopalniach, co przyczynia się do rozwinięcia znacznéj ilości cieplika. Prócz tego warstwy bardzo cienkie, za bardzo małemi wyjątkami, wcale się nie wyrabiają. W rezultacie wynikają stąd dwie szkody, a mianowicie najprzód, że pozostawione filary i cienkie warstwy, można uważać za stracone nazawsze dla przemysłu, następnie, że przy rozwinięciu się cieplika wewnątrz kopalni, pozostający węgiel się zapala, wywołując niszczące pożary podziemne, z któremi walka jest częstokroć prawie niemożliwą, czego żywy przykład dają niektóre palące się dotąd kopalnie Dąbrowskie. Rząd przyjmując pod uwagę względy powyższe, gdy ustanawiał cło na węgiel, przywożony z zagranicy, uzyskał od przemysłowców obietnicę zaniechania eksploatacyi rabunkowéj, co jednak dotąd do skutku nie przyszło. Hr. Plater w swoim wniosku podniósł ponownie tę nadzwyczaj ważną kwestyą na tegorocznym zjeździe. Przy jéj roztrząsaniu powstała bardzo żywa dyskusya, wskutek któréj, nie wydając ostatecznéj uchwały, zjazd postanowił tylko prosić rząd *o zwrócenie baczniejszéj uwagi na prawidłową eksploatacyą węgla kamiennego w Kr. Polskiém*, z *tém jednak zastrzeżeniem*, *aby przy wydaniu nowych odpowiednich prawideł uwzględnione było zdanie przemysłowców węglowych*, utrzymujących, iż nie wszędzie owa prawidłowa eksploatacya da się wprowadzić. Tymczasem zaś pożary szerzą się wśród pokładów węgla, ogromne masy jego pozostają na zawsze stracone w ziemi, kraj zaś pozbywa się dobrowolnie bogactwa, które z dniem każdym coraz bardziéj niszczeje.

Wniosek p. Miniewskiego dotyczé wprowadzenia prawidłowéj eksploatacyi kamieniołomów. Wnioskodawca stwierdzając smutny stan tego przemysłu w kraju, proponuje dla postawienia go na nogi, wprowadzenie kilku niezbędnych warunków, między któremi na pierwszym planie stawia cło ochronne, zmniejszenie taryfy kolejowéj i wreszcie przymusowe zastosowanie najnowszych i najlepszych, zdaniem jego, sposobów eksploatacyi za pomocą piły śrubowéj. Zjazd z uwagi, iż na obrobione kamienie istnieje już cło ochronne, że koleje gotowe są, o ile to będzie możliwe, zmniejszyć taryfy na przewóz marmurów kieleckich i innych tym podobnych kamieni, twierdząc wreszcie słusznie, że rząd do kamieniołomów nie może zastosowywać praw, dotyczących eksploatacyi właściwie górniczéj, i że w każdym razie nie jest w stanie wprowadzać przymusowo tego lub owego sposobu wydobywania, wydał rezolucyą, w któréj prosi tylko o *postawienie warunku wykonywania eksploatacyi prawidłowo, przy wypuszczaniu przemysłowcom ziemi rządowych na kamieniołomy.*

Załatwiwszy się ze stroną właściwie górniczą posiedzeń zjazdu tegorocznego, przechodzimy do kwestyi, dotyczących uregulowania wzajemnych stosunków przemysłu z kolejami żelaznemi. W tym względzie na posiedzeniach zjazdu mieliśmy zręczność słyszéć, powtarzaną na rozmaite sposoby starą piosenkę, w któréj zwrotka przemysłowa domaga się zniżenia taryfy kolejowéj do minimum, zwrotka zaś kolejowa twierdzi stanowczo, że obecnie już koleje czynią dla przemysłu więcéj niż mogą. Nie mając zamiaru wchodzić tu w szczegóły debatów, jakie się w tym przedmiocie toczyły, skreślimy je tylko o ile możności w ogólnych zarysach.

Najżywszą dyskusyą wzbudziło żądanie przemysłowców, aby koleje w Królestwie Polskiém przyjęły na przewóz węgla kamiennego, taryfę wprowadzoną na kolejach południowo-zachodnich, a dochodzącą przy pewnéj odległości do $1/_{125}$ kop. za pudo-wiorstę. Przeciwko temu żądaniu przemysłowców wystąpili wszyscy obecni przedstawiciele dróg żelaznych, twierdząc, iż kolei południowo-zachodnich za przykład do naśladowania w danym razie brać niepodobna, najpierw dla tego, iż żadna koléj Królestwa Polskiego osobno wzięta nie posiada téj długości, na jakiéj taryfa $1/_{125}$ kop. przyjętą jest na drogach południowo-zachodnich, następnie dla tego, iż naznaczając tak niską taryfę, ze swoją nawet stratą, koleje południowo-zachodnie miały na widoku, przez dostarczenie taniego opału, podtrzymanie chylących się do upadku fabryk cukru, których produkt stanowi dla nich ważniejszy materyał przewozowy, niż węgiel i wynagradza straty na tym ostatnim poniesione, wreszcie dla tego, że drogi południowo-zachod. przewożą właściwie węgiel w wagonach powracających, któreby w przeciwnym razie musiały iść bez ładunku. Koleje Królestwa Polskiego w żadnym razie, nawet dla ruchu prostéj komunikacyi, nie będą mogły o tyle obniżyć swéj taryfy na węgiel. Zjazd uwzględniwszy do pewnego stopnia obronę przedstawicieli kolejowych, *zdecydował ostatecznie prosić o przyjęcie na kolejach Warsz.-Petersb., Warsz.-Teresp. i Warsz.-Bydg. taryfy w rozmiarze $1/_{80}$ kop. od pudo-wiorsty.*—Na drugi punkt obrony przedstawicieli kolejowych możnaby wprawdzie odpowiedziéć, że fabryki cukru w Królestwie Polskiém także potrzebują podtrzymania i że im również nie zaszkodziłoby mieć opał tańszy. Zarzut ten jednakże wyjaśniony został przy debatach co do następującego postanowienia zjazdu, które domaga się, aby na *drodze Warszawsko-Wiedeńskiéj taryfa, istniejąca obecnie dla średniego węgla kamiennego, obniżona została do rozmiaru taryfy na miał węglowy.* Wniosek ten został przyjęty, pomimo protestu przedstawicieli kolejowych. Ci, na domaganie się przemysłowców zrównania tych dwóch taryf, twierdzili, iż nie da się ono prze-

prowadzić, z jednéj strony dla tego, że podniesienie taryfy na miał węglowy do taryfy na węgiel średni zbyt by obciążyło fabryki cukru, które obecnie wyłącznie prawie miału węglowego używają; z drugiéj zaś strony dla tego, że obniżenie taryfy na węgiel średni do taryfy na miał węglowy przyniosłoby straty kolejom. Bądź-co-bądź jednak zwycięstwo zostało po stronie przemysłowców, chociaż, niestety, może się ono ostatecznie okazać tylko teoretycznem, od postanowienia bowiem zjazdu do wprowadzenia go w czyn droga jeszcze daleka, którą bodaj czy kolejowcy przejść pozwolą, trzymając w swych rękach do pewnego stopnia monopol przewozowy.

Inne kwestye kolejowe, poruszone na zjeździe, nie obudziły już zbyt gorących debatów, tyczyły się bowiem rozmaitych ułatwień, nie przynoszących wielkich strat kolejom. Tu zaliczam następujące postanowienia zjazdu:

1) *O wyznaczeniu komisyi rządowéj*, z *udziałem przemysłowców, którąby określiła ilość rzeczywistą węgla tracącego się w drodze.* Dotąd ilość ta zupełnie jest nieustaloną i przemysłowiec nie jest w możności z góry obliczyć, jaka część ładunku dojdzie do miejsca przeznaczenia.

2) *O urządzeniu wag wagonowych na wszystkich stacyach kolejowych, przyjmujących znaczniejsze ilości węgla kamiennego.* Obecnie wiele stacyi, nawet na nowéj kolei Dąbrowskiéj, podobnych wag nie posiada, co wywołuje naturalnie bardzo wiele nieporozumień, a nawet przyprawia częstokroć przemysłowców o znaczne straty.

3) *O wydanie dla powszechnego użytku taryfy kolejowéj*, *w któréj by były ściśle oznaczone koszta przewozu*, z *włączeniem wszystkich innych niezbędnych przytém wydatków.* Teraz bowiem, wobec braku ogólnéj tablicy taryfowéj i przy istnieniu rozmaitych dopłat dodatkowych, co do których wskazówki znajdują się tylko w zarządach dróg, niepopodobna z góry obliczyć, ile ten, lub ów transport kosztować będzie. Wszystkim tym trzem wnioskom przedstawiciele kolejowi zupełną słuszność przyznali i przyrzekli nawet ze swéj strony możliwe poparcie. Również jednogłośnie przeszedł wniosek, dotyczący dróg rządowych poleskich, które opalają lokomotywy nie węglem kamiennym, lecz drzewem. Zjazd postanowił prosić rząd *o zastosowanie do powyższych kolei prawa obowiązkowéj zamiany opału drzewnego na mineralny.*

W dalszym ciągu mamy tu jeszcze do zaznaczenia dwie uchwały, dotyczące zwiększenia środków komunikacyi. Pierwsza z nich ma na celu *przyśpieszenie budowy przedłużenia kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiéj do granicy Pruskiéj i Austryackiéj*, *oraz do Dąbrowy*, *i żeby*

węgiel mógł być po téj linii przewożony jeszcze nawet przed urzędownêm otwarciem na niéj ruchu. Druga zaś na wniosek p. Hempla, poparty następnie przez p. Mauvego, prosi *o pozwolenie budowy nowéj szerokotorowéj gałęzi dr. żel. Iwangrodzko-Dąbrowskiéj od Dąbrowy na północo-zachód przez wsi: Łagisza, Strzyżowice i Siemonia.* Ta ostatnia gałąź kolejowa bardzo będzie ważną, przecięła by bowiem kraj również bogaty jak Dąbrowa pod względem górniczym, nie mogący jednak dotąd rozwinąć przemysłu na odpowiednią stopę, wskutek nadzwyczaj utrudnionych środków komunikacyi. Pomijając kilka innych wniosków mniejszéj wagi, z przyjemnością przechodzimy do najjaśniejszych, zdaniem naszém, kart kroniki tegorocznego zjazdu górniczego, mianowicie do uchwał, dotyczących szkoły górniczéj w Dąbrowie, oraz kasy emerytalnéj i pomocy dla pracowników górniczych. Decyzye te, które na zjeździe zostały zdefiniowane i oczekują tylko sankcyi ze strony władzy, dowiodły, iż przemysłowcy nasi, nie zamykając się w ciasném kole swych osobistych interesów, okazali gotowość do rozumnéj ofiarności na cel szerzéj pojmowany. Mamy nadzieję, że ta ich ofiara sowicie z czasem wynagrodzoną zostanie. Na każdym niemal kroku spotykać się nam zdarza z tém zdaniem, zupełnie zresztą słusznêm, iż nie brak nam ludzi, którzy odebrali wyższe specyalne wykształcenie, lecz braknie zupełnie takich, którzy, posiadając pewne niezbędne teoretyczne wiadomości, byliby w stanie pokazać robotnikowi jak się ta lub inna robota wykonywa, wykształcić go odpowiednio do potrzeb danego przemysłu i wprowadzać wogóle w czyn projekta przez inżynierów nakreślone. Brak ten w górnictwie ma właśnie zapełnić projektowana „szkoła górnicza“ w Dąbrowie, mając przygotowywać techników nie tylko dla kopalni, lecz również i dla hut. Ustawę téj szkoły ostatecznie zredagowano i przyjęto na tegorocznym zjeździe, przyczém program jéj bardzo słusznie został zmieniony w stosunku do pierwotnego, który był cokolwiek za obszerny. Obecnie w programie tym uwzględniono głównie, prócz języków: rosyjskiego, polskiego i niemieckiego, trzy działy — mianowicie: matematykę, hutnictwo i górnictwo. Z innych, jako pomocniczych, będą się dawać tylko ogólne pojęcia o tyle, o ile to będzie koniecznêm dla lepszego zrozumienia głównych przedmiotów. Uczęszczanie do szkoły ma być bezpłatne. Egzamin wstępny bardzo łatwy. Dla otrzymania jednak patentu, prócz przejścia trzyletniego kursu szkoły, będzie wymagane świadectwo z odbycia 2-letniéj praktyki w kopalni, lub w hutach, stosownie do obranéj specyalności ucznia. Materyalnie szkoła utrzymywana będzie ze składek, opłacanych przez przemysłowców, którzy też odpowiednią deklaracyą na siebie z wszelką gotowością podpisali, zobo-

wiązawszy się nawet zwiększyć na początek te składki o 25%, dopóki nieuformuje się kapitał zapasowy w wysokości 12000 rs. Prócz tego na początkowe urządzenie szkoły zjazd uchwalił prosić rząd o udzieleniu jednorazowo 12000 rs. z sum państwowych, lub też z sum Towarzystwa Kr. Ziemskiego, złożonych w Banku Polskim roku 1871 i przeznaczonych na potrzeby publiczne. Tak więc poruszoną na pierwszym jeszcze zjeździe kwestyą średniéj szkoły górniczéj, możemy już obecnie uważać za rozstrzygniętą, główna bowiem wątpliwość, dotycząca materyalnéj strony, ostatecznie usunięta została. Gdyby zjazdy górników innych rezultatów prócz tego nie osiągnęły, ten jeden byłby wystarczający, dla uznania wielkiéj ich doniosłości dla kraju.

Druga uchwała, nie mniéj ważna, dotycze urządzenia w 1-ym okręgu górniczym kasy emerytalnéj i następnie wspólnych dla obu okręgów kas pomocy. Co do kasy emerytalnéj, to ta może być zastosowaną tylko do 1-go okręgu, ponieważ w drugim przemysł górniczy stoi obecnie jeszcze na bardzo chwiejnych podstawach. W ogólności kwestya ta, chociaż ostatecznie zadecydowaną została i postanowiono téż prosić rząd o jak można najśpieszniejsze zatwierdzenie odnośnego projektu, podległa jednak dość żywéj dyskusyi i krytyce w saméj zasadzie. Sądząc z istniejących przykładów tego rodzaju kas, jak np. kasa inżynierów-górników, kasa inżynierów dróg i mostów, oraz kasy prywatne przy rozmaitych kolejach i większych zakładach założone, nie mają one dość trwałéj podstawy: kapitał w nich w przeciągu pewnego czasu wzrasta szybko, lecz następnie, skoro tylko ilość członków wysługujących emeryturę zaczyna się zwiększać, okazuje się niedostatecznym, co zmusza do podnoszenia składek i w końcu uczestniczenie w kasie dla pozostających staje się niedogodném. Na téj to zasadzie bodaj czy nie praktyczniejszym by się okazał system asekuracyi życia, lub kapitału. Uwagi powyższe zostały podniesione na zjeździe przez niektórych członków, ostatecznie jednak, jakeśmy to powiedzieli, projekt kasy emerytalnéj dla 1-go okręgu górniczego Kr. Pol. został uchwalony, co w każdym razie przynosi zaszczyt pp. przemysłowcom. Co do kas pomocy, to te postanowiono urządzić w obu okręgach Królestwa, a w tym celu ma być opracowaną ogólna ustawa dla nich normalna, bez oznaczenia jednak cyfr, które następnie przez każdy zakład przemysłowy górniczy będą określane odpowiednio do warunków, w jakim się on znajduje. Kasy pomocy mają być, wedug uchwały zjazdu, zupełnie oddzielone od kas emerytalnéj i zaliczkowéj, gdzie takowe się znajdują, mając głównie na widoku udzielanie robotnikom po-

mocy, w tych razach, kiedy ona powinna być uskutecznioną o ile możności najśpieszniéj.

W związku z postanowieniem, dotyczącém kasy emerytalnéj, dyskutowano wreszcie kwestyą odpowiedzialności właścicieli zakładów przemysłowych, w razie kalectwa, lub śmierci robotników w tych zakładach pracujących. Kwestya ta nadzwyczaj jest ważną, zwłaszcza w zastosowaniu do kopalni węgla kamiennego, gdyż, według danych statystycznych, nigdzie tak wiele nieszczęśliwych wypadków się nie zdarza, w stosunku do ilości dobytego węgla, jak w Rosyi i w Polsce. Obecnie w sferach rządowych mają być w tym względzie zatwierdzone nowe prawidła, według których właściciel w razie nieszczęśliwego wypadku ma być wprost powołany przez odnośne władze, dla dowiedzenia braku winy ze swéj strony, co mu prawie nigdy udać się nie może, nawet wtedy, gdy wypadek rzeczywiście się wydarzył wskutek nieostrożności i nieposłuszeństwa robotnika. Otóż zjazd uchwalił, prosić o zaprowadzenie zmiany co do saméj procedury powoływania do odpowiedzialności, mianowicie, aby sami robotnicy byli powódzcami i byli obowiązani dowodzić winy ze strony właściciela. Prócz tego, co do samego wynagrodzenia, to ma ono stanowić tylko różnicę między tą sumą, która przez sąd za odpowiednią uznana została, a tą która danemu robotnikowi z emerytury przypada. Naturalnie będzie to miało miejsce w tych tylko zakładach, które w kasie emerytalnéj biorą udział.

Streszczając teraz prace tegorocznego zjazdu górników, przychodzimy w ogóle do niezbyt wesołych wniosków. Rzeczywiście na posiedzeniach, prócz ostatnich paru uchwał, mających pierwszorzędne znaczenie, nic ostatecznie nie przedsięwzięto takiego, coby mogło stanowczo wpłynąć na poprawienie ekonomicznego stanu naszego przemysłu górniczego. Zresztą ograniczono się wyłącznie prawie na rozpatrzeniu potrzeb przemysłu węglowego, który w gruncie rzeczy do najgorzéj uposażonych u nas nie należy. Wprawdzie co do przemysłu żelaznego, z góry uchwalono zupełnie nad nim nie obradować, z tego powodu, że ma on stanowić przedmiot pracy, otwierającego się wkrótce zjazdu przemysłowców żelaznych w Petersburgu, ale przecież w kraju naszym istnieją inne jeszcze gałęzi przemysłu, o których albo całkiem nie mówiono, albo też ograniczono się na prostéj o nich wzmiance. Do tych ostatnich zaliczamy np. przemysł cynkowy i ołowiany. W tym kierunku usłyszeliśmy tylko jeden wniosek p. Listera, przedstawiciela firmy sukcesorów Kramsty,

domagający się nałożenia cła na wyroby cynkowe a zniesienia onego od rudy, przywożonéj z zagranicy; ale i ten jeden, będąc zbyt ogólnikowo skreślony. bez przytoczenia danych faktycznych, został przez zjazd odrzucony.

Tak więc w rezultacie żadnych nowych dróg wyjścia z teraźniejszego położenia krytycznego nie wskazano, poprzednio zaś obrane, jak system cłowy obecnie już działający, dotąd, prócz obciążenia konsumentów, do żadnych innych rezultatów, niestety, nie doprowadziły.

Marcin Szymanowski.

Z DZIEDZINY PEDAGOGIKI.

Psychologia wychowawcza przez Adolfa Dygasińskiego, (na drugiéj karcie tytułowéj:) Obraz psychicznych zjawisk w organizmie ludzkim. Wykłady przeznaczone dla informacyi wychowawców zestawił... podług licznych podręczników. Warszawa. Nakładem księgarni A. W. Gruszeckiego, ulica Mazowiecka N. 14, r. 1885.

Jeżliby ktoś z mnogości książek i rozpraw, pojawiających się w jakimkolwiek zakresie naukowym, chciał sobie sąd wyrabiać, o ile ogół społeczeństwa pewnemi kwestyami umiejętności się zajmuje, to biorąc na uwagę naszę literaturę, trzebaby chyba przypuszczać, że mimo rozbudzonéj zresztą wielostronnie działalności piśmiennéj, psychologia w postaci systemu teoretycznego znacznie mniejszém niż liczne inne nauki cieszy się powodzeniem. Podczas gdy sąsiadujące z nami Niemcy, jak niemniéj Anglia i Francya, niemal w każdym dziesiątku lat ostatnich pochlubić się mogą już to nowemi poglądami na życie duchowe w ogóle już téż przynajmniéj wielką liczbą monografii, rozwiązujących szczegółowe zagadnienia psychologiczne, gdy tam zastosowują świeżo powstałe teorye filozoficzne i przyrodnicze do wytłómaczenia umysłowego życia człowieka, przyczém przeciwnicy z różnych obozów staczają zawzięte walki z sobą, piszą mnóstwo podręczników z różnych punktów widzenia i naukę szeroko popularyzują i rozpowszechniają, widzimy u nas zaledwie tłómaczenia niektórych dzieł obcych w wyborze niezawsze szczęśliwym i kiedy niekiedy, jakby okolicznościowo, ogłaszane roztrząsania znamionujące pewną obojętność dla przedmiotu i unikanie głębszego weń wejścia. Dowodzimy tém samém nietyle braku pojęcia o ważności rzeczy i jéj treści, ile raczéj małego pociągu do refleksyi, do zwracania się myślą na własny wewnętrzny stan duchowy i dociekania tajemniczych tegoż zjawisk, co bez wątpienia do najtrudniejszych zadań na polu prac umysłowych zaliczyć należy i może do

najmniéj ponętnych dla natury, jaką jest nasza przeważnie, skłonnéj i chętnéj do występowania raczéj w ruch świata zewnętrznego. Tém też skwapliwiéj i z większą ciekawością w rękę bierzemy dzieło, które na szerszą skalę założone, zapowiada się z pierwszego wejrzenia jako utwór poważnego zakroju i wkraczać się zdaje w cały ciąg interesujących spraw duchowych i przyrodzonych własności umysłu ludzkiego. Taką książkę mamy przed sobą pod wyżéj przytoczonym tytułem pióra pana Dygasińskiego. Z przyczyny doniosłości samego przedmiotu zamierzyliśmy zastanowić się nad nią nieco obszerniéj a z odpowiednią rzeczy ścisłością i uwagi nasze szanownym czytelnikom podajemy.

Autor wyznając zaraz na wstępie, że jest autodydaktem, chce widocznie uprzedzić czytelnika, że o przedmiocie, który w swojéj książce przedstawia, sam własną pracą, i wysiłkiem nabył potrzebnéj wiedzy. Nie mam nic przeciw autodydaktyzmowi. Owszem, jakkolwiek boję się trochę, czy nie urażę przez to powagi uczonych, śmiałbym powiedziéć, że nawet od czasu do czasu pożądaną bywa rzeczą, aby na przekór szkolnéj rutynie, która z pewnością większe lub mniejsze więzy na swobodę myśli ludzkiéj nakłada, wystąpił ktoś całkiem niezawiśle od szkolnego wykształcenia i próbował nawet trudniejsze zagadnienia umiejętności rozwiązać sposobem nowym, za pomocą naturalnego rozumu, nieujętego w karby utartéj metodyki. Zjawisko takie wpływa nader ożywczo na postęp nauk, jak tego wielokrotnie dzieje oświaty dowodzą.

Nie czyniąc tedy żadnéj ujmy autodydaktyzmowi jako takiemu, musimy nań przecież nałożyć dwa konieczne warunki. Po pierwsze musimy żądać, aby autodydakt, jeżeli w pracy literackiéj składa swoję wiedzę i do rozkrzewienia wiadomości przyczynić się pragnie, sam naprzód treść i istotę rzeczy sumiennie i jaknajwszechstronniéj rozważył; po drugie, co się tyczy sposobu jéj przedstawienia, aby jéj nadał barwę i charakter swój indywidualny, aby mówił od siebie i poswojemu. Żadnemu z tych dwu wymagań książka pana D. zadość nie czyni. Myśli nieprzetrawione, niezrozumiałe zdania, twierdzenia i poglądy wprost bez żadnego zastrzeżenia wypowiedziane, jakby niezbite i żadnéj wątpliwości nieulegające, chociaż w rzeczywistości niepewne, całe teorye i opisy przytaczane w przekładzie z dzieł obcych albo streszczane bez krytyki i nieraz bez uwagi na główny cel pracy, niewolnicze hołdowanie jednéj doktrynie a chęć utrzymania pozoru jakiéjś niezawisłości; to znowu ustępami opowiadania dokładne i treścią zarówno jak formą udatne, prawdy stwierdzone jasnemi dowodami i obszernie rozwinięte, słowem widok osobliwszy mięszaniny dobrego i złego, niby zdolności w jedném, nie-

poradności w drugiém,—taki obraz przedstawia nam książka. Po przeczytaniu dzieła przychodzi się do przekonania, że autor we wstępném słowie nie przez skromność sam się dyletantem nazwał, lecz jest nim istotnie i nie chcąc może, powiedział o sobie najszczerszą prawdę.

Jedną z głównych dążności pana D. jest, aby wyznać jawnie i publicznie przed światem, że hołduje materyalizmowi. W tej myśli wypowiada bez ogródki najśmielsze i najwięcéj awanturnicze poglądy nabytego swojego mniemania, co prawda, zwykle pożyczone od koryfeuszów materyalizmu, ale z taką wiarą i pewnością siebie, że chyba już dalej nikt się w tym kierunku posunąć nie zdoła. Jest to cechą autodydaktyzmu, że chwyciwszy się jakiejś teoryi, nie umie jéj z miarą używać, idzie z nią na przebój zwykle, z większą odwagą niż ci, którzy z trudem i mozołem po długiéj pracy do niéj doszli. Autodydakt, przejmując naukę obcą, staje się według przysłowia więcéj papieskim niż sam papież. Aby uwydatnić zapatrywania materyalistyczne autora, musimy zestawić kilka jego zdań najwybitniejszych. Tak czytamy na stronie 21: „Wszelka myśl odbywa się w związku ze zmianą szaréj materyi w mózgu; bez téj zmiany myśl nie może powstać, a gdy zmiana ma miejsce, myśli nie może brakować.“ Zjawiska psychiczne powstają, gdy „komórka mózgowa będąc przeniknętą zewnętrznem pobudzeniem, napręża się, rozwija swą siłę i wyzwala ją z siebie“ (str. 38). „Jeżeli myślenie jest jedném ze zjawisk życia i jeżeli jest ruchem, jak każde inne zjawisko życia, to niema tutaj miejsca dla duszy myślącéj“ (str. 73). „Dusza jest tylko formą ruchu; forma się zmienia, ruch pozostaje ruchem“ (str. 75). Spotykamy wyrażenia: „cerebracya“ w miejsce naszego zwykłego „myślenie“; „mózgowe skupienie“ zamiast „skupienie ducha;“ „umysł albo mózg“ „umysł czy mózg“ (str. 201 i 202) „tak zwane duchowe czynności“ (str. 299). Na dowód, jak dalece same mechaniczne ruchy mózgu tworzą myślenie, przytacza autor ustęp z Carpentera dosłownie: „Pewien przemysłowiec z Bostonu opowiadał, iż miał do przeprowadzenia bardzo ważny interes, którego jednak zaniechał, ponieważ to przechodziło jego siły. Ale miał on świadomość czynności, która się odbywała u niego w mózgu, a była ona tak przykrą i niezwykłą, że lękał się być zagrożonym przez paraliż lub jaki inny atak. Po upływie kilku godzin w takim stanie niedogody, niepokój jego zniknął, pożądane rozwiązanie kwestyi wystąpiło samo przez się: bo wypracowało się ono w owych chwilach zamieszania“ (S. 147). Ztąd pochodzą wnioski tak śmiałe jak na str. 469: „ostateczny rezultat rozwagi jest tylko mechanicznym skutkiem cząsteczkowéj zmiany w nerwowym ośrodku,“ albo na str. 470: „wola jest naj-

wyższym gatunkiem energii nerwowéj, porządkuje ona wszelkie energie ciała i duszy; jako taka, wola trzyma kontrolę energij niższych, co wykonywa przez wpływ wyższych ośrodków na ośrodki podrzędne"—i wiele innych podobnych.

Czy materyalizm taki gruby jest już bezwzględnie pewną nauką? czy jest ostatniém słowem umiejętności trzeźwéj i spokojnéj? Nie wątpię, że pan D. odpowiedziałby bez najmniejszego wahania: tak! Ale nie o to nam chodzi, aby nawracać pana D., burzyć mu jego przekonania i odbierać wewnętrzne zadowolenie, że dotarł do niechybnéj podwaliny wszelkiéj wiedzy ludzkiéj. Chodzi nam raczéj o faktyczny stan rzeczy, o szczere zdanie sobie sprawy przed sądem sumienia, co my wiemy o ostatnich dla materyalizmu niby jasnych a wątpliwych zasadach bytu, abyśmy się przez nieprzezorność i złudzenie nie minęli z prawdą. Oczywiście nie możemy tu zapuszczać się daleko w roztrząsanie niezmiernie ważnych i trudnych kwestyi pojęcia świata, ale, o ile to w kilku zdaniach da się uskutecznić, chcę wskazać przynajmniéj na niektóre główne punkty. Radbym, abym mógł być zaliczony między tych, którzy nigdy nie lękają się prawdy, chociażby ona miała przez otwarcie oczu okazać rzeczywistość nader przykrą i smutną, a zarazem zniewolić do zerwania nawet z najwięcéj ulubionemi myślami i stargać węzeł, który nas łączy z szeregiem znakomitych i szczerze uwielbianych umysłów przeszłości. Tak pierwszybym się chwycił materyalizmu, mimo jego oschłości i zimna, i jakie mu tam jeszcze przypisują przywary—gdyby tylko można w nim znaleść zadawalniające rozwiązanie zagadki tak świata zewnętrznego jak naszego życia i naszéj myśli. Tymczasem, jak w pierwszéj chwili olśnić on zdoła swoją prostotą i ująć łatwością wytłómaczenia mnóstwa zjawisk, tak po niejakiém zastanowieniu spostrzegamy, że schodzi do rzędu zwykłych hipotez, równéj a może mniejszéj wartości, niż wiele innych metafizycznych, zwłaszcza w zastosowaniu do zjawisk duchowych. O ile można wyrozumiéć materyalistów, wyobrażają oni sobie, że na całym świecie i w nas samych nie ma nic więcéj oprócz materyi złożonéj z atomów całkiem jednakowych, i że wszelkie zjawiska powstają przez ruchy i drganie niezmiernie szybkie; od ilości drgań w sekundzie zawisła różnica między zjawiskami. Otóż w obec takich pojęć, trzeba nam zawsze pamiętać, że my przedewszystkiém dotychczas materyi w ostatecznych jéj składnikach wcale nie znamy, ani wiemy jak ją sobie mamy wyobrażać. Są tylko przypuszczenia oparte na badaniu zjawisk chemicznych i fizycznych, ale przecież pewności tu nie ma żadnéj.

Ta chwiejność pojęcia materyi zostaje daléj w ścisłym związku z naszém wyobrażeniem przestrzeni, z którą jako tako umiemy sobie

dać radę tylko do pewnych granic; ale gdy chodzi o podzielność jéj bez końca i o rozmiary nieskończonéj wielkości, stoimy w obec kwestyi dotąd nierozwiązanéj i niedostępnéj dla naszego myślenia. Następnie przyznać przecież trzeba, że aczkolwiek wiele zjawisk, jak dźwięk, światło, ciepło zdołała dotąd umiejętność faktycznie wytłómaczyć jako drganie cząstek tak zwanéj materyi, to przecież zostają jeszcze inne jak elektryczność i magnetyzm niewyjaśnione; niby zagadki od rozwiązania dalekie. A cóż dopiero powiedziéć o zjawiskach psychicznych! Wydają się one tak odmienne od wszystkich innych, które znamy, że bodaj czy nie mają słuszności ci wszyscy, którzy dla ich wywołania od niepamiętnych czasów innego rodzaju istoty tj. dusze przypuszczają.

Temi kilkoma słowy chciałem tylko zaznaczyć, że w zasadniczéj kwestyi pojęcia świata wielka jeszcze panuje niepewność. Swoją drogą rozumiem bardzo dobrze, że znajdzie się zawsze ten i ów, który pracą i rozwagą przychodzi do pewnego stanowczego przekonania i hipotezę pewną ująwszy, według zdania swojego najlepszą, i w nią uwierzywszy, przeprowadza ją systematycznie i naukowo tłómacząc wszystko jednolicie i konsekwentnie. Wtedy pojmuję pewien rodzaj entuzyazmu szlachetnego, który płynie z głębokiego przeświadczenia. Ale nie pojmuję entuzyazmu pożyczanemi słowami i tego uniesienia, tego zapału odgrzewanego ogniem obcym, jaki widoczny jest u autora Psychologii Wychowawczéj.

Jeżeli jednak materyalizm jako hipoteza ma zupełne prawo utrzymywania się w teoryi, byle z pewną oględnością broniony, to przecież w praktyczném zastowaniu—wydaje dotąd zawsze wątpliwe owoce. Zwłaszcza gdy chodzi o wychowanie młodzieży, uwydatnia się cała jego słabość (1); zjawisk najzwyklejszych i najważniejszych nam nie tłómaczy, nie wskazuje drogi i środków, jak wychowawca nawet w najpospolitszych wypadkach ma postępować. Co prawda, to żadna teorya filozoficzna, jeżeli w swój system włączy pedagogikę, nie wielką jéj wyświadcza przysługę; zwykle bowiem jednostronnie ją przedstawia i do naprzód powziętych zasadniczych pojęć nagina. Ale téż znowu, jeżeli uznaje oddzielną istotę ducha i wyższość tegoż nad resztą otaczających tworów, to przynajmniéj pobudza do szczególniejszego zajęcia się nim, podnieca zapał i interes już to w ogóle tych wszystkich, którym dobro młodego pokolenia leży na

---

(1) Zdaniem naszém autor zanadto lekceważąco ocenia zasługi całego kierunku anti-idealistycznego dla pedagogiki. Dość wspomniéć nazwiska Locke'a, Roussa, Basedowa, a z nowszych Spencera i Baina, ażeby wykazać, iż temu-to właśnie kierunkowi zawdzięcza pedagogika najwięcéj trwałych zdobyczy. (*P. R.*)

sercu, już téż osobliwie samych praktyce oddanych nauczycieli i pedagogów. Materyalizm przeciwnie, stawiając czynności duchowe co do swojéj istoty na równi z pospolitemi zjawiskami natury, wyrabia prawie zawsze pewną obojętność i rezygnacyą, która się skłania do zostawienia wszystkiego nieuniknionemu biegowi natury, gotową nawet zejść na poziom fizyczny życia i do niego się całkiem ograniczyć. Gdyby materyalizm był niezaprzeczoną prawdą, to w takim razie odpowiedniemi rozsądnemi środkami trzeba cały świat nań przygotowywać i z nim go pogodzić; ale jeżeli tak nie jest, to raczéj życzymy sobie, aby z tak dalekiém rozpowszechnianiem jego idei jeszcze być powściągliwym. Bo nawet i to zasługuje na uwagę, że książka pod takim tytułem, jak Psychologia Wychowawcza, dostaje się w wielu wypadkach do rąk ludzi, którzy niekoniecznie wyższą nauką się zajmują, a przecież czy to jako rodzice, czy jako nauczyciele początków, radziby się czegoś o wychowaniu nauczyć. Nawet nie przypuszczając, że tacy wierzą we wszystko, co drukowane, to przecież niewątpliwie nie mają oni dość wyrobionego zmysłu krytycznego i niewiele zdołają rozumować nad donioślejszemi kwestyami, za to przejmują częstokroć rzucone, bodaj jak nieuzasadnione myśli i niewyćwiczeni w sylogistyce dają się niemi owładnąć.

Chciejmy jednak ten wzgląd zostawić na uboczu i skorośmy się już rozprawili z autorem o jego zasadniczy pogląd, na tle którego oparł swoje dzieło, zwróćmy się do samego opracowania psychologii, aby rozważyć jéj treść ze stanowiska naukowego. Podział rzeczy zachował pan D. taki sam, z jakim oswoiliśmy się już oddawna w dziełach psychologicznych; mówi więc najprzód o wrażeniach i wyobrażeniach, następnie o uczuciach, w końcu o woli. Wstęp (wykład I i II) może jest nietyle stosunkowo za obszerny, jak raczéj sięga zbyt daleko wstecz, w początki powstania wszelkiego stworzenia na ziemi, w rozwój istot, na który składa się dziedziczność, walka o byt i powolne stopniowe przystosowanie się do warunków życia. Nie powiem, żeby kwestye tego rodzaju nie miały pozostawać w związku ze zjawiskami psychologicznemi; owszem każdy psycholog, idący z postępem nauk, powinien liczyć się z niemi; tłómaczą one i rzucają światło na wiele wypadków zagadkowych, rozszerzając widnokrąg umiejętności na bardzo wielkie rozmiary, na objawy życia i ruchu całego znanego nam bliżéj świata ziemskiego. Jednakowoż wysunięcie ich tak na pierwszy plan, skupienie na początku całéj masy zagadnień w nich poruszonych, czyni wrażenie zbyt sztucznego przygotowania i zapędu do właściwego przedmiotu. Tym sposobem wstęp w znacznéj części swojéj mało wiąże się z dalszym ciągiem dzieła, z istotą nauki psychologii. Opuściwszy całkiem pewne

punkty, które raczéj do ogólnéj filozoficznéj teoryi ewolucyjnéj należą, niż do nauki o duszy, byłby mógł autor, zdaniem mojém, resztę przy konkretnych faktach więcéj złożonych procesów psychicznych dla wyświecenia tychże pomieścić.

Jeszcze przed wykładem o właściwych zjawiskach psychicznych czytamy na str. 21—115 opis budowy i funkcyi mózgu i systemu nerwowego w ogóle, oraz narzędzi każdego zmysłu w szczególności. Ponieważ autor utrzymuje, że duszy jako osobnéj istoty niema, przeto oczywiście mózg i nerwy uważać musi za ostatnie i jedyne źródło wszystkich umysłowych czynności. I słusznie téż na ten ustęp psychologii swojéj, w którym o nich mówi, kładzie bardzo silny nacisk i przypisuje mu nader wielkie znaczenie, streszczając w nim niemal wszystkie wyniki badań fizyologiczno-anatomicznych. Nie chcę obecnie wdawać się z panem D. w spór o istnienie duszy, gdyż w obec przeciwnika, który się pompatycznie trzyma przekonań uznanéj przez siebie szkoły prawie jakby dogmatów, musiałbym wystąpić z rozprawą uzbrojoną w dowody szczegółowe i obszernie rozwinięte, na co szczupłe ramy niniejszego sprawozdania nie pozwalają. Wszelako, nie stawiając dowodów, odwołuję się do tego, com już zaznaczył powyżéj, mówiąc o hipotezie materyalizmu, że ścisła umiejętność nie może przeczyć, a raczéj przemawia za przypuszczeniem istnienia duszy jako istoty osobnéj. Co do mnie, to uważam przypuszczenie takie za najzgodniejsze z prawdą i za najlepszy punkt wyjścia dla nauki psychologii. Z tego stanowiska patrząc, uznaję mimo to, równie jak pan D., za konieczność, aby psychologia rozpoczynała się od nauki o mózgu i nerwach; znaczenie jednak tych organów dla życia duchowego całkiem inaczéj pojmuję. Sądzę, że nie trzeba być materyalistą, aby uwierzyć, że mózg jest niezmiernie ważnym dla człowieka, że różne a tak osobliwéj budowy części jego spełniają odmienne zadania, że jak zdrowie jego jest niezbędne do prawidłowego myślenia i działania, tak choroba lub uszkodzenie pociąga za sobą zboczenia w zjawiskach działalności umysłowéj i fizycznéj. Dlatego psychologia w żadnym razie przedstawienia składu i ustroju mózgu w ogólnym zarysie, tudzież nauki o rozgałęzieniu związku i konstrukcyi nerwów pominąć nie powinna.

W książce pana D. rzecz wydaje mi się nawet ze stanowiska materyalistycznego za obszernie rozprowadzoną. Autor nie tylko wylicza zbyt drobiazgowo poszczególne części mózgu, począwszy od ryb aż do człowieka, przeplatając opowiadania przykładami inteligencyi zwierząt. Ta ostatnia nauka wykazuje tylko nader ogólnikowo, że już u zwierząt pewną kombinacyą myślenia spotykamy, ale nie uwydatnia stosunku, w jakim zostają stopnie rozrostu i zmian

mózgowych do stopni psychicznéj wyższości. Wprawdzie i cała dzisiejsza umiejętność nie rozwiązała jeszcze rzeczonego zagadnienia, ale téż właśnie dlatego możeby odpowiedniéj było, żeby i psychologia wychowawcza kwestyą tak nierozstrzygniętą jeszcze na uboczu zostawiła, czekając cierpliwie na dalsze prace innych umiejętności. Co się zaś tycze szczegółów o oddzielnych częściach mózgu, to przyznać musimy, że wszelkie dotychczasowe usiłowania, aby ich znaczenie i zagadkowe ich funkcye wyjaśnić czy to przez badanie zwierząt, wiwisekcye, czy przez obserwacye patologicznych wypadków itp. ledwie nieco najelementarniejszych i nie całkiem pewnych nam wiadomości przysporzyły. Więc i na tém polu powinien psycholog, jak na teraz, poprzestać na zakreśleniu ogólnego tła, jeżeli nie chce włączać w naukę o duszy przedmiotów, które życia duchowego niczém nie rozświecają.

Dostępniejsze już za to i jaśniejsze są kwestye, odnoszące się do zmysłów. Obecnie zaprzeczyć nie można, iż organa zmysłów przynajmniéj najważniejsze i najistotniejsze zbadano dosyć ściśle i szczegółowo, wyśledzono starannie, jak podnieta, która powstaje wskutek zewnętrznego zjawiska, oddziaływa na przyrządy umieszczone na powierzchni ciała i przenosi się w dalszym ciągu ku mózgowi. Jeżeli w tym względzie bez zaprzeczenia są jeszcze pewne niewytłómaczone punkty, to przecież w całości przebieg procesu, jaki wrażenia zmysłowe przechodzą, zdołamy sobie z przybliżoną dokładnością przedstawić. Pan D. rzuciwszy naprzód kilka słów o genezie zmysłów, które słusznie tłómaczy wszystkie jako modyfikacye zmysłu dotyku, daje następnie obraz już to postaci organów zmysłowych, już téż ich działalności, przechodząc porządkiem każdy zmysł z osobna. Rzecz sama oparta jest na znanych zdobyczach naukowych; mielibyśmy tylko do zauważenia, że nie wszystko w zakres tego działu wchodzące dosyć jasno autor przedstawił. Przedewszystkiém uderza, iż organ wzroku dla kogoś, kto go już zkądinąd dokładniéj nie zna, nie rysuje się dostatecznie wyraźnie. Prawda, że tu sam opis bez rysunku zawsze niejakie braki zostawi, ale przecież znamy plastyczniejsze jakkolwiek zwięzłe i krótkie przedstawienia téj rzeczy w dziełach i podręcznikach zagranicznych.

W drugiéj części swojéj pracy zbliża się autor już prawie odrazu i bezpośrednio do zjawisk czysto duchowych. Wprawdzie w wykładzie VI potrąca jeszcze o fizyczną stronę naszego życia, ale tylko na to, aby wykazać związek między zmianami dostrzegalnemi w ustroju cielesnym a współczesną pracą ducha i aby utorować sobie drogę do rozważania téj ostatniej. Rozpoczyna więc od „czuciowych wrażeń", czyli po prostu od wrażeń, i koleją rzeczy przechodzi do

spostrzeżeń i wyobrażeń. Sposobność nadarzyła się dogodna, jakkolwiek lepsza była poprzednia przy opisie zmysłów i ich działalności, wtrącić na tém miejscu ciekawe wyniki ścisłych badań nad prądem elektrycznym, który się w nerwach naszych objawia i w chwili ich podrażnienia pewnéj zmianie ulega, tudzież o prawie tak zwaném psycho-fizyczném Fechnera, oznaczającém liczbowo stosunek siły wrażenia do siły podniety. Ostatnia część wykładu wyjaśniając znaczenie spostrzeżeń i wyobrażeń, poucza nas o umiejscowianiu wrażeń oraz o przerzucaniu i odnoszeniu wewnętrznych wyobrażeń duszy w świat zewnętrzny i przedmiotowy. Zaraz następnie w wykładzie VII i VIII rozwija autor całą teoryą pamięci podług dzieła Ribota, tłómacząc jéj fizyologiczne warunki, niemniéj ocenia wartość świadomości, o ile ta pamięci towarzyszy, albo z nią się nie łączy; w wykładzie IX rozprawia o skojarzeniach wyobrażeń, które tworzą tak zwany ciąg myśli, raz odpowiedni prawdzie przedmiotowéj i rzeczywistości, to znowu niekiedy błędny i przewrotny, z którego powstają przesądy i zabobony.

Wszystkie cztery wykłady mieszczą w sobie bogaty i dostatni materyał, wszelako do zwykłych wiadomości, między wykształconymi dosyć rozpowszechnionych, nie dorzucają nowych przyczynków. Co się tyczy formy i sposobu opowiadania rzecz niezupełnie równo wypadła. Z rozmaitém szczęściem udaje się autorowi roztrząsanie trudniejszych kwestyi, zwłaszcza gdy chodzi o plastyczną w drobne szczegóły wchodzącą dokładność. Są pewne ustępy, jak nauka o asocyacyi czyli o kojarzeniach, wytłómaczone przystępnie i łatwo, możebne odmiany i wypadki zestawione wyczerpująco i objaśnione na przykładach z życia wziętych. Do lepszych zaliczamy również opis powstawania spostrzeżeń i wyobrażeń, jakkolwiek przy pierwszych proces lokalizacyi czyli umiejscowiania za mało jest uwidoczniony a raczéj tylko ogólnikowo dotknięty. Mniéj wyraźne pojęcie zyskać zdoła czytelnik o stosunku wrażeń do podniet; może dlatego, że autor wybrał tu sobie i naśladuje wzór nieosobliwy, korzystając z Wundta, który najczęściéj styl ma ciemny i zawiły. A już to, co na str. 152 i nn. ma nam tłómaczyć, jak psychologicznie tworzy się wyobrażenie czasu, należy chyba zaliczyć do prób najniezręczniejszych.

W całéj psychologii od początku do końca natrafiamy krok za krokiem na zagadnienia tajemnicze, ilekroć zamierzamy dotrzéć do saméj istoty i rdzenia zjawisk duchowych, a nie pozwalać sobie na żadne przeskoki w rozumowaniu i przemycanie fałszywych myśli pod zasłoną łudzących obrotów słowa. Otóż już i w tym przedsionku właściwéj nauki o życiu psychiczném—bo tak można nazwać

cztery powyższe wykłady — gdzie niejako pierwsza osnowa nawiązana służyć ma do dalszéj różnobarwnéj tkaniny, spotykamy kwestye, których pewnego sposobu odgadnienia jeszcze nie posiadamy. Wobec trudności nieurojonych i na razie niemożebnych do zwalczenia, wydaje się rzeczą pożądaną, aby się ograniczyć do przejrzystego ugrupowania faktów i nagromadzenia ich z najpowszedniejszego życia. Sama klasyfikacya i wyliczenie ich wraz ze ścisłém określeniem każdego, logicznie poprawném i rzecz w granicach możności uwydatniającém, zaznacza postęp ku rozwiązaniu. Tak téż pojmuje dzisiaj, jeśli się nie mylę, nauka psychologii swoje zadanie i tak w przeważnéj części je spełnia. Tymczasem p. D. zamiast łożyć całe staranie na wyrazistość opisów i układ porządny, lubi często iść śladem powag może głośnych, ale jeszcze nie koniecznie bezwzględnéj wartości i dawać poglądy rzekomo umiejętne, tworzyć obrazy z domysłu, np. o tém, co się dzieje z komórkami nerwowemi w procesie pamięci (str. 141), o „modyfikacyi ośrodków nerwowych“, „śladach psychologicznych“, „skojarzeniach dynamicznych elementów nerwowych“ (str. 148 i nast.) i t. p., o których sam powiada (na str. 142), że czém one są, „tego nie zdoła nikt wykryć ani za pomocą mikroskopu, ani odczynników“, a przecież jeszcze gdzieindziéj każe nam znowu wierzyć w podobne rzeczy, twierdząc stanowczo, że „to są fakta niezaprzeczone i niezbite.“

Ten sam błąd powtarza się bardzo często w ciągu całéj Psychologii Wychowawczéj, jako jedna ze stałych cech dzieła pana D. Czytelnik jednak niniejszych słów zrozumie łatwo, że byłoby ze strony sprawozdawcy rzeczą niewłaściwą, aby skoro spostrzeże w książce braki raz poraz występujące, również często i przy każdéj sposobności miał je wytykać. Raczéj niech jedna wzmianka wystarczy, obok uwagi właśnie wyrzeczonéj, i na niéj chciejmy poprzestać.

Zanim naprzód postąpimy, czuję potrzebę usprawiedliwienia się, dlaczego w téj ocenie trzymam się poniekąd, i częściowo dość pedantycznie, porządku, w jakim wykłady po sobie idą. Otóż zniewala mnie do tego wielce nierówna wartość pojedyńczych wykładów p. D. Gdy bowiem jedne przyjąłbym bez większych zarzutów niemal całkiem od pierwszego do ostatniego wiersza, wydają mi się inne zupełnie chybione. Powodem nierówności jest oczywiście korzystanie z różnych źródeł do różnych przedmiotów, co nadaje książce charakter nie jednolitéj artystycznéj budowy, lecz spojonéj sztucznie mozajki. Zamiast więc, jak to jest obowiązkiem sprawozdawcy, ujmować przedmiot pod pewne ogólniejsze punkty widzenia i ułatwić czytelnikowi oryentowanie się w ogromnym bądź-co-bądź ma-

teryale, widzę się raczéj zniewolonym przepatrywać kartkę za kartką i pomijając milczeniem rzeczy zwyczajne, a jako tako opracowane, wybierać tylko to, co uderza wprost błędną treścią czy formą. Odnosi się to szczególnie do uwag, które zaraz poniżéj w luźnym szeregu zestawiam. Następnie starać się będę ogólniejszym rzutem oka skupić myśl na jeden ciąg kwestyi.

Wykład X poświęcony wyobraźni przypomina żywo styl i ton fejletonowy; czyta się gładko i potoczyście, ale pod względem naukowym nawet pobłażliwéj krytyki wytrzymać nie może. Jest-to raczéj wysławianie i podziwianie wyobraźni, ubarwione rozbiorem „Ojca Zadżumionych“ Słowackiego i ustępem krótkim, przytoczonym z Ribota „Dziedziczności psychologicznéj“, aniżeli rozbiór jéj istoty, jako zjawiska psychologicznego. Ani czém jest wyobraźnia, ani jakie są jéj granice i odmiany — dowiedziéć się z wykładu naprawdę nie można. A przecież wytłómaczyć grunt wyobraźni, nie jest zadaniem tak trudném. Należy tylko wziąć za punkt wyjścia naukę o reprodukcyi i w przeciwstawieniu do pamięci, która jest powrotem i odnową dawniéj zyskanych wyobrażeń w postaci niezmienionéj, zdefiniować wyobraźnią jako reprodukcyą tychże w nowém połączeniu kombinacyi. Tę zasadniczą myśl można już jak kto chce szeroko rozwinąć i z nią pozostając w zupełnéj zgodzie, wykazać, że nawet najbujniejsza fantazya niczém inném nie rozporządza, jak tylko nabytkami, których zmysły poprzednio dostarczyły.

Znając przekonania autora, ciekawy byłem, jak pojmuje i wyświeca fakt świadomości siebie samego, czyli tak nazwanéj przez niego samoświadomości. Jest-to bowiem jeden z tych problemów, które dla teoryi materyalizmu stanowią niewytłómaczoną dotąd zagadkę i bodaj czy kiedy z jéj stanowiska do rozwiązania możebną, niewytłómaczoną bo trudno sobie wyobrazić, jakimby sposobem materya sama pojęta w duchu materyalistów zdołała wiedzę o sobie osiągnąć i trwać w pewności, że to ona jest, która myśli, czuje i ma wolę. Przypuszczałem, że pan D. ze zwykłą sobie odwagą podejmie się trudnego zadania i roztrzygnienia kwestyi w myśl np. Czolbego lub innego z zupełnych materyalistów. Atoli zawiodła się moja ciekawość i przypuszczenie. Autor nasz bowiem znalazł wyjście łatwiejsze; skorzystał z dzieła Fr. Kirchnera i w wykładzie XII rzecz według jego pojęcia opisał, nie troszcząc się bynajmniéj, że tém samém umieszcza w dziele swojém ustęp, wcale nie licujący z jego własnemi poglądami. Z nauką Kirchnera można się zgodzić i uznać trafność jego wywodów, ale to wymaga całkiem innych pojęć o duszy i o znaczeniu umysłowego życia, aniżeli te, które tak otwarcie głosi p. Dygasiński.

Wykład XIII i XIV zajmuje się kwestyą uogólnionych wyobrażeń, pojęć i wogóle wszelkiéj abstrakcyi, zarazem zjawiskami, które znamy pod nazwą sądu, wniosku i sylogizmu, tłómacząc znaczenie indukcyi i dedukcyi, prawdy, oczywistości i prawdopodobieństwa. Mamy tu zatém obraz czynności inteligencyi, przedmiotu, który niewątpliwie do psychologii należy i zwykle też do niéj włączany bywa. Ponieważ jednak ten sam przedmiot wchodzi zarazem w zakres logiki, przeto mielibyśmy słuszne prawo żądać, aby autor oznaczył stosunek obu rzeczonych nauk do siebie: że mianowicie psychologia raczéj ma zadanie przedstawić i wytłómaczyć proces powstawania sądów, pojęć, wniosków i t. d., podczas gdy logika tylko zbiera, określa i systematycznie porządkuje gotowe już i wyrobione owego procesu wyniki. Przecież w pracy pana D. nietylko wyświecenia wspomnianego stosunku i rozdziału obu nauk nie znajdujemy, ale ani nawet wzmianki o tém nie czytamy. Sama zaś treść wykładów nie daje nam dostatecznego wyobrażenia, czy autor stanowisko swoje, jako psychologa, z zupełną świadomością pojmował.

Na końcu całego pierwszego działu psychologii, traktującego o wyobrażaniu i myśleniu, podaje autor definicyą rozumu na str. 296 w tych słowach: „rozum jestto suma wszystkich wyobrażeń szczegółowych i ogólnych“ i zaraz następnie: „rozumem nazywamy ogół wszystkich postaci poznania i wszystkich procesów poznania.“ Pominąwszy brak należytéj ścisłości wyrażenia w obydwu definicyach— bo przecież rozum nie jest sumą ani ogółem wyobrażeń czy pojęć, lecz co najmniéj zdolnością tworzenia ich — niepodobna jednak zamilczéć, że autor pojęcie rozumu wziął w zanadto wielkiéj objętości i ryczałtowém określeniem nietylko przedmiotu nie uwydatnił, ale go jeszcze zagmatwał. Przedewszystkiém uderza, iż widocznie sprawy sobie nie zdawał z różnicy, jaka istnieje między rozsądkiem a rozumem i téj różnicy ani w tém miejscu, ani nigdzie indziéj wcale nie poruszył. Nie chodzi nam o wyrazy, lecz o rzecz samą. Wyrazy wspomniane, już w mowie potocznéj nie uchodzą za tak równoznaczne, iżby jeden drugim dał się całkiem zastąpić. Wszak pospolicie utrzymuje się mniemanie, że rozsądkiem nazywamy jakąś władzę ducha niższą, w zastosowaniu do powszedniego życia w sprawach praktycznych potrzebną, rozumem wyższą i znakomitszą, sięgającą już w samę istotę i rdzeń rzeczy ważniejszych. Nauka psychologii wprawdzie nie może w rozsądku i rozumie uznawać osobnych władz czy sił ducha, lecz wyrazy może bez szkody dla siebie przyjąć, uważając je za ogólne, abstrakcyjne nazwy dla pewnych rodzajów zjawisk i utworów umysłowych; oczywiście, jeżeli takie rodzaje zjawisk i utwory umysłowe, całość dla siebie stanowiące, znaj-

dzie i dostrzeże w nich chociażby przybliżenie podobną różnicę, jakiéj się mowa potoczna pod obydwiema nazwami dopatruje albo domyśla. Jakoż istotnie, zdaje mi się, że psychologia bez dalekich poszukiwań, jeno rozpatrując się w materyale przez zwykłe doświadczenie zebranym, może i powinna rozsądek i rozum, jako odmienne *zdolności* także ze stanowiska naukowego wyróżnić; nazwą rozsądku objąć zdolność stosowania się w myśleniu naszém (czyli w łączeniu i rozdzielaniu naszych wyobrażeń) do treści tego, co w zewnętrznym świecie istnieje i odbywa się, a nazwę rozumu nadać zdolności wyższéj, mocą któréj jesteśmy w stanie dociec ostatecznych podstaw nietylko saméj wiedzy, jak materya, siła, substancya, własność, natura i t. p., ale także najpierwszych zasad etycznych, jak doskonałość, życzliwość, prawo, słuszność. Rozsądek zatém przedstawia czynność umysłu powszednią i zwykłą, gdy w słowie i czynie idziemy za naturalnym związkiem rzeczy; rozsądnym jest ten, kto sądzi i postępuje odpowiednio do wymagań wszelkich na razie dających się zebrać okoliczności. Rozum przedstawia zjawisko rzadsze, wymaga większego rozwoju umysłu i obejmuje całość wiedzy i woli ludzkiéj; rozumnym jest ten, kto z wyrobioném przekonaniem, świadom zasad stałych i niemi przejęty, nietylko w sądach swoich o wszystkiém, co spostrzega, ale także w postępowaniu usiłuje cechę zgodności, harmonii i jednolitości utrzymać. Książka, zajmująca się psychologią, różnice te właśnie kilkoma słowy dotknięte powinna określić i szerzéj rozwinąć.

Aby wykazać źródło uczuć i wytłómaczyć ich powstawanie, odwołuje się autor w wykładzie XV na str. 298 do pierwszej podstawy wszelkich duchowych zjawisk. Przypomina, że punktem wyjścia jest tu „czuciowe wrażenie“, czyli oddziaływanie człowieka na wszelkie podniety wogóle, pochodzące już to z zewnątrz, już też od naszego własnego ciała. „Jeżeli to oddziaływanie zwraca się w kierunku przedmiotu wywołującego czuciowe wrażenie, powstają wówczas w umyśle elementa poznania. Jeżeli zaś rzeczone oddziaływanie zwraca się ku podmiotowi odczuwającemu, wtedy mamy do czynienia z uczuciem.“ Tak wywodzi pan D. genezę uczuć wiernie podług W. Wundta. Dobrym jest w téj teoryi sam początek. Pan D. całkiém słusznie upatruje zawiązku uczuć w owych najpierwotniejszych odezwach organizmu naszego na każdą podnietę bez względu na to, zkąd ona pochodzi, jakby pewnego rodzaju reakcyi wywoływanéj przez obcą zaczepkę. Chcąc tę myśl autora dokładniéj zrozumiéć, musimy pamiętać, że jego wywód zdąża do wykazania, iż uczucie nie jest bynajmniéj osobną i nową władzą duszy, lecz tylko innym wyrazem podstawowych i elementarnych zjawisk jéj życia.

Potrzebujemy w tym celu przypomnieć sobie, co autor powiedział na str. 131, 134 i ustępy tam zawarte związać z niniejszém rozumowaniem, a rzecz złoży się w sposób następujący. U dziecka całego procesu życia duchowego niepodobna sobie inaczéj przedstawić, jak tylko, że powstaje w duszy jego skutkiem wpływów zewnętrznych i wewnętrznych chaos i zupełne zmieszanie czegoś nieokreślonego. Dziecko doznając wrażeń, nie umie w nich żadnéj różnicy zrobić, ani nie wié zkąd pochodzą, czy od zjawisk w świecie zmysłowym, czy od własnego ciała; w pierwszych chwilach nie zdoła ani według nich powodować się, ani przed niemi się bronić, chyba o ile przypuścić możemy, że dziedzicznie instynktowo i całkiem mechanicznie do tego jest usposobione. W całości życie umysłowe dziecka jestto jeden akord zlanych i stopionych z sobą objawów; wtedy niema mowy jeszcze ani o uczuciach w odróżnieniu od wyobrażeń, ani o woli; wszystko jest razem jakby w kiełku i zarodku, jest tylko doznanie podniety i reakcya. Te objawy nazywa pan D. „czuciowemi wrażeniami;“ niektórzy inni nasi autorowie używają w tém samém znaczeniu „czucie,“ mnie się zdaje, że odpowiedniéj i prościéj rzecz samę oddaje wyraz „wrażenie“ bez dodatku „czuciowe;“ język nasz rozumie przez wrażenie nie tylko dotknięcie zewnątrz ale zarazem odczucie wewnętrzne. W każdym razie, jakąkolwiek nazwę przyjmiemy, będzie ona mieć zastosowanie bardzo rozległe. Wrażeniem nazwiemy zarówno u nowonarodzonego dziecka owo zjawisko, które powstaje w umyśle jego, gdy światło przed oczyma jego błyśnie lub ból mu dokuczy, jak u dorosłego i rozwiniętego człowieka, gdy dźwięk muzyki usłyszy albo ręką dotknie jakiegoś przedmiotu.

Podczas gdy u bardzo małego dziecięcia o niczém innėm nie mówimy, jak tylko o chaotycznéj gromadzie wrażeń i nic więcéj w téj duszy rozpoczynającéj dopiero swój żywot nie przypuszczamy, zauważamy w dalszym ciągu obserwacyi wydzielające się z pośród zmieszanéj pierwotnie masy i coraz jaśniéj do odróżnienia możebne nowe formy psychicznego życia. Jakoż dopiero wtedy właściwie owo pojęcie „wrażenia,“ które bądź co bądź w odniesieniu do małego nieświadomego dziecka, trudném było do określenia, przybiera postać wybitniejszą, ponieważ mamy już z czém je porównać i od czegoś oddzielić. Dopiero wtedy zdołamy je zdefiniować, jako objaw życia umysłowego, który powstaje mocą oddziaływania naszéj istoty na podniety zewnętrzne lub wewnętrzne, dopóki te podniety jeszcze trwają. W porównaniu z wrażeniem nie widzimy w „wyobrażeuiu“ nic nowego, ani co do jakości różnego; lecz raczéj uznajemy w niém to samo wrażenie, pomyślane jednak jako ist-

niejące jeszcze wtenczas, gdy już widoczna i możebna do sprawdzenia podnieta zewnętrzna czy wewnętrzna ustaje, a tylko w samym zakresie umysłowym myśl żyje i występuje. Na łączeniu i kombinacyi wyobrażeń w grupy i szeregi, według pewnych praw, polega cała działalność naszego umysłu, ilekroć się rozchodzi o poznanie, osądzanie i wiązanie faktów, a więc o wszelką w ogólności wiedzę. Bez wątpienia wiedza najgłębsza i najobszerniejsza da się zawsze rozebrać na pierwsze składniki, wśród których nic innego, oprócz wrażeń i wyobrażeń znaleść nie jesteśmy wstanie.

Aż dotąd w głównych myślach, mimo różnic w szczegółach i zarzutów niedokładności, zostajemy w zgodzie z panem D.; o tyle też zdaje mi się, w ogóle porozumienie między psychologami co do teoryi poznania może łatwo przyjść do skutku. Trudniejsza już jest zgoda, gdy chodzi o wytłómaczenie istoty uczucia. W téj sprawie, jak wszelkie pozory pozwalają przypuszczać, autor nasz nie wyrobił sobie jasnego sądu i jeśli się nie mylę, popsuł cały swój wykład wstępny o uczuciu niefortunnym wyrazem „czuciowe wrażenie"; przymiotnik bowiem „czuciowe", przypominając brzmieniem swojém „uczucie", widocznie miesza autorowi pojęcie „czucia" z pojęciem „uczucia", o czém świadczy szczególnie końcowa część wykładu, w któréj nazwy „czucie", „czuciowość", „uczucie" (i jeszcze do tego „wrażliwość") bez skrupułu używane są na przemiany. Ztąd powstaje bałamuctwo pojęć trudne do sprostowania. Chcąc z niego wybrnąć, musimy najpierw usunąć na bok pojęcie czucia, które niczém inném nie jest, jak tylko wrażeniem, i pojęcie wrażliwości jako zdolności do odbierania wrażeń, jedno i drugie jeżeli mówimy o człowieku. Następnie, wracając do pierwszéj myśli autora, przypomniéć, że według niego „wtedy mamy do czynienia z uczuciem, jeżeli oddziaływanie" (człowieka na podniety) „zwraca się ku podmiotowi odczuwającemu." Ma to być scharakteryzowanie elementu czyli pierwiastku uczucia pod względem psychologicznym. Zaraz już tutaj znajdujemy się w niemałym kłopocie, jak sobie mamy w rzeczywistości owo zwracanie się oddziaływania ku podmiotowi przedstawiać. Z rzeczonego kłopotu nie wybawiają nas nawet słowa na str. 299 przytoczone z Wundta: „przekształcamy czuciowe wrażenie w uczucie, gdy się uwydatnia stosunek do podmiotowego stanu czującéj istoty." Jestto bowiem tylko inny zwrot stylistyczny, ale czy powiemy: „oddziaływanie zwraca się ku podmiotowi", czy: „uwydatnia się stosunek (oddziaływania) do podmiotowego stanu istoty," rzecz zawsze jednakowo ciemną zostaje. Widać jednak i sam autor czuł niedostateczność powyższego określenia, ponieważ wraca jeszcze raz na str. 310 do zdania sprawy czytelnikowi, czém jest uczucie. Przejście ułatwia sobie

wtrąceniem ustępu z Preyera o uczuciach pojawiających się u dzieci, po którym wyznaje słowami Leona Dumonta, że rozumie „przez nazwę uczucie wszystkie psychiczne procesa, którym towarzyszą pewne zmiany w ruchach narządów krążenia. Jeżeli bicie serca nie doznaje zmiany w skutek przyrostu lub ubytku wstrząśnienia swoich regulujących nerwów, wtedy nie ma miejsca zjawisko zwane uczuciem.“ Ucieka się zatém do wyjaśnienia uczuć pod względem fizyologicznym i zaraz też poniżéj wyraźnie powiada: „Uczucia przyjemne powstają wtedy, jeżeli ogół sił, stanowiących *ja*, zostaje zwiększony; ale przyrost taki sił owych nie może być na tyle znaczny, iżby sprowadził zakłócenie ich związku; uczucia znowu przykre pojawiają się w takim razie, jeżeli ilość sił zostaje zmniejszona.“ Z tą definicyą już prędzéj możemy dojść do pożądanego wyniku. Pan D. wyraża się jaśniéj na gruncie fizyologicznym; ruch dla niego jest wszystkiém, jest nim i „czuciowe wrażenie,“ oprócz ruchu istnieje tylko siła. Łatwo tedy powiedziéć: jeźli ruch i działanie sił są takie a takie powstaje wyobrażenie, jeżeli są inne, powstaje uczucie i znowu jeźli jest wzmożenie ruchu i sił powstaje uczucie przyjemne, w przeciwnym razie nieprzyjemne. My jednak ze swojego stanowiska, któreśmy na początku niniejszéj oceny zaznaczyli, musimy stwierdzić, że jeszcze wszystko to, czém autor usiłuje wytłómaczyć istotę uczucia, właściwie do samego uczucia się nie odnosi, lecz częścią zatrzymuje nas na progu w przejściu z najpierwotniejszych zjawisk psychicznych do uczucia, częścią zaś wyjaśnia tylko fizyologiczne okoliczności uczuciu towarzyszące. Według naszego pojęcia rzeczy, należy koniecznie we wstępie do nauki o uczuciach rozważyć tak zwany *ton wrażenia* od rzeczywistego uczucia. Wiadomo, że przy każdém wrażeniu oprócz treści jego i siły większéj lub mniejszéj możemy odłączyć jeszcze trzecią jego cechę, która na tém polega, że sprawia nam ono pewną przyjemność lub nieprzyjemność. Właśnie tę trzecią cechę nazywamy tonem wrażenia i o niéj to możemy powiedziéć, że da się wytłómaczyć fizyologicznie. Przyjemność lub nieprzyjemność wrażenia jest miarą zgodności albo niezgodności między podnietą obudzającą wrażenie a warunkami naszego procesu życia cielesnego. Ten proces, odbywający się przeważnie w nerwach i nerwowych centrach, przedstawiamy sobie, jako działanie sił całkiem w sposób fizyczny, z nich tworzy się w każdéj danéj chwili większe lub mniejsze ogólne naprężenie i równowaga organizmu, jako wypadkowa wszystkich naprężeń szczegółowych. Otóż wtenczas, kiedy podnieta jakakolwiek, jako przybywające właśnie podrażnienie czyli jako nowa siła, zwiększa ów wypadkowy stopień naprężenia, nie burząc atoli zbyt gwałtownie równowagi, świadomość nasza przyjmuje

wrażenie jako przyjemne; w przeciwnym razie, jeżeli następuje uszczerbek sił i opadnięcie ich, albo nagłe zwichnięcie równowagi, jako nieprzyjemne. Tak rozumiemy ton wrażenia. Jako przykład silnego tonu możemy przypomnieć nader niemiłą woń, rażący błysk światła, przeraźliwy pisk albo zgrzyt itp.; w każdym razie towarzyszącą przy tych zjawiskach nieprzyjemność trudno nazwać uczuciem. Właściwie uczucie pojmujemy, jako objaw czysto umysłowy, jakkolwiek nie przeczymy bynajmniéj, że i temu objawowi towarzyszą zawsze pewne zmiany fizyologiczne. Bierzemy jednak towarzyszenie w znaczeniu czysto dosłowném; więc uczucie rozumiemy, jako zjawisko osobne w duszy, a zmiany fizyologiczne znowu, jako osobne w organizmie cielesnym. Uczucie bywa wprawdzie w swych niższych formach bardzo bliskie tonu wrażenia i nawet przezeń wywoływane: zwykle ton wrażenia przyjemny rodzi uczucie przyjemne, przykry nieprzyjemne. W ogóle nie trzeba zapominać, że wszelkie zjawiska psychiczne nie dadzą się zawsze i wszędzie ostrą granicą od siebie oddzielić, lecz jedne przechodzą nieznacznie w drugie. Zdarzają się jednak wypadki, w których ton wrażenia i uczucie wyróżnić jasno zdołamy; tak, bywają chwile, w których, że posłużę się przykładami zwykle w psychologiach przytaczanemi, rana nie boli, albo przeciwnie najlepsza potrawa nie smakuje, mimo że przecież bolesność bolesnością zostaje, a smak potrawy smakiem. Tu ton wrażenia istnieje, ale uczucie go znosi. Uczucie ma z tonem wrażenia podobieństwo w tém, że równie jak on może być w rozmaitych stopniach przyjemne albo nieprzyjemne; lecz podczas gdy przyjemność albo nieprzyjemność w tonie tkwi pierwotnie w nastroju nerwów, uczucie polega na umysłowéj walce wyobrażeń pomiędzy sobą, które mogą się nawzajem na podobieństwo sił fizycznych przytłumiać, albo popierać i wznosić. Uczucie zawsze ma siedzibę w wyobrażeniu (albo w grupie wyobrażeń), a powstaje wtenczas, kiedy to wyobrażenie występując w świadomości, zostaje pod dwustronnym naciskiem innych wyobrażeń, z których jedne usiłują je w świadomości naszéj wznieść, drugie zaś przeciwne dążą do jego usunięcia. Gdy przeważa siła drugich i wyobrażeniu rzeczonemu swobodnie wystąpić nie pozwala, powstaje uczucie przykre; w razie przewagi pierwszych, przyjemne. Możemy zatém określić ton wrażenia, jako wyraz chwilowy nastroju nerwów przy odbieraniu wrażenia, uczucie zaś jako doznanie w świadomości naszéj poparcia albo przeszkody w wyobrażaniu. Twórcą téj definicyi uczucia jest Herbart, a przyjęli ją w znaczeniu powyżéj krótko wyłożoném, zwolennicy jego psychologii, do których zalicza się także Nahlowsky.

Pan D. w dalszym ciągu opisu uczuć, w wykładach XVI—XX, Nahlowskiego przeważnie się trzyma i korzysta z niego w znacznéj rozciągłości. O tym ustępie nie wiele mamy do zauważenia; przyznajemy, że przedmiot jest dosyć obszernie i jasno rozwinięty i daje w połączeniu z dodatkiem o afektach dokładny obraz rozmaitości jaka w tym zakresie życia umysłowego panuje. Tylko pod względem formalnym wytknąć winniśmy, że jeżeli autor osobny wykład sprawie afektów poświęcił, należało zestawić w nim już wszystko, co się odnosi do afektów najcharakterystyczniejszych jak gniew, strach, zdziwienie, zamiast rozdzielać rzecz w ten sposób, iż raz jest mowa o strachu i zdziwieniu na str. 308—310 i o gniewie na str. 365—368 w wykładzie o uczuciach i znowu o tych samych zjawiskach w wykładzie o afektach na str. 414—417, przez co przedmiot niepotrzebnie się rozrywa i jasności przeglądu na przeszkodzie stoi. Również byłoby, zdaje mi się, stosowniéj o grzechach młodości mówić przy popędach, które do teoryi woli należą, aniżeli przy uczuciach, jak to autor czyni na str. 332—337.

Wśród tego rozwoju psychologicznéj teoryi znajdujemy ustępy widocznie w tym celu wtrącone, aby nadać książce ton i charakter pedagogiczny. Przeważnie są to opisy, wykazujące z fizyologicznéj podstawy zawiązek i pierwsze objawy psychicznego życia w najmłodszych latach dziecięcych; najważniejsze z nich mieszczą się str. 106 — 113, 131 — 134, 165 — 169, 187 — 188, 210 — 217, 255 — 259, 290 — 292, 299 — 310 i 360 — 369, wyjęte głównie z dzieła Preyera. Wartość tych opisów początku myślenia i uczucia jest bez wątpienia dla psychologii bardzo wielka; przez nie bowiem, jeśli obserwacya była dokładna, zyskujemy najlepszą podwalinę do pojęcia i zrozumienia dojrzałych a złożonych produktów umysłowych, śledząc ich genezę w najprostszych i najwcześniejszych składnikach. Nikt też nie zaprzeczy, że niemniéj dla wychowawcy obserwacya pierwszych lat dziecięcych, nawet miesięcy pierwszych, staje się nader pouczającą i pożyteczną pod wieloma względami. Jeżeli jednak wyniki jéj mają mieć znaczenie dla całości i systemu wychowania, to nie powinny stać odosobnione. Ze stanowiska pedagogicznego wymagać musimy raczéj, aby elementarne zawiązki psychiczne jakokolwiek ująć w łączność z objawami życia umysłu dojrzałego, wykazać krok za krokiem przejście od pierwszych do drugich a przynajmniéj zawisłość drugich od pierwszych takę samę, jaka istnieje między budową skończoną a materyałem i częściami, z których budowa powstaje. Tymczasem u naszego autora genetyczny rozwój zjawisk duchowych ogranicza się do samych początków życia człowieka: urywa się prawie wszędzie na pierwszéj dobie jego

bez ogniwa z dalszym ciągiem umysłowéj działalności. Autor pomija całkiem rozbiór wyższych objawów umysłowego życia, a wielce skomplikowanych już u chłopca mniéj więcéj w wieku lat 5, 6, do 15, 18-tu, i przerzuca się odrazu na widownię myśli wyrobionéj w epoce skończonéj dojrzałości. Zdaniem naszém, psychologia wychowawcza powinnaby w tym zakresie najwięcéj dawać wyjaśnień, bo wychowawca ma zwykle do czynienia właśnie najwięcéj w czasie przeprowadzenia wychowanka przez ten pomost, wiodący od początków nauki aż do chwili, w któréj umysł samodzielnie sobą władać i sam swoim siłom zostawiony być może. Dobrze jest znać pierwsze objawy kiełkującego u dziecka życia umysłu, ale szczerze mówiąc, my wtedy właściwie mało co na rozwój czynności ducha zdołamy wpływać. Wszak wtedy siły fizyczne są jeszcze bardzo wątłe, musimy więc przedewszystkiém ciało odpowiednio odżywiać, pielęgnować i chronić narządy zmysłowe od szkody; wprawdzie musimy także dostarczać, byle nie zbyt sztucznie, wrażeń rozmaitych, natomiast oddalać wrażenia brzydkie i wstrętne, nareszcie, odkąd używanie mowy się zaczyna, nie dopuszczać błędów językowych. Ale bez porównania wiecéj trzeba zostawiać naturze i zupełnéj swobody dziecka nie krępować.

Nasza główna działalność w téj dobie życia dziecięcego bywa więcéj zapobiegawcza, niż dodatnia i pozytywna. Potém dość nagle i niespodziewanie, kiedy myśl na większą skalę zaczyna się budzić i zwracać się w różnostronne kierunki, stajemy już w obec uderzająco barwnéj całości, wychowawca widzi przed sobą przeznaczone dla jego pracy pole, na którém już niejeden zasiew, nie wiedzieć zkąd rzucony, wzrósł, i już bujny plon lepszy i gorszy wydał. W takiém położeniu znajduje się każdy nauczyciel, mający przed sobą uczniów w pierwszéj klasie elementarnéj, niemniéj każdy udzielający lekcyi w domu prywatnym, skoro w nauce dzieci wyjdzie poza początki czytania i pisania, a naturalnie jeszcze więcéj nauczyciel w pierwszéj klasie gimnazyalnéj. Otóż tego, jak i czy my możemy wdać się wtedy w rozwój myśli naszego ucznia, co mamy zostawić naturalnemu biegowi rzeczy i przez jak długi czas, do czego zaś czynną rękę przyłożyć, jak pogodzić i powiązać zakres myśli i uczuć, nabyty już poprzednio i nabywany ciągle równocześnie obok szkolnéj nauki w swobodném życiu domowém, z nabytkami pozyskiwanemi w szkole albo podczas lekcyi unormowanym planem objętych,— odpowiedzi na te pytania zadawalniającéj a oczywiście tylko ogólnéj, (bo szczegółowa należy do pedagogiki saméj) nie znajdujemy w naszéj psychologii wcale. Cały następnie szereg kwestyi nasuwających się w ciągu dalszego wychowania i decydujących o jego po-

wodzeniu, jak wpływ pewnych chorobliwych stanów ciała, np. skrofuliczności, na przebieg rozwoju umysłowego, wpływ temperamentu na tempo myślenia i trwałość nabytéj wiedzy, stosunek prawa asocyacyi czyli kojarzenia wyobrażeń do porządku i planu nauki, teorya o postaciach szeregów wyobrażeń niezbędna dla każdéj nauki szkolnéj, zjawisko zwane przez psychologów apercepcyą, tłómaczące jak nabyte już grupy myśli przyjmują, przekształcają lub odrzucają każdą myśl nową, i wiele innych w naszéj psychologii także pominięte. Psychologia nosi nazwę wychowawczéj, a nie wkracza zdobyczami, w swoim zakresie osiągniętemi, ani nawet prawdopodobnemi przypuszczeniami, ani nowemi, ani znanemi już z prac dawniejszych psychologów, w ciąg i postęp wychowania.

Zamiast tych nauk i wskazówek, których mielibyśmy prawo oczekiwać słusznie dla pożytku wychowania, spotykamy ogólniki, jak np. na str. 115: „Z całéj nauki o zmysłach teorya psychologiczna dwa fakta jaknajusilniéj zaleca w sztuce wychowania potomstwa: „Każdy ze zmysłów daje się kształcić oraz udoskonalać w drodze ćwiczeń—naturalnie—w kierunku i zakresie właściwéj sobie sfery odczuwania. Przepisy atoli kształcenia zmysłów nie mogą tu być przedmiotem rozbioru.“ „Innym faktem jest to, że zmysły, gdy chodzi o poznanie świata, wspierają się wzajemnie i kojarzą niejako pracę swoję.“ To jest dostateczne w psychologii saméj, ale w wychowawczéj—tyle co nic. Na str. 191, 196 i 197 znajdujemy zaledwie kilka słów o skojarzeniu zasady z czynem, o zabobonach i wpływie otoczenia dziecka na asocyacyą jego myśli, na str. 292 i 295 tak samo o rozumowaniu. Na str. 317 czytamy protekcyjnym tonem wypowiedziane upomnienie, aby nauka nie była „suchą, oschłą,“ lecz choćby cokolwiek zajmującą, ale rada, jak tego celu dopiąć należy, ogranicza się znowu do napomnienia ogólnego, aby się zniżać do wieku dzieci aby dziatwa nie była posępną i obojętną przy nauce. „Wszystko to zaś zależy—od postępowania, od mądrych czynów i kierunków pedagoga. Wierzajcie, że gdyby dzieci nie nudziły się przy swoich nauczycielach, a często i przy rodzicach, nie unikałyby ich niezawodnie“—„należy poznać dzieci, przeniknąć, o ile się da, ich naturę, i poznanie takie zastosować do pedagogicznéj pracowitéj nauki.“ Więc same frazesy, a żadnéj nauki, jak zasady psychologii każą naukę urządzać, aby się nie stała suchą, nawet nie ma wytłómaczenia, na czém polega oschłość nauki. Tak z tych uwag autora, jakotéż z wielu innych na str. 339 o ciekawości, na str. 350 o religijności, na str. 402 o kształceniu uczuć estetycznych, wychowawca nie wiele się nauczy.

Oprócz przytoczonych miejsc spotykamy jeszcze inne, w których autor nie zwrócił uwagi na ważne ze względów wychowawczych punkty. Tak mówiąc o pamięci w wykładzie VII i VIII, pominął zmianę siły pamięci względnie do wieku, cechy jéj w różnych epokach wieku młodzieńczego i możebny wpływ tych względów na rozkład i plan nauki szkolnéj w ciągu lat, co łatwoby się dało złączyć z ustępem przytoczonym z Baina od str. 170. Mówiąc o wyobraźni na str. 217, twierdzi, że „Nie istnieje żaden specyalny środek wychowywania i kształcenia" jéj; „Specyalnego gatunku edukacyi być tu nie może, jedno przez uprawianie innych zdolności, które oddziaływają na wyobraźnię, już to dostarczając jéj materyałów, już bodźca, już znowu—celu lub kierunku." Według tych słów, przedstawia się wyobraźnia, jakby jakaś tajemnicza siła, z którą nauka wychowania wręcz nie może sobie poradzić, a przecież nie jest ona niczém innérn, jak tylko zdolnością szybszéj lub powolniejszéj, łatwiejszéj lub trudniejszéj kombinacyi wyobrażeń już w umyśle będących. Tak pojęta, da się wprost kształcić już to w kierunku pobudzającym, jeżeli na kombinowanie naprowadzamy, już téż w kierunku powściągającym, jeżeli zbytnią pochopność do kombinowania przecinamy i ujmujemy w odpowiednie granice i ład. Naturalnie, wykształcić nikogo nie zdołamy na poetę z bujną wyobraźnią, ale w granicach wieku szkolnego wpływ nauczyciela na wyobraźnią jest możebny, co téż i faktami stwierdzić się daje. Nauka o uwadze w wykładzie XI mało co zawiera przydatnych praktycznych wskazówek; nadto miejscami grzeszy niejasnością, na dowód czego przytaczamy dwa zdania, jedno na str. 229, „malec limfatyczny, mniéj podatny do wrażeń, którego czuciowość zwolna się budzi, którego uwaga leniwo się skupia, może łatwo stać się umysłem jasnym, stałym i praktycznym;" drugie na str. 236 i 237: „uwaga nie powinna być wyłączną, ciasną, ograniczoną do jednéj rzeczy z zaniedbaniem wszystkich innych. Uwadze ucznia trzeba otwierać szerokie pole, aby w wyobraźni jego nie przeważały zawsze jedne i te same obrazy." Tu jedno drugiemu się sprzeciwia, bo jeżeli uwaga leniwo skupiająca się i mała podatność do wrażeń może łatwo wyrobić umysł jasny, to chyba nie należałoby jéj otwierać szerokiego pola, aby znowu nie stał się umysł niejasny i roztargniony. W rzeczywistości wychowanie musi umiéć jedno z drugiém pogodzić i racyonalna pedagogika to czyni, ale jaką naukę w tym kierunku psychologia podaje, o tém autor nie mówi. W tym samym wykładzie zaznacza autor, co się tyczy zatrzymywania uwagi uczniów na jednym i tym samym przedmiocie, na str. 233: „z najmłodszymi nie należy przekraczać poza 5—6 minut, ze starszymi i najstarszymi 30—45," a zaraz poniżéj wnosi całkiem ogólnie:

„Na téj téż zasadzie czas lekcyi z rana trwa trzy godziny.“ Zkąd nagle taki wniosek, o tém się nie dowiadujemy. Rzecz o stosunku mowy ludzkiéj do myślenia i wpływ jéj na rozwój i ułatwienie myślenia, a zatém przedmiot należący do nader interesujących w psychologii, wielkiéj doniosłości dla wychowawcy i nauczyciela, zbył autor kilkoma zdaniami na str. 259 i 260.

Dziwném téż i uderzającém jest, że w całéj obszernéj teoryi o inteligencyi i o uczuciach tak mało znalazł autor sposobności do uwydatnienia cech i właściwości umysłu kobiet. Jeżeli się nie mylę, to tylko w trzech miejscach krótką o nich wzmiankę czyni, raz na str. 221 i 222 mówiąc o wyobraźni, żąda „aby dusza kobiety poznawała tylko szlachetne uczucia“—„ażeby jéj wyobraźnię nawiedzały jedynie myśli podniosłe i czyste,“ a dla upiększenia obowiązku i złagodzenia jego ciężaru żąda dodania ideału. Drugi raz na str. 233, gdy porusza kwestyą trwałości uwagi, dorzuca na końcu: „Niemniéj należałoby uwzględnić płeć, zważywszy że co innego kobieta a co innego mężczyzna; ostatni jest bezwarunkowo wytrzymalszy.“ Nareszcie na str. 327 uważa z H. Spencerem potrzebę ćwiczeń fizycznych za tak samo wielką i ważną dla dziewcząt, jak i dla chłopców. Zresztą nigdzie ani słowem autor nie wspomniał, ani o większéj żywości i łatwości wyobraźni, którą się kobiety odznaczają, ani o takcie i zmyśle oryentacyjnym, ani o braku zdolności i chęci do abstrakcyi i t. d., a przecież to wszystko razem z innemi względami na tok wychowania, plan i metodę nauki dziewcząt ma wpływ bardzo stanowczy.

Jeżeli dział psychologii o inteligencyi i uczuciach, w którymeśmy się dotychczas rozpatrywali, wykazuje wiele stron ujemnych i świadczy o niedostateczném przetrawieniu przedmiotu, to ustęp ostatni o woli, zamknięty w dwóch końcowych wykładach, grzeszy nie tylko nierównością w opracowaniu punktów ważniejszych i mniéj ważnych, ale także rażącą powierzchownością i zamętem w niektórych miejscach, trudnym do opisania.

Jeszcze wykład XXI da się przynajmniéj ogólnie myślą objąć. Wynik jego, jeżeli dobrze związek rzeczy zrozumiałem, możnaby streścić w tém słusznéni zdaniu, że do wszelkich objawów woli, jakiekolwiek istnieją i wyobrazić sobie zdołamy, potrzebne jest poprzednie wyrobienie i wprawa w ruchach wszelakiego rodzaju, które w początkach odbywają się całkiem bezwiednie i są tylko prostém oddziaływaniem na zewnętrzne i wewnętrze pobudki; z czasem dopiero, po licznych częstokroć bezowocnych próbach i doświadczeniach, nabierają pewności i stają się o tyle świadome, że człowiek może niemi według potrzeby i uznania rozporządzać. Historya ru-

chu, przedstawiona słowami Preyera, kreśli dosyć rozległy, chociaż nie dość przejrzysty i w ład ujęty obraz czynności i oddziaływania organizmu, począwszy od czasu, kiedy płód znajduje się jeszcze w łonie matki. Opowiadanie przeplatają przykłady z życia dzieci i zwierząt.

Ale i tu w rozdziale XXI natrafiamy na definicye i opisy mylne, albo niejasne i niestarannie sformułowane. Tak np. nazywa autor zjawiska woli następczemi, przypomina czytelnikowi „czuciowe wrażenia“, jako zawiązek wszelkich zjawisk psychicznych, do których również, gdy idzie o genezę woli, odnieść się należy. „One to bowiem stanowią oddziaływanie człowieka na zewnętrzne podniety. Oddziaływanie takie, zwrócone ku przedmiotowi, sprawiającemu czuciowe wrażenia, wytwarza spostrzeganie t. j. element myślenia. Gdy zaś oddziaływanie zwraca się ku podmiotowi czującemu, przekształca się ono w uczuciowe nastroje, a *o ile* z tymi nastrojami, za każdem ich wznowieniem, *kojarzy się wspomnienie* przyczyn przedmiotowych, *o tyle* one zamieniają się na pożądania lub wstręty, to jest *stanowią podstawę woli.*“ To ostatnie zdanie, począwszy od wyrazów „o ile“, ma tłómaczyć powstanie pożądań lub wstrętów, ale co ono znaczy? Co to ma być owo kojarzenie się wspomnień przyczyn przedmiotowych z nastrojami uczuciowemi? Znowu dwa wiersze niżéj czytamy zdanie: „Bo gdy już przeminie uczucie przyjemności lub przykrości, jako takie, to jednak z głębin psychicznych nietylko wspomnienia tych uczuć mogą występować, ale także—pożądanie nowéj przyjemności lub wstręt względem nowéj przykrości.“ A zatém wyraźnie jest powiedziane, że pożądanie może wystąpić „gdy już przeminie“ uczucie przyjemności lub przykrości. Tymczasem przecież, że wezmę najprostszy przykład: pożądanie jedzenia występuje współcześnie i razem z uczuciem głodu, nie dopiero przy wspomnieniu tegoż. Faktycznie rzecz się ma tak, że żadnego pożądania *bez uczucia* nie podobna sobie wyobrazić; pożądanie łączy się z uczuciem bezpośrednio, ono z uczucia wyrasta, ale pociąga je za sobą bezustannie bez najmniejszéj chwilki przerwy; nie powstaje zaś dopiero wtedy, gdy już uczucie przeminie. Na téj saméj stronie mówi autor, że J. Luys ze stanowiska *fizyologicznego* przedstawia w faktach woli dwie fazy rozwoju: Pierwszy okres obejmuje chwilę, w któréj *jedynie* pobudzenie *czysto duchowe* stanowi początek woli. Daléj dowiadujemy się, że wola nasza właśnie w tym pierwszym okresie jest „aktem mózgowego życia, na mocy którego człowiek wyraża (?) swój sposób bytowania i zapatrywania się (?) wobec pobudzeń bądź fizycznych, bądź moralnych.“ Jeszcze daléj, że ta „czynność duchowa, stanowiąca początek aktu woli, jest sama przez

się tylko dalszym ciągiem ruchu już poprzednio istniejącego"—więc *ruchem fizycznym.* Jak tu ma czytelnik pogodzić ową „jedynie czystą duchowość" z ruchem fizycznym?

Największą może wadą tego ustępu o woli, o którym obecnie mówimy, jest brak ścisłych określeń zwyczajnych zjawisk, w zakres woli wchodzących. Na samym wstępie nie wyjaśnił autor, czego my właściwie pożądamy przy najpospolitszém pożądaniu, że mianowicie pożądamy tylko zmiany wyobrażeń, czyli wyobrażeń odmiennych, że np. przy pożądaniu pieniędzy nie o to chodzić może, aby pieniądze jako rzecz zewnętrzna, przeszły w naszą świadomość, lecz tylko wyobrażenie dowolnego rozporządzania niemi. Należało wskazać, że wyobrażenie, w którém pożądanie ma swoję siedzibę, trwa ciągle w dążeniu wyswobodzenia się wbrew powstrzymującym je przeszkodom, aż wyzwolone zupełnie sprowadza ów stan umysłu, który nazywamy zaspokojeniem. W chwili, gdy pożądanie powstaje, przedstawiamy sobie wrażenia idealnie, przy zaspokojeniu doznajemy ich w rzeczywistości. Jestto kwestya, tłómacząca zasadniczo proces pożądania, i w psychologii w żaden sposób nie powinna być pominiętą milczeniem. Do zwyczajnych zjawisk woli zaliczamy również popęd, skłonność, pociąg, instynkt, namiętność, nałóg, chuć, żądzę; autor jednak nie uważał za stosowne podać ich definicyi albo przynajmniéj opisu tak dokładnego, iżby różnice i podobieństwa między jednemi a drugiemi wystąpiły. Czytelnik, któryby oprócz psychologii pana D. żadnéj innéj nie znał, naukowego pojęcia o rzeczonych zjawiskach wcale z téj psychologii nie zyska.

Wykład ostatni wypadł może najgorzéj z całego dzieła. Ma on być z Henryka Maudsleya „Fizyologii i Patologii duszy" niby tłómaczeniem; w rzeczywistości zaś jest tylko częściowo tłómaczeniem, zresztą przeróbką z powtrącanemi zdaniami pana D., tak, że sądzić raczéj rzecz trzeba nie jako naukę Maudsleya, lecz jako wywód autora „Psychologii Wychowawczéj." Przedmiot, którym się rzeczony wykład zajmuje, ma niezmiernie wielką doniosłość zarówno dla teoryi o wychowaniu, jak dla pedagogiki praktycznéj, tyczy się bowiem sprawy wolności woli i charakteru; uznanie albo nieuznanie pierwszéj rozstrzyga o możności skutecznego wychowania, wyrobienie drugiego pojmowane bywa jako cel ostateczny wszelkich naszych zachodów około młodszego pokolenia. Nieszczęściem obiedwie te kwestye wypadają na zakończenie psychologii i właśnie najniekorzystniéj wyszły z rąk autora, zamykając tym sposobem niefortunnie całą pracę obszerną.

Byłoby bez celu iść w wykładzie zdanie za zdaniem, myśl za myślą i szczegółowo roztrząsać i wykazywać, gdzie przekład jest

wierny i dokładny, gdzie zmieniony, gdzie wtrącona myśl jest nietylko niepotrzebna, ale nawet konsekwencyą wnioskowania psuje, zwłaszcza, że rozciągnęlibyśmy w takim razie nasze uwagi na zbyt wielkie rozmiary. Poprzestaniemy na wskazaniu kilku wybitniejszych punktów.

Już sam początek wykładu niemile uderza swoją niejasnością tak dalece, że niepodobna sobie wyobrazić, co słowom wypowiedzianym odpowiada w rzeczywistości. „Chcenie — twierdzi autor— jestto związek pewnego pożądania lub wstrętu z wyobrażeniem, w celu osiągnięcia lub uniknięcia czegoś.“ Przecież chcenie nie jest „związkiem“, lecz samém pożądaniem tkwiącém w wyobrażeniu i nie „w celu osiągnięcia czegoś“, bo to samo przecież wyobrażenie, w którém tkwi pożądanie, jest celem, tylko że już swobodne, bez żadnych przeszkód i zwykle wrażeniami poparte i uwidocznione. A w każdym razie z owém „czegoś“ nie wiemy co począć, wyraz ten bowiem oznacza rzecz nieokreśloną, gdy tymczasem cechą chcenia jest właśnie świadomość czego chcemy i to od pierwszéj chwili, w któréj chcenie powstaje; tylko przy popędach odzywających się w naszéj naturze, doznajemy wewnętrznego poparcia bez wiedzy, do czego dążymy. Chcenie zresztą wymaga jeszcze tego bliższego określenia, że oznacza ono nie tylko cel, którego pożądamy, ale także drogę, którą do celu zdążyć zdołamy.

Zaraz niżéj występuje p. Dygasiński z wielką energią przeciw wolności woli. Kwestya wolności woli, jak powszechnie wiadomo, jest jedną z najtrudniejszych w psychologii; bardzo wielu wykształconych ludzi nie umie z nią sobie dać rady, nawet między najznakomitszymi geniuszami istnieje spór, dotąd nie całkiem załatwiony, obracający się koło pytania: czy wolność woli istnieje czy nie istnieje? Dodać należy, że spór ten zaostrza się i niepokoi do wysokiego stopnia, ponieważ tyczy się rzeczy wcale nie obojętnéj, lecz ma rozstrzygać o całym szeregu sądów i wniosków, z których tworzy się pojęcie o wartości życia ludzkiego. Wobec wielkiéj trudności sprawy i doniosłego jéj znaczenia, potrzebném jest jaknajstaranniejsze określenie głównego punktu spornego, bo właśnie najczęściéj niejasne tegoż uchwycenie pociąga za sobą najprzykrzejsze nieporozumienia. Otóż w tym względzie ułatwił sobie autor pracę w sposób niedozwolony, dotknął bowiem rzeczy tylko po wierzchu, jakby ją wszyscy dobrze już rozumieli, a nie wytłómaczywszy istoty jéj i rdzenia, wymierza srogie pociski na samo znienawidzone brzmienie wyrazu.

Czém jest wolność woli, dowiadujemy się tylko z tych kilku słów na str. 462: „Cały spór o wolną wolę sprowadza się do tego, iż

jéj obrońcy twierdzą, jakoby każdy człowiek miał możność wybierania między dwiema pobudkami i następnie swobodnego działania lub wstrzymania się od czynu." Z pewnością każdy zdrowo i rozsądnie myślący człowiek przeczytawszy przytoczone zdanie, pomyśli sobie, że owi rzekomi obrońcy wolności woli mają zupełną słuszność. Uprzytomnijmy sobie tylko dwie jakiekolwiek współczesne pobudki z zakresu zwykłych zjawisk codziennego życia, np. gdy zgrzany jestem a szklanka zimnéj wody przedemną stoi, natenczas jedna pobudka, aby zaspokoić pragnienie, skłania do wypicia wody, druga—aby nie narazić się na chorobę, wstrzymuje od wypicia; albo gdy znajduję się w takiém położeniu, że kłamstwo może mi korzyść przynieść, natenczas znowu jedna pobudka, aby zysk osiągnąć, radzi skłamać, druga—aby się nie narazić na sąd sumienia naganny, każe prawdę powiedziéć. W tych wypadkach, obudwu pobudek jestem zupełnie świadom, rozważam je, szeregi myśli w przeszłość i przyszłość sięgające stają po obu stronach i nareszcie „mogę wybierać" między niemi, a „następnie swobodnie działać lub wstrzymać się od czynu." Wolności w tém pojęciu — a tak ją właśnie autor określa—nikt nie ma prawa człowiekowi odmówić, jeżeli nie chce wręcz z widoczną prawdą stanąć w sprzeczności. I rzeczywiście téż, wszyscy psychologowie, którzy się liczą z faktami, nie zaprzeczają jéj, a dla nacechowania, jako wolności swojego rodzaju, nadają jéj nazwę „wolności psychologicznéj", albo „wolności wewnętrznéj," o któréj jeszcze poniżéj kilka słów powiemy. To, co p. D. określił, to nie jest owa wolna wola, którą nazywa „niedorzecznością", ani owa „wymarzona przez metafizyków, a przesadnie określona przez teologów." Cała wojna, którą p. D. (naturalnie słowami nie swojemi) prowadzi, czyni wrażenie walki z nieprzyjacielem, którego wojujący sam nie zna.

Wolność woli, przeciwko któréj pan D. występuje, zasługuje istotnie na odparcie, jako wymysł zupełnie niepotrzebny i wprowadzający zamieszanie w pojęciu woli wogóle. Wymysł ten polega na przypuszczeniu bezwzględnie niezawisłych emanacyi woli, na które nie mają wpływu żadne warunki, czy to fizyczne czy psychiczne. chęci występujących całkiém bezpośrednio z duszy jakoby istoty stojącéj po za związkiem przyczynowym zjawisk natury i niezależnie tak od zewnętrznych chwilowych stosunków, jak niemniéj od wewnętrznego rozwoju i postępu umysłowego. Obrońcy wolności woli wyobrażają sobie, że człowiek swojém „chcę" może w cudowny sposób stworzyć i rzucić w świat absolutnie pierwsze ogniwo, po którem może nastąpić dalszy szereg skutków, wniosków i t. p., przed którém jednak niema nic oprócz duszy, źródła prawdziwie boskiéj

produktywności. Przytém nie wchodzi u nich w rachubę i niema żadnego znaczenia, czy człowiek ów dziś żyje, czy żył przed tysiącem lub kilkoma tysiącami lat, czy młody jest czy starszy, wykształcony czy niewykształcony, cywilizowany czy dziki i t. d. Zawsze on, według ich pojęcia, może wyzwolić się zupełnie i wyrwać się z pośród wszystkiego, co go otacza i co go poprzedzało. Takiéj wolności woli niepodobna uznać za fakt, za rzecz niewątpliwie istniejącą, wierzyć w nią tylko będzie, chyba ktoś taki, co przypuszcza transcendentalną działalność duszy, od téj natury, którą zmysłami i doświadczeniem poznajemy wyswobodzoną i od zjawisk w tejże spostrzeganych odmienną. Do takiéj to wolności woli, w imię nauki opierającéj się na pewnych podstawach, stwierdzonych dostępném dla naszego umysłu badaniem, stosować się mogą zarzuty, które p. D. za Maudsleyem powtórzył, ale nie do owéj niewinnéj, którą sobie on sam według własnego pomysłu wyobraża.

Traktat o wolności woli, jak również cały rozdział o woli z książki Maudsleya przerobiony, ma znaczenie czysto teoretyczne, jako abstrakcyjne rozumowanie nad jednym rodzajem zjawisk psychicznych. P. Dygasiński nadał swojéj książce tytuł „Psychologii Wychowawczéj", zatém zajął już naprzód stanowisko, na którém stojąc, potrzeby pedagogiki powinien mieć na względzie. Ma się rozumiéć, nie wyłącznie; tego nie możemy żądać. W każdym jednak razie spodziewalibyśmy się, że rozwijając teoryą psychologii, szczególnie te punkta w niéj uwydatni i podniesie, które dla wychowawcy albo torują drogę w żmudnéj pracy około edukacyi młodszego pokolenia, albo mu ją przynajmniéj rozświecić są zdolne. Otóż, jeżeli p. D. dołożył starania, aby wymarzone pojęcie wolnéj woli z gruntu wykorzenić, co jako dobra chęć zasługuje na uznanie, to przecież znowu o woli, już nie wymarzonéj ale rzeczywistéj, z którą się zawsze liczyć w życiu musimy, a szczególnie na któréj ukształcenie możemy i winniśmy wpływać, aby się w dobrym kierunku rozwinęła i w nim wytrwała, o téj woli, powtarzam, i o zjawiskach w jéj zakres wchodzących dał nam pan D. bardzo słabe wyobrażenie. Negatywnie usiłował wyrugować z umysłu pedagogów błędne przypuszczenie, pozytywnie nie dał im prawie żadnych wskazówek.

Pan D. przedstawił wychowawcom człowieka jako maszynę nader wielorako skombinowaną, ale pchaną i partą prawami natury na oślep, według nieubłaganego porządku, z którego nic się wyłamać nie może. Cóż z takim uczniem-maszyną, wychowawca sam także maszyna ma począć, gdy chodzi o wychowanie moralne i to takie, które ma rzucić grunt i podstawę na całe przyszłe samoistne życie? Prawda! Jest na to odpowiedź na str. 464: „Celem wychowa-

nia z punktu widzenia etyki jest wytworzyć naturę, dla któréj moralność czynów nie jest sprawą niepewną i oddaną pod kontrolę (?) osobistego roztrząsania, ale jest *nałogiem*, gdzie znika dowolność czynów“ — „drogą (str. 465) powtarzania dobrych czynów, powstaje nałóg, wykuwa się, jakby inna, lepsza natura ludzka. Wszelki bowiem wykonany czyn moralny, na mocy własności *materyi nerwowéj*, ułatwia nam spełnianie podobnychże czynów, a przeto zaprowadza zmiany w naturze jednostek: ma tu miejsce niejako *fabrykacya* moralności w organizmie. Gdy się już nałóg raz rozwinął, organizm zmierza do działalności w myśl tego przywyku, a przyjemność zadawalniania owéj skłonności czynienia dobrze, staje się sama przez się wystarczającą pobudką.“ Pomijam już niewłaściwe w przytoczonych zdaniach wyrażenia, jak „nałóg“, „fabrykacya moralności“ o przedmiocie dla życia ludzkiego najcenniejszym. Rzecz to osobistego smaku;—zwykle mówiąc o sprawach ważnych i cennych, dobieramy wyrazów podnioślejszych i szlachetniejszych, lecz jeżeli kto chce, może przenośnie używać słów z świata rzemieślniczego, przemysłowego, także z pijaństwa, szulerstwa i t. p. Mniejsza o to. Patrzmy raczéj na samę treść i ducha nauki głoszonéj przez naszego autora. P. Dygasiński wskazuje nauczycielom i rodzicom, aby się przyczyniali do fabrykacyi moralności w materyi nerwowéj i doprowadzali uczniów do nałogu moralnego, ale nie wskazuje psychologicznéj drogi, jaką do tego celu dojść można. Chciałby on widocznie, aby młodzież wkładała się bezmyślnie do dobrych czynów i sądzi, że to bezmyślne wdrożenie za młodu już wystarczy na całe życie, zabezpieczy przed moralnym upadkiem i da zapewnienie ciągłego w dobrym kierunku postępu. Istotnie, kto zna cokolwiek wychowanie z praktyki i życie ludzkie umie z psychologicznego stanowiska sądzić, ten zgodzi się bez wątpienia na to, że w moralności przyzwyczajenie wczesne i wprowadzenie na drogę postępowania dobrego odgrywa bardzo znaczną rolę. Poprzestać jednak na téj powierzchownéj metodzie nie można. Człowiek ma zanadto ruchliwą myśl obok nieprzejrzanéj ilości wyobrażeń, zarazem zanadto wiele rozmaitych pożądań, mających siedzibę w owych wyobrażeniach, aby się wychowanie jego mogło ograniczyć do samego mechanicznego wyrobienia. Z drugiéj strony znowu, właśnie nie chcielibyśmy wcale, aby czyny wykształconego były bezwiednym wynikiem sił w nim działających. Jeżeli więc jedno i drugie w pamięci mieć będziemy, a więc ową łatwą zmienność i lotność myśli, tudzież potrzebę ile możności jasnego przeświadczenia o tém co czynimy, to w takim razie postępowanie nasze w wychowaniu moralném musi być podwójne. Po pierwsze musimy działać przeciw chwiejności myśli i rozrywają-

cym na wszystkie strony pożądaniom, nakłaniając ucznia bezwzględnie do czynów odpowiednich zasadom moralnym, które samemu uczniowi jeszcze nie są znane, które atoli wychowawca całkowicie jako stałe normy działania znać powinien. O tych zasadach poucza nas etyka, która je rozwija i wznosi do idei etycznych; wychowawca znający je potrzebuje tylko energii dla utrzymania elewa swojego w należytém posłuszeństwie. Po drugie, musimy także ucznia stopniowo przekonywać o wartości tychże zasad i idei, stopnie i różnice między niemi wskazywać i nareszcie wyrabiać świadomość o nich coraz jaśniejszą i głębszą. Tu psychologia ma wdzięczne pole do pouczenia wychowawców, a szczególnie ten jéj dział, który mówi o wspomnianéj już przez nas wyżéj psychologicznéj czyli wewnętrznéj wolności. Ponieważ pan D. całkiem jéj nie zna, wypada nam małą wzmiankę o niéj uczynić i znaczenie jéj w praktyce pedagogicznéj podnieść.

Ktokolwiek chce w wychowaniu osiągnąć korzystny rezultat, powinien się liczyć z przyszłością wychowanka. Dopóki sam osobiście nad nim czuwa i ma go ciągle pod swojém okiem, zdoła przy należytéj staranności kierować jego krokami ku dobremu i powściągać rozmaitemi środkami od złego. Wychowanek jednak z czasem wyjdzie z pod jego opieki. Na czémże tedy ma wychowawca oprzéć swoje nadzieje, że uczeń jego i wtenczas, gdy zostawiony będzie sam sobie, jeszcze w dobrym kierunku wytrwa? Oczywiście musi już liczyć na jego wewnętrzną władzę nad sobą samym, na to, że sam sobie będzie pomagał i sam się będzie pilnował. Takie przekonanie żywiąc, winien jak przy każdéj rozumnie podjętéj i ważnéj czynności, tak i tu przedewszystkiém znać cel, do którego prowadzi, wiedziéć co to jest samodzielność moralna i jakie są jéj warunki. Przez samodzielność nie rozumiemy nic innego jak tylko ową wewnętrzną czyli psychologiczną wolność woli. Psychologia przedstawia ją jako możność rozstrzygania i wyboru między dwiema lub większą ilością pobudek wiodących do czynu, na mocy zasad i przekonań własnych, jeżli już nie wyłącznie, to przynajmniéj według nich przeważnie. Możności téj doświadcza każdy człowiek myślący i poczuwa się właśnie w niéj jako swobodny i niezawisły. Wprawdzie po bliższém zastanowieniu się nie powiemy, iż to jest wolność bezwarunkowa, lecz raczéj uznamy ją za względną i pewnym prawom podległą, nie mamy jednak słusznego powodu nazwy wolności jéj odmawiać; bo chociaż wszystkie czynniki tworzące ją i ostatni wynik są zapewne zawisłe od stałych wszędzie w naturze panujących praw, czego swoją drogą, nawiasem mówiąc, niepodobna nam w całéj pełni wykazać, to przecież nie trzeba zapominać, że my ludzie po pierwsze mamy pod-

czas ostatecznego działania owych czynników zupełniejszą lub mniéj zupełną świadomość. Jeżeli człowiek ma do wyboru dwie lub więcéj pobudek i decyduje się iść za jedną z nich a innych nie uwzględniać, to wtedy ten człowiek, rozważający pobudki i wybierający jednę z nich, jest rezultatem mnóstwa przyczyn, które sprawiły, że do takiéj czynności jest zdolnym, więc spełnia ową czynność dlatego, że takie a takie odebrał wykształcenie i wprawę, może przez szkołę, że pewne zasady kierownicze zyskały w nim grunt w przeszłości psychologicznéj, że żyjąc w pewném społeczeństwie takie a takie w stosunkach z ludźmi przeszedł doświadczenie, że może ustrój jego cielesny, nerwowy, mózgowy pewną ma formę i właściwości, że niektóre swoje przymioty odziedziczył po przodkach itd. Wtedy, to jest w owéj chwili procesu, gdy rozważa pobudki i ma z nich jedną wybrać, także pobudki mają swoje przyczyny i nareszcie ostateczna decyzya mieć je musi i to wszystko według pewnych praw stałych i niezmiennych. Godzi się atoli nie spuszczać z uwagi, że w każdym owym psychicznym procesie, gdy ważą się pobudki i czyn następuje, człowiek wie o tém, czuje siebie i widzi okiem duchowém walkę motywów, a ta świadomość chociaż nie zmieni żadnego prawa przyrody ani go nie stworzy z niczego, ani nie zniszczy bez śladu, sprawia jednak, że proces umysłowy nasz niezmiernie różni się od fizycznych procesów. Świadome rozważanie pobudek i świadomy wybór, a w następstwie spokój lub wyrzuty sumienia—wszystko zawarunkowane niezłomnemi prawami i z pewnych koniecznych przyczyn, to przecież co innego niż zbliżenie wodoru do tlenu, zmieszanie, złączenie a w następstwie woda—tak samo zawarunkowane prawami i tak samo odbywające się z pewnych przyczyn koniecznych. Do tego jeszcze dodajmy po drugie, że rozważający, wybierający, rozstrzygający, jakotéż mający pobudki i zasady i z niemi występujący, to wszystko jeden i ten sam człowiek, on gospodaruje i rządzi swojemi siłami nad swojemi własnemi zasobami i znowu, gdy się przechyli i przeważy na pewną stronę, to i tu także w grę wchodzą przeważnie jego własne, na ostatni wynik największy wpływ mające czynniki. Tak więc pokazuje się, iż człowiek pomimo tego, że stoi w pośrodku przyrody i jest jedném z ogniw jéj związków przyczynowych, że obsaczony jest na około jéj potężną mocą, przecież stanowi dla siebie odrębny świat, w którym włada autonomicznie, sam sobą, i o żywotności *swojéj swoję* wiedzę posiada. Innéj wolności, dopókąd nie ośmielamy się sięgnąć myślą poza rzeczywistość możebną do stwierdzenia, wcale nie żądamy. Do takiéj samodzielności i jasnéj wiedzy o sobie ma wychowawca obowiązek ucznia przygotować i zaprawiać; środki odpowiednie i metodę postępowa-

nia zmierzającą do rzeczonego celu wskazuje mu pedagogika, w któréj zakres już wchodzić nie chcemy.

Zostawiając na boku wielką tyradę pana D. przeciw nieznanéj mu wolności woli, doszliśmy do rezultatu, że właśnie ta wolność woli, któréj definicyą podał, a do któréj owa tyrada żadną miarą stosować się nie może, zasługuje nie tylko na obronę jako rzeczywiste i interesujące zjawisko życia duchowego, ale także jest celem, do którego kierownictwo wychowawcze zdążać powinno. Bez niéj nie podobna myśléć ani marzyć o poważnym planie pracy pedagogicznéj. Ona też dopiero, czego łatwo się dorozumiéć, daje nam tło, na którego podstawie można mówić o ideale wychowania tj. o silnym a szlachetnym charakterze, mającym się ostatecznie u każdego ucznia wyrobić.

Pan D. rozwodzi się także nad charakterem, ale bynajmniéj nie tym, który tu mamy na myśli. Wspomina on o charakterze w znaczeniu bardzo mało używaném i zdaje mi się, że chciał mówić raczéj o indywidualności. Rozumiem przez indywidualność usposobienie wrodzone każdemu człowiekowi, które go od innych więcéj lub mniéj odróżnia. Wiadomo powszechnie, że każdy z nas posiada pewne właściwości wyłącznie swoje; dwóch ludzi bezwzględnie równych na całym świecie nikt znaleść nie zdoła. Fakt ten znamy, chociaż ani wszystkich powodów owéj różnicy odszukać nie jesteśmy w stanie, ani nawet częstokroć saméj istoty różnicy nie umiemy jasno sformułować. Przypuszczamy tylko, że powody tkwią w odmiennym ustroju ciała, nerwów, mózgu i spostrzegamy np. różne odcienie temperamentu, tempa myśli, jéj żywości, obszerności, różne stopnie nastroju uczuciowego i energii itp. Takie wyłączne właściwości, naturalnie żaden obcy wpływ nieprędko i niełatwo zmienić zdoła. Jeżeli kto określoną indywidualność za charakter uważa, to może zdoła pojąć, jakim sposobem pan D. mógł wypowiedziéć zdanie na str. 479: „Na reformę czyjegoś przekonania (?) nie działa nigdy ani argument wystosowany do jego rozumu, ani silny promień poznania“, chociaż i tak, w téj formie jak zdanie jest wypowiedziane, jest ono mylne. Należało raczéj zacząć: „na reformę czyjegoś indywidualnego usposobienia;“ wtedy pisalibyśmy się na nie bez mała zupełnie.

Rozbierać całéj rozprawy o charakterze, jak go sobie pan D. wyobraża, nie mam zamiaru. Chcę tylko stwierdzić, że w książce autora nie ma wcale mowy o tym charakterze, który określamy i pojmujemy jako konsekwencyą całéj woli i działania przez poddanie się stałym zasadom i poddanie znowu tych zasad jednéj zasadzie naczelnéj. Jeżeli ta zasada główna i owe jéj poddane są moralne,

w takim razie również charakter nazwiemy moralnym. W życiu a nawet w całéj historyi ludzkości rzadko się zdarza spotkać wzór tegoż zupełnie doskonały, zaledwie pojedyńczych rysów niezachwianéj konsekwencyi dopatrujemy się w znamienitszych osobistościach, które wśród najrozmaitszych okoliczności i stosunków, w walce z przeciwnościami zgodnością w przekonaniach swoich i czynach celują, a zarazem odwiecznym prawom etyki zadość uczynić są zdolne. Nic w tém dziwnego. Charakter bowiem moralny jest najwyższém arcydziełem życia psychicznego, świadomém przeprowadzeniem tego, co wiedza ostatnim wysiłkiem myśli zdobyła, w praktyce powszedniéj i w rzeczywistości, w zgiełku świata ze wszystkiemi jego zabiegami, ambicyami i nieznającém kresu współzawodnictwem. Aczkolwiek zwykle dopiero wiek dojrzały i męzki zdobywa w pomyślnym wypadku wybitniejsze znamiona charakteru, a pierwowzór jego dla słabszych sił człowieka wydaje się niedoścignionym, to przecież pedagogika ideał ten przed oczyma mieć zawsze powinna i już w wychowaniu młodzieży wytknąć sobie drogę i naznaczyć nawet tak daleki cel, aby ku niemu wszystkie ścieżki, któremi kroczy, chociażby się przerwać miały gdzieś w środku, w każdym razie przynajmniéj były zawczasu skierowane. Dlaczego pan D. rzeczy tak powszechnie uznanéj w swojéj psychologii *wychowawczéj* ani słowem nie dotknął, to się tylko tém tłómaczy, że wynotował ustęp z Maudsleya, w którym przypadkiem jéj nie znalazł.

Przejrzeliśmy tedy całą pracę pana Dygasińskiego.

Przy niektórych szczegółach musieliśmy się dłużéj zatrzymać nie tylko, aby wykazać, że stanowisko autora i zasadnicze jego poglądy są, zdaniem naszém, mylne i że autor niejedno uważa za pewne, co jeszcze bezsprzecznie zostaje wątpliwém, ale także aby uwidocznić, iż w niektórych znowu innych kwestyach zamało dołożył starania, aby je należycie zrozumiéć i tego niezrozumienia złożył w książce swojéj niewątpliwie dowody. Bardzo wielu punktów nie dotknęliśmy wcale, o innych wspomnieliśmy tylko krótko, że je autor poruszył i rozwinął. Słowa za słowem na tak obszerném polu, jakie psychologia obejmuje, nie podobna rozstrząsać, zwłaszcza jeśli różnice zapatrywań między autorem a sprawozdawcą są małego znaczenia.

Na ostatku zostaje nam jeszcze jeden obowiązek zebrania sądu o całości dzieła i o jego ogólnéj wartości.

Że książka cała jest kompilacyą, o tém już mieliśmy sposobność wspomniéć poprzednio i sam autor z zupełną otwartością do tego się przyznaje. Z przeszło 30-tu dzieł, autor częścią tłómaczy i przerabia wyjątki większe i mniejsze, częścią streszcza lub z opusz-

czeniem pewnych zdań ustępy przytacza. Kompilacya sama przez się może być pożyteczną, zwłaszcza jeżeli brak w jakimś przedmiocie oryginalnéj i samodzielnéj pracy. Kompilacya jednak dobra jest zadaniem trudném, bo z różnorodnych urywków, z których każdy z inną całością organicznie był związany, musi stworzyć całość nową, zręcznym sposobem zestawioną i częstokroć obszerniejszém rozumowaniem uzupełnioną. Pan D. wyzyskał wprawdzie prace, których znaczną część do znakomitych w swoim rodzaju zaliczyć należy. Układając jednak swoje notaty w dzieło, nie zauważył, że stawia obok siebie zapatrywania i wywody z całkiem przeciwnych zasadniczych poglądów wypływające. Kto zna literaturę psychologiczną i wybitne cechy szkół, jakie w niéj się wytworzyły, tego zdumienia ogarnia, jak w idyllicznéj zgodzie obok grubych materyalistów tacy wrogowie materyalizmu, jak wszyscy zwolennicy Herbarta, przemawiać w jednéj książce mogą i zdania jednych tworzyć dalszy ciąg przekonania drugich. Ale nawet bez znajomości rzeczonéj literatury uderzyć musi każdego, kto czytając dzieło pana D. chce myśleć konsekwentnie i umie wnioskować ściśle, ilekroć wpada na zdania dziwnie nieharmonizujące z głoszonemi przez autora materyalistycznemi tezami. Jakżeż np. pogodzić z materyalizmem takie zdanie, jak na str. 133: „Wprawdzie nie możemy poznać rzeczy, jakiemi one są same w sobie; lecz nigdy nie zdołamy zaprzeć się przekonania,—że one się różnią pomiędzy sobą, że rozmaitość zjawisk każe nam przypuszczać rozmaitość rzeczywistego bytu i stawania się.“ Wszakże to Kantowskie „das Ding an sich“ i Herbartowska metafizyka o rozmaitości bytu! A takich niespodzianek jest dosyć wiele.

Pan D. jak tytuł książki jego świadczy, zamierzał napisać psychologią pedagogiczną. Ten zamiar obowiązywał go, skoro już postanowił, stworzyć kompilacyą przynajmniéj z tych psychologów i te ustępy wybierać, które przez jasne wytłómaczenie duchowych procesów dla wychowawcy mogą być szczególniejszą informacyą. Nie uczynił tego jednak wszędzie, że przypomnimy tylko wykład o woli ostatni, który najmniejszego pożytku dla nauczycieli nie przynosi. Natomiast znowu oczywiście wiele rzeczy całkiem niepotrzebnie włączył jak np. z początku większą część nauk z teoryi ewolucyjnéj.

Ponieważ dzieło nie jest oryginalném, mógłby mi kto zarzucić, że nie należało wdawać się w ocenę zdań w niém wyrażonych, lecz tylko stwierdzić, o ile przekład wyjątków z obcych dzieł jest wierny i dokładny. Jestto poniekąd zarzut słuszny, ale nie trzeba zapominać, że autor jakkolwiek wymienia dzieła, z których czerpał, przecież przerabia, uzupełnia i skraca wywody obcych autorów tak, że najczęściéj raczéj dzieło jego trzeba uważać za pracę według swoje-

go rozumienia rzeczy skomponowaną. Występuje zresztą z taką pewnością siebie i tak jest przejęty wielkością myśli wypowiedzianych, iż zapewne gniewać się nie będzie, żeśmy jego dzieło obszerniejszéj ocenie poddali.

Musiałem przytém mieć na uwadze publiczność czytającą naszą, któréj może mniéj chodzi o sprawdzenie sumienności przekładu i porównanie tekstu polskiego z niemieckim, francuskim, lub angielskim, aniżeli o rzecz samę. Téj publiczności pragnąłem wskazać przynajmniéj, aby książkę pana D. z ostrożnością brała do ręki i wiedziała naprzód, że tylko pewne szczegóły w niéj umieszczone zasługują na uwagę, całość zaś jest sztuczną kombinacyą, która się tu lepiéj tam gorzéj udała, ale w ogólności ani ścisłością myślenia ani nawet trafnością wyboru z obcych książek nie celuje.

Dr. Leon Kulczyński.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Jerzy Gordon Lord Byron. Don Juan. Przekład Edwarda Porębowicza. Warszawa, 1885.

Przed laty przekład wierszowy głośniejszego dzieła był u nas zjawiskiem, które nadawało rozgłos tłómaczowi i utrwalało wziętość jego w narodzie, nawet bez innych z jego strony zasług literackich. Piotr Kochanowski, następnie Józef Szymanowski, Kamińscy, Osiński, w znacznéj części Odyniec, tego rodzaju pracom głównie zawdzięczają imię. Był to czas, kiedy czytający ogół jeszcze nie umiał odróżniać na razie i z należytą ścisłością przepaści dzielącéj kopię od oryginału, egzekucyą od kompozycyi, a ulegając bezpośredniemu wrażeniu, w którém główną dlań rolę odegrywał język, tłómacza stawiał sobie na pierwszym planie: oczywiście na pierwszym, — dla krótkowidza.

Dzisiaj położenie się zmieniło. Tłómacze stracili dawniejszy urok, a to nasamprzód skutkiem większego upowszechnienia się znajomości języków obcych, która dostępnemi czyni dla ogółu utwory literatury powszechnéj, porównanie zaś oryginału z przekładem nietylko staje się łatwiejszém, ale i zawsze wypada na niekorzyść ostatniego; powtóre, skutkiem też rozszerzenia się pojęć estetycznych, które pomiędzy znaczeniem wewnętrznén produkcyi i reprodukcyi różnicę bliżéj określać dozwalają.

Jakkolwiek jednak dzisiaj najpoprawniejszy przekład nie będzie ogłoszony za zjawisko, do zjawisk wszakże niepospolitych w téj drugorzędnéj pracy literackiéj zaliczyć można taką, jak świeżo dokonane tłómaczenie bajronowskiego „Don Juana“, choćby ze względu na obszerność wynoszącą przeszło *piętnaście tysięcy* wierszy. Ale nie sama obszerność, dowodząca w każdym razie olbrzymiéj pracy, stanowić może przedmiot zastanowienia. Drugim warunkiem jest

określona ścisłość formy, tak pod względem ilości zgłosek w wierszu, jakoteż ilości wierszy w strofie, a nadto pod względem ściśle określonéj kombinacyi rymów w wierszach składających strofę. Byron bowiem pisał swój utwór formą zapożyczoną od epopei włoskiéj z czasów odrodzenia. Jestto strofa składająca się koniecznie z wierszy ośmiu, a ułożonych tak, ażeby również koniecznie rymowały się wiersz pierwszy z trzecim i piątym, drugi z czwartym i szóstym, siódmy zaś tylko z ósmym. Strofa, w któréj podobna kombinacya rymów sprawia wrażenie wysoce muzykalne, a końcowe zwłaszcza dwa rymy wybijają eufoniczny efekt pod względem czy to patetycznym, czy (stosownie do treści) humorystycznym,— nazywa się oktawą. W poezyi, oktawy, tercyny, sonety, tryolety, i tym podobne formy o taktach muzycznych, powstające w nowotworzącéj się poezyi Zachodu, na miejsce dawnych, nierównie bogatszych i bardziéj urozmaiconych form poezyi grecko-rzymskiéj, stanowią cząstkę tego stylu renesansowego, jaki zapanował we współcześnie kiełkującéj sztuce powszechnéj na południu i zachodzie Europy, a dotąd jeszcze, pomimo opozycyi romantyzmu i zawzięcia się na wszelkie ścieśnienia, z natury rzeczy nie straciły wartości, lubo z potokiem czasu modyfikują się i ulegają dowolnym urozmaiceniom.

Jeżeli tłómacz ma do czynienia z formą mniéj krępującą, jak naprzykład epopeja grecka, układana wielce swobodnym hexametrem, lub dramat wogólności, o ileż zadanie jego jest mniéj uciążliwém! Nie ogląda się on wtedy na żadną strofę, na żadną kombinacyą rymów, mając do wyboru całą czwórkę; ba! może nawet w ostateczności i wcale rymów nie używać, poprzestając na wierszu czysto miarowym, tak zwanym białym (o ile tekst go do tego upoważnia) i zadanie swe spełni dostatecznie, choć, zdaniem mojém, ze względu na naturę poezyi polskiéj, lubującéj się w rymie, niezupełnie. Inna rzecz, jeżeli tekst oryginalny wyraźnie pewną określoną ścisłość formy zastrzega, tak jak to z całego ujęcia architektonicznego, ściśle połączonego z treścią poematu, chciał miéć w „Don Juanie“ Byron. Wymaganiu temu w zupełności zadość uczynił tłómacz, téj sobie nawet ulgi nie czyniąc, jak Baworowski, ażeby dla łatwiejszego uporania się z tekstem, wiersz jego jedenastozgłoskowy na trzynastozgłoskowy zamienić, uważając słusznie, że na tém rozdłużeniu ucierpiałaby dosadność językowa.

Formalnéj więc stronie poematu, jego ciału, jak widzimy, z trudem którego nikt nie oceni należycie, kto sam tego nie probował, tłómacz uczynił zadość. Ale ciało nie wyczerpuje wszystkiego; pozostaje najważniejsza strona duchowa: wierność. Zaglądamy do tekstu oryginalnego, porównywamy.

Chociaż Byron, jak powiedzieliśmy, do poematu swego przyjął formę z czasów odrodzenia, duch jego naracyi wszakże zgoła nie odpowiada téj epoce. On tę naracyą zastosował do stylu, którego początek nie o wiele poprzedził jego własną epokę, do stylu barocco, odpowiedniejszego treści, jaką wziął przed się. Po epopei antycznéj przyszła epopeja renesansowa (Camoens, Tasso), która, jak w całéj sztuce przestrzennéj i idealnéj jeszcze się opiera na podstawie starożytnéj i miesza oba żywioły. Ale odkąd historya właściwa wzięła pod swą opiekę bohaterów i wielkie wypadki dziejowe, Muza, w miarę postępu historyi, tak w Grecyi, jak i w świecie nowożytnym, zaczęła ich ze swéj opieki wypuszczać, ustępować w tym względzie kroku poważniejszéj siostrze. Myt, legenda, stanowiące najwalniejszą przyprawę eposu, dziwnie wyglądały w krytyczném świetle rzeczywistości. Epopeja musiała się zreformować stosownie do nowych warunków.

Twórczość Byrona przedstawia *par excellence* tę epopeję zreformowaną, która ostatecznie znalazła nie najmniéj świetne wyrazy i w naszéj poezyi romantycznéj, i zjechała aż na poziom powieści i romansu. Jego bohaterowie, jakkolwiek fikcyjni, ale wybierani są ze świata powszedniejszego, a działania ich nie ulegające już wpływom sił nadziemskich, wyobrażają raczéj proste objawy i komplikacye psychologiczne. I ton téż jego opowiadań zmienia się stosownie do powagi i znaczenia bohatera.

„Don Juan“ jest to bohater dość lichego organizmu, jako człowiek: temperament wielce romansowy, zapalność miłosna zgoła tylko samolubna, miłość bez uczucia, przytém odwaga istotna — oto rysy składające się na indywidualność, śmieszną raczéj niż sympatyczną. Więc téż ten tytułowy bohater jest tylko pretekstem poematu, w którym głównie prześwieca sam autor. Wziął on sobie za przedmiot stare podanie hiszpańskie, bez wartości, ażeby, zdaje się zyskać wątek naracyjny, byle jaki: na téj dopiero kanwie haftuje on najrozmaitsze arabeski, pełne dowcipu i tego klasycznego angielskiego humoru. Tutaj to wylał on całą żółć swoję na ludzi i instytucye ludzkie; wyśmiał, wydrwił, wyszykanował rozmaite powagi, rozmaite urządzenia społeczne; nie darował nikomu i niczemu, począwszy od Biblii aż do krytyki literackiéj. Tutaj to najjaskrawiéj może przedstawia się z całą swą kapryśną i splinową naturą ten wielki sceptyk i romantyk, który owę „ironią romantyczną“, jeden z żywiołów jego epoki literackiéj, tu mianowicie wyzyskał do najwyższego stopnia, wytwarzając mnóstwo różnojęzycznych naśladowców. Ton téż jego poematu, z takich złożonego elementów, od samego początku jest jedną drwiną, śród któréj błyskają jak gwiazdy tu i owdzie, krótkie,

nieporównanéj piękności poetycznéj obrazki; jak gromy huczą oburzenia na złość, obłudę lub głupotę ludzką. Poemat, pomimo formy nieco hulaszczéj, a nic sobie nie robiącéj z czytelnika, w gruncie posiada zasadę surowéj prawości i etyki poprawnéj.

Otóż, możemy powinszować tłómaczowi polskiemu, że pomimo ogromnych rozmiarów dzieła, wszędzie zachował nader szczęśliwie ten ton sarkastyczny i jowialny oryginału, i zastosował się umiejętnie do odcieni odskakujących od głównego tła. Zrozumiał warunki efektów harmonijnych wiersza, tak, iż efekt ogólny przekładu prawie dorównywa oryginałowi.

Powiadamy, prawie; gdyż o tożsamości efektu trudno marzyć. Różnice natury i zasobów językowych sprawiają, że często wierność przeszkadza gładkości i nawzajem. P. Porębowiczowi przeważnie chodziło o pierwszą, i dla osiągnięcia jéj poświęcił, gdy nie mógł inaczéj, ogładę, przez co nie wszystkie jego strofy posiadają tę artystyczną okrągłość, jaką odznacza się oryginał. Czasami wyrwie się rym niezdarny:

„nie mogąc roz*proszyć*
Oszczerstw, rozdźwięki ich chciała przy*głuszyć*",

albo trzykrotnie zrymuje się wyraz na *ając*.

Zkądinąd, pod pretekstem igraszek dozwolonych w stylu rokoko, niekiedy ukaże się jakiś umyślny dziwoląg wierszowy, np.

„Z nim wyszedł jego „posse comi*tatus*,"....
Lecz go Antosia gniewna nakształt *gratu*, z
Izby wypchnęła."

Usiłowanie zamknięcia się w szczupłéj a treściwéj formie, nakazanéj przez oryginał, doprowadza czasem do niejasności, jak:

„Żart — żartowała czasem, — jak z Attyki."

Nie z Attyki to żartowała Ines, jak możnaby z tego układu mniemać; ale żarty jéj posiadały charakter attycki, ów wytworny, zwany solą attycką.

Albo też ten sam zapewne powód doprowadza do błędu gramatycznego:

„Zostanie imię, portret, butów *parę*; (recte *para*);

lub do niepoprawności logicznéj:

„Większyś ty (Plato) zamęt sprawił twojém mglistem
Mamidłem w serca niestrzeżonem ziarnie,
Niż wieczne bardy...."

Jakim to sposobem można *zamęt* sprawić w *ziarnie*? Co to za obraz?

Nie zawadzi też zwrócić uwagę tłómacza na częste a zgoła nawet potrzebą niewywoływane łamanie rytmu przed cezurą; w rodzaju np. „Czarne jak*o* śmierć.... w rzęs jedwabnym cieniów." W ten

sposób użyta fałszywie arsis, z nadwerężeniem harmonii wiersza jedenastozgłoskowego, co chwila się napotyka; a przecież i tu nawet przez proste przestawienie możnaby tego uniknąć: „Jako śmierć czarna“....

Próbki tych wykroczeń, zanotowane na wyrywki w jednéj tylko pieśni, powtarzają się do końca. Warto było ich uniknąć, zapewne; ale są to tylko drobne pyłki na wielkiéj przestrzeni połyskującéj talentem wykonania. Kto tak na wstępie do zaczarowanego kraju Muz potrafił zespolić się odrazu z duchem wielkiego poety, a przedewszystkiém potężnego artysty, ten daje otuchę, że z nim przybywa nowa a istotna siła do naszéj literatury, nie wiemy o ile twórcza, ale posiadająca kunszt językowy, doprowadzony do znakomitego stopnia i niezaprzeczoną zdolność asymilacyi.

Kaz. Kaszewski.

= **Wiktor Gomulicki. Obrazki prawdziwe.** (*Warszawa, T. Paprocki i Sp.*). — Szereg „obrazków“ otwiera artysta. Na imię mu było Coelio. Człowiek prostoty gołębiéj żył, jak żyją ptaki niebieskie, nie latał dla tego tylko, że skrzydeł nie posiadał, ale śpiewał i nie siał, ani orał. O jutro nie dbały, zamykał się w chwili dzisiejszéj a powodował wrażeniami chwili. Z racyi téj w długach po uszy siedział i miłość swoję lokował na chybił trafił. Rozkochał się był np. w Lorce niejakiéj, śpiewaczce ogródkowéj, wymodelowanéj na wzór i podobieństwo „Nany“ i przekonany był, że miłość ta „odmładza go, zmężnia, podnosi.“ Potrzebując żywić starą matkę i siebie, chwytał się robót dorywczych po redakcyach, teatrach, u wydawców i muzyków. Jeden z przedsiębiorczych dyrektorów teatrów ogródkowych wziął go na wyzyskiwanie. Coelio się zamknął i napisał arcydzieło, które mu się wydawało głupstwem — teatr osiągnął zyski ogromne; Coelio się zamknął powtórnie i napisał głupstwo, które mu się wydało arcydziełem, a które, przez publiczność wygwizdane i przez krytykę niemiłosiernie schłostane, przyprawiło go o śmierć.— Obrazek drugi jest opowiadaniem o przedśmiertnych, na mrozie, przekupki, pani Maciejowéj, marzeniach. Zamarzło biedactwo. — Treści do obrazka trzeciego dostarczyła panna Hortensya, która, na rezydencyi u braterstwa zostając, o sobie jeno myślała, ale się poprawiła i kosztem własnym siostrzeńca do szkoły posyła.—„Swój do swego“ daje nam poznać hrabiego, co wziął z ulicy dziewczynkę, wychował ją na bawidełko dla siebie, zbytkami otoczył i tego się doczekał, że piękna Mańka z pałacu uciekała do najohydniejszego rzędu szynku, do Janka pijaka, który ją bił, ale którego ona ko-

chała: wreszcie ostatecznie uciekła— z ulicy wzięta, na ulicę wróciła. —„Marysia“ przyszła na świat w suterynie, ojciec ją odszedł, matka na ręce ludzkie oddała; dziewczyna dorosłszy, po służbach się tyrała, przez ręce stręczycielek przechodziła; za mąż iść miała, ale z racyi ospy nie poszła; wkońcu tyfusu dostała i umarła w szpitalu, kiedy w sali mężczyzn skonał „jeden chory na *delirium tremens*. Był to ojciec jéj.“ Wyniesiono ich razem na cmentarz i pochowano obok siebie. Ale wprzód jeszcze przeszli oboje przez prosektorium.“ — Człowiek nerwowy— w obrazku p. t. „Garść kwiatów“ — opowiada, jak, zrobiwszy kilka, jedną po drugiéj rzeczy na przekór sobie i drugim, żeni się się wkońcu z Zośką dla téj racyi, że Zośka owa kwiatami go obsypała. — „Nicefor“ jest-to Coelio na inny sposób: młody człowiek bogaty, artysta i próżniak — próżniak z wyrozumowania. Posiadał on psa. On spotkał niejaką Waleryą, a pies niejaką Sabę. Walerya wskazała Niceforowi drogę pracy, wszedł na nią i umarł,— pies nawet, zajęty miłością Saby, za trumną jego nie szedł.—O trzech ostatnich obrazkach — „Pierwszy mróz“, „Próba w cyrku“ i „Pocałunek“—powiemy jeno, że dopełniają tomiku, który się czyta z rozkoszą, nie dla treści tych obrazków miniaturowych, która jest mniéj więcéj znaną, nie dla myśli, która się na wierzch nie wydobywa, nie dla czego innego, jak dla kunsztowności obrobienia. Autor włada po mistrzowsku językiem i ma na rozporządzenie swoje porównania i zwroty szczęśliwe, nadające obrazkom jego koloryt właściwy—ten koloryt, który malarze nazywają „ciepłem.“ Nic nadto, nic za mało. Utworek każdy przedstawia całość zaokrągloną i w sobie pełną. Są to obrazki „prawdziwe“ — w rzeczy saméj prawdziwe, ale malujące postacie i sytuacye, stanowiące wyjątkowości na tle życia powszedniego. Coelie, Nicefory, Mańki etc., nie trafiają się na każdym kroku.

═ **Kobiéta w poezyi polskiéj.** *Głosy poetów o kobiecie przez autora Antologii polskiéj. Z 8-ma rysunkami E. Andriollego.* — P. Władysław Bełza ułożył a pp. Gebethner i Wolff wydali książkę, która może śmiało rywalizować z ozdobnemi wydawnictwami zagranicznemi, jakie się zazwyczaj przed Nowym Rokiem ogłaszają, by służyć mogły na miłe i ładne podarki. Papier, druk, ozdoby okładki nic nie pozostawiają do życzenia albo bardzo mało przynajmniéj. P. Andriollemu wszakże możnaby zrobić zarzut, że trochę sobie lekceważył robotę, która na lekceważenie bynajmniéj nie zasługiwała. Z ośmiu rysunków jeden tylko, przedstawiający Zosię Mickiewiczowską pięknym nazwać można, inne nie tylko naprawdę ładnemi, ale poprostu udatnemi nie są; a np. „Królowa zabawy“ (do wiersza Felicyana), „Przy okienku“ (do wiersza St. Grudzińskiego), „Przy kaganku“ (do wiersza Wł. Bełzy) są albo niezgodne z treścią illustrowa-

néj przez nie poezyi, albo wykonane bardzo niedbale. Co do wyboru samych poezyi, jest on wogólności trafny i dostarcza obfitego wątku do dumań lub uśmiechów, zapożyczonego od 80 poetów, którzy pisali u nas o kobiecie począwszy od wieku XVI aż do chwili obecnéj. Rzecz naturalna, że o wyczerpaniu materyału mowy tu być nie mogło, że mianowicie dawniejsze stulecia bardzo skąpo zostały uwzględnione (bo tylko na 34 stronach), gdy przeciwnie czasy najnowsze aż zanadto znalazły w książce przedstawicieli. Rozumiemy bardzo dobrze, że w książce dla szerokich kół czytelniczych przeznaczonéj stara literatura nasza nie może zajmować dużo miejsca; mimo to uważamy za błąd redaktorowi jéj, że tak rdzennie polskiego pisarza jak Mikołaj Rej w niéj nie pomieścił. Z jego „Wizerunku" dałyby się przytoczyć bardzo malownicze obrazki życia rodzinnego w Polsce XVI w. ujęte w wiersze wcale gładkie i potoczyste. Podobnież szkoda, że z Szarzyńskiego nic nie wzięto, choćby sonet: „I nie miłować ciężko i miłować", albo téż który z ślicznych, subtelnych nagrobków dla Kostczanki. Zamiast pomieszczonych tu wierszy Kniaźnina, lepiéj było dać jego „Matkę obywatelkę" albo wyjątek z „Matki Spartanki." W najnowszym natomiast okresie poezyi naszéj można było bez najmniejszéj szkody dla książki obejść się bez niejednego utworu poetów, a raczéj wierszopisów mniéj utalentowanych. Błędy te i usterki są małoznaczące i łatwo usunięte być mogą przy drugiém wydaniu, którego książka ta prawdopodobnie rychło się doczeka. Wówczas téż można będzie poprawić nieliczne błędy pisowni i omyłki druku (posz*u*stny, kł*u*ciła, hyzi, *Scholarów* piarum) oraz niewłaściwe, widać przez redaktora wprowadzone formy gramatyczne: dzisi*e*j, tut*e*j, stale się powtarzające, jak nie mniéj niemiłą usterkę składniową w wierszu samegoż redaktora: dwie *perel* (str. 331).

= **Szkice z Gruzyi** *przez Artura Leista.* — Nie pierwszy to raz zapoznaje się nasza publiczność za pośrednictwem literatury z tą piękną, poetycznie nastrojoną krainą. Szczególniéj opowiadania i opisy Kazimierza Łapczyńskiego, R. Klonowskiego, W. Podlewskiego, drukowane przed laty w „Tygodniku illustrowanym" roztoczyły przed nami piękne krajobrazy, zaznajomiły z ludnością, jéj obyczajami a po części i literaturą. Prawdopodobnie opowiadań tych p. Leist nie znał, jako nie tak łatwo dostępnych, gdyż żadna w odbiciu książkowém nie wyszła; nie podejmował zresztą pracy naukowéj, kreślił tylko wrażenia, jakich doznawał w podróży po morzu Czarném i podczas pobytu w Batumie, Tyflisie, na wsi gruzińskiéj, w Mechecie, Kutaisie; notował swoje spostrzeżenia i podał owoc studyów swoich nad literaturą ormiańską i gruzińską. O tym ostatnim

przedmiocie pisał już p. Leist osobno w naszém „Ateneum“ i w „Magazin für die Litteratur des In und Auslandes“; obecnie w wydaniu książkowém szkic ten został zupełnie nanowo przerobiony, opatrzył go autor kilkoma przekładami poezyi gruzińskiéj; ustęp ten może być uważany za istotne wzbogacenie naszego piśmiennictwa wiadomościami o literaturze znanéj u nas tylko bardzo ułamkowo. Co do opisów przyrody i charakterystyki mieszkańców, nie widać tu wprawdzie jakiegoś szczególnego talentu, ale wszędzie znać czuły na piękności natury umysł, wykształcenie wyższe, smak wytworny i umiejętność chwytania rysów rzeczywiście znamiennych. Książka-to ze wszech miar warta czytania.

= **Lira polska**, tomik 7: *Deklamator*. Ładne wydawnictwo „Liry polskiéj“, pięknym drukiem na ładnym papierze rozpowszechniające najcelniejsze utwory krótsze poezyi polskiéj, znalazło powodzenie i rozwija się ciągle. Obecnie ogłoszony tomik 7-y zawiera utwory do deklamacyi przydatne, wybrane z pism 18-u już to znakomitych już to mniéj znakomitych ale utalentowanych autorów i jednéj autorki. Z pism Mickiewicza podano tu część prologu do III części „Dziadów“ oraz prawie całą improwizacyą z tychże. Z poezyi Słowackiego pomieszczono cudny liryczny wyjątek z Beniowskiego, poprzedzający znane dobrze przedstawienie jego do Mickiewicza stosunku, wyjątek z Podróży na Wschód, a wreszcie żartobliwo-satyryczny fragment p. n. „Bajka“, niedawno z rękopismów wydobyty. Z utworów Krasińskiego wydrukowano tu znany „ułomek z glosy ś. Teresy.“ Z nowszych poetów najwięcéj wydawcy dostarczyły wyjątków poezye Asnyka, Konopnickiéj, Ujejskiego, Lenartowicza, Bałuckiego i Mirona. Oprócz tu wymienionych po jednym utworze dostarczyły poezye Anczyca, Balińskiego, Czesława, Gawalewicza, Jaśkowskiego, J. N. Kamińskiego, Romanowskiego, W. Szymanowskiego i Wolskiego.

= **Niepoprawni**, *powieść społeczna J. Turczyńskiego* (Lwów, 1885) Niepoprawnymi nazwał tu autor potomków rodzin starożytnych, grzeszących dumą rodową i wiarą „w coś, co się stać musi bez ich pracy,“ oraz zbogaconych i powierzchownie ucywilizowanych żydów, grzeszących dumą majątkową i „rasową wiarą w nieomylność rachunku.“ Pierwszych nie oszczędza wprawdzie, ale ma dla nich pewne spółczucie; nie ma zresztą nic o nich nowego do powiedzenia i wystawia ich tak, jak się oni zazwyczaj ukazują w powieściach Zacharyasiewicza. Z żydów natomiast drwi, wyciągając na jaw wszystkie Geldhabowe śmieszności i Shylokowe drapiestwa, akcentując dążność do panowania nad światem i do zjadania owoców z drzew, których nie szczepili. Różnicę kapotowego ojca od tużurkowego syna,

uwydatnioną kilkakrotnie w akcyi, streścił p. Turczyński w słowach: „Ojciec jego (tj. Dawida Badmera), żyjący w innych czasach, przyzwyczajony panów uważać zawsze za panów a żydów tylko za żydów, nie czuł żadnéj goryczy ni żalu do innoplemiennych; zastawiał na nich sidła, gdyż tak czynili jego ojcowie, toż i on tak czynił, nieprzyzwyczajony bojować z otwartą przyłbicą, ale żółci najmniejszéj ni goryczy pana Dawida nie miał wcale; jego bowiem nikt nie mógł obrazić ani miną, ani nawet słowem najdotkliwszém: na takie rzeczy był zanadto doświadczonym. Nie mógł nawet pojąć, dlaczego ich dzieci dzisiejsze takie nerwowe a drażliwe, wszak oni im téj dumy w spuściźnie nie przekazali? Oni im kazali tylko pracować i zbierać i chwalić Pana Boga po zakonie, a w sabat po sześciu dniach trudu i mozołów spoczywać. Nowe pokolenie ani się tyle modli, ani dosypia sabatu, lecz jeżeli się nie bawi nakształt Edomczyków, prowadzi wtedy daléj, bogdaj w domu, sprawy dni roboczych...“ (str. 107) Dawid Badmer miał dwie córki Eulalię i Rozynę. Eulalia miała pretensye do wysokiego wykształcenia, choć nie lubiła Szekspira i czekała, ażeby się wyrobił; miała téż pretensyą do znakomitéj gry na fortepianie i śpiewu, choć goście w salonie drżeli na same wspomnienie jéj produkcyj; pragnęła błyszczeć, ale nie miała gustu; wyszła najprzód za bogatego Meszulema Herzberga, który jako modny narzeczony cierpliwie słuchał jéj gry i śpiewu, a jako mąż powiedział, że te talenta na nic się w interesie nie zdadzą; rozstała się więc z grubianinem i wyszła za Veilchenbluma, który sam lubił grać, ale także lubił się kochać w kawiarkach i szansonistkach, tracąc grube pieniądze, więc i z tym wzięła rozwód. Rozyna nie była podobna do swéj siostry w niczém, żyła jakby obca w zwykłém towarzystwie zbierającém się w domu jéj rodziców, ujrzała raz a następnie pokochała pięknego blondyna o czarném oku, chrześcianina, siostrzeńca hr. Drużopolskiego, którego majątek obdłużony miał przejść na własność Dawida Badmera. Rozyna i Zygmunt sądzili, że postępowy Dawid zezwoli na ich związek; ale w tym razie Dawid okazał się wiernym tradycyi religijnéj; surowo zakazał Rozynie myśléć o Zygmuncie, projekt ucieczki popsuł i wydał ją za mąż za krociowego spółwyznawcę. Rozyna słabła coraz bardziéj i umarła a Zygmunt, na którym hr. Drużopolski pokładał wielkie nadzieje, stał się „niezdolnym do niczego hipokondrykiem.“ Ton drwiący w obrazowaniu życia żydowskiego może się podobać pewnéj części ogółu, ale odbiera powieści znaczenie studyum społecznego, zamieniając ją na jednostronną satyrę, niewolną tu i owdzie od karykatury. Kompozycya jest bardzo luźna; rozdziały następują po sobie dowolnie; autor przerywa jeden wątek bez widocznéj potrzeby, ażeby snuć drugi, a następnie znów

wrócić do niego itd. Styl nie posiada zalet żywości i barwności; a język pomimo starania o poprawność nie jest wolny od błędów rażących; jest to niestety prawie powszechną wadą pisarzy galicyjskich, iż nie umieją używać słów przechodnich z przeczeniem i piszą: „ojciec *nie ceni pieniądz* nadewszystko“ (str. 121), starzec nie lubi *myśl swą* nużyć (str. 127) itp. itp.

— **Marysia**, *komedya w 1 akcie przez J. Jordana* (War. 1885). Jestto obrazek życia wiejskiego, przedstawiający stosunki kmiecia, połownika i zagrodnika, czyli innemi słowy arystokraty, szlachcica i plebejusza sielskiego. Połownik Niezgoda ma córkę, ładną Marysię, która kocha zagrodnika Wojtka. Połownik patrzy na tę miłość krzywém okiem, dokucza matce Wojtka Drobniaczce, tak że ją zmusza wraz z synem, do wyprowadzenia się ze swéj chałupy. Marysię kocha także kmieć Bartek, zyskuje sobie ojca i pewny jest że wobec jego zamożności i godności kmiecéj dziewczyna przyjmie go z chęcią. Ale Marysia nie doznaje olśnienia i niezgrabne zaloty Bartka przyjmuje z niechęcią. Chwilowo i ojciec jéj przeciwko Bartkowi występuje, gdy Drobniaczka rozpuściła wieść, że syn jéj wygrał wielkie pieniądze na loteryi, lecz przekonawszy się, że to bajka, nastaje na córkę, by losu nie odpychała. Wówczas, Marysia bierze się na sposób; korzystając ze znajomości sztuki pisania, która Bartkowi obcą była, pisze list do organisty i każe go natrętnemu konkurentowi podpisać, list, w którym Bartek wyrzeka się zamiaru żenienia się z Marysią i prosi organisty, ażeby go poparł w obec matki, tego związku najbardziéj pragnącéj. Figiel ten, w farsie ujść mogący, ale nie w komedyi, doprowadza zawikłanie do szczęśliwego rozwiązania sztuki, która ma kilka scen udatnych, a odznacza się trafnemi spostrzeżeniami co do sposobu myślenia i postępowania naszych wieśniaków; duma rodowa, chciwość na pieniądze, upór, kłótliwość, a w gruncie dobre serce: oto cechy główne. W języku nie zachowano konsekwencyi; ta sama osoba raz mazurzy, drugi raz nie; wyrażenia po większéj części są dobrze do sfery pojęć ludowych zastosowane, tak że się wydają, jakby żywcem z ust ludu pochwycone; rubaszne są a malownicze.

= **Dzisiejsi**, *komedya w 1-ym akcie oryginalnie napisana przez Maryana Gawalewicza* (Warsz. 1885). Autor, znany dotychczas jako gładki wierszopis, gładki feljetonista, i gładki twórca lekkich i zabawnych fraszek dramatycznych, w „Dzisiejszych“ potrącił kwestyą głębszą i przeprowadził ją z niezwykłą zręcznością i dowcipem niemałym. Chciał on przedstawić tę pustkę serc, jaka w towarzystwie salonowém wskutek wyziębienia uczuć serdecznych, szczerych powstaje, zapełniając się mniéj lub więcéj wyszukaną frazeologią uda-

jącą uczucia i namiętności. Julia, młoda wdowa, mająca zapewne i dobrą i złą naturę, ale nie lubiąca dobréj pokazywać światu, zbyt przezorna i wyrachowana, zbyt niedowierzająca w sprawach serca, kokietka, wywołująca wyznanie, ażeby je dowcipnie wyśmiać i tym sposobem się ubawić, fantastyczka, która dla zadowolnienia swych zachceń zdeptać gotowa kornie ku niéj chylące się głowy i serca, chce zrobić doświadczenie na jednym ze swych kapitalnych i najbardziéj godnych poważania wielbicieli, na doktorze Juliuszu. Doprowadziwszy tego wytrawnego i w sztuce odpierania słownych ciosów wypróbowanego salonowca do wyznania swéj miłości, zażądała od niego jakiegoś niezwykłego dowodu, że uczucie to wszelkie przetrwa próby Miała jakiś eliksyr indyjski, dający jakoby najprzód cudne marzenia a potém śmierć; kilka kropli tego eliksyru wlała do herbaty doktora i swojéj i wezwała Juliusza, by pierwszy wypił tak zaprawiony napój. Zgodził się na to doktór, przeniknąwszy dotkliwy żart Julii, napisał list jakoby ostatni; a potém nie dowierzając skuteczności eliksyru, dolał znów belladony do herbaty zapraszając Julię ze swéj strony do spełnienia próby. Julia uwierzyła w istotnie trujący wpływ płynu wlanego przez doktora, i nie chciała narażać swego życia, zaniepokoiła się stanem doktora, ale gdy ten odchodził, by umrzeć u siebie, nie przywołała go, by nie okazać mu swéj słabości. Z listu dowiedziała się, że owa belladona była zwyczajną solą „do trzeźwienia czasem omdlałych kobiet, a czasem mdlejącego pomysłu,“ przytém radę, że „serdecznéj struny w mężczyznie nie należy nigdy przeciągać, a w miłości źle być... za sprytną.“ Julia, pomimo, że doktór zapowiadał w liście, iż opuszcza jéj salon wyleczony zupełnie ze złudzeń i chęci pozyskania jéj serca i ręki, zamyśla go znowu prosić do siebie, bo „zabawnych mężczyzn i zajmujących tak mało, ah, jak mało!“, a przepędzić wieczór w towarzystwie takiego Juliusza... bardzo przyjemnie... „Dzisiejsi“ kończą się jak fraszka, ale mają w swém rozwinięciu kilka scen pobudzających do głębszego namysłu nad tém zdenerwowaném, zmuszoném do szukania sztucznie ekscytacyi towarzystwem, oraz wiele dowcipnych słów i zręcznie obmyślonych położeń, w których możnaby chyba wytknąć powtarzanie tylko przez doktora pomysłów Julii; sprawia to zamierzony efekt, ale możeby lepiéj było, gdyby doktór zamiast podrzeźniać, zrobił coś samoistnego.

= **Gramatyczka polska dla Anglików**. Księgarz londyński Trübner podjął wydawnictwo bardzo zwięzłych, albo „uproszczonych,“ jak tytuł powiada, gramatyk, chcąc ogarnąć w tym zbiorze wszystkie główniejsze języki europejskie i azyatyckie. Redakcyą ogólną zajmuje się Reinold Rost, a obrobienie działów wzięli na siebie specya-

liści. Po gramatyce indostańsko-persko-arabskiéj, węgierskiéj, baskijskiéj, nowogreckiéj, rumuńskiéj, tybetańskiéj, duńskiéj, tureckiéj i szwedzkiéj, nastąpiła i polska. napisana przez znawcę języka i literatury naszéj W. R. *Morfill'a.* Mieści się ona na 63 stronniczkach i obejmuje najważniejsze prawidła i wzory wymawiania, deklinacyi, konjugacyi, etymologii i składni. Autor powiada w króciutkiéj przedmowie, że zajmujący się filologią porównawczą może sobie z téj gramatyczki utworzyć wolne od błędów pojęcie (*a correct idea*) o budowie języka polskiego, a ten kto pragnie czytać w oryginale dzieła takich pisarzy jak Mickiewicz i Krasiński, może się nią posłużyć jako pierwszym, początkowym podręcznikiem. Jest to zdanie bardzo optymistyczne. Ani z 3 deklinacyj według rodzajów, ani z 3 konjugacyj, według zakończenia 3 os. l. p. cz. t. żaden zapewne cudzoziemiec nie pozna odmian naszych rzeczownikow i słów w tym stopniu, ażeby mógł ich formy tworzyć lub je nawet pochwycić; a zajmującego się filologią porównawczą, taki podział, dla Polaka w praktyce może wystarczający, niczego prawie nie nauczy. Cenimy dobre chęci autora, ale nie możemy powiedziéć, ażeby ze swego zadania wywiązał się szczęśliwie. O błędach ortograficznych nie wspominam, ale wytknąć wypada twierdzenie, iż wyraz *ksiądz* ma w dopełniaczu *księże* (str. 7); może to także błąd drukarski, zamiast wołacza wydrukowano dopełniacz; ale błędu tego nie sprostowano w erratach.

= **Historya filozofii od Talesa do Comte'a** *przez Jerzego Henryka Lewesa.* Wolny przekład z 5-go angielskiego wydania Adolfa Dygasińskiego (Warsz. 1885). Przerażająco szczupły zasób książek, odnoszących się do dziejów filozofii, w literaturze naszéj każdemu pragnącemu poznać tę naukę za pośrednictwem języka polskiego dotkliwie uczuwać się dawał. Istotnie książek przedstawiających całość historyi filozofii mieliśmy tylko trzy i to wszystkie przestarzałe. Ani dziełko Tennemana, ani Schweglera, ani Saisseta nie mogą zadowolnić najskromniejszych nawet wymagań dzisiejszego ucznia t. z. „królowéj nauk.“ Rozpoczęte wydawnictwo obszerniejszego podręcznika Laforeta przerwane zostało, tak że tylko część dziejów filozofii starożytnéj posiedliśmy; znakomita zaś praca Langego („Historya materyalizmu“) tylko jeden kierunek filozoficzny w jego dziejowym rozwoju przedstawia. Podjęcie zatém przekładu historyi filozofii Lewesa, wysoko cenionéj przez Niemców, mających nadmiar dzieł w tym rodzaju, uważać musimy za nadzwyczaj trafny pomysł a uskutecznienie go i ogłoszenie drukiem za istotną przysługę dla umysłowości naszéj. „Wolność“ tłómaczenia p. Dygasińskiego zasadza się na tém tylko, że obszerniejsze przypiski z cytatami tekstów oryginalnych w znacznéj części wypuszcza, nie dozwalając sobie zresz-

tą żadnych zmian ani skróceń w samym wykładzie Lewesa. Nie robi się przez to żadnéj szkody czytelnikom naszym, bo ci, coby mogli z tekstów np. greckich korzystać, już nie potrzebują tłómaczenia dzieła Lewesa; dla ogółu zaś książka, balastu erudycyjnego pozbawiona, będzie dostępniejszą. Nie wszystkie wszakże teksty greckie wyrzucił tłómacz; najważniejsze pozostawił. Przekład jest dokonany sumiennie, językiem poprawnym.

= **Choroby woli. Choroby osobowości** *przez T. Ribota, przełożył J. K. Potocki.* (*Warsz. 1885*). — Z artykułu p. Ochorowicza o chorobach woli, pomieszczonego w „Ateneum" 1884 r. czytelnicy znają treść, metodę i wartość dzieła Ribota, nie potrzebujemy więc tutaj wykazywać korzyści, jakie przekład jego na język nasz z sobą przynosi. *Choroby osobowości* są ułożone według tego samego planu; w czterech rozdziałach wyczerpuje autor obrany temat, mówiąc o zaburzeniach w organach zmysłowych, o zaburzeniach uczuciowych i zmysłowych, a wreszcie o rozprzężeniu się osobowości. O jedném ze zjawisk chorobnych osobowości, t. j. o zdwojeniu świadomości, mamy również w naszéj literaturze rozprawę p. Ochorowicza. Przekład wspomnianych dzieł Ribota naogół biorąc, jest staranny.

= **Złota przędza poetów i prozaików polskich,** wydawana w Warszawie, w trzecim swoim tomie, który niebawem dobiegnie końca, zawiera życiorysy i wyjątki z celniejszych utworów okresu Mickiewiczowskiego w jego jesiennéj dobie rozwoju. Obejmie on tych tylko pisarzy, co działalność swoję jakimś znakomitszym dziełem zaznaczyli przed rokiem 1863. W dotychczasowych 9-ciu zeszytach są reprezentowani następni autorowie i autorki: J. I. Kraszewski, H. Rzewuski, I. Hołowiński, L. Sztyrmer, J. Gołuchowski, F. B. Trentowski, J. Kremer, K. Libelt, A. Cieszkowski, J. Moraczewski, L. Zienkowicz, R. Berwiński, S. Koźmian, F. Żygliński, E. Wasilewski, J. N. Jaśkowski, A. Czajkowski, A. Wilkoński, G. Zieliński, K. Baliński, W. Wolski, R. Zmorski, T. Lenartowicz, J. Majorkiewicz, P. Wilkońska, N. Żmichowska, T. Szczeniowski, A. Marcinkowski, E. Żeligowski, L. Kondratowicz, A. Pietkiewicz, Z. Kaczkowski, J. Dzierzkowski, J. Zacharyasiewicz, W. Łoziński, K. Ujejski, H. Jabłoński, M. Romanowski, J. Supiński, K. Szajnocha. Nierównomierność życiorysów jest wadą wydawnictwa co do planu, ale bezwzględnie wzięte niektóre z nich są rzeczywistém wzbogaceniem zewnętrznéj strony dziejów piśmiennictwa naszego. Trafność wyboru wyjątków niekiedy może być zakwestyonowana, ale zupełnie niewłaściwych niéma tu chyba wcale. Gdy wydawnictwo to ukończoném zostanie, będziemy mieli najobszerniejszy, najbardziéj wyczerpujący podręcznik do czytania wzorów literatury polskiéj wieku XIX. Potrzebne

byłyby podobneż wypisy z autorów dawniejszych, choćby na mniejszą skalę; wówczas bowiem nauka historyi literatury naszéj ułatwionąby została wielce, zarówno dla nauczycieli jak i dla uczniów. Podobno wydawcy po ukończeniu trzeciego tomu, obrazującego wiek XIX, mają przystąpić do ogłoszenia takiego, ze wszech miar pożądanego podręcznika.

= **Le Play i jego szkoła** *przez Achillesa Brezę. Odbitka z „Przeglądu Powszechnego.“ Kraków 1885, str. 34.* — Broszurka ta jest pierwszą w literaturze naszéj obszerniejszą wiadomością o pracach francuskiego podróżnika-socyologa. Niestety, o tém co stanowi właśnie oryginalność Le Playa, a mianowicie o jego metodzie badań, dowiaduje się czytelnik od p. Brezy nie wiele. Za to wyniki poszukiwań, głoszące prawdy stare jak świat, oraz błędy również nie nowe i oddawna wyświetlone, przedstawione są obszernie w formie niesmacznéj, bo zupełnie bezkrytycznéj apologii spóźnionego odkrywcy. Widząc w swéj ojczyźnie szerzące się ciągle niezadowolenie upośledzonych warstw ludności i stały wzrost, płynącéj z tego źródła dążności do radykalnego przewrotu społecznego, a nie uznając żadnego ze środków zbawienia, podawanych przez rozmaitych reformatorów, Le Play postanowił sam drogą obserwacyi porównawczéj różnych społeczeństw wykryć, na czém rzeczywiście polega trwałe szczęście jednostek i grup ludzkich, i na tak ugruntowanéj podstawie dopiero dążyć do przeprowadzenia reformy w łonie swego narodu. Zamiar, jak widzimy, bardzo chwalebny i śmiały, droga do celu w ogólnych zarysach dobrze obrana, ale, niestety, wykonanie nie dopisało założeniu. W badaniach swoich autor posługuje się tak nazwaną przez siebie „metodą monografii rodzin.“ Odbył on liczne podróże po Rosyi europejskiéj i azyatyckiéj, Persyi, Turcyi, Morawii, Węgrzech, Karyntyi, Tyrolu, Włoszech, Niemczech, Danii, Szwecyi, Norwegii i Anglii. We wszystkich tych krajach, wybrawszy sobie jednę, lub kilka rodzin robotniczych, żyjących szczęśliwie, opisał ich wierzenia, oświatę, zwyczaje i obyczaje, majątek, dobrobyt, stanowisko społeczne, stosunki zależności, źródła pomocy w razach niedostatku i t. p. i t. p. Monografie te zawierają często wiele szczegółów bardzo cennych i zajmujących, lecz, niestety, jednych za wiele, innych za mało, a co ważniejsza, najwięcéj właśnie takich, które socyologowi nie przydadzą się na nic, Co bo naprzykład będzie on robił z wiadomością, jak się przygotowuje kwas z mąki, briaga, kumys, jak się piecze chléb i t. p. Czy wreszcie szczegóły życia pojedyńczych rodzin w rozmaitych stronach świata mogą dać klucz do rozwiązania tak skomplikowanéj i tak ściśle z przyjętym w krajach cywilizowanych systemem produkcyi, związanéj kwestyi społecznéj? Autor

przypuszczał, że źródło szczęścia musi stanowić to, co wszystkie rodziny szczęśliwie żyjące mają między sobą wspólnego, a ponieważ tą wspólną ich cechą okazało się tylko życie moralne (i to nie zawsze, a przynajmniéj niezupełnie!) i posiadanie chleba powszedniego, więc wywnioskował, że dwa te warunki stanowią istotną podstawę szczęścia ludzkiego: „j'ai toujours été ramené à la vérité que j'avais reçue de ma mère dès l'age de cinq ans: je reconnais de plus en plus, comme criterium du bonheur et de la prospérité, la vie morale et le pain quotidien, c'est-à-dire les deux premiers biens que les chrétiens demandent à Dieu dans leur prière.“ Gdy dodamy, że przez ów „chleb powszedni“ rozumié Le Play „ogół środków utrzymania ustalony zwyczajowo w każdéj danéj miejscowości“, będziemy musieli przyznać, że pogląd powyższy jest zarówno słuszny, jak nie nowy. Ale chodzi właśnie o to, jak owe dwa najniezbędniejsze dobra rozpowszechnić na świecie, a przedewszystkiém w krajach cywilizowanych? Na pytanie to odpowiada Le Play w streszczeniu p. Brezy, jak następuje: „Ażeby nadwerężony gmach społeczny odrestaurować, należy zacząć od wzmocnienia podwalin, przywracając uległość prawu najwyższemu (dekalogowi); tę zaś osiągnie się przez głoszenie szczeréj prawdy w nauce (t. j. poglądów La Playa — *przyp. rec.*) i za pomocą działającego w duchu bożym duchowieństwa. W duchu bożym działając, zasłużyło ono na nazwę „ojcze“ i ojcostwem tém duchowém winno być przeniknięte (niestety, jednakże według samego Le Playa, duchem tym przeniknięte ono bywa nie zawsze, a zwłaszcza łatwo zapomina o swych obowiązkach i ulega zepsuciu wtedy, gdy je władza popiera — patrz *La Réforme sociale en France.* Tom I, rozd. I, § 14). Daléj należy rozwinąć siły rodziny.... rozwinąć więc władzę ojcowską przez przywrócenie wolności testowania, ubezpieczyć stanowisko kobiety, przywrócić małżeństwo religijne, obowiązkowe. W stosunku pracodawców z pracującymi wyrabiać ducha patronatu u jednych i przywiązanie u drugich za pomocą trwałości zobowiązań. Oprzéć wreszcie konstytucyą społeczną na życiu wiejskiém, ograniczając i izolując miejskie.“ — W radach tych wychodzą rażąco na jaw wszystkie błędy Le Playowskiéj metody. Opierając się wyłącznie na obserwacyi pojedyńczych rodzin, stracił on zupełnie z oczu całość dzisiejszego ustroju społecznego i dlatego nie spostrzegł, że specyalne warunki tego ustroju nie pozwalają stanowczo na urzeczywistnienie proponowanych przezeń reform. Jak bowiem mógłby kto wymagać od dzisiejszego wielkiego przemysłowca, żeby wszedł ze swymi robotnikami w trwałe zobowiązania na całe życie, czy bodaj na jakiś dłuższy przeciąg lat, kiedy pierwsze, lepsze przesilenie ekonomiczne w takich warunkach mogłoby go przypro-

wadzić do ruiny? Oprzeć konstytucyą społeczną na życiu wiejskiém byłoby rzeczą bardzo pożądaną, ale, niestety, reformator nasz bynajmniéj nie dowiódł, żeby było — możebną. Koncentracyą życia przemysłowego w miastach wytworzyło nie tylko zamiłowanie do rozrywek i przyjemności miejskich, jak to sobie naiwnie wyobraża Le Play, lecz głównie i nadewszystko wymagania dzisiejszego systemu produkcyi i obiegu dóbr w społeczeństwie. Żadne więc, choćby najwymowniejsze i najlepszemi chęciami natchnione kazania na temat zepsucia miejskiego i wyższości wsi, nic na to zło nie zaradzą. Środki poprawy tych stosunków leżą gdzieindziéj. Że zupełna wolność testowania nie zawsze wychodziłaby na dobre dla dzieci, jak również, że małżeństwo religijne nie zapewnia jeszcze szczęścia rodzinie i nie „zabezpiecza stanowiska kobiety“—dowodzić nie potrzebujemy. Na zakończenie winniśmy jeszcze wspomniéć, że p. Breza niesłusznie narzuca Le Playowi jakieś specyalne sympatye dla katolicyzmu. Pod tym względem Le Play jest zupełnie bezstronny; wszystkie religie chrześciańskie uważa on za równie dobre, a co więcéj w tym rozdziale „Reformy społecznéj we Francyi“, na który się p. Breza powołuje, kilkakrotnie gani nadmierną centralizacyą hierarchii katolickéj. Wreszcie ceniąc nadewszystko pokój społeczny i uważając każdą religią głównie za środek wywierania umoralniającego wpływu na społeczeństwo i składające je jednostki, zacny reformator francuski przemawia tak gorąco i niejednokrotnie za jak najszerszą tolerancyą religijną, że narzucanie mu w tym względzie jakichkolwiek uprzedzeń jest bardzo nie na miejscu. Że téż to u nas bez tego obejść się nigdy nie może! *W. W.*

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Prasa warszawska i republikanie francuscy.—Publiczność kozłem ofiarnym. Wspomnienie omnibusów. — Dziennikarska gruntowność. — Walka o byt wobec kwalifikacyi literackich. — Nowy pogromca powag naukowych.— Opozycyjny dowcip felietonisty. — Stacye meteorologiczne. — Siła wyższa i nasze złudzenia. — Cukrownictwo w tarapatach.

Prasa nasza znajduje się w téj chwili w takiém położeniu, jak republikanie francuscy po wyborach 4 października. Strach przejmuje nawskróś, zęby nie mogą jakoś wrócić do równowagi, a zakłopotanéj miny niepodobna ukryć przed światem. Istnienie zawisło na włosku. Wczoraj jeszcze czuło się taki twardy grunt pod nogami, dziś robi się coraz bardziéj grzęsko... W chwilach powodzenia nie zawsze hołduje się cnocie skromności; pewność siebie rodziła przechwałki, wywoływała takie zapewnienia i przyrzeczenia, które teraz barwą purpury zdobią oblicze, a nieznośna pamięć, tak zwykle słaba, stała się nagle uporczywie dokładną.

Republikanie oczekiwali gorącéj wdzięczności narodu, spotkał zaś ich chłód przy zaprosinach do Izby,—prasa nasza była niby *arka przymierza*, naród miał w téj składać swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty, a tymczasem cofanie się prenumeratorów grozi przykrą mielizną. Świat słyszał zapewnienia że prasa jest termometrem życia, okazuje się, że termometr ten ma swoje upodobania, chętnie i wysoce obiektywnie zaznacza stan rzeczy, gdy rtęć ku górze dąży, w przeciwnym razie zdradza wyraźne niezadowolenie z temperatury.

Zawód nad Sekwaną był bardzo przykrą niespodzianką, niepowodzenia nad Wisłą są równie objawem mocno niemiłym. Nic jednak tak nie uczy, jak dotkliwe zdrady losu. Republikanie francuscy na chwilę chociaż potrafili skorzystać z lekcyi i w znacznéj części uratowali zagrożoną pozycyą. Dotąd nic jeszcze wyraźnie nie wskazuje, czy prasa warszawska umie być mądrą po szkodzie. Całe niemal brzemię odpowiedzialności za zobojętnienie ogółu do druko-

wanego słowa zwala się — niby na starotestamentowego kozła ofiarnego — na zubożenie powszechne. Przytém szanowna publiczność od czasu do czasu musi usłyszéć niemało przykrych słów za to, że w ciężkich dniach nie potrafili przyoblec się w wytrwałość starego rzymianina i pozbywa się najgorętszego przyjaciela, najnieomylniejszego mistrza, najgruntowniejszego znawcę, a zarazem najbezstronniejszego sędziego wszystkich spraw, toczących się po padole ziemskim.

Bez kwestyi, konieczność myślenia o materyalnych potrzebach rzuca zawsze cień na wszystkie przejawy życia. Podupadający z powodu złych czasów rolnik, przemysłowiec, czy urzędnik nie powinien zrywać téj nici telegraficznéj ze światem, jaką stanowi gazeta. Ale czy prasa jest rzeczywiście tylko bierną ofiarą, która jęknie wprawdzie czasem wśród cierpień, ale to jedynie z boleści nad zaślepieniem tych, których darzyła i gotowa wciąż darzyć dobrodziejstwami? Zastanówmy się nad tą kwestyą, nie zaczepiając nikogo, abstrakcyjnie.

Onego czasu, w epoce przedtramwajowéj, kursowały po ulicach Warszawy—jak to wszyscy dobrze pamiętamy — niekształtne budy, nazwane omnibusami. Niedoświadczony mieszkaniec prowincyi, albo odważny warszawiak, dostawszy się do wnętrza takiego ekwipażu, nabierał dokładnego pojęcia o losie wiezionego na targ drobiu i bywał nieraz narażony na podróż powolniejszą, niż gdyby był wcale nóg nie odrywał od ziemi. Nie wiem, jakie interesy robili właściciele omnibusów, ale chyba nie szczero-złote, kiedy miejscowi kapitaliści nie mieli ochoty ubiedz belgijskiego Towarzystwa w sprawie budowania tramwajów. Otóż, jeżeli rzeczywiście obojętność chodzącéj publiczności zawiodła oczekiwanie przedsiębiorców jeżdżących bud, to zapewne był niejeden pesymista, co snuł z tego powodu czarne dumy o naszéj wartości: w New-Jorku koleje szybują nad ziemią, w Londynie pod ziemią, Paryż, Wiedeń etc. etc. porznięte są wzdłuż i wszerz przez szyny kolei konnych, a my nie chcemy korzystać nawet z omnibusów — jedynego ulepszonego u nas środka lokomocyi. Takie wnioski o zupełnéj nieprzystosowalności naszéj do postępu, miały by niejakie pokrewieństwo z biadaniem na odstępstwo od pism. Dziennikom naszym i tygodnikom nie o wiele bliżéj do europejskiéj prasy, jak karetom „Plac Krasiński — Trzy krzyże“ do podziemnéj kolei londyńskiéj. Wprawdzie *Agencya Hawasa* jednakowo przesyła wszystkim pismom telegramy, ale lakonizm onych wymaga komentarzy, a dokładniejsze informacye o sprawach świata—korespondencyj i znawstwa. Pisma nasze niemal wszystkie posiadają żółwią szybkość w komunikowaniu wiadomości, niektóre zaś z nich prócz tego mają dziwny talent przekręcania faktów. Miasta w redakcyj-

néj gieografii są niby ptaki w powietrzu, przelatują nieraz z kraju do kraju, przesuwają się o setki tysięcy mil. Cokolwiek uważniejszy i mający lepszą pamięć czytelnik, przebiegając szpalty niejednego pisma, doznawać musi nie mniejszych przykrości, jak przy podróżowaniu omnibusem.

Pisma Europy zachodniéj i Ameryki północnéj posiadają olbrzymie środki pieniężne, które potęguje nieustająca dbałość, skrzętność. Dokładne informacye stały się punktem honoru. Nasze pisma nie posiadają nawet tyle kapitału, ile by przynieśli procentu prenumeratorzy *Times*'a, gdyby każdego z nich zamienić tylko na złotówkę. A że zapobiegliwość w żadnym przypadku, wraz ze zmniejszaniem się kapitału, maleć nie powinna, lecz przeciwnie zastępować go, więc redaktorzy pism naszych obowiązani są być czynni i czujni, jak kapitanowie wątłych okrętów na niespokojnych i skalistych morzach; tymczasem przypominają oni żydów furmanów, wożących pasażerów w tak zwanych *fraktach*. Kto wskutek swych zajęć potrzebuje mieć dokładne wiadomości o ruchu w świecie politycznym, przemysłowym, handlowym i t. d. nie może obejść się bez *blattów* i *zeitungów*. Czy więc wobec tego uczucia obywatelskie wymagają od nas więcéj dbałości o pomyślny stan kasy wydawców polskich, niż onego czasu miłość postępu—tłuczenia sobie boków w omnibusach? O gaszeniu świateł można mówić tylko z zastrzeżeniem, bo w iluż to pismach naszych ciemnota siedlisko obrała! Gdyby kto chciał słuchać się rad lekarskich i przepisów higienicznych, sianych przez dzienniki, to by musiał pożegnać się ze światem po pierwszéj próbie (jedno z pism lekarskich przygotowało na gwiazdkę piękną wiązkę tego rodzaju recept, zebraną z różnych pism brukowych i niebrukowych). Astronomia, fizyka, chemia, historya odbijają się nieraz w łamach pism warszawskich niby w niemiłosiernie pogiętych zwierciadłach. Jeżeli w jakim kraju jest dwóch znanych ludzi jednego nazwiska, z których jeden bada, dajmy na to, napisy na kamieniach w Małéj Azyi, a drugi stosuje elektryczność do mechaniki, to z pewnością jaki sprawozdawca nasz popląrze ich z sobą (tak postąpił sobie specyalny polityczny informator jednego z tygodników z Ribotem, filozofem i politykiem). Niektóre pisma tak wszechstronnie wyzyskują talenty współpracowników, jak gdyby potrzeba znajomości omawianego przedmiotu nie istniała nigdy. Niemający praktyki medycy piszą artykuły geograficzne, studenci wydziału filologicznego uczą ogół ekonomii politycznéj. Toż samo pióro, co ciskało gromy w obronie uniwersytetu dla kobiet, z chłodem znawcy ocenia wartość okazów na wystawie ogrodniczéj. Wiele obiecujący technik-socyolog w jednem piśmie rozważa wartość astronomicz-

nych prac Faye'a (stary i wytrawny kierownik obserwatoryum w Paryżu), a w drugiém druzgoce wywody równie poważnego psychologa itd. itd. Gorliwego współpracownictwa szóstoklasistów w łamach pewnego dziennika nie podkreślam, bo nawet u nas jest to fakt pojedyńczy.

Mowa polska, nie poniesie znowu tak wielkiego szwanku z powodu upadku pierwszego lepszego pisma. Kilka bowiem redakcyi, szczególniéj tygodników, dba bardzo o poprawność swego głosu, ale większość dziennikarskich pracowników (?) pióra, z tłómaczami wiadomości i wiadomostek z *Figara* i *Fresse* na czele, wyrobiła sobie rodzaj żargonu, będącego bluźnierczą karykaturą języka Mickiewicza, Słowackiego, a nawet Sienkiewicza. Wygodnie jest z tém panom pracownikom jak w rozchodzonych pantoflach i ani myślą uszlachetniać swego słowa. Nie kształcą więc nikogo, przeciwnie zwiększają jedynie ilość czynników kaleczących nasz język.

Prasa wszędzie jest ważnym, a u nas jedynym organem opinii publicznéj, czy nie należy więc ubolewać z tego względu nad bankructwem wziętości gazeciarskiéj. Ciekawym, czy też ktokolwiek, słuchając jéj głosu, potrafił co kiedy zrozumiéć wśród krzyku i zgiełku kupieckich zachwalań swego towaru, przekleństw współzawodnikom. W prasie naszéj ostatniemi czasy tylu się wyemancypowało z wszelkiéj przyzwoitości, że dla nabycia wprawy w sztuce wymyślania sobie nie potrzeba wcale chodzić nad Wisłę ani za Żelazną-Bramę: dosyć jest czytać niektóre felietony. Poważniejsze i sumienniejsze organy niejednokrotnie nie chcą i nie mogą odezwać się z obawy, ażeby niedostać się w błoto wymysłów i insynuacyi. Nie... opinia naszego kraju jest o wiele zdrowszą niż rzecznicy jéj interesów w Warszawie.

Ze słów naszych wnosić nie należy, że fakt zmniejszania się liczby czytelników uważamy za objaw pocieszający. Bynajmniéj! Ale tyle już trzeba było ubolewać nad moralnym upadkiem prasy, że nie można teraz rozwodzić żalów z powodu jéj materyalnéj klęski. Nie należy widziéć w prasie jakiegoś świętego derwisza, którego obowiązek każe karmić bezwzględu na to, czy jest bogobojnym kapłanem, czy lichym wydrwigroszem. Dla społeczeństwa nie jest wcale rzeczą pożądaną, aby obywatelski fetyszyzm gwarantował dziennikom istnienie na wieki wieków i pozwalał im upadać coraz niżéj... A z drugiéj strony okazało się, że przytarcie rogów wyszło na dobre republikanom francuskim, rozzuchwalonym na obroku powodzenia. Zresztą nietylko w tym wypadku potrzeba bronienia bytu wydała błogie owoce. Zjawisko to powtarza się na każdéj karcie historyi. Strach zmusił ludzi do szukania ratunku we wzajemnéj pomocy i wy-

tworzył pierwsze zawiązki społeczne. Walka o byt wybudowała miasta, zrodziła przemysł, wpoiła w ludzi wiele cnót społecznych. Ona to nauczyła kochać towarzyszy w szeregu, ona kazała się wyrzec egoistycznéj niezawisłości, poskromniła wybryki indywidualizmu, ona z barbarzyńcy zrobiła człowieka cywilizowanego, zmuszając go przez potrzebę solidarności i zgody do pobłażliwości, dobroci, pokory, itd. Czy zjawienie się tych wszystkich cnót nie było by pożądaném wśród pism warszawskich? Powinny one były w zwartym szeregu bronić jednéj sprawy, a tymczasem hulają sobie jak konie w stepach przed zaludnieniem. Żadnéj łączności. żadnego planu we wspólnéj pracy. Miały wytworzyć wśród społeczeństwa moralną powagę, jako organ opinii, a podkopują się jedynie, wszczynając kłótnie o najmniejszy drobiazg, dyskredytują się wzajemnie, wymyślając sobie, gorsząc opinią skandalicznemi procesami. Powinny przykładem uczyć roztropności i taktu w trudnych warunkach bytu, a tymczasem reporterzy przez lekkomyślność stali się prawdziwą plagą społeczną, co tydzień niemal zbroją coś takiego, co mógłby zrobić jedynie bardzo gorliwy wróg ogółu. Przypominają oni nieraz dzieci, zapalające papierosa wśród mozolnie zebranych plonów rolnika; dla marnych kilku wierszy brukowéj wiadomostki, bezmyślnie narażają wysiłki lat całych. Przykładów mógłby przytoczyć wiele każdy, pracujący realnie na polu dobra publicznego.

Łatwiéj jest dopatrzyć stron ujemnych niż stworzyć ideał dodatni. Cofamy się więc w tém miejscu od kreślenia wzoru, jaką prasa być winna. Dopuściliśmy się pomimo to krytyki w téj myśli, że zawiera ona pozytywne wskazówki. Wniknąwszy jednak w warunki i potrzeby społeczne, przypatrzywszy się obecnemu stanowi prasy naszéj, niepodobna powstrzymać się od zawarcia swych wrażeń w następującém żądaniu: więcéj szlachetnego zrozumienia własnego interesu, więcéj gruntowności i sumienności, a przedewszystkiém więcéj poczucia obywatelskiego w spełnianiu swego powołania. Pióro nie może dziś przestać być narzędziem zarobkowania, ale niech będzie jednocześnie symbolem pracy, gotowéj do poświęceń. Wszelka reforma musi się zawsze zacząć od doskonalenia ludzi. Są redakcye, które w całym komplecie swoim robią wrażenie Spodków, Spojów, Dutków, grających rolę aktorów w komedyi Szekspira. Tu walka o byt drogą doboru naturalnego może oddać prasie naszéj wielkie korzyści, usuwając tych wszystkich, k tórzy z wiedzy swéj z talentu i charakteru bardziéj by się nadawali na administratorów piwa bawarskiego, lub roznosicieli listów. Przerażająca jest rzecz, jak mało obecnie potrzeba, aby mieć kwalifikacyę na literata; nowicyat na czeladnika w każdym rzemiośle jest trudniejszy niż na au-

tora popularno-naukowych artykułów, mających nas zaznajamiać z wynikami wiedzy europejskiéj.

W każdym zawodzie trzeba jakiś czas ćwiczyć się i doskonalić zanim się zostanie czeladnikiem. W stosunkach literackich bywa tak, że młody adept uważa się od pierwszéj chwili za mistrza, mającego prawo poniewierać wszystkiém i wszystkiemi. P. *Lud. Krz.* naprz. debiuty swoje rozpoczyna od poniewierania powag, szanowanych przez najgłębsze umysły epoki naszéj. „Darwiny, Spencery, Drapery i tutti quanti“ są traktowani przez niego jak żaki szkolne. Pióra M Müllerów, Reville'ów spłodziły „mnóstwo niedorzeczności.“ Ze Spencerem mówić niemożna, bo jest burżua, gdyż posiada akcye kolei żelaznéj. Wywody profesora Lanessana „są niżéj wszelkiéj krytyki.“ Bez kwestyi orlę, choćby bardzo młode, może bez spuszczenia powiek patrzeć w oblicza słońc. P. *Lud. Krz.* z wyżyn swego ducha widocznie jest w stanie od jednego rzutu oka poznać nicość tych, w których zwykli śmiertelnicy widzą olbrzymów; ale niechby zechcial nie ograniczać się na dogmatycznych twierdzeniach i szumnych okrzykach lecz dał nieco dowodów. Jeżeli obali Molochów fałszu, Darwinów i Max Müllerów, i sam roznieci ogniska niepokalanéj wiedzy i prawdy, będziemy go czcić i bronić wobec całego choćby świata, gorącéj niż Kopernika wobec Niemców; ale obecnie niepodobna nie miéć żalu, że z wyżyn swoich nie chce nigdy zrzucić narodowi tak małego nawet dźbła wiedzy pozytywnéj, jak ziarnko gorczyczne. W liczbie autorytetów, które zwolennikom bezgranicznéj swobody pojęć spać nie dają, u nas nie powinna chyba figurować nauka. Każdy mąż, obdarzony chłopskim rozumem, ani dba o to, że inni twierdzenie swoje opierają na dziesiątkach lat pracy. Jak mu się co niepodoba, to porąbie, zwymyśla, kopnie nogą nietylko Darwina i Galiteusza, ale nawet Pitagorasa za tabliczkę. Odgrodzeni od świata, niby góral w zawalonéj śniegiem chałupie, z ech tylko dowiadujemy się o pracy zachodu; udziału w niéj brać nie możemy, ogół dalekim jest od ocenienia wpływów i roli nauki. Czyż wobec tego godzi się, aby szermierz w imię prawdy i postępu dyskredytował to, co jedynie zwalczyć może szkodliwe nawyknienia i złe przesądy. „Przegląd Tygodniowy“ miał przecie krzewić cześć dla wiedzy, walczył on o szacunek dla imion zasłużonych na tém polu, dla myśli powstałych po latach pracy, okupionych zaparciem się przyjemności i zaszczytów. Co sobie pomyślą czytelnicy, którzy dowiadują się nagle, że ci wszyscy, których pojęcia pismo to przez tyle lat wszczepiało w ich mózgi i dzieła których wciąż tłómaczy, wydaje i zaleca w artykułach innych autorów, nie są wcale ani poważnymi, ani głębokimi, ani nawet sumiennymi myślicielami. Artykuły p. Lud Krz. są tak właściwe na

szpaltach dbającego o dobro ogółu pisma, jak niedojrzałe jabłka, dane na pożywienie choremu w domu zdrowia.

Wątek kroniki dzisiejszéj snuje się uporczywie z kądzieli ułomności ludzkich. Niepodobna go jednak jeszcze zerwać, gdyż w prądzie życia przemknął jeden fakt, drobny bardzo, ale niezmiernie charakteryzujący już nie stan prasy, ale dziwny jakiś nastrój całego ogółu. Dzięki licznym zapewne przyczynom, ale może także i wskutek tego, że daleko więcéj możemy mówić niż robić, powstała wśród nas żyłka szczególnéj kłótliwości. Cudzoziemcy, przesuwający się tylko przez Warszawę, zdołali to zauważyć w restauracyach, w cukierniach, w teatrach. Ponieważ wszystkie niemal zamiary nasze skazane są na zastygnięcie w projektach, nie żałujemy więc sobie czasu i pracy na obgadywanie—są to jedyne dzieci, niechże będą doskonałe. Wobec możności pracy chętnie zrzecze się każdy opozycyi w drobnych rzeczach, ale jeżeli się tylko mówi, to czemu sobie nie pozwolić. Ze wszystkich przejawów życia, tylko gra Żółkowskiego nie wzbudza u nas żółciowych zaprzeczeń. Dziesięć konkursów nie zdołało by wywołać takiego pomysłu, którzy by wszystkich zadowolnił. Nawet sam fakt kanalizacyi ma swoich wrogów. Niewinna ta zabawka w opozycyą dla opozycyi bywa bardzo niewłaściwą, gdy zostanie zastosowaną do pożytecznego projektu, mogącego wejść lub już wchodzącego w życie, gdzie należałoby wszelkie siły wspólnie wytężyć, a nie bróździć krytyką. posiadającą czasem wiele przymiotów literackich, ale szkodliwą, lub niesłuszną. Niedawno naprz. Towarz. popierania przemysłu i handlu, zostało skrzyczane ze strony, od któréj się miało prawo spodziewać gorącego poparcia. Teraz znowu p. Prus wyśmiał w Kuryerze Warszaw. projekt założenia łaźni ludowéj na Koszykach. Wada jest bardzo widocznie rozpowszechnioną, kiedy jéj ulegają nawet ludzie z takim zasobem dobréj woli i chęci jak p. Prus. Miesięcznik poświęcony higienie, „*Zdrowie*“, zwrócił uwagę, że obecnie nastręcza się sposobność łatwego urządzenia łaźni ludowéj, tak niezbędnéj dziś w Warszawie. Podczas nieustannéj pracy machin, jaka już za kilka miesięcy odbywać się zacznie na stacyi filtrów na Koszykach, wytwarzać się będzie wielka ilość wody kondensacyjnéj, dochodzącéj do 40°R., czystéj, zdrowéj, a niemającéj żadnego ważniejszego przeznaczenia. „Czyż należało by dopuścić— słusznie wnioskuje *Zdrowie*,—ażeby to mnóstwo ogrzanéj wody spuszczone było bez użytku do Wisły, lub służyć miało tylko do przepłukiwania urządzeń stacyi.“ Sądząc z pozoru, zdawało by się, że projekt ma za sobą wszystko i że najpracowitsze łamanie głowy nie zdoła wynaleść innych wątpliwości, jak tylko chyba takie, czy nie można z téj wody zrobić jeszcze lepszego użytku, albo, jeżeli łaźnie są

najlepsze, jak je urządzić. Tymczasem humor p. Prusa potrafił sprawę wprowadzić na inny grunt. Ośmiesza on projekt z tego względu, że z Muranowa i Pragi na Koszyki bardzo daleko, korzystający więc z łaźni musiałby, powracając, zapylić się, zaziębić, brać doróżkę, coby spowodowało koszt większy niż wykąpanie się w zwykłéj wannie.

Takie stawianie kwestyi miałoby może swoją zasadę, gdyby urządzenie łaźni na Koszykach znosiło możność, lub nawet tylko utrudniało budowanie podobnéj łaźni na kilku jeszcze innych ulicach. Warszawa jest dziś tak duża i ludna, że chyba p. Prus nie potrafi wskazać punktu, do którego byłoby zewsząd blisko, ani gmachu w pośrodku miasta, któryby mógł być jedyną łaźnią ludową. W okolicach Koszyków jest dużo fabryk i mieszka sporo robotników, dla czego nie skorzystać ze sposobności, która niesłychanie ułatwia częściowe zaspokojenie palącéj potrzeby? Co za dziwna polityka, która każe pozbawiać dogodności, a nawet dobrodziejstwa, wielu dla tego, że nie wszyscy będą mogli zeń korzystać.

Muzeum przemysłu i rolnictwa zaczyna nareszcie wkraczać w epokę życia osiadłego, po dziesięcioleciu przykrego tułactwa. Jakkolwiek ostatecznie nastąpi to dopiero po Nowym Roku, kiedy siedziba Muzeum zostanie zupełnie wykończoną i podwoje jéj otworzą się dla publiczności, to jednak energiczny zarząd nie ociąga się z robieniem tego, co można. Już w lipcu r. b. urządzone zostało w nowym gmachu biuro meteorologiczne, które wypracowało i obecnie ogłosiło drukiem instrukcyą dla stacyi, powstałych i powstających w różnych punktach kraju.

Żądania systematycznego prowadzenia obserwacyi meteorologicznych i zużytkowywania ich następnie w celach ogólniejszych, teoretycznych i doraźnych, praktycznych, powstawały niejednokrotnie w prasie już od lat wielu. Dopiero jednak w roku zeszłym myśl, rzucona przez p. Dembego na zebraniu cukrowników, została szczęśliwie odznaczoną powodzeniem, zyskała orędownictwo, wywołała czyn i stała się ciałem. Profesor Dziewulski na posiedzeniu II sekcyi Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wytłómaczył cel i znaczenie spostrzeżeń meteorologicznych, a zarazem podał plan urządzenia stacyi i biura centralnego, które by zestawiało wyniki obserwacyi, wyciągało w razie potrzeby i możności wnioski i następnie podawało do wiadomości ogółu. Wskutek tego przedstawienia, upoważniono prezydyum sekcyi, ażeby z pomocą pp. Deikego, Dziewulskiego i Jurkiewicza zajęło się wykonaniem projektu. Muzeum przemysłu i rolnictwa odezwało się sympatycznie na głos inicyatorów, ofiarując powstającéj instytucyi pomieszczenie wraz z po-

trzebnemi dla centralnego biura urządzeniami. Koszta zaś utrzymania i prowadzenia ciążyć będą na kasie Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Kierunek naukowy biura oddany został profesorowi Kwietniewskiemu, który przed rozpoczęciem pracy zwiedzał odpowiednie urządzenia zagranicą. Dotąd założono już 15 stacyi prowincyonalnych, a mianowicie: 7 w gubernii warszawskiéj, po 1-éj w gubernii radomskiéj, kieleckiéj, lubelskiéj, płockiéj, kaliskiéj, wołyńskiéj i 2 w gubernii podolskiéj. Stacye te istnieją przy cukrowniach i podzielone są na trzy klasy, odpowiadające ilości posiadanych narzędzi. Opis, ocena i wyjaśnienie znaczenia prac biura wymaga specyalnego artykułu, w kronikarskiém sprawozdaniu ograniczyć się musimy do zewnętrznéj strony jedynie. Sądzimy jednak, że czytelnicy „Ateneum" rozumieją dobrze doniosłość, jaką mają systematycznie prowadzone spostrzeżenia meteorologiczne dla klimatografii krajowéj, dla potrzeb rolnictwa i przemysłu, i że wskutek tego powezmą sympatyę dla instytucyi, a uznanie dla jéj założycieli i pracowników.

Urządzenie tego biura posiada inną jeszcze stronę, zasługującą na podniesienie. Powstało ono jedynie dzięki inicyatywie prywatnéj, pracą i środkami miejscowemi, bez uciekania się do siły wyższéj. Spółdziałanie téj siły bywa, co prawda, tu i owdzie bardzo pożądane, bez niego trzeba się wyrzec nieraz wielu, bardzo wielu rzeczy; abstrakcyjnie powinniśmy uznać zupełną słuszność takiego punktu widzenia.... stąd jednak nie wynika, aby się oddawać złudzeniom. Tymczasem myśmy tak sobie w nich upodobali, że nieustające starania Towarzystwa popierania przemysłu i handlu zużywają się wyłącznie niemal na gorące westchnienia ku górze. Dobrego także może być czasem zawiele. Zdaje się, że w tym razie mogą powstać dosyć uzasadnione obawy, czy nawet uwieńczone powodzeniem starania ziszczą nadzieje projektodawców.

Przed kilku, lub najwyżéj przed kilkunastu laty wzywanie opieki państwa dla przemysłu było rodzajem herezyi obywatelskiéj; tylko to miało monopol na przynoszenie pożytku, co rodziło się i żyło, nie wykraczając ze sfery prywatnéj. Obecnie na usiłowania jednostek patrzy się z politowaniem, jak na ramię liliputa wobec sił przyrody. Dawniéj chciano budować, nie zakładając fundamentów, dzisiaj upierają się, że fundamenty starczą za wszystko. Poczciwa ta opinia, tak lubi uważać się za głos Boga, a nigdy miary utrzymać nie potrafi. Na wszystkie rany społeczne ma obecnie pomagać kredyt państwowy, cła, zakazy, przywilej i t. d. Tak utrzymują w Niemczech, w Szwajcaryi. Wobec tego, my wczoraj jeszcze ufni we własne siły, niby młodzieniec, nieznający rozczarowań, zaczynamy naśladować żabę z bajki, wystawiając nogę, kiedy niema kowala, coby

się chciał i umiał zająć jéj okuciem. Zresztą samo okucie—to jeszcze nie wszystko, podejmie się uskutecznienia go każdy za odpowiednie wynagrodzenie; ale co będzie, jeżeli się okaże, że podkowy są źle przypasowane? A i to przecie roztropność każe przewidywać.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu rozesłało do różnych przedsiębiorców 200 egzemplarzy kwestyonaryusza, chcąc się dowiedziéć o stanie różnych gałęzi przemysłu drobnego. Oczywista rzecz, że zwrócono się nie do masy, obawiającéj się wszystkiego, niemogącéj nieraz dobrze zrozumiéć o co chodzi, bezwładnéj z natury, lecz do niewielkiéj ilości ludzi, ktorzy powinni byli widziéć potrzebę zakrzątnięcia się koło własnego dobra i którzy mieli środki zrobienia tego. Tymczasem odpowiedzi przyszło jedynie 42, z których można się głównie dowiedziéć, którzy przemysłowcy chcą ceł ochronnych, a którzy podwyższenia lub zniżenia taryf przewozowych. Gdyby na wytworzenie tego kierunku myśli i pożądań nie wpłynęło doktrynalne przejęcie się przykładem sąsiadów, lecz gdyby on powstał jedynie pod naciskiem potrzeb i konieczności, to oczéwista rzecz, stać by się to u nas mogło tylko po *dokładném zbadaniu warunków* i przekonaniu się, że jeżeli na téj drodze nie znajdzie się ratunek, to go wcale nie ma. Tymczasem posiedzenie sekcyi V-téj Towarzystwa w dniu 27 października przekonywa nas, że tak nie jest, gdyż omawiano tam przez wiele godzin kwestyą potrzeby cła na wyroby litograficzne, chromolitograficzne i oleodruki, a na końcu sesyi pp. projektodawcy i oponenci dowiedzieli się od p. Reichmana, że cła takowe już istnieją. Podobne traktowanie rzeczy dowodzi, że nie umiemy jeszcze brać się do pracy jak należy; bez kwestyi jednak, praktyka Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wiele nas nauczy i wyrobi.

Jako dowód, że pomoc państwowa nie zawsze potrafi wyratować z toni taką gałąź przemysłu, w któréj organizmie zaczęło się coś psuć, posłużyć mogą dzieje cukrownictwa z dwóch lat ostatnich. Onego czasu szczęśliwi wytwórcy słodyczy miewali po 50 a nawet 60% dochodu. Wobec takiego wabika, nic dziwnego, że ilość cukrowni wzrastała. Prócz tego widmo konkurencyi amerykańskiéj skłoniło przerażonych rolników do plantowania buraków, zamiast siania pszenicy, cena więc wytwórczego materyału spadała, pozwalając wyrabiać więcéj cukru. Przytém używano coraz to lepszych gatunków buraków i stosowano coraz to bardziéj udoskonalone środki techniczne; w ten sposób ilość cukru produkowanego wzrastała w stosunku jeszcze znaczniejszym, niż ilość cukrowni. Aż nareszcie w roku zeszłym okazało się, że wytworzono cukru o dwa miliony pudów więcéj, niż tego wymagały potrzeby wewnętrzne. Na targach krajowych niepodobna go było zbyć. Rząd pośpieszył z po-

mocą i ułatwił wywóz za granicę, zwracając akcyzę i płacąc rubla od każdego puda, opuszczającego terytoryum państwa. Środek ten okazał się tak zachęcającym, że w tym roku nadprodukcya wynosi przeszło 5 milionów pudów, a może nawet znacznie przewyższa tę cyfrę. Między właścicielami cukrowni popłoch wielki; chcą sprzedawać o 15% niżéj kosztów fabrykacyi, ale i to nie zawsze się udaje. Projekty się krzyżują: jedni żądają ograniczeń, inni przywilejów. Rząd rozciągnął premia na nieograniczoną ilość wywiezionych pudów, ale płaci teraz już tylko po 80 kopiejek. Zagranicą wiedzą doskonale o trudnym położeniu fakrykantów cukru i ofiarują bardzo skromne ceny. Pomoc rządowa jest właściwie tylko pożyczką, która ma być spłaconą w ciągu 4 lat. Jest to więc rodzaj kredytu, który ma pozwolić słabszym przedsiębiorcom przetrwać czas kryzysowy i zająć bardziéj niezależne stanowisko wobec kupców obcych. Czy to przyniesie pożądany skutek? Jeżeli cukier wytwarzany w granicach państwa rosyjskiego potrafi sobie, dzięki téj pomocy, zdobyć jakiś rynek zagraniczny większy, na którym stale i bez zawodu można będzie zbywać cukier niesprzedany w kraju, to cel zostanie osiągnięty; jeżeli zaś nie, to opieka rządowa przedłuży tylko na rok lub dwa egzystencyą fabryk, skazanych na zagładę, a natomiast narazi na straty przedsiębiorców, mających warunki rozwoju.

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Leon Ulrych** zmarł w Paryżu w listopadzie. Urodzony 1811 r. był kolegą uniwersyteckim Z. Krasińskiego, następnie wojskowym. Udawszy się za granicę, poświęcił się studyom literackim i publicystyce; tłómaczył Szekspira, Arystofanesa i Plutarcha. Niektóre z jego tłómaczeń Szekspira weszły do zbiorowego wydania dzieł angielskiego dramaturga, wydanych w Warsz. 1875/6. Jest on także autorem oryginalnego obrazu dramatycznego, poświęconego wspomnieniom r. 1833 (druk. w Paryżu 1834).

† **Aleksander Szukiewicz**, urodzony 22 listopada 1816, po ukończeniu studyów oddał się publicystyce, redagując w r. 1848 razem z Leonem Ulrychem dziennik polityczny w Krakowie p. n. „Jutrzenka“; następnie wszedł do redakcyi „Czasu“ i aż do r. 1879 brał w niéj bardzo czynny udział. Był on również beletrystą; między innemi napisał „Powieść krakowską“, drukowaną w r. 1856 w dodatku miesięcznym do „Czasu“. Zaniewidziawszy, osiadł w Przemyślu i tam umarł w listopadzie r. b.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.



